



1870

PRZEGLĄD POLSKI.

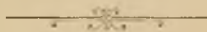
Rok XXXII.

Kwartał I.

(Lipiec, Sierpień, Wrzesień).

Ogólnego zbioru tom 125.

(Zeszyty od 373 do 375).



W KRAKOWIE,
W Drukarni „CZASU“ FR. KLUCZYCKIEGO I SP.,
pod zarządkiem Józefa Lakocińskiego.

1897.



574/58



4501, 1897. tom 1

II

X-11207
4501, II

1. kw.

32/1897

D. H. Hojg. Nr. 20

Warszawa ul. Bracka 6

3. 10. 58

40-27



R 1897 zes 373-378



SPIS RZECZY

zawartych w tomie I rocznika XXXII.

	str.
Z roczników poświęcenia: Panna Emilia Szczaniecka 1804—1896, przez N.	1
Jan Kazimierz w Rzymie, (dokończenie) przez Adama Darowskiego	34
Gerhart Hauptmann, jako pisarz dramatyczny (ciąg dalszy), przez Józefa Flacha 74, 301,	452
Pierwszy historyk pierwszego cesarstwa: Jakób de Norwina i jego pamiętnik, przez C.	125
Dwie karty z dziejów epoki Księstwa Warszawskiego: Dziewiętnastoletni podpułkownik bar. Karol Larisch. (Kartka z dziejów 1807 r.). — „Zginął jak Berek pod Kockiem“ (Przysłowie z r. 1809), przez Józefa Wawel-Louis	215
Sześćdziesięciolecie królowej Wiktoryi, przez Dra M. E. Trepkę	243
Bez jutra. Powieść, przez Ludwikę Rouher	277, 492
Paryż po upadku Warszawy w 1831 r., przez L. Gadona	411
Kartki z dziejów drugiego cesarstwa, przez A.M.L.	429
Z kursu socyalnego w Krakowie w r. 1897: I. Wstęp. Przemowa Dra Kazimierza Morawskiego. — II. Cele polityki agrarnej, przez Dra Józefa Milewskiego	522
Kronika literacka	153, 351, 561
L. Jenike: Młodość Goethego i nieprzełożone dotąd poezye jego ulotne. — X. K. Niedziałkowski: Miraże mądrości. — X. Wacław Kapucyn: O cudownym obrazie Najśw. Maryi Panny Berdyczowskiej.	
S. Müntz: Ferdinand Gregorovius und seine Briefe an Gräfin Ersilia Lovatelli. — H. Gaetani-Lovatelli: Rozprawy archeologiczne. — V. Bérrard: La Turquie et l'Hellénisme contemporain. — A. Chalamet: Guerres de Napoleon 1800—1807.	
Z literatury powieściowej. M. Gawalewicz: Szubrawcy. 3 t. — K. Gliński: Tarantula. —	

K. Gliński: Klęska. — K. Junosza: Willa Pana Regenta.

F. Hösiak: Życie Juliusza Słowackiego, na tle współczesnej epoki (1809—1849). T. I, II, III.

Z literatury powieściowej. P. O. Höcker: Polnische Wirthschaft. — Ouida: Le selve and Tonia. — V. Cherbuliez: Après fortune faite. — P. Bourget: Recommencements. — P. Loti: Ramuntcho. — A. Daudet: Le trésor d'Arlatan.

Nowe Publikacye Akademii Umiejętności w Krakowie.

X. J. Tylka: Dogmatyka katolicka. — X. J. Pelczar: Rozmyślenia o życiu kapłańskim czyli Ascetyka kapłańska (Wydanie 2-gie). — J. Leniek: Ks. Izidora Chrościńskiego pierwszego prefekta gimnazjum tarnowskiego Kronika z lat 1784—1794. — Z. Czartoryski: Listy z podróży. — A. Jasieński: Współcześni powieściopisarze angielscy. — J. Sully: Umysłowość ludzka. T. I. (tlóm. J. K. Potocki).

J. Goll: Cechy a Prusy ve stredoveku. — Ein Kavallerie-Offizier: Der Aufstand in Westgalizien im Februar 1846. — O. Klausmann: Das Leben im Deutschen Kaiserhause. — J. Breton: Un peintre paysan. — W. Ramsay: Impressions of Turkey.

Z literatury powieściowej. W. Reymont: Komediantka. — W. Reymont: Fermenty. 2 t. — W. Reymont: Spotkanie. — Hajota: Jak cień.

Teatr Krakowski, przez Dr. Feliksa Konecznego 194,
395

Przegląd polityczny, przez * * * i przez R. S. 202, 400,
603

Antonina Hoffmanowa (wspomnienie pośmiertne) . 189

Adam Asnyk (Wspomnienie pośmiertne), przez Stanisława Tarnowskiego 614



Z roczników poświęcenia.

Panna Emilia Szaniecka.

1804—1896.

Nie bardziej nie uwydatnia krótkości czasu i znikomości życia, szybką ubiegającego falą, nad rozwiązywanie się ogniów, co nas z przeszłością łączyły. Starsi z pośród nas pamiętają jeszcze towarzyszków broni Napoleona, żołnierzy Wielkiej Armii, uczestników epicznych bojów; młodszy wzrastali pod okiem wodzów i wojowników z r. 1831, przelewających w serca słuchaczy iskry własnych zapalów i ową niezłomną nadzieję, która bywa owocem zaznanych niegdyś „dreszczów zmartwychwstania“. Aż naraz tych rycerskich, tych historycznych łączników zabrakło, zcichło żywe słowo, żywsze serca bicie, zerwała się nić ciągłości „między dawnymi a nowszymi laty“, zgłuchły większe i donioślejsze opowiadania. I oto budzi się zazdrosna żądza ocalenia od niepamięci rozwiewające się postacie, rozplywające wspomnienia, którym może zawdzięczamy wszystko, co w nas jest najlepszego, i ukrzepić, umocować, skruszone śmiercią czy zapomnieniem ogniwa łańcucha, który nas do niedawna z przeszłością łączył.

Tymrazem nie męskie bohaterstwo, lecz niewieście poświęcenie pobudza nas do spojrzenia wstecz i uwicia wiązanki pamiętek. A poświęcenie znamiennym rysem charakteru polskich niewiast. Ilekroć która z nich wyraźniej na tle dziejowem się rysuje, można przysiąc, że zasłynęła ofiarą. Wanda czy Jadwiga własne serce i szczęście niosą w dani, Regina Herburtówna całe swe plemię oddaje ojczyź-

nie, Anna Jagiellonka przygarnia ubóstwo ręką pełną jałmużną — pani Chrzanowska, jedyna kobieta wślawniona bojom raczej mężstwem w dziejach naszych, wedle ostatnich dociekań okazała się nie być Polką, lecz obcego pochodzenia. Nie zrywa się też do broni żadna kobieta za dni konfederacji Barskiej, ani za czasów Kościuszkowskiego powstania. Nawet spotęgowane wkroczeniem wojsk napoleońskich nadzieje i zapęły, nie wywodzą na pole bitwy żadnej współzawodniczki Dziewicy Orleańskiej. Dopiero romantyzm, właściwy trzeciemu dziesiątkowi naszego wieku, zapala wyobraźnię kilku Polek, zrywających się do udziału w Listopadowym powstaniu. Stanowiły one dla naszych hufców kłopotliwy nabytek, a niezaprzeczając im mężstwa, ówcześni dowódcy taksamo narzekali na niewieściego żołnierza, jak dziś myśliwi klną w duchu przeciw uczestniczącym w łowach kobietom. A jakby wskazówką, że nie dla nich rycerskie rzemiosło, mimo ofiary życia i mienia, nawet nazwiska ich nie zachowały się w pamięci potomnych. Kto dziś wie o poległej pod Wilnem szesnastoletniej Wilhelminie Kasprowiczówniej? kto o Antoninie Tomaszewskiej lub Walerji Raszanowiczówniej? Jeśli dziś jeszcze wiemy o Emilii Plater i jej zgonie

W głuchej puszczy, przed chatką leśnika

nie sprawiły tego jej wojenne czyny, lecz wiersz Mickiewicza, natchniony bardziej przyjaźnią dla Cezarego Platera, aniżeli uwielbieniem dla jego krewnej i towarzyszki broni. Natomiast nierozłączne nazwiska Klaudyi Potockiej i Emilii Sczanieckiej, które nie do obozu, lecz do szpitali pospieszyły, a nie marząc o męskiej sławie ni czynach, w zakresie niewieściego poświęcenia nikomu wyprzedzić się nie dały, po dziś dzień zachowują się w rzewnej i wdzięcznej pamięci narodu. Folgując zapałom gorącej i płomiennej duszy, obie znalazły się w Warszawie po wybuchu Listopadowego powstania, pierwsza przy boku męża, Bernarda hr. Potockiego, druga łącząc się z braćmi dla utworzenia z ofiar rodzinnych jednego z owych szwadronów wielkopolskich, które zasłynąć miały w wojnie o niepodległość z nedorównanej odwagi i zjednały

Poznańczykom chlubną a utrwaloną odtąd nazwę „Wielkich Polaków“.

Postać Klaudyi z Działyńskich Potockiej, niejednokrotnie już wzbudziła hołdy; cześć i wdzięczność dwóch poetów, Mickiewicza i Garczyńskiego, uwielbienie współczesnych, własne jej listy, rzewne wspomnienia przyjaciół, złożyły się na pełność wizerunku tej szlachetnej pani, której pamięć dziwnie świeżą się zachowała, mimo niedostatku wyczerpującego życiorysu. Ciepło bowiem dusz gorących starczy na długo, aby ogrzewać idące pokolenia i niezapomniane utrwalac przykłady. Wartoby zebrać w jedną całość mnóstwo rozbitych i rozproszonych szczegółów, odnoszących się do Klaudyi Potockiej, odnaleźć ciąg jej niepospolitej korespondencyi, wskrzesić postać, działalność ocenić i trwały ustawić pomnik ku czci anioła-pocieszyciela najpierwszej, najcięższej doby tulactwa polskiego. A tymczasem godzi się rzucić pęk kwiecica na świeższą mogiłę jej współzawodniczki w poświęceniu i służbie serdecznej, która zapóźniwszy się na szlakach miłosierdzia, o całe pół wieku przeżyć miała przyjaciółkę dni młodości.

Od kilku już miesięcy mając sobie powierzone niektóre listy i zapiski Emilii Sczanieckiej, nie umieliśmy się do nich zabrać, nie wiedzieliśmy, od czego rozpocząć zadanie wysnuwania z pożółkłych papierów przewodniej nici, przewijającej się przez całe życie jednym pasmem ofiar serca, i sił, i grosza. Dziwnym, nierozmyslnym zbiegiem okoliczności, przyszło nam żmudną rozpocząć robotę na dniu 11. maja b. r., spostrzegając dopiero w jej toku, iż dzień to był rocznicowy zejścia Emilii Sczanieckiej, zmarłej przed rokiem w Pakosławiu, na wielkopolskiej ziemi, w tymże dniu majowym. I jakże tu nie wierzyć w związek żyjących z zaświatem, w podszepty, płynące z po za grobu, aby kierować myślą czy piórem pozostałych, w orientację ludzkiej czynności niewidzialną nieboszczyków ręką? Nieświadome żalobnej rocznicy pióro, ima się oddanej i zadanej sobie roboty w on dzień wiosenny, który przed rokiem właśnie uszczuplił ojczyste skarby o jedno dzielne i szlachetne serce. Oczywiście na nekrolog już dziś zapóźno, na wyczerpującą biografię może zawczasie, nie kusząc się też o pełność

wizerunku, na odzwierciedlenie całego żywota tej niepospolitej niewiasty, skorzystamy z łaskawie nam dostarczonych papierów rodzinnych, aby przynajmniej wytknąć główne rysy jej charakteru, główne momenta jej życia.

Urodzona w r. 1804 z ojca Łukasza i matki Weroniki z Zakrzewskich, po rychłej obojga rodziców stracie, dostała się wraz z licznem rodzeństwem pod opiekę babki, starościny średzkiej, Anastazyi z Skórzewskich Szczanieckiej. Pani ta, jak większość współczesnych, nie mniemała, aby należało przeciągać wychowanie a pogłębiać wykształcenie pańienek.

Tymczasem w trzynastoletniej Emilii zbudziła się gorąca chęć uczenia się dalej i dłużej. Rezolutne to musiało być dziecko, skoro nie widząc innego sposobu zwalczania oporu babki i opiekunów, wprost się udało do sądu, z petycją, która snadź pożądaną odniosła skutek, uwzględniono bowiem jej życzenia i oddano ją na pensję francuską do Drezna, gdzie mogła uzupełnić szczerze dotąd wykształcenie. Pobyt dłuższy za granicą i całkiem obce otoczenie nie wystudziło zapałów tej gorącej duszy, owszem, zdawało się potęgować tęsknotą ogień, co w niej płonął. Zapalała się czynną sympatyą dla Greków, zrywających się do wolności, a w przewidywaniu, iż zczasem może się jej nadarzyć sposobność służenia bliższym wojownikom, zaprawiała się do znoszenia wszelkich niewygód, hartowała wolę i mdłe ciało, zwalczała przyrodzone wstręty, ucząc się opatrywać rany i zasięgając nieco chirurgicznych wiadomości i wprawy.

Nie długo przyszło jej czekać na zastosowanie nabytej zręczności, na sposobność do poświęcenia osobistego. Za ledwie z Warszawy nadeszła wieść o powstaniu Listopadowem, chciała tamże podążyć, wstrzymana jedynie obawą długiej a samotnej podróży, oraz listami brata, który donosił, że niema co robić w stolicy, dokąd zapewne rannych nie będą odwozić, zakładając raczej połowe lazarety, i że stokroć się lepiej sprawie przysłuży, zostając w Poznańskim i krzając się około zbierania potrzebnych na nieuniknioną wojnę funduszów. Powolna temu życzeniu Emilia, z właściwą energią rozpoczyna składkę, wśród rodziny i znajomych. W sercu jej się pali, w głowie chyba jeszcze nie, bo w listach prześwieca raczej tylko groza sytuacji. „Wkrótce,

widzę, rozpocznie się ta okropna wojna, w której może drogie nam osoby utracimy! Dziś byłam prawdziwie na torturach jak na te biedne dzieci patrzałam, które już może nigdy ojca nie będą oglądać.“ Przytem niema nadziei obficie zebrać fundusze: „Bieda tu okropna, ogólny był nieurodzaj w Polsce.“ Odrazu jednak domyśleć się można, iż to krzątanie się za składkami nie wystarczy jej czynnej duszy. Korzysta też z pierwszej nadarzającej się sposobności, aby do Warszawy się dostać, w towarzystwie pani Tertullianowej Koczorowskiej, której mąż świeżo zaciągnięty do wojska, nogę na wstępie był złamał.

Wymknęła się niemal potajemnie, lękając się trudności, jakie by jej rodzina stawiać mogła. Zaledwie jednak do Warszawy przybyła, napisała korny list do babki, tłumacząc się ze swego postępku. Starościna średzka odpowiedziała bezzwłocznie, iż pytana o zezwolenie, przez miłość dla wnuczki byłaby takowego odmówiła, ale niemniej rozumie jej postanowienie i nawet dumną się zeń czuje. Inne osoby z rodziny boleśnie odczuły nagły wyjazd tej, która od młodości musiała być filarem i oparciem dla najbliższych. Na zapytanie, czy ich zdala jeszcze kocha, niebawem odpisuje z wyrzutem: „Nie rozumiem podkreślenia wyrazu jeszcze — gdyż spodziewam się, że mnie znacie i wiecie ile was kocham, a ztąd tem łatwiej poznać możecie, ile mnie kosztuje być z wami rozłączoną. Zostanę w Warszawie wśród nieznanomych osób, które mnie mało obchodzą. Pewno w tem niema, że was mniej kocham, tylko że uważam za święty obowiązek będąc wolną, ile możności przynosić ulgę nieszczęśliwym, a w przypadku nieszczęścia którego brata, być tu dla niesienia mu ratunku i może wyrwania go z rąk śmierci! Gdybyś tu była i przekonała się ile tu można być użyteczną, namawiałabyś mnie raczej, abym tu pozostała.“

Najszlachetniejsze tedy pobudki żądzy poświęcenia, miłości ojczyzny i troskliwości siostrzanej, zawiodły pannę Emilię do Warszawy. Pierwsze jej listy ztamtąd przykre robią wrażenie gorączką złudzeń, która porywała naród do nierównej z olbrzymem północy walki. Nie można sobie wyobrazić, jakie wieści zewsząd ową gorączkę potęgują i podniecają. To jakiś kapitan przynosi wiadomości, że

armia rosyjska w jak największym nieładzie i w najsmutniejszym stanie, tak dalece, że gdy Dybicz przyjechał objąć dowództwo, uznał stan wojska tak złym, iż do Petersburga bezzwłocznie nawrócił; to znów doczytujemy się pogłoski, że w Petersburgu rewolucya, że całe pułki rosyjskie na naszą przechodzą stronę, że do Moskwy wkroczyli Turcy, a Austria wypowiedziała wojnę Francji itd. itd.!! Przytem każde powodzenie naszego oręża przybiera fantastyczne rozmiary, każda cyfra rośnie pod wpływem tej atmosfery przesady, która niestety towarzyszy stale każdemu powstaniu polskiemu. Oczywiście, w potocznej, rodzinnej korespondencji znalazło się miejsce i na odgłosy stronniczych waśni, wzajemnych o zdradę oskarżeń, wietrzenie kontrrewolucyi. Każdy, co śmie powodzenie naszego oręża podawać w wątpliwość, już potrochu uchodzi za zdrajcę, próbującego ogień gasić i zapalę stłumić. Toteż ówczesne korespondencye w całości wzięte, zwykły po sobie zostawiać więcej niesmaku aniżeli wzruszenia, zwłaszcza w okresach względnej bezczynności. Natomiast z dniem, gdy się rozpocznie doba czynnych ofiar i poświęcenia, zacierają się niesnaski, milkną oskarżenia, a zostaje tylko czystość intencji i wielka wspólna miłość ojczyzny.

Panna Szaniecka przybyła do Warszawy w najsmutniejszej chwili, kiedy Chłopicki złożył był dyktaturę, i narazie nie wiedziano, kto ujmie za ster nawy i sprawy ojczyściej. To też pierwsze jej listy brzmią nie wesoło. Jedyłą pociechą chlubne Wielkopolan zachowanie. „Przybywają tu ze wszystkich stron pomnażać nadzieję. Nasi (Poznańscy) tu bardzo dobrze widziani i powszechnie za przykład dawani dla jedności i zgody.“ Ale o pieniądze i składki zaraz na wstępie naciera, „bo potrzeby są wielkie. Szwadron się wzmacza, coraz więcej przybywa, dziś dwustu.“ Nie tyle jednak do cudzych puka kieszeni, ile by raczej chciała sama siebie ogołocić. Wciąż prosi o zrealizowanie depozytu, o zaciągnięcie choćby pożyczki, byle mieć w rękę środki pomocne. A gdy takowe otrzymała, ostre czyni wyrzuty, iż zdradzono jej ofiarność. „Na K. bardzo się gniewam. Tak go prosiłam, żeby o pieniądzach przesłanych nie powiadał, a on to jednak uczynił. Tak mi nieznośnie, że o mnie piszą

w gazetach, że komplementa takie gadają, iż chciałabym się w ziemię zakopać“.

Zaledwie do Warszawy przybyła, odrazu chciała się poświęcić służbie szpitalnej; nie upłynęły dwa tygodnie, a już była czynną w lazaretach. Zrazu chciała się umieścić u Sióstr Miłosierdzia, sądząc, że do nich rannych zwozić będą; tymczasem inaczej nią rozporządzono, co sama w późniejszych opowiadała latach; rozstrzygnęło tu spotkanie z Klaudyą Potocką.

„Klaudyę znalazłam z Poznańskiego, spotykałam w towarzystwie, lecz żadne ściślejsze węzły nas nie łączyły. Za radą Teresy Lubomirskiej udałam się do niej. Odrazu przyjęła mnie nadzwyczaj serdecznie, zatrzymała na cały wieczór i ofiarowała, że nazajutrz mnie zawiezie do pani z Tańskich Hoffmanowej, należącej do urządzających lazarety. Jak powiedziała, tak się stało. Przeznaczili mnie do małego lazaretu obok kościółka na rogatkach, jak się z Warszawy do nas jechało, i dano mi zajęcie w kuchni. Kucharz, stary pijak, niczego nauczyć mnie nie chciał, gniewał się i lajał, że nawet ciasta wałkować nie umiem. Po kilku dniach, ku wielkiej mej radości, zjawiała się w kuchni jakaś pani Warszawianka. I ona chciała służyć w lazarecie i przeznaczoną była do rannych, a że do pielęgnowania chorych nadawała się tak dobrze jak do kuchni, zamieniłyśmy nasze role, ku zobopólnemu zadowoleniu“.

Od tej chwili, jak sama chętnie opowiadała, „zawarła najserdeczniejszą, dozgonną przyjaźń z panią Klaudyą“. Ale jakkolwiek stanęła u celu swych marzeń i mogła nareszcie pofolgować żądzy poświęcenia, przyznawała, iż początki nie były łatwe, że ciężko jej przychodziło nawyknąć do atmosfery szpitalnej: „Straszny widok ran nieszczęśliwych ofiar, duszne powietrze lazaretu, rozpaczliwe jęki konających, zrazu tak na mnie podziały, że całymi dniami nie byłam zdolną przyjąć żadnego pożywienia. Dopiero wieczorem, gdym z Wolskich rogatek wracała do mego mieszkania w pałacu Łubieńskich, mogłam nieco siły me pokrzepić. Te jednak stopniowo opadały, byłam tak osłabioną i zmienioną, iż zwróciłam na siebie uwagę pewnej miłosiernej rzeźniczki, która także chorych pielęgnowała. „Pani tak strasznie mi-

zerna — zaczęła mnie pewnego wieczora, gdyśmy razem pełniły służbę — uważałam, że pani nie nie je, dlaczego? — „Tutaj, niemogę — odparłam smutnie — nadto mi przeciwna kuchnia lazaretowa.“ — Dobra kobieta użaliwszy się nademną, przyniosła z domu zapas żywności, i odtąd codziennie to samo czyniła, pilnując, abym wszystko spożyła sumiennie. Ta tedy opieka zacnej rzeźniczki ocaliła mi wtedy życie. Stopniowo siły wracały, byłam jednak jeszcze bardzo wrażliwą i niezabartowaną na widok śmierci lub konania. W moich oczach kończył właśnie niedoletni chłopiec, który za ledwie w pierwszej życia wiosnie, już życiem przypłacił bohaterski zapal w nierównej z nieprzyjacielem walce. Był to jednak — ostatnia pociecha i nadzieja owdowiałej matki, toteż żal mi było serdecznie i tego młodego życia i tej samotnej wdowy. On począł gorącemi słowy zaklinać mnie, abym oddalonej matce doniosła o jego śmierci, a hardy wobec kuł nieprzyjacielskich, teraz rzewnie płakał, wspominając, że drogiej twarzy matki już nigdy nie zobaczy! — Więc i ja słuchając rozdzierających słów pożegnalnych młodzieniaszka, zalewałam się łzami... Wtem posługacz lazaretowy, widząc moje rozrzewnienie, zapytał: „Czy to brat pani umiera?“ — „Nie“ — odpowiedziałam. — „No, to pewno który z przyjaciół?“ — „I to nie, ja go nie znam wcale.“ — „Moja pani — rzekł na to szorstko — jeśliś taka płaksa, idź do domu, tu nie miejsce dla ciebie.“ — Proste słowa posługacza wywarły na mnie silne wrażenie i odtąd też lepiej starałam się panować nad sobą, a w tych strasznych chwilach mnożyły się tragiczne wypadki i trzeba było mieć dużo zasobów energii, aby nie upaść na duchu.“

Urywki te wspomnień czerpiemy z ustnych opowiadań panny Sczanieckiej, która w późnej sędziwości wracała chętnie pamięcią do tych dni niezapomnianych. Owszem, o ile mileżała o przygotowaniach do wybuchu i smutnych wypadkach, o tyle słodko jej było wspominać czynną swą służbę po szpitalach. Niedługo bowiem gościła przy lazarecie, urządzonej na Wolskich rogatkach. Niebawem ją przeniesiono do wielkich koszar Grenadyerskich, później Alexandryjskimi zwanych, gdzie urządzono naprędce ambulatoryum z 200 łózkami, i dokąd po bitwie pod Grochowem

zwieziono pięć tysięcy rannych! Aż wkońcu raz jeszcze przeniesiono ją i przydzielono do trzeciego lazaretu, t. z. Po-
nańczyków, który został urządzony za jej staraniem i z jej
ofiar, i pod jej wyłączną także znalazł się opieką. Całe tedy
ośm miesięcy, od stycznia do września nie odstępowała ran-
nych i chorych, bynajmniej wybuchłą w szpitalach zaraza
nie odstraszona.

A obok tej służby czynnej, pełniła jeszcze inną, nie-
mniej serdeczną, pośrednicząc w przesyłkach, donosząc o zdro-
wych i chorych, krzepiąc pozostałych w domu i uspakaja-
jąc zaleźnione o los mężów i synów żony i matki. Znużona
całodzienną przy chorych posługą, późno w noc pisywała
długie, kojące listy, nikogo nie przepominając, nie nie pomi-
jając coby mogło dodać otuchy i odwagi rozżęsknionym
i smutnym. Piękne to posłannictwo, w granicach niewieś-
ciego powołania ściśle zamknięte, bez żadnych politycznych
lub nie kobiecych zakusów, bez rwania się do męskiej roli,
zaiste zasługuje na uznanie i zachowanie we wdzięcznej pa-
mięci, jako wzór zakresu, pozostawionego niewieściej enocie,
kiedy męska krew się leje.

Przytoczmy listy, pisane pod bezpośredniem wrażeniem
toczącej się niemal u bram Warszawy przesławnej pod
Grochowem bitwy. Samże nieład wiadomości świadczy
o gorączce ogólnej i wrażeniu piszącej. Donosi ona z War-
szawy, pod datą 9 lutego: „Okropna walka już się zaczęła
od kilku dni, nasi ciągle odnoszą korzyści. Jeńców mamy
już dużo, armat także.“ Pamiętać należy, iż było to po
szczęśliwych dniach Stoczka, Białoleki, Dobrego. „Nie jestem
w stanie opisać ci zwycięztwa, gdyż żadnego ładu niema
w mojej głowie. Walka okropna toczy się pod Grochowem,
nasi (Poznańcy) się biją, wczoraj wszyscy i dziś rano
żyli, ale co będzie jutro?! Drugi szwadron dostał w tej
chwili rozkaz, aby co tylko gotowe natychmiast wyjeżdżało.
Tertullian (Koczorowski) rusza, chociaż jeszcze dużo kuleje.
Batalią ztąd widać i huk dział, cała gwardya narodowa
jest pod bronią i na walach. Stanąwszy nad Wisłą, jak
najlepiej można widzieć jak się biją. Jak na nasze nie-
szczęście, koło Grochowa jest las, i Moskale tam znowu
rejterują, więc bitwa się przedłuża i końca niema, a moc

wielką mają armat, szczęściem że ich źle używają. Nadzwyczajny między naszymi zapał, dziś jeden z rannych, zaraz po opatrzeniu, wracał do walki; dzień jutrzejszy ma zdecydować, wszelkie robią przygotowania do obrony miasta.“ List wyraźnie jest przerywany i pisany w różnych godzinach, bodaj w ciągu dni kilku. „Z Poznańczyków rannym został Józio Mycielski, ¹⁾ dostał lancą w twarz pod samem okiem, ale on był adjutantem, tylko mu jego jenerał pozwolił szarżować ze szwadronem. Z rannych jeszcze Ziemięcki w rękę, Skarzyński, jenerał Czyżewski itd. Nie wystawisz sobie tego okropnego widoku, co to za ilość rannych! Moskale biją się dość odważnie, tylko artylerya nie tego. Z Dybiczem walczy ks. Michał i Roźniecki, ten ostatni robi plany bitwy. Piotr Brodnicki był tu za furazami, trzy dni już był w ogniu i szczęśliwie uszedł, ale teraz znowu się bije. Boże! jak się to wszystko skończy! Rzewuski zginął i Zbyszewski. Zabraliśmy nieprzyjacielowi dwadzieścia armat, pięć sztandarów, dużo jeńców. Dwernicki cudów dokazywał. Pol Ziemięcki sam sztandar zdobył; Skrzynecki dwoma pułkami uderzył na dwanaście, a jednak placu bitwy został panem. Moim zamiarem było być w Mieniu, cztery mile za Warszawą, ale dziś już tam są Moskale. Jutro wstępuję do zgromadzenia co się tu utworzyło do opatrywania rannych. Zdrowie mi dosyć służy, to mnie tylko trapi, że tych pieniędzy, które są w depozycie, nie można wydostać, a piękniejszej okazji do ich rozdania nie będzie. Dziś, jutro, losy naszej drogiej ojezyny mają być rozstrzygnione!! Nadzieje są wielkie, ale straty nas pewno nie miną. Ileż to już dziś matek osieroconych! Boże, daj nam moc wszystko zwyciężyć! Nic okropniejszego sobie nie wystawiałam. Dziś byłam na Pradze u rannych. Widzieć to mnóstwo cierpienia, dalej ten huk dział, te ognie! serce tak jest przepelnione a oczy już lez wylewać nie mogą. Jutro zacznę czynne życie prowadzić, może Bóg doda mi więcej wewnętrznej spokojności! Sama niewiem co piszę; to jest dla nas pocieszające, że nasz szwadron już jest wcielony do pułku Skarzyńskiego, a ten jest podobno biegły i zimny człowiek.“

¹⁾ Hr. Józef Mycielski z Kobylopolu.

„Wisła dziś puściła, szczęściem most stoi i mają nadzieję go przytrzymać, bo woda nie przybiera, a co by to było za nieszczęście, gdyż amunicji nie moglibyśmy dostarczyć, ani rannych do Warszawy ściągnąć“.

„Chłopi ciagle w największym ogniu, wszystkim komenderuje, dziś trzech jego adjutantów zostało rannych... Czwartą pułk dotrzymał słowa, jak przyszło do batalii, tak proch z panewek pozrzucał — i na bagnety! Cuda dokazywali. Dużo z nich legło i wiele rannych. Austriacki poseł nie tylko, że nie wyjechał, ale zadeklarował, że chociaż Warszawa będzie w oblężeniu, to tego nie uczyni i zostanie przy Rządzie najwyższym. Dziś pani Potocka jednego rannego na wóz kładąc, biegła dla niego po poduszkę, wtem poseł austriacki podbiegł, ofiarując dla tego biedaka pieniądze. Bardzo tu głośno, że jak nam się w tej batalii poszczęści, Austria się zdeklaruje.“

„Dwunasta godzina, spać nie podobna, kiedy nasi się biją. Niech was Bóg tam wszystkich błogosławi, pomyślcie czasem o tej, co was nad własne życie kocha.“

Raz po raz wśród listów p. Szczanieckiej, znajdzie się jaki inny którego z jej braci lub krewnych. Jeden z tych ostatnich pisze pod datą 23 lutego: „Od Siedlec do Grochowa wciąż byliśmy z awangardą, przez dni ośm w ustawicznym ogniu, z Chłapowskim, Gustawem Potworowskim i Arnoldem Skórzewskim. Tu zaś po stoczeniu w dwóch dniach walnej bitwy, gdzie do 20.000 Moskali zabitych i rannych, utrzymujemy nasze stanowisko z nieznaczną stratą naszych; Moskale przestali atakować, ciekawość co z tej ciszy dalej będzie. Sprawa nasza dotąd dobrze stoi. Po niewygodach i trudach boju, dotąd na wszystkich członkach wszyscy Bogu dzięki zdrowi jesteśmy.“ Mniej optymistycznie brzmi list pod datą 25 lutego: „Stało się to, co być inaczej nie mogło, oto że bitwa dziś stanowczo została przegrana. Moskali jest trzech na jednego, mają dział bez liku grubego kalibru, wieczorem nasi w porządku się cofnęli. Ufam, że spokojnie tę wiadomość odbierzesz, bo innego obrotu rzeczy spodziewać się nie było podobna, a pozostanie zawsze korzyść silnej i dzielnej protestacji przeciw złączeniu Polski z Rosją.“

Ale wracajmy do opowiadań panny Emilii. „Dzień bitwy pod Grochowem był zaiste dniem strasznej pamięci. Zdawało się słychać było huk armat, świst kul, zwołna zwożono rannych, a w każdej przywóźce szukałam braci i znajomych. Liczba umierających wśród nich zwiększała się z każdą chwilą... Łóżek było tylko dwieście a z pola walki przywieziono pięć tysięcy rannych i rzucono razem konających i trupów z żyjącymi jeszcze! Choć Warszawa zdobywała się na heroiczne czyny poświęcenia, i mieszczaństwo niezrównanie wiele czyniło, znosząc żywność, pościel itp., sercem przepelnionem miłością, jednak z umieszczeniem rannych wiele było kłopotu. Jęk, płacz, praca do niewykonania, doktorzy mdleli ze zmęczenia, ranni rozłożeni na ziemi błagali o pomoc. Piętnastu złożono w jednym małym pokoiku, nikt do nich nie zajrzał. Nazajutrz gdy doktorzy do nich weszli, jęczeli okrutnie, więcej jeszcze z głodu niż bólu. W lazarecie nie było nic do jedzenia. Wybiegłam jak błędna na ulicę, błagając Boga o litość i ratunek. Miałam niewiele pieniędzy przy sobie, gdyż się były moje fundusze wyczerpały, a nowe zapasy z Księstwa nie przychodziły. W Warszawie mało miałam znajomych, gdzież więc znaleźć na razie tyle potrzebnej żywności. Wtem spotkałam strojną damę, idącą naprzeciw mnie, a za nią dwoje ludzi z pełnymi naczyniami. Zatrzymała mnie pytając: „Czy pani nie jesteś przypadkiem z lazaretu, bo oto niosę rosół i mięso dla chorych“. — Nie zdolna wymówić i słowa z nadmiaru radości, rzuciłam się na szyję zesłanej mi przez Boga wybawicielce. Ta przerażona, w pierwszej chwili mniemała, że oszalała. Dopiero ją uspokoiliam, tłumacząc powody mej uciechy. Sama chciała mi towarzyszyć i rozdzielać przyniesioną żywność. Trudno opowiedzieć szczęście tych opuszczonych żołnierzy. Wygnędziali z cierpienia, człgali się do nóg naszych, błogosławiąc Boga za ratunek. Na ten przejmujący widok zaczęła mnie ścisnąć, i dziękować mi za ten najszczęśliwszy dzień w jej życiu. Odtąd codziennie przysyłała kosz żywności dla „czarnej Pani“, tak mnie bowiem nazywano w lazarecie z powodu, iż nosiłam zawsze żałobę.“

Owa stała żałoba przypomina popularną niegdyś, dziś

zapomnianą, a rzewną piosenkę Gaszyńskiego, której każda zwrotka kończy się wierszem:

Jeden mi tylko przystoi strój
Czarna sukienka.

Z pośród mnogich a silnych wrażeń, wyniesionych wówczas z lazaretów przez pannę Szaniecką, jedno żywiej nad inne pozostało w jej pamięci. Oto, jak je sama opowiadała:

„Smutne, rozdzierające chwile spędzałam w tych koszarach. Pewien ciężko ranny żołnierz, którego życie z każdym dniem uchodziło, mimo niebezpieczeństwa i nalegań naszych, odkładał spowiedź świętą. Nagle zesłabł jeszcze silniej i żądał widzenia się ze mną. Tknięta przecuciem posłałam coprędzej po księdza, a sama stanęłam przy łożu kochającego... Ostatnia jego godzina się zbliżała; w śmiertelnej trwodze, że nie doczeka przybycia kapłana, chory począł mnie prosić, abym wysłuchała jego grzechów. Zrazu broniał mu tego, ale widząc wzrastający niepokój i wzrok już gasnący, zgodziłam się na to dziwne żądanie. Wówczas on z całą przytomnością umysłu, począł głośno wymieniać swe grzechy, a gdy skończył, błagał mnie o krzyżyk i odpuszczenie. Aby go uspokoić, szepnęłam, zakreślając krzyżyk na jego stygnącym czole: „Niechaj ci Bóg przebaczy!“ On z wdzięcznością spojrział na mnie, głowę przechylił — i skończył. W tej chwili ksiądz nadszedł. Wzruszona zapytałam, czy mam przed niem powtórzyć wyznania zmarłego, ale ksiądz zapewnił mnie, że głęboki żal i spowiedź publiczna oczyściły tę duszę przed Bogiem Miłosierdzia“.

I znów listy p. Szanieckiej niosą nam dalsze odgłosy z pola walki — i poświęcenia. Pod koniec marca donosi, że wszyscy znajomi i krewni zdrowi: „Wojska, co się były do Warszawy cofnęły, znowu wyszły! Szwadrony poznańskie też w tych dniach mają wychodzić. Wiadomości niewiele ci donieść mogę, tylko to, że Moskałe się cofnęli, pewnie z powodu, że będą chcieli gdzieindziej przejść Wisłę, gdyż uznali, że ze strony Pragi dostać się do Warszawy prawie niepodobna. Ze wszech stron miasto barykadują i oszańcowiają. Trzeci pułk piechoty był wysłany na rekonesans gdzie

i jak daleko Moskale się cofnęli. W tej wyprawie miał nieszczęście pułkownik Błęadowski nogę po kolano utracił. Ogólnie żalowany, gdyż bardzo zdatny oficer. Wszelkie są nadzieje, że będzie żył. Trudno opisać skutków tej batalii 25-go — serce się kraje — są tacy co obydwie ręce utracili. Ja od zaczęcia wojny całe dnie przebywam w lazarecie, ile mogę, staję się użyteczną, lecz jak się trzeba umartwiać, to nie do opisywania. Tam jednak tylko mogę być spokojną, gdyż o niczem innem nie mam czasu myśleć. Marcinkowskiego odkomenderowano na lekarza do Skrzyneckiego. Ciągłe ma być przy sztabie, niebardzo z tego kontent i długo starał się uwolnić od tego obowiązku.“

Imię to raz po raz wymieniane w korespondencyi panny Szanieckiej, wskrzesza przed nami jedną z najpiękniejszych postaci porozbiorowych dziejów naszych. Jeśli Poznańskie stoi dotąd murem przy ojców mowie i obyczaju, jeśli ani bezmierny ucisk, ani kolonizacya niemiecka, ani ślepa nienawiść żelaznego księcia, nie zdołały z dzielnicy Piastów polskiej wyrwać duszy, w znacznej części jestto zasługą Marcinkowskiego. Olbrzymi głaz polny, znaczący na poznańskim cmentarzu św. Marcina mogiłę tego znakomitego męża, nie przywalił serca jego, którego bicie zda się dotąd ożywiać noszącą jego nazwisko instytucyę, owo „Towarzystwo Pomocy Naukowej“, które przysporzyło setek obrońców duchowi polskiemu i wielko-polskiej ziemi. Z ubogiej, małomieszczkańskiej urodzony rodziny, zwalczywszy trudności i niedostatki studenckiego życia aż do świetnie złożonych w Berlinie egzaminów doktorskich, Marcinkowski rychło zasłynął i jako lekarz znakomity i jako człowiek nadzwyczajnego poświęcenia. A tu stwierdzić przychodzi raz więcej słuszność twierdzenia Ojca Lacordaire, który rad powtarzał: *Ce n'est ni le génie, ni la gloire, ni l'amour qui mesurent l'élevation d'une âme — c'est la bonté* („miary podniosłości duszy nie dostarcza ani geniusz, ani sława, ani nawet miłość, lecz raczej dobroć tylko“). I rzeczywiście, dobroć prawdziwa, dłuższe, promienniejsze po sobie zostawia ślady i wspomnienia, aniżeli inne świetniejsze przymioty, które jakoby zaćmiewa płomieniem własnych ogni. Otóż Marcinkowski żywym był uosobieniem takiej dobroci, czyczącej

tylko na sposobność oddania się i wylania na zewnątrz. Nie tu miejsce opowiadać jego czyny i życie. Wszelako godzi się nawiasowo dać charakterystykę człowieka, i to własnymi jego słowy. Testament w najprostszej, żołnierskiej spisany formie, na krótko przed śmiercią w 1846 r., zamykał w następujący sposób: „Dwa pytania będą niepokoić ludzi po mojej śmierci. Co on robił z dochodami, jakie np. w ostatnich latach magistratowi poznańskiemu wykazywał? Wystawcie sobie rozrztutnego człowieka, który skoro rzecz jaką zobaczy, co passyi jego dogodzi, nie pyta, czy rozsądnie by kupić, ale dogadzając swej chuci wyrzuca pieniądze. Otóż takąsamą chuc wlał Pan Bóg w mą duszę. Kiedym widział, że wydatkiem pieniędzy na pożyteczne, jak mnie się zdawało, cele, mogłem dogodzić tej żarliwości mej duszy, z jakąż przyjemnością wydawałem, ciesząc się zawsze, że to moja prawdziwa własność, mój, że tak, powiem, utwór, którym dysponuję. Nie pojmowałem nigdy tych ludzi, którzy skwapliwie skarby zbierają, nie zostawiając dzieci dobrze wychowanych, bo się ich wychowaniem nie trudnią, tylko zbieraniem majątku, lub umierając bezdzietnie nie wiedzą jaki z ich zbiorów nastąpi użytek. Zwykle to marnie bywa roztrwonione. Mnie było miło dogodzić sobie natychmiast i patrzeć za życia na skutki mych usiłowań. I dobrze mi tak było.“

„Drugie pytanie: dlaczego ten człowiek jak zapamiętały pracował do upadłego, uparty, nie zważający na żadne udzielane mu rady? To tylko ten odgadnie i zrozumie, kto kiedykolwiek w swej duszy żywo uczuł co to jest pełnić powinność. Tego żądla, tej niespokojności, którą Pan Bóg wlał w duszę moja, — boć ja sobie nic nie dałem, wszystko co we mnie było, są Jego dary — inaczej poskromić nie mogłem, jak ciągle zajmując się pracą. Mnie jeść i spać, choćbym był najbardziej zmęczony, nie prędzej smakowało, ażem całodzienną pracę ukończył. Prawda, że nieraz Bóg wiele po mnie wymagał; nigdy się na to nie oburzał, zawsze równie ochoczy byłem, gdy chodziło o to, aby drugiemu dopomódz... Całe me życie, najwyższe me szczęście zakładałem na zupełnej niezawisłości od świata, wszystkiego sobie odmówić byłem w stanie, i dziś, gdy się z tym światem

rozstając, odchodzę bez żalu do wczoraj, bez życzenia na jutro.“

Odgadnąć można, iż dusze tętnące w tym stopniu gorącą miłością ojczyzny i poświęcenia, musiały się nawzajem przyciągać. Częste wzmianki o Marcinkowskim w korespondencyi panny Sezanieckiej, nie zdradzają żadnego tkliwszego uczucia, ani zajęcia się młodym lekarzem, z którym często spotykać się musiała na jednakich szlakach ofiarnej służby. A jednak przechowała się żywa tradycja, bodaj legendow^e wspomnienie, o wielkiej, jedynej miłości Dr. Marcinkowskiego dla p. Emilii Sezanieckiej. Jeśli się żaden jej ślad nie ostał w dwustronnej korespondencyi i papierach, inny, acz nieudany pomnik świadczy wiadomemu współczesnym uczuciu. Maurycy Mann, który próbował talentu i pióra na różnych szlakach twórczości literackiej, zanim odnalazł właściwą drogę w kierunku dziennikarstwa politycznego, ujął był niegdyś w formie dramatycznej wzajemną skłonność tych dwojga dusz szlachetnych. Pod tytułem *Sztuka i miłość*, opisał męki lekarza, próbującego ratować życie ukochanej, zapomocą obosiecznych środków, które mogą wydrzeć ją śmierci lub takową w razie niepowodzenia przyspieszyć. Kasylda, bohaterka dramatu, już leży jakoby umarła, gdy miłość odgaduje letarg, a sztuka wraca życie. Istotnie panna Sezaniecka ciężki przechodziła tyfus, jeśli się nie mylimy, wkrótce po upadku ojczystej sprawy, i Marcinkowskiemu udało się wówczas cofnąć ją z doliny cieniów śmierci, dokąd zdawała się już schodzić, zapomocą rzadko używanej w medycynie trepanacyi. Utwór młodego-i nie-wprawnego pisarza ściągnął na siebie gromy równie młodego, ale już zdradzającego Jowiszowe pióra zacięcie, Juliana Klaczki. *Sztuka i miłość* należy dziś do osobliwości antykwarskich i bibliograficznych, a jednak warto było wspomnieć ten ślad jedynej szlachetnej sympatyi dwóch serc, godnych się nawzajem zrozumieć.

Dlaczego ta miłość przeszła jak cień między nimi, nie wiążąc najświętszym węzłem dłoni, wprzężonych w jednokie jarzmo pracy i poświęcenia? Nie przypuszczamy, aby tu opór rodziny mógł być rozstrzygnąć o losach niezależnej i dwudziestokilkoletniej panny. Zresztą Marcinkowski w Scza-

nieckich do śmierci miał najbliższych przyjaciół. Zkądną, panna Emilia nie znała żadnych arystokratycznych przesądów ani wyłączości, owszem, przez całe życie skłaniała się raczej ku skrajnie demokratycznym pojęciom, i różnice kastowe z pewnością nie byłyby oryentowały jej postanowieniem. W czem innem chyba szukać nam wytłómaczenia jednej z tych życiowych tajemnic, których zaledwie rąbek nasze domysły uchylić są w stanie. Ona, pełna wyegzaltowanego uczucia, nie chciała szukać, nie umiała „szczęścia w domu znaleźć, gdy go nie było w ojczyźnie“. On, jak w testamencie pisze, „szczęście na niezawisłości zasadzał, miewał pozory niekiedy odpychające drugich dla zupełniejszego owej niezawisłości stwierdzenia“. Duma przyrodzona u ludzi tej miary, z pewnością musiała mu usta zamykać wobec posażnej panny, ze znaczniejszego w Wielkopolsce rodu. Zaczem i dla nich spełnić się musiał ten cichy dramat, objęty czterowierszem francuskiego poety:

Donc nous aurons passé, l'un à l'autre inconnu,
 Raillant l'amour d'autrui pour mieux cacher le nôtre,
 L'un et l'autre muet, attendant l'un et l'autre,
 L'avenu timide et doux, qui n'est jamais venu.

I oto, nie zacieśniając duszy w jednym osobistem uczuciu, oboje rozszerzyli serce dla wszystkich nędz i bólów i smutków ojczyzny i bliźniego, bodaj w tem z czasem większe i niespodziewane znajdując szczęście, aniżeli w zwykłym, ciaśniejszem i bardziej osobistem onego pojęciu.

Ale czas nam znowu wracać do korespondencyi z r. 1831. Przedewszystkiem mnożą się wieści o Poznańczykach, dla udzielenia ich krewnym i znajomym: „Powiedz tym paniom, że *nasi* wszyscy zdrowi. Tadeusz Radoński zupełnie już dobrze. Bardzo pięknie się popisał, w pierwszej batalii tak się odznaczył, że na placu boju został podoficerem, a w drugiej otrzymał ranę w głowę. Obawialiśmy się, żeby oka nie utracił, ale Bogu dzięki, tylko mu mała blizna zostanie na pamiątkę. W tych dniach był u niego kapitan Piętka i sam mu krzyż przypiął. Radoński krzyż przyjął, ale pensyę przekazał żołnierzowi, który się też wsła-

wił tego dnia, a nie był wynagrodzony. Seweryn Mielżyński¹⁾ także krzyż dostał. Szwadron pierwszy dostał dwa krzyże za to, że z największą zimną krwią stali w assekuracji armat. Oni pomiędzy sobą wybrali Marcinkowskiego i Logę²⁾. Pierwszy niechciał przyjąć, ale mu Skrzynecki na placu rewii rozkazał. Powtarza, że musi się starać więcej na niego zasłużyć, nim go nosić zacznie. Żółtowscy³⁾ także bardzo się odznaczyli, podobno są do krzyża podani“.

I znów list późniejszy, z 9 kwietnia. „Nasi wszyscy dotychczas zdrowi i przy życiu. Od soboty nie było jeszcze stanowczej bitwy, tylko małe utarczki. Ciągłe niewolników przypędzają. Litwinów i Wołyniaków biorą do wojska, oni sami wstępują z ochotą, Moskali do Częstochowy, Kalisza itd. wysyłają, i dają panom na parobków po pięćdziesięciu. Wystawić sobie nie możesz, jak ci ludzie są kontenci, że się do niewoli dostali, nawet oficerowie wyższej rangi. Sami przyznają, że korpusy Geismera, Pahlena, Rosena, prawie zupełnie zniesione i że wielki postrach między nimi. Umiński dotąd nie był bardzo czynny, intrygował, żeby *nasi* do niego należeli i brał się na wszystkie sposoby, ale Skarżyński starał się nawzajem, więc pod jego komendą zostali, za co Bogu dzięki, gdyż to jest człowiek bardzo odważny, a przytem sprawiedliwy i rozsądny, a Umińskiego znacie“.

Każdy list jednako się zaczyna: „Wszyscy nasi żyją jeszcze, zdrowi“. Dnia 11 kwietnia donosi, że „bracia już są za Latowicami. Moskale są zdemoralizowani, niegodziwie się biją. W tej chwili nadeszła wiadomość, że nasi odnieśli zwycięstwo (zapewne pod Iganiami). Armat, niewolników dużo wzięli, ale jeszcze szczegóły niewiadome. W czwartek napiszę. Powiedz Gustawowej Potworowskiej, niech będzie spokojną. W przypadku, gdyby jej mąż był rannym, tak jak o moim bracie pamiętać będę. Wczoraj tu był wysłany, zdrów, listy jej mu wręczyłam“. Tosamo znajdujemy w liście do bratowej, z 21 kwietnia. „Powiedz twojej matce, że

¹⁾ Główny twórca i założyciel poznańskiego Muzeum imienia Mielżyńskich przy Towarzystwie Przyjaciół Nauk.

²⁾ X. Loga, dzielny kapelan szwadronów wielkopolskich.

³⁾ Marcelli i Stanisław.

w każdym wypadku jej synowie znajdą we mnie siostrę“. List weselszy, bo Dwernickiemu się szczęści, bo Umińskiemu pod Węgrowem się powiodło. Ale niebawem nowa występuje troska, nowe obawy i okazyje do większego poświęcenia. Cholera, nieznana wprzód a straszna zaraza, pojawiła się naprzód wśród nieprzyjaciół, następnie i do polskich pułków się przenosząc. Panna Sczaniecka opisuje panikę wywołaną obcą epidemią, na którą zrazu lekarze żadnego nie znajdowali środka. Dwie rzeczy uderzają w jej listach, naprzód dziwny spokój, dążący wciąż do uspokojenia krewnych i przyjaciół, a następnie i rychłe spostrzeżenie, iż wodą głównym bywa środkiem rozniesienia zarazy. „Pokazała się ona w piechocie po gonieniu za nieprzyjacielem i piciu wody, gdzie Moskale swe trupy topili“. W maju donosi, iż cholera głównie wśród żydów grasuje, że w obozie się zmniejszyła. Powtarza usilnie i z przekonaniem, że choroba to epidemiczna, lecz bynajmniej nie zaraźliwa. „W lazarecie cholerycznych żaden doktor, żaden posługacz się nie zaraził. Ja zupełnie zdrowa, cholery się nie lękam, nie wierzę w zarazę, bo się tego przekonałam na sobie“. A jak się na nią narażała, dowodzi następujący fakt, w jej opowiadaniu zamieszczony: „Między Poznańczykami znalazł się jeden młody, który dostał cholery: wyniesiono go na Powązki, gdzie stały baraki dla chorych zakaźnych przeznaczone. Z rozpaczą żegnał się z nami i prosił, abym go nie zapomniała odwiedzić przed śmiercią. Nazajutrz pojechałam go zobaczyć, bo nie obawiałam się epidemii, przekonawszy się naocznie, iż nie była tak zaraźliwą ani groźną. Było to jednak nieostrożnością z mej strony, wśród trupów lub konających się przećiskać, ale mi na tem zależało, aby odnaleźć biedaka. Leżał już w agonii i zaklinał, abym nie pozwoliła go wrzucić do wspólnej fosy. Skoro umarł, postarałam się o to, aby był osobno pochowany. Śmierć tego znajomego, uczyniła na mnie silne wrażenie. Wkońcu i ja uległam epidemii. Z początku dziwny ogarnął mnie smutek, tęsknota za rodziną, lęk jakiś nieopisany, jakby w przededniu wielkiego nieszczęścia. Pielęgnowałam chorych, opatrywałam ich, ale widok ran stawał mi się coraz wstrętniejszym. Kilka razy musiałam poprzestać, aby nie zemdleć. Klaudya kłopotala się bardzo moim stanem,

znajdując mnie bardzo zmienioną. Aż oto raz przybiegł do nas stolarz z głośnym płaczem, że żona jego wije się w kurczach cholerycznych i że nie wie, jak ją ratować. Pojechaliśmy zaraz, ale zaraz na wstępie dostałam zawrotu głowy i wyszeptałam do towarzyszki: „Podobno i ja mam cholere!“ Po szybkim udzieleniu pomocy biednej stolarce, Klaudia Potocka odwiozła pannę Sezaniecką do własnego mieszkania, gdzie razem z drem. Dworzakiem tak troskliwą otoczyła ją pieczą, iż w krótkim czasie mogła wrócić do zwykłych zajęć, aby znów się przemęczyć i nanowo rozchorować. „Zgardyjskich koszar szłam codziennie nocować do pałacu Łubieńskich. Było to tak daleko, iż nieraz przychodząc do siebie, padałam jak trup ze zmęczenia“. A tu rosła wciąż korespondencya, serdeczne pośrednictwa, wołania o wiadomości, przesyłki dla krewnych lub rannych. Gorące serce panny Emilii na wszystko starczyło, łamało się tylko pod naciskiem mniej pomyślnych z pola walki odgłosów. Gdy raz nadeszły mętne wieści, że szwadrony wielkopolskie dostały się w niewolę, przyznaje, że chodziła jak błędna, że ze zmartwienia była przez kilka dni chorą. Wyraźnie, siły się wyczerpywały w nadmiernej służbie. Uspiona zrazu tęsknota się budzi i coraz rzewniejszą zawodzi skargę. „Bywajcie zdrowi — pisze do swoich — kiedyż będę mogła do serca was przycisnąć“. Na innym miejscu donosi, że w pałacu Łubieńskich hr. Racyński założyli lazaret dla chorych Poznańczyków. „Chcieli mnie zrobić opiekunką, ale tego nie przyjąłem, tylko będę pani Łubieńskiej dopomagać. Ileż tu umiera przez niedozór lub z głupstwa lekarzy. Braciom, ani znajomym, na niczem zbywać nie będzie, póki mi Bóg zdrowia użyzczać nie przestanie. Wierzaj, droga siostrze, że nad was nie mam nic droższego. Jeżeli u Boga jaką mieć będę zasługę, to za to pewno, że zrobiła ofiarę, być od was oddaloną“.

Uspokaja rodzinę, iż nowa jej przybyła pomoc i opieka w osobie „pani Badeniowej, która o mnie ma staranie, jak najlepsza siostra“. Zapewne mowa tu jest o pani Teresie z hr. Potockich Sebastyanowej Badeniowej, 2-do voto jenerałowej Lachman, matce hr. Rogierowej Racyńskiej.

Tymczasem ciągle nadchodzą pomyślne wieści, zwłaszcza od jenerałów Dwernickiego i Chłapowskiego. O tych

dwóch wciąż donosi, „że im się szczęści“, może dlatego, że obydwa wierzyli w możliwość powodzenia, że generał Chłapowski do końca życia powtarzał, iż niewczesne porwanie się do oręża w noc listopadową ostatecznie miało w niejednym momencie wojny wszelkie szanse pomyślnego jej ukończenia, gdyby nie własne nasze winy i zawody w ludziach, gdyby więcej karności w wojsku, więcej ładu w rządzie, więcej zgody i jedności w narodzie. „Truchleję, co z tych sporów wyniknie“, pisze panna Szaniecka, donosząc swoim o ciągłych dyskusjach w sejmie i klubach, o ciągłych w rządzie zmianach. Raz po raz wieść żałobna przegradza weselsze wieści: „Roman Sierakowski zginął w tych dniach na wielkim rekonensansie“. „Pod Rajgrodem poległ Franciszek Mielęcki“, szwagier generała Chłapowskiego. Zginęli i Prot Mielęcki i Teofil Radoński, ranny lekko brat, Konstanty Szaniecki w twarz, Seweryn Mielżyński w nogę. Gustaw Potworowski był ciężko ranny od kartacza, ale ma się już lepiej. X. Loga także ranny, ale nie ciężko. Marcinkowski, którego już uśmiercili, zdrów także, jest szefem sztabu Chłapowskiego“. Zresztą wiadomości coraz krótsze, coraz mniej pewne, często sprzeczne, w miarę jak do Warszawy dochodzą coraz mętniejsze odgłosy dalszej walki. Na dniu 30 maja pisze: „Pewno waś już doszła wieść o stracie, którą ponieśliśmy pod Ostrołęką. Moskale dostali tam okropne ciężki, ale i my dużo ludzi utracili, najwięcej oficerów. Walka była krwawa, bili się nasi jak lwy, ale i Moskale dobre dawali odparcie“. I żałobne snują się doniesienia o poległych lub rannych. A zaczynają się wraz kwasy, niepowodzenia, gorczyce, klęski; piołun waśni serca i słowa zatruwa. Wietrze nie wszędzie zdrady, spisków i kontrewolucyi, gorszą od cholery zaraza, a udziela się ona i kobietom. Z końcem czerwca, panna Szaniecka pisze do bratowej: „Wczoraj wstawszy bardzo rano, pojechałam do lazaretu, żeby być obecną przy amputacyi ręki, jakiś biedak nie chciał inaczej na operacyę pozwolić. Możesz sobie wystawić, ile mnie to kosztowało, chociaż już teraz serce mam daleko *twardsze*. Wracam o 11-ej, chcąc być na mszy św., a tu żadną miarą nie mogę się przez Miodową ulicę przedostać. Widzę prowadzą generała Hartiga, i nie ma obelgi, którejby mu nie

wyrządzano. Mundur jego był w kawałki porozdzierany, bili go kolbami, kamieniami obrzucano, chciano powiesić. Pytam się, co zrobił, i dowiaduję się, że najczarniejsza zbrodnia została odkrytą, że chciano uzbroić jeńców i miasto oddać w ręce Moskali“. W jaki sposób dowiedziano się o rzekomym spisku? Jedni mówią, że panna Kieka zrobiła to odkrycie, drudzy, że jakiś pan, wracający przez Galicyę o wszystkim się miał poinformować i do rządu donieść. Niepojęcie wstrętne są te donosy, ta łatwowierność, odbijająca się w listach i sercach nawet najszlachetniejszych. Zresztą wrażliwość niewieścia zwykła potęgować namiętne sądy i podejrzenia. Niema wątpliwości, że Bóg obdarzając kobiety poczuciem bezgranicznego poświęcenia, odmówił im zmysłu politycznego, który zbyt rzadko bywa ich udziałem, skoro w polityce potrzeba miary i równowagi, obcych zapalającej się łatwo wyobraźni niewieściej. To też niepodobna brać w rachubę przelotnych zdań i sądów, zamieszczonych w dorywczej korespondencji o wypadkach czy ludziach, a raczej postępować wyłącznie po szlakach miłosierdzia za śladem tej, która takowe w one dni krwawą i łzawą wydeptała stopą. „W Warszawie bawiłam aż do jej wzięcia“, z prostotą mówiła panna Emilia. Do Poznania chciała powrócić razem z Klaudyą Potocką. Jenerał Witt, powinowaty rodziny Potockich, ułatwił im wyjazd; dostały paszport na siedm osób, jadących niby w służbie pani Klaudyi: Wincenty Tyszkiewicz jako jej plenipotent, Tański jako lokaj, Emilia Szczaniecka jako panna służąca, dalej Aleksander Potocki, X. Jełowicki i Antoni Golec, prosty żołnierz świeżo obydwóch rąk pozbawiony, któremu panna Emilia miała w czterdzieści lat później zamknąć oczy, zapewniwszy mu spokojny zakątek wśród własnej czeladzi. „Skoro wyjeżdżaliśmy z miasta — opowiadała później — już wojska rosyjskie wchodziły do stolicy, pełne dzikiego tryumfu, z czapkami ubranymi w zielone liście na znak zwycięstwa. Żyd jakiś, widząc naszą gromadkę, począł krzyczeć i wywijać rękoma, grożąc pięścią, rzucając obelgi. Wówczas oficer rosyjski, który zdaje się był rodem z Litwy, odpędził żyda i szedł przy naszym powozie dopóki nie minęliśmy rogatek“.

Nierozłączne towarzyszki, Klaudia i Emilia, postanowiły dalej czuwać nad rannymi, chroniącymi się przed nieprzyjacielem, i za armią wyjechały do Modlina, ażeby następnie czas dłuższy być zatrzymane dla kwarantanny w Toruniu. Tam pani Klaudia najczulszem staraniem otoczyła zapadającą na zdrowiu towarzyszkę, oraz jej brata, Stanisława Szanieckiego, który już nigdy nie odzyskał steranych w wojnie sił i krzepkości. Ścieśniło to jeszcze stosunek obu przyjaciółek, acz nieszczęścia kraju miały niebawem je nazawsze rozłączyć. Gdy pani Klaudia po upływie lat kilku umierała w Genewie, panna Emilia, zostająca przez czas dłuższy pod nadzorem policyi, z Księstwa wyjechać nie mogła. Przyjaźń atoli wypróbowana wśród tylu cierpień, nigdy zagasnąć nie miała. W sześćdziesiąt lat po śmierci pani Klaudyi, na martwej piersi Emilii Szanieckiej zwieszał się medalion z włosami przyjaciółki, którą jeszcze na parę dni przed własnym zgonem ze łzami wspominała. Za miarę gorącości wzajemnego stosunku tych dwóch istot wybranych, posłużyć może list Klaudyi Potockiej, bez daty, w onych porewolucyjnych latach do panny Emilii z Paryża pisany:

„Drogie życie! Niewypowiedzianie niespokojną jestem o ciebie, całą mocą znów czuję, jak tobie bolesną być musiała niemożność złączenia się ze mną, wiedząc mnie niebezpiecznie chorą tej zimy. Ja tu po bruku chodzę, z ludźmi gadam, ale duszą przy tobie i przy Stasiu ¹⁾ żyję. Przez Marcinkowskiego się dowiedziałam, że wam do Karlsbadu jechać kazano. Z kimżeś się wybrała na tę drogę? Lękam się, czy cię samą z bratem nie puścili, bo toby zabójstwem było. Drogie życie, na przyjaciół już cię nawet nie zaklinam, żebyś szanowała życie od tylu kochane, bo wiem, że są chwile, w których podobny głos do serca nie przemawia, w których się zdaje, że cechą prawdziwej bezinteresownej przyjaźni byłoby życzyć końca drogiej istocie, tak znękanej jak ty, kochana Emilko. Ciężkie dla ciebie przewiduję czasy. Uzbrój się — nie o nas myśl — ja zgodzę się; bądź w niebie szczęśliwszą jak między nami, wszak nigdy coś

¹⁾ Stanisław Szaniecki, ranny w walce o niepodległość i odtąd wciąż chory.

wyższego długo między nami utrzymać się nie da. Ale droga, pamiętaj, że im rzadsze są tobie podobne istoty, tem nałożone na nie obowiązki święciej wypełniane być mają. Każdy dzień życia twój jest częścią ogólnego łańcucha, dla dobra którego Bóg tak świętą iskrą ciebie obdarzył. Pamiętaj, że *wolą* uciekające życie wstrzymać w sobie możesz. Nie poddaj się rozpaczyci jałowej, tęsamą energię, która podziwienie nasze wzbudza, obróć przeciw sobie, *każ* sobie żyć dla pociechy jednych, dla przykładu tych, którzy korzystać potrafią z danej im nauki, dla ludzkości, którejś więcej jeszcze winna, jak to, coś dotąd dla niej zrobiła. Droga! przysięgi od ciebie wymagam. *Nie opuść rąk*. Niema szczęścia, mówisz? — w każdym czynie jest nagroda i kara, a cnota-by szczęścia nie znała? A tak piękne, tak pełne, tak czyste życie, zwiędłoby dla braku żywiołów, na świecie, gdzie miliony dusz osierociałych, serc skrwawionych, woła pomocy, głośniejsze od wszystkich fizycznych potrzeb! Kochana Emilko, wierzaj mi, zawód nasz nie jest skończony, nie odbiegaj sama od zaczętej dopiero pracy, trzymaj się *usque ad finem*. Nie poddaj się, bo nie dziś pora — dźwigaj krzyż przeznaczony, nie upadaj pod nim.... W wrześniu mamy być w Genewie, gdzie się mąż matki spodziewa. Czybyś tam z panną Raczyńską przybyć nie mogła? Przykułabym cię do życia, jak się sama do niego krępuję. Wierzaj! byłoby mi dobrze, przy nieszczęściu dobrze! A zabyłśnie pogoda, wtedy nie ratować, tworzyć będzie powinnością. Nowych przykładów udzielać ci wypadnie, my wymagać od ciebie będziemy. Drogie życie, buduj przyszłość, przytłumiaj dzisiejsze czucie. Powiedział ktoś, że jak najniebezpieczniejsze posterunki powierzają wypróbowanym, wyborowym żołnierzom, tak i Bóg wybranym swoim cięższe zagony orać każe. Składaj skibę na skibę, nie przestawaj w nią wierzyć. Nie omdlewaj. W życiu — jak na mrozie. Kto uśnie, ten się nie zbudzi. Nie myśl, że mi łatwe w ten sposób do ciebie pisać. Znasz mnie — bodźca ci daję, choć rozpacz mnie bliską. Droga, powierzam ci pociechę bliźnich, tych braci wszystkich, których Bóg troskliwości twojej oddaje“.

Z umysłu przytoczyliśmy cały ten przydłuższy list, chlubny zarówno dla tej, co go pisała, jak i dla tej, do któ-

rej był pisany. A krzepiąc przyjaciółkę, pani Klaudya musiała z własnym fizycznym i moralnym walczyć znękaniami. Bo już ją toczyła choroba nieuleczalna, obok rozpaczy po stracie ojczyzny. „Patrz panie Adamie — odzywała się do wchodzącego raz Mickiewicza — co ze mnie zostało, skóra zaledwie i kości!“ „Nie, pani — zawołał z przekonaniem Mickiewicz — kości i dusza!“ Tej duszy starczyło, aby drugich jeszcze dźwigać, umacniać i pocieszać. W drugim liście, także bez daty, ale wspominającym już o własnej niemocy, tasama hartowna pobrzmiwa pobudka.

A w całej pełni jej było trzeba złamanym narazie tak dotkliwymi klęskami sercom. O panie Szczanieckiej rodzinne świadczą wspomnienia, iż odrazu trzydziestoletnia zaledwie kobieta, postarzała się i oblokła dożywnością odtąd żalobę i powagę właściwą późniejszemu zazwyczaj wiekowi. Po powrocie z Warszawy, czekały ją u wstępu różne przykrości i próby. Rząd pruski obłożył jej majątek sekwestrem, owszem, wytoczył jej nawet osobny proces za przewiezienie rannych. Już ją trybunał był skazał na dłuższe więzienie i grzywny, gdy król Fryderyk Wilhelm III rozkazał ją od wszystkiego uwolnić, przez pamięć na humanitarne jej zabiegi po lazaretach.

Najtrudniej bywa po cięższym w życiu ciosie, powracać do powszednich znojów i obowiązków, rąk nie zakładać ani łamać rozpacznie, a kiedy: „Zbił grad na łanie całą żniw nadzieję“, nanowo przyszło siał żniwa. Przez chwilę panna Emilia, jak wielu ludzi z owej epoki, nie umiała sobie zdać sprawy z tego, co zaszło i przeszło. Naraz i jej zabrakło sił, nie starczyło zdrowia. Spotkawszy w Karlsbadzie wielkiego przyjaciela Polski i Mickiewicza, Edgara Quinet z żoną, oniemal uległa ich namowom, aby wraz z niemi w dalszą po obcych lądach, a choćby i naokoło świata puścić się drogę. Czuliła potrzebę odpoczynku, chciała bodaj, jak owo pacholę Malczewskiego „uciec od rozpaczy“.

„Zdawało mi się — opowiadała później — że wśród innych ludzi, w innych krajach, zdala od miejsce cierpienia, znajdę ulgę; gdy jednak przyszło do wyjazdu, obliczywszy się uznałam, iż wobec tylu potrzeb krajowych, nie wolno mi trwonić grosza na własne przyjemności — i zostałam

w domu. A sił snąć miałam bardzo dużo, kiedy potem grom po gromie uderzał w ojczyznę i rodzinę, a ja zostałam lat tyle!“

Została — na to, aby dalej służyć i dalej się poświęcać, a Bóg ulitował się nad jej smutkiem i żalobą, mnożąc obowiązki i odpowiedzialności serdeczne, które odtąd coraz liczniej ją wypełniać jej życie i serce. Dla dzieci rodzeństwa swego stała się drugą matką i dla nich też, dla ich wychowania, zrobiła ofiarę ze swego zacisznego w Pakosławiu pobytu i życia, aby to w Berlinie przebywać, to też na dalsze puszczać się wycieczki i podróże. Rozszerzało to zakres jej stosunków i wpływów a przedewszystkiem granice jej miłosierdzia i litościwych zabiegów. Ucząca się w Berlinie młodzież garnęła się do jej domu, ogrzewała swe uczucia przy tem ognisku ciepła patryotycznego. Jeden z nich, któremu na tem miejscu przed kilkoma laty szersze zostało poświęcone wspomnienie, Edward hr. Czapski, w wiele lat później, po powrocie z Syberyi, na krótko przed własnym zgonem, przyjechawszy do Pakosławia, uklęknął wchodząc w jej progi, a chyląc się przed nią z młodzieńczym zapalem zawołał: „Pozwól mi pani ucałować twe ręce. Tak cię w myśli mej zespoliłem z Polską, myśl ta przez lat tyle towarzyszyła mi na Syberyi, że zbliżając się do ciebie mam uczucie jakobym Polsce hold składał!“

Równocześnie dwór pakosławski otwierał się naocześnie przed mnóstwem rozbitków, jakich każda nowa burza ojczyzna dostarcza bez liku. Po r. 1831, później po wypadkach z lat 1846 i 1848, po nieszczęśliwym z r. 1863 powstaniu, przybywało ich więcej, liczniejsza uderzała fala bied ludzkich o te gościnne progi. Owa tułacza drużyna wytwarzała dookoła pani domu atmosferę zapalną, może niezawsze zdrową. Wielu z tych, co zakosztowali w r. 1831 rozkoszy narodowego przebudzenia, wyniosło ztąd rodzaj nieuleczalnej gorączki, rwącej się wciąż do czynu, do walki, do spisku, nie obliczając złowrogich ztąd skutków. Panna Sezaniecka stosunkami i sympatjami wciągniętą była w to błędne koło, w które, jak w koło Ixiona, zbyt długo i daremnie losy Polski, serca najszlachetniejszych jej synów dobrowolnie się wplatały, na próżną tylko mękę i nowe straty. Zkądinał

przedstawiciele skrajnych prądów w kraju czy emigracyi, zawsze zmierzali do skonfiskowania na rzecz własnego stronnictwa osoby, imienia i wpływu panny Szczanieckiej. Odnajdujemy ślady, że Towiański próbował ją pozyskać dla swej mętej nauki, że Mierosławski pilnie koło niej chodził, aby ją zjednać swym rewolucyjnym zakusom, że demokraci najróżniejszych odcieni uważali ją za swoją, i więcej jak swoją niemiłosiernie wyzyskiwali. Rzeczywiście skłaniała się do pewnego stopnia ku t. zw. demokratycznym poglądom i zasadom, ale jak przystało chrześcijańskiej niewieście, rozumiała demokrację w duchu Chrystusowym, a choć niejedno mogło ją urazić lub zrazić w stosunkach z przeróżnymi stronnictwami, pozostawała w zgodzie ze wszystkimi, dla wszystkich otwartą miała rękę, rozumiejąc, że różni ludzie różnie też mogą kochać ojczyznę, ona zaś ich za tę miłość kochała i sądzić ani zasądzić nie była w stanie. Dając bez miary, krzając się pilnie za wszystkimi dziełami, w których jej się zdawało upatrywać patryotyczny pierwiastek, nie baczyła dość roztropnie, ażali jej ręka i jałmużna niegodnych wesprze, szła w tem za słowem św. Jana Złotoustego, który radząc dawać bez miary, powtarzał, iż lepiej nawet mniej zasługującego poratować, nawet się pomylić w jałmużnie, aniżeli odepchnąć prawdziwą może biedę. Wprawdzie żal nam trochę polskiego, poczciwego grosza, gdy widzimy, że płynie do Zürieh lub Kefikonu, lub np. że między innymi dziękują jej za wsparcie ludzie tak obłąkani jak Jarosław Dąbrowski i Walery Wróblewski, obaj wsławieni sromotnym udziałem w komunie paryskiej i shańbieniem dobrego naszego imienia wobec Francyi, udzielającej kilku pokoleniom polskich wygnańców gościnności w ten sposób spleaconej. Ale miłosierdzie tak szerokie, oczywiście mogło się niekiedy pomylić — a co natomiast zacnych dzieł czy instytucyj żyło duchem, sercem, hojną ręką i niezmordowaną czynnością panny Szczanieckiej! Nie było dobroczynnego związku i towarzystwa w kraju czy na emigracyi, do którychby nie należała, którychby nie podtrzymywała bądź datkami własnymi, bądź pilnem krzucaniem się około zjednania im poparcia. Dość wertować jej rozległą korespondencję, aby się przekonać, jak daleko jej ręka i serce sięgały.

Niema znacznej roboty, przedsięwzięcia, stowarzyszenia, któreby się o nią nie oparły. Wyliczać ich niepodobna, byłoby to spisywanie roczników dobroczynności polskiej, polskiego miłosierdzia i szlachetnej działalności. Przedewszystkiem w przekonaniu, że należy dobrem młodych pokoleń wychowaniem lepszą przygotować przyszłość, w *Pomocy Naukowej* upatrywała silny czynnik odrodzenia kraju. Jeśli od samego zawiązku popierała hojnie dzieło Marcinkowskiego, które w przeciągu pół wieku dostarczyło setek dzielnych obrońców zagrożonym na zachodnich kresach posterunkom, później, stała się osią podobnego *Towarzystwa pomocy naukowej dla dziewcząt*, zabezpieczającego w skromniejszym zakresie chleb i uczciwy kierunek nieprzeliczonym stypendykom, kształcącym się w wyższych lub niższych zawodach, dzięki dobroczynnej instytucji, która stała się poniekąd ulubionem dziełem starości panny Szczanieckiej. A nie trzeba mniemać, aby ta ruchliwa czynność, sięgająca wybrzeży Ameryki lub Bosforu, miała wystarczać jej sercu. Są osoby, które się zadawałnają biurokratyzmem że się tak wyrazimy miłosierdziem, składkami i korespondencyami, agitacją raczej aniżeli osobistym trudem. Otóż sekretarstwo tych dzieł dalszych i głośniejszych nigdy nie odrywało panny Emilii od bliższych powinności, własnym podejmowanych zachodem. Iluż nieszczęśliwym w właściwej chwili dobroczynnem podaniem ręki najskuteczniejszej dostarczyła pomocy! Ilu dzieciom zapewniła dobre wychowanie! Tkliwą wiedzioną myślą, po każdej nowej burzy, wstrząsającej ojczyznę, przybierała jakoby za swoje, sieroty pozbawione rodziców. I tak po r. 1831 przygarnęła małego warszawskiego rozbitka, po r. 1846 przyjęła syna okrutnie zamordowanych podczas rzezi galicyjskiej rodziców, nareszcie po r. 1863 małego Sybiraka do serca swego i domu przytulila. W onym smutnym i gorzkim roku, nanowo spróbowała podjąć jednakie litościwe posłannictwo, i na pograniczu Księstwa urządzać i obsługiwać ambulanse szpitalne. Szybko zawiedzione nadzieje, oraz nowe a sroższe klęski, pogrążyły ją w cięższym jeszcze smutku. Ale był to smutek niewykluczający nigdy pracy i trudu, a pod tym względem, dostarczała niezrównanych przykładów, nie smucąc

się nigdy jak ci, „co nadziei nie mają“, w stałym przekonaniu, że każdy posiew setne czasem wydać gotów plony.

Starczyło jej serca na wszystko i dla wszystkich, a ostatnia część jej życia bodaj najpiękniejszą nam się być zdaje. Łatwiej się zerwać do wyjątkowych ofiar i poświęceń, aniżeli wytrwać w powszednim, przeciągłym ucisku i upaleniu, łatwiej bodaj dać i rozdać, aniżeli utrzymać i zachować. Aż oto gdy się dokoła pańskie waliły fortuny, gdy ciężkie warunki polityczne i ekonomiczne wywłaszczały Polaków z odwiecznych siedzib i włości, gdy zdawało się nieraz, iż jednej piędzi ziemi w ręku polskiej szlachty nie zostanie, ta słaba kobieta wyrzeczeniem i oszczędnością silna, a budująca na podwalinach miłosiernego rozdawnictwa, oszańcowała się w swej rodzinnej warowni, przetrzymała najcięższe próby, owszem, dla bliższych i dalszych zgotowała przystań bezpieczną w pakosławskim dworze, który wystawał z powodzi, jak arka, sterowana ciepłą, miękka, a niestrudzoną ręką niewieścią. Co się przez ów dom przesunęło bied i smutków, co się tam pociechy i pomocy znalazło dla przeróżnych krzywd i niedoli! A jak pilne i mądre musiało być włodarstwo nad powierzonym sobie zagonem, skoro tenże nie uszczuplony przeszedł w ręce spadkobierców, a znalezione w biurku zmarłej kwity wykazały, iż za życia rozdała przeszło milion marek, nie wliczając w to mnóstwa pojedynczych, doraźnych jałmużn, nie pokwitowanych, ani zapisanych inaczej jak w księdze zasług i wiekuistej nagrody. Co to polska wieś dać, co przetrzymać może, gdy nią dzierży pracowita, miłująca, poświęcona ręka, poczuwająca się do odpowiedzialności wobec kraju, którego ten zagon własny jest drobną częścią, przejmująca zobowiązania odziedziczone po przodkach razem z ich spuścizną, aby jednocześnie sprostać każdej okolicznościowej powinności i żadnemu polu nie dać zalegnąć bez pożytku lub ostami porastać! Wyznajemy, iż ten moment życia panny Szczanieckiej, ta jej pracowita starość, spędzona prawdziwie na wyłomie, wobec postępów kolonizacyi i zaborezych nienawiści planów, wspanialszą nam się być zdaje od najgłośniejszych jej młodości poświęceń. Przygotowała się była pracą całego życia na ewentualny nacisk zawsze grożącego od Prus prześladowania. Wycho-

wała sobie lud, zapomocą ochronek i szkólek, miłości wielkiej i dobrego przykładu dworu, ciągłego stosunku i podawanych włościanom środków rozumnej, chrześcijańskiej oświaty. To też dzień próby nie zastał ją bezbronną, a oszańcowaną na czas włość rodzinna, wieś polska, wytrzymała nawał niebywałej próby. Kłuło to w oczy germanizatorów, że słaba niewiasta tam im opór stawia, gdzie niejeden mężczyzna dał się złamać i wywłaszczyć. To też mnożono nietylko usiłowania, lecz i pokusy, aby znieść ową polską warownią. Sam landrath powiatu, niestety! zalanego już przeważnie niemczyzną, przybył raz, aby nieśmiało rozpocząć rokowania. Znając hojne rozdawnictwo pani domu, chciał ją zdobyć nadzieją zrealizowania znacznej, bo dwumilionowej kwoty, cenę pruskiej morgi ziemi podnosząc aż do 400 marek! Oczywiście, p. Szaniecka z oburzeniem propozycję odepchnęła, niemniej zdumiała się wygórowaniem nad zwykłą normę oszacowaniem. „Bo tu nie chodzi *co* kupią, lecz *od kogo* kupią“, wyjaśnił jej sąsiad, odgadujący pobudki tak niebywałej ceny.

Wielkim ładem, większą jeszcze osobistą oszczędnością, a największą bodaj hojnością dla potrzebujących, zachowała p. Szaniecka ojcowiznę, w chwili, gdy tylu innych ją prze-frymarczyło lub nędznie straciło. Jeśli zaś osobny kładziemy nacisk na ten ostatni życia jej przykład i zasługę, to dlatego, iż pracowita wytrwałość bodaj trudniejszą jest cnotą od doraźnego w nadzwyczajnej potrzebie poświęcenia. Spieszyć na pole krwawych zapasów, opatrywać świeże rany, wśród podniecającej atmosfery ofiarności i nadziei, stokroć bywa łatwiejszem zadaniem, aniżeli codzienne chodzenie za pługiem, powszednie wyrzeczenia i znoje, długie, szare dni pracy, zaparcia, cierpliwości. Kobiety pod tym względem celują nad męzkich współzawodników. Nie umieją może zrobić majątku, ale też stracić go nie potrafią. Ileż to włości ocalało zabiegliwością matki-wdowy, rządnością kobiety! Cnota to przecież chwalona i stawiana wysoko przez Mędrca Pańskiego, w wizerunku niewiasty mężnej, mądrej a mocnej. Chyba w wychowaniu naszych pańien, w kierunku życiowem naszych kobiet, niedość uwzględnioną bywa ta strona praktyczna i pracowita niewieściej cnoty i zadania, aby chleba próżnując nie jeść. „Szukała wełny i lnu, i robiła

dowcipem rąk swoich. Rąbek urobiła i sprzedała... Oglądała rolę i kupiła ją, z pożytku rąk swoich, nasadziła winnicę... Stała się jako okręt kupiecki... i ujrzała, że dobre jest kupiectwo jej, nie zgaśnie w nocy kaganiec jej". I dalej snuje się jednaka pochwała za pieczę i około służby i około ziemi, około domu i rodziny i ubóstwa i niedostatku. A więc, ideał kobiecy nie powinien bujać na bezdrożach, ani po wyżynach niedościgłych, lecz pozytywnych imać się rzeczy. Owszem, miłość ojczyzny najrzetelniej się przejawia w pilnej straży nad tą jej częścią, która nam w udziale przypadła. A jak tę straż rozumiała panna Sezaniecka, życie jej i śmierć najpiękniej nam udowadnia. Schodziła coraz cichsza i litościwsza po drodze tyłu cierniami zasłanej. Każdą nową próbę ojczystą odczuwała i opłacała krwią serca. Ale ból chyba nie zabija, kiedy przeżywszy lata 1831, 1848, 1863, dożył jeszcze jej przyszło dni Bismarkowskiego prześladowania, usłyszeć dzikie hasło: *Ausrotten!* „Zadaleko idą Niemcy w swej nienawiści — pisała do siostrzenicy — sądzą, że są już panami świata, że mogą bezkarnie działać. Nieznają historyi — inaczejby wiedzieli, że pierwszy krok zrobiony na złej drodze przyprowadza do upadku“. Ale *bólów ból*, to nie nacisk wroga, lecz własna niemoc ducha i brak zaradności i woli. „Okropny ten rok będzie — pisze pod inną datą — wiele bardzo majątków przejdzie w ręce wrogów, a nasi kapitaliści, na nieszczęście, nie mają tego poczucia obowiązku, żeby kupować tę świętą naszą ziemię, wolą spokojnem okiem patrzeć na ten okropny upadek, byle im było dobrze. Ciężki oni Bogu zdadzą rachunek, bo podług mnie przyczyniają się do upadku kraju i wielki grzech popełniają. Widzieć zbliżka co się dzieje z wsią, która przejdzie w ręce niemieckie, to serce zakrwawia! Wogóle kto ma długi, a z góry sobie nie powie, że wszystkiego sobie trzeba odmówić, tego rok ten do upadku musi doprowadzić“.

Ta była tajemnica ocalenia jej majątku, kiedy tyłu innych ginęło. A tajemnicy jej przedłużonego życia, krzepkich do końca sił, władz umysłu i serca, szukać należy w niezłomnej nadziei, ożywiającej ludzi, których nawykliśmy zwać pokoleniem z r. 1831. Ci przynajmniej nie znali najśroźszego z wszystkich upadków, nie skosztowali zwątpienia,

które dziś padło zarazą na młodszych. Kosmopolityzm u góry, socjalizm u dołu, wyplenia i nadzieję i otuchę przyszłości, gasząc miłość, którą tehnęli i żyli nasi ojcowie. Kto się niczego nie spodziewa, do niczego też nie dąży, a kto nie nie miłuje, nie ma dla kogo ani dla czego się poświęcać. Zaznała wszystkich naszych smutków i rozczarowań dzielna istota, której postać usiłowaliśmy wskrzesić, ale wiedziała, że praca i nadzieja najpewniejszym kordyalem, najskuteczniejszym balsamem na życia rany. „Ja bo potrzebuję koniecznie, *koniecznie* być zajętą, żeby zapobiedz myślom smutnym, co się cisną do głowy. Dawniej, łatwiej było nie pracować i puścić wodze myśli, kiedy człowiek był młody, pełen nadziei i tak piękną przyszłość rojący, bo zdawało się niepodobnem, żeby się po tylu cierniach i głogach nareszcie nie doszło do upragnionego szczęścia. Dzisiaj, choć *mam wiarę niezłomną, że Polska będzie*, wiem, że ja jej nie doczekam, a zanim życie się moje skończy, dużo jeszcze przeżyć będę musiała, aż nie dopiję z kielicha do dna goryczy dla mnie przeznaczonej“.

Nie doczekała — ale nie zwątpiła, i to przez całe życie pozostało siłą jej serca, siłą ducha. Zgasła przed rokiem, ostatniem jeszcze poleceniem zastrzegając się przed zbytkiem pogrzebowych obrzędów, do którego cała Polska, a w szczególności Wielkopolska, osobny ma pociąg. Miłośnica ludu, chciała się z nim zrównać prostotą pogrzebu, trumną z desek zbitą, przewiezieniem na cmentarz bez karawanu, pogrzebem bez mowy i stypy, bez zjazdu i ogłoszeń. Ale podobnie, jak w Żółkwi niegdyś, gdy Teofila Sobieska jednakiem po sobie pozostawiła rozporządzenia, a syn pierwszego dnia stosując się do jej woli, skromnie wyprawił matce egzekwie pod godłem: *Sic mater voluit*, aby nazajutrz wspaniały wyprawić jej pogrzeb z hasłem: *Sic filium decuit* — usłuchano prośby zmarłej p. Emilii, nie potrafiiono wszelako odjąć żalobnemu obrzędowi cechy niezwykłego hołdu. Szła wprawdzie na wozie wieśniaczym z kilku desek zbita trumienka, lecz za nią waliły się tłumy kilkotysięczne; nie ogłoszono w dziennikach śmierci ni pogrzebu, nie zaproszono księży, ni gości, nie postarano się o mowę żalobną, a znalazły się i wieńce, i deputacye, i olbrzymi korowód krewnych i przyjaciół, sam

zaś arcybiskup gnieźnieńsko poznański, X. Floryan Stablewski, popieszył ostatnią oddać jej posługę i rzewnie nad jej grobem przemówił.

A cały ten pochód bodaj tryumfalny, raz więcej stwierdzał, czem jest moc ducha i serca w ludzkich przeznaczeniach i dziejach. Wątpiła niewiasta, która w życiu nie zaznała oparcia i poparcia ramienia męża i synów, co jedno zwykło życiu kobiecemu nadawać właściwą doniosłość i społeczne znaczenie, sama i słaba przeszła przez świat, dobrze czyniąc i miłując wiele, i tem zdobyła i zapewniła sobie tak niebywałą powagę w całym społeczeństwie polskiem. Bo też „nad śmierć silniejsza siła ukochania“ jedynie wynieść zdoła kobietę ponad nieco zatarte jej w świecie stanowisko. Nie wsławi się żadna ni pendzlem, ni piórem, ni dłutem, ni rylcem, w żadnym kierunku się nie posuwając aż do stworzenia arcydzieła. Trzeba jakiej wielkiej miłości, aby im zapewnić imię nieśmiertelne, choćby przyrodzonego lecz spotęgowanego ofiarą uczucia. Panna Emilia Sczaniecka taką miłością ukochała kraj swój, lud swój, polskie biedy i rany, i smutki, i niedostatki, i to starczyło, aby jej imię od niepamięci ocalić i utrzymać w błogosławieństwie.

N.

JAN KAZIMIERZ W RZYMIE.

(Dokończenie).

Kardynał-Dyakon.

VII.

Stosownie do przyjętego zwyczaju, nowomianowany purpurat otrzymuje w Frascati zawiadomienie listowne od kardynała-bratanka, Kamila Pamfilego, o zaszczycie, jaki go spotka. Wiadomość nie zaskoczyła go wcale, gdyż jak wiemy, była już o tem mowa od roku. Do króla Władysława biegnie jak zwykle, kuryer papieski z odnośną wiadomością, do której załączone były zwykle uprzejmości *in gratiam* nowego dygnitarza Kościoła, nadzieje, że dla wiary katolickiej wyrośnie ztąd chluba i korzyść, na co król odpowiedział, składając dzięki za purpurę daną bratu, z jednoczesnem potwierdzeniem nadziei, iż Jan Kazimierz położy zasługi około Kościoła itd. itd.

W d. 28 maja 1646 r., na tajnym konsystorzu, Innocenty X, zgodnie z przepisami, podał do wiadomości zebranych imię nowego kandydata do kapelusza kardynalskiego i zapytał św. Kollegium: *Quid vobis videtur?* — poczem kardynałowie wstali i uchylając czerwonych czapeczek, skłonili się, na znak, że się zgadzają. Razem z Janem Kazimierzem, obleczonym został purpurą młody Maldachini, bratanek bratowej papieskiej, Olimpji Pamfli, który w następstwie został protektorem Polski po Matteim.

Zprzyczyny owej nominacyi księcia Wazy, *awizy* rzymskie tak się odzywają: „Na konsystorzu, Jego Świątobliwość nadał

kardynałat księciu Janowi Kazimierzowi, bratu króla polskiego, z Towarzystwa Jezusowego, któremu, że znajduje się w Frascati, pomiędzy braćmi Jezuitami(?), posłane zostały karety *di campagna* kardynała Kamila Pamfilii, aby go zabrać i przywieść do Rzymu“.

Jak zwykle, nie obyło się przy tej sposobności bez illuminacyi w mieszkaniach kardynałów, zwłaszcza u Matteiego zakon zaś OO. Jezuitów otrzymał jednocześnie rozkaz, aby przyjął wybór nowego kardynała *di Polonia*, t. j., aby go zwolnił od dalszych obowiązków zakonnych.

W uroczystościach z powodu mianowania nowego księcia Kościoła, miasto brało zwykle udział, z pewnem stopniowaniem, stosownie do jego stanowiska. Owe uroczystości nazywały się *allegrezze*. A więc palono smolne beczki na ulicach, na placach, przed domami płonęły pochodnie, wieczorem okna pałaców były oświecone, na gankach grała muzyka. Nowy kardynał otrzymywał wiadomość o swej nominacyi przez kardynała-bratanka, poczem udawał się do pałacu Apostolskiego i w dzień naznaczony na uroczystość, wprowadzony przez kardynała-nipote, wchodził do sali konsystorza. Dla osób dostojnych, ceremoniał był nieco odmiennym, gdyż kardynał-bratanek posyłał jednego z prałatów i własny powóz po purpurata. Przywdziawszy czerwoną suknię, nominat odbierał z rąk papieskich czerwony biret i t. zw. *mozettę*, t. j. czerwoną jedwabną pelerynkę z kapturkiem, jaką eminencye przywdziewają przy publicznych występach. Czapeczkę i kapelusz odbierał później. Wróciwszy do domu, dygnitarz kuryi przyjmował odwiedziny t. z. *di calore*, t. j. powinszowania, a wieczorem, jak powiedzieliśmy, ambasadorowie, dygnitarze watykańscy oświecali okna, urządzali transparenty, sztuczne ognie, muzyki itd.

Dla książąt krwi królewskiej, lub też dla bratanka papieskiego, był specjalny ceremoniał. Purpurat miał bezpośredni wstęp do Ojca św., gdzie po stosownej przemowie, odbierał biret kardynalski i *mozettę*, podczas gdy armaty, ustawione na wysokości zamku św. Anioła, zapowiadały wystrzałami, iż Kościołowi przybył wysoki dostojnik. Kapelusz odbierał, razem z innymi, w dniu publicznego konsystorza.

Jak wiadomo, kardynałowie korzystają z przywileju przenośnych ołtarzy, mogą mieć domowe kaplice, odprawiać mszę w własnym mieszkaniu, jeśli są chorzy, lub w drodze, przed wschodem słońca i popołudniu, naturalnie, jeśli są księżmi, gdyż godność kardynalska może być także udzieloną osobom, mającym tylko niższe święcenia, jak to miało miejsce u Jana Kazimierza.

Promocya naszego królewicza, że miała miejsce w warunkach wyjątkowych, i że do tego był cudzoziemcem, nie dała sposobności do manifestacyj ludowych. Watykan — jak pisze Ameyden — nie okazał wielkiej troskliwości w uświetnieniu wypadku. Z wysokości murów Castel S. Angelo nie odezwały się ani armaty, ani moździerze; wogóle promocya odbyła się cicho, co też niejednego dziwiło, zwłaszcza tych, co pamiętali nominacje Medyceuszów, Estego, Sabaudeczyka. Puszczając się tedy na domysły, posądzano między innymi admirała di Castiglia, t. j. posła hiszpańskiego, iż na dworze papieskim intrygował, psując sprawy Jana Kazimierza, stojącego teraz w bliskich związkach z dworem francuskim. W antykamerze papieskiej opowiadano sobie bowiem, że kiedy *Amirante* był w Frascati i spotkał się z Wazą, nie oddał mu honorów, do jakich ten ostatni miał prawo, zdaje się, iż się nie uklonił. Ów *Amirante*, poseł króla „katolickiego“, Filipa IV, nazywał się margrabia Inigo Velez, hrabia Ognate. Wiemy już, iż w Rzymie, tak jak i na teatrze wojny, Hiszpania i Francya zwalczały się nieustannie, przeto ambasador madrycki czuł odrazę do wszystkiego, co pachniało Paryżem i kardynałem Mazarinim, boczył się więc i na Estego, którego brat walczył w stopniu „generalissimusa“, w szeregach francuskich. Jest jednak poważna wątpliwość, czy domysł Ameydena — za którym wersyę podaliśmy — był trafny, wiemy bowiem, iż był spór o tytuł i dlatego może Innocenty X zachowywał się tak wstrzemięźliwie wobec nowego kardynała; zresztą Innocenty, rzeczywiście, przechylał się więcej ku Hiszpanii, stosunki Stolicy Apostolskiej z Paryżem były całkiem chłodne, a Francya protestowała nawet chwilowo przeciw wyborowi Pamfilego, gdyż wiadomem było, że Innocenty, w przeciwieństwie do swego poprzednika, był stronnikiem dworu madryckiego, na którym chciał oprzeć

siłę Kościoła. Musiało tedy być niemilem papieżowi, jeżeli Jan Kazimierz, demonstracyjnie, jakby na przekorę, manifestował sympatye dla Mazariniego, zwłaszcza, iż w owym czasie flota francuska ścigała Hiszpanów aż pod samą granicę państwa papieskiego, pod Sienę, koło Orbetello, gdzie próbowała zająć twierdzę, wyspę Elbę i Piombino, z widocznym planem odebrania Hiszpanom Neapolu, aby go oddać księciu Sabaudzkiemu; zasłaniała przytem i broniła Barberinich, przebaczyła im, zapomniała nielaskę, dała im schronienie. Pomimo tego, nie chodziło tymrazem o Francję, ile o ciało kardynalskie, o jego godność i interesa. Polityczne aspiracye stały na drugim planie, a spór z królewiczem miał cechę więcej lokalną.

Pierwszych dni czerwca, z nastającymi upałami, Papież przeniósł się z Watykanu na drugi koniec Rzymu, do wyżej położonego, zdrowego pałacu Kwirynału. Tutaj nowy dostojnik Kościoła miał otrzymać biret i mozettę; czapeczkę kardynalską dostawał razem z listem kardynała-bratanka, a kapelusz miał być doręczonym podczas publicznej ceremonii.

Zostawała jednak jeszcze formalność, jakiej nie wypadało zaniedbać, zważywszy stanowisko społeczne nominata i ze względu na rozmaite spory, jakich pamięć pozostała z czasów Urbana VIII Barberiniego. Dlatego kardynał-protector, Kasper Mattei, posłał, w sprawie przyszłych tytułów do Frascati szlachcica ze swego dworu, aby doręczył królewiczowi tekst dekretów Urbana VIII i Innocentego X. Jan Kazimierz przyjął bardzo uprzejmie posłańca w willi Sora i przeczytawszy papiery, oświadczył, iż nie widzi trudności w wykonaniu przepisów. W kilka dni później, kiedy pojechał do Rzymu, odwiedził kardynała Matteiego, a gdy ten jeszcze raz zainterpellował go w sprawie tytułów i pieczęci herbowej, powtórzył dane oświadczenie, poczem ostrożny kardynał dał mu kartkę do podpisania, piśmienne zobowiązanie dochowania dekretów. Bilecik był długi, powoływał się na dekreta, których Jan Kazimierz narazie dobrze nie pamiętał, więc od siebie zre-dagował krótką obligacyę stosowania się do rozporządzeń papieskich. Treść owej karteczki odpowiadała mniejwięcej ustalonej formule :

Nos miseratione divina, Episcopi, Presbiteri et Diaconi S. Ecclesiae Cardinales, decretum S. Congregationis Ceremoniarum S. B. Ecclesiae Cardinalium, a Sanctissimo Domino Nostro approbatum et a nobis receptum, perpetuo et inviolabiliter observare promittimus et juramus.

Nasz kardynał postąpił trochę dorywczo, nie rozpatrzywszy się należycie w położeniu, bez namysłu, bez upoważnienia królewskiego brata, do czego, bądź co bądź, był obowiązany. Na razie, nie widział żadnej trudności w zastosowaniu się do ogólnej normy, którą uważał raczej za formalność.

Jak zobaczymy, niezadługo, zaczyna jednak obliczać następstwa swego kroku, cofa się, wpędza Stolicę Apostolską i siebie samego w kłopotliwe położenie. Rewers, jaki podpisał, zobowiązywał go, w gruncie rzeczy, do wyrzeknięcia się tytułu Królewskiej Wysokości, zdjęcia z herbu korony — zatem mógł stanowić niejako prejudykat w prawach czy to do polskiej, czy szwedzkiej korony. Zaczął się tedy obawiać, iż tym sposobem może utrudnić, czy zamknąć sobie drogę do jednej z tych dwóch koron, a tego nie mógł dopuścić, jako domniemany spadkobierca polskiej korony, w razie śmierci Władysława IV i jego małego synka, a nawet, jako pretendent do ręki młodej Krystyny Szwedzkiej i zarazem mający prawa do dziedzicznego tytułu króla szwedzkiego, gockiego, wandalskiego itd.

Należało więc użyć wszelkich sposobów, aby unieważnić karteczkę, która mogła stanowić broń przeciw niemu, która była rodzajem abdykacyi, choćby tylko chwilowej, z praw królewskich. Postanowił tedy naprawić swój błąd. Na tyle posiadał dumy i porywczosci, aby odwołać niezwłocznie wszelkie poprzednie zobowiązania i użył ku temu, całego *gran serio*, jakim się chętnie popisywał.

Ale bo też, charakterystyczna dla epoki barokku, sprawa tytułów, miała już wtedy swoje dzieje i nie pierwszy Jan Kazimierz protestował przeciw wyrokom kuryi.

Kollegium kardynalskie, *il Sacro Collegio*, do którego wchodził Waza, składało się, jeśli weźmiemy pod uwagę tylko rezydujących *in curia*, z następujących purpuratów: na pierwszym miejscu, jak zwykle, stał bratanek papieski,

cardinale-nipote Kamil Pamfili, powiernik tajemnic Ojca św. i zład najwięcej wpływowy. Po nim szli: dziekan, tj. najstarszy nominacya, Lanti vel Lante, Karol Medyceusz, brat w. ks. florenckiego, zwany kardynałem di Toscana albo di Fiorenza, właściciel wspaniałej willi na Pincio i t. zw. Giardini de Medici (dziś Académie de France), protektor Hiszpanii; dalej: jego bratanek, młody kardynał dyakon Jan Karol Medyceusz; J. Eminencya ks. Rajnald d'Este, brat Franciszka I księcia Modeny, wreszcie reszta kollegium: Mattei, Sacchetti, Ginetti, Palotta, Brancaccio, Carpegna, Grimaldi, Capponi, Cecchino, Costaguti, Franciotti, Cesi, Lugo, Rocci, Colonna, Ludovisi, Spinola, Caraffa, Giustiniani, Cornelio, Trivulzio, Orsini, Montalto, Spada, Sforza, Odeschalchi, Rondanini, Buoncompagni, Harrach, Bichi, Panziroli, Macchiavelli, Barberiniowie itd. Żył również jeszcze stary, hiszpański kardynał Albornoz, *cardinale di Valenza*, który nigdy mszy nie odmawiał i podpisać się nie umiał. Kiedy było głosowanie na *conclave*, kardynałowie pokazywali sobie, ze złośliwym uśmiechem, kartkę, na której wypisał swój podpis. Tak opowiada Ameyden, kiedy donosi o jego śmierci, dodając od siebie: „Przez jego śmierć, Kościół małą poniósł stratę“.

Do Kongregacyi Ceremoniału, specjalnie nas obchodzącej, należeli: Spada (prefekt), Aloizy Capponi, Medici, Spinola, Brancaccio, Montalto, Colonna i Este. Należał również do niej kardynał Barberini, ale ten, jak wiemy, schronił się był do Francyi. Zapewne, że wszyscy purpuraci związani byli sclidarnością korporacyjną, strzegli zgody i godności kardynalatu, mieli wszelkie powody, aby nie dopuścić wywyższenia się jednego ponad drugiego, nie wyjmując obu Medyceuszów i Estego, gdyż zgodziwszy się na zdjęcie tytułu wielkksiążęcego, nie chcieli pozwolić, aby ktokolwiek inny używał tytułów, odróżniających go od innych kolegów, stawiających go wyżej.

Właściwy spór o tytuły, przywiązane do czerwonego kapelusza, powstał przed r. 1630, a więc w czasie, kiedy jeszcze używane były różne stopniowania. Do grona kardynalskiego wchodzili, lubo dość rzadko, książęta krwi panującej, cesarskiej i królewskiej, synowie wielkich rodów posiadających różne przywileje, nadane w różnych krajach,

wchodzili zwłaszcza włoscy książęta: Medici, Este, Gonzaga (Mantuańscy) Farnese lennicy papiescy, ks. Sabaudzcy, i ci według urodzenia, przywilejów, korzystali z tytułów rozmaitych odcieni, jak: *Altezza Imperiale*, *Altezza Reale*, *Serenissimus*, *Celsitudo*, *Illustrissimus*, *Dominatio Vestra Illustrissima*, *Illustrissimus et Reverendissimus* itd., kładli różne korony nad herbami, a że byli bardzo zazdrosnymi o prerogatywy — im mniejszy książę, tem usilniej pilnował swoich tytułów — więc powstawały stąd kłótnie, nieprzyjaźnie, niezgoda, szkodzące powadze i znaczeniu ciała kardynalskiego. Tymrazem rozpoczęło się od tego, iż kilku z purpuratów żądało tytułowania *Illustrissimus et Excellentissimus* podczas gdy inni: zadawali się skromniejszym: *Illustrissimus et Reverendissimus*. Janowi Kazimierzowi przysługiwał przedewszystkiem tytuł „Jego królewskiej Wysokości“ (*Altezza Reale*), oraz *Serenissimus et Illustrissimus* i tak też zawsze doń pisuje Władysław IV jako do królewicza dwóch nawet koron: polskiej i szwedzkiej. Naczelne głowy wielkich prywatnych rodów odpychały znowu nazwę: *Reverendissimi* a domagały się *Excellentissimi*, bo nie chciały równać się z *creaturami* niższemi urodzeniem i stanowiskiem, z wyjątkiem może kardynała-bratanka.

Że podobny stan rzeczy przedstawiał wiele niedogodności, był hasłem do kłótni, zaprzeczyć się nie da; wszak wiek XVII, był wiekiem pychy i pompy. Dlatego, w r. 1630 Kongregacya Ceremoniału, postanowiła przedstawić Urbanowi VIII konieczność zaprowadzenia jednolitego tytułu, aby uniknąć starć i kwasów, które nieraz za sobą polityczne skutki pociągały. Oto np. kardynałowie domu Sabaudzkiego, weneccy, żądali między innemi, tytułu *Signoria Illustrissima* na podstawie różnych historycznych praw, o jakich poniżej pomówimy, z powodu konfliktu, jaki pomiędzy nimi powstał. Zamiast owych różnorodnych tytułów, kardynałowie proponowali, aby zaprowadzić ogólne: *Eminentia Vestra*, *Eminentissimi*, których dotychczas używali jedynie elektorowie Państwa rzymskiego i Wielki Mistrz Zakonu Jerozolimskiego. Papież podpisał odnośny dekret konsystorski, niezapominając jednakowoż o swoim bratanku. Kardynał-*nipote*

miał być tytułowanym: *Padrone colendissimo*, podczas gdy, w życiu codziennem, nazywano go *Cardinale Padrone*.

Jeśli np. kardynał pisał do papieża, a był przezeń mianowanym, w takim razie, przy podpisie kładł *e creatura*, a papież pisał doń, jeśli był kardynałem-dyakonem: *Dilecto filio nostro*, jeśli zaś kardynałem-biskupem: *Venerabili fra-tri nostro*.

Owa kwestya tytułów, roznamiętniająca umysły, była, na owe czasy, przedmiotem polemik, traktatów, korespondencyj, gdzie rozbierano subtelności urodzenia, stanowiska, biorąc pod uwagę np. czy książę krwi był *di maggiore*, albo też *di minore potenza* itd. W zasadzie, członkowie kolegium kardynalskiego, uważali się za osoby, stojące w randze książąt krwi panującej, wychodząc z poglądu, iż papież, jako panujący monarcha i to nawet zwierzchnik moralny chrześcijańskich monarchów, posiada w kolegium polityczną rodzinę, senat apostolski, wybierający Głowę kościoła. Zresztą, według przyjętej etykiety, kardynałowie byli pierwszymi dygnitarzami, gdziekolwiekby się znajdowali. Ztąd też i wyszedł zwyczaj, zachowywany dotychczas, iż kardynałowie na Nowy Rok rozpisują listy z powinszowaniem do wszystkich dworów panujących katolickich.

Niezależnie od panujących książątek włoskich, bardzo jeden o drugiego zazdrosnych, książęta rzymscy i wogóle znaczne rodziny, używali tytułu: *Illustri*, *Illustrissimi*, i tak też odzywano się do purpuratów przed Urbanem VIII. Wszechwładni bratankowie Klemensa VIII Aldobrandiniego: kardynałowie Hipolit i Piotr Aldobrandini, byli: *Illustrissimi et Reverendissimi*, jak później Richelieu i Mazarini. Dopiero Urban VIII, jak rzekliśmy, na tajnym konsystorzu, w dniu 10 czerwca 1630 r. uchwalił dekret, gdzie podnosząc przodownictwo kardynałów, trzech arcybiskupów - duchownych elektorów imperium, tj. Moguncyi, Kolonii i Trewiru, oraz W. Mistrza Zakonu Maltańskiego, nadal im nazawsze, tytuł *Eminenzy*. Inni dostojnicy kościoła mieli, zakazane używanie tego tytułu. Wobec tego, żaden z kardynałów nie mógł przyjmować listów z innemi tytułami.

Kardynałowie mieli odtąd składać przysięgę piśmienną, na zachowanie dekretu, czy to przy odebraniu kapelusza

kardynalskiego z rąk papieża, jeśli są *in curia*, tj. mieszkający stale w Rzymie, albo też przy odebraniu biretu, jeśli mieszkają w ojczyźnie swojej¹⁾.

VIII.

Powyższy dekret Urbana VIII wywołał niezwłocznie protesty. Sprzeciwiał się ambasador sabaudzki, margrabia di Lié, protestowała dumna Hiszpania. Pierwszy stanął w obronie praw młodego księcia Sabaudzkiego, podniesionego do kardynalatu i żądał zachowania tytułu *Altezza Serenissima*, lub *Serenissimo Principe*. Pius Karol Emmanuel, zwany kardynałem *di Savoia*, księżę kościoła od r. 1604, był bardzo zazdrosnym o swoje pochodzenie, dumnym i wyniosłym. Umarł w Rzymie w r. 1641, pochowany u Jezuitów. Dwór sabaudzki nie chciał słyszeć o zmianie. *Altezza Serenissima* księżę Sabaudzki — pisał margrabia do papieża — nie może nie pochwalić i nie uznać bardzo rozumnych zamysłów Jego Świątobliwości i św. Kollegium. Jednakowoż, ponieważ bezwarunkowa równość mogłaby łatwo szkodzić królewskim prerogatywom, które skutkiem posiadania ich przez tyle wieków, są powodem, iż Jego dom odróżnia się od domów innych książąt włoskich, przeto Jego Wysokość życzy sobie i o ile potrzeba, protestuje, gdyż *Serenissimus* księżę kardynał, jego syn, który od urodzenia nosi przyimoty nie podlegające żadnej zmianie, winien być zachowanym na tymże stopniu godności, na jakim będą inni synowie królewscy jako pochodzący od księcia, który przez pokrewieństwo, w prostej linii, jest prawdziwym i prawowitym królem Cypru i którego przodkowie uznani byli za takich przez cały świat, a osobliwie przez Stolicę Św. itd.

„Że zaś niektórzy z poprzednich *duków serenissimów* nie używali tytułu królewskiego, dlatego jednak korzystali po wsze czasy z wielkich honorów i przywilejów królewskich i byli odróżniani od innych. A ponieważ nie zrzekli się najwyraźniejszych praw do sukcesyi w tem królestwie (Cypru), zatem pozostaje w mocy nietylko prawe pochodzenie od

¹⁾ Ręk. jezuicki Nr 515. Bibl. król. Wikt. Emmanuela w Rzymie.

Anny z Cypru, księżnej Sabaudzkiej, ale, co więcej, trwa w sile rozporządzenie, zrobione przez królową Carlotę, żonę króla Ludwika Sabaudzkiego, w dniu 8 czerwca 1462 r., a potwierdzone potem w Rzymie w r. 1485, którem, z własnej woli podarowała owe królestwo, na mocy układu *inter vivos* księciu Karolowi Sabaudzkiemu, najbliższemu krewnemu, jak opiewa dokument donacyi i *breve* papieża Innocentego VIII, siedzącego wtedy na Stolicy Piotrowej“.

Protest ambasadora został zakomunikowany kardynałom ¹⁾. Jeszcze gorzej niż Stolica Apostolska, przyjęła ów protest Wenecya, naturalnie z innych, wyłącznie politycznych względów. Rzeczpospolita Wenecka, która była koroną, nie chciała uznawać zmian w tytułach, nietylko w stosunkach ze Stolicą Apostolską, ale i z domem Sabaudzkim. Wogóle stosunki Rzeczypospolitej św. Marka z papieżstwem, za Urbana VIII, były konsekwentnie złemi. Ztąd poszło, iż kilku kardynałów rzymskich odmówiło przyjęcia listów od Signorii weneckiej, adresowanych po dawnemu. Dalszem następstwem rozmaitych sporów było, iż kardynałowie przejeżdżali *incognito* przez stolicę nadlagunową. Ale bo i tutaj były w grze subtelności, powoływania się na traktaty, dziedzictwa, genealogię. Wenecyanie upierali się przy swoim, gdyż posiadali, albo też niegdyś posiadali kolonie, które były królestwami. Ostatecznie ambasador wenecki pokłócił się z Watykanem i wyjechał z Rzymu. Co więcej, Wenecya pokłóciła się z księciem Sabaudzkim, zawsze o ten nieszczęśliwy tytuł, a to dlatego, że ks. Sabaudzki w traktacie, jaki zawarł z kardynałem - infantem hiszpańskim, aby nie otrzymać tytułu *Eminencyi*, przybrał tytuł „króla Cypru i Jeruzolimy“ co niemile dotknęło uszy doży i senatu weneckiego.

Owi mali książątka sabaudzcy posiadali poźółkłe paragaminy, których wartość była wielce wątpliwą, od czasu gdy Turcyja wkroczyła z mieczem w sieć praw i dziedzictw, jak zrobiła z Cyprem, a miała teraz uczynić z Kandyą. Posiadali nawet tytuł królów Armenii. Ten ostatni tytuł był przywiązany do głównej linii domu Lusignan, który dzierżył wyspę Cypr przez jeden wiek i dlatego królowie Cypru

¹⁾ Ręk. Nr. 515 *Jesuitica*. Bibl. Vit. Emmanuele.

na herbach i dyplomach pisali się królami Armenii. Katarzyna Cornaro, Wenecyanka, żona Jakóba de Lusignan, ostatniego króla Cypru, w dyplomie inwestytury, udzielonej jej przez dożę Augustyna Barbarigo, nazwaną była królową *Hierusalemii, Cypri et Armeniae*. Ponieważ Jakób de Lusignan umarł bez spadkobierców, więc prawa i tytuły jego rodu otrzymała w posagu jego siostra Carlotta, która, jak już powiedzieliśmy, wyszła za męża za drugiego syna Ludwika II Sabaudzkiego. Ona też zapisała je testamentem bratankowi, Karolowi I Sabaudzkiemu, zwanemu *il Guerriero*, skutkiem czego dom sabaudzki przyszedł do tytułów: Cypru, Jerozolimy i Armenii. Zdaje się jednak, że i Wenecya aspirowała do Cypru, choćby tylko do tytułu, i ztąd rozdziły się spory.

Niezależnie od ważnej kwestyi tytułu *Altezzy* (J. Wysokości) w łonie kardynałów, nienależących do rodzin panujących, były sprzeczki o to, czy niektórzy z nich mogą używać: *Illustrissimi et Excellentissimi*, czy tylko *Reverendissimi*, jak chciał papież? Aby wytlómaczyć ambitnym głowom historycznych rodów, że ich pretensye są nieuzasadnione, przytaczano dwa przykłady.

Jednym był kardynał Franciszek, wicehrabia de Joyeuse, Francuz, który, jako ostatni z swego rodu, odziedziczył księstwo Joyeuse, był parem Francyi, zausznikiem naszego Henryka Walezego, kiedy panował na tronie francuskim. Joyeuse był spokrewnionym z domem Valois, został kardynałem w r. 1583. Żył jeszcze za czasów Pawła V Borghese, gdyż umarł w r. 1615, zostawiwszy po sobie chlubne wspomnienie z powodu licznych fundacyj i przykładnego życia. Żył współcześnie z kardynałem Jerzym Radziwiłłem, którego teologowie jezuicki cytowali także, jako przykład umiarkowania.

Kardynał Jerzy Radziwiłł, Polak, ksiązę na Olyce, *signore molto principato in Lithuania*, nazywa go rękopis jezuicki. ¹⁾ „O jego wielkości nie można powątpiewać, gdyż prócz tego, że był krewnym bardzo bliskim Zygmunta Augusta, króla polskiego, ale jeszcze kiedy przejeżdżał przez Hiszpanię, zanim go Grzegorz XIII zrobił kardynałem, król Filip II (którego niech Bóg w chwale niebieskiej zachowa)

¹⁾ Nr 515. Bibl. Wikt. Emman.

przyjmował go, jak granda, kazał nakryć głowę kapeluszem, nie robiąc żadnej trudności, a z tem wszystkiem, choć ten pan był kilka razy w Rzymie, gdzie umarł za czasów Klemensa VIII, przecie nie znajdzie się, aby kiedykolwiek żądał tytułu *Illustrissimo et Eccellentissimo*, ale tylko *Illustrissimo et Reverendissimo*, choć w Hiszpanii mógł być w randze grandów, a po kądzieli spokrewnionym był z królami i cesarzami“.

Tyle mówi Jezuita. Przyjechawszy do Rzymu, kardynał Jerzy Radziwiłł zamieszkał z bratem swoim w willi Papa Giulio (Juliusza III) na via Flaminia. W r. 1583 Grzegorz XIII zrobił go kardynałem - prezbiterem, z tytułem kościoła św. Sykstusa. Umarł za powtórnego pobytu w Rzymie, dokąd przyjechał *ad limina* w r. 1600.

Trudniejsza sprawa była z Hiszpanią, z królem „kato-lickim“, z dumą następców Karola V i Filipa II, z ich wszechwładnem stanowiskiem w sprawach Kościoła. Prawda, że w gronie kardynałów zasiadało tylu Hiszpanów, iż rola Watykanu była z góry określona. Zrobionym więc został wyjątek dla kardynała - infanty, brata królewskiego, wyszło *breve* konsystorskie, po r. 1630, wyjmujące onego z pod ogólnej reguły. Kardynał Karol di Spagna otrzymał zgodnemi głosami całego Kollegium tytuł *Serenissimus*, dlatego, iż był bratem króla hiszpańskiego, która to prerogatywa w oczach monsignorów była tak wielką, iż w Eskurialu, kiedy był jeszcze świeckim, miał zawsze pierwszy krok przed innym kardynałem - infantem. Ale i tutaj, rzeczy z początku gładko nie poszły, tylko że kardynał Karol — mianowany kardynałem w r. 1619 — po wydaniu ostatniego dekretu, kapelusz kardynalski odesłał i sprawę odrazu na ostrzu noża postawił.

Były zresztą inne jeszcze precedensy, które w kwestyach ceremoniału zwykle kwestyę rozstrzygały. I tak np. wielki książę tokański, Ferdynand Medyceusz, i książę Mantuy Gonzaga mianowani kardynałami — oczywiście bez święceń, czy ślubów kościelnych — objęli następnie rządy w swoich państwach, nie składając przez czas jakiś kapeluszów, używając tytułów *Serenissimi* i to nawet w stosunkach ze Stolicą Apostolską, która im tego tytułu nie odmawiała.

A podobnych mianowań książąt krwi kardynałami mogli-
byśmy przytoczyć jeszcze więcej przykładów. Aleksander VI

Borgia, w r. 1493 zrobił kardynałem królewicza Fryderyka Kazimierza Jagiellończyka, brata św. Kazimierza, w 19 roku życia. Leon X w r. 1513 kreował kardynałem-dyakonem ks. Alfonsa Portugalskiego; Grzegorz XIII w r. 1576 arcyksięcia Andrzeja Austryackiego, naturalnego syna arcyksięcia Ferdynanda. Paweł V, w r. 1619, mianował drugiego austryackiego kardynała w osobie ks. Ferdynanda Austryackiego, syna Filipa III, króla hiszpańskiego i t. d.

W owych czasach i warunkach, kardynałat był raczej tytułem dworskim, godnością senatorską.

Trzej inni kardynałowie: de Bourbon, Vendôme i Andrzej Batory, bratanek króla Stefana, wychowaniec szkół pułtuskich, pomimo iż byli krwi królewskiej, nie robili trudności co do tytułów. Podobnie i Wielki Mistrz Maltański. Panował nad Malcią, miał władzę nad połową szlachty europejskiej, a jednak z początku używał tylko tytułu *Illustrissimus et Reverendissimus*.

Kiedy Kurya rzymska zrobiła wyjątek dla hiszpańskiego infanta, zaprotestowali niezwłocznie sabaudzki i florencki kardynałowie i póty sprawa była nie załatwioną, póki śmierć infanta charakterystycznego na owe czasy sporu nie zamknęła. Skoro Innocenty X wstąpił na tron, jednym z pierwszych dekretów, jakie wydał, była konstytucya, zatwierdzająca bullę z r. 1630, w sposób, znoszący zarazem przywilej udzielony, tak, aby droga do dalszych wyjątków ostatecznie została zamkniętą. Konstytucya *Militantis Ecclesiae* o tytule i odznakach kardynalskich, datowaną jest z dnia 19 grudnia 1644 r. Tą bullą, potwierdzającą uchwałę ciała kardynalskiego, ustanowionym został ponownie, raz na zawsze, tytuł *Eminencya* i *Eminentissimus*, z wyłączeniem wszelkich dodatków w herbie, jak koron i t. d. Dozwolonem zostało dawać tytuł: *Eminentissimus et Reverendissimus*, albo też *Eminentia Reverendissima*, z całkowitem wykluczeniem *Celsitudo* czyli *Altezza*, t. j. J. Wysokość. Bulla nie wykazywała wprawdzie wyraźnie książąt krwi królewskiej, jako podlegających przepisowi, mówiła ogólnikowo, ale niemniej jasno o kardynałach, *quaecumque natalium*, to jest bez różnicy urodzenia i nie pozostawiała wątpliwości, iż synowie monarchów odtąd z żadnych wyłączeń korzystać nie będą.

Zastrzeżonem było zarazem, aby na pieczęci lub na jakiegokolwiek innej odznace herbowej nie kłaść nic innego, prócz herbu, nakrytego kapeluszem kardynalskim, ową purpurą, „jaką od drogiej krwi Chrystusa Pana“ książęta Kosiółka mają być ozdobieni.

Przeprowadzenie i ustalenie demokratycznej, w swoim rodzaju, innowacji, było zapewne dodatnią stroną nepotyzmu, albowiem, jeżeli kto, to bratankowie papiescy, potomkowie nowszych rodów, mieli wszelki interes, aby być zrównanymi w ceremoniale i godności z książętami rodów nie tylko starszych i wyższych, ale nadto nieraz oświeconych blaskiem królewskiej korony.

Ostatni dekret z końca 1644 r. miał o tyle pełny skutek, iż Medyceusze, zwani Cardinali di Fiorenza i Este kardynał di Modena, zarzucili niezwłocznie tytuł „Ich Wysokości“, jaki wskutek odznaczenia kardynała infanta zatrzymali i zawiadomili innych kardynałów, aby ich inaczej jak „Eminencyą“ nie nazywali. Znikła także korona książęca z nad tarczy herbowej.

Zdawało się więc, iż sprawa emulacji, praw etykietalnych, raz na zawsze pogrzebaną została.

IX.

W tem ostatecznem stadyum znajdowała się sprawa tytułów, kiedy Jan Kazimierz został kardynałem. Już mówiliśmy, iż podpisanie rewersu, przedłożonego przez Mattei'ego wpędziło młodego księcia w trudne położenie, którego winę przypisać należy jemu samemu, czy też jego sekretarzowi, jeżeli onego posiadał. Dopiero list Kamila Pamfilii otworzył oczy kandydatowi. Kardynał Pamfilii, idąc za przyjętymi formami, zaraz po nominacji, wyprawił do Frascati monsignora Lomelliniego, *tesoriere* papieskiego, aby doręczył list z powinszowaniem i czerwoną czapeczkę. Ponieważ Jan Kazimierz był już kardynałem, przeto list był adresowanym: *Do Jego Eminencyi Jana Kazimierza kardynała di Polonia*. Brak zwykłego tytułu „J. Królewskiej Wysokości“ (*Altezza Reale*) zwrócił uwagę adresata, który też ani listu, ani czapeczki nie przyjął i posłańca dość szorstko odprawił. Wtedy —

że się tak wyrazimy — pękła bomba. Wtedy dopiero młody Waza spostrzegł jak daleko zaszedł, poczuł niejako fałszywość położenia, uczył żal do kardynała Mattei'ego. Jaktó? Dla tego przyjął kardynalat, aby zostawić sobie otworem drogę do korony, polskiej czy nawet i szwedzkiej, a teraz właśnie dlatego miał się zrzekać korony i tytułu, schodzić z tych wysokich stopni? Coby na to powiedział król Władysław? Czy raczej nie byłoby szaleństwem krępować się kardynalatem? Spostrzegł się tedy, iż się zawikłał w trudności etykiety. Zasięgnąwszy w Rzymie bliższych wiadomości co do owych przepisów, dowiedział się jeszcze, iż kardynał-infant hiszpański, także brat królewski, wyjętym został z ogólnej reguły, że wreszcie kardynał Albert Austriacki, w XVI wieku, tytułował się zawsze: „J. Cesarską Wysokością!“... Jeśli dla tamtych zrobiono wyjątek, dlaczegóżby dlań takiego samego nie zrobiono?

Rozesłał więc, stosownie do zwyczaju, listy do wszystkich kardynałów, z powiadomieniem o zaszczycie, jaki go spotkał, a Medyceusza i Este'go zatytułował: *Altezza*. I dziwna rzecz, Karol Medyceusz, czy to pozyskany przyznaniem mu tytułu, czy też dla jakiegokolwiek innej przyczyny, dość, że mu odpisał, kładąc tytuł: „Jego Wysokości.“ Wypadało tedy przedewszystkiem wysłać kuryera do króla. Posłaniec miał wstąpić do Wiednia, aby tam zasięgnąć informacji, a tymczasem należało się postarać o audyencyę u papieża, aby, o ile możności, złagodzić przykre wrażenie, jakie w Kwirynale wywołało odrzucenie listu Kamila Pamfilego, zasłonić się przedewszystkiem brakiem instrukcyj z Warszawy. Zresztą papieżowi można było wytłómaczyć, o co właściwie chodziło. Żal swój, Jan Kazimierz wywarł na kardynale Matteim; napisał doń niezwłocznie list, prosząc, aby zawiadomił kardynałów, iż żadnego listu, bez dania mu tytułu *J. Królewskiej Wysokości* — nie przyjmie. Wracła się niedawna historia z kardynałem hiszpańskim. Wszystkie trudności odżyły nanowo; dlatego purpuraci zebraли się kilka razy, aby wspólną solidarną uchwałą odepchnąć roszczenia młodego kolegi. Jan Kazimierz oglądał się nie tylko na brata, na Habsburgów, na Madryt, ale i na Ma-

zariniego. Dość, że reakcyja przeciw zakonnej pokorze nie mogła być gwałtowniejszą.

Dnia 6 czerwca pisze więc dwa listy zredagowane widocznie przez jednego z OO. Jezuitów: jeden do Innocentego, drugi do kardynała Karola Medyceusza: ¹⁾)

„*Beatissimo Padre!* Dobrodziejstwo, jakie Wasza Świątobliwość raczył wyświadczyć memu domowi królewskiemu nadając mi godność kardynalską, jest bardzo wielkiem i z tej przyczyny, czułem się w obowiązku, spełnić życzenie W. Świątobliwości i Najjaśniejszego króla, brata mego. Dlatego, pragnąłem być u Najświętszych stóp W. Świątobliwości, aby je ucałować za łaskę, otrzymać czerwony biret i przedstawić zarazem moje chęci i wolę, aby to nie było na korzyść domu królewskiego, ale głównie z korzyścią dla religii katolickiej i Stolicy Świętej. Życzyłem sobie również dlatego, aby móżdż, własnymi słowy, objaśnić W. Świątobliwość, co do przebiegu, jaki miały pertraktacye, poprzedzające promocyę, gdyż, aby być dokładnie obeznanym, potrzebnem jest, aby W. Świątobliwość także i mnie wysłuchał, iżby mógł wydać swój świątły sąd, co do którego jest mi pomocą wysoki rozum Waszej Świątobliwości. Zarazem upraszam uniżenie, aby był przekonany o mojej wdzięczności i posłuszeństwie, którym hołdując, szanować będę zawsze imię W. Świątobliwości, iż dzięki swej nieskończonej mądrości i gorliwości podwoił moje zadowolenie, przez udzielenie mi tej godności. Taksamo też, w każdej okoliczności, pielęgnować będę najserdeczniejszą znajomość z kardynałem Pamfilim i ze wszystkimi z krwi W. Świątobliwości, aby tem snadniej zadosyć uczynić moim zobowiązaniom. Żywię zresztą nadzieję, iż z przyczyny niektórych trudności, jakie się wyłoniły, Wasza Świątobliwość raczy łaskawie uwzględnić konieczność, w jakiej się znajduję, iż nie mogę zezwolić na nic, coby mogło być prejudykatem dla przywilejów królewskich, zanim poprzednio nie poznam sposobu myślenia nie tylko króla, brata mego, i całej Rzpltej polskiej, ale i najjaśniejszego cesarza i koron, z przyczyny szkody, jakaby

¹⁾ Bibl. Wiktora Emmanuela. Rękopis Nr. 209. *Jesuitica* (str. 79—88).

na mnie spadła w danym razie, zwłaszcza ze strony Rzeczypospolitej, gdyby mnie, w możliwym razie, w przyszłości, miano uważać za niezdolnego do owej korony, którąbym z taką łatwością był złożył i aby nie sprzeniewierzyć się zaprzysiężonej wierności PP. Senatorów i innych ze szlachty polskiej, którzy się znajdują na dworze królewskim, czego skutek byłby, iż cel, dla którego zmieniłem stan i dobrobrodziejstwo, wyświadczone przez W. Świątobliwość z takim nadmiarem życzliwości zmarniałyby zupełnie. Ale, u stóp W. Świątobliwości przedstawię lepiej słuszne racje moje, będąc pewnym najskuteczniejszej pomocy, protekcyi i łaski i powtórnie najpokorniej je całuję.

Frascati d. 6 czerwca 1646.

Waszej Świątobliwości najpokorniejszy i najwdzięczniejszy sługa.

Jan Kazimierz kardynał.“

List do kardynała Karola Medyceusza był obszerniejszy i dosadniej wyluszczał pretensye królewicza. Nieporęcznie było pisać do Kamila Pamfilego; zresztą, odrzucił był książkę jego list z powinszowaniem, gdyż Pamfili tytułował go Eminencyą. Taksamo postąpił Lanti, a z Matteim się pogniewał. Jeden jedyny, Medyceusz, pisząc list z powinszowaniem, adresował „J. Królewska Wysokość“, a zrobił tym razem wyjątek dlatego, że Jan Kazimierz tytuł Wysokości mu wypisał.

W liście swym do kardynała Medici tłumaczył książkę, iż kiedy papież, skutkiem listów Władysława IV, deklarował się zadowolnić królewskie życzenie, wtedy kardynał Mattei, przez dworzanina posłał do Frascati ostatni dekret papieski, aby się Jan Kazimierz w nim rozpatrzył, co też i miało miejsce. Niebyło w nim jednak mowy o książętach krwi królewskiej, jakby być powinno, gdyby podobne przepisy miały obowiązywać.

Wprawdzie Mattei mówił mu potem jeszcze o dekreście, ale tak niewyraźnie, iż go nie zrozumiał, więc też i odpowiedź była, iż nie widzi żadnej trudności w dotrzymaniu onego. Życzył sobie wszakże protektor Polski, aby Jan Kazimierz stwierdził to na piśmie i posłał nawet wzór deklaracji, która że była zbyt długą, nie byłby jej nigdy podpisał,

choćby nawet J. Świątobliwość tego żądał, podpisał więc tylko to, o czem ustnie była mowa, choć i tego teraz żałuje.

Treść owej kartki załączoną była przy liście, który brzmiał dalej:

„Skoro promocya została ogłoszoną, uznałem za potrzebne zawiadomić go (tj. Matteie'go) umyślnym listem, aby wiedział, iż nie mogę zadowolnić się tytułem Eminencyi, ani też opuścić korony nad herbem, gdyż byłoby to z uszczerbkiem nietylko dla mnie samego, ale i dla wszystkich książąt, tak iż w tej sprawie wypadalo oczekiwać zdania i woli mego brata, króla, jakoteż i Najjaśniejszego cesarza i koron.“

„W tym też sensie pisałem do kardynała, aby przezeń wiadomem było całemu św. Kollegium postanowienie moje, iż ktoby nie miał ochoty dawać mi tytułu Wysokości, niech się wstrzyma od pisania do mnie.“

„Najwięcej obruszyli się ci, którzy są nowicyuszami w łaskach fortuny i mało mają wyobrażenia o przywilejach urodzenia książęcego, co było powodem, iż się odbyły dwie kongregacye, jedna Ceremoniału, druga kompletu św. Kollegium. Domyśleć się można, jakie powzięli uchwały, kiedy umysły były zajątrzone.“

A trochę dalej pisze:

„Ponieważ nie jestem objęty dekretem, przeto względem mnie przysięga żadnego z panów kardynałów nie obowiązuje, w jakim bądź interesie. Wiedząc to, *Wasza Wysokość*, otwarcie odpowiedziałeś, dając tytuł Altezzy, którą to łaskę, zawdzięczam godności książęcej, za jaką będę umiał się odwdzięczyć z równą gotowością i uszanowaniem.“

„Sprawa zostanie tak jak jest, póki tymczasem nie nadejdzie odpowiedź, zarówno z Polski, jak i z dworu cesarskiego, a i ta nie będzie mogła wypaść inaczej, jeno stosownie do godności monarszej, gdyż panujący mają obowiązek zachować ją nienaruszoną, po nad ogółem i osobami, którym Bóg nie raczył dać przywilejów i podobnych odznaczeń.“

Jak powiada Ameyden, papież zganil postępek kardynała Karola Medici, tak, że ten już potem do nowego kolegi swego nie pisał.

W samej rzeczy, ciało kardynalskie poruszyło się. Zwolane zostały dwa nadzwyczajne posiedzenia pod przewodni-

ctwem kardynała Lanti, poczem Spada przedłożył papieżowi uchwałę zgromadzenia: żądanego tytułu żadną miarą przyznać nie można, kardynał di Polonia, jeśli się nie zgadza, niech wraca do kraju, gdzie mu nikt tytułu zaprzeczać nie będzie; przedewszystkiem jednak należy czekać na odpowiedź i zdanie króla Władysława — dodaje Ameyden. Niektórzy z kardynałów byli nawet zdania, iż najlepiej byłoby wydać nową bullę, w którejby synowie rodów królewskich wyraźnie byli wymienieni. Ponieważ położenie było delikatnem, więc kardynał-protektor Mattei nie brał udziału w posiedzeniach, znalazłszy się między młotem a kowadłem — zresztą często chorował. Pierwsza kongregacya zebrała się wieczorem, w dzień Bożego Ciała, u kardynała Spady, prefekta Kongregacyi Ceremoniału, druga zaś nazajutrz z rana, w kompiecie purpuratów, w mieszkaniu Lantego.

Kasper Mattei, książę Paganica, protektor Polski, pochodził ze znakomitego rodu rzymskiego. Jego matka pochodziła z rodziny Cencich, z której słynną była Beatrice Cenci, święta przed półwiekiem. Mattei miał już około 60 lat i znaczną za sobą karierę, gdyż był nadzwyczajnym nuncyuszem w Wiedniu, co się zapewne przyczyniło do oddania mu protektoratu polskiego. Łatwo osądzić, iż Mattei postąpił całkiem prawidłowo i zachował, jak przyznaje poniekąd sam królewicz, wszelkie środki ostrożności, jakie uważał za stosowne wobec wywyższenia młodego Wazy.

Kiedy Innocenty X wezwał do siebie monsignora Lomelliniego, wysłanego powtórnie do Frascati, tenże objaśnił, iż kardynał Jan Kazimierz obstawał jak najuporczywiej przy wymaganiu tytułu Jego Wysokości nie tylko od kardynałów, ale i od papieża, na tej zasadzie, że taki tytuł dał mu papież Urban, kiedy był jeszcze Jezuitą i że mu kazał przy sobie usiąść. Opowiadał również mgr. Lomellini o liście, jaki napisał do Mattei'ego, bardzo szorstkim, gdyż powiedzianem było w nim, że za mniejsze uchybienie Francya odjęła protektorat kardynałowi Barberini, zakończył go zaś temi słowy: „Niech Wasza Eminencya nauczy się na przyszłość więcej wierzyć słowom książąt“ i podpisał się bez żadnych grzeczności ¹⁾.

¹⁾ Ameyden: *Diario*.

Francya, jak wiemy, odjęła była protektorat Barberinemu za to, że dopuścił do wyboru na *conclave* znanego stronnika Hiszpanii, Pamflego; porównanie było tedy całkiem nietrafnem i niesprawiedliwem. Ale bo też jeśli Jan Kazimierz ostro sobie z staruszką poczynął, miał w tem pewne wyrachowanie. Pobierał on z Warszawy pensyę roczną w kwocie dziesięciu tysięcy talarów, które mu nie wystarczały; chodziło o to, aby pensyę podnieść do dwudziestu tysięcy, gdyby tedy Waza uzyskał protektorat Polski, tysiąc talarów byłoby znalezione. Z Wiśnicza pisze 1 lipca Marya Ludwika list do kardynała Mazariniego, gdzie zdradza nam zakulisowe sprężyny tej sprawy. ¹⁾ Oto, co donosi poufnie do Paryża, w dwa miesiące po ślubie: „Ponieważ p. Brégy (ambasador francuski w Warszawie) mówił mi, iż sprawa protekcyi Polski i kardynała Mattei jest już załatwioną, przeto nie wspominałam o niej. Coprawda, nie mogłabym była wtedy wiele zrobić. Przed kilku dniami powiedział mi (Brégy), żeś mu pan o tem znowu pisał i że już o tem mówił królowi, który powiedział, że ją ksiązę Kazimierz otrzyma. Choć wierzyłam temu, chciałam mu (t.j. królowi) o tem mówić, widząc go dobrze usposobionym. Odpowiedział mi król, że brat prosi go o nią, *mais qu'il ne savait pas, par quelle voie l'ôter au cardinal Mattei, qu'il fallait un prétexte*. Powiedziałam mu, aby brat, jeśli może, pretekst sobie wynalazł. Przytoczyłam wiele powodów, dla jakich miałby obowiązek (król) dać tę godność bratu swemu, a najważniejszy, pensya roczna dwudziestu tysięcy talarów. Koniec końcem, jeśli pan możesz dać jaką dobrą radę księciu Kazimierzowi, bardzo mu to będzie miłym i mnie także. Niewiele mogłam znaleźć pretekstów; dotyczący korzyści pieniężnej brata, nie wydawał mi się dość wymownym, a potem, nigdy się nie mieszałam do podobnych interesów i słyszałam o nich tylko z gazety. Ksiązę Kazimierz ma zamiar żenić się, skoro będzie miał tę protekcyę. Będzie wtedy zmuszony oddać ją i z łatwością odstąpi ją temu, komu zechce“. A więc, Jan Kazimierz jednocześnie starał się o kapelusz kardynalski, chciał schwyć protektorat, myślał o ożenieniu się itd.

¹⁾ *Teki* Lukasa w Bibl. Ossol. k. 172.

Ameyden w swym dyaryuszu nie zapomina o sprawie kapelusza i skoro usłyszał w antykamerze Kwirynału, iż Władysław nie życzy sobie odjęcia tytułu, donosi o tem w następujący sposób, mówiąc o nowym kardynale: „Niemniej tłumaczy on Pałacowi, że owa druga bulla go nie dotyczy, gdyż nie wspomina o synach królewskich, którzy na szczególną wzmiankę zasługują. Temu znowu *Palazzo* przeciwstawia karteczkę Jana Kazimierza, w jakiej przed promocją oświadczył, iż się zadowolni Eminencyą, ale on odpiera teraz, iż ma przeciwny rozkaz od króla brata swego, i że to może obowiązywać osobę, ale nie królestwo; z czego wnioskują, iż przedzie przez Rzym *incognito*, odbierze kapelusz całkiem prywatnie i wyjedzie do Wenecyi. Wygrali, w tym wypadku, sprawę u papieża Jezuici, a także i św. Kollegium...”

Konflikt między władzą duchowną a dumnym i upartym księciem był o tyle niedogodnym dla papieża, że w owym właśnie czasie toczyły się układy o ligę przeciw Turcyi, o t. zw. dywersyę, jaką Polska miała zrobić, wypowiadając wojnę Turcyi, aby pomódz Wenecyi w sprawie Kandyi, z kąd nieustannie złe wiadomości nadchodziły. W chwili, kiedy Jan Kazimierz wprowadzał w kłopot grono kardynalskie, dwóch ambasadorów weneckich pukało do papieża. Dlatego, choć na konsystorzu, w Kwirynale, była znowu mowa o pretensjach Wazy i zapadło postanowienie, aby trzymać się powziętej u kardynała Lante decyzji, jednakowoż ogłoszenie onej odłożonem zostało aż do nadejścia królewskiej odpowiedzi.

Władysław IV zajęty był koronacją królowej, przyjmował posłów moskiewskich i tatarskich. Z Wenecyi, nadchodziły do Rzymu wojownicze *avizy*. „W tem państwie (t. j. w Polsce) zbroją się pospiesznie, z wielkim zapalem, przeciw Turkowi i skoro tylko królowa będzie ukoronowaną, król wyjdzie na wojnę, z wojskiem 150 tysięcy żołnierza, w czem 30 tysięcy konnicy polskiej i 20 tysięcy piechoty niemieckiej, którą obecnie zaciągają w cesarstwie, za pieniądze, wyłożone przez p. Jana Tiepolo, ambasadora weneckiego w Warszawie; należą do ligi: Moskiewski, Siedmiogród, Mołdawia i Wołochy“. Krażyły wieści, iż król wysłał posłów do „wielkiego Turka“ (*Gran Turco*) i do bana ta-

tarskiego, aby doręczyli goły miecz i trupa czaszkę, na znak wojny.

Że *awizy* były częstokroć tylko echem tego, czego sobie Wenecya życzyła — jest łatwem do zrozumienia. Według nich, Marya Ludwika pożyczyła, z własnego posagu, ambasadorowi weneckiemu, na 7^o/_o, dwakroć pięćdziesiąt tysięcy skudów. W istocie jednak, wojownicze plany Władysława już były ochłodły, gdyż kraj im był przeciwnym, a mało przytem było nadziei, aby którykolwiek z europejskich monarchów dał pieniężną pomoc, z wyjątkiem włoskich książąt i papieża. Jakoż niebawem nadechodzą informacye trzeźwiesze i wiele mniej przesadne. „Z Polski donoszą, iż lubo sprawy tego państwa w kwestyi wojny tureckiej zupełnie się zmieniły, jednakowoż, gdyby poseł turecki wystąpił, wobec dworu królewskiego, ze zwykłemi wygórowanemi żądaniami, nietylko król, ale i państwo poruszą się i upierać będą przy dotychczasowych oświadczeniach, choć sejmiki, jakie mają być zwołane, króla nie poprą.“

„Na posłuchaniu prywatnem u papieża, ambasador wenecki skarżył się znowu na Francuzów, że otwarcie paraliżują postanowienia królewskie wyprawy przeciw Turcyi“. Kardynał Mattei, ze swej strony, donosił Innocentemu X, iż według ostatnich listów, jakie otrzymał z Polski, król upiera się przy wyprawie tureckiej, pomimo wielu przeciwnych propozycyj, jakie czynił ambasador francuski, i że stany królestwa z postanowienia królewskiego nie są zadowolone. „Przecie król, mając pomoc z Multan, od Tatarów i Moskwy, niechce tracić sposobności...“

Ale i te ostatnie przebłyski nadziei, wkrótce znikną. Tenżesam Mattei donosi później w Watykanie, „iż wyprawa króla przeciw Turcyi nie przyjdzie do skutku, gdyż Wenecyanie nie chcą na niąłożyć pieniędzy, jak piszą *awizy*.“

Podczas gdy tak kardynał wyczekuje powrotu kuryera wysłanego do Polski, między Kwirynalem a Frascati toczy się piśmienna dyskusya na temat owych tytułów i korony, które tak nieszczęśliwie weszły w drogę pogodnemu załatwieniu sprawy. Jan Kazimierz posyła kardynałowi Karolowi Medy-

ceuszowi wystylizowane *memorandum*, wyluszczone czy też usprawiedliwiające powody, dla jakich wypadło obstawać przy dawnej formule, próbuje się wykręcić ¹⁾).

„*Najjaśniejszy* książę kardynał Polski i Szwedzki zasłaniał się nietylko domem królewskim Wazów, ale i cesarskim Habsburgów, niechciał być pierwszym, któryby wylom zrobił w etykiecie, gdyż wiedział, iż w późniejszych czasach mogliby się powołać na podobny precedens. Niechce być pierwszym, gdyż wie, iż przed nim nikt się na ustępstwo nie zgodził. Ponieważ wyższość królewskiej godności od Boga pochodzi, przeto tem większa solidarność ciąży na książętach rodów panujących, związanych węzłami krwi i do niej Jan Kazimierz, podobnie jak i inni, się poczuwa. Nietylko król, ale i inni bracia, cała Rzeczpospolita, pełna chwały, mieliby sobie za ujmę, za uchybienie własnej świetności i tym sposobem, dom królewski, nietylko że przez kardynałat nie zyskałby na zaszczycie, jak pisał papież do Władysława, ale przeciwnie, poniósłby nawet szkodę, gdyż w razie, gdyby przypadkiem królewicz miał myśleć o elekcji na królestwo, podniosłaby się gwałtowna opozycja, skoroby ujrzeli brak korony nad herbem, który przez przeszło czterysta lat był szanowanym i ubranym w koronę królewską, choć się tytuł królewski zmieniał. Tym sposobem, ojcowska miłość, okazana przez Ojca św. w spełnieniu życzenia królewskiego, nie przyniosłaby zamierzonego skutku, a także i dla Stolicy Apostolskiej, której korzyść miał król na oku, kiedy sobie życzył, aby jego brat, wbrew własnej chęci, wystąpił z zakonu“.

„Następnie: dekret sam zostawia Jego Wysokości zupełną swobodę, gdyż zobowiązanie, jakie nakłada na panów kardynałów, nie rozciąga się na braci i synów królewskich. Już wtedy, kiedy został ogłoszonym, tak o nim sądzono, skoro nie wymienia rodzin i osób królewskiej krwi, a więc ich nie dotyczy, albowiem wypadło wymienić koniecznie owe wysoko położone osoby, nie poprzestając na ogólnej klauzuli, czego nawet niema potrzeby dowodzić. Cowięcej,

¹⁾ Rękopis Nr. 209 Bibl. Wikt. Emmanuela. *Jesuitica*.

nie wymienia ich drugi dekret, podczas gdy od pierwszego zrobiono wyjątek, pozwalając niektórym osobom przyjmować i dawać tytuł królewski, zatem też i wypadło odwołać to słowy wyraźnemi, czegoby nie był omieszkiał zrobić prawodawca, gdyby był miał rzeczywiście zamiar przeprowadzić oną myśl ku pomnożeniu czci królewskiej, nie zaś z jej krzywdą“.

„Naciągając nawet myśl dekretu i wyrażenie *Quaecum que natalium*, nie podobna mu nadawać siły wobec osób królewskich, gdyż przedewszystkiem łatwo było dodać słowa *etiam regalium que*. Czują to najlepiej sami kardynałowie, gdyż zachowują ściśle przepisy, ogólne zaś formuły ich zwykle nie obowiązują i kiedy chcą okazać przywileje wysokiej swojej godności, nie mogą tego lepiej określić, jak powiedzeniem, że się równają królom, zatem byłoby niedorzecznem, gdyby przy ustanawianiu stopnia nietylko wysokiego ale i uprzywilejowanego, nie mogli sami wylamywać się z pod ogólnych przepisów“.

„Ani też bilecik Jego Wysokości, pisany do kardynała Mattei, którym przyrzeka dotrzymanie dekretu, nie krępuje go co do nowego tytułu i zdjęcia korony z herbu, gdyż się samo przez się rozumie, iż dekret nie skasował wyjątku od pierwszego dekretu, ani go odwołał. Przyznaje Jego Wysokość (*Altezza*), że się nie spodziewał takiego tłumaczenia dekretu i przykro mu, że Jego Eminencya (Mattei) nie zastanowił się nad znaczeniem onego, gdyż trudno było go inaczej tłumaczyć, chyba, że on sam go nie rozumiał“.

„Jasnym jest, iż gdyby Jego Wysokość chciał był przyjąć tytuł Eminencyi i pozbyć się herbowej korony, byłby to oświadczył wyraźnie, gdyby mu wytłumaczyli treść bileciku. Nie było tego jednak potrzeba, gdyż bilecik był wyraźny, zresztą, Jego Wysokość byłby zawsze wypowiedział swoje zdanie czy to przed promocyą, czy też po niej“.

„Jestto temwięcej widocznem, iż jak dobrze wie kardynał Mattei, Jego Wysokość odmówił podpisania innego bileciku, posłanego przez Jego Eminencyę, który został zachowanym i z którego kopię się tu udziela, jakoteż odmówił podpisania innego, zawierającego klauzulę dokładnego

wykonania dekretu i obietnicę posłuszeństwa dla Jego Świątobliwości. Ztąd jasno się okazuje, jakim, z góry, było postanowienie Jego Wysokości!“

„O tyle więc Jego Wysokość zastosuje się do dekretu, iż *dawać* będzie tytuł Eminencyi pp. kardynałom, choć i od tego jest wyłączonym, zarówno jak i od przyjmowania onego jak się zdarzyło np. z kardynałem - infantem, choć Jego Wysokość nie posunie się tak daleko jak on, przez szacunek, jaki ma dla św. Kollegium i aby podobnem postępowaniem nie obrazić godności królewskiej, która winna twardo strzedz własnych prerogatyw, ale nie lęka się podwyższenia godności innych osób...“

Jan Kazimierz chciał zatem dawać innym purpuratom tytuł przepisany, ale nie myślał go od nich przyjmować, na co znowu Watykan odpowiadał, wskazując palcem na dekret z r. 1644, t. j. na świeżo wydaną bullę Innocentego X, potwierdzającą poprzednią i ponawiał odmowę słuszności drugiej stronie.

„Dekret z r. 1644 został wydanym, aby zapobiedz nieporządkom, spowodowanym przez dopuszczenie wyjątku dla kardynała - infanty, od pierwszego dekretu z r. 1630, z czasów pontyfikatu Urbana VIII, skoro doświadczenie nauczyło, że ustanowienie wyjątku obudziło pragnienie podobnego indultu u innych kardynałów. Jeśli tedy dekret z r. 1644 uznany został za potrzebny, aby znieść nadużycia i nieporządki, spowodowane jednym jedynym wyjątkiem, pewnem jest, iż powrót do nowego wyjątku byłby zarazem powrotem do dawnych nieporządków. Trudno do prawdy zrozumieć, jak kardynał Jan Kazimierz, wzięwszy postanowienie zaszczytowania Kollegium swoją osobą, może żądać od Jego Świątobliwości takowej łaski, któraby ubliżała temuż Kollegium i dawała przyczynę nowych nieporozumień, gdyż nie da się zaprzeczyć, iż nastąpiłyby, gdyby mu dozwoleń zostało nosić tytuł *Wysokości*“.

„Niechaj posłuży za dowód, iż on sam, zaraz po wyniesieniu swoim na kardynała, zawiadomił o swojej promocyi wszystkich innych kardynałów - książąt, dając im tytuł *Altezzy*, choć żaden z nich nie był ani synem, ani bratem

królewskim ¹⁾, a więc widocznem jest, iż zrozumiał dobrze, że jeśli chce, aby mu dali ów tytuł, musi im go pierwej przyznać“.

„Nie ostoi się argument o szkodzie, jakiej się kardynał Kazimierz obawia ze strony narodu polskiego, w razie gdyby nie używał tytułu *Altezzy*, gdyż jakakolwiekby była zasada tegoż twierdzenia, pewnem jest, iż św. Kollegium, strzegąc swoich praw, nie myśli szkodzić komukolwiek, ale ma przedewszystkiem naturalny obowiązek nieszkodzenia sobie samemu, zwłaszcza, że owe Kollegium jest najdosłojniejszem i świętem na cały świat, z łona którego wybieraną bywa Głowa Kościoła i Namiestnik Chrystusów“.

„Kardynał Kazimierz może dobrze sobie przypomina, jak drażliwym jest w podobnych razach polski senat, kiedy chodzi o zachowanie własnych przepisów, zarówno w materji rytuału jak i ceremonii. Pewnem jest, iż arcybiskup gnieźnieński, pierwszy senator Rzeczypospolitej polskiej, robi trudności z ustąpieniem na sejmie pierwszego kroku kardynałowi, choćby ten ostatni był bratem samego króla, jak się zdarzyło za czasów papieża Mikołaja V, kiedy biskup krakowski ²⁾ został wyniesionym do kardynalatu i za panowania Piusa IV z biskupem warmińskim ³⁾, tak, iż ledwie dał rady kardynał Commendoni, legat w Polsce, aby spór uśmierzyć“.

„W zamku św. Anioła zachowanem jest *breve*, którem się oświadcza, iż promocya biskupa krakowskiego, rozumie się, jako nie z szkodą prawa (*ius*), jakie ma arcybiskup gnieźnieński, aby być pierwszym przy głosowaniu na sejmie królestwa polskiego“.

Działo się to w dawniejszych czasach, jak wyczytać można w życiu Piusa V, pisanem przez Catenę i Fuen-Majora, ostatnio zaś zdarzyło się z kardynałem Janem Albertem *di Polonia*, rodzonym bratem kardynała Kazimierza,

¹⁾ Medyceusze nosili tytuł Wielkich Książąt (*Gran-Duca*) a Este byli Dukami.

²⁾ Kardynał Zbigniew Oleśnicki miał zatarg na sejmie piotrkowskim, w r. 1449, z prymasem Władysławem Oporowskim.

³⁾ Stanisławem Hozyuszem (w r. 1564).

z obecnym arcybiskupem gnieźnieńskim. Nie można więc wierzyć, aby polscy senatorowie, tak skrupulatni w zachowaniu etykiety, mogli dziwić się, czy obrażać, gdyby kardynał Kazimierz wchodząc do senatu św. Kościoła, zastoso-
wał się do prawideł onego itd.“

W zamku św. Anioła, przy sali t. z. Biblioteki, była niegdyś sala tajnego archiwum, zwana niekiedy *del Tesoro* gdzie w wielkich szafach Sykstus V złożył pieniądze, tary drogiemi kamieniami sadzone, wiele bull i rękopisów. Dziś naturalnie tego wszystkiego tam już nie ma. Pius VI Braschi, kiedy w r. 1797 zbliżyły się do Rzymu wojska Rzpłtej francuskiej, kazał przenieść kosztowności i papiery do Watykanu. Powróciły one, po pokoju tolentyńskim, do twierdzy, aby spocząć ostatecznie, za naszych już czasów, w archiwum watykańskim. Tam zapewne złożone było owo breve kardynała Oleśnickiego. Podobny zatarg o pierwszy krok miał miejsce z kardynałem Hozyuszem i to w czasie bytności kardynała-legata Commendoniego w Krakowie. Pius V wysłał był do Polski internuncyuszów, prałatów: Juliusza Ruggieri i Wincentego del Portico z Lukki, aby odwieść Zygmunta Augusta (za życia Katarzyny Austriackiej) od powtórnych ślubów, jednocześnie zaś Commendoni agitował za wojną z Turcyą. Portico, po targach, wyjednał u ostatniego z Jagiellonów, że oddał pierwsze miejsce w senacie Hozyuszowi, jako kardynałowi, kiedy dotychczas zajmował siódme z rzędu, jako biskup warmiński, uzyskał też dla legata Commendoniego, iż po prawicy królewskiej wszędzie stawał. Jest to *tensam del Portico*, który napisał rzecz o denarze św. Piotra w Polsce, tj. o pogłównem, z którego Rzplta, po rozmaitych przerwach, zwolnioną została przez Pawła III.¹⁾

Odpowiedź kancelaryi watykańskiej mówiła dalej:

„Pamiętają również, iż lubo kardynał Albert Austriacki używał tytułu *J. Cesarskiej Wysokości*, ale nie chciał go nosić, ani kardynał Andrzej Austriacki, ani kardynał portugalski, ani kardynał Batory, którzy w tym czasie żyli...“

¹⁾ 14 kwietnia r. 1540.

„Nadmienia się również, iż kiedy kardynał infant posunięty został na stopień kardynalski, tj. w r. 1619, nie istniał jeszcze dekret, ograniczający tytuły“.

„Sam kardynał Kazimierz nie tylko był dokładnie uprzedzonym o rozporządzeniu co do tytułu, przyczem nie widział żadnej dla siebie trudności, ale nadto, pokazano mu przed promocją same dekrety, o których się głośno wyrażał, iż gotów je zachować, a nawet skreślił odnośny bilecik, jasny i żadnej nie nastroczający wątpliwości.“

„Pewnem jest, iż jak się nie odmawia tytułu *Jego Wysokości* biskupowi wrocławskiemu, jego bratu, tak go się odmawia kardynałowi Kazimierzowi, nie dlatego aby się miało nieuznawać wysokości jego urodzenia, ale że prawo kollegialne tego wymaga. — Stałaby się przytem wielka krzywda, gdyby otwarte były wrota dla nowych nieporządków i niesnasek, jakie już raz miały miejsce. Dlatego Kongregacya Ceremoniału, a potem ogólne zebranie, upraszały J. Świątobliwość, aby nie dozwalał wyjątku dla kardynała Kazimierza, jakiego żąda król Polski i monsignor nuncyusz tamże przebywający, w liście do kardynała Pamfilego, z dnia 28 lipca r. b.“

List Władysława IV, pisany z Krakowa¹⁾, był kwaśnym. Król wyrażał się wprawdzie z wielkiem zadowoleniem o nominacyi przyrodniego brata, ale dawał do zrozumienia, iż Stolica Apostolska sama ofiarowała się oblec go purpurą, a następnie wyrażał zdziwienie z powodu zmiany tytułu, jako obniżającej godność księcia, będącego synem i bratem monarszym. Tym sposobem, wszystkie familie panujące, byłyby raz na zawsze, wyłączone z św. Kollegium, gdyż nie znajdzie się nikt, ktoby chciał porzucić przywileje i tytuły udzielone mu z urodzenia, aby zostać kardynałem. Król kończył list, wyrażając pewną nadzieję, iż Kurya w osobie Jana Kazimierza uwzględni interesy wszystkich domów panujących i uważać go będzie jako księcia krwi królewskiej. Ale bo też Jan Kazimierz poruszył był rozmaite sprężyny. Z Frascati pisał do podkanclerzego Kazimierza Sapiehy aby bronił dostojności dynastji.

¹⁾ Theiner, str. 441.

Słowem, dwór polski domagał się zrobienia wyjątku— jak niegdyś dwór hiszpański.

X.

Stolica Apostolska nie chciała tym razem ustąpić i drugi raz ustąpić nie mogła. Wobec tej kollizyi, wypadło trzymać się odpornie z doręczeniem czerwonego kapelusza.

Ze swojej znów strony, Jan Kazimierz, ile razy zagląda do Rzymu, czyni to *incognito* i jak ujrzymy, całkiem prywatnie, otrzyma biret od Innocentego X. Znać jednak, iż się gniewa, i nawet niedość starannie ukrywa swój żal. Otwarcie oświadcza się teraz jako ciałem i duszą oddany partyi francuskiej, trochę na złość Watykanowi, trochę z interesu, wiążącego go z Paryżem i Mazarinim. „Podczas nabożeństwa, z powodu uroczystości św. Jana, odprawionego w Lateranie, kardynał d'Este zawiadomił św. Kollegium, że kardynał *di Polonia* oświadczył się za stronnictwem francuskim, o czem (Este) mówił już papieżowi, który odpowiedział, że pomiędzy koronami Francyi i Polski tyle jest stosunków, iż owa deklaracya niewiele waży. Zdaje się, jakoby ten kardynał był w duszy Austryakiem, ale dlatego daje swą deklaracyę, gdyż ma w myśli żenić się w rodzinie szwedzkiej, a Francuzi mogą mu być bardzo pomocni w zamiarze, albo zaszkodzić. Czy to prawda, czy nie, pewnem jest, iż Francuzi tem się chwala i zaczynają dlań przygotowywać pałac kardynała Antoniego (Barberiniego).“ Tak pisze Ameyden.

Nie da się zaprzeczyć, iż z powtórnem ożenieniem Władysława IV, wpływ dworu paryskiego wyparł austryacki na dworze polskim. Widzimy to na Janie Kazimierzu, kiedy manifestuje swą przyjaźń dla Francyi, znać także po bardzo uprzejmych listach, jakie pisuje do Mazarina, w którym pokłada swoje nadzieje. Z Frascati, 28 maja, pisze do kardynała-ministra list pełen grzeczności, zawiadamiając go o promocyi, i to tegosamego dnia, kiedy był mianowanym.¹⁾ Oświadcza, iż

¹⁾ *Teki* Lukasa. VII 115, k. 154.

uległ naleganiom brata, porzucił suknię zakonną, podpisuje się „przywiązanym sługą“. Wogóle teraz Mazarin jest przedmiotem szczególniejszych attencyj ze strony dworu warszawskiego, bo i Władysław, z Niepołomic, zawiadamia go o koronacyi żony, dziękuje mu za tak drogą towarzyszkę życia, wybraną przez rozum ministra, i zasyła pozdrowienie wraz z życzeniami ¹⁾. W przypisku monarcha dotyka sprawy kardynałatu i wyraża radość, z powodu, iż brat oświadczył się za stronnictwem francuskim, co mu ułatwi, skoro stoi pod protektoratem Francyi, uzyskanie tytułów, jakich mu dotąd w Rzymie zaprzeczają.

Jak widzimy, Francya wypiera już wszędzie Hiszpanię, przeciw której w obecnej chwili wojuje na wodach toskańskich, znosi załogi hiszpańskie koło Sieny i Orbetello, dąży do zabrania Neapolu, aby go oddać ks. Sabaudzkiemu, walczącemu w szeregach francuskich. Czytając pomiędzy wierszami, odnajduje się w przypisku królewskim do Mazarina jakby lekkie przypomnienie obietnicy, danej dworowi, oddanie w opiekę brata, któremu tytuły książęce potrzebne były, jeśli miał sięgnąć po rękę księżniczki Krystyny, czy wreszcie innej księżniczki z krwi królewskiej.

W połowie lipca, przybyła w przejeździe do Rzymu wracająca z Polski marszałkowa de Guébriant. Zaraz też zjawił się Jan Kazimierz, aby ją odwiedzić w imieniu królowej, poczem wrócił do Frascati. Marszałkowa mieszkała w pałacu Barberinich, jeździła karetami zbiegłego kardynała, zwiedzała osobliwości miasta i święte miejsca z wielkiem nabożeństwem. Ameyden widział ją wyjeżdżającą wieczorem z bramy miejskiej do Paryża tak dworno, że się zadziwił. Towarzyszyli jej ludzie papiescy, piechota, dwa wozy z amunicją, żołnierze z ciężkiej jazdy, w końcu lektyka z liczną służbą w żalobie, w której jechała pani marszałkowa.

W dzień święta założyciela Zakonu Jezuitów, Jan Kazimierz zjeżdża znowu do Rzymu. Uroczystość dnia św. Ignacego obchodzoną była z wielką solennością, w kościele *del Gesù*; obecnych było na nabożeństwie wielu eminencyj, arystokracja i pomiędzy innymi *incognito* polski kardynał,

1) *Teki* Lukasa, VII. 165 k. 168.

który zjadłszy z ojcami obiad i nie oddawszy żadnych wizyt, wrócił do Frascati, do willi panów Buoncompagni ¹⁾).

„Dnia 2 sierpnia, w poniedziałek rano, przybył tu kurjer nadzwyczajny z Francyi, który, według tego, co mówią Francuzi, przybył nie poco innego, jeno, aby przywieść pieniądze kardynałom *di Polonia* i Este'mu, z których drugi bardzo ich potrzebuje“ ²⁾).

W Watykanie, a raczej w Kwirynale, szukano sposobu wyjścia z kłopotu, wobec poważnych trudności, na jakie nominacya się natknęła. Bądź co bądź, wypadało liczyć się z królem. Skutkiem tego stanął następujący układ: Dnia 5 sierpnia przybędzie do Rzymu kardynał Kazimierz, gdyż konsystorz publiczny miał się odbyć dnia następnego. Niema być witanym przez nikogo, kawalkaty nie odprawi, mieszkać będzie w Pałacu (tj. w Kwirynale) przez dwa dni, papież w rozmowie da mu taki tytuł, jaki będzie uważał za stósowny. Nowy kardynał nie odwiedzi żadnego kardynała, pojedzie tylko do pani Olimpii Pamfli, bratowej papieskiej, do jej pałacu, na placu Navona, gdyż ta ostatnia niema obowiązku odmawiania mu tytułu J. Wysokości.

W ostatniej chwili, purpurat postanowił zabawić jak najkrócej w Rzymie i powrócić do willi Sora. W czwartek więc, 6 sierpnia, o godzinie 22-ej (tj. według ówczesnego rachunku rzymskiego, na dwie godziny przed Ave Maria, a więc około 6-ej wieczorem) udał się prywatnie do papieża, w zamkniętej lektyce, wchodząc boczną bramą ogrodową do Kwirynalu, naprzeciw kościoła św. Andrzeja i konwiktu jezuickiego, gdzie poprzednio mieszkał. Odebrał z rąk Innocentego X czerwony biret i kapturek, zabawił tam aż do zmierzchu, poczem wrócił, niepostrzeżenie, do Frascati. Zdaniem niezadowolonego Ameydena, podobne załatwienie sprawy było zgwałceniem ceremoniału, wymagającego bezwarunkowo, aby zaraz po wizycie u Ojca św. szedł odwiedzić jego bratanka.

„Zanim przybył z Frascati do Rzymu, napisał list do papieża, zdając się na wszystko, kładąc jednak pod roz-

¹⁾ *Avvisi di Roma*.

²⁾ Ameyden: *Diario di Roma*, tu i dalej.

wagę, iż co do osoby swej nie ebbe być przeszkodą bulli, ale że mu chodzi o godność królewską w ogóle, aby nie szkodowała z przyczyny kardynałatu“... „Z owej audyencji prywatnej, jaką papież daje zwykle po konsystorzu publicznym, wnioskują, iż ostatni nadzwyczajny kuryer z Francyi nie przywiózł pieniędzy kardynałowi di Polonia i Estemu, jak rozpowiadali Francuzi, ale prędeż, że co innego było, tj. kardynał nie miał pieniędzy i dlatego postanowił odprawić ceremonię prywatnie“.

Kardynałowie już się zaczynali rozjeżdżać na willegiaturę: Ginetti do Velletri, gdzie miał rezydencję, Colonna do Marino, Spada i Este do Tivoli, inni do Frascati, jak Sacchetti, Montalto, Aldobrandini, Borghese; Innocenty X wybierał się do Castelgandolfo, na wrzesień. Wrócił był tymczasem do Frascati w początku września, drugi kuryer, wysłany przez Jana Kazimierza do Polski. „Drogą na Wenecję przyszedł rozkaz polskiemu kardynałowi, aby wracał do domu, z czego wnioskują, iż nie ma pieniędzy i że to nie prawda, co mówiono, jakoby otrzymał z Francyi 20 tysięcy skudów albo jeśli pieniądze nadeszły, to ich nie przyjął“ notuje Ameyden. „Zanim wyjedzie, odbędzie się kongregacyjna narada nad listem króla, jego brata, pisanym do papieża, którego treść jest ta, iż prosi J. Świątobliwość, aby miał wzgląd na przywiązanie, jakie ma dla Stolicy św. i że jego dom istnieje przeszło cztery wieki...“

Ów drugi list, datowany 3 sierpnia z Wiśnicza do: *Serenissimo et Illustrissimo Signor Fratello* — z pominięciem kardynałatu — nie pozostawiał znowu najmniejszej wątpliwości, iż Władysław nie życzy sobie jakiegokolwiek ustępstwa. Rad był wprawdzie nowej godności, ale dziwił się, jak mogą żądać opuszczenia tytułu i to jeszcze gdzie? w Rzymie, mającym pretensye dawania przykładu taktu i przeczności! Choć papież twierdzi, iż bulla obowiązuje królewskich synów, nie chce się dać wiary, aby owi książęta mieli być na wieczne czasy wykluczeni z św. Kollegium. „Mam nadzieję, iż W. Wysokość, jako odrośl naszego królewskiego domu, będziesz tegosamego zdania, atoli niniejszym listem przedstawiam mu moją opinię, *aby W. Wysokość pod żadnym warunkiem nie zgadzał się inaczej być*

tytułowanym, jak tylko w sposób odpowiadający monarszemu urodzeniu, ani też nie dawał przykładu tak złego i szkaradnego, iżby wszystkie domy panujące miały się później skarżyć, że z naszego domu wyszedł“. „Umysł szeroki, pobożność i rozum papieża nie pozwalają powątpiewać, iż zgodzi się na skuteczne instancje, jakie mu listownie przesyłam, gdzie oświadczam, iż nie dozwolę żadnych uroszczeń szkodliwych dla naszego domu, jak to już wyraźnie oznajmiłem nuncyuszowi, że tego nigdy nie ścierpię. Dlatego z niecierpliwością oczekiwać będę wiadomości, iż sprawa inny wzięła obrót, stósownie do mego życzenia“ itd. itd. Podpisano:

„Di Vostra *Altezza Serenissimo*
 affezionatissimo fratello
 Vladislaus Rex¹⁾.“

Znać po liście, iż był napisanym dla pokazania w Watykanie. Ale oprócz niego, był wysłanym jednocześnie, jak nadmienia król, inny list łaciński do Innocentego X, mniej zapewne dosadny w wyrażeniach, ale zresztą potwierdzający powyższe słowa. Wychodząc z zasady, iż purpura powinna pomnażać, a nie zmniejszać „wrodzoną purpurę“ królewską, jaką Jan Kazimierz odziedziczył nietylko po ojcu, ale i po matce, Władysław prosił uniżenie papieża, aby dobrodziejstwo, wyświadczone bratu, uczynił pełnem i doskonałem i aby nie pozwolił mu pozbywać się godności, przez zmianę tytułu itd.²⁾

W kilka dni później zwołaną została nowa narada u kardynała Spady, celem ułożenia odpowiedzi na list powyższy. Coprawda, Jan Kazimierz gotował się już do wyjazdu. Kapelusza dotąd nie otrzymał i wątpliwem było, czy go wogóle otrzyma. Z Neapolu otrzymał, od księdza Orsi, że sum po królowej Bonie 5000 skudów, pięć tysięcy dukatów nadesłano mu z Polski.

Nietylko przyzwoitość, poczucie godności, nakazywały papieżowi i kardynałom nie ustępować przed roszczeniami Wazów, ale i wzgląd na Medyceuszów, na Estego, którzy zgadzali się, aby być postawionymi na równej stopie z in-

¹⁾ Bibl. Barberini XL, 3 fol. 518.

²⁾ Bibl. Barberini fol. 517.

nymi, ale nie chcieli słyszeć o tem, aby ktokolwiek stanowił wyjątek. Gdyby Waza miał otrzymać przywilej *Altezzy*, żądali niezwłocznie tegożsamego przywileju dla siebie.

Dnia 3 września odbywa się nowa kongregacya u kardynała-dziekana Lante, a w cztery dni później papież przyjmował Jana Kazimierza. „Wszedł *cardinale di Polonia*, którego w lektyce wnieśli aż do antykamery. Posłuchanie, jakie miał u Innocentego, trwało pięć kwadransów. Okazał list, jaki doń brat napisał.“ Ameyden, którym się tu wyręczamy, powiada jeszcze, iż w liście tym było ostrzeżenie, aby przypadkiem nie wracał do kraju, jeśliby się zgodził na tytuł Eminenzy, gdyż byłoby to obrazą dla całego państwa. „Żądał rady od papieża, jak ma w danym razie postąpić? Wszystko to przypisują Jezuitom, niewiadomo, jaką była odpowiedź Ojca św. Po jego audyencyi, wszedł do pokojów papieskich ambasador wenecki.“

Dnia 7 września, w poniedziałek, papież odprawił konsystorz, który długo trwał; o 1-ej godzinie z południa, po konsystorzu, kardynałowie mieli swoją kollegialną kongregacyę o tytule, na której wenecki kardynał Cornaro bardzo usilnie wstawiał się za Janem Kazimierzem, biorąc assumpt z okoliczności, iż Rzplta św. Marka potrzebuje obecnie króla polskiego. Rezultat narady był ten, iż królewicz odznaki kardynalskiej, tj. kapelusza nie otrzymał, ale że już wyjeżdżał z Rzymu, więc zatarg miał być umorzonym.

Jakoż gotował się w podróż do kraju, „gdyż odmówiono mu kapelusza i breve; nie będzie miał również ani czynnego, ani biernego głosu (tj. w razie głosowania np. na conclave). Dlatego wyjedzie bardzo urażony na papieża, na św. Kollegium i cały Pałac, gdyż skoro kardynał, zeszłego tygodnia, zażądał audyencyi, *maestro di camera*, kazał odpowiedzieć, że za pięć lub sześć dni będzie ją miał. Kardynał przybył z Frascati, mówiąc, iż chce jej niezwłocznie. Powiadają, iż *maestro di camera* tytułował go Eminencyą i dlatego, po skończonem posłuchaniu, kiedy go odprowadzał, wyszedłszy z pokojów papieskich, siadł do lektyki, poczem zasunął firankę, bez żadnego pożegnania się“. W kilka dni później, Jan Kazimierz był z pożegnaniem w Kwirynale.

„Nie wyjeżdża on — zapisuje znowu Ameyden — jakoby zerwawszy stosunki, gdyż sprawa została w zawieszeniu. Aby nie psuć zgody, *maestro di camera* tym razem, nie ukazał się, ani przy przyjęciu, ani przy pożegnaniu, uważając się za związanego bullą. Natomiast kardynał di Polonia kazał powiedzieć, że w gębę da każdemu, ktoby go inaczej tytułował, jak J. Wysokością, choćby to nawet było w papieskiej antykamerze!...”

XI.

W rzeczy samej dnia 17 września, wyjechał Jan Kazimierz z Rzymu, bez czerwonego kapelusza, jedynie z biretem, czapką i mozzetą, ku Florencyi, Loretto, Padwie i Wenecyi, aby wracać do ojczyzny. W Loretto spotkał się z kardynałem Farnese. W połowie października, jest w Wenecyi, dokąd przybył incognito i stanął u ambasadora francuskiego, pierwszego z rezydentów, mającego pierwszy krok przed hiszpańskim, zwanego pokrótce *ambasadorem*. Dał dlań festyn, polski rezydent Roncalli.

Dożą był naówczas Franciszek Molin. Miasto Contarinich, Morosinich, Cornarów, Pisanich, Barbarigów, było wtedy w żałobie z powodu zabójczej wojny z Bisurmanami, więc i miasto, słynne ze swobody obyczajów, dokąd zjeżdżali incognito książęta, aby pohulać, gdzie się bawił Henryk Walezy, kiedy uciekał z Polski, nie było wtedy owem wesolem, rozkosznem eldorado nadlagunowem, stworzonem do maskarad i malowniczych festynów.

Papież zwlekał z odpowiedzią na ostatni list królewski. Ponieważ niektórzy z kardynałów, a między nimi Mattei, napisali byli do Władysława IV, winszując mu, według zwyczaju, promocyi brata i otrzymali odpowiedzi zawierające wiadome żądania, przeto obecnie porozumieli się między sobą, aby wyjaśnić królowi przebieg sprawy, tak iżby wszystkie listy zgadzały się w argumentach.

Jednocześnie z wyjazdem Wazy, Innocenty X ubijał jeszcze inną sprawę, więcej zapewne kłopotliwą od tamtej — proces kardynałów Barberinich. Niewiemy doprawdy, czy w uporze

i nawet junactwie Jana Kazimierza nie należałoby dopatrywać się zachęty ze strony Mazarina, ale że za Barberinimi paryski minister-kardynał stał jawnie i groźnie, nie ulega wątpliwości. Toteż dzięki protekcji Francyi, wyszło *motu proprio* papieskie *breve*, uznające ich za niewinnych. Choć więc nie zaraz, ale po pewnym upływie lat, wrócili Antoni i Tadeusz do kraju i odzyskali wpływowe stanowiska; kiedy w r. 1699 królowa Marya Kazimiera bawi w Rzymie i Frascati, ośmiu kardynałów daje dla niej obiad w refektarzu bazylińskim, w Grotta Ferrata, a pomiędzy nimi znajdujemy znowu dwóch kardynałów Barberinich, z tych jeden zaś, Karol, jest synem Tadeusza i piastuje godność protektora Polski.

W końcu roku dochodzi zwykłą drogą wiadomość do Rzymu, że kardynał Kazimierz wrócił do kraju, zkąd znowu przybył nad Tyber hr. Magni, wysłany przez Władysława IV, aby wyrobić pomoc pieniężną na wojnę turecką. Hr. Magni bawił trzy tygodnie w Warszawie, potem pojechał do Pressburga, ztamtąd do Wenecyi i na dwory książąt włoskich. Obok tego, Magni miał doprowadzić do skutku ligę książąt włoskich i wyrobić u papieża wysłanie kardynałów-legatów do państw, zainteresowanych sprawą pokoju w Niemczech. Była też mianowaną komisya ośmiu kardynałów: Spady, Capponiego, Palotty, Panzirolego, Caraffy, Sforzy i Pamfilego i ta uchwaliła udzielić Polsce pomocy pieniężnej. Co do wysłania legatów, nie obiecywano sobie skutku takiego, jak bywało za Piusa V i za świetnych czasów Hiszpanii, przeto zdało się stósowniejsem obrócić wielkie wydatki na tego rodzaju legacye, na udzielenie pomocy Rzeczypospolitej. Watykan zgadzał się dać królowi Władysławowi 50 tysięcy talarów miesięcznie, przez dwa lata, z których $\frac{1}{3}$ płaciłaby Francya, $\frac{1}{3}$ Hiszpania i $\frac{1}{3}$ Włochy. Niemcy nie wchodziły w rachubę, specyalnie zaś, z funduszków włoskich, Neapol miał dostarczyć $\frac{1}{3}$, resztę rozbierali między siebie Watykan i Lombardia (bez Wenecyi). Tymczasem, jak wiemy, miesięczne subsydyum w kwocie 50 tysięcy talarów, na kampanię turecką rozbiło się o upór senatu i sejmu warszawskiego, który udaremnił zamysły królewskie.

Z chwilą powrotu do Warszawy, naszemu kardynałowi odechciewa się też zupełnie purpury. Z Tarczyna, chciałby co

prędzej odesłać *biret*, ledwie mu to król wytlómaczył. W dniu jakiejś uroczystości kościelnej, w katedrze św. Jana, ukażuje się publicznie, w stroju świeckim, ze szpadą u boku, tak, że się dziwią, skandalizują ci, co kwestyi tytułu nie znają; jak i w Rzymie, tak i tutaj, Jan Kazimierz obraża się na nuncyusza Torresa, że go nie tytułuje *Altezzą*, a nawet ostentacyjnie objawia manieri żołnierza. Zdaje się, iż całe jego zachowanie, nie-
używanie sukni kardynalskiej, musiało sprawiać złe wrażenie, gdyż była chwila, kiedy Władysław go namawiał, aby tymczasem powrócił do Rzymu, obiecując podnieść pensję roczną o dziesięć tysięcy talarów, to jest podwoić ją, do czego by jeszcze przybyła pensya kardynała-protektora Polski. W danych jednak warunkach nie było już co myśleć o kardynalstwie, temwięcej, iż tak mu już było obrzydło, że wspominać sobie nawet o niem nie pozwalał. Byłby się bez trudności wyrzekł purpury, tak jak zrobił w owym właśnie czasie, kardynał-bratanek Pamfli, znany nam z pobytu Wazy w Rzymie, aby się ożenić z wdową Aldobrandini-Borghese. Zdejmowanie purpury przez kardynałów nieraz się zdarzało. Tak zrobili: Medyceusz, arcyksiążę Austryacki, jeden z Gonzagów, Sabaudczyk (ten ostatni w r. 1642, dla ożenienia) a z dawniejszych, Cezar Borgia zwrócił purpurę ojcu swemu Aleksandrowi VI.

Widoki ożenienia się, które nawiedziły Jana Kazimierza podczas nowicyatu, nie przestają też zaprzętać jego myśli, a pierwotna melancholia całkiem go już opuściła.

Z kardynałem Mazarinim prowadzi z Warszawy i Nieporętu listowne stosunki, rozplywa się w grzecznościach, skarbi sobie jego laski, adresuje: *à Monsieur mon cousin*, podpisuje: *Votre bien bon cousin le Cardinal de Pologne*, czy że Mazarini odznaczonym został przez Ludwika XIV orderem św. Ducha, czy że adresat jest kardynałem jak i on. Mazarin wciągnął osobę Jana Kazimierza do swoich projektów politycznych; podsuwa mu nieznanie nam bliżej propozycyę, gdyż królewicz wysyła do Paryża zaufanego sekretarza, Barteta, aby się rozmówił z ministrem; chodzi przytem o wstąpienie księcia do wojska Ludwika XIV, a więc nowy projekt w jego głowie powstał¹⁾. Bartet siedzi

¹⁾ Bibl. Ossolińskich. Oryg. VII. 316 i VIII 254.

bardzo długo we Francyi, blisko rok, jak gdyby tam liczono na bliższą ewentualność śmierci Władysława IV, któremu lekarze długiego już żywota nie rokują, więc kardynał odegra ważną rolę w swojej ojczyźnie. Bartet donosi do Warszawy, iż Mazarin ożywiony jest dobremi chęciami, co Jana Kazimierza w doskonały humor wprawia. Jeśli nie wstępuje teraz do służby francuskiej, na wzór ks. Sabaudzkiego, lub Estego, to jedynie dlatego, że suknia kardynalska powstrzymuje go od urzeczywistnienia nowej fantazyi.

Nareszcie, sam Władysław IV uważa, iż byłby czas, aby Jan Kazimierz złożył purpurę, jeśli ma zamiar żenić się, czy to z córką Gustawa Adolfa, czy też raczej z jaką księżniczką niemiecką lub francuską ¹⁾.

XII.

Śmierć jedynego synka Władysława IV, małego Zygmunta Kazimierza (9 sierpnia r. 1647) przypomniła kardynałowi pilną potrzebę zdjęcia duchownego tytułu, gdyż więcej niż kiedykolwiek otwierały się przed nim widoki następstwa tronu. Donosi o tem niezwłocznie Mazariniemu ²⁾. Dlatego, jak pisze, niezwłocznie odsyła, przez umyślnego papieżowi biret kardynalski, który, jak mówi, nietylko nie przydał się do oddania przysługi Francyi, jak tego sobie życzył, ale owszem był przeszkodą w wstąpieniu do służby wojennej, jako niedającej się pogodzić z godnością duchowną. Odsyła go tedy — jak pisze — bez żalu, a za to obiecuje, w stanie świeckim, oddać wszelkie usługi, jakichby królestwo francuskie zażądało.

Z śmiercią więc ośmioletniego synka króla Władysława, małego *toutou*, jak go pieśzcotliwie nazywa jedna z dam królowej, kończy się kardynalski okres życia Jana Kazimierza.

Chciałby teraz wstąpić do wojska francuskiego, myśli się żenić. Widocznie, upadły projekta zaślubienia Krystyny

¹⁾ Bibl. Ossol. k. 260. Oryg. VIII, 291.

²⁾ List z Kobrynia z d. 18 listop. r. 1647. Bibl. Ossol. Oryg. VIII, 384.

Szwedzkiej, ale za to nastęrczają się, aż z dwóch stron jednocześnie, to jest z Wiednia i z Paryża, inne propozycje matrymonialne. Wszakże teraz, Jan Kazimierz jest domniemanym dziedzicem korony. Hr. Magni, którego widzieliśmy w Rzymie ¹⁾, czy też jego brat, stara się dlań o żonę w Wiedniu. W dzień wyjazdu pana de Brégy, posła francuskiego, z Wilna, w końcu marca, przybył tam siostrzeniec pani Aubigny, damy dworu królowej Maryi Ludwiki. Siostra pani Aubigny była przy księżnie Annie Innspruckiej, a jej syn przyjechał do Wilna, aby jak mówił, odwiedzić ciotkę. List, który księżna Innspruku pisała do królowej, zawierał tylko komplementy, ale sekretarz des Noyers wahał, iż chodziło o co innego, a mianowicie o zbadanie na miejscu, czyby można, w danym razie, ułożyć małżeństwo jednej z córek księżnej z Janem Kazimierzem, temwięcej, iż dochodziły wieści o niebezpiecznym stanie zdrowia Władysława IV. Ten ostatni, nagabnięty poprzednio przez Magniego, zgodził się na projekt wyswatania brata w Niemczech i upoważnił austriackiego hrabiego do rozmówienia się w Wiedniu z cesarzową Eleonorą. Zarówno cesarz Ferdynand, jak i książę de Terra Nuova, ambasador hiszpański, okazali się dobrze usposobionymi, ale czekano przedewszystkiem na pewność, iż w samej rzeczy Jan Kazimierz ma widoki do tronu.

W tymże samym czasie, przybył w Wielki Piątek do Wilna, sekretarz p. Bartet, z propozycjami od Mazariniego: sto tysięcy liwrów pensyi rocznej i ręka panny²⁾.

Jan Kazimierz odesłał swego zaufanego do Francji, oświadczając, iż z wdzięcznością przyjmuje jedno i drugie, że osoba mu się podoba, ale jest coś w tej rodzinie, co mu jest niemiłym (?). Niechciałby przytem, aby jego francuskie sympatye znane były publicznie, gdyżby mu to mogło zaszkodzić przy ewentualnej elekcji, jak się spodziewa, dla siebie korzystnej, albowiem Polacy chcą mieć króla, któryby do żadnego stronnictwa nie należał; inaczej stronnictwo jego brata, Karola Ferdynanda biskupa wrocławskiego wzrosłoby jeszcze więcej. Podobno nawet Jan Kazimierz wybierał się

¹⁾ *Teki* Lukasa k. 266.

²⁾ Luka w dokumencie.

znowu do Włoch, a po powrocie swoim miał stanowczo oświadczyć, czy przyjmuje rękę osoby, następczonej przez kardynała.

Nie miał on w otoczeniu swoim nikogo z głową. Sam z trudnością zdołał coś porządnie napisać, a jego *adlatus*, Bartet, układał memoryały *si pitoyables, qu'ils faisaient pitié* ¹⁾). Królowa sama nieraz poprawiała ich listy, wysyłane do Mazarina, gdyż była lotnego umysłu, choć niespokojna i niestanowcza i tyle jej zawsze przychodziło rozmaitych pomysłów naraz do głowy, że skoro co napisała, zaraz przekreślała i rozpoczynała nanowo; tylko jeden des Noyers umiał rozwikłać jej pismo, często niezrozumiałe w sensie i pełne skrótów, tak, że jak się wyraża jedna z dam dworu, trzeba było osobnego przewodnika, aby je odczytać.

Mażeńskie zamiary Jana Kazimierza skończyły się, jak wiemy, małżeństwem z Maryą Ludwiką, wdową po Władysławie IV. Zwolniony z kardynałatu, otrzymał w r. 1649 dyspensę, aby móżdż zaślubić wdowę po bracie. Życzył sobie wtedy, aby na jego ślubie obecnym był jaki kardynał.

Ostateczny upadek Kandyi i pokój zawarty pomiędzy Wenecją a Turcją, w r. 1669, przypomniał mu zapewne w chwili złożenia korony, w wilię najazdu Turcyi na Polskę, owe trzy lata spędzone w Rzymie. Koronę, której bronił z takim uporem, kiedy mu ją chciano zdjąć z herbu, złożył teraz dobrowolnie, aby, jak pisał do papieża Klemensa IX, *powrócić* do życia ascetycznego.

Krystyna Szwedzka mieszkała już wtedy od dłuższego czasu w Rzymie, nawrócona na katolicyzm.

Adam Darowski.

¹⁾ *Teki* Lukasa k. 266.

GERHART HAUPTMANN

jako pisarz dramatyczny.

—•••—
(Ciąg dalszy).

III.

Samotni ludzie.

(*Einsame Menschen*. Drama. Berlin S. Fischer).

W r. 1889 ukazał się pierwszy dramat Hauptmanna, w następnym autor wystąpił ze *Świętem pojednania* — w r. 1891 ogłasza nową sztukę: *Samotnych ludzi*, poświęcając ten dramat tym, „którzy go przeżyli“. Jeżeli poprzedni jego utwór miał za *motto* cytaty z Lessinga, zawierający określenie pojęcia akcyi, to słów tych nie możnaby odnieść do dzieła, którego rozbiorem i oceną mamy się z kolei zająć. W *Święcie pojednania* nie „padał kochanek do stóp kochanki“, nie było wydarzeń, jakich pożąda gawieź; zamiast tego pisarz zapuścił sondę w głębinę życia rodzinnego, dał „wewnętrzna walkę namiętności, następstwo rozmaitych myśli, z których jedna drugą znosi“, dał „szereg zmian, które razem tworzą całość“ ¹⁾ i dzięki temu jedynie rzecz jest dramatem, a nie tylko dyalogowanym studjum psychologicznem.

¹⁾ Lessing X. 38.

Inaczej jest w *Einsame Menschen*, przetłómaczonych na język polski p. t.: *Samotne dusze*. Dotarłszy do samego szkieletu sztuki, widzi się, że jest nim ostatecznie typowa historia małżeńska, w której mąż pod wpływem innej kobiety sprzeniewierza się żonie. Do tego podstawowego motywu da się z zupełną ścisłością sprowadzić trzeci z kolei dramat Hauptmanna. Mogą się na to oburzać bezkrytyczni wielbiciele autora, mogą się z tego śmiać zapaleni wyznawcy dzisiejszego pomieszania z sobą wszystkich rodzajów piśmiennictwa — kto w dramacie widzi odrębny dział poezyi, z osobnemi, jemu tylko właściwemi cechami, ten w nim pyta przedewszystkiem o akcyę, którą pojmuje nie w duchu niskich pożądań tłumu, ale w myśl określeń jednego z największych teoretyków. Akcyi w *Samotnych ludziach* niema prawie żadnej, rzecz więc przestaje być utworem scenicznym, dramatem, a może tylko rościć sobie prawo do nazwy studyum społeczno-psychologicznego. Że przez to sztuka silnego wrażenia na scenie wywołać nie zdoła, to jest naturalnym skutkiem jej organicznej wady; traci na tem oczywiście i widz, lecz w końcu najbardziej poszkodowanym jest sam autor, ponieważ zaś *volenti non fit iniuria*, więc dłużej nad tym faktem rozprawiać nie potrzeba. Natomiast niepodobna nie wytknąć i Hauptmannowi i nowszemu dramatowi w ogólności tego nadużycia, jakie popełnia, posługując się dramatyczną formą, lecz nie dbając bynajmniej o zasadnicze warunki i istotne wymagania tej gałęzi literatury.

Zewnętrzna osnowę sztuki stanowi pewna waryacya starego trójkątnego stosunku w małżeństwie. Chociaż w tych słowach zawarte są kontury akcyi — o ile o niej może tu być mowa — to jednak wewnętrzna treść dramatu sprowadza czytelnika na inne, dalekie pole. Zazwyczaj w dramacie czynnikiem, burzącym spokój małżeństwa, jest miłość; pod jej wpływem jedno z małżonków dopuszcza się wiarołomstwa. U Hauptmanna miłość nie gra żadnej roli, postawiona jest po za obrębem sztuki, jej zadanie spełnia czynnik odmienny: zamiast zmysłowych żądź i namiętności serca, występują porwy i tęsknoty ducha. Jan Vockerat, żonaty już od kilku lat, spotyka na drodze życia Annę Mahr, studentkę z Züri-chu i w obcowaniu z nią znajduje to, czego daremnie szu-

kał w żonie — znajduje zrozumienie i podniecenie własnej myśli, wymarzone pokrewieństwo duchowe. Oboje lgną do siebie, rozstają się z głębokim żalem, ale o miłości pomiedzy nimi, o stosunku, łączącym powszechnie osobniki różnej płci, niema mowy, przynajmniej oni oboje istnieniu jej przeczą. I tu nasuwa się zaraz krytyczna uwaga. Podstawą i źródłem dramatu jest serce ludzkie, jego namiętności, jego porywy, cierpienia i radości; z tej krynicy czerpiąc, dramat zdolny jest silnych wrażeń, udzielających się wszystkim ludziom, po wszystkie czasy i na każdym miejscu, bo serce ludzkie jest zawsze jedno i to samo. Tu przyczyna wielkości Sofoklesa, Szekspira, Schillera, a nawet Racine i Corneille o tyle dziś są warci, o ile na tym gruncie stoją i z niego czerpią soki żywotne. Przeniesienie punktu ciężkości z serca do umysłu, do ludzkiego intelektu, odpowiada niewątpliwie ogólnemu charakterowi dzisiejszych czasów, pełnych męczącej analizy własnego „ja“, lecz mniej jest zgodnem z szczególną naturą dramatu. Serce ludzkie jest po wszystkie czasy jednakie i dlatego dla wszystkich zrozumiałe, a ztąd i obraz jego walk i przejść musi być wzruszającym tak dziś, jak i za tysiąc lat. Przeciwnie umysł ludzki jest wytworem względnym, zależnym od otoczenia i od chwili, ztąd jego dzieje nie dla każdego są przystępne, nie każdego zdolne są zająć, a nawet i tam, gdzie znajdują podatny grunt, przemawiają nie do serca, lecz do umysłu, ztąd wzięły początek — wrażenia zaś uczuciowe są silniejsze, niż czysto intelektualne. W tem tkwi przyczyna niedramatyczności wielu sztuk, tem tłumaczy się — obok wielu innych powodów — słabe wrażenie, jakie wywołuje np. druga część *Fausta*, podczas gdy pierwsza z tragedją Gretchen na wieki żywą pozostanie.

Hauptmann dobrowolnie potęguje jeszcze ten element. Między Janem a Anną zachodzi duchowa *Wahlverwandschaft*, w której głos serca wcale lub tylko niezmiernie słabo się odzywa; to pokrewieństwo zaś polega na wspólności religijnych i moralnych oraz społecznych poglądów i zasad Vockerata i studentki. Autor przeciwstawia tradycyjnym przekonaniom idee nowożytne, porusza więc temat bardzo współczesny — zatem dzieło jego wykształconych czytelników, obeznanych z istotą i dziejami tej wielkiej walki, może w wysokim

stopniu zająć. Pozornie tedy autor wybrał motyw bardzo szczęśliwy, bardzo — żeby użyć niemieckiego terminu — *wirk-sam*. Ale pozornie tylko; pomijając bowiem fakt, że tensam temat zająłby jeszcze bardziej, jeszcze żywiej, w rozprawie naukowej lub choćby nawet w powieści, to nadto dramat podobny uzyskać może przystęp tylko do pewnej części ogółu, powtórę zaś zachowa go jedynie na pewien, krótki czas. Gdy miną echa walki dogmatyzmu z sceptyzmem, metafizyki z naukami przyrodniczymi, tradycyj rodzinnych z dążeniem do równouprawnienia płci itd., w przeszłości może już bliskiej, sztuka Hauptmanna będzie zabytkiem ciekawym dla historyka kultury i badacza literatury, obojętnym dla ogółu, gdy Sofokles, Szekspir i Schiller wzruszać będą i zajmować, póki stanie ludzkości czytającej książki lub chodzącej do teatru.

Niezaprzeczenie zaletą sztuki a zarazem dowodem coraz bardziej rozwijającej się techniki autora jest okoliczność, że zaraz w pierwszym akcie uważny czytelnik potrafi wybornie zorientować się w sytuacji. Ponieważ dramat nie ma ostatecznie żadnej akcji wewnętrznej, więc też pisarz nie potrzebuje w ekspozycji podawać zdarzeń zaszytych przed podniesieniem kurtyny i ogranicza się tylko do scharakteryzowania tak poszczególnych osób, jak i wzajemnego ich stosunku. Rzecz rozgrywa się w okolicy Berlina, gdzieś w wiejskim dworze i przez wszystkie pięć aktów scena się nie zmienia. W domu, którego salon ozdobiony jest bardzo charakterystycznie portretami Darwina i Haeckla mieszka Jan Vockerat z żoną Katarzyną. Oboje święcą dziś chrzest nowonarodzonego dziecka a na uroczystość tę przybyli w odwiedziny i starzy rodzice Jana. Z chwilą, gdy kurtyna po raz pierwszy się podnosi, Katarzyna prowadzi rozmowę z matką męża. Przedmiotem jej jest naturalnie mały bohater tego dnia, ale słowa obu kobiet mimowoli sięgają głębiej, stają się odbiciem wzajemnego pożycia Vockeratów. Nie jest ono widocznie dobrem, kiedy teściowa, pragnąc uspokoić dziwnie rozstrojoną Kasię, pociesza ją, aby nie męczyła się daremnie troską, bo teraz, po urodzeniu chłopca „wszystko się zmieni, Jan się uspokoi“ (str. 3). I dalej pocziwa kobieta, korzystając z uroczystej poniekąd chwili, tłumaczy synowej, że i ona niemało zawiniła. „Niech tam uczeni co chcą prawią, Kasiu! Jest Bóg, tam w niebie,

kochający ojciec, wierzaj mi! Mężczyzna bez pobożności jest już wielkiem złem. Ale kobieta, która nie jest pobożną...“ Rozmowa się urywa, a te kilka słów starej matki oświetlają jaskrawo duszną atmosferę rodziny Vockeratów. Wchodzi Jan w towarzystwie swego znajomego Brauna, a niebawem wraca z kościoła i stary Vockerat, oraz pastor Collin, który dopiero przed godziną do gminy chrześcijańskiej nowego przyjął członka. Ciekawość słuchacza ich rozmowy skupiona jest przedewszystkiem na Janie. Już w tych scenach widzi się przed sobą człowieka niespokojnego, pozbawionego równowagi wewnętrznej, sympatycznego i śmiesznego i pożałowania godnego od razu. Haeckel, to jego nauczyciel, Darwin jego mistrz, a jednak nie stoi on silnie i stale na materialistycznym stanowisku. Na chrzest patrzy „w każdym razie nie z chrześcijańskiego punktu widzenia“ (str. 7), a przecież zdaje sobie sprawę z tego, że to jest „rzecz, która jest świętą dla tyłu a tyłu ludzi“. Tych, którzy wybitnie mając i ustalone przekonanie głoszą je otwarcie i śmieie, wydrwiwa jako *Gesinnungsprotzen*, sam zaś jest wyznawcą obiektywności, na co Braun, rezoner sztuki, odpowiada mu krótko a wybornie: „Może powinno się być obiektywnym w nauce, ale w życiu nie“ (str. 12). Jak początkujący literat, jak śmieszny pyszałek chełpi się, że pisze pracę, w której samo wyliczenie źródeł zajmuje dwanaście stronnic i buńczuczno wypowiada straszliwą walkę „perukom“. Wogóle wzorem wszystkich dekadentów i dekadencików jest wiecznie niezadowolonym, bo „ludzie zadowoleni to trutnie w ulu, nędzne plemię“ (str. 16). Z innej znowu strony pokazuje się w swych religijnych zapatrywaniach; pogardza wiarą w to, jakoby „Bóg wyglądał tak jak człowiek, i tak postępował, i miał syna itd.“ i jak prawy uczeń Spinozy napuszonym stylem wypowiada *ad usum* starej matki wzniosłe zdanie, że „kto stara się naturę poznać, ten zdąża do poznania Boga; Bóg to natura“ (str. 17). Żonę uważa za stworzenie niższe od siebie, drażni go jej prosta natura, jest dla niej szorstkim, a dzieci nie znosi. Doszedłszy do końca tych scen, ma się dla Jana już bardzo mało uszanowania, niewiele sympaty, za to coraz więcej politowania i uśmiechu ironicznego. Czy takie wrażenie na czytelniku odpowiada intencyom autora? czy raczej Hauptmann, pojawszy

Vockerata jako człowieka wyższego, choć nerwowego, nie ośmieszył go i nie poniżył mimowoli w wykonaniu? o tem na razie nie powiedzieć nie można, — sąd należy odłożyć do dalszych aktów.

W obu poprzednich utworach Hauptmanna, zarówno w dramacie *Przed wschodem słońca* jak i w *Świątce pojednania* akcja rozpoczynała się wejściem do rodziny osoby trzeciej, przybyłej z daleka i wywołującej w dalszym ciągu śpiące dotychczas kontrasty i konflikty tragiczne. Rola Alfreda Lotha i Wilhelma Scholza spoczywa w *Samotnych ludziach* w rękach panny Anny Mahr, a krytyk ma tu nowy ślad tej manieri, o której rozpanoszeniu się w współczesnym dramacie już dawniej była mowa. Anna, studentka z Zürichu i ztamtąd znajoma malarza Brauna, przybywszy w te okolice w drodze z Rewla, z kąd jest rodem, do Szwajcaryi, pragnęła zobaczyć Brauna a nie zastawszy go w domu, wybrała się według wskazówek jego gospodyni do Vockeratów. (Trochę dziwne odwiedziny, ale wiadomo, że studentki, szczególnie w dramacie, nie mają zwyczajów panien dobrze wychowanych). Jan widzi ją; zrazu ma dla niej tylko zwykłą grzeczność mężczyzny wobec kobiety, wkrótce odczuwa w jej towarzystwie przyjemność, prowadzi ją do ogrodu. Tymczasem Kasia, zostawszy sama z Braunem, tknięta jakimiś niejasnymi przecuciami, obawami, skwapliwie wypytuje malarza o studentkę, o jej piękność i inteligencyę, sama ze wstydem zaś przyznaje się, że wobec męża, tak wysoko wykształconego, ona jest marnem stworzeniem. Dawniej, za panieńskich lat była ogromnie gadatliwą, teraz przeciwnie „boi się wogóle cokolwiek mówić“ (str. 26). Kasia charakteryzuje się tu jako prosta, poczciwa kobieta, kochająca męża i dzieci, smutna w świadomości swej niższości, mimoto nigdy nie zgryźliwa, słowem bardzo sympatyczna i bardzo kobieca natura. Jak z tem pogodzić ów brak wszelkiej religijności, który bez zaprzeczenia z jej strony wyrzuca jej teściowa? Kobieta dochodzi do niewiary albo wskutek niereligijnego wychowania za młodu, albo przez niemoralne życie, albo wreszcie drogą złych lub źle zrozumianych dzieł. O pierwszym wypadku nie ma tu mowy, bo autor ani słowem o tem nie wspomina, drugi tem mniej godzi się przypuszczać, trzeci również jest wykluczony, wobec niewielkiego wykształ-

cenia Kasi. A więc pozostają tylko dwa rozwiązania tej zagadki. Albo matka wytykając synowej niereligijność mięła się z prawdą, a wtedy obowiązkiem autora było przestrzedz czytelnika o tem, albo też autor sam chciał Kasie zrobić niereligijną, a wtedy widzi się, jak wykonanie bynajmniej nie odpowiada pojęciu tej postaci. W każdym razie Hauptmann i tu jeszcze cierpi na brak zdolności plastycznego charakteryzowania, którego jasnym dowodem była pokrzywiona i bezduszna sylwetka Alfreda Lotha.

Ostatnie słowa pierwszego aktu zapowiadają smutny małżeński dramat. Jan unosi się z zapalem nad Anną, tem „cudownem stworzeniem“, wielbi jej „wiedzę, samodzielność w sądzie“ (str. 29) i postanawia zaprosić ją na dłuższy pobyt tutaj. Kasia traci nagle władzę nad sobą i musi szukać oparcia, aby nie upaść. „Wreszcie nie może iść dalej, musi usiąść; oczy ma utkwione martwo przed sobą a wargi porusza niemo, źrenice zaś ma pełne łez“. Dopiero po chwili „zrywa się, wstaje i idzie dalej“ (str. 29). Zakończenie jest całkiem w stylu Hauptmanna. Lubi on urywać akt momentem nawpół dramatycznym, nawpół lirycznym, gdy w sercu i w duszy człowieka, szczególnie kobiety, powstają uczucia niezdolne wydobyć się na jaw w dźwiękach artykułowanych, same niepewne siebie, niejasne, raczej instynktowe i bezwiedne, wyrażające się tylko w grze muszkułów i nieokreślonym, lirycznym nastroju. Tak kończy się pierwszy akt dramatu *Przed wschodem słońca*, gdy Helena pragnęłaby zatrzymać odchodzącego Lotha, takim jest nastrój ostatniej sceny aktu trzeciego w tejsamej sztuce, gdy Helena wyznaje swą miłość, a i koniec drugiego aktu *Święta pojednania* przemawia za naszym spostrzeżeniem. Nie podobna też zaprzeczyć, że zakończenie takie, o ile wypływa swobodnie z toku sztuki a nie jest przyciągniętem za włosy, odpowiada wybornie naturze pierwszego aktu w sztuce, którego zadaniem jest obudzić ciekawość słuchacza, nie zaspakajając jej jeszcze, a nawet nie wtłaczając jej w ściśle określoną formę.

Niedramatyczność *Samotnych ludzi* występuje jawnie w dalszych aktach, w pierwszym rzędzie zaraz w następnym. Druga odsłona jest niczem więcej i niczem innym, jak udyalogizowanym ustępem z współczesnego romansu psychologi-

cznego; pisarz dramatyczny, uznający odrębne warunki tego rodzaju literatury, autor, który zamierza dać utwór sceniczny — a tym przecież powinien być dramat — a nie to, co Niemcy zowią *Buchdrama*, zrobiłby z tego jedną scenę, wreszcie dwie, ale nigdy cały akt. P. Alfred, Berger znany powszechnie wybitny krytyk i estetyk powiada (*Dramaturgische Vorträge*, Wien 1890 p. 234), „że dramaty książkowe (*Buchdramen*) wykazują często w ugrupowaniu materyi w ogólności jak i w szczególe coś z charakteru rozprawy (*etwas Abhandlungsmässiges*), systematyczność, z czem wiąże się zasadniczo ich niedramatyczność“ (*Unwirksamkeit*). Potwierdza się to w zupełności przy czytaniu drugiego aktu omawianego utworu. Z systematycznością nagromadza autor w nim wiele rysów, służących do wypełnienia charakterystyki głównych osób, postępując przy tem niejednokrotnie w sposób, z naturą dramatu absolutnie niezgodny, bo charakteryzując postacie nie zapomocą ich czynów lub własnych ich słów, ale przez pośrednictwo osób trzecich, które długo i szeroko o nieobecnych rozprawiają. Tak np. pani Vockerat opowiada pannie Annie o Janie, tak znowu teściowa i synowa zastanawiają się nad usposobieniem i charakterem studentki, tak wreszcie Jan rozprawia z Anną o Braunie. Żeby zaś nie brakło formalnych rozpraw, mamy cały długi ustęp poświęcony analizie nowelli Garszina p. t. *Artyści*¹⁾ i sprawie naturalizmu w literaturze, podobnie jak już w pierwszym dziele Hauptmanna był ekskurs o Ibsenie i Zoli. Są to wszystko rzeczy bardzo ciekawe, ale miejsce dla nich wybrane jest najniestosowniej.

Od aktu drugiego wymagało się przedewszystkiem silniejszego oświetlenia Anny, pozostającej dotychczas w półcieniu, oraz wyjaśnienia wielu sprzeczności w charakterystyce Jana i jego żony, które akt pierwszy wywołał. To były żądania czytelnika, który widząc, że nie dostanie dramatu, pragnął przynajmniej mieć porządne studyum psychologiczne, w formie dyalogu. Czy druga odsłona te oczekiwania spełnia?

¹⁾ Wsiewołod Michajłowicz Garszin (1855—1888), pisarz rosyjski ze szkoły Dostojewskiego; z licznych jego nowelli powszechnie znanym jest *Czerwony kwiat*, studyum psychiatryczne.

Anna zdołała pozyskać w krótkim czasie nie tylko Jana, co było łatwym do przypuszczenia, ale także poniekąd i matkę jego, a nawet sama Katarzyna trochę chłodno i jakby nieszczerze chwali jej prostotę, jej kobiecość, wolną od wszelkiego natręctwa lub chępliwości. Pani Vockerat, chociaż ceni uprzejmość Anny, nie zrzeka się bynajmniej swych przekonań, wśród których i nadal najsilniej dźwięczy nuta religijności, dla studentki z Zürichu naturalnie zupełnie obojętnej. Natomiast Kasia młodsza, mało wykształcona a przez to łatwiej ulegająca wpływowi szumnych frazesów, już poczyna przyznawać panie Annie słusność w wielu rzeczach a zwłaszcza w sprawie dla kobiet najważniejszej, w kwestyi emancypacji. „Jesteśmy w istocie płcią pogardzaną“, „my kobiety żyjemy w stanie poniżenia“ (str. 35) — oto frazesy feministek, które Kasia ślepo za Anną powtarza. Najbardziej lgnie do niej oczywiście Jan Vockerat. Po sprzeczce z Braunem skarży się przed nią, że ludzie go nie rozumieją, że Braun ma za nic jego pracę filozoficzną, że te ciasne umysły, jakie go otaczają, żądają tylko „pracy publicznej, hałasowania, radykalności“, a nie pojmują „życia wśród czterech ścian, oddanego naukowym zadaniom“ (str. 44). Anna pociesza go, używając zwykłego w takich razach sposobu. Po co dbać o jakieś tam obce zdania, czyż własne zadowolenie nie wystarcza? On kwili dalej, utyskuje — mąż przed obcą kobietą! — na żonę, na rodziców, za to „jest literalnie w niebie“ (str. 45) gdy obcuje z panną Anną, pierwszą osobą w życiu, która dla jego pracy okazuje rzeczowy interes. Co sądzić tu o Janie? Niewątpliwie zamiarem autora było, przedstawić tu „samotnego człowieka“ smutnego w tem odosobnieniu, stęsknionego za towarzystwem duchów równie szczytnych, równie wykształconych. Czy zamiar ten został wykonany? Pozornie tak; Jan mówi z powagą, raz ze smutną rezygnacją, to znowu z otuchą, a wtedy jest „niemal poetycznym“, jak oświadcza Anna. A jednak wejrząwszy po przez szumne słowa do jądra jego myśli, widzi się w nim dużo zarozumiałości, dziwaczności, śmieszności, czasem nawet i trochę zdrożności, tak jak w zapewnieniach panny Anny raz po raz odzywa się jakaś fałszywa, nieszczera nuta, chęć przypodobania się, pochlebstwo.

Następna scena jest dla dokładnego poznania charakteru i wogóle wartości Jana rozstrzygająca. W rozmowie z żoną, wbrew swej woli, a jak sądzimy, i wbrew woli autora, Jan odsłania całą swą marność umysłową, fałszywość swej szczytnej pozy, wysuszenie serca, chorobliwą nerwowość. Gdy żona prosi go na małą chwilkę dla załatwienia niecierpiących zwłoki spraw, w których jego głos jest decydującym, on narzeka na jej „absolutny brak zrozumienia“, karci ją za to, że „przerywa mu cały z trudem spojony łańcuch myśli“— odtrąca od siebie wszelkie sprawy praktyczne, wszelkie interesa rodzinne, bo ma tylko „interesa ogólne“. Z zimnym a zarozumiałym egoizmem mówi: „Ja wogóle nie jestem ojcem rodziny Dla mnie główną jest rzeczą, abym wydobył na jaw to, co jest we mnie. Niekiedy sam wydaję się sobie Pegazem w jarzmie. Kiedyś jeszcze zupełnie zmarnieję“. Kasia nie może powstrzymać łez, ale to, co mówi, mówi i bardzo godnie i bardzo rozumnie: wszak ona jest jego żoną, więc czyż nie byłoby szlachetniej, gdyby zamiast okrutnie ją lżyć, podnosił ją powoli do swego poziomu a nie na każdym kroku dawał jej do poznania, że ona go nie warta, że jest mu tylko zawadą. Dopiero teraz, po tych łzach i rzewnej skardze, Jan cofa się, odwołuje co powiedział, a czyni to, jak podaje autor „żarliwie i z miłością“. W tę miłość wierzyłoby się, gdyby poprzednio były jakie jej ślady, tak zaś, jak jest, uważać to się musi za paroksyzm nerwowy, z sercem nie mający nic wspólnego. Trwa on krótko, bo na głos Anny, Jan żegna coperędzej żonę i zabiera ze sobą rękopis owej pracy, aby ją odczytać studentce. Kasia „patrzy za nim z oczyma utkwionemi jak ten, kto widzi rozplywające się w nicości piękne zjawisko, oczy jej zapełniają się łzami“ (str. 55) i tem lirycznym zakończeniem zamyka się akt drugi.

Akt trzeci w zewnętrznej akcji przynosi tylko udaremiony zamiar panny Mahr opuszczenia domu Vockeratów, w wewnętrznym zaś rozwoju charakterów nie zawiera wiele więcej ponad określenie duchowego stosunku, jaki łączy Jana z Anną. I tu autor postępuje wbrew naturze dramatu, w sposób epiczny, gdy charaktery pewnych osób kreśli pośrednio, wkładając np. w usta Brauna sąd o studentce, jako „może rozumnej, ale napewne egoistycznej“. Jan inne ma

o niej zdanie; z lekkich wzmianek należy się domyślać, że pożyzył Annie tj. dał jej czterysta marek, co w małym ich gospodarstwie stanowi tak znaczny wydatek, że Kasia musi uciec się do zarabiania własną pracą tych brakujących w rachunku pieniędzy. Wyprawiając Annę na kolej, Jan wyrzeka na niedbałą służbę kolejową, nędzne urządzenie wagonów, wogóle jest tak rozdrażniony, że sam zamysła przenieść się do Szwajcaryi i otwarcie powiada, że czyni to dla towarzystwa panny Mahr. Gdy żonie, jak każdej kochającej kobiecie, jest to przykro, on obrzuca ją wyrzutami w znanym już guście. Wreszcie Anna wybiera się na dworzec kolejowy, zabrawszy poprzednio na pamiątkę fotografie Kasi i — Jana, żegnana bardzo serdecznie przez panią Vockerat i jej teściową. Obie kobiety zostają same w domu, matka oddycha lżej, ufa, że złe minęło, że nastaną znowu czasy spokoju domowego; wtem wraca Jan z wiadomością, że Anna dała się uprosić i odłożyła wyjazd na później. Matka wzburzona, syn rozdrażniony — przychodzi do sprzeczki, w której matka musi Janowi przypomnieć czwarte przykazanie. Akt kończy się walną rozprawą pomiędzy Braunem a Janem. Ten ostatni, znowu w pozie niezrozumianego samotnika, oświadcza, że jego stosunek do Anny nie dotyka bynajmniej jego związku z Kasią. „To jest przyjaźń, do dyabła! Polega na tem, że mamy podobne podstawy duchowe, żeśmy się podobnie rozwijali. Dlatego rozumiemy się i tam, gdzie inni nas już nie rozumieją, gdzieście wy mnie nie zrozumieli. Odkąd ona tutaj jest, doznaję niejako odrodzenia. Odzyskałem odwagę i szacunek dla samego siebie. Czuję moc tworzenia, czuję, że to wszystko staje się niejako za jej sprawą¹⁾. Czuję, że ona jest warunkiem mego rozwoju. Jako przyjaciółka, rozumiesz! Czyżby mężczyzna i kobieta nie mogli być także przyjaciółmi?“ (str. 75 n.). Więc niech go nie sądzą według utartego szablonu, niech nie prawią o konfliktach, tam, gdzie ich niema. „Że są niebezpieczeństwa, teraz, po waszych atakach, w to sam niemal wierzę. Ale mam wolę, chcę zapewnić sobie to, co jest mi warun-

¹⁾ Tak samo mówił Alfred Loth o Helenie a — w kilka godzin potem porzucił ją bez żalu!

kiem do życia, nie przekraczając granic“ (str. 76). Niech nie próbują nawet ani przekonać go, bo ich zdanie nie jest już niczem dla niego. „Sam siebie znalazłem i będę samym sobą — samym sobą, na złość wam wszystkim!“

Tu jest oś dramatu, tu jego myśl i jego tendencya. Pytanie, czy pomiędzy mężczyzną a kobietą może istnieć czysta, prawdziwa przyjaźń, należy do najciekawszych problemów współczesnej psychologii i fizjologii i nieraz już było rozstrząsane, zawsze bez pozytywnego rezultatu. Oczywiście i tu krytyk staje na tem stanowisku, że rozpatrywanie i rozstrzyganie podobnych zagadnień nie powinno być przedmiotem dramatu, a więc i nie może być przedmiotem literackiej oceny danego utworu. Krytyk, opuszczając wyżyny ogólnych problemów i pozostawiając je filozofom, schodzi z natury rzeczy do tego szczególnego wypadku, którego przedstawieniem jest omawiana sztuka. Pytanie, czy pomiędzy kobietą a mężczyzną możliwą jest czysta przyjaźń, nie obchodzi nas tu nie a nie — dla nas istnieje ono tylko w formie: czy Jan Vockerat i Anna Mahr, jak ich dotąd autor pokazał, zdolni są czystej, prawdziwej wzajemnej przyjaźni, któraby istotnie nie naruszała stosunku Jana do żony? Odpowiedź brzmi krótko i węzłowato: nie — a w uzasadnieniu jej zawiera się zarazem sąd o autorze. Odnośnie do Anny, jest się w zupełnej niepewności, bo autor wciąż jeszcze, mimo ważnej jej roli, trzyma ją w półcieniu, nigdy nie widziało się jej dokładnie, nigdy nie zajrzało się jej w oczy, toteż zarówno jej dusza jak i jej serce jest dotąd zagadką, pełną sprzecznych określeń — z winy autora naturalnie. Inaczej ma się rzecz z Janem; ten jest nam dość znany i tu można już na trwałej podstawie wnioskować. Czy poprzednio, zanim Anna przybyła, pożycie małżonków było dobre, o tem dokładnie się nie wie; raczej zdaje się, że dużo tam było kwasów, niezgody, żalu. Odkąd Anna zawitała, Jan, z wyjątkiem paru krótkich chwil, wywołanych nietyle głosem serca ile szarpnięciem nerwów, był dla żony szorstkim, czasem nieludzkim, zawsze niedbałym; żył tylko Anną; dla żony, dla dziecka nie miał ani jednego spojrzenia. I czyż godzi się przypuszczać, że na przyszłość, gdy stosunek z studentką zacieśniłby się jeszcze bardziej, Jan byłby lepszym małżon-

kiem, lepszym ojcem? Chyba nie. A więc przyjaźń dla Anny, jeżeli ona wogóle teoretycznie i praktycznie jest możliwą, naruszałaby niezmiernie obowiązki względem żony i dziecka, zatem byłaby karygodną, zdrożną. Czy takim był zamiar autora? Nie — chciał on wykazać wprost przeciwnie, że przyjaźń taka jest i możliwą i szanowną, chciał otoczyć ją powagą i urokiem wyższości nad zmysłowy związek obu płci. Czy miał słuszność, o to mniejsza, ale że zamiaru swego nie wykonał, to fakt niezbity. Przyczyna tego leży w spaceniu charakteru Jana. Miał to być samotnik, bardzo wykształcony, bardzo rozumny, tęskniący za pobratymczą duszą. Gdyby Jan był takim, możnaby uwierzyć, że znalazłszy drugiego bratniego samotnika — czyby to była kobieta, czy też mężczyzna, wszystko jedno — lgnąłby do niego tylko czystą tęsknotą ducha, który w pożyciu z żoną stał na uboczu. Zamiast tego Jan stał się karykaturą, w której mało jest prawdziwej wyższości, dużo zarozumiałości, mało szlachetnej tęsknoty, a wiele pragnień pochlebstwa, słowem kreatura to dość marna. Dwa lata upłynęło od czasu stworzenia Alfreda Lotha, lecz Hauptmann wciąż jeszcze choruje na tęsamą nieudolność.

Czwarty akt następuje w tydzień po poprzednim. Stosunek Jana do Anny staje się coraz ściślejszym, jak o tem dowiadujemy się — pośrednio naturalnie — z opowiadania pani Vockerat. Kasia natomiast cierpi coraz bardziej, a ten ból moralny szkodzi i jej zdrowiu. I ona teraz jest samotną, bo mąż zawsze ze studentką, która jakoś tego domu opuścić nie zamyśla; Braun też teraz zdala się trzyma, a tylko teściowa pociesza ją i pielęgnuje. Pani Vockerat w tem zmartwieniu wezwwała pomocy męża i za kilka godzin spodziewa się jego przybycia. Braunowi ten krok pocziwej matki nie bardzo przypada do przekonania; ufa on wciąż jeszcze, że Jan sam z siebie wydobędzie się z tego. Wreszcie na prośby pani Vockerat oświadcza gotowość pomówienia z Anną w cztery oczy, celem skłonienia jej do wyjazdu. Przed tem jednak słuchacz jest świadkiem rozmowy Jana z panną Mahr. Oboje siadają przy sobie i mimo zmroku zupełnego, nie zapalając światła, mówią bardzo poważnie. Ona czuje po części, że dom ten powinna opuścić, on opiera się temu gwałtownie. „Czyż istotnie wszystko, co się pozyskało, ma się poświęcać

temu przekłętemu konwenansowi? Czyż ludzie absolutnie nie potrafią zrozumieć, że nie może być zbrodnią stan, w którym obie strony tylko zyskują, obie strony stają się lepszymi, szlachetniejszymi? Czy jestto stratą dla rodziców, gdy ich syn staje się lepszym, głębszym? Czy jestto stratą dla żony, gdy jej mąż duchowo rośnie i rozwija się?“ (str. 86). A dalej „gorąco i z uniesieniem“ wystawia sobie przyszłość, słowa zaś jego mają tem większe znaczenie, że w nich niewątpliwie przemawia sam Gerhart Hauptmann. Na uwagę Anny, że mówił jej kiedyś o nowym, wyższym stanie wspólności między mężczyzną a kobietą, odpowiada Jan: „Tak, przeczuwam taki stan, będzie on istnieć kiedyś, w przyszłości. Wtedy pierwsze miejsce zajmie nie zwierzęca natura, ale ludzka. Nie zwierzę będzie odtąd małżeństwem się łączyć ze zwierzęciem, ale człowiek z człowiekiem. Przyjaźń jest tą podstawą, na której wznosić się będzie miłość nierozzerwalna, zadziwiająca, jakby jaki cudowny gmach. Lecz ja przeczuwam jeszcze co innego, coś o wiele wyższego, świetniejszego, swobodniejszego...“ (str. 87). Jan słów nie kończy, do ostatniej tej myśli nie powraca, lecz tylko rozwija poprzednią. Czyż przyjaźń obojga narusza w czemkolwiek jego małżeński związek? „Czy np. pani nie odczuwa dla Kasi serdecznej miłości? czyż moja miłość dla Kasi cokolwiek osłabła? Przeciwnie, stała się głębszą i pełniejszą“ (str. 87). Anna uznaje to wszystko, przypuszcza sama, że przyszłość może wprowadzić w praktyczne życie, urzeczywistnić ten wymarzony, idealny stan, lecz teraz jestto niepodobieństwem, Kasia zmarnieje w takim stanie rzeczy. „A gdyby Kasia miała tyle siły? gdyby zdołała wznieść się do wyżyn tej idei?“ pyta Jan (str. 88). Anna odpowiada mu bardzo rozumnie: „Gdyby Kasi udało się żyć — obok mnie, wtedy... wtedy ja sama sobie nie mogłabym ufać. We mnie... w nas jest coś wrogiego tym czystym związkom, o jakich marzymy, coś wyższego nad nie w przyszłości“. Rozmowa się kończy, raczej przerywa, a krytyk ma teraz sposobność spokojnie rozważyć jej znaczenie. Jest ono ogromne. Przedewszystkiem silniej jeszcze niż w akcie trzecim naznaczoną jest tu i podniesioną przewodnią myśl utworu. Że o niej mówić może psycholog i fizyolog a nie drama-

turg, z tem rozprawiliśmy się już powyżej. Tu dotkliwiej niż kiedykolwiek odczuwa się brak silnej ręki w charakterystyce Jana Vockerata. W życiu należy poważne myśli uważać za godne rozpatrywania bez względu na źródło, z którego wypływają, i medyum, za pośrednictwem którego dostają się na zewnątrz. Inaczej w dramacie. Myśl, stanowiąca oś sztuki, może być wtedy tylko uznana za szczerą i poważną, jeżeli wypowiada ją osoba, która sama w dramacie poprzednio te dwie zalety okazała. Takim pośrednikiem idei autora Jan Vockerat, marny *cabotin* być nie może, bo w nim dotychczas nie było ani szczerości ani powagi. Albo Jan z aktu IV pozuje, a wtedy naseryo traktować go nie można, albo to jest jego właściwa postać a w takim razie Jan z aktu I—III jest karykaturą. Przeciwnie Anna, dotychczas jedynie podmalowana ale nie wykończona, tu dopiero nabiera żywej indywidualności a zaraz następne sceny dodają nowe rysy.

Braun spełnia swą misję tajemnej rozmowy z Anną, ale bez skutku, bo nierozważnym słowem zraża ją i rozdrażnia. Natomiast matka, poważna i doświadczona pani Vockerat, nie robi jej wyrzutów, ale prosi, prosi tak smutno a tak po matczynemu, że Anna zgadza się na natychmiastowy wyjazd.

Znaczącym akkordem kończy się ta odsłona. Stary Vockerat wezwany przez żonę przyjeżdża i dopiero tu z jej ust dowiaduje się o sprawie, o winie Jana. Smutny starzec zamysła się nad tą wieścią i po chwili zwraca się do żony z temi słowami: „Marto, ktoś tu ponosi winę. Zastanówmy się nad tem“, a ona, jak na początku pierwszego aktu, z silnem przekonaniem mówi: „Patrzailiśmy na to i znosili w milczeniu. Coraz bardziej nasze dzieci odwracały się od Boga i od prawej drogi“. „Masz słuszność, przytakuje mąż -- za to teraz karę ponosimy. Ale chodź, prośmy Boga, w głębokiej pokorze, prośmy go zawsze, Marto“. Ostatnie słowa otwierają nowe horyzonty. Już z początkiem dramatu pani Vockerat karciała niereligijność swych dzieci i jej przypisywała brak prawdziwej miłości i szczęścia w ich małżeństwie. Lecz wtedy uwaga ta w ustach kobiety starej, dość ograniczonej, wyglądała na pusty frazes, na pamięć

wyuczony. Tu powtarza to poważnie jej mąż, osiwiwały męzczyzna, mówi to w chwili uroczystej, w tonie bardzo szanownym. Godzi się zapamiętać to miejsce i chroniąc się zbyt pospiesznego, nieuzasadnionego wnioskowania, podkreślić fakt, że *Samotni ludzie*, to pierwsza sztuka Hauptmanna, w której przez usta jednej z najpoważniejszych osób wskazuje się na bezreligijność jako na przyczynę ludzkiej niedoli, poleca się wiarę w Boga jako lekarstwo na zepsucie życia rodzinnego.

Ostatni akt przedstawia katastrofę. W wewnętrznej akcji, w rozwoju tego procesu duchowego, którego przedstawienie stanowi treść sztuki, są tu dwa bardzo ważne momenty, w całym utworze najdramatyczniejsze, cenniejsze, jedyne prawdziwie dramatyczne: rozmowa ojca z synem, pożeganie Anny z Janem. Stary Vockerat żąda od syna powrotu na drogę prawą, wyrzeczenia się Anny. W słowach poważnych, nawet trochę zbyt biblijnym stylem, karci go surowo, przypominając mu owo sławne zdanie: „Kto popatrzał na kobietę, aby jej pożądać, ten złamał małżeńskie słuhy“. Jan odpowiada równie poważnie, przeczy, ażeby to było prawdą (str. 100). Słowa jego dają dużo do myślenia. Jan zaprzecza obiektywnej prawdziwości biblijnego cytatu, ale bynajmniej nie protestuje przeciw zastosowaniu go do danego wypadku; nie wyjaśnia, że on nie spojrział na kobietę, aby jej pożądać, lecz tylko twierdzi, że nie dopuścił się jeszcze przez to wiarołomstwa względem żony. Innemi słowy mówiąc, Jan obala tu jednym zamachem swe szumne frazesy z aktu III—IV o przyjaźni dla Anny, przyjaźni czyściej, wolnej od wszelkich pożądań zmysłowych, sam pośrednio przyznaje ich istnienie. Ustęp ten, o ile wiemy przeoczony przez dziennikarskich recenzentów *Samotnych ludzi*, podcina odrazu korzenie sztuki, bo dowodzi, że, o ile sama jej poprzednia idea, przyjaźń czysta pomiędzy kobietą a mężczyzną, jest dość problematyczną, o tyle exemplifikacja jej w sztuce jest nie potwierdzeniem, ale zbiciem tej tezy.

Dotychczas w tej rozprawie dwóch zasad: tradycyjnego porządku rzeczy i nowożytnych dążeń ewolucyjnych, ojciec, reprezentant pierwszego, rzecznik starego pokolenia, trzymał się bardzo dzielnie, mówił bardzo poważnie i bardzo rozumnie. W dalszym ciągu autor traci tę godną uznania

objektywność i do charakterystyki starego Vockerata do-
rzuca rysy mniej szanowne, tracące ciasnotą umysłu. Już
nieroztropnością wielką jest żądać od Jana porzucenia Anny
w imię samego tylko czwartego przykazania, posłuszeństwa
względem rodziców; tak się przemawia do dziecka, lub
w wypadkach, gdzie decyzja zależy tylko od dobrej woli
człowieka, ale nie opiera się na tym jednym argumentie
wobec człowieka dojrzałego, przechodzącego bądźco bądź
ciężkie chwile. Gorzej jest jeszcze, gdy ojciec na pamięć
dawnych jego duchownych nauczycieli zaklina syna, aby
wszedł w siebie. Jan oburzony obrzuca ich pogardliwymi
przezwoiskami i rzecz zupełnie niepotrzebnie zstępuje w niziny
pospolitości.

Trwa to jednak krótko. Ojciec, wyczerpawszy wszystkie
argumenta, jakimi rozporządzał, wzywa uroczyście żonę do
natychmiastowego opuszczenia tego domu i odchodząc z go-
ryczą w sercu, ostrzega Jana, by swem postępowaniem nie
stał się przyczyną przedwczesnej śmierci Kasi. Jan wzru-
szony tem, rzuca się w objęcia rodziców, postanawia zerwać
z Anną.

Za chwilę spotykają się oboje. Rozum nakazywałby
pannie Mahr po owej rozmowie z panią Vockerat w akcie IV
opuścić natychmiast to miejsce, oszczędzając sobie i Janowi
męki pożegnania. Że Anna mimo to przed odjazdem sposo-
bność widzenia Jana z ochotą chwytą, to albo znak, że
egoizm w niej jest wielki, albo też, co ma za sobą
większe prawdopodobieństwo, nakaz autora, któremu ta roz-
mowa obojga koniecznie jest potrzebną. Jan zrazu zrozpaczony
czuje wstręt do siebie i do świata całego, lecz ona dodaje
mu otuchy, przedstawia rozstanie, jako nieuchronne i dawno
przewidziane, wzywa go, by pozostał tu, zdala od niej, lecz
razem z nią w duchu, w pielęgnowaniu szczytnej idei, której
są wyznawcami i ofiarami zarazem. Żegnają się, usta ich
mówią: „Bracie! sestro!“ i równocześnie łączą się „jednym
długim, gorącym pocałunkiem“ (str. 107). Za chwilę słychać
świsł lokomotywy, pociąg odchodzi, wioząc Annę, niewiado-
mo dokąd. Jan złamany, wije się od płaczu i łkania, nagle
zrywa się... Jak w wielkich tragediach istnieje nieraz
okrutna ironia, że właśnie w chwili, gdy niebezpieczeństwo

pozornie minęło, widnokrag, pokryty dotąd chmurami, wyjaśnia się, nagle spada grom straszliwej katastrofy — tak i tu. Pani Vockerat gawędzi z synową, widzi już oczyma duszy wracający pokój i szczęście rodzinne; wtem Braun przynosi niepokojącą wieść, że na jeziorze w ciemnościach nocy ktoś siedzi w czółnie i wiosłuje. To Jan; spieszą go ratować, lecz już zapewne zapóźno... już go w łodzi nie znajdują, już on leży martwy na dnie jeziora, a nad jego ciałem szumią fale wody... Koniec, przypominający rozwiązanie obu poprzednich dramatów, szczególnie zaś pierwszego. I w sztuce *Przed wschodem słońca* rwała się jedna jednostka do drugiej, którą sprowadził los, w niej widziała ratunek, szczęście. Daremnie! Loth odszedł, a za chwilę Helena wybiegła z rewolwerem w rękę, dramat zaś kończył się zamieszaniem w domu, szukaniem — bezowocnem. Tu są pewne zmiany, jest zamiana ról, ale w gruncie rzeczy tasama tragiczna katastrofa, nie pokazana i tu wyraźnie, ale niemniej niewątpliwa.

Rozbiór dramatu dokonany. Do szczegółowych uwag niewiele można dodać; wypada je tylko w krótkości zebrać, aby się złożyły na ogólny sąd; zamyślenie się nad utworem, snucie przeróżnych refleksyj, krytyk pozostawia chętnym czytelnikom. *Samotni ludzie*, trzeci z kolei dramat Hauptmanna, jest sam w sobie dziełem bardzo niedoskonałem. Największą jego wadą, jako sztuki *à thèse*, jest spaczenie głównej postaci, tak, że autor sam swej idei się sprzeciwia, sam ją najskuteczniej zbija: jeżeli mamy sądzić według Jana Vockerata i Anny Mahr, to czysta, duchowa przyjaźń pomiędzy mężczyzną a kobietą bez uszczerbku małżeńskich praw żony jest niemożliwą. W rozwoju Hauptmanna, jako człowieka i jako artysty, *Samotni ludzie* zajmują niepoślednie miejsce. Autor nie uwolnił się jeszcze od obcej zaleźności; naśladuje jeszcze wciąż — szczególnie Ibsena, nietyle w drobnostkach, ile w ogólnym jego duchu — lecz mimoto, widoczny jest postęp ku pogłębieniu się i skupieniu, choć i teraz jeszcze daleko do zupełnego panowania nad sobą. Owa dwoistość wewnętrznej istoty pisarza, o której była mowa przy obu poprzednich jego dramatach, tu jest mniej jaskrawą, prawie nie istnieje. Natomiast sztuka przynosi

ze sobą dwa nieznanne dotąd u autora czynniki. Tak dramat *Przed wschodem słońca*, jak i *Święto pojednania*, żyły *jen-seits von Gut und Böse*, kwestya etyczna, odpowiedzialność człowieka nie istniały tam, autor przedstawiał rzecz, jak przyrodnik. Tu w *Samotnych ludziach* po raz pierwszy nie autor, ale jedna z jego kreacyj ostrzega, że to, co się dzieje, jest złem, moralnie złem i wskazuje palcem przyczynę złego. Według starego Vockerata przyczyną złego jest bezreligijność, źródłem naprawy wiara w Boga. To drugi czynnik, a choć — powtarzamy — nie wolno z tem wyrzeczeniem identyfikować autora, to jednak godzi się podnieść ten dodatni objaw.

Temi słowami rozstajemy się z trzecim dramatem Gerharta Hauptmanna, by przejść do następnego, którym są *Tkacze*.

IV.

Tkacze.

(*Die Weber*. Uebertragung ¹⁾). Schauspiel aus den vierziger Jahren. Berlin. S. Fischer, Verlag).

W r. 1892 Hauptmann wystąpił z nowem dziełem dramatycznym. Ze wszystkich dotychczasowych jego dramatów, *Die Weber* są najgłośniejszym, najpowszechniej znanym, co więcej, popularność ich jest tak wielką, tak ściśle przyłgnęła do nazwiska pisarza, że „przeciętny“ czytelnik zapytany o Hauptmanna odpowie natychmiast: to autor *Tkaczów*. Już więc z tego powodu krytyk sztuce tej szczególniejszą musi poświęcić uwagę.

Lecz znaczenie dramatu *Die Weber* sięga głębiej, niż to zazwyczaj się dzieje przy każdym wogóle *chef-d'oeuvre* jakiegokolwiek autora. Jeżeli dotychczas we wszystkich trzech

¹⁾ Dla dogodności polskich czytelników cytujemy według tego wydania a nie według pierwotnego, dyalektowego p. t. *De Weber*.

swych dziełach Hauptmann poruszał mnóstwo zagadnień społecznych i moralnych, to dopiero twórca *Tkaczów* czerpie pełną ręką z tego źródła, w niem jedynie szuka natchnienia, w niem znajduje treść i istotę swej sztuki. *Die Weber* to nie dramat historyczny, jakby kto sądził z tytułu, to nie zwykła nowoczesna *pièce*, która jeśli zajmuje się jaką tezą, czyni to w sposób mniej lub więcej akademiczny — to *Kampfdrama* w całym tego słowa znaczeniu. A jeżeli tak jest, to z natury rzeczy stanowisko „przeciętnego“ czytelnika jak i krytyka musi być także innym, niż wobec reszty dzieł, choćby nawet tegosamego pisarza. Na początku niniejszych uwag wyznaliśmy szczerze, że na bezwzględnie obiektywny sąd, na sąd oparty wyłącznie na podstawie czysto artystycznej, dziś jeszcze nie pora. Tu, przy rozbiorze *Tkaczów* zastrzeżenie powyższe należy z siłą powtórzyć. Nie czas na taki chłodny sąd, owszem gdyby on był możliwy, byłby wprost szkodliwym. Darma, można ubolewać nad tem, że tłumy, które np. w Berlinie na stu przedstawieniach z wyższych pięter widowni zapalczywie oklaskiwały dramat, powodowały się nie pobudkami estetycznymi, lecz popędami i namiętnościami stronnictw; można biadać nad tem sfalszowaniem kryterium sądu, lecz niepodobna nie uznać faktu, naśladowując niemądrego strusia. Kwestya socyalna nie od wczoraj dominuje w życiu współczesnym, od każdego dojrzałego osobnika wymaga się jej znajomości, samoistnego sądu. Utwór literacki, który podejmuje ją śmiałą ręką, i nie rozwiązując jej naturalnie, przedstawia ją jaskrawo, z niesłychaną brawurą, taki utwór musi być oczywiście sądzonym z estetycznego punktu widzenia, ale przedewszystkiem należy ocenić jego wartość społeczną i moralną. A *Tkacze* Hauptmanna to nie wiersz, chyłkiem krążący z ręki do ręki, z ust do ust, to nie powieść, której obieg zawsze i dziś jeszcze dość jest ograniczonym — to dramat, który za marną cenę tysiące ludzi na scenie widziały, dramat, któremu plastyka teatralnego przedstawienia dodała jeszcze jaskrawości, dramat, o którym pisały wszystkie poważne dzienniki i wszystkie świstki brukowe, dramat wreszcie, sprzedający się w wydaniu książkowym w całym cywilizowanym świecie.

Heldlos scheint euch das Stück? Wie denn? Durch sämtliche Akte

Wachsend in riesiges Mass schreitet als Heldin die Noth.

Ten dystych Fr. Spielhagena ¹⁾ pod poetyczną osłoną zawiera jedną niezaprzeczną prawdę. *Tkacze* nie mają „bohatera“ w literackim znaczeniu, przedstawiają losy i czyny nie jednego człowieka, lecz całej masy ludzi, ich „bohaterem“ jest robotniczy tłum. Fakt to nader znamienity w historii rozwoju dramatu. Jak demokratyzuje się nasze życie społeczne i umysłowe, tak demokratyzuje się i nowoczesna literatura, a procesowi temu towarzyszy pokrewny objaw rozprzestrzeniania się jej gruntu. Historia przestaje być dytyrambem na cześć herosów, a bada rozwój ducha społeczeństw, psychologia po przez wybitne indywidualia schodzi do tłumy, zamilkło bohaterskie epos, powieść opuszcza rycerskie zamki, a przenosi się do mieszczańskich pokoi i izb robotników, wpływom zaś wieku ulega i dramat. Równolegle z obniżeniem się społecznej skali osób w dramacie, rozszerza się jego podstawa. I klasyczny dramat przedstawiał nieraz tłum: jest u greckich tragiczków chór, Szekspir napisał *Koryolana* i *Juliusza Cezara*, Schiller *Wilhelma Tella*; lecz pomijając odrębne a znane powszechnie stanowisko chóru, tłum był wtedy tylko tłem, z którego tem plastyczniej wydobywały się na wierzch poszczególne indywidualności. W *Tkaczach* Hauptmanna tłum jest wszystkim; indywidualia są niczem, toną w nim lub oznaczają tylko pewne kategorie. Czy jest to zupełną nowością? Nie; nie szukając daleko, można wskazać na Zolę, na Goncourtów (w *Germinie Lacerteux*), w dramacie wreszcie na Fuldę (*Das verlorene Paradies*, sztuka ogłoszona w r. 1890), jako na pisarzów, wprowadzających do swoich dzieł masy ludu i robotników jako czynnik działający, a spis ten z łatwością dalby się powiększyć. Wypada jednak zaznaczyć, że tłum, aczkolwiek nie po raz pierwszy występujący, pojawia się u Hauptmanna z nieznaną dotychczas siłą, zaznaczywszy zaś to, należy ocenić estetyczną wartość tego faktu. Zdemokratyzowanie się współczesnej literatury było koniecznym skutkiem ewolucji dziejowej, w następstwach zaś o ile

¹⁾ *Das Magazin für Litteratur*. 1894 Nr. 13. p. 390.

przyniosło piśmiennictwu namacalne szkody — np. zanik wielkiej tragedyi, niebezpieczeństwo pospolitości lub ohydy — o tyle z drugiej strony wniosło całe mnóstwo nowych motywów, rozszerzyło horyzonty autora i czytelnika. Natomiast mniej zbawiennym jest drugi objaw współczesnej literatury; szczególnie dramat musi na tem stracić, gdy zamiast na indywidualiach oprze się na tłumie. Prawda, pisarz zyskuje szeroki podkład, może być zamaszystym, zadziwić śmiałością w poruszaniu mas; lecz gdy na drugiej szali położy się trudność charakteryzowania, brak skupienia uwagi widza, rozpraszenie jej, nadanie akcji dramatu cechy elementarnego wybuchu nieświadomych mas, zamiast czynów indywidualów, gdy się to uwzględni, przyzna się, że rada sławnego uczonego kryminalisty włoskiego, polecająca pisarzom tłum ¹⁾, jest co najmniej wątpliwej wartości.

W związku z tem pozostaje inna właściwość *Tkaczów*. I dziś jeszcze grają się niekiedy w teatrach *féerie's* i przeróżne widowiska sceniczne z kategorii t. zw. *Ausstattungsstücke*, w których każdy akt a raczej obraz ma osobny spis osób, a wszystkie mało ze sobą się wiążą, istnieją każdy dla siebie, bez ścisłego węzła wspólnej akcji. I u Hauptmanna każdy akt ma na początku osobny spis występujących osób, a dopiero na końcu sztuki dodana jest jedna ogólna lista z wszystkich odsłon. Już zewnętrznie więc *Die Weber* przedstawiają się jako szereg pięciu odrębnych całości, które razem tworzą znowu jedną wyższą; akcji, jak ją pojmuje zazwyczaj dramaturg, tutaj nie ma, są tylko obrazy, powiązane jednak ze sobą jedną myślą i wzajem się dopełniające.

Przed szczegółowym rozbiorem każdego z tych aktów należy wtrącić jedną uboczną uwagę, wyjaśniającą tytuł a zarazem rzucającą światło na genezę utworu. Już poprzednio była mowa, że dopisku *Schauspiel aus den vierziger Jahren*ie podobna przyjąć bez zastrzeżeń. Istotnie zawiera on po części prawdę, bo treść sztuki stanowi przedstawienie losów, położenia i zaburzeń, które zdarzyły się w r. 1844 wśród tkaczów na Szlązku pruskim. Mimoto jednak dramat jest na

¹⁾ Enrico Ferri w *Revue des Revues* 1896 II. p. 103 w artykule *Les criminels dans l'art*.

wskrós współczesnym i z temsamem wrażeniem można go widzieć lub czytać bez tego historycznego komentarza. Jaką drogą doszedł Hauptmann do takiego motywu, łatwo wyrozumieć z pomocą znajomości poprzednich jego dramatów, jak również dzięki wstępnym słowom samego autora. Już w pierwszym dziele, w sztuce *Przed wschodem słońca*, ukazał on — na dalekim planie — gromadę wynędzniałych, zawiścią i pragnieniem zemsty wypełnionych robotników, górników, wiadomo zaś z jego biografii, że życie samo nastęrczyło mu sposobności obcowania z pracującym proletaryatem. Na ten grunt, z dawna już w umyśle poety przygotowany, padło ziarno rzucone inną, bliską ręką. *Tkaczy* poświęca autor „swemu ojcu, Robertowi Hauptmannowi“, a w pięknej i szczerością techną dedykacji dziękuje mu za opowiadanie o dziadku, który zamłodu taksamo jako biedny tkacz siedział za warsztatem. Tu więc należy szukać bezpośredniego źródła dramatu, o którym Hauptmann we wstępie ofiarując go ojcu mówi, że „czy on ma w sobie zdolność do życia, czy też jest wewnątrz spruchniałym, jest przecież najlepszym darem, jaki złożyć może taki biedny człek, jak Hamlet“.

Pierwszy akt rozgrywa się w przędzalni i fabryce barchanu Dreissigera w Peterswaldau. Z podręcznika geografii łatwo dowiedzieć się, że miejscowość taka istnieje rzeczywiście w pruskim okręgu wrocławskim, ma zamek i bardzo ożywiony ruch fabryczny, mnóstwo warsztatów tkackich; ludność jest przeważnie protestancką. Pierwsza odsłona przedstawia izbę, w której robotnicy składają do rąk urzędników fabryki gotowe tkaniny, za co po zważeniu ich i ocenieniu ich wartości otrzymują na miejscu zapłatę. Już z tego, jak i z niezwykle długich objaśnień autora, widać, że ten akt jest w zupełności tak zwanym obrazem scenicznym. We współczesnym dramacie stają się one coraz powszechniejszemi i coraz rozmaitszemi. Autorowie dramatyczni wprowadzają na scenę mnóstwo obrazów, z wielostronnego życia współczesnego wziętych: ruch na stacyi kolejowej lub rozbicie się pociągu, życie okrętowe lub koszarowe, kulisy teatralne lub arena cyrkowa, sala rozpraw sądowych, lub dom przytułku ubogich i niezliczone mnóstwo innych środowisk przedstawia dziś powieść a szczególnie dramat. Oczywiście w tego ro-

dzaju obrazach scenicznych akcja lub czyny jednostek albo wcale nie istnieją, albo schowane są gdzieś w kącie, główny urok natomiast leży w odtworzeniu ruchliwego życia całego grona ludzi, oraz w malowniczym a realistycznym reprodukowaniu zewnętrznych ram obrazu, *interieur'u*. Takie obrazy mają też w teatrze ogromne powodzenie, publiczność je lubi, a przedsiębiorca ubiega się za nimi i zachęca do nich autora. Ten zaś chętnie się ich ima, bo pewny jest sukcesu a przytem praca w nich mniejsza, niż się wydaje; wszak lwią część roboty wykona dekorator, maszynista, kostymer i reżyser, a autor sam musi tylko posiadać nieco obserwacyi życia i zmysłu scenicznego. I to jest talent *sui generis*, zdolny stopniowania, lecz nawet na najwyższym szczeblu nie jest on jeszcze dramatycznym, raczej jest teatralnym. O tem należy pamiętać szczególnie w obecnych czasach, kiedy autorowie, publiczność i przedsiębiorstwa teatralne uganiają się za takimi obrazami scenicznymi, które raczej przystoją kinematografowi.

Do tej kategorii należy pierwszy akt dramatu Hauptmanna. Przeczytawszy wstępne uwagi, do inscenizacyi się odnoszące, a obejmujące wszystko: od ścian izby aż do wyglądu twarzy robotników, przypatrzwszy się temu dokładnie, wie się już niemal wszystko, co mówi i pokazuje właściwy akt. Z jednej strony nędza robotników, z drugiej nieubłagany wyzysk fabrykanta, oto obraz, jaki w umyśle widza zamierza autor wywołać. A więc tkacze oddają owoc swej zmudnej pracy, czekają z bojaźnią, aż ekspedyent Pfeifer zważy tkaniny i wywoła kasyerowi Neumannowi sumę, jaką ten ma wypłacić; więc płaczliwe prośby robotników, aby tym razem dla choroby żony lub innego nieszczęścia nie odciągać im pobranej już przedtem zaliczki; więc szorstkie a odmowne odpowiedzi Pfeifera, nieraz w towarzystwie grubych żartów — oto pierwsza część obrazu. Że jest on *wirkosam*, to przyzna każdy: gdy uczciwy człowiek z sercem żywym zobaczy po jednej stronie chude twarze, zapadłe piersi okryte łachmanami, po drugiej samo zdrowie i sam dostatek, gdy usłyszysz tam skargi i pokorne prośby, tu brutalne drwiny, to idąc za popędem serca ani chwili nie będzie się wachać, gdzie jest krzywda a gdzie wyzysk, po-

cznie litować się nad jednymi a nienawidzić drugich — i cel autora jest osiągnięty. Lecz jak niekiedy kula idzie dalej, niż strzelec zamierzał, tak i tu niejedyn widz pójdzie w swych wnioskach po za granice bezpośredniego celu autora. W sztuce Hauptmanna słuszość, sprawiedliwość, wydaje się być po stronie tkaczy, litość im się należy, a więc i wogóle na świecie zawsze robotnikom dzieje się okrutna krzywda, zawsze fabrykanci są ludźmi bez serca, zasługują na bezgraniczną pogardę i nienawiść, ba, wszak cały świat dzieli się tylko na wyzyskiwaczy i wyzyskiwanych, a więc ty biedaku, ponieważ oczywiście ciemieżcą nie jesteś, musisz być ciemieżonym, zatem należy ci się odwet — jaki? to dalszy ciąg dramatu pokaże. Czy ten proces myśli istnieje tylko w fantazyi krytyka? czy nie odbywa się on w umyśle wielu z tych właśnie widzów, dla których autor przedewszystkiem pisał? A jeżeli tak, to widocznem jest, że zaraz pierwszy obraz dramatu Hauptmanna społecznie i moralnie jest zły, bo podnieca śpiące namiętności, nienawiści klasowe. Czemu? Czy wolno winić autora dramatycznego, że motywy bierze ztamtąd, gdzie je znajdzie? Oczywiście nie; wolno mu przedstawiać na scenie wszystko, na co sztuka dramatyczna pozwala, ale baczyć winien, że nie każdy „wykrawek z życia“ da się żywcem na scenę przenieść, że przeniesiony na nią gwałtem, nabiera innego, odmiennego ducha, ukazuje się nie w naturalnem świetle słonecznem, lecz w sztucznem oświetleniu elektrycznem. Teatr mimowoli generalizuje, symbolizuje; nie przedstawia ani osób ani faktów zdarzających się raz na sto lat, lecz nadaje postaciom i scenom znaczenie mniej lub więcej typowe. Gdy Hauptmann przedstawia wyzyskiwanych robotników i wyzyskiwaczy fabrykantów, to widz nie powie sobie: to się działo w r. 1844 w Peterswaldau na Szlązku pruskim, lecz chcąc lub nie chcąc będzie miał przed oczyma robotników wogóle i fabrykantów wogóle. Dlatego jednostronność autora staje się zdrożną, dlatego przeniesienie na scenę pewnych sytuacji jest bardzo niebezpiecznem. Scena nie ma zadania, być oskarżycielem, który gromadzi starannie wszelkie zarzuty — prawdziwe i nieprawdziwe — obronę pozostawiając komu innemu. Jeżeli np. Hauptmann przedstawia robotników, którym ekspedient

odciaga od zapłaty karę za pewne wady w tkaninie, a oni na to się skarżą, to jak widz ma możliwość przekonania się, czy to postępowanie jest słusznem, czy barchan rzeczywiście może nie jest z winy tkacza popsutym? Albo jeżeli robotnicy narzekają na odciąganie od zapłaty zaliczek i skarżą się na małe wynagrodzenie, to z kąd widz ma wiedzieć, że robotnicy nie pobrali zaliczek np. na zabawy w karczmie, lub że ich wynagrodzenie nie odpowiada pracy?

Skargi, prośby, burzenie się ciche tkaczów trwa ciągle, a dochodzi do sporadycznego wybuchu w następnej scenie. Do biura przystępuje stary Baecker, oddaje swój barchan, Pfeifer każe go zważyć, ocenia go i wymienia głośno kwotę, jaka się tkaczowi należy. Ten niezadowolony, nazywa zapłatę marną jałmużną, Pfeifer nie pozostaje mu dłużnym, powstaje kłótnia, Dreissiger nadchodzi, Baecker coraz zapalczywiej wykrzykuje, lży ekspedyenta (*deine Mutter mag sich woll ei a Neunmonden bei Besenreit'n am Lucifer versehen habn, das a so a Teiwel aus dir geworn is*“ str. 12), zuchwale odpowiada fabrykantowi. Epizod kończy się pozbawieniem Baeckera pracy w fabryce, lecz po za tem przynosi on bardzo ważny szczegół. Oto dowiadujemy się, że konflikt robotników z fabrykantem nie rozpoczął się od dziś dopiero, lecz trwa już dłużej, że mianowicie właśnie wczoraj wieczorem „banda na pół pijanych“, jak mówi Dreissiger, z krzykiem, przeciągała po pod oknami mieszkania jego, śpiewając jakąś nienawistną pieśń, która fabrykanta tak oburza, że aż grozi oddaniem sprawy prokuratorji.

Bezpośrednio po tym epizodzie następuje inny. Wśród gromady czekających robotników powstaje zamieszanie; oto jakieś małe chłopię padło zemdlone. Dreissiger przystępuje bliżej, pyta o dziecko, każe je cucić, a gdy chłopak słabym głosem mówi: „Jestem głodny“, fabrykant błady poleca wprowadzić go natychmiast do swego mieszkania. Tłum tkaczów i kobiet zostaje, słyhać ich skargi na ciężką biedę, za chwilę wchodzi fabrykant, i długo przemawia do nich, jakby chciał się bronić i udowadniać, że on przecież tylko dobra robotników pragnie i na ich nienawiść chyba nie zasłużył. Epizod z omdłym z głodu chłopcem niewątpliwie ma ściągnąć nienawiść jeszcze silniejszą na wyzyskiwaczy, którzy są przy-

czyną takich krzywd, o pomstę do nieba wołających. Żal, biednego chłopca, żal go za to, że o głodzie musiał dźwigać barchan, czekać wśród ścisku, aby potem z odrobiną pieniędzy wrócić do rodziców na nową nędzę, biedny on i każdy chciałby mu ulżyć. Ale on sam autorowi nie może być wdzięcznym za przedstawienie jego oplakanego stanu. To nie litość nim powoduje, nie gorące współczucie dla cierpiących, ale nienawiść dla drugich, i nie litość ma to chłopię obudzić, ale podnieść nienawiść klasową, pobudzić do zemsty. Pod płaszczykiem humanitarności dopuszczać się podburzania mas, to występki, który staje się zbrodnią, gdy się go spełnia z talentem. Nie wiemy, wiedzieć nie możemy, czy w r. 1844 w Peterswaldau padł zemdlony z głodu chłopak, niosąc barchan do fabryki; nie wiemy i wiedzieć nie możemy, czy, jeżeli się to stało wogóle, nie było to winą nieostrożnych rodziców — wiemy tyle, że przedstawienie takiego w ostatecznym razie tylko wyjątkowego wypadku, przedstawienie go na scenie a przez to nadanie mu znaczenia niemal typowego, jest może środkiem artystycznym bardzo skutecznym, ale na pewno jest moralnie i społecznie przewrotnym.

Akt kończy się własną obroną Dreissigera, któremu szablonowo przytakują tkacze, oraz jego oświadczeniem, że przyjmie do pracy jeszcze dwustu robotników, „aby pokazać swą dobrą wolę“ (str. 19). Tkacze otaczają go, zasypują go rozmaitemi prośbami, on jednak odsyła ich do Pfeifera.

Takim jest pierwszy akt. To nie początek jakiej akcji, lecz podmalowanie ogólnego tła, obraz sceniczny. Artystycznie zajmujący, społecznie skrajnie tendencyjny, a przez to moralnie zły, przedstawia on dwie grupy, jakby dwa walczące wojska: z jednej strony fabrykant i jego urzędnicy, z drugiej robotnicy. Wśród tych, indywidualności dotychczas prawie nie ma: jeden tylko Baecker zapowiada butny umysł, zuchwałą odwagę, wprawę języka, z całej zaś masy pozostałych wydobywa się nieco na wierzch jeden tylko stary Baumert. Jeszcze się go nie zna, jeszcze się nie wie o nim nic po nad to, że zabił psa domowego, aby go zjeść — o tem będzie jeszcze niżej mowa — ale już przeczuwa się w nim jakąś wybitniejszą indywidualność.

Jeżeli kto pragnie niezbitego dowodu na powyższej wypowiedziane twierdzenie, że tłum nie jest właściwym elementem dramatu, ten niechaj przeczyta drugi akt *Tkaczów*, a następnie zestawí go co do wrażenia z poprzednim. Tam była masa cisnąca się, wszyscy naraz skarżyli się, wszyscy się pchali przed oblicze widza, którego oko błąkało się po nich bez stałego punktu oparcia — tu daleko do potężnych indywidualności, ale są już jednostki, zamiast tłumy, wzrok na nich dłużej może spocząć, umysł się zastanowić a serce współczuć. To też cokolwiek się powie o szczegółach drugiej odsłony, niepodobna odmówić jej wogóle siły dramatycznej, niepodobna pozostać zimnym widzem. Scena się zmienia: już nie fabryka i przędzalnia w Peterswaldau, lecz mała lepianka w okolicy, w Kaschbach w Eulengebirge (część Sudetów). Domek jest własnością starego Anserge tkacza i koszykarza, który część jego odnajmuje rodzinie znanego nam już Baumerta. Autor i tu z najskrupulatniejszą dokładnością podaje przepisy co do wyglądu zewnętrznego nędznej izby i jeszcze nędzniejszych jej mieszkańców.

Akcyi i tu nie ma zupełnie, jest tylko parę sytuacji jaskrawo oświetlonych. Gdy kurtyna się podnosi, widzi się rodzinę Baumerta, oczekującą jego powrotu z fabryki. Jest tu jego żona, stara schorzała kobieta, syn, wiecznie się śmiejący idyota, zresztą bardzo nieznaczną odgrywający rolę, dalej dwie córki i Fritz, nieprawe dziecię jednej z nich, Emmy. Obraz przejmujący litością, odsłaniający nędzę rodziny, dający się domyślać i jej moralnego stanu. Czy nieszczęście jest zupełnie niezawinionem? Można wątpić, bo naprzód cnota Emmy nie jest wyższą nad pewne podejrzenia, powtóre zaś matka Baumert tak trwoży się, by też mąż zarobku nie przepił w karczmie, że wolno przypuszczać, iż wypadek taki często się w przeszłości zdarzał. Bądźco bądź jednak widok nędzy jest wzruszającym i szczere obudza współczucie, a dzieje się to z pomocą środków, zupełnie w zakresie dramatu leżących. Inaczej jest z chwilą, gdy w odwiedzinę do Baumertów przychodzi pani Heinrich, również żona tkacza i wynurza się z rozdzierającymi serce skargami na nędzę, dochodzącą do ostatecznych granic. Nieszczęście Baumertów się widzi, o nieszczęściu

Heinrichów słyszy się, a więc dochodzi się do znajomości jego drogą sprzeczną z zadaniem i istotą dramatu, który epicznych opowiadań nie dopuszcza. Prócz tego, ponieważ nędza Heinrichów jest jeszcze większa niż nędza Baumertów, widz odtąd ma do wyboru albo epizod pierwszych puścić w niepamięć, albo drugich uważać za mniej litości godnych od tamtych, a więc współczucie dla Baumertów, którzy przecież ważniejsi są w dramacie od Heinrichów, słabnie, bo szlachetny popęd ludzkiego serca znajduje inny przedmiot, jeszcze bardziej pożałowania godny. Wypływa z tego, że epizod opowiadania pani Heinrich, o ile jest czysto epicznym swą formą, o tyle jest również niedramatycznym i z tego względu, że na miejsce współczucia dla osób dramatycznie ważnych, wprowadza litość dla epicznych mas.

Oczekiwany z utęsknieniem stary Baumert wchodzi nareszcie, ale nie sam — towarzyszy mu Maurycy Jäger, mularz rezerwista. Odtąd pocznie on wybitną grać rolę i często nim jeszcze przyjdzie się zajmować. Ale już tu, w tej scenie, czytelnik zapoznaje się z tą nową osobistością. I znowu, jak już tyle razy u Hauptmanna, dzieje się to sposobem nie dramatycznym, lecz epicznym. Jäger poprostu opowiada wszem wobec i każdemu z osobna długo i szeroko, co robił, czem był, zanim się tu zjawił. Pochodzi z tej okolicy i jako młody chłopak był wielkim nieponiem, aż został żołnierzem i w wojsku ślepem posłuszeństwem i gorliwością doszedł do tego, że dziś ma *Kleeder wie a Fürscht und an silberne Cilinderuhre und oben druf noch zehn Thaler bar Geld*. Kontrast jego zamożności i pewności siebie z nędzą i przygnębieniem Baumertów wywołuje rozmowę, w której udział bierze także właściciel domku, Anserge, oczywiście w stosownie rozwlekłej odezwie zawiadamiając czytelnika jak to się stało, że on, tkacz z zawodu, zabrał się do koszykarstwa, choć i to ledwo go przy życiu utrzymuje. W jego zresztą bardzo zbędnej przemowie jest jedno miejsce istotnie ładne, które godzi się przytoczyć, raz dlatego, że brzmi w niem szczerza nuta, powtórę zaś zważywszy, że wśród tych robotników, żyjących z pracy rąk, zatrudnionych w fabryce, on jeden ściślej związany jest z ziemią, jako właściciel „mniejszej posiadłości”. „Tu się urodziłem, tu mój ojciec

siedział przy warsztacie, więcej niż czterdzieści lat. Jak często mówił on do matki: matko, gdy ja raz skończę, trzymaj domek. Domek ten ja zdobyłem, powtarzał. Tu każdy gwóźdź oznacza nieprzespaną noc, każda belka — rok przebyty o suchym chlebie“ (str. 37). Tak wszyscy skarżą się na swój los, a stary Baumert pyta się, czyby nie dało się tego zmienić, gdyby ktoś poszedł do Berlina i przedstawił to królowi. Lecz Jäger rozwiewa jego złudzenia: to nadarmo, zresztą już o tem gazety pisały, lecz cóż, bogaci zawsze prawdę przekręcają, a sami pasają się i mieszkają w pałacach i jeżdżą w powozach i trzymają guwernantki i sami nie wiedzą, co poczając z dumy i bogactwa. Obecni przytakują mu, a Ansorge z tęsknym żalem wspomina dawne czasy, w których człowiekowi jakoś lżej było. „Wtedy fabrykanci pozwalali tkaczom żyć obok siebie. Dziś sami wszystko zabierają. Ale to ztąd pochodzi: wyższy stan nie wierzy już ani w Boga ani w dyabła. Oni już nie wiedzą o przykazaniach i karach. Kradną nam ostatni kąsek chleba i odbierają nam pożywienie, gdzie tylko mogą. Od nich pochodzi wszystko złe. Gdyby nasi fabrykanci byli dobrymi ludźmi, i my nie mieliśmy złych czasów“ (str. 38).

Scena niniejsza robi niewątpliwie potężne wrażenie. Autor zawdzięcza je postaci starego Ansorge, którego siwy włos wzbudza szacunek, a nieszczęście przemawia słowami smutnemi i rzewnemi, lecz wolnemi od wścieklej nienawiści. Na tej wyżynie sztuka nie utrzymuje się jednak długo, spada z niej niebawem. Naprzód Jäger uderza w brutalne struny groźby odwetu: „Jest człkiem łagodnym, ale gdy raz się rozzłości i wpadnie we wściekłość, to weźmie Dreissigera w jedną, Dittricha (innego fabrykanta) w drugą rękę i jedną głową uderzy o drugą, że aż staną im w oczach świece. Gdybyśmy się zdobyli na jedność, tobyśmy mogli fabrykantom takiego sadła za skórę zalać... Nie potrzebowalibyśmy wtedy ani króla, ani rządu, poprostu powiedzielibyśmy: chcemy tego a tego, tak a tak nie, i wtedy wnetby oni inaczej śpiewali...“ Uchylając zasłonę z następnych aktów dramatu, powiedzmy, że w dalszym ciągu sztuki Jäger staje się przywódcą robotników, którzy wprowadzają w czyn tę groźbę. Nawoływanie do gwałtownego wymierzenia sobie sprawied-

liwości, do terroryzmu, zawarte w przytoczonej tyradzie rezerwisty, nabiera przez to tem większej wagi. Rozprawimy się z niem na właściwem miejscu, tu podkreślamy tylko dobitnie słowa Jägera.

Ale nie koniec na wymownem wezwaniu do rewolucyi społecznej; pod maską jedności i zgody, jest w dramacie w tem miejscu inny moment, stokroć bardziej jeszcze oburzający. Już poprzednio, w akcie pierwszym, stary Baumert niósł ze sobą zabitego psa. Tu, w drugiej odsłonie mówi się dużo o nędzy tkaczów, o tem, jak rzadko mogą jadać mięso, Baumert np. przed dwoma laty był u komunii, potem sprzedał surdut odświętny (*Gottstischrock*) i za to kupił sobie i rodzinie kawałek wieprzowiny. Odtąd aż do dnia dzisiejszego, nie jadł mięsa. Dopiero niedawno przybłąkał się pies jakiś, miłe, potulne stworzenie, i choć z serdecznym żalem zabili go. Teraz wszyscy jedzą to psie mięso, Ansurge „ze łzami“ (str. 37), Baumert z wielką łapczywością. Nagle stary tkacz wstaje, wychodzi z izby, obecni spostrzegają to, żona przeczuwa, co to znaczy (*da wird a das ganze bissel scheenes Essen wieder von sich geben*) i istotnie Baumert wraca po chwili i skarży się, że żołądek jego odwykły od tak dobrej potrawy, wyrzucił ją napowrót (*hat man sich amal was gutes dergattert, da kann ma's ni amal mehr bei sich behaltn*, str. 40). To mówiąc siada z płaczem, a Jäger „w nagłym wzburzeniu, fanatycznie“ rzuca klątwę na fabrykantów.

Scena jest wstrętą, nie do zniesienia z estetycznych powodów, przewrotną i potępienia godną z moralno-społecznych pobudek.

Nie tu miejsce na dociekanie, czy i o ile szpetność jest uprawnioną w sztukach pięknych w ogólności. Ograniczając się na literaturze, i to dramatycznej, musi się orzec, że jest ona w niej dopuszczalną. Teatr jest odbiciem życia, a jak w życiu istnieje brzydota fizyczna, czy moralna, tak istnieć musi i na scenie. Lecz uprawniona, nie jest bynajmniej nieograniczoną. Ograniczają jej prawa, i jej zakres dwa względy, jeden wynikający z jej natury samej w sobie, drugi będący skutkiem jej stanowiska, wobec innych objawów życiowych. Szpetność dopuszczalna jest w poezyi o tyle, o ile nie przekracza granic, jakie wyznaczają jej ludzkie zmysły, same

ograniczone: jak światło zbyt jaskrawe staje się niezdolnością dla oka, jak zbyt silny zapach, lub fetor, może wywołać omdlenie, tak objaw brzydoty fizycznej lub moralnej, przekraczający granicę wytrzymałości ludzkich zmysłów i ludzkiego uczucia, wywołuje w nich fizyczne omdlenie, lub moralne zohydzenie. Widok rannego jest dopuszczalny — prowadzenie człowieka z rozprutymi wnętrznościami jest niedopuszczalne; taksamo wolno przedstawić rozpustnika uwodzącego dziewczęta, niewolno przedstawić ojca gwałcającego własną córkę. To jeden wzgląd. A drugi? Szpetność istnieje w literaturze dlatego, że jest jednym z objawów życia, którego tamtą jest obrazem, bez niej obraz byłby niezupełnym, jednostronnym, fałszywym. Wynika z tego, że poeta o tyle może przedstawiać ohydę moralną lub fizyczną, o ile jest to potrzebnem do uzupełnienia tego obrazu, nadania mu prawdy; szpetność sama dla siebie, jako *Selbstzweck*, lub szpetność posunięta co do obrazu lub stopnia po za granice potrzeby, staje się potępienia godną, jest niedopuszczalną.

Zastosowawszy te zasady do epizodu z psiem mięsem, musi się na niego wydać surowy wyrok. Przedewszystkiem należy zaznaczyć a raczej przypomnieć, że autor starannie przygotowuje go już w akcie pierwszym, zaraz na początku sztuki (str. 11), więc widocznie przywiązuje do niego wiele wagi, tembardziej, że gwałtowny akkord końcowy drugiego aktu jest bezpośrednim jego skutkiem. W samym epizodzie należy rozróżnić dwa stadya: jedzenie psiej pieczeni i następnie wyrzucenie jej przez żołądek nieprzyzwyczajony do takich przysmaków (to ostatnie wyrażenie, użyte w dramacie bynajmniej nie ironicznie, lecz dosłownie). Sam, szeroko i kilkakrotnie opisywany proces zabicia psa, dalej zajadanie mięsa wywołuje w umyśle i uczuciu czytelnika, a tembardziej widza i słuchacza, odrazę. Niezdolnością jest jednak dopiero to, co się potem dzieje z biednym Baumertem. Dramat współczesny, takie sceny dość... lubi, używa ich zaś zazwyczaj dla celów ośmieszenia danej osoby (np. Ibsena *Dzika kaczka*). Sam proces wypróżniania się przymusowego (*sit venia verbo*) jest wstrętny nie do zniesienia, na scenie też, o ile wiemy, nawet najśmielsi naturaliści, nie odważyli się go pokazać. Hauptmann oczywiście też przenosi go za kulisy, lecz akcen-

tując go w dialogu, usiłuje w wyobraźni czytelnika wywołać jasne o nim pojęcie. Połączony ze sprawą zabitego psa i zjedzonej z niego pieczeni, moment ten staje się dla ludzkiego uczucia nieznośnym, przekracza granice powyżej zakreślone i dlatego musi się go potępić. Lecz może użył go autor, aby nadać prawdę życia scenicznemu dziełu? Narazie zostawiamy na boku pytanie, o ile takie wypadki się zdarzają w życiu, a szukając intencji autora, domyślamy się, że cały ten „psi epizod“ ma obrazować nędzę Baumertów w szczególności, robotników fabrycznych w ogólności. Zgoda na ten zamiar; lecz w takim razie wystarczała wzmianka w pierwszym akcie, że Baumert zabił psa, aby go w braku lepszego mięsa zjeść, wystarczało wreszcie jedzenie tej pieczeni w akcie drugim. Czytelnik znalazłby dokładnie niedolę tkaczy, którzy z głodu muszą aż psy zabijać i zjadać. Przypadek Baumerta do tego przeświadczenia bynajmniej nie dodaje, nie wzmacnia go, bo ono i tak jest już silne i bez niego. A więc epizod niniejszy, ohydny estetycznie aż do niemożności, nie jest bynajmniej usprawiedliwionym ze względów ogólno-artystycznych, nie ma na celu dopełnić obrazu życia, jest sam dla siebie celem, wywołuje obrzydzenie dla obrzydzenia, a więc jest potępienia godnym. Albo, czyżby on przecież miał jakiś cel? Tu przechodzimy do oceny jego wartości moralno-społecznej. Czy epizod z zabitym psem miał swój odpowiednik w rzeczywistym życiu, nie wiemy, zresztą wiedzieć nawet nie chcemy. *Tkacze*, aczkolwiek nazywają się sztuką historyczną, są w treści i w zamiarze dramatem współczesnym. Takiemu zaś niewolno przedstawiać stosunków, postaci, sytuacji, zbyt wyraźnie noszących piętno wyjątkowości — chyba, że dramat sam ten ich charakter zaznacza — bo on z natury rzeczy nadaje stosunkom, postaciom, sytuacjom przedstawionym cechę typów poniekąd, a więc w danym wypadku chcąc osiągnąć fotograficzne prawdopodobieństwo sfalszowałby istotną prawdę. Scena z psią pieczynią tak uparcie po za granice i estetyki i koniecznej potrzeby przeprowadzona, ma widocznie cel inny, z odtworzeniem prawdy życiowej nie mający wspólnego. Ma ona swą bezgraniczną ohydą estetyczną obudzić w najwyższym stopniu wstręt moralny, nienawiść społeczną. Czytelnik nie zatrzyma

się na spostrzeżeniu, że w r. 1844 w Peterswaldau lub Kaschbach pewien tkacz zjadłszy zabitego psa musiał go oddać i żałował straty takiego przysmaku — widz pójdzie dalej, generalizując odosobiony fakt naprzód na tkaczów wogóle, potem na całe dzisiejsze społeczeństwo: patrzcie, co wart dzisiejszy ustrój społeczny, gdy ludzie jedzą mięso padłych psów i płaczą potem rzewnymi łzami, gdy żołądek od tych przysmaków odwykły, wyrzuca je z siebie! I dlatego ten epizod, estetycznie wstrętny, nie do zniesienia, jest moralnie i społecznie jeszcze ohydniejszy.

Że powyżej opisany proces uogólniania, nie jest wymysłem krytyka, dowodzi samo zakończenie aktu drugiego. Pod bezpośrednim wpływem „psiego epizodu“ Jäger „w nagłym wzruszeniu, z fanatyzmem“ deklamuje ową pieśń, śpiewaną już dawniej pod oknami mieszkania Dreissigera:

Hier im Ort ist ein Gericht
 Noch schlimmer als die Vehmen,
 Wo man nicht erst ein Urtheil spricht,
 Das Leben schnell zu nehmen.

Hier wird der Mensch langsam gequält,
 Hier ist die Folterkammer,
 Hier werden Seufzer viel gezählt
 Als Zeugen von dem Jammer.

Die Herr'n Dreissiger die Henker sind,
 Die Diener ihre Schergen,
 Davon ein Jeder tapfer schindt,
 Anstatt was zu verbergen.

Ihr Schurken all, ihr Satansbrut,
 Ihr höllischen Dämone,
 Ihr fresset der Armen Hab und Gut,
 Und Fluch wird euch zum Lohne itd.

Wszyscy obecni z przejęciem powtarzają słowa hymnu, jakby objawione, i powstaje jakby uroczysty chór. Nawet stary Ansorge pozbywa się swego umiarkowania, „rzuca koszyk w ką, podnosi się, drżąc na całym ciele z wściekłości i mówi: To musi się zmienić, mówię wam, zaraz teraz. My tego już nie ścierpimy! Nie zniesiemy tego, niech się dzieje

co chce" (str. 42). Słowa jego kończą akt drugi i widocznie mają być drogowskazem na przyszłość.

Zgodnie z charakterem „obrazów scenicznych“, autor w akcie trzecim przenosi widza na inne miejsce. Czy tego wymaga wewnętrzna akcja sztuki? Bynajmniej. Poprostu powód tej zmiany jest inny: zajmujące urządzenie biura fabrycznego z tłumem cisnących się robotników w akcie pierwszym, oraz środowisko nędznej lepianki starego Anserge w drugim, straciło już siłę atrakcyjną, potrzeba więc wymyślić inne *milieu*, oczywiście takie, któreby z jednej strony było bardzo realistycznym, z drugiej, reżyserowi i dekoratorowi teatru dawało pola do popisu. Wszystkim tym celom odpowiada wybornie izba w karczmie, pod Peterswaldau, której urządzenie przepisuje autor z drobiazgowością. Aby oczom czytelnika-widza dostarczyć jak najwięcej świeżej karmy, Hauptmann wyciąga z kulis cały szereg nieznanych dotychczas a bardzo ciekawych postaci, szukających duchowej pociechy przy szklance słodkiego „bawara“. A więc będzie tu sam szanowny właściciel szynku, Welzel, „dobroduszny kolos“, jego zacna połowica prasująca pod piecem, ich córka, panna Anna „z przepyszniemi czerwono-blond włosami“ zajęta haftowaniem, dalej siedzi Wiegand, stolarz, „z którego patrzy, że wie, co na świecie potrzeba, aby dojść do celu, mianowicie chytrości, rzutkości i bezwzględności“, jest i podróżny jakiś „z zapalem zajądający niemiecki *beafsteak*“ (sumiennosc Hauptmanna zadziwiająca!) a za chwilę towarzystwo powiększa się o Horniga, łachmaniarza, przychodzi wreszcie leśniczy, i chłop, i koszykarz, i tkacz, i żandarm nawet, słowem jest na co się patrzeć, tembardziej, że połowy z tego zacnego a tak licznego grona ani się dotąd nie widziało ani się już odtąd widzieć nie będzie.

Ze wszystkich aktów ten ma w sobie najmniej pierwiastków dramatycznych, jest cały nawskróś epiczny, niemal aż do samego końca. Mówi się o doli robotników, lecz się jej nie przedstawia, rozprawia się szeroko o pogrzebach tkaczów, lecz się ich nie pokazuje itd.; tych kilka osób, zebranych w karczmie, prowadzi długie rozmowy o wszystkich rzeczach i niektórych innych, mogące ująć w powieści, nie mające prawa wstępu do dramatu. W całem „dziele“ Haupt-

man, o ile je dotychczas znamy, niema — chyba z wyjątkiem pewnych scen pierwszego aktu sztuki *Przed wschodem słońca* — niema dłuższego ustępu, tak niezgodnego z naturą dramatu, jak trzecia odsłona *Tkaczów*. Do akcji, o ile o niej może być mowa, nie dodaje ona bezpośrednio absolutnie nic ponad ten drobny szczegół, że Jäger *et consortes* przechodząc, pokrzepiają się trunkiem, który potem jest jednym ze współaktorów obu następnych aktów; do charakterystyki poszczególnych osób również nic nie przyczynia, do charakterystyki masy dodaje kilka rysów, lecz pośrednio, w sposób czysto epiczny i to rysów mniej ważnych; po za tem zawiera pewne szczegóły niepotrzebne, a umyślnie naprzód wysunięte, jak np. zaloty podróznego do pięknej Anusi, nikogo nie a nie nie obchodzące.

Ostatecznie więc możnaby nad tym aktem ze spokojem „przejsć do porządku dziennego“, tj. do następnej odsłony; jak jednak w parlamentach często długo się mówi, aby wkońcu dojść do takiego rezultatu, a potem sprawozdawcy muszą podawać treść tych mów poselskich, tak i krytyk ma obowiązek zdać sprawę z dyskusyi, jaką prowadzą osoby, zebrane w karczmie pod Peterswaldau. Rozpoczyna ją podrózny, który, zdaje się, ma przedstawiać zwykłych ludzi z mieszczaństwa. Dziwi się, że w gazetach czytał okropne rzeczy o nędzy tkaczów, a tu słyszy zdaleka odgłosy chóru na pogrzebie zmarłego robotnika; sam widział, przechodząc przez wieś, kondukt z muzyką, „jak gdyby grzebano cesarza Chin“. „To przecież musi okropnie drogo kosztować. Zkąd więc ludzie biorą na to pieniądze?“ (str. 49). Wiegand odpowiada, tłumacząc wystawne pogrzeby przesadną czcią dla zmarłych; pozostali krewni nie wahają się nawet zaciągać długów, byle tylko nieboszczyka z pompą na cmentarz wyprowadzić. Księża zaś bynajmniej robotników od tego nie odwodzą, owszem niechętnie znoszą ciche pogrzeby, bo z wystawnych większy mają dochód. Dalsza rozmowa, zaloty podróznego, kłótnia Horniga z Wiegandem, wszystko to zajmuje wprawdzie dość czasu, ale nie należy do właściwej treści dramatu, nie wiąże się z nią nawet pośrednio i dlatego czytelnika nudzi i nuży. Opowiadanie „drugiego starego tkacza“ o nieszczęściu i szkodach, wyrządzonych przez powódź, obudza

swą treścią litość, lecz w dramacie jest epizodem zupełnie niepotrzebnym, zbędną jest także sprzeczką z chłopem, która jednak dorzuca do ogólnego obrazu przynajmniej jeden nowy, a ciekawy rys: antagonizm między robotnikami fabrycznymi a ludnością wiejską. Po wyjściu wieśniaka zawiązuje się nanowo przerwana rozmowa. Podróżny wątpi w prawdziwość opowiadań o nędzy tkaczów, powołując się na wyniki badań urzędowych — Hornig zaś przeczy mu, bo komisye takie zwykły badać rzecz bardzo powierzchownie i nie sięgają nigdy do głębi, nie fatygują się do samego siedliska nędzy.

Dotychczas, pominąwszy kilka głośniejszych sprzeczek, dyalog włókł się bardzo powoli. Dopiero z chwilą wejścia na scenę Jägera, na czele całej gromady robotników, dramat poczyna się ożywiać. Butna minarezerwisty świadczy o tem, że w krótkim czasie, dzięki swej śmiałości, zdołał pozyskać popularność wśród tkaczów i jest dziś ich przywódcą. Jako taki, uważa za swój obowiązek krzyczeć głośniej od innych, a tem znowu porywa ich wszystkich, nawet starego Baumerta. Jeden tylko Wittig drwi sobie z nich: *Ihr Leute, Ihr Leute, ich lach mich tot. Der alte Baumert will' Rebellion machen Nu wer'n mensch habn: Itzt fangen de Schneider oan, dann wer'n de Bälämmel rebellisch, dann de Mäuse und Ratten...* (str. 61), a gdy Baumert tłómaczy się, że i on wolałby, aby załatwić wszystko po dobremu, Wittig popisuje się znajomością historii, cytuje francuską rewolucyę na dowód, że bez gilotyny nic się nie dzieje. Nowym typem jest „trzeci stary tkacz“, wzbudzający powszechny śmiech biblijnym tonem, w którym przepowiada zniszczenie bezbożnym bogaczom. Coraz jest gwarniej, już bliską jest nowa sprzeczką, wtem wszystko się ucisza, bo wchodzi żandarm Kutsche. Pokątnie robotnicy drwią sobie z niego, lecz otwarcie zwrócić się przeciw niemu ma odwagę tylko jeden Wittig. Ma on zdawna złość na żandarma, jego wini za brak pracy, za nędzę swą, bo żandarm mści się za to, że Wittig raz ściągnął go z konia widząc, jak bił małego chłopaka za kradzież marnych gruszek z drzewa. Żandarm naturalnie nie znosi pogroźek spokojnie, lecz ze swej strony odgraża się i zakazuje surowo śpiewać ową pieśń o fabrykantach. Słowa

jego podniecają tylko i rozdrażniają robotników i gdy żandarm odchodzi, pieśń wśród ich tłumu głośno się odzywa i tem kończy się akt trzeci.

Jest on najslabszym z dotychczasowych. Niedramatyczny w przeprowadzeniu, leniwie się wlokący w dyalogu, przeladowany w pierwszej części epizodami zupełnie niepotrzebnymi, jest on niemal zbędnym i nawet jego zakończenie po potężnych akordach poprzedniej odsłony niezdolne jest wywrzeć silniejszego wrażenia. Akcja wewnętrzna stoi z jego ostatniem słowem na temsamem miejscu, na jakim zatrzymała się z końcem drugiego aktu, zewnętrzna wprawdzie postępuje trochę naprzód (pobyt tkaczów w gospodzie), lecz krok ten jest tak nieznaczny, że nieroztropnem było, poświęcić mu cały akt. Do charakterystyki otoczenia i ogólnego tła, przynosi on szczegółów dość dużo, lecz są one drobne i dochodzą do świadomości słuchacza drogą pośrednią, po za tem w nieskończonych wariantach powtarza się opis nędzy wśród tkaczów. Ale i te ustępy po bez porównania silniejszym akcie drugim, mijają bez należytego wrażenia. Z tłumu wydobywa się na wierzch Jäger i jedynie dzięki temu akt wiąże się z następnymi, gdzie rezerwista występuje w całej pełni jako przywódca robotników; tam też bliżej mu się przypatrzemy. Przed nim i obok niego pojawia się kilka postaci nowych, lecz wprowadzenie ich na scenę trudno uznać za korzystne. Rozrywają one uwagę widza zupełnie niepotrzebnie, bo przez chwilę poruszają się na pierwszym planie po to, aby wkrótce zupełnie z horyzontu zniknąć. Wogóle więc trzeci akt działa osłabiająco i rozpraszająco.

Tem silniejszym, potężniejszym jest następny. Czwarty akt, to kulminacyjny punkt dramatu. Nagromadzone konflikty wybuchają tu z siłą elementarną, rozhukaną, nie znającą granic, zrywającą wszystkie tamy, opierające się zalewowi, w ostatecznym wyniku dającą straszny obraz zniszczenia, jako dzieło zemsty i odwetu. W arcydramatycznym zakończeniu czwartego aktu, równie jak i w ostatnich scenach piątego, leży główne kryterium artystycznej, ale i moralno-społecznej wartości utworu. Autor oczywiście nie występuje osobiście, ani też nie wypowiada przez usta jakiego rezonera

swych myśli i przekonań, lecz kto patrzeć umie, dojrzy, zrozumie je, pozna charakter i tendencję sztuki, zobaczy, że ma przed sobą *ein Kampfdrama*, jakich współczesna literatura europejska niewiele posiada.

I tu widoczną jest ogólna cecha sztuki, będącej nie dramatem w ścisłym znaczeniu, lecz szeregiem obrazów scenicznych, jednej myśli służących. Po biurze fabryki, po domku starego Ansorge i karczynie, widzi się teraz znowu inne *interieur*: pokój w mieszkaniu Dreissigera, opisany z taką dokładnością, że aż nawet deseń i kolor tapet jest podany. I znów zwyczajem poprzednich aktów występuje kilka osób nowych, znów jest epizod, w którym one grają przeważną rolę, a potem się już widzom nie przypomną. To pastor Kittelhaus, dobrodusza mała figurka, jego żona, zwyczajna Niemka, to dalej młody kandydat teologii, Weinhold, wychowawca synów fabrykanta, zebrani na przyjęciu u Dreissigera i jego małżonki. Zrazu te dość nieliczne osoby zajmują scenę, po chwili do akcji miesza się hałaśliwie tłum, burzący się pod oknami; tłum ten coraz bardziej potężnieje, aż wreszcie wpada na scenę, zajmuje ją wyłącznie, płosząc z niej owe jednostki. Budowa aktu pod tym względem jest doskonałą, stopniowanie od spokoju i ciszy aż do gwałtownego wybuchu i rozpasania zwycięzców jest przeprowadzone wybornie i musi potężne wyrzeć wrażenie na umyśle widza.

Z początkiem aktu toczy się pogawędka między pastorem a młodym kandydatem teologii. Obaj są bardzo charakterystyczni, obaj w tej krótkiej rozmowie odsłaniają wiele ze swojej najtajniejszej istoty, lecz w natłoku ciągle się zmieniających osób widz nie ma ani czasu, ani odpowiedniej świeżości umysłu, aby zdołał dokładnie ich poznać. Przedmiotem ich rozmowy jest sprawa robotnicza. Kittelhaus reprezentuje duchowieństwo, zasklepione w przestarzałych pojęciach, nierozumiejące nikogo, kto je podnosi; przeciwnie Weinhold należy już do nowego, niespokojnego pokolenia, któremu widok ludzkiej niedoli spać nie pozwala. Jeden bezwzględnie potępia burzących się tkaczy, drugi usprawiedliwia ich postępowanie nędzą i nieświadomością innych dróg. Obaj pojęci są poważnie i antyteza ich byłaby wolną od zarzutu, gdyby nie tendencyjność autora, który pa-

stora robi nietylko zachowawcą w pojęciach i przekonaniach społecznych, lecz ośmiesza go i poniża, dając mu ograniczony upór przeciw wszystkim, nawet najzbawienniejszym reformom, jak np. propagandzie celem rozpowszechnienia umiarkowania w używaniu trunków. Ostatecznie i sam los obu teologów nie jest przedstawiony bez ubocznej myśli: pastor zaśniedziały, egoistyczny konserwatysta, ma wszystkiego podostatkiem, kandydat głoszący ideę postępowej humanitarności traci w skutek swych przekonań posadę guwenera w domu Dreissigera.

Tymczasem tłum robotników zgromadził się pod oknami i burzy się. Fabrykant zachowuje pozory spokoju, lecz w głębi jest bardzo rozdrażniony, zwłaszcza, że na czele „bandy“ tkaczy jest Bäcker, który niedawno insultował panią Dreissiger, siadającą do powozu. W tem Pfeifer, znany z pierwszego aktu, donosi mu, że udało się pojmać jednego z przywódców zaburzeń. Za chwilę przychodzi urzędnik policyi a Dreissiger żąda od niego ukarania zuchwalca, w przeciwnym bowiem razie musiałyby zmienić swe dotychczasowe wyobrażenia o prawie i porządku. Dyrektor policyi przyrzeka zrobić wszystko, co leży w jego mocy i sam jest zadowolony, że nareszcie przyłapano burzycieli. Kilku robotników z farbiarni, ze śladami pracy na ubraniu, wprowadza schwytanego tkacza — to rezerwista Jäger. W pierwszym akcie jeszcze nikomu nieznanym, w drugim przybysz, przebiegł szybko skalę popularności wśród tłumu i dziś jest jego przywódcą. Droga do tego szczytu chwały prowadziła mimo karczmy a wpłynęło to na zachowanie się Jägera, dziś jeszcze bardziej wyzywające. Wchodzi w czapce na głowie, odpowiada zuchwale, z całą swobodą rzuca przechodzącej służącej czułe spojrzenia i ostrzega ją, aby opuściła ten dom przeznaczony na zagładę, gdy zaś pastor, jego dawny katecheta, upomina go, Jäger mówi, że nie wierzy w nic, bo jest kwakrem (!). Urzędnik policyi, mimo przestróg żandarma, który zwraca uwagę na coraz dziksze okrzyki tłumu, domagającego się wydania swego przywódcy, każe go wiązać. Jäger butnie odpowiada: „Wiążcie silniej, jeszcze silniej, to i tak nie na długo“ (str. 82) — za chwilę wśród przeraźliwych krzyków tłuszczy robotników, Jäger wychodzi pod eskortą, na odchod-

nem drwiąc sobie z żony fabrykanta. Na scenie nastaje na chwilę spokój.

Figura Jägera pojęta jest nawskróś realistycznie, z prawdą i życiem. To nie bohater wielkiej tragedyi, z wzniosłym umysłem i jeszcze wznioślejszemi słowami, lecz zwykły rezerwista, butny krzykacz, może nawet wódką podniecony. Zdawałoby się, że brak mu wszelkich kwalifikacyj na przywódcę tkaczów, bo nie jest on nawet z nimi związany wspólnym zawodem: on mógł widzieć nędzę robotników, wyzysk fabrykantów, ale go sam nie doznał, nie przecierpiał. Nim kieruje nie święty zapał dla słusznej sprawy, nie wspólność interesów nawet, lecz poprostu czynnikiem najważniejszym jest tu zuchwała, zawadyacka natura, lubująca się w krzykach i gwałtach. Jak to wytłómaczyć, że tkaczów burzących się przeciw wyzyskiwaczom prowadzi nie robotnik, sterany nędzą, wyniszczony wyzyskiem, lecz rezerwista z dalekich stron, obcy ich nędzom, względnie zamożny, jako charakter nie wzbudzający szacunku? Czy to przypadek lub umyślny znak, że autor potępia ruch robotników, dając mu takiego przywódcę? Nie; pierwszemu przeczy talent autora, takich omyłek niezdolny, drugiemu sprzeciwia się jego stanowisko pośrednio jasne z poprzednich aktów a zwłaszcza z następnego. Ciekawy ten fenomen da się w inny sposób wiarogodniejszy wytłómaczyć. Autor, kreśląc postać Jägera, na przedstawiciela tkaczów tak nieodpowiedniego, złożył nowy dowód, że jest przekonany, konsekwentnym realistą. Czy było tak w r. 1844 w Peterswaldau, o to mniejsza, ale codzienne doświadczenie poucza, że tak jest często, bardzo często, że przywódcy robotników w zaburzeniach, to zazwyczaj nie kość z ich kości i krew z ich krwi, lecz obcy im krzykacze uprawiający rzemiosło demagogów nie z zapału dla sprawy, nie z przekonania o jej słuszności, nie z miłości tych „ofiar wyzysku“, lecz z pasyi krzyczenia, niszczenia, z ambicyi lub wrodzonej złości. Swoją drogą realizm w tym wypadku pośrednio szkodzi sprawie tkaczów, poniża ją i brudzi, lecz dzieje się to wbrew intencjom autora.

Po wyprowadzeniu Jägera, Dreissiger siłac się na sztuczny spokój prosi pastora do wista, a sam usiłuje wydobyć z zaszłych wypadków ich komiczną stronę, gdy zaś to mu

się nie udaje, w poważnej z Kittelhauserem rozmowie potępia nietylko dzisiejsze rozruchy, lecz cały wogóle *Humanitätssudel*. Poco to zakładanie stowarzyszeń, komitetów do ulżenia nędzy robotników, chyba na to, aby im do reszty głowę zawrócić. Może i dobrze, że przyszło do zaburzeń, może wreszcie opamiętają się miarodajne koła i pomyślą o środkach zaradczych, wezwą w obronę przemysł, upadający wobec zagranicznej konkurencji. W tem wpada do pokoju Pfeifer, ledwo żywy, bez tchu i blady jak ściana. Dopiero po chwili zdolny jest ogłosić okropną wieść. Oto robotnicy uwolnili Jägera, a urzędnika policyi i żandarma sromotnie pobili. Kittelhaus widzi całą grozę położenia, doradza ucieczkę; Dreissiger jednak stoi obojętny, nie wiedząc co począć, a jego żona biada nad popsutym do reszty wieczorem. Coraz głośniejsz odzywają się krzyki robotników, pastor zdobywa się na heroizm, idzie do tłumu, aby go uspokoić, zapewne bez skutku, bo za chwilę słyhać jeszcze krzykliwszą wrzawę, jakby nieludzkie wycie. Nowe hasło zostaje wydane: już nie chodzi im o podwyższenie zapłaty, lecz o nasycenie zemsty i krzycząc domagają się wydania znienawidzonego Pfeifera. Biedny ekspedyent drżąc o życie, pada fabrykantowi do kolan, błaga go o litość, o obronę przed rozwścieklonym tłumem. Dreissiger uspokaja go chłodno i odchodzi z nim razem, poprzednio poleciwszy już stangretowi zaprządz konie. „Chwilę scena pozostaje pustą. W salonie słyhać tłuczenie szyb. Silny hałas wstrząsa domem, potem grzmiące hurra! potem cisza. Mija parę sekund, potem słyhać ciche i ostrożne stąpanie na schodach na piętro“ (str. 89) i rozmaite głosy. „Ukazują się młodzi tkacze i dziewczęta, które nie śmia przestąpić progu i wzajem usiłują popechnąć się do wnętrza. Po kilku sekundach mija nieśmiałość i nędzne, wychudłe, częścią chorowite, odziane w lachmany postacie rozchodzą się do pokoi Dreissigera i do salonu, przypatrując się zrazu wszystkiemu z ciekawością i pewną bojaźnią, potem dotykając się wszystkich przedmiotów. Dziewczęta siadają na sofach, tworzą się grupy, podziwiający swój widok w zwierciadle. Niektórzy wylażą na krzesła, aby przyjrzeć się obrazom i zdjąć je, a tymczasem płyną coraz nowe wynędzniałe postacie przez sień“. Wszyscy szukają fabrykanta i ekspedyenta, Bäcker

daje hasło do Bielau, do innej fabryki, stary Ansorge chwytając się za głowę, nie mogąc pojąć tego, co się dzieje — wśród śmiechów i krzyków tkaczy spada kurtyna.

Siły dramatycznej temu aktowi, a szczególnie jego końcowej części, nikt nie odmówi. Inne pytanie, o ile tak potężne wrażenie wywołuje tu sztuka sama w sobie, z pomocą środków w jej naturze leżących, a o ile efekt spowodowany jest samym elementarnym faktem tłuczenia szyb i wrzasku i nieludzkich śmiechów. Odpowiedź wypaść tu nie może dwuznacznie: potężne wrażenie wywołuje tu nie poeta - artysta, lecz reżyser, umiejący zorganizować i w ruch wprowadzić masę aktorów i ci aktorowie umiejący z brutalną prawdą krzyczeć i biegać i gestykulować. Bądź-cobądź scena raz widziana w dobrym teatrze lub raz przeczytana z pomocą wrażliwej wyobraźni, należeć będzie do owych nielicznych, o których się nigdy nie zapomina. Cel autora dramatycznego jest więc osiągnięty, i krytyk wyłącznie literacki, a raczej specjalnie teatralny, oddać mu musi pochwały. Kto patrzy na *Tkaczów* jako na utwór nie artystyczny jedynie, lecz mający zarazem wysokie znaczenie społeczne, ten do sądu literackiego dodać musi inny. Końcowa scena czwartego aktu, działa nie sztuką, nie środkami, jakimi poezya dramatyczna rozporządza, ale samą swą treścią, swą elementarną siłą i zewnętrzными efektami, jakimi się posługuje. U pewnej, bardzo ograniczonej liczbie garstki widzów ten jej charakter odejmuje jej wartość; u ogromnej większości on właśnie pomaga jej najdzielniej, sprawia, że dłonie składają się do frenetycznych oklasków, a twarze palają ogniem roznamiętnienia. Przedstawia brutalny silny fakt, odwet za prawdziwe lub wrzekome krzywdy, zemstę rozkielnaną ze wszystkich węzłów, szalejącą na scenie, o ile ta ostatnia może to pokazać, rozwściekloną po za sceną, jak się widz domyśla. Wrażenia czysto artystyczne są ograniczone i ilościowo i jakościowo, wrażenia elementarne szerzą się daleko bardziej, ogarniają umysły, dla tamtych niedostępne, wbijają się w nie z potęgą, jakiej tamte nie są zdolne. Podnieca żołnierza dźwięk muzyki do marszu grającej, rozwściekla go widok gorącej krwi. Hauptmann wyraźnie nie oświadcza się za robotnikami, lecz twierdzenie, że sympatyą

ich otocza, że krok ich uważa jeżeli nie za dobry, to w zupełności za usprawiedliwiony, twierdzenie to opiera się na treści i duchu całej sztuki a zwłaszcza obu ostatnich jej aktów — zresztą nie zaprzeczyli mu ani zwolennicy, ani przeciwnicy autora. Koniec aktu czwartego i akt piąty, to obraz zemsty, obraz rewolucyi społecznej, obraz, który potęgą swych efektów porusza ludzkie namiętności. I dlatego jest on społecznie przewrotnym, jakakolwiek jest jego artystyczna wartość.

Dramat mógłby się skończyć na czwartym akcie. Bo i co może po nim nastąpić? Dalszy obraz zniszczenia na scenie nie jest dopuszczalny i wypadłby blado. Szyby bić, krzyczeć, rozpierać się na meblach, strącać obrazy ze ścian, to jeszcze uchodzi, lecz łamać krzesła, krajać na kawałki dywany, rozlewać wina, nagromadzone w piwnicach, a potem może podpalić wszystko, rzucać kamieniami na policję, tego scena z czysto materyalnych powodów pokazać w całej groźnej prawdzie nie może. A więc, co będzie w akcie piątym? Może konkluzya moralna, może idealny wymiar sprawiedliwości, jak w klassycznych tragediach, gdzie bohater ginie gładząc swe winy? Zaciekawienie jest ogromne, jak w wielu współczesnych dramatach, gdzie z afisza się wie, że ma nastąpić jeszcze jedna odsłona, a absolutnie niepodobna się domyśleć, co ona ze sobą przyniesie.

Jak każdy z dotychczasowych aktów wśród coraz to innego rozgrywał się otoczenia, tak i w piątym scena również się zmienia. Jesteśmy w pobliskim Langen - Bielau, w mieszkaniu starego tkacza Hilse, i tu nader starannie opisanem. Zmiana zewnętrznych ram jest więc konsekwentnie przeprowadzoną, obecną zaś spowodowała konieczność przedstawienia choćby pośrednio i z daleka pochodzących robotników na drugą fabrykę, której właścicielem jest wspomniany już Dittrich. Gorzej jest, że chociaż i w tej odsłonie widz spotyka kilku znajomych z poprzednich aktów, to mimo to na pierwszy plan wysunięte osoby, rodzina Hilsego tu po raz pierwszy dopiero — i oczywiście ostatni — występuje. Nie mogąc upatrywać w tym fakcie jedynie prostego przypadku, bezwiednej niezręczności autora, szuka się powodu, pobudki, kierującej Hauptmannem w chwili, gdy w ostatniej odsłonie jako bardzo ważne postacie pokazuje osoby,

o których istnieniu czytelnik dotąd nie wiedział. Zapewne zamiarem autora było rozszerzyć podstawę dramatu, okazać, jak nędza i rozgoryczenie nie jest u tkaczy objawem odosobnionym, lecz przeciwnie powszechnym — i w tym celu posługuje się z końcem sztuki nową rodziną tkacką. Rozmowa powyższe nie jest pozbawione pewnego uzasadnienia, a przecież ostatecznie metodę autora trudno nazwać korzystną, zwłaszcza, że w akcie piątym wśród nowo przybyłych osób jest kilka fizyognomij wyraźniejszych, indywidualniejszych, co samo przez się jest bardzo pożądanem, jednak w związku z całością raczej rozprasza uwagę widza.

Najcharakterystyczniejszym jest stary Hilse, rozpoczynający akt prostą a z głębi serca płynącą modlitwą do Stwórcy. Zaraz w następnej rozmowie zarysowuje się silnie kontrast między ojcem i matką, a synową, Ludwiką. Gdy stary tkacz poddaje się losowi i znosi go ze spokojem, młoda kobieta burzy się i wybucha pełną gorzkiej ironii skargą. W tem Hornig przynosi niespodziewaną wiadomość o robotnikach w Peterswaldau, którzy wypędzili Dreissigera wraz z całą jego rodziną. Stary Hilse nie chce wierzyć tej wieści, na to Hornig opowiada szczegóły z rabunku: jak rozbijano porcelanę, jak sztuki barchanu wrzucano do wody, rozrywano i łamano meble, tłuczono lustra, „gorzej niż na wojnie“. Widz opowiadaniu Horniga daje wiarę, ale zato nie rozumie jego słów, że tkacze „tak cicho i uroczyście dokonali zemsty“, iż landrat nic o wydarzeniu nie słyszał. O ile przypominamy sobie z końca poprzedniego aktu, od rozwścieklonego motłochu trudno wymagać można było uroczystej ciszy, a zresztą czyż rozbijanie zwierciadeł, tłuczenie szyb i łamanie mebli, może się odbyć w uroczystej ciszy? Stary Hilse jeszcze nie wierzy, wtem wpada zadyszana dziewczyna, siedmioletnia córka Ludwiki, Mielchen, i z tryumfem pokazuje matce srebrną łyżkę, pochodzącą z rabunku. Hilse gniewny i ledwo trzymający się na wodzy, karci dziecko i każe natychmiast synowi odnieść łyżkę do urzędu, mimo oporu Ludwiki, która na oczekaniu obliczyła, że mogliby za to srebro żyć kilka tygodni.

Nowa osoba wchodzi, chirurg Schmidt. Jeżeli przy kim, to przy nim właśnie trudno zrozumieć, po co i na co

autor go na scenę wprowadza. Konsultacya i bardzo przyjazna rozmowa z Mielchen jest epizodem wprawdzie niezbyt długim ale bardzo niepotrzebnym, wiadomość zaś, jaką chirurg w dalszym ciągu podaje, mógł taksamo przynieść syn tkacza, Gottlieb Hilse, do którego oko widza się już przyzwyczaiło. Ołówek reżyserski, mający na sumieniu tyle krzywd autora i publiczności, tu może kreślić z tem przekonaniem, że prócz obrazy małostkowej miłości własnej Hauptmanna, nikomu chyba szkody nie wyrządzi. Gottlieb bowiem, podobnie jak poprzednio Schmidt, oznajmia o zbliżaniu się pochodu uzbrojonych naprędce robotników; tkacze bardzo się Dittrichowi odgrażają i wzywają towarzyszków z Bielau do łączenia się z nimi. I znowu w przeciwieństwie do starego Hilse, który oburza się na to „karygodne dzieło“, na tę „robotę szatana“, Ludwika „w namiętne uniesieniu, gwałtownie“ drwi z „bigotów“, którzy siedzą spokojnie za piecem i bez oporu znoszą swój nędzny los; ona przeciwnie życzy fabrykantom „piekła i zarazy“. Gwałtowny wybuch nienawiści nie jest pozbawiony szczerych a silnych tonów tam, gdzie w Ludwice odzywa się nietyle robotnica, ile matka. „Czyż można utrzymać takich robaków?! Ja więcej wylałam, niż oddychałam od chwili, gdy to maleństwo przyszło na świat, aż śmierć się nad niem ulitowała. Wyście o to nie niedbali, wyście się modlili i śpiewali, a ja pokaleczyłam sobie do krwi nogi, uganiając się za odrobiną mleka... Cóż zawiniło dziecko, że go taki nędzny koniec czeka? A tam u Dittrichów, tam kąpią je w winie i myją w mleku. O! gdy tu do czego przyjdzie, nie powstrzyma mnie dziesięć koni...“ (str. 104 i n.). I tak dalej rzuce gromy na fabrykantów, a lży małodusznych tchórzów, aż wkońcu wypada z izby jak szalona. Za chwilę, po ponurem milczeniu, zrywa się stary Hilse, a postać jego w tej scenie nabiera powagi i niemal majestatu. On się nie boi, nie jest tchórzem, gdyby potrzeba narażałby się sam, bo cóż warte to jego zgrzybiałe, bezsilne życie? Lecz czemu gani Ludwikę, czemu uważa ją za furyę? Czy może dlatego, że broni fabrykantów? O, nie! Ale on wierzy w życie pozagrobowe, o niem myśli wśród ciężkiej pracy, wśród pogardy, i głodu, i trosk, ta myśl pozwala mu patrzeć spokojnie na zbytek i dumę innych, a sąd o nich zostawić

komu innemu. „Nadejdzie dzień sądu, ale nie my będziemy sędziami, bo Pan, nasz Bóg mówi: moja jest zemsta“ (str. 107). Już poprzednio, w trzecim! akcie, jeden z tkaczy przemawiał do towarzyszków uroczystymi słowami, językiem biblijnym, lecz tam autor umyślną przesadą w tonie i niestosownością przemowy w karczmie ośmieszał raczej daną osobę; tu przeciwnie stary Hilse z woli autora staje tak wysoko, jest tak uroczystym bez wszelkiej pozy, tak szanownym bez cienia śmieszności, że scena ta jest jednym z najchlubniejszych dotychczas dowodów poetyckiego talentu Hauptmanna.

Robotnicy w mściwym pochodzie zdążają do fabryki Dittricha, już są przy niej, już zaczyna się szturmowanie jej, już nadchodzi zbrojna siła, już rozwija się walka tkaczy z wojskiem. To wszystko powinien teraz dramat przedstawić na scenie; to wszystko dzieje się teraz — za kulisami. Omyłka jest dla dramatu fatalną. Naprzód wogóle przedstawienie szturmowania w piątym akcie nie mogło wywrzeć silniejszego wrażenia wobec świeżej jeszcze pamięci końca aktu czwartego: *res repetita non placet* — gradacya zaś w tym wypadku była niemożliwa, bo jak się już wyżej powiedziało, niepodobna bezpośrednio pokazać na scenie np. krwawej walki robotników z żołnierzami. Nie mogąc pokazać jej bezpośrednio, pokazuje ją autor pośrednio: walczących się nie widzi, zato słyszy się wieści z pola walki. Zdarza się to w dramacie bardzo często, zwłaszcza w dramacie Szekspira i Schillera — np. sławna scena z *Jungfrau von Orléans*, gdzie w akcie piątym jest na scenie Dziewica pod strażą królowej, a na wzniesieniu stoi żołnierz i podaje co chwila wieści z pola bitwy, aż w końcu podniecona niemi Joanna zrywa pęta i rzuca się w wir walki — lecz zachodzi ogromna, zasadnicza różnica pomiędzy temi scenami a naszą. Tam walka jest tylko ogólnym tłem, na którym rozgrywa się ściślejsza akcja, przedstawiona na scenie; tu główna uwaga widza ma być skupiona nie na tym lub owym tkaczu właśnie na scenie się znajdującym, lecz na tłumie robotników działającym za kulisami; tam np. Joanna jest główną postacią, Francuzi i Anglicy są tylko komparsami — tu Hilse, choć dość indywidualny, jest niczem w porównaniu z „bohaterem“ dramatu, z tłumem tkaczy. Wrażenie jest połowiczne, słabe,

bo rozdwojone: niepodobna zająć się silnie losami masy, bo się jej nie widzi, nie można zapatrzeć się w jednostki, bo się wciąż o masie słyszy. Dopiero z końcem aktu, w ostatniej jego scenie, umysł widza zdolny jest skupienia: tłum dokonawszy swego ustępuje, jednostka silniej swą indywidualność zaznacza.

Zanim to nastąpi, słyhać odgłosy dzieła zniszczenia i zemsty, a równocześnie wpadają na scenę tkacze wzywając Hilsego, aby do nich przystał. Mowy ich urywane w dwóch zdążają kierunkach. Z jednej strony zapowiadają nową erę, szczęśliwości i ogólnego zadowolenia, z drugiej głoszą hasło *vae victis*. Z toporami i rozpalonemi hakami pójdą na fabrykantów. „Nad nami nikt litości nie miał, ani Bóg ani człowiek, teraz więc sami sobie wymierzimy sprawiedliwość“! (str. 109). Weseli są mimoto i chępią się, że kosztem cudzym podjedli sobie i podpili wybornie, a animuszu mają tyle, że butnym głosem zapowiadają gotowość do walki nawet z wojskiem: Hilse jest nieugięty, z robotnikami się nie łączy, za to Ludwika, naturalnie z dzikim zapalem z nimi idzie. Nadchodzi wojsko, tkacze ustępują ze sceny, przez chwilę jest cicho, potem słyhać wrzawę i strzelanie oraz uderzenia kamieniami: bój się rozpoczął. Dalekie głosy i wieści przynoszone przez tkaczów i ich kobiety świadczą o krwawych jego skutkach, o zaciętości, z jaką walczą robotnicy, mimo wielu strat w rannych a nawet i zabitych. Nawet Gottlieb dotychczas obojętny porywa siekierę i spieszy pomódz braciom, jeden Hilse mówi do żony: „Ja nie pójdę, choćby wszyscy oszaleli. Tu osadził mnie Ojciec Niebieski. Czy nie tak? Tu zostaniemy i pełnić będziemy naszą powinność, choćby nawet śnieg miał się palić“ (str. 116). Wtem pada strzał, stary Hilse śmiertelnie ugodzony kona, a równocześnie słyhać gromkie: hurra! robotników. Mała dziewczyna ogłasza ich zwycięstwo nad wojskiem. „Wypędzają żołnierzy ze wsi, wtargnęli do domu Dittricha i gospodarują tam, jak u Dreissigera“. Za sceną odzywają się słowa znanej pieśni tkaczów, dramat jest skończony.

Rozwiązanie jest niezmiernie charakterystyczne. Przedewszystkiem nie jest ono zgodne z historią. Zaburzenia

tkaczów w r. 1844 nie zakończyły się zwycięstwem robotników nad wojskiem. A więc ma się nowy dowód, jak pozornie tylko historycznym jest ten dramat, który w tak ważnej chwili wprost historycznej rzeczywistości się sprzeciwia. Znaczenie tej zmiany jest jednak jeszcze stokroć ważniejsze. Nietylko wypadki r. 1844, ale wogóle żadne zaburzenia robotników do tej chwili nie zakończyły się klęską ostateczną a trwałą władzy, broniącej bezpieczeństwa i porządku społecznego, co więcej, tak zakończyć się nie mogą, póki dzisiejszy socyalny stan rzeczy jest dość silny, aby zwycięsko odeprzeć wszelkie, choćby najgwałtowniejsze zamachy. Zakończenie *Tkaczów* niehistoryczne, nie odnoszące się nawet do terażniejszości, może się odnosić tylko do przyszłości, dramat, kłamliwie historycznym nazwany, jest w istocie rzeczy „muzyką przyszłości“, tę przyszłość pokazuje, jej każe się spodziewać. Tu anti-społeczna tendencya *Tkaczów*, tu ich moralna przewrotność i szkodliwość. Przedstawiając jako możliwe zwycięstwo demagogów, jako usprawiedliwiony straszny odwet jednej klasy przeciw drugiej, jako konieczny zbrojny gwałt — dramat Hauptmanna jest krótko mówiąc propagatorem rewolucyi socyalnej. Zważmy sam jego koniec. Chłodny, obojętny, leniwy Gottlieb chwyta w ostatniej chwili za siekiere, Hilse niezdolny zrozumienia nowej epoki, ginie od kuli, ginie bez winy, niby to jako ofiara wojska, właściwie dlatego, że niema dla niego miejsca w nowym stanie rzeczy. Na całej linii zwycięża szczytne hasło takich Jägerów i Bäckerów, siejąc zniszczenie, mordując i paląc.

Koniec dramatu łącznie z wszystkimi poprzedniemi aktami rozstrzyga o jego wartości. Jako utwór artystyczny, ma on chwile wspaniałe, ustępy silne lub nawet bardzo piękne, ma jednak i miejsca, nawet całe akty, słabe. Zachowując wszędzie charakter obrazów scenicznych, szkodzi sobie raczej niż pomaga; całość jest potężną, głównie dzięki nawskroś żywotnej treści, szczegóły, nieraz bardzo dramatyczne lub bardzo poetyczne, dochodzą czasem do szczytu moralnej lub fizycznej ohydy, zwłaszcza w drugim akcie. Pod tym względem *Tkacze* najsilniej łączą się z pierwszym drama-

tem, z *Przed wschodem słońca*. Rozdział duszy poety na dwie, tam silnie zaznaczony, jest i tu widoczny, choć chwilowo zdaje się górować „konsekwentny realista“. Łączą się oba dramaty i wyborem tematu: oba są współczesne, oba są społeczne, tylko stopień tej cechy jest u obu różny. *Die Weber* jaskrawo oskarżają dzisiejszy porządek rzeczy, nie zalecają drogi powolnych reform, organicznej poprawy, lecz z całą siłą talentu poety podburzają do rewolucyi, jako jedynie do celu prowadzącej, ukazują jej powodzenie, usprawiedliwiają okrutną zemstę. I dlatego potężni jako utwór dramatyczny, *Tkacze* zasługują na potępienie jako „propaganda czynu“, a potępienie to musi być tem silniejsze, ile że głos nawołujący do rewolucyi socyalnej wydał tu człowiek bardzo utalentowany.

Na zakończenie jedna uwaga. *Tkacze* grani w Berlinie i w niektórych krajach Rzeszy, są zakazani w innych państwach np. w Austrii. W ostatnich czasach, szczególnie w Wiedniu rozwija się agitacja przeciw cenzurze teatralnej a choć głównie dotyczy ona zakazu przedstawienia dramatu Halbego p. t. *Die Jugend*, to przecież mówi się dużo i o *Tkaczach*. Nie bojąc się, choć przewidując oburzenie lub śmiech pewnych ludzi, należy stwierdzić na podstawie sumiennego rozbioru dramatu, że zakaz grywania *Tkaczów* Hauptmanna jest zupełnie usprawiedliwionym, pożytecznym tak dalece, iż gdyby go nie było, należałoby go wprowadzić. Zapewne, że w Berlinie, mimo stu i więcej przedstawień tej sztuki, nie wybuchła dotąd rewolucya społeczna, lecz każdy nieuprzedzony przyzna, że *Die Weber* są groźne dla społeczeństwa, groźne nie siłą prawdy rzeczowej, lecz groźne tendencyjnością z ogromnym talentem przeprowadzoną. Kto *Tkaczów* w książkowym wydaniu weźmie do ręki, ten zwykle ma choćby nieznaczny zmysł krytyczny i zanim się podda wrażeniu zastanowi się, czy też autor ma istotnie rację; w teatrze jest zawsze większość widzów bardzo mało krytycznych, przez to ulegających łatwo złudzeniu, że to, co scena z werwą i plastyką przedstawia, jest rzeczywiście i prawdziwem i dobrem. *Die Weber* podniecają i rozpalają nienawiść klasową i jako tacy powinni mieć w obecnem społeczeństwie wstęp na scenę wzbroniony.

Dotychczas Hauptmann był pisarzem, znanym w Berlinie i po za jego rogatkami, lecz dopiero autor *Tkaczów* staje się rozgłośnym, wraz z Sudermannem wysuwa się na czoło współczesnej literatury dramatycznej. Odtąd znajomość jego utworów jest koniecznym warunkiem wykształcenia, odtąd każde jego nowe dzieło samem już nazwiskiem autora wywołuje powszechne zaciekawienie.

Józef Flach.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PIERWSZY HISTORYK PIERWSZEGO CESARSTWA.

Jakób de Norvins i jego pamiętnik.

[*Mémorial de J. de Norvins. Souvenirs d'un historien de Napoléon*, publiés avec un avertissement et des notes par Lansac de Laborie. Tome premier: 1769—1793 (str. 420), Tome second: 1793—1802 (str. 418), Tome troisième: 1802—1810 (str. 354). Portraits en héliogravure. Paris. Librairie E. Plon. Nourrit et Cie. 1896].

Wielki krytyk, moralista i znawca ludzi naszego czasu, Brunetière, twierdzi, że wszelkie pamiętniki i spowiedzi mają jedyne swe źródło w zniechęceniu zwyciężonych w walce życia, którzy przed potomnością krzywdy swe wytoczyć pragną. Co do tak zwanych „spowiedzi“ uchylić trzeba czoła przed trafnością spostrzeżenia; co do zwykłych pamiętników jednak możnaby podnieść uzasadnione wątpliwości. Wspomnienia napoleńskich czasów np., są po większej części samochwalczym hymnem, po nad jakim unosi się zwykle apoteoza człowieka, do którego wielkości oni wszyscy przyczynili się niezawodnie. Nie można bowiem odmówić uprawnienia świadomości tego udziału w epopei, boć niejeden z marszałków i generałów nieraz przechylił fale zwycięztwa, utrwał niezwykłość imienia cesarza, lub noce i dni spędzał w jego gabinecie na spisywaniu rozkazów, które w jego imieniu szły świat przeistaczać. Mieli czem się chwalić ci ludzie i nie dziwnego, że zapragnęli to uczynić przed potomnością.

Autorowi *Pamiętnika*, o którym tu mówić chcemy, nie brak więcej niż innym pojęcia własnej wartości, ale we wszystkich trzech tomach jego wspomnień nie spotyka się prawie żadnych narzekań na niesprawiedliwość losu lub ludzi, choć początek jego zawodu nieowiele był pomyślniejszym od bardzo niefortunnego końca. Przyznać mu zaś trzeba, że miał się na co uskarżać. Jego ojciec, pochodzący z średnio zamożnej gaskońskiej rodziny, piastował za t. zw. *ańcien régime* odziedziczoną po ojcu wysoką posadę w zarządzie skarbu i posiadał piękną już fortunę, dom przy ulicy St. Honoré i cztery majątki ziemskie, od których synowie wzięli swe tytuły. Przez matkę spokrewnionym był z rodami znacznie dawniejszej przeszłości, jak Loménie de Brienne, de Dresneuc, de Damas, de Houdetôt, de la Briche itd. Minister Calonne był jego kuzynem. Jako autorowi *Pamiętnika* trzeba też przyznać panu de Norvins przedewszystkiem i podziwiać jego ogólnie dobry smak wytwornego człowieka, zupełny brak skargi wszelakiej, a samochwalstwa ledwie trochę, w każdym razie na Francuza dozę niepojęcie małą. Dobra krew gaskońskiego szlachcica, współziomka Henryka IV, skarżyć się nie potrzebowała, uważałyby to jako poniżenie siebie samej. Przyzna się do niejednej winy i grubej pomyłki, zarzuci bliźniemu niejedną niesprawiedliwość, ale roztkliwiać się i zawodzić nad twardym i zawodnym losem nie będzie, czytelnika sobą do zbytku nie zajmie, nie każe mu się nigdy podziwiać, jako ofiarę zawistnego przeznaczenia. Niezaprzeczenie jest w tem usposobieniu pewna ilość lekkomyślności, której autor pamiętnika nieraz dał w życiu dowody, zbyt uczne na zewnątrz wylanie wszystkich sił moralnych, niejako rzecz można, zajmowanie się cudzym domem, gdy się własny pali, nie przez miłość bliźniego, ale przez ciekawość i młodzieńcze roztrzepanie! Usposobienie to jednak, tak wręcz jest przeciwne ogólnemu dzisiaj roztapianiu się we własnej osobie, rozcieńczeniu sił duszy tem zapatrzeniem się w swoje wewnętrzne jestestwo, że wieje odeń na nas jakieś obce, zdrowe powietrze, nie przesycone żadnym sztucznym odurzającym zapachem, lecz powstałe z prądów silnych, z tchnienia ziemi, na jakiej wszyscy żyjemy, nieznając przecież często jej prawdy i rzeczywistości.

Wśród dzisiejszego odświeżenia i wznowienia tradycji napoleońskiej, długo zapomniano o pierwszym historyku cesarstwa, o pierwszym człowieku, który nie gwoli osobistych wspomnień, lecz na jego chwałę i apoteozę prawie, zestawił dzieje tego, według jego słów, największego władcy Francji obok Henryka IV. *Historja* ta straciła dzisiaj prawie zupełnie swą wartość i tylko piękne wydania, z rycinami Raffeta i Charleta poszukiwane bywają, jako cenne bibliograficzne zabytki. Swego czasu atoli posiadała ona wielką sławę, a pomiędzy latami 1824 -- 1854 doczekała się dwudziestu dwóch wydań. Oprócz tej *Historji* pióra Jakóba de Norvins, powstałej jako część *Nowej biografii współczesnej*, wychodzącej między r. 1820 a 1825 i której wziętość była ogromna, następnie z kolei jego dzieło pod tytułem *Portefeuille de 1813*, oparte na dokumentach przez Mareta dostarczonych, jest niejako przeciwstawieniem słynnego od czasów Taine'a *Manuskryptu z r. 1813* barona Fain. A oprócz tych prac poważnych, Norvins miał na swoim autorskiem sumieniu jeszcze i parę poematów o szumnych tytułach, jak: *Nieśmiertelność duszy*, *Stworzenie świata* i *Nowa Jerozolima*, a również i pieśń o *Kolumnie Austerlickiej*, którą wdowa wydała po jego śmierci. U nas naturalnie mowy być nawet nie może o poznaniu podobnych bibliograficznych rzadkości, lecz, sądząc z ulotnych wierszy rozrzuconych po *Pamiętniku*, trudno powziąć pochlebne pojęcie o poetyckich zdolnościach Norvinsa. Prozie jego natomiast, sądząc jedynie z t. zw. przezeń *Memoryału*, trzeba przyznać prawdziwe zalety. P. Lansac de Laborie otrzymał jego rękopis od spadkobierców autora, z pozwoleniem wydania. W przedmowie, zawierającej krótki życiorys Norvinsa, twierdzi on, że *Pamiętnik* obiektywizmem i brakiem zupełnym panegirycznego tonu, który pono wszechwładnie panuje w jego *Historji Napoleona*, jest nietylko przyjemnym do czytania, ale i bardzo pożytecznym dokumentem. Obciążony był on z początku studjami moralizatorsko-biograficznymi znaczących osobistości z czasów Ludwika Filipa i wyciągami z różnych dzieł wcześniejszych. Norvins atoli miał dosyć dobrego smaku, aby się przekonać o zbyteczności podobnych upiększeń i sam w większej części wykreślił je z pamiętnika, pozostałe zaś usunął wydawca,

zmieniając również miejscami wadliwą lub niedostateczną interpunkcyę i wyrażenia powtarzające się zbyt często. Pan de Laborie zastrzega się jednak, że treści tekstu w niczem nie naruszył, tylko wyłącznie od powtórzeń takowy uwolnił. I tak w parę miesięcy po dwóch pierwszych tomach *Memo-ryału* pojawił się tom trzeci i ostatni, sięgający r. 1813 t. j. do pobytu Norvinsa w Rzymie, część dzieła niezawodnie najciekawsza, bo w tych latach autor był widzem, a chwilami i podrzędnym aktorem w głównych scenach rozgrywającego się dramatu. Wydawca spieszył się tedy z wykończeniem swej pracy, gdyż sam przyznaje, że opowiadanie Norvinsa rozwija się ciągle i ożywia, i bez porównania zyskuje na zajęciu w miarę jak autor w lata postępuje. Spisał je on późno, gdy zniechęcony do publicznego i wszelkiego życia osiadł na starość w Pau, aby wspominać tam bardzo różnorodne przeżycia niezbyt szczęśliwego zawodu.

Jakób Marquet de Norvins, syn J. de Marquet de Montbreton, odbiorcy podatków, bratanek dwóch ministrów, siłą rzeczy ich protegowany, w chwili rozpoczęcia zawodu sądowego utracił przyszłość i podstawę bytu w owym „końcu świata“, który spadł na jego ojczyznę. Wyrzuca mu to jednak krótko i ze sprężystością zdrowej natury umie się prędko nagiąć do nowych konieczności, zrozumieć je. Przy pierwszym znaku opadania wód, szuka gruntu pod nogami, w martwocie emigracyjnej nie daje się zasklepić. Odwrotną tu jedynie stroną medalu jest to, że tej pracy szukał nierozsądnie, bez ciągłości ani jasnego celu. Rozumu atoli, przenikliwości, nawet znajomości ludzkiej natury mu nie brak, ani też nie brak dobrej tradycyi. W przedstawieniu kończącego się świata zwłaszcza, jak zresztą zawsze, uderza miara sądu jego i wysłowienia, dobry smak, równy temu, z jakim o własnych sukcesach u kobiet wspomina, zawsze tylko mimochodem i ledwo dostrzegalnie. Świat stary zaś rysuje tak, aby czytelnik mógł zrozumieć, że było czego żałować, gdy z powierzchni ziemi zniknął, aby pojąć można, jak go żałować musieli ci, których młodość w tych latach przypadła. Epopea napoleońska ma wobec niego światła i cienie surowe (*cru*), które wynagradza jedynie siła, siła fizyczna

nowych młodych żywiołów, siła entuzjazmu, której tamci, kończący się, nie znali.

Uderzającym u Norvinsa jest wszelki brak złości. Bez ważnego powodu nie mówi on źle o nikim; obok ujemnych stron, wszystkim dawno znanych a po jakich przeszłizguje się zawsze lekko, nieraz wspomina o lepszych i dobrych, o których się nie wie ani nie pisze. Nie z braku zmysłu moralnego jednak, jak przypuściłoby można, bo przeciwnie lekceważenia go lub jakiegokolwiek powagi, którego mógł go nauczyć wiek XVIII, nie ma w nim wcale. Czy zmysł ten posiadał zamłodu, z pamiętnika sądzić trudno; dość, że gdy go pisał, umiał, wspominając o ówczesnem rozluźnieniu obyczajów, nie kładąc nań nacisku, wskazać przeciw jakiej ujemnej pojęcia moralne młodzieży drugiej połowy XVIII wieku doznawały przy pierwszym wstąpieniu w świat, jak znosić musiały, aż doń przywykły, brak wszelkiego *decorum*. Najdziwniejszym tu zaś wydaje się nam fakt, że pomimo tego, niezawsze zatracano się poczucie jego konieczności, jak to można było przypuszczać. Syn wysokiego urzędnika, jakim był *receveur des finances*, spowinowacony z ludźmi, z których król wybierał ministrów, wychowany został między synami książąt i synami krawców, którzy w Kollegium Harcourt odbierali tesame nauki. Równość ta, istniejąca na szkolnej ławie a ani krok po za nią, dziwne wytwarzała stosunki, ale nienawiści stanowej nie wzniewała wcale. Norvins twierdzi, że jedyni ludzie, którzy podczas Terroru nie oskarżali znajomych „panów“, byli to koledzy szkolni. Swoją drogą hasło: „Chodźcie spalić nasz zamek, to my wam wasz spalimy“, i tu pewnie uprawianem było na wielką skalę. Po przejściu wielkiego kataklizmu zaś, po zrównaniu, mającem „braterstwo“ wprowadzić, między ludźmi jednej klasy nawet, z małemi wyjątkami, stanęła dopiero nieprzełamana nigdy niczem zaporą zawiści stronnictw. Norvins też jej to właśnie, a nie osobistej niechęci, przypisuje krzywdy, jakich w życiu od ludzi doznał.

Po skończeniu nauk w Kollegium i po dwóch latach w Szkole prawniczej, Norvins w r. 1788, mając lat dziesięć, został radcą w sądzie Châtelet w Paryżu, oczekując pełnoletności, t. j. dwudziestu jeden lat, aby otrzymać

miejsce tak zwanego „adwokata królewskiego w Parlamencie“. Przed tem już jednak wprowadza on czytelnika w szerokie wielkoświatowe koło rodzinne, a później w sam środek tego światowego życia, które rzucało wówczas swe ostatnie blaski. Świetne domy ciotek i wujów były widownią, na której młodzieńcy syn Montbretona nauczył się po raz pierwszy patrzeć na ludzi z pobłażliwością, jaką trudno mieć zwykle dla bliźniego, zachowując ją całą dla siebie. Do czasu opuszczenia szkół nie wychodził z nich weale, nawet na wakacje, nie był nigdy w teatrze, choć rodzice jego trzymali łoże w kilku teatrach naraz. Od Lykurga i Gracchów, Ksenofonta i *Phedona* przechodził wówczas chłopiec wprost do salonów, gdzie biskupi w fioletach i koronkach zabawiali piękne panie. Od jednego zamachu trzeba mu było poznać i zrozumieć świat obecny, niemniej jak przeszłość od przewrotu starożytności. Wyzwolenie było zbyt gwałtowne i powinno było często pozawracać w głowach. Salon pani de la Briche, jednej z ukochanych ciotek Norvinsa, jej zamek Le Marais (w departamencie Seine et Oise) pierwsze zdaje się otworzyły oczy młodego chłopca na ludzką poza-szkolną. O tym salonie Barante, Castellane i Pasquier pisali, że był „najstalszą instytucją królestwa“. Cichaczem bowiem przetrwał rewolucję, zajaśniał już za Dyrektoryatu, olśniewał za Napoleona, a podczas Restauracji był zbyt rzadkim punktem zbornym, gdzie spokojnie spotykali się najzjadliwsi przeciwnicy. Życie gładkie i szczęśliwe bez przerwy umożliwiało to utrzymanie stosunków wtedy nawet, kiedy wszystkie inne się zrywały. Chateaubriand mówił pono ze złością, że szczęście nie zdołało nigdy pozbyć się pani de la Briche, a wszyscy współcześni na wyścigi chwalą jej dobroć, słodycz, uczynność, takt, zrozumienie ludzi i prawdziwą namiętność otaczania się przyjaciółmi i znajomymi. Obok niej panie de Dresneuc, de Damas, de la Trémouille, wszystkie bliskie lub dalekie krewne, dawały tam młodzieńcowi zaraz u wstępu pojęcie o świetności koła, w którym zabawa była treścią życia. Książd Morellet, ex-ksiądz Raynal, St. Lambert dali mu tam przykład umysłowości wieku, w którym salony najwykwintniejsze, tytułem dzieł, sławy i rozumu, cierpiały i pozwalały na zachowanie, jakie powinno było wygnać tych ludzi nazawsze

z koła jednostek cywilizowanych. Raynal dał też Norvinsowi słuszny wstręt do kariery duchownej, takiej, jak ją czas ten pojmował. W piętnastu latach chłopiec zyskał na tych przykładach dosyć rozsądku, aby stanowczo odrzucić propozycję arcybiskupa Tuluzy, pana de Brienne, znanego ministra, który mu obiecywał świetną i pewną przyszłość, pod warunkiem przyjęcia święceń. Norvins utrzymuje, że ojciec pozostawił mu zupełną w tym wypadku wolność wyboru, a że on w nim nie zawahał się ani na chwilę. Zaiste na wiek ów trzeźwość to i niezależność sądu, prawdziwie wielkiego podziwu godne.

Calonne, ów minister finansów, co kredyt państwa upadający zupełnie, ratować chciał szalonymi pożyczkami i wydatkami, przedstawiony jest w *Pamiętniku* w świetle najmilszego krewnego, świetnością rozmowy olśniewającego młodego człowieka, któremu poparcie przyrzekał. Obalenie jego ministerstwa za to nie tłómaczy wcale, pozwala atoli szukać winy w rzekomej wielkiej zmienności, a nawet niesłowności, oraz w miękkim charakterze króla. Wbrew twierdzeniu innych współczesnych, Norvins zaznacza, że Calonne wyszedł z urzędu uboższy, niż gdy go był objął, że później ogromną fortunę swojej drugiej żony w Koblencyi poświęcił całą na zacheianki dworu książąt i na utrzymanie wojsk Kondusza. Jakiebyś wrażenie zostanie czytelnikowi z tych niezwykłych twierdzeń, musi on atoli zrozumieć urok, jaki piękny, wesóły, pełen przyjaźni i uprzejmości, potężny minister wywarł na młodym krewnym, który w jego poparciu widział swą przyszłość. Wizerunek brata arcybiskupa Tuluzy, hrabiego de Brienne, jaki Norvins następnie tu kreśli, mógłby znów posłużyć jako idealny portret wielkiego pana w najlepszej swojej odmianie. Bratanek, choć daleki, przyznaje, że obok ojca nikogo na świecie nie kochał, nie szanował, nie czcił tak, jak tego bezdzietnego ostatniego de Loménie, który z siedmioma członkami swej rodziny, z bratem i dalekimi synowcami, poniósł śmierć na gilotynie razem z królową Elżbietą, dlatego tylko, że całe życie zbyt wiele dobrego wyświadczył swoim poddanym i sąsiadom. Zamłodu, będąc właścicielem dużego ziemskiego ale jak się zdaje do ostateczności obciążonego majątku, ożenił się, dla ratowania

stanowiska, z córką milionowego przemysłowca. Brzydota jej i brak rozumu były takie, zdaniem Norvinsa, że mąż był raczej jej dobrodziejem. Lekka ironia, z jaką mówi o tem małżeństwie, przynosi zaszczyt dowcipowi pamiętnikarza: nie piękna i nie rozumna panna została wielką panią, a wzamian za to mieszczkańskie miliony poszły na budowę wspaniałego pałacu w Brienne na zrównanej górze, u szczytu której stał zębaty, średniowieczny ciasny zamek pradziadów. Sto koni w stajni, dwie psiarnie, orkiestra i teatr nadworny, polowania i przyjęcia prawdziwie królewskie, składały się tam na życie, które w pamięci Norvinsa pozostało jego wiekiem złotym. Do utrzymania tego dworu, jego dostojności i szczodrobliwości, przyczyniały się także dochody arcybiskupstwa Tuluzy, którego nominat nie odstępował ani na chwilę namiętnie ukochanego brata. Hrabia de Brienne swoją władzę, ale i obowiązki pana na wsi rozumiał zdaje się nie inaczej, jak je ongi pojmował *le bon sire de Joinville*; sam zasiadał do sądu nad poddanymi, godził spory, karał przestępców prawa miejscowego, wspomagał całą prowincję, ratował i bronił. Każdy chłop zbliżał się do niego z zaufaniem, pewien sprawiedliwości i dobrej rady, a Norvins utrzymuje, że sądy po całym świecie mogły się od niego uczyć jasności i trafności w orzeczeniu lub rozwikłaniu spraw zagmatwanych. *Le beau idéal* tedy wielkiego posiadacza ziemi, w całym tego słowa znaczeniu wielkiego pana, piękny i wspaniałej postawy, rozumny, dobry dla każdego, najbardziej przywiązany i łaskawy krewny, nie znalazł Brienne w pamiętniku Norvinsa ani jednego słowa nagany. W nas wzbudził za to jedną ciekawość: jak on mianowicie umiał znosić tę żonę „przemysłową“ i czy dobroć jego miała choć tu granice? Wielbiciel jego jest niemym pod tym względem, a to milczenie już samo budzi pewne wątpliwości. Mówiąc później ogólnie o wielkim świecie paryskim, Norvins nadmienia, że córki finansistów mogły być zawsze pewne, tak wtedy jak dzisiaj, znaleźć konkurentów w zastępie młodych ludzi, których stare rodzinne majątki i zawsze świeża chęć zabawy, potrzebowały realniejszych podstaw. W chwili np. kiedy Norvins stawiał pierwsze kroki na pochyłej posadzce salonów, młody hrabia Karol de Noailles wprowadzał do nich

swą żonę, cudnej piękności córkę bankiera Laborde, której świeża delikatność rysów gasła atoli przy wspaniałej postawie pani de Fontenay, z domu Cabarrus, później słynnej pani Tallien, a wkońcu księżnej de Chimay. Norvins, obok uwielbienia dla jej kształtów bogini, znajduje tylko najszersze słowa podziwu dla jej dobroci, której podczas Rewolucyi wielu ludzi miało zawdzięczać życie. Natomiast hr. de Noailles według niego, choć nie tak doskonale piękną, ale lepiej wybraną miał żonę, bo oprócz potężnych dochodów przyniosła mu ona wzajemność, która tworzyła z nich idylliczną parę. Po tych kilku szczegółach sam już chyba czytelnik przyznać musi, że niezwykle było usposobienie człowieka, który w tym właśnie czasie tego rodzaju spostrzeżenia robił i takie strony dodatnie u ludzi podnieść umiał.

Tymczasem zaś oczów i zrozumienia dla innych, odmówić mu także nie można żadną miarą. Dobrą próbą pod tym względem jest jeden z rozdziałów pierwszego tomu, zawierający opis balu opery, na który młody radca sądowy wykraść się w przebraniu arlekina, aby intrygować cały wielki świat paryski, zmieszany w przebraniu z najróżniejszymi warstwami społeczeństwa. Wzięty w opiekę przez dwóch dobrze świat znających kawalerów, intrygował on z początku własną rodzinę, nie poznany przez nią do końca, następnie wszystkie najpiękniejsze i najświetniejsze panie, do których zaczepiania jego opiekunowie dostarczali mu tematu, wreszcie panią de Staël, którą, nie poznany przez nią, tak zyskał sobie ciętością rozmowy i dowcipu, że zaskarbił sobie nazawsze jej przychylność. Przy zachowaniu ścisłego *incognito* zaczepianie takie ludzi na najdrażliwszych punktach było bronią dotkliwie ostrą, szermierka językowa mogła być rzeczywiście zadziwiającej trafności, często gryząca ironią, dowcipem jednak zwykle wesoła i rozweselająca nawet swe ofiary.

Ten świat, który Norvins przedstawia tylko w jasnych barwach, bankrutował już przecież, a on sam to przyznaje, choć przechodzi szybko po jego ciemnych stronach. Dwie religie minionych wieków, podstawy, bez jakich istniejący porządek runąć musiał, wiarę we wszechmoc Boską i królewską, robota rozkładowa filozofii i rozpusty przeżarła

była do jądra. Formy, których się trzymało, były puste, jak „cymbały brzmiące“, a próżnia ta złowrogo dzwoniła na ostatnią godzinę „starego autoramentu“. „Ludzie szaleli“, wyrzekli się swoich bogów, ze śmiechem i lekceważeniem przestrzegając tylko gładkości przyjętych zwyczajów, z uprzejmością odzierali zwykle siebie i drugich z majątków, a częściej z czci i wiary. Umierać tylko nie umieli dobrowolnie ani tak łatwo, jak tamci z przed tysiąca siedmiuset lat, a chyba, tylko dlatego, że groziła im zaprzeczona wprawdzie, ale powracająca zawsze na pamięć kara wieczności. Jedni, jak Turgot, wielający w rzeczywistość naukę Encyklopedystów, bezwiednie otwierali wrota smokowi, co ich miał pożreć wywracając owoc wzrostu narodu przez wieki. Inni, jak Calonne, barbarzyńców sprowadzali w łono państwa, przez lekkomyślność popełniając zdradę; inni, jak arcybiskup Tuluzy, zjadający ogromne dochody swego beneficjum na wspólkę z bratem w pałacu rozkosznym w Brienne, z bezradnością i obojętnością zupełną założywszy ręce, przeciągać pragnęli stan rzeczy, którego nawet ludzie genialni i wojownicy nie byłiby może zdołali utrzymać. Wkońcu, dokonali dzieła ci co jak Lafayette i jemu podobni, ze zwykłym ludzkości zapalem niszczenia, burzyli to, czego postawić nie byli w stanie, szafowali dobrem nie swoim, urojeniami wychodowanymi sztucznym zapalem w miątkach mózgach zapragnęli świat prowadzić. Demos miał ich prędko nauczyć, że krwią pachniało jego uwolnienie, że ulubioną jego strawą staną się niechybnie ludzkie głowy, że ludzkie zwierzę, gdy się wszelkiego strachu pozbędzie, gdy żadnej władzy nad sobą nieuczuje, musi stać się dzikszem od każdego innego stworzenia, o tyle szkodliwszem, że przebieglejszem, o tyle gorszem, o ile zamieszkało na ciasniejszej przestrzeni. W miarę, jak niebezpieczeństwo rosło, lekkomyślność szlachty zaczęła się przemieniać w prawdziwą odwagę. Choć książęta królewskiego domu dali hasło ucieczki, zwykłych spacerów do Longchamps i St. Cloud nie zaniechało wielu wielkich panów, pomimo, że jak zawsze bywa, tłumy przez burzycieli wiedzionego pospólstwa otaczały ich tam już nieraz z groźnemi krzykami. Norvins twierdzi, że młodzież nie chcąc dla takiego powodu przypinać szpady lub nosić pistoletów, których pier-

wej na tego rodzaju wycieczki nie brano, używała lasek z łożnianymi galkami, w razie potrzeby mogących posłużyć znakomicie do rozbicia czaszek zbyt natrętnych przechodniów. Takich ludzi nie było łatwo groźbą od ich zwyczajów odstraszyć. Po wspomnieniu o nich, pamiętnik w połowie pierwszego tomu przechodzi do człowieka jedyne, który tu rzecz można miłosierdzia nie znalazł. Był nim Monsieur. Prawdziwie, że jeżeli Norvins nie powoduje się osobistą nienawiścią, do której powodu nie było, przeciw królewskiemu bratu, to przyznać trzeba, iż nikt na świecie równie strasznych usług nie oddał Ludwikowi XVI, jak Ludwik XVIII. Jawna zdrada ks. Orleańskiego była chyba mniej szkodliwą przez to samo, że wszystkim znana. Lekkomysłność hrabiego d'Artois, jego nie rzadko zła wiara, bezradność, bezsilność Kondeusza, są niczem, wobec wcześniej rozpoczętego podkopywania władzy królewskiej w pałacu Luksemburskim, wobec inicjatywy tłumaczenia przed narodem swych liberalnych, antyrządowych uczuć, wobec poświęcania swych sług i narzędzi pierwszym krwiożerczym zachciankom motłochu.

Słabość króla znalazła w Norvinsie również niezbyt pobłażliwego historyka. Wylicza on błędy bez liku, jakimi Ludwik XVI dążył do upadku i chaos otwierał. Twierdzi bowiem, że władzca, który mógł i powinien był Szwajcarom kazać strzelać do ludu, gdy tenże pierwszy raz na niego i na nich rękę podnosił, tem wahaniem opuszczał posterunek, którego miał strzedz, wydawał na rzeź nie tylko siebie i swoich, ale wierne wojsko i tysiące tysięcy, że król, który przez tygodnie, póki była pora, nie chciał wyjść do swojej armii czekającej go nad Renem, choć powóz stał zaprzężony na dziedzińcu i wszelkie straże nieprzychylne były usunięte, słabością powstałą z błędów dziadów a wchłoniętą bezwiednie z rozkładającym powietrzem wieku pchał kraj do przewrotu niemniej jak ci, co lud wprost doń wiedli ¹⁾. Młody radzca sądowy przytomnym był na ulicy, jak podczas pierwszych zaburzeń ksiązę de Lambesc na czele pułku Royal Allemand powolnym marszem oczyszczał ulice i kiedy

¹⁾ Szczegóły te Norvins po Restauracyi słyszał od ks. de Liancourt, który ucieczkę króla wtedy przygotowywał.

jakiś pijany żebrak zatoczył się pod jego konia, z czego urosła dla trybunów idealna legenda o tratowaniu końmi starców i dzieci, legenda, którą długo historycy nie gardzili, aż stała się tym wzorem, według którego kują się podobne bajki od wieku. Norvins widział następnie, jak tłuszcza z Lafayettem na czele, mającym zachcianki ją powstrzymać, wiodła rodzinę królewską z Wersalu do Paryża; miał dosyć zmysłu historyka w sobie, aby zrozumieć dobrze później jeżeli nie wtedy kiedy na te rzeczy patrzył, że poprzednie niewczesne zamachy władzy na swobody parlamentarne, szalone wybryki finansowe rządu, były tylko rozpaczliwymi napadami odwagi tchórza, aby potem jeszcze dalej uciekać. Świadectwa zaś tego całego lekceważyć nie można, bo ten, który je dawał, nie był wcale zaciętym stronnikiem starego autoramentu i patrzył na ludzi trzeźwo i nie jednostronnie. Na emigracyi, bardzo wkrótce, wstąpiwszy do wojska Kondemusza, ostygł zupełnie w swoim legitymizmie. A ta zmiana przekonań dokonała się wcześniej, i zaraz z początku drugiego tomu *Pamiętnika* staje się wyraźną. W obcowaniu z panią de Staël i jej wielbicielami przemieniły się dawne zasady Norvinsa w zupełną już wiarę w konieczność konstytucyjnych rządów. Pojęcia polityczne zmieniały się bowiem wówczas aż zbyt łatwo, „jak zwykła odmienia się suknia“.

Po nieudanej ucieczce królewskiej do Varennes, gdy widnokrag coraz ciemniejszym się stawał — arcybiskupa Tuluzy np. jego owieczki zmusiły gwałtem do zamieszkania pośród nich — państwo de Montbreton postanowili najmłodszego syna, jako najgorętszą głowę rodziny, wyprawić za granicę pod pozorem ukończenia nauk. Daremnie młody człowiek według własnych słów, błagał pana de Brienne, aby się równocześnie schronił za Ren. „Zabiją wuja za dobrodziejstwa, jakie ci winni“, powtarzać miał bez skutku. Pojechał sam, na koniu, jednym tchem do Metz, wstąpił do Koblencyi pokłonić się książętom, lecz potem udał się do Göttyngei, by tam według ojcowskiego rozkazu poznać życie studenckie w Niemczech. Poznał je snać z jego wesołej strony, według tego co, o trwaniu swoich nauk pisze. Z kolei w Hamburgu podczas świetnego karnawału patry-

cyuszowskiego, gdzie przepych godził się z rządnością, starał się zapomnieć o straconych zabawach paryskich. Z chwilowej następnie wojskowej karyery pod znakami Kondeusza zostało mu jedynie najwyraźniejsze wspomnienie odwiedzin w klasztorze podczas cofania się wojsk, w którym oficerowie francuscy zostali przyjęci jak zbawcy. Jedną z siostrzyczek, według opowiadania Norvinsa, robiła mu wtedy zwierzenia o konieczności reform zakonnych i większej ich wolności, a anegdotka tę może niezupełnie przesadzona, bo wiadomem jest, że za przyjściem wojsk republikańskich wiele kongregacyj zakonnych wyfrunęło ze swych gniazd. W Kolonii, gdzie osiadł po rozprószeniu wojsk emigracyjnych, ex-student spędził miły rok między kanonikami i kanoniczkami kapitulnymi i zaplątał się w czuły romans z piękną Niemką, panną Klarą von Steinberg, z którą miał się ożenić, gdy nastąpią spokojniejsze czasy. Nie zanosilo się atoli na nie. Z ostatnią przesyłką pieniężną od matki, dostał instrukcyę udania się do Szwajcaryi, na zamek wuja, pana de Garville, gdyż wszelkie dalsze komunikacye z zagranicą stały się niemożliwe i groziły śmiercią pozostałym w domu. Norvins wyjechał tedy z żalem z Kolonii i z czasem, już bez żalu, napisać musiał do Klary, aby na niego nie czekała. Matka nie pozwoliła jej też czasu tracić i wydała wkrótce za austriackiego oficera. Ostatni pożegnalny list narzeczonej miał być arcydziełem uczucia, ukrytego pod najsubtelniejszą ironią. Dla bezpieczeństwa atoli spalonym został, gdy jego odbiorca do kraju wracał.

Pierwsza połowa drugiego tomu *Pamiętnika*, zawierająca opis pobytu Norvinsa w Szwajcaryi, jest niezawodnie jego najciekawszą częścią. Na tle lekko naszkicowanego średniowiecznego, feudalno-chłopskiego ustroju kraju, rysują się wyraźnie typowe postacie XVIII wieku: pan de Garville, który łączyć umiał niezwykle przezorne zajęcie się majątkowymi sprawami z kultem już mijających bogów, jak d'Alembert, Diderot i im podobni, księdza Rousseau, kuzyna Jana Jakóba, którego kazania ongi poprawiała panna de l'Espinasse i który sutanny nie posiadał, tego biskupa z St. Dié, Beaumont de la Galaizière, co czasem, od wielkiego święta, dla przyjemności córki domu, młodej wdowy, pani d'Affry,

na wspólnie z nią z dosyć wielką biedą nabożeństwo odprawił, tej pani de Tésse, która swym rozumem zakrywała dziecinne zabawy swego męża, jej brata, księcia d'Ayen, którego matka, żona i córka zginęły jednego dnia na gilotynie, a który w swej wolteryjskiej niewierze mówił, że rozumie wszystko, nawet pobożność, ale nie uwierzy nigdy w Opatrzność, pozwalającą na tak niezasłużone męki i okrucieństwa, jakich był świadkiem. Po pięćdziesięciu latach najszcześniejszego życia wśród dostojenstw, dostatków i świetności, ze swobodą i spokojem znosił on teraz ubóstwo zupełne, bez narzekań, piechotę, w grubych butach i jedynem czarnem ubraniu podróżował po Szwajcaryi na 15 stopni mrozu. Norvins spotkał go po raz pierwszy w tym rynsztunku i po ruchach i postawie poznał człowieka, który mu później opowiadał, że w czternastym roku życia, w wilię wielkiej bitwy, został pułkownikiem, bo to był czas przywilejów, a szlachta miała prawo ginąć przed innymi. Krajobrazu nie brak także w tej części pamiętnika. Zamki feudalne, sterzące dumnie na skałach, ale których panowie, wracając bez grosza z wojskowej zagranicznej służby, resztę ziem bogatych w dolinach sprzedawali wieśniakom, na serach wzbogaconych; piękności jeziora Morat, nad którego brzegiem wznosił się jeszcze kopiec, ułożony z kości burgundzkich rycerzy, cuda jeziora genewskiego, którego piękne wybrzeża nie były jeszcze tak jak dziś zadżumione przez turystów, a nadewszystko Coppet, ze swym wspaniałym parkiem, ze wspomnieniami pani Necker i żywą relikwią, którą w oczach współczesnych był ojciec pani de Staël — wszystko to służy jako bardzo ładne tło ciekawym wizerunkom, kreślonym przez autora. Norvins miał dla tej głośnej, gadatliwej pani wielkie powody wdzięczności, nie mówi też o niej inaczej, jak z uwielbieniem. Ona bowiem, pani de Staël, po długiej przerwie wszelkich wiadomości z domu, po głębokiej dla niego stracie, jakiej doznał w śmierci ukochanego pana de Brienne i siedmiorga członków najbliższej mu rodziny de Loménie, o której dowiedziano się w Greng z *Monitora*, pierwsza przywiozła mu wieści o jego rodzicach i braciach. Ojciec uszedł gilotyny tylko dzięki zwłoce jakiegoś przyjaciela wpływowego; całkowicie uwolniony został dopiero 9-go thermidora. A na-

stępnie sam Norvins o wiele więcej jeszcze był winien córce Neckera, gdyż wyrwała go później rzeczywiście ze szpon śmierci. Patrzył też na nią zawsze przez szkło stanowczo przesadnie pochlebne i w ciągu całego *Pamiętnika* jedynie słowa uwielbienia i podziwu jej poświęcił. Urok słowa jest niezaprzeczenie dla potomności najtrudniejszym do zrozumienia, a on właśnie był źródłem wpływu, wywieranego przez autorkę *Corinny*, którego my dziś wyobrazić sobie nie umiemy. Młody wówczas pamiętnikarz miał też zapewne chwile, kiedy marzył o zaliczeniu się między otwartych jej wielbicieli, ale posiadał także dosyć rozumu i dobrego smaku, aby te marzenia dla siebie zachować, nie tylko wobec współczesnych, lecz nawet wobec czytelników jego wspomnień. Pani de Staël otoczona była prawdziwym dworem, który mógł odjąć odwagę nawet bardzo śmiałym. Składali go: tryskająca dowcipem przyjaciółka, pani Rilliet z Genewy, śliczna rozumna kuzynka pani Necker de Saussure, gwałtowna pani de Laval, jej syn Maciej de Montmorency, który w towarzystwo, niezbyt wymagające pod względem przekonań religijnych i nawet etycznych, wnosił zdrowy i stanowczy zmysł moralny, prostotę uczuć i zachowania prawie im obcą, ohok niego hrabia Ludwik de Narbonne, chwilowy minister Ludwika XVI, który ongi z panią de Staël w ostatniej chwili pracował z wielką odwagą, aby króla ocalić, późniejszy zaś adjutant Napoleona, olśniewający rozumem, ogłąda, świetnością, które wkrótce miały tak silnie odbijać od usiłowań w tym kierunku innych oficerów cesarstwa. Nad nimi atoli blaskiem rozmowy, uwagą, jaką zaczynała nań zwracać ich Egerya, górował „człowiek z niczego“, rozwiedziony już wtedy ze swą żoną Niemką, Benjamin Constant.

W r. 1797 Norvins wrócił do Francji, za paszportem „dobrego obywatela wracającego do ojczyzny“, nie był bowiem zanotowany w emigracyjnych spisach. Rodzinę zastał całą przy życiu, ale mało na niej użył, bo wyprawiono go zaraz na wieś, aby stróż kamienicy jego ojca nie zwrócili uwagi policyi na jego powrót. Pomimo tych jednak ostrożności, fala rewolucyjna wznoszącego się znów terroryzmu z 18-go fructidora, gdy Barras, Rewbell i Lareveillère owładnęły Dyrektoryatem, wznowiła zaniedbane prawo śmierci

przeciw emigrantom i omal że nie zatopiła także naszego wygnańca. Wydał go stróż kamienicy, którego się obawiano, a nieoględne listy kuzynki z Greng stały się zupełnie wystarczającym aktem oskarżenia i dowodem emigracyi. Sąd doraźny już się nad nim odbywał, gdy list uproszony przez panią de Staël u jenerała komenderującego w Paryżu wstrzymał sprawę. Osadzony atoli w więzieniu, bez sądu ni procesu, spędził w niem Norvins całych lat dwa, a byłby ich tam strawił dużo więcej jeszcze, gdyby dzień 18-go brumaire'a nie był otworzył krat dla wszystkich przestępców politycznych. Norvins powtarza też z naciskiem, że po pani de Staël, najwięcej na świecie, bo wolność, winien Napoleonowi. I kult zupełny dla bohatera powstał w nim z tą chwilą. Trudno sądzić, czy w swym opisie uwięzienia i procesu nie dodał sobie zbyt wiele odwagi i sił moralnych, bo zimna krew, z jaką bronił się wobec sędziów, zdecydowanych na jego zgubę, a później sposób, w jaki życie więzienne sobie umiał urządzić, świadczyłyby o wielkich zasobach żywotności i charakteru. Sądząc też po nich, jedynie pewien brak stałości i lekkomyślność w podejmowaniu coraz to nowych zamiarów, były powodem, iż zmienna jego karyera skończyła się wczesnie i niekorzystnie. Poznanie Napoleona np. obudziło w nim uwielbienie, którego żadne zawody nie zdołały ostudzić; poznanie siostry Bonapartego, Pauliny Leclerc, popchnęło go na ekspedycyę, której omal że parę razy nie przyplacił życiem, okupił zaś stratą niewielkich funduszków, jakie posiadał, i kilku najlepszych lat życia, które w bezpośredniej służbie napoleońskiej mogły mu zapewnić stanowisko świetne. Zapał ten jego ludziom dzisiejszym wydać się musi przesadzony i nieuzasadniony, Norvins bowiem naprawdę mało cesarzowi zawdzięczał. Zamachem stanu z 18-go brumaire'a Napoleon ocalał siebie od wrogich zachcianek przeciwników, utrwał swoją przewagę, gotował sobie drogę do wszechwładzy, a z pewnością pomocy i rady Talleyranda szukał nie w celu wybawienia tych, co w więzieniach śmierci czekali lub nie widzieli w nich żadnego kresu niedoli. Norvins wyszedł z kaźni chyba trochę jak pijany. Bóg, który go wybawił z egipskiej niewoli, stał się też odtąd jego bogiem.

Na szczęście jednak jego *Pamiętnika*, zdaje się, że z biegiem lat odzyskał dosyć zmysłu krytycznego, aby naprzykład rozróżnić świetność epoki od śmieszności pseudo-klassycyzmu, panującego wówczas w całej pełni. Opowiada tedy o uczniach Davida, którzy na wicher zimowy i słotę chodzili po mieście w fałdzystych tunikach bez żadnego niższego ubrania, marznąc sownie, lub znowu o uroczystościach narodowych po bitwie pod Marengo, o wrzekomych igrzyskach olimpijskich, podczas których młodzi eleganci na bigach greckich i koniach angielskich, należących do handlarza win, p. Tourton z Clos-Vougeot, ścigali się w kurtkach i dżokejskich czapkach, według ówczesnej mody z Newmarket. Ten zbiór stylów musiał też być zaprawdę więcej jak śmiesznym, prawdziwie tem, co się nazywa *grotesque*. Inną, piękniejszą, ale niemniej charakterystyczną stroną obrazu była pani Tallien, *ex-pani de Fontenay*, występująca nieco przedtem w łoży opery podczas wielkiego przedstawienia w wiernym stroju bogini Dyany, wobec czego publiczność nie przedstawienie lecz ją wyłącznie podziwiać musiała. Norvins utrzymuje, że z powodu, a może pomimo jej sukcesów, Józefina z polecenia swego małżonka powiedzieć jej miała, że czas poezyi minął, a nadchodziła pora historyi. W cesarze samym było rzymskiego pierwiastku niezaprzeczenie wiele, było go zapewne dosyć w jego legiach, nie było atoli wcale w narodzie, tylko zwykły blichtr naśladowczy. W Norvinsie nie było go z pewnością ani kropli. Uczucie wyzwolenia od śmiertelnej zmory strachu, poczucie rozpoczynającej się nowej ery, kiedy ci, co mają siłę pięści i trochę rozumu, posiadać mogą prędko wszystkie skarby ziemi, budziły u ogółu tego świata, potrzebę wywyższenia nad innymi. Norvins zarzeka się, że tej ostatniej nie hołdował wcale, i przyznać też trzeba, że czynnie do niej nie dążył.

Pół godziny rozmowy z Pauliną Leclerc wystarczyło, aby bez pytania matki swojej, lub bez czyjejkolwiek rady rzucając urząd w prefekturze paryskiej, powziąć postanowienie przyłączenia się do wyprawy na wyspę San Domingo. Nie mówi Norvins nawet wiele przy tej okazji o siostrze swego bohatera, wyrazi uwielbienia dla niej trzyma na wodzy jak

zwykle, a o sile tegoż sądzić chyba można z czynów, choć słowami stara się je zatrzeć. Wyjechał tam w charakterze nieokreślonym, nie przyjąwszy nawet ofiarowanej posady sekretarza generała Leclerc. A później także, po jednej z krwawych przeciw murzynom utarczek, odmówił również wysokiego wakującego stopnia oficerskiego. Do czego dążył? czego pragnął? trudno zrozumieć lub dociec. Wszędzie za Leclerc'em postępował jako ochotnik, spełniał bardzo niebezpieczną służbę adjutanta, czasem nie łatwą sekretarza, pozostawał z mężem Pauliny w najbliższych, najlepszych stosunkach, ale przy tem jedynie politycznymi i wojennymi sprawami wypełnił tę część swego *Pamiętnika*, jak gdyby był niemi wyłącznie zajęty, tak, iż na wspomnienie o sobie samym prawie miejsca nie zostało. Zdobycie wyspy, okrucieństwa, rzezie, zdrady murzyńskie, opisał z dokładnością, której sprawom publicznym zwykle nie poświęcał i właśnie na tymże opisie, ku wielkiemu niezadowoleniu czytelnika, oczekującego trochę więcej szczerości na zakończenie, urywa się drugi tom *Memoryału*.

Trzeci nie zaczyna się inaczej, nie zdradza ani razu nadzwyczajnej dyskrecyi przyjaciela, najlepszego chyba, jakiego posiadał Leclerc. Żółta febra już w tym czasie brała w swe śmiertelne szpony jednego po drugim z jego towarzyszy i mało któremu życie darowała. Norvins zachorował jeden z pierwszych, lecz według własnego świadectwa, dzięki murzynce, która wszelkie leki przysyłane przez doktorów wrzucała do rzeki, a kurowała go swemi ziołami, i zapewne wskutek przeniesienia go nad brzeg morza, do domu, gdzie powiew oceanu ochładzał i znakomicie oczyszczał powietrze z śmiertelnych miazmów, uszedł on losu znacznej większości żołnierzy. Groza moru padła tymczasem na kraj cały. Ludzie, którzy na polu bitwy śmierci patrzyli ciągle w oczy, ginęli i słabli ze strachu przed jadem, który powietrze napełniał. Dwóch najdzielniejszych swoich oficerów Leclerc uwolnić musiał i do Francji odesłać, za wstawieniem się Norvinsa, bo sami przyznawali się być całkiem do służby w tych warunkach niezdolnymi. Norvinsowi po miesiącu zdawało się, że odzyskał zdrowie, a jednak w wiele miesięcy później, gdy wrócił do Francji, bracia w chodzącym upiorze

poznać go nie mogli. Ze sztabu generała de Tholosé, przysłanego na pomoc gubernatorowi, z siedmiu oficerów po trzech dniach pozostał przy życiu jeden, który błagał o uwolnienie i pierwszym odjeżdżającym okrętem uciekł z zadżumionego kraju.

La diva Paolina, jak ją Norvins nazywa, między tymi umierającymi i na śmierć skazanymi, rozsiewała tymczasem promienie swoich uśmiechów, a czarem i zmiennością usposobienia rządziła mężem i wszystkimi, co się do niej zbliżali. Sekretarz gubernatora musiał sobie także dotkliwie przy tym ogniu skrzydła opalić, ale nie zdradził się ani pójściem, a względem żony swego przyjaciela zachował dyskrecję, na jaką niewiele byłoby się zdobyło. Z opowiadania jego wypływać się zdaje niezbitie, że był rzeczywistym i najbliższym przyjacielem generała, wiernym w pracy i na każdym miejscu. Opis tego stosunku, przeplatany wspomnieniami strasznej plagi, grasującej między kolonistami, na tle potężnej roślinności i tropikalnych upałów, obok mimochodem rzuconych aluzji do „boskiej Pauliny“, jest jakby wstępem do bardzo tragicznego romansu. Ludzie pamiętali jednak zwykle wtedy, że Napoleon przez Józefinę kazał powiedzieć pani Tallien, iż czas romansu minął i że nastawała pora dziejowa. Norvins nie zapominał zdaje się o tem nigdy, gdy chodziło o siostrę Pierwszego Konsula, i kiedy po wybuchu powstania murzynów i nowych rzeziach Leclerc, zniszczony moralnie i fizycznie zabójczą atmosferą, w dwadzieścia cztery godzin uległ zarazie, jego wierny sekretarz odmówił zaszczytu towarzyszenia wdowie do Francji i pozostał jeszcze czas pewien na swem stanowisku przy generale Rochambeau. Lecz niebawem zniechęcony do rządu, prowadzącego, według jego rozumienia, kraj wprost do zguby, chory znów na febrę, wyjechał także z powrotem do kraju, wioząc do Napoleona oskarżenie pozostałych towarzyszy Leclerc'a, przeciw okrutnym i nieopatrznym rządowi jego następcy.

I z tą chwilą rozpoczęła się druga niefortunna połowa jego życia, lat wiele daremnego szukania zajęcia i zastąpienia niem straconego majątku. Niechęć różnych ludzi, lecz nadewszystko wstręt Napoleona do każdego, kto mu przypominał nieudane przedsięwzięcie, niweczyły długo wszelkie

w tym względzie usiłowania Norvinsa. Znosił on swój los z cierpliwością podziwu godną, swoje zawody ukrywać umiał przed współczesnymi i pokrył je też przed potomnością dobrym humorem i lekceważeniem własnej niedoli, która wobec wielkiego dramatu rozgrywającego się równocześnie, pozostała w jego *Pamiętniku* tym tylko szczegółem, jakim była wśród całości. Zgrabnym, gładkim, miłym i dowcipnym musiał być niezawodnie ten najbezinteresowniejszy wielbiciel cesarza, kiedy wszystkie wzmianki o nim we współczesnych pamiętnikach zgadzają się w przypisywaniu mu tych zalet. Jednym zaś jeszcze ich świadectwem była rzadka prawdziwie umiejętność Norvinsa w utrzymywaniu przyjaznych stosunków z najbardziej sobie przeciwnymi żywiołami, z braćmi Napoleona np., z księżną Pauliną Borghese, którą ubóstwiał niedawno jako generałową Leclerc, a równocześnie z Józefiną, z najbliższem otoczeniem cesarza i z powracającymi emigrantami, nawet, co najdziwniejsze, z panią de Staël. Wszystkie te stosunki atoli nie przyniosły mu nic dobrego. Służąc bezpłatnie pod Leclerc'em mógł być równocześnie w przemysłowych przedsiębiorstwach, jakim się wszyscy cywilni na San Domingo oddawali, odbudować choć częściowo zniszczony prawie zupełnie majątek. Powstanie atoli, śmierć Leclerc'a, powrót do Francji i wzrastająca przeciw niemu, a przyznać trzeba, że wzajemna niechęć generała Rochambeau, rozwiały te wszystkie nadzieje. Norvins atoli niełatwo dał się zniechęceniu opanować. W licznych, zawsze jednak bezowocnych swoich przedstawieniach Pierwszemu Konsulowi, a następnie cesarzowi, umiał on zachować swoją godność i wkońcu, pomimo tysiącznych przeszkód, otrzymać posadę rządową. Siedm lat jednak przyszło na nią czekać. W pierwszym roku po powrocie z San Domingo (1804), nie otrzymawszy nawet żadnej obietnicy od Konsula, tylko utraciwszy przez wzięcie okrętu „Eufrozyny“ resztę swego mienia w ładunku kawy i kakao — jako nadliczbowy pomocnik swego przyjaciela Arcambala, sekretarza w ministerstwie wojny, obecnym był niesłychanemu zbrojeniu armii w Boulogne na zdobycie Anglii. Powrócił następując do Paryża, aby być jednym z pierwszych uwiadomionych o śmierci księcia d'Enghien. Zdanie jego o tej sprawie różni się jaskrawo od tych, które spotykało się dotąd w współ-

czesnych pamiętnikach, bo śmierć księcia przypisuje on stanowczo tylko pospiechowi komisji wojennej, przez służalstwo przekraczającej do ostateczności polecenia Napoleona. Ciekawą jest i wielkiej samodzielności sądu pełną uwaga, że w archiwum watykańskim szukać by trzeba wytlómaczenia tej zagadki w dziwnej spowiedzi panującego, który wobec świata i potomności wziął na siebie *odium* zbrodni, aby nie zachwiać nigdy żadnem cofnięciem się władzy swej i wierności sług swoich, a przed Głową Kościoła przyznał się do niewinności, aby od niej święcenie otrzymać. Uczestnicy sądu milczeli o nim zawsze jak zakłęci; współcześni godzili się dotąd mniej więcej na wersyę, że Savary i Hulin zostali posłani nań, jako niecofający się przed niczem, że rozkaz wstrzymania procesu nadszedł po wykonaniu wyroku, przewidzianego i przygotowanego z góry. Norvins tymczasem temu stanowczo zaprzecza, a przytacza dowody niemałej wagi. Bardzo zajmującym również wydać się musi i następny szczegół o zupełnem zapomnieniu, w jakim nazwisko rodu Kondeuszów było wtedy w Paryżu. W piętnaście lat po wybuchu Rewolucyi, salony były tak nowe i takiej świeżości ich mieszkańcy, iż Norvins zaręcza, że parę razy wypadło mu wyklądać historię i pochodzenie rodu, z którym przecież istność kraju przez wieki była związana. Świat w tym czasie zapomniał o swych ojcach, jak gdyby ich nie miał wcale.

Surowy, groźny spokój, z jakim Napoleon znosił oskarżające spojrzenia tych wyjątkowych, co się przed nim w najniższej pokorze nie gięli, łzy i rozpacz Józefiny, których nie ukrywała wcale, niepewność, zdziwienie, zakłopotanie tych, co na „boga wojny“ patrzyli jak na wyrocznię—wszystko to opisane jest w *Pamiętniku* z wielkiem życiem i plastycznością, sąd zaś umiarkowany, oparty na wywodach, których trafności i oryginalności odmówić nie można. Nielaskę swego bóstwa znosił też Norvins z niezwykłą wówczas cierpliwością i godnością nawet, jeżeli wspomnienia siedmdziesięcioletniego starca niezbyt upiększyły własną przeszłość.

Po koronacyi, podczas pobytu cesarza w Brienne, gdzie na polowaniu Napoleon konno uciekł swej świcie, która go przez trzy godziny daremnie szukała po lasach i polach, Norvins miał nareszcie upragnioną dawno sposobność roztoczenia przed

panującym swych planów odzyskania San Domingo dla Francji. Nie na wiele mu się te chwile wprawdzie przydały, ale były one wielkiem zadowoleniem jego miłości własnej. Po kilku bowiem nowych nieudanych próbach i staraniach otrzymania zajęcia, zapisał się on nareszcie jako prosty *gendarme d'ordonnance* do pułku ochotników, który miał być wciągniętym do gwardyi i składał się z samej szlachty, nawróconej do nowego stanu rzeczy. *Je serai peut être au moins bon à tuer* odpowiedział jednej ze starych znajomych, która robiła mu uwagi nad dziwnem jego postanowieniem. Widocznie tracić zaczynał resztę swego równego, łatwego usposobienia i przyszło mu wtedy gorzko pożałować rangi kapitana, ofiarowanej mu niegdyś przez Leclerc'a, a wtedy nieopatrznie odrzuconej. Z początkiem wojny, która w Tyłży miała się zakończyć, nowi „żandarmi“ tworzyli w Moguncyi przyboczną straż Józefiny. Cesarzowa poznała tedy Norvinsa pod mundurem prostego żołnierza, u starego Kellermanna wyrobiła mu zaraz stopień oficerski i dowództwo kompanii, i powiedziała pociechu, że pułk nowoutworzony miał być niebawem przemieniony w dawnych, do osoby władcy wyłącznie przydzielonych *gardes du corps*. I w tejto części *Pamiętnika*, w połowie trzeciego tomu, podziwiać trzeba najwięcej, jak jego autor, choć mu los prawdziwie ciągle był przeciwnym i choć sam parę razy lekkomyślnie pominął drogę do godności, które mu się trafiały, umiał mimoto utrzymać swe stosunki nawet w bardzo trudnych warunkach. Opis pobytu w Moguncyi przy Józefinie, wieczorów spędzanych u królowej Hortensyi, lub odwiedzin u książątek niemieckich z nad Renu, jest bardzo obrazowym i ciekawym przykładem, jak już wtedy stare żywiły, pod naciskiem wszechwładzy i zapалу ogólnego, musiały żyć zgodnie i mięszać się z nowemi, zwykle jednak jeszcze ustępując im kroku. Po małżeństwie austryackiem dopiero role te u cesarskiego dworu zostały zamienione.

Choć Norvins sam twierdzi, że wśród ciągłych, najróżnorodniejszych zmian swej karyery, zawsze czuł najwięcej pociągu i zdolności do dyplomacyi, do którejto przystani nigdy przecież nie zawinął, musiał ich mieć jednak trochę i do wojskowości, bo zapалу, rozmachu w opowiadaniu z całego *Memoryatu* ma z pewnością najwięcej ta kampania prusko-

rosyjska. Pułk „żandarmów“ gwardyjskich powołanym został na widowie wojny, aby nawspół ze świeżo sztyftowanym pułkiem piechoty, zwanym *Pupillami gwardyi*, i z jedną włoską dywizją, oczyścić Pomorze z reszty partyzantów pruskich. Z za płotów i rozwalonych murów czasem prażono dotkliwe strzelbą niedoświadczonych żołnierzy, i Norvins wtedy przy takiej sposobności, jedyny raz w życiu, komenderował szarżę swą rozwiniętą kompanią, której to chwili wspomnienie pozostało nazawsze jasnym punktem w jego starej pamięci. Żywo od niego odbijają przyjacielskie przyjęcia, jakich doznawał na kwaterach w całych starych Prusach Królewskich. Najśmieszniej zaś i najwięcej typowo przedstawia się tam *intermezzo* proponowanej adoptacji przez zamożnych państwa von Neuwurst w Marienwerder, rzechy można powtórzenie *Hermann* i *Dorotei*, tylko bez tej ostatniej, przykład, jak czule, piwem i kawą rozmarzone niemieckie serca zdolne były przyjąć za swego, poznanego przed trzema dniami przybysza. Wędrowiec atoli był żołnierzem, i naturalnie wolał dalej grać w hazard w służbie „boga wojny“, niż zadrzemać resztę dni żywota na miękkich poduszkach *der Frau Räthin*. A scena zmieniała się wtedy w życiu z niesłychaną szybkością, zmienia się też taksamo bez żadnych przejść w tym tomie *Memoryału*. Widzimy zaraz na następnej stronnicy Wielką Armię, wciągającą w swój organizm nowopowstałe pułki; zrazu patrzyła ona na nie krytycznie. Pod Guttstadt jednak, w parę dni potem, już „pomacano“ *Pupillów* tak, iż ich tylko połowa została; „żandarmi“ trzymali straż wkoło cesarza podczas bitwy i później, tak, iż dramat rozegrał się w ich oczach, ale bez ich udziału. Deflada kirassyerów, którzy pod hełmami padali nieraz od promieni naszego czerwcowego słońca, punktacya planów bitwy pod Friedland, wykonana przez Napoleona, który na wzgórzu leżał na swych mapach i znaczył je, podczas kiedy sztab cały lśniący od złota otaczał go z odkrytymi głowami, a wkoło stał żelazny pierścień, nieruchome, milczące, jak ze spiżu ulane pułki konne gwardyi — wszystko to opisane jest bardzo pięknie. Poprzednio jeszcze, w bitwie pod Heilsberg, nowy oficer miał sposobność widzieć próbkę usposobienia armii, gdy grenadyerzy Oudinota, przybyli po

pietnastu milach marszu, spojrzawszy na prawie już zdobyte pozycje nieprzyjacielskie, jak na komendę rzucili swe tornisty na ziemię i siedli na nich, oświadczając, że nie pójdą zbierać laurów walki, której nie stoczyli. Niezadługo potem, pod Friedlandem, oni wytrzymali najcięższe i najkrwawsze chwile bitwy.

Epizodów mniejszej wagi, ale niemniej rzucających ciekawe światło na ludzi ówczesnych, spotykamy pełno na tych stronnicach. Norvins np. we dwójkę z księciem Bassano najdłużej gonił za Napoleonem, gdy cesarz, w drodze do Tylży, w kraju zasianym jeszcze nieprzyjacielskiem wojskiem, jak zbieg uciekł od swego sztabu, z jakiejś chwilowej zachcianki jednym tchem jadąc 18 kilometrów jednym galopem. Gdy się kończyła trzecia mila, konie inne stanęły, a biały arab niosący cesarza oddalał się coraz więcej. Wielki koniuszy, ten z marszałków niezawodnie chyba najszczerzej dbający o osobę Napoleona, dopadł świeższego konia, pojechał za nim, wreszcie wystrzałem z pistoletu zwrócił jego uwagę i dogonić zdołał. Połowa sztabu i dziennej straży weszła do Tylży piechotą, bo konie były zeszywniałe zupełnie. Stojąc zaś nad tym Niemnem, nieznanym i tajemniczym, który kiedyś na zgubę swoją przestąpić miała, Wielka Armia spoglądając na zbierające się z przeciwnego brzegu rozbitki wojsk rosyjskich, między sobą głośno szeptała, że nie zwlekając trzeba rzekę przekroczyć i te resztki zgnieść, że pokój zapanować może wtedy tylko, *quand nous ferons notre royaume de Pologne*. Norvins słyszał to zdanie z ust podoficera gwardyi i powtórzył je Bessieres'owi. W tej chwili atoli już projekt traktatu był w kieszeni Mareta i ku wielkiemu niezadowoleniu armii, a jeszcze większemu Norvinsa, niebawem stał się tenże rzeczywistością. „Gałązka litewskiego chmielu“, choć „nęcona wdziękami pruskiej topoli“, raz jeszcze zerwaną została, a zima tych ziem zgotowała w lat pięć później grób tym, co mogli je wtedy oswobodzić. Oswobodzenie takie Kiejstutowego kraju trwałem chyba jednak i wtedy być nie mogło; wobec braku spójni wewnętrznej a bez długoletniego odrodzenia sił żywotnych *notre royaume de Pologne*, jak wszystkie ówczesne, byłoby runęło prędko. Ale łatwo znów zrozumieć, że Norvins wierzył święcie, iż tym razem

pospiech w zakończeniu wojny najgorsze cesarzowi oddał usługi. Dowiedziawszy się niezadługo potem, że „żandarmi“ nie zostaną przemienieni w *gardes du corps*ów, lecz wciągnięci do innych kawaleryjskich pułków gwardyi, pamiętnikarz zniechęcony znowu, z lekkomyślnością, jakiej równego jeszcze nigdy nie dał dowodu, odmówił stopnia oficerskiego w dragonach pod Bessieres'm i wstąpił do służby administracyjnej świeżo utworzonego królestwa Westfalii.

Operetkowy dwór i zajęcia, przerwane tylko kilkomięsiężną ciężką pracą w ministerstwie wojny pod jenerałem d'Eblé, przysłanym na stworzenie armii westfalskiej — tym, który niebawem Napoleona i resztę Wielkiej Armii wyrwał niechybnej zgubie nad Berezyną i umarł z nadmiaru trudów — musiały się prędko uprzykrzyć umysłowi bądź co bądź niepospolitemu Norvinsa. Podczas uroczystości ślubu cesarskiego opuścił też służbę jego brata i wkrótce wyjechał do Rzymu, na dyrektora policyi, na którym to fackie urywa się tekst spisanego *Memoryału*. Kilkokartkowy opis pobytu Fouchégo w Rzymie w r. 1813, jasne świadectwo jego zdrady, nie pozostaje w żadnym już związku z opowiadaniem *Pamiętnika* i słuszne tylko jako Dodatek wydrukowanym został na końcu trzeciego tomu. Sąd Norvinsa o Maryi Ludwice atoli, odmienny od tego, który się często spotyka, wart nam się jeszcze zdaje wspomnienia. Porównać się on daje, trafną swą wykwintnością, tylko z podobnym sądem pani Wąsowiczowej, wówczas hr. Anny z Tyszkiewiczów Potockiej. Oni jedni z pamiętnikami ówczesnych, wychowani w dawniejszych zwyczajach, niecałkiem o nich zapomnieli i nietylko widzieli, lecz opisać śmieli, pod przepychem otaczającym córkę Habsburgów, popolitość jej piękności i bezdusność jej martwej uległości i spokoju! Inni współcześni nie byli już w możności rozróżnienia tych delikatnych odcieni.

Z wyjątkiem ostatniej części drugiego tomu i dosyć licznych szczegółów trzeciego, *Pamiętnik* Norvinsa do politycznej i wojennej historyi swego czasu przynosi mniej nowych wiadomości, niż do dziejów obyczajowych. Natomiast do biografii wielu osobistości znaczących, może posłużyć jako źródło niemałej wartości. W żadnych innych wspomnieniach np. nie znaleźliśmy tak charakterys-

tycznego opisu tej spokojnej, gładkiej, uprzejmej ludności Paryża z przed Rewolucyi, złożonej z średnich jej warstw, co od niepamiętnych czasów, zawsze, od marca do listopada zalegała cała po południu aż pod wieczór ogrody Tuileryj i okolice Luwru, i pijąc kawę lub czekoladę, trawiła długie godziny na rozmowach o *les nouvelles du jour* wszelakiego rodzaju. Ludzie zaczęli tu przychodzić dziećmi, a często przynoszono ich jeszcze, gdy wiek niepozwalał im już o własnych siłach podążać na poobiednią gawędę. Pierwsze dzikie okrzyki i strzały Rewolucyi rozpędziły nazawsze tę ludność nieśmiałą i bezbronną, jak stada jaskółek, które choć zawsze do rodzinnej strzechy na lato wracają, odgłosem walki jednak wypłoszone bywają niepowrotnie. Ludność, która zajęła ich miejsce za cesarstwa i później po Restauracyi, nosiła już na sobie piętno Rewolucyi, a zwyczaje jej, smak, obejście były tak różne, jak gdyby nie dwadzieścia, lecz dwieście lat między nimi było minęło.

Norvins dziwnie mało, w naszych oczach, żałuje tego świata, w którym się urodził, a którego przeżył niepowrotną zaturę. Wszystko prawie z nim stracił; zyskał tylko zaiste bezinteresowne uwielbienie dla Napoleona i mocny pokost bonapartystowsko-liberalny. Może on też tą swoją łatwą zmianą przekonań posłużyć za przykład, jak łatwo Francuz, bez osobistych powodów, prędko przejść umiał od „starego autoramentu“ do marzeń w konstytucyjnym liberalizmie. Nie w ten sposób powstawało pojęcie wolności w narodach, umiających je zachować, bo rzeczywiście jeden tylko gallicki kogut mógł tak uwierzyć w sposób zbawienia, wynaleziony w jedniej chwili przez niego, a w drugiej w prawo ukuty.

Na zakończenie wreszcie wspomnieć tu jeszcze musimy mało znany a niezwykle ciekawy szczegół z początku drugiego tomu *Pamiętnika* o p. de Malesherbes, współniku reform Turgota. Bawił on czas pewien gościną u pana de Garville na zamku Greng przed przyjazdem Norvinsa, i wspominał nieraz czasy swego ministerstwa, z rozpaczą mówiąc, że on sam z Turgotem byli najuczciwsiymi z ludzi, pragnęli uszczęśliwienia ludzkości, ale wychowani jedynie na książkach, nie mając pojęcia o rządzeniu narodem, zmianami swemi ułatwili i przygotowali Rewolucję. Gdy przyszła wiadomość o uwięzieniu

króla, p. de Malesherbes oświadczył swemu gospodarzowi, że wyjeżdża do Francji. Błagalne przedstawienia p. de Garville, że jedzie tam na oczywistą zgubę, nic nie pomogły. Stary minister powiedział, że musi bronić króla, za którym nikt głosu podnieść nie śmiał, a któremu w czasach szczęśliwszych mimowoli nie dobre oddał usługi. Nie potrzeba było wielkiej przenikliwości, aby przyszłość wyprorokować, i nie potrzebnem nawet było oświadczenie byłego ministra, że przybył bronić króla, którego „niewiedząc, niechcąc“, według słów własnych, mógł być kiedyś władzę osłabić. Gdy Norvins przybył do Greng, niezadługo rozwiązanie dramatu doszło uszu jego mieszkańców na straszliwych wówczas szpaltach *Monitora*. Pan de Malesherbes, jego zięć pan de Rosambo, jego córka, wnuczka i jej mąż, młody Chateaubriand, odpokutowali na gilotynie spóźniony żal za błędy, popełnione ongi przez ministrów jeszcze wszechwładnego króla. Duch czasu atoli wiał w innym kierunku, i liberalno-romantyczne zasady pani de Staël, poparte jej wymową i chęcią podobania się wszystkim, naturalnie stokroć większy wpływ wywarły na ukształtowanie politycznych pojęć młodego człowieka, jakim był wtedy Norvins, niż wyrzuty sumienia staroego ministra, śmiercią przypieczętowane. Kult dla cesarza dokonał zaś tego wyznania wiary, któremu wiernym pozostał do końca, pomimo wszelkich życia zawodów.

A w Norvinsie właśnie ten kult napoleoński dziwniejszym się nam zdaje, niż u innych, bo oprócz uwolnienia z więzienia, które było tylko pośrednio zasługą Pierwszego Konsula, osobistego powodu do entuzjazmu nie było tam wcale. Osobistego uroku cesarza także mało miał czasu doznać. Nie szedł za nim na most pod Lodi, ani na skały Św. Bernarda, nie zdobywał pod jego okiem Ratysbony, ani nie szedł miążyć kolumn austriacko-rosyjskich pod Austerlitz, tylko gnił na żółtą febrę w San Domingo, a później, z łaski, jako dyrektor policji, odgrywał rolę pierwszego szpiega rządowego w Rzymie. Trudno więc odnaleźć źródła tego uwielbienia dla cesarza, i chyba tylko doszukać się go można w tej właściwości natury ludzkiej, która krzyczy, gdy inni wrzeszczą, kocha to, co inni kochają, nie wiedząc często za co i dlaczego. Norvins zamłodu, póki żył między ludźmi z t. z. *ancien ré-*

gime, posiadał rozwinięty zmysł krytyczny. Później snać go stracił wobec cesarza, a może wobec Pauliny Borghese. Sąd ucichł, dobry smak zanikał, stępiony jaskrawością barw, świetnością niewytrawną. Zdaleka, na polu bitwy, w świetle granatów wyglądały one wspaniale. W domu, gdy rękę podano, czuć było ludzi „wczorajszych“, i księżę d’Ayen w swem wytartem ubraniu byłby ich poznał odrazu. Norvins nie widział już lub nie chciał widzieć różnicy, którą widzieć mógł bardzo łatwo. Od innych pamiętnikarzy napoleońskich wymagać tych odcieni byłoby śmiesznem, od niego miało się to prawo i zawód jest tem cięższy. Z samego centrum świata paryskiego wyszedłszy, domownik pani de Staël na emigracyi, później przyjaciel i prawa ręka Leclerc’a, człowiek, który i Paulinie wydał się nie do pogardzenia, który umiał pozostać w przyjaznych stosunkach z braćmi Napoleona i zarazem doznawać łask Józefiny — Norvins musiał być człowiekiem zgrabności i gładkości wielkiej, miary niezmiennej i umiejętności życia niepośledniej. Przymioty te atoli i rozum niezwykle nie przydały mu się na nic, bo nieopatrznością zawsze zniweczył sobie przyszłość, jaka mu się otwierała. Nie używszy szczęśliwie czasu, póki gonienie za godnościami i majątkiem było łatwe, związał się z idea cesarstwa nazawsze, kiedy mu ona już tylko wygnanie uzyskać mogła. Pomimo setek zawodów niezgorzkniał jednak, żółci i kwasu do swych pamiętników nie dołał, dyskrecyę i pobłażliwość dla ludzi zachował do końca, wszystko tem większego podziwu godne w naszych oczach, że dzisiejsi pisarze tak zupełnie cnoty te utracili, choć niemieli pokus tak silnych, jak on, aby się ich pozbyć tak zupełnie i nazawsze.

Kronika literacka.

— *Młodość Goethego i nieprzełożone dotąd poezye jego ulotne.* Zebrał Ludwik Jenike. Wydanie ozdobne, z sześciu rycinami. (Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1897). Książka ta rozpada się na dwie odrębne części: pierwsza zawiera *Młodość Goethego*, na tle własnych jego wspomnień opisaną, druga obejmuje przekład kilkudziesięciu ulotnych wierszy poety oraz dramatycznego fragmentu *Prometeusz*. Oryginalne prace z zakresu obcych literatur są nam jak wiadomo bardzo potrzebne, lecz nie wynika z tego bynajmniej, aby krytyk w ocenianiu ich miał się kierować jakąś nadzwyczajną, jedynie w takich wypadkach stosowaną pobłażliwością. Pan L. Jenike, znany warszawski literat, zamierzył sobie, jak sam wyznaje w *Słowie wstępnem*, „skreślić rzecz, osnutą wiernie na tle wspomnień Goethego, lecz niebędącą bynajmniej prostem ich streszczeniem, obejmującą bowiem niejednen szczegół, zaczerpnięty z innych źródeł.“ Już te pierwsze słowa nie zdradzają wielkiej znajomości przedmiotu. Goethego *Dichtung und Wahrheit* (tak brzmi autentyczny tytuł a nie tak, jak go podaje autor) jest i musi być podstawą każdej biografii poety; zapewniać osobno, że się z tego dzieła czerpało, jest tak niepotrzebnem, jak gdyby ktoś piszący o *Iliadzie* np. zaręczał, że czytał to epos. Podstawa ta jednak nie zawsze jest zupełnie wiarogodną i jeżeli autor zapowiada, że rzecz jego „obejmuje niejednen szczegół, zaczerpnięty z innych źródeł“, to powinien był tembardziej dodać, że tych „źródeł“ używać będzie nietylko do uzupełnienia, ale i do kontrolowania autobiografii Goethego. W związku ze sprawą wiarogodności jej zostaje i sam tytuł dzieła. P. Jenike przytaczając odpowiednie miejsce w *Rocznikach* (r. 1811, Goethe XXVII 197 według powszechnie znanego wydania Hempla) przekracza prawa tłumacza, z zamiarem lub z niedbałości zmieniając słowa poety. Goethe mówi, że autobiografię traktował *mit sorgfältiger Treue*, co według p. Jenikego znaczy w polskim języku: „z najtroskliwszą wiernością“,

a ustęp ten przytacza autor aż dwa razy, podkreślając to mylnie przytoczone zdanie. Ale i po za tem autor niezupełnie zdaje sobie sprawę z genezy tytułu. Dodatek *Dichtung* usprawiedliwiają według niego pewne „drobne pomyłki lub szczegóły ornamentacyjne, dodane bezwiednie prawie.“ Tłómaczenie to błędne. Goethe pisząc *Dichtung und Wahrheit* nie działał bynajmniej „bezwiednie prawie“, przeciwnie, był i wtedy artystą, tworzącym z zupełną samowiedzą. Jego autobiografia miała być dziełem sztuki skończonem w sobie, psychologicznie zrozumiałem, miała być historią rozwoju danego człowieka, w której wszystko łączy się wzajem, bez nagłych przejść i bez luk. Jak według Arystotelesa poeta jest bardziej filozoficzną niż historia, choć ta ostatnia jest niewątpliwie prawdziwsza, tak i autobiografia Goethego miała być więcej psychologiczną, bardziej filozoficzną niejako od rzeczywistej jego historii życia. Dla tej zasady poeta nieraz zmienia porządek pewnych faktów, wrażeń czy uczuć, sprzęga razem chwile w rzeczywistości oddzielone od siebie, wypełnia opowiadaniem luki. Parę na to przykładów. Jeżeli Goethe mówiąc o bajkach opowiadanych dzieciom przez matkę przytacza w *Dichtung und Wahrheit* jedną z nich (*Der neue Paris*), to nie wynika z tego bynajmniej, aby właśnie tę bajkę matka im opowiadała i to w tych właśnie słowach, ani też nie wolno sądzić, że jest to „szczegół ornamentacyjny, dodany bezwiednie prawie“, lecz tłómaczy się to inaczej. Poeta mówiąc o tej *Lust zum Fabulieren*, jaką po matce odziedziczył, czuł się jako artysta, z zupełną samowiedzą spowodowanym, podać tu próbę tych bajek, aby w opowiadaniu nie nastąpiła luka. Albo też: jeżeli Goethe po sławnem trzęsieniu ziemi w Lizbonie r. 1755, które w literaturze zaznaczyło się pamiętnym sporem Voltaire'a i Diderota, mówi o wrażeniu i refleksyach, jakie ta katastrofa wywołała w umyśle kilkoletniego chłopca, to nie można tego uważać ani za prawdziwy fakt, ani za „drobną pomyłkę“, ani za „bezwiednie dodany szczegół ornamentacyjny“, lecz należy sobie w powyżej podany sposób tłómaczyć, a podobnie ma się rzecz i z licznymi ustępami, zajmującymi się współczesnym stanem literatury niemieckiej.

Przechodząc do właściwego opowiadania p. Jenikego, zaznaczyć potrzeba, że autor wbrew przyrzeczeniu niemal wyłącznie tylko streszcza autobiografię Goethego. Naturalnie już z tego powodu praca jego pozbawia się dobrowolnie wyższej, naukowej wartości i może jedynie mieć prawo do nazwy popularnego życiorysu, jeżeli się oczywiście okaże, że streszczenie jest dokładne i wierne. Oczywiście w krytyce nie będziemy postępować krok w krok za autorem; z recenzji zrobiłaby się monografia o młodym Goethem, a tę znajdzie czytelnik — nie u p. Jenike, lecz — u wielu Niemców, z których tutaj przytaczamy tylko z najnowszych dzieł: R. M. Meyera w znanym zbiorze *Geisteshelden*,

obok 3-tomowej książki Bernaysa i Hirzla: *Der junge Goethe*, w której mieści się wszystko, co poeta w ogóle napisał w latach 1764 do 1776. Ograniczymy się jedynie na wskazaniu tych miejsc, w których autor bądź wprost pokłócił się z prawdą historyczną, bądź też popełnił pewne grzechy zaniedbania, o zaletach bowiem — po za stylistycznymi — nie może być ani mowy w książce, która jest w pierwszej części jedynie prostym tłómaczeniem lub streszczeniem.

Myli się autor, gdy w paru słowach malując stan piśmienictwa niemieckiego w r. 1749 w chwili narodzin poety mówi, że „Klopstock poświęcił był właśnie w świat pierwsze pięć pieśni swej *Messyady*; w r. 1748 ukazały się w *Bremer Beiträge* jedynie trzy pierwsze, następne zaś dwie (razem pięć) ogłoszone zostały dopiero w r. 1751. W przedstawieniu otoczenia, wśród którego wzrastał mały chłopiec, pomija autor niemal zupełnie matkę, której wpływ na umysł poety był przecież tak doniosłym. Zostawiamy na uboczu dalsze karty, wytykając tylko mylnie dane pannie Schönkopf, którą Goethe w Lipsku pokochał, imię Anny (zamiast Katarzyny), a przechodzimy do czasów strassburskich i do stosunku z Herderem („Bogumirem“ jak autor tłómaczy imię *Gottfried*). Ustęp ten zadziwia powierzchownością; dość powiedzieć, że p. Jenike nic nie wie o genialnem zwróceniu się Herdera do poezji ludowej, które właśnie za pośrednictwem tego ostatniego udzieliło się Goethemu. Wolno nie wiedzieć o tem, ale kto chce pisać o Goethem, u tego podobny brak jest dziwnym. Podobnie niedostatecznym jest ustęp, poświęcony *Wertherowi*. Przedewszystkiem fałszywym jest zdanie, „że niezwiązany niczem Goethe, wobec Lotty Buff, panny już zajętej, czuje się zupełnie swobodnym“. Prawda, tak przedstawia to sam Goethe, ale „czerpiąc z innych źródeł“ autor dowiedziałby się, że tak nie było. Zaręczyny Lotty i Kestnera wówczas trzymane były jeszcze w sekrecie i Goethe o nich nie wiedział. W ogóle autor albo nie wie albo zamilcza, że „we wrażliwym sercu poety“ zbudziło się nietylko „coś bardzo podobnego do miłości, opartej jednak na głębokim szacunku“, lecz że serce to zapaliło się wtedy gwałtownie, o czem łatwo można się przekonać ze współczesnych listów Goethego. Najślabszą ze wszystkiego jest jednak charakterystyka *Werthera*. Od autora nie żąda nikt literackiego studyum, wolno mu było zaznaczyć, że w tym a w tym roku wyszły w druku *Cierpienia*, ale jeżeli już pokusił się o literacką charakterystykę romansu, to ma się prawo wymagać, by ta coś mówiła i mówiła mądrze; oryginalności się nie oczekuje, niech tylko autor „czerpiąc z innych źródeł“ przepisze ztamtąd, jeżeli go na samodzielny sąd nie stać; wszak publiczność polska ma taki wstręt do niemieckich książek, że pożyczki może by się nawet nie domyśliła. „Werter to utwór (zdaje się, że Werter to człowiek, a dopiero *Werther*

lub wreszcie *Werter* to utwór) nawskroś współczesny, wywołany panującą wtedy wśród społeczeństwa niemieckiego manią samobójstwa“, itd. cały ustęp tylko o samobójstwie. Przedewszystkiem krótko mówiąc jest-to fałsz; *Werther* nie został wywołany manią samobójstwa, ale ją wywołał; następnie zaś dziwnem jest, jak ktoś piszący o literaturze niemieckiej, o *Wertherze* nie umie nic powiedzieć ponad to, „że utwór to współczesny, wywołany manią samobójstwa“; przecież śmierć *Werthera*, to tylko kres jego „cierpień“, nieskończenie ważniejszych, nieskończenie „współczesniejszych“, nieskończenie charakterystyczniejszych, przecież jeżeli całe pokolenia czytają *Werthera*, to nie dla tego samobójstwa, ale dla poznania w ten chorobliwy ale poetyczny nastrój, który się wertheryzmem, „weltschmerzem“ zwie. A niech nikt nie dziwi się tym słowom krytyka. Wyobraźmy sobie, że Niemiec po polsku umiejący przeczyta książkę p. Jenikego a w niej i ten ustęp, potem zaś zajrzy do naszych pism (np. do *Przeгляdu Literackiego*) i zobaczy w nich bardzo pochlebne oceny, wtedy jaki on powźmie sąd o naszej znajomości niemieckiej literatury i o naszej gruntowności?

Ślady powierzchownej znajomości przedmiotu widoczne są i w dalszym ciągu rozprawy. Ani jednym słowem nie wspomina autor licznych fars dramatycznych, pełnych satyrycznej zjadliwości i młodzieńczego humoru, które tak świetnie charakteryzują ówczesny nastrój poety, a tylko pośrednio domyślać się możemy jednej z nich. Również niejasnym jest ustęp omawiający udział Goethego w *Frankfurter Gelehrte Anzeigen*. P. Jenike mówi tylko, „że Schlosser skłaniał go do pisywania w nich recenzyj,“ a potem że Goethe nie czując w sobie zdolności krytycznych „postanowił usunąć się od współpracownictwa w nich“; czytelnik z tego stanowczo nie domyśli się, że Goethe w tem czasopiśmie w latach 1772 i 1773 pomieścił kilkadziesiąt artykułów, których nie pominie nikt, dążący do głębszej znajomości rozwoju poety. Rzecz urywa się z r. 1775, z chwilą przeniesienia się Goethego do Weimaru.

Pierwszej części książki p. Jenikego nieuprzedzony krytyk odmówić tedy musi istotnej wartości samodzielnej. Zakreślając sobie z góry skromne zadanie nie wypełnia go, i nie będąc ani naukową ani popularną biografią Goethego, nie jest nawet dobrem streszczeniem *Dichtung und Wahrheit*. Jeżeli mimo-to zajmuje czytelnika, to nie jest-to zasługą autora, lecz działa tu odbłask znakomitego dzieła Goethe'go, które nawet w przeróbce jaśnieje częścią swych zalet. Niedoskonała pod względem treści, stylistycznie przeróbka jest wcale udatną, a tylko razić musi zwrot „rodzina *Goethych*“.

Druga część książki obejmuje *Nieprzełożone dotąd poezye ulotne Goethego*. Nie zawadzi przy tej sposobności rozpatrzyć

nam sprawę przekładów polskich z niemieckiej literatury. Przewszystkiem zrozumie każdy, że język niemiecki zajmuje wśród obcych nam wyjątkowe położenie. Jeżeli nie wielu jest takich, którzy mogą czytać w oryginale np. Calderona, jeżeli nawet liczba tych, którym przystępny jest Dante a choćby i Szekspir w oryginale nie jest zbyt znaczną wśród polskiego społeczeństwa, to natomiast językiem francuskim a bardziej jeszcze niemieckim władają prawie wszyscy wykształceni Polacy. Złożyły się na to głównie warunki polityczne w dwóch dzielnicach, ale nawet i w Królestwie, w obec tego, że wielka część młodzieży kształci się w niemieckich szkołach wyższych, znajomość więc języka niemieckiego staje się coraz większą i coraz szersze obejmuje kręgi. Wynika z tego naprzód mniejsza stosunkowo potrzeba przekładów z niemieckiego, niż np. z hiszpańskiego lub angielskiego, powtóre zaś większa możność u każdego zapoznania się z literaturą niemiecką wprost, bez pośrednictwa *traduttore*, który według popularnego przysłowia włoskiego nieraz jest *traditore*. Z tych powodów wyznajemy szczerze, że przekładu paru ulotnych poezyj, choćby nawet Goethego, za zasługę bardzo wielką nie poczytujemy, a wszystkich mających chęć i zdolność tłumaczenia z niemieckiego pragnęlibyśmy skierować w inną stronę, gdzie czeka ich większy trud, ale też i większa zasługa. W jednej dziedzinie literatury niemieckiej potrzeba nam gwałtownie przekładów, naturalnie dobrych. Dopóki każde przedstawienie Schillera na polskiej scenie będzie policzkiem danym wielkiemu poecie, dopóki tłumaczenia dramatów jego będą tak słabe jak obecne, bez wyjątku prawie, dopóty przekład paru wierszyków lub kilkudziesięciu dystychów będzie marnowaniem sił, będzie raczej zabawką niż pracą. Na stu ludzi, chcących czytać Goethego *Ueber allen Gipfeln ist Ruh'*, dziewięćdziesięciu może czytać to w oryginale, ale kto chce Schillera, Goethego i innych widzieć na polskiej scenie, ten musi słuchać okropnych przekładów.

Odnosnie do książki p. Jenikego z ubolewaniem zaznaczyć się musi naprzód wielki nieład w uporządkowaniu poszczególnych ulotnych wierszy. Tłumacz nie wiadomo z jakiej przyczyny nie trzyma się podziału ustanowionego przez samego poetę, ani też nie można się w tym chaosie dopatrzeć żadnej innej rozumnej myśli. Wiersze, np. epigrammaty i dystychy, we wszystkich wydaniach niemieckich zamieszczone obok siebie, tu są rozdzielone zupełnie odrębnymi poezyjami (dział: *Epigrammaty, parabole, satyry, Ksenie* na str. 132 i drugi: *Przysłowia, przypowieści i aforyzmy* na str. 197). Kto pragnie porównać przekład z oryginałem — a przecież jest to dozwolonem — ten dużo zmarnuje czasu na wyszukanie danego wiersza, tem więcej, że p. Jenike znowu niewiadomo z jakiego powodu niekiedy zmienia samowolnie tytuł wiersza (np. na str. 133 *Ocena*, w oryginale *Gesellschaft*).

Jak tłumaczy p. Jenike? „W przepolszczeniu tych poezyj starałem się uwydatnić główniejsze ich cechy i charakter, nie krepując się zbytcechnie ani dosłownością, ani ścisłem zachowaniem formy oryginału. Sądzę, że małych pod tym względem dowolności, wpływających niewątpliwie na większą swobodę przekładu, krytyka za przewinienie poczytać mi nie zechce“, powiada tłumacz w *Słowie wstępnem*. Zupełnie wierny, zewnętrznie i wewnętrznie wierny przekład jest zawsze ideałem dla tłumacza, ponieważ jednak według znanego określenia zmarłego już dziś polityka ideałem jest to, co się osiągnąć nie da, więc z konieczności rezygnujemy z wiernych zupełnie przekładów, a godzimy się od biedy na wierne wewnętrznie z „małemi dowolnościami“ zewnętrznymi. Czy pan Jenike dotrzymuje przyrzeczenia? Przekład jego płynny i sam przez się zgrabny, jest tylko w bardzo nielicznych razach tak bliskim oryginału, jak to jest jego obowiązkem, daleko liczniejsze zaś są wypadki, w których tłumacz dopuszcza się „dowolności“ bynajmniej nie „małych“, co mu krytyka stanowczo za przewinienie „poczytać“ musi. Np. wiersz *Deutscher Parnass* (u p. Jenikego, str. 124, w oryginale *ed. Hempel, I. 101*), przy którym sam tłumacz uznał za stosowne dopisać słowa „Przekład swobodny“; obok zmian w tekście, których znaczenie jest widocznem dla każdego, kto zestawi przekład z oryginałem (np. zgraja próżniacza — *ein verwegenes Geschlecht* lub cały ustęp na str. 128 w. 7 i n.) p. Jenike wyrzuca całe strofy, uważając to za „małą dowolność“. Jeszcze wymowniejszym jest przekład wiersza *Die Weisen und die Leute* (Jenike p. 194, Goethe II. 238): dziesięć wierszy początkowych w przekładzie zupełnie zginęło bez wszelkiego śladu; potem jest jeden przełożony, znowu cztery wymazane doszczętnie, następnie trzy wiersze przełożone, 48 (!) pominiętych, cztery przełożone, cały koniec (kilkanaście wierszy) wyrzucony — i to nazywa się „małą dowolnością“!

Obok tego jest mnóstwo miejsc fałszywie oddanych, bądźto przez niedbałość, bądź też wskutek niezrozumienia tekstu. Przytaczając parę tylko na próbę przykładów, idziemy porządkiem omawianej książki: *Zuneigung* (str. 119 — I. 8), zresztą dość udanie przełożone, ale na str. 124 wiersz: „A nawet gdy opłaczą nas anieli“ nic nie mówiący, w oryginale zaś *wenn Enkel um uns trauern*, t. j. w przyszłości, po naszej śmierci, omyłka powstała zapewne z podobieństwa wyrazu *Enkel* do *Engel* (!). *Frisches Ei*, *gutes Ei* (str. 133 — II. 262) opuszczony cały końcowy dwuwiersz, wyborny w treści (*Begeisterung ist keine Häringswaare, / Die man einpökelt auf einige Jahre*). Str. 136 — II. 332 „człowiek chwiejny w czynie“, *ein zärtlich' Gemüth*; str. 137, II. 339 zmieniony zupełnie sens: „A gdy je (twarde kaski, jakie nam świat podaje) połkniesz, trzeba je i strawić“ — *wir müssen erwürgen oder sie verdauen*. Podobnie str. 139 — II. 385

epigram na lichego poetę: „Ach! i on z martwych powstanie, niestety“ — *Wenn er nur niemals aufersteht!* Sonet na str. 140 — II. 249: „W poezyi się ścieśnionym obracać obszarze“ — *Sich in erneutem Kunstgebrauch zu üben*; zaś na str. 141 — III. 105: „Gdy pilnie z niej (ze sztuki) nieczyste usuniemy męty“, czego w oryginale wcale nie ma, a zamiast tego jest myśl: *Und wenn wir erst in abgemess'nen Stunden / Mit Geist und Fleiss uns an die Kunst gebunden*; sławny wiersz: *In der Beschränkung zeigt sich erst der Meister*, chyba i nadal przytaczać będzie się w niemieckim brzmieniu, bo p. Jenike (str. 142) tłómaczy go niezgrabnie: „A nawet w cieśni mistrza poznajemy ruchy“. Niemieckiemu: *Denn Sorgen und Kummer verändern es nicht* (III. 97) nie odpowiada bynajmniej polskie: „Porywczosć nie ziści twych śmiałych nadziei“ (str. 176), tak jak parę wierszy niżej w ustępie z *West-östlicher Divan* (str. 176 — IV. 99) zupełnie niepotrzebnie tłómacz zamiast kontrastu „mądrych“ i „głupich“ przeciwstawia „wielkim“ — „małych“. W pieśni *Sulejki* (str. 179 — IV. 155) w ostatniej zwrotce zmiana pozornie mała, w rzeczywistości jednak sens zupełnie inny: według p. Jenikego wietrzyk wschodni przynosi kochance „nową miłość, nowe życie“, w oryginale natomiast tylko *Liebeshauch, erfrishtes Leben*, a więc budzi dawne uczucia; strofa 5-ta oryginalu z niedocieczonych przyczyn w przekładzie jest całkiem pominięta. W wierszu *Poeta mówi* (str. 180 — IV. 168) ustęp: *Auf bunten, hellen oder silbergrauen / Gefilden, Tag und Nacht erglänzen Lichter*, brzmi w tłómaczeniu odmiennie: „Gdzie nikle, silne albo różnowzore, | Na łańcach ducha wieczne światło gore“; naprzód zmiana przymiotników i przyłączenie ich do pojęcia światła a nie do pól, a powtóre, co znaczy „różnowzore światło?“ W następnym zaraz wierszu znowu tłómacz opuścił jedną strofę (str. 180 — IV. 169), tak jak w wierszu *Młodość* (str. 181 — IV. 173) na sześć wierszy p. Jenike tylko dwa pierwsze uznał za godne tłómaczenia. *Nawrócenie* (str. 182 — IV. 203, pod innym tytułem: *Vorschmack*) wykazuje również parę znacznych błędów z kategorii owych „małych dowolności“: wiersz 6: (Prorok) „Tam w górze wie dobrze o naszym dążeniu“ bynajmniej nie zgadza się z oryginalnym tekstem: *Weiss unsre Mängel droben auszuwittern*; taksamo w trzeciej zwrotce nie ma wcale mowy o jakiejś „zdradliwości“, jak chce p. Jenike. Pomijamy drobniejsze uchybienia w *Adler und Taube* (str. 184 — I. 160), a przechodzimy do następnego utworu: *Autoren* (str. 186 II. 279) z dodatkiem u tłómacza „Przekład swobodny“; poco p. Jenike zamiast całej sytuacji, jaka jest w oryginale, przerabia rzecz na monolog, pozbawiając ją przez to plastyki, trudno zrozumieć. Wiersz *Rezensent* (str. 187 — II. 280) z mylnie podanym rokiem druku 1776 zamiast 1775, byłby dość dobrze przełożonym, gdyby nie wymuszony a oryginałowi nie odpowia-

dający zwrot: „Sąsiadom mym bakę już świeci | I same w nich widzi zalety“. Śliczny wierszyk *Die Freuden* (str. 188 — II. 279) o fruwających nad źródłem zwinnych libellach, zawiera u Goethego piękne porównanie różnobarwnoskrzydłych owadów do kameleona; p. Jenike cały urok tego wiersza niweczy, nie przeprowadzając jednolicie tego porównania i najniepotrzebniej w świecie przerywając je własnego autoramentu alluzją do wiosennego kwiatu („Jedna w kształt kameleona, | Raz niebieska, znów czerwona, | Jak wiosenny kwiat — a u Goethego: *Wie der Chamäleon, | Bald roth, bald blau, | Bald blau, bald grün*); przedostatnie wiersze są u tłumacza parafrazowane, ale nie przełożone. Podobnie dzieje się z utworem *Dilettant und Kritiker* (str. 189 — II. 280); u poety widzi się „oczyma duszy“, jak chytry lis oskubuje gołąbkę (*Da war's nacht — Missgeburt — und in Fetzen! | Dem Knaben das Herze bricht*), u tłumacza nie ma tego ani śladu, wiersze zawierające mały dramat są zupełnie pominięte, aby zaś napozór poemat był tak długi, jak w oryginalu, p. Jenike gadatliwie z dwóch poprzednich wierszy robi cztery. Następny zaraz wiersz: *Amor als Landschaftsmaler* (str. 190 — II. 186, drukowany nie w r. 1788 jak podaje autor, ale r. 1789), dostarcza nowego dowodu, jak w tłumaczeniu niezrównana plastyka poezji Goethego zaciera się i słabnie; gdy Amor różowym paluszkiem maluje postać dziewczęcia *wohlgebildet, zierlich angekleidet*, to p. Jenike obu tych określeń nie uznaje za stosowne przełożyć. W wierszu *Godło*, w oryginalu zatytułowanym: *An ein goldnes Herz, das er am Halse trug* (str. 195 — I. 62) tłumacz nadał słowom poety odmienne znaczenie; „Bo serce Lili, ach! w najdalsze czasy | Rozstać się z mojem nie może“, jest u p. Jenike, z czego wynikałoby, że poeta kocha jeszcze, tymczasem Goethe mówi: *Ach! Lili's Herz konnte so bald nicht | Von meinem Herzen fallen* — a więc tam czas terażniejszy, tu przeszłość minioną już; dużo to mówiąca zmiana, a bynajmniej nie „mała dowolność“. Dobitniej zaś jeszcze samowolę tłumacza (*sit venia verbo*) ilustruje parafraza następnego wiersza, który w tę kategorię dostał się „jak Piłat w Credo“ (str. 196 — III. 158 w *Chinesisch-deutsche Jahres- und Tageszeiten*); p. Jenike mówi: „Lecz kiedy poczną gulgotać indyki, | Darmo się wzdyka czupurne to licho“, co ma niby być przekładem słów Goethego: *Mit ind'schen Gänsen ist's nicht gleicherlei; | Sie zu erdulden, ist unmöglich*. Drobnych *Ksenij* i przysłów nie uwzględniamy, bo niniejsza recenzja i tak już zbyt obfituje w szczegóły. Przekład *Prometeusza* (str. 213 — VIII. 285) jest stosunkowo poprawnym, z wyjątkiem bardzo nieszczęśliwego wyrażenia „luba wargo“ (niemieckie *liebe Lippe* jest powszechnie używanem, dosłownie na polskie przełożone staje się niemożliwym).

Pod względem formy tłumaczenie odznacza się ogromną samowolą, niema niemal ani jednego wiersza, w którymby

p. Jenike zachował rytm i rym oryginału; dowodów przytaczać tu niepodobna, bo imię ich legion, a wszystkie są jednakowo jaskrawe. Z całego zbioru jeden, literalnie jeden tylko utwór dłuższy, odpowiada w przekładzie p. Jenikego w zupełności oryginałowi; wiersz: *Neue Liebe, neues Leben* (str. 164 — I. 45) zachował i swój tok myśli i swą formę i piękność, oraz uczucie, jakimi błyszczy w oryginale. Szkoda, że ten doskonały przekład jest niestety w całym tomiku jedynym!

Jeżeli pierwszej części książki p. Jenike'go surowa ale sprawiedliwa i sumienna krytyka odmówić musi większej wartości, to sąd o drugiej, obejmującej tłumaczenia ulotnych wierszy Goethego, wypadnie jeszcze niepoehlebniej. Powyżej przytoczyliśmy część błędów najbardziej rażących, jakie ten przekład szpecą, powtarzamy: część tylko, bo wyliczenie wszystkich zabrałoby zbyt dużo miejsca, a zresztą *Przegląd* nie jest pismem poświęconem wyłącznie germanistyce. Dowody te przekonały też może czytelnika, chociaż oczywiście podając je sprawozdawca musiał ograniczyć się na cytowaniu tylko inkryminowanych ustępów, wyrwanych często z większych całości. Kto zada sobie ten trud, aby choć kilka przekładów p. Jenikego porównać z oryginałem Goethego, ten ani na chwilę nie będzie wątpić o słuszności niniejszej oceny, mimo to, że książka p. Jenikego zyskała pochwały wielkie, nawet w pismach „literackich“, gdzie jednak recenzent zapewne zapomniał wziąć do ręki niemieckiego wydania dzieł poety. Książkę p. Jenikego w jej drugiej części czyta się gładko, nawet z przyjemnością, ale jako przekład, zestawiona z oryginałem, ma ona wartość bardzo nieznaczną.

J. Flach.

— X. Karol Niedziałkowski: *Miraże mądrości*. (Petersburg, 1897, str. 313). — Pod tym tytułem wydał X. K. Niedziałkowski, od niedawna biskup-sufragan mohylewski, znany już i ceniony autor kilka rozpraw i pogadanek, które naprzód wymieniamy w tym samym porządku, w jakim po sobie następują: *Wolność myśli i wolność czytania*, *Wrażenia niewierzącego w mieście świętem*, *Nieco o dyable*, *Gawęda o jednym numerze Tygodnika Ilustrowanego*, *Słóbko o bogactwie i ubóstwie*, *Kilka dni jasnych*. Rozprawki te nie są połączone treścią, jak już same wskazują tytuły (ostatnia opisuje wycieczkę autora do Gmunden, Salzburga i na górę Gaisberg), ale do jednego zdążają celu: do rozprószenia zgubnych złudzeń, które wywołuje nadęta a fałszywa „mądrość“, panosząca się dzisiaj w literaturze, a lekceważąca naukę Kościoła. Te same pierwszorzędne zalety, któremi odznaczają się rozprawy autora, wydane pod tyt. *O chrześcijańskiej zasadzie* (por. *Przegląd Polski* z r. 1895, listopad, str. 386—390), znajdujemy i tutaj, X. Niedziałkowski umie wypowiadać myśli bardzo głębokie i pouczające w sposób lekki, wytworny, zajmujący, nie gardząc też tu

i owdzie bronią dowcipu, albo i sarkazmu. Widząc, że dzieła obszerne i gruntowne z zakresu apologetyki i filozofii chrześcijańskiej nie rozchodzą się w szerszych kołach i przestraszają ogromem pracy umysłowej, której wymaga ich zrozumienie, woli on pisać w obronie wiary gawędy, recenzje, artykuły treści polemicznej, albo luźne rozprawy o tem lub owem zagadnieniu. Tytuł *Miraże* tłumaczy nam przedmowa (str. 3): „Wiadomo, że wiek nasz wypowiedział wojnę religii w imię nauki i mądrości — każdy przeciwnik wiary polyskuje przed oczyma słuchacza lub czytelnika obrazami błyszczącymi od kamieni, pereł i złota najczystszej mądrości, jak *miraże pustyni* ludzą spragnionego wędrowca chłodnym cieniem palmowych gajów i źródłami wody żywej. Niestety, gdy strudzony przyjdzie na miejsce, gdzie spodziewał się znaleźć odpoczynek i życie, znajduje piasek, pustynię i śmierć. Taksamo dzieje się z wrogą wierze mądrością; kto się jej zbliżka a dokładnie przypatrzy, zobaczy, że to był tylko — miraż mądrości“.

W pierwszej rozprawie tłumaczy autor jasno i wymownie, dlaczego Kościół zakazuje czytania książek wierze przeciwnych. Określiwszy pojęcie „wolności“, która nie znosi wcale zależności, tylko wyłącza przymus zewnętrzny lub wewnętrzny i wykazawszy, że „zupełna swoboda należy się tylko temu, co jest prawdziwe i dobre, a temu, co wskutek niedoskonałości natury ludzkiej jest albo wydaje się wątpliwem, należy się tolerancya, to zaś, co świadomie i publicznie jest złem i fałszywem, powinno być zapomocą wszelkich godziwych środków zabronione, usuwane, poskramiane“ (str. 16) — dowodzi, że Kościół nigdy nie chciał myśli ludzkiej gnębić i że jego dogmaty tj. prawdy przez Boga objawione, nie kępują, nie poniżają bynajmniej rozumu, ale raczej „podniosły człowieka i myśl jego do wyżyn, nigdy mu i nigdzie przedtem nieznanych; były one jakby ręką z góry wyciągniętą, która człowieka podniosła w sfery mu z natury jego niedostępne i tam myśl jego wystawiła pomniki świetne, szczytne a niedostępnie zupełnie dla tych, co pozostali na dole“ (str. 23). W dalszym ciągu charakteryzuje autor nędzotę i nieudolność t. zw. „myśli wolnej“, która nie przeszła dobrej szkoły logicznej — do najbardziej zaniedbanych umiejętności należy niestety w szkole nowożytnej *logika* — więc trudniejszych zagadnień nie potrafi zrozumieć, nie wznosi się ku temu, co Boskie i wiecznie prawdziwe, ale pełza po ziemi i takie widzi świata koło, jakie „tępemi zakreśla oczy“, wkońcu zaś ustępuje zupełnie u bardzo wielu artystów, poetów, uczonych „wolnej namiętności“ i żądzy używania. „Myśl ludzka powinna być wolną, ale nie może bez wielkiej szkody wyzwolić się z praw, którym ulegać powinna“ (str. 31); trzeba ją koniecznie prawidłowo *kształcić* i wzmacniać, żeby stała się zdolną do rozpoznawania prawdy,

bo inaczej nie potrafi rozwiązać nawet najgrubszych sofizmatów, które wytaczają sceptycy i materyaliści przeciwko religii.

Na drugim miejscu zamieścił autor swoje uwagi nad książką Piotra Loti p. t. *Jerusalem*. Głośny ten, acz młody jeszcze akademik, opisał barwnie swoją wycieczkę do Palestyny i doznane tam wrażenia. Mówi on, że szukał szczerze Chrystusa, ale Go nie mógł znaleźć. No to jednak odpowiada bardzo trafnie X. Niedziałkowski, że Loti szukał Chrystusa „spacerując i marząc“ (str. 135), a nie starał się usunąć tego wszystkiego, co mu w tem przedsięwzięciu stało na przeszkodzie: zarzutów i wątpliwości rozumy i przewrotnych upodobań, które przeciwko wierze podlegają woli; „trzeba było szukać Zbawiciela w duchu, poskromiwszy namiętności, w prawdzie, oświeciwszy umysł prawdą chrześcijańską“ (str. 137). Loti zaś spodziewał się tylko na owych świętych miejscach odtworzyć sobie żywo w wyobraźni postać Jego a przytem doznać wrażeń głęboko wzruszających, Jego zaś religia stała mu się obcą, bo wychowany w protestantyzmie, później uległ tak potężnemu dzisiaj wpływowi sceptycyzmu. Z uwagami, odnoszącemi się do tej książki, połączył autor polemikę z p. Hodim, recenzentem książki: *O chrześcijańskiej zasadzie* (str. 159—168).

Artykuł: *Nieco o dyable* polemizuje z p. B. G., który ogłosił w *Słowie* (r. 1894, Nr. 73) sprawozdanie o studyum p. Matuszewskiego p. t.: *Dyabeł w poezji*. Są tu doskonałe uwagi o ewolucyi i postępie, wykazujące, że pojęcia moralne nie mogły rozwinać się z wrażeń zmysłowych i że to przypuszczenie staje w sprzeczności z historią. Dalej zbija autor twierdzenie pana G., że szatan nie istnieje w rzeczywistości, że jestto tylko personifikacya złego pierwiastku.

Mówiąc o numerze 169 *Tygodnika Ilustrowanego*, ubolewa X. Niedziałkowski całkiem słusznie nad tym smutnym faktem, że ogromna część dziennikarstwa rozsiewa tysiączne fałszywe i niedorzeczności. Zamieszczony tam wiersz pani Hajoty p. t. *Fragment*, spotyka się tu z dowcipną oceną, z której warto jeden ustęp przytoczyć: „Gdybym mógł być słyszany i miał nadzieję być usłuchany, wołałbym na głos cały: O szlachetni, nie wierzący poeci, którzy na „orlich skrzydłach“ waszych aż tam latacie, gdzie, jak p. Konopnicka zapewnia „bezsenna wiekuistość czuwa w ciemnościach nad nędzami świata“ (niechby człowiek zwyczajny coś równie mądrego wymyślił!) i wy, zacne poetki, nieszczęśliwe ofiary „niespokojnego temnienia mrącego już wieku“ — przestańcie brzdąkać w jedną ciągle strunę, której monotonne a fałszywe bzykanie“ ostatecznie już ludziom obrzydło! Składajcie waszą niewiarę na co się wam jedynie podoba, tylko nie na wszechwiedzę, bo my waszą wszechmądrość na wylot już znamy“ (str. 249). Tu zwraca też autor uwagę na nielogiczność, która występuje na jaw w zapewnieniu

niach owych pisarzy, że poznawszy „prawdę“, stracili wiarę, ale nad tem boleją: „Jeżeli wasza nauka jest prawdziwą, to znając prawdę, powinniście być spokojni, zadowoleni i szczęśliwi; jeślibście stracili wiarę, przeciwną nauce i wiedzy, powinniście być podwójnie spokojni, zadowoleni i szczęśliwi, żeście się fałszu pozbyli. Jeżeli jednak pomimo tego jesteście smutni, niespokojni, zrozpaczeni, to widocznie wiedza wasza nie jest prawdą, a wiara chrześcijańska nie jest fałszem; innego rozwiązania tego dylematu niema“ (str. 250 sq.).

Jestto więc książka, z każdego względu zasługująca na polecenie i — przeczytanie.

X. Dr A. P.

— *O cudownym obrazie Najśw. Maryi Panny Berdyczowskiej.* Wiadomość historyczna przez X. Wacława, Kapucyna. (Kraków. Nakładem autora. 1897). — Podobnie jak ów historyk, który niezmierny zasób wiadomości i wiedzy poświęcił wyłącznie poznawaniu i opisywaniu zameczków warownych na kresach, tak i czcigodny O. Wacław w pióro swe przedewszystkiem oddaje na usługę innych warowni, innych fortec, które bodaj silniej od szaniec i wałów i murów obronnych, strzegły i strzegą zniszczonych granic Rzeczypospolitej. Po kolei, za jego pomocą i przewodem, obiegamy miejsca wstawione cudowną opieką N. Panny, rzewną pobożnością ojców naszych. Zdawaliśmy już na tem miejscu sprawę z wiadomości o cudownym obrazie, czczonym w Ostrejbranie, gdzie Królowa Korony Polskiej nosi tytuł Wielkiej Księżnej Litewskiej; następnie znalazł się krótszy opis tegoż pióra wizerunku Najśw. Panny Łaskawej z katedry lwowskiej, dziś zaś otrzymujemy z tychsamych rąk nader ciekawe dzieje Berdyczowskiej świątyni i obrazu. A jak opis Ostrejbramy poświęcony był dawnemu współtowarzyszowi sybirskiego wygnania, O. Rafałowi Kalinowskiemu, przeorowi Karmelitów bosych na Czerny, tak i wiadomość o klasztorze i kościele karmelickim w Berdyczowie ofiarowaną została innemu członkowi tegoż Zgromadzenia, świątobliwemu bratu Albertowi od Nawiedzenia Maryi, który własne życie złożył w ofierze, byle okupić zdrowie i zachowanie swego przełożonego. Nic bardziej rozrzewniającego nad dowody życzliwości i miłości, zamienione pomiędzy odrębnymi zakonami rodzinami. „W domu Ojca mego jest mieszkań wiele“, te słowa Zbawiciela stawają żywo w pamięci na widok bratnich stosunków Kapucynów z Karmelitami, syna św. Franciszka z członkami najstarszego bodaj zgromadzenia, sięgającego tradycją Eliaszowego na górze Karmelu pobytu.

Ileż to pobożnych w kraju naszym fundacyj początek swój bierze w cudownem z jassyru ocaleniu! Dość przypomnieć historię Stefana Potockiego, starosty latyczowskiego, ożenionego z Mohylanką, który jęcząc w niewoli tureckiej, ujrzał przed sobą św. Dominika, naglącego, aby porzucił nowinki kacerskie, a wróciwszy na łono Kościoła, zasłużył sobie na powrót do

kraju i tamże o jego zakonnych synach miał pamięć i pieczę. *Quousque religio Dominicana eousque domus Potockiana*, zaręczył wówczas św. założyciel kaznodziejskiego zakonu, a jeniec udarzony niespodzianym środkiem ucieczki, stał się najzarliwszym katolikiem i mnożył odtąd dominikańskie po kraju osady. I Janusz Tyszkiewicz, jęcząc w kajdanach Islamu około 1626 r., ujrzawszy we śnie nieznanych zakonników, co u Matki Boskiej zebrali jego uwolnienia, ślubował, że dla nich wystawi klasztor warowny, byle mu uprosili powrót bezpieczny. Znalazłszy się szczęśliwie w kraju, zamek swój berdyczowski oddał Karmelitom bosym, w których rozpoznał postacie niegdyś w sennem widzeniu oglądane, w kościele zaś umieścił obraz oddawna w rodzinie Tyszkiewiczów czczony, wierne odbicie Łukaszowego wizerunku Matki Boskiej, znajdującego się w bazylice rzymskiej N. Panny Śnieżnej. Wizerunek ten dziwnie był rozpowszechniony w Polsce, w wielu miejscach cudami wstawiony. Ojciec Wacław wymienia dwadzieścia kilka miejsc cudownych, w których czczone są identyczne kopie rzymskiego pierwowzoru. Obok Janusza Tyszkiewicza, i siostra jego Krystyna przyczyniła się niemało do berdyczowskiej fundacji. Sukcesorowie ich atoli nie umieli uszanować woli fundatorów, a w myśli wyrugowania zakonników, urządzali podstępne napaści na klasztor i warownię karmelitańską. Nadeszły atoli pomyślniejsze czasy, w których berdyczowska pobożności forteca mogła się szczęśliwie rozwijać i wpływać na lud okoliczny, na całe społeczeństwo polskie. Wystarczy wspomnieć, że okrom służby Bożej i ścisłego surowej reguły przestrzegania, Karmelici utrzymywali tu szkołę, w której liczba uczniów do tysiąca dochodziła, dalej posiadali tu oni piękną bibliotekę, założyli papiernię, drukarnię itp. Klasztorne osady były zawsze u nas warowniami wiary i narodowości zarazem, to też Rosya w prześladowaniu zlewając obydwie sprawy, godziła jednocześnie przeciw katolicyzmowi i polskości. Po świetnych obrzędach koronacyjnych, w których dwóch biskupów wyznawców, Sołtyk i Załuski, obraz święty wieńczyli przysłanemi z Rzymu koronami, nastąpiły smutne czasy, rozbiór kraju, zacieśnienie życia katolickiego, coraz cięższy ucisk i niewola. Chwilowej ulgi, przelotnego pozwolenia na otwarcie nowicyatu pośredniczką miała być w połowie naszego stulecia „najznakomitsza ze wszystkich w całej Polsce Polek“, jak autor nazywa panią Dyonizę z Iwanowskich Daryuszową Poniatowską, nie dość dziś zapamiętaną i uczczoną, a niedorównaną w owym czasie niewiastę. Ale nie zdołała ona ocalić klasztoru, gdy się nań usadził generał-gubernator kijowski, Bezak. Nie było jej pono przy życiu, gdy nastąpiło ostateczne zniesienie tej Maryańskiej na kresach warowni. Ostatni przeor, O. Salezy, otrzymywał listy groźne, pełne nienawiści i bluźnierstw, a niejasne i bezimiennie. W przekonaniu co go czeka, w celi swej zawiesił obraz przedstawiający zamordo-

wanie przez Saracenów bł. Anioła, Karmelitę bosego, a postanowił nie ustąpić z klasztoru przed żadną pogroźką. W biały dzień został zamordowany, a kasata klasztoru nastąpiła bezwzględnie.

Ucichł śpiew Karmelitów, zawodzących wspólnie *Pod Twoją obronę!* ucichła służba Boża i gwar zbożny dokoła świętego obrazu, i niewiadomo, kiedy tu dawne odezwą się tętna, dawne zbudzi się życie. Rzewnie swą rzecz kończy O. Wacław, modlitwą: *Parce, Domine, parce populum tuum*, a wobec opustoszałych świątyń i rozwalonych klasztornych murów, wobec zbezczeszczonej schizmą ołtarzy i zniesionych twierdz chrześcijańskiego ducha, raz więcej przypominamy sobie Opatrznościowe zrządzenie, które na zgliszczach i ruinach do ostatka zwykła zostawiać zakon, do jakiego należy autor niniejszej książeczki. Gdy wróg Kościoła wszystkie rozpedzi zakony, ostatni zwykli dotrzymywać placu Kapucyni, zachowując najdłużej powierzone sobie posterunki. O. Wacław spełnia to posłannictwo, bo choć osobiście nie danem mu spieszyć do Ostrejbramy lub Berdyczowa, duchem tam gości, piórem tam zmierza, i składając hołd pobożny cudownym Maryi wizerunkom, świadczy zarazem dla przykładu potomnych o gorącej wierze i miłości naszych przodków do Najśw. Panny. N.

— *Ferdinand Gregorovius und seine Briefe an Gräfin Ersilia Lovatelli*, von Sigmund Müntz. (Berlin, Verlag von Gebrüder Paetel. 1896). — Pruska buta i czelność przejawia się w tej książeczce, dość lichym zlepku notatek i korespondencyj znanego na rzymskim gruncie pracownika. Wydawca, przeceniając talent i zasługę Gregoroviusa, którego błyskotliwe powodzenie zaczyna dziś przygasać, wnosi o zmianę odwiecznej nazwy jednej z głównych ulic Rzymu, *Via Gregoriana*; tę, zdaniem jego, należałoby przekształcić w *Gregorovianę*, dla upamiętnienia znojów niemieckiego historyka, który tu przez lat dwadzieścia kilka przebywał! Chyba nikomu z Polaków nie przyszłoby nigdy na myśl, aby żądać przezwania *Placu Hiszpańskiego* placem Klaczki, dlatego, iż badacz i znawca Odrodzenia tam w części kreślił swe studia nad Syxtyną! Ale szowinizm niemiecki nie zna ni miary, ni granic, gdy chodzi o uczczenie prawego syna Germanii. Wszystkie też komentarze i przypiski p. S. Müntza trzymają się w jednym panegirycznym tonie, z wyjątkiem chyba kartki, na której się znalazło zdanie Rankego o Gregoroviusie. Sędziwy historyk papieży upatrywał w tym ostatnim raczej belletrystę świetnego, nie zaś poważnego dziejopisa. A jeśli chwalił początki *Historji miasta Rzymu*, dodawać zwykł, że Gregorovius nie umiał później opanować bogactwa przerastających jego siły materyałów, że stracił nie

przewodnią trafnego sądu i sztukę dobierania barw znamiennych. Przedewszystkiem stary Ranke żartował sobie z namiętnej żądry młodszego pisarza, aby jakim niespodzianem odkryciem utarte zdania przewrócić i odmienić. W gorączkowym pościgu za nowością, gotów był posunąć się do ostatecznego naciągania prawdy. I tak, podjąwszy się usprawiedliwienia Lukrecyi Borgia od wszelkich zarzutów ciężących na jej pamięci, w zapale swym spróbował ją przedstawić, jako wzór cnoty niewieściej, co chyba okazało się być wierutną przesadą; chęć prostowania utartych historycznych pewników, może się przemienić w rodzaj manii. „W miejsce romansu, sporządziłem historię“, mawiał Gregorovius u wstępu do swej biografii Lukrecyi Borgia, kiedy tymczasem niemieccy uczeni, w lot podejmując to jego zdanie, nie przestają twierdzić, iż bodaj częścią podstawił on romans na miejsce historyi.

Tymczasem większość czytelników, idąc na lep jego belletrystycznych świetnych zdolności, gotowa dotąd zawierzyć Gregoroviusowi, jako historycznej powadze. Należy atoli brać w rachubę jego namiętą do papieży nienawiść i płynące stąd zaślepienie sądu i zdania. Ślad tej zawziętości odnajdujemy i w prywatnej nawet korespondencji historyka Romy średniowiecznej. I tak np. radując się ze zbliżenia pomiędzy niemieckimi cesarzami a monarchą zjednoczonych Włoch, w tem przymierzaniu upatruje przedewszystkiem ostateczną zagładę watykańskiego gadu, „zniszczenie smoka, próbującego na nowo ze swej średniowiecznej wypełznąć pieczary“. Innym znów razem na wiadomość, iż jego dzieła zostały na index włożone, cieszy się tem zrównaniem z Renanem, i wogóle z każdej okoliczności korzysta, by dać wyraz ślepej do papieżstwa nienawiści. Wnosić stąd można, jak podejrzaney wartości musi być świadectwo człowieka, rozświecającego mrok historyi za pomocą własnej tylko namiętności i niechęci do Piotrowego następstwa. Szczęściem, nienawiść nie wysuszyła aż do dna serca, zdolnego kochania. Nie darmo dwadzieścia kilka lat Gregorovius stałe w Rzymie przepędził. Czar Romy padł na jego duszę, rozniecił w niej wyższe iskry zazdrosnego uczucia. A gdy nowocześni Wandalowie targnęli się na odwieczną piękność i całość miasta wiecznego, podniósł on głos żałoby, zaniósł skargę przed forum Europy, upominał się o krzywdę cywilizacyi wszechświata, spróbował ocalić stolicę dusz od grożącej jej zagłady. Ta odezwa, napisana w r. 1886, bodaj trwalszą sławę i wdzięczność potomności zapewni Gregoroviusowi od jego historycznych prac, zatrutych jadem pruskiej przeciw katolicyzmowi nienawiści. W liście tym, wystosowanym do prezesa Akademii św. Łukasza w Rzymie, Gregorovius powoływał się na słowa Belizaryusza, upominającego się u króla Gotów, Totilasa, o zachowanie pomników chwały, i nie ściągania na siebie przekleństwa potomności, bezmyślnem burzeniem śla-

dów dawnej kultury“. „Nie napisałem tego listu w mniemaniu, że mi się uda *salvare Romam*, ale celem *salvare animam meam*. Wolno przecież oplakać znikający niepowrotnie z przed oczu naszych piękny stary Rzym. Zapłakałem też nad zagładą willi Ludovisi, a impresaryów, sposobiących nowe widoki dla nowych też pokoleń, powołałem przed sąd Belizaryusza. I pożegnałem Rzym, i to mi na razie ulżyło“.

Nad historyczne prace Gregoroviusa posiadają osobne znaczenie i urok jego podręczne zapiski i notatki z dłuższych po mieście wiecznym wędrowek i pobytów. Stąd spodziewaliśmy się wiele z niniejszej wiązki korespondencyjnej. Czekał nas atoli zawód zupełny. Przedewszystkiem wrażenia włoskie rwały Gregoroviusa nad poziom własnej germańskiej duszy. Tymczasem niniejsza korespondencyja z hrabiną Lovatelli ożywiała się wtedy dopiero, gdy wracał do Niemiec i słodził sobie oddalenie z Rzymu, pisując do pozostawionych tamże przyjaciół. W rzędzie tych ostatnich przewodnie zajmowała miejsce donna Hersilia Lovatelli. Dla nas imię jej osobne ma znaczenie, przypomnieniem matki, słynnej ze smętnego wdzięku a wielkiego rozumu Kaliksty Rzewuskiej, córki emira Wacława i Rozalii z ks. Lubomirskich. Odziedziczyła po rodzicu niezaspokojone niczem tęsknoty. Gdy on próbował ukolysać własną duszę stepowem wschodniem życiem, ona trawiła się i rychło strawić miała gorączką wewnętrzną, nadmiarem zapałów i myśli. Nieraz szukała ulgi, przelewając na papier uczucia własne! Dziwną powieść, wydaną przez jej krewnego, Henryka Rzewuskiego, p. t. *Laska i przeznaczenie*, ogólnie przypisywano Kalikście. Od najmłodszych lat cień smutnych przeczuć zmroczył był jej duszę. Dziewczynką niemal, opisując raz piękny wiosenny poranek, dodawała nawiasowo: „Jak ten pogodny, czarowny dzień rwie mnie ku dniom szczęścia, które mogły być stać się moim udziałem!“ Nie pisanem jej było ni szczęście, ni życie. Uwiędła przedwcześnie po krótkich ślubach z księciem Sermoneta-Teano, wslawionym w Rzymie znawcą sztuki i miłośnikiem Dantego. Rodzina Gaetanich należy do najprzedniejszych wśród patrycyatu miasta wiecznego. Z nich to wyszedł papież Bonifacy VIII, a roszczyć sobie prawa i do dawniejszego z krwi swojej papieża, który wszelako raczej do miasta Gaety, aniżeli do Gaetanich domu należy. Z drugiego małżeństwa z Polką, stary książe Sermoneta zostawił dwoje dzieci: syna, don Onorato, który odziedziczył po przodkach znamię rodowe, srebrne pasmo włosów nad czołem, a który przez krótkie miesiące kierował niedawno gabinetem rządu włoskiego, oraz córkę Hersilię, zaślubioną hr. Lovatelli i wcześniej owdowiałą. Pani ta rosła w atmosferze rozumnej a wykwintnej. Ojciec jej nietylko się poezją i sztuką zabawiał. Humanista z laski Boskiej, żywy brał on udział w historycznych czy archeologicznych dociekaniach i poszukiwaniach. Przyjaciół i wielbicieli

Mommsena, stary książę Sermoneta nie mógł mu nigdy darować, iż ściągnął Cycerona z wysokości, na której go cześć długich pozostawiła wieków. Donna Hersilia rychło się zaprawiła do archeologicznych znojęw przy boku uczonego i rozumnego ojca. Wnet sama dała się poznać ze ścisłych i sumiennych studyów, trzymając na wodzy fantazyę niewieścią, która jej nigdy nie porywała po za granice dokładnych i sprawdzonych wniosków. Rychło też zaproszono hrabinę Lovatelli do „Akademii Ostrowidzów“ rzymskich, sławnych *Lincci*, zaszczycono ją tytułem honorowego członka niemieckiego Instytutu Archeologicznego, przyślano jej nawet z Halli tytuł doktorski *honoris causa*. Zapalem wniesionym na pola suchych pozornie badań, wskrzeszaniem duszy Rzymu z grobowców przeszłości, sumiennością pracy, zasłużyła sobie donna Hersilia na uczczenie i podziw uczonych wszechświata. Skupiali się oni dokoła starego księcia Sermonety, dziś się dokoła jego córki skupiają, w salonach pałacu Lovatelli, położonego obok kościoła San Angelo in Pescheria. Jakie tam bywają zebrania i wieczory, jakie zabawy i rozmowy, najlepiej określił wykrzyknik Gregoroviusa, który, opuszczając te podwoje, chętnie powtarzał Goethego zaklęcie chwili: „*Verweile doch! Du bist so schön!*“

Hrabina Lovatelli czynny dotąd bierze udział we wszystkich archeologicznych posiedzeniach i poszukiwaniach. Wydała już spory poczet rzymskich essayów, gdzie obok głębokiej nauki ojca, widnieje nieraz tęskna poetyczność matki. Do najznakomitszych z owych rozprawek zaliczyć należy rzecz p. t: *Amor i Psyche*, w niemieckim przekładzie przy końcu niniejszego tomu zamieszczoną.

Z różnych bowiem części składa się niniejsza mozaika, poświęcona pamięci Gregoroviusa. Wstępne słowa wydawcy dają nam lepiej poznać i życie i twórczość miłośnika Rzymu. Acz urodzony w Prusach Zachodnich, a na starość w Monachium osiadły, czuł on się tylko w Rzymie w domu. Przez lat czterdzieści, bez przerwy italskie snuł studia. Sam wyznaje, iż nie zdarzało mu się Wielkanocnych świąt spędzać gdzieindziej, jak w wiecznym mieście. Żyjąc w Monachium, przebywał na przemian w własnej pracowni lub po bibliotekach; ilekroć znalazł się w Rzymie, żył pełnem rzymskiem życiem. Czuł się dużo bliższym italskiego, aniżeli germańskiego plemienia. Powtarzał nieraz, iż w Niemczech zaledwie najpierwsi, kiedy we Włoszech nawet ostatni posiadają wykwintną oglądę. Na południu to stokróć łatwiej aniżeli w krajach północnych przychodzi ocenić prawdę słowa Giordana Bruno, iż niema króla, któryby od żebraka nie pochodził, a nie znajdziesz i żebraka, coby się nie dał od króla wyprowadzić. Rzym nazywał on swoją Mekką, drugą ojczyznę, nad której przekształceniem w ostatnich latach ustawicznie biadał. „Nie odnajduję tam już majestatycznej ciszy z dni

mojej młodości, zewsząd wstrętna wrzawa nowożytnego życia mnie odstrasza“. „Niegdyś był to sarkofag nietknięty, kędy spoczywały szkarłaty przeszłości, zaczem o teże pisać było podobnem, co dziś już niedościgłem stało się zadaniem“. Trzy miasta, zdaniem Gregoroviusa, błyszczą w dziejach uogólnionem dla ludzkości znaczeniem: Ateny, Jerozolima i Rzym. Ukończywszy dłuższe *Rzymu dzieje*, wydawszy kilkotomowe a ponętne zapiski wędrowne po Italii p. t. *Wanderjahre*, zabrał się pod koniec życia do spisywania *Historji Aten*. Wśród greckich studyów zaskoczyła go wojna francusko-niemiecka, która go do żywego bolała. Nie pojmował zatargu pomiędzy dwiema cywilizacyami, rozumiał tylko wspólne dobijanie się wyższej kultury. „Narody cywilizowane nie powinnyby znać innych bojów, jak Maratońskie. Na cóż walczyć z tymi dzielnymi Francuzami, których w żaden sposób nie możemy nienawidzić, a których przeciw nam zbroi samowola despoty i swawola zaślepionych tłumów. Chyba na to walczyćby warto, aby naszą wspólną kulturę od nacisku Scytów uratować!“

Zwycięztwa niemieckie nie były zdolne w nim pruskiego obudzić szowinizmu. „Mars wiarołomnem bywa bóstwem, szalone są narody, które swą wielkość we własnych kładą powodzeniach. Co miecz zdobywa, od miecza też ginie“. Pociąga ku autorowi ta niezależność od prądów chwili. Podobnież przed laty, w polskiej sprawie upatrywał był sprawę cywilizacyi, a niedolę zwyciężonych pieśnią współzucia opiewał. Były więc struny niemieckie w duszy Gregoroviusa, i te to zapewne zjednały mu osobną popularność wśród polskich czytelników. Zapewne, nie we wszystkim można się z nim godzić, nie wszystkie jego poglądy dzielić, nie na wszystkie mianowicie sądy namiętne przyzwalać. Ale spuściznę jego podzielić można na dwoje: to, co natchnione nienawiścią, niema powagi ni prawdy — to zaś, co płynie z miłości ku Romie, zostanie i przetrwa nawet częściowe historyka bankructwo. To też wierne a bezmierne umiłowanie Rzymu, to rzecznictwo podjęte w obronie miasta wiecznego przeciw burzycielom dawnych piękności i pamiątek, ów list *Ueber die Zerstörung Roms*, który zwrócił baczność świata na wandalizmy osłonięte powagą zaborców, głównie imię jego w wdzięcznej pamięci świata zachowa. Nie darmo Gregorovius z dobrze zrozumiałą dumą podpisywać się lubił *civus romanus*; jedyną chorobą, do której się w sędziwych przyznawał latach, była to nostalgia za Rzymem. Tęsknoty swoje słodził zamianą listów z pozostawionymi tam przyjaciółmi, uciszał ją zaś pracą nieustającą do ostatka. Świeżo zgasły angielski poeta, William Morris mawiał chętnie, że człowieka prędzej zardzewienie, aniżeli praca zabija: *it is rust that kills man, not work*. W tej myśli Gregorovius nie folgował pracy, i jej też odgłosy wypełniają do końca korespondencję z hr. Hersilią Lovatelli. Chcąc uczyć

przyjaciela, który się przyczynił niemało do ustawienia pomostu między kulturą niemiecką a włoską, do zawiązania sojuszu ducha narodów obok politycznego przymierza, donna Hersilia pozwoliła na ogłoszenie niniejszych listów, które w gruncie nie bardzo ciekawego nie zawierają, lecz pozwalają ogarnąć owo zbliżenie się dwóch cywilizacyj, germańskiej i łatyńskiej, na pokojowym gruncie międzynarodowych salonów rzymskich, w pałacu Simonetti-Lovatelli, pod berłem uczonej pani domu, w Palazzo Mattei dokoła donny Laury Minghetti, ongi uroczej Lauretty Acton, nareszcie u córki tej ostatniej, pani Bülow, która jako małżonka posła niemieckiego przy Kwirynale, w pałacu Caffarelli gromadzi obecnie artystów i literatów rozbudowanego na siedmiu pagórkach „kosmopolisu“.

N.

— *Rozprawy archeologiczne* hr. Hersilii Gaetani-Lovatelli. (Rzym. Zakłady typograficzne Akademii dei Lincei).— Dziwny przypadek niekiedy uzupełnia jedną książkę innemi, nawiązującemi się w danej chwili z treścią tamtej. Zaledwie mieliśmy czas przejrzeć i ocenić korespondencję Gregoroviusa z hr. Hersilią Lovatelli, aliści traf nieprzewidziany włożył nam w rękę główne jej rozprawy, odczytywane na uczonych zebraniach Akademii rzymskich *Lincei*. Wszystkie starannie i ozdobnie wydane, świadczą o delikatnym zmysle wszechstronnie wykształconej pani, która za przedmiot swych studyów obiera rzeczy, mogące bliżej zająć i zapalić wyobraźnię niewieścią. A więc w pierwszym rzędzie myt *Erosa i Psyche*, głównie na rzymskim gruncie rozwinięty, chociaż owiany helleńskim duchem Platona i jego pojęciem miłości, onego kochania, co budzi w duszy pamięć niezemskiego piękna, uszlachetnia ją i zwraca do niebiańskiej ojczyzny. Na przekór pesymizmowi dni obecnych, ta przedcudna legenda, dająca wyraz nadziei zaziemskiego bytu i, jako taka, nieraz zdobiąca grobowce starożytnych, niesie z sobą przedziwną słodycz i ducha uskrzydlenie. W rozprawie, zatytułowanej *Parvula*, uczona autorka odnajduje ślady dziecięcych u Greków i Rzymian zabawek, wskazuje, iż ludzkość wiecznie jednakich od kolebki szukała rozrywek, że lalki odnaleźć się dają w najgłębszej starożytności, bądź w pisanej spuściznie wieków, bądź w łonie grobów, kędy dawny obyczaj obok utraconego dziecka składał i wszystkie jego zabawki. Ztąd wyłoniły się starorzyskie lalki przy najświeższych archeologicznych poszukiwaniach, przeważnie z drzewa lub kości słoniowej urobione, z rękami i nogami urchomionemi zapomocą drutów. Od lalek do marynetek przeskok niedaleki. Potrąca też donna Hersilia o burattinów i automatów późniejszych czasów, wspomina mianowicie mówiące głowy i posągi, które tylokrotnie w ciągu wieków znachodzić przychodzi. Chyba niektóre z nich przydałyby się nam w Galicyi, żeby tylko wspomnieć ową zaklętą w Tabara głowę, której własnością miało być odczuwanie obecności ukrytego wśród chrześcijańskiego

społeczeństwa żydowina. Z ust kamiennych padał wtedy głos: *Judaeus adest*, powtarzający upornie to ostrzeżenie, dopóki nie wyrzucono z zebrania izraelskiego natręta. Przypomina to podanie o umieszczonym przez Rzymian na górze Garizim spiżowym ptaku, który w danych chwilach powtarzał fatydyczny okrzyk: *Hebraeus!* Ale bodaj nawet zakłęte głosy nie potrafiłyby zbudzić antysemityzmu w galicyjskich, sennych duszach!

Najlepiej może z pośród pism pani Lovatelli spodobała nam się rzecz o różach: *La festa delle rose*. Bez cienia pedantyzmu śledzi tam historię kwiatu, powstałego rzekomo u stóp Wenery z krwi umierającego Adonisa, aby się stać odtąd godłem miłości i śmierci. Wykwintna rozprawa zdumiewa erudycją wyczerpującą cytatami wszystkich klasycznych poetów, co opiewali różę, wymieniając wszystkie starożytne obyczaje z różami związane, a więc i osobne uroczystości, zwane *Rosaria*, *Rosationes* albo *Rosalia*. Wytykając zbytek kwiecica, zaściełającego obecnie groby i trumny ukochanych, surowi za dni naszych pisarze chcą w tem upatrywać czysto pogańską tylko tradycję. Wszelako w pierwszych zaraz wiekach chrześcijaństwa znaczy się stale praktyka zdobienia grobowców swoich świętych, swoich miłych, a przedewszystkiem męczenników wiary, wieńcami z róż i zieleności, równiankami z fiołków i amarantów. Róża bodaj uważaną nawet była za właściwe godło męczeństwa, hodowano ją dla ozdoby Kościołów, cesarz Konstantyn ubezpieczył osobną kwotę, t. zw. *fundus rosarius*, dla cmentarzyska Balbiny przy Via Appia i takowy złożył w ręce papieża Marka. W dniu Zesłania Ducha św., z góry na lnd zebrany w kościele spadał deszcz róż, z kąd nazwa *Pasqua Rosa*, dotąd oznaczająca we Włoszech Zielone Święta. Oczywiście miarkować należy za dni naszych zbyt kowne kwietne daniny pogrzebowe, wszelako nie można zaprzeczyć, iż odkąd świat światem, żal i cześć dla zmarłych zawsze w ten wonny kształt się oblekały.

Pelen poezji urywek, zatytułowany: *Tramonto Romano*, jest poprostu dumaniem o zachodzie słońca w onej cudnej Villa Mattei, niegdys Coelmontana zwanej, kędy Apostoł Rzymu, św. Filip Nereusz, zwykł był rozmawiać z przyjaciółmi *delle cose di Dio*, a z kąd oko obejmuje wszystkie niemal zwaliska dawnej Romy, aż po grób Metelli i spieszące przeczając ku Rzymowi z wodną daniną akwedukty, martwą przecinającą Kampanię. Ogarnąć ztąd zaiste można cały ten nieporównany widnokres, ze wszystkiem „co zostało z dumy“, na świadectwo, że „moc bez miłości podobna do dymu“. Ktokolwiek na tę czarowną wstąpi wyżynę i ztąd na Rzym patrzeć będzie, nie może lepszego znaleźć przewodnika nad donnę Hersilię, która, wskazując szczegółowo wszystkie szczątki i pamiątki, bielejące w chylącym się ku zachodowi słońcu, dostraja jednocześnie dusze do odczuwania

tych wrażeń, rwących w przeszłość — i w nieskończoność razem...

A w wykwintnej kulturze tej pani, najostrzejszy krytyk nie dostrzegłby cienia śmieszności pedantycznej. Z pod sukni Rzymianek nie wygląda nigdy niebieska pończoszka. Znać u hrabiny Lovatelli, że spuścizna klassycznych pisarzy jest dla niej poniekąd dziedzictwem rodowem, że wśród starożytnego świata czuje się jakoby w domu, że jej nie chodzi o olśnienie słuchaczy ni czytelników, ani też o popisanie się wszechstronną erudycją, którą rozporządza spokojnie, jakoby zrostym z całą jej istotą i życiem nabytkiem. Tęto spokój i ta prostota stanowią wdzięk rozpraw hrabiny Lovatelli, podczas gdy głębokość jej nauki tychże powagę zabezpiecza. N.

— *La Turquie et l'Hellénisme contemporain*, par Victor Bérard. (Paris, Felix Alcan, 1893). — To, co w potocznej mowie nazywamy przypadkiem, trafem, okolicznościami, staje się częstokroć w życiu jednostki, a nawet we wszystkich sprawach ludzkich, takim potężnym czynnikiem, że i losy pojedynczych osób i interesa ogólne nieprzewidziane często obierają sobie tory lub sprowadzają rezultaty. Oto, naprzykład i wyż wymieniona książka, mająca prawo do miejsca w pierwszym szeregu dzieł podróźniczych, spoczywała sobie spokojnie na pułkach księgarskich, znana zaledwo małej części poważnych czytelników, i byłaby prawdopodobnie sędziwym okryła się pyłem, gdyby świeżo zaszłe rzezie armeńskie i wypadki kreteńskie, a wreszcie wojna grecko-turecka nie zwróciły oczu całego „cywilizowanego Zachodu“ na „Wschód barbarzyński“. Że zaś światły Zachód nie ma pojęcia o tem, co się za jego progiem dzieje, okazała się nagle potrzeba dowiedzenia się, co to są za stworzenia owi *Valaques, Arméniens e tutti quanti*, którzy pozwalają sobie mięszać spokój poczciwych ludzi, zajętych ważniejszymi zagadnieniami po bulwarach i teatrach czy ich kulisach, niż jakieś lokalne swary, narodowe i religijne na drugim końcu świata. Wszelako „aktualność“ ma swoje prawa, których żaden szanujący się Francuz nie odważy się sponiewierać. Zaczęto więc oglądać się i rozglądać, ażali skąd nie spadnie w tej mierze promień światła. A sprytnym francuskim księgarzom „w to tylko graj“. Wnet też zjawily się za witryną, na widocznym miejscu, tomiki, zatytułowane *La Turquie etc.*, ktoś wspomniał w czasopiśmie pana W. Bérard, i w mgnieniu oka człowiek i książka nabyli rozgłosu. Przez lat cztery gdzieś w kącie na składzie spoczywająca edycja została rozkupioną nagle w kilka tygodni i p. Alcan pospieszył z drugą, panu Bérard zaś stoją otworem drzwi wszystkich drukarni i wszystkich czasopism. Gdyby mu się podobało obecnie sklecić najlichszą bajkę o Turcyi, nie doznałby odmowy w jej przyjęciu w żadnej redakcyi. Takie to rzeczy traf, okoliczności, przypadek mogą wykonać! Ale temu

chyba się nikt nie dziwi; znane są psoty losu. Rzecz daleko dziwniejsza, że psotnik ten przysłużył się człowiekowi i książce, którzy na to zasługują, zwykle bowiem zdarza się przeciwnie; *la fortune rit aux sots* twierdzi przysłowie, ta „mądrość narodów“ na obserwacyi oparta.

Wymieniona książka, to owoc pobytu p. Wiktora Bérard we francuskiej Szkole ateńskiej, oraz podróży jego po Grecyi i większej części ziem, Turcyi podległych. Zagadkowa i groźna kwestya wschodnia musiała się narzucić siłą rzeczy spostrzegawczemu umysłowi zdolnego młodzieńca, a następnie zachęcić go do przyjrzenia się jej bliżej, do badania jej nie tylko zapomocą książek, lecz i żywego słowa. Wybrał się więc w podróż z kolegą, p. Legrand, obecnie profesorem w uniwersytecie lyońskim, i przynosząc się powoli, niby rzemiennym dyszlem, z jednej miejscowości w drugą, z miasta do miasta, z miasteczka do miasteczka, ze wsi do wsi, nie gardząc, jak sam powiada, gawędą ze swym przewodnikiem (*muletier*), słuchając skarg wieśniaka, mędrkowania popa, planów dyplomaty, zbierał, notował wszystko, co słyszał i widział, kombinował z tem, co czytał i czego się nauczył i w końcu do wiadomości publicznej podał to wszystko.

Autor zajmuje się bowiem wszystkim, to jest wszystkimi objawami życia społecznego i publicznego, a mówi o nich pokolei, jak mu one pod oczy i umysł się podsuwają w ciągu podróży; są tam więc obok siebie i zwykłe pogawędki, i spostrzeżenia filozoficzne, i wiadomości etnograficzne, historyczne, geograficzne, i opisy miejsc, i statystyka, i sprawozdania z dążności, pragnień, celów i środków tej swego rodzaju „kollokacyi“ bałkańskiej, w której doprawdy trudno się nieraz zorientować, a zadowolnić wszystkich — niepodobna.

P. Bérard zajął stanowisko bezstronnego widza, choć nie tai swych sympatyj dla Grecyi, ale jej dążenia uważa raczej za szlachetną, wzniosłym patryotyzmem natchnioną ideę, niż za praktyczny program polityczny. Turka chyba nie lubi, zastrzega się jednak przeciw roli oskarżyciela. Lecz fakta mówią same przez się. Autor umie pochwyć wybornie charakterystyczne rysy w powszednich wydarzeniach i opowiedzieć je z pewną łagodną złośliwością, niby dobrodusznie, a przecież z wielką delikatnością, która przywodzi na myśl sławną sól attycką, rzecz zaś w ten sposób przedstawiona, nabiera pewnego artystycznego wykończenia i wraża się w pamięć. Z takich drobnych a znamiennych szczegółów i szczegółików, niby z drobnych kamyczków, tworzy się różnobarwna mozaika, zrazu bawiąca czytelnika, w dalszym zaś ciągu przybierająca coraz wyraźniejsze a liczniejsze rysy, cienie i światła, zamienia się w całokształt dobrze obmyślany i starannie wykonany, chociaż zrazu na szkic lekki zakrawa.

Kilka przytoczonych ustępów z tej dwojakiej kategorii powszednich zdarzeń i doniosłych faktów lub uwag, najlepiej da poznać, w jaki sposób autor rzecz swą prowadzi.

Podróźni przybywają do Durazzo, a widok, jaki na wstępie uderza ich oczy, stanowi odpowiednią ilustrację dla całego kraju i zapowiada w przybliżeniu to, co będzie dalej. Samo miasto — pisze p. Bérard — składa się z budowli bizantyńskich, sklepów włoskich i pozostałości francuskich. Rzekłbyś, że Turcy zaledwo od wczoraj się osiedlili w tej posiadłości weneckiej. W pobliżu meczetu, *mutessarif* (którego autor prefektem tureckim nazywa) wzniosł sobie wspaniały z drzewa i ziemi pałac. Schody i kruzganki owego pałacu roją się interesantami (dosłownie: *solliciteurs*), migocą turbany imamów i chusty, któremi kobiety zasłaniają sobie twarze; żandarmi w łachmanach pilnują porządku, żołnierze na dziedzińcu przyrządzają obiad i gotują kawę, więźniowie wyciągają przez kraty okute dłonie, żebrząc o papierosy, popi swarzą się po grecku, artylerzyści manewrują spiżowem działem, wszyscy zaś są, jak u siebie w domu. *C'est bien ainsi que doit être une préfecture en ce pays de paternelle tyrannie.*

Droga z Durazzo nastrocza autorowi okazyę do skreślenia sposobu, w jaki załatwiają się sprawy administracyjne w Turcyi.

Wiadomo, że Durazzo łączy się z lądem zapomocą wydmy piaszczystej, a wązką znów drogę, przerwana wylewem laguny łączy drewniany most, niedawno zbudowany, lecz już potrzebujący naprawy. Od r. 1867 zapowiadają wspaniały trakt z Durazzo do Monastyru i w przeciągu lat 20 wykonano takowy na trzy kilometry (wyraźnie „trzy kilometry“). W następujący bowiem sposób przeprowadzają się ulepszenia w Turcyi. Zdarza się naprzykład, że cudzoziemiec wielkiego znaczenia, wysoki urzędnik, uskarża się, że droga z Durazzo do Monastyru jest niegodziwa! Dzienniki francuskie i angielskie, pochwycawszy tę wiadomość, ogłaszają *urbi et orbi*, że Turcy są najzacofańszym narodem; Porta, chcąc zaprzeczyć podobnym oskarżeniom, zapowiada na walnem zebraniu, że bity gościniec ma być niezwłocznie otwarty, a wielkorządzący, albański i macedoński, przedstawiają konsulom europejskim, rezydującym w Turcyi, rozporządzenia ministeryalne, wskutek których odpowiednie roboty będą rozpoczęte, a ciężary rozłożone na ludność *według najściślejszej sprawiedliwości*. „I wszyscy są zadowoleni: Europa, Porta. a najbardziej wielkorządzący“.

Albowiem potrzeba wiedzieć, że „koncesya“ na budowę drogi jest najpożądany podarkiem dla przedsiębiorców, a oto w jaki sposób odbywa się ta komedia. Namiestnik (*gouverneur*) zwoławszy ludność obowiązana do tej roboty (*les corvéables*), wyprawia mieszkańców Durazzo w góry, odległe o dwa dni drogi, góralom zaś każe pracować u bram miasta. Jedni i drudzy utyskują nad taką zamianą, lecz namiestnik jest głuchy na

skargi, a żandarmi zmuszają do posłuszeństwa. Po kilku dniach rozpoczynają się pertraktacje: robotnicy wysyłają ze swego grona kilku przedstawicieli, którzy następującym *speech'em* raczą swego ciemieźcę: „Potężny i dobry effendi! Nie możemy pracować tak daleko od naszych domów; jesteśmy zresztą leniwi i głupi, ale ty, będąc moźnym i mądrym, zajmij się sam budową tej drogi; zapłacimy koszta“. Mądry effendi zgadza się łaskawie i bierze pieniądze: z tych część oddaje swym *prefektom*, połowę swemu ministrowi, a resztę zatrzymuje dla siebie. Roboty mają się rozpocząć z przyszłą wiosną — i z przyszłą wiosną powtarza się tażsama manipulacya. W ciągu lat dwudziestu gminy zapłaciły kilka milionów, a rząd zbudował trzy kilometry drogi... „I na co to wszystko?...“ — mówił autorowi jakiś azyatycki prefekcik. „Gdyby ulegano zachciankom Europy, toby życie nam przeszło na budowaniu dróg. Najpierwej bite gościńce; potem gościńce przerabiać na koleje żelazne, koleje żelazne na pociągi elektryczne. Lepiej się wstrzymać, aż zdobędziecie ostatnie cywilizacyjne wynalazki“. A takim trybem przeprowadzają się i inne reformy w Turcyi.

Albo z kolei znowu ciekawe rysy obyczajowe. Podróźni nasi przybyli ze swymi przewodnikami, czy eskortą, do bardzo ludnej gospody. Turek, jadący z nimi, nie chciał nocować w izbie i położył się w stajni obok swego konia, dlatego, że w gospodzie zastał bardzo wielu... stróżów bezpieczeństwa publicznego, jednym słowem *żandarmów*. Lękał się, by mu koń nie zniknął! Innym znów razem własna ich eskorta zaczyna ich podejrzynwać, pisze więc autor: „Skoro się zbliżamy, podczas wypoczynku, rozmowy i konfidencye, jakie ci ludzie prowadzą z sobą, ustają, zmieniają temat; *ils ne parlent plus que de sujets banals: commerce ou brigandage!*“ Niemniej typową jest rozmowa w Macedonii, gdzie nikt im nie chciał odpowiadać na pytania, zadawane po albańsku, po turecku i po grecku. Wreszcie autor zwraca się do jakiegoś kupca, który ze stroju narodowego wydaje mu się Grekiem — lecz ten odpowiada *dans le plus pur grec du monde grec*:

— Nie jesteśmy wcale Grekami i nie mówimy po grecku. Myśmy Bułgarowie.

— Ależ i ja, mój bracie — podchwytuje p. Bérard — nie jestem Grekiem, tylko Francuzem, i przybyłem do Macedonii dla wyuczenia się po bułgarsku, dla dowiedzenia się, co się u was dzieje, jak stoi sprawa beratów.

— Skoro tak, to co innego!

I Greko-Bułgar zaprasza gościnnie podróźnych do swego domu — *dans la cellule qu'il nous offre toutes les vermines terrestres — et familières, hélas! au voyageur chez le grand Turc, ont donné rendez-vous à toutes les vermines aquatiques* — i chwali się, że zna dobrze Francję. Był w Sofii i widział księży francuskich i zakonnice francuskie, te, które pielęgnują chorych i uczą dzieci.

Les Français et les Bulgares, un couple d'amis! — dodaje autor półgłosem. Takie zażyłe stosunki międzynarodowe znoszą etykietę między jednostkami i p. Bérard się pyta, dlaczego Bulgar przywdział strój grecki.

— Nie jestem tutejszym — odpowiada zainteresowany — pochodzę z Saloniki, *et qu'avant d'être Bulgare, du temps ou il ne savait pas encore, il se croyait Hellène.*

Z poglądów autora własnych warto przytoczyć dwa chociaż. Pierwszy z nich tyczy się intryg, prowadzonych w Macedonii: „Rozważając rzecz ze stanowiska historycznego i politycznego, byłaby pora zarzucić myśl przewodnią dyplomacji europejskiej w jej zapatrywaniu się na sprawę wschodnie, że *le Turc est taillable et pillable à merci.* Daliśmy mu miejsce w tem, co nazywamy koncertem europejskim. Podług traktatów, Turek jest panem w swoich ziemiach, równie, jak Anglicy i Francuzi w swoich. Powinniśmy doń stósować przepisy prawa międzynarodowego, jeśli chcemy, aby je nawzajem do nas stósowano. Rewolucyoniści powiedzą, że odwołanie się do wyższej sprawiedliwości jest zawsze na dobre, gdy się okaże wielka sprzeczność między prawem a słusnością; ja też nie przeczę, że wyspa całkowicie grecka, lub prowincya całkowicie bułgarska mogą się dopominać poniekąd (*avec quelque raison*) swej niepodległości. Lecz w Macedonii najoczywistsza sprawiedliwość jednocy się z najściślej- szym prawem: jedynie utrzymanie Turka może zabezpieczyć wielkie zasady narodowości i plemienia, w imię których właśnie chcą go wygnać“.

„Ale idźmy dalej. Przypuśćmy, że prawo międzynarodowe, protokoły, traktaty, teorye i deklamacye sentymentalne są chińszczyzną (wymysłem) dyplomatów, wynalezioną dla mamienia ludów, oraz dla przykrycia płaszczykiem uczciwości brudów politycznych, że umowy można zawierać li z jednostkami jednego gatunku, a narodami jednakiej cywilizacji... ale w tem wszystkim tylko na jedno trzeba zwrócić uwagę: na interes cywilizacyjny. Otóż wyznać trzeba, że w tym razie, na pierwszy rzut oka zdaje się, jakoby interes cywilizacji domagał się niezwłocznego wypędzenia Turka, który okazał dostatecznie swą nieudolność do oświaty europejskiej. *Mais les Turcs chassés, à qui la courbache? C'est, en effet, de courbache qu'il s'agit, de fauves à dompter et non pas d'hommes à gouverner.*“

Macedończycy zaudto jeszcze ciemni, Grecy — to Wołosi, Albańczycy lub Słowianie poduczani. „Potrzeba, w interesie cywilizacji, by te wszystkie ludy rozwijały się. Jeden tylko Turek posiada tyle obojętności, że dozwoli istnienia wszystkim plemionom, mowom, wyznaniom“.

Cały zaś zbiór swych poważnych i trzeźwych notat i uwag o bałkańskiej rzeszy zamyka autor szlachetnemi wyrazami uznania i sympatyi dla przesławnej Hellady.

Greki, który pewnego pięknego ranka wypłynął z ojczyzny ubogi na handlowej łodzi i zdobył powoli, dzięki swej pracowitości, oszczędności, energii i zręczności, olbrzymią fortunę w Odesie, Smyrnie, Beyrucie, Aleksandryi, Marsylii, Wiedniu, Paryżu, Londynie, Petersburgu, powraca do ojczyzny. „Widzi przepaść, oddzielającą jego kraj od europejskich krajów i odtąd wszystkie jego usiłowania dążą do zapelnienia tej przepaści. Oddaje swą majątność państwu, rozrzuca ją na wszystkie strony, na pomniki, budowle, muzea lub prowadzenie wykopalisk. Irryguje Tessalię — przebija międzymorze, osusza Stymfalię i Feneę. Wznosi szkołę wojenną i szkołę marynarki, sprowadza torpedy i pancerniki, kupuje wille dla króla, pałace dla olimpijskich posągów, a domy przytułku dla narodu. Utrzymuje szkoły w Epirze, podnosi Salonikę z ruin, zakłada gimnazyum w Monastyrze, a metropolię w Janinie. Jest on sługą idei i dobroczyńcą plemienia swego“.

„A nic nie może zachwiać wiary jego! Po nad nędze i przeciwności swego czasu, wznosi się przed jego wzrokiem Hellada w blasku sławy dla potomków jego. On wie, że ta Hellada nie zginie, bo jest przedstawicielką idei, a *idea* jest nieśmiertelną, której *siła* nigdy nie przemogła. Ziemia... Persowie ją najeżdżali, Rzymianie ją posiadali, barbarzyńcy ją zniszczyli, Latynowie zdobyli, żołdacy normandzcy i janczarowie tureccy, korsarze arabscy i condottierowie weneccy, wszystkie pany panowały kolejno, ustępując jedni drugim po krótkotrwałych rządach, a *idea* odradzała się coraz silniejsza, a plemię istniało ciągle, a z każdym stuleciem, od Temistoklesa do Kanarisa, zjawiał się nowy bohater. Chociażby Turcy panowali jeszcze przez całe wieki, a po nich Bulgarowie, chociażby Rosya rozpuściła na cały Wschód bandy swych kozaków, a Austrya wyrzeźbiła swe orły zwyciężkie u bram Saloniki, walka *idei* z *siłą* jest odwieczną. Idea zaś, ogarniając bezustannie coraz inne ludy i przetwarzając je w Hellenów, nie dozwoli zginąć plemieniu. *Siła* może mieć dni tryumfu: Xerxes obozował na Akropolu. Ale dni takie są policzone przez Sprawiedliwość odwieczną. I cóż znaczy kilka dni ciężkich, gdy się ma wieczność przed sobą!“

Takimi słowami otuchy zamyka się książka, zasobna treścią, bardzo urozmaiconą, napisana sumiennie, nie szkalująca mniej szczęśliwych ludów, nie opowiadająca bajek *à la Marbot*, (który rozgadywał, że go hr. Łubieńska z radości chciała całować po rękach, widząc go po raz pierwszy w życiu!..), lecz wierna prawdzie i bezstronności, którym autor służyć się zobowiązał. Czy kompetentni zgodzą się na wszystkie poglądy p. Bérard, to kwestya inna; ale i przeciwnicy nie zaprzeczą mu sumiennosci, wiedzy, bystrego rzutu oka, co przy umiejętnym sposobie opowiadania zapewnia dziełku *La Turquie et l'Hellenisme contemporain* i wartość i trwałość.

Ledjan.

— A. Chalamet: *Guerres de Napoléon* (1800—1807), racontées par témoins oculaires, illustrées d'après les documents de l'époque. (Paris. Firmin-Didot et Cie. str. 284). — Zdaje się doprawdy, że wprost już idziemy do czasów, kiedy książki pisać się będą dla rycin, na czwartym planie zaś będzie ten tekst, który dawniej niekiedy illustrowano. Zapytać też może byłaby pora niektórych autorów, a zwłaszcza wydawców, czy ten kierunek nie jest oznaką powrotu do pierwotnego stanu oświaty, kiedy tylko obrazem przedstawieniem starano się szerzyć poznanie rzeczy dalekich lub minionych, punkt wyjścia najniższy, z którego pedagogia zasadniczo dzisiaj rozpoczyna naukę dla dzieci. Książki, wydawane tylko z powodu rycin, którymi są ozdobione, mnożą się bowiem teraz codziennie, a wątpić nam chyba wolno, czy są dowodem postępu życia umysłowego. Trudno też domyśleć się, w jakim celu powyższe *Les guerres de Napoléon* wydrukowane zostały, bo cel rozpowszechnienia wiedzy historycznej nie łatwo byłby przez takie książki osiągniętym, gdyż tekst zdaje nam się tu dla ogółu zbyt nużącym, drobne zaś rysunki nie zajmujące. Czterdzieści siedm rycin przedstawia odbicia współczesnych rysunków Raffeta, Verneetów, Thevenin'a, Duplessis-Bertaux i obrazów Géricaulta, barona Gros, oraz kilku bezimiennych. Ciekawymi jednak być one mogą tylko dla dyletantów, jako wierne współczesne oddanie scen historycznych, zwykle przez naocznych świadków dokonane. Części też są one znanymi powtórzeniami obrazów z wersalskich galerij i szkiców z *Musée National*, a kilka tylko zdaje się być odbiciami nieznanych starych rysunków.

Tekst składa się z wyjątków wydanych pamiętników księcia Rovigo, marszałków: Marmonta, Masseny, Davousta, Grouchy'ego, Gouvion St. Cyra, jenerałów Thiébaulta, Marbota, Bigarrego, kapitanów Coignet i Parquin, grenadyerów nawet i kanonierów, jak Petit i Bricard. Trudno orzec, jakie względy kierowały wydawcą w wyborze tych wyjątków, bo często nie są one nawet komentarzem do rysunku, przy którym zostały umieszczone. Kto miał w rękę choć paru tomów z wyżej wymienionych pamiętników, mógłby przeczytać książkę ułożoną przez p. A. Chalamet, żeby o nich bardzo pobieżnego nabrać pojęcia. Dla tych atoli, co przewertowali choć część niezgłębionych już dziś stosów wydawnictw z tej epoki, taki zbiór wyciągów nie może przedstawiać żadnego zajęcia. Nam nawet zdawało się, przez chwilę i na pierwszy rzut oka, że książka cała chyba złożoną została tylko w celu reklamy dla wydawców pamiętników z napoleońskich czasów! Podobnych jednak, tylko nie illustrowanych, mieliśmy już parę w rękę, jak np. *La Campagne de Russie*. Tamte atoli, choć pozbawione licznych rysunków, jako obraz wielkiego zdarzenia z urywków złożony, swoją dokładnością i nieubłagającym łańcuchem szczegółów przynajmniej czytelnikowi wbijały

niejako w pamięć przebieg fatalnej wyprawy. Tutaj atoli, z rozstrzelonych, najróżnorodniejszych wyjątków książki p. Chalamet, w dobrej nawet pamięci nic nie zostanie, bo nie istnieje między nimi żaden związek, ani nie ma śladu żadnego ciągu. Wartość literacka zaś wszystkich tych opowiadań jest tak mierną, że nie przywiąże uwagi niczyjej. Choćby najmniej wytrawny czytelnik, najchętniej każdej chwili odłoży na bok dzieło takie, pomimo że ozdobione będzie najpiękniejszymi rycinami. Ładny druk, oraz śliczne, czyste, a miękkie odbicia rysunków, są niezawodnie zaletami niniejszej książki, które może dostatecznemi się okazać, aby wydawnictwo p. Chalamet znalazło nabywców. Czytelników chyba ono nie znajdzie.

C.

Z literatury powieściowej.

— Maryan Gawalewicz: *Szubrawcy*. Powieść w trzech tomach (Warszawa, nakład Geberthnera i Wolffa, 1896). — Przeglądając dotychczasową produkcję belletrystyczną p. Maryana Gawalewicza, widzimy w niej przedewszystkiem dwa działy. Obok drobnego dorobku komedyj i jednoaktówek, kilkanaście szkiców w galerii typów p. t. *Zona*, ilustrują dziennikarską i jednodniową działalność autora, tę, z którą spotykamy się w codziennych pismach warszawskich. Nosi ona cechę sympatycznej łatwości zabawienia czytelnika humorem jasnym, spokojnym, niezbyt głębokim, ale zarazem nie pozbawionym lekkiego artystycznego dotknięcia. Powieściopisarz Gawalewicz równie ma jednak powodzenie, jak ów znany M. G., dziennikarz i salonowy komedyopisarz. Szereg tytułów przywodzi tu na pamięć zaraz krótkie tomiki, zręcznie pisane a niezbyt myśl męczące, jak *Drugie pokolenie*, *Mgła*, *Od jutra*, *Cudak*, *Bluszcz*, *Dusze w odlocie*, obok *Mechesów*, których sam autor z tej rzeszy wyróżnia. Wśród tych powieści tendencje społeczne badacza i poetyczna struna artysty dostarczają autorowi natchnienia. Śliczna i rzewna nowelka p. t. *Dusze w odlocie* daje świadectwo tej ostatniej, wraz z *Królową Niebios* świadcząc o tem, że p. Gawalewicz posiada temperament artystyczny, umiejący odezuć i zrozumieć subtelną piękność poezji. W powieściach, opartych na obserwacji życia, znajdujemy zwykle mniej lub więcej pomyślnie stworzoną *całość*. Jeżeli jednak szczegóły są w nich często udane, a opisy osób i rozmowy dają bardzo rzetelnie odczuta prawdę życia, to szkielet powieści niezawsze się trzyma razem. Z tą też budową ich ma się niekiedy wrażenie czegoś mało proporcjonalnego, czegoś, co grzeszy anormalnością, bo nie znajduje się w nawiązaniu rzeczy dobrego jej uzasadnienia lub zakończenia akcji. Akty pierwsze, ekspozycja jest często świetna, zawsze ciekawa i bardzo charakterystyczna — tymczasem na ciąg dalszy nie starczy już autorowi oddechu i w pos-

piechu końca mięszają mu się klucze intrygi, zamiast jednego, bierze ich kilka, i inne poboczne szufladki otwierają się, gdy ta rzecz główna zostaje zaniechana. A dziwnem jest, że wada ta odnajduje się i w powieściach najsympatyczniejszych i szerzej zakrojonych. *Mechesy* np. tak świetnie się zapowiadające, zostały i w dalszym swym ciągu zabawną i ciekawą lekturą, ale nie spełniły nadziei w pierwszym tomie oczekiwanych. Dziś zaś tasama wada psuje *Szubrawców*, ostatni utwór autora. W trzech-tomowej powieści tej, cały szmat społecznego horyzontu zakres-łony został szczęśliwie postaciami wziętymi z życia, a ekspozy-cya i charaktery osób dobrze przeprowadzone — ale jednolitej całości utwór ten nie ma; jestto jakaś nieuchwytna powieściowa galareta i jedynie smutne słowo „szubrawcy“ daje spójnię licznym jej epizodom. Pytanie też nasuwa się tu, czy autor pisząc tę powieść, miał do niej plan z góry obmyślony? Czy te trzy tomy, to tylko część pierwsza, której dopiero część druga nada wyrazi-tości i zarazem cechy rzeczy, mającej początek ale i koniec także. Tak, jak są teraz *Szubrawcy*, trzeba ich brać za powieść fejletonową, dzień po dniu pisaną, za szkic bardzo utalentowa-nego pióra, ale nie uważać za całość jednolitą, zamykającą w so-bie przeprowadzenie jednego założenia.

Że ludzie są podli i chciwi bardzo często, a zwłaszcza tam, gdzie pokusa pieniężna bogactwa obiecuje zastąpić albo brak materyalny albo tylko powiększyć środki do używania życia, to prawda, znana oddawna i szeroko. Pan Gawalewicz nie jest z temperamentu pesymistą, a to się uwydatnia u niego nawet wtedy, gdy hojnie szafuje czarnym węglem w odmalowaniu ludz-kości. Zdobyczą, która neści „szubrawców“, jestto fortuna cho-rej śmiertelnie pani Krokowskiej. Ona sama i jej mąż są ślicznie i *con amore* odmalowaną parą, a ich wzajemny stosunek, tkliwy i pełen względów i delikatności, ma w sobie wiele i prawdy i poezyi razem. Pani Krokowska, chora na serce, wie o tem, że wkrótce straszne jej cierpienia się skończą; pogodziła się też z losem, ale żal jej zostawić męża, z którym lat dwadzieścia kilka przeżyła spokojnie i szczęśliwie. Pan Krokowski był nie-szczęśliwym kaleką, bo niemową, mimo tego jednak bardzo wy-kształconym i pełnym zalet charakteru i umysłu człowiekiem. Kalectwo jego miał spowodować upadek na ziemię gdy był dzieckiem, a tu ze zdziwieniem zapytujemy autora, gdzie on wi-dział niemowę, który za niemowlęctwa utraciłszy dar mowy, słyszał przytem jednak wyraźnie i rozumiał co do niego mó-wiono, odpowiadając na to na karteczkach pismem? Powszechnie twierdzą lekarze, że jeżeli ktoś niema wady organicznej języka, to brak sluchu powoduje nieumiejętność mówienia — ztąd też byłoby dla interesu prawdy potrzebnem, by autor krótko objaś-nił ten wypadek, inaczej bowiem ten doskonale słyszący nie-mowa wydaje się być nieprawdopodobnym.

Oboje tych ludzi podtrzymuje jedynie gorąca wiara: nieszczęśliwy mąż ufa, że wielkimi ofiarami okupi sobie utrzymanie przy życiu żony, ona myśli już tylko o tem, by wielką fortunę użyć dla dobra bliźnich. Zachęcają ją do tego rozmowy z wychowawcem, dr. Pniakiem, który obok dwojga Krokowskich stanowi najsympatyczniejszą w powieści postać, zacności i szlachetności duszy. Ten Pniak jest synem leśnego, a dziecko to ludu przyciągnęła do siebie zacna kobieta i dając mu wykształcenie umysłu, szczęśliwie trafiła na materyał bogaty, który uczynił go wybitnym człowiekiem. Tymczasem wokół bezdzietnej a umierającej pani Krokowskiej „szubrawcy“ czynią nieustanne zabiegi. Jest to najpierw siostrzenica jej, baronowa Phalern, która poniża się do wszelkiego rodzaju podłości, by fortunę zdobyć nie tyle dla siebie, ile dla męża, którego i lęka się i kocha. Jest daleki krewny pani Krokowskiej, pompatyczny pan Orsza; jest wicecznie żebrząca i wysuwająca swą dzieciarnię pani Szubina, której syn, młody Szuba, dziennikarz, ma potem stanąć na czele tego całego hufca „szubrawców“. Łatwo pojąć zgrozę i oburzenie wszystkich, gdy po śmierci bogatej ciotki pokazało się, że fortunę całą zapisała na cele dobroczynne, czyniąc egzekutorem swej woli dr. Pniaka. Z początku cios ten ogłuszył wszystkich, ale po krótkiej zwłoce przebiegle prowadzona kampania najpierw rozentuzyzmowaną opinię ostudza, a po takim przygotowaniu terenu sprytnie podjęty proces obala wolę nieboszczki pod pozorem, że była niepoczytalną w chwili, gdy testament pisała. Może też rzeczy nie byłyby poszły tak źle, gdyby w chwili najwięcej potrzebnej Pniak nie był zachorował wskutek napadu „szubrawca“ w sukmanie, szwagra swego, nienawidzącego „pana dochtora“. Tego jednak rusza wkońcu sumienie i poczucie winy się w nim objawia, gdy tamci „szubrawcy“ zgangrenowani moralnie, nie odradzają się już wcale. Na tym ich tryumfie powieść się kończy, a czytelnik z przyjemnością opuszcza tę atmosferę podłości. Koniec ten daje też pewną nadzieję drugiej części, która oby zostawić mogła po sobie podniosłejsze wrażenie, jak niniejsza. Ta bowiem bez właściwej intrygi romansowej, obraca się jedynie koło sprawy zapisu i procesu. Ale jeśli brak jej stałego szkieletu, to różne epizody i charakterystyka osób skreślone są z wielką prawdą a często i z delikatnością taką, iż śmiało można autorowi powinszować trafności portretów rozrodzonej familii „szubrawców“, którzy główną część całego utworu wypełniają.

M. Rawicz.

— Kazimierz Gliński: *Tarantula*. Powieść prawdziwa. (Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1895). — Kazimierz Gliński: *Kłęska*. Powieść. (Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1897). Zgodnie z ważnym stanowiskiem, jakie szlachta na roli osiadła zajmowała a po części i dotąd zajmuje w naszym życiu społecznym, żadna niewątpliwie litera-

tura nie posiada tyle co polska powieści, osnutych na tle losów szlacheckiej rodziny w wiejskim dworze zamieszkałej. Jest kilka typów tego „szlacheckiego“ romansu, powtarzających się u nas niemal od początku polskiej powieści współczesnej, a z pośród nich najpowszechniejszym jest ten, który obok dziedzica stawia inną postać, w naszym życiu również niezmiernie ważną, choć z gruntu odmienną odgrywającą rolę, figurę żyda, trudniącego się udzielaniem pożyczek. Do tego typu należy i pierwsza z powyższych powieści p. Kazimierza Glińskiego, opatrzona zupełnie niepotrzebnym dodatkiem „powieść prawdziwa“ a zapewne nie bez wpływu znanych *Pająków* p. Klemensa Junoszy zatytułowana *Tarantulą*. Nie ta zależność jednak drażni czytelnika, lecz sama... egzotyckość nazwy. Nojecha „nazwali tak chłopcy dla podobieństwa do tego *robaka*“, tłumaczy jedna z osób powieści, lecz wyjaśnienie bynajmniej zadowolnić nie może. Zkąd wieśniak lichwiarza nazywa według „robaka“ krajów południowych? Sądzimy, że raczej nazwałby go „pajakiem“, gdyby... p. Gliński nie bał się zarzutu powtarzania za p. Junoszą.

Zagaje są w chwili rozpoczęcia się opowiadania własnością p. Murskiego, ojca młodej panienki Anielki i Władka, który świeżo ukończył nauki w gubernialnym mieście. Pan Jan pracuje ciężko, Anielka i Władek kochają się jak wzorowe rodzeństwo, cowiącej, kochają się każde z osobna po za rodziną. Panna oddała swe serce sąsiadowi, Rabsztyńskiemu, panicz zaplątał się w sidła pięknej Amelii Koryckiej. O miłości Anielki dowiadujemy się w sposób dość niezwykły. Gdy Władek pewnego wieczora, już pod noc, przechadza się z siostrą po lesie, oboje spotykają na drodze p. Stanisława Rabsztyńskiego. Grzeczny kawaler zeskakuje z powozu, zbliża się do idących, „kilkakrotnie całuje rączki dziewczyny“, rozmawia i po chwili prosi o pozwolenie wyszeptania czegoś na uboczu do jej uszka; i panna i brat propozycję tę z zapalem przyjmują i już p. Stanisław ma „nachylając się nieco ku Anielce“ szeptać jej słowa miłosne, gdy wtem zmienia zamiar, bo „to, co mam powiedzieć, nie potrzebuje nawet tak nieszkodliwego świadka, jakim jest brat pani, następnie chciałbym pozostać czas jakiś tylko sam — z panią“ (str. 53 i n.). Scena ta odbywa się w nocy, a trzeba zaznaczyć, że o zamiarach p. Stanisława dotychczas ani Murski ani Władek nie wiedzą. Zachowanie się jego jest tedy dość śmiałe, panna wychowana uczciwie w starszszlacheckim dworze wygląda dość dwuznacznie, a Władek jest albo śmiesznie nie-mądrym, albo... czemś gorszem, gdy pozwala na takie „szepcanki“ w nocy na uboczu Rabsztyńskiemu, o którego konkurach nikt w domu panny nie wie. Oczywiście żaden z tych wniosków nie leży w intencjach autora, lecz dzięki jego niezręczności czytelnik dowiaduje się o miłości Stanisława i Anielki w sposób, o obu nie najkorzystniejsze dający wyobrażenie. Nie-

bawem wchodzi do powieści jej „bohater“, Nojech Tarantula. Jest synem Abrama, któremu Murski kiedyś dużo dobrego wyświadczył i syna mu swoim kosztem w świat wyprowadził. Teraz ufając wdzięczności żydowskiej, o której ojciec i syn głośno prawią, pan Jan mimo oporu Władka, przeciwnika tego plemienia, szuka u Tarantuli pomocy w kłopotach pieniężnych. Nojech niezmiernie zręcznie korzysta ze sposobności, narzuca się dziedzicowi, wciąż mu pożycza pieniędzy, oczywiście za wekslem i na gruby procent, równocześnie zaś innych używa środków, aby usunąć wszystkie przeszkody do ostatecznego zagarnięcia Zagajów. Anielka kocha Rabsztyńskiego, bogatego i bardzo roztropnego, a więc Tarantula z szatańską chytryością i bezczelnością kłamie przed nim, że panna przed kilkoma miesiącami poznała jakiegoś studenta, zakochała się w nim szalenie, a gdy ojciec nie chciał pozwolić na ślub życząc sobie Rabsztyńskiego za zięcia, Anielka usiłowała się z rozpaczą otruć. Oczywiście usłyszawszy o tem od żyda, Stanisław, powodowany szlachetną dumą, odsuwa się od ukochanej. Równocześnie zaś Tarantula idąc dalej w swym złośliwym planie, kłamie przed Rabsztyńskim, że Władek stając w obronie siostry obiecał jego z domu jak psa wypędzić, gdyby jeszcze raz w Zagajach się zjawił, przed Anielką zaś i Władkiem zmyśla, że Rabsztyński kocha się w Amelii i cieszy się jej łaskami. Skutek tych plotek i kłamstw jest wyraźny: Stanisław stroni od Anielki, bo posądza ją o miłość dla jakiegoś studenta, a od Władka, bo widzi w nim wroga; Anielka tłumi swą miłość, bo sądzi, że Rabsztyński jest kochankiem Amelii, wreszcie Władysław unika rywala mniemanego, a namiętnie kochając zmysłową miłością Amelię, nagle z domu wyjeżdża, aby biedz do niej, przez co Tarantula pozbywa się najpoważniejszego przeciwnika. Na tem opiera się cała dalsza osnowa opowiadania, a więc wypada bliżej się tej podporze przypatrzeć. Jest ona słabą. Tarantula może uknuć szatański a chytry swój plan dopiero dzięki temu, że pan Jan wtajemniczył go nie tylko w swe położenie majątkowe, lecz nawet w najtajniejsze, czysto osobiste sprawy rodzinne. Polski dziedzic ma dużo zaufania do żyda, będącego dla niego faktotum, — to prawda; lecz trudno przypuścić, żeby był tak otwartym, iżby spowiadał się przed nim nawet z tego, kto kocha się w jego córce *nb.* nie oficjalnie jako narzeczony. Może coś takiego w życiu zdarzyło się raz i dwa, niemniej w powieści, nawet w „powieści prawdziwej“ jest to nienaturalnem a więc niedozwolonem. Po wtóre, choć bardziej możliwym, to przecież dość dziwnym jest Rabsztyński, gdy na ślepo wierzy kłamstwu, przez jednego tylko Nojecha głoszonemu o owym studencie; przecież tak łatwo było mu przekonać się o mityczności tej osoby, o której nikt, absolutnie nikt, prócz Tarantuli, nie wiedział. I w tym wypadku autor pozwala w dalszym ciągu Rabsztyńskiemu na tę szczyptę

rozumu, jaką i zazdrośni posiadać winni, a czytelnik mówi tylko: nareszcie, czemuż tak późno? Odpowiedź krótka: bo nie byłoby powieści. Bądź co bądź żydowi plan znakomicie się udaje. Władek jedzie do Amelii, ta przyjmuje go z uniesieniem, bo znudziła ją już samotność, a zresztą wdzięki kobiece nie są wieczne; przy sięgają sobie miłość; postanawiają we Włoszech wziąć ślub, że zaś na to pieniędzy potrzeba a oboje nic nie mają, Władek pożyczka dziesięć tysięcy od lichwiarza, który jak się potem pokazuje, był umyślnie nastanym przez Nojecha. Kochankowie jadą do „kraju pomarańcz“, Tarantula opowiada Murskiemu o sprawkach syna, o gdy ojciec dostaje z oburzenia ataku sercowego, żyd pielęgnuje go w chorobie, zaskarbia sobie coraz bardziej jego łaski, zyskuje nawet wdzięczność Anielki, a Zagaje coraz silniej w rękach trzyma, bo jego wierzytelności z każdym dniem ogromnie wzrastają. Tymczasem z listów naiwnego, zakochanego i ślepo wierzącego Władka widzi się, że koło Amelii kręci się z powodzeniem jakiś książę Carolla, a Anielka cierpi po cichu i duma skrycie o kochankach z Werony, o Winkelriedzie, o „oferze Jadwigi“, o Barbarze i o Imogenie, która „w szalonym jeno umyśle Williama powstać mogła“ (str. 202). Gdyby kiedy niniejsza powieść miała wyjść w drugim wydaniu, radzilibyśmy autorowi wykreślić zupełnie powyższy ustęp. Kobiety wogóle, gdy cierpią swoim lub drogich osób nieszczęściem, nie zwykły wdawać się w ładnie brzmiące, o znajomości dziejów i literatury świadczące, lecz ostatecznie częste rozmyślanie, a coż dopiero mówić o Anielce, dziewczęciu z wiejskiego dworu. Ona nawet może *Cymbelina* nie czytała a żeby jej w takiej chwili miał na myśl przyjść Winkelried, to jest zbyt śmiałym przypuszczeniem. Murski całą nadzieję pokłada w zbożu, które obficie tego roku zebrał a drogo sprzedać żydowi ma nadzieję. Wtem w sam święty wieczór wigilijny wybuch w wsi straszliwy pożar; giną domostwa, giną plony całorocznej pracy, a domyślać się wolno, że sprawcą nieszczęścia jest Tarantula, który najał podpalaczy. Murskiemu grozi ruina, żyd naciera na niego, aby sprzedał mu śliczny, doskonale utrzymany las; pan Jan żąda wyższej ceny, Nojeh grozi wypowiedzeniem weksli. Murski w tych ciężkich kłopotach córkę wysyła z domu, do zaprzyjaźnionej rodziny Potulińskich. Tu nareszcie następuje wyjaśnienie sprawy między Anielką a Rabsztyńskim, para kochanków dawno dla siebie przeznaczona odnajduje się nareszcie. Jadą oboje do Zagajów w nocy wśród zawieruchy, wesoło wpadają do pokoju pana Jana i zastają go bez życia na ziemi, a przy nim Tarantulę. Murski umarł tknięty apopleksją w chwili, gdy wyczytał w gazecie, w korespondencji z Rzymu, wiadomość o samobójstwie Władysława; powodem miała być zdrada ukochanej kobiety. W wigilię śmierci Murski sprzedał Zagaje, a Tarantula ma dziś w powiatowym mieście „dom mu

rowany, zbudowany za pieniądze Murskiego, za podpisy jego nazwiska na wekslach sfalszowanych. Otacza go liczne potomstwo, córki i synowie. Tych ostatnich uczy, jak potrzeba miłować kraj, w którym się urodzili, w czym leży niespożyta potęga synów Izraela. — A Murscy?“ tem pytaniem kończy autor swą „opowieść prawdziwą“.

Zarówno jej treść, jak i ostatnie słowa autora dowodzą jasno jej tendencji, jej społecznej myśli. Kwestyi antysemityzmu, jego uprawnienia i jego praktycznego znaczenia nie będziemy tu rozbrajać; pozostając w zakresie stosunków przez autora przedstawionych, musi się ze stanowiska społeczeństwa polskiego tendencji autora przyznać i wewnętrzne uzasadnienie i praktyczne zdrowie. Przedstawiając zgubne skutki lekkomyślności z jednej a ślepej ufności do żyda z drugiej strony, powieść p. Glišńskiego chce, jak mniemamy, nie uczyć nienawiści do plemienia, pochodzeniem, tradycją, religią i charakterem tak nam obcego, lecz wskazać złe skutki zaciągania długów i bezgranicznej ufności do żydowskich lichwiarzy, którzy, jak dowodzi doświadczenie, w dążeniu do zysku nie kępują się żadnymi moralnymi skrupułami. Artystycznie wobec wybitnie zaznaczonej tendencji błędem jest, że ostateczną katastrofę sprowadza nie Tarantula, lecz Władysław, właśnie jego przeciwnik. Szkodzi to nie tylko tendencji utworu, lecz jest i wadą kompozycji, gdy w końcu epilog wypływa nie z głównej żyły akcyi, lecz z tej, która bądź co bądź aż dotąd była tylko poboczną. Po za tem powieść p. Glišńskiego czyta się z zajęciem, bo, chociaż napróżno szukałoby się w niej głębszej psychologii, oryginalnych obrazów, fabuła jednak, pominiawszy wyżej przytoczone błędy, opowiedziana jest zręcznie, a jedno spojrzenie w otaczające nas życie poucza, ile jest w niej prawdy.

I druga powieść p. Glišńskiego należy do działu „szlachetkich“, aczkolwiek do innego ich typu. Nie stosunek dziedzica do żyda, nie majątkowa strona życia właściciela dóbr, jest głównym motywem *Kłeski*, lecz naprzód pożycie magnatów z szlachtą zaściankową, oraz sprawa pracy nad ludem. Malwina Baczyńska, córka dumnego pana Baczyńskiego, który dla niej upatrzył męża w steranym kawalerskim życiem hr. Izidorze Zdziarskim, wbrew woli ojca odrzuca tę partję, pokochawszy gwałtowną miłością Andrzeja Małeckiego, nadzwyczaj wykształconego i szlachetnego młodzieńca, z zapałem oddającego się pracy nad ludem. Ojciec zrazu nie o tem słyszeć nie chce, następnie widząc, że jedy-naczka, której dotychczas we wszystkim dogadzał, ma nieugiętą wolę zostać żoną ukochanego, nie sprzeciwia się temu, lecz z żoną opuszcza dom i zrywa wszelkie związki z córką; wreszcie jednak zwycięża w nim miłość rodzicielska i z rozrzewnieniem błogosławi Malwinie i jej synkowi, jakim w rok po ślubie obdarzyła Andrzeja. Krótkie streszczenie fabuły oznacza zaraz,

jaka jest jej główna myśl: za „kłęskę“ uważa stary Baczyński miłość córki, bo Andrzej jest prostym szlachcicem, „kłęską“ nazywa to także stary Małecki, bo wie, co go dzieli od dumnego pana. Ostatecznie jednak obaj dochodzą do przekonania, że mniemana „kłęska“ jest w rzeczywistości szczęśliwem rządzeniem Opatrzności. To jedna myśl powieści, nie nowa, lecz sympatyczna i zdrowa, a w utworze jasno oddana. Nieco inaczej jest z drugą. Andrzej Małecki jest bardzo wykształconym, sam czuje się wyższym nad otoczenie w zaścianku, lecz w swej szlachetności bynajmniej nie nadyma się, owszem myśli o pracy nad sercami i braci szlachty i ludu wiejskiego. Te zalety charakteru młodego Małeckiego, ten kierunek myśli, działa najbardziej na Malwinę, jest głównym czynnikiem ich miłości. Podobne postacie, jak Andrzej, w powieści czy dramacie, zawsze są bardzo trudne do oddania. Jak łatwo jest trochę się tylko pomyliwszy, zrobić z wyższego duchem, wzniosłego i szlachetnego bohatera—pustego, samochwalczego deklamatora! Wzniosłość poznajemy nie po płaszczu danej osoby lub po jej słowach, szumnie i z patosem wygłaszanych, lecz po działaniu, po czynach. Andrzej odmalowany jest kolorami jasnymi, tem sympatyczniejszymi, że przesuniętemi mgłą elegijnego smutku. Ojciec, gdy syn wrócił na wieś, szeptał mu tajemniczo „o dwóch polach, które we włodarstwo mu oddał; on nie odrazu go pojął, a gdy pojął, nie wierzył, by tak łatwo było rzucać siew w serca do takiej nieprzygotowanej siewby jak w ziemię, którą żelazny pług orze“. I był smutny, zatapiał się w księgach, aż ojciec dodał mu otuchy i Andrzej począł pracować, rzucać ziarno i dziś jest zupełnie szczęśliwym — „bo czyż nie jest szczęściem wielkie słońca w głowach zapalać, kazać sercom tak a tak uderzać, jak Bóg tworzyć nowe światy i wyprowadzać je z nicości?...“ Wzniosła mowa, z zapalem i świętą wiarą wypowiedziana, lecz to tylko *vox, vox, praeterea nihil*; a czyny? Powieść wyszła pod zaborem rosyjskim, opatrzoną jest pozwoleniem warszawskiej cenzury; tem tłómaczy się tajemniczość tych ustępów, które mówią o pracy nad ludem, nad uświadomieniem jego, te też miejscowe warunki obrazu praktycznego działania nie dopuszczają. Rozumie się to, oczywiście autor wolny jest od winy, lecz mimoto, czy Andrzej nie jest niejasnym, mglistym z powodu tej tajemniczości, tego braku praktycznego stwierdzenia szlachetnych słów? Zwłaszcza u nas, w Galicyi, gdzie pod hasłem uświadamiania ludu działają obok ludzi rozumnych i uczciwych często, bardzo często albo nierozważni fantaści, albo niesumienni demagogowie, nie wie się, co sądzić o Andrzeju, a jestto oczywiście kardynalnym błędem, organiczną wadą powieści.

Fabula opowiedziana jest z życiem, nawet może ze zbytnią zamaszystością; obfitość dramatycznych chwil jest wielka (poznanie się Malwiny i Andrzeja wśród szalonych wybuchów let-

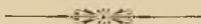
niej burzy), poczet figur znaczny, a z niego najdłużej w pamięci, najgłębiej w sercu pozostaje nie para kochanków, nie stary Baczyński, lecz ojciec Andrzeja, Krzysztof Malecki, będący udatnem odbiciem nieśmiertelnego Miecznika z *Maryi* Malczewskiego. Postacie na drugim planie postawione, a zwłaszcza rój okolicznej szlachty, wyszedł z pod pióra autora blado, całość jednak jest artystycznie dobrą, społecznie uczciwą.

J. Flach.

— *Willa Pana Regenta*, przez Klemensa Junoszę. (Warszawa. Gebethner i Wolff, 1896). — Drobnostka to, pełna uczciwości i szlachetnego uczucia, miłości ziemi i miłości pracy, jak wszystkie obrazy i opowiadania p. Klemensa Junoszy. Tymrazem, na tle *Willi Pana Regenta*, a raczej dworku z ogródkiem pod miastem, rozgrywa się przełom, znaczący dwa pokolenia od siebie różne, acz bezpośrednio po sobie następujące. Rówieśnicy Pana Regenta znają wygodne wczasy, szlafrokowania do południa, aby od południa zasiadać przy zielonym stoliku i bawić się wintem aż do nocy. Młodszy już się tem życiem nie dadzą zaspokoić, upatrują w niem niebezpieczeństwo dla przyszłości, upokorzenie dla terażniejszości, rwą się do czynu i znoju, do zarobku i przyrobku, do godności i uzacnienia własnych losów. Pocziwy Regent zdumiewa się, gdy jego jedynaczka przykrzy sobie mdłe i puste życie, chce się czegoś uczyć i nauczyć i zdobyć sobie niezależność i na własną rękę walkę o byt prowadzić. Ale nibawem dobre przykłady i rady przyjaciół idących tą nową drogą, zniewalają Regenta, aby ustąpił córce, która z zapalem kształciła się na fotografistkę. Z życiem pracy i zawodowemi trudami godzi Regenta pobyt na wsi, zetknięcie się z przyrodą i z gro-nem ludzi uszlachetnionych bezpośredniemi z nią ślubami.

Przedewszystkiem ładnie tu wypadł obraz matki-wdowy, wyorującej sobie i dzieciom przyszłość z zagonu, jej potem użyż-nionego. P. Klemens Junosza zna doskonale stosunki krajowe, naprzemian z wdziękiem i humorem je przedstawia, a pióro jego stanowczo więcej posiada zręczności i dowcipu od ołówka, którym Kostrzewski uzupełnił sylwetki i szkice autora *Willi Pana Regenta*, przeciętnego typu powieści składających się na t. z. „literaturę warszawską“.

N.



TEATR KRAKOWSKI.

—x—

ANTONINA HOFFMANOWA.

(Wspomnienie pośmiertne).

Rzewne pożałowanie, z jakim Schiller patrzy na sztukę aktora, którego sławy żaden trwały pomnik przechować nie może, odzywa się zawsze, ilekroć przyjdzie powiedzieć sobie, że nikt już nie zobaczy, nikt sobie wyobrazić nie zdoła, jakim był talent zmarłego artysty, którego gra zachwycała współczesnych, a którego imię będzie brzmieniem bez treści dla potomnych. Uwierzą oni na nasze poręczenie, że był dobrym; jakim był nie dowiedzą się nigdy. Któż dziś wie, jak grał Garrick albo Talma? jakimi sposobami wstrząsała widzów panna Rachel, a jakimi zachwycała ich panna Mars? Żeby kto najlepiej potrafił opowiedzieć, jak tę, lub ową swoją rolę grał Żółkowski albo Królikowski, czytelnik nie zobaczy jego ruchu ani wyrazu, nie usłyszy intonacyi i modulacyi jego głosu. Smutno myśleć, że te talenta, którym współczesny zawdzięczał rozkoszne i szlachetne artystyczne wrażenia, nieraz część znaczną swojego artystycznego wykształcenia, znikają tak prędko i bez śladu... Chciałoby się koniecznie schwycić i utwierdzić, choć główne charakterystyczne rysy tego talentu — i nie można! niema sposobu.

To przykre uczucie odzywa się najsilniej przy samej śmierci aktorów, w chwili, kiedy schodzi ze sceny nazawsze ten kto był długo jej ozdobą i chlubą. Tak jest dziś, kiedy się skończyło z grą i talentem Antoniny Hoffmanowej. Była ona znakomitą między wszystkimi w Polsce artystami swego zawodu — w historii teatru jej imię pozostanie tak, jak zostało imię Ledóchowskiej, Halpertowej, Starzewskiej. Na każdej zagranicznej scenie byłaby się liczyła do bardzo dobrych zawsze, do świetnych w wielu rodzajach i rolach. A jak o tem dać wyobrażenie tym, co jej nie widzieli i widzieć nie będą? Jak opisać ten rodzaj, i jak wytłumaczyć, dlaczego te role były tak dobrze grane? Nie można! A jednak spróbować trzeba. Kiedy ślad talentu utrwalić się nie da, niech się utrwali choć ślad uznania i wdzięczności dla talentu.

Zdaje nam się, że pierwszym i najważniejszym przymiotem aktora, jest intelligencya: trafne zrozumienie tego, co ma grać, w całości, jak w każdej z osobna sytuacji czy scenie. Być świetnym, porywającym, to rzecz potrzebna, ale dodatkowa; nie być fałszywym, niedołężnym, innym niż autor sztuki myślał i chciał, to rzecz pierwsza i konieczna. Tej intelligencji miała pani Hoffmanowa tak wiele, że więcej nie trzeba, że niewielu artystów posiada ją w takiej mierze. Miała zakres ról dla siebie najwłaściwszy, i w tym była doskonała — ale w każdym była dobra. Nie było roli, nie było charakteru, którego by ona należycie, trafnie nie zrozumiała; nie było też tej roli, w której wydałaby się źle, i tej sztuki, którą by swoją grą była zepsuła. Ta intelligencya, która daje aktorowi możność zrozumienia i wcielenia w siebie postaci, jaką ma przedstawić, jest koniecznie potrzebna każdemu, w każdej sztuce i roli: czy gra Tomasz Diafoirus, czy Hamleta lub Fausta. Ale jej stopnie są różne; a od stopnia zależy większa lub mniejsza znakomitość aktora. Stopień pani Hoffmanowej był zupełnie niezwykły. W swojej sztuce była ona nie tylko bardzo rozumna, ale była bardzo subtelną. Cieniowała bardzo delikatnie i bardzo trafnie; każdą różnicę w charakterze, każdą zmianę i każdy ton w uczuciu, każdą przelotną myśl czy wrażenie, dawała widzowi uczuć i zrozumieć zupełnie, doskonale. Jest między

aktorami różnica taka, jak między malarzami, a między ich rolami taka, jak między portretami. Weźmy dwa portrety tegosamego człowieka. *Szujski* Grabowskiego jest bardzo podobny, jest dobrze malowany, niema mu co zarzucić. Ale *Szujski* Matejki pokazuje wszystko, co było w naturze, w temperamencie, w duszy oryginału. Otóż kreacye sceniczne pani Hoffmanowej miały na sobie cechę tego wyższego zrozumienia i rodzaju.

Po inteligencji, drugim koniecznym dla aktora warunkiem jest wyobraźnia. Ta znowu w zakresie i w stopniu swoim bardzo różna, zależna zapewne od ukrytych a wrodzonych usposobień umysłu, i może uczucia. Jak u poetów i pisarzy, tak u aktorów rozmaita do nieskończoności, ma przecież jak u poetów dwa kierunki główne. Molière ani Fredro nie byłby potrafił napisać tragedyi. Schiller pokazuje parę razy ochotę do komedyi, ale nie talent do niej. Oba te rodzaje wyobraźni muszą mieć w sobie zdolność tworzenia — ale jeden opiera się głównie na obserwacyi zwykłych w życiu zjawisk, drugi wrodzonym popędem zwraca się do zjawisk rzadszych, chce odgadnąć uczucia, namiętności, cierpienia, w ich najwyższym stopniu i objawie. W jednym jest więcej rzeczywistości, w drugim więcej poezyi. Jeden łączy się często z wesołością, humorem, dowcipem, i dochodzi do wdzięku — drugi do tragicznego *pathos* i stylu. Ten ostatni rodzaj wyobraźni miała wśród aktorów panna Rachel i pani Ristori, pani Rettich i pani Wolter, Królikowski i pani Modrzejewska. Tamtym jaśniała panna Mars i obie panie Brohan, panna Neumann i Fichtner, Żółkowski — i pani Hoffmanowa. Nie znaczy to wcale, jakoby jeden rodzaj wyobraźni zamykał przed aktorem drugi zakres ról: pani Modrzejewska bywa świetną w komedyach, jak bywała nieraz pani Hoffmanowa w rolach tragicznych. To znaczy tylko, że skutkiem swoich wewnętrznych jakichś usposobień, aktor całą siłę swego talentu daje poznać w jednym zakresie ról zupełniej i świetniej, niż w drugim.

Trzecim wreszcie warunkiem dla dobrego aktora koniecznym, jest dobry smak. Z inteligencją on się łączy i jest niewątpliwie jej skutkiem; ale jeżeli ma być świadomym przymiotem, nie ślepym tylko instynktem, musi się wyrabiać

wykształceniem i wprawą. Pani Hoffmanowa miała go z natury, był widoczny już w samych początkach jej zawodu; ale kształciła go całe życie. W pracy nad sobą, w ciągłym postępie, ona była wzorem rzetelnego, sumiennego zamiłowania swego zawodu. Nigdy nie spoczęła na laurach; uczyła się zawsze, uczyła się z książek, z praktyki, i z wzorów, z pilnego studyowania gry innych znakomitych aktorów. Stawała się też z latami coraz doskonalszą, i można o niej bez przesady powiedzieć, że w rolach swoich rozwiązała jedno z wielkich i najtrudniejszych zagadnień sztuki, pogodzenie prawdy z pięknnością, rzeczywistości z poezją czy wdziękiem. Najzupelniejsza, najdoskonalsza naturalność gry nie przeszkadzała szlachetności, estetyczności tej gry. Nie było w jej ruchach, intonacjach, wyrazach twarzy, nigdy nic sztucznego, wymuszonego, manierowanego. Affektacja, przesada, głos piszczący, wymowa niby dźwięczna i słodka, wymuszonosc w uśmiechach i ruchach, to wielki a niestety bardzo powszechny grzech polskich aktorek. Pani Hoffmanowa mogła im służyć za wzór jak się mówi, chodzi, patrzy, śmieje, płacze, naturalnie i poprostu. Jak zaś nie było affektacy i przesady niby wdzięcznej i niby *dystygowanej*, tak nie było też nigdy tej prawdy łatwej i taniej, która złe i grube formy zachowania się na scenie bierze za naturalność, i takim *realizmem* cieszy się jak zdobyczą sztuki aktorskiej. Od młodości aż do śmierci, od Klary w *Ślubach Panięskich*, aż do księżnej de Réville w *Świecie Nudów*, pani Hoffmanowa umiała być zawsze prawdziwą, a zawsze rozumnie i estetycznie prawdziwą.

Naszem zdaniem rodzaj jej wyobraźni był raczej obserwacyjny, zatem skierowany do komedyi i potocznego dramatu więcej, niż do tragedyi. Nie chcemy bynajmniej powiedzieć przez to, jakoby nie była umiała roli tragicznej poetycznie sobie wyobrazić i odegrać. Przeciwnie, grywała takie role nietylko dobrze, ale świetnie. Balladyna naprzykład, rola bardzo niewdzięczna przez to, że powierzchownie, pozornie tragiczna, a przez to samo niezmiernie trudna, bo aktorka musi swoją grą dopełnić, dotworzyć i wycieniować te wszystkie przejścia i zmiany, których poeta nie napisał—Balladyna pani Hoffmanowej miała wielką siłę namiętności,

miała ponurość zbrodni, miała męczarnię zgryzoty. Beata Ostrogska w *Halszce* Szujskiego, a więcej jeszcze przez ogół w swoim czasie nie dość oceniona hrabina Terszky w *Wallensteinie*, to były kreacye prawdziwie piękne. Hrabina w *Konfederatach* Mickiewicza nie mogła w jedynym akcie pierwszym być tragiczną; ale była doskonale złożoną z tych wszystkich pierwiastków, jakie są w tej postaci. Nawet role z klasycznego teatru francuskiego, Hermiona i Fedra były bardzo dobre, z właściwie utrzymanym klasycznym pozorem. Beatrix Cenci Słowackiego była zupełnie poetyczna, była zachwycająca głęboością swego nieszczęścia, i uniesieniem swojej miłości. Był więc talent tragiczny także; tylko nie był tak świetny, jak tamten. Pani Hoffmanowa sama czasem nie bez żalu mówiła, że brak jej niektórych warunków do ról tragicznych; narzekała mianowicie na swój głos, który nazywała nieużyтым i twardym. W tem się myliła: głos ten miał i giętkość i dźwięk, tylko nie miał dość siły i dość skali, żeby w potrzebie grzmieć, lub rozdzierającym tonem żalości słuchaczowi ścisnąć serce. Sama powierzchowność przeznaczała ją raczej do ról z potocznego życia. Piękność nie jest konieczną dla tragicznej heroiny, ale profil wydatny, ale linia, jest jej bardzo przydatna. Pani Hoffmanowa była ładna, ale bez regularnych rysów, bez profilu, bez linii. Zato miała ruchliwość, zmienność, wyrazistość, grę fizygnomii bardzo szczęśliwą i rzadką — i miała mnogość i rozmaitość intonacyj istotnie zadziwiającą. Rzecz dowodząca bardzo silnej indywidualności artystycznej, bardzo rzadka: pani Hoffmanowa nigdy nie była taka sama. Prawie zawsze aktor przez wprawę i rutynę dochodzi do tego, że sam siebie przypomina, sam siebie powtarza. Nie uniknęła tego artystka, tak niezwykle dobra, jak wiedeńska pani Gabilion; Sara Bernhardt jest zawsze jednakowa, i kto ją widział w jednej roli, widział już we wszystkich. Pani Hoffmanowa spędziła całe życie na scenie, a rutyny, tembardziejz manieri, nie było w niej nic. Każda rola była świeżo, osobno, sumiennie obmyślana i odegrana, żadna nie była taką jak druga.

Zakres tych ról był bardzo szeroki. Teatr małego miasta, który musi ustawicznie zmieniać sztuki, talentom nieraz

szkodzi, bo nie daje im czasu do wypracowania i przygotowania roli. Ale ta ciężka konieczność może, przy dobrej dyrekcyi, kształcić i rozwijać wrodzony talent. Pani Hoffmanowa występowała w najrozmaitszych rolach; nie gardziła małemi, nie wstydziła się karykatur nawet. Karykatury jej, naprzykład, głupia młoda panna i głupia stara panna w komedjach Bałuckiego, pobudzały widzów do nieskończonego śmiechu. Ale właściwem jej polem popisu była wysoka, wykwintna komedia. Czem była jej Klara w *Słubach Panińskich*? Ci, co widzieli, nie zapomną nigdy, i twierdzą, że dowcipniejszej, miłszej, figlarniejszej, wdzięczniejszej Klary, nie było i nie będzie nigdy — jak nie było i nie może być piękniejszego i doskonalszego przedstawienia *Słubów*, jak ówczesne z paniami Modrzejewską i Hoffmanową, z Benda, Ładnowskim i Rapackim. Ale niewiele później wzięła pani Hoffmannowa wielką, przygniatającą rolę Zuzanny w *Weselu Figara*, i z tej próby ogniowej, która może służyć za miarę wielkiego lub tylko średniego talentu, wyszła z zupełnym, z bardzo świetnym tryumfem. A komedye Szekspira? Beatrix w *Wiele hałasu o nic* prawda że rola dobrze dobrana do rodzaju artystki, była znowu skończoną doskonałością; a dla widza nie tak rozumnie pociągająca, dla aktorki nie tak wdzięczna, rola Katarzyny w *Poskromieniu złoŃnicy* niemniej. W ówczesnej dbałości o repertorium złożone ze wszystkiego, co najlepsze w dramacie świata, rozmaitość była wielka, i były próby bardzo śmiałe: naprzykład Musset. I znowu pani Hoffmanowa była Kamillą w *On ne badine pas avec l'amour*, i z Ładnowskim za Perdikana oddali całą poezyę, cały tak trudny do uchwycenia wdzięk i smutek tych ról, tej sztuki, tego poety.

Newszy dramat francuski, niewłaściwie komedią zwany, bo sytuacyami najczęściej bolesny, a ich traktowaniem często wstrętny, dramat Dumasa syna naprzykład, grywała pani Hoffmanowa z wielkim rozumem i taktem, z wielkiem i zasłużonem powodzeniem. Księżna Jerzowa, i pani Aubray zwłaszcza, należały do jej ról świetnych. Ale słabsza od nich jako sztuka, jako rola bardzo sposobna do okazania różnych stron talentu, Frou Fron, była może perłą tego rodzaju jej

ról. Stara księżna Daniszew, w sztuce tego nazwiska, była najbardziej może zadziwiająca doskonałem stworzeniem jednolitej, nader charakterystycznej, głęboko pomyślanej postaci.

Z komedyi szczerej, prawdziwej, w której znalazła tyle ról znakomicie pojętych i granych, wspomnimy w pośpiechu jeden tylko ich rodzaj. Molière miał ten zwyczaj, że swój własny sposób widzenia i sądzenia tego, co się działo w jego sztukach, wcielał albo w dowcipne wygadane subretki, albo w poważnych rozsądnych stryjów, których jedyną rolą było mieć zdrowy sens za drugich. Dumas syn pochwylił i wskrzesił ten zwyczaj, i wprowadzał w swoje sztuki nudnego najczęściej *raisonneur*. Sardou poszedł także za tym przykładem z tą różnicą, że ten zdrowy rozum i trafny sąd powierza kobietom. Pierwsza taka mądra pani występuje u niego podobno w *Rodzinie Benoiton*, najmłodsza w *Onclé Sam*. Nie mają one nic innego do roboty, jak ładnie mówić rozumne i dowcipne słowa, które im autor kładzie w usta. Te role pozbawione własnego uczucia, celu, interesu w akcji, jaka się odgrywa, są przez nas bardzo trudne. Jeżeli aktorka nie jest tak rozumna i dowcipna jak ta pani, którą ma przedstawiać, to rola wyda się okropnie nudną. Pani Hoffmanowa kładła w te role tyle rozumu właśnie, tyle spokojnego a wesołego humoru, tyle rozmaitości i cieniowania, że żadna myśl, żadna intencja autora nie zatraciła się, ani nie zblakowała, każda wychodziła tak wyraźnie i tak dowcipnie, że sama uprzywilejowana przedstawicielka tych ról w Paryżu, pani Fargueil, nie grała ich lepiej — a pani Hoffmanowa grała je naturalniej, prościej.

Miara, posiadanie siebie, znajomość swoich środków i doskonałe nad nimi panowanie, to było także cechą jej talentu i gry. Z latami zaś wyrabiała się ciągle coraz większa dojrzałość tych przymiotów; a kto przed laty trzydziestu podziwiał Klarę, ten w ostatnich rolach pani Hoffmanowej musiał przyznać, że ta lub owa rola nie była lepsza od Klary (bo to niemożliwe), ale że artystka jako taka była wyższa niż w swojej młodości. Przypomnimy tylko jeden szczegół. W *Termidorze* pani Hoffmanowa miała małą uboczną rolę: pokazywała się w jednym akcie tylko, i miała

nie dać po sobie poznać, że ukryła jakichś podejrzanych i poszukiwanych. Spokój, zimna krew, zręczność, z jaką ona udawała, a dobre serce dla nieszczęśliwych, obrzydzenie do podłych i okrutnych, które przez to udawanie przebiły, robiły z małej roli skończzone arcydzieło.

I tak było do końca. Tasama dojrzałość i siła talentu, tasama sumienność i pilność, tosamo doskonale wypracowanie i wykończenie ról. W ostatnich paru latach pani Hoffmanowa z powodu choroby występowała już bardzo rzadko — rzadko, ale nigdy słabiej, nigdy mniej dobrze. W całej pełni i świeżości swego talentu zeszła ze sceny, której przez całe życie była ozdobą i zaszczytem, przez pewien przeciąg czasu jedyną prawdziwie artystyczną siłą. Schyłku, zmierzchu, smutnego starzenia się, nie było w jej zawodzie. W dziejach polskiego teatru jej imię zapisze się między pierwszymi — ale w dziejach teatru krakowskiego, którego nie opuściła przez całe życie, ono powinno się zapisać jako imię artystki, która na tej scenie była najznakomitszą, i swoim talentem, przykładem, wpływem na młodszych aktorów, podnosiła tę scenę przez lat przeszło trzydzieści.

Tylko, zapisane w historii teatru, to imię choć zostanie w pamięci ludzkiej, będzie pustym dźwiękiem: nikt nie pozna, co ono zawierało w sobie. Dlatego tem smutniej ją żegnać, dlatego z rzewnem współczuciem i pożałowaniem myśli się i powtarza:

Schnell und spurlos geht des Mimen Kunst,
Die wunderbare an dem Sinn vorüber.

Kiedy pisano ostatnie sprawozdanie, sezon dramatu kończył się i były potem już tylko dwa przedstawienia. Z dawnego polskiego repertuaru (pielegnowanego starannie i roztropnie) widzieliśmy Korzeniowskiego: *Wasy i Peruka*, któryto utwór reprodukowano poprawnie, a w wielu miejscach doskonale; odznaczył się przedewszystkiem p. Roman w charakterystycznej roli Brzechwy. W komedyi tej wystąpił też p. Kotarbiński, jako Wojewodzie. Rzadki na scenie gość, niemal zupełnie bezczynny przez cały sezon, bo z niedocieczonych wyroków nie dostający całkiem ról, musiał czekać aż benefisu, żeby wzbogacić swój repertuar. Benefisem p. Kotarbińskiego zakończył się

sezon. Artysta wybrał sobie dramat Henryka Laubego: *Hrabia Essex*, wzbogacił nietylko zasób swych ról, ale też dorzucił poważny utwór do scenicznego repertuaru.

Hrabia Essex pojawił się w r. 1856 i należy już do historii literatury, co uwalnia od szczegółowego rozbioru, bo sąd o tem dziele jest już ustalony. Najlepszy z dramatycznych utworów Laubego, nie jest dziełem wielkiego natchnienia, którego autor nigdy zresztą nie miał, ale jest bardzo estetycznie „robiony“ i do wymagań scenicznych zastosowany przez wielkiego estetyka i największego może po Lessingu znawcę teatru. Niema też tutaj głębokiej charakterystyki psychologicznej, ale jest pathos, które robi ze sceny potężne nieraz wrażenie. Bądź co bądź utwór ten należy do lepszych nabytków niemieckiej sceny, a ma jedną zaletę zasadniczą: że nie obniża poziomu umysłów i serc słuchaczy, lecz należy do literatury szlachetnej.

Tytułową rolę wybrał dla siebie benefisant, a zrobił z niej rolę wielką pod każdym względem. Wdzięczna to rola, bo pozwala okazać się aktorowi z rozmaitych stron; są ustępy niemal sielankowo-liryczne, są rezonerskie, niebrak wesołych, a tragizmu cała skala, od tkliwego wzruszenia i serdecznego bólu, który ledwie mimiką można wyrazić, aż do wielkiego koturna pathosu; wyzyskał to wszystko artysta wszechstronnie, a w niektórych scenach porywał słuchaczy; wyborna maska podnosiła też wartość roli. Występ ten zaliczyć należy do najlepszych popisów p. Kotarbińskiego, to też słusznie należały mu się burzliwe oklaski, któremi go darzyła szczerze publiczność. Artyście temu należy się nadto uznanie za to, że rolami swemi zwykł wprowadzać na scenę utwory zaprawdę godne przedstawiania; gdy on występuje, publiczność wie, że nie będzie musieć słuchać ramoty. Czyżby dlatego tak rzadko występował, że dla jego rodzaju talentu nie może się znaleźć więcej miejsca na krakowskich deskach?

Znakomitą partnerką benefisanta była p. Morska w roli hrabiny Rutland, żony Essexu. W całym sezonie nie było roli żeńskiej równie starannie a trafnie oddanej, jak ta; do rzadkości należy podobnie głębokie przejęcie się rolą. Artystka posiada nietylko talent polegający na poruszeniu estetycznej wrażliwości widzów, ale wyższy dar przemówienia do ich serc; pod wrażeniem jej gry odczuwa się wszystko i zapomina się, że się jest tylko w teatrze. Jeden tylko raz wystawiono *Hrabiego Essexu*, nie było przeto sposobności na szczegółową analizę faktury jej roli; szkoda, bo wartoby przeprowadzić szczegółową analizę wykonania, jako roli pod każdym względem wzorowej i mającej służyć za przykład. Talent p. Morskiej, jeżeli się będzie dalej rozwijać, winienby dojść do szczytów aktorskiej sztuki; oby znalazła do tego jak najwięcej sposobności. Są pewne utrudnienia fizycznej natury w rolach bohaterkich; ale talent ożywny zapalem może zmusić widza, żeby zapominał o tem; ważniej-

szym o wiele od wzrostu jest głos, a ten posiada p. Morska jak najlepszy, ze skalą rozległą, a ze znakomitą modulacją. Średniemu talentowi wzrost dopomoże, żeby się wydał większym; wielki talent doprowadzi do tego, że wzrost mu nie będzie zawadzać. Po *Essexie* należy to uważać za wykonane u pani Morskiej.

Niestety ten występ znakomitej artystki był pożegnalnym. Mielśmy tedy aż nazbyt dobrą sposobność przekonać się, co teatr traci; pod tym względem panuje zupełna jednomyślność krytyki i publiczności. Jeżeli Dyrekcyja mniema, że bez p. Morskiej nie obniży się, i to znacznie, poziom grona aktorskiego, a zatem także ogólny poziom sceny, jeżeli sądzi, że dalszy udział tej artystki nie jest pierwszorzędną sprawą dla naszej sceny, skazanej z natury rzeczy na skromne warunki — w takim razie jest z tem swoim zdaniem zupełnie a zupełnie osamotniona. Żeński personal i tak za szczupły; dość już straty p. Siennickiej, a mamy jeszcze utracić najlepszą? Dyrekcyja sprawiła publiczności wielką przykrość. Decyzya należy oczywiście z zasady do Dyrekcyi, bo tego wymaga porządek; krytyka zaś przekroczyłaby swe szranki, gdyby chciała wywierać jakąkolwiek presyę (której możnaby używać nieraz na dobre, ale jeszcze częściej i łatwiej na złe); nie powinno się też brać udziału w ościenniej wojnie domowej, a grzechem byłoby rozdmuchiwać ją niewczesnem wrywaniem się; jest wprost obowiązkiem zachować nadal nieuszczerploną życzliwość i bezstronność wobec teatru — niemniej przeto należy jednak również bez osłonek złe nazwać złem i stwierdzić, że ubytek p. Morskiej, to zubożenie sceny.

Zakończył się tedy sezon dramatu pod jak najprzykrzejszem wrażeniem.

Przyzwyczailiśmy się już miewać na lato operę. W zeszłym miesiącu było dwanaście wieczorów operetki lwowskiej, która w „wywozowym“ swym repertuarze miała tylko dwa utwory, godne tych desek. Obecnie mamy operę włoską.

Podnosiły się głosy i jeszcze one nie przebrzmiały, że narodowa scena nie dla cudzoziemskiego śpiewu i albo polska opera, albo nic! Przedewszystkiem jedno pytanie: co lepsze, czy Włosi śpiewający po swojemu, czy Polacy czyniący to po włosku, jak to nieraz bywało? Pojęcie „narodowej“ sceny pod tym względem trochę chwiejne, a mieszanina językowa sprawia wrażenie nieestetyczne; był jednak czas, kiedy Lwów słuchał takiej siekanki przez cały sezon, a nie dawno w Krakowie polska Małgorzata śpiewała partyę po włosku. Patryotyzm powinien być wszędzie, a więc w teatrze także; ale z tym teatralnym patryotyzmem trzeba być bardzo ostrożnym, a zwłaszcza nam, pochopnym strasznie do wzywania imienia ojczyzny na-

daremno! Stałym językiem naszej sceny musi być polski i gdyby pod tym względem zanosilo się na zmianę, byłoby obowiązkiem stronić od teatru; ale gościnność powinna być dla języków obcych, bo inaczej staniemy się... śmieszni. Dla opery zaś jest język włoski uniwersalnym i niema takiego kraju w Europie, w którymby ze sceny nie śpiewano kiedyniekiedy po włosku. W Budapeszcie były skandale o kilka przedstawień komedii niemieckiej; może to dowód wielkiego patryotyzmu? Uchowajże Boże, żebyśmy z dzisiejszych Węgier mieli sobie czerpać jakiekolwiek wzory i nie zazdrośmy tym patryotom — którzy wczoraj jeszcze nosili nazwiska wcale nie mądziarskie — że odkryli światu, jako mury starożytnej ich stolicy tak są słabe, iż głosy kilku niemieckich aktorów byłyby się tam stały jerychońskimi trąbami Jozuego. Radujmy się, że gdy w grudniu było w naszym teatrze kilka niemieckich wieczorów, nie było wcale obawy o krakowskie mury; nie zatrząsą się one od niczyjej trąby, ani od niemieckiej, ani od włoskiej, ani od... lwowskiej. Nawiasem dodajmy, że do patryotyzmu należy starać się usilnie o to, żeby być Europejczykiem; pod tym względem Kraków miał zawsze znaczną ambicję, ma tradycję nawet piękną w tej mierze, a dzisiejsze pokolenie kroczy dalej naprzód w tym kierunku.

Ażebymy mieć stałą operę, musiałyby Kraków być dwa razy większym miastem, a do tego jest u nas bardzo znaczna część publiczności (inteligentnej), dla której ta sprawa jest zgoła obojętną. Oto Kraków niema tradycyi muzycznej, jest miastem grubo niemuzykalnem (w porównaniu choćby ze Lwowem), a wszelkie próby zaszczepienia zamiłowania do muzyki, natrafiają tu na grunt bardzo niewdzięczny. A jednak jest znaczny postęp, gdy się porówna dzisiejszy stan rzeczy z tem, co było za poprzedniego pokolenia, a nawet w ostatnich latach dziesięciu postęp jest całkiem widoczny. W niedalekiej przyszłości będzie ten postęp jeszcze raźniejszym, gdy mianowicie konserwatorium zrośnie się z tradycją miejscową, gdy oddanie syna lub córki do tego zakładu stanie się pospolitą rzeczą, nie zwracającą niczyjej uwagi. Przez szkoły muzyczne, a nie przez nic innego, stają się całe miasta muzykalnemi, bo uczniowie szerzą ze szkoły melodye po domach i w rodzinnem kole, oni robią propagandę pieśni, która coraz szersze roztaczając kręgi, udziela się wreszcie (np. w Wiedniu) fiakrom i praczkom. U nas nie znać jeszcze ani nawet początków tego szlaku, po którym do brukowego „oj dana“ zstąpią kiedyś motywy z *Halki*.

Tem pożądanym jest, żeby co roku koniecznie zjeżdżała do nas na pewien czas opera, bo to *zaciekawia* do muzyki, zbliża do niej niejednego, który inaczej cały rok nawet sobie jej nieprzypomni inaczej, jak tylko wymyślając na domowy fortepian. Dyrekcyi należy się uznanie i wdzięczność, że nas co

roku darzy operą; zmiana zaś, która zaszła w tym roku, ma swoje dobre strony. Przez dwa lata pp. Bandrowski i Heller urządzali *stagione* polską i to tak dobrą, że żadna polska scena, ani nawet warszawska, nie mogłaby *na stałe* posiadać tytułu wybornych solistów, z tej prostej przyczyny, że niebyłoby czem opłacić ich przez cały rok, a zwłaszcza w czasie właściwego sezonu operowego, kiedy znakomity solista ma do wyboru tyle pierwszorzędných teatrów. Z zebrania najlepszych polskich śpiewaków i śpiewaczek z całej Europy, mieliśmy w teatrze istną „wystawę muzyczną“ polską, a bywały przedstawienia takie, że co do obsady solistów mogła ich zazdrościć małemu Krakowowi opera wiedeńska i berlińska. Ale znakomici ci soliści tu dopiero po raz pierwszy śpiewali razem i nie tworzyli nigdy żadnej całości artystycznej; chóry zaś nie tylko nie umiały dostroić się do całości, ale były rażąco słabe w porównaniu z solistami; nie mogło też być inaczej, bo środki materyalne nie mogły starczyć na to, żeby się postarać o chóry godne takich solistów. Nie mogło przeto być w tych przedstawieniach t. z. *ensemblu*, jednolitości i równomiernego wyzyskania całej opery: Był to niejako t. z. „system gwiazd“, w którym kładzie się całą usilność w to, żeby scenie zapewnić wielką „gwiazdę teatralną“, ale za to niedba się o jej otoczenie. System ten dobry był dla nas, bo tylko w ten sposób mogliśmy poznać kolejno cały szereg słynnych śpiewaków. Dzisiejsza opera włoska jest czemś wręcz przeciwnem i uzupełnia doskonale wrażenia wyniesione z lat poprzednich; przedtem okazywano nam niejako, jak p. X. śpiewa w pewnej operze, a teraz okazuje się, czem ta opera jest. Niema tu ani jednej „gwiazdy“, ale za to jest *cała trupa*, nie przygodnie zebrana na kilka tygodni, lecz śpiewająca razem już od dłuższego czasu, „zgrana“ i zważająca na każdą drobnostkę pod znanem sobie kierownictwem; są też chóry takie doskonałe, jakich Kraków nigdy jeszcze nie słyszał i chyba nie tak łatwo znowu kiedyś usłyszy. Można powiedzieć, że w polskiej *stagione* bywała scena oddaną śpiewakom, a w obecnej włoskiej służy ona dziełom muzycznym; poprzednio chodziło o to, żeby Krakowianom zaprezentować pana X i panią Y., a teraz zapoznaje się ich z literaturą muzyki scenicznej w sposób normalny.

Wartość tej opery polega na znakomitym *ensemblu* i wystarczających zupełnie siłach solistów; dużo jeszcze minie czasu, zanim *stała* polska opera będzie mogła być tak dobrą, jak ta średnio-dobra włoska, która teraz u nas gości; to zaś, co w niej jest najlepszego, przerasta nawet średnią miarę artystyczną. Ogólny jej poziom nie zadowolnilby oczywiście wymagań np. stałych abonentów opery paryskiej; ale też byłoby zabawną rzeczą mieć w Krakowie paryskie pretensye i udawać zgrymaszonego. Są jednakże wśród przedstawień tej trupy i takie, które nawet abonenci Wielkiej Opery musieliby nazwać ndatnemi pod każ-

dym względem, a zatem trupa ta na nasze warunki jest nie tylko dobrą, lecz bardzo dobrą.

Z solistów na pierwszym miejscu stoi p. Broggi - Muttini, baryton, wyborny i śpiewak i aktor, co do którego niema wątpliwości, że byłby ozdobą każdej wielkiej sceny; nie jest też stałym członkiem tej trupy, lecz opery medyolańskiej, sprowadzony w ostatniej chwili, gdy trupa w drodze do Krakowa zgubiła swego barytona. Jest on tutaj niejako „gwiazdą“, ale się nie puszy, nie stara się, żeby obecnością swoją zepchnąć innych na drugi plan i pamięta, że nie opera dla niego, ale on dla opery. Obdarzony wielkim taktem scenicznym, dąży widocznie w każdym przedstawieniu do tego, żeby publiczności pokazywać nie siebie, lecz partycyę za pośrednictwem swej osoby. Wielka to cnota u aktora i śpiewaka! — Obok barytona stoi bas, p. Gondolfi, z głosem olbrzymim a świeżym i o przepięknej barwie; podobny bas rzadko można słyszeć. Drugi bas, p. Ferraioli, sekunduje mu doskonale, a jest też dobrym aktorem. Pierwszy tenor, p. Cockinis, nie dorównywa wartością p. Gondolfiemu, ale ma przyjemną barwę. Baryton i bas stają tu znacznie wyżej średnich wymagań, tenor p. Cockinisa utrzymuje się w sam raz w tym poziomie, czasem chwilowo wznosząc się wyżej, ale nigdy nie opadając niżej. Nie można już tego przyznać tenorowi p. Delle-Fornaci, jakkolwiek uwzględnić trzeba, że prześladuje go nieustannie niedyspozycya. Trzeci tenor, pan Morlacchi, ma bardzo mały głos i jest już stanowczo niżej średniego poziomu. Z żeńskich głosów wybija się najbardziej alt p. Paganelli; liryczny sopran i koloratura p. Colombati jest też prawie zawsze ponad średnim poziomem, dramatyczny zaś pani Giuliani możnaby zestawić w tej hierarchii na jednym szczeblu z tenorem p. Cockinisa: nie da nigdy za mało, czasem zrobi niespodziankę i da znacznie więcej, niż się spodziewano i wymagano. Wreszcie pani Shaw zdąża za dobrym przykładem tamtych koleżanek, a zawodu nie robi nigdy. To są główne osoby trupy i najwybitniejsze głosy; w krytykę ich właściwą, tj. w rozbiór zalet i usterek, szkoły i środków śpiewackich, w stosunek interpretacyi do tekstu muzycznego itd. wdawać się nie możemy, nie posiadając zawodowego znawstwa. Nie krytykę też, lecz tylko sprawozdanie tymrazem podajemy.

Repertuar stanowiły dotychczas następujące opery: Verdi'ego *Rigoletto*, *Ernani*, *Trubadur*, *Traviata*, *Bal maskowy*; Donizetti'ego *Favorita*; Rossiniego *Cyrulik sewilski*; Belliniego *Norma*; Ponchielli'ego *Gioconda*; Mascagniego *Cavalleria*; Leoncavallego *Pajace*; z francuskiej muzyki: *Fra Diavolo* Auber'a i *Faust* Gounoda. Mamy więc przedewszystkiem opery włoskie i to jest zupełnie dobrze, bo poznajemy rodzimą ich interpretacyę; trupa jednakże nie traci nic, gdy przechodzi do muzyki obcej; dotychczas przynajmniej można było być zupełnie zadowolonym

z ich oper francuskich, a *Fra Diavolo* był wystawiony i odśpiewany doskonale.

Wystawa i reżyserya są bardzo dobre. Na każdym przedstawieniu znać wielką staranność, niemal pietyzm dla dzieła sztuki; widzi się, że całe to grono lubuje się w swoim zawodzie i nie śpiewa bezmyślnie, byle swoje odśpiewać i zebrać oklaski, ale odczuwając piękno melodyi, samo się tem pieści i pragnie gorąco, żeby przedewszystkiem rzecz sama spodobała się słuchaczowi, żeby jak najwięcej tego piękna publiczności udzielić; odczuwa się każdego wieczora, że ci ludzie uważają swój zawód za służbę u mistrzów, których dzieła reprodukują. Rzadko kiedy widzi się na scenie tyle harmonijnego współdziałania, tyle prawdziwie wspólnej pracy, tyle szlachetnego artystycznego koleżeństwa, jak u tej włoskiej trupy, a to budzi dla nich sympatyę i zwiększa uznanie. Doskonale też mają zrozumienie dla ducha wystawianych utworów. Ich *Rigoletto*, *Fra Diavolo*, *Cyrulik sewilski* mogłyby pójść na każdą większą scenę i wszędzie byłyby gorąco oklaskiwane, dzięki wybornemu *ensemblowi*, a *Ernani*, *Gioconda*, *Norma* nigdzie nie zrobiłyby im wstydu. Niektóre ustępy stanowią prawdziwą rozkosz dla ucha i oka.

Publiczność trzymała się zrazu w rezerwie, potem udział się ożywił, ale dwa razy tylko wysprzedano „cały teatr“. To źle, bo może nie prędko zdarzy się druga sposobność, żeby usłyszeć w Krakowie tak *całkiem* dobrą operę, tj. dobrą we wszystkich swych częściach składowych, reżyseryi, solistach i chórach. Chóry zwłaszcza są tak dobre, że nie można mieć dla nich dosyć słów pochwały, a wyćwiczone w sposób zdumiewający. Czyżby przeszkodę stanowił język? Znaczna część publiczności uczęszcza wszędzie na operę nietyle dla słuchu, ile dla wzroku; u nas nie może być inaczej: ta publiczność żąda też „treści“ w operze i nie lubi dlatego obcego języka. Ależ czy polskich śpiewaków rozumie się tak dalece? ¹⁾ a zresztą dyrekcyja drukuje na afiszach treść fabuły, co jest rzeczą bardzo roztrotną. Zdaje się, że publiczność chce koniecznie pierwszorzędnych solistów. Jestto nieporozumienie; co było przez dwa lata, nie było wcale ideałem opery, lecz tylko jego połową, osiągniętą przez tę ofiarę, że drugiej połowy trzeba było niemal zupełnie zaniedbać (liche chóry, zupełny nieraz brak *ensemblu*). Teraz nie mamy żadnych „słowików“, ale za to mamy śpiewaków dających nam operę *wszecstronnie*, co do poznania tych dzieł jest właśnie pierwszorzędnym warunkiem. A zresztą — cudzoziemskie „słowiki“ nawet nie wiedzą, gdzie Kraków, a do ubogiego małego miasta

¹⁾ Kilka osób znających język włoski dziwiło się, że rozumieją znacznie lepiej, niż na polskiej operze. To nie wina polskich śpiewaków, ale zasługa języka włoskiego, który musi być w śpiewie zrozumialszym, mając mało spółgłosek. Żadnych wniosków o wymawianiu w śpiewie wysnuwać z tego nie można.

trudno sprowadzać tenorów z Paryża, bo wtedy dopieroby teatr świecił pustkami, z powodu — cen! Tym pretensyom dajmy spokój, bo nam z niemi nie do twarzy.

Czyżby może względy „patriotyczne“ odstręczały od nie-polskiego śpiewu? Taki patryotyzm — to blaga! Autor korespondencyj do dzienników lwowskich, korespondencyj prawdziwie aż paszkwilanckich, niechaj odkryje przyłbicę, żebyśmy wiedzieli *kto* daje lekcye patryotyzmu; wartość wszelkich lekcyj zawisła bowiem ściśle od osoby nauczyciela — nuż może korespondentem tym jest ktoś taki, kto sam pełen jest patryotycznego poświęcenia i nie samem słowem tylko, lecz szeregiem obywatelskich czynów? Natenczas korespondencye zyskałyby na wartości.

Prasa krakowska nie chciała widocznie umieścić tych elukubracji, skoro aż *via* Lwów trzeba było wołać na Krakowian, żeby się nie dopuszczali zdrady stanu, uczęszczając na włoskie widowiska. Jest to charakterystyczne. Bądź co bądź, wyrabia się w Krakowie jakaś europejska atmosfera i co we Lwowie zyskuje naiwny poklask, w Krakowie uchodzi już za cudaetwo. Dużo, bardzo dużo jeszcze i u nas pomieszania pojęć, ale jest jakaś granica, której nikt nie przekroczy. Oby ta granica była coraz ciaśniejszą, obyśmy coraz bardziej byli Europejczykami, bo to i tak jedyny sposób podniesienia imienia polskiego! Niech się więc otworzą oczy tym, którzy mają może patryotyczne wątpliwości, czy kupić bilet „na Włochów“. Śmiało, z czystem sumieniem mogą oddać się estetycznym wrażeniom, pochodzącym z Włoch, i zabrać je, utrwalić w pamięci, żeby w Krakowie (więc w Polsce) zostały; będzie to wyprawa zdobywcza na Włochów, po której, jako łupy, pozostanie jakaś tradycya, która będzie miała kulturalną wartość. Obecność tej opery w Krakowie podnosi niewątpliwie poziom kulturny miasta; czem więcej można poznać, czem więcej można użyć dobrego i pięknego, nie wychylając się z Krakowa, tembardziej staje się „gród jagielloński“ europejskiem miastem, a kto (jeżeli może) nie chciałby z tego korzystać, ten nadaje się na obywatela pacanowskiego, ale nie krakowskiego — bo „jagielloński“ gród, ile razy kwitnął, zawsze był punktem zbornym różnojęzycznych dorobków kultury, które na miejscu przetapiał na polskie; za złotych zaś owych czasów mowa włoska rozbrzmiewała na jego ulicach, w kościele św. Szczepana były włoskie kazania, a muzyki nie mogło być innej, jak włoska. Za tych złotych czasów nie przyśniło się nikomu mierzyć patryotyzm jakimis̄ fatałaszkami; miano wtenczas do tego inne, a potężne miary. Gotujmy się raczej do tego, żeby dorósć na nowo do tych miar wielkich, żeby mieć *co* do mierzenia, a oburzmy się na przypuszczenie, jakoby nasz patryotyzm był — teatralny!

Dr. Feliks Koneczny.

Przegląd polityczny.

Kraków 30 czerwca 1897 r.

Kronikę ważnych na scenie świata wypadków zaczynamy tymrazem od bardzo drobnego, bardzo miejscowego, ale nie pozbawionego wagi, przynajmniej jako oznaka, a ciekawego jako charakterystyka naszego stanu.

W letnim teatrze, w ogrodzie Krakowskim, zapowiedziana była sztuka pod tytułem *Kusiciele Ludu*. Przedstawienie się zaczęło. Pewna liczba socyalistów, czy z p. Dąszyńskim na czele albo nie, to już wszystko jedno, zaczęła protestować i przeszkadzać grze. Komisarz policyi perswadował, prosił, ale nic nie uprosił. Kurtyna zapadła, widzowie musieli wyjść, dyrektor teatru musiał obiecać, że tej sztuki wystawiać nie będzie.

W parę dni później, ukazała się ona znowu na afiszu. Środki ostrożności przedsięwzięto; publiczność, przygotowana i zdecydowana nie dać się terroryzować. W ostatniej chwili sztuka odwołana znowu — na własne żądanie zastraszonego autora jak chcą jedni, z wyższego natchnienia dla świętego spokoju, jak pocichu mówią inni.

Ta ostatnia okoliczność obchodzi nas mało. Ani też o to nie pytamy, dlaczego sztuki zwrócone przeciw socyalistom i ich praktykom, nie mają grywać się na scenach, kiedy grywa się ich wiele zwróconych przeciw szlachcie,

przeciw mieszczaństwu, czasem nietylko przeciw duchowieństwu, ale przeciw samej religii. O sprawiedliwość i jedną miarę dla wszystkich już nie pytamy. O jedno tylko pytamy. Co się stanie z porządkiem publicznym, jeżeli dalej tak pójdzie? co się z nim już dzieje?

Czy socjaliści mają prawo lub przywilej gospodarować w teatrze lub gdziekolwiek indziej? Jeżeli to prawo czy ten przywilej mają, to niechże on będzie obwieszczonym, żebyśmy wiedzieli czego się mamy trzymać i spodziewać. Ale jeżeli tego prawa czy przywileju nie mają, to dlaczego pozwolono im zrobić bezprawie? Jeżeli za pierwszym razem nie było dość pięści do odparcia ich pięści, to dlaczego za drugim razem dano im postawić na swoim? Ten drobny fakt wskazuje, że jesteśmy już na tym punkcie, na którym anarchia umysłów przechodzi w terroryzm faktyczny i czynny. Nie to nie znaczy i nie pomaga, że winni mieli być ukarani policyjnym aresztem. Z tych kilku lub kilkunastu dni aresztu niewiele oni sobie robią; ale z tego robią sobie wiele, że postawili na swoim, zrobili co chcieli, nabrali zaufania do własnego terroryzmu, przekonali się, że on skutkuje, i że groźbą można zastraszyć, odwrócić co się nie podoba, a wymóżyć co się podoba. Taka próba, raz pomyślnie odbyta, zechce się powtarzać. Powodzenie zachęca, dodaje odwagi. Kiedy się udało w teatrze, czemuż niema się udać gdzieindziej? Jeżeli ksiądz z ambony plecie jakieś religijne brednie oburzające dla postępowych umysłów, czemuż go nie zakrzyczyć albo nie ściągnąć z ambony? Jeżeli profesor prawa lub ekonomii śmie wyklądać swoją naukę w sposób niezgodny z teorią tych panów, czemuż mu pozwalać? Od czegoż płuca i pięści! Opowiada się po mieście historia, nie wiemy o ile stwierdzona, że po ostatnich wyborach jeden z dzienników krakowskich (nie *Czas*) chciał ogłosić artykuł o wyborze p. Daszyńskiego. Ale artykuł nie podobał się zecerom, i ci oświadczyli, że go składać nie będą. Redakcyja cofnęła artykuł. Zecerzy stają się więc redaktorami! Tylko, jak się ta partya zaprawi do rządzenia w drukarniach, w redakcyjach, w teatrach, to naturalnie zechce rządzić wszędzie i możemy pewnego pięknego poranku dowiedzieć się, że p. Daszyński lub inny podobny nie pozwolił staroście wydać

tego lub owego rozporządzenia, albo kazał dyrekcji policji wypuścić tego lub owego aresztowanego.

To nie żart wcale — jesteśmy na tej drodze. Kto małym rzeczą folguje, ten większe znosić będzie musiał. Ostatnie wybory mogły nas o tem dostatecznie nauczyć i przekonać. A kto na bezprawia i pogroźki patrzy przez szpary, dla miłej zgody niby i świętego spokoju, ten przygotowuje coś zupełnie innego jak zgoda i spokój. Co przez to dobrego robi krajowi, państwu i społeczeństwu? Nie wiemy, ale zdaje nam się, że niewiele.

Cała historia Austrii w bieżącym stuleciu obraca się około pytania, czy ustrój jej ma być zastosowany do historycznego rozwoju krajów, w jej skład wchodzących, czy też do teoretycznie usprawiedliwionej zasady jednolitego państwa o silnej władzy centralnej i centralnym parlamencie, ogarniającym wszystko i wszystkich. Od r. 1848, w którym w komisji konstytucyjnej *reichstagu* postawił Palacky znany wniosek utworzenia ośm grup krajów: niemiecko-austriackiej, czeskiej, polskiej, illyryjskiej, włoskiej, południowo-słowiańskiej, węgierskiej, rumuńskiej, aż do dzisiejszej walki o rozporządzenia językowe w Czechach, występuje przy każdej trudności polityki wewnętrznej na pierwszy plan pytanie: czy mają w Austrii sejmy czy parlament mieć głos rozstrzygający. Dyplom październikowy z r. 1860 dawał sejmom przewagę, obecna konstytucya, oparta na patencie lutowym z r. 1861, rozstrzygnęła na korzyść parlamentu.

Właściwego parlamentaryzmu na modłę np. angielską, nigdy w Austrii nie było. Stan rzeczy u nas nazwać wypada konstytucjonalizmem. Uznaje to nawet ustawa zasadnicza z r. 1867, która istnienie związku między Austrią a Węgrami czyni zależnem nie od parlamentarnej, ale od konstytucyjnej formy rządu w Austrii. Łatwem to jest do pojęcia, jeżeli się zważy, że organizm Austrii jest najzupełniej odmienny od ustroju innych jednolitych państw europejskich. Największem jest szaleństwem, chcieć przenosić formułki rządzenia, jakie są odpowiednie dla jakiego organizmu państwowego, do innego, żyjącego wśród zupełnie odmiennych warunków i złożonego z zupełnie odmiennych części. Teoretyczne, na papierze pięknie opracowane formy

rządów, są w praktyce zupełnie nieprzydatne. Forma rządzenia musi powstać ze stosunków, wyrobić się przez praktykę, polepszyć przez życie. To też konstytucjonalizm austriacki walczył ciągle z teoretycznymi formułkami o parlamentarystyce, jakie chcieli w Austrii zaprowadzić teoretycy z rodzaju liberalistów niemieckich. W Austrii *musi* władza Korony stać ponad władzą parlamentu, w Austrii *nie* może znaleźć zastosowania formułka: *le roi règne, ne gouverne pas*. W Austrii musi ponad parlamentem stać jeszcze ktoś wyższy, albowiem parlament jest często tylko wyrazem dążności odśrodkowych i nieraz nie jest w stanie zgodzić się na jeden oznaczony cel. W tym stanie rzeczy musi reprezentować ideę państwa ktoś, stojący ponad i po za parlamentem.

Nie ulega wątpliwości, że podstawą parlamentarystyki austriackiego, tak jak on się aż do hr. Taaffego rozwijał, byli w pierwszej linii Niemcy. Pomimo ciągłych krzyków na upadek wpływu Niemców w Austrii, pomimo obecnych trzech ministrów Polaków nie da się zaprzeczyć, że charakter Austrii pozostał i jest nawet dotąd niemieckim. Historia, pochodzenie dynastji rządzącej, konieczność kitu, łączącego różnorodne części, wysokość stopnia cywilizacyjnego Niemców, to wszystko sprawiło, że Austria dotąd jest państwem niemieckim, w którym język władz centralnych i język armii jest niemieckim, w którym na wszystkich ważniejszych posadach są Niemcy. W tem państwie równouprawnienia uchoǳi dotąd jeszcze każde prawo, nadane innej jak niemieckiej narodowości za krzywdę wobec Niemców, w tem państwie równouprawnienia mówi się dotąd o „koncesyach“ dla narodowości lub innych — o *koncesyach* tam, gdzie winno się mówić wszędzie i zawsze tylko o *prawach* i obowiązkach.

Ta przewaga Niemców w parlamencie i w państwie nie wywołuje oporu tak długo, jak długo Niemcy występują rzeczywiście jako stronnictwo *państwa*, albowiem ich przewaga odpowiadać ma w pierwszej linii interesowi państwa, potrzebującego kitu, łączącego różnorodne części. Ta przewaga Niemców, tak naturalna i że tak powiemy, tak potrzebna, wkłada jednak na Niemców obowiązek *sprawiedliwości*. Z natury rzeczy odgrywają Niemcy w Austrii pierwszą rolę, ale muszą przytem dozwolnić, ażeby inne

narodowości mogły rozwijać się spokojnie w granicach swoich krajów, i dlatego muszą Niemcy *wewnątrz pojedynczych* krajów nie żądać innych praw, jak inne narodowości. Niemcy austriacy mogą tylko pod tym warunkiem rządzić *państwem*, jeżeli się szczerze i otwarcie zgodzą na przeprowadzenie równouprawnienia w *provincjach*. Wszędzie i zawsze wypada odróżniać rolę Niemców w *państwie* i w *krajach* poszczególnych.

Na nieszczęście dla Austrii i na nieszczęście dla siebie nie pojęli Niemcy austriacy tej roli historycznej, jaką mogą i powinni odgrywać w Austrii. Od początku życia konstytucyjnego dążyli oni tutaj do uniemożliwienia rozwoju narodowości słowiańskich w pojedynczych krajach. O każdą szkołę słowiańską wypadało prowadzić walkę, o najmniejsze uprawnienie trzeba było wojować do upadłego. Niema nie charakterystyczniejszego jak historia szkoły w Cylei lub szkoły w Cieszynie, jak historia sądu w Wekelsdorf itp. W tej walce korzystali Niemcy zawsze ze swojego uprzywilejowanego stanowiska i każde dążenie słowiańskie w krajach charakteryzowali jako atak na ustrój państwa.

Na jedno warto jeszcze zwrócić uwagę. Hegemonii niemieckiej w Austrii, hegemonii *pure et simple*, niktby nie był uznał za usprawiedliwioną bez połączenia z inną jakąś ideą, która służyła jako pokrywka i jako szyld dla mas. Aż do niedawnych czasów przeważał w Europie prąd liberalizmu, doprowadzający w gruncie rzeczy do podkopania podstaw społeczeństwa, do wyzyskania słabego przez silnego, do negacyi przepisów religii katolickiej. Z liberalizmem połączyli się Niemcy w Austrii, liberalizm wywiesili jako sztandar, spodziewając się uspokoić w ten sposób dążności narodowe lub je pokonać. Liberalne formułki dawano ludom Austrii miasto równouprawnienia. „Kiedy przyszedł do rządów hr. Taaffe i ogłosił program równouprawnienia, to największym jego przeciwnikiem byli ci liberalni Niemcy. W gruncie rzeczy bał się i hr. Taaffe gruntownego przeprowadzenia równouprawnienia, jego ideałem było czynić każdemu ludowi pewne ustępstwa, ale w dozach homeopatycznych. Hrabia Taaffe nie dożył ostatecznego upadku partii liberalnej-niemieckiej. W chwili jego śmierci chwiał się jed-

nak liberalizm w całej Europie, a z jego upadkiem rozpoczęła się agonia liberalizmu niemieckiego w Austrii.

Przy ostatnich wyborach zniknęła partya liberalna niemiecka jako stronnictwo ludowe; mandaty, jakie otrzymała, zawdzięczała w prowincyach o mieszanej narodowości antagonizmowi między Niemcami a Słowianami, zaś w prowincyach czysto niemieckich udało się jej otrzymać tylko mandaty z izb handlowych i w małej części z miast. Szerokie warstwy ludności niemieckiej odwróciły się od liberalizmu i zwróciły ku innym bogom.

Do niedawna trudno było scharakteryzować tych nowych bogów. Niemcy austriacy mają tę właściwość, że nigdy nie wiedzą, czego właściwie chcą. Są oni z każdego istniejącego stanu rzeczy niezadowoleni, ale potrzeba zawsze jakiegoś zewnętrznego, choćby mało znaczącego impulsu, który zwraca ich dopiero w pewien oznaczony kierunek. Przy ostatnich wyborach dawały się spostrzegać między Niemcami austriackimi dwa prądy: prąd narodowy i antysemityzm. Oba te prądy walczyły z liberalizmem. W parlamencie brak było między Niemcami pewnej łącznej idei, ztąd rozbitcie na mnóstwo partyj i partyjek.

W tym stanie rzeczy ukazały się rozporządzenia językowe hr. Badeniego dla Czech. Nie było większej przysługi, jaką mogło ministerstwo oddać partyi liberalnej niemieckiej, jak przez te rozporządzenia. Ta partya, która nie miała żadnej *raison d'être*, ta partya, która nie wiedziała, co ze sobą począć, ta partya która tonęła, znalazła nagle środek ratunku. Jak tonący chwyciła się ona tych rozporządzeń i zaczęła — krzyżeć, bić pięściami o stoły w parlamencie, robić, jak brzmi ciekawe wyrażenie dziennikarskie, obstrukcyę.

Wyznajemy otwarcie, że ze stanowiska *partyjnego* liberalni Niemcy inaczej postąpić nie mogli. Ich krzyk był oznaką życia, a im silniej krzyczeli, tem więcej dowodzili wyborcom, że istnieją. *Clamo ergo sum.*

Raz jeszcze podnosimy, że pojmujemy postępowanie liberalnych Niemców z ich stanowiska partyjnego. Inaczej zupełnie przedstawia się jednak sprawa z ogólnego stanowiska Niemców w Austrii.

Krzyk liberalnych Niemców na rozporządzenia językowe miał przedewszystkiem ten skutek, że połączył ich z resztą Niemców, wyznających zasadę narodowości, i że zmusił ich do oddania się pod komendę najsilniejszych krzykaczy w tym kierunku. W walce tego rodzaju rozstrzyga nie głowa, ale płuca. Tak stanął liberalizm niemiecki w szeregach Ultragermanów z rodzaju Schönerera i tak wyszło z tych szeregów hasło o wyższości Niemców ponad innemi narodowościami w Austrii, „nisko pod Niemcami stojącemi.“ Walka o równouprawnienie językowe w Czechach zaczęła tak przybierać charakter walki o stanowisko Niemców w państwie, z walki prowincjonalnej chciano wytworzyć walkę w państwie, naprzeciw Słowianom austriackim zaczęli stawiać w szeregu bojowym Niemcy austriacy, germanizm przeciwko słowianizmowi. Radykalni narodowcy niemieccy zaczęli zwoływać zgromadzenia w Lipsku, w Dreźnie, szukali pomocy po za granicami Austrii, kierującą ideą był dla nich okrzyk: germanizm w niebezpieczeństwie!

Nie przeceniamy znaczenia tych usiłowań, sądzymy przeciwnie, że niedługo one znikną, ale pomimoto niemożemy zakryć oczów wobec tych zjawisk, które są w każdym razie symptomem chorobliwych stosunków. Nie wiemy, czy się hr. Badeniemu uda, dotrzeć do głębi choroby i położyć stanowczo koniec złemu, ale to nie ulega wątpliwości, że stosunki obecne w państwie i po za państwem są sposobne do radykalnej naprawy złego.

Naprawa ta nie może niczego innego dotyczyć, jak stanowczego określenia stanowiska Niemców w państwie i w krajach o mieszanej narodowości. My ze stanowiska polskiego zgadzamy się na to, ażeby w interesie państwowym uznać zasadniczo język niemiecki za język armii i język urzędów centralnych państwowych, ale wymagamy równocześnie jak najsilniej, ażeby w *krajach* nie mieli Niemcy innych praw, jak reszta narodowości. Ustępstwa, jakie czynią słowiańskie narodowości w Austrii na korzyść języka niemieckiego w państwie, są dyktowane względami utylitarnemi, względami na konieczną jednolitość funkcyj maszyny państwowej. Po za temi względami nie mają Niemcy w Austrii prawa

do żadnych innych przywilejów. Równouprawienie wszystkich narodowości jest zasadniczo uznane.

Pogróżek germanizmu nie potrzebują się Słowianie w Austrii obawiać. Widmo germanizmu jest najszkodliwsze dla samych Niemców austriackich, albowiem wywołuje ono widmo sławizmu i przypomina, że Niemcy są w Austrii w mniejszości. Na 15 milionów Słowian, jest 8 milionów Niemców w Austrii, a więc siła i liczba jest po stronie Słowian. Uprzywilejowane stanowisko Niemców w państwie polega na tem, że się zapomina o Germanach, a pamięta tylko o Niemcach austriackich. Najszkodliwszym dla Niemców skutkiem walki przeciwko rozporządzeniom językowym jest właśnie to przypomnienie istnienia germanizmu. Jeżeli więc walka przeciwko rozporządzeniom językowym przyniosła chwilowo pewną korzyść dla partii liberalnej niemieckiej, to zdaje się nie ulegać wątpliwości, że w dalszym ciągu stanie się ona jednym z kamieni grobowych dla tej partii. Germanizm w połączeniu z antysemityzmem wyprze niezadługo liberalizm niemiecki ze wszystkich pozycyj. Rodzaj antidotum przeciwko niebezpieczeństwu tego germanizmu stanowić będzie partya socyalno-chrześcijańska i partya konserwatywna niemiecka. W niedługim przeciągu czasu będziemy zapewne świadkami zapasów Luegera z Schönererem.

Jak obecnie jednak rzeczy stoją, chodzi przedewszystkiem o przywrócenie pokoju w Czechach. Bez zasadniczego określenia stanowiska Niemców w państwie i w krajach, tego pokoju tam nie będzie. Nasze stanowisko co do tego, pytania powyżej określiliśmy, zaś co do sposobu wyznania przemawiamy za załatwianiem wszystkich spraw narodowych przez sejmy. Przed to forum one należą, a nie przed forum parlamentu, który z natury rzeczy jest przedstawicielem prowincyj a nie narodowości. Zasadnicza interpretacya art. XIX ustaw zasadniczych zapomocą ustawy o stanowisku języka niemieckiego w państwie, a dalej przekazanie wszystkich spraw narodowych przed forum sejmów — oto środek, dający jakąś nadzieję wyjścia z obecnego labiryntu.

W polityce zagranicznej nie zaszło nic nowego. Rokowania względem pokoju między Grecyą a Turcyą wlokły się bez końca. Co chwila występowało jakieś nowe pytanie

na jaw, względem którego raz Grecya raz Turcya stawiała opór, a z oporem stron wojennych dzielił się i koncert europejski natychmiast na dwa obozy. Obecnie chciano załatwić przedewszystkiem sprawę odszkodowania wojennego i regulacji granicy. Inne pytania, jak pytanie t. z. kapitulacyj i umowy względem obustronnego wydawania przestępców, miały zostać załatwione w osobnej umowie. Zaraz po załatwieniu regulacji granicy, miały wojska tureckie opuścić Tessalię, gdzie dotychczas stały. Rząd grecki chciał pośrednio wywrzeć pressyę, szerząc wieści o okrucieństwach, jakie tam te wojska spełniać miały — wieści, których cel był za nadto przejrzysty, ażeby wzbudzić ufność w ich prawdziwość. Względem regulacji granicy przyjęto, przynajmniej ze strony pojedynczych mocarstw, za zasadę, że nowa granica ma przynieść Turcyi jedynie korzyści strategiczne bez zaboru obszarów zamieszkałych przez Greków, zaś co do wysokości odszkodowania to i tutaj nie brakło usiłowań, ażeby to odszkodowanie wypadło jak najniżej, przyczem smutne finansowe położenie Grecyi odgrywało najgłówniejszą rolę. Dla rządu tureckiego chodziło w pierwszej linii jak zawsze o zwłokę. Turcya liczyła i tymrazem znowu na możliwy dyssonans w „koncercie“, na niezgodę między pojedynczemi mocarstwami. Nie ulega jednak wątpliwości, że sułtan był w tej sprawie w bardzo trudnem położeniu. Po tylu ofiarach i zwycięztwach miał on ustąpić z Tessalii, nie osiągnąwszy nic, jak drobną sumę pieniędzy. Jeżeli już miało wojsko tureckie stamtąd ustąpić, to chciał on przynamniej móżdż przedstawić to wobec Turków, jako wynik pressyi mocarstw, a więc zwlekał i czekał na — pressyę.

Równolegle z temi rokowaniami pokojowemi toczyły się narady co do przyszłego losu Krety. Zasada autonomii pozostała niezmieniona, chodziło o wybór osobistości, jaka miała stanąć na czele nowego rządu. Z Paryża wysłała kandydatura byłego prezydenta Szwajcaryi, p. Numa Droz, i ta kandydatura stała na pierwszym planie.

Wśród tych zajęć na Wschodzie rozgrywał się w Niemczech dalej dramat, rozpoczęty sławną sprawą Tauscha i Leckerta-Lützowa. Komisarz policyjny Tausch, którego ministerstwo spraw zagranicznych oskarżało o najzawilsze intrygi,

został uwolniony. Podczas rozpraw sądowych starali się prawie wszyscy świadkowie wydać mu jak najpodlejsze świadectwo, o sławnym „Hintermannie“ nie mówiono ani słowa, przewodniczący rozprawy unikał i wzbraniał najmniejszej aluzji do tego przedmiotu, sprawa toczyła się tylko o przestępstwo kryminalne bez najmniejszego tła politycznego — i skutek był ten, że Tausch wyszedł z procesu zwycięzko a właściwym pobitym był minister spraw zagranicznych, baron Marschall, który całą tę sprawę rozpoczął, który nadał jej rozgłos europejski i który był autorem tego rozgłośnego zdania, że „ucieka on przed intrygantami do publiczności“. Publiczność niemiecka to zaufanie mu źle odpłaciła. Zaraz po rozprawie p. Marschall wziął urlop z powodu choroby, a w kilkanaście dni później rozeszły się wieści o przygotowywujących się zmianach na posadach kierowników polityki w Niemczech. Oprócz p. Marschalla ma ustąpić także p. Bötticher, a w dalszym ciągu i kanclerz książę Hohenlohe. Jako *Kommende Männer* wymieniają pp. Bülowa i Miquela. Polacy w Niemczech nie mają powodu smucić się temi zmianami. Za czasów ks. Hohenlohe wiał w Prusach wiatr nam nieprzyjazny; czy lepiej będzie pod jego następcami, przyszłość okaże. Jak na teraz wypada jedynie stwierdzić, że stosunki w Niemczech są niezdrowe. Proces Tauscha był symptomem, a symptomem są także owe ciągle zapowiedzi nowych *Kommende Männer*. Cała polityka zdaje się tam obracać około pytania, jak długo ma zostać u władzy który z ministrów i kiedy ma przyjść do władzy jakiś nowy kandydat. Żaden z ministrów nie może tam liczyć na przyszłość, bo już w chwili mianowania znajduje się gdzieś w ukryciu *der Kommende Mann*.

* * *

DWIE KARTY

Z DZIEJÓW EPOKI KSIĘSTWA WARSZAWSKIEGO.



I.

Dziewiętnastoletni podpułkownik bar. Karol Larisch.

Kartka z dziejów 1807 r.

Mieliśmy czternastoletniego generała artylerji litewskiej, z którego naśmiewał się tak złośliwie Fryderyk II na manewrach pod Wrocławiem. Sasi dali nam niedorostka za dygnitarza koronnego, który wyrósł wkrótce na ministra — a w kompucie wojsk narodowych i nadwornych, sporo było dzieciaków pułkownikami ojcowskich milicyj, chorążymi lub towarzyszami pancernego znaku. Ta wybujałość była owocem z posiewu ducha czasu, domową zabawką bez groźnych następstw. Z rodowej dumy lub dla błażej próżności przyodziane w wojewódzkie kontusiki lub w wojskowe szlify magnackie dzieci, nie wyrządziły nikomu żadnej psoty — a choć nie obroniły ojczyzny, nie przyczyniły się do jej zagłady. Przeciwnie, w epoce odrodzenia mazali synowie najczystszą krwią młodzieńczą grzechy swoich ojców i zapisali się — jak Włodzimierz Potocki — na liście nieśmiertelnych obrońców kraju.

Nie zgorszy i nie zadziwi zatem nikogo, iż w tytule niniejszego szkicu wymieniony młodzieniec, już w 19 wiośnie

życia zyskał rangę podpułkownika wojsk polskich. Zaciekawo niewątpliwie tylko ta podrzędna okoliczność, jak dziecko obcego rodu, nieosiadłego w Polsce, względem Polski niemającego narodowych obowiązków i wrodzonych uczuć serca, mogło się dosłużyć w Polsce tak wysokiej rangi wojskowej. Zagadkę zaostrza bowiem jeszcze i data na patencie nominacyjnym młodego bar. Larischa zamieszczona. Wskazuje ona na dzień 4 marca 1807 r., a zatem na ów rok błysków i nadziei, jakie ożywiły nanowo z chwilą ostatniego rozbioru kraju już zamglone oczy, osepiałe umysły i ostygłe serca.

Te nadzieje i błyski budził i zapalał głos pieśni:

Marsz, marsz Dąbrowski...

a pieśń tę — jak wiadomo — poniosły wówczas głucho echa i do Galicji „zachodnią“ nazwanej.

Wieści bez słów prawdy i prawdy oparte na wieściach przedzierały się tylko rzadko i z trudnością przez pilnie strzeżone roгатki, ściśle zamkniętej granicy austriackiej. Utrudnione komunikacye, policyjny nadzór, osłona cenzury i brak dzienników, pozbawiały wszędzie i wszystkich nieco pewniejszych wiadomości z francuskich teatrów wojen, z mocarstwami rozbirowemi w latach 1805 i 1806 zwodzonych. Po wsiach zauważano tylko krwawo zachodzące słońce, w pochody wojsk i miażdżące starcia rozplywające się chmury i nasłuchiowano szumu wiatru i liści, ażali nie podszepcze pomruku dział lub hasła do boju.

Niewiadomość i niepewność tego, co się „w świecie“ dzieje, były tak powszechne, iż kiedy około wrót dworów i zaścianków już maszerowały narodowe hufce, jeszcze z powątpiewaniem:

Mówił ojciec do swej Basi
Całkiem zapłakany,
Słuchaj Basiu! pono nasi,
Biją w tarabany...

Ta zwrotka nieśmiertelnej pieśni ¹⁾ oddaje jak najlepiej ową chwilę rzewnej niepewności, w jakiej znajdowało się polskie społeczeństwo w roku poczętym pod Austerlitz, a skończonym pod Jeną.

Każde usiłowanie i podjęcie czynu odzyskania narodowego bytu miało odrębny, właściwy sobie charakter — i szukało w pewnym, stosownie do dziejowej chwili patriotycznie podnieconym stanie, propagatorów i obrońców.

W latach 1805—1807 byli nimi księża i szlachta. Szlachta, wspierająca młodzież spieszącą do legionów we Włoszech, skupiać i zjeżdżać się poczyniała dla poufnej narady, co czynić należy, skoro wszystko powraca

z ziemi włoskiej do Polski.

Księża usiłowali znowu uspokoić mieszczan i lud wiejski, zaniepokojony ciąglą rekrutacją i rekwizycją wojenną dla odparcia jakiegoś opryszka, co według słów *Gazety Wiedeńskiej* (Nr. 59, z r. 1796) rabuje we Włoszech kościoły. Te obydwie stany zapalały też w pomroce niewiadomości pochodnie wiary i światła na drodze tym, co spieszyli:

By za twym przewodem
Złączyć się z narodem.

Niedziele i święta kościelne wybrane były dla porozumienia się i narady. Obywatelstwo ziemskie zjeżdżało się do kościołów parafialnych na nabożeństwo tłumnie, by usłyszeć od ks. proboszcza lub przejezdnych „ostatnie wiadomości“, dowiedzieć się co najbliższa przyszłość gotuje i jak nadal zachować się należy. Księża, posługując się biblijną allegoryą, zapowiadali z ambon pod formą mistyczną, a nieraz całkiem wyraźnie, rychłe przyjście wyznawcy nowej wiary

¹⁾ Twierdzenie wydawcy *Echa minionych lat* (Lipsk 1889) na str. 35, iż powyższa zwrotka odmiennie ułożoną została przez autora pieśni, zasługuje na wiarę, lecz nie na uwzględnienie, skoro nasi dziadowie, ojcowie, my i nasze dzieci odpisywali i śpiewali ją tak, jak wyżej podaną została.

politycznej, drugiego messyasza, co się zjawił i idzie dla oswobodzenia uciśnionych narodów i ludzi. Po nieszpórach rozprawiano zwykle na cmentarzu kościelnym szeroko i długo o wielkim Napoleonie, jak o meteorze, co świeci i pędzi wprost ku naszej ziemi.

Oczywiście działo się to wszystko za plecami starostów i komisarzy cyrkularnych, którzy pragnąc uspić czujność narodową, wręcz przeciwne rozgłaszali wieści, upominając pod groźbą kar surowych, do niewydalania się z kraju i spokojnego zachowania się w domu.

Francuska gorączka opanowywała jednak coraz silniej umysły — a wielu księży i obywateli ziemskich odpokutowało dość ciężko gadatliwość języka, lub porywczą działalność. Byłoby sprawą nudną i żmudną opowiadać wszystkie, z powyższych powodów wytoczone śledztwa kryminalne i dochodzenia cyrkularne, lecz warto przytoczyć, dla poznania ich istoty i prądu jaki je wytworzył, choć po jednym przykładzie.

X. Jan Niwiński, długoletni profesor teologii w Krakowie, następnie proboszcz w Czerniejowie pod Lublinem, zesunięty został, po trzechletnim uwięzieniu duchownem, przeważnie z politycznych względów, na stopień wikaryusza w Bełżycach. Żywego umysłu i gorący patriota wszczynał X. Niwiński w Bełżycach, przy każdej sposobności, rozmowę o Napoleonie, sławił jego geniusz i zamiary co do odbudowania Polski. Urzędnikom c. k. magazynu tabacznego zapowiedział, że zostaną powieszani jak tylko Francuzi do Lublina dojdą, zaś inspektorowi tabacznemu Maakowi, bijąc się w piersi, wykazał jak na dłoni, iż nie mógłby czyścić nawet butów nadchodzącemu mocarzowi zachodu. W kościele miał również X. Niwiński kazania, podburzające przeciw rządowi austriackiemu i głosił pochód messyasza zbliżającego się wprost do granic nowo-galicyjnych. Dowiedziawszy się od brata Józefa Niwińskiego, pocztmistrza w Bełżycach, o sztafecie ze szczegółami bitwy pod Austerlitz, rozpowszechnił tę wiadomość publicznie po nieszpórach w kościele. Stało się to w dniu 15 grudnia 1805 r. w ten sposób, iż X. Niwiński od ołtarza, dawszy znak organiście by zaprzestał intonacji na Anioł Pański, zawołał: „Chodźcie ludzie do mnie“!

Obecni w kościele zbliżyli się do niego i wtedy opowiedział im o zwycięstwie Napoleona pod Austerlitz, o posuwaniu się naprzód wojsk francuskich, które już wkrótce uchyłą biedę, jaka wszystkich trapi, i począł śpiewać z ludem supplikacye o dalsze zwycięstwa dla Napoleona.

Uwięziony przez starostę w Lublinie i odstawiony do sądu kryminalnego w Krakowie, został uznany X. Niwiński przez senat dla spraw politycznych przy tymże sędzie urzędujący, za winnego zbrodni stanu i na śmierć skazanym. Sąd najwyższy w Wiedniu ocenił łagodniej postępkę X. Niwińskiego, uznał je za zbrodnię zaburzenia spokoju publicznego i orzekł rok więzienia, z wliczeniem 7-miesięcznego aresztu śledczego, — za karę. Władza duchowna uznała osobno X. Niwińskiego za niezdolnego do służby parafialnej i rozkazała zamieszkać mu na resztę dni życia (liczył lat 55), wśród murów klasztoru.

Jan Olszyński, obywatel ziemski z okolic Siedlec, lat 77 liczący, posądzonym został przez wydalonego ze służby ekonoma Leona Morowskiego, iż przypomina o tem:

Jak Czarniecki do Poznania,
Wracał się przez morze,
Dla ojczyzny ratowania
Po szwedzkim rozbiorze.

i przepowiada że:

Hasłem wszystkich wolność będzie
Jak legiony przejdą Wisłę, przejdą Wartę.

Nadto trafiono na ślady, iż Olszyński rozsyła do podpisu adres, wystósowany do Napoleona, a ułożony przez p. Wieległowskiego.

Wysłany z Sandomierza na śledztwo komisarz cyrkularny, Jan Juraszek, wymusił na starcu przysięgę tej treści, iż o adresie do Napoleona nie wie i w polityczne przepowiednie nadal bawić się nie będzie. Tą przysięgą, *Verschwiegenheitseid* zwaną, wymyśloną przez urzędników politycznych, na wzór przysięgi jaką dawniej odbierały sądy od szlachty uwolnionej od męki (tortury) w wypadkach zachodzących

poszlaków czynu karygodnego, zdołał się uwolnić Olszyński od uwięzienia i dalszego śledztwa.

Jak w obwodach Galicyi zachodniej, tak w Krakowie i wzdłuż dolnego biegu Wisły szerzył się powszechny niepokój od chwili bezładnego odwrotu wojsk rosyjskich z Morawy. Szczególniej w cyrkule myślenickim (późniejszym wadowickim), jako położonym u granic pruskiego i austriackiego Szląska, trawiła obywateli ziemskich patryotyczna gorączka, występująca tem gwałtowniej, odkąd wojska francusko-bawarskie osaczyły Wrocław i po kolei oblegały lub zabierały szląskie fortece.

W polskiej dzielnicy Prus, poczynającej się od ujścia Soly do Wisły a kończącej za Warszawą, po kapitulacyi Częstochowy, którą poddał w dniu 19 listopada 1806 r. pruski major Khun szefowi szwadronu Deschampes i po wejściu wojsk francuskich do Warszawy w dniu 28 listopada t. r. nie było już ani jednego żołnierza pruskiego na straży ostatniego zaboru. Wszystkie załogi małych miasteczek polskich i nadgranicznych szląskich, od Chrzanowa i Mysłowic poczawszy, ściągnięto do twierdzy Świdnicy, a władze pruskie opuszczały kolejno i dobrowolnie siedziby dotychczasowego urzędowania.

Sprzymierzone wojska bawarskie i wirtemberskie, zalewały tymczasem Szląsk, wojska francuskie zaś ciągnęły z Wielkopolski na Warszawę w Płockie. Kąt nowo-pruskiego kraju, od Szląska wzdłuż lewego brzegu Pilicy ku Wiśle, nie był polem wojennych zapasów i dlatego w tym kącie ziemi tworzyć się zaczęły powstańcze oddziały polskie i zawiązywać Rady obywatelskie. Rząd gubernialny w Krakowie starał się ukryć smutną prawdę przed wzrokiem i słuchem nowo-zy-skanych poddanych. Okólniki cyrkularne zabraniały też pod zagrożeniem surowych kar, jak cyrkularz z d. 16 marca 1807 r., wydalania się za kordon, zbierania pieniężnych ofiar, przechowywania lub wysyłania ochotników do wojsk francusko-polskich.

Było to jednak daremną pracą. Niezwykłe imię Napoleona Bonaparte wstrząsało już oddawna umysły i serca polskiego społeczeństwa, a jego nagłe zjawienie się w grud-

niu 1806 r. w Warszawie, było jakby iskrą, dolatującą do ukrytego składu prochu.

Młodzież przekradała się z Galicyi potajemnie, nocami przez lasy i bezdroża ku Warszawie — jak mówiono:

By nauczył Bonaparte,
Jak zwyciężać mamy.

Obywatelstwo ziemskie pomne obowiązku, by

.....nie zginęła
Kiedy my żyjemy.

zjeżdżać się poczęło dla wspólnej narady, marząc w rozbudzonej wyobraźni o wymianie Szląska pruskiego na Galicyę i rozpowszechniając w tym duchu ułożone proklamacye i pisma. W cyrkule myślenickim rozwoził je po wsiach p. Bleszczyński, a dwory szlacheckie Jakóba Jordana w Kozach i hr. Jana Kantego Bobrowskiego w Rajsku, stały się w tej stronie kraju ogniskami narodowego ducha.

O tej chwili przełomu w pruskiej dzielnicy naszego kraju, zanim się stała Księstwem Warszawskiem, prawie nie wiemy. Znamy wprawdzie dość szczegółów o spiesznem opuszczeniu Warszawy przez władze i wojska pruskie, o niespodziewanem wkroczeniu korpusu marszałka Davoust do Warszawy, o zawiązaniu tymczasowego Rządu, organizacyi straży bezpieczeństwa przez bawiącego w Warszawie ks. Józefa Poniatowskiego, lecz o tem, co się działo ku końcowi 1806 r. i na początku 1807 r. za murami Warszawy na południowym szmacie ziemi polskiej, jest dotąd zupełnie głucho.

Zbiegiem szczęśliwych okoliczności, dostał się do naszej wiadomości jeden ze szczegółów, odnoszący się do wyżej wspomnianej epoki czasu. Szczegóły wydarzeń zestawiają historię, i służą do ocenienia wypadków i poznania w nich udział biorących ludzi. Wyśledzony przez nas szczegół, choć drobny i mało znaczący, lecz współczesny i równorzędny szczegółowi zdjęcia zabłoconych butów oficerowi francuskiemu przez ks. prymasa Woronicza, zasługuje też na opowiedzenie, a temsamem na zabezpieczenie od zapomnienia i zagłady.

Na sąsiedzkie zjazdy w Rajsku i w Kozach przybywał i młody baron Larisch z Osieka, pragnąc w ten sposób wpiąć się w poczet obywatelstwa polskiego, do którego tytuł już samo posiadanie kilku wsi pod Kętami jak: Bulowice, Bielany i Osiek niewątpliwie dawało.

Dobra Osiek, będące niegdyś własnością hetmana Jana Klemensa Branickiego, następnie Szembeka, kupił w r. 1796 możny pan szląski, bar. Karol Larisch za zł. 272.500. Posiadał on również wieś Brzezinkę pod Oświęcimem, i liczne dobra na Szląsku pruskim i austryackim, jak: Słupie, Soławieś, Błędów i inne. Bar. Karol Larisch umarł dnia 19 listopada 1803 r. w Słupi, bez testamentu, pozostawiwszy żonę Aloizyą z domu Zborowską i troje małoletnich dzieci, syna trzech imion Józefa Eugeniusza Karola i dwie córki: Ludwikę i Maxymilianę.

Józef Karol Larisch urodził się w dniu 10 lutego 1788 r. i do 14 roku życia chował się i uczył w rodzicielskim domu. Na rok przed śmiercią ojca, wysłany został młody Larisch z guwernerem p. Czaple do Krakowa, dla odbycia wyższych studyów. Nauki matematyczne i filozoficzne nie przypadły jednak do smaku uczniowi, który rwał się do konia, strzelby i pługa. Powrócono więc do domu, do Osieka, albowiem matka, po śmierci ojca zamieszkała stale w Osieku. Wówczas przyjęto na domowego nauczyciela Pijara, X. Majera, by kształcił dalej młodzieńca w naukach i przygotował do egzaminu wstępnego w Wiedniu. Opiekun von Klettenhof wyjednał bowiem umieszczenie Larischa w Teresianum, dokąd w r. 1805 miał być odwiezionym. Choroba prawdziwa czy udana stanęła na przeszkodzie wyjazdowi do szkoły wiedeńskiej i zawiodła młodego Larischa do zdrojowiska w Szarkowie, na Szląsku pruskim. Tam bawił także na kąpielach książę Jan Nepomucen Sułkowski, wyczekujący na powierznicze objęcie księstwa bielskiego, zostającego w posiadaniu ojca, ks. Franciszka de Paulo Sułkowskiego.

Ks. Jan Sułkowski posiadał wówczas już burzliwą przeszłość. Urodzony w dniu 23 czerwca 1777 r. wstąpił za młodu do wojska austryackiego i dosłużył się wkrótce rangi kapitana w pułku piechoty nr. 28. Awanturnicze przygody, długi i rozwiązłe obyczaje, zmusiły ks. Sułkowskiego do

opuszczenia w r. 1802 służby wojskowej. Wesoly kapitan i bliski sąsiad umiał, podczas wspólnego pobytu w Szarkowie, tak sobie ująć i przywiązać do siebie młodego Larischa, iż stał się odtąd jego moralnym opiekunem, sternikiem jego życia i towarzyszem hulaszczycich uciech i zabaw.

Odwiedzając Larischa w Osieku, zakochał się książę Sulkowski w jego starszej siostrze, Ludwice Larischówniej, zaledwie lat 15 liczącej. Protegowany przez brata zyskał wzajemność i zdołał tak usidlić umysły dziewczęcia i matki baronowej Aloizyi Larischowej, iż bez zezwolenia opiekuna von Klettenhof i sądu nadopieczniczego, poślubił ją w dniu 30 października 1806 r. w Mysłowicach. Stało się to za sprawą X. katechety Tomasza Krupskiego, który korzystając z chwilowego zasłabnięcia proboszcza, dał ślub bez zapowiedzi i innych zwyczajowych formalności. Rozsrożony opiekun groził na to kuratelą matce, kryminałem księciu i zabierał się naseryo do poskromienia i wywiezienia młodego Larischa na naukę do Wiednia.

Wobec tych pogroźek opuścił ks. Sulkowski żonę, a obawiając się przebywać nadal w Osieku, kręcił się jak dawniej na pograniczu Szląska.

Po kapitulacyi pruskiej twierdzy na Jasnej Górze, pojawił się w Modrzejowie powstańczy oddział polski, zwany „Pruszkami“ (*Pruszkisches Freicorps*)¹⁾ pod dowództwem podpułkownika Trembickiego. Ks. Sulkowski pobiegł zaraz na jego spotkanie, a zwerbowawszy i uzbroiwszy 6 konnych i 12 pieszych ludzi, rozgłaszał wszędzie, iż formuje na własny koszt i pod swoją komendą nowy oddział ochotniczy polski.

Gdy to się dzieje za granicą prusko-austryacką, wznosi młody Larisch, na zjeździe szlachty i na uczcie we dworze hr. Bobrowskiego w Rajsku wyprawionej, huczny toast na cześć Napoleona i powodzenie armii francusko-polskiej. Toast

1) Z niewyraźnych pism niemieckich niemożna było wybadać z pewnością, czy ów *Pruszkisches Freicorps* nosił imię swego twórcy majora Pruszaka lub Pruskiego, czy też tak nazywanym był dlatego, iż się składał z polskich (szląskich) Prusaków.

kończy zapewnieniem, iż chwyci za broń i pójdzie na pole walki dla wyswobodzenia przybranej ojczyzny. O tym toaście, przyjętym radosnemi okrzykami, dowiedział się wkrótce bar. Lipowski, c. k. starosta w Myślenicach (późniejszy rezydent austriacki w Krakowie) i wysłał komisarza cyrkularnego na śledztwo do Rajska. Na tę wiadomość i wobec pogroźek opiekuna, oraz nalegań i zachęty ks. Sułkowskiego, który jako dowódzca oddziału powstańczego już siedział na koniu, nie pozostało Larischowi nic innego, jak wynieść się co rychlej za granicę państwa austriackiego. W nocy 10 grudnia 1806 r. opuściła też bar. Larischowa wraz z synem, córkami i służbą potajemnie Osiek, udając się bocznemi drogami do Szląska pruskiego. Huzar, strzeżący granicy, dostrzegł jadących i zatrzymał. Sprowadzeni na komorę cłową, zawdzięczali znajomości urzędników granicznych, iż przepuszczeni zostali do ich własnej wsi Słupie, na chwilowy pobyt i dla polowań, jakie tam odbywać się miały.

Młody Larisch w 4 konie i z 500 talarami w kieszeni udał się zaraz do oddziału szwagra, matka zaś z córkami pozostały w Słupi.

Wiadomość o ucieczce rodziny Larischów za granicę kraju, jak również o tworzeniu bandy powstańczej przez ks. Sułkowskiego, zaniepokoiła władze austriackie. Starosta bar. Lipowski, życzliwy Larischom, wysyłał nieustannie poufne pisma do pani Larisch wzywając do powrotu, pod zagrożeniem zaskwestrowania majątku, zaś oberamtman Rudecki z Osieka, odszukał nawet w obozie polskim młodego Larischa z podobnym mandatem urzędowym.

— Wróc, a poszłą cię do Munkacza! — rzekł ks. Sułkowski do szwagra w odpowiedzi na pytanie o radę: co ma uczynić i jak staroście odpowiedzieć? Bez wahania potargał więc Larisch cyrkularne upomnienie i wezwanie w oczach Rudeckiego, wręczył mu odezwę, wzywającą mieszkańców Galicyi do chwycenia za oręż i upoważnił do oznajmienia staroście, iż o jego postępowaniu doniesie Napoleonowi, a on, który zwyciężył dwóch cesarzów i króla pruskiego, da już radę i staroście w Myślenicach.

Po tej odpowiedzi, wzięto w sekwestr polityczny majątki Larischa i ks. Sułkowskiego w Galicyi i na Szląsku

austriackim położone, wysłano patrole kirasyerów wzdłuż granicy dla pochwycenia zbiegów i wydano edyktalne wezwanie do powrotu, w oznaczonym okresie czasu, pod zagrożeniem skutków w patencie emigracyjnym z d. 10 sierpnia 1784 r. wyrażonych.

Za pieniądze Larischa zwiększał tymczasem ks. Sułkowski swój oddział. Na ochotnikach nie zbywało, lecz nie było koni, broni, wojskowej odzieży i żywności, a głównie gotówki na ich zakupno. Urządzano więc rekwizycyjne wyprawy do Szląska pruskiego, z kąd wracano do Modrzejowa z dość obfitym łupem. Wycieczka do wsi Wesoła, należącej do ks. Anhalt i państwa Pszczyna (Pless) przyniosła np. 16 koni, 28 talarów i kilka sztuk broni palnej w rezultacie.

Na tej niezwyklej drodze podjęta organizacya oddziału ochotniczego natrafiła jednak wkrótce na przeszkodę. Zjawił się bowiem nowy oddział powstańczy pułkownika Męcińskiego, który na prośbę uciskanych obywateli ziemskich usiłował rozbroić i rozpędzić rekwizycyjny hufiec ks. Sułkowskiego i jego samego uwięzić. Przyszło nawet do gwałtownych zatargów i zajęć z Męcińskim, z których wywnął się ks. Sułkowski w ten sposób, iż zawarł w dniu 15 stycznia 1807 r. pisemny układ z podpułkownikiem Trembickim, mocą którego — zastrzegłszy dla siebie rangę pułkownika, dla Larischa stopień majora — połączył swój oddział z ochotniczym korpusem „Prusaka“. Chodziło już tylko o zatwierdzenie tego układu w Warszawie i o wytlómaczenie nieprawidłowości przez Męcińskiego zarzucanych. Zdał więc ks. Sułkowski komendę swego oddziału na Larischa, a sam zabrawszy żonę, świekrę i jej córkę Maxymilianę, wyjechał do Warszawy.

Imię Sułkowskich, jako niegdyś w jednej linii rodziny udzielnych książąt na Bielsku, było w Polsce powszechnie znanem, i dlatego zjawienie się ks. Jana Sułkowskiego, exkapitana wojsk austriackich, w głównej kwaterze francuskiej, powitane zostało życzliwie. Książę wyjednaawszy sobie u cesarza Napoleona posłuchanie, przedstawił się jako patriota polski, dowódzca oddziału ochotniczego własnym i Larischa kosztem stworzonego i przedłożył — na wypadek potrzeby — plan zrewoltowania Galicyi, ubieżenia i zajęcia wąwozu w Jabłonkowie, prowadzącego do Węgier. Prosił też cesarza

o przyznanie mu rangi pułkownika, dla swego zaś zastępcy Larischa, stopnia podpułkownika, w nowo-formującym się wojsku francusko-polskiem.

Cesarzowi Napoleonowi spodobał się książę na Bielsku, a źle usposobiony względem Austrii, przyjął chętnie usługi dwóch możliwych poddanych austriackich, zbiegłych do jego obozu. Nie wchodząc więc w bliższe szczegóły co do sposobu zorganizowania ochotniczego oddziału, jak również co do wieku i stosunków rodzinnych bar. Larischa, którego nie widział, mianował Napoleon exkapitana ks. Sułkowskiego pułkownikiem i dowódcą jego oddziału, z poleceniem uformowania z niego pułku konnego, zaś bar. Larischa podpułkownikiem w tymczasowym pułku. O tem cesarskiem postanowieniu zawiadomiony dyrektor warszawskiego wydziału wojny, ks. Józef Poniatowski, kazał przygotować i podpisał patenty nominacyjne. Patent podpułkownikowski Larischa nosi datę: Warszawa dnia 4 marca 1807 r. i rozpoczyna się od słów: „W imieniu i na rozkaz Napoleona cesarza Francuzów“ itd.

Wówczas bawił w Warszawie generał Vincent, przybyły z Wiednia z własnoręcznym listem cesarza Franciszka do Napoleona. Z tej sposobności skorzystał ks. Sułkowski i złożył na jego ręce — już jako francuski pułkownik — protest z powodu zasekwestrowania jemu i Larischowi majątków w Austrii. Następnie zabrawszy stos proklamacyj Napoleona, w Warszawie po polsku d. 14 stycznia 1807 r. wydanej, a rozpoczynającej się od słów: *Dopokąd los Polski zdobytej na królu pruskim nie będzie ustalonym przez pokój ostateczny* itd., celem rozpowszechnienia jej w Galicyi, powrócił do swego oddziału nad granicę austriacką.

Dotkliwy brak pieniędzy utrudniał wciąż zamierzoną i przyrzeczoną formację pułku konnego. Ks. Sułkowski miał się więc dla dopięcia wskazanego celu różnych, częstokroć bezprawnych środków. Do obywateli ziemskich w Galicyi wysyłał potajemnie odezwy i pisma, celem ściągnięcia patriotycznych ofiar w pieniądzach i ludziach. Zebrawszy z okolicy muzykantów, utworzył z nich orkiestrę wojskową, która grywała codziennie, na moście granicznym w Sławkowie, polskie i rewolucyjne melodye, kusząc żołnierzy

austriackich do zbiegostwa. Całą okolicę i miasteczko Mysłowice ogłodził i obdarł, zabierając wszędzie żywność, broń i konie. W ten sposób wzrósł oddział do 200 ludzi i z nim podjął ks. Sulkowski dwie isticie rozbójnicze wyprawy do Łędzina i Bytomia, zkąd powrócił z 328 talarami kontrybucyi, wiodąc przytem 150—160 zabranych koni i 200 fur owsa i siana. Te najezdnicze wyprawy i osobiste gwałty ks. Sulkowskiego wywołały pomiędzy mieszkańcami pogranicza popłoch i skargi do Rządu tymczasowego w Warszawie i do nowo-mianowanego naczelnika Szląska, jenerała francuskiego Dumuy. W Warszawie zaniepokojono się temwięcej, gdy się dowiedziano, iż awanturniczy ksiązę przygotowuje *coup de main* na zabranie kas austriackich w Brzezince, Osieku i Babicach i rozmyśla o wyprawie do Jabłonkowa. Nadszedł też zaraz sztafetą rozkaz do podpułkownika Trembickiego, ażeby aresztował ks. Sulkowskiego i jego oficerów, oddał ich pod sąd wojenny do Siewierza, utworzony zaś oddział wcielił do ochotniczego oddziału „Prusaka“ i z nim odmaszerował do Warszawy.

Trembicki spełnił rozkaz. Ks. Sulkowski wylamał się jednak z aresztu w Siewierzu i uciekł do Tarnowiec, gdzie znalazł przytułek pod osłoną wojska bawarskiego. Larisch stanął przed sądem, lecz uniewinniony, otrzymał z powrotem szpadę.

Po tej przykrej przygodzie, opuszczony przez szwagra, bez pieniędzy i komendy, nie wiedział na razie Larisch jak dalej ma sobie postąpić. Przemógł wreszcie zdrowy rozsądek, otrzeźwiony doznany zawodem. Posłał więc do Warszawy, na ręce generała Gouvion St. Cyr prośbę o dymisyę, a nie czekając odpowiedzi, powrócił w dniu 30 maja 1807 r. do Osieka.

Aresztowano go natychmiast i sprawdzono, iż z przyprowadzonych 6 koni, 4 pochodziło z Osieka, jeden koń był wojskowy pruski, jeden zaś wyhandlowany od porucznika Skupieńskiego.

Na wstępie wspomniane objawy narodowego ducha w Galicyi zachodniej — do których należało i śpiewanie krakowiaka „Nie będę się żenił“ zabronione i karane

więzieniem ¹⁾ — spowodowały ustanowienie wyjątkowego sądu na polskich zbrodniarzy stanu, w fortecy ołomienieckiej. Senat polityczny przy Sądzie kryminalnym w Krakowie pod przewodnictwem radcy apellacyjnego Cronfelsa, następnie Moraka zostający i nadzorowany bezpośrednio przez sąd apellacyjny, nie zdawał się być dość energicznym i zaległ w urzędowaniu. Z tego powodu odesłano sprawę Larischa, podobnie jak sprawę hr. Scipiona, do Ołomuńca, dokąd i młody Larisch na początku lipca 1807 r. odstawionym został.

Zaniepokojona o los syna matka, przybyła z Warszawy na granicę Szląska, a obawiając się uwięzienia, w razie powrotu do domu, wniosła prośbę do cesarza Franciszka, w której tłómacząc powody wydalenia się z kraju, błagała o list żelazny (*salve conductum*) na przyjazd i pobyt w Osieku. Podobną prośbę wniósł i ks. Sułkowski. Powyższym żądaniom odmówiono jednak i zbiegłych wezwano ponownie do powrotu i usprawiedliwienia się z dotychczasowych postępków.

¹⁾ Kto i kiedy ułożył tego krakowiaka, nie wiemy. Poczęto go śpiewać na weselach i kuligach w r. 1806, w dawnym województwie krakowskim. Cztery pierwsze zwrotki krakowiaka były dawniejszego pochodzenia i niewinnej treści; dalsze ośm zwrotek, wspominając o rekrutacji i podatkach, wyszydzały urzędników i wojskowych. Słowa krakowiaka przepisywano potajemnie i przesyłano bezimiennie dygnitarzom austriackim. Z tego powodu ścigano kryminalnie przepisywaczy, roznosicieli i śpiewaków ludowej pieśni, jako sprawców zbrodni zaburzenia publicznego spokoju.

Dochodzeń urzędowych o tego krakowiaka było bez liku. Ostatnie odnosiło się do uroczystości weselnej w Koluśzowie, w listopadzie 1806 r. Drużbowie, młodzi studenci z Krakowa, Antoni Trelński i Marcin Malowski, prześpiewali całego krakowiaka, zaś Jan Czechowski, ekonom z Wielkiego Książa, spisał go i przesłał p. Rozalii Królikowskiej do Szydłowca. Zesłana na miejsce rzekomej zbrodni komisya kryminalna z Krakowa, przesłuchała w Kielecach i po wsiach 40 świadków, odbyła kilka rewizyj domowych i uwięziła wyżej wymienionych sprawców, którzy przez kilka miesięcy pokutowali w areszcie śledczym. O tem olbrzymiem śledztwie — którego koszta wynosiły pokaźną sumę — uczyniono poufne doniesienie do Wiednia, a na rozkaz cesarski, zaniechano dalszych dochodzeń z powodu śpiewania zakazanych krakowiaków.

Po długim namyśle wróciły kobiety w r. 1808 do Osieka i prawdopodobnie z wyższego rozkazu nie były pociągane do odpowiedzialności. Ks. Sułkowski nie miał tej odwagi i zjawił się w Bielsku dopiero ku końcowi 1809 r. na podstawie ogólnej amnestyi, wskutek traktatu pokoju w dniu 14 października 1809 r. wydanej.

Młody Larisch siedział tymczasem w kazamatach Ołomuńca, w towarzystwie zbrodniarzy stanu, jak: Felix Świnarski ¹⁾ obywatel ziemski z Siedleckiego, Józef Szepetowski z Prus „nowo-wschodnich“, „informator“ Zaleski i inni ²⁾, aż do dnia 16 kwietnia 1808 r.

Sąd wyjątkowy, złożony z prezesa sądu szlacheckiego w Bernie hr. Bubna, jako przewodniczącego, oraz ołomunieckich radców magistratualnych Prokoscha i Gottlieba jako sędziów, którym tłómaczył akta i zeznania polskie przysłany z Krakowa jako tłómacz kancelista sądowy Ignacy Orzechowski, nie mógł dopatrzeć się u Larischa paragrafowej winy. Larisch był bowiem wskutek odziedziczenia po ojcu dóbr ziemskich, położonych w Galicyi i na Szląsku pruskim, różnokrajowym poddanym (*sujet mixte*), do którego szczegółowe postanowienia paszportowe i emigracyjne nie mogły być stósowane. Młody zbieg nie miał jeszcze lat 20 i dojrzałej rozwagi, przeciw Austrii nie podniósł oręża, wrócił wreszcie dobrowolnie i w terminie, w edykcie konwokacyjnym oznaczonym.

Powzięto więc uchwałę na zaniechanie dalszego śledztwa, z pozostawieniem Larischa pod nadzorem policyjnym; a tę uchwałę na wniosek najwyższego sądu w Wiedniu przyjął do wiadomości cesarz, rozporządziwszy dodatkowo, ażeby

¹⁾ *Ritter von Swinarski* był oskarżonym o zbrodnię zdrady stanu, popełnioną przez utrzymywanie tajnej korespondencji z wojskowymi polskimi w Warszawie. Listy, które stanowiły lica sądowe, zginęły z aktów na drodze do Ołomuńca.

²⁾ Sługa Szepetowskiego Kassian uciekł z więzienia, a współobwiniony kowal Wojczak umarł w Siedlcach przed odwiezieniem go do Ołomuńca. Sprawę uwięzionego hr. Scipiona cofnięto na rozkaz cesarski napowrót do Krakowa. Wszystkie sprawy miały za przedmiot szpiegostwo, znawianie i wysyłanie młodych ludzi do wojska polskiego.

Larisch, pod nadzorem jakiej poważnej osoby, przywiezionym został do Wiednia i w jakim zakładzie naukowym umieszczonym.

W Wiedniu uczył się i sprawował Larisch wzorowo, a gdy wojska francuskie w r. 1809 zbliżały się pod Wiedeń, dozwolono mu wrócić do matki, do Osieka. Ostudzony w rycerskim animuszu i w zapalach do Napoleona, nie pobiegł już Larisch pod zwyciężkie chorągwie ks. Józefa Poniatowskiego, lecz orząc spokojnie ziemię w Osieku, doczekał się w r. 1810 nagrody, t. j. uwolnienia z pod nadzoru policyjnego.

Żyjąc dalej w otoczeniu polskiem i polskiem oddychając powietrzem, uległ Larisch jeszcze raz prądowi ducha czasu, jaki po zgaśnięciu przewodniej gwiazdy napoleońskich obietnic pchał nasze społeczeństwo w tajemnicze stowarzyszenia i mistyczne związki. W r. 1822 został masonem, i to odrazu — jak niegdyś w wojsku podpułkownikiem — starszym czeladnikiem wolnych murarzy w *przesądzie zwyciężonym na wschodzie Krakowa*. To zboczenie umysłowe, jakiemu ulegli równocześnie najrozumniejsi i najznakomitsi ludzie w Krakowie, nie miało przynajmniej szkodliwych następstw, a po rozwiązaniu łoży masonskiej i oddaniu jej budynku na klinikę uniwersytecką, poświęcił się Larisch już wyłącznie gospodarstwu wiejskiemu, usłudze sąsiadów i dobru własnej rodziny.

Larisch ożenił się około r. 1813 z Karoliną Wielopolską, rozwiedzioną z Andrzejem Wielopolskim, rodzonym stryjem margrabiego Aleksandra Wielopolskiego. Była ona córką Pawła Grabowskiego herbu Oksza, starosty wołkowyskiego, generała wojsk litewskich i Weroniki Scipionówny, a wnuczką Michała Grabowskiego, brata męża głośnej pani Elżbiety z Szydłowskich Grabowskiej, morganatycznej żony króla Stanisława-Agusta. Przez to małżeństwo spolszczył się Larisch do reszty i wychował czworo dzieci ¹⁾ iście po polsku.

¹⁾ Syn Edmund ożenił się z Angielką i mieszka dziś w Wiedniu, syn zaś tegoż Adryan poślubił hr. Ludwikę Platerównę i objął po ojcu wieś Bulowice; córka Eugenia była żoną Eust. Januskiewicza, zaś młodsza, Adela, Stanisława hr. Dunina Borkowskiego i zostawiła córkę Jadwigę za Janem Popielem.

Pisząc o oju, godzi się wspomnieć i o jego starszej córce Eugenii, jednej z wybitniejszych postaci niewieściel w Polsce drugiej połowy naszego wieku. Któż bowiem nie znał, nie cenili nie wielbił w kraju i na emigracji pani Eustachowej Januszkiewiczowej, żony litewskiego wychodźcy z r. 1831, właściciela księgarni polskiej na Quai Voltaire Nr 11 w Paryżu i wydawcy *Pielgrzymia Polskiego*, kobiety wyższego umysłu i najszlachetniejszych uczuć, wykwintnych form życia, a czarującej wdziękiem rozmowy i dowcipu.

Temi przymiotami zdobna, jaśniała też „pani Eugenia“ przez długie lata, wśród społeczeństwa polskiego w Paryżu, a za próg skromnego mieszkania państwa Januszkiewiczów przy ulicy St. André des Arts Nro 54, następnie ulicy de Lille 7, zaglądali chętnie zarówno bohaterowie nieśmiertelnych bojów, jaki myśli narodowej, nie wyłączając Mickiewicza i Krasińskiego, a z młodszego pokolenia: Kalinki, Grottgera i Klaczki. Dla tych wyjątkowych przymiotów umysłu i serca, kochano ją też serdecznie wszędzie, gdziekolwiek czasowo gościła, czy w W. ks. Poznańskim w domu hr. Józefa Mycielskiego i jego córki Anny w Rokossowie, czy w Galicyi w domu sędziwego ojca, lub u hr. Henryków Wodzickich w Porębie. Starzy Krakowianie pamiętają ją również dotąd, jak w d. 19 marca 1848 r. zasiadła wraz z p. Sedlmajerową w kościele N. P. Maryi za stolikiem do jałmużny, obok hr. Arturowej Potockiej i jej młodzientkiej synowej, co po raz pierwszy w życiu wyszła z tacą z „pod Baranów“ dla zebrania grosza publicznego. Kwota złp. 1982 groszy 7, na owe czasy w małym i ubogim Krakowie olbrzymia, w ciągu jednej godziny przez nadobne kwestarki zebrana, zasiłała ubogą kasę wsparcia obdartych i wynędzniałych więźniów stanu, powracających ze Spielberga i Kufsteina. Ta uroczysta chwila była też zawiązkiem bliższej znajomości ze starym Krakowem, który później tak ukochała, iż opuściwszy wraz z mężem, po wojnie 1870 r., stolicę Francyi, osiadła w nim stale i w nim swój piękny żywot w dniu 5 czerwca 1892 r. zakończyła ¹⁾.

¹⁾ Państwo Januszkiewiczowie mieli jedyną córkę Maryę, poślubioną Konstantemu Popielowi, dla której prowadził ojciec (Eustachy J.) podczas oblężenia Paryża w r. 1871 dzienniczek, ogłoszony równocześnie w *Przejrządzie Polskim*.

I nasz „dziewiętnastoletni podpułkownik“ przesiedlił się ra resztę dni swego życia do Krakowa, nabył po Szczepanie Humbercie kamienicę przy ulicy Brackiej (L. or. 12), odbudował ją ozdobnie i umarł w niej dnia 19 marca 1869 r. pozostawiając po sobie pamięć uczciwego człowieka i zanego obywatela kraju.

Inną drogą poszedł szwagier Larischa, ks. Sułkowski.

Otrząsnąwszy się z poczynionych mu zarzutów w Warszawie, odzyskał on później rangę pułkownika i dowodził 1 pułkiem huzarów francusko-polskich. W dzień bitwy pod Hanau 1813 r. zbiegł z bronią w ręku do wojsk sprzymierzonych ¹⁾. Wzgardzony przez społeczeństwo polskie, umarł w r. 1834, pozostawiając dwóch synów, na pamiątkę panien Larisch, imieniem Maxymiliana i Ludwika ochrzczonych. Ks. Maxymilian Sułkowski zginął w r. 1848 na barykadzie w Wiedniu, zaś ks. Ludwik, urodzony w r. 1814 i ożeniony po pierwszy raz z córką bogatego przemysłowca Dietricha, wyprowadził w październiku 1848 r. gwardyę narodową bielską na odsiecz Wiednia, obleganego przez ks. Windischgraetza. Zatrzymany i rozbrojony w Napagedl, uciekł w nocy oknem z poczekalni dworca drogi żelaznej, w której był uwięzionym. Po krótkim pobycie w Prusiech i w Szwajcarii, gdzie się powtórnie z panną Gemperle ożenił, wydalil się

¹⁾ W tysanym roku 1807, co ks. Jan Sułkowski, utworzył ks. Antoni Sułkowski ochotniczy oddział w Wielkopolsce, bił się z nim pod Tezewem i otrzymał od cesarza Napoleona patent na pułkownika i dowódcę przez siebie uformowanego pułku piechoty.

Ks. Antoni Sułkowski opuścił również w r. 1813, po bitwie pod Hanau, sztandary francuskie, lecz z honorem, z wiedzą i za zezwoleniem Napoleona. Podobienstwo nazwisk i tesame warunki i daty rozpoczęcia i ukończenia służby wojskowej polskiej spowodowały później kilka błędnych wspomnień i dlatego zaznaczamy, iż ks. Jan Nep. Sułkowski, pochodzący ze Szląska, był całkiem inną, bardzo daleko spokrewnioną, osobą z ks. Antonim Sułkowskim, synem Antoniego Sułkowskiego kanclerzą koronnego. Imiennik wslawił się w kampanii hiszpańskiej, dosłużył rangi jenerała, dowodził po zgonie ks. Józefa Poniatowskiego korpusem Księstwa Warszawskiego cofającym się do Francyi i umarł w r. 1836 w Rydzynie w Wielkopolsce, gdzie stale przebywał.

po drugi raz za ocean i osiadł w mieście St. Louis. Umarł w r. 1879.

Matka jego, wyżej wspomniana Ludwika Józefina z bar. Larischów ks. Sułkowska, urodzona d. 17 marca 1790 r. zastrzeloną została przez okno w dniu 3 marca 1845 r. na zamku w Bielsku. Kto i z jakich powodów zastrzelił w skrytobójczy sposób księżnę, nie zostało nigdy wysledzonym. Skazany na śmierć domniemany sprawca Obst, umarł ze strachu, przed potwierdzeniem wyroku. Wznowione śledztwo przeciw Frankemu zostało zaniechane dla braku dowodów. Głos powszechny wskazywał zupełnie kogo innego jako sprawcę. Kogo?... czytelnik pamięta, albo się domyśli.

II.

„Zginął jak Berek pod Kockiem“.

Przysłowie z r. 1809.

Żyjemy w epoce dowcipu i powieści. Gawęda o minionych czasach ustala, przysłowia zamary. Jeszcze przed 50 laty nie było w Krakowie humorystyki, belletrystyki i — pośpiechu.

Dopiero rok 1848 otworzywszy piwiarnie, kawiarnie i jadalnie przy sklepach korzennych, wyrobił w nich humor i dowcip, które zrodziły *Świstka*, *Opryszka literackiego* i ich dalsze duchowe potomstwo. Śpiewy i romanse historyczne zasypał nowoczesny handel księgarski utworami ulotnej literatury, z których wysnuwa się — na szczęście — swojska i uczciwa powieść o wszystkim, co ciekawość podniecić może.

Kolej żelazna, telegraficzne depesze, telefoniczne rozmowy, kursa giełdowe, poranne i wieczorne dzienniki, stworzyły znów pośpiech, dawniej nieznany, który wstrząsając nerwami podwoił dzienne zajęcie, wyprawiając istną gonitwę różnorodnych spraw za ludźmi i ludzi za sprawami.

Spokojne pogawędki, słuchane z poważnym nastrojem, a przeplatane przypowieścią i przysłowiem, jakie opowiada-

jący lub słuchający co chwila dorzucali, ustaly niepowrotnie. Nie ma dla nich już miejsca i czasu — bo wylęgały się wówczas, gdy kagankami oświetlany Kraków, siedząc przez dzień w wieńcu plantacyj, szedł spać z kurami, a tylko ci, co odrazu usnąć nie mogli, gawędząc, rozpędzali nudy w zajazdach, miodosytniach i winiarniach, przy lampce maliniaku lub węgryzna.

Tych dzisiaj już nieznanym gawęd *de illo tempore* dawnych żołnierzy i kwestarzy, kapocianych mieszczan i kontuszowych szlachciców, które szerzyły łgarstwo i zostawiły w spuściźnie mnóstwo historycznej nieprawdy, niewiele żałować należy — może więcej naszych przysłówi. W nich tkwiła rzeczywista prawda, ustalona i przechowywana w ustach ludu.

Przysłowia nie czyniły nikomu ujmy, albowiem powtarzanie i przypominanie prawdy, choćby bolesnej, mogło być nużącym i nudnym, nigdy szkodliwym. Byli też ludzie, erudytami zwani, którzy rozpoczynali i kończyli rozmowę lub dawali odpowiedzi przytaczając utarte przysłowia, a bogactwo przypowieściowej wiedzy dawało im pozór ludzi światowych i uczonych.

— Tedy panie! nie odrazu Kraków zbudowano, choć w nim jada się i pije jak za Sasa, to przecież w głowie jak w trybunale.

Te i podobne im przysłowia usłyszeć było można w ówczesnym Krakowie co chwila.

Pamiętamy zacnego sędziego, opowiadającego o brzechach koni kirasyerów przelatujących pod Możajskiem nad jego głową i dyszkantem przez jednego chudego zakonnika wygłaszającą przygodę na przeprawie przez Berezynę, w ciągu której, co sięgnął ręką do wody, wyciągał naprzemian „to kirasyera“, „to dragona“. Takich „pleciugów i bajów“ było bez liku, a karcono ich przysłowiem: „Ot plecie jak Piekarski na mękach“.

Podobnych przysłówi, dziś już nie używanych i zapomnianych, częstokroć za murami miasta nieznanym, przez zbieraczy narodowych przysłówi niespisanych, było bez liczby i niemal na każde zdarzenie codziennego życia.

O jednym z nich — dla wykreślenia go ze słownika narodowych przysłówi — dziś wspomnimy.

W r. 1831 wyszli z Krakowa wszyscy młodzi ludzie, co broń unieść mogli, lecz nie wszyscy wrócili... Co nie zginęło w boju, nie umarło w szpitalach, zapelnilo szeregi w kaukazkich i sybirskich batalionach, lub wyszło do Francyi i rozeszło się po całej kuli ziemskiej. Rodzice i rodziny nie mogły się doliczyć synów i braci, dowiedzieć się o ich życiu i śmierci, uspokoić co do losu, jaki ich spotkał. Głuche wieści nosły tylko niepewne, zwykle smętne nadgrobowe echa, i dlatego wspominając o zaginionych i przypominając chwile pożegnania lub ostatniej o nich wiadomości, kończono zwykle opowiadanie, jakby na pocieszenie, ze słowami rzewnego westchnienia: „O! zginął jak Berek pod Kockiem“.

O tym Berku, prototypie polskiego żyda, niestety za mało rozmnożonym na naszej ziemi, nasłuchać się było można w Krakowie od rana do nocy. Oddźwięk jego imienia rozbrzmiewa się nawet dotąd w ósmej dzielnicy miasta, na ulicy nazwisko Berka Joselowicza noszącej. Berek Joselowicz jest też najpopularniejszą postacią żydowską wśród polskiego społeczeństwa, którą Steckert w *Słowniku biograficznym* (str. 103), Wójcicki w *Encyklopedyi Orgelbranda* (III 225), Wieniarski w *Bibliotece Warszawskiej* z r. 1861 (II 72), Alexander K. w bibliotece dwutygodnika *Świat* z r. 1889, Józef R. w *Jutrzence* z r. 1861, a w końcu p. Witold Leitgeber w osobnej monografii w Poznaniu w r. 1892 wydanej, rylcem i piórem przedstawić usiłowali.

Autor ostatniego życiorysu Berka nie powtórzył jednak nawet tego, co o Berku było dotąd powszechnie wiadomem i nie rozjaśnił wątpliwości: czy „Józef Berkow“, jak się Joselowicz podpisywał, służąc w wojsku polskiem był jeszcze żydem i za żyda-patryotę święconym być może?

Z wielu bałamutnych podań o Berku jest bowiem tylko to pewnem, że istniał żyd „Berek“, faktor ks. biskupa Masalskiego w Wilnie, urodzony w Kretyndze na Litwie ¹⁾,

¹⁾ O miejscu urodzenia Berka pisał *Dziennik wileński* z r. 1817 (tom VI, str. 189). Prezes ministrów Księstwa War-

który urobiwszy sobie z imienia ojca „Josel“ — według dawnego zwyczaju — nazwisko „Joselowicz“ zaciągnął się w r. 1794 do powstania i za okazane męstwo uzyskał stopień oficera. Tensam Berek Joselowicz zjawił się pod przekręconem nazwiskiem Józefa (Josła) Berka w legionach polskich we Włoszech, przeniósł się następnie do wojska francuskiego i w 1 pułku dragonów, formującym się w Hanowerze, dostąpił rangi kapitana. W ciągu wojny francusko-pruskiej w r. 1806 przeszedł Józef Berkow *vel* Berkowicz do nowo tworzącego się wojska Księstwa Warszawskiego i w 5 pułku jazdy otrzymał stopień szefa szwadronu. Nie ulega również wątpliwości, iż Berek porzucił wiarę swoich ojców, albowiem szef szwadronu 5 pułku jazdy Księstwa Warszawskiego Józef Berkow, poległy pod Kockiem, nie był żydem. Według aktów wolnomularskiego związku *Bracia Polacy zjednoczeni na wschodzie Warszawy* ¹⁾, wpisał się w Warszawie w r. 1807 „szef szwadronu 5 pułku jazdy Józef Berko“ — idąc za przykładem swego dowódcy pułkownika Kazimierza Turny, innych szefów szwadronu jak: Jana Umińskiego, Zygmunta Kurnatowskiego, Stanisława Osiepowskiego, Tomasza Siemiątkowskiego i wielu niższych oficerów tegoż pułku jazdy — do związku wolnych mularzy... Berek był nawet „bratem starszym“ we wspomnianej loży masonskiej, a więc nie był żydem, bo żydów masonów w Polsce nie było, i pod komendą żyda, w owym czasie społecznych przesądów, kwiat młodzieży szlacheckiej nie byłby służył w kawaleryjskim pułku.

Tę szczerbę w życiorysie Berka wypełnił p. Leitgeber romantyczno-patriotyczną opowieścią, wysnutą z poezyi, lecz nie z prozy życia dzielnego żołnierza i zakończył swą pracę (na str. 54) — podobnie jak inni pisarze dziejów wojny 1809 r. — jedynie ogólnikową wzmianką, iż Berek zginął w bitwie pod Kockiem, zwłoki zaś jego złożono w mogile, na cześć jego usypanej. Jak jednak zginął ten Berek pod Koc-

szawskiego Stanisław Potocki w *Pochwale walecznych Polaków* ogłoszonej w dniu 22 grudnia 1809 r. na posiedzeniu Tow. Przyjaciół Nauk w Warszawie, wskazał błędnie Kock, za miasto rodowe Berka.

¹⁾ X. St. Załęski: *O masonii w Polsce* (Kraków 1889) str. 151.

kiem, kto i w jaki sposób go zabił, skoro pod Kockiem w r. 1809 nie było bitwy, nie można się dowiedzieć i z tej ostatniej monografii, w r. 1892 wydanej.

Było zatem dawniej, całkiem uzasadnione przysłowie: „Zginał jak Berek pod Kockiem“, które przytaczano w wypadkach, jeżeli kto zginał marnie, w bzdurnej potrzebie i w taki sposób, iż o przyczynie lub okolicznościach towarzyszących śmierci dowiedzieć się nie było podobnem.

I nam ktoś droższy od innych zaginał, jak Berek, wśród zawieruch powstańczych, więc też o „Berku“

Co zdarzeniem huncwockiem
Zginał mężnie pod Kockiem,

we śnie i na jawie było marzeń, rozmowy i rozmyślań bez końca.

Przy dojrzałszej rozwadze nasunęła się jednak myśl, iż skoro Berek był podpułkownikiem jazdy Księstwa Warszawskiego i zginał dnia 5 maja 1809 r. nie w bitwie, lecz w drobnej utarczce z huzarami austriackimi, więc też przez huzara, w starciu ręcznym, zabitym być musiał.

Zabicie sztabowego oficera stanowiło niewątpliwie niezwykły czyn wojskowy; a że w armii austriackiej już wówczas za odznaczenie się w boju i za pojedyncze czyny odwagi odszczególniano żołnierzy srebrnymi i złotymi medalami za waleczność (*Tapferkeits-Medailen*), więc też i żołnierz, co zabił Berka, podobny medal otrzymać musiał.

Przyznanie wspomnianych medali żołnierzom odbywa się dotąd z wojskową ścisłością i z uznania godną sprawiedliwością. Czyn wynagrodzony żołnierskim medalem musi być dokładnie wyjaśniony i sprawdzony. W latach 1848 i 1849 ogłaszano nawet przez dzienniki *species facti* odszczególnionego medalem żołnierza i wydawano w kolorach litografowane ryciny, przedstawiające kaprali i żołnierzy w chwili spełnienia bohaterskiego dzieła.

Na tej drodze nie było tedy rzeczą trudną uzyskać pewną i nieomylną wiadomość, iż naszego Berka zabił huzar Stefan Toth z 1 pułku huzarów imienia cesarza (*Kaiser-Husaren*), gdyż za ten czyn ozdobionym został srebrnym medalem za waleczność. Dochodzenie wojskowe, które słu-

żyło za podstawę do przyznania żołnierzowi Tothowi wspomnianego medala, jak również takiegoż samego medala kapralowi Meszelits, wykazało co następuje.

Po bitwie pod Raszynem dnia 19 kwietnia 1809 r. i kapitulacyi Warszawy, przeszła szczupła armia polska na Pragę i rozłożyła się na prawym brzegu Wisły w górę ku Modlinowi.

Po rozpoczęciu zaczepnych działań wojennych posunięto 5 pułk jazdy Księstwa Warszawskiego (strzelców konnych), w którym służył nasz Berek, jako szef szwadronu (dowódzca dwóch kompanij), ku granicy Galicyi zachodniej.

Po utarczce jazdy polskiej z dwoma szwadronami *Kaiser-Husaren* w dniu 25 kwietnia t. r. pod Grochowem, w której poległ rotmistrz Wesenberg zakłuty lancami ułanów, zaś wachmistrz Kemenyi, wytrąciwszy broń z ręki wyższego oficera polskiego, porwał i uprowadził go wraz z koniem do swego plutonu — za co złoty medal otrzymał ¹⁾ — nastąpiło w nocy z 2 na 3 maja zdobycie przedmostowego szańca w Ostrówku (pod Górą). Atak na wspomniany szaniec, uwieńczony świetnem zwycięstwem jenerała Sokolnickiego, osłaniały trzy szwadrony strzelców konnych 5 pułku jazdy. Jednym z tych szwadronów dowodził podpułkownik Berkow, poczem wysłany naprzód, idąc w przedniej straży, torował drogę do Galicyi zachodniej. Droga wiodła na Koek, małe miasteczko nad Wieprzem położone. W Koeku stał od r. 1803 garnizonem jeden ze szwadronów powyżej wspomnianego 1 pułku huzarów, który przyszedłszy w r. 1792 do Oleska, następnie do Złoczowa, rozłożył się w końcu plutonami od Żółkwi do Koeka. Na kampanię 1809 r. ściągnięto pułk, pod dowództwem hr. Magyi zostający, do głównej kwatery arcyksięcia Ferdynanda nad Pilicą, pozostawiając jeden dywizyon t. j. szwadrony rotmistrzów: Pauliny i Fasanyi pod komendą majora bar. Hoditza w miasteczku Koeku.

Otóż te dwa szwadrony huzarów, które ścierały się z jazdą polską pod Grochowem i cofnęły się następnie do Koeka, zaniepokojone zostały wiadomością utracenia szańca

¹⁾ Szczegóły dotąd nieznanne.

przedmostowego pod Górą i posuwaniem się wojska polskiego ku granicom Galicyi.

Rotmistrz Pauliny, który z 16 huzarami wyszedł rano d. 4 maja z Kocka na zwiady, nie wrócił. Odcięty, dostał się do Siedlec, zkąd kasę cyrkularną, nieco przedmiotów do ubrania i kilkudziesięciu rekrutów, do Lublina uprowadzić zdołał. Z pozostałych w Kocku huzarów, jeden pluton wysyłano daleko za miasteczko na drogę do Łukowa lub Ostrówka dla ostrożności i dopilnowania, czy wojsko polskie nie nadciąga. Drugi pluton stał na koniach na dużym placu czyli rynku Kocka, dla osłonięcia i dania pomocy naprzód wysuniętemu plutonowi. Reszta dywizyonu t. j. 6 plutonów huzarów, spoczywała w stanie pogotowia, w miejscu bezpieczniejszem, na lewym brzegu Wieprza.

Kock był bowiem, od chwili trzeciego rozbioru naszego kraju, nadgranicznem miasteczkiem Galicyi zachodniej i główną stacją pocztową austriacką. Rzeka Wieprz płynąc opodal Kocka, zostawia miasteczko z wielkim placem czyli rynkiem na prawym, ubogo zaś zabudowane przedmieście, „lubelskiem“ zwane, na swym lewym brzegu. Na Wieprzu był most drewniany łączący miasteczko ze wspomnianem przedmieściem, zaś przed mostem, na prawym brzegu rzeki, stał duży dom mytniczy. Przed tym domem była roгатka zamykająca wjazd na most — jak zwykle — na żelaznym łańcuszku spuszczana i podnoszona w górę. Od roгатki, wzdłuż drogi do miasteczka, ciągnęły się zagajenia, wikle i krzaki. Obok placu, rynkiem zwanego, była ujeżdżalnia huzarów (reitszula). Ujeżdżalnia nie była budynkiem krytym, lecz, jak dawniej bywało, gołym placem t. j. dużym czworobokiem nawpół piaszczystego gruntu, okolonym wysoką baryerą, u wejścia otwieraną i zasuwaną zapomocą ruchomego drąga.

W dniu 5 maja rano stał na czatach przed Kockiem podporucznik Horwath z jednym plutonem huzarów, na rynku zaś nadporucznik Stankowits z drugim plutonem.

Okolo południa najechał Berek ze swym szwadronem tak niespodziewanie i gwałtownie pluton porucznika Horwatha, iż spędził go odrazu z miejsca, a goniąc za nim do Kocka, wpadł i przewrócił stojący na rynku drugi pluton huzarów. Rozpęd szwadronu Berka był tak silnym, iż oby-

dwa plutony huzarów, w największym nieładzie i popłochu wśród strzałów, wrzasku i krzyku, ścigane przez szaserów, uciekały drogą na most, by dostać się jak najprędzej za Wieprz pod osłonę stojących tam 6-ciu plutonów.

W tejsamej chwili, gdy spłoszeni huzary i ścigający strzeley konni biegli bez ładu nad brzeg Wieprza, przechodził przez most kapral Meszelits, prowadząc kilku pieszych huzarów z karabinkami w rękę do Kocka. Chroniąc się przed nawałem nadlatującej jazdy, zeszli pieszo idący huzary w bok od rogatki i skryli się w krzaki wikliny, zaś kapral Meszelits miał tyle przytomności, iż pochwycił za łańcuszek od rogatki i czekał chwili przebiegnięcia ostatnich huzarów. Wówczas spuścił roгатkę na głowy ścigających szaserów, zamknął ją i uciekł za huzarami w krzaki, krzycząc nieustannie: *Batallion! Vorwärts! Feuer!*

Wstrzymane konie szaserów, spinając się w górę lub spychając do rowu, zbiły się u rogatki w kłębek, z którego szasery odrazu wymotać się nie mogli. Równocześnie poczęli do nich strzelać, na głos komendy Meszelitsa, huzary ze zarośli, do których się skryli. Szasery sądząc, że ich z boku atakuje piechota austriacka, poczęli nawracać konie, cofać się i zbierać na rynku w Kocku. Wskutek pościgu rozbitych plutonów, przebytego na dłuższej przestrzeni, rozwiązał się i rozsypał szwadron polski zupełnie. Zbierał go więc Berek wraz z oficerami coprędzej i porządkował na rynku w Kocku.

Na odgłos strzałów i wrzawy wojennej pospieszyły stojące za Wieprzem plutony huzarów na pomoc rozbitym dwóm plutonom. Osłoniwszy je, ruszyły na most, a gdy kapral Meszelits na ich widok wyszedł z krzaków i otworzył roгатkę, puścili się huzary drogą do miasteczka i wpadli z niesłychanym impetem i krzykiem na porządkujący się szwadron Berka. Stało się to znowu tak niespodziewanie i nagle, iż ustawiający się do szeregu szasery rozerwani zostali na wszystkie strony, i nie mogąc się chwilowo opamiętać, uciekać poczęli gdzie oczy wiodły.

Berek porwany wirem nacierających i uciekających, nieznając miejscowości i uchodząc na oślep, wpadł z kilkoma szaserami w otwartą, tuż obok rynku położoną ujeżdżalnię. Jeden huzar, któremu padł koń u wejścia do ujeżdżalni, wi-

dząc wpadających do niej szaserów i ścigających huzarów, zasunął zaporę t. j. drąg zastępujący wrota i zamknął w ten sposób reitszulę. Berek znalazł się w matni, z której nie było wyjścia. Bronił się rozpaczliwie, wołano na niego, by z konia zeskoczył i poddał się, czego gdy zaraz nie uczynił, ciął go huzar Stefan Toth pałaszem w głowę tak silnie, iż spadł z konia i pod kopytami końskimi wyzionął ducha ¹⁾.

Równocześnie z Berkiem zabito wówczas na rynku 3, zaś w ujeżdżalni 7 szaserów, t. j. podoficera i tych wszystkich żołnierzy, którzy z Berkiem do tej nieszczęśliwej reitszuli wpadli. Pomiędzy rannymi był porucznik Franc. Katerla, (w r. 1831 dowódzca 4 pułk. strzelców kon.) i wachmistrz Zimmermann. Całe zdarzenie było dziełem zaledwie kilkunastu minut, a że rozegrało się pomiędzy szaserami, którzy wszyscy na miejscu zabici zostali, i huzarami, którzy zaraz Kock opuścili i już do niego nigdy nie wrócili, więc szczegóły zdarzenia mogły pozostać dla mieszkańców, ukrytych w domach i dla hr. Romana Sołtyka, który z plutonem artylerji konnej bez żadnej assekuracji wszedł nazajutrz do Kocka, smutną tajemnicą.

Huzary pochowali 5 zabitych żołnierzy i odeszli z brza-
skiem dnia następnego do Lublina, zkąd za zbliżeniem się
wojska polskiego, szwadron Paulinyego do Sandomierza,
zaś rotmistrza Fasanyi do Zamościa odjechał.

Powyższe szczegóły zostały wyświecone przy sposobności udzielenia srebrnych medali za waleczność: żołnierzowi Toth, który zabił Berka i kapralowi Meszelits, który spuścił i zamknął roгатkę przedmostową w Kocku.

¹⁾ Według podania Wieniarskiego, był Berek w owym dniu krytycznym na obiedzie u proboszcza w Syrokomli i ztamtąd, w stanie podnieconym, urządził podjazdową wyprawę na huzarów w Kocku. W toku starcia miał zostać uniesionym przez spłoszonego konia pomiędzy stopy drzewa złożonego dla spławu nad Wieprzem i na nich śmierć znaleźć. Wójcicki twierdził znowu, iż Berek został śmiertelnie postrzelony przez huzarów, którzy zatarasowali się w karczynie na rynku i strzelali z karabinków. Ranny Berek doczołgał się do stosu drzewa i pod nim z powodu upływu krwi skonał.

Niema powodu do powątpiewania o prawdziwości powyższego przedstawienia, w pewnej części zamieszczonego nawet w jednym z dawnych pism wojskowych austriackich. Znając tedy ostatnie chwile życia i okoliczności towarzyszące śmierci słynnego Berka, już nie będziemy powtarzać przysłowia: *Ot, zginął jak Berek pod Kockiem.*

Józef Wawel-Louis.

Sześćdziesięciolecie

KRÓLOWEJ WIKTORYI.

Miała Anglia w XVII wieku erę Elżbiety — ma w naszym erę Wiktoryi. Chciały losy, żeby dwie najpamiętniejsze epoki jej historycznego rozwoju, zaznaczone były imionami kobiet-monarchiń. Żaden z królów Wielkiej Brytanii — a byli pomiędzy nimi bardzo znakomici — nie wycisnął tak głębokiego, jak one, piętna na narodowym życiu, sławie żadnego z nich ich sława nie sprostą. Mimo dwuwiekowego przedziału, można powiedzieć, że druga podjęła nie dziejową tam, gdzie ją zostawiła pierwsza, a postacie ich stać będą społem, pod tym samym lukiem w dziejowym panteonie Anglii. Z podrzędnego państwa, Anglia, za rządów Elżbiety, podniosła się do górującego, europejskiego, a ta wysepka od stałego ładu odcięta, zaczęła, dzięki swej marynarce, wyszukiwać po za przestworami morza dalekich krajów, aby je posiadać i skolonizować. Pod berłem Wiktoryi to europejskie już mocarstwo przekształciło się na wszechświatowe, a wśród długotrwałego pokoju, przy swobodnym rozwoju publicznych instytucyj, przy nadzwyczajnym wzroście wszystkich gałęzi ekonomicznego gospodarstwa, wzniosło się do kulminujących szczytów, narzucając swą cywilizację trzeciej części całej kuli ziemskiej. Dumna z dokonanych postępów i z zajmowanego przez się stanowiska, Wielka Brytania z czcią i wdzięcznością zwraca się dziś do królowej Wiktoryi, która przez lat sześćdziesiąt na jej tronie zasiadając, oddała społeczności angielskiej nieocenione usługi i z nią się, rzec można, utożsamila.

Lat sześćdziesiąt! *Magnum aevi spatium*. Ośmnastoletnie dziewczę, krasą poezyi i młodości zdobne, zamieniło się teraz w srebrnowłosą, pochyloną wiekiem niewiastę. Jednocześnie zmieniło się całe środowisko, cały świat angielski, a zmieniło na lepsze. Nie naturalniejszego, jak że ta królowa w oczach narodu wszystkie te postępy symbolizuje, widzi przypisane sobie nawet te, które są poprostu wynikiem czasu, owocem rozwijającej się cywilizacyi, nawet te, w których żadnego osobistego udziału nie brała. *On ne prête qu'aux riches*, mówią Francuzi, a osoba królowej Wiktoryi, za życia należąca już do legendy, wydaje się masie narodowej potęgą, dla której wszystko jest możliwe, której przeważną zasługą jest wytworzenie Wielkiej Brytanii takiej, jaka jest w sześćdziesiątym roku jej panowania. Jest tyle szczerości w tym lojalizmie dla królowej, że wolno mu przebaczyć jego przesadę.

Z góry już można było przewidzieć, że jubileusz sześćdziesięcioletnich rządów królowej, będzie obchodzony przez naród uroczycie. Przed dziesięciu laty, złoty jubileusz zostawił w pamięci wszystkich, co w nim uczestniczyli, niezatarte wspomnienia. Przy obecnym, któremu nadano nazwę diamentowego, wypadło ujawnić większy jeszcze blask zewnętrzny i entuzjazm patryotyczny, skoro data była bardziej wyjątkową jeszcze, jedyną prawie. Z zadania tego, niezmiernie trudnego, wywiązał się Londyn, cały świat angielski i wszystkie kolonie w sposób tak świetny, że wszystkie oczekiwania przewyższone zostały. Opis jubileuszowych uroczystości w swjej malowniczości i swym przepychu będzie jednak postawiony we właściwych sobie ramach i należyście oceniony wtedy dopiero, gdy się uprzytomni, co zaszło za tego panowania, jakim przekształceniom uległ w tym czasie świat brytański i jakie są indywidualne cechy królowej Wiktoryi. Przez te kruzganki prowadzić też chcemy czytelnika, ażeby mu dać u ich ujścia widowisko jubileuszowej apoteozy.

I.

Przedewszystkiem zwraca uwagę terytoryalny wzrósł Anglii w okresie Wiktoryi. Nie z Wielką Brytanią, ale

z uniwersalnem mocarstwem mamy obecnie do czynienia. Przed 60-ciu laty rozległość brytańskiego państwa obejmowała już wprawdzie jedną szóstą część kuli ziemskiej, czyli 8,329.000 mil kwadr.; obecnie wynosi już czwartą jej część, czyli 11.250.000 mil kwadr. Ale ta cyfra nie daje dokładnego wyobrażenia o stanie rzeczy, gdyż podczas kiedy przed pół wiekiem wiele z tych kolonialnych posiadłości były głuchą puszcza, ani zaludnioną, ani zagospodarowaną, obecnie zamieniły się niejedne z nich w kraje wysokiej kultury. Przyrost ludności szedł w parze z terytoryalnym. Ludność zjednoczonych królestw podniosła się z 25 do 39 milionów, a stolicę z 1,163.000 do 4,500.000; ludność całego imperium, z jakich 168 podniosła się do 400 milionów.

To powiększanie się Wielkiej Brytanii jest jednym z dziwowisk naszego stulecia i zaprawdę nie najmniejszym. Rozpoczęło się ono za panowania królowej Wiktorji przez okkupację Adenu w dwa lata po jej wstąpieniu na tron i nie ustało do dni ostatnich: protektorat nad krajami położonemi na wybrzeżach Nigru datuje dopiero od paru miesięcy, a nie ma wątpienia, że obwieszczony będzie niebawem jaki nowy, jeżeli jest jeszcze albo dopóki będzie jaka niezajęta na naszej kuli ziemia. Zajęcie i zdobycz niektórych posiadłości odbyły się wstępnyim bojem, inne są owocem długich zabiegów, intryg i dyplomatycznych wysiłków. Gdy się jest zdjętym podziwem nad taką jednolitą akcyą, nad takim systematycznym ściganiem z góry wytkniętego celu, to się znajduje w części klucz do rozwiązania tej zagadki w osobistości królowej. Naród, zaprzątnięty tą lub ową sprawą, mógł spuszczać z uwagi powiększenie ojczystych kresów, i były istotnie nietylko lata, ale dziesiątki lat, w ciągu których przewodniczące warstwy społeczne nie żywiły żadnego interesu dla kolonij, nie dbały o ich rozszerzenie i były gotowe zrzec się ich całkowicie. Ale królowa nie mogła żywić takich przekonań. Z wyżyn, na których się znajduje, wzrok jej staczał się na dalekie kresy, wytykał granice coraz dalsze, i nietylko usiłowała utrzymać raz zdobyte kraje, ale i powiązać je w organiczną całość. Jak zabiegliwa matka pracuje dla przekazania dobytku dzieciom, tak ona wyrobiła w sobie poczucie obowiązku nienaruszalności brytańskiego imperium.

Jesteśmy już dziś w stanie ocenić rezultaty owej wytrwałej polityki, nie tylko dla Anglii, ale dla całej rasy anglo-saksońskiej. Na wielu krajach, których nie do zjednoczenia się z Anglikami nie zdawało się przeznaczać, położone zostało niezatarte piętno angielskie. Można tu przytoczyć albo Kanadę, nawskróś francuską z pochodzenia, języka, wiary, zwyczajów etc., prowadzącą krwawą wojnę o niepodległość z Anglią, w chwili wstąpienia na tron królowej Wiktoryi, a obecnie odznaczającą się szczerym lojalizmem i biorącą nawet inicjatywę ekonomiczno-handlowego ujednostajnienia instytucyj, albo Australię, wprowadzoną w sferę samoistnego rozwoju i bytu pod egidą brytańską, albo południową Afrykę, gdzie się stopniowo, wśród aglomeratu różnych plemion i przez pochłanianie żywołu hollenderskiego, wytwarza najpotężniejsza z kolonii *Caetera censeo*. Nawet do takiego wszechpotężnego, całkiem odrębnego organizmu jak Indye, soki brytańskie przeniknąć potrafiły! Nie ma już obawy nowego powstania Sepajów, a przeciwnie węzły się ścieśniają pomiędzy Wielką Brytanią a Indjami. Przed jaką ćwiercią wieku najgorętsi patrioci zdawali się być przygotowani na utratę Indyj i roztrząsali jedynie następstwa, jakie by to wywarło na międzynarodowe stanowisko Wielkiej Brytanii; w chwili dzisiejszej sama myśl taka wydawałaby się zbrodnią przeciwko ojczyźnie.

Nie ma wątplenia, że łatwiejszą było rzeczą zatknąć brytański proporzec na odległych ziemiach, aniżeli utrzymać je w łączności z metropolią. Z tego nieprawdopodobnego zadania wywiązała się dotąd Anglia szczęśliwie, a to dzięki swobodzie i autonomii, jaką swym zamorskim posiadłościom zostawiła. Nauka z oderwania się Stanów Zjednoczonych w las nie poszła. Uczyniono łańcuch tak luźnym, aby kolonie ciężaru jego nie czuły. Pozwolono się każdej z nich rozwijać odpowiednio do swych potrzeb i warunków miejscowych. W całym ciągu panowania królowej Wiktoryi nie było też ani jednego przykładu starcia się władz kolonialnych z rządem centralnym. Ten ostatni ograniczał się do roli protektora-obrońcy, dobroczyńcy, a trzymając wysoko w swej dłoni sztandar cywilizacji brytańskiej, gromadził około niego coraz większą ilość gorliwych jej wyznawców i uczestników.

Ale zrozumiano w Anglii oddawna, że nadchodzi pora, by uczynić krok naprzód ku państwowej jedności. Wychowały się zdrowo i silnie różne kolonie, i dorosły; czas im teraz zaciągnąć się do służby brytańskiego organizmu. Nietylko, że mocarstwa europejskie współzawodniczą z nią co do zdobywania kolonij, ale skupiają się one, centralizują, potężnieją. Gdyby Wielka Brytania w kollizyi z niemi się znalazła, mogłaby łatwo te lub owe swe posiadłości utracić. Raz paciorki różańca rozproszone, nawiązać by się już nie dały snadnie. Jeden tylko środek miał rząd dla urzeczywistnienia tego zadania: federacyę kolonij z Wielką Brytanią. Kto śledził za rozwojem Wielkiej Brytanii w ciągu ostatniej ćwierci wieku, ten wie, jak nieustannie do tego celu zdążano. Podczas gdy za inicjatywą mężów stanu powstawała Liga federacyjna o propagandzie nieustannej i wszechstronnej, gdy otwierano kolonialne wystawy, gdy następca tronu wziął inicjatywę wzniesienia w Londynie Cesarsko-kolonialnego Instytutu i gdy z wielką pompą kładła jego kamień wspólny a następnie inaugurowała sama królowa, mnożyły się projekta wspólnych dla całego imperyum instytucyj. Istnieje już jądro Najwyższej Rady Państwa; powstały plany wspólnej siły wojskowej lądowej i morskiej, utrzymywanej sumptem wszystkich krajów pod berłem królowej się znajdujących i przeznaczonej do obrony ich w razie niebezpieczeństwa, taksamo jak zawiązanie związku celnego i ujednostajnienia wielu działów administracyi. Ostatniem ogniwem tego łańcucha ma być wspólny Parlament w Londynie, do którego każde kolonialne państwo przysyłałoby swych delegatów. Taka olbrzymia federacya wielko-brytańska, zostawiająca najszerszą autonomię każdemu ze swych uczestników a ześrodkowująca w centralnej władzy wszystkie wspólne interesa państwowe, jest ideałem narodu, celem rządu i jest gorąco popierana przez wszystkich członków rodziny królewskiej i przez samą królowę. Mgliste przez czas niejaki formy tej federacyjnej organizacyi, skryształizowały się ostatecznie w kształty podmiotowe i znalazły mężów stanu, którzy się ich urzeczywistnieniu poświęcili. Bez żadnych awanturnicznych skoków, spokojnie i krok za krokiem, sunie się akcyja ku sfederowaniu mocarstwa. Zamiast sam brać

inicjatywę, wołał rząd angielski zostawić ją koloniom. I nie zawiodły go czekiwania. W ciągu ostatnich paru miesięcy widzieliśmy pierwszego ministra Kanady, wnoszącego bill o obniżenie ceł na towary angielskie, co jest pierwszym krokiem do przyjęcia doktryny zasadniczej Wielkiej Brytanii — wolności handlowej, a parlament Kapu, wyrażający życzenie utworzenia marynarki wszech-brytańskiej. Idea federacyjna jest więc obecnie w powietrzu i w oczach naszych rozstrzelone monady zbijają się w całokształt. Uroczystości jubileuszowe, nakreślone w celu wyniesienia kolonij i postawienia ich tak bardzo wysoko, przyczynią się niemało do wyklucia pisklęcia. Najzuchwalsza fantazyja nie mogła wymarzyć wspanialszego epilogu dla królowej Wiktoryi, jak wytworzenie w ostatnich latach jej rządów federacyjnego organizmu i instytucyj dla wszech-Brytanii. Choćby to zaś nawet nie nastąpiło odrazu, ta olbrzymia ewolucya cywilizacyjna raz na zawsze z jej imieniem złączoną zostanie.

Jak wspomnianem już było wyżej, jesteśmy świadkami w ciągu owego sześćdziesięciolecia Wiktoryi nietylko tryumfu Wielkiej Brytanii, ale rozpanoszenia się całej anglosaksońskiej rasy. Czwarta część kuli ziemskiej znajduje się pod berłem angielskiej monarchini, ale to niedosyć. Strumień emigracyi rozlewa się z Anglii bez przerwy po całym obszarze świata, a 10 milionów obywateli angielskich w czasie ostatniego pół wieku osiadło na obczyźnie i są tam rozsadnikami cywilizacyi brytańskiej. Przedewszystkiem ten prąd emigracyjny kierował się do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej; 65 milionów Amerykanów nie są wprawdzie Anglikami, ale węzły rodzinnego powinowactwa nie zatarły się bynajmniej. Wielka Brytania dokłada wszelkich starań, aby je utrzymywać i wzmacniać. Są to fundamenta, kładzione dla ewentualnego kiedyś w przyszłości połączenia się. Można było niedawno jeszcze drwić sobie z takiej chimery; dziś już tego czynić nie można. Pomiędzy dwoma potężnymi federacyjnymi organizmami jednej i tejsamej rasy, cywilizacyi, języka, mnożą się punkta styczne.

II.

Jeżeli podwojenie kolonij brytańskich z 32 do 64 w ciągu panowania królowej Wiktoryi jest zjawiskiem, któremu równego nie znają dzieje, to o wiele ciekawszym jest wewnętrzny, polityczny i ekonomiczny rozwój Wielkiej Brytanii w ciągu tejżesamej epoki. Ewolucya, która się w łonie tej społeczności dokonała, pod jakimkolwiek rozpatrywana kątem, budzić będzie podziw najoddaleńszej potomności. Bez żadnego rewolucyjnego przewrotu, spokojnie i rozważnie, instytucye publiczne ulegały zmianom i były dopasowywane do potrzeb narodu.

Przedewszystkiem zasługuje na uwagę utrwalenie monarchii. W innych krajach rewolucye obalały trony, zmieniały dynastye, a forma republikańska jako wyraz tryumfującej demokracji, zdawała się nieodzowną modłą przyszłości. Spokojnie ze swego odosobnienia spoglądała Anglia na te ruiny i na tę propagandę, zadowolniona z konstytucyjnej swej monarchii i parlamentaryzmu. Niema wątpienia najmniejszego, że tron stoi tam dzisiaj silniej, aniżeli przed laty sześćdziesięciu za Jerzego IV i Wilhelma IV. Ostatnie zajście pomiędzy koroną a narodem, które mogło być doprowadzić do rewolucyjnego wybuchu, miało miejsce w Anglii za Wilhelma IV w 1834 r., gdy autokratyczny król narzucił własnowolne ministeryum torysów pod prezydencyą Peel'a. Królowa Wiktorya wstępując na tron jako 18-letnie dziewczę, bez doświadczenia politycznego, prowadzona za rękę przez whigów, nie czuła żadnego popędu do walki z narodem w imieniu praw korony. Młodość, następnie małżeństwo opromienione gorącą miłością, popchnęło i utrzymało ją w innej sferze, spokojniejszej i czystszej. Stała się ona typem konstytucyjnego monarchy, nie uciekając się ani razu w ciągu swego panowania do prerogatywy tronu, do *veto*. Mogła ta pozorna uległość woli narodu być jej czasem nie na rękę i krzyżować jej osobiste sympatye, ale to zaparcie się własnej indywidualności przyniosło i instytucyi monarchicznej jako takiej, i królowej osobiście błogie następstwa. Ustaliło pierwszą i udowodniło, że pod jej ochronnem skrzydłem wszyst-

kie prawa i swobody demokratyzującego się społeczeństwa mogą się rozwijać. Królowej pozwoliło zmienić swe opinie i sympatyę, przejść z obozu whigów do torysów, nie tylko bez utraty swej popularności i powagi, ale przeciwnie ustaliło ją i wzmocniło. Z biegiem lat, królowa, którą jedne pokolenia po drugich znajdowały na tronie, stała się najwyższym symbolem państwowej jedności, ucieleśnionym majestatem zwierzchniczej władzy. Lojalizm, jaki dla niej czuje naród, łączy w sobie i cześć dla tej nieposzlakowanej niewiasty i hołd oddany instytucjom krajowym.

Wszyscy wyznawcy zachowawczych idei, wszyscy orędownicy tradycyi i stopniowego, organicznego rozwoju społeczeństw, czuć powinni żywą wdzięczność dla królowej Wiktorii. Ona to, słaba kobieta, była opoką, o którą się rozbiła fala rewolucyjna, ona podniosła wysoko sztandar monarchii. Wpływ jej rozciąga się daleko poza szranki naszej ciasnej Europy. Jeżeli widzimy dominium Kanady, przyległe do potężnej Rzeczypospolitej Amerykańskiej, jeżeli widzimy młodą, swą własną energią upojoną Australię, Nową Zelandję, jeżeli widzimy całe nowe kontynenty, otwierające się dla cywilizacyi, zamiast Ignąć do krańcowej demokracji i republikańskich instytucyj, garnące się i skupiające około monarchii, około tronu Wielkiej Brytanii, mimo całej średnio-wiecznej staroświecczyny, która go otacza, to mamy prawo powiedzieć, że widocznie instytucya monarchiczna nie wypowiedziała jeszcze ostatecznego swego słowa, nie zużyła się i nie zardzewiała. Formuje ona i wykształca nowe pokolenia i stawia jeszcze słupy drogowe dla przyszłości. Ta monarchia brytańska, której legendarny początek sięgać ma końca V stulecia, gdy Cerdic i jego syn Cymrie, potomkowie bożka Wotana, przyszedli na ziemię angielską jako królowie Wessexu, nie potrzebuje szukać tam swej legitymacyi, ale znajduje swe ciągle uświęcenie w harmonijnem poparciu narodu. Żadna inna lepiej o sobie powiedzieć nie może, że istnieje z Bożej łaski i woli narodowej.

Charakterystycznym znamieniem rządów królowej Wiktorii była jednoczesność utrwalania się idei monarchicznej z demokratyzowaniem się instytucyj. Pierwszy fenomen nie jest bynajmniej paradoksem. Ci, co powiadają, że Wielka

Brytania jest rzecząpospolitą o monarchicznej etykietce, zadowalniają się aksyomatem wprost rzeczywistości przeciwnym. Każdy z nas wierzył ongi urągliwym słowom Carlyle'a, który określał władzę królewską w Anglii, jako „najwyższy majestat z ozdobami o wątpliwej wartości, honory uroczyste oddawane, wysokie jak gwiazdy, ale tak skrępowany konstytucyjnymi powrozami, że ani ręką ani nogą ruszyć nie może w obawie wypadków“. Stary cynik lubował się w takich drastycznych kontrastach. Dalekie są one jednak od prawdy, jak wiemy dziś wszyscy, cośmy sobie zadali pracę zbadać rzeczy bliżej. Królowa posiada władzę istotną i używa jej. Wpływ jej na tok spraw publicznych jest ciągły, poważny, nieraz stanowczy. Wiadomem jest, że niema sprawy międzynarodowej, któraby jej przedłożoną nie była i żadna ważniejsza depesza dyplomatyczna nie bywa wysyłaną przez gabinet Saint-James, żadna decyzja nie bywa powzięta, bez uprzedniego zasięgnięcia jej zdania. Było wiele słuszności w tym dowcipie, który winszował Anglii, iż przez całe dziesiątki lat posiadała jednego i tego samego doskonałego ministra spraw zagranicznych — królową Wiktoryę. Jej wiek, powaga, doświadczenie, osobiste cnoty, taksamo jak związki rodzinne ze wszystkimi prawie panującymi dworami, sprawiły, że jej osobista interwencya w Europie posiadała zawsze olbrzymią wagę. Radykalni politycy, z abstrakcyjnego swego stanowiska, mogą tego rodzaju czynnik lekceważyć; praktyczni mężowie stanu umieją wpływ osoby monarchy ocenić. Jeżeli Anglia wywiera nacisk za sprawą pokoju i jeżeli świat z błogosławieństw jego korzysta, w wielkiej części przypisać to należy działalności królowej.

Byłoby zbyt cieżko dodawać, że królowa takisam żywy i czynny udział bierze w sprawach wewnętrznych. Zostawiając szczegóły i drobiazgi techniczne swym doradcom — a i to nie zawsze — wypowiada swe zdanie we wszystkich ważnych i zasadniczych sprawach. Wiemy ze zwierzeń wielu mężów stanu, jak stanowczą i rozstrzygającą była nieraz jej akcyja w przygotowawczych stadyach prawodawczej działalności rządu i parlamentu. Po za parawanem odpowiedzialnych ministrów, można spostrzedz jej nieujętą osobistość. Gdybyśmy nie obawiali się przekroczyć ram i tak

już samego przez się zasobnego przedmiotu, mogliśmy twierdzenie to poprzeć całym szeregiem historycznych przykładów. Wystarczy jednak przypomnieć, że jeżeli rozbiły się i poszły w niwecz dwa wielkie projekty reformatorskie ostatnich kadencyj — usamowolnienie Irlandyi i reorganizacya Izby lordów — i jeżeli w skutek tego stronnictwo liberalne poniosło klęskę, z której nie podniesie się jak po upływie znacznego czasu, to na dnie tych doniosłych wypadków leżała bierna, paraliżująca pozycya, zajęta przez królowę.

Władza królowej nie jest tedy konstytucyjną fikcją, ale żywym i energicznym czynnikiem. Dlatego, że z władzy tej robiła zacny użytek, że była bezstronną o tyle przynajmniej, o ile to ludzkiej istocie jest możliwem, że nie spuszczała nigdy interesów wszech-narodowych z oczów, dlatego zajęła w sercu i w sędzie swych poddanych tak wysokie miejsce.

Taksamo jak zastrzeżyliśmy się przed teorią sprowadzającą monarchię angielską do jakiejś połowicznej, nienaturalnej formy, tak nie chcemy też jej społeczeństwa traktować jako demokracji, chociaż takie zdanie wypowiedane jest obecnie na prawo i lewo, zadawalniając powierzchownych spostrzegaczy. Demokratyzuje się Anglia, to prawda; przywileje oligarchii, monopole kastowe znoszone tam są, coraz szerszy krąg obywateli przypuszczony jest do uczestnictwa w swobodach publicznych — to prawda. Ale demokracją mimo tego Wielka Brytania nie jest. Czy się ją wraz z Burkem określi jako większość pełnoletniej ludności obliczonej pogłównie, czy się wraz z Henrykiem von Sybel będzie w niej widziało jedynie zbiór przeważających namiętności, czy też poradzimy się głosów dzisiejszych licznych jej przeciwników i jeszcze liczniejszych stronników, nigdzie nie znajdujemy, ażeby definicya demokracji zastosować się dała w swej systematycznej pełni do brytańskiego społeczeństwa. Jest ono rozmiłowane w swobodzie, każdy składający je osobnik zdąża do jak najszerszego rozwinięcia sfery swej indywidualnej działalności, ale nie wyznaje czci bałwochwalczej dla równości. Przeciwnie, prawodawcze ustawy o wiele wyprzedziły opinie, uczucia, zwyczaje istniejące u społeczeństwa,

przeciętnie branego. Znosi ono uprzywilejowane stanowisko państwowego Kościoła, znosi istnienie Izby lordów z kilku setkami dziedzicznych prawodawców, znosi arystokrację rodu, której zniweczyć nie usiłuje, ale przeciwnie do rządów jej się przedostać pozwala, znosi przywileje korporacyjne i t. d.

Nie — zaprawdę, demokracją nie jest Anglia, tak, jak nie jest rzeczpospolita. Ale mimoto i ona płynie z falą czasu, i ona zburzyła swą Bastylę, i bez przerwy, stopniowo i systematycznie, wprowadza w czyn dzieło emancypacji społecznej. Sześćdziesięciolecie królowej Wiktorji było pod tym względem epoką przelomu. Wiek przyszły będzie miał już tam z całkowicie odmiennym organizmem do czynienia. Wprawdzie „bill reformy“ 1832 r., który powołał do uczestnictwa w kierowaniu sprawami publicznymi klasę średnią, mieszczańską, wyprzedził panowanie królowej. Ale trzeba było czasu, ażeby ten potężny przewrót konstytucyjny wydał swe owoce, zapuścił korzenie i ażeby z tych korzeni nowe strzeliły latorośle. Odebrano monopol arystokracji ziemskiej i obok niej, wkrótce po nad nią, stanęła klasa średnia, która na olbrzymiej fortunie, zdobytej przez rozkwit przemysłu i handlu, wyniosła swą fortunę polityczną. Niezadługo napoły otwarte drzwi przepuściły inne, niższe warstwy społeczne i miała Anglia cztery nowe „bille reformy“, w 1854 r. lorda Johna Russell, w 1866 r. Gladstone, w 1867 r. Disraeliego. Ten ostatni był najradykałniejszy, gdyż przypuścił do głosowania każdego mieszkańca miast. Nakoniec w 1884 r. Gladstone przez powtórny „bill reformy“ powołuje do tychże-samych praw dwa miliony wiejskiej ludności. Niewiele tedy brakuje, ażeby każdy pełnoletni obywatel Wielkiej Brytanii prawa polityczne posiadał. Gdy głosowanie powszechne w myśl hasła postępowej partyi *one man one vote* wejdzie w życie, a stanie się to może jeszcze za obecnego panowania, demokracja uczyni jeden jeszcze krok naprzód; ale ponieważ ruch ten odbywał się seryjami, ponieważ dawał czas do orientacji i chociaż częściowego przygotowania się do nowego zadania, reforma ta nie sprowadzi na Anglię takich katastrof, jak to miało miejsce w innych krajach. Widać i tutaj symptomy pewnego obniżenia się parlamentarnego po-

ziomu, gdy się wdarli doń *homines novissimi*, ale olbrzymie korzyści tak wielce przewyższają te drobne niedostatki, że nie ma najmniejszego powodu szukać plam na słońcu.

Jeżeli organizm polityczny brytański uległ pod berłem królowej zupełnemu przekształceniu, to utworzyłoby się sobie o jego charakterze spaczne wyobrażenie, gdyby się pominęło drugą, idącą z niem w parze, reformatorską działalność na polu administracyi. Była ona radykalniejsza jeszcze, sięgająca do samego jądra społecznego ustroju. Przewodnią jej tendencją było wyrwać zarząd kraju z rąk feudalnej magnateryi i zamkniętych ciał korporacyjnych, a oddać je samemu społeczeństwu. Samorząd municypalny i prowincjonalny --- oto niezłomna podwalina swobód brytańskich. Dokonanie tego wielkiego dzieła, które na panowanie królowej Wiktoryi przypadło, wystarczyłoby już samo przez się do jego uświetnienia. Taksamo, jak wielki „bill reformy“ poprzedził jej wstąpienie na tron, tak i *Municipal Corporation Act* odnosi się do r. 1835. Ale było to jedynie rusztowanie do wzniesić się mającego gmachu swobód municypalnych, i obejmowało nie całość miast, lecz drobną ich część, 178 korporacyj miejskich. Rząd królowej rozciągał następnie te same przywileje do wszystkich wielkich miast fabrycznych i ognisk przemysłowych i oddawał im jedne po drugich działy administracyi miejscowej. Zbytecznem byłoby rozszerzać się nad owocami, jakie przyniósł samorząd municypalny w Anglii. Kto raz zwiedził, albo choćby czytał o cudach, jakie tam stworzyła swobodna działalność obywatelska pod względem oświaty, zdrowotności, zakładów dobroczynnych, środków komunikacyjnych etc. etc., tego nie potrzeba przekonywać o doniosłości przeprowadzonej reformy.

Łatwo zrozumieć, że dłużej przyszło czekać na samorząd prowincjonalny. Bogate i potężne mieszczaństwo nie znajdowało przeciwników, którzyby mu długo czoło stawiać mogli. Inaczej w ziemskich hrabstwach, będących niejako lenniczą własnością arystokracji, posiadającej ziemię. Ale i na tę reformę wybiła godzina. Stało się to w 1888 r. za zachowawczego ministryum lorda Salisbury. Ustanowione zostały Rady prowincjonalne, czyli Rady hrabstw, do których członkowie wybierani byli przez miejscowych miesz-

kańców. Wszystkie sprawy, które dawniej rozstrzygane były albo przez biura centralne, albo przez honorowych dygnitarzy wybranych z pomiędzy uprzywilejowanej klasy wielkich właścicieli, przeszły odrazu w ręce masy krajowej. Tosamo podniesienie materialnego i umysłowego poziomu, które się tak jaskrawo uwydatniło przez samorząd municypalny, może być oczekiwane i po wiejskich okręgach, gdy instytucje te się rozwiną i rozgospodarują. Czytelnicy wiedzą, że Rady hrabstw zostały naprzód rozciągnięte do Szkocyi i do Walii i że na obecnej sesyi parlamentarnej rząd *proprio motu* oświadczył, iż w roku przyszłym wprowadza te instytucje do Irlandyi. Gdy przypomnimy nakoniec, że w 1894 r. ostatnie ministeryum Gladstona przeprowadziło bill. ustanawiający organizację rad wyborczych w każdej gminie wiejskiej *alias* parafii, i że nie pozostaje już do całkowitego dopełnienia krajowego samorządu, jak przeprowadzić organizację rad okręgowych, jako pośredniego ogniwa pomiędzy Radami hrabstw u góry a Radami parafialnemi u dołu, to będzie można objąć jednym rzutem oka ogrom dokonanego w tej dziedzinie dzieła.

III.

Podnieśliśmy dwa momenta rozwojowe Wielkiej Brytanii w erze Wiktoryi: wzrost terytorjum i reformy ustroju politycznego. Są to atoli, w przekonaniu praktycznych Anglików, poprostu ramy, na których rozpiętą jest dopiero tkanina narodowego życia, a istota jego wyraża się w tych środkach, jakie znajdują w nich do swego rozporządzenia państwo i społeczność. Dopiero gdy zdamy sobie sprawę z rozmiarów, w jakich wzrosły materialne czynniki, składające się na potęgę państwową, i z ekonomicznych warunków, w których się społeczność brytańska znajduje, dopiero wtedy będziemy mogli utworzyć sobie wyobrażenie o dokonanych za obecnego panowania postępach. Postępy te są olbrzymie, nieprawdopodobne, fantastyczne nieledwie. Samo się przez się rozumie, że nie są one indywidualną zasługą królowej i nawet najłojalniejsi jej poddani nie przypisują ich

jej samej, ale służy ona jako symbol narodowemu rozwojowi i jest jego syntezą. Naturalnem jest tedy, że przez nas współczesnych, a z czasem i przez historję — zapisane one będą na jej korzyść.

Zacząć wypada od sił obronnych, które posiada na swe rozporządzenie Wielka Brytania. Przed 60 laty armia lądowa angielska liczyła wszystkiego 90.000 żołnierza w kraju i 20.000 w Indyach. Dzisiaj regularna armia wynosi już 230.000, a gdy się do niej doda korpusy ochotników, milicyi, gwardyi narodowej, etc., zbliży się do pokaźnej cyfry jednego miliona. Te 230.000 żołnierza w porównaniu z armiami kontynentalnych mocarstw, są cyfrą drobną, ale okazała się ona i okazuje wystarczającą do wypraw kolonialnych, których era zresztą zbliża się do końca. Zaczepnych wojen z mocarstwami europejskimi Anglia nie prowadzi, a gdyby do nich przyszło, nie na lądowej, ale na morskiej sile opierać się będzie. Potęgą brytańskiej floty uragać się zaś może zkoalizowanym flotom reszty świata. Takiej marynarki przedtem nigdy jeszcze świat nie widział. Wprawdzie hegemonia na morzu od epoki Nelsona znajdowała się w rękach Wielkiej Brytanii, lecz olbrzymi przyrost floty zaczyna się nietylko od obecnego panowania, ale nawet dopiero od drugiej jego połowy. Wobec potężnych militarynych mocarstw, które się wtedy wytworzyły na stałym lądzie, i wobec współzawodnictwa kolonialnego, z którem liczyć się musi, Anglia uznała konieczność, dla utrzymania swego wszechświatowego stanowiska, wzmódcz swe siły na morzu. W 1837 r. etat marynarki nie wynosił jak 5 milionów funtów szt; podwoił się on w trzydzieści lat później, a przeciętne wydatki od 1887 r. wynosiły rocznie 16 milionów funtów szt., w bieżącym zaś 1897 r. już 22 milionów. W ciągu panowania królowej powiększyły się o cztery razy, a do rachunku tego nie wchodzi nadzwyczajne sumy, od czasu do czasu assygnowane na powiększenie floty. A powiększyła się też ona odpowiednio do podejmowanych na nią cfiar. Pod jakimkolwiek względem przyjrzeć się przyjdzie marynarce angielskiej, czy jej jakości, uzbrojeniu, doskonałości budowy okrętów, nowym ich typom, zawartości, czy też jej ilości, wszędzie uderza w oczy niezaprzeczone jej pierwszeństwo.

Dzięki swoim 38 wielkim okrętom pancernym i 118 kroaze-rom, czyli razem 156, Anglia posiada w chwili obecnej właś-nie takąsamą ilość okrętów wojennych, jaką posiadają razem Francya, Rosya, Włochy i Niemcy. Stosunek ten jest jeszcze większy, jeżeli się wprowadzi torpedy do rachunku. Jakie-kolwiek gorączkowe wysiłki czynić mogą niektóre z euro-pejskich wielkich mocarstw, przedewszystkiem Francya i Niemcy, nie ulega wątpieniu, że nie będą mogły w tej mierze sprostać Anglii. Potęga jej nie jest już do zwal-czenia. Może stracić jedną Armadę, ale zastąpi ją drugą i trzecią. Naród o takiej sprężystej energii i takiej zamoż-ności, podola i najuciążliwszym wysiłkom.

Postępy zamożności narodowej uwidoczniają się w ty-siącznych formach społecznej działalności. Stan skarbowości państwowej sam jeden daje już jednak o niem przybliżające wyobrażenie. Przed 60 laty dochody Wielkiej Brytanii wy-nosiły 50 milionów funtów szt., a Indyj i kolonij 25 milio-nów. Obecnie dochód ten potroił się i wynosi 225 milionów funtów szt., a mianowicie Zjednoczone królestwa mają 110 mil., Indye 62 mil., Australia 30 mil., Kanada 8 mil., Cap i Natal 7 mil., inne kolonie 7.5 mil. funtów szt. Skarb pań-stwowy ciągnie te dochody nietylko z podatków bezpośred-nich, ale i z innych źródeł, jak z poczt, telegrafów, dróg żelaznych i t. d. Przeciętny dochód na jednego osobnika był w 1837 r. 1 funt, 19 shillingów; w 1896 r. jest 2 funty i 15 shill., podczas gdy przeciętny rozchód w tychże latach daje się oznaczać na 1 funt 18 shill. i 2 funty 9 shill. Ale doskonałość finansowego gospodarstwa brytańskiego objawia się najwybitniej w sumie państwowego długu. W 1837 r. wy-nosił on jeszcze 850 milionów funtów szt., w 1897 r. sprowa-dzony został do 640 mlionów. Spłacono zatem w ciągu sześć-dziesięciu lat nie mniej jak 210 milionów funtów szt. — żadne państwo podobnym rezultatem pochlubić się nie może. Wprawdzie jednocześnie długi miejscowe, prowincjonalne i municypalne podniosły się z 25 do 270 milionów, ale gdy się wchodzi w ich naturę, i gdy się spostrzeża, że były to wydatki podjęte do wykonania robót publicznych, to się widzi w powyższej cyfrze jedynie korzystne umieszczenie kapitałów. W rezultacie, biorąc na uwagę przyrost ludności

a zmniejszanie się państwowego długu, pokazuje się, że w 1837 r. na każdym osobniku państwowym ciążyło 30 funtów 5 shill. długu państwowego, podczas gdy w 1897 r. zszedł on do 12 funtów i 8 shill. Podatek płacony od dochodu, *income tax*, służyć może jako probierz zamożności społecznej. Otóż skarb otrzymywał z tego tytułu w 1837 r. 700.000 funtów szt. — obecnie 2,250.000 funtów szt.

Gdy od państwa przechodzi się do społeczeństwa i jego gospodarstwa, to się wkracza istotnie w dziedzinę fantazyi. Nie sześć dziesiątków lat, ale raczej sześć stuleci zdaje się dzielić datę wstąpienia na tron królowej Wiktoryi od chwili dzisiejszej: dziecię rozrosło się nie w męża, ale w olbrzyma. Ażeby ten ogrom narodowego bogactwa zrozumieć, trzeba sobie przypomnieć, że przemysł i rękodzielnictwo dzięki wynalazkom i zużytkowaniu machin, spotęgowały swą wytwórczość, że środki komunikacyjne, przedewszystkiem drogi żelazne, rozniosły życie i działalność produkcyjną do najoddalniejszych zakątków kraju, że żegluga parowa zastąpiła żaglową, a przedewszystkiem, że zniósłszy cła wchodowe i system protekcyjny a zaprowadzając u siebie wolny handel, Wielka Brytania stała się jednocześnie największem fabrycznym targowiskiem i największem emporjum handlowem świata.

Każdy z tych współdziałających czynników miał dla Wielkiej Brytanii znaczenie wyjątkowe, ale ujawniło się ono dopiero w całej pełni po tryumfie zasady wolno-handlowej. Pierwsze lata panowania królowej były ponure i uciążliwe. Deficyt w skarbie, okropne cierpienia warstw robotniczych, ich bunt, głód, walka zawzięta kapitału z pracą, nędza i drożyzna — oto bilans tej smutnej epoki. Trzeba było wszystkich tych ujemnych warunków, z niebywałym przyrostem pauperyzmu i przepełnieniem więzień, ażeby utorować drogę teoryom manchesterskiej szkoły. Jak po zaklęciu czarodzieja, wolny handel zmienia natychmiastowo całą postać angielskiego gospodarstwa. Swobodny dowóz zboża daje chleb masom; surowe płody, oswobodzone z cła, pozwalają rozszerzyć produkcję rękodzielniczą, i podnosi się cena zarobku robotników i zyski fabrykantów, kupców, właścicieli okrętów. Handel wzrasta taksamo, jak produkcyjna wy-

twórczość. Wwóz i wywóz towarów wynosił w 1837 r. wszystkiego 140 milionów funtów szt.; w ostatnich latach przewyższa o 700 milionów funtów szt. Marynarka kupiecka, która już wtedy była większą niż jakiegokolwiek innego mocarstwa, przewyższa je dziś wszystkie razem wzięte. Zamiast 824 parowców o zawartości 69 tysięcy ton, posiada obecnie Wielka Brytania 8.356 parowców o zawartości 6 milionów ton. A możnaby cyfry te szeregować jedne po drugich; wszystkie pokazują, wszystkie doprowadzają do jednego i tego samego rezultatu: zolbrzymienia bogactwa angielskiego. Kapitały mnożą się i mnożą i Wielka Brytania stała się bankierem całej kuli ziemskiej.

Ale, gdyby ona pochlubić się mogła potęgą swych sił wojennych i morskich, świetnością swej skarbowości, olbrzymim rozwojem swego przemysłu i handlu, jednym słowem materyalnym postępem, byłoby to zaiste już znacznym dodatnim czynnikiem na jej korzyść przemawiającym, lecz nie najwyższym. Po nad materyalnym postępem stoi moralny, duchowy, i ostatniem słowem cywilizacyi jest harmonijne wyniesienie na wyżyny obu tych pierwiastków. Wielkość sześćdziesięciolecia Wiktorji leży właśnie w postawieniu tego drugiego na przynależnem mu stanowisku.

Przewidujemy protestacyę z niejednego obozu, gdy śmiało oświadczymy, że Anglia jest dziś w oczach naszych jądrem i ogniskiem postępowego, wszechludzkiego humanitaryzmu. Są ludzie, którzy nie mogą jeszcze oddzielić tych zasad od rewolucyi francuzkiej XVIII stulecia, od ogłoszenia *Praw człowieka*, etc. Cały wiek już jednak upłynął od tej rewolucyjnej epoki i możemy bezstronnie sądzić ją po jej owocach. Jeżeli nie powiemy z wielu najznakomitszymi myślicielami, a pomiędzy nimi nawet z Renanem, że rewolucya francuska i jej programat zbankrutowały, to zmuszeni jesteśmy przyznać, iż ani dla Francyi samej, ani dla postronnego świata nie przyniosła ona owych rezultatów, których się miała po nich spodziewać odrodzona ludzkość. Anglia żadnego takiego programatu abstrakcyjno-absolutnego nie nakreśliła i nie zwiastowała światu wśród wspaniałych grzmotów, że prowadzić będzie krucyatę za swą własną i za naszą wolność. Uczyniła to jednak faktycznie — a znaczenie to ma

niezawodnie większe. Popęlniamy niesprawiedliwość, jesteśmy ślepi i niewdzięczni, gdy się korzmy przed humanitaryzmem rewolucyjnej Francji, a lekceważymy zasługi, oddane wszechludzkości przez chrześcijańską Anglię.

Dla usprawiedliwienia tego poglądu nie ma potrzeby cofać się do jej historii i wskazywać, że wytworzyła u siebie instytucje polityczne, które stoją przed światem jako wzór niedościgły i że zapewniła swym obywatelom najszerze swobody publiczne. Zatrzymując się w okresie Wiktorji i w kilku latach, które takowy poprzedziły, przypomnimy, że jednocześnie z agitacją za „billem reformy“, który postawił ustrój państwowy na szerokiej, ludowej podstawie, Anglia prowadziła walkę za wyswobodzenie niewolników. Data 1833 r. i imię Wilberforce'a z całym zastępem jego pomocników i współdziałaczy, nie powinny być wymazane z pamięci ludzkości. Jeżeli było kiedykolwiek olbrzymie dzieło humanitarne, dokonane w imię najwyższych zasad, to była niem emancypacja niewolników.

Niebawem poszły za nimi inne, i raz rozbudzona agitacja za prawami człowieka — prawami atoli od obowiązków nierozdzielniemi, a to jest zawsze i wszędzie zapatrywaniem Anglików — nie zatrzymała się na jedną chwilę. Pierwszy dziesiątek lat panowania królowej zaznaczony jest agitacją i tryumfem wyswobodzenia warstw robotniczych z ekonomicznej niewoli. Rok 1842, w którym pierwsze zasady *Factory Act* pozyskały sankcję parlamentu i rok 1847, w którym dopełnione zostały, oraz imię lorda Shaftesbury, wielkiego socjalnego reformatora, złotemi głoski zapisane być winny w rocznikach ludzkości. Anglia, która pierwsza wprowadziła system fabryczno-rękodzielniczy, pierwsza także przedsięwzięła zniesienie przywiązanych doń nadużyć. Miliony robotników zaprzężonych do machin i zabijanych bezkarnie, kobiety przeciążone pracą, znędzniałe i wycieńczone, dzieci małe, kilkoletnie, traktowane dotąd z okrucieństwem, zostały wyswobodzone, otrzymały przez nową ustawę fabryczną swoją *Magna Charta*. Postawiono ludność robotniczą pod osłoną prawa, wzięto na uwagę siły ludzkie, ograniczono liczbę godzin pracy, wiek robotników, zajęto się higienicznymi warunkami ich bytu. Humanitarne te reformy

zmazały z przemysłu fabrycznego hańbiące go przedtem piętno. A ruch ten nie ustał w Anglii od tej chwili w tym samym kierunku, i nie było kadencji parlamentarnej bez nowych ulepszeń. Nie ma też ani jednego „postępowego” państwa, któreby stało na tejsamej wysokości co do ustaw ochronnych dla warstw robotniczych. Kulawo i leniwo idą one w ślady Wielkiej Brytanii. Słusznem jest przeto, aby ci, co opisują w jaskrawych barwach stan oplakany proletaryatu angielskiego, porównali go do swego własnego i aby uznali, że nie ma kraju, któryby jaśniej nakreślił świetlaną drogę przed nowoczesnym światem.

A tensam dziesiątek bieżącego wieku był także epoką tryumfu innego olbrzymiego humanitarnego przedsięwzięcia. Mamy na myśli ustanowienie wolnego handlu, zniesienie ceł wchodowych i otwarcie wszystkich portów brytańskich dla swobodnego dowozu obcych towarów. Najgorliwsi zwolennicy systemu protekcyjnego nie uważają ceł, rogatek, premii wywozowych i wszystkich sztucznych zapór stawianych pomiędzy narodami, jako dobre i chwalebne same przez się, ale ograniczają się do traktowania ich jako złe przechodnie, jako niesprawiedliwość konieczną. Nie wchodząc w tę stęchłą już dyskusję, wystarczy nam tylko przywołać protekcyonistów do przyzwoitości. Nie może usprawiedliwić ich argument, udowadniający, że otwarcie swych granic dla obcego wwozu i handlu zbogaciło Anglią. *Honesty is the best policy*—nieobalony to axyomat w sferze moralnej, tak samo jak ekonomicznej. Zostawić więc należy Anglii chwałę, że ona wprowadziła w czyn najdoskonalszą teorię handlową, że ją zainaugurowała, nie żądając wzajemności, nie wymagając w zamian ani ustępstw, ani przywilejów. Gdy Anglicy zdobywają jaką nową, dotąd nie wyzyskaną ziemię i zatykają na niej swój narodowy sztandar, ta kolonia jest natychmiast otwartą na oścież nie dla nich samych, ale dla całego świata. Inaczej się dzieje we francuskich, niemieckich i innych koloniach. A pomimo to na Anglikach ciężyć nie przestaje stygmat egoizmu!

W tym samym rzędzie wielkich socyalnych reform o szerokim humanitarnym nastroju, wymienić należy instytucye, które społeczeństwo angielskie podjęło samo dla podniesienia

skali materalnej i moralnej masy zarobkującej. Podczas gdy na stałym lądzie rozczochrano socjalizm, hałaśliwy, ale czezy, mamił warstwy zarobkujące nieziszczalnemi obietnicami, w Anglii inaczej pojęto odrodzenie społeczne. Dano mu jako podstawy: stowarzyszenie i samopomoc. Podziały one, jak magiczne potęgi. Z corocznych sprawozdań i przedłożonych etatów dowiaduje się zdjęty podziwem świat postronny, do jakiej zamożności wzniosła się owa czerń, niedawno jeszcze w bezdennych czeluściach nędzy ginąca. Na setki milionów oblicza się już teraz majątek stowarzyszeń współdzielczych, spożywczych i wytwórczych. *Trades-Unions*, w pierwszej epoce swego powstania organizacye demagogiczne, stały się obecnie wpływowem, legalnem, wszechpotężnem, reprezentacyjnem ciałem pracującej masy. Umoralnienie i oświata szły w parze z zamożnością. To podniesienie się całego poziomu podkładowego narodu jest jednym z najdonioślejszych fenomenów współczesnych.

Bez wątpienia warstwy robotnicze same rozwinęły energię nadzwyczajną dla wyzwolenia się z oków. Ale i klasy wyższe, zamożne, oświecone, podały im pomocną rękę. Filantropijna działalność nigdzie nie toczy się szerszem korytem. W ostatnich lat dziesiątkach dokonano w Anglii tytanicznego dzieła. Widocznem się stało dla uprzywilejowanych warstw towarzyskich, że ich stanowisko wkłada na nie moralną odpowiedzialność i obowiązki. Niezliczone instytucye i zakłady dobroczynne, bądź z fundacyi magnatów, bądź z wdowich groszy powstałe, zasiały całą przestrzeń kraju. Żywy prąd ewangelicznego miłosierdzia, który zdawał się wyschniętym w łonie urzędowego Kościoła państwowego, rozbudził się, gdy mu przykład dobry wskazały sekty niezależne od protestantyzmu, a przede wszystkim wyzwolony i równouprawniony Kościół katolicki. Kościoły i prowadzona pod ich dyrekyą praca socyalna, rywalizuje ze świecką. Przykład szedł z góry, od królowej i jej otoczenia. Widząc ją zawsze troskliwą i dbałą o los najuboższych i wydziedziczonych, społeczeństwo tąsamą przywykło oddychać atmosferą. Gdy się porówna moralny i religijny nastrój społeczeństwa w początkach stulecia z jego schyłkiem, można przypuszczać, że się z innym światem ma do czynienia, a ra-

czej, że inna ożywia go dusza. Owe dzikie, sfanatyzowane masy, które kamienowały katolików przy okrzykach: *No popery!* — nauczyły się obecnie tolerancyi religijnej i uszanowania dla religii, wiodącej ku wzniosłym a czystym ideałom; owe miliony, co się wtedy tarzały w niechlujnym występku i zrobiły z pijaństwa jednoznacznik z angielską narodowością, stały się, pod wszechpotężnym wpływem Towarzystw wstrzeźliwości, nieledwie inną rasą; owe masy ciemne, bez najmniejszej oświaty, otrzymały od lat trzydziestu, od państwa i od duchowieństwa szkółki bezpłatne i obowiązkowe. Jeżeli otwarto demokracji podwoje do publicznej areny, to dano jej jednocześnie przez naukę linię wytyczną i oręż do walki.

Nie możemy iść dalej w wyliczaniu wszystkich sił moralnych, wszystkich środków duchowych, które weszły jako działające, jako przewodnie czynniki do rozwoju brytańskiego organizmu; zadaleko by nas to zaprowadziło. Czytelnik zauważy sam i tak, że nie chcieliśmy tu dotknąć ani sprawy emancypacji Kościoła katolickiego, dokonanego za ministerium Gladstona, ani organizacyi szkolnictwa. Są to kwestye zbyt potężne, aby raz je potrąciwszy, zostawić je nietkniętymi. Wymieniliśmy je tylko *pro memoria*. Ale nawet ten szybki przebieg cywilizacyjnego wzrostu i rozwoju Wielkiej Brytanii w ostatnich czasach, zdołał, jak sądzimy, pokazać, że słuszną była nasza przesłanka, w której po nad materialnem postawiliśmy moralne odrodzenie Wielkiej Brytanii.

IV.

Gdy społeczność poważnie, rozumnie zajmuje się spełnieniem swego życiowego zadania, gdy metodycznie i systematycznie zabiera się do usunięcia jednej przeszkody po drugiej na swojej drodze, nie dziwnego, że się stosunki i całe środowisko stają jaśniejszemi, łatwiejszemi, że się dzieło postępu z każdym pokoleniem, z każdym rokiem nieledwie potęguje. Wskazaliśmy dopieroco, jak w Anglii niestrudzona energia indywidualna i zmysł praktyczny podniosły poziom materialny narodu i jak państwo, wykonawca jego woli,

przychodziło mu w pomoc, rozwiązując zagadnienia publiczne w duchu humanitarnym. Pokazaliśmy jednocześnie, jak społeczność się umoralniła, jak się jej duch oczyścił przy coraz ściślejszym związku z Kościołem. Nie trzeba bowiem spuszczać z oka tej odrębności angielskiego świata, że chrześcijaństwo i ewangeliczne doktryny nie tylko nie postradały w jego organizmie tej potęgi i tego wpływu, jakie posiadały dawniej, ale przeciwnie nabrały nowej sprężystości i przeniknęły głębiej. U innych społeczeństw zdarza się, że religia traktowaną bywa jako czynnik wsteczny po nieprzyjacielsku. Tutaj, widząc kościoły przodujące we wszystkich wielkich zagadnieniach, solidaryzujące się z życiem narodu, nie przychodzi na myśl Anglikom ciskać im rękawicy. Kollizya pomiędzy oświatą świecką a duchowną, zatargi pomiędzy wiedzą a wiarą i te niezliczone jątrzące kwestye, które się narzucają co chwila temu lub owemu z kontynentalnych społeczeństw, grają w duchowym rozwoju Anglii rolę bardzo podrzędną. Jako następstwo tego pomyślnego nastroju narodowego, można tu stwierdzić w epoce Wiktoryi, normalny rozwój wiedzy, literatury i sztuki. Te kwiaty cywilizacyi, na starannie przygotowanym gruncie, wybujały i zakwitły wspaniale.

Nawet gdyby się nie wiedziało, jak znacznie do postępów nowożytniej wiedzy przyłożył się świat angielski, to wystarczyłoby rzucić okiem na jakikolwiek zakątek ziemi brytańskiej, aby się przekonać, że te fabryki i rękodzielnicze zakłady, te potężne albo do najdrobniejszych potrzeb codziennych używane narzędzia i maszyny, te niezliczone zastosowania pary, elektryczności, te doskonałe środki komunikacyjne, te porty, warsztaty okrętowe, latarnie morskie, tamy, groble, upusty, mosty, tunele, są praktycznymi następstwami naukowych eksperymentów i zdobyczy. Chemia, fizyka, mechanika i pokrewne z nimi gałęzie wiedzy, wytworzyły współczesną Anglię. Nie posiadamy, niestety, specjalnego uzdolnienia do traktowania tej kwestyi *ex professo*. Będzie nam jednak wolno przypomnieć, że rewolucjonizująca dziedzina chemii i fizyki, działalność Michała Faraday'a należy w znacznej części do ery Wiktoryi, że profesorowie Ramsey i Tyndall, że lord Kelvin, każdy w swej gałęzi, wykradli naturze jej tajemnice, opanowali materję, poczynili wielkie

wynalazki i roztwarli przed wiedzą bezbrzeżne perspektywy. Gdy Faraday przez odkrycie benzyny pchnął na nowe tory całą przemysłową chemię, gdy prof. Ramsey odkrywa argon, gdy lord Kelvin kładzie podwaliny filozofii natury przez swe studia nad zachowaniem energii ruchu, nieulegającej zmianie pomimo różnaitości form, w jakie się odziewa, gdy lord Lister przez wynalazek i zastosowanie antyseptycznych środków staje się dobroczyńcą ludzkości — to te całemu światu znane imiona nie pozwalają podać w wątpliwość znaczenia wiedzy angielskiej i ciągle nowych czynionych przez nią zdobyczy.

Ale znikają one nieledwie przed czem innym, co nad niemi wszystkiemi góruje. Mówimy o Karolu Darwinie, którego synteza ewolucyjna narzuciła się światu umysłowemu. Nie tu miejsce ani kruszyć kopii za jego teoryami, ani im zaprzeczać. Dzisiaj, gdy po upływie kilku lat dziesiątków utarły się uprzedzenia pierwszej chwili, gdy zasadnicza doktryna oczyszczoną została z naleciałości postronnych i zamkniętą w swej własnej dziedzinie, znaczenie jej nie ulega już wątpliwości. Taksamo, jak wszyscy wielcy badacze, Darwin przeszedł przez cierniste manowce. Ale rozświecił on wiele tajemnic przyrody, dał klucz do ich zrozumienia i dla tego nauka z wdzięcznością imię jego stawia w szeregu tych pionierów, którzy stuleciu naszemu właściwie mu nadali piętno.

Imię Darwina będzie taksamo nieodłączne od fizyki w epoce Wiktoryi, jak Herberta Spencera w dziedzinie filozofii. Zasady ewolucyi zostały przeniesione z dziedziny przyrody przez Spencera w dziedzinę społeczną i oświecony przez tę latarnię świat otaczający stał się zrozumiałym dla umysłu w organicznym swym zarysie. Stawiając obok Darwina i Spencera takich uczonych, jak Tyndall, Huxley, Wallace, Martineau, J. S. Mill, można zdać sobie sprawę z naukowych tendencyj angielskiego świata. Socyologia, antropologia, psychologia, fizyologia, stanęły na podstawach niewzruszonych, dalszą budowę umożliwiających. Droga jest wytkniętą, metoda naukowa zdobytą. Z zadowoleniem z dokonanego dzieła może nauka XIX wieku stanąć u progu nowego stulecia i zdać mu swe dziedzictwo.

Przechodząc w sferę piśmiennictwa w ścisłym słowa tego pojęciu, sześćdziesięciolecie Wiktoryi przedstawia takie bogactwo nieprzebrane, iż nie można się kusić w pobieżnym przeglądzie o najmniejszą jego charakterystykę. Nie podobna nawet powiedzieć, jacy pisarze wywarli najpotężniejszy wpływ na ustrój i tok angielskiej umysłowości. Wśród zmieniającego się środowiska, zmieniło się także znaczenie i stanowisko niejednego z przewodnich pisarzy. Staje się trudnem, spoglądając na nich w świetle krytyki dnia dzisiejszego, ocenić wartość, jaką posiadali u swych współczesnych. Jedno nazwisko tu wystarczy — Carlyle. Nie było pisarza, któryby głębszy wpływ wywarł na świat otaczający, od niego. Przed jakimi kilkunastu laty, gdy wymieniano myślicieli, którzy ulepili duchowy organizm angielskiego świata, nie wahano się ani chwili i spotykało się zawsze, jako dwóch patriarchów, Tomasza Carlyle'a i Johna Ruskin'a. Jeżeli do dzisiaj żyjący Ruskin stanowisko swe przelomowe zachował, to nie można powiedzieć, aby to miało jeszcze miejsce z Carlylem. Historyk i filozof runął w opinii dzisiejszej, a pozostał jedynie essayista, krytyk i niezrównany artysta słowa. Przed etycznym i estetycznym wpływem Ruskin'a trzeba uchylić czoła. Jednego ma on rywala, który mu na wielu punktach *pari passu* dotrzymuje placu, a w sferze najwyższych duchowych zagadnień przewyższa. Mamy na myśli kardynała Newmana, którego znaczenie w piśmiennictwie ery Wiktoryi coraz wyższe znajduje uznanie. Maciej Arnold, Walter Pater i cały szereg krytyków, moralistów, essayistów, idzie za tymi przywódcami w przynależnej odległości.

Gdybyśmy zamierzali kreślić tutaj choćby szkic historycznego rozwoju piśmiennictwa Anglii, byłoby obowiązkiem naszym wykazać, jak w pierwszych latach panowania królowej konała na jej brzegach fala romantyzmu o wielkich postaciach Scotta, Byrona, Shelleya i jak napływała nowa. Robert Browning, a przedewszystkiem lord Tennyson stali się poetami, najdoskonalej reprezentującymi geniusz twórczy brytański w nowych jego kształtach. Rossetti, William Morris, Swinburne snują dalej tę nić złotą i przekazują ją nowemu pokoleniu poetów, wśród którego dzień dzisiejszy dwóch już wyróżnił, Watsona i Davidsona. Te przodujące imiona i ich

utwory, każdemu miłośnikowi poezyi znane, świadczą, że ognisko poetyckie nie wygasło w Anglii ani na chwilę. Słyszymy, że u innych społeczeństw poezya straciła na znaczeniu, na wartości, i że przestały oddychać nią masy. Nie ma śladu niczego podobnego w Anglii, a przyczyna tego leży, zdaniem naszym, w tym religijno-moralnym nastroju, który nie przestawał charakteryzować duchowości angielskiej. Poezja jest jego wiecznie młodą córą.

Nie dotykając nawet muzy historii, która mogła się pochlubić w pierwszych czasach ery Wiktorji Macaulay'em a w następnej wielką trójcą Freemana, Froude'a i Lecky'ego, — ostatni z nich żyje już jedynie — a która dzisiaj kulminuje w p. Gardinerze, nie czujemy potrzeby zatrzymać się nad tą formą piśmiennictwa, która wybujała nad wszystkimi innymi i która zdobyła sobie jedyną w świecie popularność. Powiedziano, że powieść jest dla świata nowożytnego tem, czem dla starożytnego była epopea, i powiedziano słusznie. Odegrała ona też wśród społeczeństwa angielskiego wielką rolę. Podnosiła wszystkie wielkie zagadnienia społeczne i moralne, torując z jednej strony drogę reformom praktycznym, z drugiej będąc wyrazem etycznych zasad i estetycznych zapatrywań. Wszystkie fazy, przez jakie przechodziła z kolei Anglia, odzwierciedlają się w jej powieści. Olbrzymia trójca Dickensa, Thackeraya i George Eliota stoi wprawdzie na pierwszym planie, ale nie ma się prawa pominąć ani Brontë, Read'a, Trollope'a, Gaskella, Kingsleya z już zmarłych, ani Jerzego Mereditha, Tomasza Hardy, Maryi Humphry-Ward z żyjących. Ile talentu, ile życiowej prawdy mieści się w powieściach tych autorów i tysiąca innych, nie potrzeba przypominać. Każdy z czytelników naszych jest w stanie obrazu tego dopełnić.

Wypada nakoniec choć pobieżnem słowem dotknąć rozwoju sztuki angielskiej w szkicowanym tutaj peryodzie. Rozwój ten był bezprzykładny, jedyny w świecie. Można bez przesady powiedzieć, że królowa Wiktorja znalazła sztukę i całe życie zewnętrzne angielskie prozaicznym i brzydkim, a zostawi nawskróś upięksozomem i estetycznym. Ideal piękna się zmienił — jego potrzeba przeniknęła w masy i podniosła ich poziom. Ruskin zaszczeplił w naród ten

uszlachetniający pierwiastek. Gałęzie, które z tego pnia strzeły, nadały całemu angielskiemu środowisku inny zupełnie obraz. Wskreszenie i postawienie przez Ruskina, Turnera, jako słonecznego geniusza, otwarło odrazu przed sztuką angielską nowe horyzonty i zbliżyło ją do natury. Następnie ciasna i zimna modła akademickiej sztuki została odrodzoną przez prerafaelizm. Przepaść niezgłębiona zdaje się dzielić sztukę pierwszych dziesiątków panowania królowej Wiktorii od drugiej jego połowy. Sir John Millais był najpełniejszym artystą plastycznym tej epoki i w nim znaleźć można odbłyски rozmaitych kierunków, przez które torował sobie drogę tryumfujący rydwan sztuki. Byłoby błędem atoli widzieć w nim ostatni szczebel artystycznego wykształcenia Anglii. Kraj, który posiada tak wielkiego mistrza, jakim jest Watts, takiego poetę pendzla, jak Burne-Jones, nie zamyka się w jednej ciasnej formie. Najrozmaitsze kierunki odbiły się na wrażliwej wyobraźni jego malarzy: dość będzie wymienić Whistlera, Sargenta, dość wskazać nanowo formującą się jeżeli nie szkołę, to grupę szkockich portrecistów i na młody zastęp pejzażystów, aby oddać hołd temu szczeremu poszukiwaniu piękna, temu wrzacerbemu życiu, które się tu na każdym punkcie objawia.

Ale największym odkryciem, jakie uczynili Anglicy w sferze sztuki pięknej, było to, które rozszerzyło jej granice do nieskończoności. Z chwilą, gdy się przeświadczyli, że po za malarstwem, rzeźbą i budownictwem stoją niezliczone zastosowania sztuki ozdobniczej do wszystkich codziennych i zwykłych potrzeb życia i że można je przez piękność formy zrobić pojętnem i rozkosznem, nastąpiła, rzecz można, rewolucya artystyczna. Instytucyę typową, która to nowe pojęcie o roli i zadaniu sztuki skryształizowała w sobie, jest Muzeum South-Ktensington z promieniejącemi około niego zakładami i szkołami. Po wszystkie czasy era Wiktorii szczyć się nią będzie mogła.

V.

Łatwem byłoby, niezawodnie, podnieść inne jeszcze strony rozwoju narodowego Wielkiej Brytanii za panowania

królowej Wiktorji. W obawie jednak, ażeby przegląd ten zamiast być obrazem syntetycznym, nie stał się suchym katalogiem, zdaje się nam stosownem zatrzymać go tutaj. Taki, jaki jest, pozwoli już doprowadzić do wniosku, że panowanie obecne nietylko było dłuższem latami, aniżeli jakiegokolwiek dawniejsze, ale że je przewyższyło doniosłością. We wszystkich sferach narodowej działalności nastąpiły przełomowe ulepszenia, a jako rezultat mądrej zewnętrznej i wewnętrznej polityki, Wielka Brytania wzniosła się do niemarzonej potęgi i jest dziś jednym z pierwszych wśród wszechświatowych mocarstw.

Widzi tę prawdę po za granicami jej każdy postronny spostrzegacz i ubolewa nad nią lub jej przyklaskuje stosownie do swych sympatyj i swych interesów. Tem żywiej musiała ona uderzyć samych Anglików. Rozbudziły się drzemiące nawet ich wyobraźnie, wyżej się podniosła narodowa duma. Sześćdziesięcioletnia rocznica wstąpienia królowej na tron wydała się im właściwą chwilą do ukazania *urbi et orbi*, czem to jest Wielka Brytania. W apoteozie królowej była i być miała zarazem apoteoza państwowej i narodowo-społecznej wielkości. Są tacy, co urągają temu samochwalstwu. Nie dzielimy tego zdania i nie robimy wyrzutów Anglikom, że zapragnęli ukazać się światu i sobie samym takimi, jakimi są. Rachunek sumienia jest użytecznym nietylko dla jednostek, ale i dla narodów. Któż zaprzeczy, że chwila była potemu? Tak, jak wędrowiec, wszedłszy na górskie wyżyny rzuca okiem na przebieżoną drogę, tak świat brytański zaczerpnął z obrazu sześćdziesięcioletniego rozwoju świadomość i tego, czego już dokonał, i tego, co ma jeszcze przed sobą.

Nie pragnąc bynajmniej zasłaniać, ani zmniejszać czynnika brytańskiej państwowej hegemonii, który się w tym jubileuszu tak jaskrawo uwydatnił, należy jednak położyć nacisk na to, że były to, pierwotnie i zasadniczo, ceremonie podjęte dla uczczenia królowej i dla złożenia jej hołdu. Jest ona dla monarchicznego, szczerze lojalnego społeczeństwa angielskiego symbolem narodowego bytu. Nikt zapewne nie widzi wyłącznej jej zasługi w postępach dokonanych, ale wszyscy czują, że przez roztropne rządy i przez poświęcenie

swej działalności dla dobra powszechnego, stały się one możliwymi. Nietylko, że królowa nie jest żadnym wybujałym geniuszem, żadną oryginalną potęgą, ale, jak całemu światu wiadomo, jest przeciętnie wykształconym umysłem. Ale właśnie dlatego ogół narodu tak wysoko ją ceni, i czuje się jednakiej z nią natury. Taką a nie inną powinna być osoba władczyni tego niezmiernego państwa. Jest ona tak doskonałym typem, takim ideałem konstytucyjnego monarchy, że przyczyniła się do utrwalenia, ugruntowania zasady monarchicznej. Nikt nie przepowiadał długiego panowania księciu Walii, gdyby młodzieńcem był tron odziedziczył. Inaczej obecnie. Poszły w niepamięć nadużycia i wybryki Jerzych i Wilhelmów, a naród przywykł jednoczyć postać monarchy z osobistością królowej Wiktorji.

Cześć dla niej nie jest sztywną i formalistyczną, ale nawskróś przejętą przywiązaniem. Nigdy jeszcze dzieje nie zbliżyły były bardziej władczyni wielkiego państwa z jej narodem. Istnieje pomiędzy nimi wymiana uczuć prywatnych. Społeczeństwo wie, że królowa dzieliła bóle, cierpienia i przejścia jego, że płakała nad jego stratami, że dzieliła jego radości i chwałę. W zamian naród szedł krok w krok za życiem domowem i rodzinnem królowej. Owiał go urok tego dziewięcioletniego, co obejmowało w swe drobne ręce berło zwierzchniej władzy, współczuł jej małżeństwu z miłości, jej czystemu, rodzinnemu życiu. Zamiast skandalów, brudów i orgij, co kaziły dawniej dwór angielski, znaleźli na nim, dzięki jej, patryarchalne obyczaje. Ta królowa, która była całym sercem przywiązaną żoną, wzorową matką dziewięciorga dzieci, niepokieszoną wdową, babką i prababką, stała się w oczach społeczeństwa typem dodatnim niewiasty angielskiej. Za te jej domowe cnoty pokochano ją serdecznie, i każdy cios, co w jej rodzinne koło uderzał, czynił ją jeszcze droższą ogółowi. Hołd dla kobiety jednoczył się z czcią dla królowej, odejmując mu wszelki pozór służalczości. Dodajmy zaś nawiasowo, że zyskały na tem wielce wszystkie kobiety jej narodu. Jeżeli kwestya rozumnej emancypacji i względnego równouprawnienia kobiet uczyniła wśród brytańskiego świata tak ogromne postępy, jeżeli dojrzenia tam raźniej, aniżeli w innych krajach, to przypisać

się to daje stanowisku, zajmowanemu u szczytu społeczeństwa przez taką wzorową kobietę.

Nie było tedy jednej skazy, jednego cienia, nie było najmniejszej przeszkody, ażeby z uroczystości jubileuszu królowej zrobić uroczystość narodową, wielki obchód historyczny. Projekt też raz w łono społeczeństwa rzucony, rozgorzał jak pożar na stepie. Nie było wiadomo, gdzie go zatrzymać i rząd wziął w swe ręce ułożenie programu, aby pohamować zapał zbyt popędliwy. Królowa sama, gdyby swego osobistego zdania słuchać chciała, obarczona latami, zamiłowana w spokój i domatorka, byłaby wołała wszelkich męczących i nadzwyczajnych obchodów zaniechać. Ale gdy się to okazało niepodobnem, gdy korzyści, jakie wypłynąć ztąd miały i dla dynastji, i dla państwowej potęgi, stały się niewątpliwymi, uległa pressji ze wszech stron nań wywieranej i ceremoniał 60-letniego jubileuszu postanowiony został.

Główną jego sceną miał być procesjonalny objazd królowej przez Londyn. Gdy przed dziesięciu laty obchodzono 50-letnią rocznicę jej rządów, miała także miejsce tego rodzaju procesya do Westminsterkiego Opactwa, w którem się odbyło uroczyste nabożeństwo dziękczynne. Stan zdrowia królowej nie pozwalał tym razem na powtórzenie takowego. Wprowadzono doń zmianę, pozwalającą królowej nie opuszczać swego powozu, a jednocześnie ukazać się jak największej liczbie publiczności. Wytknięto sześciomilowy krąg przez główne ulice miasta, kierując drogę tak, ażeby z pałacu Buckingham szła przez najwspanialsze ulice arystokratycznej jego części, następnie przez handlowe dzielnice, starą i sławetną City, do katedry Św. Pawła, gdzie duchowieństwo przyjmować ją miało pontyfikałnie i udzielić jej błogosławieństwa, a następnie przekroczywszy Tamizę, powracała przez część ludowych przedmieść południowej części stolicy.

Po przyjęciu tego planu, zarówno władze jak publiczność dołożyły wszelkich starań, aby otoczyć tę królewską procesję wszelką możliwą wspaniałością. Stolica na całej drodze, przez którą orszak jubileuszowy miał przeciągać, wzniosła luki tryumfalne, przedsięwzięła dekorację uliczną o tyle jednolitą, o ile na to pozwala ogromny rozmiar i odmienny charakter tych lub owych dzielnic. Z wysokich słu-

pów i kolumn powiewały sztandary i proporce, widniały cho-
ragwie i godła, rozwieszały się wieńce z kwiatów i zieleni.
Niektóre ulice były prawie całkiem pokryte przesłoną taką
barwną i wonną. Wszystkie gmachy, pałace i najuboższe
domy ozdobione zostały w tensam malowniczy sposób kwia-
tami, krzewami, posągami i popiersiami królowej, transpa-
rentami, napisami, kobiercami, makatami, aksamitem z fran-
dzlami. A nietylko, że powyjmowano okna i drzwi z do-
mów, ale ustawiono na ich dziedzińcach, przed ich frontami,
na ich dachach, jednym słowem, na każdym możliwym miejscu
trybuny dla widzów. Przedsiębiorczość spekulantów, wyzys-
kująca publiczny zapal i ciekawość masy widowiska żądnej,
dokonała pod tym względem rzeczy niepodobnych. Znale-
ziono miejsca dla kroci tysięcy widzów, a trzeba ich było,
gdyż przybyło na te ceremonie z jakie dwa miliony postron-
nej ludności. I tak olbrzymi Londyn przybrał fantastyczne
rozmiary, zaczernił się mrowiskiem ludzkim, jakiego rów-
nego nigdy przedtem nie było w murach jednego miasta.
Tak przybrany, wystrojony, przedstawiał jedną *via trium-
phalis*, jako ramy dla orszaku procesyjnego.

Podczas gdy masa narodowa wysiliła się, ażeby godnie
przyjąć królowę w tym pamiętnym dniu 22 czerwca, rząd
postanowił zużytkować go dla zmanifestowania wszechpo-
tęgi Wielkiej Brytanii. Bez wątpienia procesyjny po-
chód karoc dworskich w bogatych uprzężach, w otoczeniu
rodziny królewskiej i jej książęcych gości, w asystencyi
dygnitarzy dworskich w ich świetnych mundurach, ciągnący
się wśród armii dwoma szeregami ustawionej, przedstawiać
już mógł dla widzów malowniczą scenę. Ale tego rodzaju
widowiska miały już miejsce i brakowało im oryginalności.
Postanowiono ją wprowadzić, dodając do pochodu provin-
cyonalnego żywioł kolonialny, cywilny i wojskowy. Myśl
była nietylko szczęśliwą, ale do najwyższego stopnia sym-
boliczną. Wiedziała dobrze Anglia, iż posiada kolonie, ale
nigdy jeszcze nie ujrzała ich zebranych razem u swego ma-
cierzyńskiego łona. Po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że
ta Wielka Brytania anglo-saksońskiego szczepu panuje, rzą-
dzi, wychowuje, cywilizuje ludy i plemiona wszystkich ras,
wiar, języków, obyczajów, strojów. Federacya Wielko-Bry-

tańska przestała być abstrakcyjną teorią, nabrała krwi i kości. Jeżeli rząd, zapraszając na jubileusz królowej wszystkich dygnitarzy kolonialnych, wszystkie ich naczelne osobistości zaczawszy od pierwszych ministrów, wiedział dobrze, co czyni i przygotowywał fundamenta ściślejszej federacyjnej Unii, to masa narodu spostrzegła ją w mundurach kolonialnych żołnierzy, nigdy tu przedtem nie widzianych, w ich sile zbrojnej.

Istotnie, gdy w dzień jubileuszowy ujrzano w promieniach jaskrawego słońca ciągnącą, w pośród dwumilionowego strojnego i radosnego tłumu, w pośród szpaleru policyi i żołnierzy i poprzedzającą pochód królewski, armię kolonialną, gdy ujrzano otaczające karoce swoich ministrów i gubernatorów, oddziały huzarów i dragonów Kanady, ułanów Australii strzelców konnych Kapu, kawalerię Natalu, artylerję murzyńską z Trinidad, żółtoskórą piechotę z Borneo i Jamaiki, Muzułmanów z Cypru, czarnych Houssasów z nad Nigru, milicyę chińską z Hong-Kong i tuziny innych wojsk o nieznanym typach zgromadzone tutaj na cześć jednej królowej i jednej ojczyzny, wtedy ten tłum angielski zdał sobie sprawę ze swej potęgi, uczuł się panem i władzcą świata. Jako widowisko było to wspaniałe, jako myśl polityczna, jako bodziec do działania, do wytkniętego celu, trudno było o pomysł trafniejszy.

Nie przestała jeszcze publiczność okrzykiwać i oklaskiwać tych braci z za morza i witać popularne figury wojskowe, które im przewodniczyły, a przede wszystkim feldmarszałka lorda Roberts, a nadjechał już orszak królowej. Czyniono z góry wielkie zarzuty mistrzom ceremonii, iż zbyt ciasno skład tej procesyi pojęli, że nie wciągnęli do niej ani parlamentu, ani duchowieństwa, ani sądownictwa, ani członków rządu i wielkich ciał ukonstytuowanych. Krytyka ta tembardziej jest uzasadniona, że przez wciągnięcie tych żywiołów pochód byłby zyskał i na znaczeniu symbolicznem i na zewnętrznej okazałości. Ale nawet taki, jaki był, sprowadzony do kilkunastu karoc, w których zajmowały miejsce księżne i księżniczki królewskiej rodziny wraz z gośćmi obcych dworów, do orszaku kilkudziesięciu książąt jadących konno i poprzedzonych błyszczącą militarną świtą, a uwień-

czony pojazdem królowej, ciągnionym przez ośm bułanych koni ze słynnego hanowerskiego stada, kapiących od złotej upręży, w asystencyi następcy tronu i księcia Connaught u obu skrzydeł karocy, był to widok nadzwyczajnego blasku i świetności. Sędziwa królowa, bohaterka dnia, przyjmowana była z zapalem i entuzjazmem do opisania niepodobnym.

Cały ten wspaniały korowód przeciągnął przez miasto, zatrzymał się u dawnych bram korporacyjnej City, aby przyjąć hołd czolobitności od jej lorda-mayora, potem u schodów katedry św. Pawła, na których odśpiewano hymny religijne i wzniesiono dziękczynną modlitwę, i bez przerwy, bez najmniejszego wypadku powrócił po dwugodzinnej przejażdżce do rezydencji królewskiej, zostawiając u wszystkich tych, co byli jego widzami, wspomnienia niezatarte. Nie ma potrzeby rozwozić się nad innemi epizodami jubileuszowych uroczystości, obchodzonych nie tylko w stolicy, ale we wszystkich wielkich i małych miastach, w każdej wsi i farmie, jako narodowe święto. W tejsamej godzinie, gdy Londyn przez trzy wieczory z rzędu zapalał rześistą illuminacyę, na każdym wzgórzu, na każdym wierzchołku gór zajaśniały ognie radości. Na dworze królowej dawane były bankiety i bale, były przyjmowane deputacje z adresami i powinszowaniami, w operze urządzono reprezentacyę galową, były *garden-parties* i uczyty w sąsiednim Windsorze. Wielcy panowie kraju z książętami Westminsteru i Devonshire na czele i lord-mayor jako przedstawiciel City, dawali uczyty o niewidzianym przepychu. Nie pominięto ani dziatwy szkolnej, którą przyjmowała królowa w swych parkach w wielotysięcznej rzeszy, ani proletaryatu, którego, za inicjatywę księżnej Walii, nakarmiono i obdarowano. Wszystko to mniejwięcej wchodzi do programu tego rodzaju uroczystości i jeżeli się czem różniło od podobnych zebrań i widowisk gdzieindziej, to chyba ogromem rozmiarów i nadzwyczajnem bogactwem, co uderzać musiało oczy nawet najbardziej doń przywykłe.

Ale gdyby uroczystości jubileuszowe miały się były w ten sposób zakończyć, to możnaby było uczynić im zarzut, że najpierwszy, najbardziej malowniczy i najważniejszy ich epizod — procesya wojsk kolonialnych — zatracił się i zniknął

wpośród następnych mniej wybitnych i pospolitych. Zrozumieli jednak mężowie stanu, którzy plan cały nakreślili, że trzeba było dać mu epilog, któryby całą tę apoteozę sześćdziesięciolecia królowej Wiktorji godnie uwieńczył i otoczył kolos Wielkiej Brytanii osłepiającą aureolą. I w tym celu urządzono przegląd floty brytańskiej na wodach Solentu. Pokazano już w początku tygodnia, że armia lądowa angielska jest siłą nie do pogardzenia — u jego końca należało przedstawić jej potęgę morską. Myśl była słuszna, a wykonanie odpowiedziało jej w zupełności. Jak ongi Ateny, tak Anglia ma wał obronny w piersiach swych okrętów — to wiedziano oddawna. Ale obecnie pokazało się, że ta siła obronna może, w razie potrzeby, cisnąć rękawicę reszcie świata. Była to lekcyca nie dla Anglików samych i dowód ze strony rządu, że się z państwowego swego obowiązku wywiązuje, była to lekcyca nie dla kolonij brytańskich tylko, które musiały nabrać przeświadczenia, iż jest ich interesem Ignąć do takiej uniwersalnej potęgi, ale była to także rzucona postronnemu światu nie groźba, lecz przestroga: *Noli me tangere!*

Przeгляд floty angielskiej w Spithead był nieporównaną manifestacją. Zebrało się tam nie mniej, jak 165 pancerników, kroazerów, kanonierek i torpedowców. Nigdy jeszcze nie było równej siły morskiej, zebranej na szczupłej przestrzeni pięciu mil morskich. Spoglądając na te straszne potwory morskie, mogące zionąć ruinę i zniszczenie, trzeba się było nie im samym dziwować, ale temu, że admiralicyca angielska zebrała je, nie zmniejszając ani składu, ani siły żadnej ze swych eskadr, krzyżujących jednocześnie po wszystkich oddalonych morzach, że jestto zatem zaledwie jedna część sił wojennych, któremi rozporządza. A podziw ten wzmagał się jeszcze, gdy się słyszało, że wszystkie te okręty, ostatnie słowo postępu co do budowy i co do ryszunku, zbudowane zostały w ciągu kilkunastu lat ostatnich. Takiej zaradności, takiej energii i tak systematycznej działalności, nie było dotąd przykładu.

Wobec tego wrażenia o potędze morskiej Wielkiej Brytanii, jakie się narzucało widzowi, schodziła na drugi plan malownicza strona tego przeglądu. A trudno wszelako wyobrazić sobie coś piękniejszego. Pomiedzy arsenałem Ports-

mouthu, tej lwiej paszczy angielskiej, a szmaragdową wyspą Wight, ustawione były naprzeciw obcokrajowych okrętów, co je powitać przyszły, w pięciu szeregach owe 165 angielskich, a po za niemi, jak ramy ruchome, setki, tysiące wszelkiego rodzaju statków, parostatków, łodzi napelnionych widzami. Gdy następcą tronu, z orszakiem królewskim, przepłynął na yachcie *Victoria and Albert* przez te linie okrętów, gdy wywieszono sztandary na jego cześć, gdy ryknęły armaty, gdy wśród dymu ich gęstego znikaly okręty, ale słychać było dominujące po nad szumem morza pieśni narodowe: *God save the Queen!* i *Rule Britania!* — to wzruszeniu oprzeć się było niepodobna. Illuminacya wieczorna tej floty, siejąca na szafirze nieba i ciemnej otchłani morza miliony gwiazd różnokolorowych, musiała oczarować najbardziej stępną wyobraźnię.

Skończyły się widowiska, skończyły uczty — nie czczość i znużenie zostawiając po sobie, ale przeświadczenie, że ten wielki naród, opierający swój rozwój na wierze w Boga, na lojalizmie dla tronu, na uszanowaniu praw i swobód, zdobył sobie zasłużone stanowisko wśród świata i że niewątpliwie era jego potęgi nie wypowie jeszcze tak prędko ostatniego swego słowa.

Dr M. E. Trepka.

BEZ JUTRA.

POWIEŚĆ.

— * —

(Ciąg dalszy).

VII.

W pierwszej chwili Jerzy postanowił wynaleźć jakiś pretekst, aby uwolnić się od obiadu u pana de Surville, ale w ostatnim momencie zmienił zdanie. Ponieważ trzeba było wychylić kielich goryczy, na co odwlekać? Byłaby to słabość nie oszczędzająca mu nawet cierpienia, kiedy niemożliwym już było więcej cierpieć niż obecnie; zresztą czuł pewien rodzaj chorobliwej ciekawości zobaczyć tego nieznanego rywala. Może być, chociaż nie śmiał w to uwierzyć, że całe to opowiadanie Janiny de Langeac było poprostu urojeniem. Może zobaczy jakiegoś starego melomana — wszakże Jolanta mówiła, że jest muzykiem — jakiegoś różniennika Liszta, który, włoskim akcentem, wyłoży mu swoje doktryny i wyjaśni wyższość melodyi nad harmonią, albo *vice versa* — ach! Gdyby tak mogło być! Jakże serdecznie uśmiełby się z samego siebie. Jak chętnie przebaczyłby pani de Langeac noc, dzięki jej spędzoną w strasznej gorączce!

Ale, wieczorem, wchodząc do salonu na *Cours la Reine*, illuzya, kojąca go przez cały dzień, ulotniła się. Jolanta siedziała przy kominku, a obok niej mężczyzna około lat trzy-

dzieściu pięciu, zgrabny, wysmukły, z fizygnomią pełną wyrazu; mówił coś do niej półgłosem ze spokojnym wdziękiem, nie mającym nic wspólnego z południową żywością. Jasne jego włosy i oczy niebieskie nie dowodziły także południowej krwi, a jednak, od pierwszego rzutu oka, Jerzy uczuł, że to jest pan d'Azeglio.

I przykre wrażenie sprawiło, że pozostał jak sparaliżowany, podczas kiedy Jolanta zapoznawała ich, a hrabia przemówił doń kilka grzecznych słów najczystszą francuzczyzną. Widocznem było, że pani de Surville mówiła z wielkimi pochwałami o siostrzeńcu do swojego przyjaciela, albowiem tenże był serdecznie uprzejmy względem Jerzego, odpowiadającego zaledwie półsłówkami przy stole; zły jego humor powiększył się jeszcze. Był to, jak mówiła Jolanta, mały zaimprovizowany obiad, przy którym zgromadziła najdowcipniejszych ludzi ze swego otoczenia. Sypały się więc sprytne uwagi, głębokie, choć czasem nieco sarkastyczne spostrzeżenia, a hrabia d'Azeglio przewyższał wszystkich oryginalnością swoich poglądów, wesołością i werwą rozmowy. Pewna swoboda włoska, nie przechodząca nigdy u niego granic dobrego wychowania, jakby nowym żywiołem elektryzowała biesiadników. Jerzy tylko, siedząc w końcu stołu, zamknął się w uporczywym milczeniu, nie wiedząc, ani o czem mówiono, ani dlaczego śmiano się wokoło niego. Ale co obserwował z natężoną uwagą, to zachowanie Jolanty i hrabiego d'Azeglio, siedzącego obok niej po prawej stronie. Zwykły to był przywilej cudzoziemca. Chociaż rozmowa była ogólna, hrabia, od czasu do czasu, zwracał się do pani de Surville, wymawiając ciszszej kilka słów, przez nią tylko dosłyszanych, a wówczas, byłaż o rzeczywistość lub też urojenie chorobliwego umysłu? Wydawało się Jerzemu, że dostrzegał pewne zmieszanie we wzroku Jolanty, jak gdyby odczuwała urok wspólnego porozumienia. Piękność jej tego wieczora, miała charakter zupełnie odrębny, mniej może świetny niż dnia poprzedniego, ale czarująco słodki i powabem swoim zdający się przeniakać otaczających. Nie lubiąc zawsze jaskrawych kolorów, miała dziś na sobie suknię krepową w odcieniu blade-lila, której srebrzysty połysk podnosił jeszcze białość odkrytych ramion. Żadnych klejnotów, torsada tylko dużych pereł opla-

tala jej włosy, a przy staniku świeżo rozkwitła róża wydawała upajającą woń, jeden z tych niezapomnianych zapachów, mających własność, nawet po wielu ubiegłych latach, tak potężnie wywoływać zatarte wspomnienia. W całości stroju i osoby było coś dziwnie łagodnego i miękkiego. Nigdy jeszcze Jerzy nie widział jej tak prawdziwą kobietą. Raz, podczas obiadu, Jolanta szukała jego wzroku, ale Jerzy pochylił głowę, nie chcąc wyczytać w jej twarzy wyrazu, wiedział dobrze, że zasłużonego niezadowolenia — zapewne więc, aby go okazać, nie zwracała już więcej na niego uwagi.

Późno dopiero, kiedy już kilka osób wyjechało, zbliżyła się do ustronia, gdzie przy małym stoliczku melancholicznie przeglądał album fotografii.

— Przychodzę prosić cię o pozwolenie — rzekła. — Wiesz już, że pan d'Azeglio jest prawdziwym artystą i że mam wielkie zaufanie w jego zdaniu. Pragnęłabym, aby usłyszał coś z twoich kompozycji. Zgadzasz się, nieprawda? Nie potrzebujesz obawiać się sądu profanów. Oddaliłam już tych, co nie czują i nie rozumieją, możesz być zupełnie spokojny.

Jerzy powstał ze wzruszeniem, ogarniającem go zawsze w obecności Jolanty, ale słuchając jej słów, czoło jego zachmurzyło się.

— O zaklinam panią — mówił — nie wymagaj odemnie nie tego wieczoru. Jestem tak zdenerwowany, że nie mógłbym znaleźć ani jednej nuty pod palcami.

— Ależ wcale tego nie żądam od ciebie — odparła Jolanta uśmiechając się. — Widzę doskonale, że dla jakiejś nieznaney mi przyczyny mój drogi siostrzeniec jest dziś w fatalnym humorze i nie byłby w stanie oddać sprawiedliwości samemu sobie. Chcę tylko, abyś miał zaufanie we mnie i pozwolił zastąpić się. Mam tu kilka twoich utworów i postaram się, grając, nie bardzo je skrzywdzić. Pozwalasz więc?

Głos jej był słodki i pieszczotliwy. Widać było, że odgadła wszystko, co wycierpiał Jerzy od trzech godzin i że chciała go uspokoić i pocieszyć. A on, rozezulony i wdzięczny, odpowiedział, nie rozważając swoich słów:

— Czy pozwalam? Ależ wszakże jest to jedyne moje szczęście, jeżeli cokolwiek, co się mnie tyczy, interesuje cię.

Twarz Jolanty zarumieniła się lekko.

— Pójdźmy — rzekła, udając, że nie dosłyszała.

Zbliżyła się do fortepianu, przerzuciła kilka kajetów usiadłszy i dotknąwszy lekko klawiszów, rzekła do Jerzego:

— Zostań obok mnie.

Skoro pierwsze nuty zadrgały w powietrzu, zrobiła się cisza. Jolanta wybrała mały kawałek, skomponowany w Surville, dziwną i tęskną rapsodyę, która, przechodząc gwałtownie z majorowego do minorowego tonu, przedstawiała dobrze burzliwe porywy natury, walczącej przeciw samej sobie. Jerzy wyraził w tej harmonii całą swoją ukrytą a wybuchłą od pierwszej chwili poznania namiętność do Jolanty i ten krótki utwór muzyczny wyrażał stan jego duszy.

Ostatnie akordy brzmiały jak skarga, jak zrozpaczona protestacya ludzkiej istoty, zdruzgotanej pod ciężarem przeznaczenia. Dzieło było piękne i potężne, ale jak też wybornie umiała Jolanta wykazać całą jego wartość i zalety. Był to jakby krzyk własnego jej serca, dźwięczący w tych drżących nutach, jakby odnalazła własną walkę w tej drgającej bólem harmonii.

Słuchając jej, w umyśle Jerzego powstało nowe światło. Czyż i ona cierpiała i kochała równie jak on, aby przemawiać jego namiętnym językiem z takim bolesnem przekonaniem?

Jolanta przestała grać, ale milczenie przedłużało się, jakby wszyscy wahali się przerwać czar. Dla tego zgromadzenia czujących i znających się ludzi, oklaski byłyby prawie niewłaściwemi. Trzeba było oprzytomnieć powoli po tak silnem wrażeniu. Nakoniec hr. d'Azeglio, słuchający dotąd z największą uwagą, podniósł głowę i zwracając się do Jerzego, wyciągnął doń rękę:

— Nie mówię panu czezych komplementów — rzekł — ale niech za mnie mówi moje wzruszenie. — I z tą lekką przesadą, z której Włoch nie poprawia się nigdy, dodał:

— Ach! równie jak wielki wasz poeta Musset dajesz nam pan nietylko śpiewy, ale i łzy. Masz świetną przyszłość przed sobą panie de Valrégis.

I zwracając się ku Jolancie:

— Pani także nie prawie komplementów, byłaś pani sama sobą, zupełnie sobą *ma questo... poi...*

Zniżył głos, mówiąc, jakby te ostatnie słowa zamykały w sobie alluzję przez nią tylko zrozumianą. Jolanta pobladała.

— Byłam tylko wykonawcą... przekonany — odpowiedziała — ale jestem bardzo dumną z mojego siostrzeńca.

I patrząc na Jerzego, z serdecznym uśmiechem dodała:

— I tak, jak pan, wierzę w jego przyszłość.

Inni zaproszeni zbliżyli się każdy kolejno składał powinszowania młodemu margrabiemu. On jednak słuchał z roztargnieniem tych gorących, a wyjątkowo zupełnie szczerych pochwał. Jedna rzecz tylko zajmowała go: te trzy słowa w włoskim języku napozór nie znaczące, ale widocznie mające jakiś sens ukryty; czy nie zawierały w sobie jakiegoś określenia, czy też wyrzutu? Hrabia d'Azeglio, wymawiając je, patrzył na Jolantę ze smutkiem, a ona... jakiś cień przesunął się na jej czole! Czy zatem Janina de Langeac nie omyliła się? Wzajemne ich uczucie może jeszcze nie było tak silne jak mówiła. Jednakże Jolanta wydawała się szczęśliwą, widząc go przy sobie. Co zaś do niego, pomimo nienawiści, Jerzy był sprawiedliwym. Był to jeden z tych ludzi, którzy muszą natchnąć coś innego, aniżeli zwykłą i spokojną przyjaźń. Nie! kuzynka Janina miała słuszość. Te dwie istoty były stworzone, aby się uwielbiać i należeć jedno do drugiego — a on, Jerzy, będzie patrzył na ten widok szczęścia małżeńskiego, zmuszony milczeć, milczeć aż do końca, nie znając nawet tej pociechy słabych i zwyciężonych, możności uzalenia się, bo i któż chciałby zrozumieć jego cierpienia? Ach doprawdy! życie było zanadto bolesne. Nie śpiąc przez całą noc, rozmyślał nad tem — nazajutrz miał gorączkę i wymyślił pretekst migreny, aby nie odpowiadać na zapytania matki swojej i żony co do obiadu wczorajszego. Zaraz po śniadaniu pobiegł do Jolanty — miał nadzieję, że zastanie ją samą. Niestety hrabia d'Azeglio uprzedził go. Był już tam, siedząc u nóg młodej kobiety na temsamem miejscu, które Jerzy zajmował zwykle i ostatecznie uważał za swoją własność. Skoro wszedł pan de Valrégis, hrabia powstał i podał mu rękę, ale widocznie myśl jego była gdzieindziej i jas-

nem było także, że Jolanta podzielała jego zmieszanie. Jednakże, zawsze pani samej siebie, powitała siostrzeńca zwykłym serdecznym uśmiechem, ale usta jej drżały a oczy zasłaniała chmurka łez niewylanych. Jakiś przymus ciężył w rozmowie przerywanej chwilami posępnego milczenia, podczas których słychać tylko było jednostajny dźwięk zegaru, wydający się dziwnie hałaśliwym w tej ciszy.

Nakoniec hrabia przerwał tę naciągniętą sytuację zbliżywszy się do pani de Surville, aby ją pożegnać i jakby kończąc rozpoczęte objaśnienie, rzekł :

— Depesza, o której pani mówiłem, zmusza mnie wyjechać dziś wieczorem do Neapolu, ale jest to pożegnani chwilowe, unoszę bowiem nadzieję zobaczenia pani za kilka tygodni, ponieważ łaskawie zapraszasz mnie do Normandii przyjadę więc, skoro tylko raczysz mnie wezwać.

— Będę szczęśliwą zobaczyć pana — odpowiedziała Jolanta, kładąc nacisk na swoje wyrazy. — Chciej wierzyć, że twoja obecność będzie zawsze pożądaną dla mnie — mówiła z pewną powagą, jakby szło o rzecz ważniejszą, aniżeli o zwyczajne zaproszenie na wieś.

Hrabia pochylił się za wyciągniętą do niego ręką. Następnie skłoniwszy się panu de Valrégis, wyszedł spiesźnie, jakby uciekając przed wzruszeniem rozstania. Pozostawszy sami, ciotka i siostrzeniec milczeli przez chwilę. Jerzy zrozumiał, że jakaś stanowcza rozmowa miała miejsce przed jego przyjściem — była bolesną z pewnością, sądząc po zmieszaniu hrabiego d'Azeglio i zasmuconej twarzy Jolanty. Czy go odmówiła? Ależ nie — bo przecie zaprosiła go do Surville. Co więc zaszło pomiędzy nimi?

Wielki Boże! oddałby wszystko, aby się o tem dowiedzieć. Ale Jolanta pozostała nieprzeniknioną i odzyskawszy zimną krew, rozmawiała o rzeczach obojętnych. Pani de Valrégis i Zuzia czy już wypoczęły po zmęczeniu? Wieczorem zajdzie na ulicę św. Dominika, aby powinszować obydwom wspaniałego balu; tryumf olbrzymi i jednogłośnie uznany, mówiła dalej chcąc rozprószyć niemile wrażenie pozostawione przez hrabiego d'Azeglio. Lecz Jerzy pomagał jej tak mało, że wkońcu przestała wysilać się.

— Jesteś czemś zaniepokojony — rzekła pochylając się ku niemu.

Już bowiem zabrał swoje miejsce na małym krzeselku u jej nóg.

— Znowu jakiś smutek bezpodstawny wrze w tym mózgu dziecinnym. Ach wierz mi, nie trzeba sobie stwarzać urojonych cierpień; jest bowiem dosyć rzeczywistych na tym biednym świecie.

Westchnęła, badając swojemi głębokimi oczyma twarz podniesioną ku niej — i jakby w istocie był dzieckiem, które należało ukoić, położyła rękę na czole młodego człowieka. Tenże zadrżał, szybkim ruchem chwycił tę rączkę przyciskając ją do oczu i do ust, podczas kiedy z rozgorączkowanych warg wylewały się słowa spieszne, namiętne, jak gdyby z nadto pełnego źródła:

— Nie gniewaj się na mnie, gdybyś wiedziała jak walczyłem, ale dłużej już nie mogę... widzisz sama, że nie mogę, bądź pobłażliwą... wszakże ta miłość nie jest moją winą... zresztą... Boże mój, nic nie żądam od ciebie... nic... nic... tylko nie szydź ze mnie... nie mów, że jestem dzieckiem, bo to tak boli. Nie chciałem ci tego powiedzieć... przysiągłem sobie i nie mogłem dotrzymać... bałem się widzisz... bałem się tego człowieka, który wychodzi ztąd, myśl ta doprowadziła mnie do szaleństwa... niechaj nie będę niczem dla ciebie, zgadzam się na to... Ale żeby inny... inny... nie, to byłoby straszne. Powiedz, że tak jest. Pojmujesz przecie, że nie mógłbym przeżyć tego...

Zatrzymał się wyczerpany. Jolanta nie cofnęła ręki, w której znowu ukrył swoją twarz:

— Przepraszam — wyszeptał — jeszcze raz przepraszam.

Poruszenie młodej kobiety zmusiło go podnieść głowę, powoli, bez gwałtu, chciała wysunąć dłonie. Ani gniew, ani oburzenie nie malowało się na jej pięknych pobladłych licach, tylko smutek głęboki, ten boski wyraz duszy, która cierpiawszy boleśnie sama, dziwi się jednak, że i drudzy są powołani, aby cierpieć...

Nie, Jerzy mógł się nie obawiać jej szyderstwa, a jednak współczucie wyczytane w jej oczach nie uspokoiło go,

raczej zaniepokoiło. Zdawało mu się, że ona była gdzieś daleko, bardzo daleko, w wyższych, niedosięglych dla niego sferach i z tej wysokości patrzyła na niego, podczas gdy on rozbijał się na ziemi, zbolący, zraniony, a nadewszystko tak strasznie, tak okrutnie samotny.

— Mój biedny Jerzy — rzekła nakoniec — doprawdy nie wydaje mi się to słusznem, żebyś ty miał być nieszczęśliwym.

— Posłuchaj — mówiła dalej — że jesteś szczerym, o tem niestety nie wątpię, ale żeby to miało być coś innego, jak przelotne szaleństwo, które przesunie się przez twoje serce nie zostawivszy śladów, w to wierzę, jestem tego pewna... i tak być powinno. Pomyśl tylko.. W jakim jesteś obłądzie! Czyż nie masz w życiu tysiąca słodkich i potężnych związków? Czy nie posiadasz młodości, geniuszu? Czy nie możesz dążyć śmiało, szczęśliwy i kochany, do sławy w przyszłości wyciągającej do ciebie ramiona? I zamiast iść drogą, wytkniętą przez samego Boga, chciałbyś pograć się w jakimś niemożliwym marzeniu... nie miałabyś sił zwyciężyć pociągu, wydającego ci się dziś miłością, a będącego tylko, biedne moje dziecko, wynikiem twojej chorobliwej wyobraźni, z której, kiedyś, śmiać się sam będziesz, a nawet wstydzić, wyleczywszy się z niej. Ach wiem, że muszę ci się wydawać nielitościwą, Bóg widzi jednak, że nie chciałabym nią być. Ale dlatego właśnie, że mam dla ciebie szczerę i głęboką przywiązaną, że znam twoją szlachetną naturę, pragnę gorąco wyrwać cię z tej drogi złej, fałszywej, bez wyjścia... którą musiałbyś iść samotny.

Zawahała się nieco przy tych ostatnich słowach, jak gdyby były trudne do wymówienia. Jerzy przerwał jej bolesnym wykrzyknikiem.

— Jak łatwo jest — zawołał — rozumować, kiedy się nie kocha... na nieszczęście, widzisz, wszystkie piękne frazesy do niczego nie służą. Na co się zdało dowodzić choremu, że jest daleko logiczniej żyć aniżeli umrzeć. Jeżeli godzina jego nadeszła, on, pomimo to, umrze. A zresztą, czy jesteś zupełnie szczerą, powiedz mi, traktując tak lekko moją miłość? Jeżeli znasz mnie tak, jak przypuszczasz, to wiesz dobrze, że nie mogę kochać powierzchownie

na jeden dzień. Ja nie jestem dzieckiem, nie, tylko człowiekiem zrozpaczonym, widzącym jasno swoje nieszczęście i czującym że ono jest wiecznym. Nie skarżę się jednak. Nawet bez nadziei, miłość ta jest mi droższą nad życie. Czyni mnie lepszym, silniejszym.... nie, Jolanto, nie obawiaj się twojego wpływu na mnie, a nadewszystko nie potępiaj mnie za tę chwilę słabości. Nie powtórzy się już ona nigdy, przysięgam ci.... będziesz sama zdumiona moją rezygnacją, skoro przyjdzie godzina, aby dowieść takowej. O, nie żądam od ciebie twojej tajemnicy — mówił dalej z gorzkim uśmiechem — a jednak, gdyby to, czego obawiam się, było prawdziwym, gdyby, jak zapewniam... rozumiesz mnie, nieprawdą? Gdyby ta fatalna rzecz miała przyjść do skutku, będziesz miała litość nademną, powiesz mi to sama, powoli, łagodząc dobrymi słowami. Pomimo wszystkiego zawsze będę potrzebował, abyś pozostała moją przyjaciółką.

— O czem ty mówisz Jerzy? Do czego to się odnosi? — spytała Jolanta z niespokojnym wyrazem. — Ach zgaduję — rzekła smutnie. — Idzie więc o hrabiego d'Azeglio? Trzeba zawsze, aby ludzie zajmowali się rzeczami, które do nich nie należą. Co za nędza żyć w takim otoczeniu! Zatem będę szczerą z tobą. Nie wiem, jaką bajkę opowiadano ci, ale co jest prawdą, to, że hrabia d'Azeglio oświadczył mi się i prawdopodobnie, gdybym zdecydowała się zostać jego żoną, miałabym wszystkie warunki do szczęścia. Rozum mówi mi, że odpychając go, popełniam błąd, a jednak... jednak, odpycham. Jestże to okrutne doświadczenie przeszłości, ostrzegające mnie, że wszelka wiara w szczęście jest znikomą i że zarówno ja nie mogę dać go nikomu, jak spodziewać się dla samej siebie? Czy też jest w tem jakaś inna rzecz, instynkt lub przestroga? Nie wiem. Ale jeżeli myśl zobaczenia mnie zamęzną smuci mnie i rani, nie masz się czego obawiać! Aż do końca — rzekła uśmiechając się z po za łez — aż do końca pozostanę tąsamą ciotką Jolantą.

Twarz Jerzego rozpromieniła się, słuchając jej.

— Ach! — wykrzyknął — mów do mnie jeszcze... chciałbym cię wiecznie słuchać. Ach jak wszystko wydaje mi się dobrem, możesz być teraz srogą, nielitościwą, bo i cóż to znaczy, kiedy nie mam cię utracić na zawsze!

A raczej nie dam ci powodu być srogą i okrutną. Obecnie, kiedy już ta straszliwa obawa przestała mnie dręczyć, potrafię zapanować nad sobą, zamknąć w głębi duszy to, co nazywasz mojem szaleństwem. Będę, zobaczysz.... będę udawać tak dobrze, iż uwierzysz naprawdę, żeś mnie wyleczyła.

Wesół był teraz, oddychał swobodnie całą piersią na myśl, że groźne widziadło naraz powstające pomiędzy nim i jego miłością usunęło się na zawsze. Bo nie wątpił ani na chwilę w prawdziwość słów Jolanty. Wiedział dobrze, że nie była w stanie ani kłamać ani udawać.

Dnie upływały znowu, a Jerzy został wiernym danej obietnicy. Trzy lub cztery razy na tydzień bywał na *Cours la Reine*, ale nie w jego słowach ani w sposobie bycia nie zasługiwało na najłżeszą naganę. Opanował siebie tak doskonale, iż można było sądzić, że przepowiednia pani de Surville ziściła się, że ta nieuleczona namiętność była tylko przemijającym kaprysem. On jednakże nie ludził się bynajmniej. Czuł dobrze, że miłość jego zwiększała się i potężniała z każdym dniem. To też oddał się jej całkowicie, myśląc wyłącznie o terażniejszej godzinie. Szedł naprzód, jakby popychany siłą magnetyczną, nie zapytując się nigdy, czy ten stan rzeczy mógł się przedłużać, czy mógł długo jeszcze wytrwać w tej biernej roli zrezygnowanej adoracyi.

W około niego nie zwracano wcale uwagi na jego dziwne usposobienie. Względem żony był cierpliwszym, jakby czerpiąc w uwielbieniu dla Jolanty słodycz, której brakło mu do tej pory. Ze swej strony, młoda kobieta, raczej zajęta światem i licznymi zaproszeniami, niż studyowaniem zmian humoru swojego męża, stawiała się coraz mniej wymagającą. Pani de Valrégis zato mogła była więcej zaniepokoić się szczególnem roztargnieniem swojego syna. Ale dla niej wszystko zniknęło przed myślą, przyznać należy daleko silniejszą w jej sercu, niż miłość macierzyńska. Miała powrócić do Pierre-fitte! Po raz pierwszy od lat piętnastu miała wejść w te mury, w których drzemało tyle pamiątek!

Bez wątpienia pod pewnym względem wywołanie wspomnień mogło być bolesnem; tam, gdzie niegdyś panowała piękna, młoda, bogata, miała powrócić zgarbiona wiekiem, ma-

jąc tylko pozór majątku. Ale i cóż to szkodzi? Na chwilę przynajmniej będzie miała złudzenie, że była jeszcze tąsamą margrabiną de Valrégis, przed którą wszystko się skłaniało, czeząc jej słowa jak prawo. Zuzia nie będzie się mogła skarżyć w tym roku na ciszę i smutek starej siedziby. Życie towarzyskie będzie w niej tak ożywione i światowe, jak tylko można zapragnąć. Niegdyś gościnność u państwa Valrégis była słynną. Trzeba zatem odnowić tradycyę.

Postanowiono wyjechać w pierwszych dniach lipca. Jerzy byłby chętnie opóźnił ten wjazd, tak mu bowiem trudno było wyrzec się słodkiego przyzwyczajenia spędzania paru godzin dziennie na *Cours la Reine*. Unosił jednak z sobą nadzieję. Jolanta obiecała przyjechać do Pierrefitte podczas lata, a trochę później, pod jesień, mieli pojechać do niej do Surville, ponieważ Zuzia przekładała nad wszystko Normandyę i pomimo przyjemności, jaką sobie obiecywała, występując w roli wiejskiej gospodyni domu, sądziła przecież, że nigdzie nie jest tak dobrze i przyjemnie, jak u kochanej ciotki. Na tym punkcie małżeństwo zgadzało się zupełnie.

VIII.

Myśl, że niezadługo zobaczy Jolantę, osłodziła cokolwiek Jerzemu gorycz rozstania — ale jest zawsze niebezpiecznie obliczać szczęście zawczasu. I tak pani de Surville, obiecawszy swój przyjazd na koniec lipca, opóźniła go następnie o trzy tygodnie. Lekarz wysłał ją do wód; była to rzecz nader niemiła, ale konieczna, mówiła, pisząc do nich. Od niejakiogoś czasu odczuwała ból, zapewne wskutek zwichnięcia nogi w przeszłym roku, i doktor Delsart nalegał, aby odbyła kuracyę w Ragatz? Nie mogła zatem przyjechać jak dopiero w połowie sierpnia, a następnie była zmuszoną skrócić swój pobyt, spodziewając się u siebie gości w pierwszej połowie września. Słuchając tych wymówek, żalonym tonem czytanych przez Zuzannę, pierwszą myślą Jerzego było, że cała ta kuracya, wynaleziona w ostatniej chwili, była poprostu pretekstem. Jolanta uciekała od niego, znużona zapewne jego nudną miłością. Bóg jednak świadkiem,

że oszczędzał jej objawów takowej! Albo czy może nieobecnością chciała doprowadzić do rozpacy jego namiętność? Myślał tak zrazu pod wpływem gniewu, ponieważ w głębi duszy czuł, że ona niezdolną jest do tego rodzaju nędznej rachuby — a skoro tylko spostrzegł ją wysiadającą z powozu, tak naturalną zawsze i wdzięczną w swem podróznem ubraniu, skoro odzynał ją słodką, dobrą jak tylko ona być umiała, oburzenie jego ulotniło się, a w zamian pozostał mu wyrzut sumienia, że choć na chwilę mógł ją oskarżyć w własnej myśli.

Ale radość, obiecywana z pobytu jej w jego domu, nie była bez goryczy. Z egoizmem miłości chciałby był zachować ją wyłącznie dla siebie, oddzielić od tego tłumu ruchliwego, tak gwarnie zapelniającego zamek.

Cieszył się nawet, że wszyscy z takim pośpiechem przyjęli zaproszenie jego matki, ponieważ mówił sobie, że pośród tego ciągłego ruchu będzie im łatwiej odosobnić się z Jolantą. Tymczasem pani de Valrégis i Zuzia, nie tak to rumiały; pani de Surville była im niezbędną w tem ciężkiem zadaniu zabawienia dwudziestu osób, zebranych na wsi. Można było zresztą powiedzieć, że przywiozła z sobą zapas weselości i dobrego humoru. Uprzejma i grzeczna brała udział we wszystkim i Jerzy nie mógł się oprzeć uczuciu podziwu. A gdy podziwiał jej niczem niezmacony wdzięk i cierpliwość, z jaką znosiła najbanalniejsze rozmowy, zamykając oczy na śmieszności, pobłażliwa dla wszystkich pretensyi, uwielbiał ją, ale zarazem miał żal za tę uprzejmość, jakby umyślną. Musiała przecież nudzić się pomiędzy tymi ludźmi, tak śmiertelnie nudnymi. Dlaczegoż więc pozwalała tak rozrywać się na wszystkie strony, nie chcąc dać Jerzemu jałmużny jednej godziny, choćby tylko pół godziny dziennie? Wszakże to niewiele, a dla niego byłoby taką dźwignią do życia! To też raczej z uczuciem ulgi, aniżeli żalu, zobaczył ją Jerzy odjeżdżającą. Ułożono, że Zuzia i on niezadługo pospieszą za ciotką, a raz będąc w Surville, obiecywał sobie otrzymać wynagrodzenie za te piętnaście dni próby. Przytem jakaż to będzie słodycz znaleźć się tam znowu, wywołać wszystkie wspomnienia rodzącej się miłości! Z rozrzewnieniem więc i radością, pewnego pięknego popołudnia jesieni, wysiadł na małej stacyi Bernay, i powitał tę okolicę, jakby

wymarzoną, zielone łąki, drogi ocienione pięknymi drzewami, sady zasadzone jabłonią, których owoce połyskiwały purpurowo pomiędzy liśćmi. Wszystko miało jakiś wdzięk przyjazny, nawet poczeiwe krowy normandzkie zdawały się pozdrowiać go uprzejmie. Ach! jak dobrze jest w Surville. Tu tylko czuł, że jest na właściwym sobie miejscu, bo też szybko bardzo wrócił do dawniejszych przyzwyczajęń, a urok, podług zdania przyjaciół Jolanty wydzielany nawet przez mury zamku, działał na niego równie zbawiennie jak w roku przeszłym. Jednakże zaledwie upłynęło dziesięć dni, kiedy już chmurka zaćmiła jego horyzont. Hrabia d'Azeglio napisał, oznajmiając swoją wizytę.

Jerzy był już uprzedzony, że spotka się tu z nim — jednakże kiedy pani de Surville, trochę wahając się, powiedziała mu, że jej przyjaciel przyjeżdża jutro, doznał nader niemiłego wzruszenia.

— Dlaczego pozwalasz mu pani przyjechać tu — rzekł gwałtownie, jeżeli to, co powiedziałaś mi — jest prawdą?

Ale odrazu zawstydził się, zobaczywszy pełne wyrzutów spojrzenie Jolanty.

— Przepraszam — wyszeptał pokornie — i trzeba mi przebaczyć, bo czuję, że będę cierpieć straszliwie.

Przechadzali się razem w alei zacienionej wierzbami nad brzegiem małej rzeczki, opływającej park. Jerzy miał szczególne upodobanie w tem ustroniu, gdzie spotykał się czasami z Jolantą, wracającą z porannych wycieczek na wieś, kędy codzień odwiedzała ubogich i chorych. Czyniła to zresztą potajemnie, nigdy nie wspominając o tem. Tego poranku, Jerzy znalazł ją czytającą tylko co odebrany list i nie wymówiła jeszcze słowa, kiedy wiedział już z góry, co miała mu powiedzieć.

— Nie będziesz cierpiał Jerzy — rzekła tak serdecznie, że mimowolnie uczuł się nieco pocieszonym. — Poznasz lepiej pana d'Azeglio, i ocenisz go, jak na to zasługuje. A teraz, odpowiadam na twoje oskarżenie. Jeżeli nie wydalilam go z mego domu, to dlatego, że niemam odwagi wyrzec się jego przyjaźni... przyjaźń ta bowiem, mam nadzieję, że przetrwa daleko dłużej, niż to gwałtowne uczucie, wydające mu się w obecnej chwili wieczystem. Wszystko to przechodzi, widzisz! Patrz przed siebie na

świat Boży. Wielu jest takich, co przechowują pamięć? Co pozostaje z najgorętszych namiętności? Powiedziano już przed nami, że rzadko zdarza się, aby ludzie nie plonili się za swoją miłość, skoro raz już przestaną kochać. To się wydaje napozór smutnym sceptycyzmem, ale w gruncie jest prawdą. Przyjaźń niema takich reakcyj i dlatego tysiąc razy jest więcej warta, aniżeli miłość.

Jolanta mówiła z zapalem. Można było przypuścić, że chciała przekonać samą siebie, ale że w głębi duszy czuła słabość tej pozornej logiki. Jerzy patrzył na nią uważnie.

— Przyznasz pani — rzekł — że bardzoby było łatwo pobić twoje teorye. Dowodzisz jak kobieta, nieznająca tego, co jest namiętność, i piękną wymową bronisz złej sprawy. Pomimo, że chcesz pani dowieść, iż miłość jest niedorzecznością, rzeczą znikomą z zasady, że częstokroć kończy się rozczarowaniem i łzami, nie zaprzeczysz jednak, że jest najdroższym darem, jaki Pan Bóg nam zesłał. Czy sądzisz rzeczywiście, że dwie istoty, kochające się, będą niepokoić się zawczasu tem, co wycierpią, skoro miłość ich przeminie? Czy myślisz, że mogą powiedzieć sobie spokojnie: miłość jestto uczucie gwałtowne, przesadne, wytwarzające tysiące kłopotów i nigdy długotrwałe. Przyjaźń przeciwnie jest rzeczą bardzo słodką, nie zamęczającą naszego spokoju. Zatem, chcąc dobrze wybrać, biorę przyjaźń, wyrzekając się miłości... Nie, na takiej podstawie budynek musi się przewrócić za najlżejszym powiewem. Kocha się i walczy, bo nie można zrobić inaczej, bo to jest w porządku rzeczy. Któż nie przekłada ruchu życia, nawet bolesnego, nad przygniatający spokój śmierci!

Jolanta westchnęła.

— Są jednak ludzie, dla których łatwiej jest umrzeć, aniżeli żyć — wyszeptala — ale zostawmy to... Co chciałabym otrzymać od ciebie, Jerzy, to, żebyś nie uważał obecności tu pana d'Azeglio jako zmartwienie i żebyś nie postępował względem niego, jak dziecko rozkapryszone. Nie poddawaj się niesłusznym uprzedzeniom, nie męcz sobie głowy śmieszniemi przypuszczeniami, które nie mają i nigdy nie będą miały podstawy.

— Postaram się — rzekł Jerzy — ale w takim razie

trzeba mi będzie dopomódz, powstrzymać mnie. Do czegoż bowiem nie byłbym zdolny przy twojej pomocy?

Wezwanie Jolanty nie pozostało bez skutku. Jerzy usiłował zwalczyć swoją antypatyę i oddać sprawiedliwość nader miłym zaletom hrabiego d'Azeglio. A, w rzeczy samej, tenże zdawał się je posiadać w wysokim stopniu. Elegancki, bez żadnej pozy, dowcipny bez złośliwości, łączył z naturalnością wielkiego pana, wykształcenie uczonego i duszę artysty; można było powiedzieć, że jedyną jego wadą było, iż nie miał jej wcale, zapewne cenionoby go więcej, gdyby od czasu do czasu zdradził się pewną słabością. Ale to byłaby krytyka bardzo subtelna, o której nikt nie myślał w Surville. W krótkim czasie, hrabia potrafił pozyskać łaski wszystkich kobiet. Janina de Langeac, znajdująca się pomiędzy zaproszonymi, była jedną z najgorętszych jego wielbicielek, nie mogąc zrozumieć, dlaczego Jolanta tak opóźniała ogłoszenie swoich zaręczyn.

— Czy możesz wytłómaczyć sobie jej wahanie? — mówiła do Jerzego. — Ależ gdyby on nawet nie miał wielkiego nazwiska ani majątku, możnaby wyjść za niego dla samej przyjemności. Jestto doskonałość... doskonałość... Nie mów mi, że doskonałość jest rzeczą wstrętną. Ja go bowiem znajduję czarującym i byłabym w stanie popełnić szaleństwo dla niego... gdyby tylko poprosił o takowe. Ale cóż! Kiedy on o nic nie prosi i to naturalnie, zważywszy, że serce jego zwraca się ku naszej pięknej margrabinie!

Czy pan d'Azeglio stracił zupełnie nadzieję, czy też nie, tego niepodobna było odgadnąć, albowiem, jak człowiek dobrze wychowany nie odkrywał głębi swego serca przed obojętnymi. Zawsze w dobrem usposobieniu, nie przedstawiał się ani jako szczęśliwy tryumfator, ani też jako odepchnięty pretendent, a jego pełne uprzejmości postępowanie względem pani domu, nie przechodziło nigdy właściwej miary. Co do Jolanty, ta wydawała się zupełnie swobodną, traktując go ze szczerą przyjaźnią, nie dającą jednak przypuszczać innego uczucia; prawda i to, że często kokieterya przybiera ten pozór, aby pokryć delikatną sytuację, ale i któż mógł posądzać Jolantę o tego rodzaju wyrachowanie? Czemu miałyby zwodzić drugich, ukrywać wybór, którego nikt jej nie przeszkadzał wyznawać głośno?

Przyjazd hrabiego d'Azeglio był hasłem zwiększonego ruchu towarzyskiego; po raz pierwszy zwiedzał on te strony Francji i po raz pierwszy miał doświadczyć dłuższej gościnności francuskiej, to też wszyscy goście Surville, uważający się tu trochę jakby u siebie, mieli sobie za punkt honoru narodowego, aby mu dać ocenić wszystkie przyjemności życia wiejskiego. Każdy chciał mu robić honory okolicy, nie oszczędzono mu żadnej ciekawości na dziesięć mil wokoło, wioski normandzkie o starożytnych domach i ludności charakterystycznej, wieże w ruinach, wszystkie mniejwięcej zbudowane przez Roberta Dyabła, lub też cytowane jako przytułek matki Wilhelma Zwycięzcy — a, nadewszystko, stare kościoły nawpół zrujnowane, ale nie oszpecone żadnym śmiesznym odnowieniem i chociaż prawie w gruzach, pozostające wcieleniem wzruszającej wiary pierwszych wieków. Pan d'Azeglio chętnie odbywał te wszystkie wycieczki, rozwijając tam wiedzę archeologa, równie zajmującą, jak pozbawioną wszelkiej pedanteryi. Joanna de Langeac, chwilami zapominająca o swojej namiętności połączenia bliźnich, aby odkrywać w sobie poczucia kobiety uczonej, była zachwycona zapasem wiadomości zbieranych w rozmowie z hrabią. To też przywłaszczała go sobie na wszystkich spacerach: „Mogłabym go słuchać jednym ciągiem przez dwanaście godzin“ mówiła. „W kilku zdaniach potrafi odbudować całą przeszłość, stworzyć prawdziwy obraz. Doprawdy, wszystko ma za sobą ten potomek Tassa!“

Wycieczki te zatem były na porządku dziennym; podług przyjętej tradycyi, każdy miał zupełną wolność usunąć się od takowych, ale zapal ogarniał nawet najleniwszych.

Powoli jednak program wyczerpywał się, przez trzy tygodnie rozbijano się ciągle na wszystkie strony okolicy, aż wkońcu zabrakło celu. Pewnego wieczora, kiedy układano spacer na jutro, nie mogąc się na żaden zgodzić, Jolanta przyszła w pomoc swoim gościom.

— Zdaje mi się — rzekła — że nikt z was nie zna małej kaplicy św. Yvety. Jestto prawdziwe чудо średniowiecznej architektury, znajdujące się na połowie wysokości góry des Fougères. Okolica jest nawpół dzika o tyle, o ile Nor-

mandya może być dziką, w dodatku zaś jest tam źródło cudowne, a przynajmniej uchodzące za takowe.

— Źródło cudowne! — powtarzał pan de Kerdrec z wyrazem zwątpienia. — Jakaż jest jego specjalność?

— Ach! nie zaręczam za autentyczność legendy — odpowiedziała pani de Surville — ale, w każdym razie, jest bardzo poetyczną. Św. Yvetta była to dziewczica z wysokiego rodu, piękna jak się nią jest zawsze w legendach, która uczyniła ślub poświęcenia się służbie Boga i ubogich. Pewnego dnia, kiedy wracając od chorych, przechodziła przez wieś, spotkał ją młody pan i, zachwycony jej urodą, zaczął napaść. Przerażona Yvetta, uciekając przed nim, biegła szybko, ale on biegł szybciej niż ona i już miał ją doścignąć, kiedy anioł stróż Yvetty pospieszył jej na pomoc i popchnął tak gwałtownie winnego, iż tenże padł i złamał sobie obydwie nogi. Leżał więc jęcząc boleśnie, kiedy Yvetta, wzruszona litością, nie przerywając biegu, zrobiła nad nim znak krzyża św. I natychmiast źródło wytrysło tuż przy nieszczęśliwym młodzieńcu, tenże skąpał w niem uszkodzone swoje członki, które w mgnieniu oka zrosły się i zrobiły jeszcze silniejsze i giętsze niż poprzednio. Legenda dodaje, że cud ten nawrócił go do wiary. Porzucił życie lekkie i kobiety, i stał się św. pustelnikiem. Co zaś do źródła, to, niewiem za jakim przewrotem idei, stało się ono celem pielgrzymki dla młodych ludzi, mających przeszkody w miłosnych swoich sprawach i zapewniają, że małżeństwa zawarte pod protekcją św. Yvetty są najszcześniejsze w okolicy.

Joanna de Langeac parsknęła śmiechem.

— Oto współzawodnictwo, którego nie domyślałam się, — mówiła. — Chcę koniecznie zwiedzić kaplicę św. Yvetty. Zrobimy wspólną ugodę i nie pozostanie już ani jednej starej panny, żeby nosić chorągiew św. Katarzyny!

— Czy daleko jest ta twoja pielgrzymka, ciociu? — zapytała Zuzia, zwracając się ku pani de Surville. — Ja także, chciałabym tam udać się, ale mam nadzieję, że nikt za mną nie będzie gonić. I chociażbym żegnała się bez końca . . .

— Trzeba dwie godziny jazdy — odpowiedziała spiesznie margrabina, aby przerwać naiwne uwagi siostrzenicy.

— Rozmaite drogi prowadzą tam, a wszystkie bardzo romantyczne.

— Zatem każdy wybierze swoją... to będzie daleko zabawniejsze, niż jechać całą karawaną — rzekła pani de Langeac. — Panie d'Azeglio, zechcesz mi towarzyszyć, nieprawdaż? Obiecałeś mi pan wyłożyć styl gotycki. Architektura jest obecnie moją namiętnością!

— Oby tylko pogoda była piękną jutro.

Wycieczka do cudownego źródła obudziła ogólny zapal. Kobiety, idąc za przykładem pani de Langeac, wybierały sobie towarzyszków podróży. Zuzanna zaprosiła pana de Kerdrec, pani Argherow pana Mac. Trevor, panny de Merny, których dziewictwo kwitło zawsze pod okiem może mniej czujnym, ale coraz smutniejszym ich matki, znalazły dwie ofiary: barona de Langeac i hrabiego Argherow. Nie mogły to być niestety jak tylko ofiary chwilowe, ponieważ obydwaj byli żonaci, ale obecnie panny te zaczęły już wątpić o możliwości innych.

Podczas kiedy układano to wszystko, Jerzy zbliżył się do pani de Surville.

— Czy pozwolisz mi pani, abym towarzyszył ci jutro — rzekł, błagającym głosem. — Dwie spokojne godziny spędzone razem... co za szczęście, jaka dobroczynna pociecha dla mnie!

Jolanta zawahała się chwilę.

— Nie miałam wcale zamiaru jechać tam, rzekła ... mam tyle zadawnionej korespondencji. Doprawdy, Jerzy, nie byłoby to rozsądnie.

— Zatem, choć raz, zostaw pani rozsądek na stronie — mówił nalegając — to taki brzydki wyraz i taka brzydka rzecz. Zresztą winna mi pani jesteś nagrodę. Dałem tyle dowodów uległości od trzech tygodni.

— Wieleby można jeszcze mówić o tem, — rzekła Jolanta, kiwając głową. — Ale, zamiast nagrody, będziesz mieć zachętę. Zawiozę cię tam mojemi kucami Kickle i Klirt. Dawno już nie odbyły dłuższego spaceru. Pojedziemy przez las de la Pauze, a ponieważ tam trzeba jechać pod górę, będą się mogły zatem zmęczyć do woli.

Przed końcem wieczoru, wszystko było ułożone. Jedni mieli jechać konno, drudzy powozem, każdy mógł wyjechać o swojej godzinie, pod warunkiem, że wszyscy zgromadzą się przed źródłem, pomiędzy czwartą a piątą.

Późno było już nazajutrz, kiedy powóz pani de Surville zajechał przed ganek. Weseli goście oddawna już opuścili zamek, podzieleni na partye wybrane sympatyą. Jerzy spacerował wdłuż i wszerz ganku, czekając na Jolantę. Zjawiła się nakoniec.

— Przepraszam cię — rzekła — ale listy wczorajsze nie były wymówką, trzeba było napisać najważniejsze. Ach mój Boże — zawołała, patrząc na powóz — nie rozumiano mnie więc... żądałam małego powoziku. Ten jest za ciężki dla Kickle et Klirt z trzema osobami.

— Ale bo też nie mamy potrzeby zabierać z sobą słuzącego — rzekł Jerzy. — Zdaje mi się, że ja pani wystarczę, a na górze, jeżeli wysiadziemy, znajdziemy zawsze kogoś, co potrzyzyma konie. Miej pani zaufanie we mnie, a damy sobie doskonale radę.

— Nie mamy zresztą już czasu, ażeby zmieniać powóz — odrzekła margrabina. — Jeżeli chcemy powrócić za dnia, trzeba jechać natychmiast.

Zawahała się jednak.

— Boję się bardzo, że nie znajdziemy już tam nikogo. Co mówisz Jerzy, żebyśmy dali pokój tej wycieczce?

— Nie, nie — zawołał żywo. — Kapliczka będzie sto razy piękniejsza w ciszy i osamotnieniu. Zresztą mam prawo do tego spaceru i nie możesz mi nie dotrzymać słowa.

— Jedźmy zatem — rzekła Jolanta. — Chociaż do prawdy to nie ma sensu. Będzie już noc, kiedy przyjedziemy.

Wskoczyła do powozu, robiąc miejsce obok siebie Jerzemu i biorąc lejce w rękę. Konie pobiegły szybko. Były to dwa kuce jasno bulanej maści, nader pięknych kształtów. Pani de Surville powoziła nimi zawsze sama, i śmiejąc się zapewniała czasami, że nie chciałyby być posłusznymi innej ręce. Popołudnie było cudowne, jeden z tych zachwycających dni października, które każą żałować, że jesień nie trwa przez cały rok. W ciepłych jeszcze promieniach słońca błyszczały ciemno purpurowe i złotawe tony, które przybierają

liście w tej porze, a w przezroczystym powietrzu całe to bogactwo kolorytu i światła jakby błyszczącą aureolą wieńczyło całą okolicę. Droga szła przez las z jesionów, rozpościerających się na pochyłości stromej góry i, tak jak powiedziała Jolanta, idąc pod górę była ciężka. Jerzy wysiadł zatem i szedł obok powozu, a pani de Surville pozostawiła swobodnie lejce na szyjach koni, które same z siebie zwolniły szybkiego biegu. Wokoło panowała głęboka cisza i spokój.

— Nie prawdaż — rzekł nagle Jerzy. — że możnaby przypuścić, iż jesteśmy sami na tej ziemi. Mój Boże! Dlaczego nie można ukołysać się w tem marzeniu, zapomnieć, że po za tą drożyną w głębi lasu, istnieje jakiś głupi świat, zajmujący się nami pomimo naszej woli, a wtrącający się do naszego życia. I powiedzieć, że jesteśmy do tego stopnia nedorzeczni, że to ma dla nas jakieś znaczenie, to jego uznanie lub nagana. Pogardzamy światem, a jednak z jego powodu skazujemy sami siebie na tysiące ofiar, za które wcale nie jest nam wdzięczny. I docieramy do końca, zdeptawszy, dla nędznych przesądów, najlepszą cząstkę nas samych. I schodzimy ze świata, z poczuciem, żeśmy wiele i napróżno cierpieli. Nie jestże to istne szaleństwo i nie zasługujemy sami na nasze nieszczęście?

Wyraz zmieszania zaćmił oblicze Jolanty.

— A propos czego to gorące wyznanie pesymizmu? — rzekła nakoniec. — Jesteś jeszcze bardzo młody, porywasz się na wielkie problemata życia i sądzisz, żeś je rozwiązał paradoksem. Mój Boże! nie od wczoraj dopiero ludzkość rozbija się w kajdanach. Dlaczego zaraz wyciągać wniosek, że ofiary, z których życie się składa, spełniamy tylko w obawie świata i jego sądu? Nie, posłuszni jesteśmy wyższemu natchnieniu tajemniczemu, głosowi oznajmiającemu nam, że mamy coś lepszego do czynienia, aniżeli uciekać przed cierpieniem, a gonić uporczywie za szczęściem. Zresztą, czy sądzisz, że bylibyśmy szczęśliwsi, zdeptawszy to, co nazywasz przesądami, aby stworzyć sobie nowe zasady moralne? Zapytaj tych, co to przedsięwzięli. Jeżeli są szczerzy, odpowiedzą ci, że omylili się

— Nie wiem nic — rzekł Jerzy z westchnieniem — jestem pewny tylko, że nie posiadam ani sił, ani odwagi, aby

wznieść się na te wyżyny. Ostatecznie nie jestże to prosto pycha, chcieć tak zupełnie wziąć rozbrat z ludzkiemi słabościami? Ja jestem bardzo słaby, bardzo zwyczajny śmiertelnik. Mało mnie obchodzi, czy jest szlachetniej walczyć z cierpieniem, czy odpychać je! Czuję tylko, że cierpię straszliwie i że czasami popełniłbym nie wiem jaką nikczemność, aby uwolnić się od męczarni. Chcesz wiedzieć, do jakiego stopnia jestem egoistą. Otóż, pragnąłbym gorąco, abyś cierpiała tak, jak ja cierpię. Chciałbym, aby serce twoje rozdarła boleść szarpiąca moje. Ach! nie jestto szlachetna miłość bezwątpienia, ponieważ nie umie poświęcić się dla ukochanej istoty. Ale nie mogę być innym i wiem dobrze, że byłbym mniej nieszczęśliwym, gdybyś podzieliła moje nieszczęście.... czułbym cię wówczas nie tak daleko, nie tak bardzo daleko odemnie...

Jolanta przerwała mu błagającym ruchem.

— Zaklinam cię Jerzy! — mówiła. — Czy zapomniałeś o twojej obietnicy? Nie zrozumiesz więc, że zabijasz moje przyjazne uczucie, opierając się przy swojemszaleństwie? Czy chcesz mi dowieść, że zbłądziłam, mając zaufanie w twoim honorze.

Jerzy uśmiechał się ironicznie.

— Masz słuszność — rzekł — niezachwiany twój rozsądek nie może pojąć burzliwego stanu mojej duszy. Pogardzaj mną zatem.... pozbaw mnie twego szacunku. Jestem tylko nędzną, bezsilną istotą.... nie mogę przestać cię kochać.

Długie milczenie nastąpiło. Dojechali na szczyt wzgórza. Jerzy wsiadł znowu do powozu, toczącego się na pochyłej drodze, mającej po jednej stronie gęsty las, po drugiej rów, w którym sączył się mały strumień, spadający z góry. Jolanta, z oczyma wlepionemi w dal, zdawała się być zatopioną w smutnych uwagach, ani ona, ani Jerzy, także gorzko rozmyślający, nie spostrzegli, że Kickle i Klirt przyspieszyły biegu, a ruchy ich stały się nierówne i jakby narwane. Nagle zając, wybiegając z lasu przeskoczył przez drogę, pod samemi nogami koni, te zaś przestraszone, nie czując powstrzymującej dłoni, rzuciły się naprzód, pędząc biegiem szalonym, podczas kiedy Jolanta, za późno przychodząc do siebie, schwyła za lejce i pochyłona nad rwącemi końmi, starała się je uspokoić.

— Nie ruszaj się Jerzy — rzekła tonem spokojnym, chociaż nieco pobladła — na szczęście nie ma żadnej przeskody przed nami... zatrzymają się same.

Droga stawała się jednak coraz więcej spadzistą, a konie leciały po niej coraz szybciej. Powóz kołysał się na prawo i na lewo, uderzając gwałtownie po kamieniach. Małe rączki Jolanty zdrętwiały w daremnym i rozpaczliwym oporze.

— Pozwól mi spróbować — rzekł Jerzy.

— Nie — rzekła — to nic nie pomoże... konie mają silne nogi, uspokoją się na koniec.

Naraz krzyk wyrwał się z zaciśniętych jej ust.

— Wielki Boże! zapomniałam o stawie! Nie możemy go uniknąć. Zatem wszystko skończone!

— Spróbuj skrócić je w rów — rzekł Jerzy — nie ma innego ratunku.

Ale zdawało się, że żadna już ludzka siła nie mogła zakłąć niebezpieczeństwa. W dali widać już było błękitne wody stawu, błyszczące u stóp pagórka.

— Nie mogę już, nie mogę — rzekła Jolanta przygasłym głosem — najlepiej byłoby...

Zanim skończyła i mogła zdać sobie sprawę z ruchu Jerzego, tenże gwałtownie wyskoczył z powozu i zrozpaczoną wysiłkiem zdołał konie na chwilę powstrzymać.

— Wyskocz prędko, na Boga, Jolanto! — wołał rozpaczliwie.

W mgnieniu oka znalazła się obok niego, ale konie na chwilę poskromione stawały dęba, wyrrywając się silnie z powstrzymujących je dłoni. Zbierając ostatnie siły Jerzy popchnął je do rowu, gdzie ciężko upadły. Miał jeszcze czas zobaczyć Jolantę zdrową i ocaloną obok siebie i na raz pochylił się. Dyszel przewrócił go, uderzając w same piersi; na chwilę oczy jego zamknęły się — wszystko zamgliło się wokoło niego, a jednak pozostało mu pewne słabe poczucie rzeczy, albo też było to może tylko złudzenie lub gorączka? Zdawało mu się, że słyszy przytłumione jęki i z pod powiek napwół przymkniętych ujrzał postać na kolanach, piękną, namiętą, twarz nachyloną ku niemu, i uczył oddech pieszczący jego czoło, posłyszał gorąco z przerażeniem wymówione swoje imię... Potem dreszcz wstrząsnął nim od stóp do głowy, dłu-

gie westchnienie rozszerzyło piersi i wyszedł z omdlenia. Widzenie znikło — Jolanta była wprawdzie tuż przy nim pochylona, blada i niespokojna, ale już zupełnie pani samej siebie. Pytała go łagodnie:

— Co cię boli Jerzy? Czy możesz powstać? Oprzyj się na mnie.

Jerzy uśmiechał się, aby ją uspokoić.

— To nic, zupełnie nic — rzekł — prosty zawrót głowy, niezgrabność... Powinienbym się wstydzić tak głupiego upadku, ale zapewniam cię, że niemam nic złamanego.

I rzeczywiście z całą giętkością młodości powstał znów na nogi. Jolanta, pomimo zewnętrznej obojętności, była jeszcze silnie wzruszona, i chociaż widziała, że nic mu się nie stało, nerwowe drżenie opanowało ją i oczy napęłniły się łzami.

— Bo ja tylko powinnam oskarżyć się o niezręczność — odpowiedziała. — Źle zrobiłeś, powierzając mi twoją osobę. Wiesz, że będę okropnie upokorzona, opowiadając naszą przygodę.

— Zatem nie mówmy wcale o niej — rzekł Jerzy wesoło. — Zresztą nie ma nudniejszego dla drugich, jak opowiadanie o jakimś wypadku. Trzeba teraz podnieść Kickle i Klirt'a na nogi. Mam nadzieję, że skorzystają z dzisiejszej nauki.

I zbliżył się do koni oglądając je starannie.

— Tak jak my, oprócz strachu nie mają żadnej krzywdy.

Odplątawszy ich uważnie z powikłanych lejcy, pomógł im wyprostować się i wyprowadził na drogę.

— Są obecnie bardzo spokojne. Sądzę, że możemy wsiąść do powozu, tylko zdaje mi się że, na ten raz, trzeba wyrzec się św. Yvetty.

— Ona to zapewne opiekowała się nami — rzekła Jolanta, starając się także być wesołą — ale wybierzemy inny dzień, aby jej podziękować. Weź lejce, proszę cię. Niemam już zaufania w samej sobie; zresztą ręce moje są literalnie zdruzgotane.

Oboje wsiedli do powozu i zwrócili się na przejechaną już drogę. Pierwsze cienie wieczoru poczęły ich otaczać, las wydawał tysiące upajających zapachów; ptaki nawoływały się z gniazda do gniazda, i pod wrażeniem tej uroczej poezyi zmierzchu, tej ciszy, która przy schyłku dnia

ogarnia całą naturę, a może też i poczucia uniknionego niebezpieczeństwa, Jolanta i Jerzy milczeli. Dopiero dojeżdżając do zamku, kiedy już jego wieżyczki zaczęły rysować się na niebie, Jolanta zwróciła się do swego towarzysza, mówiąc nieco drżącym głosem:

— Jestem niewdzięczna, nie podziękowałam ci nawet za uratowanie mi życia.

Jerzy popatrzył na nią z tak namiętą czułością, że mimowolnie zamknęła oczy.

— Czy sądzisz, że potrzebujesz mi dziękować? — rzekł poprostu. — Ja myślę, że nie.

Ludwika Rouher.

(Dokończenie nastąpi).

GERHART HAUPTMANN

jako pisarz dramatyczny.

—•••—
(Ciąg dalszy).

V.

Kolega Crampton.

(*College Crampton*. Komödie in fünf Akten. Berlin. S. Fischer, Verlag.)

Bezpośrednio po *Tkaczach*, wydaje Hauptmann w r. 1892 nowy utwór sceniczny, pięcioaktową komedię: *College Crampton*. Przeskok ogromny i niespodziewany. Dotychczasowe „dzieło“ poety obejmowało jedynie dramaty poważne i posępne w treści, zazwyczaj tragiczne w zakończeniu; tu ma się przed sobą pierwszą „komedię“ Hauptmanna, a fakt ten wywołać musi znaczne zaciekawienie u tych, którzy nie zadowolniając się poznaniem poszczególnych jego utworów, pragną wniknąć w istotę duszy pisarza. Wprawdzie trwająca już od dłuższego czasu dążność do fluktuacji, wzajemnego mieszania się ściśle dawniej rozgraniczonych kategorii ogarnęła i sztukę dramatyczną, jednak zawsze jeszcze z pojęciem „komedyi“ łączą się pewne właściwości i akcyi i charakterów i ogólnego ducha danego utworu, a szukając śladów tych cech w dotychczasowych dramatach Hauptmanna, prawie się ich nigdzie nie znajdzie, tak są niewyraźne i prze-

lotne. To też z ciekawością oczekuje się rozwiązania pytania, czy i o ile uprawiona jest w tym wypadku nazwa „komedy“ (n. b. *Komödie* a nie *Lustspiel*).

Nie na tem jednak kończy się odrębność omawianej sztuki. Powierzchny nawet obserwator, zatrzyma się dłużej przy spostrzeżeniu, że po raz pierwszy u Hauptmanna, jako tytuł dramatu, pojawia się nie pojęcie oderwane, nie wyraz oznaczający całą masę, lecz nazwisko jednostki. Czy jestto przypadek, że gdy poprzednia sztuka nosiła miano *Tkaczów*, obecna zwie się *Kolega Crampton*? Trzy pierwsze dramaty Hauptmanna (*Przed wschodem słońca*, *Święto pojednania*, *Samotni ludzie*) czerpały treść z życia rodzinnego — najwyraźniej w *Vor Sonnenaufgang*, najslabiej w *Einsame Menschen*, gdzie już znać dążność do ograniczenia się do dwóch jednostek — we wszystkich w środku akcji poruszało się kilku, najmniej dwoje ludzi. W *Tkaczach* środowisko rozszerza się nagle i ogromnie, i miejsce rodziny z kilku jednostek złożonej, zajmuje niezliczony tłum, w którym giną i rodziny i jednostki. *College Crampton* oznacza raptowny zwrot: od tłumy, omijając przejściowe stadyum rodziny, przechodzi autor szybko do jednostki, ją czyni osią sztuki, punktem zbieżnym wszystkich kierunków akcji. Oczywiście nie należy tego rozumieć tak, jakoby prócz Cramptona nie było tu nikogo, żadnej wybitniejszej indywidualności, wreszcie żadnej epizodycznej lub pobocznej akcji. Przeciwnie, wszystko to znajduje się, lecz mimoto przez cały ciąg dramatu, od pierwszych jego słów aż do ostatniej sceny piątego aktu, w każdej chwili osoba Cramptona panuje nad całością, jest naczelną na scenie czy po za nią. Dramaturg musi to uważać za zaletę sztuki, bo objaw ten daje autorowi i sposobność i możność starannego wycieniowania rysunku tej jednej postaci, pogłębienia jej. Teraz jednak chodzi o to, czy poeta zdoła poboczne osoby wprowadzić w ścisły związek z główną i nie naruszając w niczem praw tej ostatniej, rozwinać tamte tak, aby żyły własnem życiem. W każdym razie jestto oznaką dodatnią, że autor nie stając się niewolnikiem własnej a części przejętej od innych manieri, kształci się i ćwiczy, tworzy nowe dzieła, a nie według raz zrobionej formy odlewa w wielu egzemplarzach tensam kształt. Należy to tem silniej

podnieść, że niebezpieczeństwo popadnięcia w manierę było dla autora nader groźnem, bo niezmiernie ponętnem. Wszak *Tkacze*, dramat oparty o masę a osnuty na kwestyi socyalnej, cieszył się olbrzymiem powodzeniem, rozniósł w krótkim czasie po wszystkich krajach sławę swego twórcy. Powstały zaraz po nim *College Crampton* nie ma ani jednej ani drugiej cechy, jest nawskróś indywidualistycznym i dalekim od demagogicznych tendencyj. Cokolwiek się o nim przy bliższym rozbiorze powie, tu już godzi się zaznaczyć, że jego autor nie jest marnym pismakiem, który przypadkowo spłodził coś udatnego i sam się potem wiecznie powtarza, nie jest lichym spekulantem, wyzyskującym powodzenie pewnego tematu, lecz poważnym, rzetelnym pisarzem, pracującym nad rozwojem swego talentu.

Czy więc *Kolegi Cramptona* nie wiąże z poprzednikami? Wiaże go wiele nici, które powoli dadzą się odkryć, a naprzód wiąże go sama główna postać. Jednym z ulubionych motywów autora jest rola, jaką w społecznym życiu ludzkości odgrywa alkohol, jego wpływ na organizm człowieka. W dramacie *Przed wschodem słońca* widziało się, jak motyw ten, jeden z dwóch w sztuce panujących, przenika ją od samego początku, a wreszcie sprowadza i tłómaczy katastrofę: Loth porzuca Helenę, bo ta pochodzi z rodziny alkoholistów. W następnym zaraz dziele, w *Święcie pojednania*, alkohol schodzi z naczelnego stanowiska, jakie zajmował w poprzednim, odzywa się jednak znacząco w postaci starego doktora Scholza; w *Samotnych ludziach* niema go wprawdzie, lecz za to w *Tkaczach* stanowi jeden z epizodycznych motorów bezpośredniego wybuchu. *College Crampton* przedstawia artystę, który wskutek nadmiernego używania trunków ma przytępione władze umysłowe, jest tem, co Niemcy nazywają *ein verbummeltes Genie*. Crampton jak i Krause (w *Vor Sonnenaufgang*) jest nałogowym pijakiem, a więc, jeżeli tamtego odsądziło się od nazwy dramatycznej postaci, i on może pierwiastków dramatycznych w sobie nie ma? Sąd taki byłby zbyt pospiesznym i powierzchownym. Krause dramatyczną osobą nie jest, bo upija się aż do zupełnej utraty zmysłów, bo jest bydlęciami pozbawionem samowiedzy tego co czyni, odpowiedzialności za to

co czyni. Crampton jest dramatyczną postacią, bo choć nalogowy pijak, choć umysł ma przyémiony, zniedołężniały, ma i *lucida intervalla* i zawsze choć cząstkę świadomości tego, co mówi i czyni. Jest więc podobieństwo w motywach, z natury rzeczy niemiłych i odrażających, lecz ujemny ten objaw łagodzi postępowanie w zrozumieniu istoty, granic i wymagań dramatu.

Harry Crampton jest profesorem akademii sztuk pięknych w pewnym większym mieście na Szlązku. Rodzinna ziemia poety i tu jest gruntem, na którym rozgrywa się dramat. Pierwszy jego akt odbywa się w gmachu szkolnym, w obszernym *atelier* profesora, sąsiadującym z wspólną salą rysunkową. Zaraz pierwsze rozmowy są niezmiernie charakterystyczne. Posługacz Löffler, factotum profesora, musi przypominać, że po nocnej hulance nastał już dzień i uczniowie chcą rozpocząć pracę, a brak im modelu. Crampton denerwuje się i niecierpliwi co chwila, a potem zamiast przyznać, że zapomniał zamówić kogoś do pozowania, wyrzeka na akademię, na ciasne poglądy profesorów i powszechny brak talentu. On nie ma ochoty już dłużej tu pleśnieć, ma swoje plany a opiekuje się nim sama „cesarzowa rosyjska, dama obdarzona wielkim smakiem artystycznym“ (str. 6). Zjawia się wreszcie model, barczysty mężczyzna, lecz wzbrania się rozebrać do naga. Uczniowie śmieją się z tego, a profesor tymczasem wydobywa z ukrycia flaszkę, nalewa coś do kieliszka i pije, mówiąc, że lekarz zalecił mu wino z chininą. Młodzi akademicy za sceną bawią się z wstydlivości modelu, Crampton zaś wysyła Löfflera po koniak i piwo. Posługacz rozkazu spełnić nie chce, bo pieniędzy nie ma, a na kredyt już mu nikt nie da. Crampton rozdrażniony niemal do łez skarży się na Löfflera, na akademię, na cały świat, i wreszcie jakby od niechcienia mówi: „Tam jest dywan — należy go oczyścić“ (str. 9). Löffler wie co to znaczy, zabiera dywan, a wtem, gdy w jednej ręce trzyma kosz na piwo a drugą kładzie sobie na plecy kobierzec, spotyka we drzwiach Janetzkiego „olbrzymiego chłopca z twarzą o typie słowiańskim“. Janetzki pożyczał widocznie pieniędzy profesorowi i dziś trwając się o nie, nie chce pozwolić na wynoszenie mebli z mieszkania. Wszystko to mówi tylko wobec Löfflera, gdy zaś

Crampton sam na odgłos sprzeczki się ukazując, Janetzki z uniżoną miną oddaje mu pismo od dyrektora i rachunek płatny jutro, pierwszego października, a potem ubocznie wspomina, że jeżeli chodzi o wyczyszczenie dywanu, to jego żona zrobi to bardzo dobrze. Crampton kiwa głową a portyer ucieszony woła za Löfflerem, aby mu wręczył dywan. Janetzki ma typ Słowianina, nazwisko polskie, a dalsze niezbyt zaszczytne przydomki, jakimi w jego nieobecności obrzuca go Crampton (*Hund, dieser Janetzki, tückischer, polnischer Hund*, str. 11) dowodzą, że autor umyślnie dobitnie zaznacza w nim polską narodowość. Janetzki sprzedaje uczniom i profesorom akademii przybory malarskie, zarabia na tem dużo, a będąc podłym charakterem, płaszczy się przed dłużnikami albo znowu jest względem nich zuchwałym, stosownie do swego interesu — słowem jestto skończony łotr. Minał już — na szczęście — ten naiwny czas, kiedy każdy wierszyk Niemca lub Polaka dla nas przychylny, wzbudzał w nas ekstatyczne rozczulenie i przesadną wdzięczność, czas ten minął, bo na-przód dziś synowie Germanii już *Polenlieder* nie piszą, powtóre zaś, gdyby nawet pisali, mielibyśmy dla nich szacunek, lecz nie przesadną, bo przeceniającą dany objaw wdzięczność. A jednak, jeżeli w nas zaszła zmiana na lepsze, to czy z ogólnie ludzkiego — bynajmniej nietylko z specyficznie polskiego — stanowiska pochwalać można przewrót zaszły u naszych sąsiadów, że teraz w ich powieściach i dramatach niemal każdy Polak to podły tchórz, łotr, służalec itd.? Znaną jest niechęć Sudermanna do Polaków, której dał wyraz w kilku utworach, lecz bardziej zadziwić musi, że u Hauptmanna właśnie pierwszy Polak, jakiego się widzi, nosi nazwę *ein Schuft* (str. 12), *ein tückischer, polnischer Hund* (str. 11). Czy przystało obrońcy klas uciskanych, apostołowi wolności ducha i sprawiedliwości, czy autorowi *Tkaczów* przystało obelżywem mianem piętnować nie Janetzkiego tylko, ale pośrednio Polaków, plemię w ojczyźnie autora prześladowane i dręczone? Janetzki nie może uchodzić za przedstawiciela narodu polskiego, to prawda, lecz w tem, że najwstrętniejsza osoba sztuki jest Polakiem i w tem, że pierwszy Polak u Hauptmanna jest podłym, w tem tkwi tendencya, *poety* niegodna. Jak straszliwa zemsta tkaczów nad Dreissi-

gerem i Dittrichem może pobudzić pewnych widzów do burzenia obecnego porządku wogóle, tak słowa *ein polnischer Hund*, padając ze sceny okolic rozdrażnionych konfliktami narodowościowymi, podniecą nienawiść nie do Janetzkiego, lecz do całego narodu. Może my na tem źle wychodzimy, lecz gorzej jeszcze krzywdzi autor samego siebie.

Jeżeli dotychczasowe sceny zaznajamiały tylko z położeniem osoby głównej, to już następne zawierają zawiazek dalszej akcyi. Max Strähler, relegowany z akademii (podobno za rozwiązłe życie), prosi Cramptona o pomoc w odzyskaniu wstępu do szkoły, przyczem profesor naturalnie nanowo z pewnemi zmianami rozpoczyna swo skargi. Lecz na chwilę przerywa sobie, aby odczytać owe pismo dyrektora, które mu poprzednio Janetzki przyniósł. I oto radość maluje się na jego obliczu: ksiązę, jego mecenas, jego protektor, przybędzie do akademii. Skończy się więc pleśnienie w tej dziurze, ksiązę go ztąd wyrwie, nuże tedy do pracy. Dotychczas dla zarobku potrzeba było malować marne szyldy, teraz to zajęcie niegodne artysty pójdzie w ką, Strähler zaraz musi mu pozować do rozpoczętego obrazu. Profesor siada do pracy pokrzepiwszy się przedtem winem a potem chowa flaszkę i kieliszek, bo spodziewa się odwiedzin najmłodszej córki. Gertruda, ośmnastoletnia panna puka, ojciec udaje, jakby jej nie zauważył zatopiony w pracy i dopiero po chwili takiej komedyi odrywa głowę. Praca trwa niedługo, bo profesorowi czas na lekcję do uczniów. Oboje młodzi zostają sami, dotychczas się osobiście nie znali, choć Gertruda jest przyjaciółką siostry Maxa. Dziewczyna szybko nabiera zaufania do niego i spowiada mu się, jak bardzo się niepokoi o ojca, który czasem przeciążony pracą, aż traci władzę nad sobą; z jej słów urywanych wnosi się, że ona wie coś więcej i tem się bardzo trapi, lecz wejście ojca przerywa te zwierzenia i pierwszy akt się kończy.

Budowa jego jest udatną, co więcej, w żadnej z dotychczasowych sztuk Hauptmanna pierwszy akt nie był tak wybornie, przeprowadzonym, jako ekspozycya całości jak w *Koledze Cramptonie*. Główna postać występuje z tła jasno, poboczne osoby zarysowują się same w sobie i w swym wzajemnym stosunku o ile to jest potrzebnem, a zapowiedziane odwiedziny

księcia, nadzieje Cramptona, zawierają zawiązek dalszych dramatycznych przejęć.

Akt drugi, najkrótszy ze wszystkich, jakie się dotąd u Hauptmanna widziało, posuwa jednak akcyę znacznie naprzód, a i do wewnętrznej charakterystyki zarówno profesora, jak i innych osób, dorzuca kilka ważnych szczegółów. Adolf Strähler, brat i opiekun Maxa, przyszedł, aby podziękować Cramptonowi za życzliwość, jaką ma dla lekkomyślnego ale z gruntu szlachetnego chłopca, profesor jednak cały zajęty myślą o bliskich odwiedzinach panującego księcia, nie dopuszcza go do słowa i przerywa mu ciągle najniestosowniej-szemi uwagami. Oczekując księcia, pelen otuchy, w rozmowie z innym profesorem rzuca śmiały plan założenia towarzystwa św. Łukasza, jednoczącego prawdziwych artystów, potem zaś zwoławszy uczniów swej klasy poucza ich, jak mają się w tak ważnej chwili zachować; wśród tego zaś rozgrywa się krótki, powszedni w treści, ale dosadnie komi-czny epizod z właścicielem piwiarni, który niezadowolony z namalowanego przez profesora szyldu wyjaśnia, jakby rzecz właściwie należało zrobić. O ile ojciec buja w obłokach unoszony w górę siłą nadziei, o tyle córka jest smutną i posępną. Korzystając ze sposobności zbliża się do Strählera i wynurza się przed nim ze swojemi obawami. W domu jest okropna bieda, właściciel traduje ich za niezapłacony czynsz, a tu spadł na nich dziś nowy grom: dyrektor akademii zawiadomił ich, że profesor zostanie ze służby wydalonny. Max wzruszony do żywego, chce ją pocieszać, wtem wchodzi Janetzki i obojętnie mówi, że książę... już odjechał. Crampton spada nagle z wysokości swych marzeń; zrazu jest wściekły, wybucha gniewem na potwarców, wrogów, którzy z zazdrości szkodzą mu, gromi surowo cisnących się uczniów, pytających się, kiedy książę przyjdzie, rzuca się na Janetzkiego, potem bądź z wyczerpania, bądź pod wpływem Gertrudy i Maxa, łamie się w swym gniewie, przemawia z rezygnacyą, sam się oskarża: „Gertrudo muszę ci zrobić zwierzenie; gdy ci kto powie: czcuj ojca i matkę, to ja ci mówię, twój ojciec nie wart czci. Twój ojciec was wszystkich i siebie samego zapędził nad brzeg przepaści... Teraz ze mną już koniec, nieodwołalnie — przed pół godziną mia-

łem jeszcze nadzieję. Chciałem księciu przedstawić swe położenie. Nie chciałem bynajmniej żebrać, ale tylko myślałem, że on może jaki obrazek... albo coś takiego... Ach, dzieci, dzieci! skończmy“ (str. 31). Z uniesieniem wita wchodzącego Löflera i żegna córkę, polecając jej udać się do bogatej rodziny teścia. Jeżeli jej brak na drogę pieniędzy... tu ujmuje Strählera za rękę i wstrząsa nią, czytając w jego spojrzeniu stanowcze przyrzeczenie (str. 32). I mimo prośb, łez i oporu Gertrudy odchodzi.

Akt drugi a zwłaszcza jego druga część jest nąwskróś dramatyczną. Jeżeli zadaniem poety jest obudzić dla bohatera dramatu współzucie widza, to Hauptmann w tym wypadku zadanie to znakomicie spełnia. Wypróbowany środek tragicznej ironii, polegającej na tem, że człowieka spotyka wtedy najsrozsze nieszczęście, gdy on ludzi się najśmielszemi nadziejami, tu powtórzony jest z zupełnem powodzeniem. Dla Cramptona według jego własnego wyobrażenia i przewidywania czytelników, jedynym ratunkiem były odwiedziny księcia, i naturalne ich skutki; gdy ten środek zawiódł, gdy panujący odjechał nie wstąpiwszy do niego, a profesor otrzymał dymisyę, moralny i materyalny jego upadek jest niezmiernie bliskim, niemal nieuniknionym. Powstrzymać go może jedynie Gertruda w związku z Maxem, a ich stosunek otwiera widok na dalsze akty. Doskonała ekspozycya z aktu pierwszego ma równie technicznie dobry dalszy ciąg w drugim.

W trzecim Crampton sam na scenie nie występuje, jednak choć niewidzialny, jest przedmiotem akcji. Max postanawia podnieść go z upadku, w jaki popadł, jego zdaniem, nie z własnej winy, a w tem działaniu dopomaga mu i Gertruda, i Adolf, i owdowiała siostra Agnieszka. Widz przenosi się w inne miejsce, lecz zmiana ta nie mąci go, łatwo mu się z nią oswoić, bo z wyjątkiem Agnieszki wszystkie inne osoby są mu już z poprzednich aktów znane. Gertruda nie poszła za radą ojca, nie udała się do bogatego teścia profesora, lecz znalazła miłsze schronienie w domu Adolfa Strählera, żyjącego wraz z siostrą, przyjaciółką panny Crampton, jak o tem już pierwszy akt mówił. Żona profesora rozwiodła się z nim, a biedna dziewczyna, widząc ojca opuszczonego przez wszystkich, pragnie połączyć się z nim. Lecz nikt

nie wie o miejscu jego pobytu, niewiadomo nawet, jak go szukać. Rzecz szczęśliwie poczyna się wyjaśniać, dzięki przybyciu Löfflera. Factotum profesora, Löffler, chciał pomówić z Maxem, do którego ma więcej zaufania, ale w nieobecności brata Adolf przyjmuje go i wypytuje o Cramptona. Wiadomości są tak złe, że Adolf znając miłość Maxa dla Gertrudy a sympatyę dla jej ojca, żywo się sprawą zajmuje. W następującej po tej scenie rozmowie obu braci, w prowadzonym z wielką zręcznością i ciepłym dialogu, Max jawnie wyznaje swój szacunek dla Cramptona. „Wyzyskano go, wyssano... Nie ma znajomości świata, jest dobrodusznym, zbyt łatwo ufa każdemu“ (str. 43). On pragnie go podźwignąć: najmuje właśnie dwa *atelier*, i jedno urządzi profesorowi tak, jak on je sam miał; w tym celu skupuje wszystkie jego sprzęty, nawet drobne a kosztowne brzozy. Adolf ze swobodą osoby niezaangażowanej, ale i z serdecznością brata podrwiwa z niego trochę i z profesora, lecz wkońcu, gdy Max wyrzuca mu, że dużo gada, chwali się a dotąd profesora nie odnalazł, Adolf wśród śmiechu znosi te wyrzuty a przerywa je oznajmieniem, że profesor już znaleziony. Obaj bracia ściskają się serdecznie.

Niniejsza odsłona w dramacie stanowi konieczne przejściowe stadyum i oznacza rozpoczęcie usiłowania, zdążającego do podniesienia głównej osoby. Pozbawiona silnych, efektownych momentów, w dramacie jest ważna, bo oświetla jaśniej postacie Maxa i Adolfa, sama zaś w sobie wzięta, jest dokumentem do poznania duszy autora niezmiernie przydatnym. Nawskróś spokojna, niemal idylliczna, bo wszystko co w sztuce jest smutnego, tu usunięte na drugi plan i zlagodzone nadzieją naprawy, niniejsza odsłona jest najpogodniejszą dotychczas w „dziele“ Hauptmanna, a serdecznie-humorystyczny nastrój ostatnich scen potęguje jeszcze ten charakter. Były i w dawniejszych dramatach Hauptmanna chwile spokojne, pogodne, lecz czy miłosny duet Alfreda Lotha i Heleny Hoffmann, czy śpiew kolędowy w wigilijny wieczór u rodziny Scholzów, czy inne podobne chwile, pogodne same w sobie, dusiły i gnębiły widza świadomością poprzednich konfliktów tragicznych, obawą przyszłych, nie-

odwołalnych nieszczęść; tu o smutnej przeszłości zapomina się, bo się z otuchą patrzy w przyszłość.

Zadanie czwartego aktu jest wyraźne: ma on pokazać obecne materialne i moralne położenie profesora, który straciwszy posadę w akademii, znalazł się na bruku miejskim bez środków utrzymania, a zapewne i nadal ulega dawnemu nałogowi. Cramptona odnajduje się w jakiejś gospodzie w towarzystwie dwóch studentów akademii, zabijającego czas grą w karty, czytaniem starych roczników *Gartenlaube* i pićm. Właściciel knajpy udziela mu kredytu, bo naprzd liczy na krewnych Cramptona, którzy przecieź raz za niego zapłacą, powtóre zaś używa profesora jako wabika, imponującego rozmaitym trzeciorzędnym malarzom uczęszczającym do piwiarni. Pierwsze sceny tego aktu są wyłącznie poświęcone celom przedstawienia nowej sytuacji Cramptona, że zaś obowiązek ten spełniają w dość krótkim czasie, więc przyjmuje się je bez szemrania. Akcja zaczyna się dopiero z chwilą, gdy Max Strähler wchodzi, prowadzony przez Löfflera. Crampton nie poznaje go, potem z trudem przypomina sobie jego nazwisko, za chwilę znowu nie wie z kim rozmawia, słowem znać, że jego umysłowe władze są bardzo przytępięne. Poprzednio jakiś marny „artysta“ proponował mu wejście z nim w spółkę, teraz, gdy Max w toku rozmowy wspomina o swej siostrze, Crampton sądzi, że to znowu jaka oferta i zaraz ze stanowczością malarza obciążonego niezliczonemi zamówieniami przerywa mu, zapowiadając, że portret Agnieszki wykona jedynie za sumę sześciuset talarów. Max ani nie myślał o podobnej propozycji, ale chwyta zręcznie sposobność do wydobywania Cramptona z nędzy i ku zdumieniu profesora oświadcza, że w zupełności godzi się na jego warunki. Dalsza rozmowa obu jest niezmiernie ważną. O ile bowiem dotąd mogło się już powziąć dokładne wyobrażenie o chorobliwym rozstroju, o osłabieniu wszelkich fizycznych i umysłowych sił Cramptona, o tyle nie miało się absolutnie żadnych danych do osądzenia, czy ratunek jest możliwy lub czy też rak stoczył ex-profesora już do szpiku kości, tak, iż zgniecie ciała i duszy jest nieuniknionem. Serdeczne słowa Maxa, skwapliwość, z jaką przyjmuje jego wygórowane żądania, wywierają wpływ na Cramptonie: to znak,

że jeszcze ma zdolność obserwowania, wnioskowania; dalsza zaś rozmowa o Gertrudzie, tróskliwość ojca o córkę, wdzięczność dla tej, która sama jedna miała dla niego miłość, to znowu jasny dowód istnienia w sercu Cramptona takich za-kątek, dokąd ogólna gangrena, alkoholizmem spowodowana, jeszcze nie dotarła. Ratunek jest więc jeszcze możliwym. Crampton wyklóciwszy się poprzednio z owym „artystą“, pragnącym pozyskania go do spółki, odchodzi, opuszcza tę marną jaskinię. Właściciel gospody nie chce go puścić, bo profesor winien mu wiele, lecz Löffler płaci za niego pieniędzmi Maxa.

W piątym akcie następuje rozwiązanie. W wynajętym przez siebie mieszkaniu z dwoma *atelier*, Max Strähler wspólnie z Gertrudą Crampton przygotowują wszystko na przyjęcie profesora. Pogodny charakter sztuki nigdzie nie występuje tak jawnie, jak właśnie w tej scenie. Że Hauptmann zdolny jest jako poeta uczuć miękkich, tkliwych, serdecznych, o tem wiedziało się już dawniej, lecz obok znanej sceny z trzeciego aktu *Kolegi Cramptona* żadna nie jest opromieniona takim serdecznem a naiwnem uczuciem, w żadnej nie ma tyle wesołego światła, nawet dziecięcej pustoty, ile jest w tej rozmowie kochanków. Przykładając ostatnią rękę do uporządkowania *atelier*, śmieją się i żartują i drażnią się wzajem, gonią po pokoju, na to, aby się potem chwycić i pocałunkami więzić, a gdy za chwilę Agnieszka wchodzi, ma przed sobą obraz pogodnego szczęścia młodej pary narzeczonych. Co scenie dodaje uroku, odejmuje szablonowość a pogłębia jej znaczenie, to osoba Cramptona, zawsze w uwadze widzów na pierwszym planie stojącego. Max i Gertruda są szczęśliwi, nietylko egoistycznym szczęściem zakochanych, ale i pewnością, że profesor, którego Max szanuje a Gertruda kocha, znajdzie tu przytułek, uzdrowienie. Crampton, zamówiony nibyto do robienia portretu Agnieszki, zjawia się z Löfflerem, a nie zastając w przedpokoju nikogo, już jest rozdrażniony, wzburzony. Wchodzi do *atelier* i powoli zaczyna rozpoznawać wszystkie sprzęty: wszak to jego własne, tesame, które w jego pracowni stały. A więc ten Max, ten marny dyletant był tak nietaktownym, że poskupował to wszystko, aby się chęłpić, uważać za jego następcę; ależ to zuchwałość, godna skarcenia! Obaj bracia Strähler delikatnie wy-

prowadzają go z błędu, Max poprostu wprasza się, aby profesor raczył zająć dla siebie to *atelier*, oczywiście... za czynszem, Crampton poczyzna rozumieć wszystko, a wtem Gertruda rzuca mu się na szyję i oznajmia, że zaręczyła się z Maxem. Crampton wzruszony, ścisną córkę i przyszłego zięcia, a potem biegnie do Löfflera i mówi: „Co za głupiec z tego Maxa, co za głupiec!“ Kurtyna spada.

Ostatnie dzieło Hauptmanna, bez względu na swoją wartość, jest nader ciekawem, tak samo w sobie, jak w wyższym jeszcze stopniu w związku z innymi utworami autora. Ze wszystkich dotychczasowych jego dramatów *Kolega Crampton* jako utwór czysto artystyczny, jako dzieło techniki teatralnej stoi najwyżej. Jeżeli *Die Weber* olbrzymi rozgłos zawdzięczają przedewszystkiem swej potężnej treści i silnie choć pośrednio jedynie zaznaczonej tendencji, to *College Crampton* cieszy się na scenach niemieckich znacznem powodzeniem, dzięki dobrej budowie dramatu, wolnej od tych niedramatycznych elementów, jakie widoczne są we wszystkich czterech dawniejszych sztukach Hauptmanna. Rozważony pod innymi względami, wyda się on utworem co do znaczenia *Tkaczom* bynajmniej nie dorównującym. Różnica treści ogromna, i tu nie ma ani porównania, ani też nikt nie może autorowi robić wyrzutów co do wyboru tematu, dość, że jest on dramatycznym. Inne pytanie, czy temat zdolny dramatycznego traktowania został istotnie należycie wyzyskany, konsekwentnie a plastycznie przez wszystkie szczeble rozwoju przeprowadzony. Harry Crampton nie tylko użył sztuce tytułu, lecz jest nadto jej główną postacią, jego losy, jego przejścia, jego duchowy proces, są jej głównym przedmiotem. Zaletą utworu jest niewątpliwie fakt, że profesor przedstawiony jest aż w trzech fazach, przez co cały wewnętrzny proces rozwija się przed oczyma widza. Z początkiem aktu pierwszego Crampton ulega już bardzo skutkom alkoholizmu, osłabiającym jego ciało i ducha; dalej gangrena podwójna postępuje, aż wskutek zewnętrznych okoliczności, profesor spada najniżej, niemal na samo dno — to drugie stadium, kryzys najsilniejszy; odtąd Crampton przestaje być osobą działającą, a jest tylko przedmiotem i celem akcji innych osób; za ich pomocą dochodzi się do trzeciej i ostatniej

fazy, kiedy widzi się możliwość ratunku, warunki odrodzenia. Czy wszystkie te trzy fazy są należycie przedstawione? Cramptona, spadającego po równi pochyłej, widzi się wyraźnie, patrzy się na niego, gdy jest najniżej, lecz droga w górę, możliwość podźwignięcia się jasną nie jest. Tu tkwi kardynalny błąd dramatu, który będąc nawskróś indywidualistycznym, ostatnią przemianę w losach i istocie głównej osoby wystawia niedostatecznie, motywuje słabo. Utwór na tem ogromnie traci; gdy to, co z intencji autora jest jego główną treścią, ku końcowi do wyjaśnienia należytego nie dochodzi, widz szuka nowej treści, zaczyna uważać za nią historię Maxa i Gertrudy do końca doprowadzoną, ale dość konwencyonalną i banalną. Czy Max ożeni się z Gertrudą, to nas ostatecznie tak bardzo nie obchodzi, stokroć ważniejszym jest pytanie, czy Crampton może się odrodzić umysłowo i moralnie. Tymczasem zaś to pierwsze, poboczne, mało znaczące pytanie, jest stanowczo rozwiązane — to drugie, główne, bez porównania ważniejsze, pozostawione jest w zawieszeniu.

College Crampton nosi nazwę „komedyi“ i jest nią istotnie. Nie sam koniec, trochę wymuszony i wyglądający jakby koncesya autora na rzecz publiczności, lecz głębszy nastrój sztuki, pogodny i spokojny, jest dla czytelników niemal niespodzianką. Twórca *Vor Sonnenaufgang* lub *Die Weber* dawał czasem — rzadko — sceny idylliczne, ale zawsze na dalekiem tle posępnem; autor *Kolegi Cramptona* daje całą sztukę mimo wielu dramatycznych chwil przenikniętą atmosferą spokoju, czasem smutku, ale nie bez nadziei, nieraz szczęścia zupełnego, niekiedy nawet pustego humoru. Przemawia to głośno za talentem Hauptmanna, za jego wielostronnością i szczerością. *College Crampton*, gdyby był pierwszym dziełem autora, nie rozgłosiłby sławy jego, nie ma, ani mieć nie może ani fanatycznych wielbicieli, ani zagorzałych przeciwników, lecz w szeregu dzieł Hauptmanna niemniej zajmie miejsce znaczące, a jak dotąd odosobione. Jak jest pierwszym dramatem, w którym kwestya społeczna nie odgrywa żadnej roli, tak jest i pierwszym, w którym naturalizmu niema ani śladu. Na szerszą publiczność działać będzie jak wiele innych sztuk scenicznych — dla badacza rozwoju talentu Hauptmanna jest nader cennym.

VI.

Futro bobrowe.

(*Der Biberpelz. Eine Diebskomödie.* Berlin. S. Fischer, Verlag).

Pierwsza komedia Hauptmanna musi być stanowczo uważaną za próbę, ogółem dodatnią. Czy powodzenie jej na niemieckich scenach, czy też przypadek lub ówczesne usposobienie poety to sprawia, dość, że i wydany w rok później po *Koledze Crampton* (w r. 1893) *Der Biberpelz* jest również „komedią“. Lecz gdy tam obok tytułu sztuki widniał prosty, powszechnie używany dodatek „komedia“, tu czyta się nie bez zdziwienia objaśnienie: *Eine Diebskomödie*. Co to jest „komedia złodziejska“? Nazwa niezwykła, zapewne po raz pierwszy od czasu istnienia literatury dramatycznej pojawiająca się jako oznaczenie pewnej kategorii, a przez tę niezwykłość i dziwaczną oryginalność raczej niemiła, śmieszna. Oczywiście połączywszy ją z właściwym tytułem dramatu, łatwo dojdzie się do przypuszczenia, że treścią sztuki jest zapewne kradzież futra bobrowego. Wolno literaturze czerpać motywów z kąd chce, lecz z drugiej strony wola autora, szczególnie zaś dramatycznego pisarza, ograniczoną jest naprzód ogólną istotą literatury, powtóre charakterem i wymaganiami dramatu, który ze wszystkich gałęzi piśmiennictwa ma i musi mieć niewątpliwie najsurowsze prawa. Kradzież w życiu należy do przestępstw najpogardliwszych, najbardziej obudzających wstręt do osoby, która ją popełnia. Kradzież na scenie, kradzież jako główna treść sztuki jest tembardziej wstrętną, w komedii wtedy tylko ostatecznie epizodycznie dozwoloną, choć nie pożądaną, gdy osoba dopuszczająca się jej popełnia ją z ogromną zręcznością, z chytrą i humorem, tak, że pogardliwość czynu na scenie osłabioną jest wrażeniem pewnego rodzaju podziwu lub wesołości. Czy tak jest u Hauptmanna, czytelnik dowie się niebawem, narazie musi się zaznaczyć, że tytuł sztuki a z nim

i jego bliższe objaśnienie, aczkolwiek odpowiadają początki treści sztuki, przecież, jak sądzimy, błędnie kładą nacisk na tę jej stronę, która jest w niej mniej ważna, a pomijają daleko istotniejszą. Nie kradzież futra bobrowego jest punktem ciężkości niniejszej komedyi, bo kradzież ta traci nieco na sile wobec poprzedniej kradzieży drzewa, lecz osiłą sztuki, jej osnową i jej myślą jest postępowanie naczelnika policyi miejscowej, nie tylko w tym jednym wypadku, ale wogóle przy wszystkich podobnych. Że pani Wolff, praczka, nader zręcznie kradnie naprzód drzewo a potem futro bobrowe, to rzecz podrzędnej wagi, służąca jedynie do ilustracyi faktu naczelnego: że pan von Wehrhahn, dyrektor policyi, wietrząc politycznie podejrzanych, z zadziwiającą lekkomyślnością i głupotą lekceważy sobie sprawy zwykłego bezpieczeństwa osób i mienia, co przecież jest jego pierwszym obowiązkiem. W tem, w tej satyrycznej tendencyi upatrywać wyłącznie można uprawnienie *Futra bobrowego*, które gdyby miało być tylko przedstawieniem dwóch zręcznie dokonanych kradzieży, byłoby w najlepszym razie udatną fotografią, szeregiem obrazów żyjących, jakie pokazuje kinematograf, lecz na nazwę komedyi, na nazwę sztuki w ogólności, bynajmniej nie zasługiwałoby. Toteż tytuł i dodatek do niego, o ile rażą dziwacznością, o tyle rozmyślnie wprowadzają czytelnika na drogę fałszywą, ustawiają go w punkcie, z którego rzecz sama w najnieodpowiedniejszym i najniekorzystniejszym wstępuje świetle.

A jednak i te zastrzeżenia poczyniwszy, ma się ostatecznie przekonanie, że *Der Biberpelz* nie jest sztuką dramatyczną w pełnem tego słowa znaczeniu. Jeden z wiedeńskich krytyków, posiadający i znajomość teatru i praktyczne doświadczenie¹⁾, przyznaje to, sam widzi w tym utworze nic jak tylko „kawalek życia, mały wyciąg z wielkiej księgi obrazowej ludzkiego bytu“, a jednak mimoto, uważa go za „arcydzieło“, dowodząc, że „potrzebną jest pewna umysłowa dojrzałość, albo raczej pewne wnikięcie w prawa tego rodzaju sztuki, jeżeli się chce oddać jej zupełną sprawiedli-

¹⁾ A. Müller-Guttenbrunn w felietonie dziennika *Die Reichswehr* z dn. 6. kwietnia 1897 r.

wość". Metoda tego krytyka jest zręczna — kto w Hauptmanna *Futrze bobrowem* nie podziwia „arcydzieła“, ten albo nie jest „umysłowo dojrzałym“ albo też ignorantem, a że nikt nie chce ściągnąć na siebie ani pierwszego ani drugiego zarzutu, więc naturalnie każdy powtarza: *Der Biberpelz* jest arcydziełem w pewnym rodzaju sztuki. Lecz jak w bajce, którą Fulda spożytkował w *Talizmanie* wreszcie występuje ktoś, nie genialny, ale zdrowo myślący, jasno patrzący a śmiało mówiący i śmie twierdzić, że król sukni na sobie nie ma, choć wszyscy nad nią się unoszą, bojąc się hańby nazwy głupich lub nieuczciwych, tak i w tym wypadku może ten i ów, trzeźwo i samodzielnie rzecz sądzący, zdobyć się na odwagę wypowiedzenia swego przekonania, że *Der Biberpelz* „arcydziełem“ nie jest, bo chcąc być sztuką dramatyczną, przyjmując jej pozory i jej zewnętrzne formy, nie ma w sobie jej treści, jej ducha. Bez wszelkiej jednolitej zewnętrznej czy wewnętrznej akcji, ma tylko szereg obrazów, może zadziwiająco wiernych, ma ich cztery, choć tak samo mogłoby ich być i dziesięć i dwadzieścia — całości nie ma, są tylko części istniejące życiem każda dla siebie odrębnem, połączone jedynie tą satyryczną tendencją, o której powyżej była mowa, a i ten związek raczej stworzony jest w głowie widza niż spoczywa w samym dramacie. Gdzie nie ma dramatu, tam nie może być i krytyki dramatu; o sztuce można mówić, można badać jej składowe części, ich wzajemny związek między sobą; gdzie tej całości niema, gdzie części są jedynie przeniesieniem na scenę pewnych fragmentów życia z zachowaniem wszystkich przypadkowości, wszystkich niejasności i niekonsekwentności, wszystkich epizodów, w jakie obfituje bezładne życie codzienne, tam krytyk literacki ostatecznie swe pióro złożyć musi. To też następne kartki z konieczności niemal wyłącznie poświęcone są samemu tylko streszczeniu nie sztuki, bo tej ściśle mówiąc niema, lecz poszczególnych jej aktów.

Objaśnienie dodane do spisu osób powiada, że rzecz odbywa się „gdzieś“ pod Berlinem, w czasie walki o septennat. Dotychczas niemal wszystkie sztuki Hauptmanna rozgrywały się w teraźniejszości bez bliższego oznaczenia epoki. Jedynie przy *Tkaczach* podano datę, lecz ostatni akt tego

„historycznego“ dramatu wybiega, jak wiadomo, znacznie po za rok 1844 i gra chyba „muzykę przyszłości“. W komedyi *Der Biberpelz* bliższe oznaczenie czasu jest zupełnie obojętnem; walki o septennat żadnem nie odzywają się echem, stosunki przedstawione tak dobrze możliwe są w r. 1897, jak i w r. 1887; dowodem tego fakt, że gdy np. w wiedeńskim *Deutsches Volkstheater* w drugim akcie w biurze naczelnika policyi wisi na ścianie portret Wilhelma II, to nie jestto bynajmniej anachronizmem.

Kurtyna podnosi się nad ubogą izbą rodziny Wolffów. Matka puka z zewnątrz, a gdy córka Leontyna otwiera jej drzwi, dziwi się, że ją tu zastaje. Dziewczyna opowiada, że uciekła od Krügerów, u których służy, bo ci mężczyli ją a do tego jeszcze małą płacą jej za usługę. Ot i dziś, wieczorem, przy takim zimnie kazali jej znieść z ulicy po godzinie dziesiątej dwa metry drobno rąbanego drzewa. Ale ona nie zrobi tego, nie wróci do służby, woli już w Berlinie zarabiać na maszynie do szycia. Matka gwałtownie karci ją za wydalenie się z domu, sama tymczasem patroszy sarnę, którą w werku z sobą przyniosła, gdy zaś słyszy kroki męża, każe córce wyjść, aby nie wyzywać jego gniewu. Po tym obrazku następuje drugi. Wchodzi Juliusz Wolff, cieśla okrętowy, wiecznie mrukliwy, żona zaś zaraz pocichu, z wielką ostrożnością pyta się go, czy załatwił sprawę z jakimś Emilem. On półgębkiem odpowiada niewiadomo co, a po chwili oboje rozmawiają o Leontynie. Ojciec oburzony jest na nią, matka jej broni: dziewczyna za dobra do służby, ona w Berlinie w teatrze może zrobić karierę z pomocą swej piękności; ojciec tego nie rozumie, bo on nie ma „wykształcenia“, ale ona je ma i nauczyła go córki, bo to dziś najważniejsza rzecz. Trzeci obrazek: do izby wpada druga córka, czternastoletnia dziewczyna „z wyrazem wczesnego zepsucia na oczach“. Matka ją łaje, że tak późno wraca, ona się zuchwale tłumaczy, że przecież ustawicznie w domu siedzieć nie będzie; była u znajomego szewca, a to nieprawda, żeby on kiedyś tam siedział w kryminale. Obie córki idą spać, matka przedtem bardzo uporezywie wypytuje się Leontyny o to drzewo u Krügerów, potem pyta się męża, ile ma dostać za koźła, on odpowiada, że dwanaście marek, i praczka chwilkę

sama zostaje. To pierwsze sceny aktu, umyślnie streszczone z drobiazgową dokładnością, aby czytelnik komedyi nie znający, pojął jej charakter. Dotychczas rzecz zajmuje, bo sceny szybko po sobie następują, a widz przyzwyczajony jest do bardzo szczegółowego przedstawienia środowiska w nowożytnych dramatach.

Pojawia się nowa osoba: Wulkow, flisak ze Sprewy. Ma się obraz targu o kozła, w którym Wolffowa może służyć za wzór najrzęczniejszych przekupek, wreszcie Wulkow kupuje dziczyznę za 16 marek i zarazem zapowiada, że chętnie kupiłby sobie ciepłe futro bobrowe tak za 60—70 marek, bo gdy nocą żegluje po rzece, zimno ogromnie mu dokuczy czasem — ot, takie futro, jakie pani Krügerowa mężowi na gwiazdkę kupiła. Wulkow odchodzi, żeby zaś widz każdej chwili pamiętał o tem, że ma przed sobą nie jednolitą sztukę, lecz szereg obrazów, ukazuje się we drzwiach nowa osobistość: pan Motes, jakiś literat z pod ciemnej gwiazdy, i jego połowica. Pan Motes, współpracownik organów leśnictwa, ma znakomity węch, czuje w izbie coś jakby zapach zajęczej pieczeni, a podejrzewając już widocznie Wolffową, odgraża się złodziejom zwierzyny, których wszystkich pokolei obiecuje posłać do Moabitu (więzienie w Berlinie). Praczka nie okazuje zaniepokojenia, ale gdy pani Motes wyludza od niej chleb i jaja, choć niechętnie, daje je jej do koszyka. I znowu ramy pozostają tesame, lecz obraz się zmienia. Wraca Juliusz, a żona delikatnie wspomina mu o owem drzewie Krügera, pozostawionem na ulicy bez nadzoru. Juliusz trochę tępy ale uczciwy człowiek, oburza się na myśl kradzieży, wtedy żona łagodzi go flaszka wódki, a potem ośmielona wspomina i o futrze bobrowem i o tem, jak długo jeszcze muszą składać pieniądze, aby nabyć na własność domek, w którym mieszkają. Potem wraca powtórnie do owego drzewa: wszak oni nie skrzywdzą ubogich, Krügerowie są bogaci i łatwo przeboleją taką drobną szkodę. Juliusz wódką znieczulony, sofizmatami żony zachwiany, już się niemal godzi, przynajmniej nie sprzeciwia się głośno. Wolffowa chce porobić przygotowania, wtem ktoś puka do drzwi: to Mitteldorf, służący policyjny przy kieliszku przypomniał sobie dopiero teraz, że na jutro ma prosić Wolffową do naczelnika

do prania. Ona nie chcąc go sobie zrażać przyrzeka, że się na pewno rano stawi, częstuje go grogiem a ponieważ, jak mówi, z mężem wybierają się do Treptowa po tłuste gęsi, więc Mitteldorf przyświeca im latarnią do sanek. Tej ostatniej scenie nie podobna odmówić drastycznej ironii: sługa bezpieczeństwa oświetlający drogę nocnym złodziejom, ten kontrast między obowiązkiem a bezwiednym czynem jest w swoim rodzaju doskonałym.

Jako całość akt pierwszy, złożony z poszczególnych scen solidarnie opartych na wstrętym i niedramatycznym motywie kradzieży, działa na widzów przygnębiająco. Może obserwacya życia jest świetna, może potoczny język naśladowany jest z filologiczną dokładnością, mimoto rzecz sama męczy atmosferą bezduszną, pozbawioną wszelkiej myśli, wszelkiej piękności, która z pojęciem poezyi wogóle jest od wieków zespoloną. Jeżeli tego aktu słucha się jeszcze z zaciekawieniem, to dzieje się to jedynie dzięki sugestyi, jaką teatr wywiera: patrząc się na scenę, ludzi się, że może te obrazy szare i bezduszne, w dalszym ciągu przeciw się ożywią, może przeciw autor da później coś więcej, da sztukę dramatyczną, której zawiazkiem, męczącą ekspozycją byłyby obrazy pierwszego aktu. O ile nadzieja nie jest zwodniczą, okaże dalszy rozbiór *Bobrowego futra*.

Drugi akt zdaje się to oczekiwanie spełniać. Już patrząc na zewnętrzny wygląd sceny, oddycha się swobodniej; nie jakoby biura naczelnika policyi były poetyczniejszemi niż chata flisaka, bynajmniej, bezwzględnie rzecz biorąc jest raczej przeciwnie — lecz w ścianach mieszkania Wolffów tak było duszno od woni kradzionej zwierzyny, kradzonego drzewa, kradzonego futra, że widz nawet sztywną postać pana von Wehrhahn wita z radością. Naczelnik wchodzi do biura i zaraz w pierwszych słowach, w rozmowie z podwładnymi, niechcący wybornie się charakteryzuje. Jakiemuś szynkarzowi odmawia pozwolenia na zabawę z tańcami, bo petent kiedyś oddał salę na zebranie stronnictwa wolnomyślnych, nakazuje śledzić niejakiego Fleischera, bo ten człowiek otrzymuje pocztą demokratyczne (socyjalno-demokratyczne) dzienniki — słowem pan von Wehrhahn zawsze i wszędzie wie- trzy tylko przestępców stanu, burzycieli istniejącego porządku

społeczno-państwowego. W nocy pomiędzy wypadkami pierwszego a drugiego aktu nastąpiła kradzież drzewa. Jeżeli nie zawsze można się zgodzić na usuwanie za kulisy ważnych momentów akcji, to tutaj przeciwnie postępowania autora nikt nie zgani. A dzieje się to z dwóch powodów: na-przód przedstawienie samego faktu kradzieży nie nadaje się do dramatu, powtórę zaś widzi się w tem nową zachętę do przeniesienia punktu ciężkości „komedyi“ z kradzieży na satyryczny obraz urzędowania naczelnika policyi. Mitteldorf donosi mu o kradzieży, potem przychodzi sam Krüger i użala się, mówi o Leontynie Wolff, która wczoraj wieczór wyda-ła się samowolnie ze służby, nie chcąc znieść drzewa z ulicy; pan naczelnik słucha go niecierpliwie, przerywa mu ustawi-ecznie, każe przywołać praczkę, nibyto ją przesłuchuje, lecz myśląc tylko o Fleischerze i innych politycznie podejrzanych, lekceważy sobie sprawę kradzieży, gniewa się na Krügera, że mu zabiera czas takimi drobnostkami, ostatecznie nawet jego samego lży. Krüger wzburzony opuszcza biuro, zaś p. von Wehrhahn mówi z patosem do denuncyanta Motesa, że nie wytrzymałby na takim urzędzie, gdyby nie przeświadczenie, że i tu walczy się przecież w obronie „najświętszego dobra narodu“.

Koniec drugiego aktu mógłby zarazem być ostatnią chwilą tej „złodziejskiej komedyi“. Jeżeli z jego początkiem można się było jeszcze ludzić, że doczeka się przecież sztuki dramatycznej, to teraz podobną nadzieję traci się już zupeł-nie. O sztuce już mowy niema, mogą być tylko obrazy ja-kichś stosunków, jakichś objawów społecznego życia. Pierwszy akt dał obraz rodziny z proletaryatu, w której głową jest niezmiernie zręczna, energiczna, bezczelna kobieta, uprawia-jąca kradzież jako rzemiosło, obok niej zaś stoi mąż nie bez uczciwości ale słaby, powolny, tępy, we wszystkim ulega-jący żonie, a w drugim pokoleniu jedno dziewczę czterna-stoletnie lecz przesiąknięte zepsuciem, drugie starsze marzące o spieniężeniu swej piękności na targowicy berlińskiej. Akt drugi dał obraz urzędnika policyi, który nie dba o codzienne sprawy bezpieczeństwa mieszkańców, polując na socyalnych demokratów. Co mogą dać dalsze akty? Czy wprowadzą widza w inne środowisko, lub w dawnym odsłonią jakąś

stronę dotychczas zakrytą? Nie. Akt trzeci powtórzy akt pierwszy, czwarty — drugi, obrazy pozostaną te same, przybędą szczegóły, ale nie nowe, nie inne, lecz takie same. Rzecz urywa się z końcem aktu czwartego, zupełnie dowolnie, bez innego powodu, jak chyba tylko wzgląd na widzów, którzy chcieliby już iść do domu; czemuż więc rzecz nie urywa się na akcie drugim, kiedy dwa następne absolutnie nie nowego nie mówią? Może przez wzgląd na — autora, który „złodziejską komedią“ pragnie zapełnić cały wieczór? Dwa pierwsze akty mogą istnieć bez następnych dwóch tak, jak te ostatnie znowu mogłyby istnieć bez poprzednich; w pierwszych jak i w drugich jest tasama treść, tylko oczywiście w inną przyobleczona szatę, są to warianty jednego i tego samego tekstu. Drugie dwa akty — trzeci i czwarty — w porównaniu z pierwszymi są lepiej ułożone, mają więcej życia, nie są tak zimne, a jednak jeżeli same potrafiłyby może obudzić zajęcie u widza, to następując po pierwszym i po drugim, wrażenia wywołać nie mogą, bo przynoszą tęsamą treść w odmiennej formie.

W chacie Wolffów widzi się znane już postacie: praczka liczy 59 talarów a domyślać się wolno, że to pieniądze, które jej wypłacił Wulkow za futro bobrowe; a więc jak między aktem pierwszym a drugim dokonała się jedna kradzież (drzewo), tak między drugim a trzecim nastąpiła inna, kradzież futra; w obu razach poszkodowanym jest Krüger. Aż żał się robi tego biedaka — wszak czeka nas jeszcze jedna przerwa między aktami, może i z tej ostatniej skorzysta zręczna praczka i ukradnie mu co?

I znowu jak w pierwszym akcie praczka uśmierza moralne skrupuły męża wódką, znowu jak w pierwszym akcie udaje — przed Fleischerem — że o kradzieży nie wie, działa itd. Są jednak i pewne różnice: jest Fleischer, którego tam nie było, co więcej, jest i jego mały synek, jego gagatek, niema za to ani Motesa ani Mitteldorfa. Krüger przychodzi, w swem nowem nieszczęściu godzi się z Wolffową, na którą się gniewał od czasu ucieczki Leontyny, skarży się przed nią na Wehrhahna i odgraża się złodziejom wywijając zamasyście polanem drzewa, które leży w kącie chaty, a pochodzi... właśnie z kradzieży u Krügerów. A więc

nawet i koniec trzeciego aktu przypomina ostatnią chwilę pierwszego: tam stróż bezpieczeństwa bezwiednie złodziejom drogę latarką przyświecał, tu okradziony, w domu złodzieja, nieświadomy rzeczy, odgraża się na złodziei wywijając kawałkiem swego własnego drzewa; w obu razach ta sama ironia.

Akt czwarty sam w sobie wzięty, postawiony osobno, wyrwany ze związku, jest najudatniejszym, najbardziej żywym i najjaśniej pokazuje satyryczną myśl „komedyi“. Niemniej po akcie drugim nie jest już zdolny wywołać wrażenia, bo chociaż jego motywa występują z niespotykaną dotychczas w tej sztuce żywością i ironią, to przecież nie są one nowe, lecz tylko odnowione, nie świeże lecz odświeżone, powtórzone. W biurze naczelnika siedzi Wolffowa z córką Adelajdą; przyszły tu, by władzy złożyć tłumoczek znaleziony na drodze od dworca kolei: to nowy dowód zręczności praczki, która chce sprowadzić pogoń za złodziejem na zwoźniczy ślad, przez nią oczywiście zmyślony. Wchodzi Wulkow, aby wpisać do ksiąg swe nowonarodzone dziecko. Wolffowa mięsza się ogromnie widząc flisaka, i obrzuca go wyrzutami, czemu wdział zaraz futro bobrowe tak, że go p. Fleischer widział w niem i powziął niejakię podejrzanie. Za chwilę zaczyna się bardzo charakterystyczna scena. Krüger i tak już znieawidzony przez naczelnika oznajmia o nowej kradzieży, żąda wysledzenia złodzieja futra bobrowego, a za podstawę może posłużyć doniesienie Fleischera, że widział je w posiadaniu nieznanego flisaka. Wehrhahn mając głowę czem innem zaprzątniętą niecierpliwi się, bez przyczyny traktuje Krügera z góry, bagatelizuje jego sprawę. To wszystko było już w akcie drugim, gdzie tylko zamiast futra chodziło o drzewo. Istotnej różnicy między obiema scenami niema, jest tylko stopniowanie w wyrazistości i żywości. Pan naczelnik bynajmniej nie zatrzymuje się przy poszlace podanej przez Fleischera, człowieka w politycznej policyi źle notowanego. Cóż z tego, że widział u jakiegoś flisaka — futro bobrowe? to rzecz zwykła u tych ludzi, tak mówi na zapytanie Wehrhahna Wulkow, tak powszednia, że on sam posiada takie futro. „No, widzi Pan — mówi naczelnik z przepyszną głupotą — ten człowiek ma też futro, a prze-

cież ani nam się nie śni podejrywać go o kradzież, toby było nonsensem“. Za to skwapliwie korzysta Wehrhahn ze zmyślonego opowiadania Wolffowej: w okolicy dworca kolejowego znaleziono tobolek z rozmaitemi narzędziami — naturalnie upuścił go złodziej uciekając do Berlina, gdzie już pewnie futro sprzedał. Tak, odpowiada Krüger, ale ten flisak, o którym mówi Fleischer? Wehrhahn nie daje się zbić z tropu: przecież nie może wszystkich aresztować, przetrząsać każde mieszkanie — wogóle niech pan Krüger będzie cierpliwy, zaufa mu, a on zrobi wszystko, co jest jego obowiązkiem. Krüger odchodzi z niezadowoleniem, a pan naczelnik wobec niego taki dumny i nieprzystępny, teraz poufale rozmawia z praczką o Fleischerze, który jest bardzo podejrzany. „Jak prawdą jest co teraz mówię: Wolffowa jest poczciwa z kośćciami kobieta — taksamo pewnem jest i to, że dr. Fleischer to ptaszek bardzo niebezpieczny“. Pani Wolffowa (z rezygnacją ruszając głową): *Da wees ich nu nich...*“ i dramat się kończy, a raczej autor urywa go w tej chwili.

Wiedeński krytyk, powyżej wspomniany, każe nam uznać *Futro bobrowe* za „arcydzieło“, kto tego nie zrobi, temu p. Müller-Guttenbrunn uroczycie i bez możności apelacyi odmawia „umysłowej dojrzałości“. Miłość własna mówi: *Der Biberpelz* jest arcydziełem; sumienie i przekonanie sprzeciwia się temu gwałtownie i woli narazić się na zarzut „umysłowej niedojrzałości“, niż kłamać. Wiedeński krytyk uważa „złodziejską komedię“ Hauptmanna za biesiadę dla literackich smakoszków. Przedewszystkiem: teatr nie jest, nie może być przeznaczonym dla przerafinowanych *gourmands*; jeżeli jaka gałąź literatury, to właśnie dramatyczna przemawia do publiczności, obejmującej szerokie kręgi wszelakich pozycyji socyalnych, rozmaitego wykształcenia; prawdziwe arcydzieła trafiają zarówno do serc bijących w piersi okrytej frakiem, jak i bluzą robotniczą. Tak powinno być zwłaszcza w czasach, kiedy masy garną się do korzystania z cywilizacyi, tak powinno być nadewszystko u pisarza, który niedawno te masy prowadził do pogromu innych warstw. Że taka publiczność, jedyna publiczność, do której teatr przemawia i przemawiać powinien, publiczność obejmująca ogół myślącego społeczeństwa, *Futra bobrowego* za „arcydzieło“ nie

uzna, to pewna. Ale nie uzna go także bezstronny osobnik, posiadający w pełni „umysłową dojrzałość“. Darmo, teatr jest teatrem, na nim grywają się, na nim są uprawnione jedynie „sztuki dramatyczne“, wszystko inne, bądź niedorastające tej miary, bądź przerastające ją, wszystko co ma za istotną cechę właściwość sprzeczną z charakterem „sztuki dramatycznej“, przestaje nią być, gwałci formę, wlewając w nią obcą treść, jest ciekawym może objawem dwoistości, literackim hermafrodytą, lecz nie jest arcydziełem, bo jest plodem poronionym. Hauptmann, autor *Samotnych ludzi*, cytował słowa Lessinga, jak za parawan krył się za nie, jak puklerza używał wyrzeczenia genialnego krytyka, że akcją dramatyczną jest „następstwo zmian, które razem tworzą całość“. Hauptmann, autor *Futra bobrowego*, zasadę tę gwałci, obala, nie daje „następstwa zmian“, nie daje „całości“, nie daje „akcyi“ — zamiast tego daje kilka wykrawków z życia, odfotografowanych wiernie, poruszanych czasem zręcznie, jak w dobrze funkcyjującym kinematografie. W żadnym dotychczas dziele nie jest tak wyłącznie kopistą natury, tak mało artystą, jak w tem właśnie. Przenosi z natury jeden rys za drugim, znakomicie naśladuje trywialność dyalogu, słowem prawdopodobieństwo jest zupełne — lecz ducha niema, niema sztuki, niema prawdy.

Możnaby na tem skończyć rozbiór tej „złodziejskiej komedyi“, gdyby *Futra bobrowe* było wśród współczesnej literatury objawem odosobnionym. Lecz tak nie jest. *Der Biberpelz* reprezentuje całą kategorię, cały rodzaj i dlatego należy się jeszcze dłużej przy nim zatrzymać, sięgnąć nieco głębiej, uogólnić sąd. Że dramat musi czerpać z życia, być jego obrazem, o tem wiedziała już i dawniejsza teoria, o tem pamiętała i praktyka. Jednak dopiero nasza doba poczęła wydawać dramaty, które nie są, ani być nie chcą niczem innym, niczem więcej, jak tylko „wykrawkami z życia“, jego fotografią. Usunięte i za niepotrzebne uznane pojęcie akcyi, związku szczegółów w organiczną, stopniowo się rozwijającą całość — miasto tego wprowadzone sceny i figury „schwyte na gorącym uczynku“, żywcem przeniesione na papier z zachowaniem wszystkich najdrobniejszych, najobojętniejszych, najbardziej przypadkowych cech. Talent poetycki, to — jak

się dziś głosi — jedynie zdolność obserwacyi; im większą jest ona, im bystrzejszą, tem większe wyda arcydzieło, bez pomocy innych władz umysłu; im dokładniejszą, im bardziej jest drobiazgową, tem większy wzbudzi podziw. Czy taki dramat ma prawo istnieć i zwać się dramatem? Niewątpliwie przyniósł, wiele dobrego, bo pisarzów nauczył patrzeć na życie powszednie, którem przedtem pogardzali, nauczył sięgać po motywa tam, gdzie ich przedtem nie szukali, przyzwyczaił ich do ścisłego obserwowania. Ale na tem też kończy się jego zasługa. Dar obserwacyi, wprawa w patrzeniu na świat i reprodukowaniu wiernem jego objawów, są konieczną podstawą, ale same z siebie jeszcze dramatu nie stwarzają; do tego potrzeba jeszcze współdziałania trzech innych czynników: uczucia, wyobraźni i zdolności technicznej. *Futro bobrowe* dramatem nie jest, jest tylko sumiennem, o wielkiej bystrości oka świadczącym studyum do dramatu. Artystą nie jest ten, kto przenosi wiernie na scenę sytuację i osoby codziennego życia, układa je obok siebie, nie wiążąc ich w całość, nie wlewając w nich ducha; poetą jest dopiero ten, kto zebrawszy bogaty materyał z obserwacyi (lub też brak jego wynagradzając genialną intuicyą) wprawia potem te postacie w ruch, łączy je i ożywia. Przepyszny jest taki p. von Wehrhahn, któremu autor przez dwa akty przypatruje się przez mikroskop, odsłaniając każdą kosteczkę jego szkieletu, lecz dramatyczną osobą stałby się dopiero wtedy, gdyby Hauptmann wyszedłszy po za stadyum obserwowania, korzystając z nagromadzonego materyału, był włął w niego życie i w jednej chwili pokazał go był takim, jakim go widział w ciągu żmudnej obserwacyi. *Futro bobrowe* „arcydziełem“ nie jest, nie jest komedią, nawet nie „zło-dziejską“, nie jest i sztuką dramatyczną, jest tylko studyum, ćwiczeniem dla wprawy w przenoszeniu na papier owoców bystrzej obserwacyi życia, jest nagromadzeniem materyałów do budowy dramatu.

VII.

Hanusia.

(*Hannele. Traumdichtung in zwei Teilen. Illustriert von Julius Exter. München. Berlin. S. Fischer, Verlag, 1894*).

Pierwsze uczucie, z jakim opuszcza się teatr po przedstawieniu *Hanusi* lub odkłada się jej książkowe wydanie, przeczytawszy je do końca, to ogromne zdziwienie. Czyżby istotnie ta *Traumdichtung* zrodziła się w wyobraźni Hauptmanna? czyż jestto możliwem, by autor sztuk *Vor Sonnenaufgang* i *Das Friedensfest*, autor *Samotnych ludzi* i *Tkaczów* i *Kolegi Cramptona*, napisał *Hanusię*? a przedewszystkiem jak sobie wytłómaczyć ten dziwny fakt, że ten „dramatyczny sen“ następuje właśnie bezpośrednio po *Futrze bobrowem*, tej „złodziejskiej komedyi?“ Czyż można sobie wyobrazić większą sprzeczność niż ta, która rozdziela dwa ostatnie utwory poety, w przestrzeni czasu tak blisko siebie będące? Tam bezduszna, martwa a drobiazgowo dokładna i fotograficznie wierna obserwacya życia codziennego, szarego i niskiego — tu świat w rzeczywistości nie istniejący, senne widziadła, fantasmagorye gorączki; tam praczka i kradzione drzewo i kradzione futro — tu chóry aniołów, szklana trumna, cudowny kwiat, czarowne szaty; tam potoczna mowa, najprozaiczniejsza proza — tu niebiańska muzyka i słowa technące rajsłkiemi zapachami, lśniące tysiącem barw.

Jak tę sprzeczność wyjaśnić?

Ukorzyć się przed geniuszem poety, który chodzi tajemniczemi drogami, dla nas zwykłych ludzi ani dostępnymi, ani nawet wiadomymi? Niewątpliwie sam fakt, że ktoś napisawszy przedtem i *Przed wschodem słońca* i *Tkaczów* i *Futro*, stworzył niedługo potem *Hanusię*, sam ten fakt dowodzi rzeczywistego w tym człowieku talentu poetyckiego; kto dotąd jeszcze w Hauptmannie poety nie widział, ten musi go teraz zobaczyć, chyba że jest ślepy lub też oczy ma zasypane piaskiem uprzedzenia. Lecz taka odpowiedź sprze-

czności owej jeszcze nie usuwa, nawet nie usiłuje jej wyjaśnić. A więc, gdzie rozwiązanie tej zagadki?

Hauptmann jest pisarzem na wskrós współczesnym, jest dzieckiem swego wieku. A ten wiek patrzył na upadek wielkiej poezji i bankructwo metafizyki, widział olbrzymi wzrost nauk przyrodniczych i ogromny rozwój techniki, stracił wiarę i szydził z wysokich pragnień ducha, a bił czołem przed materyalną potęgą, zbroił się niemal w nieskończoność, a żył kwestyą socyalną, kwestyą chleba... Dzieci takiego wieku muszą być chłodne aż do szpiku kości, trzeźwe, ziemi się tylko trzymające, po niej pelzające. Obrazem tego pokolenia a zarazem jego wytworem jest realistyczna literatura dzisiejszej doby, powieść i dramat, badający starannie codzienne szare życie, przenoszący żmudnie każdy najdrobniejszy rys z rzeczywistości na papier, w tumsamym porządku jak tam — sztuka staje się fotografią życia. To pewna gałąź współczesnej literatury, która się za najbardziej *moderne* uważa. Jej okazem jest Hauptmanna *Der Biberpelz*, w silniejszym jeszcze stopniu, niż poprzednie jego dramaty.

A jednak... A jednak ducha zabić nie można, choć można go przytłumić, a jednak i najtrzeźwiejszy z trzeźwych uczuje potrzebę „wzlecenia nad martwym światem“ a pragnienie to będzie tem silniejszym, im bardziej martwym jest ten świat. Jedni chronią się wtedy pod skrzydła wiary, inni szukają orzeźwienia na elizejskich polach sztuki i nauki, jeszcze inni, odrywając się od ziemi, uciekają w „rajską dziedzinę uludy“. I jak po wieku oświecenia nastąpiła *Sturm- und Drangperiode* a potem powtórny renesans i po nim katolicyzujący romantyzm, który wnet „rozczochrany“ się pokazał, tak i za dni naszych budzi się katolicyzm, błąka się po świecie mglisty symbolizm, krąży wszędzie naiwna bajka o czarownicy i o domku z piernika. Hauptmanna *Hannele* jest śladem tego pragnienia otrząśnięcia z siebie szarego pyłu ziemi, wzlecenia w wyższe sfery, bujania w nich na skrzydłach wyobraźni, nie krępowanej pętami codziennego życia.

Wytłómaczywszy powstanie *Hanusi* z ogólnego charakteru epoki, jej tęsknot i porywów, należy ją teraz wyjaśnić jako jedno z dzieł Hauptmanna właśnie, który tu po raz pierwszy dał plód twórczej fantazyi, a nie jedynie dzieło

talentu reprodukującego. Jak się *Hannele* ma do poprzednich dramatów od *Vor Sonnenaufgang* aż do *Biberpelz*? czy z jednej strony pierwiastki *Hanusi* nie znajdują się wcale w tamtych dziełach, z drugiej zaś strony czy charakterystyczne cechy tych ostatnich nie grają już żadnej w niej roli? Na te pytania łatwo odpowiedzieć na podstawie znajomości dotychczasowego „dzieła“ niemieckiego poety. *Hanusia*, chociaż jest pierwszym utworem Hauptmanna, w którym fantazyja z niczego stwarza światy, mimoto jednak łączy się organicznie z poprzednimi. Prawda, tam była chłodna obserwacyja życia, naśladowanie rzeczywistości, nieraz bardzo poziomej i pospolitej, a jednak i w *Vor Sonnenaufgang*, i w *Święcie pojednania*, i w *Samotnych ludziach*, i w *Tkaczach* nawet miało się to uczucie, jak gdyby Hauptmann przecież czasem rwał się do jakiegoś innego świata, piękniejszego, poetyczniejszego: to niedający się pochwycić nastrój cudnego jesiennego poranku, to uroczysty i naiwnie rzewny śpiew kolędowy, to nieokreślone pragnienia braterstwa dusz, to poważna postać starego tkacza Hilse. Są więc dowody na to, że *Hanusia* jeżeli powstała w r. 1893 (wydana w następnym), to przecież niektóre jej pierwiastki, jej ogólny idealny charakter, istniał już dawniej w umyśle poety, oczywiście jeszcze słaby, siebie nieświadomy, przygnieciony innymi. Przy dwóch pierwszych dramatach Hauptmanna zaznaczyliśmy rozdział w duszy poety na dwa sprzeczne kierunki, które dopiero w sobie złączone harmonijnie dają arecydzieło; w *Hanusi* istnieją oba, ale w stosunku odwrotnym: idealizm, przechodząc w mistycyzm, góruje stanowczo nad realizmem, lecz i ten tam jest, jak to bardziej szczegółowy rozbiór sztuki okaże. A teraz załatwiwszy się z pierwszym pytaniem, doszedłszy do wniosku, że niektóre pierwiastki *Hanusi* już się blado zaznaczają w dawniejszych dziełach Hauptmanna, należy odpowiedzieć na drugie pytanie: czy naodwrot charakterystyczne składniki tamtych poprzednich odnajdują się w najnowszej sztuce? I tu odpowiedź musi wypaść stanowczo twierdząco. Przeglądając wszystkie utwory Hauptmanna do tej chwili wydane, widzi się w nich dwie główne zasadnicze, wspólne cechy: realizm treści i formy, oraz silne podkreślenie społecznych zagadnień (z wyjątkiem poczęści *Sa-*

motnych ludzi i Kolegi Cramptona). Czy realizm odnajdzie się w *Hanusiu* mimo jej charakteru *einer Traumdichtung*, o tem nie teraz pora mówić; natomiast już obecnie wypada zaznaczyć, że kwestya socyalna i tu ma swoje miejsce i swoje stanowisko: Hanusia niedarmo jest dzieckiem murarza, nie na darmo przed oczyma widza przesuwają się obrazy nędzy proletaryatu. Zresztą i co do tego punktu czytelnik musi zaczekać cierpliwie do szczegółowego rozbioru utworu.

Odslonięte są więc nici, wiążące *Hanusię* z innymi dziełami Hauptmanna. A jednak i tak jeszcze jeden szczegół pozostanie niewyjaśnionym. Jak się to stało, że najpoetyczniejsze dzieło powstało właśnie po najprozaiczniejszym, jakimi drogami zdązał umysł poety od *Futra bobrowego* aż do *Hanusii*? Tu, wyznać musimy, stoimy przed tajemnicą niezbadaną, zapewne nawet nigdy nie dającą się zbadać. „Psychologia pisarzy“ jest jedną z najmłodszych nauk i ledwie w kolebce dopiero spoczywa; lecz czy zdolną ona kiedy będzie rozświetlić wszystkie ciemności?

Objaśnienie dodane przez poetę do tytułu uprzedza, że *Hanusia* jest *Traumdichtung*, czyli jakbyśmy po polsku się wyrazili, dramatycznym snem, albo raczej udramatyzowanym snem. Czy przedstawienie snu na scenie, jego widziadeł nie jest przekroczeniem granic i literatury dramatycznej i teatru? Że podstawą teatru, jego literatury jest życie ludzkie rzeczywiste, teraźniejsze lub przeszłe, to jest rzeczą pewną. Tak jest w literaturze pięknej w ogólności, tak musi być tembardziej w teatrze, który rozporządzając niemal wszystkimi sztukami pięknymi, od architektury aż do muzyki, w wyższym jeszcze stopniu przemawia do zmysłów człowieka, a więc przedewszystkiem żyje światem zmysłowym, rzeczywistym. Mimoto i praktyka (Szekspir, Calderon itd.) i teoria dowodzi, że poecie dramatycznemu wolno przekraczać granice rzeczywistego życia, wolno sięgać czy to po myty i bajki, istniejące jedynie dzięki twórczej sile ludzkiej wyobraźni, czy też po ten urojony a przecież z rzeczywistym życiem tajemnymi przewodami połączony świat, jaki powołuje do chwilowego życia sen lub gorączka. Lecz jak wszędzie, tak i tu swoboda musi być ograniczoną pewnymi zakazami, aby się nie wyrodziła w swawolę. Wolno jest poecie

uzmysłowieć na scenie fantastyczny, urojony świat bajek czy snów, lecz dwa są prawidła, ograniczające go w tem prawie. Po pierwsze ten urojony świat musi być zawsze jako taki przedstawiony; jeżeli się łączy z rzeczywistym, powinna być dobitnie i wyraźnie nakreśloną pomiędzy niemi granica, aby się wiedziało, co jest rzeczywistością a co tylko urojeniem. Powtóre zaś i w tym świecie urojonym, choć on żyje tylko z bezwiednej lub świadomej pracy rozkiełznanej wyobraźni, musi panować logika, porządek i ład, inny, odmienny od tego, który rządzi światem rzeczywistym, lecz niemniej stały, niemniej niewzruszony. Gdy te dwa warunki poeta zachowa, gdy w ten urojony świat wleje odpowiedniego ducha i w stosowną przyodzieje go szatę, wtedy jego *Traumdichtung* będzie odmienną od dramatów z życia wziętych, lecz nie niższą, nie gorszą ¹⁾.

Tkaczów dedykował Hauptmann ojcę, *Hanusia* jest poświęconą „mojej żonie, Maryi, z domu Thienemann“, jak zaś tam poeta przy tej sposobności zwrócił się do ojca z kilkoma serdecznemi słowami, tak i tu jest w dedykacji krótki lecz nader charakterystyczny ustęp. „Dzieci zrywają czerwoną konieczybę, ostrożnie wrywają małe korony kwiatów i wysysają nikłą słodycz z białych delikatnych słupków. Jeżeli ty tylko tyle słodyczy z mego utworu wyciągniesz, nie będę potrzebował wstydzic się mego daru“. Słowa świadczą pięknie o miłości dla żony, ponadto zaś są doskonałą przygrywką do poematu, w którym symbolika kwiatów i całej przyrody tak ważne zajmuje miejsce. Przeczytawszy spis osób — jeden dla całego dramatu — postępuje się znacznie naprzód w przeczuciu treści poematu. Osoby podzielone są na dwie kategorie: obok rzeczywistych, z ciała i krwi, są i postacie ukazujące się Hanusi w gorączce. Już tu więc uwidoczniiony jest rozdział na dwa odrębne światy, z których jeden żyje życiem rzeczywistem, drugi zawdzięcza swój

¹⁾ Zanim przejdziemy do szczegółowego rozbioru utworu należy nadmienić, że *Hanusia* grywana jest na polskich scenach najczęściej ze wszystkich dzieł Hauptmanna, dzięki pięknemu tłumaczeniu pani M. Konopnickiej. Z powyższego przekładu, jako drukiem nieogłoszonego, korzystać nie mogliśmy.

był jedynie tylko chorobliwym hallucynacyom; w dalszym ciągu rozdział ten częścią się utrzyma jasno i dobitnie, częścią oba światy zleją, mieszają się z sobą tak, że trudno będzie odnaleźć granicę pomiędzy niemi — tam pomocnym się okaże niniejszy spis, który wyraźnie rozróżnia dwie odrębne kategorie.

Część pierwsza rozgrywa się w izbie „w domu ubogich w pewnej wsi podgórskiej. Urządzenie pokoju mniej niż skromne, wprost nędzne, ściany nagie, okno naksztalt małego otworu, chwiejący się stół, tapczan z siennikiem, piec a obok niego ławka, tu i owdzie porzucone łachmany: oto *milieu*, któremu w zupełności odpowiada grudniowa zawierucha nocna, srożąca się na polu“. Przy stole, przy świetle niepokaznej łojówki siedzi Piwonia (Tulpe), stara żebraczka i mruczy psalmy z książki, którą przed sobą trzyma. Za chwilę wchodzi Jadwiga, Hetą zwaną, z wyglądu jakaś uliczna ladcznica. Ziębła na dworze, więc uderza ręką o rękę a potem bierze się do zmarzniętych nóg. Piwonia korzysta z jej nieuwagi, zabiera tłóмок, który Heta z sobą przyniosła, rozwiązuje chustkę i już poczyna wyjmować z niej zawartość, wtem Jadwiga spostrzegłszy to, rzuca się na nią „jak sęp“ (str. 4), wrywa jej tłóмок i nie bacząc na to, że zdjęła już z jednej nogi trzewik, ucieka gwałtownie w kąt izby, lżąc Piwonię. W kłótni obie obrzucają się rozmaitemi złorzeczeniami i oskarżeniami, a Heta grozi nawet Piwonii, że doniesie żandarmowi o jej kradzieży. Dwie nowe osoby wchodzi, również żebracy, uciekający przed zawierją pod dach. To stary, nawpół dziecinniały Pleschke i Hanke, „młody niepoń i rozpustnik“. Pleschke kulejąc podchodzi do Piwonii, piskliwym głosem skarży się na zawieruchę i pokazuje co przyniósł z żebraniny, na to Hanke wyśmiewa go, że babie wszystko oddaje. Obaj poczynają się kłócić, nawet bić, a tymczasem zwinna Heta wyjmuje coś Hankemu z worka. Wszyscy się śmieją z niego, on spostrzega to, goni Jadwigę, słowem robi się ogólne zamieszanie, które kończy się dopiero wejściem nauczyciela Gottwalda niosącego na rękach Hanusię. Ten pierwszy ustęp zbliża się ogólnym charakterem do obrazów z *Tkaczów*: tu i tam pokazane jest ruchliwe, krzykliwe, nędzne środowisko, a przedstawione z bezwzględnością zu-

pełnego realisty. Różnica jest tylko ta, że w *Tkaczach* tłum robotników był właściwym „bohaterem“ dramatu, tu zaś gromada żebraków jest jedynie tłem, potrzebnem do uwydatnienia snu Hanusi. Mimoto związek pomiędzy żebrakami a biedną dziewczyną i jej przejściami w sztuce jest dość ścisły: w jej majaczeniach ukażą się i oni, przez cały zaś ciąg snu istnieć będzie silny kontrast pomiędzy jego treścią a temi nędznymi ścianami, kontrast niewątpliwie umyślnie przez poetę sprowadzony i szczęśliwie wykonany.

Nauczyciel Gottwald, trzydziestodwuletni mężczyzna, wnosi ostrożnie do izby zmokniętą Hanusię, czternastoletnią dziewczynkę. Jeszcze się nie wie, czy Hanusia sama wpadła do wody przypadkiem, czy też umyślnie, czy może ją kto usiłował utopić, nie zna się dokładnie ani samego nieszczęścia ani jego przyczyn, lecz już idąc za popędem serca współczuje się i ma litość dla biednej dziewczyny, w burzliwą noc grudniową z wody wyciągniętej. Razem z Gottwaldem wchodzi Seidel, drwal i oni obaj zajmują się ułożeniem dziewczyny na tapczanie i udzieleniem jej pierwszej doraźnej pomocy. Hanusia drży od zimna, rzuca się niespokojnie, bo się trwoży boi się ojca. Gottwald ją uspokaja, ogrzewa ją ciepłemi cegłami, wtem wśród żebraków wybucha nowa kłótnia i bójka. Heta wydobyła z worka Hankego żelazko i zarzuca mu kradzież, on nie pozostaje jej dłużnym, aż Gottwald musi ich prosić o odrobinę względu na chorą. Scena jest niezmiernie przykrą, prawie nie do zniesienia. Tam chore, wystraszone dziecko, tu grube, cyniczne wyzywanie się wzajemne żebraków — ten kontrast zbyt nielitościwie szarpie nerwy a staje się nieznośniejszym jeszcze dlatego, że trwa dość długo. Gdy bowiem Gottwald chcąc rozgrzać Hanusię prosi o kawałek cukru dla zlągodzenia wódki, którą jej ma podać, wrzawa rozpoczyna się nanowo, aż wejście wójta kładzie jej koniec.

Następna scena wyjaśnia nieco osłoniętą dotychczas tajemniczą sprawę. Z bałamutnego opowiadania drwala dowiadujemy się, że Hanusia sama z rozpaczycy wskoczyła do stawu pod kuźnię i dopiero przypadkiem pracujący w pobliżu Seidel wyciągnął ją z wody, nauczyciel zaś zabrał naprzód do swego domu, gdzie jego żona dała dziewczynie trochę suchej bielizny. A i o powodach usiłowanego samobój-

stwa, tak niezwykłego wobec dziecinnego jeszcze wieku Hanusi, słuchacz nieco się dowiaduje. Dziewczyna jest pasierbicą majstra murarskiego, Matterna; matka umarła sześć niedziel temu, a ojczym obchodził się z nią okrutnie. Hanusia jest więc córką zmarłej żony Matterna, ale kto jest jej ojcem? Mattern nie, bo on jest tylko jej ojczymem; więc może inny, pierwszy, dziś już zmarły mąż jego żony? i to nie. Ze słów Seidla można wnosić, że on sam jest jej ojcem (*Die — matka Hanusi — hat Ihn gekratzt und um sich geschlagen, blos weil se dachte, ich wär der Vater*), jednak równocześnie zachowanie się wójta Bergera, który stoi *einen Moment lang betreten*, naprowadza na różne domysły, które stają się niemal pewnością, gdy po jego odejściu, Seidel znacząco mówi o wójcie, że nikt inny tylko on „dopomógł dziecku na świat“ (str. 21), o czem prawda, że Gottwald powątpiewa. *La recherche de la paternité*, wywołana umyślnie przez autora w tym wypadku, do pozytywnego rezultatu nie doprowadza, a wogóle samo podniesienie tego pytania uważać należy za chybione, oczywiście tembardziej, że kwestya jasną się mimo to nie staje. Zapewne ma się tu do czynienia z niemilą nawyczką współczesnych „konsekwentnych realistów“, którzy, jak pewne towarzystwa płytkiej młodzieży w rozmowie lubują się w poruszaniu brudów życiowych, szczególnie upodobali sobie sprawę nieprawego pochodzenia dzieci. Może jednak obok tego pobudką była autorowi inna, głębsza myśl? Zazwyczaj w opowiadaniach o prześladowanych i katowanych sierotach występuje okrutna macocha, nienawidząca dzieci swego męża, z jego pierwszego małżeństwa. U Hauptmanna katem jest ojczym, ofiarą jego pasierbica, autor chciał więc może umotywować nienawiść Matterna do Hanusi: jest mu ona wstrętną, bo mu przypomina grzech jego żony. Jeżeli powyższe rozumowanie trafnie odgaduje myśli Hauptmanna, to mimoto i teraz owej sprawy nieprawego pochodzenia Hanusi trudno nie uznać za szkodliwą dla dramatu, a przynajmniej za zupełnie zbędną. I bez niej bowiem postępowanie Matterna tłumaczyłoby się dostatecznie jego zwierzęcą naturą, którą w dalszym ciągu autor bardzo jaskrawo przedstawia, a zresztą wszak wystarczyło zrobić z Hanusi wogóle pasierbicę Matterna bez owej plamy po-

chodzenia. Drobnostka, ale zupełnie niepotrzebna, a bardzo niemiła.

Ale należy jeszcze wrócić do omawianej sceny. Hanusia strwożona zrazu na pytanie wójta wcale nie odpowiada, jedynie tylko łagodnemu Gottwaldowi udaje się wydobyć z niej kilka słów; widocznie dziewczyna ma do niego zaufanie. Gdy Berger odstępuje na bok, Hanusia staje się rozmowniejszą, aż „nieśmiało i tajemniczo“ oznajmia nauczycielowi, że Pan Jezus wołał na nią w wodzie. Wójt odchodzi, aby posłać po lekarza, Gottwald zaś równocześnie objaśnia, że już prosił Sióstr Miłosierdzia do pilnowania chorej. Doktor Wachler przybywa, oburzony na żebraków, którzy w sąsiedniej izbie z brutalną bezwzględnością grają na katarynce. Podczas gdy lekarz ogląda Hanusię, widzi na jej ciele ślady plag zadanych twardym rzemieniem, sierota poczyna już majaczyć. Zdaje jej się, że ojczym cuchnąc od wódki katuje ją, to znowu obraz się zmienia: dziewczyna widzi oczyma duszy krawca tak lekkiego, że gdy w kieszeni nie ma żelazka do prasowania, to wieher nim na wszystkie strony miecie. Przeskok z jednej hallucynacyi w drugą jest psychologicznie zupełnie prawdopodobny, zwłaszcza u dziecka zachowującego zawsze swobodę i naiwność umysłu. W teatrze daje to aktorce, grającej rolę Hanusi, pożądaną sposobność do popisania się swą sztuką, po za tem zaś w dramacie ten ustęp jest bardzo ważny, bo te widzenia powtórzą się później w śnie, tylko tam nabiorą plastyki.

Siostra Marta przywołana do chorej zaraz oddaje się swemu powołaniu, lecz nawet jej z początku nie udaje się uspokoić Hanusi i pozyskać jej zaufania, którem dziewczyna dotychczas jedynie nauczyciela darzy. Gdy doktor ją pyta gdzie czuje boleści, sierota odpowiada tylko tyle, że „chciałaby do matki“. Wiedząc, że potrzeba lekarstw, Wachler odchodzi a Gottwald odprowadza go do drzwi. Hanusia dopiero teraz baczniej przypatruje się Siostrze, widzi w niej posłańca Pana Jezusa, za którym tak tęskni; nie chce być zdrową, chciałaby pójść do nieba. Dyakonissa uspokaja ją, perswaduje jej, że człowiek musi czekać, aż Bogu spodoba się odwołać go z tej ziemi, lecz Hanusia jakoś na to nie zważa, tak jej spieszo do nieba. Jedna tylko myśl ją trwoży:

jeżeli są grzechy, które nigdy odpuszczone nie będą, jeżeli ona taki grzech popełniła... Daremnie Siostra stara się zniweczyć jej obawy — Hanusia wciąż się tem trapi. Cały ten ustęp, rozpatrywany jedynie z artystycznego punktu widzenia, przynosi chlubę poecie. Kto tak wybornie potrafi oddać naiwne szczere uczucie pobożnej sieroty, ten zwłaszcza gdy jego lutnia posiada mnóstwo innych o wprost przeciwnym tonie strun, jest rzetelnym poetą z Bożej łaski; Hauptmann, który stworzył piękny duet miłosny w *Vor Sonnenaufgang* i *Das Friedensfest*, oraz rozmowy między Gertrudą a Maxem w *College Crampton*, tu daje nowy dowód swego niezwykłego talentu poetyckiego. Nie podzielamy zarzutu, jakoby było nienaturalnem, że Hanusia tak uporeczywie dopytuje się o grzechy przeciw Duchowi św., które według religii nie mogą być ani w tem ani w tamtem życiu odpuszczone; przecież Hanusia ma już lat czternaście a więc katechizmu się już uczyła, prócz tego zaś pod obuchem twardej ręki ojczyma doszła zapewne do dojrzałości wyższej ponad jej wiek. Natomiast inna wątpliwość jest bardziej uzasadniona. Czy scena teatralna powołaną jest wogóle do przedstawiania podobnych chwil i sytuacji, których urok leży właśnie w dziecinnej naiwności, w owej niewinnej czystości wzdragającej się przed wystawieniem się na widok tysiąca ciekawych oczu? W wyobraźni i w czytaniu scena wygląda słicznie, w świetle kinkietów elektrycznych pryska urok. Naturalnie jestto rzecz większej lub mniejszej drażliwości uczucia i wielu widzów oddając pochwałę — razem z nami — tej scenie za jej artystyczną wartość, nie odczuwa przytem żadnego przykrego wrażenia.

Dotychczas, pomijając chwilowe majaczenia Hanusi, stąpało się stale po gruncie rzeczywistego życia. Teraz odbywa się przejście do całego szeregu hallucynacyj, widzeń, które nietylko nawiedzają chorą dziewczynę, lecz także i widzowi pod zmysły podpadają. Przejście jest stopniowe, wybornie pomyślane i przeprowadzone. Hanusi zdaje się, że słyszy czyjś głos, a w tejsamej chwili wydaje krzyk przerażenia, trzymając oczy utkwione w kąt izby, gdzie na kołku wisi płaszcz i kapelusz męski; biedna dziewczyna bierze te przedmioty za ubranie ojca, który groźnie się do niej zbliża.

Siostra pokazuje jej kapelusz, uspokaja ją, a sama wychodzi ze światłem, aby przynieść wody; w izbie tymczasem nastaje zupełna ciemność. „Natychmiast u łóżka Hanusi w nogach ukazuje się postać murarza Mattern. Twarz pijaka i rozpustnika, włosy czerwone rozczochrane, na głowie zniszczona czapka wojskowa bez daszka. W lewej ręce trzyma narzędzia murarskie, koło prawej obwiązał sobie rzemień i tak pozostaje przez cały czas, jakby chciał się rzucić na Hanusię. Blade światło rozchodzi się od zjawiska i oświetla wokół łóżka Hanusi“ (str. 31). Hanusia z przestrachem rękami zasłania oczy i jęczy, a ojcym pijanym, ochryplym głosem gromi ją za wydalenie się z domu i grozi zemstą za to, co ludziom o nim powiedziała; on i tak jest dla niej za dobry; wszak ona nie jest jego dzieckiem i gdyby zechciał, mógłby ją z domu wypędzić; ale teraz już się przebrała jego cierpliwość, teraz będzie ją bić, aż... Zjawisko znika a Siostra Marta wchodząc ze światłem do izby widzi Hanusię, leżącą bez przytomności na ziemi obok łóżka.

Po raz pierwszy w *Hannele* — i wogóle u Hauptmanna — pojawia się tu senne widziadło, a występuje nie tylko pośrednio w opowiadaniu osoby gorączką dotkniętej, lecz bezpośrednio i plastycznie przedstawia się zmysłom widzów i słuchaczy. Pomysł nie jest bynajmniej oryginalnym. Podobne sceny wydarzają się często w dramacie, od Szekspira aż do najnowszych dni. Że podniecona gorączką lub silnym afektem wyobraźnia człowieka, zwłaszcza chorego, zdolną jest powołać do życia widziadła, o tem zapewnia psychologia, tego dowodzi codzienne doświadczenie. Że te zjawiska w umyśle wyjątkowo drażliwym lub wyjątkowo podrażnionym mogą przybrać niemal kształt rzeczywisty, plastyczny, to również jest wszystkim wiadomem. Teatr takie zjawiska przedstawiać może, bo jeżeli jego przedmiotem jest przedewszystkiem świat realny, to obok niego dopuszczalnym jest i idealny, zwłaszcza, gdy i w życiu w danej chwili są one ściśle z sobą związane. Trudność największa leży w tem, by zjawisko dane miało istotnie charakter sennego widziadła, a nie podawało się za istotę rzeczywistą. A więc obok odpowiedniego urządzenia czysto technicznego (oświetlenie, maszynerya itd.), zjawisko musi być tylko dla

danej osoby hallucynującej widoczne, nie zaś dla innych w tej chwili na scenie się znajdujących. Zachowanie pierwszego warunku jest oczywiście rzeczą przedstawienia teatralnego, co do drugiego zaś, Hauptmann zręcznie w tym wypadku omija szkopuł, bo w danym momencie chora Hanusia jest sama jedna na scenie; w chwili, gdy dyakonissa wraca, zjawisko już się rozwiało. Toteż ta pierwsza wizya sieroty jest doskonale przeprowadzoną, a dzięki swej prostocie i sile nie pozostaje bez wrażenia.

Po niej wraca się znowu do świata rzeczywistego. Ten nagły przeskok tu jeszcze nie razi, bo naprzód senne widziadło trwało krótko, powtóre zaś miało prosty łatwo zrozumiały charakter i dlatego widz może się swobodnie oddać nowemu wrażeniu, nie zapominając jednak o dawniejszem. Siostra Marta krzyknęła z przestachu, zobaczywszy Hanusią leżącą na podłodze; na jej głos zbiegają się żebracy i dyakonissa ma dużo kłopotu z uciszeniem ich wrzawy i wyproszeniem ich z izby, aby nie przeszkadzali. Hanusia przychodzi do przytomności, lecz ukazanie się okrutnego ojca jeszcze żyje w jej wyobraźni — to też dziewczyna modli się do Pana Jezusa, aby ją wziął do nieba. Wierzy niezłomie, że się tam dostanie, bo „kochany pan Gottwald“ obiecał jej. „Siostró, wie Siostró co? Pan nauczyciel Gottwald jest pięknym mężczyzną. Na imię mu Henryk. Henryk to piękne imię, czy nie tak? Mój luby, słodki Henryku! Siostró, czy Siostró wie? My się pobierzemy. Tak, tak, my oboje: pan nauczyciel Gottwald i ja“. I dalej nuci:

Und als sie nun verlobet warn,
Da gingen sie zusammen
In ein schneeweisses Federbett
In einer dunklen Kammer (str. 35).

Dotychczas Hanusia była nieszczęśliwym, niewinnem dziewczęciem, które kochało się za niewinność serca, nad którym się litowało za jego okrutny los. Tu po raz pierwszy poeta dorzuca do jej charakterystyki rys niezwykły, lecz też mało sympatyczny. Czternastoletnie dziewczę może kochać swego nauczyciela jakimś nieokreślonym uczuciem; ale czter-

nastoletnie dziewczę marzące o *schneeweisses Federbett in einer dunklen Kammer*, na którym będzie spoczywać razem z trzydziestodwuletnim mężczyzną, to dziewczę przestaje już zachwycać niewinnością i czystością serca, a jest albo przedwcześnie zepsutem, albo chorobliwą organizacją; w obu razach sympatya widza maleje. Szkodzi to autorowi niezmiernie, bo nietylko w tej chwili Hanusia wydaje się mniej czystą, mniej niewinną, lecz i wiele następnych chwil, zbudowanych wyłącznie na jej zupełnej dziecinności, traci w ten sposób grunt pod nogami.

Gorączka postępuje: Hanusi zdaje się, że słyszy głos Pana Jezusa wołający ją, że czuje woń bzu i słyszy chóry aniołów. Dyakonissa nakłania ją do snu i nuci jej usypiającą piosenkę. I oto powtórnie blade światło napelnia ubogą izdebkę a na kraju łóżka ukazuje się wynędzniała, wychudła postać kobieca i zapadłemi oczyma patrzy się na Hanusię; głos z trudnością wydobywa się z jej piersi, a słowa brzmią monotownie. Woła na dziewczynę: „Hanusiu!“ a ona równie z zamkniętymi oczyma pyta się: „Mamusi, droga mamusi, czyś to ty?“ I wywiązuje się rozmowa pomiędzy matką a córką, jak w *Zachwyceniu* Lenartowicza, z tą tylko różnicą, że u polskiego poety znakomicie oddany jest w opisie nieba naiwny, niemal poufaly ton kolend, tu zaś w słowach Postaci kobiecej tęsknie i tajemniczo odzywa się nuta mistycyzmu. „Setki tysięcy mil nocą“ przeszła, zanim z „dalekich, dalekich niw, przed wiatrem zasłoniętych, Boską opieką osłonionych przed burzą i gradem“ przybyła na ziemię; w ustach jej „rosną konwalie“, ale głos jej nie wydaje „czystego brzmienia“, a postać jej nie jest tak piękną, jak oblicze aniołów w niebie, bo ona „cierpiała męki za Hanusię“. Słowa niejasne, a mogą się chyba odnosić do grzechu, którego owocem była dziewczyna. Od tego poważnego, mistycznego tonu odbija dziwnie naiwne opowiadanie, że w niebie „zaspakaja głód owocami i mięsem a pragnienie gasi złotem winem“. Niezgodność w tonie rażąca, tem większa, że za chwilę wraca dawny nastrój mistyczny. Gdy Hanusia się skarży, że „ma serce spalone“, ona pociesza ją, że „Bóg ochłodzi je różami i liliami“, a jako rękojmię, że Bóg ją zbawi, wręcza jej kwiat pierwiosnku i żegna się z nią.

„Maluczko a mnie nie obaczysz i znów maluczko a obaczysz mnie. Jako się białej śnieżycy od wiatru dzieje na górach, tak będzie Bóg twoich katów prześladować“. I odchodzi a ciemność zapelnia izbę i tylko zdała słyhać mile glosy dziecięce, śpiewające kołysankę: „Śpij, dziecko, śpij!“

Ostatnie widzenie Hanusi stanowi dalszy, wyższy stopień w rozwoju jej gorączki. Zrazu brała kapelusz i płaszcz zawieszony na kołku za ojcyma, potem sama zostawszy w izbie widziała — a z nią i widz — jego postać, słyszała jego groźby, lecz sama była cicho; teraz zjawisko ukazuje się, gdy u Hanusi łoża siedzi uśpiona Siostra Marta, i ma się nie tylko monolog tej nadziemskiej Postaci niewieściej, lecz nawet jej rozmowę z sierotą. Różnica jest ogromna: tam było jedynie uplastycznienie, uzmysłowienie hallucynacyj, noszących wyraźnie ten charakter widzeń sennych — tu sen mięsza się z życiem, uluda z rzeczywistością. Przedewszystkiem przeszkadza obecność Siostry Marty. Widz wie, że ona śpi, a więc nie wie, wiedzieć nie może, co się w izbie dzieje; lecz mimoto niepokoi go pytanie, na które brak odpowiedzi: czy też dyakonissa, gdyby się obudziła, widziałaby tę Postać, czy słyszałaby jej głos i słowa Hanusi? Powtórnie samo pomięszanie snu z rzeczywistością, wprowadzenie porządnie snującej się rozmowy pomiędzy Hanusią, uśpioną ale żywą, a tem zjawiskiem istniejącem tylko w jej rozpalonej wyobraźni, to wszystko słuchacza niepokoi i mięsza. Prawda, ale wszak np. w *Hamlecie* zaraz w pierwszym akcie jest się świadkiem rozmowy, wzajemnych pytań i odpowiedzi królewicza duńskiego i ducha jego zamordowanego ojca. Tak, ale u Szekspira jest duch błakający się po ziemi i niewątpliwie poeta pojął go jako żywą postać, każe wierzyć w jego istnienie — tu zaś jest senna gorączkowa fantasmagoria, wyraźnie jako taka przedstawiona; powtórnie tam przynajmniej Hamlet jest zupełnie panem siebie, mówi i działa na jawie — tu zaś Hanusia przez sen rozmawia z Postacią, która jej się ukazuje. W takich warunkach domagać się od widza, aby równocześnie słyszał i rzeczywistą mowę żyjącej choć gorączkującej sieroty i nieistniejącej w rzeczywistości słowa uludnej mary — jest przedsięwzięciem zbyt śmiałem, zbyt niejednolitem, dwuznacznem; a dyalog nawpół rzeczy-

wisty nawpół urojony staje się dziwacznym, czemś niepojętem, na scenę się nie kwalifikującym.

Inaczej jest z chwilą, gdy zjawisko znika a ukazują się sami aniołowie z wieńcami róż na skroni, z skrzydłami u ramion. Przy muzyce, w cudnych, nawskróś poetycznych wierszach pozdrawiają Hanusię, przynosząc jej „pierwszy powiew szczęścia“. Tu wraca się znowu do dawniejszego stadyum: uzmysłowienia, plastycznego przedstawienia widzeń Hanusi jako takich; dziewczyna woła wprawdzie przez sen: „Aniołowie, aniołowie!“ ale potem milknie; dialogu, który w poprzedniej scenie tak raził, tu niema, mówią tylko sami zesłańcy nieba. I tu kończy się pierwsza część poematu. Przerwa niema głębszego znaczenia i wypływa jedynie z pobudek czysto teatralnych, dyktuje ją względ na publiczność, potrzebującą odpoczynku po pewnej sumie wrażeń, oraz na aktorów i reżyserję — po za tem zaś pozbawioną jest wszelkich istotnych przyczyn.

Z początkiem drugiej części wraca zrazu rzeczywistość. Dyakonissa zapala świecę, Hanusia otwiera oczy, a tylko w ich błogim wyrazie znać wpływ niebiańskiego zjawiska. Wesolo i pospiesznie poczyną opowiadać Siostrze Marcie o odwiedzinach aniołów i dąsa się, gdy dyakonissa z poblazliwym uśmiechem słucha ją i jakoś w rzeczywistość tych snów nie wierzy. Sierota tak jest pod wpływem hallucynacyj, że nawet wyciąga ręce do Siostry, chcąc jej pokazać ów kwiatek, którego oczywiście niema. Dyakonissa udaje, że go widzi i wacha, a potem pragnie nakłonić Hanusię, aby się uciszyła i starała się nanowo zasnąć. Dziewczę jednak niecierpliwie wyskakuje z łóżka, aż wtem cofa się z przestrawieniem: tam, w bliskości pieca stoi anioł z czarnymi skrzydłami, w czarnych sukniach, a w ręce trzyma długi miecz, żalobną krepą przysłonięty i patrzy się nieruchomo na Hanusię. Ona go się trwożnie pyta, kto jest, czy przyszedł zadać jej śmierć, a gdy czarna postać milczy, dziewczę strwożone wzywa matki. „Wchodzi postać w stroju dyakonissy, ale piękniejsza od niej i młodsza, z białymi skrzydłami“ i tuli do siebie dziewczę i uspokaja je: to śmierć, konieczne przejście na tamten świat, przez Hanusię tak upragnione. Sierocie straszno, myśl o tak bliskiej śmierci mięsza ją, a po-

tem patrząc na nędzne swe odzienie, wstydzi się pokazać tak Panu. Dyakonissa dzwoni i śmieszna postać wiejskiego krawca wchodzi, a raczej wbiega podskakując do izby. Zatrzymajmy się tu chwilę, bo moment to niezmiernie ważny. Poprzednio zaznaczyło się potrzebą ścisłego rozgraniczenia świata rzeczywistego i sennych wizyj i już dawniej musiało się wytknąć uchybienia przeciw temu żądaniu. Lecz dopiero w tej chwili powyższe prawo jest zupełnie obalonem, dopiero tu miasto owego rozgraniczenia ma się całkowite pomięszanie, zlanie się obu światów. W części pierwszej ani postać ojczyma, ani zjawisko matki nie było widzialnem dla kogo innego, jak dla Hanusi tylko, charakter majaczeń i ich jedynie subiektywna prawdziwość i rzeczywistość były zachowane. Tu jest z gruntu inaczej: naprzód w jednej chwili rzeczywista postać dyakonissy przemienia się w jakąś inną, fantastyczną a przecież do niej podobną; powtóre zaś Anioł śmierci widzialny jest nietylko dla majaczącej Hanusi, ale i dla dyakonissy, która dopiero przed chwilą była rzeczywistą postacią a teraz jest... nawpół rzeczywistą nawpół fantastyczną. Gdy Hanusia pyta się jej: „Ty przecież jesteś Siostrą Martą? Ależ nie, moją matką jesteś“, ona odpowiada: „Tak“, a gdy dziewczę niespokojne i niepewne mówi: „Czy jesteś obiema razem?“, ona wypowiada mistyczną formułkę: „Dzieci nieba są jednym w Panu“. Co to znaczy? gdzie wyjście z tych wątpliwości? gdzie się kończy rzeczywistość, a gdzie zaczyna się wizya? Odpowiedzi niema, wyjaśnienia brak, jest tylko chaos, niepewność, pogwałcenie wszelkiej logiki, którą muszą mieć nawet *Traumdichtungen*.

Samo ukazanie się krawca należy do najpiękniejszych i najszczerzych momentów poematu. W niem harmonijnie zlewa się rzeczywistość minioną i jej wrażenia z obecnymi warunkami gorączkowych hallucynacyj. Krawiec, który już w pierwszej części, samem swem wspomnieniem chorą rozweselił, tu ma na sobie kształty i szaty śmiesznej rzeczywistości a zgodnie z naturą bajki i snu przynosi wspaniałe szaty, w które przystrojona Hanusia jaśnieje jak oblubienica nieba. Teraz spokojnie układa się na tapczanie a Anioł śmierci zbliża się z zimnym mieczem. Dziewczę boi się, coś przygniata jej piersi, a gdy Anioł już miecz podnosi, ona wola

pomocy Siostry Marty. Dyakonissa wzrokiem pełnym powagi powstrzymuje cios i kładzie „obie poświęcone dłonie na serce“ sieroty; Anioł znika, dyakonissa patrzy na Hanusię, a potem zatapia się w modlitwę. Sen Hanusi rozwija się w całej pełni, rozszerza się, a rzeczywistość nadługo ustępuje. Nauczyciel Gottwald z gromadką małych dzieci wchodzi do izby, żałobnie ubrany, smutny i posepny. Wita się z dyakonissą (nazywa ją jak dawniej „Siostrą Martą“), a rozmowa ich oczywiście dotyczy biednej sieroty, która teraz w spokoju spoczywa. Gottwald jest przygnębiony śmiercią dziewczęcia, ziarno pociechy, chrześcijańskiej rezygnacji, rzucone ręką dyakonissy znajduje mało podatny grunt. Przyszedł tu z dziećmi, bo uczy je żałobnych pieśni, jakie mają zaśpiewać nad grobem Hanusi; ale przedtem niech każde z nich przeprosi zmarłą, że za jej życia urągali jej nędzy. Rozczulająco dziecięcym jest ten mały chłopak przepraszający uśpioną sierotę: „Kochana księżniczko Hanusiu, nie bierz mi za złe i nie powiedz Panu Bogu, że cię nieraz łachmaniarką przezywał“ (str. 59). Dyakonissa odprowadza dzieci do sąsiedniej izby, Gottwald zaś przesyła Hanusi ze łzami w oczach ostatnie pozdrowienie, składając wiązankę kwiatów. Drzwi się otwierają i do izby ciśnie się gromada żebraków. Rozmawiają o tem, czy dziewczyna zostanie pochowana w poświęconej ziemi, bo odebrała sobie sama życie, a to przecież grzech przeciw Duchowi św. Ale Pleschke przynosi wiadomość, że „jakiś piękny pan był u proboszcza i powiedział, że Hanusia Mattern jest święta“. Wśród żebraków szerzy się zadziwiająca wieść, że anioł przeszedł przez wieś, a czterech biało ubranych młodzieńców wnosi szklaną trumnę, budząc szmer zaciekawienia i zdumienia. Żebraczki składają drobne i marne kwiaty do trumny i żalują dziewczyny, która jeszcze teraz ma sińce od plag zadanych jej przez nieludzkiego ojczyma; a on, ten morderca, siedzi w karczmie i upija się jak zwierzę. Zdaleka słychać ochryply głos murarza, i za chwilę Mattern już jest u progu, staje wśród rzeszy żebraków, odsuwających się od niego z odrazą i trwogą. Wtem ukazuje się nowa postać. „Wchodzi jakiś mężczyzna w brunatnym, zniszczonym havelocku. Ma lat około trzydzieści, długie, czarne włosy i bladą twarz o rysach nauczyciela Gottwalda. Kapelusz podróżny

ma w lewej ręce a sandały na nogach. Jest drogą znużony i znać na nim pył gościńca. Przerwywając słowa murarza, kładzie łagodnie rękę na jego ramieniu. Mattern z przestrachem odstępkuje na bok. Nieznajomy patrzy mu w twarz poważnie i spokojnie i mówi pokornie: „Majstrze Mattern, Bóg z tobą“. A potem prosi go, „nogi sobie schodził aż do krwi, niech mu da wody do ich umycia; gorące słońce wypaliło go, niech mu da wina, aby się orzeźwił; nie jadł chleba, odkąd zrana wyszedł i łaknie“. Mattern odtrąca go zimno i drwiąco i zwie włóczęgą. On odpowiada: „Pracownikiem jestem, pracownikiem bez zapłaty; lekarzem jestem, który cię może uzdrowić“. Murarz coraz bardziej rozdrażniony już grozić poczyna, a nawet przypomnienie Nieznajomego, że jego córka jest chorą, nie zastanawia Matterna. Wtedy Nieznajomy uroczystym głosem przemawia: „Posłem jestem. Przychodzę od Ojca i idę do Ojca. Gdzieś podział dziecię? Trupa masz w domu“. Teraz dopiero murarz spostrzega zwłoki i trumnę, podziwia jej przepych, ale trzęsie się od strachu i jakby się usprawiedliwiał mówi, że on przecież żywił i odziewał tę dziewczynę. A potem znowu bierze go wściekłość na Nieznajomego, który „wtrąca się w nieswoje rzeczy“, gdy zaś żebracy w ponurym chórze wołają: „Morderca! morderca!“, on zaklina się, żeby go „zaraz jasny piorun z nieba trafił, jeżeli jest winien“ śmierci Hanusi. I oto powietrze przeszywa błyskawica i słychać daleki grzmot. Żebracy truchleją na widok tych zjawisk, w zimie tak niezwykłych i coraz groźniej wołają: „Morderca! morderca!“ Mattern drżąc, bojąc się kary, usiłuje się tłómaczyć: miał przecież prawo bić dziecko, gdy na to zasługiwało — ono go okradało i okłamywało. Tak, okradało go i okłamywało, niech Bóg go skarże, jeżeli to nie jest prawdą. W tej chwili w złożonych rękach Hanusi ukazuje się ów kwiat, jaśniejący cudownym zielono-żółtem światłem. Wszyscy truchleją na widok cudu, żebracy wielbią Hanusię jako świętą, Mattern przerażony tym znakiem nieba, zrozpaczony, wypada z izby, aby się powiesić.

Dopiero tutaj można się chwilkę zatrzymać, utrwalić wrażenia otrzymane, zdać sobie z nich sprawę, ocenić je. Że w całym tym ustępie rzeczywistość, bezpośrednio nie odgrywa żadnej roli, o tem jest każdy przekonany; tu jest

już sen, w którym jedynie pośredni związek z rzeczywistością da się odnaleźć. Gottwald był dziewczynie za życia najbliższym, a więc on ukazuje się jej w gorączce strapiiony i przygnębiony jej śmiercią. Ojczym był za życia Hanusi jej katem, on ją zapędził na dno jeziora, a więc jego postać pojawia się w całej ohydzie i grozie. Już poprzednio w części pierwszej było widziadło Matterna, oczywiście więc, jeżeli poeta je tu powtórnie wprowadza, względy artystyczne nakazują mu gradację, stopniowanie wrażenia tak, aby to drugie było od pierwszego silniejsze. Dotąd jest się w zgodzie z Hauptmannem, rozumie się jego zamiar. Inaczej jest ze środkami artystycznymi, do tego celu zmierzającymi. Hauptmann upodobał sobie motyw pijaństwa: od sztuki *Vor Sonnenaufgang* aż do *College Crampton* alkoholizm rozmaitego rodzaju i stopnia gra niepoślednią rolę, czasem jest nawet osią dramatu. I w *Hanusi* Mattern przedstawiony jest w stanie podniecenia trunkiem. Zwiększa to jego ohydę, potęguje to może wrażenie, lecz je obniża, zwłaszcza w teatrze, gdzie aktor (jak np. w Krakowie) to pijaństwo z najbrutalniejszym realizmem, na jaki go stać, zaznacza. Postać Matterna przechodzi tu dozwoloną szpetność już sama w sobie, powtóre zaś staje się nie do zniesienia w kontraście do Nieznajomego. Kto to jest? „Przychodzę od Ojca i idę do Ojca — pracownikiem jestem bez zapłaty“ — te słowa, sam wygląd, uroczysty ton, euda towarzyszące mowie, wszystko jasno dowodzi, że Nieznajomy jest Chrystusem. Nie tu miejsce do rozważenia, o ile w literaturze pięknej w ogólności dozwolonym jest wprowadzanie osób świętych, a tembardziej samego Boga; pytanie to za obszerne, za wielostronne, bo jak w wielu innych wypadkach, tak i tu np. powieść innymi prawami się rządzi niż dramat, inne ma swobody, inne granice. Ograniczając się na dramat i pozostawiając na uboczu kwestję uprawnienia osób św. w ogólności, mamy tu na uwadze tylko szczegółowe pytanie: czy wolno jest autorowi dramatycznemu wprowadzić do sztuki teatralnej postać Boga? Odpowiedź opierać się musi na prawach estetycznych, ale równie silnie i na uczuciach religijnych, z tych dwóch premis wysnuwa się zaś następujący wniosek: wolno to uczynić w dramacie mającym treść wyłącznie religijną, motywa wyłącznie święte,

w dramacie nadto nawskróś przenikniętym duchem religijnym i odzywającym się przedewszystkiem do religijnych uczuć widzów; nie wolno w dramacie w przeważnej części na świeckich motywach osnutym, w dramacie, będącym przedewszystkiem utworem artystycznym i pragnącym w pierwszym rzędzie artystyczne wywołać wrażenie — tu kategorycznie musi się stać przy zasadzie: *ne misceantur sacra profanis*. Gdy od początku widzi się same osoby święte lub w związku z świętymi wypadkami pozostające, np. w widowiskach passywnych, gdy i teatr i aktorowie i publiczność nastrojoną jest odpowiednio, wtedy Bóg jako osoba działająca nikogo nie razi. Ale gdy przedtem się widziało i pijanych żebraków i uliczne ladacznice i śmiesznego krawca, to Chrystus nagle w tem otoczeniu występujący, obraża i uczucia religijne i nawet estetyczne. Prawda, że w *Hanusi* rzecz jest poniekąd złagodzona: to nie rzeczywistość, to sen bezładny i fantastyczny — z drugiej jednak strony kontrast pijanego murarza i Chrystusa jest tak krańcowym, tak zuchwałym, że poprostu trudno go znieść¹⁾. Po za tem przemowa Nieznajomego sama przez się jest i poważna i piękna, chór zaś żebraków dochodzi niemal do wysokości klassycznej tragedyi i jest przerażająco wzniosłym, a cała scena należałaby do najwspanialszych w „dziele“ Hauptmanna, gdyby nie było obrazy uczuć religijnych i estetycznych zarazem.

Prawdziwości tych uwag dowodzi zaraz następną sceną. Z chwilą gdy Matterna już niema, postać Nieznajomego już mniej razi, bo nie ma tego kontrastu ohydy i wzniosłości, a pozostaje tylko harmonijne połączenie powagi i poezyi. Nigdzie dotychczas talent poety nie wydał z siebie tak pięknych ustępów, jak ten, nigdzie też Hauptmann nie odsłania tak swej duszy idealisty, jak tu właśnie. Nieznajomy łagodzi trwogę żebraków, zbliża się do „dzieweczki, która nie umarła, ale śpi“ i mówi jej: „Hanusiu Mattern, wstań!“ Sierota otwiera oczy, lecz na Nieznajomego patrzeć

¹⁾ W Krakowie w Teatrze miejskim niepotrzebnie rolę Nieznajomego grał tensam aktor, który był i Gottwaldem; mimo wielkiej godności p. Śliwickiego uczucie było więc tem przykrzejsze. Natomiast w wiedeńskim *Burgtheater* obie role dostają się w ręce osobnych przedstawicieli.

nie śmie, tylko chyli się do Jego kolan i szeptuje ze czcią: „Święty, święty!“ A on ją podnosi ku sobie: *So nehm ich alle Niedrigkeit von Dir. So beschenke ich deine Augen mit ewigem Licht. Fasset in Euch Sonnen und wieder Sonnen. Fasset in Euch den ewigen Tag vom Morgenroth bis zum Abendroth, vom Abendroth bis zum Morgenroth. Fasset in Euch, was da leuchtet: blaues Meer, blauen Himmel und grüne Fluren in Ewigkeit* itd. Przez drzwi wchodzą rzesze małych chłopiąt i dziewcząt, cicho i nieśmiało; w rękach trzymają kadzielnice wonne a izbę stroją w kwiaty i kobierce, a Nieznajomy dalej mówi, wśród lekkich dźwięków harf:

Die Seligkeit ist eine wunderschöne Stadt,
 Wo Friede und Freude kein Ende mehr hat,
 Ihre Häuser sind Marmel, ihre Dächer sind Gold,
 Rother Wein in den silbernen Brunnlein rollt,
 Auf den weissen, weissen Strassen sind Blumen gestreut,
 Von den Thürmen klingt ewiges Hochzeitsgeläut itd.

a potem wzywając do siebie bliżej aniołów, by otoczyły Hanusię:

Mit feinen Linnen kommt, Ihr Himmelskinder!
 Lieblinge, Turteltauben kommt herzu,
 Hüllt ein den schwachen ausgezehrten Leib,
 Den Frost geschüttelt, Fiebergluth gedörnt,
 ...Mischt indess sie ruht auf seid'nem Bette
 Im weissen Marmorbade Bergbachs Wasser
 Und Purpurwein und Milch der Antilope
 In reiner Fluth ihr Siechthum abzuspülen,
 ...Labt sie mit Wein, kredenzt in goldner Schale,
 In den ihr reifer Früchte Fleisch gepresst.
 Erdbeeren, die noch warm vom Sonnenfeuer,
 Himbeeren, voll von süssem Blut gesogen,
 Die sammtne Pfrsich, goldene Ananas,
 Orangen, gelb und blank, bringt ihr getragen
 Auf weiten Schüsseln spiegelnden Metalls.
 Ihr Gammen schwelge und ihr Herz umfange
 Des neuen Morgens Pracht und Ueberfülle...
 ...Auf Felder rothen Mohns führt ihren armen Blick,
 Wo Himmelskinder gold'ne Bälle werfen
 Im frühen Strahl des neugebornen Lichts,
 Und liebliche Musik schlingt ihr um's Herz.

Aniołowie kończą śpiewając chórem :

-Wir tragen Dich hin, verschwiegen und weich,
Eia popeia in's himmlische Reich.

Koniec zjawiska, wszystko się rozwiewa, milkną śpiewy i muzyka, znika cudowny blask, w izbie jest znowu ciemno. Hanusia, biedne wynędzniałe dziecko leży na tapczanie, przy niej Siostra Marta i doktor Wachler, który jednym słowem: „Umarła“ konstatuje śmierć sieroty.

Poemat skończony. Do szczegółowego rozbioru należy dodać kilka ogólnych uwag, poczęści nawiązując do słów na początku niniejszego rozdziału wypowiedzianych, poczęści czyniąc nowe spostrzeżenia. Jeżeli na wstępie była mowa o zdziwieniu, jakie w pierwszej chwili *Hannele* wywołuje w umyśle widza, to tu z równą słusnością winno się dać wyraz głębokiemu przekonaniu, że autor *Hanusia* jest prawdziwym poetą, że zdolności wrodzonych nie zaprzepaścił w łatwym i niskim rzemiośle drobiazgowej obserwacji i fotograficznej dokładności, lecz zdolny jest wznieść się na wyżyny rzetelnej poezji. Romantyczna formuła: „Miej serce i patrzaj w serce“ tu jest wybornie zastosowaną: kto sam ulitował się nad losem biednej sieroty i z pomocą poezji zdołał tę litość przelać w piersi słuchaczów, ten jest szanowanym jako człowiek, niezwykłym jako poeta. Z *Tkaczów* buchał ogień nienawiści i zemsty, współczucie dla biednych było tylko rekwizytem, służącym do wywołania tamtych efektów; tu nie ma podżegania do odwetu, nie ma wymierzania krwawej zemsty, jest tylko litość dla nieszczęścia, pragnienie opromienienia go choć na chwilę, choćby ułudnem i przemijającym światłem.

A jednak czemu *Hanusia* nie jest arcydziełem, czemu nie jest nawet wielkiem dziełem, godnem podziwu całych pokoleń, czemu nie wejdzie nigdy do panteonu wiecznie żywej, wiecznie młodej poezji, gdzie się wznoszą posągi Sofoklesa, Szekspira, Schillera? Wielorakie są tego przyczyny. A na-przód, choć sztuka dramatyczna może czerpać ze świata snów i gorączkowych hallucynacji, choć sięgając tam po motywy zdolną jest na chwilę olśnić cudownością, przerazić

grozą, to te wrażenia trwałemi i czystemi nigdy nie będą: zawsze ciężyć będzie nad niemi piętno sztuczności, dziwaczności, i dlatego sen jako epizod może być wybornym, sen jako główny zrab dramatu rzadko się kiedy uda — zwłaszcza zaś, gdy w przedstawieniu tego majaczenia lwia część wrażeń spoczywa nie w słowie poety, nie w losach, uczuciach osób poematu, lecz w jego zewnętrznych ramach, w jego efektach światła i maszyneryi i kostymów. Usuńmy z *Hanusy* zielone światło, usuńmy wijący się miecz Anioła śmierci, białe skrzydła młodzieńców, szklaną trumnę i atlasową suknię i głos harf i woń kwiatów, usuńmy to wszystko, te akcesorya, a zostawmy jądro sztuki, samo nieszczęście *Hanusy* i samą jej hallucynacyę — a czy rzecz i wtedy jeszcze wyda się taksamo poetyczną, taksamo głęboką i taksamo piękną? Wielkich tragików można grać w lichej szopie i zawsze będą wzruszać, podnosić na duchu, kształcić smak. *Hanusia* wyda się dobrze jedynie na scenie, zaopatrzonej w wszelkie szczegóły nowożytnego urządzenia teatralnego.

To główny jej niedostatek, zasadnicze jej ubóstwo, jaskrawym płaszczem przysłonięte. Są i inne. Wejść w położenie biednej sieroty, która po krótkiem lecz pełnem mąż życiu, we śnie odbywa drogę do upragnionego nieba, oddać jej uczucia, jej myśl, działanie jej wyobraźni, na to potrzeba być albo głęboko, naiwnie wierzącym, albo genialnym poetą; wiara lub intuicya są tu nieodzownie potrzebne. Że Hauptmann wierzącym nie jest, o tem chyba nikt nie wątpi; choć sposobności miał wiele, nigdzie religijności nie okazał, bo odpowiednie miejsca w *Samotnych ludziach* (stary Vockerat z końcem IV aktu) i w *Tkaczach* (Hilse w akcji V) są dowodami za słabemi. Pozostawała mu więc genialna intuicya. Czemu to przypisać, że *Hanusia* mimo Dyakonissy i sieroty i aniołów i samego Nieznajomego nawet, uczucia religijne nie katolika tylko, lecz wogóle chrześcianina raczej obraża? Dzieje się to skutkiem dwóch przyczyn. Pierwsza, to ciągle wahanie się między racjonalizmem (np. w pojęciu Chrystusa) a mistycyzmem; o te dwa krańcowe kierunki uderza Hauptmann, a wśród tego ginie szczerze, naiwne uczucie religijne i rzecz staje się niesmaczną, to znowu, w najlepszym razie, jest jedynie estetycznie przyjemną. Powtóre zaś ta sztucz-

ność, jaka psuje cały poemat, i tu zaznacza swe zgubne ślady. O ileż piękniejszą byłaby Hanusia, o ileż głębsze, bardziej harmonijne i estetyczne i religijne budziłaby uczucia, gdyby autor nie był umyślnie silił się na zagmatwanie rzeczy. Poco Hanusię zrobił dzieckiem grzechu, po co kazał jej popełnić samobójstwo, które potem omal nie powoduje zakazu proboszcza pochowania jej na cmentarzu? W poemacie, gdzie cały urok leży w szczerzej, niewinnej naiwności, w czystości i osób i ich słów, nie nie szkodzi tak bardzo, jak wszelka sztuczność, wszelkie wymuszone skomplikowanie.

W końcu pozostaje ostatnie pytanie, już na wstępie poruszone: jak się *Hannele*, na pierwszy rzut oka tak odmienna i treścią i formą, łączy z dawniejszemi utworami Hauptmanna? Już powyżej odkryło się nici łączące ją z niemi, tu tylko wypada dwie jeszcze wyróżnić i bliżej im się przypatrzeć. Choć pisze *Traumdichtung*, a pisze nieraz jak symbolista ze szkoły Maeterlincka, Hauptmann jest i tu dawnym realistycznym pisarzem, autorem i *Vor Sonnenaufgang* i wszystkich następnych sztuk. Świadczy o tem gromada żebraków, stanowiąca tło sztuki, świadczy przedewszystkiem murarz Mattern tak pokrewny Krausemu. Również i upodobanie Hauptmanna do zagadnień natury społecznej odzywa się i w najnowszym dziele jego, chociaż oczywiście przybiera tu odmienny kształt. Jak w dramacie *Przed wschodem słońca* widać było w dali wynędzniałe postacie górników, jak w *Tkaczach* bohaterem był tłum robotników głodnych, tak i w *Hanusi*, pomijając już gromadę żebraków chroniących się do domu przytułku dla ubogich, główną osobą utworu, około której wszystko się obraca, jest biedna dziewczyna, pasierbica murarza. Lecz podczas gdy nieszczęście proletaryatu było zawsze wynikiem wyzysku ze strony klasy uprzywilejowanej, fabrykantów, tu nietylko ofiara, ale i jej kat należą do tejsamej sfery wydziedziczonych. Czy wolno się w przedstawieniu snu Hanusi dopatrywać głębszej myśli, jakiejś tendencji? Pan Alfred von Berger, wspomniany już raz wiedeński krytyk, w nagłym zakończeniu hallucynacyj sieroty widzi „gryzącą ironię tej zasadniczej myśli, że istota pozbawiona wszelkiego szczęścia na ziemi jedynie w religijnych delirjach konania może dożyć zadowolenia pragnień rado-

ści“¹⁾). Niewątpliwie można wysnuć z utworu podobne refleksje, jednak sam poeta prawdopodobnie w chwili powstawania poematu tej myśli nie miał.

Ze wszystkich scenicznych dzieł Hauptmanna *Hannele* jest najpopularniejszym, zwłaszcza u nas, jak się już wspomniało dzięki doskonałemu przekładowi pani Maryi Konopnickiej. Jeżeli *Tkaczów* ogółem mało osób czytało, a jeszcze mniej widziało przedstawionych na scenie, to *Hanusia* doczekała się w polskich teatrach licznych przedstawień. Publiczność chętnie jej się przypatruje, bo wśród współczesnej literatury dramatycznej niewolniczo naśladowującej szare, bezbarwne życie, ludzkość pragnie orzeźwienia, odświeżenia się. I dlatego choć bardzo niedoskonała, *Hanusia* zawsze znajdzie i znaleźć powinna chętnych widzów, w szeregu zaś dzieł Hauptmanna, jak *Tkacze* są najsilniejszym dowodem wielkiego talentu teatralnego, tak ona świadczy pięknie o jego niezwykłych zdolnościach poetyckich.

Józef Flach.

(Dalszy ciąg nastąpi).

¹⁾ *Studien und Kritiken*, str. 198.

Kronika literacka.

— *Życie Juliusza Słowackiego, na tle współczesnej epoki*, (1809—1849). Biografia psychologiczna przez Ferdynanda Hösicka. (W Krakowie, nakładem Gebethnera i Spki. Tom I. 1896 8-vo, stron 622. Tom II. 1897. str. 366. Tom III. 1897 str. 520). — Trzydzieści lat przeszło odkąd Małecki dal nam w swoim dziele poznać żywot i osobistość Słowackiego, a jego poezye i talent mądrym wykładem objaśnił. Od tego czasu pisano o Słowackim nie mało, ale zawsze tylko mniejsze prace i szczegółowe o tem lub owem jego dziele; przybyło też i wiadomości dużo, źródeł, które nie zmieniają, ale uzupełniają i wyjaśniają nie jedno, co Małecki wiedział i napisał. Zatem nowe dzieło o Słowackim, jeżeli nie było koniecznym, to było w każdym razie pożądanem, i było uprawnionem, bo mogło istotnie dodać wiele nowego do tego, co było już wiadomem. Znalazł się młody człowiek, w Słowackim bardzo rozmiłowany odkąd myśleć i czytać zaczął, i z pietyzmem wielkim dla poety wziął sobie za zadanie nie życia swego, ale swojej młodości, opracować żywot ulubionego poety. Wykonał zadanie z gorliwością i starannością nie mniejszą od zapału, i z talentem. Części, rozdziały, puszczał w świat w różnych pismach peryodycznych, w naszym między innymi; a teraz wydał wielkie dzieło w trzech grubych tomach. W pierwszym jest młodość aż do wyjazdu z Paryża do Genewy; w drugim pobyt w Szwajcaryi, podróż do Włoch i na Wschód, pobyt we Florencyi, aż do powrotu do Paryża; w trzecim, od tego powrotu do śmierci. Zanim wejdziemy w szczegóły, choć niektóre, uważamy za powinność zwrócić uwagę czytelnika że tak obszernej, tak szczegółowej biografii nie ma dotąd żaden z naszych poetów, może żaden z naszych znakomitych ludzi. *Żywot Mickiewicza*, napisany przez syna, jest niemniej dokładny, może nawet jeszcze obfitszy w szczegóły. Ale Władysław Mickiewicz mówi jednak o dziełach ojca, nie o samem jego życiu; p. F. Hösick zostawia sobie komentarze i krytyki dzieł Słowac-

kiego do późniejszej osobnej pracy, która ma być dalszym ciągiem niniejszej, a opowiada tylko samo jego życie. Jakie będą rozmiary całego dzieła, jeżeli się zamierzony plan wykona? Tak wielotomowe zapewne, że mogłyby w sobie pomieścić choćby samego Szekspira lub Goethego z ich dziełami. Jeżeli zaś czytelnik chce mieć z góry wyobrażenie o *Życiu Słowackiego*, niech sobie przypomni Mickiewicza syna *Żywot* ojca, z jedną wszakże ważną różnicą. Tam jest obfitość i dokładność szczegółów zadziwiająca, nie zostawiająca nic do życzenia; ale te wszystkie szczegóły i wiadomości są tylko zapisane, spisane. Tu zapas informacji i faktów takisam, tylko każde przejście, każda niemal chwila w życiu Słowackiego jest opowiedziana, opisana, tak obszernie, że staje się nieraz obrazem. Autor nazywa swoje dzieło „Biografią psychologiczną“, a ten dodatek w tytule wskazuje, że chodzi mu głównie o to, by pokazać co w każdej chwili działało się w duszy Słowackiego, co on czuł i myślał, jak przyjmował zewnętrzne padające na niego wpływy zdarzeń i osób, jak się zmieniał pod temi wpływami. W tem badaniu psychologicznych stanów i przemian poety, może autor niezawsze dochodzi do rezultatów stanowczo pewnych, coby się zresztą żadnemu innemu i przy żadnej innej kwestyi w zupełności udać nie mogło — ale wiele twierdzi słusznie, wiele przypuszcza z wszelkiem prawdopodobieństwem. Że zaś pisze w sposób powabny, zajmujący, więc daje nam dzieło, które powinno znaleźć czytelników wielu, i to nie z obowiązku, ale z ochoty, dla własnej przyjemności. Książka jego jest wprawdzie duża, a czasem zdarzy się słyszeć, że takie książki dają się od biedy pisać, ale czytać nie dają się żadną miarą: „Czyż on myśli, że mu ktokolwiek ten ciężki tom przeczyta?“ Tom p. Hössicka, zwłaszcza pierwszy, jest ciężki do trzymania w ręku, to prawda; ale nie jest ciężki do czytania. Jeżeli nam czytelnik zechce uwierzyć, że dowie się z niego o Słowackim tyle, ile o Mickiewiczu ze znanego *Żywota* pisanego przez syna, a dowie się bez natężenia, łatwo, bawiąc się, to może nie ulęknie się grubości tomów i otworzy, a otworzywszy doczyta już *proprio motu* do końca.

Tomy podzielone są na księgi, księgi na rozdziały. Tom pierwszy obejmuje ksiąg trzy. Jedna od urodzenia poety do jego wyjazdu do Warszawy, druga pobyt w Warszawie, trzecia pierwszych parę lat na emigracji. Tu zaraz narzuca się czytelnikowi jedna uwaga ważna. Tom pierwszy, dzieciństwo i młodość, czas, w którym Słowacki jeszcze nie zrobił (oprócz początkowych poezyj) traktowany tak obszernie — a drugi okres jego życia, najważniejszy, najplodniejszy, najwznieczniejszy do opowiedzenia, zamknięty w tomie o połowę mniejszym? Dlaczego? Nie chodzi nam o brak symetrycznej proporcji między tomami, ale o to, że co ważniejsze, to ważniejsze, i warto temu więcej czasu i miejsca poświęcić. Może nowych informacji do

tych pierwszych lat miał autor więcej; ale i do późniejszych jest ich dosyć. Może chciał Słowackiemu dać za tło ówczesne Wilno, ówczesny Wołyń, i otoczyć młodego poetę wizerunkami ludzi, wśród których tam żył? Dobrze; ale jeżeli o tło chodziło, to i ówczesna emigracya mogła służyć za ciekawę, a z ludzi w niej niejedyn godzien był wizerunku lub co najmniej szkicu. Jakkolwiekbaż dysproporcya jest; a nie wiemy czy Goethe, Schiller, Byron, Dante, i wielu ich było wielkich poetów, o Mickiewiczu już nie mówiąc, ma swoje dzieciństwo i pierwszą młodość opisane tak obszernie i szczegółowo, jak Słowacki.

Czy nie za obszernie czasem? Tak nam się zdaje. Niejedyn drobiazg zaledwo godzien wzmianki, rozwinięty jest i opisany równie dokładnie, jak ważne chwile i przejścia. Traci na tem budowa i przejrzystość książki. W rzeczach pisanych, jak w malowanych, potrzebne są różnice planów i stopniowanie światła. Oprócz tej uwagi, dotyczącej się układu, nasuwa nam się druga, dotycząca się samej już treści. *Biografia psychologiczna?* zatem autor czuje się obowiązany dochodzić i pokazywać co się działo w duszy Słowackiego. Ma potemu prawo, a w tem słuszność. W całym ciągu dzieła szuka tych motywów psychologicznych w różnych źródłach, głównie w Słowackiego listach, wydobywa je na wierzch, wykazuje w nich i nieraz trafnie zarody tych lub owych poematów. Ale w tych dochodzeniach nie zawsze zachowuje potrzebną miarę i ostrożność. Naprzykład, Słowacki w listach z emigracyi często wspomina swoje dzieciństwo: p. Hösiak przytacza te wspomnienia jako dowód, co Słowacki myślał lub czuł, jakim był, w swoich latach dziecińczych. Zdaje nam się, że o ile okoliczności, fakta, zawarte w tych wspomnieniach, mogą nie ulegać wątpliwości, o tyle mniej pewną jest właśnie ta strona psychologiczna. Czy Słowacki nie przesadzał, nie poetyzował? Miał do tego skłonność, to przecieź wiadome. Rozmyślając tęsknie o swoim dzieciństwie, mógł sobie dziecku przypisywać i podkładać te uczucia i myśli, które miał jako człowiek dorosły, a przynajmniej amplifikować, poetyzować te, które z dzieciństwa pamiętał. Od Lelewela już wiemy, że źródła same nie wystarczają; potrzebna jest i krytyka źródeł. W rzeczach literackich taksamo, jak w historycznych, a nie najmniej może przy zeznaniach własnych, zwłaszcza ludzi tak pełnych fantazyi, a tak zajętych sobą, jak Słowacki. Listy Mickiewicza nie wymagałyby takiej ostrożności.

Krzemieńce w początkach naszego wieku, Euzebiusz Słowacki jako człowiek i jako pisarz, jego żona, jej rodzice, bracia, przyjaciele, przeniesienie się do Wilna, śmierć ojca, powrót wdowy z synkiem do Krzemieńca, jego pierwsze nauki, jej powtórne zamężcie a przy tem wizerunek wcale nie pochlebny doktora Bècu, i znowu przeniesienie się do Wilna — wszy-

stko potrzebne, usprawiedliwione, i żywo — jak zawsze — opowiedziane. Dalsze nauki chłopca, stosunki przyjacielskie w towarzystwie jego matki ze szczególnem uwzględnieniem dwóch Śniadeckich, wreszcie usposobienie chłopca jakim się pokazywało — to ciąg dalszy, i niemniej zajmujący, pierwszej księgi pierwszego tomu. Usposobienie to skreślone rysami wcale surowemi. „Wygórowana ambicya, chęć imponowania drugim, pewność siebie dochodząca do monomanii, ... zarozumiałość, połączona z najwyższą próżnością“, a ta próżność „dająca się podrażnić byle czem, objawiała się w formie niesłychanie przykrej, bo za trutej jadem zgryźliwości“ (str. 50). Dalej dowiadujemy się (str. 59), że chłopiec, pewien, iż żadna z siostr (córek pana Bècu) „nie poskarży na niego przed matką, choćby im nie wiedzieć jak dokuczył, sprzeciwiał im się tak, że mu się to nie chwali. I pani Bècu płakała nieraz na swego jedynaka, który ludzi obcych lub obojętnych nie pozwalał sobie nigdy dotknąć niemile, był z nimi grzeczny i nie sarkastyczny. Dokuczać, sprzeciwiać się, lubił tylko tym, których kochał“. Nie wątpimy, że kochał, i tkliwie, jak to autor zaręcza, choć taki sposób kochania nie wydaje nam się najlepszym. Ale pozwolimy sobie zrobić jedno pytanie. Czy autor ma niechęć do Słowackiego? czy jest jego nieprzyjacielem? Oczywiście nie. Tymczasem co mówi o jego zarozumiałości, próżności, drażliwości, jest w swojej słuszności tak otwartem i twardem, jak w całej literaturze o Słowackim, o ile ją znamy, nie znajdujemy nie twardszego. Dlaczegoż więc ci, którzy sądzą Słowackiego taksamo, tylko w łagodniejszych wyrazach, mają być uprzedzonymi, niesprawiedliwymi, niegodnymi wiary, prześladowcami i wrogami nie-szczęśliwego poety?

Lata idą, student w gimnazyum zaczyna chciwie czytać poezye i składa pierwsze wierszyki, przyjaźni się z Ludwikiem Spitznaglem, podziwia z zapalem Mickiewicza. Na jakiej zasadzie twierdzi autor, że ten „poprzysiął zemstę temu domowi“, kiedy raz Jan Śniadecki udając, że go nie widzi, wyśmiewał jego poezye, a pani Bècu ani jej mąż nie wzięli swego gościa w obronę i nie zastanili go przed przykrością? Złe zrobili, niezaprzeczenie; ale ta przysięga zemsty wydaje się mniej dowiedziona. A tymczasem widnokrag się chmurzy nad Wilnem. Nauczyciel Julka Słowackiego, Massalski, przez głupią a niegodziwą próżność, staje się bezpośrednim powodem prześladowania uczniów. Rewizya jego papierów w domu państwa Bècu, strach doktora, i nareszcie więzienie i śledztwo Filaretów.

Jakże wygląda w naszej książce rola doktora Bècu w tej sprawie? Autor mówi, że obrońcy i oskarżyciele doktora mówią o nim prawie to samo. Jedni nie przeczą, że był zbyt służbiwym względem Nowosilcowa, drudzy nie posądzają go o przekupstwo. Jedni i drudzy przypuszczają, że tą uległością chciał sobie

zapewnić dożywotnią pensję po wyjściu ze służby. Autor ma niewątpliwie słuszną kiedy mówi, że to był mały lichy charakter. Ale wpada w sprzeczność sam z sobą, kiedy pisze (str. 130), że kto mógł w tych czasach starać się o względy Nowosilcowa, ten mógł być zdolnym i do czynów, jakie doktorowi przypisuje Lelewel, a w odsyłaczu (na str. 133) dodaje, że Bècu nie był znowu takim łotrem, jakim go robi Mickiewicz w *Dziaduch*. Więc jakimże był? czy lęklwym i giętkim karyerowiczem tylko, czy podłym szpiegiem? Za to ostatnie nie podawał go nikt, prócz Mickiewicza; a jaki powód, jaki interes, miałiby naoczni świadkowie tej sprawy, Domeyko, Odyniec, i inni, po pół wieku osłaniać sławę doktora? Pan Hösick przytacza jeden fakt bardzo obciążający. Jeden z uwięzionych napisał do doktora Bècu w zaufaniu kartkę, z prośbą, żeby przestrzegł o czemś jego kolegę nie uwięzionego. Zamiast to zrobić, lub jeżeli się bał, zamiast ową kartkę spalić, Bècu oddał ją Pelikanowi. To było już zupełnie brzydko, i zupełnie słusnie potępia go za to p. Hösick. Ale i tu jeszcze trzebaby wiedzieć, czy powodem był tylko strach, czy *libido servitii*. Na wartość uczynku, w każdym razie brzydkiego, ta różnica pobudki zawsze wpływać musi.

Śmierć od pioruna, opisana ze wszystkimi szczegółami. Przepuszczenie, że ona z czasem natchnęła Słowackiemu pomysł tego pioruna, który zabija Balladynę, wydaje nam się cokolwiek daleko szukanem.

Uniwersytet, jego stan pod kuratoryą Nowosilcowa, jego profesorowie, rzeczy wiadome, ale zawsze zajmujące; a w tym uniwersytecie młody akademik, który pisze dumki i sonety, i zakochuje się w pannie Ludwice Śniadeckiej, to ostatnie dwa rozdziały pierwszej księgi. O tej pannie naturalnie dużo jest mowy, a wizerunek jej, i sąd o niej, sądzimy, że trafny. Nie możemy wiedzieć, czy słusnie mówi autor *qu'elle avait du chien*; a wyrażeniu, może bardzo paryżkiem, wolno się dziwić, jak się jest małomiasteczkowym barbarzyńcą z Krakowa. To tylko, jak znamy ów czas, nie wydaje nam się prawdziwym, jakoby miłość Ludwiki Śniadeckiej do młodego Korsakowa była miała wymówkę w *licznych* przykładach i w ówczesnej opinii, przywykłej do takich uczuć i małżeństw mieszanych. Przykłady nie były wcale liczne, a te nieliczne, które się zdarzały (naprzykład panna Mostowska i Mohrenheim), nie były wcale dobrze widziane. Dwie córki Szczęsnego Potockiego, z Greczynki, żyły prawie zupełnie po za towarzystwem polskiem i nie mogły służyć ani za przykład ani za wymówkę. A znana z *Dziadów* księżna Zubow tem mniej. Nie taką przecie chciała być Ludwika Śniadecka, choć się „niestety kochała w Moskalu“. Rodzaj i charakter tej miłości poety, niby „pierwszej i jedynej“ a naprawdę wzmówionej w siebie dla „poetyczności“, jej przebieg aż

do ostatniego widzenia, opisanego w pamiętniczku Słowackiego, zrozumiany jest i skreślony bardzo trafnie.

Niemniej trafna uwaga, że podróż do Odessy, odbyta po skończeniu uniwersytetu, zostawiła w duszy Słowackiego wrażenie, a w jego wyobraźni obrazy, które odbijają się kiedyś w *Wacławie* i w *Beniowskim*. Ostatni to dłuższy przeciąg czasu spędzony z matką, a wiadomość o nim nie zupełnie przyjemna. Oboje marzą o podróży, o Włoszech. Ale matka marzy o podróży z synem, chce cieszyć się jego radością, podzielać jego wrażenia; syn marzy o podróży bez matki, chce poetycznej, romantycznej! Ona chciałaby, żeby z nią mówił, żeby jej udzielał wszystkich swoich myśli; on zapisuje w pamiętniku, że go matka „nudziła“. Biedne matki!

Pobył w Warszawie, krótki, a tem jedynie ważny, że tu poeta pisze swoje pierwsze znane dzieło, stanowi drugą księgę. Przytaczamy z niej jeden przykład, na dowód, że jest zbytek szczegółów obojętnych, nieznaczących. Słowacki mieszkał w pałacu Paców. Mieszkało tam oprócz niego osób i rodzin wiele, ale on stosunków z niemi unikał i nie miał. Jeżeli tak, to pocóż je wymieniać, a poczęści nawet opisywać? Najciekawszą kwestyą z całego tego pobytu jest wyjazd Słowackiego, w marcu 1831 r. Małecki przypuszczał, że broszura Lelewela: *Nowosilców w Wilnie*, rzucająca złe światło na doktora Bècu, wprowadziła Słowackiego w taki stan gorączkowego żalu i gniewu, że wyjechał, nie wiedząc dobrze co robi. To tłumaczenie, dla poety najkorzystniejsze, przyjęło się, i tak wierzyliśmy wszyscy. Że zaś Słowacki jeździł z jakimś papierami do Londynu, łączyło się jakoś jedno z drugim, przypuszczało się, że dostał jakieś przed wyjazdem polecenie, w którym było i usprawiedliwienie wyjazdu. Pan Hösick rozbija w puch to mylne mniemanie. Rzecz wcale niepewna, czy owa broszura (wydana przez Lelewela pod obcym nazwiskiem) wyszła z pod prasy przed wyjazdem Słowackiego. Co się zaś tyczy poleceń do Londynu, to odebrał je dopiero w lipcu, więc od czterech miesięcy przeszło siedział w Dreźnie. Było to wezwanie do generała Grouchy, żeby objął dowództwo jakiegoś korpusu; Słowacki miał je doręczyć. Pomysł był dziwny, zrywać tego, który nieudolnością swoją spowodował klęskę Napoleona pod Waterloo. Dla niego zapewne sposobność pożądana, żeby sobie poprawić sławę — i gdyby był odebrał wcześniej, byłby chętnie nominację przyjął. Ale Słowacki odebrał ją 25 lipca, dowiózł do Londynu już w sierpniu! Rzeczy stały tak złe, że ów generał wideków powodzenia nie znajdując, nie dziw, że przyjąć nie chciał.

Z tego jednak wynika, że nie gniew na Lelewela, ani polecenie Rządu, spowodowały wyjazd poety z Warszawy. A więc co? Pan Hösick mówi (str. 385): „Lepiej nie nazywajmy tego po imieniu“. Dodaje wprawdzie, że w wojnie Słowacki nie byłby

się na wiele przydał — to prawda — że chciał żyć i zrobić sobie sławę pisaniem, chciał kończyć zaczętego *Żnię!* Temu mógł być bez wielkiej szkody dać pokój; a do służby wojskowej za słaby, za wątły, mógł być przydać się w jakiej kancelaryi, albo w jakim szpitalu, a nie bawić się przyjemnie w Dreźnie i w listach żalić się przed matką, że „zdaje mu się jak żeby był uciekł“. Wyjaśnienie tej sprawy, dokładne i zapewne niewątpliwe, jest dość nieprzyjemne; wolałoby się nie znać jej tak dokładnie.

Po owej missyi londyńskiej, nie trudnej, skoro zasadzała się na prostem doreczeniu papierów, Paryż, czyli emigracya na stałe. Bez dobrego powodu oczywiście. Jeżeli kto nie był narażonym na srogość rządu rosyjskiego, to taki, kto nie tylko w wojsku, ale nawet w kraju nie był podczas wojny. Parę wierszyków, jakkolwiek z podpisem drukowanych, gdyby nawet nie uszły uwagi i wiadomości rządu, to groziły conajwięcej więzieniem niezbyt długiem. Poprostu został Słowacki emigrantem, jak inni, dlatego, że emigrowało tak wielu, dlatego, że jak inni przypuszczał rychły powrót, dlatego wreszcie, że chciał pisać i drukować bez cenzury. Nie można mu się dziwić ani brać za złe. Tylko jego tęsknoty i żale za matką, za rodziną, za krajem, westchnienia za Krzemieńcem i za rodzinną chatką, muszą wywołać pytanie: czemuż o tem wszystkim, czemu zwłaszcza o biednej matce, nie pomyślał zawczasu?

Pobyt w Paryżu, przykry dla Słowackiego, przykry jest także i dla nas w czytaniu. Chciałoby się widzieć tego poetę mniej sobą zajętem, mniej próżnym — dziecinnie próżnym, kiedy się cieszy swojemi stosunkami i ładnemi rękawiczkami, zuchwale próżnym, kiedy po wydaniu *Araba*, *Żmii*, *Bieleckiego*, a choćby *Maryi Stuart*, ma się za równego Mickiewiczowi. Że on sam ludzi się mniemanem powodzeniem swoich poezyj, to rzecz ludzka i zwykła. Ale jego biograf jest pod tym względem także cokolwiek łatwowierny. Dobrze robi, że przytacza z pism peryodycznych różne recenzje; tylko, wiedząc, jak się recenzje zbyt często na świecie piszą, nie można ich tak śmiało brać za wyraz opinii ogółu — niezawsze nawet za wyraz przekonania samych piszących, bo ci nieraz przez grzeczność przesadzają w pochwałach a przemilczają nagany. Co szczególnie przykre do czytania, ale i bardzo zajmujące, to emigracyjne zatargi, a zwłaszcza skandaliczny obchód drugiej rocznicy 29 listopada, szczegółowo opowiedziany. Prosta rzecz, że takie sceny, takie indywidualia, natchnęły Słowackiego tym smutkiem, w jakim pisany jest *Anielli*, i dostarczyły do niego rysów.

Miłość biednej Cory Pinard do poety, zajmuje cały jeden rozdział. Biedna dziewczyna wygląda w nim sympatycznie — nie młody człowiek, który doznaje tylko satysfakcyi w swojej miłości własnej, a innej miłości nie czuje. „Dla was to jest

do ostatniego widzenia, opisanego w pamiętniczku Słowackiego, zrozumiany jest i skreślony bardzo trafnie.

Niemniej trafna uwaga, że podróż do Odessy, odbyta po skończeniu uniwersytetu, zostawiła w duszy Słowackiego wrażenie, a w jego wyobraźni obrazy, które odbijają się kiedyś w *Wacławie* i w *Beniowskim*. Ostatni to dłuższy przeciąg czasu spędzony z matką, a wiadomość o nim nie zupełnie przyjemna. Oboje marzą o podróży, o Włoszech. Ale matka marzy o podróży z synem, chce cieszyć się jego radością, podzielać jego wrażenia; syn marzy o podróży bez matki, chce poetycznej, romantycznej! Ona chciałaby, żeby z nią mówił, żeby jej udzielał wszystkich swoich myśli; on zapisuje w pamiętniku, że go matka „nudziła“. Biedne matki!

Pobył w Warszawie, krótki, a tem jedynie ważny, że tu poeta pisze swoje pierwsze znane dzieło, stanowi drugą księgę. Przytaczamy z niej jeden przykład, na dowód, że jest zbytek szczegółów obojętnych, nieznaczących. Słowacki mieszkał w pałacu Paców. Mieszkało tam oprócz niego osób i rodzin wiele, ale on stosunków z niemi unikał i nie miał. Jeżeli tak, to pocóż je wymieniać, a poczęści nawet opisywać? Najciekawszą kwestyą z całego tego pobytu jest wyjazd Słowackiego, w marcu 1831 r. Małecki przypuszczał, że broszura Lelewela: *Nowosilców w Wilnie*, rzucająca złe światło na doktora Bècu, wprawiła Słowackiego w taki stan gorączkowego żalu i gniewu, że wyjechał, nie wiedząc dobrze co robi. To tłumaczenie, dla poety najkorzystniejsze, przyjęło się, i tak wierzyliśmy wszyscy. Że zaś Słowacki jeździł z jakimiś papierami do Londynu, łączyło się jakoś jedno z drugim, przypuszczało się, że dostał jakieś przed wyjazdem polecenie, w którym było i usprawiedliwienie wyjazdu. Pan Hösicck rozbija w puch to mylne mniemanie. Rzecz wcale niepewna, czy owa broszura (wydana przez Lelewela pod obcym nazwiskiem) wyszła z pod prasy przed wyjazdem Słowackiego. Co się zaś dotyczy poleceń do Londynu, to odebrał je dopiero w lipcu, więc od czterech miesięcy przeszło siedział w Dreźnie. Było to wezwanie do generała Grouchy, żeby objął dowództwo jakiegoś korpusu; Słowacki miał je do-ręczyć. Pomysł był dziwny, wzywać tego, który nieudolnością swoją spowodował klęskę Napoleona pod Waterloo. Dla niego zapewne sposobność pożądana, żeby sobie poprawić sławę — i gdyby był odebrał wcześniej, byłby chętnie nominację przyjął. Ale Słowacki odebrał ją 25 lipca, dowiózł do Londynu już w sierpniu! Rzeczy stały tak źle, że ów generał wideków powodzenia nie znajdując, nie dziw, że przyjąć nie chciał.

Z tego jednak wynika, że nie gniew na Lelewela, ani polecenie Rządu, spowodowały wyjazd poety z Warszawy. A więc co? Pan Hösicck mówi (str. 385): „Lepiej nie nazywajmy tego po imieniu“. Dodaje wprawdzie, że w wojnie Słowacki nie byłby

się na wiele przydał — to prawda — że chciał żyć i zrobić sobie sławę pisaniem, chciał kończyć zaczętego *Żnię!* Temu mógł być bez wielkiej szkody dać pokój; a do służby wojskowej za słaby, za wątły, mógł być przydać się w jakiej kancelaryi, albo w jakim szpitalu, a nie bawić się przyjemnie w Dreźnie i w listach żalić się przed matką, że „zdaje mu się jak żeby był uciekł“. Wyjaśnienie tej sprawy, dokładne i zapewne niewątpliwe, jest dość nieprzyjemne; wołałoby się nie znać jej tak dokładnie.

Po owej missyi londyńskiej, nie trudnej, skoro zasadzała się na prostem doręczeniu papierów, Paryż, czyli emigracya na stale. Bez dobrego powodu oczywiście. Jeżeli kto nie był narażonym na srogość rządu rosyjskiego, to taki, kto nietylko w wojsku, ale nawet w kraju nie był podczas wojny. Parę wierszyków, jakkolwiek z podpisem drukowanych, gdyby nawet nie uszły uwagi i wiadomości rządu, to groziły conajwięcej więzieniem niezbyt długiem. Poprosto został Słowacki emigrantem, jak inni, dlatego, że emigrowało tak wielu, dlatego, że jak inni przypuszczał rychły powrót, dlatego wreszcie, że chciał pisać i drukować bez cenzury. Nie można mu się dziwić ani brać za złe. Tylko jego tęsknoty i żale za matką, za rodziną, za krajem, westchnienia za Krzemieńcem i za rodzinną chatką, muszą wywołać pytanie: czemuż o tem wszystkim, czemu zwłaszcza o biednej matce, nie pomyślał zawczasu?

Pobyty w Paryżu, przykry dla Słowackiego, przykry jest także i dla nas w czytaniu. Chciałoby się widzieć tego poetę mniej sobą zajętem, mniej próżnym — dziecinnie próżnym, kiedy się cieszy swojemi stosunkami i ładnemi rękawiczkami, zuchwale próżnym, kiedy po wydaniu *Araba*, *Żnii*, *Bieleckiego*, a choćby *Maryi Stuart*, ma się za równego Mickiewiczowi. Że on sam ludzi się mniemanem powodzeniem swoich poezyj, to rzecz ludzka i zwykła. Ale jego biograf jest pod tym względem także cokolwiek łatwowierny. Dobrze robi, że przytacza z pism peryodycznych różne recenzje; tylko, wiedząc, jak się recenzje zbyt często na świecie piszą, nie można ich tak śmiało brać za wyraz opinii ogółu — niezawsze nawet za wyraz przekonania samych piszących, bo ci nieraz przez grzeczność przesadzają w pochwałach a przemilczają nagany. Co szczególnie przykre do czytania, ale i bardzo zajmujące, to emigracyjne zatargi, a zwłaszcza skandaliczny obchód drugiej rocznicy 29 listopada, szczegółowo opowiedziany. Prosta rzecz, że takie sceny, takie indywidualia, natchnęły Słowackiego tym smutkiem, w jakim pisany jest *Anhelli*, i dostarczyły do niego rysów.

Miłość biednej Cory Pinard do poety, zajmuje cały jeden rozdział. Biedna dziewczyna wygląda w nim sympatycznie — nie młody człowiek, który doznaje tylko satysfakcyi w swojej miłości własnej, a innej miłości nie czuje. „Dla was to jest

igraszką, mnie idzie o życie*. Cora nie umarła wprawdzie, nawet wyszła za mąż i żyła z mężem szczęśliwie; ale, podług wiadomości, jakie o niej zebrał p. Hösick, nie zapomniała nigdy.

Nie tak obszernie, ale przecież obszernie, opisany jest wypadek, na którym głównie opiera się surowy i gorzki sąd autora o Januszkiewiczu. Miał się bić medal na pamiątkę powstania roku 1830. Nie było pieniędzy. Januszkiewicz oświadczył, że je znajdzie, sposobem prywatnej pożyczki, ale w takim razie pożyczający zastrzega sobie prawo do zysków ze sprzedaży medalów, jeżeliby jakie były. Ktokolwiek był tym pożyczającym, jeżeli nawet sam Januszkiewicz, nie możemy zrozumieć, co w tem tak złego i oburzającego? Kto swoje pieniądze pożycza, kto je ryzykuje, kto przez pożyczkę robi dogodność drugiemu, ten ma prawo do jakiegoś odszkodowania lub zarobku. Słowacki oburzył się, i nazwał to *oszustwem* — tylko tyle! Pan Hösick tak daleko nie idzie, ale pozwalając wspaniałomyślnie, że Januszkiewicz mógł być człowiekiem porządnym i pożytecznym, twierdzi, że kierował się tylko interesem i rachunkiem, że nie był *gentlemanem* etc. etc. Nie możemy jakoś zrozumieć tej subtelnej dystynkcyi. Widzieliśmy dużo tak zwanych *gentlemanów* z pozoru, którzy porządnymi ludźmi nie byli; a naodwrot nie wiemy, dlaczego człowiek porządny miałby nie być *gentlemanem*. Ale mniejsza o to. Zachowujemy w zupełności to przekonanie o Januszkiewiczu, jakie mieliśmy zawsze i mamy, jakie mieli wszyscy — powtarzamy to umyślnie — najgodniejsi i najrozumniejsi ludzie w emigracyi i w kraju, do jakiego on miał wszelkie i zupełne prawo. Przekonywać, zwłaszcza przedzonych, nie mamy pretensyi. To tylko wydaje nam się dziwnem, że jeżeli Januszkiewicz postępował tak źle, jeżeli nie był *gentlemanem*, jeżeli go Słowacki oskarżał aż o oszustwo, że tensam Słowacki chciał potem zostawać z nim w stosunkach, ba pisać do niego wiersz, poufały i przyjacielski *Do Księgarza*, którego każda zwrotka kończy się słowami: *Mój Eustachy!* Albo się człowieka źle nie sądzi, albo jeżeli się ma powód do złego sądenia, nie zostaje się z nim w stosunkach i nie pisze się do niego wierszy. Chyba, że się nie jest mężczyzną, ale dzieckiem, które samo nie wie, co i dlaczego myśli i robi.

Wychodzi *Trzecia Część Dziadów*. W tej sprawie każdy nie sprzedzony musi, zgodnie z autorem, przyznać, że żal Słowackiego do Mickiewicza był słuszny, a postępek Mickiewicza nielitościwy, jeżeli nawet był na rzetelnej prawdzie oparty, co wcale pewnem nie jest. Autorowi można tu jednak zrobić uwagę, że nie potrzebnie drukuje z *Dziadów* ogromne wyjątki z ustępu *Pan Senator*. Przecież ludzie czytali *Dziady*, znają je, i nie potrzebują, żeby im przypominać.

Potem wyjazd Słowackiego do Genewy, i koniec pierwszego tomu.

Eglantyna Patteg, dom jej matki, pisanie *Kordyana*, a potem, w drugim rozdziale, to, co z pobytu w *Szwajcaryi* zaciekawia czytelnika zawsze najbardziej, panna Marya W. i prawdziwy przebieg sprawy, która w wyobraźni poety zrodziła jego cudny poemat.

Ciekawość zaspokojona jest od dość dawna. Był czas, że z natężoną a niezaspokojoną pytalśmy, jak to naprawdę było, wysilaliśmy się na domysły, jak być mogło. Dziś już na domysły pola niema. Od czasu jak p. Antoni Wodzyński, bratanek Maryi, w książce *Les trois romans de Frédéric Chopin*, opowiedział historię swojej ciotki, od czasu zwłaszcza jak świeżo zmarła pani Orpiszewska, z łaskawością tak wielką, że aż dziwną, zechciała sama dać wyjaśnienia, o które ją proszono, rzecz stała się jasną i rozstrzygniętą. Słowacki mógł się kochać w pannie Maryi, ale ona wzajemną mu nie była. Bratanek jej, choć mógł znać sprawę, mógł nie być jeszcze świadkiem stanowczym. Ale ona sama? ona przecież musiała wiedzieć najlepiej co dla Słowackiego czuła i o nim myślała — a skoro ona twierdzi, że go nie kochała, to musiało tak być. Mogła nie odpowiadać na pytanie; ale kiedy już raczyła się skłonić do odpowiedzi, to niewierzyć jej, nie mamy żadnego prawa ani powodu. Cóżby miała za wzgląd czy interes, mówić nieprawdę, i po sześćdziesięciu latach jeszcze?

W nawiasie tylko powiemy, że owo pytanie wydaje nam się trudnym do pojęcia. Jest ono ciekawym znakiem czasu. Stało się obyczajem dziennikarzy pytać wszystkich o wszystko, i stało się obyczajem zapytanych odpowiadać na pytania najbardziej niedyskretne. Jedni je zadają, bo muszą chyba myśleć, że Pan Bóg świat stworzył na to, by reporterowie mieli o czem pisać; drudzy odpowiadają, bo się boją, że milczenie spowodziłoby na nich zemstę dziennikarza. Do literatury przecież ten obyczaj dotąd nie przeszedł. Widać jednak, że zaczyna przesiąkać i do niej, skoro pisano do kobiety z żądaniem, żeby się tłumaczyła z uczuć swego serca. Ten, co pytał, był dziwnie *śmiały*. Ta, która co odpowiedziała, była dziwnie dobra. Bo jakkolwiek historię swoją mogła opowiedzieć głośno przed całym światem, to na niedyskretne pytanie miała prawo odpowiedzieć: „Co panu do tego?”

Pan Hösiek widzi tę sprawę w świetle, co do Słowackiego, prawdziwem. Panna zrazu jest mu zupełnie obojętną, z czasem zaczyna mu być sympatyczną. Po wspólnej wędrówce w górach znajomość lepsza, a sympatya większa. Marzenie o ożenieniu, które rzadko którego omija, przychodzi i na poetę, i łączy się z tą sympatją da panny Maryi W. Słowacki się rozmarza; im więcej widzi przeszkód pomiędzy sobą a tem marzeniem, tem

więcej się rozmarza; a kiedy się usunął i odjechał, dopiero w tej samotności rozmarzył i roz tęsknił się najwięcej. Znajdował i pewną satysfakcyę miłości własnej w tej nieszczęśliwej miłości, która naturalnie jest zawsze poetyczna, i wspomnienie jej zawiózł ze sobą do Włoch i na Wschód, chował je długo. Było ono zapewne szczerem, ale było też i pielęgnowanem starannie, i (może bez jego wiedzy) podniesionem do większych rozmiarów. Nam także zdaje się, że tak było; tak rozumiemy stan uczuć Słowackiego.

Ale co się tyczy panny Maryi W. już się musimy z biografem trochę różnić. On zna jej własne wyznania, i nie odrzuca ich; ale nie może przecież uwierzyć, iżby ona wcale nie była Słowackiego kochała. Choć trochę — ale musiała kochać koniecznie! Pomiędzy tem, co opowiada p. Wodzyński w swoich *Romansach Chopina*, a tem, co mówi jego ciotka w liście do p. Biegeleisena, zachodzą małe sprzeczności w szczegółach. Oho! świadkowie się krzyżują w zeznaniach, to znak oczywisty, że nie mówią prawdy, coś ukrywają! Pani Orpiszewska mówi, że Słowacki wydał jej się raczej niesympatycznym i trochę śmiesznym? Gdyby tak było naprawdę, to nie byłaby tego śmiesznego człowieka prosiła o wiersze do swego albumu. Mówi dalej, że w owych latach nie myślała o żadnych miłościach? Nie można jej w tem wierzyć, bo przecież w tymsamym czasie starał się o nią jakiś p. Darowski i jakiś Francuz. A zresztą, gdyby nie była miała dla Słowackiego żadnego sentymentu, czyż byłaby na krótko przed ostatniem pożegnaniem obiecywała, że zostanie pustelnicą i kiedyś wypowiedzą się przed zakonnikiem czy pustelnikiem, którym będzie nie kto inny, tylko on, Słowacki! Autor sądzi, że panna była obojętna, szczerze i dość długo, ale czasem udzieliło się i jej wrażenie tej miłości, jaką wzbudziła. Stanowczym miał być ten moment, kiedy pewnego razu ona grała na fortepianie, a Słowacki zniemacka chwycił jej warkocz i pocałował. Wtedy poznała, że jest kochaną; a że żadna kobieta na to obojętną nie jest, więc i ona zaczęła o Słowackim myśleć więcej i inaczej. „Mogła nie być mu wzajemną, ale samo uczucie delikatności nakazywało mieć wzgląd na niego, pozwolić, żeby się czasem ludził, nie dawać powodu, żeby cierpiał“ (str. 98). Delikatność taka, byłaby tak dziwną, że trzeba by ją nazwać inaczej; panna, która po tak obcesowej deklaracji stała się dla młodego człowieka „łaskawszą“ niż przedtem, musiałaby albo go kochać także, albo mieć zalotność posuniętą o wiele zadaleko. Czy mamy jakie prawo posądzać o to pannę Maryę W.? Nie widzę żadnego, ani żadnego na to dowodu. Słowacki pisze raz wyraźnie w *Szwajcaryi*: „Odtąd w uśmiechach była dla mnie rzadsza“. Czy ten wiersz nie jest wspomnieniem tej sceny właśnie? Biograf tak często odnosi wiersze poety do jego doznanych wrażeń, jedno drugimi objaśnia, że

i nam powinno być wolno to zrobić, i zapytać, przypuścić, czy właśnie po owem zejściu z warkoczem, p. Marya W. nie „stała się w uśmiechach rzadszą?” Czy to przypadkiem nie przyczyniło się także do wyjazdu Słowackiego? Czy nie nastął między nimi stosunek fałszywy, przykry? Spowiedź, którą panna miała odbyć przed pustelnikiem, nie sprzeciwia się temu przypuszczeniu, bo nie wiemy, co ona byłaby na tej spowiedzi wyznała. Może to, czego Słowackiemu teraz przecie zwierzać nie mogła, to, że kiedyś, po dziecinnemu, zajęta była Chopinem, i że go dotąd nie zapomniała. Że można kogoś znajdować „zarozumiałym i śmiesznym“, a prosić go o wiersze, kiedy on umie piękne wiersze pisać, w tem przecie niema nic dziwnego, ani sprzecznego. Że można kogoś znajdować zarozumiałym i śmiesznym, a mimoto cenić go, lubić, być z nim w przyjaźni dla innych jego przymiotów, to rzecz tak zwykła, że nie warto o niej mówić. Wszyscy przecie widzimy wady i śmieszności ludzi, do których jesteśmy przywiązani, a przywiązanie zachowujemy przez całe życie. Pozwalamy więc sobie zostać przy swoim zdaniu i wierzyć p. Orpiszewskiej kiedy twierdzi, że panna Marya W. nie kochała Słowackiego ani trochę. Że on w to nie wierzył, że po latach jeszcze nazywał ją *swoją* Maryą, to częsta niestety u mężczyzn a u niego tak bardzo wygórowana miłość własna, i dowód, niestety, że p. Marya W. niezupełnie się myliła, kiedy go nazywała zarozumiałym i śmiesznym. Jest takim zawsze mężczyzną, kiedy mówi o swoich zwyczajach, choćby prawdziwych — jest tembardziej, kiedy zwyczajstwo sam sobie wyobraził.

Do podbojów musiał Słowacki mieć osobliwe szczęście, bo spotykamy podboje i we Włoszech także. Czy pewne? Na jakiej zasadzie naprzykład twierdzi biograf, że pani Suchodolska, żona malarza, była „zalotna“ i Słowackim zajęta? Ustęp z listu, w którym on mówi, że zapewne zapomniała o przechadzkach nad morzem, za dowód przecież służyć nie może. Ani takiego nawet niema naszym zdaniem na ten romans z Włoszką, właścicielką hotelu w Sorrento, w którym Słowacki ma być podobny do Goethego, a Neapolitanka do Rzymianki z *Römische Elegien*. Zresztą Rzym, znajomość z Krasieńskim i jego towarzyszami, wuj Januszowski i jego żona, którzy poetę prędko zaczynają nudzić, pierwsze myśli o *Beatrice Cenci*, wrażenia Neapolu odbijające się w pierwszej pieśni *Podróży na Wschód*, Krasieńskiego wrażenia o Słowackim i zdania o jego poematach, z dodatkiem tęsknoty za Genewą i za Maryą W., oto treść księgi o Włoszech.

Zadziwiła nas w niej jedna wiadomość, mianowicie ta, że *Transfiguracya* jest „największem może, choć *rozmiarami najmniejszym* arcydziełem Rafaela“. Teofil Januszowski robił „por-

trek Słowackiego, rozmiarami nie większy od *Transfiguracji* „Portrecik” musiał być spory?!

Dziwna rzecz, ten tom drugi treścią swoją więcej zajmujący i bogatszy od pierwszego, jest od niego bardzo znacznie krótszy; nie chcemy przez to powiedzieć, że jest gorszy, bynajmniej. Uważamy tylko, że kiedy w pierwszym niejeden objętny drobiazg rozszerzony był w opowiadaniu do znacznych rozmiarów, tu albo autor takich nowych a niezbyt znaczących szczegółów miał mniej, albo się z nimi zręcznie obchodził. Grecya nie obejmuje właściwie nic więcej nad to, co opowiedział sam Słowacki w *Podróży na Wschód*, tylko opowiada to autor swoim sposobem, zwracając uwagę najbardziej na te chwile podróży, które wydały najpiękniejsze ustępy poezji: *Grób Agamemnona* i *Zatokę Korynecką*. W Egipcie jeden szczegół nowy i ciekawy, to plan dramatu o Ramzesie, który Słowacki układał — niemniej reminiscencye egipskiej podróży i egipskich starych pojęć, w jego pismach z ostatniej messyanicznej epoki.

Że Ziemia Święta wywarła głębokie wrażenie, i artystyczne i religijne, wierzymy zupełnie. Że w klasztorze na Libanie zrodził się pomysł *Anhellego*, nie widzimy dostatecznego powodu, żeby bądź stanowczo uwierzyć, bądź zaprzeczyć. Szybkość podróży po Ziemi Świętej, w jednym dniu Betleem, Morze Martwe, Jerycho i powrót do Jerozolimy, w jednym przebyta droga do Nazaretu, może się wydać trochę dziwną; ale jeżeli to niedokładność, to mniej ważna.

Z pobytu we Florencji, gdzie składa się w wyobraźni poety *Szwajcarya*, *Ojciec Zadżumionych* i *Dantyszek*, mielibyśmy do zrobienia tę małą uwagę, że kiedy autor wymienia ludzi, z którymi Słowacki miał stosunki, to mógłby bodaj w odsyłaczu objaśnić kto oni byli. W pierwszym tomie robi to aż nadto sumiennie; tu może nie dosyć. Naprzykład Herman i Józef Potoccy, księżna Survilliers, Zdzisław Zamojski i jego żona etc. Ale z powodu tej księżnej Survilliers (córci Józefa Bonaparte a wdowy po starszym bracie Napoleona III), jedna uwaga ważniejsza. Kochała się w Słowackim! I ona także? A jakże! Tak mówi biograf. Ale na jakiej zasadzie, na jakiej podstawie? Nawet listy Słowackiego nie upoważniają do takiego wniosku. Byli, są jeszcze ludzie, którzy tam we Florencji byli, którzy to wszystko widzieli i pamiętają. Ci świadczą, że owa księżna była wprawdzie zajęta, i mocno, ale nie Słowackim, tylko kim innym. Ale to nic! Jakżeby mogła nie kochać się w Słowackim? Musiała, powinna była kochać się w nim. A jeżeli tego nie zrobiła — to miała zły gust! W końcu tomu ukazuje się na horyzoncie panna Aniela Moszczeńska.

Słowacki ma ochotę i ma nadzieję ożenienia; potem tę nadzieję traci, gorycz swoją wylewa w wierszu do panny, która — mówimy tu znowu na podstawie zeznań naocznych świadków —

nigdy za niego iść nie myślała, bo jej był zupełnie obojętny. Jej śmierć niby z miłości i z żalu za Słowackim, jest poetyczną legendą, której p. Hösieck nie opowiada. Umarła z choroby, sprowadzonej nateżeniem, kiedy krewną obłąkaną i rzucającą się z okna, z całych sił trzymała, i zatrzymała.

Wtedy Słowacki był już w Paryżu.

Tom trzeci zaczyna się powrotem do Paryża, wydaniem *Balladyny, Mazepy, Lilli Wenedy, Trzech Poematów*, i ich krytykami, które poetę drażnią i martwią, które jego biograf uważa ryczałtem za uprzedzone i niesprawiedliwe, nie zadając sobie pytania, czy w nich niema czasem prawdy i racyi. Co pochwalne i przyjemne, to słuszne i w dobrej wierze pisane; co nagana, to niechęć a często intryga. Po takim wstępie dochodzimy do rozdziału drugiego, nad którym stoi wypisany tytuł *Pani Joanna Bobrowa*. Nie możemy i nie potrafimy nigdy zgodzić się na ten obyczaj, który pisarzom pozwala — którym raczej oni pozwalają sobie sami — wymieniać w drukach nazwiska kobiet żyjących, lub zmarłych kiedy żyją ich dzieci i wnuki, jeżeli one grały jakąś rolę w życiu sławnych ludzi. Jest w tem jakiś brak poszanowania, względu dla drugich, czci należnej kobiecie, tych uczuć, które nazywały się delikatnością, a były, są i będą zawsze, podstawą i warunkiem szlachejnych stosunków między ludźmi, rzetelnej cywilizacji w tych stosunkach. Gdzie chodzi o miłość, a dopieroż miłość nie samego mężczyzny, ale wzajemną, tam ta delikatność i dyskrecya staje się tem większą i tem prostszą powinnością. Osobę, którą kochał Zygmunt Krasinski, do niedawna jeszcze w pismach i książkach oznaczano pierwszą literą nazwiska, choć ona wiadomą była od lat sześciudziesiąt. Dziennikarskie zuchwałe *reporterstwo*, które wszystko sobie pozwolom być mniema i we wszystko chce się wciskać i wgłądać, zarazą poemata i literaturę, i ściera z niej ten pyłek delikatności, który jej tak jest właściwy i przystojny, jak szlachetnemu owocowi.

Ale w tych przypadkach, jak w wielu innych, zły przykład raz dany staje się faktem dokonanym, na który niema rady. Kiedy jeden wydrukował już takie nazwisko niewieście, drugi nie może, choćby chciał, udawać niewiomości i zachowywać dyskrecyi. Byłaby ona tylko udawaniem bezskutecznem, bez celu i bez rozumnego powodu. Dlatego i my już powtarzamy to nazwisko przez innych wymienione, przepraszając za to najszczerzej i najpokorniej tych, którzy mają prawo do żalu i gniewu, protestując, że nie my daliśmy przykład i że obyczaj ten uważamy za zły.

Pan Hösieck miał w rękę dokumenta pierwszej wagi w tej sprawie, dotąd zupełnie nieznanne, listy Słowackiego do pani B. Utrzymuje on, że to była największa, najgłębsza miłość w całym życiu poety. Wierzyć i sądzić nie mamy sposobu; wogóle

tylko, względem wszystkich miłości Słowackiego zachowujemy się ostrożnie, cokolwiek niedowierzająco. Fantazyi, przesady, wmówienia w siebie, widziało się tyle w jego poprzednich zapalach czy tęsknotach, że i tym razem w uczuciu jego mogło być wyobraźni i poetyzowania tyle, co rzetelnej prawdy. Jakkolwiek — bądź, w listach są ustępy bardzo piękne, a przebieg całego tego romansu składa p. Hösic jak następuje.

Słowacki spotkał w Paryżu panią B., którą przed laty widywał w Dreźnie; zajął się nią odrazu, i coraz bardziej. Nie wiedział nic, nie domyślał się, jaki tragiczny dramat przeżyła w życiu. (Czy to bardzo do prawdy podobne? Dramat ten był znany i głośny na nieszczęście: trudno uwierzyć, żeby o nim nie nigdy nie był słyszał człowiek, którego Krasiński bardzo żywo obchodził). Dość, że Słowacki nie wie: marzy, wzdycha, czytuje wiersze swoje i cudze, ale nie przypuszcza, iżby cokolwiek mógł kochać się w pani B. z jakąś taką nadzieją wzajemności. Wychodzi *Noc Letnia*. Słowacki skwapliwie niesie tę nowość, żeby ją swojej ubóstwianej przeczytać: czyta dedykację — i wtedy „serce jak grób zamknięte w sobie“ nie może opanować wzruszenia, odważa grobowe wieko swojej tajemnicy, i pani B. opowiada Słowackiemu całą swoją historję. Czy się to wszystko tak odbyło? Sądzę, że mamy tu do czynienia z hipotezą biografa, efektywną, ale nie udowodnioną, cokolwiek dowolną. Dość, że od tej chwili Słowacki nabrał otuchy: „Jeżeli mogła kochać tamtego, to czemuż nie miałaby kochać i mnie!“ Zaczynają się więc kilkoletnie starania, zabiegi, rozpacz, i nadzieje: jazda za panią B. do Frankfurtu z nadzieją zdobyczej i podboju, a bez zwycięstwa. Nowe rozpacz i narzekania, zwierzenia przed Krasińskim, tego odpowiedzi, pełne wyrozumiałości, ale i poważnych przestróg. Trwa to przez rok 1841 i 1842, w tym już zdaje się urywać, wzgardzony wielbiciel daje dymisję; pisze, że „w jego sercu niema nic, coby się pani mogło przydać, owszem wszystko może odwiódłoby ją od egoizmu, od szczęścia“. Jednak to nie zerwanie jeszcze: dużo później, aż do r. 1846 i 1847 ciągną się wspomnienia, tęsknoty, listy.

Stanowisko, jakie względem tej sprawy zajmuje biograf, jest cokolwiek dziwne, i zdaniem naszym niezupełnie logiczne. Widzi i przyznaje, że pani B. nie kochała Słowackiego; ale ma do niej żal, ma jej prawie za złe, że go nie kochała. Nazywa ją stale *dreńcyielką*. Czy kobiety mają obowiązek, przez litość lub przez grzeczność, kochać mężczyzn, którzy się w nich Kochają? Czy może mają ten obowiązek względem niektórych tylko, uprzywilejowanych, sławnych? Czy nie mają prawa nie kochać? Czy, w tym szczególnym przypadku, pani B. dreńczyła może Słowackiego zalotnemi uludnemi nadziejami, których spełnić nie chciała? Nie; nie takiego nie było. Ona kochała raz w życiu, i do śmierci. Tę miłość miała za samą treść swego życia, tra-

gedyę tej miłości za expiacę swego błędu, wierność i jedność tej miłości za swoją cześć. Z tego powodu jest bardzo rzadkim, bardzo szlachetnym, bardzo poetycznym okazem niewieściej natury i miłości. I dla tego że się tym swoim uczuciom nie sprzeniewierzyła, że miłość miała dla jednego tylko, ona ma być *dręczycielką*, albo naturą powierzchowną, której wystarcza światowa próżność? Czy kochając drugiego, nie byłaby zesza do rzędu tych kobiet, które raz zawiedzione w miłości szukają coraz nowych pociech i kochanków? Nie: mogła ona swoją rozpaczą bliską obłąkania dręczyć Kraszińskiego w r. 1836 i 1837, mógł Słowacki dręczyć się swoją miłością do niej której Bóg wie czy sam nie przesadzał i w siebie nie wmawiał — ale ona była w swojej miłości wyższa, szlachetniejsza, prawdziwsza, od nich obu. W dzieje tego kilkoletniego romansu wsuwały się różne epizody. Jednym jest znana i do znudzenia powtarzana historia dwóch bankietów na cześć Mickiewicza, dwóch improwizacyj, dwóch puharów, z których zrobił się tylko jeden puhar dany Mickiewiczowi, kiedy Słowacki nie dostał nic. Wszystko to niecne intrygi niecnej koteryi litewsko-jezuickiej, która ataczała Mickiewicza a Słowackiemu stała na zdradzie! Należał do niej Witwicki, Platerowie, różni inni, a zwłaszcza czarny charakter, Januszkiewicz. W swoim czasie, kiedy p. Hösieck ogłaszał niektóre rozdziały swojej książki, mieliśmy sposobność powiedzieć co o tej sprawie myślimy. Uważamy ją za przykrą dla wszystkich, dla ogółu polskiego. Zdarza się czasem, że głupie baby klócą się o drobiazgi; rozumne kobiety tego nie robią; cóż dopiero mężczyźni, a dopieroż tacy, jak ci! Żle zrobili ci, co Słowackiemu puharu nie dali? Dajmy na to, choć trudno im brać za złe, że Słowackiego nie mieli za równego Mickiewiczowi i nie traktowali ich równo. Ależ na miłość Boską, czyż człowiek rozumny, człowiek, który nie chce wyglądać śmiesznie, obraża i gniewa się o to, że go jakieś odznaczenie nie spotkało? Jeżeli takie uczucie ma, to go głęboko ukrywa, przez samą dumę, jeżeli nie przez co lepszego. Dąsa się, skarży się, nie godność, nie duma nawet, tylko prosta i płaska próżność. Pan Hösieck tego wszystkiego nie chce widzieć, widzi tylko niegodziwą intrygę, wyrachowaną na upokorzenie i uciemiężenie nieszczęśliwego Słowackiego. Widzi ją nawet w tem, że zażądano od niego toastu na cześć Mickiewicza. On sam mówił, że to miał być znak „wassalstwa“; a biograf staje po jego stronie. Nie miło jest wspominać i pisać o tych małościach, ale skoro drudzy piszą o nich tak wiele, to i nam godzi się powiedzieć, że w królestwie poezyi polskiej Mickiewicz był królem; a jak książkę Bretanii lub Prowancyi nie miał sobie za wstyd być wassalem króla francuzkiego, tak i poeci polscy mogli spokojnie znosić swoje wassalstwo względem Mickiewicza. Czy Kraszińskiemu przeszło kiedy przez głowę skarżyć

się, zazdrościć Mickiewiczowi? Przypuśćmy, że dziś odbywa się taki bankiet, literacki, nie na cześć poety, skoro wielkich poetów nie mamy, ale dajmy na to, na cześć Sienkiewicza. Gospodarze upatrują, kto talentem najwięcej miałby prawa wnosić jego zdrowie, i proponują to, dajmy na to, pani Orzeszkowej. Nie znamy pani Orzeszkowej, ale jesteśmy pewni, że wzięłaby to za rzecz dla siebie pochlebną i miłą, nie za upokorzenie — i że wzniosłaby taki toast z dobrą chęcią, z dobrem sercem, i z dobrym gustem. Z pewnością nie zaczęłaby od skarg, że sama nie jest dość ceniona i sławiona. Gdyby zaś miała jaki do Sienkiewicza żal, i do tego żalu powód, jaki miał Słowacki względem Mickiewicza, to powiedziałaby poprostu i otwarcie, że jego zdrowia wnosić nie chce. Cała ta sprawa między Mickiewiczem a Słowackim jest przykra, upokarzająca. Dowodzi jeszcze raz, że nie może być dwóch Polaków, choćby bardzo wysokich, którzyby się nie boczyli i nie krzywili na siebie, czasem z uszczerbkiem dla ważnych i wielkich rzeczy. Mickiewicz był bardzo niesprawiedliwy, kiedy o Słowackim nie mówił w *Kursach*; Słowacki był próżny aż do małości, kiedy się dąsał i skarżył, a aż do dzieciństwa, kiedy pokazywał gniew o ów nieszczęsny puhar.

Z tą sprawą w związku jest *Beniowski*: pięknego dzieła niegodny początek. Biograf dobrze robi, że podaje różne współczesne recenzje i krytyki; sam widzi w ustępach satyrycznych tryumf Słowackiego, a wieczny wstyd jego przeciwników i krytyków. Nam wydaje się to inaczej. Końcowy ustęp piątej pieśni jest oburzający zuchwałością: nikt i nigdy nie miał prawa tak do Mickiewicza mówić. Oprócz tego jest on i przechwałką, dla poety nie zaszczytną; i frazesem bez znaczenia. Powiedzieć, że nas zawiedzie „tam gdzie Bóg, w bezmiar, wszędzie“, to zaprawdę rozumnemu człowiekowi, zdającemu sobie sprawę z tego co myśli i mówi, chyba nie przystało. Ustępy satyryczne, niektóre są prawda bardzo dowcipne, ale większość, tych zwłaszcza, które się odnoszą do osób, szpeci piękne dzieło i psuje jego wrażenie. Opowiadania przesłiczne, wrażenia najrzeczniejsze, przerywają się co chwila przytykami i przygryzkami do niewiadomych osób i stosunków, które czytelnika nie nie obchodzą; czytelnik jest zmrożony, czar się ulatnia i znika. Próżność i obraźliwość Słowackiego, ukarała się najbardziej sama, kiedy to jego dzieło zepsuła, a uratowała od niepamięci tych, których on chciał upokorzyć. Kto dziś myśli o *Młodej Polsce*, kto wie co ten lub ów w niej o dziełach Słowackiego napisał? Ludzie i ich sądy znikliby byli bez śladu, gdyby Słowacki nie był ich od tego smutnego losu uratował, tem, że ich wspominał, że się na nich skarżył. Przez niego tylko, uwieczniony jest Z. K., S. K. i inni jego krytycy. Kara za próżność jest sprawiedliwa; ale zeszczenie *Beniowskiego* jest szkodą ogromną i niepowetowaną. Biograf

i tego nie widzi. Cieszy się tryumfem poety a klęską jego przeciwników, między którymi ze szczególną przyjemnością a bez dostatecznych dowodów upatruje Januszkiewicza, ten czarny zdradziecki charakter, jako autora niektórych krytyk. Gdyby przynajmniej, skoro się już tak szczegółowo temi kwestyami chciał zajmować, był starał się dojsć, kogo Słowacki rozumiał przez pannę Praxedę: spodziewaliśmy się rozwiązania tej zagadki, aleśmy go nie znaleźli. Za to twierdzenie, że przeciwnicy Słowackiego mieli „*małe dusze*“. Nie uważamy Witwickiego na przykład za duży talent, ale takiej *małej duszy*, jak jego, życzylibyśmy każdemu, od siebie poczawszy. A Bohdan Zaleski z sercem czystem jak lza, a życiem cnotliwym jak mało, czy to także *mała dusza*? Talentu nieskończenie więcej, ale małości w usposobieniu i w wadach, znalazłoby się właśnie u Słowackiego więcej podobno, niż u tamtych.

Z *Beniowskiego* wywija się pojedynek Słowackiego z Ropelewskim. Biograf przedstawia go znowu jako intrygę „*nerogóie*“ poety. Spodziewali się oni, że poeta stchórzy, i będzie znowu upokorzonym. Ale się zawiedli. Słowacki nie stchórzył, bał się o siebie Ropelewski. Gdy to spostrzegli jego sekundanci i przyjaciele, zaczęli pracować nad załagodzeniem i odwróceniem pojedynku. Słowacki chciał się strzelać do ostatka, aż wkońcu własni sekundanci musieli mu powiedzieć: ale „z kimże chceś się strzelać, kiedy tamtego niema“.

Z tych słów wynikałoby, że Ropelewskiego wcale na umówionem miejscu nie było. Z listu, w którym Słowacki opisuje tę sprawę pani Bobrowej, wynikałoby znowu, że był zielony i drżący ze strachu, z zapuchłemi i czerwonemi od płaczu oczyma. Jeżeli go Słowacki takim widział, to jednak on tam na placu być musiał. Cóż więc jest prawdą? Wogóle, kiedy się kogoś oskarża, a zwłaszcza o rzecz tak brzydką jak tchórzostwo, to najprostsza sprawiedliwość nakazywałaby wysłuchać i drugiej strony. W tym razie rzecz jest niemożliwa, świadkowie dawno pomarli. Ale jeden świadek nie wystarcza — zwłaszcza że jego miłość własna i fantazyja nieraz ukazywały mu ludzi i wypadki w świetle niezupełnie prawdziwym. Że ludzie starsi próbowali pojedynek odwrócić, to nie koniecznie intryga — to prosty popęd uczucia, sumienia, i obowiązku. A że Platerowie, kasztelan i Cezary, nie robili intryg i podstępnie doków pod ludźmi nie kopali, to znowu świadczy całe ich życie, którego dobrej sławy, dobrze zasłużonej, niniejsze podanie nie przeważa i nie zmaże.

Najlepszą naszym zdaniem, a w każdym razie najbardziej nową częścią dzieła, jest ta, która opowiada stosunek Słowackiego do Towiańskiego i Towiańszczyzny. Dziwi nas wprawdzie, że biograf nazywa Towiańskiego prostym. Chyba że w mowie i w życiu był zupełnie innym, jak w naukach i listach. Tak

doktryna jego bowiem, jak jego wyrażenia i styl, są absolutnem przeciwieństwem prostej myśli i prostego słowa. Ale powody i usposobienie Słowackiego kiedy przystępuje do *Koła*, są wyrozumiane i wytłómaczone bardzo dobrze. Jego zaś początkowy zapal, a rychłe zrażenie się i odstąpienie, nie były jeszcze nigdy, ile wiemy, tak dokładnie zbadane i opowiedziane. Ostatecznie gniewa i oburza Słowackiego list Alexandra Chodźki do cesarza Mikołaja; ale znacznie przedtem już on czuje się w *Koło* nie swoim, co wywołuje znowu sąd *Koła* nad nim jako obwinionym. Kończy się na zerwaniu, po którym Słowacki składa swoje osobne Koło „braci“ i układa nową osobną naukę. „Zaczął się uważać za wysłannika bożego, za człowieka — anioła. Zdawało mu się, że ma namaszczenie i rozkaz z góry do opowiadania słowa bożego: mówiąc poprostu, uwierzył w swoją boskość“ (str. 400). To ostatnie nie koniecznie wynika z pierwszego. Można wierzyć w swoje powołania i namaszczenia, a nie wierzyć przeto w swoją boskość. Ale kiedy biograf dodaje do tego uwagę, że „psychiatra nazwałby to manią wielkości“, to zaprzeczyć mu trudno, bo niejedno w życiu Słowackiego potwierdza takie zdanie.

Zerwanie z Krasieńskim, ostateczne, przypisuje p. Hösieck urazie, jaką Krasieński miał powziąć z powodu *Księdza Marka* i roli swego przodka w nim. Nie należało zapominać, że kiedy Małeckie pierwszy z tem przypuszczeniem wystąpił, przyjaciel Krasieńskiego, ś. p. Stanisław Małachowski, ogłosił zaraz zaprzeczenie w *Przeglądzie Polskim*. Świadek to tak blizki, że zeznać jego pomijać nie można. Nie napisał i nie wydrukował, ale poufnie powtarzał zawsze i on, i Jerzy Lubomirski, że powodem stanowczego zerwania był list o pani Bobrowskiej, bardzo obelżywy, który Słowacki do Krasieńskiego napisał. Szczegół ten był już w druku do wiadomości ogółu podany. Kiedy zaś przychodzi do walki na wiersze, do *Autora Trzech Psalmów*, i do *Psalmu Żalu*, p. Hösieck staje po stronie Słowackiego, a Krasieńskiemu zarzuca „nieprawdę, brak miłosierdzia, samochwalstwo“ i porównywa go do „Faryzeusza“ z przypowieści, który dziękował Bogu, że nie jest taki jak celnik! Oburza go zwłaszcza wiersz

Szlibyśmy oba, i szczęśliwsi oba,

Ty *chwala własną*, ja Polski zbawieniem.

Jakże on śmiał napisać taką nieprawdę, kiedy ambicya Słowackiego, jeżeli była dawniej, to od r. 1843 zmalala do zera (str. 490)? W poprzednim rozdziale stało, że usposobienie Słowackiego „psychiatra nazwałby manią wielkości“ i że Słowacki „uwierzył w swoją boskość“. Tu dowiadujemy się, że jego ambicya „zmalala do zera“. Osobliwsze zero! Cóż jest prawdą? Co jest stałą myślą biografą? Naszą jest to, że kto „w bańce własnych siedząc marzeń“ bronił i pochwalał dążności

dla ojczyzny zgubne, a nie będąc ani głupim ani przewrotnym, mógł rozumem i sumieniem i sądzić i przewidywać, ten miał winę ciężką i na karę zasłużył. Dalej to, że kto Krasińskiemu zarzucił jakoby było „podług niego cnotą naszą znieść niewolę“, ten popełnił kłamstwo i potwarz, godne najostatniejszego z podłych pismaków, ale niegodne Juliusza Słowackiego. Dalej jeszcze jest naszą myślą to, że Krasiński miał prawo, i miał obowiązek bronić swojej sławy, i czegoś więcej, bo sprawy swojej ojczyzny. Więc wolno jest jednym tę sprawę gubić a lepszym od siebie bryzgać w oczy *tchórzostwem* i na nich kłamać; ale drudzy kiedy powiedzą, że to kłamstwo, i gorsza od podłości zguba ojczyzny, to są podobni do Faryzeusza? Czytaliśmy i słyszeliśmy takich rzeczy wiele: od pierwszych lat po r. 1863 do dnia dzisiejszego, od podłych piśmideł, aż do tych wykwintnych poezyj, które mówią, że „historyczna nowa szkoła“ (czytaj Szujski i Kalinka) uczy, że „król Herod był dobroczyńcą sierót“. Czytaliśmy podobnych rzeczy dosyć, ale — p. Hösicck się nie obrazi — nie spodziewaliśmy od niego nic coby je mogło przypominać!

W ostatnich latach ciekawa wiadomość o prawdopodobnym początku rozmowy Matki Boskiej Częstochowskiej z Poczajowską (w *Beniowski*). Jestto *Wiec Sokolski* różnych cudownych obrazów Najśw. Panny, drukowany w kalendarzyku emigracyjnym. Pod r. 1848 złudzenie naturalne u Słowackiego, mniej u jego biografa, że przez zamierzoną konfederację i przez wyjazd do Poznania, Słowacki stał się człowiekiem czynu! Czy to były czyny, czy marzenia o czynach? Te ostatnie lata, i ostatnie dni poety, opisane głównie podług wsazówek i listów ś. p. Arcybiskupa Felińskiego, najbliższego i najwiarogodniejszego świadka.

Streściliśmy książkę — na koniec zostawiliśmy jej przedmowę.

Autor określa w niej swój zamiar i stanowisko. Wyjaśnia, dlaczego podzielił swoją pracę na dwie części, w jednej życie Słowackiego, a w drugiej rozbiór jego dzieł; dalej zastrzega się, że nie chciał poetyzować, idealizować, tylko bezstronnie, sprawiedliwie, rzetelnie, odmalować człowieka, jakim był. Co do pierwszego więc, podaje p. Hösicck ten powód, że opowiadanie przeplatane krytycznemi rozbiorami — jak robi Małecki, a za nim inni — traci na związku, na żywości, na ciągu, i czytelnika niecierpliwi, zamiast go przyciągać. Nie chcemy spierać się o to, który sposób lepszy, choćby dlatego, że trzymaliśmy się sami tego sposobu, którego użył Małecki; mógłby kto posądzić, że mówimy *pro domo sua*. Sądzimy, że oba sposoby mogą być dobre, jeżeli piszący dobrze je zastosować potrafi. Ale sądzimy także, że sposób obrany przez p. Hösiccka jest niebezpieczniejszy od tamtego, niebezpieczniejszy dlatego, że przy nim niepodobna chyba uniknąć powtarzań. Jak autor przyjdzie do części drugiej, jak zechce ten lub ów poemat objaśniać

okolicościami życia lub stanem duszy Słowackiego, rad nie rad będzie musiał mówić po raz drugi to, co już raz powiedział w części pierwszej. Krócej zapewne, innemi słowami naturalnie, ale będzie musiał przypominać i powtarzać — chyba że da odsyłacz i każe czytelnikowi patrzeć w części pierwszej na stronie tej i tej. Tylko w takim razie może być pewnym, że na sto czytelników ledwo jeden go usłucha — jeżeli nawet ten jeden.

Autor przyrzeka być sprawiedliwym i bezstronnym; zarzuca naszym krytykom w ogólności, że uniesieni sympatyą do ludzi, o których piszą, poetyzują ich i idealizują. Zarzuca to nawet Małeckiemu. Czy słusznie? Delikatne dotknięcie ręki, dyskretne wskazanie złych stron człowieka, nie jest jego idealizowaniem; a która ze słabych stron Słowackiego nie jest wyraźnie, choć delikatnie, pokazana w dziele Małeckiego, tego do prawdy nie wiemy. Że jego wyjazdowi z Warszawy podczas powstania, Małeki przypisywał powody szlachetniejsze, niż się z czasem pokazało, to nie dlatego, iżby był chciał coś ukrywać lub upięknić, tylko że przed laty okoliczności nie były tak znane i wyjaśnione jak dziś. Przypuszczał pobudki wyższe, bo nie chciał i nie miał prawa przypuszczać niższych bez pewności i przekonania. Ale choć powody sądził zbyt dla poety korzystnie, to postępkowi jego ani nie chwalił ani nie bronił, ani jego charakteru nie idealizował.

Pan Hösiczek przyrzekł, i dotrzymał. Nie zataja żadnej ze słabych stron Słowackiego, określa je wyrazami dosadnymi a czasem bardzo surowymi; czasem odkrywa szczegóły nieznanne, a rzucające na poetę światło niekorzystne. Ma przecież jedną właściwość dziwną. Sam widzi i sądzi Słowackiego trzeźwo; ale nie lubi, żeby kto inny tak go widział i sądził. Kiedy ten inny powie o Słowackim to samo co on, nieraz nawet w wyrazach łagodniejszych, oskarża go o uprzedzenie, o niechęć, o niesprawiedliwość. Najczęściej spada ten zarzut na Odyńca i na Eustachego Januszkiewicza, któremu nawet poświęcony jest osobny, a bardzo niesprawiedliwy ustęp i odsyłacz. Wyobraża sobie p. Hösiczek w emigracji dwa niby stronnictwa literackie, Słowackiego i Mickiewicza, i to ostatnie prześladowało i upokarzało systematycznie to pierwsze, z jego bohaterem właściwie. Są to przesady, z ówczesnym stanem rzeczy i umysłów niezgodne. Nie myślimy bynajmniej przeczyć, że Mickiewicz źle zrobił, kiedy w *Kursach* ani nie wspomniał o Słowackim. Ale możemy młodszym zaręczyć, jako bliżsi owych czasów a później znający je już bezpośrednio, że w rzeczywistości było inaczej. Słowacki miał nielicznych zwolenników lub wielbicieli — należał do nich Zygmunt Krasieński — ale ogół czy emigracji czy kraju był dla niego zupełnie obojętnym. Słowacki się nie podobał, nie był chętnie czytany — tem mniej lubiony. Zły to gust zapewne

i sąd mylny, ale Zaleski, Pol, stali nieskończenie wyżej od niego w opinii. Po jego śmierci dopiero, po r. 1850 zaczęło się częstsze nieco czytanie jego dzieł, ale zrazu przez ciekawość tylko, bez upodobania. Upodobanie rosło — w jednych, bo poznali się na pięknościach jego poezyj, w drugich, bo widzieli w nich *demokratyczne* (!) postępowe hasła i manifesta. Ale dawniej, za życia Słowackiego, nie było ani stronnictw ani intryg przeciw niemu, tylko była obojętność, bo się nie podobał. Kiedy zaś chciał być cenionym narówni z Mickiewiczem — czego przecież nigdy nikt dla niego słusznie żądać nie mógł — kiedy to pokazywał, gniewał ludzi tembardziej. Trzeba dodać i to, że z wyjątkiem kilku przyjaciół, robił na wszystkich wrażenie niesympatyczne, odpychające. Z mnóstwa ludzi, którzy go znali i pamiętają, wszyscy zgodnie, z nader małemi wyjątkami, mówili i jeszcze mówią, że był nieprzyjemny, bo sobą do najwyższego stopnia zajęty, napuszony i obraźliwy. Temi powodami tłómaczy się ta obojętność, czy brak sympatii, które go otaczały. Poezye się nie podobały; usposobienie człowieka było odpychające, nie przyciągające.

Na tem można i trzeba poprzestać, a nie szukać stronnictw i intryg, których nie było. Pan Hösick w najlepszej wierze mówi o swojej bezstronności i zachowuje ją. Ale w tym swoim stosunku do Słowackiego przypomina tych rodziców, co sami widzą i znają wady swoich dzieci, ale nie pozwalają, żeby ktoś obcy je widział i uznał za wady. „Mnie wolno — ale wam zasię“. Przywiązanie do Słowackiego nie zaślepia p. Hösicka, nie robi go stronnikiem i niesprawiedliwym; ale wprawia go w stan rozdrażnienia, kiedy kto inny pozwoli sobie Słowackiego krytykować. *Je le sais bien, parbleu, mais je n'aime pas qu'on me le dise.* Podobieństwo z zaślepieniem rodzicielskiem (pomimo rzetelnej i starannie dochowywanej bezstronności) daje się widzieć i w tem, że autor nie może zrozumieć, jak jego bohater mógłby się nie podobać. Słowacki kocha się, albo myśli, że się kocha — i naturalnie myśli, że jest kochany nawzajem. Okoliczności, świadkowie naoczni, czasem sama nawet ta panna czy pani, dowodzą i ręczą, że nie, że ani jej to nie było w głowie. To nie: ona przecie musiała Słowackiego kochać, choć trochę! Pewna matka, bardzo poważna, bardzo pobożna, miała syna, który się wdał w niepotrzebny romans z cudzą żoną. Bolała nad tem całym sercem. Ale raz usłyszała jak dwie młode mężatki dziwiły się, że owa trzecia mogła być pod urokiem owego syna: „Co ona w nim takiego widzi?“ Miłość własna macierzyńska obruszyła się na to tak, że prze mogła zasady i cierpienia, i wybuchła wykrzyknikiem: „*Pimbèche! va!* ona nie widzi co w moim synu jest do zakochania!“ Pan Hösick sam nie jest zakochany w Słowackim, ale jest w nim

tak rozmiłowany, że nie pojmuje jak wszyscy i wszystkie, za życia czy po śmierci, mogli czy mogą w nim się nie kochać.

Sam zaś, czy się nigdy nie unosi swoim rozmiłowaniem czy podziwieniem? Napotykamy w przedmowie ustęp jeden, który zdaje nam się tego dowodzić. „Nie znam poetyczniejszego życia“ (jak życie Słowackiego). „Jestto historia, która się rozwija jak poemat, i t. d.“. To twierdzenie wydało nam się trochę dziwnem. Które życie i czyje poetyczniejsze, sądzić trudno; usposobienie sądzącego, każdego człowieka, wpłynie zwykle przeważnie na wyrok. Nam się zdaje, że poetycznem, czyli pięknem, może być każde życie; każde może mieć swój orok i wdzięk poetyczny, jeżeli człowiek, który tem życiem żyje, umie sam czuć jego piękność, i wdzięk taki ze swojej duszy mu nadać. Poetycznem jest życie wielkich poświęceń, wielkich wyrzeczeń, wielkich cnót: życie rycerza, czy żołnierza, życie misyonarza czy Siostry miłosierdzia. Poetycznem jest życie wielkich walk z sobą samym, wielkich pokus, wielkich zamiarów, czy uwieńczonych zwycięstwem, czy tragicznie zakończonych upadkiem. Tragicznem, a więc poetycznem, może być życie wielkich zbrodni także. Ale może być poetycznem spokojne błogie życie rodzinne w wiejskim zakątku; może być takim nawet „życie fabrykanta Niemca przy żonie Niemce“, jeżeli to ludzie dobrzy i szczęśliwi spokojem sumienia i domu. Życie artysty, życie człowieka politycznego, życie przedsiębiorcy, prawnika, lekarza, każde może i każde musi mieć swoją poezję, swoją piękność, choć człowiek niezawsze ją czuje i niezawsze ją w życie swoje wnosi. Dlaczego życie Słowackiego miałyby być tak poetycznem, że aż jego biograf nie zna poetyczniejszego? Jeżeli poezją życia nazwiemy pragnienia wrażeń i rozmaitość wrażeń, widoki, podróże, przygody (romansowe lub inne), to i pod tym względem niejeden miał ich tyle, i więcej, niż Słowacki. Byron naprzykład — o tem już nie mówiąc, że jego życie było piękniejsze i poetyczniejsze, „bo opiewał Greków i bił się za Greków“. W życiu Słowackiego widzimy wiele poetycznych wrażeń, marzeń, pragnień. Nie widzimy ani tej piękności wyższej i tej poezji prawdziwszej, jaką życiu człowieka i jego duszy nadaje poświęcenie, wyrzeczenie się siebie, a choćby tylko przewyciężenie siebie — ani tej drugiej, jaką daje równowaga, świadome i dobrowolne zaspokojenie tem życiem, jakie mi Bóg dał, i pogodne lub choćby cierpliwe znoszenie tego, co ono na mnie wkłada. Wyznajemy, że choć Słowackim nieraz i oddawna zajęci, nie myśleliśmy o tem nigdy. Dopiero te słowa p. Hösicka obudziły w nas różne reflexy i pytania, naprzykład: kiedy Słowacki i dla kogo cokolwiek poświęcił? kiedy o sobie zapomniał? Przechodzimy w myśli wszystkie okoliczności jego życia, wszystkich ludzi, z którym miał stosunki, i odpowiedzi jakoś znaleźć nie możemy. Zajęcie

sobą, pragnienie wrażeń, dogadzanie swoim marzeniom i wrażeniom, to znajdujemy w tem życiu na każdym kroku. W dziełach Słowackiego widzimy piękności i poezyi bardzo wiele — w jego życiu mniej, niż w niezmiernej ilości innych żywotów.

Zatrzymaliśmy się dłużej, za długo raczej, nad przedmową; tłumaczymy się tem, że ona właśnie nasuwała parę kwestyj zasadniczych, których nie mógł pominąć recenzent, jeżeli chciał własne przekonanie i stanowisko zaznaczyć.

O książce samej co sądzimy, to czytelnik poznał już z jej streszczenia. Dodamy chyba to jedno, że widzimy w niej jeden znaczny postęp od pierwszych młodzieńczych prac autora. Dawniej lubił on puszczać wodze swojej fantazyi, i na niepewne, na domysł, coś twierdzić lub opowiadać. Dziś wystrzega się tego starannie, i wszystko, co powie, popiera odsyłaczami, tekstami, dokumentami. Czy z tych dokumentów nie wyciąga nigdy wniosków zbyt śmiałych, czy między dowodem a wnioskiem niema nigdy przeskoku, za to nie śmielibyśmy ręczyć. Psychologiczne dochodzenia, badania i zestawienia, niezawsze trafiają nam do przekonania. Zdarzają się i małe niedokładności, łatwe do uniknienia, a niepotrzebne i raczej szkodliwe. „Małe rozmiary“ *Transfiguracyi* mogą służyć za przykład; a jest podobnych więcej. Zkąd wiemy, że Słowacki zachwycał się w Luwrze aniołkami Murilla? On sam, nie pamiętamy, żeby o nich mówił. I nie dziwnego, że nie mówił. Te bowiem wiele podziwiane aniołki, znajdują się w *Koncepcyi*, a ta za życia Słowackiego była w zbiorze marszałka Soult'a, i do Luwru dostała się dopiero za Napoleona III. Niebardzo wiemy, dlaczego są w książce cytowane ustępy z pamiętników pani Mańkowskiej, kiedy ona o Słowackim nie mówi, ani do jego bliższych znajomych nie należy. Ale jeżeli się już mówi o pamiętnikach pani Mańkowskiej, to trzeba uważnie przepisać jej imię. Przecież ona musi wiedzieć, jak jej na imię? nie podpisuje się zaś nigdy *Bronisławą*, tylko *Bogusławą*. Nie było najmniejszego powodu wymieniać panny Czackiej między Polakami, bawiącymi w Dreźnie równocześnie ze Słowackim; ale kiedy się ją wymienia, to nie należy pisać mylnie, że była córką Tadeusza Czackiego, kiedy była córką jego brata. — August Zamoyski nie był „młodym ordynatem“, tylko młodszym, i to bardzo młodszym, bo aż szóstym z rządu synem ordynata. W tomie trzecim jest przytoczony jakiś list w którym Słowacki pisze, że „Guguś wstąpił w śluby małżeńskie; połączył herby Jagiellońskie z herbami nie wiem jakimi“ (str. 366). Ten Guguś, to, dodaje biograf „książę Władysław Czartoryski, ożeniony jak wiadomo z księżniczką Orleańską“. Prawda, że wiadomo; ale nie mniej wiadomo, że to była jego druga żona. Zaślubił ją w r. 1872; zaś w r. 1844 miał lat siedmnaście, i o ożenieniu zapewne nie myślał. Władysław Czartoryski był dość w Polsce znany, umarł przed trzema laty zaledwo, okolicz-

ności jego życia nie miały jeszcze czasu wyjść z pamięci. Jeżeli p. Hösicik nie znał ich sam, czemuż kogokolwiek nie zapytał, czemu nie zajrzał do lada książki? Takich pomyłek możnaby wskazać więcej. Są małe i nie ważne? Zapewne; ale są szkodliwe, bo czytelnik, który widzi niedokładność czy nieuwagę w małych rzeczach, może przypuszczać, że zachodzi podobna i w większych, i zachwiać się w zaufaniu do podań i twierdzeń autora.

Co nowego dodaje książka p. Hösicka do tego, cośmy już o Słowackim wiedzieli? Dużo szczegółów, wiadomości zupełnie nowych lub lepiej wyjaśnionych. Główne rysy żywota poety i jego charakteru zostają takimi, jakimi znaleźliśmy je od czasów Małeckiego i przez niego. Ten pociągnął rysy pewne, trafne i głębokie, których zatrzeć ani zmienić nie można; a miał dotknięcie i cieniowanie delikatne, subtelne, któremu niełatwo dorównać. Znał Słowackiego dobrze, i dał go poznać tak, że wizerunek poety i wrażenie, jakie on robi, zostanie zawsze w pamięci ludzkiej takim, jak on je nakreślił. Ale częściowe dodatki, zmiany, modyfikacje, sprostowania i uzupełnienia, te zawsze są możliwe, a są uzasadnione i potrzebne, kiedy nowo odkryte źródła wyświecają to lub owo w życiu lub w duszy poety. W tem jest racya bytu książki p. Hösicka, jej wartość i zasługa. Słowacki może nie zyska na niej wiele, nie wyjdzie wyżej w opinii ludzkiej. Czy to, że książka nowa odświeża wrażenia dawne, ale przez czas cokolwiek zatarte, czy też wielka obfitość szczegółów — dość, że Słowackiego wady i słabości wydały nam się zebrane w takim komplecie, wystawione w tak jasnym świetle, że mimo a może przeciw woli autora one przypominają się czytelnikowi bardzo żywo, wbijają się w jego uwagę i pamięć silniej, aniżeli pierwiastki szlachetne w usposobieniu poety, jego cierpienia i smutki. Kto widzi i zna wszystko, co w Słowackim gorsze, ale mimoto jest do niego przywiązany i tego przywiązania stracić lub osłabić nie chce, temu czytanie „Biografii psychologicznej“ może nieraz być nieprzyjemnem. Dla autora to nie zarzut, zasługa owszem, że pomimo wielkiego pietyzmu dla poety, nie zasłaniał prawdy, ale dał ją widzieć tak wyraźnie. Względem czytelnika zaś ma on tę zasługę, że dał mu książkę w kwestyi zajmującej i ważnej, opracowaną bardzo starannie, a napisaną z życiem i wdziękiem. Wadą książki jest brak perspektywy, brak należytego rozróżnienia między rzeczami ważnymi a błażymi, i równomierne ich traktowanie. Dalej, skutkiem może sposobu pisania czy zbyt czy niedość subtelnego, brak jasnego określenia, brak (u czytelnika) pewności co autor myśli. Czasem niezgodność między jego myślami czy słowami, na różnych stronicach książki. Względem literatury polskiej ma wszakże p. Hösicik tę zasługę, że wziął sobie za przedmiot poetę jednego z najświetniejszych, ja-

kimi ona się szczyści, a zarazem najtrudniejszych do poznania i opisania, i że wykonał swój zamiar tak, że książka jego w kwestyi Słowackiego musi zostać świadectwem i źródłem, do którego ludzie będą musieli udawać się zawsze, choć ostrożnie. Po tem, nie pozostaje nam nic, jak powiedzieć młodemu autorowi ze szczerego serca: Szczęść Boże na dalsze, na coraz lepsze prace!

St. Tarnowski.

Z literatury powieściowej.

— Paul Oskar Höcker: *Polnische Wirthschaft*. Roman. (Berlin. Deutsches Verlagshaus. Bong et Co.). — Podobno od wzniosłości do śmieszności jest tylko jeden krok. Jeżeli tak, to tem łatwiejszem jeszcze jest przejście od oburzenia do pogardliwego uśmiechu. Powieść, której tytuł powyżej wypisano, zdolną jest wywołać tylko te dwa uczucia; które z nich ostatecznie przeważy, to zależy od temperamentu czytelnika. Zamieszczając obszerniejsze sprawozdanie o utworze p. P. O. Höckera powodujemy się jedynie tym względem, że godzi się, aby społeczeństwo polskie wiedziało o zagranicznych powieściach, osnutych na tle naszych stosunków, choćby nawet te romanse były tak wszechstronnie nędznymi elukubracyami, jak *Polnische Wirthschaft*.

Sam już tytuł jest bardzo obiecującym. Nie potrzeba należeć do przesadnych chwalców własnego narodu, nie potrzeba zamykać oczu na jego wady i niedostatki, aby powieść noszącą taki wyzywający napis przyjąć z niedowierzaniem w poetycką bezstronność i artystyczny spokój autora. Źle było w Polsce, źle jest dotychczas w naszym życiu społecznym, ekonomicznym, domowym, o tem wiemy doskonale, a jednak to utarte ale i wytarte wyrażenie *polnische Wirthschaft* przystoi od biedy lichemu krzykaczowi na zgromadzeniach ludowych, lecz nie powinno „zdobić“ pierwszej karty powieści, która przecież ma uchodzić za wytwór ludzkiej inteligencji. Treść powieści przewyższa zaś jeszcze i tak już niezwykle oczekiwania, wywołane jej tytułem. Gdy w sztuce teatralnej pisarz użyje jakiego nazwiska, noszonego przez rodzinę żyjącą, to tej ostatniej przysługuje prawo upomnienia się o to nadużycie i zmuszenia autora do zmiany odnośnego nazwiska na inne, fikcyjne. Bardzo rzadkie są wypadki, aby sprawa przychodziła przed kratki sądowe, zazwyczaj bowiem autorowie dramatyczni jak i powieściopisarze posiadają tyle poczucia taktu i przyzwoitości, że nazwisk żyjących a znanych do swych utworów o treści zmyślonej nie wprowadzają. W polskiej belletrystyce uchybień od tej chwalebnej zasady jest bardzo mało, a te, które są, w właściwym czasie zostały przez krytyków i czytający ogół należycie skarcone. P. Paweł Oskar Höcker jest widocznie naturą zbyt niezależną, aby miał

się kępować podobnemi skrupułami. Nazwisko Tarnowskich pojawia się niemal na każdej karcie jego powieści, a taksamo nazwiska Korsaków, Kozłowskich i kilka innych powszechnie znanych. Kto pisze powieść na tle polskiego życia, ten musi coś wiedzieć o Tarnowskich, a i Korsakowie nie mogą mu być obcy, jak również znanem mu być musi, że rodziny te dotychczas żyją i są w kraju szeroko rozgałęzione. Albo więc p. Höcker jest zupełnym ignorantem i wziął się do nieswojej rzeczy, albo też — przypuszczenie bardziej prawdopodobne, lecz jeszcze mniej zaszczytne — kieruje nim ogromny brak taktu i przyzwoitości. Ale nie dosyć na tem. „Hrabina Tarnowska“ nosi przezwisko „szalonej“, w rzeczywistości zaś zasługiwałaby na daleko gorszy przydomek. Salonowa awanturница, nibyto demoniczna, z Monaco wypędzona za fałszywą grę w karty, w kraju ten „sport“ uprawiająca — oto osoba, nosząca nazwisko Tarnowskich, które sam autor za *ehrenwert* uważa. A więc to już nie dziwna nieświadomość, nawet nie karygodna nieprzyzwoitość, lecz... bezczelne żakostwo, żeby odpowiedniejszym wyrazem nie przekroczyć granic parlamentarnego tonu. Nietylko jednak „hrabina Tarnowska“ jest tak szlachetną i godną szacunku osobą; wartością dorównywiają jej lub też niewiele się od niej różnią i inne postacie powieści, do polskiej narodowości należące. Każdy, wyraźnie *każdy* Polak — mężczyzna lub kobieta — to osobnik o temperamencie burzliwym i zawadyackim, lekkomyślności bezgranicznej, doprowadzającej czasem aż do występku i podłości, nieludzki względem niższych od siebie, dumny i zuchwały, leniwy i zbytkujący itd. Według p. Höckera szlachta polska w Poznańskim nie jest nic warta, lud zaś, to bezrozumne bydło; wybory odbywają się w Księstwie jedynie z pomocą wódki i kiełbasy; chłop trzeźwy i nieprzekupiony głośnie zawsze na kandydata niemieckiego, bo i jacyż są ci polscy posłowie? Ot, np. „Sadorski“ kandydat na posła, to lekkoduch i utracysz, ba, nawet fałszerz weksli. Słowem, zdaniem autora, całe polskie społeczeństwo w Poznańskim jest zepsutem do szpiku kości, pozbawionem wszelkiej wartości moralnej, nieposiadającym żadnych warunków do życia politycznego, społecznego, materialnego. Za to nieliczni Niemcy, występujący w powieści, świecą tem jaśniej zaletami, w nich siła i zdrowie tej ziemi, która odetchnęła przyjęta wspaniałomyślnie pod łaskawe panowanie Prusaków.

Z dotychczasowych uwag wypływa, że „utwór“ p. Höckera jest paszkwilem. Byłoby smutnem i dla nas bardzo niemilem, gdyby ten paszkwil był napisany ze znacznym talentem, świetnem i wytrawnem piórem, które zdołałoby skrzywić sąd czytelnika. Na szczęście tak nie jest; powieść p. Höckera, ohydna jako paszkwil, jest jako utwór artystyczny nędzną ramotą, jedną z najnędźniejszych, jakie literatura niemiecka w ostatnich la-

tach w tej gałęzi wydała. Bliższy rozbiór powieści dostarczy dowodów na to twierdzenie.

Maja (!) Sadorska przyjeżdża koleją do Graboszewa; na stacyi nie witają jej ani rodzice ani narzeczony, tylko stary sługa Cendrik czeka z powozem. On objaśnia panienkę, że rodziców jej spotkało straszne nieszczęście powodzi, zalewającej cały kraj w około, jej zaś narzeczony, pan Włodzimierz Korsak, sprzeniewierzył się jej i teraz spędza wieczory w Niniewie, w salonach pięknej „szalanej hrabiny“. Maja oburzona każe jechać nie wprost do Blisanowa, siedziby państwa Sadorskich, lecz do Kobotki, gdzie mieszka Korsak. Sługa zdziwiony nie pojmuje rozkazu panienki, lecz mimoto spełnia go. Zajeżdżają przed dwór w Kobotce, ale tu oczywiście pana Korsaka nie zastają. Tego tylko chciała Majuszka (!). Mając dowód zdrady narzeczonego (z kąd?), pędzi co konie starczą do Blisanowa i tu po krótkim przywitaniu się z rodzicami, katastrofą przygnębiionymi i zrozpaczonymi, domaga się od nich stanowczo, aby nie zważając na powódź, ciągle rosnącą i grożącą lada chwila zupełną zagładą, wybrali się dziś wieczorem na bal do Niniewa, do „szalanej hrabiny“. Napróżno i ojciec i matka przedstawiają jej, że byłoby to szaleństwem, niemal występkiem, opuszczać w takiej chwili wieś swą dla próżnej zabawy; Majuszka jest nieugięta, ostatecznie przewycięża opór rodziców i państwo Sadorscy jadą na bal w chwili, gdy rozhukany żywioł już podmula ostatnie tamy. Te kilkanaście kartek wybornie charakteryzuje całą powieść. Autor poluje na „sensacyę“, jak i na nienawiść narodową, w tej pogoni odrzuca ze wstrętem wszelką psychologię, prawdę życiową, nie waha się zejść do nizin karykatury i romansów ogłaszanych w odcinku brukowych pism, wszelkimi środkami nęcących abonentów. Już dziwnem się wyda, że panna z szlacheckiego domu polskiego nosi imię czy przezwisko Majuszka, a do swej matki mówi *Maninko*; tak się odzywają dzieci z nad Wełtawy, ale nie z nad Wisły i Warty. Ale jestto drobnostką wobec czynów tej panny. Pędzić sama jedynie w towarzystwie stangreta do domu narzeczonego, potem rodziców gnać na bal, choć woda już do budynków gospodarskich sięga, robić to tylko dlatego, aby zobaczyć wiarołomnego kochanka u stóp kobiety z wielkiego pół-światka, to potrafi tylko Majuszka p. Höckera; żywa, rzeczywista panna z szlacheckiego domu polskiego, czy niemieckiego, nie zrobiłaby tego z pewnością, najmniej zaś prawdopodobni są ci rodzice, którzy ustępują przed szalonym kaprysem córki. W Niniewie wrze zabawa. „Szalona hrabina“ jest otoczoną rojem wielbicieli, a wśród nich jest istotnie i Włodzimierz Korsak i jego rywal, młody Felicyan Sadorski, brat Majuszki. Towarzystwo i sama gospodyni jest już porządnie podochoconem; jakaś Franchette śpiewa i tańczy bardzo *pikant*, potem Korsak i Sadorski gwałtownie

się sprzecyżają, pierwszy jest szczęśliwszym od rywala, tańczy z hrabiną ognistego krakowiaka, a skończywszy go chroni się razem z nią do boudoiru, gdzie klęcząc podaje damie kieliszek szampa — wtem rozlega się nagle przeraźliwy krzyk Mai. Korsak ze zdumienia nie może ani słowa powiedzieć, lecz „szalona hrabina“ natychmiast odzyskuje równowagę umysłu i wita pannę Sadorską i przybyłych z córką rodziców. Początek balu u „hr. Jadwigi Tarnowskiej“ jest więc bardzo zajmującym; lecz jeszcze bardziej „sensacyjnym“ jest dalszy jego przebieg. Rozmowa narzeczonych, intrygi pani domu, rozmowa jej z Mają, zachowanie się tej ostatniej — wszystko trzymane jest w tonie, który może rozpalic wyobraźnię bardzo naiwną, lecz musi obudzić niesmak w umyśle cokolwiek dojrzałym. Koroną wszystkich jest jednak powrót Mai do Blisanowa, jakby żywcem wyjęty z niedoleżnych romantycznych naśladowań dzikich ballad Bürgera. „Szalona hrabina“ usiłuje poróżnić Korsaka z narzeczoną i bierze się do dzieła w zręczny sposób. Włodzimierzowi mówi, że Sadorscy umyślnie przyjechali na bal, aby on nie dowiedział się o klęsce, jaka ich zupełnie zrujnowała; Mai zaś z udaną sympatją poddaje myśl, że Korsak jedynie tylko z litości nie zrywa z nią. I teraz następuje owa powyżej wspomniana scena. Sadorscy na wieść o wzmagającej się gwałtownie powodzi odjechali już poprzednio do Blisanowa, została tylko Maja, aby być obecną na przedstawieniu *einer polnischen Komödie des Balunki* (!), lecz oburzona na Korsaka i „szaloną hrabinę“ postanawia mimo nocy, mimo ulewy i wzbierającej wody, zalewającej wszystkie mosty, natychmiast zejść do domu. Odpędza służącego, nie zważa na perswazyę „hrabiny Tarnowskiej“, sama wskakuje na kozła, aż widząc to jej rywalka również wsiada do powozu, chcąc w ten sposób już nie powstrzymać Maję od wyjazdu, ale przeszkodzić jej w odwiedzeniu Korsaka w Kobotee. Zaczyna się szalona jazda, niedorzeczna jako pomysł, jaskrawa jako wykonanie, jazda, przy której opisie jednym z czytelników staną włosy na głowie, u innych — bardziej krytycznych — zrodzi się oburzenie, lub pogardliwy uśmiech dla autora, który z takim zaparciem się rozsądku goni za efektami. Już powóz nawpół roztrzaskany ma utonąć w nurtach rozhukanego żywiołu, już „hrabina“ rozdzierającym głosem błaga o pomoc i mdleje z przestrawu, już Majuszka w szalonej zuchwałości szczydzi z niej okrutnie i coraz gwałtowniej popędza konie — wtem „cud nad cudami: powóz staje“, potem konie krwią zalane przechodzą rzekę szczęśliwie, dostają się na brzeg, a tu nowy „cud“: przybiega... kto?... Włodzimierz Korsak! Sztuka autora jest podziwienia godną i imię p. Höckera, dla tych kilku kartek tylko, powinno być odtąd wymawianem jednym tchem wraz z nazwiskami najśmieszniejszych, najniedorzeczniejszych przedstawicieli najbardziej rozczochranego romantyzmu.

Niepodobna idąc krok w krok za autorem opowiadać wszystkich awanturnicznych epizodów powieści, przy każdym z nich wykazywać, jak się gwałt dzieje wszelkiej logice, zdrowemu rozsądkowi. Krótko tylko streszczając romans, należy podać wiadomość o losach głównych jego osób. Sadorscy opuściwszy ratunek wsi dla balu, widzą się teraz u brzegu przepaści, ruiny majątkowej, a do tego jeszcze oddalają ze służby rządzącę, Niemca Eimbergera, który sam jeden zdolny był szkodę przez powódź wyrządzoną choć w części naprawić. Felicyan zaś gra w karty w domu „szalonej hrabiny“, gra razem z nią, z Korsakiem i dwoma oficerami niemieckimi, przez rząd wysłanymi w tę okolicę, tak zapamiętałe, podniecany drwinami Jadwigi, że wkrótce jest Włodzimierzowi dłużnym dziesięć tysięcy marek. Jest on równocześnie kandydatem polskim do sejmu, a popiera go głównie jego wychowawca, ksiądz Zimorowicz; on to każe mu wyjechać do Paryża, celem zapewnienia sobie pomocy księcia Bronkowitza (!). Ojciec na kosztą podróży daje synowi czek na 600 marek, podpisany przez Eimbergera jako jego pełnomocnika; za tym czekiem bank w Wrocławiu wypłaci tę sumę z depozytu Sadorskiego. Felicyan ma zapłacić dług honorowy dziesięciu tysięcy marek, jeżeli go nie uiści w przeciągu 24 godzin, pozbawi się czci. Udaje się do siostry, Majuszka chce mu dopomóc, oddając mu drogi naszyjnik, stary klejnot rodzinny, jej posag. Felicyan jedzie z nim do miasta i tu spotyka go okropna niespodzianka: jubiler powiada mu, że kamienie są fałszywe, on sam z polecenia Sadorskich wyjął prawdziwe a włożył tamte na ich miejsce. A więc własni rodzice okradli, oszukali córkę — taką to jest ta polska szlachta! Felicyan zrozpaczony chwytą się środka, jaki uważa za jedynie możliwy: fałszuje weksel, z 600 robi 16.000, szybko jedzie do banku, tu pieniądze mu wypłacają z dodatkiem, że suma powyższa niemal w zupełności wyczerpuje depozyt Sadorskiego. Felicyan odjeżdża do Paryża, odesławszy poprzednio Korsakowi dłużną kwotę, jedzie bynajmniej nie porzuciwszy myśli starania się o mandat. A więc polski kandydat na posła, mąż zaufania polskiego stronnictwa narodowego, fałszerzem weksli — tacy to są przedstawiciele polskiego społeczeństwa!

Akcyą dalej toczy się taksamo awanturniczemi szlakami. Korsak w ów wieczór nietylko wygrał dziesięć tysięcy marek od Felicyana, lecz i od „szalonej hrabiny“ jej posiadłość Konarzewo z przesielnymi wzgórzami i kaplicą Matki Boskiej; wszystko to Jadwiga postawiła na jedną kartę i przegrała. Lud dowiadyuje się o tem, burzy się, lekkomyślną grę o kaplicę uważa za świętokradztwo, a podniecany przez agitatorów ściga Korsaka, grozi mu zemstą, śmiercią. Włodzimierz ledwie żywy bezwiednie chroni się do Blisanowa, gdzie Maja, ciągle go jeszcze kochając, udziela mu gościny. Nici pomiędzy kochankami

są więc znowu nawiązane. Sadorskich jednak nowe spotyka nieszczęście. Ojciec chce z banku podjąć swój depozyt i ku ogromnemu swemu przerażeniu dowiaduje się, że ma tam tylko jeszcze marne kilkaset marek, bo niedawno pobrano za prawnym czekiem 16.000. Sadorski pamiętając o tem, że podpisał przecież tylko czek na 600 marek, natychmiast podejrzywa wydalonego ze służby Eimbergera o fałszerstwo i telegraficznie żąda od władz przyaresztowania mniemanego oszusta. Tymczasem pani Sadorska wpada na trop istotnego sprawcy, domyśla się, kto nim jest, żąda od prokuratora zrazu umorzenia sprawy, potem zaś, gdy ten jej oświadcza, że jestto niemożliwem, sama przyjmuje całą winę na siebie, co autorowi znowu daje pożądaną sposobność do użycia efektów szarpiących nerwy i przeciwstawienia lekkomyślnych, jedynie popędami się kierujących Polaków, rozumnym i prawdziwie męskim Niemcom. „Szalona hrabina“ tryumfuje: teraz Korsak już nie może ożenić się z Mają, siostrą człowieka ściganego przez sądy za proste oszustwo, prokurator bowiem łatwo domyśla się, że nie pani Sadorska, ale jej syn dopuścił się tej zbrodni. Tryumf Jadwigi jest jednak przedwczesnym. Zdemaskowana jako oszustka, z Monaco za fałszywą grę wygnana, musi opuścić tę okolicę, Korsak zaś żeni się z Mają, której nazwisko Felicyan ratuje od publicznej hańby, popełniając samobójstwo, przedtem dawszy oczywiście p. Höckerowi dość czasu do popisania się swą pseudo-dramatyczną fantazyą. Ostatnie słowa powieści poświęcone są „szalonej hrabinie“, a cechującą moralną wartość nie tylko książki, ale i jej autora. Oto Jadwiga i nadal odgrywa podobną rolę w świecie, gromadzą się koło jej zielonych stolików *ihre schiffbrüchigen Landleute* i w wesołym towarzystwie *feiert man immer wieder rauschende Feste — die alte Polenherrlichkeit wird mit einer dicken Thräne im Auge gepriesen — bis der Champagner schaal geworden und das letzte Goldstück ins Rollen gekommen ist.*

Streszczenie powieści wystarcza do utworzenia sobie o niej sądu. *Polnische Wirthschaft* jako utwór artystyczny pozbawiona jest wszelkiej wartości. Nie dlatego, jakoby z motywów, przez p. Höckera poruszonych, nie dalo się nic dobrego zrobić. Przeciwnie, pomijając już właściwą fabułę powieściową, przypuszcza się, że np. obraz powodzi niszczącej kraj z elementarną siłą lub tyle zajmujących wyborów w prowincyi, pod względem narodowościowym nie jednolitej, że obrazy te pod piórem prawdziwego powieściopisarza mogłyby wystąpić żywo, pięknie i plastycznie. Że utwór p. Höckera jest tak lichym, jestto skutkiem dwóch przedewszystkiem przyczyn. Autor nie jest poetą, nie jest powieściopisarzem, który na świat patrzy okiem bezstronnego, sprawiedliwego artysty, lecz namiętym, gwałtownym a śmiesznym paszkwilantem. Patryotyzm jest rzeczą chwalebłą i ceni go się nawet w wrogu; szowinizm objawiający się jako przesadne

uwielbienie swego narodu jest już śmiesznym, szowinizm polegający na lżeniu, potwarzaniu przeciwnika jest ponadto jeszcze i wstrętnym i niedorzecznym — takim jest zaś szowinizm p. Hückera, takim jest i jego plód. Powtóre zaś autor *Polnische Wirtschaft* jest nie artystą, cieniującym postacie i tło, starannie dobierającym barw, dyskretnie używającym ich jaskrawszych odcieni — lecz malarzem bohomazów, które krzykliwymi tonami, karykaturalnym rysunkiem mają nęcić nieokrzesany tłum. Zamaszystość wyraża się tu w karykaturalności, dramatyczności w niedorzeczności i osób i sytuacji; o cieniowaniu charakterów, o ich pogłębieniu niema ani mowy.

Trzeći odpowiada forma, wywołująca również albo obrzzenie albo pogardliwy uśmiech. Styl wogóle niedbały wzorowany na „sensacyjnych“ romansach brukowych dzienników, zalet niema żadnych, a natomiast po za tą wadą zeszepecony jest innemi, szczegółowemi. Tak np. p. Hückler popelnia wprost niedorzeczność, gdy słowa chłopca polskiego, po polsku wypowiedziane, przytacza umyślnie w okropnej, mnóstwem językowych błędów przeladowanej niemieczyźnie; poprostu nie chce się wierzyć, by ktoś mógł być tak nielogicznym. Jak wielu współczesnych autorów niemieckich, tak i p. Hückler ma zwyczaj przytaczania polskich słów a czasem nawet całych zdań w oryginalnem brzmieniu. Nieraz mu się to dosę szczęśliwie udaje, częściej jednak dzieje się przeciwnie. Nie wiemy np. z kąd p. Hückler w usta Polaka wkłada cochwila słowa: *matka boska* (przytaczamy dosłownie, z zachowaniem ortografii autora) w rozmowie z równymi sobie, a *psia krew* (!) w rozmowie z ludem. Dalej możemy p. Hückera zapewnić, że jak świat światem nigdy Polak nie mówi: *do djable*, jak stale pisze autor. Najzabawniejszym jest zaś autor w używaniu polskich wyrazów; pan, pani itd. Zapewne pragnąc pokazać gruntowną znajomość polskich stosunków, mówi nietylko: *Pan Sadorski, Pan Korsak*, ale i np. *hast du gehört von Panu Sadorski?* Tak ani Polak, ani Niemiec nie mówi, ale pomyłka autora, choć śmieszna, jest jeszcze do wybaczenia. Natomiast niedorzecznem jest takie wyrażenie: *nach Panu Korsak fragen* lub też *Pania Sadorski*, czego nie można już złożyć na karb złośliwego chochlika drukarskiego.

Do niniejszej krytyki dołączamy przyjacielską radę dla p. Hückera. Wiadomo, że z literatury ciężko teraz wyżyć tak u nas jak i w Niemczech, gdzie książki się czyta, ale się ich nie kupuje. Szkodą byłoby niepowetowaną dla niemieckiego piśmiennictwa, gdyby p. Hückler miał dlatego swą lutnię zawiesić na kołku — wszak dowiodła ona już swego boskiego dźwięku! Otóż troszcząc się o zabezpieczenie losu p. Hückera, a bardziej jeszcze bacząc na dobro wszechświatowego piśmiennictwa, dajemy mu radę: niech wniesie podanie do zacnego towarzystwa H K Tystów o udzieleniu zapomogi lub stałej pensyi, a jako

testimonium paupertatis niechaj dołączy *Polnische Wirthschaft*. Może mu ci szanowni panowie dadzą fundusze na to, aby bez troski o chleb codzienny mógł dalej płodzić podobne utwory w ich szlachetnym duchu pisane — a może... może mu dadzą pensję na to, aby milczał i takimi elukubracyami nie kompromitował do reszty ich sprawy. Zależać to będzie od stopnia inteligencji tych panów, ale w każdym razie p. Höcker dojdzie do zamierzonego celu.

J. Flach.

— *Le selve and Tonia*, by Ouida (London, 1897). — Trudno się czasem oprzeć przedłużonemu czarowi pierwszego wrażenia, otrzymanego przed laty z łaski tego lub owego autora i utworu. Kto się dowiedział o istnieniu nieznanej wpraw autorki, śmiejąc się do rozpuku z *Kłopotów Lady Marabout*, lub rozrzewniając do łez historią *Drewnianych Chodaczków*, ten z pewnością zachował dotąd pewną słabość dla powieści pani de La Ramée, przysłoniętej wślawnym pseudonimem Ouidy. Nie schodzi ona już z ziemi włoskiej, która jej drugą ojczyzną się stała. Opisuje urok niedorównany klasycznej ziemi, biedy i krzywdy ludu włoskiego, blichtr kosmopolitycznego świata co tu krąży, niedole miejscowe, a czyni to zawsze z wielką miłością, ciepłym sercem i piórem. Atoli to gorące przywiązanie dla Włoch, nie odejmuje jej pożądanego jasnovidzenia. Jeśli z jednej strony zanosi skargę na tych, co lud wyzyskują i podatkami niszczą, z innej nie zaślepia się na dziwne barbarzyństwo dzikość, mściwość wieśniaków w niektórych okolicach, mniej dostępnych dla cywilizacyi.

Chyba pasterze sabińscy za czasów Romulusa nie byli dzikszymi od tych chłopów, rozsiadłych w lasach i kniejach książąt Gandolfo, tuż podległe Rzymu. Protestancka autorka bodaj chciałaby przypisywać to utrwalenie barbarzyństwa opieszałym rządóm papieskim. Dość że w *Le selve*, gorzej jak w niedostępnej puszczy Białowieskiej i borach Polesia, żyje lud dziki i nieokrzesany, chytry a chciwy, rozsiadły w samotnych futorach, aby utrzymywać się niemal wyłącznie z łupiestwa i kradzieży. Złodzieje, przemytnicy, kłusownicy, w danym razie bandyci, usadowili się tu i usadzili na dobro pańskie i cudzą własność.

Wtem książę Gandolfo nowego naznacza administratora dla swych rozległych posiadłości. Nie zwykły to rządcą, Rosyjanin, zwolennik nauk Tołstoja, pomawiany niesłusznie o nihilizm i wywołany z własnej ojczyzny. Rozbitkowi życia przyjaźń gotuje w tych lasach przystań ustronną. Ale młody gwardzista nie chce chleba swego jeść daremnie i bierze naseryo powierzone sobie włodarstwo; usiłuje podnieść dochody, wartość lasów, stan myśliwstwa, a przedewszystkiem poziom moralny i materyalny robotników i osadników leśnych. Tu jednak z zaciętym spotyka się oporem. Nie chcą zmian, nie chcą poprawy własnego losu ni charakteru. Wszystko ma być, ma pozostać

jak bywało, każda reforma, choćby najzłobniejsza, budzi w wieśniakach nienawiść do obcego przybysza, narzucającego im nieproszone dobrodziejstwa, nieznanego nigdy nakazy i zakazy. Jedną tylko dziewczyną, Muriellą, sercem odgaduje, że ten cudzoziemiec ma słuszość, że się naraża na zgubę. Kocha go, jakby kochała zstępującego z obrazu Archaniola. Ona to go krzepi nadzieją powrotu do ojczyzny, o czym już sam był zwątpił, ale ta iskierka płonąca w sercu dziewczyny wystarcza, aby mu dodać otuchy. Tu zaś trzyma go dalej chęć postawienia na swoim, zwalczania opornych, podniesienia tego ludu, co się podnieść nie da. Trzyma go i czar niedalekiej Romy, bo w dni słoneczne, z wyższych polanek niezmierzonej kniei, niekiedy dostrzedz można srebrne pasmo morza, śnieżne Soraktu szczyty, lub nawet złocącą się na błękitnie niby gwiazda, gałkę Św. Piotra. Na nie ostrzeżenia: zostanie i zwycięży, choćby miał to życiem przypłacić.

I oto zbuntowani na to życie godzą, próbują osaczyć cudzoziemca we własnym domu, a gdy inaczej nie idzie, podpalić i spalić. Już, już się zdaje, iż wszystko stracone, gdy nagły rozlega się tętent, to kawalerya sprowadzona z Ronciglione przez Muriellę, domyślającą się niecnego spisku. Biegła przez lasy i na czas odsiecz przyprowadziła. Ale schwytni bandyci przynajmniej na niej się zemszczą, i oto jeden z nich, wyrwijąc się z rąk żołnierzy, nóż topi w jej łonie. Rzecz tedy kończy się bardzo po włosku, nie rzadką tam po dziś dzień *cottellatą*. Ale co ślicznych szczegółów, opisów, obrazów! Jaki wdzięk w tej drobnej nowelce, owianej wonią lasów i przeczutą za niemi wielkością miasta wiecznego.

Druga nowelka p. t. *Tonia*, równie charakterystyczna pod względem uplastycznienia ciemnych stron ludu włoskiego, nie dorównywa pierwszej, acz w obu zachowała się znajomość doskonała miejscowych stosunków, koloryt italski, i może zbyt pesymistyczne, ale ciekawe poglądy na oporność zazdrosnych o swobodę barbarzyństwa wieśniaków. Podziwiać też należy nieustającą werwę angielsko-włoskiej powieściopisarki, która posuwając się w lata, nie nie traci z bujności niewyczerpanej fantazyi, z gorącej i gotowej dla uciśnionych sympatyj, z rodzajnej twórczości i animuszu. Zaledwie mieliśmy zaś czas przerzucić powyższe dwie nowelki, a już Ouida zstępuje w szranki z nową, kilkatomową powieścią: *The Massarenes*, w której próbuje, i to zwycięzko, dowieść, że i szlaki zepsucia wyższych warstw nie są jej nieznaną, owszem, że aby dogodzić wątpliwemu gustowi dzisiejszych czytelników, potrafi i ona suto doprawić pieprzem skandalu barwne swe opowiadania.

N.

— Victor Cherbuliez: *Après fortune faite*. (Paris, Librairie Hachette, 1896). — Urodzony w r. 1829 p. Wiktor Cherbuliez należy do innej już epoki, jak dzisiejsza, całym

szeregiem utworów swoich. Podróżował on dużo, a pracując nad wychowaniem młodych umysłów po domach prywatnych, był w stanie poznać dokładnie wiele odmiennych od siebie stosunków. To daje też pewną obiektywność jego dokładnym i drobnostkowym studjom; przypatruje się on spokojnie danej grupie ludzi, jakby chciał ją sklasyfikować do zielnika, dokładnie określając wszelkie właściwości i cechy charakterystyczne. Nie nęca Cherbulieza indywidualne dzieje jednostki, i nie czyni prawie nigdy osią interesu powieści jakiegoś konfliktu dramatycznego i gwałtownego. Czując swą umiejętność i wyższość w drobnostkowej mozaice spostrzeżeń nad naturą ludzką, uprawia z zamiłowaniem wiwisekcyę słabostek i śmieszności, z góry obiecując sobie rozrywkę przyjemną. W powieściach swoich używa stale tonu dyskretniej ironii, która jest czasem objawem dobroduszej zgody z istniejącym faktem ułomności człowieka, czasem zaś jest cichym tryumfem lekceważonego niemego świadka. U Cherbulieza istnieje wrodzone upodobanie do misternej roboty zegarmistrza, rozbierającego kółka i sprężynki; nie sięga on po wawrzyny znawcy serc, nie przypisuje zbyt wielkiej wagi porywom miłości, uważając, że to uczucie względnie krótko opanowuje całkowicie istotę człowieka; więcej go nęci cała psychologia charakteru i jakiejś dominującej namiętności. Wprawdzie w przedostatniej powieści swojej p. Cherbuliez odmalowywał niefortunną miłość profesora dla swej młodziutkiej uczennicy, ale mimoto w studyum tem więcej kładł nacisku na niewczesne kłopoty takiego uczucia, niżeli na jego poezycę i dramatyczne czynniki.

P. Cherbuliez w ostatniej swej powieści: *Après fortune faite*, rozwinął znowu bogatą umiejętność swoją w kierunku właśnie dyssekowania zwyczajnych powszednich egzemplarzy ludzkich. Z wielkiem zamiłowaniem na czterystu kilkunastu stronicach rozbiera do najdrobniejszych niteczek taką jedną namiętność powszechną — chciwość. Jak ona się objawia u poszczególnych natur, jak je zmniejsza i znikczemnia, gnąc karki wszystkie w pokornym chłodzie złotego cielca, to autor nam maluje z upodobaniem, a delikatną wykwintną ironią dodaje osobnego rodzaju przyprawę tej monografii chciwości. Namiętność złota jest tedy powieści tej osią, główną intrygą i bohaterem. Ona jest centralnym punktem, około którego dopiero inne uczucia, czy to miłości czy sympatyj lub antypatyj, się grupują. Kolo jej wielkie opanowuje wszystko, napotykJając jedyną tylko przeszkodę w dumie i prawości jednego wyjątku. Gdyby La Bruyère żył w XIX wieku i pisał powieści, byłyby one podobne do powieści Cherbulieza. W jego *Caractères* leży całe mnóstwo tematów do takich obserwacyjnych studjów, jakie nam daje nasz autor. Pokrewieństwo zaś tego zamiłowania w badaniu „charakterów“ leży może także i głębiej w samej struktu-

rze tych umysłów, przyzwyczajonych do spokojnego notowania słabości ludzkich.

Złoty wiek klasycyzmu z harmonijną poprawnością stylu rzucił też z pewnością na Cherbulieza swój odbłask: czytając jego okresy, poprawne i wyrzeźbione z delikatnością pełną smaku znawcy formy, wypoczywa się po siekaniu nowoczesnych powieści, pospiesznie i z zaniedbaniem pisanych. Obok tego wprawdzie jednym stale grzeszą utwory Cherbulieza — oto długością. Takie powieści, będące rodzajem studium moralisty, z natury swojej nie mogą entuzjazmować, budzić gorączkowego interesu. To też i u Cherbulieza stale dziś nuży rozwlekłość; subtelne i wykwintne rzeczy z natury swojej nie mogą się spotykać z jednostajnością; każda z powieści Cherbulieza zyskałaby, gdyby była krótszą i w pamięci zostawałby jaśniej rys każdy, gdyby miał wkoło siebie stosowną perspektywę i przejrzystość.

A teraz po krótko warto zobaczyć treść ostatniej powieści Cherbulieza. Zrobiwszy „wielką fortunę“ w Ameryce, milioner Trayaz osiada na starość w pięknym zakątku Prowancyi, wnet doświadczając jednak ogromnej nudy w tej samotności swojej. Najpierw stwarza sobie interes życia przez walkę z sąsiadami, zmuszając ich przebiegłymi sztuczkami do sprzedawania tych posiadłości, które pierwiej chciał od nich nabyć. Ale gdy ta walka się skończyła zwycięstwem potęgi jego złota — milioner tem gorzej zaczął się nudzić. Wtedy przypomina sobie, że jednak ma rodzinę: zaprasza do swej wspaniałej rezydencji siostrę, jej córki, zięciów i wnuków, a prócz nich jeszcze wyszukuje dalekich kuzynków. Wszyscy spieszą z zachwytem, na zaproszenie nieżonatego wujaszka, naprzód obrachowując dziedzictwo jego milionów. Jedni przed drugimi na wyścigi pochlebiają, przymilają się i obsypują staraniami cennego swego krewnego, który też ze złośliwą przyjemnością igra z ich chciwością. Bawi to Trayaza niesłychanie, gdy patrzy na rywalizację obu swych siostrzenic, każdej z osobna obiecującemi półsłówkami roztwiera niebiosą nadziei, ale wkrótce przechodzi do innej melodi: stara się zbadać, jaką dozę impertynencji i złośliwości strawią ci jego krewni, jeżeli nią częstować będzie ręka milionera? Prędeziej się jednak jemu uprzykrza ta zabawka, niż jego ofiarom. Pan Trayaz lubi walkę i nie znajduje przyjemności w takich atakach bez odporu, owszem przyjmowanych z zachwytem. Wtedy przypomina sobie innego krewnego, który mu się nigdy nie narzucał, Sylweryusza Sauvagin. Młodzieniec ten dal już duże dowody tęgości charakteru a młodość jego przeszła twardą szkołę biedy. W walce o chleb poznał ten pasierb fortuny równie dokładnie ludzi, podobnie jak i jego wujaszek, faworyzowany przez boginię złota. Taksamo też nimi pogardza, a tylko jego ubóstwo jest mu o tyle moralnie zdrowszem, iż do pracy znie-

wala. Sauvagin ma jednak tę odwagę, że wybiera pracę, którą kocha: zostaje poprostu ogrodnikiem, on, który studia ukończył, a to li dlatego, że kwiaty są jego jedyną namiętnością. W pięknym ogrodzie hrabiny de Rins, pięćdziesięcioletniej wielkiej damy, jest on nieograniczonym władcą; oceniany przez nią, materyalnie niezależny, Sauvagin doznaje szczęścia najpewniejszego gatunku, zasadzającego się na spokoju i zadowoleniu. Ztamtąd tedy przymusem wyciąga go milioner i olśniewa perspektywą świetnego zadania: chce mu oddać kierunek ogrodu botanicznego, mającego się założyć. Nie podoba mu się tylko niezależność i duma Sylweryusza, pogardliwie traktującego spe-randy milionów. Wybucho więc spór między podobnymi do siebie: wujem i siostrzeńcem. Sylweryusz wraca do swego dawnego stanowiska, „ale raz zakosztowawszy wrażeń, człowiek zwykle zmienawidza ten spokój, który pierwiej miłował“. Wielki ten zawód zaczął się jednak już leczyc w niego miłością, gdy tymczasem zawistny wujaszek powoli z pod nóg młodzieńca wyciąga wszystkie podstawy jego życia i zmusza go do walki i pracy. Sylweryusz nie daje się jednak pobić; gdy inni krewni zginają pokornie karki, on potrząsa lwią grzywą i wychodzi z walki zwycięzko. Blask złota nie olśnił go ani oslepił, i Trayaz, który umierając zadrwił sobie ze wszystkich zapisując fortunę córkom własnym, o których nikt nie wiedział, został zwyciężonym przez stałość charakteru ubogiego krewnego.

M. Rawicz.

— *Recommencements*, par Paul Bourget. (Paris. Alphonse Lemerre. 1897). — Krytyka nawykła liczyć się z płodami autora *Disciple'u* i *Cosmopolis'u*, ale chyba niewiele ma z nim roboty odkąd „poszedł w senatory“. Palmy nieśmiertelności dziwnie zaciężyły na młodym jeszcze, do niedawna tak bujnym, a po dziś subtelnym i wykwintnym talencie. W ostatnich latach mistrz psychologicznych roztrząsań niewiele przyrobił sobie sławy i literackiego balastu. *Une idylle tragique* nie dorasta dawniejszym utworom, przyémioną zaś została odrazu pokrewną osnową niemieckiej Sudermanna powieści. Dziś zaś, zaledwie luźna wiązka drobiazgów złożyła się w niniejszy tomik, obejmujący błyskotliwe, felietonowe urywki i opowiadania. Najgłębsza bodaj z nich myśl tkwi w samymże tytule: *Recommencements*. Autor stwierdza mniej lub więcej jaskrawemi przykładami, że życie nigdy nie przystawa, nie kończy się, nie ustaje, nie przerywa tętn serca, nie zatrzymuje wędrownych naprzód kroków; lecz idzie i płynie dalej, i snuje wieczną przędzę wrażeń i marzeń, rojeń bolesnych i słodkich ukojeń, bólów i bojów serdecznych, niewyczerpaną i niewyczerpującą się potrzebą kochania, które w nas trwa dopóki ostatnia iskra życia w człowieku nie zgaśnie. Uczucie koniecznijszem jest do szczęścia, aniżeli przedmiot ukochania, oto mniejwięcej teza, którą rozwija p. P. Bourget,

stale wplatając w niniejsze, nikłe opowiadania, nazwiska głośniejszych bohaterów swoich powieści, epizody poprzedzające znacznie w ich losach przełomy lub następujące po dokonaniu tychże, udowodnieniem, że czas zagoił krwawiące się rany, nowe zgotował próby i przejścia, i pociechy, i podniety, i złudzenia, i rozczarowania. Szkoda tylko, iż koryfeusze powieści francuskiej nie przestają hołdować prądom brutalnego weryzmu, demoralizującego w najwyższym stopniu mniemaniem, iż na świecie dziś cnoty, zwłaszcza cnoty niewieściej napróżno szukać. To upowszechnienie występku w książkach, musi takowy upowszechniać w życiu, niosąc rodzaj rozgrzeszenia tym, co nie chciały i nie umiały się podnieść na wyżyny rzadkich wyjątków. Bo odwróciła się zupełnie dotychczasowa etyczna miara i waga w literaturze. Niegdyś powieściopisarze traktowali moralne zbrocenia jako zjawiska rzadkie, chorobliwe, godne napiętnowania i wyróżnienia zbadaniem ciekawego, bo niezwykłego typu. Dzisiejsi autorowie romansów wmawiają w nas owszem, że zepsucie jest regułą ogólną, z pod której wylamują się zaledwie nadzwyczajne jednostki, że zmysł moralny zanikł powszechnie, a newroza zapanowała niepodzielnie, usprawiedliwiając najhaniebniejsze postęпки i występki. Niebezpieczeństwo złych książek, nieuczciwych powieści, tkwi głównie w tem wier-nem rzekomo odzwierciedleniu epoki i współczesnych ludzi, wmawiając przez to w czytelników, że i oni z jednej ulepieni gliny, w jednakiem mogą, ba nawet muszą pograć się błocie.

Nie będziemy się wdawać w szczegółowe ocenianie tych pajęczych tkanek, acz niektóre z nich niezawodnie zdradzają rękę mistrza i niepospolitego znawcę sere ludzkich, biegłego w analizie zawitych sentymentów i w przewidywaniu życiowych komplikacyj. Co za tragiczne n. p. dzieje owego artysty, marzącego o odrodzeniu się w dziecku z krwi i kości swojej, który wszystko robi co może, aby już przed narodzeniem syna uszlachetnić go fizycznie i moralnie, zgotować ludzkie arcydzieło, po tyłu arcydziełach dłuta. Tymczasem los mięsza jego ślepe nadzieje i zachody. Przychodzi na świat dziecię ułomne, niezdarzone, budzące w ojeu wstręt i nienawiść, obejmującą w jednej urazie i nieszczęśliwą matkę. Przez kilka lat gorycz i rozstrój panuje w domu i sercu, i pracowni, i zawodzie artysty. Aż narreszcie raz chwyta za dłuto, aby wyciosać z marmuru postać wymarzonego niegdyś potomka. Takim być miał niby młody bóg, w sile swej i młodości i odziedziczonym po rodzicach spadku urody i krzepkości. Ale oto lzy żony, płacz dziecka budzi go z zachwytu, budzi w nim i serece i sumienie. Sztuka mu będzie pociechą, a nie odtrąci już z rodzicielskiego objęcia biednego chłopca, który przecież nie winien, że się garbatym urodził. Dobrą jest i opowieść o malarzu utalentowanym, lecz hołdują-

cym modzie, przynoszącym na płótno wdzięki jednodniowe, prądy chwili, wymagania mniej surowej epoki. Życzliwy mu znawca obdarzył go arcydziełem z quattrocenta, na wieczne porównanie i wieczny wyrzut zmarnowanego w śmieciach talentu. Cóż gdy talent ten nie posiada skrzydeł i wyżej żadną miarą wzbici się nie potrafi. W innej powiastce, autor stawia bodaj trafny aksyomat, iż pewne przeczcucie nas ostrzega przy pierwszym spotkaniu, budzącą się do nowo-poznanych antypatyą, że nas od nich czeka jaka przykrość czy klęska. W długiem nieraz życiu, przedmioty takiej sennej niechęci, zwykły siebie nawzajem przypominać, i powinowactwem rysów czy wyrazu stwierdzać obawy uprzednio sprawdzone. Najlepiej może wypadły tu karty poświęcone dniom Komuny, wysnute ze wspomnień studenta, który się jej przyglądał głównie z okien własnej izdebki w kollegium Bald'e. Obraz to żyjący a straszny. Najdramatyczniejszą, acz najwstrętniejszą zarazem jest opowieść p. t. *Le vrai père*, mieszcząca expiacę w atawizmie występku, który się w dziecku przejawia, najsroższą matce zadając katuszę. Najlepiej zaś usprawiedliwia ogólny tytuł drobna nowelka, opisująca wahania się nowo-obranego posła, ażali po wojnie wróci do publicznego życia. Aż tu spotyka znane sobie stadło bezdzietne, pogrążone w żałobie po utracie przybranego syna, który zginął w bitwie. Nie mogli przenieść osierocenia swego ogniska, i już nową przygarnęli sierotę, aby mózdz dalej kochać — i mieć co kochać. A on miałby zaprzestać kochać Francję, zagrzebując duszę w żałobnych tylko wspomnieniach? Nie, stokroć nie, zdziera więc odmowę mandatu, i powraca na arenę czynnej służby.

Oto głównejsze urywki, z których się składa ten lichy w gruncie zlepek szkiców zaledwie i studyów niewykończonych, w których doraźnej budowie znać jednak potężną wyobraźnię, pióro wytrawne i wykwiłtne, psychologiczne doświadczenie i biegłość mistrza rodzaju, już dziś nieco zwietrzałego po krótkotrwałem powodzeniu, które więcej szkody zrobiło ludzkości, aniżeli literaturze i mowie francuskiej przyniosło korzyści i chluby. Analiza bowiem cudzych uczuć i czynów, doprowadziła wielu do stokroć niebezpieczniejszej i zgubniejszej introspekyi własnej, wiodącej prostą drogą ku obłędowi dekadentyzmu. A że ten ostatni u nas jest pożyczaną szatą, w którą się stroi i przebiera a próbuje usprawiedliwić rodzime, słowiańskie próżniactwo, słuszną możemy chować urazę do tych, co pierwsi dali hasło do tej „najgorszej zabawy“, którą sobie człowiek wymyślił, aby pod pozorem odgadywania odwiecznych przeznaczeń i duszy własnej zagadek pogrążyć się w nirwanie wygodnej beczynności.

N.

— *Ramuntcho*, par Pierre Loti de l'Académie Française. (Paris, Calmann Lévy, 1897). — Nie jesteśmy zwolenni-

kami sztuki dla sztuki i literatury dla stylu. Dlatego też, mi-sterne peryody i wytworne frazesa p. P. Lotiego nie wzbudzają w nas chętnego uwielbienia. Muzyka to słów rozbujana jak ko-łysanka, pieśń cudownie wyśpiewana nie na to, by gromkie wzbudzić czyny lub silniejsze uczucia, lecz raczej aby jedne i drugie usnąć czarem sennej melodyi i rozpląnąć się w nir-wanie wschodniej, stanowiącej ostatecznie najwyższy cel i ma-rzenie egzotycznego autora, zawodzącego odwieczną wciąż skargę na marność życia i ziemskich rzeczy, aby w zaświatach nie uznawać nic więcej okrom próżni i znicestwienia. Etyczna strona jego filozofii, tak litościwie wyrozumiałej dla słabszych duchów, którym wystarcza dźwignia chrześcijańskich przekonań, rzekoma zazdrość wobec tych co po dawnemu, po prostu, wierzą i ko-chają, dumnie acz smutnie wyrażona bodaj udana tęsknota za wszystkim co niegdyś dźwigało dusze, a ustawiczne zaprzeczenia wszelkich pojęć o nieśmiertelności, aby wiecznie tylko wspo-minać koniec wszechrzeczy, śmierć i nieuniknione zniszczenie — nastrój to zwykły autora, który karmiąc nas perłami stylu, ostatecznie sprowadza i zostawia dziwny niesmak w ustach i sercu czytelnika.

A szkoda tak wielkiego talentu dla służby nihilizmu czy buddyzmu, które obleka, niby strój pożyczany, na podobieństwo owych magnatów polskich, bawiących się w emirów, na to, aby współczesnych zdumiewać. Szkoda zaś tem większa, iż talent Lotiego bynajmniej się nie zmniejszył, odkąd „poszedł w sena-tory“ i zasiadł w gronie „nieśmiertelnych“. Owszem wszystkie zalety jego pióra jeszcze chyba się spotęgowały. a *Ramuntcho* godzien stanąć tuż obok *Pêcheur d'Islande*. Na rusztowaniu dość błażej osnowy autor upiętrzył długi szereg niezrówna-nych opisów i obrazów, na wątlą nic potocznego opowia-dania nanizal dłuższy poczet istnych pereł stylu. Tym razem odbiegł wybrzeży wysp australskich, opuścił bretońskie przy-stanie, aby nas przenieść w zakłęta krainę, kędy kryje się i żyje osobny szczepek celtycki, osobny obyczaj, tradycya, kul-tura, plemię Basków, obwarowane górami, a więcej jeszcze siłą narodowego poczucia i odrębności. Nic nie zacierą oryginalnych cech i znamion tej garstki, rozsiadłej na pograniczu Francyi i Hiszpanii. Nawet gdy z gór ojczystych w tą lub ową wychy-lą się stronę, Baskowie nie tracą nic z pierwiastków i znamion szczepowych, nie przedzierzgają się ni we Francuzów ni w Hisz-panów.

Dla nas oczywiście osobny urok posiadać musi obraz tej ludności, strzegącej tak pilnie swego narodowego charakteru i obyczaju. Nie giną ci, co zginąć nie chcą a żyć i trwać postanowili.

Dłuższym w tych stronach pobytym spoufalony z życiem i zwyczajami Basków, Loti kreśli dzieje jednego z nich, Raj-

munda - Ramuntcha, który poniekąd dwie dusze w sobie czuje, nieznanego ojca, przychodnia z północy, i matki, rodowitej tych gór i dolin córy. Odzywa się raz po raz w nim jakiś atawizm, rwący się do szerszych widnokręgów, do nieznanego świata, ale wnet macierzyńskie wpływy i pierwiastki zwyciężają i zatrzymują go wśród Basków. Jak współplemiennicy, i on w narodowej grze palanta celuje, i on dorówna najśmielszemu kontrabandziście. Bo przemytnictwo jest tam narodowym przemysłem i ulubionem zajęciem, nie tyle może dla zysku, ile dla azardu i z nienawiści do służby celnej. Powieść ta ma wysokie znaczenie etnograficzne i artystyczne zarazem. Żaden badacz ni podróży lepiej nam poznać nie da ustroju owej celtyckiej w Pireneach osady, żaden malarz nie potrafi oddać z większą prawdą i świetniejszym farb doborem przeróżnych scen i momentów i widoków tych stron malowniczych. Ramuntcho kocha wiejską dziewczynę, Graciozę, która mu się odplaca wzajemnością. Nic czystsze ani wdzięczniejsze od tej młodej miłości. Cóż, kiedy matka Graciozy, twarda kobieta, z wyżyn nieposzlakowanej cnoty wżgardliwie spogląda na matkę Ramuntcha, niegdyś przez obcego przybysza uwiedzioną. I oto gdy młodzieniec opuszcza wioskę rodzinną dla służby wojskowej, Dolores córkę, dziecinną jeszcze, marzącą Graciozę, zamyka w klasztorze, gdzie usypiają ziemskie marzenia, zwrócone jedynie w zaświaty.

Za powrotem, Ramuntcho nie zastaje już narzeczonej. Zmawia się z jej bratem, aby ją porwać z klasztoru. Azard to jeszcze większy, aniżeli przemykanie tytoniu lub innych towarów, a kontrabandziści gotową towarzyszowi zapewniają pomoc. Atoli wobec uciszenia klasztoru, słodkiego spokoju mniszek, białej niewinności Graciozy, sennej szczęśliwości tej Bożej czeladki, opada animusz najeźdców, zwyciężonych przed walką, rozbrojonych zanim się do czynu porwali, odchodzących nieśmiało, nie spróbawwszy nawet zamącić spokoju zakonnych gołębic.

Już bo Gracioza na innem wybrzeżu, już ziemskiej nie zrozumiałaby mowy, zapatrzona, zatopiona w *mirażu* niebiańskim. Bo dla Lotiego chrystyanizm jest zawsze tylko mirażem, uludą, urojeniem, a zaparcie i ofiara zagadką, równie niezrozumiałą, jak dla tej garstki kontrabandzistów, schodzących z góry klasztornej ze zwieszonem czołem, aby nazajutrz puścić się na dalekiej Ameryki wybrzeża i morzem się odgrodzić od wspomnień swoich i zawodów i żalów. A tymczasem białe, spokojne mniszki, jakby nie domyślając się burzy, która się nad ich klasztorciem zerwała — i rozwiła — kończą wieczorne pacierze.

Kończy się i książka słowami hymnu, co zdobią stale sterczące po drogach chrześcijańskiego kraju krzyże: *O crux ave, spes unica!* Tej nadziei zazdrości Baskom Loti. Jeżeli smu-

tek jego jest szczery a nie udany, jeśli jest ościeniem dusznego niepokoju, a nie pozą artysty, spodziewać się można dalszego chyba zwrotu jego pióra i duszy ku prawdzie, której dziś jeszcze niekiedy bluźni, ale bluźniąc już cierpi, i coraz mniej czelnie, mniej pewnie zaprzecza. N.

— *Lct résor d'Arlatan*, par Alphonse Daudet. (Paris. Librairie Charpentier, 1897). — Do jakiego zewnętrznego wdzięku i ozdoby dojść może ulotne wydawnictwo, niniejsza powieść nam wskazuje. Trudno o śliczniejszą polichromię, nad te ilustracye opracowujące poszczególne kartki w polne kwiaty i rośliny, nad te widoki nieprzejranych, nadrodańskich, nadmorskich przestrzeni, nad te typy południowe, i ciepłem południa acz smutkiem innych stref owiane krajobrazy. To zejście się niespodziane tęsknot północy z gorącym kolorytem południa, może było powodem, iż dwa najprzedniejsze w kraju naszym umysły, niegdyś tutaj sobie zgotowały odpocznienie, i nabytkiem sporego kawałka ziemi zdumiewały rodaków: hr. August Cieszkowski i hr. Rogier Raczyński, obydwaj posiadali w tych stronach włości, o bardziej poetycznym aniżeli praktycznym znaczeniu. Nie od dziś bo Prowancya, nawet w najbardziej wydziedziczonych swych częściach, przyciąga i ściąga poetów. A Daudet pono z tych stron pochodzi, zna je dobrze, wplata wspomnienia młodości w każdą bodaj ze swych powieści. Dość wspomnieć *Farandolę* w *Nababie*, śpiewaka Valmajour obok Numy Roumestan, doskonałych typów południowców, itp. Ale oddawna wyczerpniętą się twórczy animusz autora tylu pięknych opowiadań. Dziś on zaledwie na krótkie zdobywa się nowelki i zdawałoby się niemal, że krasą zewnętrzną wydawcy pragną wynagrodzić szczupłość treści i chude rozmiary powiastki.

A jednak w tej ostatniej tkwi może myśl głębsza. Ten *Arlatan*, to stary byków pogromca, niegdyś słynny z siły i powodzeń u płci pięknej, *Herkules* i *Don Juan* wiejski, dziś przedzierzgnięty w znachora. W skarbie jego znaleźć można i leki i kordyały przeróżne i stare rupiecie i poźółtkle fotografie i niecne ryciny i czece ogłoszenia i reklamy. Sam powiada, że zna on środki zdrowia i środki śmierci, umie dostarczyć balsamy gojące lub trujące, wedle tego, czego się żąda. I oto sprawdza się to słowo na młodzieńcu, przybyłym z Paryża, aby uciec przed niegodną miłością i zdradą, który zleczony jest odnalezieniem fotografii wiarolomnej wśród pandemonium starego znachora — przynajmniej tak mu się zdaje, kiedy chyba życie na łonie przyrody, słony wiatr od morza, samotność i obcowanie z prostakami, więcej się do tego moralnego uzdrowienia przyczyniają. A jednocześnie biedna *Zia*, dziewczynka, której wyobraźnię znachor niepowrotnie zbrudził widokiem niegodziwych ilustracyj i rycin, wędnie, usycha, nareszcie próbuje uciec przed nagabywającemi ją przypomnieniami i obrazami aż na

dno słonej fali, która się nad nią zamyka. Rzecz niesmaczna i niemiła, nowy objaw tej literatury patologicznej, która się coraz częściej rozwielmożnia we Francyi, a niestety dziś i gdzieindziej. Nikłość osnowy, oraz jej wstrętne strony, okupuje zręczność wypróbowanego mistrza w sztuce opowiadania, okupuje i niezrównana szata, w której nam niniejsze podanem zostało. Jako morał powiastki, bohater jej, zasmucony śmiercią młodziutkiej Zii, wydobyteż z toni i patrzącej tak smutnemi, szklanemi oczyma, dodaje: „Biedna dziewczynka śmiercią przyplaciła niewczesną swą ciekawość, kiedy ja bodaj ztąd zdrowie i życie wyniosę. Alboż ten różnorodny skarb Arlatana nie da się przyrównać do wyobraźni, u każdego innej i odmiennej, acz zawsze niebezpiecznej gdy się ją zgłębić próbuje? Można nią żyć, można i od niej zginąć“.

Na tem kończy się ten delikatny pastel, równie misternie nakreślony, jak te kwiaty rzucone jakoby od niechceenia na szerokich tekstu marginesach, bez żadnej wzmianki o tych wyższych kordyałach, co choroby wyobraźni leczą, a zboczeniom fantazyi dostarczają pewnego kompasu i steru, aby na manowcach nie bujała i nie błądziła. N.

NOWE PUBLIKACYE

AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI W KRAKOWIE.

Samuel Adalberg: *J. Stoka, M. Pudłowskiego i J. A. Knity Powieści wierszowane, 1564—1610* (Biblioteka pisarzy polskich). Kraków, nakł. Akademii Umiej., Spółka Wydawnicza, druk. Uniw. Jag., 1897, w 8-ce, str. IX i 121.

Archiwum do dziejów literatury i oświaty w Polsce, wydawane przez Komisję do badań tego zakresu przez Wydział filologiczny Akademii Umiejętności w Krakowie powołaną, tom IX. Kraków, nakł. Akademii, Spółka Wydawnicza, druk. „Czasu“, 1897, w 8-ce większej, str. 1 nl. i 401. 2 złr. 50 cent.

Treść: Reforma Uniwersytetu wileńskiego i szkół jemu podwładnych za rektorstwa Twardowskiego, dokumenta urzędowe z Teki Twardowskiego, przez dra Szeliga (str. 1—135); Promieniści, Filareci i Zaorzanie, dokumenty urzędowe dotyczące Towarzystw tajnych na Litwie, 1822-1827, przez Z. Wasilewskiego (str. 137—267); O rękopisie biblioteki królewskiej i uniwersyteckiej w Wrocławiu z r. 1515, tudzież o pismach w nim zawartych, przez M. Jeziernickiego (str. 268—294); Ks. Izzydora Chrościńskiego, pierwszego prefekta gimnazjum tarnowskiego, Kronika z lat 1784—1794, z przydaniem aktów

fundacyjnych kolonii akademickiej w Tarnowie z lat 1559 i 1578, jakoteż raportu o jej stanie z r. 1766, wydał dr J. Leniek (str. 295—401).

Archiwum Komisji prawniczej Akademii Umiejętności, tom V (*Collectanea ex archivo Collegii juridici*). Kraków, nakł. Akademii, Spółka Wydawnicza, druk. Uniw. Jag., 1897, w 8-ce większej, str. 574.

Treść: Statuta legata Gentilisa, wydane dla Polski na synodzie w Preszburgu 10 listopada r. 1309, przez Wł. Abrahama (str. 1—36); Najdawniejszy układ systematyczny prawa polskiego z XV w., przez B. Ulanowskiego (str. 37—190); Średniowieczne prawa mazowieckiego pomniki z rękopisu petersburskiego, przez O. Balzera (str. 191—310); Komisya samborska z r. 1698, przez B. Ulanowskiego (str. 311—365); Kilka aktów do historii sądownictwa według prawa niemieckiego w Polsce, przez B. Ulanowskiego (str. 367—400); Najdawniejsza księga sądowa miasta Biecza, przez B. Ulanowskiego (str. 401—450); Statuta capitulorum Gneznensis et Poznaniensis ecclesiarumque collegiatarum Varsoviensis et Lanciociensis, przez B. Ulanowskiego (str. 451—546); Dwie taxy towarów cudzoziemskich z r. 1633, przez Wład. Rolnego (str. 547—574).

Tito Livio Buratini: *Misura universale di...* podług wydania wileńskiego z r. 1675 wydał powtórnie Wydział matem. przyr. Akademii Umiej. w Krakowie. Kraków, nakł. Akademii, Spółka Wydawnicza, druk. Uniw. Jag., 1897, w 4-ce, str. i V. 32, z 4 tabl. 1 zhr. 50 cent.

Po przedmowie podpisany wydawca: dr Ludwik Birkenmajer.

K. Estreicher: *Bibliografia polska*, część III tom 4, ogólnego zbioru tom XV (D—Dzwonkowski). Kraków, wyd. Akademii Umiej., druk. Uniw. Jag., 1897, w 8-ce większej, str. VIII i 475.

Fr. Piekosiński dr prof.: *Rycerstwo polskie wieków średnich*, tom II: *Dwanaście pierwszych pokoleń rycerstwa polskiego wieków średnich*. Kraków, nakł. Akademii Umiej. z funduszu św. p. Józ. Curzydły, Spółka Wydawnicza, druk. „Czasu”, 1896, w 8-ce, str. 467. 5 zhr.

Rozprawy Akademii Umiejętności: Wydział filologiczny, serya II tom 10, ogólnego zbioru tom XXV. Kraków, nakł. Akademii, Spółka Wydawnicza, druk. Uniw. Jag., 1897, w 8-ce większej, str. 1 nl. i 434, 5 zhr.

Treść: Kazania gnieźnieńskie, text i glosy z rękopisu wydane i słownikiem opatrzone, przez Wł. Nehringa (str. 1—114); Kazania średniowieczne, przez A. Brücknera, część III (str. 115—205); Drobnie zabytki języka polskiego XV w., pieśni, modlitwy, glosy, przez A. Brücknera (str. 206—291); Szkoły parafialne w Polsce w XIII i XIV w., przez A. Karbowiaka (str. 292—360); Socyologiczne poglądy dwóch Antyfontów, przez St. Schneidera (str. 361—388); Quaestiones grammaticae et etymologicae, przez J. Rozadowskiego (str. 389—434).

Rozprawy Akademii Umiejętności: Wydział historyczno-filozoficzny, serya II tom 9, ogólnego zbioru tom 34. Kraków, nakł. Akademii Umiej., Spółka Wydawnicza, druk. Uniw. Jag., 1897, w 8-ce większej, str. 1 nl. i 403.

Treść: Wielkie gospodarstwa, ich istota i znaczenie, przez Wł. Czerkawskiego (str. 1—163); O Rocznikach polskich, przez W. Kętrzyńskiego (str. 164—354); O kronice węgiersko-polskiej, przez W. Kętrzyńskiego (str. 355—392); Zakładka na sprzężaj w Pabianicach, przyczynek do dziejów kredytu włościańskiego w XVIII w., przez Ad. Krzyżanowskiego (str. 393—403).

Wł. Wisłocki: *Acta rectoralia Almae Universitatis Studii Cracoviensis inde ab a. 1469, tomus I continens annos 1469—1537 (Universitati Jagiellonicae quingentesima natalium sollemnia a. Dni 1900 feliciter redeuntia celebraturae s.)*. Cracoviae, sumpt. Academiae Liter., Spółka Wydawnicza, typ. Univ. Jag., 1893/97, w 8-ce, str. XI, 1222 i 1 nl.

Dr W. W.

TEATR KRAKOWSKI.



Do repertoiru opery włoskiej przybyły w lipcu: Verdiego *Otello* i *Aida*, Thomasa *Mignon*, Halevyego *Żydówka*, Bizeta *Carmen* i Moniuszki *Halka*. Wystawiła tedy kompania p. Łukowicza dziewiętnaście oper w ciągu sześciu tygodni; nie oszczędzono śpiewaków, którzy śpiewali po pięć wieczorów na tydzień, uczyli się partycyj i odbywali próby z orkiestrą całkiem sobie obcą. Pilności nikt im chyba już nie odmówi wobec tego, a podnieść to należy tembardziej, że staranność ich wcale się nie zmniejszała ku końcowi, lecz owszem była raczej coraz większą, a ostatnie przedstawienie nie czyniło ujmy pierwszemu. Szacunek artystów dla przedstawianych dzieł zasługuje na największe pochwały i niemniej uznania godna sumienność dyrektora A. Łukowicza i reżysera D. A. Doumà.

Wśród tylu sławnych oper przesunęła się też i nasza *Halka*, śpiewana w europejskim języku opery. O tamtych wszystkich dziełach sąd już ustalony i chyba tylko co do *Otella* są spory, jaki stopień wartości mu przyznać; ale o dziele Moniuszki nietylko niema dotychczas wyroku powszechnego, bo ono Europe nieznane, ale co więcej, my sami nie mamy o niej jasnego i ściśle określonego zdania. Za mało jest muzyki w polskiej kulturze, żebyśmy się sami zdobyć mogli na stanowcze orzeczenie; lubimy *Halkę* wielce, ale znawstwa niewiele możemy ofarować do krytycznego jej rozpatrzenia. Kilka lat temu uwaga całej intelligencji zwrócona też była na wystawę teatralno-muzyczną w Wiedniu, bo tam *Halka* miała zdać egzamin wstępny do druzyny europejskich oper. Smutnej to dla nas pamięci wystawa! Czeska *Sprzedana narzeczona* szturmem zdobyła sobie patent, bo ją wyposażono we wszystkie środki do tego turnieju, a naszą operę wystawiono jak najgorzej. Trudno, opera nie jest

poematem, który sobie każdy może w domu odczytywać spokojnie; ona wymaga orkiestry i teatru z całym jego mechanizmem, ona musi być dobrze reprodukowana, inaczej — jakby nie istniała! Licha reprodukcyja zabiła też wówczas *Halke*, choć opera ta większą może ma wartość od *Sprzedanej narzeczonej*. Bądź co bądź, pozostała kwestya wątpliwą, czy nasza opera może się zaliczyć do literatury muzycznej powszechnej, czy mogłoby się dla niej znaleźć tam miejsce; pozostały wątpliwości, czy dzieło Moniuszki nie jest piękne tylko dlatego, że jest miłe, a więc też tylko dla tych, dla których jest miłe, czy nie wymaga życzliwego uprzedzenia na tle patryotycznym. To też wielkie nastąpiło zaciekawienie, gdy goszcząca u nas włoska opera zapowiedziała *Halke*. Audytoryum wprawdzie pozostaje swojskie, pozostaje tedy niebezpieczeństwo, że swój swego będzie chwalić i przechwali, ale obcy wykonawcy dostarczyć mieli ciekawego eksperymentu, a zarazem elementarnej próby dla dzieła. Pierwszym bowiem warunkiem istotnej wartości dla dzieł sztuki jest, żeby były wyższe od wieży Babelu, tj. żeby nie zniknęło z nich piękno, gdy się je pozbawi lokalnego narodowego tła; skoro zaś dzieła sceniczne i opery wymagają przedewszystkiem reprodukcyi, zatem najpierwszym warunkiem dla nich jest, żeby mogły być zrozumiane przez obcych artystów. Mówi się oczywiście tylko o artystach dobrych; była już zaś o tem mowa, że włoska kompania p. Łukowicza odznacza się dobrem zrozumieniem dzieł i wybornem ensemblem.

Panowało głębokie przekonanie, że *Halka* w tej włoskiej interpretacyi wypadnie słabiej, niż w polskiej, właśnie dlatego, że na scenie będą cudzoziemcy; krytyka przygotowaną była na to, że tę okoliczność trzeba będzie pobłażliwie uwzględnić, boć oni temu nie winni, że się nie rodzili Polakami, a należy się im uznanie i za trudy niesione celem wyuczenia się egzotycznej dla nich opery i za tę grzeczność, że pamiętają o tem, co my lubimy.

Przedstawienie to *Halki* było jednak niespodzianką, jak rzadko! Powiedzmyż naprzód, że jeden ustęp wypadł fatalnie, niżej krytyki, a mianowicie mazur. Kto nie był na przedstawieniu, pomyśli sobie zapewne: jakżeż można było żądać od Włochów, żeby tańczyli mazura? lepiej to było opuścić! Zapewne, że lepiej było opuścić, niż dać karykaturę mazura i to tańczoną przez Polaków! P. Senowski prowadził go dobrze, ale takich miał lichych tancerzy, a zwłaszcza tancerki, że śmiano się z ich niezgrabności na przedmiejskiem weselu. Po za tem niemilem *intermezzo*, wszystko jednak, tj. cała opera, udała się jak najlepiej. Przedstawienie nie było słabszem od zwykłych polskich, ale *bez porównania* lepszem: takiej *Halki* nie słyszano jeszcze. — Przed dwoma laty wystąpili w *Halce* p. Myszuga i p. Konarska, w rolach Jontka i Halki; zapewne takiego duetu nie

usłyszy się już może nigdy, o lepszym koncercie na tle *Halki* nawet marzyć trudno; ale też za to jak odbijały te partyceye od otoczenia i czyż nie wychodziło się z teatru z wrażeniem, że po za kilku ustępami solowemi w tej operze niema zresztą nic szczególnego? Obecnie obie te partye śpiewane były znacznie słabiej; ale za to *po raz pierwszy* reprodukowano należycie *całą Halkę*, po raz pierwszy usłyszeliśmy *Halkę, jako operę*, a nie jako koncert. Ani we Lwowie, ani w Warszawie niema trupy, któraby potrafiła tak *Halkę* wystudyować, poznać się na niej i wyzyskać jej piękności. Dzięki włoskiej drużynie odkrywało się w tej tak napozór osłuchanej operze coraz nowe piękności; oni nam dopiero pokazali, czem *Halka* jest i jak ją śpiewać należy, a zwłaszcza koniec II i początek III aktu są już całkowicie ich odkryciem.

Niewiedzieliśmy, co posiadamy, bo nie umiano opery reprodukować. Wszystkie polskie przedstawienia wydają się teraz, po tem włoskiem, przedewszystkiem dziwnie niedbałemi. Odklepane lekceważąco, byle zbyć, albo też przez wykonawców niezrozumiane pod względem muzycznym, tak czy owak — dzieło to przez długi szereg lat krzywdzonem było na narodowych scenach. Włoscy śpiewacy wykazali nam, że opera ta ma znacznie większą wartość, niż dotychczas mniemaliśmy, że jest obfitym zbiorem piękna i to rozdzielonego równomiernie na całe dzieło; niema ustępu, któryby czemś się nie odznaczał, a chóry mogą w niejednym miejscu rywalizować z operami ustalonej już sławy — te chóry, które u nas uważano za coś drugorzędnego, nabrały wreszcie życia i wystąpiły także na pierwszy plan i dorwawszy się głosu, choć po włosku, zawołały na rodaków: „Kaleczyliście nas już dosyć długo“! — Co za szkoda, że p. Łukowicz nie jedzie ze swą kompanią do Lwowa i Warszawy, umyślnie tylko z *Halką*! Lwów możeby się oburzył — ale Warszawa, byłaby niezawodnie wdzięczną za dwa lub trzy wieczory *Halki*. Wielka szkoda, że praca i zmysł estetyczny tych sumiennych Włochów pójdą na marne. Trwałym skutkiem tych przedstawień powinnyby być podniesienie poziomu polskich przedstawień *Halki*, poprawniejsza reprodukcyja, wszechstronna interpretacyja jej piękna, estetyczniejsza forma i bacniejsze zrozumienie całego szeregu ignorowanych niemal zupełnie dotychczas ustępów, słowem postęp znaczny w reprodukcyach *Halki*, a przez to wielkie podniesienie tej opery w naszych własnych oczach. To wszystko mogłoby nastąpić, gdyby ci Włosi zaśpiewali *Halkę* we Lwowie i w Warszawie, żeby publiczność tamtejszych oper wiedziała, czego wymagać, a kierownicy, czego dopilnować należy. Niestety, rzecz działa się w Krakowie, gdzie niema stałej opery i cały ten trud minie bezskutecznie, cała zasługa przeminie bezowocnie. Żeby też choć na trzy wieczory pojechali do Warszawy, zanim z Kijowa udadzą się znowu na północ. War-

szawę stać na to, żeby opłacić koszta tej wycieczki, a pozostałby przynajmniej jakiś rezultat trwały w artystycznym jej dorobku. Jest obowiązkiem zwrócić na to uwagę, a czci dla Moniuszki i zamiłowaniu narodowej sztuki przysłużyłby się wielce, ktoby tę myśl wykonał, bo przez to sprawiłby, że oddawanoby Moniuszce, co mu się należy.

Halka w dobrej interpretacji, zestawiona z innymi operami, wcale nie tonie. Spostrzega się przedewszystkiem, że posiada zaletę, którą nie może się poszczycić niejedna ze sławnych oper: oto nie jest wcale nudną. Od początku do końca posiada ciągle ustępy, mogące rozbudzić uwagę i godne uwagi. Toteż nie ulega wątpliwości, że nasi muzycy i zawodowi jej znawcy zabraliby się nanowo do krytycznego studyowania tego dzieła, że rozbudziłby się koło *Halki* cały ruch krytyczno-muzyczny, gdyby tylko przestano śpiewać ją niewłaściwie. Tak jeden dorobek pociąga za sobą dalsze i coraz dalsze; dużo dobrych skutków możnaby się spodziewać dla tego działu polskiej sztuki, gdybyśmy się tylko zdobyli na pierwsze kroki na należyte wystawienie *Halki*.

Nie myśmy to zrobili pierwsi, ale Włosi. I niema w tem nic dziwnego. Wszystkie nasze przedstawienia operowe polegają na tem, że się naśladuje zagraniczne widowiska, boć opera niema u nas tradycyi; cóż dziwnego, że najslabiej wystawialiśmy operę, do której przedstawiania brakło wzoru ze scen obcych? Tem się tłumaczy dostatecznie, że na polskiej scenie najslabiej wypadła polska właśnie opera. I jeszcze jedna trudność. W narodzie bardzo a bardzo mało muzykalnym *Halka* spodobała się mniej dla piękna artystycznego, a bardziej dla narodowego swego pokostu: namiętne upodobanie do tego odwracało — i jeszcze odwraca — uwagę od tamtego. Włosi nie zagrzewali się tem, że to polskie; dla nich nie było to rodzimem, ale tylko wyłącznie artystycznym i całą uwagę skupili na kwestyi sztuki, jako takiej. Dlatego też od nich dowiedzieliśmy się wielu nowych rzeczy o *Halce* i od nich nasi powinniśmy się *Halki* uczyć.

Jontka śpiewał p. Cokkinis, tenor o nader przyjemnej barwie głosu; nie wyręczył p. Myszugi, ale odśpiewał wszystko poprawnie, a przygotowany dobrze wyzyskał każdy takt swych nut, nie lekceważąc niczego, nie spychając niczego na drugi plan. Halką była p. Shaw, najslabsza bądźco bądź ze solistek tej kompanii. Budziło to obawy, ale zaraz w I akcie śpiewaczka zniewoliła sobie publiczność, a czem dalej opera postępowała, tem większe ogarniało słuchaczy zdumienie, jak dobrze p. Shaw śpiewa, jakby od dawien zrosła się z rolą; pomagała sobie doskonałą grą aktorską, tak, że wyglądała, jakby stworzona do tej roli. Nader rzadko można się spotkać z takim przykładem pracy nad sobą, jak w tym wypadku u p. Shaw, ale też za to praca ta wydała wynik świetny, nadspodziewany. Stolnika

śpiewał p. Gondolfi; takiego Stolnika nie widziała jeszcze scena, a występ ten należy nazwać bezwarunkowo znakomitym, wzorowym pod każdym względem. Zofię śpiewała p. Paganelli z wielkiem^o powodzeniem, Janusza zaś p. Cleco, interpretując sumiennie. Dziembą wreszcie był p. Ferraioli, a występ jego zaliczyć wypada do przewyższających średnią miarę artystyczną. O wszystkich powiedzieć trzeba, że wywiązali się ze swego zadania nietylko zupełnie dobrze, ale stworzyli wzory dla innych. Bo też z wyjątkiem partyj Jontka i Halki na gwałt wzorów nam było trzeba! a gdy nie każdemu danem jest mieć głos p. Konarskiej lub p. Myszugi, w tem włoskiem przedstawieniu można było widzieć, co w *Halce* da się zrobić z głosów średnich.

Zewnętrzna strona przedstawienia wypadła świetnie, bez porównania lepiej, niż dotychczas byliśmy przyzwyczajeni, a zwłaszcza estetyczniej, harmonijniej. Stroje polskie, szlacheckie i ludowe, nosili na sobie Włosi dobrze, niektórzy bardzo dobrze; dwóch zaś, pp. Gondolfi i Ferraioli (Stolnik i Dziemba) mogłoby pod tym względem iść o lepsze z każdym dobrym polskim aktorem — obie te postacie opracowane były pod względem aktorskim wybornie.

Nie szczędzono artystom dowodów uznania; oklaskom nie było końca, a wieńce i bukiety, które im ofiarowano, jako solennie zasłużone, były też razem wyrazem opinii całej zebranej publiczności; to też sypały się z widowni kwiaty od gorsów i z bułonierek, sypały się na artystów, a pamiętano i o chórzystach.

Chóry są połową opery i to równą, całą połową. Rozumie to włoska kompania, rozumie przedsiębiorca, p. Łukowicz, a publiczność nasza, pojęła to dobrze. Na ostatniem przedstawieniu, które było benefisem dla chórów, stawiono się licznie i zgotowano chóróm zasłużoną owacę.

A teraz — koniec opery. Czy też usłyszy się jeszcze kiedy *Halkę* tak w *całości*?! Czy polska opera dojdzie u nas do takiego ensemble?

Nietylko opery koniec, ale i sezon zamknięty zupełnie; przez sześć tygodni niema w Krakowie teatru, pozostaje tylko teatrzyk w zamiejskim ogrodzie. Dziękując Dyrekcji miejskiego teatru za sprowadzenie włoskiej opery, życzymy duchom opiekuńczym gmachu teatralnego powodzenia w chwalebnem przedsięwzięciu oczyszczenia i oplukania go przez wakacje, na wrzesień zaś życzymy dobrego zdrowia i dobrego repertoaru — sobie, aktorskiemu gronu, Dyrekcji i łaskawemu czytelnikowi.

Dr Feliks Koneczny.

Przegląd polityczny.

Kraków, 31 lipca 1897 r.

Podobnie jak w życiu, tak i w polityce jest możność zapomnienia jednym z najlepszych przymiotów człowieka. Bez tej możności nie możnaby znieść nieraz całego szeregu nieszczęść, bez tej możności nie możnaby prowadzić polityki. Szczególniej w Austrii jest zapomnienie najlepszym lekarzem na choroby polityczne. Im więcej namiętności wrą, tem prędzej następuje reakcyja, a po reakcyi zapomnienie. Nie wiemy, jak daleko postąpiła pod tym względem choroba narodowości w Czechach. Uspokojenia dotąd nie widać, ale, co jest ważnem, nie widać także i pogorszenia. Punktem kulminacyjnym było zapewne zgromadzenie w Chebie, które doprowadziło do bijatyki, do interwencyi wojskowej, ale w końcu przeminęło bez głębszych śladów. Równocześnie prawie z tym wiecem ludowym, ogłosiło kilkuset profesorów z cesarstwa niemieckiego rodzaj manifestu, w którym oświadczają swoje współczucie dla ciężkiej doli ludu niemieckiego w Austrii i potępiają rząd obecny i jego rozporządzenia. I ten manifest i zgromadzenie w Chebie, którego dalszy ciąg odbył się za granicami Austrii na ziemi saksońskiej, są najcharakterystyczniejszymi oznakami całego tego ruchu niemieckiego w Czechach. Śmiało można twierdzić, że nie chodzi tam już dzisiaj o rozporządzenia językowe hr. Badeniego, nie chodzi o to, czy urzędnicy w Czechach mają rozumieć język czeski, czy nie, ale o walkę,

sięgającą po za granice Austrii. Partya liberalna niemiecka rozpoczęła tę walkę w przekonaniu, że pomoże przez nią sobie samej, że skupi nanowo ludność niemiecką pod sztandarem liberalizmu niemiecko-austriackiego; ta partya, która była umierająca, chciała odżyć zapomocą tej walki, tymczasem, jak zawsze się to w polityce dzieje, iskrę przez nią rzuconą, rozżarzył kto inny, na czele agitacyi przeciwko rozporządzeniom językowym stanął kto inny i partya liberalna-niemiecka widzi dzisiaj, że zaszła zadaleko i zajęść może jeszcze dalej. Właściwym przywódcą walki jest dzisiaj adorator Bismarcka, p. Schönerer. Nikt nie ustąpiłby dziś chętniej z pola walki, jak niemieccy liberalowie, ale nie mogą tego uczynić; sądzą oni, że rządzą, a tymczasem inni nimi rządzą. Najciekawszem jest jednak stanowisko prasy liberalnej, szczególnie prasy wiedeńskiej, która dzwoniła na to kazanie, która nie znachodziła dosyć silnych wyrażen na potępienie hr. Badeniego i wywołanie zatargu narodowego w Czechach. Ta prasa kierowała się i kieruje zawsze w pierwszej linii względem na interesa żydowstwa w Wiedniu. Otóż i te interesa są obecnie zagrożone: ruch narodowy niemiecki jest w przeważnej części ruchem antysemitycznym. Na zgromadzeniu gimnastyków niemieckich w Reichenbergu, które się odbyło pod egidą przywódców obstrukcyi w parlamencie, pp. Funke i Lipperta, postawiono naseryo wniosek wykluczania żydów od udziału w zgromadzeniu i wogóle od udziału w „manifestacyach ducha niemieckiego“. Wniosek znalazł silne poparcie i tylko agitacyi ze strony przewodniczącego udało się go usunąć. Ruch na granicy czesko-niemieckiej staje się także ruchem anti-austriackim i antysemitycznym, podczas gdy prasa wiedeńska stara się zawsze o pozory lojalności austriackiej i jest, jak podnieśliśmy, w pierwszej linii zastępczynią interesów żydowstwa wiedeńskiego. Do tego się przyłącza i ta okoliczność, że skutkiem zawieszenia obrad parlamentu, wiele projektów finansowych, które mogłyby się przyczynić do polepszenia stanu targu giełdowego w Wiedniu, jest w zawieszeniu, że wiele interesów finansowych stoi w połączeniu z obradami parlamentu, a to wszystko sprawia, że prasa wiedeńska znajduje się dzisiaj, podobnie jak partya liberalna

niemiecka, a może jeszcze więcej jak ona, w bardzo niemiłym położeniu. I partya i prasa zagalopowały się, a cofnąć tak nagle trudno.

Ponieważ jednak w żadnym państwie europejskiem nie mają czytelnicy tak krótkiej pamięci jak w Austryi, przeto śmiało przypuszczać można, że po wakacyach, a może już w ciągu wakacyj, nastąpi silny zwrot i w prasie wiedeńskiej i w części partyi liberalnej niemieckiej.

Opozycya przeciwko rozporządzeniom językowym przez to jednak w zupełności usuniętą nie zostanie. Pozostaje silna agitacya narodowców niemieckich i trudna do pojęcia agitacya liberalnych członków wielkiej posiadłości niemieckiej. Ta ostatnia agitacya pochodzi z przyczyn, z rozporządzeniami językowemi w małym tylko stojących związku, ale jest w stosunkach austryackich dla stanowiska hr. Badeniego może najniebezpieczniejsza.

Pomimo to wszystko nie dzielimy przekonania tych, którzy co chwila wołają i powtarzają, że stanowisko hr. Badeniego jest zachwiane i którzy wyszukują już następców na miejsce prezydenta ministrów. Hrabia Badeni ustąpi, jeżeli sam tego zechce i kiedy będzie uważał chwilę do tego za sposobną. Obecnie o ustąpieniu mowy nie ma. Ze stanowiska polskiego chcielibyśmy jednak zwrócić uwagę naszej publicystyki na następującą okoliczność. Nie ulega wątpliwości, że hr. Badeni objął rządy wśród takich nadziei, jakich nieprzywiązywano dotąd do żadnego może ministerstwa w ostatnich czasach w Austryi. Widziano w tem ministerstwie rodzaj zbawcy Austryi. Czy było zręcznie, mówiąc ze stanowiska techniki dziennikarskiej, budzić wśród tak trudnych stosunków tak wysokie nadzieje, w to nie wchodzimy, ale fakt pozostaje faktem. Ustąpienie hr. Badeniego bez osiągnięcia choć części tych nadziei, z jakimi obejmował urząd, bez przeprowadzenia ugody z Węgrami i choć przygotowania terenu do ugody czesko niemieckiej, byłoby dla Polaków w Austryi faktem nader bolesnym. Co więcej, panuje obecnie między Niemcami w Austryi skutkiem agitacyi narodowej niemieckiej faktycznie wielka nieprzyjaźń przeciwko Polakom. Obszerne koła ludności niemieckiej przypisują winę rzekomego upośledzenia ludności niemieckiej w Czechach —

den Polacken. Ci *Polacken* muszą więc Niemcom pokazać, że w całej tej sprawie czesko-niemieckiej były rozporządzenia językowe tylko przygotowaniem do właściwego uregulowania sporu czesko-niemieckiego. Hrabia Badeni musi dojść w tym sporze do pewnego pozytywnego rezultatu, albowiem tylko w tym razie spadnie z niego i spadnie z Polaków wogóle odium, jakie wywołały rozporządzenia językowe. Hrabia Badeni musi pokazać, że nie jest nieprzyjacielem Niemców, ale mężem stanu, który wydał rozporządzenia językowe, podobnie jak lekarz wypala ranę, chcąc ją ostatecznie zagoić.

Ustąpienie hr. Badeniego bez przeprowadzenia ugody z Węgrami i bez choćby tylko przygotowania ugody czesko-niemieckiej, byłoby więc klęską dla stanowiska Polaków w Austrii, której skutki długi jeszcze czas dawałyby się nam uczuwać. To też sądzimy, że w tych stosunkach muszą Polacy postępować solidarnie i że byłoby na czasie, ażeby i nasze dziennikarstwo pojęło, że w sprawie ustąpienia czy pozostania hr. Badeniego u władzy są w grze interesa całego naszego społeczeństwa polskiego w Austrii, że *nostra res agitur*.

W ogólnej polityce europejskiej nie zaszły żadne ważniejsze wypadki. Konferencye pokojowe w Konstantynopolu toczyły się dalej i nie doprowadziły dotąd do ostatecznego rezultatu. Z niejednej strony podnoszono, że te rokowania o pokój po wojnie trwały dłużej jak sama wojna — rzecz łatwa do pojęcia, jeżeli się zważy, jak trudne było położenie i z jakimi przebiegłymi dyplomatami mieli dyplomaci mocarstw do walczenia. Przy rokowaniach wychodzono z zasady, że Turcyja nie może zyskać żadnego powiększenia swojego terytoryum i że jedyną korzyścią jej wojny ma być odszkodowanie pieniężne. Długiego trzeba było czasu, zanim się sułtan zgodził na przyjęcie tej pierwszej zasady. Najpierw powoływano się w Konstantynopolu na wzburzenie panujące między Turkami, na to, że fanatyzm turecki bardzo łatwo się rozogni, jeżeli Turcyja nie osiągnie z wojny żadnego powiększenia swojego terytoryum, ale kiedy ukazało się *irade*, przyjmujące granicę, ustanowioną przez mocarstwa, nie odezwał się ani w Konstantynopolu ani wogóle w Tur-

cyi przeciwko temu jeden głos nieprzyjazny. I owszem dawało się dostrzedz, że ludności tureckiej chodziło przede wszystkim o ukończenie wojny, o to, ażeby tysiące żołnierzy, stojących dotąd pod bronią w Tessalii, powróciło do pracy rolnej, jaka właśnie w obecnej chwili była niezbędną. Jeżeli istniało kiedy jakie wzburzenie z tego powodu między Turkami, to pochodziło ono ze sztucznej agitacyi, jaką zajmowały się w pierwszej linii koła rządzące w Turcyi. Turcyja jest dotąd jeszcze tylko wyrazem woli sułtana, i tak tam ludność myśli i czuje, jak padyszach chce. W zasadzie przyjęto więc linię graniczną, jaką ustanowili wojskowi *attachés* mocarstw, a *irade* sułtańskie tę linię zatwierdziło. Drugie pytanie zachodziło względem odszkodowania wojennego. Wysokość odszkodowania ustanowiono, ale równocześnie zaszły trudności względem ubezpieczenia wypłaty tego odszkodowania ze strony Grecyi. Trudności wyszły w pierwszej linii od Niemiec. Rząd niemiecki zajmował podczas rokowania w Konstantynopolu od początku odrębne stanowisko. Kiedy sułtan zwrócił się w ubiegłym miesiącu do pojedynczych monarchów z prośbą o dozwolenie powiększenia terytorium tureckiego, o ustanowienie granicy między Turcyą a Grecyą około rzeki Peneios, był cesarz Wilhelm jedynym, który nie odpowiedział zaraz na to żądanie Turcyi, ale oświadczył, że weźmie prośbę Turcyi pod rozwagę. Dopiero później złożył ambasador niemiecki w Konstantynopolu, hr. Saurma, podobne oświadczenie na tę prośbę sułtana, jak reszta monarchów. W sprawie odszkodowania wojennego zajęły jednak Niemcy odrazu odmienne stanowisko.

Przeciwko odszkodowaniu nie podniosło żadne mocarstwo w zasadzie opozycyi. Turcy żądali z początku 8 milionów funtów tureckich, co zniżono jednak do połowy, a sułtan zgodził się po dłuższym oporze na 4 miliony. Wiadomo jednak, że Grecya niedawno dopiero ogłosiła bankructwo, a więc musiano stawić sobie przedewszystkiem pytanie, z kąd Grecya te 4 miliony weźmie i jaką da pewność, że tę sumę zapłaci. W tem stadium rzeczy wystąpiły Niemcy z zupełnie kategorycznymi żądaniami. W artykułach, ogłoszonych w *Kölnische Zeitung* i w *National Zeitung*, oświadczył rząd niemiecki półurzędownie, że tak długo nie będzie mógł doradzać

Turcyi zawarcia pokoju, jak długo odszkodowanie nie zostanie zapłacone; dopiero równocześnie z częściową zapłatą odszkodowania ma się odbywać częściowa ewakuacja Tessalii. Podczas więc gdy reszcie mocarstw chodziło głównie o to, ażeby wojska tureckie jak najprędzej opuściły Tessalię, trzymał się rząd niemiecki zapatrywania, że Turcyja może zatrzymać swoje wojska na terytoryom greckiem, jak długo Grecya nie zapłaci odszkodowania. Nie ulega wątpliwości, że to stanowisko Niemiec musiało wpłynąć na wzmocnienie oporu Turcyi, która podczas rokowań ciągle na to liczyła, że mocarstwa muszą w końcu się rozdzielić. To samodzielne wystąpienie Niemiec w sprawach wschodnich musiało obudzić ogólne zdziwienie. Do niedawna rozstrzygała w Niemczech zasada, że sprawy wschodnie polityków niemieckich nie obchodzą. Znane jest wyrażenie ks. Bismarka o He-kubie. Tejsamej zasady trzymał się do niedawna cesarz Wilhelm, a zmiana liczy się od chwili podróży cesarza Franciszka Józefa do Petersburga, od chwili, w której nastąpiło zbliżenie między Rosyą a monarchią austryacko-węgierską. Nie ulega wątpliwości, że to zbliżenie musiało być dla Niemiec nieprzyjemne, albowiem z jego chwilą przestała monarchia austryacko-węgierska być zależną od Niemiec. Niemcy przestały grać rolę *ehrllicher Makler* między Rosyą a Austro-Węgrami. Ztąd też zapewne pochodzi, że Niemcy uważają się od tej chwili za zupełnie zwolnione od względów na naszą monarchię we wszystkich sprawach dotyczących Wschodu. Do tego dołącza się także względ na kapitalistów niemieckich, którzy są w głównej części wierzycielami Grecyi. Rząd niemiecki okazuje więc z jednej strony swoją niezależność w sprawach Wschodu, z drugiej chce uzyskać przy zawarciu pokoju grecko-tureckiego pewne korzyści finansowe dla kapitalistów niemieckich.

Może tylko przypadkowym, ale w każdym razie charakterystycznym symptomem była równoczesność tego wystąpienia Niemiec w Konstantynopolu z podróżą hr. Gołuchowskiego do Francyi. Hrabia Gołuchowski wyjechał na kuracyę do Francyi i ten cel niepolityczny podróży ogłoszono *urbi et orbi*. Pomimoto rozpoczęły zaraz dzienniki niemieckie szukać w tej podróży celów politycznych, i to celów

zwróconych w części przeciwko Niemcom. Nie ulega wątpliwości, że hr. Gołuchowski musiał podczas swego pobytu w Paryżu rozmawiać z tamtejszym ministrem spraw zagranicznych, p. Hanotaux, także o sprawach politycznych, ale pewnem jest z drugiej strony, że ta rozmowa miała dotyczyć innych spraw, jak stosunków Niemiec do Francyi. Dla Austrii są sprawy Wschodu dotąd jeszcze rozstrzygającami. Jeżeli udało się polityce austriackiej dojść do porozumienia względem tych spraw z Rosyą, to nie ulega wątpliwości, że musi politykom austriackim zależeć także na osiągnięciu porozumienia w tym kierunku również i z Francją, skoro porozumienie z Rosyą wymaga samo przez się porozumienia z Francją.

Ze spraw politycznych pojedynczych państw europejskich wypada podnieść, że na Węgrzech ukończyła się wreszcie obstrukcyja w parlamencie — czy na długo, dotychczas niewiadomo. Podobnie jak w Austrii, okazało się i obecnie na Węgrzech, jak potrzebną byłaby zmiana regulaminu Izby. I w Austrii i na Węgrzech może mała mniejszość — 20 posłów — ubezwładnić czynność maszyny parlamentarnej i narzucić swoją wolę przeważającej większości. Obstrukcyja jest w gruncie rzeczy niczem innym, jak terroryzowaniem większości przez mniejszość. Czy podczas rozpraw ugodowych obstrukcyja nie powróci w dawnej swojej sile, tego trudno dzisiaj przesądzić.

W Prusach odrzuciła Izba projekt reformy, a właściwie obostrzenia ustawy o stowarzyszeniach. Odrzucenie nastąpiło wprawdzie tylko większością kilku posłów, ale sam fakt wystarczyłby był gdzieindziej do sprowadzenia zmiany ministerstwa. W Prusach wszystko pozostało po dawnemu, a odrzucenie tego projektu dało tylko dziennikom sposobność do długich wywodów w walce liberalizmu z reakcją, w której reakcyja została pobita. Ze stanowiska polskiego musieliśmy oświadczyć się przeciwko projektowi, albowiem każde obostrzenie prawa stowarzyszeń jest bronią w ręku rządu, zarówno przeciwko żywiołowi polskiemu w Poznaniu. Głosy polskie były w tej sprawie rozstrzygające.

We Francyi stała ciągle jeszcze sprawa Panamy na porządku dziennym. Niedawno już podnieśliśmy na tem miej-

scu, że ta sprawa jest najlepszą bronią w ręku każdorazowego ministerstwa lub pojedynczych stronnictw. Jeżeli się chce kogoś pozbyć, zabić go moralnie, to szuka się w *dossier* Panamy, i można śmiało na to liczyć, że na 100 mężów starszych, odgrywających obecnie rolę polityczną we Francyi, znajdzie się choć 30, którzy maczali rękę w sprawie Panamy. Po wyszukaniu rzecz się ogłasza, *dossier* zamyka i — *le coup est joué*. To też jesteśmy przekonani, że Panama nie zniknie tak prędko z porządku dziennego. Nikt nie pozbawi się dobrowolnie tak dobrej broni, i to wobec takiego towarzystwa, jakie znachodzi się w dzisiejszej Izbie. Dla polityka są te ciągle skandale jednak najlepszym dowodem, że Rzeczpospolita jest tak silnie ugruntowana we Francyi, iż nic jej zaszkodzić tam już nie może.

We Francyi zabija tylko — *le ridicule*, a sprawa Panamy jest nie śmieszna, ale przeciwnie bardzo smutną.

* * *

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do Redakcyi „Przeglądu Polskiego.“

Ks. Karol Niedziałkowski: *Nie tędy droga, Szanowny Panie!* Studium o emancypacji kobiet. (Warszawa, nakładem księgarni T. Paprockiego i Sp., 1897, str. 236).

Aleksander Maryan Jasiński: *Współcześni powieściopisarze angielscy. Hall Caine, Rudyard Kipling, Grant Allen i T. Hardy.* (Warszawa, T. Paprocki i Sp., 1897, str. 212).

Eugène Mottaz, professeur d'histoire au collège d'Yverdon: *Stanislas Poniatowski et Maurice Glayre. Correspondance relative aux partages de la Pologne.* (Paris, Calmann Lévy éditeur, 1897, p. 298).

Adolf Pawiński: *1840—1896. Zarys dziejów żywota i pracy,* skreślił Wincenty Zakrzewski. (Petersburg, nakładem księgarni K. Grendyszyńskiego, 1897, str. 124).

Władysław St. Reymont: *Spotkanie.* Szkice i obrazki. (Warszawa, nakładem Gebethnera i Wolffa, 1897, str. 367).

Bolesław Prus (Aleksander Głowacki): *Faraon.* Powieść. T. I, II, III. (Warszawa, nakładem Gebethnera i Wolffa, 1897, str. 380, 475, 387).

Ks. Izydora Chrościńskiego pierwszego prefekta gimnazjum tarnowskiego *Kronika z lat 1784—1794, z przydaniem aktów fundacyjnych kolonii akademickiej w Tarnowie z lat 1559 i 1578 jakoteż raporta o jej stanie z r. 1766,* wydał Dr Jan Lenick. (W Krakowie, nakładem Akademii Umiejętności, 1897, str. 109).

Trois années de la question d'Orient, 1856—1859, d'après les papiers inédits de M. Thouvenel, par L. Thouvenel. (Paris, Calmann Lévy éditeur, 1897, str. 386).

Le journal de Liliane, par le Comte A. Wodziński. (Paris, Calmann Lévy éditeur, 1897, str. 345).

Aleksander Mańkowski: *Moja Helenka.* Powieść współczesna. (Petersburg, nakład K. Grendyszyńskiego, 1897, str. 327).

Adam Pług: *Duch i krew.* Kilka zarysów z życia towarzyskiego. T. I, II. Wydanie nowe. (Warszawa, nakład i druk S. Lewentala, 1897, str. 310, 296).

Adam Szymański: *Dwie modlitwy. Sruł z Lubartowa. Maciej Mazur.* Z ilustracyami A. Kamińskiego. „Biblioteczka Illustrowana“. (Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, 1897, str. 229).

Józef Mehoffer: *Uwagi o sztuce i jej stosunku do natury.* (W Krakowie, 1897, str. 32).

Ludwik Szczepański: *Hymny*. (Wiedeń, nakładem Fr. Bondego, 1897, str. 52).

Dr B. Dybowski: *O kwestyi tak zw. „kobiecej“ ze stanowiska nauk przyrodniczych*. (Lwów, Księgarnia Polska, 1897, str. 107).

OO. Jezuiti przy kościele św. Piotra i Pawła w Krakowie. Szkic historyczny, napisał X. Stanisław Załęski T. J. (Nowy Sącz, nakładem wydawnictw Towarzystwa Jezusowego, 1896, str. 293).

Fryderyk Mistral: *Mireio*. Poemat prowansalski w 12 pieśniach, przełożył Adam M-ski. (Warszawa, nakład i druk S. Lewentala, 1897, str. 211).

Współczesna Syberya, przez Władysława Studnickiego. Z mapą Syberyi i kolei syberyjskiej. (Kraków, G. Gebethner i Sp. 1897, str. 161).

Stanisław Schneider: *Silni i słabi w teoryi Sokratesa*. Odbitka z Muzeum. (We Lwowie, 1897, str. 19).

Dwie etyki w „Antygonie“ Sofoklesa. Napisał Stanisław Schneider. (We Lwowie, nakładem Towarzystwa Filologicznego, 1897, str. 16).

Dr Kazimierz J. Gorzycki: *Nowa teoria socjologiczna prof. dr. Muckego*. (Warszawa, „Ateneum“, 1897, str. 53).

Szczątki kaszubskie w prowincyi pomorskiej. Szkic historyczno-etnograficzny przez A. J. Parczewskiego. (Poznań, 1896, str. 124).

Dom Boży, to jest praktyczne wskazówki budowania, naprawiania i utrzymywania kościołów, na wzór dzieła X. Barbier de Montault, napisał X. A. Brykczyński. Z tablicami rysowanymi przez Wojciecha Gersona. Wydanie drugie przejrzone i poprawione. (Warszawa, nakładem Księgarni T. Paprockiego i Sp., 1897, str. 311).

Obrazki z krakowskiej nędzy, skreślił X. Jan Badeni T. J. (Kraków, 1897, str. 134).

Anatomia głowy ludzkiej wraz z szyją. Wykład poglądowy z tekstem objaśniającym przez dr. med. M. Flamma i 5 drzeworytami. (Warszawa, nakładem Księgarni T. Paprockiego i Sp., 1897, str. 16).

Oko ludzkie i organy pomocnicze. Wykład poglądowy anatomii oka z tekstem objaśniającym przez dr. med. M. Flamma i 5 drzeworytami. (Warszawa, nakładem księgarni T. Paprockiego i Sp., 1897, str. 16).

Katolicyzm Adama Mickiewicza w jego życiu. Krótka literacka notatka na uczenie 100-letniej rocznicy urodzin poety, napisał X. Władysław Sarna, proboszcz w Srebniach. (Winterberg, 1897, str. 23).

Gyp: *Joies d'amour*. (Paris, Calmann Lèvy éditeur, 1897 p. 367).

Čechy a Prusy ve středověku, napsal Jaroslav Goll. (V Praze, 1897. Boursikat Kolvout, str. 313).

Mamuty. Komedya w 4 aktach Michała Dzieduszyckiego. (We Lwowie, z drukarni Wł. Łozińskiego, 1897, str. 155).

Wacław Sieroszewski (Sirko): *W matni*. (Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, 1897, str. 268).

Ursyn: *Szesnaście obrazków*. (Warszawa, nakładem Księgarni T. Paprockiego i Sp., 1897, str. 331).

Dr Karol baron du Prel: *Zagadka człowieka*. Wstęp do okultyzmu. Z niemieckiego tłómaczył Feliks Wermiński. (Warszawa, nakładem Księgarni T. Paprockiego i Sp., 1897, str. 104).

Włodzimierz Zagórski: *Mój pierwszy dzień i inne nowelle*. (Warszawa, nakładem Księgarni T. Paprockiego i Sp., 1897, str. 340).

Catulle Mendés: *Ryszard Wagner*. Przełożył i biografią Wagnera opatrzył A. Lange. (Warszawa, nakładem Księgarni T. Paprockiego i Sp., 1896, str. 199).

Wiktor Gomulicki: *Obrazki weneckie*. (Warszawa, nakładem Księgarni T. Paprockiego i Sp., 1897, str. 208).

Adolf Dygasiński: *Pióro*. Powieść. (Warszawa, nakładem Księgarni T. Paprockiego i Sp., 1897, str. 401).

Cecylia Walewska: *Podśluchane*. Nowelle. (Warszawa, nakładem Księgarni T. Paprockiego i Sp., 1897, str. 419).

Wincenty hr. Łoś: *Panna Staryńska*. Powieść współczesna. (Lwów i Warszawa, nakładem Księgarni G. Sennewalda, 1897, str. 333).

Dzieła Aleksandra hr. Fredry, wydał dr Henryk Biegeleisen. Z portretem i podobizną pisma poety. Tom I: *Aleksander Fredro. Pan Geldhab. Cudzoziemczyni. Damy i huzary. Zręczność i przekora*. Uwagi wydawcy. — Tom II: *Mąż i żona. Nowy Don Kiszot. List. Pierwsza lepsza. Odludki i poeta*. Uwagi wydawcy. — Tom III: *Przyjaciele. Gwałtu co się dzieje. Nikt mnie nie zna*. Uwagi wydawcy. (Księgarnia Polska we Lwowie, 1897, str. 238, 209, 211).

PARYŻ PO UPADKU WARSZAWY

w 1831 r.

(Ustęp z pracy obszerniejszej).

W dziejach XIX wieku nie brak nagłych i nadzwyczajnych wypadków, powodujących głębokie zmiany polityczne, ale żaden z nich nie wywarł tak potężnego wrażenia na umysły rządzących i rządzonych w Europie, jak przewrót lipcowy we Francyi. Bo też rewolucya 1830 r. nie była jedynie zamianą jednej dynastyi na drugą; przesilenie, wywołane przez nią, było głębsze i powszechniejsze, bo dotknęło jeszcze bardziej społeczeństwo niż państwo, stan moralny niż stan polityczny. Zamieszania uliczne rozszerzyły się i na umysły; zdawało się, że jednocześnie ze starożytną dynastją, obalono i dawne tradycje, poszanowania i wierzenia. — Z gruchnięciem wieści o tem, co zaszło nad Sekwaną, znikł w jednej chwili spokój na całym kontynencie, i wszędy zapanowały trwogi lub nadzieje, obawy lub oczekiwania.

W samym Paryżu huk i trzask wybuchu minął po trzech dniach pamiętnych; ale długo jeszcze atmosfera drgała falami elektrycznymi i grunt pod nogami zdawał się uginać, grożąc co chwila nowem trzęsieniem ziemi. Bezład w pojęciach, rozprężenie w rządzie, abdykacya władzy; zbiegowiska, wrzaski, burdy i zbrojne zaburzenia w miastach cechują zrazu tę chwilę. Potem po systemie *du laisser-aller* Lafitte'a, następuje system oporu, *de la résistance*, Periera: chroniczne nie-

porządki ulicy uśmierzają się, rozruchy stają się rzadsze, władza zdobywa się na większą tęgość i odwagę, stara się wzmocnić, ale wciąż jeszcze chwiejna i zagrożona, podnosić musi rękę na własną matkę — na rewolucję, i borykać się z przeciwnymi stronnictwami republikańców, bonapartystów i legitymistów. Królewskość, obniżona w uroku i powadze, wewnątrz umizga się do tłumu, a zewnątrz, dla korony „z woli narodu“, stara się zaskarbić przychyłność i zaufanie monarchów „z Bożej łaski“. Kasy publiczne wypróżnione, na wielu miejscach bezrobocie i nędza, gotowego wojska w kraju niewiele, zwłaszcza w stolicy, gdzie siłę i porządek publiczny przedstawia głównie gwardya narodowa, jako uosobienie — niekiedy trywialne i śmieszne — społecznego tryumfu spanoszonego mieszczaństwa i merkantylizmu.

Taki, w r. 1831, był stan Francyi, kraju, na którego poparcie liczyliśmy najwięcej.

Cała Europa patrzyła wówczas na Francję, ale my tembardziej wzrok nasz i ucho ku niej wyteżaliśmy. Ulegaliśmy tu, do pewnego stopnia, dziwnemu, akustycznemu złudzeniu. Brzące deklamacye braliśmy na seryo, nie bacząc, że nie pochodziły one najczęściej ze sfer decydujących. Mielśmy za nami głosy poetów i retorów, ale nie ministrów. Przeciwnie, ci, co najwięcej mówili o nas, należeli do opozycyi lub nawet w otwartej byli z rządem walce, a kiedy na ustach mieli Polskę, w myśli i w sercu często mieli tylko interes swego stronnictwa, doktryny, lub osobistych widoków. Wolno nam tak sądzić i głośno to stwierdzić, bo kiedy w kilkanaście lat później, w r. 1848, losy Francyi i władza dostała się w ich ręce, wtenczas, to samo stronnictwo, i nawet ci sami ludzie, okazali się jeszcze chłodniejszymi dla Polski, jak monarchia lipcowa.

Nie chcemy przez to powiedzieć, że na pięknej ziemi francuskiej nie było dla nas i szczerego uczucia i życzliwości. O nie! Nie godzi się o tem sądzić wedle usposobień chwili dzisiejszej. W owym czasie było inaczej. Uczony i literat, młodzież „łacińskiego kraju“, poczciwy robotnik w niebieskiej bluzie, nawet epicier w kaszkiecie gwardzisty narodowego, rozgrzewał się na wzmiankę o Polsce. Sprawa nawet belgijska, choć daleko bliższa, mniej go zajmowała.

Opuszczona Polska, która w mglistej dali, nad Wisłą, w śmiertelnym boju krew swą lala, przedstawiała mu widowisko „dramatyczniejsze“, poruszała żywiej szlachetne struny jego duszy i zapalała jego wyobraźnię. Imię Polski nabyło jakby magicznego wpływu, którym masy można było poruszać, i dlatego właśnie nie tylko szczerzy przyjaciele nasi, ale i różni karyerowicze lub wicherzyciele, używali i nadużywali jej uroku, niebaczni, że to, co nad Sekwaną było nie raz pięknym tylko frazesem, pustem i czczem słowem, tam przeleciawszy mil trzysta, dla walczących z rozpaczą stawało się ułudną zapowiedzią, oczekiwanym gołębiem obiecującym pomoc i nadzieję.

Po nas samych, nikomu tyle jak Francji nie zależało na tem, by na wschodzie Europy, pomiędzy Rosją a Prusami, stanęła niepodległa Polska. Ale tylko wielkim umysłem politycznym dano przewidzieć oddaloną grozę, zapobiedz jej i zabezpieczyć przyszłość. Król Ludwik Filip był człek rozumny, ale nie Henryk IV; Casimir Perier znakomity bankier, *un homme d'affaire* wyższego rzędu, ale nie Richelieu. Porając się z bliższymi i z najbliższymi interesami, nie rozumieli oni, czy nie chcieli zrozumieć, znaczenia odległej Polski w systemie równowagi europejskiej i własnego bezpieczeństwa.

Wiemy dostatecznie, jak daleką była Francja od wszelkiej myśli udzielenia nam zbrojnej pomocy; nie tylko rząd objawiał stanowczy wstręt do wojny, ale i sama nawet opozycja w Izbie, mimo swych mów i deklamacyj wojowniczych, w gruncie wojny się obawiała ¹⁾. I trudno nie przyznać, że obawy te były usprawiedliwione, i że Francja, bez udziału Anglii i Austrii, a przynajmniej Anglii, w wojnę za nas rzucić się nie mogła. Gabinet paryski wciąż jeszcze żył pod wrażeniem groźby ze strony św. Przymierza. Hr. Sebastiani, minister spraw zagranicznych, dnia 24 lipca 1831 r. mówił misji naszej: „Przeciw Francji trwa koalicja jak dawniej, w Chaumont zawarta. Mimo uznania Ludwika Filipa za króla, zawsze Karol X jest utrzymywany i gdybyśmy chcieli przed-

¹⁾ Guizot: *Mémoires*, II, 85. Louis Blanc: *Histoire de dix ans*, II, 452.

siewziąć jakikolwiek krok energiczny, cała koalicja stanęłaby gotowa, połączona i jedna“¹⁾). W owej chwili, wedle poważnych świadectw, armia francuska liczyła nie więcej, jak 78.000 żołnierzy, z których połowa prawie znajdowała się w Grecyi i Algierze. Oprócz tego, by dotrzeć nad Wisłę, wojsko francuskie musiałoby przejść przez całą średnią Europę i poprzewracać naprzód zapory niemieckie. Czyż tymczasem pułki pruskie i austryackie nie miałyby dosyć czasu wkroczyć do Polski i zgnieść waleczne, ale drobne nasze siły. A i Anglia skoroby ujrzała rozwinięty znowu sztandar francuski, z rozbudzoną na nowo nieufnością przyłączyłaby się do koalicji przeciwko Francyi.

Tak, zapewne — ale bez posunięcia się do ostatecznych kroków, bez narażania własnych interesów, Francya miała pod ręką sposoby, by wesprzeć nas skutecznie. Tymczasem, całe jej zachowanie się, w skutkach swych było dla nas ujemne. Wszystkie państwa, w tym czasie potrzebowały pokoju, nie były przysposobione do wojny i obawiały się jej. Ale właśnie państwa dla nas względnie przychylniejsze, Anglia i Francya, gorliwiej i głośniej niż wszystkie inne głosiły potrzebę i postanowienie utrzymania pokoju, i obwieszczały przy każdej sposobności wstręt absolutny do wojny. Przez to, naturalnie, nawet i te nieliczne i nieśmiałe ich głosy za nami, traciły tembardziej wszelką wagę i znaczenie, wobec tych, do których były zwrócone. Tęgość i stanowczość w dyplomacyi, nie koniecznie jest wojną. I cóż myśleć o mężu stanu, który zawsze oświadcza, że chce pokoju, i tylko pokoju. Zawczasu jest on pobity i zmuszony do szeregu nieskończonych i upokarzających ustępstw. Jeśli Ludwik Filip w interesie ustalenia swego tronu, miał powody lękać się wojny, to dwory północne miały jeszcze więcej przyczyn jej się obawiać: ich wojska były osłabione, nie była to już chwila powrotu Napoleona z Elby, kiedy cała Europa stała jeszcze pod bronią; ich finanse były wyczerpane, a Anglia już subsydyów nie płaciła. Oprócz tego przejmowała ich trwoga, że razem z wojną wyjdzie też z Francyi ogólna zaraza rewolucyjna. I tego właśnie nie pojmował Casimir Pe-

¹⁾ Barzykowski, V, 185.

rier i „własny jego strach nie pozwolił mu korzystać ze strachu innych“. Z temperamentu, ze swych zajęć jako bankier, z osobistej sytuacji, był on bezwzględny przeciwnikiem wojny, marzył tylko o powszechnem rozbrojeniu i nie ustawał zwierzać się przed obcymi posłami z niezłomną swą wolą utrzymania, bądź co bądź, pokoju. Objąwszy kierunek spraw francuskich bez poprzedniej szkoły, obcy przeto polityce europejskiej w ściślejszem jej znaczeniu, bez istotnej znajomości traktatów, gabinetów i osób niemi kierujących, bez wprawy i bez rutyny na polu dyplomatycznym, miał on do czynienia z dyplomatami doskonale wyćwiczonymi w swej sztuce, jak Pozzo di Borgo, Appony, Werther, którzy bez trudu umieli korzystać z niedostatku pierwszego ministra francuskiego, i wyzyskiwali bojaźń jego przed wojną, lękając się jej więcej niż ktokolwiekbądź.

La Sainte Alliance reposait sur le principe d'intervention, destructif de l'indépendance des peuples et des nations. Le principe de notre révolution doit, au contraire, assurer l'indépendance de tous. Temi słowami interpretował hr. Sebastiani ¹⁾ ową zasadę *nieinterwencji*, postawioną przez nowy rząd francuski. Zachowanie się jego atoli względem nas było w rażącej niezgodzie z tem oświadczeniem. Prusy jawnie i czynnie pomagały Rosji podczas walki 1831 roku: przepuszczały zbrojne oddziały rosyjskie przez swe terytoryum, dostarczały armii rosyjskiej żywności, amunicyi, robotników itd. itd.; względem nas inaczej zaś postępowały: położyły rękę na polskie sumy w Berlinie, zatrzymywały naszych posłańców, łapały nasze listy i gazety, zabierały naszą broń, konfiskowały nawet lekarstwa i szarpie, dla naszych rannych przeznaczone. Tym sposobem gabinet pruski gwałcił prawa neutralności i ludzkości, i występował wbrew tej sławnej zasadzie *nieinterwencji*, której monarchia lipcowa gdzieindziej, n. p. w Belgii i we Włoszech, czynnie broniła. Na zachowanie się Prus w sprawie polskiej, Francya dziwnie obojętnem i pobłażliwem okiem patrzyła; zniosła nawet, że Prusy zatrzymywały jej własnych kuryerów i jej depesze, pod pretekstem kwarantanny — kwarantanny dla kurjera nie przyby-

¹⁾ Mowa jego w Izbie deputowanych 27 stycznia 1831 r.

wającego z zarażonej okolicy, tylko udającego się do niej! A jednak wystarczyłoby, zapewne, stanowczego tylko słowa, by Prusaków powstrzymać i do porządku przywołać. Sama Francya miała na to świeży dowód w innej sprawie. Kiedy bowiem Prusy (pod koniec września 1830 r.) gotowały się już przekroczyć granicę belgijską, w pomoc królowi hollenderskiemu, hr. Molé oświadczył wręcz posłowi pruskiemu, że ten krok znaczyć będzie wojnę z Francją. Wtedy gabinet berliński, acz zdumiony i rozdąsany, zwinął chorągiewkę i cofnął swe wojsko. Ale Ludwik Filip uważał, że niekoniecznie trzeba wszędzie i zawsze przestrzegać tej zasady nieinterwencyi. Mówił on: *Il faut peser les intérêts, et mesurer les distances* ¹⁾ — nie przeczuwając, że ten błąd co do „wagi“ i co do „miary“, jeszcze za życia własnych jego synów, tak srodze zemści się na samej Francyi.

„Byłoby to wielkiem szczęściem i wielkim zaszczytem dla Europy, żeby kwestya polska mogła być podjętą i uregulowaną w r. 1831 tak jak się to stało ze sprawą belgijską“ — powiada sędziwy statysta francuski ²⁾; ale, niestety, rząd francuski nie w tym kierunku nie uczynił.

Cierpiąc krzyczącą interwencyę Prus na korzyść Rosyi, Francya ze swej strony nie próbowała nawet pomódz nam podobnemi sposobami, jakimi Prusy tak dotkliwie nam szkodziły. Jak nie otrzymaliśmy od Francyi zastosowania względem nas zasady nieinterwencyi, taksamo odmówiła ona uznania naszego Rządu narodowego, czemby dodała była wagi naszym negocyacyom, wzmocniłaby zaufanie publiczne do Rządu narodowego, w nas samych podniosłaby ducha, powstrzymałaby nieprzyjazne kroki Prus i Austrii, ośmieliłaby przychylnie nam żywiły i otworzyłaby stosunki i komunikacye z Europą. W każdym razie mogło to być podnieść sprawę i dać jej pomyślniejszy obrót. Nawet i na żądania nasze posilków pośrednich, Francya odpowiadała stanowczą odmową. Prosiłszy o wypłaty na rachunek należytości, jakie Polska od czasów wojen napoleońskich, na mocy istnieją-

¹⁾ Thureau-Dangin: *Histoire de la Monarchie de Juillet*. I. 164.

²⁾ Guizot: *Mémoires* II. 272.

cych traktatów, rościła od Francyi. — Nie otrzymaliśmy. Prosiłiśmy, aby rząd francuski gwarantował zaliczkę, którą bankierowie gotowi byli uczynić na podstawie i na rachunek wzmiankowanych należności — nie otrzymaliśmy. Prosiłiśmy o pomoc w broni — i tego nie otrzymaliśmy....

Dnia 9 sierpnia, prezes gabinetu francuskiego oświadczył w Izbie, iż Polska niczego od Francyi spodziewać się nie powinna i nie może.

Agenci nasi w Paryżu, jenerał Karol Kniaziewicz i kasztelan Ludwik Plater, wyczerpawszy wszelkich sposobów przedstawień, domagania się i próśb, podali 3 września 1831 r. ministrowi spraw zagranicznych memoriał, streszczający czynione wszystkie przez nich usiłowania i wykazujący, że rząd francuski uwiadomiony o wszystkim, nawet najdrobniejszej nie udzielił nam pomocy — i tem, urzędowanie swe zamknęli.

Oto jest tekst dosłowny tego dokumentu :

„Po sześciu miesiącach prac, usiłowań i kroków bezskutecznych, znalazłszy się na tymsamym punkcie, co w chwili przyjazdu do Paryża i wskutek tego niepowodzenia widząc stan ojezyny bardziej zachwianym i krytycznym niż kiedy, niżej podpisani, w interesie najświętszej sprawy, której służą, stosując się do rozkazów swojego rządu i chcąc złożyć z siebie wszelką odpowiedzialność, mają zaszczyt przelożyć Jego Excellencyi hrabiemu Sebastiani, ministrowi spraw zagranicznych, treściwy wykaz wszystkich żądań swoich i odpowiedzi, jakie od rządu francuskiego otrzymali. Wykaz ten rzetelny i szczery posłuży za dowód, iż z naszej strony nie szczędziłiśmy ani przelożeń, ani próśb, ani nalegań, i że nie naszą będzie winą, jeżeli pomimo wypadków lipcowych i korzyści jakie światu przynieść mogły, pomimo cudów waleczności ze strony Polaków, pomimo ich wysień i poświęcenia, Polska oblana krwią walecznych swych synów, raz jeszcze straconą będzie dla Europy i wolności, których przedmurzem tak łatwo stać się mogła, i wpadnie znowu pod ohydne jarzmo autokraty.

„We cztery miesiące po chlubnych dniach lipcowych, w listopadzie 1830 r., Polska, podnosząc oręż w celu od-

zyskania swej niepodległości, wezwała zaraz pomocy Francyi, jako mocarstwa, którego naturalne, najbliższe i najserdeczniejsze interesa zdawały się wymagać, aby kraj nasz mógł odzyskać i utrzymać polityczną niezależność swoją. W tym celu już w miesiącu grudniu wysłany był p. Wolicki, a wkrótce potem w ostatnich dniach stycznia, podpisani tężsamą otrzymali misję.

Żądanej pomocy mogła Francya udzielić :

1. Za pomocą pośrednictwa.
2. Otrzymawszy neutralność sąsiednich Polsce omcarstw.
3. Jawnem wystąpieniem.
4. Pośrednio zasilając polskie powstanie.

Wszystkich tych rodzajów pomocy zarówno bezskutecznie domagali się i p. Wolicki i niżej podpisani. Przyjazd tych ostatnich do Paryża przypadł jednocześnie z odebraną tutaj na drodze oficjalnej z Berlina wiadomością o kapitulowaniu Warszawy po bitwie pod Grochowem dnia 25 lutego. Ministeryum francuskie wskutek tej wiadomości mając sprawę polską za zupełnie straconą, wręcz odmówiło wszelkiego rodzaju pomocy i poczuwało się jedynie obowiązaniem do prostego wstawienia się w celu złagodzenia skutków zemsty i gniewu. Po kilku dniach, gdy ta wiadomość zupełnie okazała się mylną, niżej podpisani ponowili wszystkie uprzednie żądania, i nie przestali nalegać na nie, przy każdej zmianie sytuacji w Polsce, po każdym nowem zwycięztwie odniesionem nad Rosyą, przekonani, iż samo trwanie tak nierównej walki skłoni naresztę gabinet francuski do uwzględnienia choć w części tych żądań. Aby je lepiej przypomnieć ministerstwu, podpisani skreślą tu kolejne usiłowania swoje w celu otrzymania każdego rodzaju pomocy.

I. Pośrednictwo.

Podpisani żądali go naprzód 6 i 8 marca od jednej Francyi, jako najbardziej interesowanej w popieraniu porządku rzeczy, wynikłego z tegoż źródła, co jej rząd dzisiejszy. Gdy te kroki okazały się bezskutecznymi, domagali się zgodnie

z poleceniem swego rządu pośrednictwa wszystkich mocarstw, uczestniczących w kongresie wiedeńskim, nie wyłączając nawet Rosyi, jako strony obwinionej, w razie gdyby Polska jako strona powodowa wezwana i wysłuchana być miała. Naresztę, kiedy Austria i Prusy wykazały jawnie nieprzyjazne dążności, podpisani spełniając rozkaz swojego rządu, zażądali 2 lipca od Francyi, aby podjęła się takiego pośrednictwa łącznie z Anglią, jako z mocarstwem europejskiem, któremu razem z Francją Polska powierzała swe losy. Żądania te poparte były kilku notami, podanemi gabinetowi francuskiemu, i nalegano na nie w licznych konferencyach mianych kolejno z tymże gabinetem. Minister francuski nie dając podpisanym żadnych pod tym względem nadziei, zalecał im przeciwnie, aby się Polacy sami z cesarzem Mikołajem układali; tak uczynił na konferencyi 16 marca, dodając, iż na teraz, Francya nic dla nas zrobić nie jest w stanie, że nie może dopomóc nam skutecznie i że należy tylko ubezpieczyć przyszłość. „Nie mogę ukrywać tego przed panami — mówił p. minister — jestto walka nowych zasad ze starymi. Rewolucya 29 lipca dała do niej hasło; rozszerzy się ona wszędzie, ale trzeba, żeby idee miały czas dojrzeć. Na czele tego ruchu stoi trzydziesto-dwu milionowy naród i inne za obą pociągnie. Zyskacie wszystko, jeżeli zachowacie Królestwo. Nie można przyspieszać wypadków“. Drugi raz, na konferencyi dnia 7 kwietnia p. minister oświadczył: „Żadne pośrednictwo nie pozyska tego, co możecie sami otrzymać, odnosząc się prosto do cesarza“. Naresztę na konferencyi 28 kwietnia: „Powinniście korzystać z pierwszego najmniejszego zwycięstwa i rozpocząć układy bezpośrednio z cesarzem Mikołajem. Nie ludźcie się daremnie, żadne pośrednictwo wam nie pomoże“. Daremnie podpisani przekładali, że interes, zarówno jak honor, nie pozwala Polakom układać się z cesarzem Mikołajem, który zostawia im tylko jeden środek hańbiącego zdania się na łaskę, że Polacy walczą, aby być niezależni i połączeni, i że ten cel tak odpowiedny interesom Francyi łatwo dalby się osiągnąć pośrednią nawet pomocą, ale że cesarz, zostawiony samemu sobie nigdy na to nie przystanie. P. minister odpowiadał im zawsze, że to jest

jedyny środek ratunku i tylko w razie, gdyby Polska weszła na tę drogę, przyrzekał poparcie ze strony Francji.

Cztery miesiące przeszły na takich odmowach zawsze jednostajnych, i zaledwo dnia 23 czerwca pan minister wskazał podpisanym promyk nadziei, oświadczając, „iż zbliża się chwila, w której Polska wejdzie do polityki europejskiej i że miesiąc lipiec będzie dla niej stanowczym“. Nadzieja ta wzmocnioną jeszcze została na konferencji 7 lipca; podpisani na długo przechowują jej pamięć, bo zdała się im być zorzą wskrzeszenia ojczyzny, a w ich przekonaniu miała być epoką w stosunkach Polski z Francją. Na tej konferencji p. minister komunikował im, nie pokazując jej wprawdzie, depeşe wysłaną z gabinetu francuskiego do księcia Talleyranda, polecającą mu wezwanie Anglii do wspólnego pokojowego i szlachetnego pośrednictwa, w celu zawieszenia kroków nieprzyjacielskich między Rosją i Polską i wyjednania dla tej ostatniej bytu narodowego i politycznego. Jego Excellencya posunął zyczliwość aż do oświadczenia podpisanym życzenia swego, aby Rząd narodowy jak najprędzej o tym kroku uwiadomionym został, przez kuryera opatrzonego francuskim paszportem. „Chcę — powiedział — dodać im ducha, chcę, żeby się jeszcze trzymali przez dwa miesiące, bo tyle czasu wymagać będą rokowania“. Jakiż horyzont otwierał się dla Polaków, jaka szczęśliwa przyszłość rozpocząć się miała dla ich nieszczęśliwej ojczyzny! Któżby się spodziewał, że tak stanowcze zrazu wystąpienie nie będzie miało żadnego skutku, że Francya zamiast poprzeć go energicznie, da się zrazić oziębłością Anglii, która zajęta billem reformy, oświadczyła, iż przed końcem jesieni zająć się Polską nie może, i za przyzwyciężone, a zarazem godne siebie uznała, na los szczęścia oddać politykę i poruczyć losowi rozstrzygnięcie kwestyi, tak ściśle związanej z najprzeważniejszymi interesami świata? Tak jednak Francya postąpiła, i odkładając dalszą interwencję aż do zimy, zamierzyła przyszłe zachowanie się swoje zastosować do wypadków, jakieby się przez ten czas wydarzyć mogły. Nie byłoby bardziej zgodnem z interesami polityki prawdziwie przezornej, wdać się w tę sprawę natychmiast, kierować wypadkami, poskramiać mocniejszego, i tym sposobem nie dopuścić wytopienia narodu, który ofiarami swojemi,

nadludzkiem poświęceniem, mężstwem i zdumiewającą wytrwałością, dowodził Francyi, iż byłby dla niej wiernym i użytecznym sprzymierzeńcem, i który według jednomyślnego zdania wszystkich ludów, stal się godnym zajmując nanowo miejsce swoje w wielkiej rodzinie europejskiej? Oto, jak wszystkie usiłowania podpisanych w celu otrzymania pośrednictwa Francyi nie zdołały zapobiedz dzisiejszemu przesileniu, z którego tylko Bóg i własna waleczność wyrwać Polskę może.

II. Neutralność sąsiednich Polsce mocarstw.

Przekonani, że najważniejszym ze wszystkich zleconych im zadań, była ciągła baczność na postępowanie Prus i Austrii, wstrzymanie ich od wszelkiej interwencji i zmuszenie do zachowania najściślejszej neutralności, podpisani nie przestali pod tym względem domagać się od Francyi naturalnej a tak łatwej do otrzymania pomocy, a domagali się jej nieustannie, od 6 marca aż do dnia dzisiejszego, czego dowodzą liczne konferencye z gabinetem francuskim i kilkanaście not podanych mu w tym przedmiocie. Żaden krok gabinetu francuskiego w celu otrzymania tak pożądaney neutralności, nie był podpisanym komunikowany, skutek jednak aż nadto wyraźnie przekonywa, że nie przedsięwzięto skutecznych w tej mierze środków, że opuszczono Polskę na tem nawet polu, i nie chciano korzystać z żadnej okoliczności, aby zapewnić Polakom neutralność, która jedna uratować ich mogła. Kiedy Francya szczerze tego chciała, Prusy były zmuszone szanować Belgię, bo nie mówiono im wtenczas, iż Francya odradza interwencyę, ale zapowiedziano stanowczo, że jej nie ścierpi. Gdyby tażsama Francya tymżesamym Prusom zapowiedziała dzisiaj, iż nie zniesie ich systematu fałszywej neutralności, cały przebieg wojny naszej, a szczególnie ostatni jej peryod, wzięłby inny kierunek, Królestwo Polskie byłoby z wojska opróżnione, i armia nasza od czterech miesięcy byłaby nad Dnieprem i Dźwiną. Gdyby gabinet francuski to uczynił, Polacy byłiby mu winni wybawienie; ale ministeryum nie doprowadziło Prus do neutralności,

ani na początku kampanii, ani przy załatwieniu interesów belgijskich, ani nawet wtenczas, kiedy najście króla hollenderskiego wznawiało wszystkie kwestye i dawało Francyi prawo i możność, w nagrodę pokoju jaki zapewniała Europie i poparcia gabinetu Greya, domagać się od Anglii, aby łącznie z nią wymogła na Prusach stanowcze zachowanie prawdziwej i szczerzej neutralności. Obecnie postępowaniu Prus względem nas przypisać należy nasze nieszczęścia, a gdyby nowe klęski dotknąć miały sprawę, która w innym razie pewno byłaby zwyciężką, odpowiedzialność za to spaść musi na rząd pruski.

III. Jawne wystąpienie.

Ministryum nie kryło nigdy tak przed podpisanymi, jak przed Francją i całą Europą, obawy wplątania Francyi w wojnę ogólną — to też podpisani dopraszali się tylko o to, co Francya uczynić mogła, nie narażając się na nią. Było zadaniem samej Polski wyjść zwycięzko z walki, którą rozpoczęła. Domagali się więc podpisani ogłoszenia i utrzymania systematu nieinterwencji, a dowiedzionem było wyżej, że Francya mogła to uczynić, nie narażając ogólnego pokoju. Domagali się później uznania Rządu narodowego, tego Rządu, który od kilku miesięcy stoi na czele kraju, nie spotykając żadnych przeszkód, i który nietylko znajduje posłuszeństwo w prowincjach składających Królestwo 1815 roku, ale którego rozkazom poddają się ochotnie wszystkie prowincye rosyjskiego zaboru, przy pierwszej możliwości oświadczenia swej woli. Uznania takiego przez rząd francuski domagali się podpisani w sposób wyraźny i stanowczy, jak tego dowodzą noty z dnia 19 maja i 10 czerwca, równie jak wszystkie z tego powodu konferencye. Uznania tego spodziewały się wszystkie ludy Europy, oczekiwała Turcyja, pragnęła najgoręcej cała Francya; zostałoby ono w najgorszym razie pomnikiem uczciwości i sprawiedliwości, a żadną miarą nie mogłoby Francyi wmięszać w wojnę z Rosją, z Rosją odległą od niej o 400 mil przeszło, osłabioną przez wojnę turecką i polską, przez cholere, zamieszki wewnętrzne, zły stan finansów

i floty, z Rosyą, mogącą tak łatwo mieć na karku Szwecyę i Portę Ottomańską. To osłabienie i upadek Rosyi uznawał sam hrabia Sebastiani na konferencji 24 lipca. „Potęga Rosyi — powiedział wtenczas podpisanym p. minister — potęga, która dotychczas wzrastała ciągle, zacznie się teraz stopniowo zmniejszać; możecie klęsk doświadczyć, ale i nie-szczęścia wasze nie wyjdą jej na pożytek. Zupełnie pewną nie jest Małorosyi, zaburzenia w Petersburgu trwały aż do 9-go i cesarz musiał powracać raz drugi, chociaż ludność była bezbronna“. Trzeba więc było tej tak wyraźnie upadającej Rosyi zadać cios ostateczny przez uznanie Rządu polskiego. Uznanie to Rządu istniejącego *de facto*, nie rozstrzygało jeszcze nawet kwestyi prawa, dodałoby tylko wagi negocyacyom, ożywiłoby do najwyższego stopnia ducha Polaków, zmusiłoby Prusy do uwzględnienia systematu nieinterwencyi, otworzyłoby przerwana komunikacyę Polski z Europą przez Prusy, i zmusiłoby samo przez się Rosyę do restytucyi nakazywanej przez prawo i sprawiedliwość, a którą „stósownie do okoliczności mogły jej wynagrodzić odpowiednie układy“. Podpisani natarczywie dopominając się takowego uznania, żądania swoje opierali na własnem p. ministra przekonaniu o słabości Rosyi, na opinii Izb, na petycyach podpisrywanych w tym celu we Francyi; oczekiwali też najzupełniejszego skutku swych usiłowań, kiedy ministryum z mownicy odmówiło stanowczo takówego uznania.

IV. Zasiłki pośrednie.

Zasiłki pośrednie mogły jeszcze zbawić Polskę, nie narażając Francyi. Podpisani żądali ciągle podobnych zasiłków od gabinetu francuskiego, a szczególnie w notach z d. 17 czerwca, 2 i 6 lipca. Odmówiono im ich również stanowczo. Żądali wypłat na rachunek pretensyj, jakie Polska na mocy istniejących traktatów może rościć do Francyi. Wyrzili to w notach z dnia 11 i 21 lipca. Gabinet i tego ich żądania nie uwzględnił. Żądali wtenczas, aby rząd francuski gwarantował zaliczkę, jaką bankierowie paryscy gotowi byli w takim razie zrobić na rachunek tychżesamych pretensyj. Rów-

naż odmowa. Żądali pomocy w broni, i ta im odmówioną została. Nareszcie prezes rady ministrów, mową mianą w Izbach prawodawczych dnia 9 sierpnia, rozproszył wszystkie nasze nadzieje, oświadczając, iż Polska niczego od Francji spodziewać się nie powinna i nie może. Mowa ta powiedziana w chwili stanowczej, kiedy Polska potrzebowała rozwinięcia wszystkich sił swoich i całej energii, mowa ta zadała cios śmiertelny sprawie polskiej, odbiła się nad brzegami Wisły, wznieciła tam rozpacz i sama może przyspieszyła upadek Polski.

Pomimo tych wszystkich usiłowań ze strony podpisanych, w całym przebiegu walki rozpoczętej z Rosyą, tak wtenczas, kiedy powodzenie polskiego oręża i powstań na Litwie i Rusi pozwalało spodziewać się pomyślnego już rozwiązania, jak i w chwilach wątpliwego dla obu stron szczęścia, i nareszcie wtenczas, kiedy położenie Polski stawało się coraz bardziej krytycznem, nic, nic zgola nie mogło wpłynąć na zachowanie się gabinetu francuskiego względem Polski. Takie po sześciu miesiącach prac, usiłowań i mozołów boleśnie nabyte doświadczenie przywiodło podpisanych do wątpiewania, czy słusznie przypuszczali, że istnienie i niezależność Polski łączy się z najbliższymi i najprzeważniejszymi interesami Francji, bo gdyby tak było, czyż ministerstwo francuskie pozostałoby głuchem i nieczułem na wszystkie przełożenia, domagania się i prośby podpisanych? Podpisani, opierając się na dotychczasowych krokach swoich, opierając się na doświadczonych odmowach, głęboko dziś jeszcze przekonani, że istnienie Polski jest koniecznem dla dobra Francji i jej najżywotniejszych interesów, dla utrzymania pokoju i nowego systematu, który rozwinięła Francja w dniach lipcowych, uważają za swój obowiązek uczynić jeszcze jedną odezwę, niestety może spóźnioną, ale którą im nakazuje sumienie, chociażby dla usprawiedliwienia kiedyś siebie przed własnym rządem, przed narodem i przyszłością, która ich sądzić będzie. Mają więc zaszczyt zapytać gabinet francuski: jakiej i jakiego rodzaju pomocy udzielić chce rzeczywiście sprawie polskiej, kiedy i w jakiej porze pomoc takowa udzieloną jej być może, czy i kiedy Francja gotowa jest pomódz nam, jednym z czterech skutecznych sposobów

jakieśmy wyłożyli wyżej: pośrednictwem, utrzymaniem neutralności sąsiednich Polsce mocarstw, jawnem wystąpieniem, albo ubocznemi zasiłkami.

Podpisani pochlebiają sobie, iż wkrótce pomyślną zaszczęceni będą odpowiedzią; spodziewają się tego tembardziej, że chwila jest naglącą, i że zarówno w niej chodzi o interesa Francyi jak Polski. Gdyby zaś ministerstwo nie chciało im zapewnić pomocy niezwłocznej, ani określić nawet jej terminu, gdyby odmówiło wyjednania na sąsiadach naszych najzupełniejszej neutralności, podpisani taką odmowę musieliby uważać za zupełne opuszczenie. Ujrzeliby się zmuszonymi, stósownie do odebranych rozkazów, uważać misyę swoją za zupełnie skończoną i pozostałoby im tylko zając się własnem usprawiedliwieniem, którego materyały czerpałoby w aktach swiego urzędu.

podpisali: Jenerał *Karol Kniaziewicz*.
Hr. *Ludwik Plater*“.

Wiadomość o kapitulacyi Warszawy doszła do Paryża zrana 15 września. Prefekt strassburski, otrzymawszy ją z Frankfurtu, przesłał ją telegrafem, w kilkunastu słowach, do swego ministra; po południu tensam prefekt potwierdził ją relacyą, otrzymaną od rezydenta francuskiego w Weimarze. Depesza była dokładniejsza, szczegółowsza i uchylała wszelką wątpliwość. Rząd dłużej jej nie ukrywał, i już tego samego wieczora rozeszła się ona po mieście. Nazajutrz rano, urzędowy *Monitor* podał ją w następującej, nader suchej i lakonicznej formie: „Depesza telegraficzna ze Strassburga uwiadomiła rząd, że Warszawa zdała się po dwóch dniach walki. Wojsko polskie cofnęło się w Płockie, i zdąża ku Modlinowi“.

Naprzód, pierwszego dnia, jak zwykle pod wrażeniem wielkiego bólu, zapanowało jakby ponure przygnębienie; we wszystkich ustach było jedno tylko słowo: Polska! Ludność przesuwała się przez ulice, w milczeniu.

Nazajutrz osłupienie zamieniło się w oburzenie. Wszędzie gromadziły się kupy ludzi, wybuchających przekleństwem i groźbą.

W Izbie zapanowało niezwykle poruszenie. Już po otwarciu posiedzenia dnia tego, deputowani nie uciszali się

i w grupach zebrani nie przestawali rozprawiać między sobą. Na tej to sesyi, hr. Sebastiani, minister spraw zagranicznych, krótką swą komunikacyę o wypadkach warszawskich, zakończył owem, smutnej pamięci, wyrzeczeniem: *L'ordre règne à Varsovie*. Na te słowa głośny szmer rozległ się w sali w mieście odgłos ich stał się jeszcze głębszy. Już od rana, w rozmaitych częściach miasta znać było wrzenie, które wieczorem przybrało znaczniejsze rozmiary. Masa ludu, zebrawszy się koło Palais-Royal, gdzie wówczas jeszcze król mieszkał, pociągnęła pod pałac ministerstwa spraw zagranicznych, i tam zaczęła okna wybijać. Patrole piechoty, jazdy i gwardyi narodowej, krążyły po ulicach i rozpraszały zbiegowiska.

Nazajutrz, niektóre dzienniki wyszły, otoczone czarną, żalobną obwódką; wzburzenie wzmogło się, okazywało się rozjątrzenie; gęste grupy stawały się liczniejsze, głównie na bulwarach, nad rzeką, około ministerstwa spraw zagranicznych i koło Palais-Royal. Krzyczano: *Vive la Pologne! A bas la Russie! A bas le ministère! Vive la République!* W publicznym ogrodzie Palais-Royal, naprzeciwko kawiarni Foy (istniejącej dotąd), zawieszono na drzewie odezwę, otoczoną czarną krepą i noszącą napis: „Bohaterska Polska nikczemnie opuszczona, jest dla nas groźbą straszną. Obywatele! Nie czekajcie jej skutku! Do broni!“ W paru miejscach próbowano najść magazyny rusznikarskie; w innych jęto się stawiać barykady. Na placu Vendôme, tłum poznawszy ministrów Periera i Sebastianiego, rzucił się, by zatrzymać powóz, w którym jechali. Stangret, zaciąwszy konie, zdołał schronić się do przyległego gmachu ministerstwa sprawiedliwości. Wieczorem wielka część teatrów była zamknięta. Teatr *Vaudeville* od rana ogłosił, że dnia tego nie da reprezentacyi. W innych teatrach, sama publiczność zmusza aktorów do zaniechania przedstawienia; tak n. p. w teatrze *Nouveautés*, ledwo zasłona się podniosła, zaczęto wołać: „Spuścić! spuścić! wyjdźmy! Wobec nieszczęść Polski, dziś nie ma przedstawienia“. Głosy te wszczęte w krzesłach rozeszły się po całym teatrze, póki kurtyna nie zapadła przy okrzykach: *Vive la Pologne! Vengeance!*

Wzruszenie w stolicy znalazło odgłos i na prowincyi, i tak mianowicie w Tuluzie tłum, z tej okoliczności, naszedł

i zburzył do szczytu drukarnie i redakcyje dwóch dzienników karlistowskich, które ogłosiły były artykuły pod nadpisem: „Upadek Warszawy — ucieczka buntowników“. Na ogół cała prasa francuska, z wyjątkiem tylko pism karlistowskich i kilku pism ministryalnych, wyrażały z powodu naszego pogromu żal, oburzenie i gwałtowne napady na rząd i gabinet. Owóz w rozruchach, o których mówiliśmy, obok prawdziwej dla nas życzliwości ludności francuskiej, działały i inne uczucia i pobudki. Zaciekłość stronnictw, sekciarstwo polityczne, duch propagandy rewolucyjnej, dążenia, które z Polską nie wspólnego nie miały, chciały zużytkować chwilę uniesienia umysłów, by pchnąć podnieconą ludność do szturm na nienawistną im władzę *du juste-milieu*, obalić gabinet, a może nawet i tron nowy i jeszcze chwiejny. Ale rząd wystawił wszędzie znaczne siły; masy piechoty i kawalerji biwakowały na placach i bulwarach, i po czterech dniach rozruchy zostały stłumione.

Wszezęła się wtedy w Izbie długa dyskusya, w której rozwinięta przez Periera wielka energia, odniosła zwycięstwo. Po długich i burzliwych rozprawach, dnia 22 września, Izba 221 głosami przeciwko 167, przyjęła porządek dzienny, wyrażający, „że jest zadowolona z danych przez ministrów objaśnień, i że ma zaufanie do ich troskliwości o godność Francji“. Nieco później, kiedy lewica starała się rozbudzić jeszcze te bolesne wspomnienia i zrzucić na gabinet krew Polski zamordowanej, Casimir Perier osadził ją na miejscu słowami: „Nie, panowie, nieszczęścia Polaków spadają nie na rząd francuski, ale na tych, co im złe rady dawali“.

A rząd francuski, jakie im dawał rady...?

Wystarczyło tygodnia czasu, by egzaltacyę zastąpiło znużenie, i w Izbach i po za niemi ¹⁾.

Giełda, zatrwożona zawieruchą uliczną, wróciła do normalnego stanu i uspokojona teraz co do Polski, znowu żwawo podnosić się zaczęła.

Tylko poeta ²⁾ ozwał się następującym, palącym głosem:

¹⁾ Louis Blanc. II, 484.

²⁾ Berthélémy w piśmie tygodniowem *Némésis*.

Noble soeur! Varsovie! elle est morte pour nous,
 Morte un fusil en main, sans fléchir les genoux,
 Morte, en nous maudissant à son heure dernière,
 Morte, en baignant de pleurs l'aigle de sa bannière,
 Sans avoir entendu notre cri de pitié,
 Sans un mot de la France, un adieu d'amitié!
 Cachons-nous, cachons-nous; nous sommes des infâmes;
 Que tardons nous? Prenons la quenouille des femmes;
 Jetons bas nos fusils, nos guerriers oripeaux,
 Nos plumets citadins, nos ceintures de peaux,
 Le courage à nos coeurs ne vient que par saccades;
 Ne parlons plus de gloire et de nos barricades;
 Que le teint de la honte embrâse notre front.
 Vous voulez voir venir les Russes... Ils viendront!

.

Któregoś dnia, koło połowy października, gwarną i ludną ulicą Faubourg Montmartre, szedł człowiek młody, z ręką na temblaku. Z ubrania jego, i niepewnego, szukającego spojżenia, znać było, że to człek obcy, nie świadomy drogi. W tem, jakiś przechodzień, przypatrując się mu, zatrzymał się przed nim, odkrył głowę i zawołał głośno: *Honneur à la Pologne!* Cudzoziemiec uśmiechnął się smutnie i głową skinął. Wnet kolo niego robi się tłum. Robotnicy w bluzach, przekupki w czepcach, ichmoście w kapeluszach otaczają go, tłoczą się, by mu ścisnąć rękę, i wszyscy wołają: *Brave Polonais! Vive la Pologne!*

To było pierwsze przywitanie wychodźstwa polskiego na bruku paryskim.

Jak w krajach południowych pewne ptaki zwiastują słońce i zimę, tak ten zbłąkany powstaniec litewski w czamarcie, z podwiązaną ręką, zwiastował Emigrację.

Rozproszone stado już nadlatywało.

L. Gadon.

KARTKI Z DZIEJÓW DRUGIEGO CESARSTWA.

[*Histoire de Napoléon III* par J. M. Villefranche. 2 volumes. Paris, éditeur Bloud, 1897. — *Mémoires du Duc de Persigny*. Paris, éditeur E. Plon, 1896. — *Journal du Maréchal de Castellane*. 5 volumes. Paris, éditeur E. Plon, 1897. — *Mes Souvenirs* par le Général du Barail. 3 volumes. Paris, éditeur E. Plon, 1897. — *Le Prince Louis Napoléon*, par M. Emile Ollivier. („*Revue des Deux Mondes*“). *Mémoires du Baron Haussmann*. 2 volumes. Paris, éditeur E. Dentu, 1891. — *Souvenirs d'Alexis de Tocqueville*. Paris, éditeur E. Plon, 1897. — *Louis-Napoléon et Mademoiselle de Montijo*, par Imbert de Saint-Amand. Paris, éditeur E. Dentu, 1896. — *Mémoires de Mr. de Melun*. Paris, éditeur Douniol, 1892. — *Souvenirs sur Berryer*, par Mme. de Janzé. Paris, éditeur Douniol, 1890. — *Mémoires d'un bourgeois de Paris*, par le Dr Véron. Paris, éditeur E. Dentu, 1890. — *Souvenirs et écrits de mon exil. Période de la guerre d'Italie*, par Kossuth. Paris, éditeur E. Plon, 1880. — *Conversations with M. M. Thiers, Guizot and other distinguished persons*, by William Senior. London, editor Macmillan, 1856.]

I.

Głęboko zatopiony w rozmaitych kombinacyach, których użyć zamierzał w celu sprawdzenia i odzyskania skromnego spadku po dalekim w czasie emigracyi za granicą zmarłym antenacie, dojeżdżał do miasteczka Louisburg w Niemczech, gdzie się rodzinna sprawa ta rozegrać miała, dwudziestokilkoletni Francuz. Troska o spadek po niebosz-

czyku nie była co prawda wyłączną młodego człowieka myślą; walczyła ona o lepsze z pewnem rozmarzeniem, spowodowanem obiecaną miłosną schadzka z przejeżdżającą przez Louisburg teatralną gwiazdą.

Z tej, o tak sprzecznych pierwiastkach zadumy, budzi go nagle, jakby gdzieś z obłoków spadający okrzyk: *Vive l'Empereur!* — „Cóż to być może? Co to za cesarz?“ z zadziwieniem pyta podróżny na kozle kapeluszem machającego woźnicy. — „To bratanek Napoleona Wielkiego“ — odrzeka zapytany, ruchem dyskrecyi pełnym wskazując na przejeżdżającego konno o kilkadziesiąt kroków kadeta. „Kształci się on w Thun, w szkole artyleryi“. Kadet wyglądał o parę lat od turysty młodszym. „Jakto?“ — pyta sam siebie zdumiony Francuz, czyżby legenda Napoleńska jeszcze istniała, i to w Niemczech! Ale jeżeli tak jest, toć we Francyi ona nietylko żyć powinna, ale samo nazwisko bohatera, który na najwyższym szczycie potęgi i chwały naród francuzki postawił, musi tam chyba echem grzmiałem brzmieć w każdej chacie, w każdym domu, w każdym zamku! A zatem: uśpione uczucie to zbudzić należy, zbudziwszy je zaś, utworze się drogę dynastyi Bonapartów... wskrzesi się cesarstwo, a z niem, do nowego życia, do nowej chwały, przywróci się i naród francuzki!“ Młody kadet jechał sobie tymczasem spokojnie dalej, nie domyślając się, jaką sam widok jego osoby poruszył nawalnicę szalonych pomysłów i niemiej szalonych marzeń w głowie przyszłego ministra i powiernika Napoleona III. Stało się wówczas to, co czasem zdarza się z uczuciem miłości — był to *un coup de foudre*.

W jednej chwili o wszystkim zapomniawszy, o zmarłym na emigracyi antenacie, niemniej jak i o żyjącej a może tęsknem okiem wyglądającej go w Louisburgu Dulcynei, odrazu zawrócił z drogi młody pan de Persigny — był to on bowiem — osiadł na wsi w domu rodzicielskim, i tamże zatopiwszy się wyżej uszów w historii Napoleona, zgłębiał jego żywot, skwapliwie chwytając nić, mającą utkać przędzę powrotu dynastyi Bonapartów na tron francuzki. „Gdym dnia tego postanowił — pisał p. de Persigny w jakie piętnaście lat później — poświęcić się duszą i ciałem prawie, która dla szczęścia i chwały Francyi ostatecznie zwyciężyła (po r. 1870 były się pi-

szący te słowa prawdopodobnie inaczej wyrażał), nie pytałem, czy drogą tą dojdę do bogactw, czy do nędzy, ale sprawę uznawszy za dobrą, słuszną i dla kraju zbawienną, powiedziałem sobie z góry, że w danym razie, bez szemrania poddam się ubóstwu, jak i bez zarozumiałości przyjmę fortunę, gdyby w moją stronę wdzięczne oblicze swe zwrócić zechciała“.

Taka była — iście romantyczna geneza przyszłej politycznej kariery pana de Persigny, oraz osobistych jego stosunków z Ludwikiem Napoleonem.

II

„Żadna postać historyczna nie była systematyczniej od osoby Napoleona III obmawiana i szkalowana“ — pisze P. Emil Ollivier, także jeden z wpływowych mężów stanu drugiego cesarstwa. „Wszystko służyło za powód do oczernienia: szarpano jego charakter, szarpano młodość, nawet pochodzenie jego złość i nienawiść ludzka zożydzić zdołały“. Dodaje wszakże autor niepospolitej pracy p. t. *Le Prince Louis - Napoléon*, że jakkolwiek oszczerstwa i nieszczęścia, jakimi księżę był w ostatnich latach panowania przywalony, pamięć jego jeszcze droższą mu czynią, nie zamąci to w niczem rzetelności jego sądu jako biografy, ani nie zmniejszy obowiązków należących się prawdzie. I rzeczyście, błędów przez Napoleona III popełnionych, P. Emil Ollivier w uwagach swych nie ukrywa; więcej atoli nad nimi ubolewa, niż upatruje w nich powody do potępienia monarchy, w samych nawet „błędach“ tych odnajdując jeszcze porywy gruntownie zacnego, szlachetnego serca.

„Po nitce do kłębka“ możnaby niejedną sprzeczność, niejedną nielogiczność charakteru Ludwika Napoleona wytłómaczyć krwią, z tak dwóch niedobrych istot jak jego rodzice, w jego żyłach płynącą. Młoda, ładna, pełna życia, żadna szczęścia i to szczęścia takiego, o jakim się marzy mając lat ośmnaście, ubóstwiana przez rodzinę i przez wszystkich co ją otaczali, Hortensya de Beauharnais z nakazu wszechpotężnego ojczyma, chcąc nie chcąc zmuszoną została rękę

oddać cesarskiemu bratu, Ludwikowi, królowi bollenderskiemu. Był to człowiek nie bez zalet umysłu i duszy, a naród hollenderski miłował go i rządy jego w najlepszej zachował pamięci — ale był od żony o wiele lat starszy, miał przytem nędzne zdrowie, co niekorzystnie na jego humor wpływało. Ciągłe zatargi z bratem, zarzucającym mu, „że nie umie być ani dobrym monarchą, ani dobrym mężem“, zalewały mu zwolna serce goryczą, a gorycz ta, z biegiem lat, młodej żonie życie zatruci musiała. Przez arcyswiatową wychowana matkę, do światowego życia od lat najmłodszych przywykła, miała Hortensya de Beauharnais przecież o wiele mniej od cesarzowej Józefiny wrodzonej lekkomyślności; jeżeli, jako żona, niezawsze była na wysokości położenia swego, to jako matce, niczego jej zarzucić nie można. Kochała dzieci z całej duszy, ale je wychowywała rozsądnie i poważnie, weale ich nie psując. Wytknąć jej wprawdzie można późniejszy stosunek z hrabią de Flahaut, ale czyż dużo znowu narachowałyby się w owej epoce kobiet, nie mających jakiego miłosnego stosunku? Przeciwnie — każda ich miała po kilka, królowa Hortensya zaś raz tylko wyjrzała po za granice matrymonialnego życia, i to wtedy, gdy już od lat kilku z mężem oficjalnie rozłączoną była. Gdybyśmy na nią za to bezwzględnie kamieniem cisnęli, toby nam kamieni nie starczyło, by niemi zarzucić całe francuskie społeczeństwo żeńskie z czasów Dyrektoryatu i pierwszego cesarstwa. Bądźmy więc i wyrozumiali i litościwi w sądach o córce cesarzowej Józefiny.

Urodzony w Paryżu 20 kwietnia r. 1808, Ludwik-Napoleon trzecim był z rzędu synem króla hollenderskiego i Hortensyi de Beauharnais. Pierworodny tegoż stadła syn zmarł był rok przedtem, z głębokim żalem cesarza, który w pięknym, dziwnie rozwiniętym czteroletnim chłopaczku tym, upatrywał przyszłego następcę tronu. Kto wie, czy żal ten, tak u Napoleona niezwykły, nie był rodzajem przeczucia. Przywiązawszy się do dziecka, które uważał za swego spadkobiercę, mając je pod okiem, nie byłby może i pomyślał o rozwodzie z bardzo, bądźcobądź, ukochaną Józefiną, ani o rozpoczęciu, wbrew zdaniu nietylko najszczerzych, ale i najwaleczniejszych doradców, owej szalonej zbrodniczej

wyprawy do Rosyi, mającej i jego i dynastję Bonapartów zgubić. I tak to, wśród czterech desek dziecinnej trumienki, prócz zwłok kilkoletniego chłopięcia, spoczął i los kroci niewinnych ofiar szalonej ambicyi jednego człowieka!

Na obronę króla Hollandyi dodać jeszcze należy, że pomimo wrodzonego wstrętu do życia publicznego — Goethe, który go w latach dobrowolnego wygnania często widywał, mówił o nim: „Znać, że powody, dla których zrzekł się tronu, były mu wrodzone“ — gdy nad Francją groźne zawisły burze, napisał do cesarza, ofiarując „ojczyźnie, bratu i dynastyi, usługi swe i resztki skołatanego zdrowia“.

Nawałnica dziejowa szybko się tymczasem posuwała. Przelotne, ale jeszcze świetne promienie „Stu dni“, uwydatnić tylko miały poprzedzające je i następujące po nich przerażające obrazy ogólnego w kraju spustoszenia. Ludwik-Napoleon miał zaledwie lat siedm, gdy się przed jego dziecinnym, a już dziwnie głębokim wzrokiem, przesuwwały bohaterstwem i samą wielkością upadku olbrzymie katastrofy walącego się cesarstwa. Gdy na kilka dni przed pogromem pod Waterloo, marszałek Bertrand przyprowadził synków królowej Hortensyi, aby się Napoleon z nimi pożegnał, przypadł stryjowi do kolan mały Ludwik-Napoleon, zanosząc się od płaczu. — „Cóż to znaczy, malcze — ze zdziwieniem zapytał cesarz — przecież nie pierwszy raz na wojnę wyjeżdżam?“

— „Nie jedź stryju, nie jedź! oni ciebie tam zabiją!“ — łkając odrzekł chlopeczyna. „Albo zabierz mnie z sobą; ja ciebie bronić będę!“

Wzruszony cesarz serdecznie uściskał bratanka, ten zaś do grobowej deski uścisku tego zapomnieć nie miał.

Z dniem 17 lipca 1815 r. rozpoczęło się dla królowej Hortensyi i dzieci jej, długoletnie, bolesne, nieraz upokarzające wygnanie. Trwać ono miało, dla Ludwika Napoleona, lat z górą trzydzieści trzy, z ponurem *intermezzo* sześcioletniego więzienia. Pomimo sympatyj, jaką wzbudza osobistość królowej Hortensyi, milczeniem tu przecież pominąć nie można owego powyżej już wspomnianego stosunku jej z hrabią de Flahaut, oraz przyjscia niebawem na świat syna, mającego kiedyś znaczącą w czasie drugiego cesarstwa odegrać rolę. W metryce zapisany jako ślubny syn skromnego przemy-

słowca Demorny, przyszyły hrabia de Morny powierzony został babce, pani de Souza, wykwintnej, rozumnej wielkiej pani, która go na niemniej rozumnego i wykwintnego wychowała człowieka. O istnieniu naturalnego brata, Ludwik-Napoleon dowiedział się dopiero po śmierci matki, w pozostawionym przez nią testamencie. Żył on dla niej prawdziwie bałwochwalczą cześć i odkrycie to boleśnie go dotknęło.

III.

Za powrotem Burbonów, iście drakońskie ogłoszono we Francji dekreta na wszystkich członków rodziny Bonapartów. Odebrano im wszystko: tytuły, pensye, wszelkie prawa cywilne, grożąc karą śmierci każdemu z nich, któregoby noga we Francji pozostała. Gdy się za nimi ówczesny minister, książę de Richelieu, u króla wstawił, odrzekł mu szorstko Ludwik XVII: „Sprawiedliwość dla Bonapartów nie istnieje we Francyi“! I odtąd, nietylko francuzka policya ostro nad nimi czuwała, ale jeszcze rozmaici agenci sprzymierzonych państw mieli oko na nich. Porozpraszali oni się więc na wszystkie strony świata, nie wyłączając Ameryki, gdzie w Stanach Zjednoczonych osiadł Józef, były król hiszpański. Pani Letycya Bonaparte, „Madame Mère“, jak ją u dworu byłego cesarza zwano, licząc na wspałałomyślność przez jej syna tak ciężko skrzywdzonego Piusa VII, nabyła w Rzymie pałac Falconieri na Corso, tworząc tam rodzaj ogniska rodzinnego, gdzie przy sędziwej matce Napoleona o genialnym synie jej mówiono-i tęskniono za nim, łzy roniąc nad srogim losem tego, co przed kilkoma zaledwo latami całą trząsał Europą.

Pierwsze lata wygnania królowej Hortensyi bardzo były ciężkie. Gdzie tylko osiąść chciała, zaniepokojony miejscowy rząd natarczywie, a nieraz bez należytego dla niej uszanowania, wypraszał ją ze swych granic. Wygnano ją tedy z Genewy, potem wygnano z Aix w Sabaudyi, gdzie biedne macierzyńskie jej serce przez bolesną przeszło próbę, mąż jej bowiem, wygrawszy wytoczony żonie proces, zażądał oddania mu starszego, lat dziesięć wówczas liczącego syna.

I ona, i młodziutki Ludwik-Napoleon, dla których życie rodzinne jedyną wówczas było pociechą, rozstanie to odchorowali. Z Sabaudyi udała się królowa do Konstancyi, należącej wtedy do Wielkiego Księstwa Badeńskiego, gdzie panujący wówczas Karol Ludwik-Fryderyk, ożeniony był ze Stefanią de Beauharnais, kuzynką Hortensyi i przybraną córką cesarza Napoleona.

Tam spotkać ją miała, zbyt już w życiu jej rzadka, serdeczna radość. Brat jej ukochany, Eugeniusz de Beauharnais odwiedził ją, a później, na parę tygodni wraz z synkiem u siebie ugościł we wspaniałym zamku Berg, nadanym mu przez teścia, króla bawarskiego. Wreszcie po długim tułaniu się, udało się królewskiej wygnance nabyć na własność zameczek Arenenberg w Szwajcaryi za 30.000 florenów i tamże na swoich śmieciach osiąść, za czem niewypowiedzianie od wyjazdu z Francyi tęskniła. W Arenenberg bawiła już też do śmierci, z wyjątkiem paru miesięcy zimy, stale spędzanych w Rzymie u „Madame Mère“ i kilku małych podróży, o których jeszcze niżej będzie tu mowa. Troskliwa, i to inteligentnie troskliwa o wychowanie syna, gdy doszedł do lat dwunastu, chcąc, aby do publicznych szkół uczęszczał, wysłała go do Augsburga, pod ścisłym dozorem dwóch mentorów, księdza Bertrand i p. Lebas, syna członka Konwentu, zaciętego republikanina. I czyż w doborze tych, tak różnorodnych, a sprzecznych w zasadach opiekunów młodego studenta, nie dałby się znowu odnaleźć nie mniej różnorodny i sprzeczny przez nich rzucony zasiew, którego plon później bujnie miał wyrósć? i czy nie z tego, w umyśle i sercu Ludwika-Napoleona za lat młodych zasianego ziarna, wystrzelił z czasem pomysł przyścia w pomoc papieżstwu, a później nastąpiło bratanie się ze zwolennikami Mazziniego i Garibaldeggo? Największe rzeki z najmniejszych wypływają zwykle źródeł, ale gdy źródeł jest kilka, woda zwykle mętną bywa.

Świetnie zdawszy w Augsburgu maturę, Ludwik-Napoleon wstąpił do szkoły wojskowej w Thun, gdzie się odznaczał dobrem prowadzeniem i pilnością w naukach. Wtedy to ujrzał go niespodzianie młody p. de Persigny, i nagle przed olśnionemi oczami jego mignęła gwiazdka Napoleońska — mignęła wprawdzie tylko, i to maleńka, aby prze-

cież w kilkanaście lat potem, jako świetna gwiazda na horyzoncie świata ukazać się i błyszczeć. Do jakiego bowiem stopnia bonapartyzm w pierwszej połowie panowania Ludwika Filipa żadnej nie miał żywotności i żadnymi nie ludził się nadziejami, zaświadczył jeden z najgorętszych zwolenników Napoleona, głośno w owych latach twierdząc, „że powrót Napoleonicidów nawet *marzeniem* być nie może“. Powiedzianem atoli jest, że „wiara góry przenosi“; i taka to właśnie wiara w przyszłość bonapartyzmu, podtrzymana niespożytem we własne przeznaczenie zaufaniem, poczęła zwolna tlić w duszy młodego kadeta w Thun, by go z czasem ogarnąć całego i „opętać“, jak później powiedziec miano o młodym spiskowcu ze Strasburga i Boulogne, rzeczywiście bowiem, sądząc po tych dwóch szalonych ekspedycjach, ówczesne nadzieje i zamiary Ludwika-Napoleona miały istotnie pozór opętania.

Tosamo zaś opętanie, a raczej tasama wiara, chwyciwszy raz umysł i serce młodego pana de Persigny, już mu chwili spokoju dać nie miała, a że był to młodzieniec o niezwykłych zdolnościach i porywającej energii, mnogie zawody, oraz piętrzące się nad nim trudności, zamiast go odstręczać, były jakoby nowym bodźcem, pchającym go *per fas et nefas* w raz obranym kierunku. Rozpoczął tedy niebawem potajemnie, z rzadką w tak młodym wieku wytrwałością, rozniecać we Francyi nie tyle cześć pamięci Napoleona — cześć ta bowiem nigdy nie była całkiem zagasła, o czem się przekonać miano w r. 1849 wyborem Ludwika-Napoleona na prezydenta Rzeczypospolitej — ile rozbudzać przeświadczenie, że tradycya cesarstwa silniejszą jest i byłaby w szczęśliwe dla Francyi skutki o wiele płodniejszą, niż wszystkie ówczesnego rządu parlamentarne gadaniny i konstytucyjne komitety. Wrodzony zmysł polityczny młodego entuzjasty, połączony z silną wolą i właściwą lat młodym gorącością uczuć, doprowadziły zwolna do tego, że bezustanne, cierpliwe a lat kilka trwające w jednym kierunku kucie, wyźłobiło w końcu wążką wprawdzie, ale nieprzerwaną ścieżynę, którą późniejsze wypadki, oraz bądź co bądź niezwykła osobistość „pretendenta“ rozszerzyć miały na wspaniałą, iście tryumfalną drogę. Ale porzucmy na teraz chwilowo pana de Persigny i jego tajemniczą, szaloną jak się

wówczas zdawało dynastyczną missyę i wróćmy do tego, który z biegiem lat do agitacyi nieznanego zwolennika niemniej energiczną a o wiele jeszcze bardziej szaloną dołożył rękę.

IV.

Za lat młodych a wskutek ówczesnych obyczajów światowej lekkomyślności roztrwoniwszy to co miała po matce, królowa Hortensya z tychże młodych lat zachowała była jedynie gorącość uczuć, oraz żywe zainteresowanie się wszystkim, co tylko umysł i serce zająć mogło. Rozmaite, mniejwięcej ciężkie przejścia, życie w porównaniu do świetnej przeszłości poważne i samotne, charakter jej pogłębiły, potęgując w niej wrodzoną, lecz nie mającą za młodu sposobności rozwinięcia się energię. Wszakże sam Napoleon I już przezwiał ją był *la douce entêtée*. Upór ów okazał się jednak zawiązkiem wytrwałej woli, której dała dowód, troskliwie, serdecznie, ale i bardzo rozsądnie prowadząc wychowanie młodego Ludwika-Napoleona.

Synowie, a nawet starszy, którego bardzo rzadko widywała — stale on bowiem mieszkał przy ojcu we Florencyi — mieli dla matki prawdziwą cześć. Ciążąca na niej odpowiedzialność za wychowanie młodszego, zbudziła w niej świadomość, że za niego przed Bogiem i ludźmi odpowiadać będzie. Przez samo poszanowanie dla pamięci i dla chwały cesarza, wierzyć nie mogła i wierzyć nie chciała, aby się na Napoleonie dynastya jego skończyć miała i wytrwale na to liczyła, że żyjący wówczas jeszcze syn jego, ksiązę Reichstadt kiedyś po ojcu na tron francuzki wstąpi. Mimoto jednak własnego syna, nawet po zgonie nieszczęśliwego Napoleona II, zmarłego 22 lipca 1832 r., troskliwie strzegła od wszelkich dynastycznych marzeń, powtarzając mu ciągle, że winno się być człowiekiem bardziej, niż księciem. Zresztą, przypominała mu często, że w razie ewentualnego powrotu dynastyi Bonapartów na tron francuzki, prawnymi pretendentami do korony byłiby stryjowie jego, ojciec i starszy brat, Napoleon. Z serdecznem uszanowaniem przyjmował syn w mil-

czeniu rady i napominania matki, ale nie mniej od niej był i on *un doux entêté*; nie zaprzeczał więc jej słowom, nieraz słuszność ich nawet uznawał, ale jaka, po za milczeniem młodzieńca, ukrywała się otchłań marzeń, nadziei i nie zbyt jeszcze wyraźnie w umyśle jego sformułowanych zamiarów, tego królowa Hortensya nie wiedziała i dopiero po pierwszym, szalonym wybryku syna w Strasburgu, z głębokiem zmartwieniem dowiedzieć się miała. Wszakże nadane w kilkanaście lat później Napoleonowi III miano „sfinksa“, odnosiło się nie do tego, co mówił, ale do tego właśnie, co zamilezał? A młody artylerzysta szkoły wojskowej w Thun, wprawiał się już zawczasu do tej przyszłej zagadkowej roli.

W r. 1829 wybuchła wojna rosyjsko-turecka, wrzekomo rozpoczęta w celu oswobodzenia Greków z pod muzulmańskiego jarzma. Cała ówczesna młodzież zapalała się do tej sprawy, wstępując w szeregi armii rosyjskiej, by Grekom dopomóc w odzyskaniu niepodległości. Nic tedy dziwnego, że i Ludwik-Napoleon, żądny czynu, a może już i chwały, dał się ogólnemu prądowi porwać. Po długich pertraktacjach, otrzymawszy wreszcie od matki zezwolenie na wstąpienie jako ochotnik do wojska rosyjskiego, napisał błagający list do ojca, o to samo prosząc upoważnienie, które mu atoli wręcz i ostro odmówionem zostało: „W żadnym wypadku i dla żadnego powodu, nie przypuszczam, aby się w obcym służyło wojsku. Nie wolno szafować krwią z krzywdą dla własnej ojczyzny, do której należy tejsze krwi każda kropelka“. Najcięższą wszakże przeprawę miał przejść młody Bonaparte z babką. Uprowadzona przez byłego króla hollenderskiego; że wnuk jej ma zamiar wstąpić do wojska jednego z monarchów, którzy dekret bannicyjny na Napoleona podpisali, pani Letycya Bonaparte kazała mu do Rzymu przyjechać. Gdy nieco zaniepokojony przed nią stanął, groźnem na niego spojrzawszy okiem, zapytała: „Jak ci na imię?“ — „Napoleon“. — „Tak?... a więc: precz mi z oczów“. — Dla przyszłego władcy Francyi, na powyższym epizodzie skończyła się upragniona kampania o niepodległość Greków. Ale co przeżyć miało tę niedoszłą kampanię, i to przeżyć do końca życia Ludwika-Napoleona, to serdeczne, później i czynne nieznanego jeszcze w czasie

greckiej wojny wygnańca, późniejszego prezydenta Rzeczypospolitej francuzkiej, wreszcie cesarza Napoleona III dla wszystkich uciemiężonych narodów współzucie.

V.

Nadszedł tymczasem, w najrozmaitsze rewolucye brzemienny rok 1830. Synowie byłego króla hollenderskiego i uroczey Hortensyi de Beauharnais, mieli wtedy: starszy Napoleon lat dwadzieścia cztery, młodszy, naszego opowiadania bohater, dwadzieścia dwa. W tymżesamym roku, o starszym pisał Lamartine: „Jestto postać bohatera z romansu. W ryśach jego taka przebija pogoda, ale zarazem i godność, że chyba najbardziej zawistne przemoże losy. Niema matki, któraby go za zięcia mieć nie pragnęła, niema człowieka, któryby się przyjaźnią jego szczycić nie chciał“. I jemu także, gdy się Grecy z bronią w ręku o niepodległość ojczyzny dobijać zaczęli, serce głośniej bić poczęło; i on, tak jak młodszy brat, pragnął zaciągnąć się w szeregi oswobodzicieli uciemiężonych Hellenów, od kroku tego wstrzymał go wszakże wyraźny zakaz ojca. Może go i wstrzymało budzące się w nim serdeczne uczucie dla stryjecznej siostry, Charlotty, córki Józefa, byłego króla hiszpańskiego, z którą się i wkrótce ożenił. Była to nad wszelki wyraz miła i ujmująca istota. W niej to, bez najmniejszej nadziei wzajemności, tak szalenie rozkochał się był malarz Leopold Robert, że po kilku latach ciężkiej z uczuciem tem walki, dostał pomięszania zmysłów i w zakładzie obłąkanych życie zakończył.

Fizycznie skąpiej od brata uposażony, mniej także od niego przystępny, Ludwik-Napoleon, po dłuższem dopiero poznaniu mógł wzbudzić przyjaźń, i wzbudził jej też w ciągu życia niemałą liczbę, pomimo wzbudzania także o wiele znaczniejszej ilości niechęci i nienawiści. P. Emil Ollivier w następujący sposób charakteryzuje młodych tych dwóch Bonapartów, jakimi byli około r. 1830: „Braci tem serdeczniejsze łączyło przywiązanie, że tesame mieli wyobrażenia, tesame żywili sympatye; obaj byli republikanami, ale równocześnie i fanatycznymi czcicielami genialnego stryja.

Kraj swój kochali gorąco; stali wytrwale po stronie uciemżonych narodowości; przytem, rwało ich wszystko do czynnego życia, bo pragnęli okazać światu, że godni są nosić tak wielkie nazwisko, ale zarazem, że ich ciężar tej wielkości nie przygniata⁴. Co ich za to bardziej od chwały stryja przygniatało, to raz wraz usuwająca się sposobność odznaczenia się. To też, gdy następnym razem sposobność taka się nastreczyła, chwycili ją oburącz skwapliwie, ani ojca już ani matki o zezwolenie nie prosząc, z doświadczenia osobistego wiedzieli bowiem, że takowe odmówionem by im było.

Kancelarz Audiffret-Pasquier, czynny świadek politycznych dziejów Francji od r. 1789 do r. 1820 i tychże dziejów trzeźwy i rozumny historyograf twierdzi, że sekta „carbonarich“ wedle zdania ich własnych stronników już w r. 1820 sześćdziesiąt tysięcy liczyła zaprzysiężonych członków. Pod złudnym pozorem wykolatania u rozmaitych we Włoszech rządów gruntownych społecznych i politycznych reform, w rzeczywistości sekta ta dążyła zwolna do oswobodzenia całej Italii z pod jarzma austriackiej opieki. Potęgą kolosalnego sprzysiężenia tkwiła w rozżarzaniu nienawiści w kraju dla obcego rządu, a tradycyę nienawiści tej podawały sobie jedno pokolenie „carbonarich“ po drugim, aż do chwili, w której — co prawda, zapomocą francuzkiej armii — zamierzony od pół wieku cel osiągnięty został.

Tron Burbonów zwaliwszy, umysły i namiętności wszystkie poruszając, atmosfera rewolucyi lipcowej we Francji szybko ogarniała — i zatruchiła — całą Europę. Młodym Bonapartom zdawało się, że przy tem ogólnem zamieszaniu ukaże się na widnokręgu, ku uspokojeniu ludzkości, gwiazda Napoleońska. Wielkiem było tedy zdumienie ich, oraz rozpacz, gdy w Izbie francuzkiej ogłoszone nowe prawo (z września 1830 r.) znosiło karę wygnania dla „królobójców“, nie znosząc jej dla rodziny Bonapartów. To też, z rozdartem sercem, ale bez zdziwienia, odczytała królowa Hortensya następującej treści list młodszego syna: „Serce twoje zrozumie nas i uniewinni, matko najdroższa. I brat mój i ja przyjęliśmy zobowiązania i takowych dotrzymać musimy. Samo nazwisko nasze zmusza nas poniekąd do przyścia w po-

moc ujarzmionym, powołującym nas narodom. Bratowej racz wytlómaczyć, że to ja za sobą porwałem jej męża, bolejącego nad tem, że się z zamiarami swemi przed nią ukrywać musiał“. Biedna matka, całkiem inaczej zapatrująca się na wypadki, poruszyła wszystkie możliwe sprężyny, by synów nakłonić do powrotu, zanim się krwawe rozpoczną we Włoszech zapasy. Do pomocy wezwwała męża, tegoż brata Hieronima, byłego króla westfalskiego, wreszcie mężowskiego wuja, kardynała Fesch; każdy na swój sposób starał się młodych zbiegów schwycić. Tymczasem na rozpaczliwe listy matki, Ludwik-Napoleon odpisywał: „Wśród ludzi upojonych miłością ojczyzny, jesteśmy zupełnie szczęśliwi. Teraz czuję dopiero, że żyję — dotąd zaledwo wegetowałem. Położenie nasze tu, jest zaszczytne. Uniesienie z dnia na dzień wzrasta. Jedyna przykreść nasza, to że się o nas, matko droga, frasujesz. Ale uspokój się. Oglądać nas będziesz niebawem, i to wawrzynami uwieczonych, a może Bóg da, że i z różczką oliwną w ręku“. Na czele małego oddziału ochotników, Ludwik-Napoleon świetnie zdobył fort Civita-Castellana, odznaczając się odwagą osobistą i zadziwiającą w tak młodym wieku zimną krwią. Z taką fantazyą przez młodego powstańca rozpoczęta epopea, na fajerwerku tym jednak skończyć się miała.

Obecność bratanków Napoleona w obozie buntowników srogo niepokoiła dyplomacyę zagraniczną, buntownicy zaś, omamiani złudnemi obietnicami generała Lafayette, tego od lat już tylu politycznego kuglarza, nie chcąc sobie zrazić mniemanych dobrych dla nich intencyj Ludwika-Filipa, rozmyślali nad tem, jakby się delikatnie młodych Bonapartów z obozu pozbyć. I jakoż z pierwszej korzystając sposobności, oddalili ich. Niegodnem postępowaniem tem w samo serece ugodzeni, książęta schronili się na razie do Forli i tam, starszy z nich, Napoleon dostawszy odry, niebawem zmarł, „bez chwały, choć do chwały zrodzony“, jak, dowiedziawszy się o jego zgonie, powiedział Lamartine. O chorobie syna wiadomiona matka, nie zważając na grożące z wszech stron w czasie wojny niebezpieczeństwa, pospieszyła do Forli, by tamże przybywszy dowiedzieć się, że starszy syn już pochowany, a młodszy, do ucieczki zmuszony, zaraziwszy się od

brata leży w Ankonie, również chory na odrę. Podążyła tedy do Ankony, gdzie zastała Ludwika-Napoleona w malignie. I dowiodła wtedy królowa Hortensya, czem jest potęga macierzyńskiego serca, wobec grożącego dziecku niebezpieczeństwa. Nazajutrz po jej przybyciu do Ankony, Austriacy zajęli miasto i komenderujący generał, baron Geppert, obrał kwatery, wraz ze sztabem, w tym właśnie hotelu, gdzie królowa Hortensya przy chorym synu czuwała. By podejrzenia nie ściągnąć na częste wizyty do tajemnicy przypuszczonego lekarza, odwiedziny jego złożywszy na karb chorej towarzyszki, sama wytłumaczyła generałowi i konsulowi francuzkiemu, że syn, jej wraz z innymi powstańcami, przed paru dniami odpłynął do Korfu, dokąd ona za nim podążyć pragnie. Po pewnym czasie otrzymała od generała ujętego jej wdziękami przepustkę dla siebie i służby, i gdy tylko syn jej na tyle odzyskał był siły, aby się bezpiecznie mogła w dalszą podróż puścić, zabrała go z sobą, przebranego w liberyę służącego, i za pomocą angielskiego paszportu wywiozła go do Francyi, gdzie zwiedziła z nim, zawsze pod angielskiem nazwiskiem, wszystkie sereu jej najdroższe miejscowości, jak Fontainebleau, Malmaison, Saint-Denis, Reuil, w którym spoczywały zwłoki jej matki, cesarzowej Józefiny, poczem, o zgrozo! udała się wprost do Paryża, do „Hotelu Hollenderskiego“ przy ulicy de la Paix, gdzie z okien mieszkania oboje patrzeć mogli na kolumnę Vendôme. W parę dni po przybyciu tam, pisze królowa Hortensya kartkę do adjutanta króla, hrabiego d’Houdetot, donosząc, że się znajduje w Paryżu i że prosi Ludwika Filipa o audyencyę. Przerażony król, posyła do niej na to prezesa ministrów, Kazimierza Perier, wrogo dla Ludwika-Napoleona usposobionego. — „Przejeżdżam przez Francyę — rzecze doń królowa Hortensya, przywitawszy się z ministrem — i chciałam, aby się pan o tem z moich ust dowiedział.. Naraziłam się na krok ten niebezpieczny, z powodu nadwątlonego zdrowia mego syna. Wiem, że miałbyś pan prawo mnie uwięzić. Byłoby to sprawiedliwe“. — „*Sprawiedliwe*, nie; ale *legalne*“, odrzekł minister, mimowiednie wdziękami jej ujęty.

Następnego dnia dostała królową Hortensya wezwanie, aby, o oznaczonej godzinie, udała się w sekrecie do Palais-

Royal, gdzie wówczas Ludwik Filip jeszcze mieszkał. Król, wraz z żoną i siostrą, przyjął wygnankę z wielką uprzejmością, niemal serdecznie. „Niebawem nie będzie już wygnańców — rzekł do niej Ludwik Filip — pragnę, aby ich za mego panowania nie było“. I w samej rzeczy, prezydent ministrów, powtórzywszy swą wizytę w „Hotelu Hollenderskim“, wkrótce bratowej Napoleona oświadczył, że się król zgadza na osiedlenie jej wraz z synem we Francyi, ale pod warunkiem *sine qua non*, że tak matka, jak syn, zmienia nazwisko. Z najwyższem oburzeniem dowiedział się o tem, w parę godzin później, Ludwik-Napoleon.

— „Jako! jabym miał porzucić nazwisko Napoleona Bonaparte! A któżby śmiał taką zrobić mi propozycję? Matko! wierzaj mi, uchodźmy ztąd czem prędzej; wracajmy do naszej samotności, gdzie nam przynajmniej nikt nie urąga“. A tu, jakby naumyślnie, zbliżała się rocznica śmierci cesarza Napoleona (5 maja), i o pobytku w Paryżu jego bratanka zaczęto gdzieś tam przebąkiwać. Przeląkł się rząd Ludwika-Filipa i wysłał hrabiego d'Houdetót, aby królowę Hortensyę nastraszywszy, że życiu syna, a przynajmniej jego wolności, grozi niebezpieczeństwo, zmusił ich oboje do natychmiastowego wyjazdu ze stolicy Francyi.

Po kilku tygodniach spędzonych następnie w Londynie, gdzie ich najpierwsze rodziny angielskiej arystokracji z serdeczną podejmowały gościnnością, matka i syn do Szwajcaryi powrócili, bardzo sobie w najbliższym czasie upodobawszy pobyt w Arenenberg.

VI.

W ciągu r. 1834 o rozmaitych wspomiano kandydatkach do ręki młodej królowej portugalskiej, Donay-Maryi, a wspomniano i o Ludwiku-Napoleonie, przeciwko czemu on sam energicznie w dziennikach zaproteutował, pomimo, że mu jeden z rzadkich wówczas jeszcze zwolenników bonapartyzmu do ucha szeptał, iż mogłaby to być droga do Paryża wiodąca. „Wolę prostą drogą do Paryża wjechać — dumnie odrzekł na to bratanek Napoleona — nazwisko, jakie

noszę, nie zawsze pozostanie dla mnie powodem wygnania; przyjdzie chwila, w której sam naród powoła dynastję, przez wrogie obce mocarstwa z Francyi wygnaną. Nadzieja ta, choćby tylko nadzieją pozostać miała, droższą mi jest od wszystkich zagranicznych tronów“. A z tej właśnie epoki życia Ludwika-Napoleona, czytamy następujący ustęp z listu jego do ojca: „Jestem tak spragniony przywiązania i szczęścia, że gdybym dziś spotkał kobietę, zdolną wzbudzić we mnie uczucie miłości, i której wybór byłby po myśli moich rodziców, zaraz bym się ożenił“. Opatrzność skwapliwie taką właśnie podsunęła mu istotę, w osobie ładnej, intelligentnej, artystycznie i umysłowo wykształconej kuzynki, Matyldy Bonaparte, córki Hieronima, byłego króla westfalskiego i żony jego Katarzyny księżniczki Wirtemberskiej, tej Katarzyny, o której już będąc na wyspie św. Heleny rzekł był Napoleon, „że w r. 1814 i 1815 szlachetnem swem postępowaniem, sama zapisała się w rocznikach historii“. Po paru tygodniach wspólnego pobytu w Arenenberg, przez królową Hortensję protegowany a upragniony przez syna związek, odłożony został z powodu śmierci p. Letycyi Bonaparte. Gdyby się ta młoda para wtedy była pobrała, nie byłoby prawdopodobnie przyszło do szalonych wybryków Ludwika-Napoleona w Strassburgu i Boulogne. Na kilka dni przed zgonem, „Madame Mère“ napisała własnoręcznie do wnuka, przesyłając mu, wraz z wyrazami serdecznego przywiązania, macierzyńskie błogosławieństwo. Wnuk, głęboko wzruszony, bez zwłoki odpisał, „że błogosławieństwo matki Napoleona, którego on czci jak boga, jest dla niego wielkim skarbem. Wie on i czuje, jakie na niego obowiązki nazwisko to nakłada; ale on też obowiązkom tym będzie się starał sprostać, jedyną wiedziony ambicyą, aby nazwiska tego zawsze okazać się godnym“.

Żałobą po babce opóźnione zrękowiny Ludwika-Napoleona z kuzynką, do skutku już nie przysły. W parę lat później, księżniczka Matylda wyszła za milionowego Rosyana, księcia Demidow San-Donato, z którym szczęśliwą nie była. W salonie miłej tej i rozumnej pani, o której Sainte Beuve pisał: *Un front fait pour le diadème*, do dziś dnia schodzi się, co tylko Francya ma ludzi wykształconych i uta-

lentowanych, nie wyjąwszy nawet takiego dynastycznego przeciwnika, jakim z urodzenia być chyba musiał książę d'Aumale, jeden z synów Ludwika Filipa. Brat księżnej Matyldy, książę Napoleon — *vulgo* zwany Plon-plon, a co gorzej *Craint-plomb*, po wojnie Krymskiej, w czasie której starannie podobno unikał ognia nieprzyjacielskiego — ożeniony był z Klotyldą, księżniczką Sabaudzką, z którą się obchodził niegodziwie. Był to człowiek pozbawiony tak politycznych, jak i religijnych zasad i o charakterze spaczołym.

Po wyjeździe kuzynki z Arenenberg, nie chcąc zbytniemu oddać się żalowi, Ludwik-Napoleon zdwoił jeszcze godziny umysłowej pracy. Całymi dniami siedział zamknięty w swoich pokojach, wieczorem dopiero ukazując się w salonie, gdzie przecież miewano właśnie, między r. 1835 a 1837, miłe i urozmaicone towarzystwo. Bywali tam i tygodniami gościli różni rozumni, a nawet znakomici ludzie, jak Chateaubriand i nieodstępna jego przyjaciółka, sławna z piękności pani Récamier, jak Aleksander Dumas, uroczą poetka Delfina Gay, późniejsza pani Emile de Girardin. Kilka razy przybyła w odwiedziny i księżna de Dino, w utajonej pod jedwabiem i koronkami roli agenta Talleyranda. Stary mąż stanu wiecznie dla dynastji Orleanów w młodych, inteligentnych Bonapartych grożące wietrząc niebezpieczeństwo, siostrzenicy doglądać kazał od czasu do czasu, co się tam na zamku w Arenenberg święci. Lecz Ludwik-Napoleon, z natury skryty i mało mówiący, nie robił na nikim z obecnych wrażenia „pretendenta“. Chateaubriand widział w nim „wykształconego, pracowitego młodzieńca, z usposobieniem poważnem i z głębokiem poczuciem honoru“. Księżna de Dino w następujących też słowach obawy stryja uspokajała: „Ludwik-Napoleon nie jest dla monarchji lipcowej niebezpieczniejszy od pierwszego lepszego politechnika, obeznanego z matematyką i konną jazdą, ale zarazem skromnego jak dobrze wychowana panienka“. A tu tymczasem, jakby na urąganie powyższym zdaniom, owa „skromna dobrze wychowana panienka“ w tym właśnie czasie zwolna i potajemnie zbierała na około siebie przyszły wybuchowy materiał, oraz do zamiarów swych wtajemniczała kilku śmiałych, ambitnych, do sprawy Napoleńskiej

i jej dynastycznego reprezentanta gorliwie przywiązanych zwolenników. Do zwolenników tych, niebawem mających się na spiskowców zamienić, należeli dr Conneau, komendanci de Bruc i Parquin, porucznik Laity i pan de Persigny. O tym ostatnim powiedzieć by można, że był „głową“ zawiązujących się projektów, tak jak tamci mieli być czynnymi tychże projektów „rękami“ — ale „duszą“ wszystkiego był sam Ludwik-Napoleon.

Wieczorem 24 października r. 1836, życząc dobrej nocy niczego się nie domyślającej, a przecież serdecznie przez syna miłowanej matce, przestrzegł ją Ludwik-Napoleon, najmniejszego nie zdradzając wzruszenia, że nazajutrz, o świcie, wyjeżdża w sąsiedztwo, na kilkodniowe polowanie. Ponieważ się to często w jesieni zdarzało, młody książę był bowiem zapalonym myśliwym, zapowiedziany wyjazd syna ani matki nie zadziwił, ani nie zaniepokoił. Tymczasem, nazajutrz, Ludwik-Napoleon, wraz z współnikami swymi, dążył w stronę Strassburga.

VII.

Jeżeli bratanek cesarza Napoleona uważał się za człowieka „opatrnościowego“, to wyznać trzeba, że Opatrzność wobec postępowania przyszłego swego wybrańca pod dziwną występowała postacią. Cała, znana dziś we wszystkich szczegółach strassburska awantura, była tak płochym, tak szalonym czynem, że gdyby Ludwik-Napoleon był miał wtedy lat piętnaście, a nie dwadzieścia-ośm, byłaby francuzka publiczność, śmiejąc się, podziwiała śmiałość i fantazyę książęcego smarkacza. Na dorosłego, i w dodatku intelligentnego „pretendenta“, opinia, tak w kraju jak i za granicą, inaczej zapatrywać się miała. Bo istotnie, wyglądało to na dzieło waryata, takie młodego Bonapartego z kilkoma zaledwie współnikami bieganie po ulicach miasta i rozsiewanie po drodze proklamacyj do francuzkiego narodu zaledwo wiedzącym o jego istnieniu ludziom. A najmniej szalone było tych kilku spiskowców przekonanie, że na pierwszy okrzyk Ludwika-Napoleona, cały kraj, jak jeden mąż przy nim stanie, ogłaszając go *stante pede* oswo-

bodzicielem narodu. Gdy się człowiek zastanowi nad tem, że takie mając na sumieniu nietylko zbrodnicze, ale poprostu głupie czyny, mógł Ludwik-Napoleon, w kilkanaście lat później, obranym być *siedmioma milionami* głosów władczą Francji, że się na tronie nietylko lat dwadzieścia utrzymał, ale jeszcze i wobec Europy pierwszorzędną odegrał rolę, doznaje się mimowoli wrażenia, że wszystkie, każdemu z nas za lat młodych wszczepiane zasady logiki i rozsądku, pustemi są frazesami.

Cała strassburska awantura, mająca, w przekonaniu sprzysiężonych, świat europejski do góry nogami przewrócić, ani trzech godzin nie trwała. Ludwika-Napoleona, oraz jego współników, z wyjątkiem pana de Persigny, który naczas zdołał ujsć, policya uwięziła. Król Ludwik Filip okazał się jednak wspaniałomyślnym, i zamiast pod trzy klucze szalonego młodzieńca zamknąć, kazał go pod dobrą eskortą do portowego miasta Lorient przewieść, a ztamtąd, na rządowym statku, zaopatrzwszy go w fundusze, „najdłuższą drogą“ w New-Yorku odstawić. Nie żądano nawet od niego z obowiązania, że do Europy nie wróci, wiedząc, że albo przyrzeczenia takiego odmówi, albo, dawszy je, słowa nie dotrzyma. Guizot w *Pamiętnikach* swoich w następujący sposób ocenia to postępowanie króla: „Względy, należące się pamięci takiego, jakim był Napoleon, człowieka, nie schodzą wraz z nim do grobu i król obszedł się z jego bratankiem, jakby z panującego był rodu“. W rodzinie Napoleońskiej natomiast, wieść o strassburskim wybryku i tegoż rezultacie, wywołała jeden okrzyk oburzenia, bólu i zgrozy. Ojciec na syna, na bratanka stryjowie, najsroźsze ciskali klątwy; ex-król Hieronim głośno Bogu dzięki składał, że mógł naczas zerwać związek córki swej Matyldy z tym „waryatem“. Nie przewidywał wówczas, że związkiem tym byłyby córce cesarską zapewnił koronę. Ale bo któż mógł wtedy, wobec szaleństwa Ludwika-Napoleona, takie fantastyczne, nieprawdopodobne stawiać horoskopy! Jedna tylko matka, choć lekomyślne postępowanie syna potępia, przed zagniewaną broni go rodziną. Na listy zaś biednego wygnańca — w których ją w najgorętszych wyrazach zaklina, aby w jaki bądź sposób w pomoc przyszła tym, którzy się dla niego skompromito-

wali i za niego cierpią, co mu strasznie na sercu ciąży — pocziwa matka odpisuje, że lada dzień z więzienia uwolnieni będą i że się dalszym losem ich zajmie, czego też dotrzymała, nietylko dopomagając im za życia, ale jeszcze i o nich w testamencie pamiętając.

Prócz nieznaczej, niemal liliputowej garstki zwolenników bonapartyzmu, nikt we Francji nie śmiał wtedy wziąć w obronę Ludwika-Napoleona. Postępowanie jego potępiali wszyscy, wielu wyśmiewało się z niego, że się z „motyką porwał na słońce“. Nawet, tak dotąd życzliwy dla niego rząd szwajcarski, zaczął na tęsamą śpiewać nutę, za co się w kilkanaście lat później Napoleon III bardzo dowcipnie zemścił na osobie przedstawiciela rzeczypospolitej szwajcarskiej, p. Huber-Saladin. Gdy tenże, w czasie wielkich rewij w Chalons, czolobitność cesarzowi składał, odrzekł mu tenże, uprzejmym uśmiechem srogość przycinku łagodząc: „Przyznaj pan, że gdyby nie w Strassburgu i Boulogne popełnione szaleństwa, nie siedziałbyś obecnie obok cesarza Francuzów!“

Po kilkumiesięcznym pobycie w Ameryce — gdzie spotkał się ze stryjem Józefem, byłym królem hiszpańskim i młodymi kuzynami, księżętami Murat — odebrawszy wiadomość, że matka ciężko na zdrowiu zapadła, Ludwik-Napoleon, jak piskorz prześliznąwszy się przez strzegących go policyjnych agentów, szczęśliwie dotarł do Arenenberg, na kilka dni przed zgonem królowej Hortensyi. A było to dla obojga wielką w nieszczęściu pociechą. Wraz z błogosławieństwem, cenną odebrał wtedy od matki pamiątkę, z którą się już nigdy potem nie rozłączał, uważając ją za rodzaj talizmanu: był to, z trumny Karola Wielkiego wydobyty, mały złoty relikwiarz, zawierający odłamek z drzewa Krzyża św. Nosił go zawsze przy sobie Napoleon I, mając go za widome nad sobą świadectwo opieki Boskiej. Odebrawszy go od odjeżdżającego na dożywotnie wygnanie męża, cesarzowa Józefina zapisała go córce. Drugą, niemniej dla stroskanego syna cenną pamiątką, był długi list matki, pisany w obawie, aby się powrotu jedynaka nie doczekała, list pełen dobrych rad i serdecznej macierzyńskiej miłości. Pismo to matki, wraz z relikwiarzem Karola Wielkiego i niemniej „wielkiego“ Napoleonanosił Napoleon III zawsze przy sobie.

Jakąkolwiek nadajemy przyszłości nazwę: przeznaczenia, zrządzenia woli Opatrzności, czy pogańskiego, fatum, niezaprzeczenie tkwi w nazwach tych jakaś tajemnicza siła, której się nikt oprzeć nie zdoła. Jedni, rękę Bożą we wszystkim uznając, z poddaniem pną się po stromej zwykle ścieżce życia; drudzy, gdy im się odrazu nie wiedzie, rozpaczliwego dają w przyszłość nurka, powtarzając, „że to w gwiazdach zapisane było“. I takiego to właśnie, bezmyślną awanturą w Strassburgu chwilowo zrażony, dał Ludwik - Napoleon po śmierci matki „nurka“. Dzięki nadspodziewanej łaskawości króla Ludwika Filipa, poszła mu tym razem owa sprawa jeszcze płazem. Inaczej wszakże stać się miało z równie bezmyślną, ale o wiele kary godniejszą, bo z życiem ludzkim igrającą wyprawą do Boulogne. W Strassburgu, cały melodramat odegrał się w ciągu trzech godzin. W Boulogne, dwie ich starczyło (od 6ej do 8ej z rana), by życia pozbawić dwóch współników pretendenta: pułkownika Voisin i kapitana Dunina, Polaka (*le Capitaine d'Hunin*, jak go francuzkie pisma nazwały), dwóch innych na ciężkie narazić rany, a samego Ludwika-Napoleona, który rzuciwszy się w morze, wpływ dostać się chciał do czekającej nań łodzi, jak rybę z wody przez rybaków wyciągniętego, okryć śmiešnością i na kilka lat do więzienia wtrącić.

Przeczytawszy następującej osnowy depeszę prefekta z Boulogne: „Księżę Ludwik-Napoleon uwięziony, pod dobrą jest strażą. Zachowanie się ludności, gwardyi narodowej i wojska było nienaganne“ — Ludwik-Filip rzekł do prezydenta ministrów: „Dziwne też to dzieją się na świecie rzeczy! W czasie właśnie gdy dwóch synów panującego we Francyi monarchy i dwie francuzkie fregaty płyną po falach oceanu, by z wyspy św. Heleny przewieść do kraju zwłoki cesarza Napoleona, tegoż cesarza szalony bratanek, pod kulami gwardyi narodowej, zaledwo z życiem uchodzi!“ W nocy z 12 na 13 sierpnia 1840 r. więźnia pod silną eskortą przewieziono do Paryża, gdzie mu przyszło być sądzonym przez członków Izby panów. Z ówczesnych we Francyi mężów stanu niejeden był zdania, że poddając Ludwika-Napoleona pod jurysdykcyę najwyższego w kraju ciała, całej sprawie zbytnią nadaje się wagę. Rząd wszakże, doświadczeniem nau-

czony, „dmuchał na zimne“, nie chcąc się po raz wtóry narażać na to, aby sąd przysięgłych w Paryżu — tak jak się to w Strassburgu stało — większością głosów spiskowca uniewinnił. Ludwik-Napoleon obrał sobie był za obrońcę, słynnego z wymowy i z zacności adwokata, *maitre Berryer*. Spiskującego bratanka Napoleona bronić zatem miał zapalony legitymista, tak jak sądzić go mieli generałowie i marszałkowie, którzy, za powrotem cesarza z Elby, z uniesieniem chwycili za broń, by z „uzurpatorem“ znów na pole bitwy podażyć! Szkoda wielka, że nie wiemy, jakie było ich wrażenie, gdy syn króla hollenderskiego i uroczej jego żony, której pamięć w ich sercach jeszcze tliła, ukazawszy się na ławie oskarżonych, mając na sobie wielką wstęgę Legii Honorowej, w następujących przemówił słowach: „Panowie! Po raz pierwszy w życiu przychodzi mi odezwać się we Francji i do Francuzów przemawiać. Wbrew zarzuconym mi co dopiero przewinieniom, wbrew otaczającej mnie straży, wśród murów tych, pełnych wspomnień lat moich dziecińczych, wśród was, panowie, których z lat tych znam niemal wszystkich, trudno uwierzyć mi przyjdzie, abym się uniewinniać musiał, ani abyście mnie sądzić mieli. Uroczysta nadeszła dla mnie chwila, w której współziomkom wyjawić mogę moje myśli i moje zamiary, oraz, czego pragnę i czego chcę“. Dość długą polityczną mowę tę zakończył, usilnie prosząc, aby jedynie on był odpowiedzialny za zarzucone mu winy, współnicy jego bowiem do rzeczywistych jego zamiarów wtajemniczeni nawet nie byli, poczem dodał jeszcze: „Przedstawiam ja zasadę, sprawę i porażkę: *zasada* — to wszechwładztwo ludu, *sprawa* — powrót cesarstwa, *porażka* — to klęska pod Waterloo. Niemal wszyscy obecni tu panowie uznaliście zasadę, służyli sprawie, a porażkę powetować pragniecie“. Prokurator królewski, powyższy fajerkwerk przerwał: „Na podjęcie austerlitzkiego pałasza wydają mi się to zbyt słabe dłonie. Co się zaś tyczy samego cesarza, to sława jego o wiele więcej należy do Francji, niż do jego bratanka“. Nastąpiła świetna jak zawsze obrona Berryera, lecz prawdę powiedziawszy, zacięty ten wróg lipcowej monarchii, korzystając z nadarzonej sposobności, więcej się zajął ostrem krytykowaniem ówczesnego rządu, niż unie-

winnieniem książęcego klienta. Taksamo sobie postąpił obrońca współników Ludwika-Napoleona, późniejszy członek Rządu obrony narodowej, Juliusz Favre, wszystkie przez pod sądnych popełnione winy składając na karb króla i jego ministrów. Nad adwokatem górę brat, u Berryera legitymista, republikanin u Juliusza Favre.

Już 6 października zapadł wyrok parów, skazujący Ludwika-Napoleona Bonaparte na dożywotnie więzienie w fortecy, współników jego zaś — tym razem *inclusive* pana de Persigny — na dziesięć do dwudziestu lat zamknięcia gdzieś na prowincyi. W dniu, w którym wyrok zapadł, książęcy skazaniec wysłał do Berryera list następującej treści: „Niewiem, jaki mnie w przyszłości czeka los; niewiem, czy będę kiedykolwiek w możności okazania panu mojej wdzięczności; niewiem nawet, czy pan tej mojej wdzięczności dowody przyjąć zchcesz; ale co wiem, to że jakiegokolwiek będą, po za obrębem polityki, obopólne nasze zapatrywania, pozostanie nam zawsze wzajemny szacunek i wzajemne poszanowanie. Jeżeli mnie proces ten pańską przyjaźnią obdarzy, za korzystny dla siebie uważać go będę, na los mój nie wyrzekając“.

Zaraz następnego dnia, 7 października wywieziony został Ludwik-Napoleon do fortecy Ham, gdzie się rozpoczęło wrzekomo „dożywotnie“ dla niego więzienie. W chwili, gdy z przerażającym zgrzytem zamykały się ciężkie bramy kaźni za tym, który uważał się za prawowitego następcę cesarza Napoleona, rzekł on do więziennego dozorcę słowa, mającć kiedyś po całej Francyi kursować: „Powtarzano często, że słowo *impossible* nie jest francuzkiem; taksamo rzecz się ma, bądź pan pewnym, i ze słowem *perpétuel*“. Słuszność powyższego zdania przyszłość świetnie stwierdzić miała.

A. M. L.

(Ciąg dalszy nastąpi).

GERHART HAUPTMANN

jako pisarz dramatyczny.

(Ciąg dalszy).

VIII.

Floryan Geyer.

(*Florian Geyer*. Dritte Auflage. Berlin. S. Fischer. Verlag. 1896).

Autorowie monografij popełniają często ten błąd, że wczytawszy się w pewnego pisarza, rozpatrując z szczególnem upodobaniem jego dzieła, powoli coraz bardziej się do nich zapalają, tak, że wzrok ich widzi tylko same w nich zalety—rzeczywiste czy urojone—a niezdolnym jest dostrzedz ich wad. Niewątpliwie takie rozkochanie się zbyt znaczne w przedmiocie swych studyów jest szkodliwem, bo ogranicza swobodę sądu, będącą pierwszym warunkiem dobrego krytyka, z drugiej strony błąd ten, choć niemniej jest błędem, jest i bardzo ludzkim i bardzo łatwo da się wytłómaczyć, czasem zaś jest nawet szanownym. Choćby się nie wiem jak pragnęło zachować zimną bezstronność, chłodny krytycyzm, zawsze przecież między estetykiem czy historykiem literatury a tym pisarzem przez niego rozpatrywanym, rozwija się jakiś serdeczniejszy związek, który nieraz zwyciężko walczy z bezwzględnyim obiektywizmem. Mimoto, że błędu takiego ani zbyt surowo nie potępiamy, ani nie uwa-

zamy za objaw stronniczości nagannej, mimoto sądzimy, że sami jesteśmy od niego wolni. Rozczytując się w Hauptmannie, zamyślając się nad jego dramatycznymi utworami, czy otwarte dzieląc się wrażeniami z ogółem, chcemy oczywiście mieć na ich piękności i zalety, równocześnie jednak staramy się dostrzedz w nich i tych wad, niebezpieczeństw i zdrożności, jakie w powierzchownym sądzie o dramatach niemieckiego poety zazwyczaj albo są zbyt słabo uwydatniane, albo nawet zupełnie pomijane.

A jednak choć zawsze sądzimy surowo dzieła Hauptmanna, niepodobna nie wyrazić podziwu, nie zdumieć się wobec faktu, że talent tego poety wydaje dzieła coraz to nowe, że pozostając na dnie tym samym, zawsze objawia się na zewnątrz w kształtach corazto innych, odmiennych. Jeżeli są i w Hauptmannie dostrzegalne ślady maniery, naśladowania i powtarzania siebie samego w pewnych szczegółach, w ulubionych postaciach i sytuacjach, jeżeli pierwiastki duszy poety pozostają te same, choć ich wzajemny stosunek się zmienia, to natomiast nie ma może drugiego pisarza nowożytnego, w którymby była taka rozmaitość i form i nastroju dramatów, jak w Hauptmannie. Cecha ta mniej widoczna w pierwszych jego początkach, występuje najdobitniej w tej epoce jego życia, której owoce rozpatrywały ostatnie rozdziały i niniejszy. Po silnie ześrodkowanym, akademiecznie chłodnym, a zarazem elegijnym dramacie Jana Vockerata i Anny Mahr, gwałtowny, pełen grozy, brutalnych efektów obraz zemsty robotników na fabrykantach; po dziwnej mieszaniu ironii i serdeczności w opowieści o losach zmarnowanego malarza i jego córki, szary, bezduszny, zjadliwie satyryczny obraz urzędowania naczelnika policyi, a potem nagle fantastyczny, mistyczny, w cudną szatę poezji przyodziany sen biednej sieroty — po *Samotnych ludziach*, *Tkacze*, po *Koledze Cramptonie*, *Futro bobrowe*, a potem *Hansia* — to następstwo utworów tak odmiennych jest zjawiskiem zadziwiającem i bądź co bądź dowodzącem żywotności tego talentu, który rwie się do coraz to nowego życia i długo nie może płynąć jednym i tem samem korytem, jakie albo sam sobie wyźłobił, albo od innych przejął. Podziw zaś wzrasta, gdy się jest świadkiem faktu, jak w niecałe dwa lata po

Hanusi, gdy ten poemat jeszcze zdobywał sobie jedną scenę po drugiej, Hauptmann wystąpił (w r. 1896) z dramatem p. t. *Florian Geyer*. Niemal wszystkie dotychczasowe sztuki niemieckiego pisarza rozgrywały się w terażniejszości, wśród ludzi i otoczenia współczesnego i autorowi i widzom. Wprawdzie *Tkacze* byli, a raczej mieli być *ein Schauspiel aus den vierziger Jahren*, lecz okazało się, jak ta przeszłość ich, historyczność, była pozorną tylko; wprawdzie „złodziejska komedia“ odbywała się na tle pamiętnych walk o septennat, lecz przekonało się, jak luźnym jest związek pomiędzy dramatem, jego treścią, a dziejowemi wypadkami, z których ona miała wypływać; dopiero *Floryan Geyer* jest dramatem szczerze i istotnie historycznym, opartym o historyczne postacie i historyczne zdarzenia. Nowość to u Hauptmanna, tem ciekawsza, że sztuka osnuta na tle wojny chłopskiej, z r. 1525, powstała bezpośrednio po przedstawieniu „drogi do nieba“ nieszczęśliwej *Hanusi*. I znowu, jak z początkiem poprzedniego rozdziału, staje się wobec tajemnicy niezbadanej: jak tam niepodobna było wyjaśnić, czemu *Hannele* ukazało się po *Biberpelz*, po sztuce tak krańcowo różnej, tak i teraz nikt nie odpowie na pytanie, czemu po fantastycznej *Hanusi* powstaje historyczny *Floryan Geyer*. Sprzeczność obu ostatnich dramatów jest ogromna, aczkolwiek dalsze uwagi wykażą związek *Geyera* z poprzedniemi dziełami.

Czy jestto jedynie dziełem przypadku, że niemal wszystkie arcydzieła poezji dramatycznej korzeniami swojemi mniej lub więcej głęboko tkwią w gruncie historii? Od Sofoklesa aż do romantyków XIX stulecia historia, stwierdzona naukowo lub żyjąca jako mýt, dostarczała poetom treści do najwspanialszych dramatów i po wszystkie czasy, zwłaszcza w klasycznych epokach jakiej literatury, tragedia historyczna była uważaną za szczyt i koronę wszelkiej poezji. Greckie tragedye czerpiące pełną ręką ze źródła historycznych mýtów, rzymskie ich naśladowania i nieudolne próby przerabiania rodzinnych dziejów, średniowieczne pobożne misterya przedstawiające Mękę Pańską, Szekspira angielskie „historye“ i francuskich pseudo-klassyków historyczne tragedye, cały niemal dramat niemiecki XVIII w. z Schillerem na czele, jego epigoni — słowem cały

dramat starożytny i nowoczesny niemal, aż do połowy bieżącego stulecia, dowodzi, jak silnem było pragnienie tworzenia i posiadania historycznego dramatu, jak urodzajną jest ta gleba i jak wspaniałe zdolną jest zrodzić owoce. A gdy spojrzymy na naszą własną literaturę, to nazwiska Niemcewiczów, Felińskich, Wężyków, Słowackich, Szujskich, Asnyków, i mnóstwo innych świadczą głośno o potędze tego popędu, choć niestety zwykle słabiej okazują jego zaspokojenie. Dopiero w drugiej połowie naszego wieku, równocześnie z upadkiem wielkiej poezji w ogólności, milknie i tragedia historyczna i tylko niekiedy odzywa się spóźnionem echem (w Niemczech n. p. u Ernesta Wildenbrucha).

Czemu należy przypisać tę wyższość historycznego dramatu nad innym, skąd się bierze u poetów popęd do jego tworzenia, a u całych narodów duma z posiadania go (jak n. p. u Niemców) lub ubolewanie tęskne nad jego brakiem (jak n. p. u nas)? Niewątpliwie i pod marną lepianką wieśniaka cicho na roli pracującego, i w współczesnem życiu mieszczańskiej rodziny zdarzają się dramaty, równie piękne, równie przejmujące i wzruszające jak te, o których baje podanie lub opowiadają historyczne kroniki. A jednak przecież pisarz, który za tło używa znanych powszechnie minionych dziejowych wypadków i stosunków, który do dramatu wprowadza osobistości historyczne, ten pisarz już samym wyborem tematu przychodzi do posiadania korzyści, jakie są niedostępne dla autora, szukającego motywów w współczesnem życiu. Zajmuje i jest dramatyczną miłość dwojga kochanków, nie mogących się połączyć, lecz żywiej jeszcze przemówi do serca, gdy tą parą kochanków będzie córka Wallensteina i syn jego generała, cesarzowi oddanego; zajmuje i jest dramatycznym młodzieniec zrazu lekkomyślny, hulaszczy, lecz w miarę lat dojrzewający na statecznego, godnego mężczyznę, lecz stokroć żywiej przemówi do duszy, gdy nim będzie książę, dziedzic angielskiej korony; do ogólnie ludzkiego współczucia przyłącza się tu przekonanie o dziejowej ważności danej osoby lub sytuacji. Równocześnie zaś widz wobec tych znanych sobie choć potrochu postaci, zdolnym jest większej, żywszej sympatii, bo wie już o nich to i owo, bo nie jest mu obcym ich charakter i ich los. Autor zaś

zyskuje ogromnie przez to, że patrząc na te postacie z „idealnego oddalenia“, jeżeli jest prawdziwym poetą, sercem jest im niemniej bliskim, a zarazem podnosi i siebie i swe dzieło do wyżyn prawdziwej sztuki, dokąd nie sięgają tumany pyłu i wrzawa codziennego życia.

Δ jednak obok tych korzyści, wiele niebezpieczeństw grozi pisarzowi dramatycznemu, czerpiącemu z minionych dziejów ludzkości, i dla tych to niebezpieczeństw, widząc trudność, prawie niemożność ich uniknięcia, niektórzy estetycy i krytycy wydali na dramat historyczny wyrok potępienia. Dramat historyczny: w samej tej nazwie tkwi już zapowiedź pewnej dwoistości, którą wyrównać, usunąć ma geniusz poety. Równocześnie zachować wiernie dziejową prawdę, oddać charakter epoki, odczuć jej ducha i przelać go w piersi widza — a z drugiej strony pozostać poetą, spełnić warunki sztuki w ogólności, a dramatu w szczególności — oto zadanie, którego musi się podjąć autor dziejowego dramatu. Nie fałszować historii, a nie być historykiem, lecz poetą — oto najtrudniejszy problem, któremu nawet wielki Szekspir niezawsze podolał. Potrzeba wiele zmysłu artystycznego i wiele szczęśliwego instynktu, aby trafnie zaznaczyć granice tak wierności historycznej, jak i swobodzie poetyckiej, jak również jedynie prawdziwie genialny, lub bardzo zręczny pisarz, zdoła właściwą fabułę dramatu tak powiązać, zjednoczyć, wpleść w dziejowe tło, aby powstała harmonijna, jednolita, artystycznie piękna całość.

Przypomniawszy tak pokrótce korzyści i trudności historycznego dramatu, można przystąpić do rozbioru najnowszego dramatu Hauptmanna. Jak wskazuje jego tytuł, bohaterem sztuki jest Floryan Geyer. Postać ta nie jest dziełem twórczej wyobraźni poety, przeciwnie, Floryan Geyer von Geiersberg, to jedna z najwybitniejszych figur z wojny chłopskiej, szerzącej się w Niemczech w r. 1525. Nie wdając się w naukowo-historyczne rozstrząsania, należy nam przeciwieście choć w kilku słowach przedstawić przyczyny powstania, przebieg i ważność tej burzy społeczno-politycznej, jaka srożyła się w ojczyźnie Lutra w zaraniu nowych wieków. Ruch wybuchnął wskutek po części usprawiedliwionego, po części nieuzasadnionego niezadowolenia chłopów niemieckich, skarżących się na ucisk ze strony panów i duchowieństwa; ten ferment, podsycany

i ośmielany współczesnymi wypadkami religijnymi, musiał prędzej czy później wybuchnąć gwałtownym płomieniem. Pseudo-reformacja Lutra, głosząc „ewangelicką wolność“, musiała rozluźnić i tak już nadwątlone węzły społecznej hierarchii, a jeżeli jeszcze w XV wieku sporadycznie przychodziło do buntów i zaburzeń, to dopiero przy końcu pierwszej ćwierci następnego stulecia pożar ogarnął z niesłychaną szybkością niemal całe górne i środkowe Niemcy. Wtedy też powstało tych „dwanaście artykułów“ zawierających program chłopski, a w nim zupełną samowolę, od swobodnego wyboru proboszcza przez gminy, aż do zupełnego zniesienia wszelkich ograniczeń polowania—program absolutnej anarchii. Groźny już i tak dla porządku społecznego ruch, stał się jeszcze zgubniejszym wskutek rozbicia się na kilka samodzielnych band chłopskich, solidarnych jedynie w barbarzyńskim, wściekłym niszczeniu, plądrowaniu i mordowaniu. Metzler, Hippeler, Rohrbach, Geyer, oto naczelnicy tych band, z elementarną siłą rozkiełznanych namiętności przeciągających przez kraj i znaczących swą drogę pożogą i krwią; dopiero później tłum chłopów jednoczy się na krótko pod kierownictwem Götza von Berlichingen. Szlachta i miasta zrazu ogłuszone i przerażone straszliwym wybuchem, a przez to bezradne i bezsilne, powoli przychodzą do przytomności; organizuje się obrona, sam Luter oburzony na szalony fanatyzm Tomasza Münzera rzuca gromy na chłopów, książe łączy się i wspólnie chwytają za broń. Jeszcze w tym samym roku zgnieciono bunt, bez litości karząc zwyciężonych ¹⁾).

Łatwo zrozumieć, że wojna chłopska zdolną jest zająć uwagę tak fachowego historyka, jak i wogóle każdego wykształconego człowieka. Społeczny jej grunt, gwałtowny konflikt klasowy, powstały z pobudek przeważnie ekonomicznych z domieszką religijnych i politycznych, wreszcie dramatyczny przebieg walki, musi przemówić do duszy człowieka, szczególnie w czasach, które same widzą przed sobą podobne, choć mniej ostre przeciwieństwa klasowe. To też

¹⁾ Por. Rankego *Deutsche Geschichte im Zeitalter der Reformation* 2 wyd. Berlin 1842, t. II, str. 184 i n. Por. też tendencyjną rozprawę socjalisty Bebla. (P. a.)

jeżeli historycy wojnie z r. 1525 poświęcili wiele uwagi i badań, to niemniej ten bunt chłopski dostarczył motywów wielu powieściopisarzom i autorom dramatycznym niemieckim, między którymi jaśnieje Goethe ze swym nieśmiertelnym *Götzem*. Jak chętnie sięgano do tych czasów, dowodzi tego i ta okoliczność, że sama osoba Floryana Geyera, jednego z przywódców ruchu, kilkakrotnie przedstawiana była w powieści i dramacie ¹⁾; w r. 1896 przybyła do tych utworów sztuka Hauptmanna.

Łatwo wyjaśnić, czem ten temat przynęcił poetę do siebie. Jak młody Goethe palił się do postaci „rycerza o żelaznej ręce“, w walce, jaką on staczał, widział wcielenie swych własnych ideałów, pragnienia wolności, męskiej siły, narodowego ducha — tak i Hauptmann, autor *Tkaczów*, nie mógł pozostać obojętnym wobec obrazów wojny chłopskiej z r. 1525. Wszak te gwałtowne konflikty klasowe mają tyle podobieństwa do współczesnych ruchów socyalnych, wszak ci niemieccy chłopi, powstający przeciw ciemniącym ich „panom“ i duchowieństwu, tak są pokrewni usposobieniem, położeniem, celami, sposobem postępowania, masom robotników, narzekających na wyzysk fabrykantów, mszczących się potem za niego. Tak więc *Floryan Geyer*, jeżeli jest pierwszym dramatem rzetelnie historycznym, to jest tylko jednym z ogniw tego łańcucha społecznej myśli, jaki wiąże z sobą niemal wszystkie dotychczasowe dzieła Hauptmanna.

Pojmując całkowicie pobudki, jakimi się autor w wyborze tematu kierował, musi się mimoto wyrazić zdziwienie, że nie dał się odstraszyć licznym a bardzo przykrym przeszkodom i trudnościami. Już powyżej była mowa, jakie szkopyły musi ominąć poeta, jeżeli chce stworzyć dobry dramat historyczny. Hauptmann, jako autor *Floryana Geyera*, ma do

¹⁾ Wymieniamy: Robert Heller (1812—1871) *Florian Geyer*, powieść w 3 t. Lipsk 1848. K. A. W. Genast (1822—1887) *F. G.*, tragedia, Weimar 1857. Karol Koberstein (syn znanego historyka literatury, urodz. r. 1836 dotąd żyjący w Berlinie) *F. G.*, tragedia, Drezno 1863. F. G. Fischer, znany szwabski poeta: *Florian Geyer, der Volksheld im deutschen Bauernkrieg*, Stuttgart 1866; i inni. (P. a).

walczenia i z temi ogólnemi i z innemi, bardziej szczegółowemi, leżącemi tak w nim samym, jak i w naturze przedmiotu. Dzisiejszy kierunek piśmiennictwa, a zwłaszcza realistycznej literatury dramatycznej, tworzeniu dramatów historycznych nie sprzyja bynajmniej, raczej je utrudnia, bo naprzód ma tylko zdolność drobnych, powszednich jedynie, choć nieraz bardzo dramatycznych motywów, powtórę zaś realistyczną wiernością szczegółów, drobiazgową obserwacją krępuje poetę, który wymagania prawdy historycznej ma pogodzić z swobodną, twórczą istotą sztuki. Hauptmann jest nawskróś współczesnym realistą i dlatego z obawą widzi się go stąpającego po tym niezwykłym gruncie. Trudności się zwiększają, gdy tym dramatem historycznym ma być utwór, osnuty na tle wojny chłopskiej. Już *Tkacze* wykazywały niejednokrotnie anti-dramatyczny charakter, w przedstawieniu całych mas robotników; wypadki r. 1525 są również dziełem tłumów, z trudnością dających się ująć w ścisłe karby dramatu, są wybuchem elementarnym rozkiełzanych mas, wśród których mało jest indywidualności wybitnych. Wprawdzie już zewnętrznie zachodzi zasadnicza różnica pomiędzy *Tkaczami* i *Floryanem Geyerem*: tam w tytule wyraz zbiorowy, tu nazwisko jednostki wskazujące na bardziej indywidualistyczną naturę dramatu—mimoto obawy czytelnika wzrastają, zwłaszcza, gdy potęguje je jeszcze jedna okoliczność. Sztuki osnute na tle losów i działania Geyera, są dziś zapomniane i nikt nie zechce z niemi zestawiać dzieła Hauptmanna, lecz wszak żyje dotąd, jest w pamięci i wyobraźni czytelników, gra się na wielu scenach *Götz von Berlichingen* Goethego, dramat w drugiej części zbudowany na tych samych dziejowych podstawach, z bohaterem występującym i u Hauptmanna. Porównanie narzuca się samo, ba, sam autor wyzywa je, bo w *Geyerze* występuje Götz, ale w odmiennem oświetleniu i ocenieniu niż u Goethego. Zaprawdę, śmiałym, pewnym siebie, niemal zuchwałym musi być poeta, współzawodniczący jawnie i rozmyślnie z wielkim twórcą *Götza*.

Pobieżny rzut oka na gruby tom książkowego wydania dramatu, zapewne w nikiu powyżej zaznaczonych obaw nie uciszy. Widocznie autor ma olbrzymi materiał, kiedy nie

zadawalniając się pięcioma długimi aktami, poprzedza je prologiem, zatytułowanym *Vorspiel*. Takie prologi wydarzają się przy historycznych dramatach bardzo często; wystarcza przypomnieć *Wallensteins Lager*. Praktyk teatralny wita je zawsze z niedowierzaniem, bo wie, jak niebezpiecznym, nawet szkodliwym nieraz jest przekroczenie zwykłej liczby aktów tragedyi. Krytyk literacki jest jeszcze bardziej poderzliwym, zwłaszcza wobec współczesnych autorów, którzy i tak przyzwyczajwszy wzrok do żmudnej drobiazgowej obserwacyi, mało posiadają zdolności ogarnięcia i opanowania szerszej przestrzeni wypadków i lat. Równie niemiłym jest umieszczenie przed prologiem i przed każdym aktem osobnego spisu osób. To drobnostka, niegodna wzmianki? Tak, ale czytelnik przypomina sobie, że coś podobnego było i w *Tkaczach*, a tam za tą zewnętrzną odznaką poszedł i wewnętrzny charakter sztuki, rozdzielonej na pięć osobnych obrazów. Czyżby i tu tak miało być, z wielką szkodą dla ogólnej wartości dramatu?

Prolog rozgrywa się na zamku Unserer Frauen Berg pod Würzburgiem, siedzibie udzielnego biskupa. W izbie zapełnionej rycerzami stoi pisarz miejski Gilgenessig i odczytuje owych „dwanaście artykułów“ z żądaniem chłopów. Przysłał je Götz von Berlichingen. Szlachta słucha ich, ogromna jej większość drwi sobie z chłopów, jeden tylko Wolf von Haenstein usprawiedliwia je i tłumaczy. Wywołuje to oczywiście żywą dyskusję, wśród której rycerze piętnują jako podłych zdrajców tych ze szlachty, którzy przeszli na stronę chłopskiego motłochu, jak Götz lub hrabia Wilhelm von Henneberg. I tu w sprzeczności z ogółem staje Wolf von Haenstein i jego zdaniem prosta szlachta nie powinna teraz bronić duchowieństwa, bo ona sama wiele od niego wycierpiała. Prawda, chłopci pod Weinsberg dopuszczali się pod wodzą Geyera czynów oburzających, okrutnych, nieludzkich, ale to była tylko słuszna zemsta za krwawe postęпки szlachty w Wurzach. Poglądy Wolfa gniewają innych, a Hans von Lichtenstein grozi chłopom straszliwym odwetem, wtórują mu zaś inni, karcąc i wyśmiewając lenistwo, zbytek i butę chłopów. Izba ożywia się, gdy Lorenz von Hutten wpada niemal bez tchu i donosi, że całe tłumy uzbrojonych chłopów

ciągną pod Würzburg i odgrają się, że nie przebaczą nawet dzieciom w łonach matek, jeżeli biskup im nie odda zamku. Położenie jest groźne, odstępców coraz więcej, pomoc spodziewana zawodzi; co tu począć? poddać się, czy nie? Jedni ufają w siłę murów twierdzy, które zwycięzko oprą się natarciu bandy Geyera, nie chcą słyszeć o opuszczeniu biskupa w tak ciężkiej chwili. Lecz Wolf von Hanstein przywodzi na pamięć „wielkiego Ulryka von Hutten, który przez całe życie walczył przeciw klechom“ i budził z uspienia „szlachetną niemiecką wolność“; póki żył, byli oni wszyscy z nim razem, czyż teraz, gdy go już zabrakło, mają się zaprzeć jego ideałów? Na to dowodzą mu rycerze, że Hutten, gdyby dziś żył, stałby właśnie po ich stronie: wszak tu nikt nie myśli o ujarzmieniu wolności, o stłumieniu reformacyi, tu chodzi o postawienie tamy „szaleństwu i wściekłości, która wszystko obala, miazdzy i pustoszy, krwawy pot ubogich, domy bogatych, zamki, kościoły, skarby sztuki i wiedzy“. Wrzawa ucisza się dopiero za wejściem do izby biskupa Konrada, którego za chwilę witają rycerze gromkim okrzykiem.

Pierwsza część prologu zbudowaną jest doskonale i jest szczerze dramatyczną. Czytelnik wprowadzony odrazu *in medias res*, widzi przed sobą oczyma duszy bunt chłopski wysoko już rozwinięty, poznaje jego cele a przez to poniekąd i jego przyczyny, dowiaduje się o postępowaniu tych tłumów, równocześnie zaś zaznajamia się bezpośrednio z drugą stroną walczącą, ze szlachtą. Tu zaś poeta zdołał plastycznie i z wielką wyrazistością wyodrębnić z całego stanu poszczególne typy, wprowadzając je w silny kontrast. Wolf von Hanstein po jednej stronie, Hans von Lichtenstein, Lorenz von Hutten, Sebastian von Rotenhahn z drugiej strony, to postacie żywe, indywidualne, charakteryzujące się środkami wyłącznie dramatycznymi. O głównym bohaterze sztuki, o Floryanie Geyerze słyszy się dużo, lecz się go jeszcze nie widzi działającego; w dalszym przebiegu dramatu byłoby to nagannem, tu w prologu jest zupełnie dopuszczalnem.

Biskup Konrad wstępuje na tron i stojąc przemawia do zgromadzonych. Przedstawia swe oplakane położenie, przypomina nieudane próby uspokojenia chłopów, skarży się

na zawód w poszukiwaniu pomocy, na dzikość hordy Geyera, wreszcie oświadcza, że choć mu smutno opuścić ten jedyny zamek, który mu dziś jeszcze pozostał, musi ztąd wyjechać, aby prosić o poparcie palatyna Ludwika albo też Związek Szwabski; odjeżdża, lecz zawsze o swem rycerstwie, o jego wybawieniu z niedoli pamiętać będzie. Imieniem szlachty przemawia w długich słowach Sebastyan von Rotenhahn. z zapalem ślubując wierność biskupowi i przyrzekając bronić twierdzy, aż do ostatniej kropli krwi. „My wiemy, że tu chodzi nie o ten jeden zamek, lecz o cały naród niemiecki. To jest skała, jeżeli nurty i ją podmulą, runie wszystko i utonie i z całego wielkiego narodu niemieckiego nie zostanie nic, jak tylko kupa marnych kamieni i gruzy“. Zapal udziela się obecnym i biskup wśród ich okrzyków odchodzi, wzmocniony na duchu. Pełni animuszu rycerze odgrażają się na Floryana Geyera, tylko Wolf von Hanstein i Sebastyan von Geyer, brat dowódcy chłopów, bronią jego czci, pierwszy postanawia nawet przejść na ich stronę, drugi waha się, bo „obowiązek i sumienie“ nie pozwala mu na to. Margrabia Fryderyk, mianowany przez biskupa naczelnikiem załogi zamkowej, wzywa wszystkich, gotowych do zaprzysiężenia wierności biskupowi, by się ustawili w szereg; zgromadzeni idą za tem wezwaniem, jeden tylko Wolf z okrzykiem: „Śmierć sługom klechów! niech żyje niemiecka ewangelicka wolność“ wychodzi z izby, obrzucany przez rycerzy pogardliwemi przezwiskami zdrajcy i tchórza. Prolog się kończy. Zadanie wstępu do właściwego dramatu spełnia dobrze. W pierwszej części bardzo dramatyczny, w drugiej już przeładowany zbyt długimi przemowami, jako całość jest zupełnie i wyłącznie historycznym. Sądzi się, że autor w ten sposób zamierza dać swemu dziełu historyczną podstawę, i że dopiero w następnych pięciu aktach rozwinie właściwą fabułę, osnutą na tle wypadków wojny chłopskiej. I dlatego prolog jeszcze nie razi, jeszcze ta udialogizowana historia nie nuży, bo się uważa ją za konieczny wstęp. O ile domysł podobny jest usprawiedliwionym, pokażą następne akty.

Z izby zamku Unserer Frauen Berg, widz przenosi się do sal kapituły w Würzburgu; tam byli rycerze oblężeniem zagrożeni, tu są chłopci otaczający ich twierdzę. Towarzystwo

jest dość niejednolite: Wawrzyniec Löffelholz, pisarz i rektor Besenmeyer, duchowny, sołtys z Ochsenfurtu i chłop Finkenmäuslein: oto przedstawiciele oblegających, a wśród nich siedzi na uboczu rycerz Szczepan von Menzinger, wysłannik szlachty, na zamku się broniącej. Zrazu rozmowa toczy się o rzeczach obojętnych, potem po przez aktualne kwestye teologicznych sporów przechodzi do politycznych, jeszcze bardziej na czasie będących. Przez okno widać kawałek placu i ulicy, to też zgromadzeni ciekawie się przyglądają osobom tam się znajdującym. Wśród nich jest i Götz von Berlichingen i o nim się właśnie mówi, a mówi bynajmniej nie z uszanowaniem. Sołtys drwi sobie z jego chudej szkapy, a ktoś drugi zjadliwie wyśmiewa gadatliwą chępliwość „rycerza o żelaznej ręce“, który tak wszystkim opowiada o swych zatargach z biskupem bamberskim, że już niema „ani jednej starej baby w całej Frankonii, któraby tego opowiadania nie umiała na pamięć jak *paternoster*“. Podobno chcą go powołać na naczelnika całego ruchu chłopskiego, ale to nie miałoby sensu, bo Götz jest niewolnikiem w własnym domu. Tu po raz pierwszy wyraźniej występuje sąd osób dramatu Hauptmanna o Götz, którego Goethe na wieki otoczył aureolą poezyi. Oczywiście, choć sądy te wypowiadają osoby dramatu a nie sam autor, który w tym rodzaju poezyi z natury rzeczy głosu nie ma, mimoto nie pomyli się, kto Hauptmannowi choć w części przypisze tensam pogląd na Götz, wypowiedziany jeszcze dobitniej w jednej z dalszych scen pierwszego aktu. Hauptmann jest tu w sprzeczności z Goethem, to też należy rozstrzygnąć pytanie, czy ta niezgodność jest chwalebna samodzielnością, czy też ma być uważana za błąd dramatu; pytanie powyższe, aczkolwiek z pozoru wyłącznie szczegółowe; do jednej sprawy się odnoszące, w rzeczywistości przyczyni się do rozjaśnienia i określenia stosunku historycznej tragedyi do właściwej naukowej historyi. Niewątpliwie wyidealizował Goethe swego bohatera, niewątpliwie historyczny Götz nie był tak wszechstronnie szanownym, szlachetnym, godnym podziwu i miłości, jak Götz Goethego; jestto skutkiem już choćby tylko ówczesnych przekonań i popędów poety, oraz wczytania się w autobiografię rycerza. A więc może Hauptmann odstępując od swego wielkiego

poprzednika, bliższym będąc historii, jest prawdziwszym, a tej zbawiennej tendencji sprostowania Goethego można i należy wybaczyć zbytne uwydatnienie śmiesznych i złych cech charakteru Götza, z pominięciem wznioślejszych i lepszych? Podobno Carlos infant hiszpański, był idyotą, nieraz nawet występny, więc może autor, któryby go takim w dramacie odmalował, byłby wyższym od Schillera, który nieszczęśliwego syna króla Filipa tak wyidealizował? Nie; dramat jego zachwyciłby może uczonych, byłby chlubnem świadectwem jego pracowitości i sumienności, lecz obudziłby tylko niesmak u wszystkich miłośników poezji. Raz ustalone ołówkiem genialnego artysty rysy historycznej postaci, choćby nawet niezgodne z wynikiem nowszych badań dziejopisarzy, muszą być zachowanemi i w późniejszych dziełach sztuk pięknych, które nie mają za zadanie uczyć prawdy historycznej. Może historyczny Götz von Berlichingen miał swoje śmieszności, słabostki nawet i zdrożności — Götz w poezji, Götz w dramacie na wieki pozostanie szlachetnym człowiekiem, idealnym rycerzem, jakim go przedstawił Goethe, a Hauptmann poniżając go, nie jest pionierem prawdy, lecz trochę śmiesznym współzawodnikiem swego poprzednika.

Że przeciwko Goethemu po części ostrze jest wymierzone, dowodzi tego dalszy przebieg rozmowy zgromadzonych osób. Umyślnie dla kontrastu zaledwie przebrzmiały drwiny z Götza, Löffelholz głosi sławę Geyera, jego bohaterskich czynów i współdziału w zamordowaniu Helfensteina, zajmującym jedną z najwstrętniejszych kart dziejów wojny chłopskiej; „cóż znaczy wobec niego taki Berlichingen“ kończy swój dytyramb zacny pisarz. Lecz już przychodzi nowa osobistość, rycerz Wilhelm von Grumbach. Postać to historyczna ¹⁾, znana badaczom przeszłości i uczonym prawnikom z długoletniego, bardzo zawilego sporu terytoryalnego, w dramacie Hauptmanna również bardzo ważną odgrywająca rolę, równocześnie zaś dowodząca pewnej rozmyślnej zewnętrznej analogii *Geyera* do *Götza*. Jak w sztuce Goethego *Weislingen* z końcem pierwszego aktu jest narzeczonym Maryi, siostry Götza, tak i Wilhelm von Grumbach jest u Hauptmanna

¹⁾ *Allgemeine deutsche Biographie* s. v.

szwagrem Geyera, żonatego z jego siostrą, co zresztą w zupełności zgadza się z historią. Rola, jaką Wilhelm zrazu odgrywa, jest dość niejasną. Z jednej strony nosi na ramieniu krzyż, odznakę chłopów, z drugiej żywo akcentuje swe szlachectwo, narażając się przez to na drwiny Löffelholza i jego towarzyszków, niechających nic słyszeć o herbach i przywilejach; ostatecznie wie się z jego ust tylko tyle, że przybył tu po list żelazny dla siebie.

Tymczasem dochodzą do uszu zebranych odgłosy tak kazania, jakie brat Andrzej właśnie w kościele wygłasza, jak i okrzyków, jakimi lud wita Floryana Geyera, a za chwilę przybywa jego dowódzca oddziału Tellermann i w niemczyźnie naszpikowanej obyczajem wieku francuskimi zwrotami, opowiada o radości i uniesieniu panującym na ulicy. Widząc jakiegoś duchownego, wybucha nienawiścią do księży, którzy torturami zamęczyli jego matkę wyznającą kacerskie zasady. Podczas gdy Tellermann podniecony tem bolesnem wspomnieniem a bardziej jeszcze winem, jakie wypił na cześć swego wodza, rzuca się w przekleństwach na „klechów“, gromadzi się rycerstwo, znane już poczęści z prologu, wysłane do prowadzenia układów z chłopskim tłumem. W rozmowie z niem Wilhelm von Grumbach wyraźnie wyrzeka się sprawy würtzburckiego biskupa, nie zważając na zarzuty, jakimi obrzucają go dawni towarzysze. Lecz wnet oczy widza w inną zwracają się stronę. Jeden za drugim przekraczają próg izby naczelnicy oddziałów chłopskich: jest i Hippler i Kohl i Götz, na którego wszyscy z ukosa i z lekceważeniem patrzą, wkońcu zaś, wśród ogólnego zaciekania, wchodzi sam Geyer, „w czarnej zbroi, z czarnymi piórami pawimi w szyszaku“, a za nim niosą dwie czarne chorągwie; milknie śpiew kościelny, cisza panuje wokoło, słowem wejście bohatera dramatu odbywa się na tle dekoracyj, mających widza odpowiednio nastroić. Chwili tej oczekiwało się niecierpliwie. Wszak dramat nosi nazwę od tego człowieka, wszak i w prologu i w dotychczasowych scenach pierwszego aktu, tak często była o nim mowa, że chce się zobaczyć go wreszcie na własne oczy, przyjrzeć się jego działaniu, jego czynom. Przedewszystkiem pragnie się wiedzieć, co Floryana Geyera von Geiersberg, a więc szlachcica,

popchnęło na stronę chłopów, wrogów możnowładztwa, lecz i przeciwników rycerstwa? czy przekonanie o słuszności sprawy towarzyszy Metzlera i Kohla, czy jakie pobudki osobiste: zawiść, żądza zemsty, czy przypadek, czy wreszcie jaki inny powód? Czy historia o tem mówi, czy też dotychczas jeszcze milczy, to rzecz obojętna: dramat jest, według orzeczenia genialnego dramaturga, Lessinga, który i tu za Arystotelesem idzie, filozoficzniejszym, niż historia, on musi wyjaśnić przyczyny takiego a nie innego działania danej osoby, nie może tego obowiązku zaniedbać. Z Goethego wie się, czemu Götz stanął na czele chłopów (przymus z ich strony, nadzieja, że zdoła ich dziką samowolę ograniczyć); z Hauptmanna nikt się nie dowie, czemu Geyer nie stanął w obozie, gdzie byli wszyscy związani z nim tradycją, pochodzeniem, stanowiskiem społecznem, lecz dowodzi tłumami chłopów. Błąd to kardynalny, bo sprawia, że osoba bohatera dramatu, niezrozumiała w tej najważniejszej chwili, pozostaje przez to i nadal obcą sercu widza. Ten mówi sobie: a może pobudką mu była marna zawiść na którego ze szlachty, a wtedy on mego szacunku nie jest godzien, albo może Geyer jest zdrajcą, podstępnie oszukującym chłopów, lub pospolitym awanturnikiem? zkąd pewność, że przez usta jego przemawia szczerze przekonanie, a nie obłuda lub prywatna, i jak możliwym jest ten serdeczny związek pomiędzy widzem a osobą dramatu, który jest nieodłącznym skutkiem, niewątpliwą cechą każdego dobrego dramatu? Grzech zaniedbania u Hauptmanna wielki, a zarazem charakterystyczna oznaka braku zrozumienia zasadniczych warunków istnienia historycznego dramatu.

Zamiast tego Geyer, witając Besenmeyera, dawnego znajomego, wydaje wyrok potępienia na Justyniana i całe rzymskie prawo, chociaż dla uczonych wogóle ma wielki szacunek, idąc za wzorem cesarza Maksymiliana; również gniewa go „mieszanie teologii do rzemiosła wojennego“. Za chwilę otwiera „naradę wszystkich oddziałów pospolitego chłopstwa z Würzburga i okolicy“, a Löffelholz objaśnia zgromadzonych o przedmiotach obrad i jako najbardziej naglącą przedstawia sprawę wysłuchania i dania odpowiedzi wysłannikom z twierdzy Unserer Frauen Berg. Zanim do-

puszczono do głosu posłów, już wśród samego chłopstwa i ich naczelników powstaje wrzawa sprzecznych zdań, z gwałtownością wypowiedianych. Podczas, gdy większość żąda bezwarunkowego zdania się twierdzy na łaskę i niełaskę zwycięzców, Götz zadowolnia się zgodą rycerstwa na owe „dwanaście artykułów“, stanowiących program społeczno-religijny chłopów, co znowu podnieca przeciwników do rzucania podejrzeń, że Götz jakoś zanadto lituje się nad rycerzami. W tem mięsza się do obrad sam Geyer, a słów jego słucha się naprzód z natężeniem, następnie ze zdziwieniem. Geyer, dowódzca „czarnej hordy“, „bohater z pod Weinsberga“ współwinny tylu mordów i pożóg przyznaje słuszność... Götzowi; radzi spokojnie porozumieć się z obłożonymi, bo w braku odpowiednich środków jest niemal niepodobieństwem zdobyć mury twierdzy. Ostatecznie przychodzi do głosowania: za wnioskiem, aby zgodzić się na propozycje załogi zamku, oświadcza się Götz, Floryan, Löffelholz, nawet Tellermann, lecz ostatecznie znaczna większość głosuje przeciwko wnioskowi. Na dany znak wchodzą do sali posłowie rycerstwa, a dowiedziawszy się o wyniku obrad, odpowiadają, że nie mogą poddać twierdzy na łaskę i niełaskę, zanim nie zasięgną rady towarzyszków. Jeden z chłopów oburza się na takie kunktatorstwo; Götz zapowiada, że wyprze się chłopskiej sprawy, gdyby w Würzburgu miały się dziać takie okrucieństwa jak niedawno w Weinsbergu; na to ktoś inny rzuca mu w twarz zarzut przedajności, słowem, wywiązuje się nowa kłótnia i to w obecności wysłanników szlachty. Ucisza ją Geyer, lecz nie spokojnem wezwaniem do zgody i wzajemnego szanowania się, owszem, wierząc widocznie w pogłoskę, jakoby usiłowano Götza przekupić, zapowiada, że u chłopów (nie u Götza) pieniędzmi nie się nie wskóra. „Papież sprzedaje (*verschachert*) Chrystusa, niemieccy książęta sprzedają niemiecką koronę cesarską, ale niemieccy chłopci nie sprzedadzą ewangelickiej wolności“. A potem na zaczepkę jednego z rycerzów broni się przed zarzutem, jakoby ten ruch zmierzał do obalenia tronu i państwa; to fałsz, oni zwalczają tylko „klechów“ i książąt, tych najgroźniejszych wrogów cesarskiej powagi, biją szlachtę, ale tylko dlatego, że ta niepomna swego zadania, swego honoru, jest

ślugą duchowieństwa. Posłowie widzą oczywiście, że wobec tego nie mają tu po co długo popasać, to też wychodzą z sali a jeden z nich ostrzega głośno chłopów przed Geyerem, który w tajemnicy zaprzedał się królowi francuskiemu i jemu chce wydać Niemców.

Zostają sami dowódcy chłopskich oddziałów. Na wieść, że gromady kobiet zagradzają rycerstwu drogę z powrotem do twierdzy, Geyer w wielkiej złości każe je rozpędzić, a w razie oporu powywieszać. Lecz niebawem akcja znowu staje się poważniejszą. Löffelholz występuje z radą, aby wybrano głównego naczelnika całego wojska chłopskiego i poleca na tę godność Floryana. Metzler ze swej strony występuje z kandydaturą Götza i rozpoczyna się zacięta walka wyboreza, zapelniona wrzawą i wzajemnymi obelgami. Najnamiętniej przemawia Bubenleben z nienawiścią do szlachty, z pseudo-religijnym fanatyzmem, wzbudzając przez to u innych oburzenie na mnichów, któremu nawet sam Geyer wtóruje. Do dwóch kandydatów przystępuje i trzeci: Kohl, a powiększa to jeszcze ogólne zamięszanie i gwałtowność. Hippler a za nim i Götz zarzucają Geyerowi, że chce terroryzmem wymusić na zebranych swój wybór na naczelnika całej siły zbrojnej, on odpowiada wyzywająco i za chwilę jest się świadkiem osobistej sprzeczki pomiędzy dwoma współzawodnikami. Geyer obwinia Götza o bezrozumne paśtwienie się nad zwyciężonymi i o szerzenie niezgody we własnym obozie, ten zaś zarzuca mu rozmyślne odstręczanie od sprawy chłopskiej, szlachty, która przecież niedawno jeszcze była jego właściwem otoczeniem. Burza wzmaga się coraz bardziej, wtem słychać strzały: Götz i jego zwolennicy, widząc w tem terroryzm Geyera, który chce gwałtem i postrachem przeprowadzić swój wybór, wołają, że to zdrada — słowem powstaje „tumult i panika“ nie do opisania. Ale Geyer zrywa się nagle i krzycząc oświadcza, że nie przyjmie władzy jak tylko z wolnego wyboru zgromadzenia popolitego chłopstwa, teraz zaś wzywa wszystkich do wyboru rady wojennej; kto jest za wnioskiem, niech wbije nóż w zakreślone kredą na drzwiach koło. Za jego przykładem idzie Tellermann, Löffelholz i inni, nie ma między nimi Götza, natomiast z ciekawością spostrzega się Wilhelma von Grumbach,

który więc ostatecznie przeszedł na stronę chłopów. Jak się zachowuje Götz i jego partya, o tem autor ani słowem nie wspomina, a ten brak wszelkiego wyjaśnienia odczuwa się z przykrością. Przecież było się świadkiem pojedynku Götza i Geyera, walki obu o pierwszeństwo, chciałoby się więc wiedzieć, jak się ostatecznie ta walka zakończyła, kto w niej zwyciężył. Wprawdzie Geyer nie zostaje wybrany naczelnikiem, lecz przecież w końcu aktu odnosi moralne zwycięstwo, kieruje zgromadzonymi; a co na to mówi Götz, jak znosi tę porażkę, czy godzi się na dokonany fakt, czy się burzy? Wszystkie te pytania pozostają z końcem aktu pierwszego bez odpowiedzi.

Należało streścić tak obszernie pierwszy akt dramatu, aby czytelnik osądził go sam na podstawie osobistych wrażeń: wszak zadaniem krytyka jest nie narzucanie ogółowi własnych zdań, lecz przygotowanie go do samodzielnego sądu. Okazuje się teraz, jak bardzo usprawiedliwionemi były obawy, któremi się *Floryana Geyera* witało, kiedy zaraz pierwszy jego akt niemal wszystkie spełnia. Jest on wybitnie i wyłącznie historycznym; czytając go, doznaje się uczucia, jak gdyby przed nami otwierały się roczniki chłopskiej wojny z r. 1525, udyalogizowane jedynie, a nie ma się bynajmniej wrażenia dramatu historycznego. Koniecznym warunkiem, zasadniczą jego cechą jest akcja, organicznie się rozwijająca, w sobie zamknięta i skończona; taką akcyę mają nawet wszystkie *Ryszardy* i *Henryki* Szekspira, najbardziej historyczne z całego dramatu świata. Takiej akcyi *Floryan Geyer* nie ma. Co więcej, co już stanowczo odejmuje mu prawo do nazwy dramatu, pierwszy akt nie ma nawet akcyi, polegającej na przedstawieniu rozwoju i czynów jednej jednostki: Geyera się widzi, słyszy, słucha się rozmaitych o nim opowieści, lecz ostatecznie nie można się nim szczerze zająć, bo się nie wie, z kąd ten człowiek znalazł się w tak niestosownem dla siebie otoczeniu, bo się nie wie, co on myśli, w co wierzy, co czuje? wierność historyczna zachowaną jest skrupulatnie (np. historycznem jest, że Geyer przepadł ze swoją propozycją pokojowych układów z załogą zamku Unserer Frauen Berg), lecz mimo całą wierność, Geyer z końcem aktu pierwszego żywą postacią nie jest, a przecucie

mówi, że nie będzie nią i z końcem ostatniego. Tą samą zasadniczą pomyłką powtarza się i przy innej sposobności; Grumbach zrazu wahający się, w ostatniej scenie otwarcie i stanowczo stoi po stronie chłopów, a nikt powiedzieć nie zdoła, z kąd i czemu. Niedramatyczny zaś charakter pierwszego aktu objawia się i w inny sposób. Akcyi nie ma, o tem już była poprzednio mowa — ale jak się ma rzecz przynajmniej z udramatyzowaniem dziejów wojny chłopskiej? Tu pierwszy akt przynosi dwa momenty: zerwanie układów z rycerstwem i niezgodę dowódców chłopskich co do wyboru naczelnika siły zbrojnej. Oba te momenty są uzmysłowione z pomocą wielu osób i wielu słów, i wychodzą po części nawet dość żywo i plastycznie. A jednak choć dobitnie zaznaczone, one jakoś z tłem się nie łączą, nie łączą się i z sobą, stoją każdy z osobna dla siebie, są odrębnymi epizodami a nie ogniwami dziejowego łańcucha ściśle z sobą spójnemi. I tak pierwszy akt *Geyera*, jeżeli nie jest początkiem dobrego dramatu historycznego, to nie jest nawet początkiem dobrze udramatyzowanej historii. Czy następne zawrócą z tej zgubnej drogi?

Spis osób poprzedzający drugą odsłonę, wykazuje obok znanych, kilka nowych postaci. Scena przenosi się do gospody na rynku miasta Rothenburga (na południe od Würzburgu). Rektor Besenmeyer zajęty cuceniem i trzeźwieniem jakiejś dziewczyny Marei, licznie zaś zebrani mieszczanie gwarzą o polityce a zwłaszcza o stosunkach religijnych. Wszyscy wyśmiewają i potępiają zakony a wtóruje im jakiś ex-mnich, który uciekł z klasztoru. Wędrowny kramarz krzykliwym głosem ogłasza ciekawe broszury religijne, które ma na sprzedaż, a ten charakter sceny zachowany jest i w dalszym ciągu aktu, gdy nieznaną ślepy mnich z fanatyzmem i ironią rzuca się na papieski Rzym a głosi „ewangelicką wolność“. Lecz chociaż wszystkich zgromadzonych łączy wspólna nienawiść katolicyzmu, mimoto pełno w nich różnie i niezgody. Zarzewiem kłótni staje się wymówione w rozmowie nazwisko Karlstadta: gdy ślepy mnich jest dla niego pełen uszanowania, Schäferhans odgraża się „przekłętemu kacerzowi i gwałcicielowi (*Schänder*) Maryi“. Ponieważ Karlstadt później bezpośrednio występuje w sztuce

a imię tego fanatyka nie wszystkim może dostatecznie jest znanem, należy nam tu więc podać kilka o nim szczegółów. Karlstadt (właściwie Bodenstein ¹⁾), ów Brat Andrzej, o którego kazaniu już w pierwszym akcie była mowa, zrazu thomista, przerzucił się następnie do filozofii św. Augustyna, a potem należał do zwolenników „reformacji“ Lutra. Lecz wkrótce pomiędzy nim a dawnym mnichem zarysowały się poważne różnice. Uniesiony fanatyzmem, Karlstadt począł wzywać do niszczenia obrazów i ołtarzów, tych „pozostałości bałwochwaltwa“ a równocześnie zaczął gwałtownie Lutra naukę o Wieczerzy Pańskiej. Rozdwojenie dawnych towarzyszków uwidoczniło się i w czasie wojny chłopskiej. Podczas gdy Luter przerażony dzikiem rozpasaniem motłochu, namiętnie w pismach ulotnych przeciw niemu występował, Brat Andrzej miewał podburzające kazania wobec tłumów, które, jak się niebawem przekonamy, niezawsze przychylnie go przyjmowały. Dopiero po zgnieceniu buntu chłopów pogodził się Karlstadt z Lutrem. W dramacie Hauptmanna ma się próbkę tego roznamiętnienia, jakie swemi występami wywoływał Karlstadt. Podczas bowiem gdy zgromadzeni w karczmie dalej rozmawiają o polityce, czasem bardzo ostro się spierając, z daleka słychać hałas a za chwilę wbiega Karlstadt, bez tchu, błądy jak ściana, i błaga o pomoc. Schäferhans nienawidząc go, ściga go dalej i już naciera na niego z mieczem, inni starają się go powstrzymać, wtem wchodzi Geyer ze swoim szwagrem. Schäferhans butno mu odpowiada, aż Floryan rozgniewany, silnym policzkiem go poskramia. Karlstadtowi jednak radzi, aby po tylu przykrych doświadczeniach nadal już wojsku nie towarzyszył, bo od czasu, gdy Luter w pismach się przeciw niemu zwrócił, grozi mu wielkie niebezpieczeństwo. Brat Andrzej opuszcza zebranie, zarzucając Lutrowi, że na ustach ma ewangelię, ale nie w czynach. Dalej wlecze się ten akt wśród rozmów o położeniu politycznym, o posłach margrabiego Kazimierza z Ansbachu, a scena ożywia się nieco tylko dzięki entuzyastycznym okrzykom ludu, na cześć Geyera wznoszonym. Floryan przemawia do tłumu z okna, a słowa jego brzmią poważnie. Podejmuje

¹⁾ Por. *Allg. deutsche Biographie sub voce Bodenstein.*

narodowe podanie o Barbarossie, śpiącym w podziemiach Kyffhäuseru, a potem rozacza plan „reorganizacji“ państwa. Chce cesarza wybranego nie przez książąt, ale przez wszystkie szczepy Niemiec. Po tym epizodzie następuje inny. Z rozmaitych stron dochodzą smutne wieści: pod Böblingen rozbito dwadzieścia tysięcy chłopów, Tellermann uwięziony, co najgorsza zaś, zdrada wciska się do nich samych; wbrew postanowieniu ogólnej rady, wbrew własnym przyrzeczeniom i przysięgom, oddziały Kohla i Götza samowolnie uderzyły na Würzburg, a gdy Tellermann przypomniał im przysięgę, okrzyczano go zdrajcą, sługą Francuzów, podłym. Geyera te wieści zrazu ogromnie oburzają, potem budzi się w nim zniechęcenie do wojennego rzemiosła, do tej sprawy chłopskiej, chce się usunąć zupełnie od czynnego życia, nie myśli już o zamierzonej wyprawie na Würzburg, nie zważa na prośby i perswazyje towarzyszków, odchodzi pełen apatyi i elegijnej rezygnacyi. Pozostali myślą nad tem, jakby przecieź Geyera znowu dla siebie pozyskać, Wilhelm von Grumbach zaś idzie do margrabiego Kazimierza, tam szukać pomocy.

Z biedą dobił się czytelnik do końca drugiego aktu. Cała jak jest, ta odsłona, od początku aż do ostatnich słów jest niczem innym, niczem więcej, jak tylko udratyzowaną, raczej udyalogizowaną kroniką wydarzeń wojny chłopskiej z r. 1525. Po za czysto historycznymi wypadkami nie ma nic, właściwej fabuły dramatycznej na historycznym tle osnutej nie ma dotychczas ani śladu, tak, że ostatecznie musi się zważyć, stracić nadzieję, by ona kiedykolwiek miała się zacząć. Udyalogizowanie historii jest dość niezręczne. Niewątpliwie zamiarem autora było odsłonić w tym akcie, a zwłaszcza w pierwszej jego połowie, jedną stronę życia współczesnego: niezgodę religijną, spory pomiędzy zwolennikami poszczególnych wyznań; do tego celu zmierza wprowadzenie na scenę domokrażcy, sprzedającego ulotne pisma polemiczne i mnicha niewidomego i Schäferhansa i Karlstadta, z Lutrem wojującego. Przedsięwzięcie i bardzo zrozumiałe i bardzo chwalebne; pomysł jest dobry, ale wykonany jest źle. Dwie autor miał drogi, któreby go niechybnie do celu zaprowadziły: albo przedstawić to w odrębnym, z góry wydzielonym epizodzie, któryby oczywiście zajmo-

wał odpowiednio mało miejsca, albo też wpleść te motywa do akeyi, zespolić je z nią; ten drugi środek, trudniejszy od poprzedniego, byłby jednak bardziej z naturą sztuki dramatycznej zgodny, lecz i tamten mógł być z korzyścią użyty. Hauptmann nie poszedł ani jednym ani drugim szlakiem: nie stworzył osobnego, krótkiego epizodu, nie stopił motywu z główną treścią; zamiast tego, zupełnie w oderwaniu od przedstawienia dziejów wojny chłopskiej, dał cały szereg scen, osnutych na tych teologiczno-społecznych zamieszaniach, zajął nimi niemal połowę aktu, a tymi długim epizodem rozbił całość. To pierwsza część aktu; a druga? Druga wraca do opowiadania o przebiegu współczesnych wypadków, wraca do Geyera. Tu popełnił autor nowe dwa błędy. Dramat ma nie opowiadać o przeszłości, nie donosić o tem, co się działo, lecz przedstawiać czyny jednostki, wreszcie i całych mas, jako terażniejszość, w tej chwili się dokonywującą: opowiadania o wypadkach zaszłych po za sceną, np. doniesienia posłów z pola bitwy (znane z dramatu greckiego lub pseudo-klassycznej tragedyi francuskiej XVII wieku) jako epickie, a więc naturze dramatu się sprzeciwiające, mogą być wprowadzone tylko z jak największą oszczędnością i ostrożnością; inaczej dramat stanie się narracją w formie dyalogu. Tymczasem cała druga część tego aktu wypełniona jest takim opowiadaniem pośrednim, zamiast bezpośredniego przedstawienia rzeczy: ten donosi o margrabi Kazimierzu, tamten o Tellermannie, ktoś trzeci o Götzu itd.; na scenie nie dzieje się nic, są tylko rozmyślenia nad tem, co się po za sceną stało, reflexy tamtych wydarzeń. A obok tej jednej, niesłychanie szkodliwej wady, choruje drugi akt na inną, niemniej śmiertelną słabość. W prologu była mowa o Geyerze, w akcie pierwszym widziało się go i słyszało, już się wie teraz, że chodzi w czarnej zbroi z czarnymi piórami w szyszaku, że jest dość gwałtownym, ambitnym; lecz do głębi duszy się go jeszcze nie poznało, nie pojęło się jeszcze pobudek jego działania, nie poznało się jeszcze, ile w nim prawdy, ile fałszu. Wyjaśnienia tych wątpliwości oczekiwano się od aktu drugiego, który te nadzieje sromotnie zawodzi. Wśród mnóstwa szczegółów ze źródeł zaczerpniętych ginie indywidualność Geyera, który przez cały ten akt, aż do

przedostatniej jego sceny, jest nie żywą postacią, człowiekiem z krwi i kości, nawet nie teatralną figurą, lecz tylko pustym, bezdusznym, wyciągiem z historycznych kronik. Końcowe zaś chwile, choć same przez się przejmujące, w sercu widza nie odezwą się głębszem echem, bo zbyt są nieprzygotowane.

Trzeci akt zachowuje wiernie charakter obu poprzednich. Nie dając ani odrobiny dramatu historycznego, dyalogizuje jedynie historię, popelniając przytem dwa kardynalne błędy. I tu bowiem, jak dawniej, współczesne wypadki, działanie osób, nie jest przedstawione bezpośrednio, jak to jest charakterystyczną cechą literatury dramatycznej, lecz o wszystkim widz dowiaduje się pośrednio, z opowiadania innych osób. Doznaje się wrażenia, jak żeby się było w jakim biurze, odbierającym i odczytującym depesze, nadsyłane z pola walki, przyczem urzędnicy tego biura niektóre ważniejsze wiadomości szeroko omawiają. Odstępstwa Grumbacha od sprawy chłopów a połączenia się z margrabią się nie widzi, słyszy się o tem jedynie, a równocześnie z naganą dla autora za tak sprzeczne z naturą dramatu postępowanie, ma się żal do niego, czemu tej zmiany w Wilhelmie, tego ciągłego wahania się pomiędzy dwoma wrogimi obozami nie wyjaśnia, czemu podawszy nagie fakta, nie dodaje do nich psychologicznego komentarza, jak to było jego obowiązkiem, zwłaszcza zważywszy, że Grumbach i później jeszcze wybitną ma odegrać rolę. Dalej dowiadujemy się z ust rozmaitych donosicieli, że wojska chłopów ponoszą klęskę za klęską, że margrabia zdobył na nich Kitzingen, mszcząc się okrutnie na mieszkańcach miasta. Przy tej sposobności autor wplata epizod, względnie jeszcze dość dramatyczny. Jakaś stara kobieta przyprowadza ociemniałego syna i opowiada, jak margrabia mimo przyrzeczenia, że łaskawym będzie dla zwyciężonych, potem zdobywszy Kitzingen, więcej niż pięćdziesięciu mieszczanom kazał gorącym żelazem wypalić oczy, fakt — nawiasem mówiąc — historycznie stwierdzony. O tych wszystkich wypadkach dowiaduje się słuchacz sposobem epickim, z opowiadania; na własne oczy widzi się jedynie niezgodę panującą pomiędzy naczelnikami poszczególnych oddziałów chłopskich, ich wzajemne obwinianie się o spowodowanie najnowszych klęsk i rozprężenia. Jeden

zrzuca na drugiego odpowiedzialność za niepowodzenia, jeden drugiego oskarża, a każdy siebie samego już z góry uniewinnia: zwykły obraz rozbicia niejednorodnych oddziałów powstańczych. A Geyer? co porabia wobec tego ten bohater dramatu, ku któremu przedewszystkiem zwraca się wzrok bacznego widza? Jego postawy wśród tego zamieszania ogólnego, jego działania jest się niezmiernie ciekawym, zważywszy zwłaszcza, że dotychczas naprawdę działającym nigdy się go nie widziało, że wszystkie jego dotychczasowe czyny, jakoto: przystąpienie do sprawy chłopów, wysunięcie się na ich czoło, krwawa zemsta w Weinsbergu itd. leżą po za obrębem dramatu, należą do jego *Vorfabel*. Geyer i tu bezpośrednio czynnym nie jest, i tu jedynie wypowiada swe myśli i uczucia, jakie obudzają w jego duszy odgłosy z pola walki. Postępując w ten sposób, Hauptmann podcina oczywiście dramatyczny nerw tej postaci, czyni ją mniej ważną, mniej wybitną i mniej samodzielną, niż zrobić zamierzał, od jej imienia całą sztukę nazywając. Jak w drugim jednak akcie była chwila, kiedy Geyer przelotnie ożywił się, stawał się bliższym ludzkiemu sercu, tak i tu zawinione niepowodzenia sprawy, którą za słuszną i sprawiedliwą uważa, wydobywają śpiące na dnie jego serca szersze, prawdziwsze i bardziej ludzkie akcenty, niż dotychczas. „Czy wy wiecie, coście zrobili? — skarży się z goryczą. Najlepszą, najszlachetniejszą, najświętszą sprawę... sprawę, którą Bóg raz włożył w wasze ręce i może już nigdy nie włoży — wyście ją zaprzepaścili“. Lecz wnet schodzi z tych wyżyn i staje się wprost *gemein*, gdy w polemice z Kohlem, jednym z dowódców oddziałów, wylewa potok najordynarniejszych przezwisk, poczęści nawet nie mających wstępu na deski teatralne. A potem znów podnosi się i jako człowiek i jako wojownik. Gdy z końcem poprzedniego aktu popadał w taką bezgraniczną rozpacz, smutną rezygnację, beczynną apatyę, był godnym litości, może nawet sympatii — tu w akcie trzecim zaskarbia sobie szacunek, gdy nie tracąc nadziei, nie dając się przygnębić smutnemi wieściami, zrywa się do czynu, postanawia ruszyć ku Würzburgowi. Tych słów słucha się z przyjemnością: może więc nareszcie zobaczy się Geyera w działaniu, w samodzielnem tworzeniu choćby nawet tylko

historyi, a nie przeżuwaniu obcych wieści, może raz Geyer przypomni sobie, że ma być przecież główną osobą historycznego dramatu, osnutego na bardzo dramatycznym tle. Koniec aktu jest niezmiernie charakterystycznym, stylowo hauptmannowskim, jeżeli się tak wyrazić wolno. Już niejednokrotnie mogło się zauważyć, jak Hauptmann, nawet wśród scen i sytuacji najniezgodniejszych z naturą dramatu, bądź to najchłodniejszych, bądź też najbardziej po ziemi pełzających, zrywa się nagle do jakiegoś śmielszego lotu, pragnie jednym wysiłkiem rozpętać swego geniusza. A obok tej cechy, częstokroć równocześnie z nią istniało w dotychczasowych dziełach Hauptmanna i inne: to owo nawpół dramatyczne, nawpół liryczne zakończenie aktów, kiedy uczucie jakiejś osoby, pod wpływem zewnętrznych wypadków i własnego stanu wewnętrznego, wydiera z ludzkiego serca okrzyk rozpaczny lub nadziei, przecucia szczęścia lub obawy zguby, okrzyk niemal bezwiedny, nieartykułowany a przecież przejmujący i nawskróś dramatyczny. Oba elementa odnajdują się tu w ostatniej scenie trzeciego aktu, jak były i w sztuce *Przed wschodem słońca* i w *Samotnych ludziach*. *Floryan Geyer* to, jak dotychczas, rozwlekłe, niezręcznie dialogizowana historia; ludzie jako ludzie z sercem, z namiętnościami, z uczuciem, giną niemal zupełnie wśród tej masy historycznych drobiazgów; tak jest przedewszystkiem z głównym bohaterem utworu. Aż dopiero teraz, w przelotnej chwili, wysuwa się na czoło jedna z pobocznych postaci, dotychczas na drugim planie zostająca i przez krótki moment nie uczy historyi, nie jest martwym zlepkiem z wycinków starych kronik i archiwalnych dokumentów, lecz żywą postacią, człowiekiem, który ludzkie ma uczucia i do ludzkich uczuć przemawia. Löffelholz, dawny Geyera druh, teraz już do walki jest niezdolnym, już jego ręka miecza nie podźwignie a schorzałe członki już się nie zerwą na odgłos wojennej pobudki. Jego towarzysz, Geyer, odchodzi, kto wie, może na ostatni bój, na bój, który rozstrzygnie o losach całej sprawy. A on, nielitościwą febrą więziony na łożu, musi tu cierpliwie czekać śmierci. To też łzawo patrzy za odchodzącymi a potem otwierając nanowu oczy, które żal na chwilę mu zamknął, porwany trwogą i przestraczem, chce się pod-

nieść, uciec przed czemś i krzyczy: „Na pomoc, na pomoc, bracia! Nie opuszczajcie mnie, kochani towarzysze! Weźcie mnie z sobą“, a potem pada bez przytomności. Koniec aktu wstrząsający; geniusz poety jakby umyślnie daje znać o sobie, głośno wola: „Jestem!“ Szkoda, że tylko przelotnie!

Jak w *Tkaczach* z każdym aktem wypadło zapoznać się z rzeszą zupełnie nowych osób a autor w ten sposób dawał do poznania, że celem jego dramatu jest przedstawienie epickich mas, a nie dramatycznych jednostek, tak i w *Geyerze* każda odsłona zosobna przynosi wiele nieznanymi postaciami, zwłaszcza zaś jest tak w akcie czwartym. Oczywiście i tam i tutaj nie może być mowy o dostatecznym wyodrębnieniu z tego tłumu pewnych indywidualności, co jednak w *Tkaczach* było jeszcze stosunkowo mniej nieznośnym, albowiem autor przedstawiał tam robotników niemal zupełnie solidarnych w poczuciu rzeczywistych i mniemanych krzywd, oraz odwetu za nie. Inaczej jest w czwartym akcie *Geyera*. Jeżeli wojna chłopska wogóle nie buduje widokiem jednomyślności i harmonii, nawet w obrębie jednej z walczących stron, to tem większa niezgoda panowała w przekonaniach religijnych, o których w pierwszej części tego aktu przeważnie jest mowa. Rozterki były tu i znaczne i silne, nawet wśród samych protestantów tylko, bo są to przecież czasy namiętnej walki Lutera a Karlstadta i Münzera. Hauptmann musiał naturalnie i tę stronę współczesnego życia przedstawić, ale tu zabrakło mu talentu specjalnie dramatycznego, aby równocześnie i zachować ogólne tło społecznego ruchu i pokazać na niem kilka wyraźniejszych indywidualności. Ci nowi ludzie: Markart, Geppelt, Beheim, Kratzer itd. itd., których imię jest legion, zajmują wprawdzie scenę dość długo, ale miejsca w wyobraźni i pamięci widza nie zajmują długo, a tylko mnóstwem drobnych szczegółów mącą wrażenie całości. Dopiero gdy wracają dawne, znane już z poprzednich aktów postacie, rzecz ześrodkowuje się nieco i uwaga widza się skupia. Karlstadt chroni się do gospody Kratzera uciekając przed prześladowcami, jak tego już poprzednio się było świadkiem, za chwilę zaś przychodzi sam Geyer. Opowiada o liście, który żona mu przysłała; w nim zaklina go, aby odstąpił sprawy chłopów i po-

jedną się z panami, których sama stara się dobrze dla niego usposobić. On jednak na to się nie zgodzi, bo życie bezczynne, niańczenie dzieci, nie przypada mu do smaku: Powoli rozmowa obecnych dotyka smutnego stanu obecnego. w co się obróciły nadzieje? jakoś Barbarossa jeszcze wciąż śpi i wciąż jeszcze kruki latają wkoło niego. Rektor Besenmeyer korzysta ze sposobności i pyta Geyera, ile też jest prawdy w tem, co głoszą powszechnie, że Floryan z ramienia francuskiego króla wszczął te zaburzenia chłopskie, aby strącić z tronu dom Habsburgów a koronę Niemiec włożyć na głowę wygnanego księcia wirtemberskiego, Ulrycha? czyżby Geyer istotnie stał na obcym żołdzie? Odpowiedź Floryana jest charakterystyczną dla dramatu i dla autorskiej techniki Hauptmanna. Trzymając się niewolniczo historii, która mimo żmudnych badań kwestyi związku chłopskiej wojny z obcemi, a szczególnie francuskimi wpływami, dotychczas dostatecznie jeszcze nie rozjaśniła, Hauptmann wkłada w usta swego bohatera słowa zawile, zagmatwane, które każą się czegoś domyślać, ale zbyt są słabą podstawą dla słuchacza do utworzenia sobie sądu o istotnym stanie rzeczy. „Bracie — rzecze Geyer rektorowi — nigdy nie było subtelniejszych praktyk, a prawdą jest, że wiał silny wiatr z zachodu. Lecz czyż nie mieliśmy rozpiąć naszych żagli, chcąc na wschód płynąć, dlatego tylko, że wiatr z Francyi wiał? ...Kto chce płynąć ku nowoodkrytym wyspom, korzysta z wiatrów, gdzie tylko one wieją. Nie może zawsze żeglować prosto siebie; niech tylko zawsze pozostanie wiernym sobie i swojemu celowi“. Historia może takie pytania pozostawić do czasu bez odpowiedzi, bo jej zadaniem jest podawać czystą, stwierdzoną prawdę; dramat ma inne przeznaczenie, choćby nawet był dramatem historycznym. On według wspomnianego już wyrzeczenia Arystotelesa jest filozoficzniejszym od historii, on musi wyjaśnić całego bohatera, wszystkie jego czyny, uczucia, myśli. Już poprzednio dotkliwie odczuwało się brak wytłómaczenia, zkąd Geyerszlachcie z rodu, jest naczelnikiem bandy chłopów, przeciw szlachcie walczącej — tu niemniej błędem jest postępowanie autora. Albo należy sprawy francuskich poduszczeń, może nawet przekupstwa, wcale nie poruszać, albo raz ją już po-

kazawszy, należało wyjaśnić ją zupełnie, tak, aby jakiegokolwiek o tem mają wątpliwości *osoby dramatu, czytelnik* wiedział dokładnie, jak się rzecz miała. Hauptmann nie poszedł ani pierwszą ani drugą drogą: kwestyi nie pominął, bo znalazł ją przecież w historii, której bezwzględnie się trzyma, nie rozstrzygnął jej zaś, również z tychsamych powodów, nie bacząc na to, że poety już nie prawem ale obowiązkiem było w tym wypadku uzupełnić, wyrezytować, prześcignąć historię, przedstawić rzecz idealnie, poetycznie prawdziwie, choćby nawet faktycznie fałszywie. A jaki z tego skutek? Oto ten, że Floryan Geyer, bohater walczący za „świętą” sprawę, odtąd pozostaje pod jednym z najbardziej hańbiących zarzutów, jakie mogą spaść na męża politycznego, pod zarzutem przekupstwa, zaprzędania się wrogom ojczyzny.

Koniec aktu czwartego przynosi ze sobą szczerze dramatyczny epizod, a choć to tylko epizod, przyjmuje się go z wdzięcznością, bo w tym dramacie jest tak mało chwil dramatycznych. Oto przez drzwi wpada do izby jakiś zbrojny, wydając krótkie, urywane, ochryple okrzyki. To Tellermann, druh Geyera, ranny, pokrwawiony, ledwie żywy, z trudnością wygłasza nieszczęsną wiadomość: „Bracie Geyerze, bracie Geyerze!... Götz... przekłeta zdrada... wszystko stracone... Königshofen“ — potem trawiony gorączką, dręczony obrazami klęski umiera a u jego zwłok milkną wszyscy przejęci uszanowaniem i smutkiem, Geyer zaś klęcząc zamyka oczy zmarłemu towarzyszowi. Moment dramatyczny i przejmujący do głębi serca. Odczuwa się, że z klęską trzydziestu tysięcy koło Götza zebranych, którą Tellermann zdradą „rycerza o żelaznej ręce” zowie, rozstrzygnęły się losy powstania chłopskiego. Swoją drogą i tu Hauptmann umyślnie wysuwając postać Götza von Berlichingen naprzód i piętnując go mianem zdrajcy, budzi raczej wstręt u tych, którzy przywykli widzieć w Götzu idealnego bohatera, jakim go zrobił Goethe; nie zyskuje zaś na tem bynajmniej Geyer, bo przecież jeżeli jego zaufani zarzucają Götzowi zdradę, to on sam nie oczyścił się dotychczas z zarzutu przedajności i służenia obcej potencji. Artystycznie ta chwila należy do nielicznych w dramacie, jakie zdolne są obudzić w widzu współczucie. Już żal się robi Karlstadta, który teraz ze spokojną rezy-

gnacją wybiera się do Szwajcaryi, bardziej jeszcze współczuje się z Geyerem, złamanym i przygnębionym. Zrazu zamierza wstąpić w służbę króla francuskiego, utwierdzając przez to oczywiście czytelnika w dawniej powziętych podejrzeniach, lecz szybko odmienia ową myśl: „Służyłem Boskiej sprawie, teraz już królowi służyć nie mogę.“ Za to gotuje się do śmierci i jakby w przeczuciu jej zbliżania się, żegna się z towarzyszami i po raz ostatni upomina ich i zaklina, aby pozostali wiernymi dawnym ideałom, zachowali pamięć Ulricha von Huttena i Franciszka von Sickingen. Żegnając się z życiem, spogląda na nie z elegijnem uczuciem, spokojnie skarży się na to, że nie dokonał tego, co zamierzał. „Niemcy to kraj dobry, korona wszystkich krajów, mają złota, srebra, chleba i wina dosyć, jest z czego dostatnio żyć. Ale nie ma końca niezgody. Księża wiążą je, księżęta rozbijają w kawałki, a wszyscy podgryzają ich korzenie. Myślałem, że zdołam to zmienić. Czem jestem ja, com to śmiać? A potem, jakby chcąc otrząsnąć się z tego elegijnego nastroju, chwyta za puhar wina i innych do weselości zagrzewa, lecz jakoś smutek i żaloba zanadto cięży nad wszystkimi i smętami, beznadziejnymi akkordami kończy się ten akt. Samo zakończenie wobec szarego, bezdusznego tła dramatu, nużącego ciąglem reprodukowaniem mnóstwa szczegółów historycznych, może się wydać i poetycznem i głębokiem: wszak tak rzadko w tym dramacie słyhać bicie ludzkiego serca, tak rzadko odzywa się szczere, proste ludzkie uczucie. Ztąd skarga i smutek Geyera nie miną bez wrażenia. A jednak po głębszym namyśle dostrzega się i w tym ustępie zasadnicze skrzywienie i spaczenia. Żeby jaki bohater, jaki rycerz, wojownik za świętą — choćby nawet subiektywnie świętą — sprawę, mógł wzruszyć w chwili upadku, beznadziejnego smutku, potrzeba do tego dwóch warunków: po pierwsze musi się mieć pewność szczerości jego przekonań, szlachetności jego serca, aby litować się nad jego nieszczęściem; powtórze zaś, musi być jeszcze żywą pamięć jego męskich, bohater-skich czynów, aby ten człowiek nie wydał się śmiesznym mazgajem. W szczerość przekonań, w szlachetność umysłu Geyera musi się wątpić z winy samego autora, z tejsamej zaś przyczyny Geyera, działającego po męsku nigdy się do-

tać nie widziało, choć dużo się słyszało o jego gwałtach i okrucieństwach. Tak więc ta scena chyba wrażenia i jeźeli Götz Goethego z piątego aktu, umierający, jest istotnie wzruszającym, bo poeta uczynił zadosyć obu powyższym żądaniom, to zrezygnowany Geyer Hauptmanna z końca czwartego aktu, jest niemal obojętnym, bo autor żadnego z obu warunków nie spełnił.

Gdyby kto wątpił w prawdziwość tego, co się powyżej, na wstępie do niniejszego rozdziału rzekło o naturze i koniecznych warunkach dramatu historycznego, to wystarcza wskazać mu piąty akt *Floryana Geyera*, chcąc jego wątplenie ostatecznie w silne przekonanie i wiarę przemienić. Z całego utworu, mającego aż sześć odsłon, ta ostatnia działa najpotężniej, a raczej jedyna, działa rzeczywiście, jest dramatyczną, dzięki zasadniczej różnicy od poprzednich. Tam było udyalogizowanie historii, zazwyczaj niezręczne, bo i pośrednie a więc epickie, nie dramatyczne i rozbite na mnóstwo epizodów a więc rozpraszające uwagę widza; fabuły, jaką musi mieć każdy dramat, nie było wcale, śladów ludzkiego uczucia, serca, które winno bić żywo w każdym dziele sztuki, było bardzo niewiele. Tu jest historia, ale przedstawiona bezpośrednio, nie opowiedziana pośrednio; stanowi ona tylko ogólne tło, na którym rozwijają się losy nie epickich mas tylko, lecz i dramatycznych jednostek; całość aktu jest zachowaną a nie pokrajaną na drobne kawałki, co więcej, jest nawet rozwiązaniem jakiejś właściwej fabuły dramatu, której początku i środka co prawda tylko domyślać się można. Nie przesądzając szczegółowych uwag o piątym akcie, wypada już tu zaznaczyć, że ogółem wzięwszy, jest on jeden jedyny szczerze dramatycznym.

Sam już początek zapowiada wiele dobrego. W sali na zamku w Rimpard, gdzie poprzednio miała przebywać żona Floryana, w nocy, przy świetle łuny, widocznej z gotyckiego okna, stoi pani Grumbach w gwałtownej rozmowie ze znaną nam już dziewczyną Marei. Dramat Hauptmanna dotychczas kobiet prawie nie miał; była jedna Marei, lecz tylko jako postać epizodyczna. Jestto naturalnym skutkiem jego ogólnego charakteru: kobiety zazwyczaj historii nie tworzą, przynajmniej nie bezpośrednio, to też w udyalogizo-

wanych kronikach mało jest dla nich miejsca. Wprowadzenie kobiet do ostatniego aktu pozwala domyślać się, że może raz przecież, w przedostatniej chwili, autor zerwie z dotychczasową metodą i zamiast historyi da dramat, który rzadko kiedy obejdzie się bez wybitnego współdziałania kobiet. Oczekiwanie wzrasta, gdy się przypomni, że tą kobietą, którą tu po raz pierwszy się widzi, jest pani Grumbach, żona Wilhelma, którego siostra poślubiła Geyera. Węzłami powinowactwa związani, Wilhelm i Floryan, stają dziś w przeciwnych obozach politycznych, ostatni od samego początku dramatu, pierwszy dopiero od niedawna. Wprawdzie nie wie się, czemu Geyer jest wojownikiem za sprawę chłopską, wprawdzie nie rozumie się odstępstwa Grumbacha, mimoto jednak spodziewać się wolno, że z nagromadzenia tych materiałów palnych wybuchnie nareszcie iskra, zwłaszcza, gdy zarzewie rzuci taka pani Grumbach. Już w pierwszych słowach zdradzająca gwałtowne usposobienie, okaże później tyle zaciętości i zawziętości, ambicyi i okrucieństwa, zimnej krwi i energii, że przypomną się postaci Lady Macbeth i całego mnóstwa jej kopij — pani Grumbach, jako pomysł, oryginalną nie jest, lecz wykonana jest bardzo dobrze, jest niezaprzeczenie najlepiej wykończonym charakterem całego dramatu. Marei, wysłana przez Floryana z poselstwem do żony, przybyła do zamku w Rimpur, gdzie jednak już rodziny Geyera nie zastała. Jest tylko pani Grumbach i ta domaga się od niej gwałtownie wydania listu. Marei tłómaczy się, że ma tylko ustne polecenie, z którem przed żoną wroga oczywiście zdradzić się nie chce; namiętna Anna von Grumbach wpada na to w wściekłość, potem widząc, że i tak tajemnicy jej nie wydrze, udaje obojętność: co ją tam mogą obchodzić nowiny od Geyera, tego buntownika i kacerza, z którym ona nic wspólnego mieć nie chce. Parobek stajenny wyprowadza dziewczynę, Anna zaś w rozmowie ze starą szafarką, Urszulą, odsłania nowy, nader charakterystyczny rys swego usposobienia. Oto, choć tak energiczna i niezłomna, jest bardzo zabobonna: trapią ją złe sny, wróżące nieszczęście dla jej męża, boi się zostać sama, słucha cierpliwie opowiadania Urszuli o rozmaitych gusłach i zaklęciach. A wtem wchodzi Sartorius, pisarz ze służby Wilhelma a zarazem przez jakiś

czas towarzyszą chłopów. Anna przyjmuje go bardzo źle, grozi mu nawet turmą, bo obwinia go o bałamucenie męża. Napróżno Sartorius błaga ją o litość, przedstawia, że nie ma dokąd się schronić, bo wszędzie włóczą się chłopscy uciekinierzy i jazda Związku Szwabskiego; pani Grumbach każe go okuć w kajdany i wrzucić do więzy.

Z przybyciem Wilhelma potęguje się interes dramatyczny. Z rozmowy obojga małżonków wnosi się, że Grumbach w oczach Związku nie jest wolnym od podejrzeń; pokrewieństwo z Geyerem i krótka zgoda z chłopami, to widmo przeszłości, staje mu dziś niejednokrotnie na zawadzie, przeszkadza zupełnemu pojednaniu się ze szlachtą, o które chodzi Wilhelmowi a bardziej jeszcze jego żonie. Wyrzuca mężowi, że jej przestróg nie słuchał i wbrew niej bratał się z Geyerem, tym „kaczerem i bluźniercą“! Kollizye dramatyczne nagromadzają się z chwilą, gdy kilku rycerzy oznajmia Grumbachowi, że w pogoni za Geyerem są już na jego tropie. Znacząco przestrzegają Wilhelma przed udzieleniem mu przytułku: niechaj do win przeszłości nie dodaje nowej, niechaj pamięta, że dziś jedynym dla niego ratunkiem jest otwarte popieranie Związku i bezwzględne wyparcie się dawnych towarzyszków. Grumbach niecierpliwie i z namiętnością odtrąca od siebie podejrzenia sprzyjania Geyerowi, a na wspomnienie owej sceny w sali kapitulnej w Würzburgu (z końca pierwszego aktu) zżyma się i wpada w wściekłość, tak bardzo zależy mu na tem, aby był czystym w oczach Związku. Materiał wybuchowy jest więc nagromadzony, zanim jednak przyjdzie do katastrofy, Hauptmann wtrąca epizod, w tem przecież miejscu mniej rażący, niż w poprzednich aktach, gdzie miało się do czynienia jedynie tylko z samymi takimi drobnymi kawałkami. Naprzód mamy i tu pośrednią relację o najnowszej bitwie, stoczonej pod zamkiem w Ingolstadt, ostatniej klęsce chłopów. Opowiadanie długie, dość nużące, już przez to, że opowiadanie, w dramacie niebardzo uprawnione, tu jednak mogące ująć jako środek służący do odwleczenia katastrofy ostatecznej, a przez to do spotęgowania jej wrażenia. Zresztą jest on koniecznym, bo widz musi się dowiedzieć, co się działo z główną postacią sztuki w przerwie pomiędzy czwartym

a piątym aktem. Rycerz Kastell zaręcza, że Geyer brał osobiście udział w tej bitwie; „nikt inny tylko on prowadził oddział i rzucił go na zamek ingolstadzki, gdyby nie on, nieprzyjaciel nie byłby stawiał takiego oporu, nie byłby zasypał rowu trupami“. Co się dalej z Geyerem stało, na razie nie wiemy, bo rozmowa rycerzów urywa się i wszyscy na zaproszenie gospodarza udają się do sali jadalnej. Następuje nowy epizod, już wybitniej ten charakter na sobie noszący. Kilka osób szeroko gwarzy o świeżych wypadkach, a z całej rozmowy ten tylko szczegół godzien jest uwagi, że na głowę Geyera nałożono nagrodę 100 guldenów, kto zaś dostawi go żywego dostanie 150. Tymczasem wraca towarzystwo zebrane u stołu Wilhelma a podochocone winem, bawi się przestraczem i nieszczęściem w niewolę ujętych chłopów, spętanych powrozami. Napróżno jeńcy błagają o litość, zwycięzcy męczą ich i drwią z nich niemilosiernie.

Po szeregu epizodów nawiązuje się przerwana niemi akcja z początku tego aktu. Marei chyłkiem, ustawicznie się trwożliwie na wszystkie strony oglądając, czy jej kto nie widzi, prowadzi po schodach jakiegoś rycerza w czarnej zbroi, z przyłbicą spuszczoną. To bohater dramatu, to Geyer, nieszczęśliwy dowódzca band chłopskich, teraz zbieg bez dachu nad głową, ścigany przez wrogów, jak leśna zwierzyna przez strzelców i psów. Żałować należy, że autor nie wytłómaczył, ba, nawet najmniejszej pomocy w odgadnięciu nie udziela, z kąd markietanka tak dzielnie i tak szlachetnie opiekuje się złamanym, przygnębionym wodzem. Poprzednio już wolała dać się bić i katować, a tajemniczy, którą jej Geyer powierzył, nie wydała, teraz znowu naraża własne życie dla jego wybawienia. Takiego poświęcenia się za pieniądze nie kupi, a zresztą z kądby je wziął Floryan; inne pobudki muszą tu grać główną rolę, ale jakie? mileczy o nich dramat z ogromną dla siebie szkodą. Dość, że Marei żarliwie prosi Geyera, aby coprędzej opuścił ten dom, gdzie jego życiu grozi niebezpieczeństwo. Chwila jest istotnie dramatyczną, to się zaprzeczyć nie da. Dzięki początkowym scenom tego aktu wie się, że Geyera ścigają wrogowie, że są na jego tropie, że podejrzewają Wilhelma o tajemne sprzyjanie szwagrowi, i grożą mu śmiercią w takim razie; wie się, że

Grumbach i sam z siebie i pod wpływem nieludzkiej swej żony zdolnym jest nawet podłości, byle tylko oczyścić się z tych zarzutów; z drugiej zaś strony bezsilny Geyer nie może nawet uciekać, a zresztą, kto wie, czy złamany nie-szczęściem, zechce wogóle szukać ocalenia w ucieczce. Dramatyczna katastrofa wisi więc niejako w powietrzu i po raz pierwszy w sztuce żywo współczuje się z jej bohaterem. Marei na niemą prośbę Geyera podaje mu dzban wina, on pije z niego chciwie, tak jest wyczerpany niedolą ostatnich dni. Na jej rady nie zważa, o ucieczce nie myśli, wogóle jest jakiś bezwładny i z miejsca się nie rusza, bo mu jest tu dobrze. A wtem nadchodzą już goście Grumbacha, za chwilę zaś Flo-ryan i Wilhelm stają naprzeciw siebie.—„Kto jesteś? czego chcesz? ja ciebie nie znam“, kłamie Grumbach, a Geyer odpowiada mu spokojnie: „Krótką masz pamięć, jeżeli mnie nie poznajesz“. Z dalszych słów Wilhelma wyjaśnia się, czemu go nie poznaje, poznać nie chce.—„Czyż mam dopuścić, żeby mnie żywcem poćwiertowano, a mego trupa kat na popiół spalił?“—„Nie znam ciebie, czego chcesz u mnie? znam tylko kogoś, co w swej zuchwałości zapragnął, aby książęta i duchowni tańczyli, jakby on im zagrał. Ale on nie umiał grać i dlatego lutnię rozbito mu o głowę. Teraz książęta i duchowni sami zaczęli grać...“ Napróżno błaga swagier: „Wilhelmie, pragnę tylko przespać się godzinę. Potem pójdę sobie i nigdy ci się na oczy nie pokażę. Ale teraz jestem bezsilny i lada dziecię może mnie powalić“. Napróżno prosi go wkońcu, by mu przynajmniej wskazał gospodę, gdzieby mógł przenocować. Grumbach ani tego uczynić nie chce, aby go nie posądzono o udzielenie pomocy bannicie. Z piersi Geyera wyrywa się gorzkie westchnienie: „O mili rodacy! wdzięczności u Niemców nikt nie pozyska!“ a słowa te budzą w Grumbachu litość i sumienie. „Z nagle postanowieniem“ otwiera szwagrowi drzwi do bocznej izby: „Chodź! wejdź tam! Mogę znieść psy i koty, to i ciebie zniosę przez jedną noc; ale z pierwszym świtem wynoś się odemnie“. Geyer wchodzi do wnętrza, ale dopiero po chwili wahania. Scena jest głęboko dramatyczną, dla niej warto przebijać się przez gąszcze tej udyalogizowanej historii. Uczucie ludzkie, na nic tak nie wrażliwe, jak na nieszczęście, odezwie

się w każdym niezeipsutym widzu. Krytycyzm wątpi w szczerść przekonai Geyera, przypomina jego beczynność z poprzednich aktów, bezdusność tej historycznej figury, ale darmo — nie podobna nie widzieć w Geyerze w tej chwili człowieka dawniej pełnego sił, zwyciężkiego, dziś złamanego na cieie i na duchu, nieszczęśliwego, daremnie błagającego o nocleg, człowieka, którego za chwilę opadną wrogowie, może się będą pastwić nad nim, nawet jego trupowi szyderstw nie oszczędzą. Szczerze dramatyczną jest ta scena już w samym pomysle, wykonanie zaś utrzymuje ją na tej wyżynie, tak jest poważne, proste i wzruszające. Oddając jej sprawiedliwość, wyrażając swój głęboki żal do autora, że zaniedbawszy należytego wykończenia, ożywienia tej postaci w poprzednich odsłonach, znaczenie tej sceny osłabił, niepodobna przecież nie wytknąć mu i tu jeszcze jednego grzechu. Scena działa potężnie, a jednak oczekiwai nie spełnia w zupełności. Spodziewało się, że nareszcie z tego spotkania się dwóch bliskich rodem, a wrogich przekonaniem politycznym, wykrzesze się iskra, która oświecili pomroką otoczone dotychczas i charaktery obu i pobudki, które ich zapędziły do przeciwnych obozów — i nadzieje te rozwiewają się, a ich miejsce zajmuje smutne rozczarowanie. Kto zna *Götza* — a któż go nie zna? — przypomina sobie wspaniałą scenę zaraz w pierwszym akcie, kiedy ten nieśmiertelny Goethego bohater i Weislingen, równie krewni, równie przeciwnicy, obaj we wzajemnej rozmowie charakteryzują się znakomicie, odsłaniają swe przekonania, uczucia, marzenia i ideały tak, że odtąd zna ich się niemal na wylot. Czegoś podobnego żądało się od Hauptmanna, spodziewało się tego nawet, bo ta para Geyer — Grumbach. tak bardzo przypominała tamtą; teraz wszystko zawiodło, Geyer i Wilhelm, jak byli niejaśni, tak już chyba do końca dramatu pozostaną.

Zbliżamy się do katastrofy. Pani Grumbach podejrywa męża o ukrywanie jakiejś tajemnicy, pyta go o tego nieznanego czarnego rycerza, który wszedł do domu, zaklina go, aby Geyerowi schronienia nie użyczał, przyjmuje na siebie odpowiedzialność za przelanie bratniej krwi. Budzi zaspanego Lorenza von Hutten, swego brata, oznajmia mu, że Geyer jest w domu; Lorenz odgraża się mu, żąda od Wilhelma wy-

jaśnień; przypomina mu odpowiedzialność własną wobec Związku, wreszcie zwołuje nawpół pijanych rycerzy. Wilhelm wynosi się potajemnie, nie mając odwagi stanąć w obronie szwagra, a czując ohydę swego tchórzostwa. Marei krzyczy na trwozę, ale milknie zakluta sztyletami, Lorenz już chwyta za klamkę drzwi, prowadzących do bocznego pokoju — wtem otwierają się one gwałtownie i wchodzi Geyer, z drzewcem czarnej chorągwi w jednej, z obnażonym mieczem w drugiej ręce; wzrok jego zimny i groźny, głos mrozi krew w żyłach. Wzywają go, by się poddał na łaskę i niełaskę, on dumnie odmawia i staje gotowy do walki. Rycerze naradzają się pociechu, a Schäferhans tymczasem ustawia się w tyle i zakłada strzałę do luku, mierząc w Floryana. Ten spostrzega to, „krzyczy nagle nadludzkiem głosem: „Judasz! Judasz!“ — a potem obrzuca ich gwałtownymi, wścieklemi przezwiskami. Okrzyk „Żyźka i wolność“ jest jego ostatnim głosem; ugodzony strzałą Schäferhansa ginie, „patrzając przed siebie wzrokiem pełnym nienawiści“. Rycerze tryumfują, oglądają jego zbroję, czytają napis na rękojeści miecza: *Nulla cruz, nulla corona* — i dramat jest skończony.

Jako całość, *Floryan Geyer* jest niezmiernie charakterystycznym nietylko dla Hauptmanna, lecz nawet dla całej współczesnej literatury dramatycznej. W ogólnym sądzie o niemieckim poecie zaważy on niemało. Dowodzi wielkiej już samodzielności Hauptmanna, męskiej przedsiębiorczości i śmiałości. Dla nowożytnego autora dramatycznego, a zwłaszcza dla Hauptmanna nic nie jest tak dalekiem, tak sprzecznem nawet z jego naturą, jak dramat historyczny. Że Hauptmann mimo to zabrał się do napisania *Geyera*, to świadczy o jego samodzielności i o poczuciu swej siły. A jednak w samym pojęciu *Floryana* leży już jego słabość. Gdy na gruncie, który pewnych owoców wydawać niezwykły, gwałtem zaszczepli się je, to wzrosną one może, nawet dojrzałemi się niejednemu wydadzą, lecz smak ich będzie jakiś wątpliwy, kształt jakiś dziwaczny, barwa jakaś chorobliwa. W samodzielności Hauptmanna było dużo pierwiastków gwałcenia natury, w poczuciu swej siły — dużo zarozumiałości i fałszywego sądu. *Geyer* jest wyraźnym i jak dotąd, niezbitym dowodem tego,

że Hauptmann, chwilami potężny, często oburzający, niemal zawsze zajmujący w dramacie współczesnym, staje się nudnym, rozwlekłym, epickim, bladym w historycznej sztuce. *Floryan Geyer* jest płodem poronionym — oto surowy, ale sprawiedliwy o nim wyrok.

A jego uzasadnienie?

Jednym z najciekawszych, a zarazem najtrudniejszych problemów sztuki dramatycznej, jest wzajemny stosunek poszczególnych części do całości, wielości do jedności, różności do jednolitości. W zakresie dramatu problem ten przedstawia się jako zadanie uwydatnienia szczegółów z jednej, a całości z drugiej strony, silnego i śmiałego indywidualizowania jednostek z zachowaniem perspektywy w ich malowaniu, plastycznego przedstawienia etapów akcyi z ustawiczną uwagą na ostateczny jej cel itd. W dramacie historycznym przybywa do tych zadań jedno jeszcze: podmalowanie ogólnego dziejowego tła, z równoczesnem uwydatnieniem szczegółowej akcyi. W dramacie osnutym na tle dziejów wojny chłopskiej trudności dochodziły do jeszcze większych rozmiarów, które swym ogromem najśmielszemu mogły odebrać. Ten zbrojny ruch, to niemal elementarny wybuch siły rozkielznanej, strumień mało gdzie w stałe koryto ujęty, jak i cały ówczesny świat, a zwłaszcza Niemcy, przedstawiają chaos sprzecznych opinii i poglądów, przejściowe stadyum dogorywania starych, rodzenia się nowych idei, częstokroć przy blasku pożaru, przy muzyce jęków mordowanych; jednostki są wśród tego tłumu, ale naprzód ich związek z nim jest zawikłany, zmienny — powtóre zaś ich charakter pełen sprzeczności, nieobrachowany. Dramat niemiecki z *Götzem*, jako osobą działającą, do tych olbrzymich już i tak trudności dodawał jeszcze jedną. Kto po wielkiem dziele wielkiego mistrza śmiałą ręką sięga po te same motywy, ten musi oczekiwać, że ogół te dwa twory treścią zbliżone zestawi w swym sądzie razem, następcę mierzyć będzie miarą poprzednika. Hauptmann, pisząc *Geyera*, wiedział o tem, wiedział, że czytelnicy na całym świecie a przedewszystkiem w zachodniej Europie, jego dramat postawią przy *Götzu* i potem oba porównają i zawyrokują, co więcej, Hauptmann umyślnie takie zestawienie wyzywał.

Niebaczny na te wielorakie, ogromne niebezpieczeństwa, Hauptmann podjął się śmiałego, zuchwałego przedsięwzięcia i — nie wykonał go. Nie mógł go wykonać, bo jest współczesnym, realistycznym autorem i jest Hauptmannem, twórcą *Bobrowego futra*.

Jeżeli kiedy i gdzie, to dziś i w realistycznym dramacie stosunek szczegółów do całości jest nadwątłym, skrzywionym, fałszywym, jednostronnym. Oko, nieraz zadziwiająco bystre w dostrzeganiu najdrobniejszych szczegółów, całości objąć nie jest zdolnym: dramat rozbija się na szereg obrazów, epizodów, każda postać na mnóstwo t. zw. charakterystycznych rysów. Tak jest i z *Geyerem*: epizody górują nad całością, są luźno ze sobą związane, następują po sobie w przestrzeni czasu, nie w organicznym rozwoju; ten skrzywiony stosunek ich wzajemny prostuje się dopiero przy końcu, w akcie piątym, kiedy jest już zapóźno. Obok tego inna jeszcze cecha łączy *Geyera* z realistycznym dramatem naszej doby. Zgodnie z całą literaturą piękną, a zwłaszcza z powieścią, uważa on za swe wyłączne zadanie przeniesienie na papier „wykrawków z życia“, bezładnych, bez wspólnej myśli, bez początku i bez końca; ztąd tak często o akcyi, w dramatycznym pojęciu tego słowa, nie ma ani mowy. Jeżeli ten nowy „styl“ w dziedzinie sztuki współczesnej wydał nieznośne *Futro bobrowe*, to zastosowany do dramatu historycznego musiał dać *Floryana Geyera*, który dramatem historycznym nie jest — z wyjątkiem znowu ostatniego aktu — a jest tylko niezręcznie udyalogizowaną kroniką historycznych wypadków.

Dotychczas przyczyny niepowodzenia zuchwałego przedsięwzięcia Hauptmanna wspólne były całemu realistycznemu dramatowi współczesnemu. Są i inne, jedynie Hauptmannowi właściwe. Jest on poetą o dużym talencie, lecz wprawy w technice scenicznej, zręczności w pisaniu, posiada daleko mniej. To fakt dowiedziony, poparty całem dotychczasowem „dziełem“ jego, nawet *Tkaczami*, które pozornie raczej przeciw temu twierdzeniu przemawiają. Czytając jego dramaty, patrząc na nie z widowni teatralnej, doznaje się uczucia, jakby te postacie w wyobraźni swego twórcy były żywszemi, pełniejszymi, niż tu na papierze lub na scenie, jakby poeta nie zdołał w zupełności wylać treści ich ducha, stworzyć ich

tak, jak ich widział w samotnych myślach. I ztąd nieraz sprzeczność pomiędzy pomysłem a wykonaniem, ztąd bezduśność, szablonowość postaci, które w duszy autora niewątpliwie stawały jasno, żywo i plastycznie, ztąd mnóstwo niedokształconych, niedomówionych figur, od Alfreda Lotha aż do Geyera i Grumbacha. W całym ostatnim dramacie Hauptmanna niema ani jednej, wyraźnie: ani jednej postaci wykończonej — jest tylko tłum rozmaitych figur, na tem ruchliwym tle kilka sylwetek lekko szkicowanych, z mnóstwem niedomówień. Razi to najbardziej oczywiście w Geyerze i Grumbachu, tej słabej i bladej, a rozmyślnej kopii Götza i Weislingena, razi to także przy figurze „rycerza z żelazną ręką“, którego Hauptmann pojął zupełnie inaczej niż Goethe, lecz w tem odmiennem oświetleniu jasno nie pokazał. Niedostateczne opanowanie techniki dramatu widoczne i w tem, że jak w poprzednich sztukach, od *Vor Sonnenaufgang* aż do *Tkuczków* często zamiast dramatycznego przedstawienia działania osób, jest epickie o tem opowiadanie; dwie trzecie *Geyera* to pośrednie relacje o bitwach, zaburzeniach, wypadkach historycznych itp.

Wszystko to ujmuje *Floryanowi* wartości — co go jednak dobija, to brak należytego oddania ducha tej epoki, w której wydarzyły się przedstawione a raczej opowiedziane w dramacie dziejowe wypadki. To niedomaganie *Geyera* okaże się tem silniejszym, gdy się utwór Hauptmanna zestawia z nieśmiertelnym *Götzem*. Co dramatowi Goethego nadaje tyle znaczenia, co go podnosi do wyżyn arcydzieła? Prawda, jest Götz i Weislingen i Adelheid, trzy przepyszne, skończone w sobie charaktery, jest Marya i Elżbieta i Georg, jest wreszcie wdzięczna fabuła — a jednak nad wszystkim góruje wszechstronne niemal a doskonałe, wierne i żywe odtworzenie tych malowniczych, burzliwych czasów. W *Geyerze* nadaremnie szukałoby się tego. Choć autor prawdopodobnie skrupulatnie czytał i współczesne kroniki i późniejsze naukowe opracowania dziejów tej epoki, choć do każdego niemal ustępu dyalogu możnaby przytoczyć odpowiednie źródło, choć po za historycznymi szczegółami w dramacie niema niemal nic, choć nawet język pokryty jest archaistycznym pokostem — mimoto z *Geyera* się nie pozna, jak ludzie pierw-

szej połowy XVI w. czuli i myśleli. Są widoczne w tym kierunku usiłowania, widać znój autora, mozolącego się nad sumiennymi studjami, ale duszy epoki, ale tętna serc ludzkich nie znać. Na domysł, niezupełnie nieuzasadniony, można by się dopatrzeć w Hauptmannie silnej chęci szczególnego odtworzenia religijnych stosunków tego czasu. Zamiar bardzo chwalebny sam przez się, tem chwalebniejszy, gdy się zważy, że bez zaprzeczenia ta strona ówczesnego życia u Goethego najslabiej i najmniej udatnie jest przedstawiona (Bruder Martin w I akcie). Hauptmann jest tu niewątpliwie i szerszym i głębszym, niż Goethe, a jednak i tu, choć postać Karlstadta odrzyna się wypukło od tła, i tu brak połączenia szczegółów z całością, brak jasnego obrazu religijnych zamieszek, nurtujących w narodzie. A co dopiero mówić o innych stronach historycznego kolorytu, np. o życiu prywatnem które w dramacie nie istnieje, choć nieraz wyborna była ku temu sposobność.

Nigdzie u Hauptmanna nie było dotąd takiej przepaści pomiędzy zamiarem a wykonaniem, tem, co być powinno, a tem, co jest, żadne jego dzieło nie jest tak bezwzględnie nieudaniem, jak *Floryan Geyer*. Dowodzi on niezbitnie zasadniczej w nim niezdolności stworzenia wielkiego dramatu historycznego, a gdyby nie zachodziła obawa przedwczesnego uogólniania, należałoby z niego wywnioskować, że współczesna literatura realistyczna cała nie jest zdolną wydać z siebie dramatu historycznego. W takim razie Hauptmann, który mierzył „siłę na zamiary, nie zamiar podług sił“, nie miałby nawet tej pociechy, że „padł wśród zawodu“, dając „innym szczebel do sławy grodu“. Wielkiej tragedji historycznej z wiekowego snu nie obudzi rzesza współczesnych realistów.

Józef Flach.

(Ciąg dalszy nastąpi).

BEZ JUTRA.

POWIEŚĆ.

(Dokończenie).

Więcej jak tydzień upłynął od wypadku, którego, za wspólną ugodą, Jolanta i Jerzy nie opowiedzieli nikomu. Unikali nawet pomiędzy sobą wzmianki o nim, ale, od tego dnia, zdawało się, jak gdyby pani de Surville walczyła z jakimś niepokojem, z jakąś niepewnością bolesną, zaćmiewającą jej przeźrocyste wejrzenie, czasem zmacone jak burzliwe niebo. Był to odcień, zaledwie dotykalny i niespostrzegalny przez inne osoby. Jerzy tylko i pan d'Azeglio jaśniej widzieli. Ten ostatni niepokoił się tem nowem jej usposobieniem, czuł bowiem dobrze, że nie odgrywa w niem żadnej roli, a w drugim słaba nadzieja rozwijała się, poczucie tak delikatne, że nie chciał go zgłębić z obawy, aby nie ulotniło się jak dym.

Względem swojego siostrzeńca Jolanta zmieniła się cokolwiek; swoboda jej umysłu, poufała wesołość i ten ton starszej siostry, którym umiała kolejno łajać go, żartować i zachęcać, wszystko to opuściło ją. Aż do tej chwili ukazywała mu się, jak osoba bezpieczna, na stałym lądzie stojąca, wyciągająca ręce, aby go uratować, jego, który się topił. Obecnie,

wydawała się niepewna, jak gdyby sama walczyła przeciw wzburzonemu falom. Tak przynajmniej zdawało się Jerzemu; ale mógłże mieć zaufanie w swojej wyobraźni artysty i zakochanego? Pod koniec listopada pani de Larcy napisała do Surville, wzywając córkę i zięcia; była bowiem cierpiąca i osamotniona, a zmuszona siedzieć u siebie na wsi dla sprawy majątkowej, dla której nie mogła przyjechać do Normandyi, skarżyła się, że ją opuszczają. Spóźnione wyrzuty sumienia obudziły się nagle w Zuzi. Zrezygnowała się zatem skrócić swój pobyt w Surville, nie omieszkawszy głośno śpiewać o swoim heroicznem poświęceniu! Wyjechać, kiedy jest za ledwie sześć tygodni, jak tu przybyła! Wyjechać w chwili, kiedy czekał ją prawdziwy tryumf, tryumf cudowny, oryginalny, wymyślony genialną ideą pana de Kerdrec. On to bowiem odkrył, że Zuzia mówiła po angielsku zachwycającym akcentem, i on, po najstraszniejszych wysiłkach, zdołał utworzyć trupę angielską, a na pierwszej zaraz próbie Zuzia przewyższyła samą siebie, tak przynajmniej zapewniał pan de Kerdrec. Miałaby więc z pewnością sukces niesłychany. I wszystko to trzeba było opuścić, aby zamknąć się w ponurym zamku z matką niezdrową i częstokroć w złym humorze. Dowprawdy mogła sobie oddać sprawiedliwość, że poświęcenie Antygony było niczem w porównaniu z jej ofiarą.

Pocieszała się jednak, myśląc, że próba nie będzie długą. W końcu grudnia mieli wrócić do Paryża, a chociaż nie było wcale w zwyczajach eleganckiego świata powracać do miasta tak wcześnie, jednak w tych warunkach zezwalała chętnie na przestąpienie modnych obyczajów.

Jerzy rozłączył się z panią de Surville z bolesnem ścisnieniem serca, jakby tajemne przeczucie oznajmiało mu, że rozłączenie to było początkiem nowych smutków. W ostatniej chwili jednak, ten rodzaj przymusu, dającego się czuć w stosunkach pomiędzy nim i Jolantą, ulotnił się; serdeczność dawniejszych dni wróciła w godzinie odjazdu. Jolanta wyciągnęła doń ręce i zatrzymując jego dłonie w długim uścisku, a nie starając się nawet ukrywać wzruszenia, rzekła serdecznym głosem:

— Niech Bóg ma cię w swojej opiece, Jerzy. Sądziś zapewne, że jestem zimna, obojętna, ale bądź przekonany, że nikt na całym świecie nie pragnie tak żywo twojego szczęścia, jak ja!

I te proste słowa wyryły się w głębi serca Jerzego, pielęgnował je jak kosztowny skarb. Ponieważ pragnęła jego szczęścia, ponieważ był czemś w jej życiu, nie mógł być zupełnie nieszczęśliwym. I podczas kiedy kołysał się temi myślami, łagodząc w ten sposób ciężką jednostajność pobytu u pani de Larcy, Zuzia była zajęta tysiącem pięknych projektów, przygotowując program na kwiatowy sezon: tego roku oprócz balu wiosennego, chciała pozaprowadzać poufalsze przyjęcia, z których każde miało mieć swój właściwy powab. Nadewszystko żadnych koncertów z poważną niemiecką muzyką, ani sławnych aktorów francuskiego teatru, wypowiadających śmiertelnie nudne bez końca tyrady. O nie! nie z tego! za to, coś wesołego w guście dzisiejszym, jak na przykład piosenki Yvetté Guilbert. Może być, że pani de Valrégis będzie trochę zdziwioną, mając stare zacofane poglądy dawniejszych czasów, ale niewiele zrozumiawszy, nie będzie się bardzo gorszyć. Co do Jerzego, temu zawsze wszystko jest obojętnem — tylko ciotka Jolanta mogłaby zganić ten rodzaj. Na pewnych punktach okazywała się nieco surową, a chociaż Zuzia miała głowę zupełnie zawróconą światowem życiem, nie chciała jednak narazić sobie ciotki. Uwielbienie jej dla pani de Surville było aż dotąd silniejsze, niż namiętność stania się modną kobietą. Była więc szczerze zmartwioną, dowiedziawszy się, że krytyka, której obawiała się potajemnie, stała się niemożliwą.

Pewnego dnia pani de Surville, chociaż nie nie mogło dać przeczuć podobnego postanowienia, napisała, donosząc o swoim wyjeździe do Rzymu. Powody tej podróży tłmaczyła dosyć lakonicznie: przyjaciółka jej matki, margrabina Ada-Sedie wezwała ją do siebie — biedna, stara, osamotniona kobieta — nie mogła jej zatem odmówić swojej pieczołowitości. Nie wiedziała jeszcze sama, jak długo tam pozostanie, chciałaby była znaleźć się w Paryżu, skoro Zuzia przyjedzie, ale wezwanie przyjaciółki było nadto naglące, aby opóźnić wyjazd. Wybierała się więc w podróż z wiel-

kim żalem, że nie może po raz ostatni ucałować swojej siostrzenicy.

Ten cios nieoczekiwany pogrzył Jerzego w gwałtownej rozpacz.

— O jak niedobłą, jak okrutną była Jolanta! — nie miała więc ani duszy, ani litości!

Wściekły i rozżalony, napisał długi list, pełen wymówek i oskarżeń. W odpowiedzi otrzymał kilka tylko słów, których spokój do reszty oburzył go. Jolanta pisała o obowiązkach, rozsądku, równowadze moralnej, o wszystkich tych rzeczach, wydających się rozgorączkowanej jego wyobraźni i wzburzonemu sercu ironią, pozbawioną zdrowego sensu. Dłaczegóż nie rozumiała, i w ten sposób chciała go wyleczyć? Dla niego był tylko jeden środek: jej obecność — i ten jedyny związek, trzymający go z życiem, ona druzgotała bez wahania, bez wyrzutów sumienia! Niech Bóg raczy jej darować, on bowiem nie może i nigdy nie będzie mógł!

W tem usposobieniu powróciwszy do Paryża, chciałby był przynajmniej uwolnić się od smutnych ceremonij świątowych, tem nudniejszych, że obecnie żadna pociecha nie była dlań możliwą. Ale pani de Valrégis nie przypuszczała nawet, aby syn jej mógł się wylamywać od tego, co ona uważała jako obowiązek stanu. Żona, pod tym względem była pobłażliwszą. Pan de Kerdrec, nader delikatnie wytłumaczył jej, że to nie należy do porządku dziennego, aby młoda i ładna kobieta pokazywała się wiecznie pod opieką swojego prawnego właściciela. Bezwątpienia, zwyczaj wymaga, aby go mieć, ale jest zbyt cieżkim pokazywać wszędzie i ciągle. Ma się małżonka, ponieważ jestto dopełnienie niezbędne, żyje się z nim w zgodzie i pokoju, ponieważ każdy skandal nie jest w dobrym guście. Ale trzeba urządzać się w ten sposób, aby pozostał na uboczu i wtrącał się jak najmniej do egzystencyi swojej żony. Te rady, rzucone niedbaie w rozmowie, nie były dla Zuzi stracone, poprawiała się już ona bowiem zupełnie z tej naiwnej czułości, tak gorąco okazywanej w początkach ich pożycia. A jednak, Jerzy podobał jej się zawsze. Czowała w gruncie, że żaden z jej wielbicieli nie posiadał jego wartości. Mogła była odpowiedzieć, jak owa kobieta, zapytywana, jaki rodzaj uczucia miała dla

męża po pięciu latach pożycia małżeńskiego: „Nie Kocham go już wcale, ale jestem mu bardzo wdzięczną, że jest moim mężem, albowiem nie znam innego, którego chciałabym widzieć na jego miejscu“.

Zuzia zatem broniła zawsze męża, kiedy pani de Valrégis oskarżała go: „Biedny Jerzy! Po co go kłopotać, mamó? to nie jego wina. On taki zacięty meloman. Ale przytem taki dobry mąż, taki pobłażliwy; tylko trzeba wyrzec się już nadziei, aby kiedykolwiek stał się człowiekiem światowym i lubiącym zabawy!“

Jednakże, aby tylko nie sprzeczać się z matką, Jerzy wołał jeszcze wałęsać się co wieczór z salonu do salonu. Co mu to zresztą szkodziło. Czuł się w tym stanie biernej rezygnacji, dzięki której nie go już nie zajmuje i nie nudzi! W towarzystwie wszyscy byli przyzwyczajeni do dziwnego jego usposobienia, a kobiety sądziły go pobłażliwie.

— Z pewnością ma jakiś wielki utwór w myśli — mówiły — niedługo wysunie nam jakieś arcydzieło.

Ale myliły się, bo Jerzy ani myślał o swojej sztuce. I doprawdy co mógłby stworzyć w tym stanie rozstroju nerwowego i rozpaczy. A kiedy patrzył na żonę, na jej niewyczerpaną wesołość, na jej zdrowie, na tę ruchliwość i wiecznie dobry humor, zapytywał się, czy los jej nie był najlepszym; zazdrościł nawet przeznaczenia tych, co znają tylko powierzchowne ły i uśmiechy — tak! byłby pragnął unicestwić się, szukać tajemnicy szczęścia w małych zmysłowych uciechach, w zadowoleniu marnej próżności, dla większej części ludzi zawierającej cel całego życia; byłby chętnie przyjął wszelki moralny upadek, wszystko, aby tylko nie czuć nic i nie cierpieć więcej.

Nie próbował nawet się pocieszyć, pisząc do Jolanty. W jakim celu? Czyż nie okazywała mu aż nadto jasno, że nie istniał już dla niej, skoro opuściła go, bez żadnej przyczyny, dla prostego kaprysu, bo nie wierzył ani na chwilę w wymówki co do chorej przyjaciółki. Jaki powód więc zdecydował ją? Z pewnością nie chęć zbliżenia się do pana d'Azeglio. Jerzy wiedział, że tenże już od kilku tygodni przedsiębrał podróż naukową na brzegach Afryki, szukając tam bezwątpienia zapomnienia i wyleczenia rany serca.

Więc co znaczyło dziwne postanowienie Jolanty? Jeżeli to tylko prosta fantazya, nie nie usprawiedliwiało tak niewytlómaczonego okrucieństwa.

Ale dzień, mający wyrwać go z tego odrętwienia duszy, zbliżał się już. Pewnego wieczora, kiedy siedząc melancholicznie w kącie łoży swojej żony w operze, udawał, że słucha *Miserere* z *Trovatore*, słówko schwymane w locie obudziło jego uwagę. Pan de Kerdrec zwrócił wejrzenie Zuzi na młodą kobietę, wchodzącą do jednej z łóż pierwszego piętra.

— Oto hrabina Gianetti — rzekł — z książąt San Severino. W przeszłym roku wyszła za mąż i robi furorę w Rzymie. Salon jej jest jednym z najpierwszych w towarzystwie Watykanu. Ładna jest, nieprawdaż? Ale brak jej tego czegoś nieokreślonego, jak zwykle wszystkim cudzoziemkom. Nabędzie go w Paryżu, jeżeli, jak zapewniają, przepędz tu wiosnę.

— Ale dlaczegoż nie została w Rzymie? — zapytała Zuzia, nie lubiąca nowych gwiazd na horyzoncie. — Co za szczególna myśl zamieszkać w obcym kraju, kiedy się jest adorowaną u siebie.

— O! właściwie nie zamieszkać — rzekł pan de Kerdrec, śmiejąc się — przyjechała tu pomimo własnej woli i chęci. Ostrożność wygnała ją z wiecznego miasta. Zdaje się, że wybuchła tam jakaś epidemia i to bardzo niebezpieczna, nawet mogąca oszpecić. Hrabina przestraszyła się i przyzna pani, że słusznie.

— Epidemia w Rzymie! — krzyknęła Zuzia — ależ to niemożliwe. Ciotka Jolanta nie wspomina nam o tem... przypuszczam, że wróciłaby, gdyby było niebezpieczeństwo.

Jerzy wniósł się po raz pierwszy do ich rozmowy.

— Wiadomość ta nie musi być prawdziwą — rzekł z przymusem. — Gdyby było coś na seryo, wiedzielibyśmy o tem z dzienników, a te nic nie wspominają.

— Zdaje mi się że *Gaulois* wspominał — rzekł pan de Kerdrec — tylko zmniejszając bardzo prawdę. Jeżeli można wierzyć pani Gianetti, prasa otrzymała pod tym względem rozkazy. W każdym razie epidemia panuje głównie

w ubogich dzielnicach miasta. Pani de Surville może nie być narażoną, jeżeli zachowuje właściwe ostrożności.

— Jednakże — rzekła wzruszona Zuzia — nie trzeba, żeby tam dłużej pozostała. Pojedziemy raczej po nią oboje. Nieprawdaż Jerzy?

— Mam nadzieję — rzekł Jerzy, drżącym głosem — że pani de Surville nie popełni szaleństwa, narażając się bez potrzeby.

I znowu pograżył się w milczeniu, robiąc przez lornetkę przegląd sali. W rzeczywistości, nic nie widział, nic nie słyszał. Co mu powiedziano? że życie Jolanty było w niebezpieczeństwie, że była tam, bardzo daleko wystawiona na zarazę? Epidemia ta była groźna z pewnością; dlaczego więc nie donosiła nic o tem, dlaczego narażała się, kiedy żaden obowiązek ani poświęcenie nie zatrzymywało jej? wszakże pisała do siostry, że pani Ada także wyjechała do swoich dzieci do Genuy? A jednak, bez żadnej rozsądnej przyczyny, przedłużała swój pobyt w Rzymie! Może być, że już była chorą i z swoją śmieszną troskliwością dla drugich nie uprzedzała rodziny z obawy przerażenia ich, co było zupełnie w jej charakterze, ów brak egoizmu, posunięty aż do niedorzeczności. I z tą potęgą torturowania się, właściwą wszystkim nerwowym organizacyom, zamieniał przypuszczenia w pewność i widział już przed sobą Jolantę konającą i wszystkie bolesne szczegóły, towarzyszące śmierci rysowały się w jego wzburzonym umyśle. Krew uderzyła mu do mózgu, serce ścisnęło się. Zdawało mu się, że waryuje...

Na szczęście przedstawienie skończyło się.

Pod pewnym względem świat jest dobrą szkołą, przyzwyczajenie panowania nad sobą pozwoliło bowiem Jerzemu nie zdradzić się przed obojętnymi i zachować twarz nieruchomą podczas czekania na powóz i zamienianych pożegnań. Nawet, pozostawszy sam na sam z żoną, potrafił ukryć straszny niepokój rozdzierający mu serce. Uspokajał ją, kiedy z dziecinnem naleganiem, dręczyła go niedorzeczными pytaniami:

— Prawda Jerzy, jesteś przekonany, że ta epidemia, to tylko wymysł! Nie sądzisz, żeby ciotka Jolanta mogła zachorować? Myślisz, że powróci wkrótce?

Z niezwykłą cierpliwością Jerzy pocieszał ją dobrimi słowami. Epidemia nie miała zapewne wielkiej doniosłości, inaczej wiedzianoby już o niej. Takie rzeczy nie mogą się ukrywać. Jutro z pewnością Zuzia otrzyma list, rozpraszający wszystkie te urojone obawy; i mówił stanowczo, jak gdyby czerpał pewne uspokojenie w tej stanowczości, jak gdyby, zaprzeczając, że istnieje niebezpieczeństwo, usuwał możliwość takowego.

Nazajutrz rzeczywiście Zuzia odebrała list od swojej ciotki. Pani de Surville pisała obszernie i wesoło, nie wspominając nawet o epidemii. Z drugiej strony, dzienniki milczały także. Jerzy zaczynał oddychać swobodnie, kiedy, trzeciego dnia, po wieczorze w operze, wyczytał w *Figaro* następujący artykuł: „Z umysłu unikaliliśmy wspomnienia o epidemii w Rzymie, mając nadzieję, że takowa nie przybierze większych rozmiarów; dziś wydaje nam się niemożliwym zamilczeć dłużej. Od dwóch dni liczba dotkniętych chorobą dosięgła cyfry bardzo niepokojącej, choroba, mająca wszystkie pozory tyfusu, atakuje głównie osoby młode, lub też w sile wieku. Towarzystwo rzymskie emigruje masami w zdrowsze okolice. Sądzymy jednak, że dzięki ostrożnościom higienicznym, zaprowadzonym przez rząd, gorączka zostanie wkrótce usunięta“.

Zatem, straszna rzeczywistość nie uległa wątpliwości. Raz jeszcze Jerzy przekonywał się, że jesteśmy zawsze bliżej prawdy, przewidując coś złego, aniżeli spodziewając się czegoś dobrego! Te kilka wierszy druku, palących mu oczy, mówiły w krótkości, ale jasno, że nieszczęście było tuż obok, nieszczęście prawdziwe, nie takie, które tworzy wyobrażenia i tażsama wyobrażenia rozwiewa, ale nieszczęście, przygniatające nas całą brutalnością faktu. Niestety! Jakże w obecnej chwili, cierpienia przeszłości wydawały mu się małą rzeczą. Dziś, aby tylko uwolnić się od dręczącej go trwogi, aby mieć pewność, że Jolanta jest w bezpieczeństwie, zrezygnowałby się. O! i z jaką radością! aby ona pozostała dla niego nazawsze obojętną — byłby nawet zgodził się, żeby kochała innego, żeby należała do męża, do kochanka, wszystko raczej, niż stracić ją zupełnie!

Kiedy tak rozmyślał pod wpływem bolesnego przecucia, naraz Zuzia wbiegła gwałtownie.

— Widzisz... pan de Kerdrec nie nie przesadził — wołała — ach czytałeś już dzienniki.. no! i co mówisz? Czy pojmujesz ciotkę Jolantę? Musiała stracić zmysły! Wyszliśmy do niej telegram. Czy chcesz go napisać! Ja tymczasem włożę kapelusz i pobiegnę do mamy dowiedzieć się, czy ma jakie nowiny!

— Wyszłę wszystkie depesze, jakie ci się tylko podoba — mówił Jerzy niepewnym głosem. — Ale czy sądzisz, że to przyda się na co? Pani de Surville widocznie postanowiła pozostać w Rzymie; inaczej byłaby już tutaj. Zrozumiałaby, jak straszliwie my, a raczej ty musisz być niespokojną.

— Spodziewam się, że jestem niespokojną — rzekła żywo Zuzia — a ty także powinieneś być niespokojnym Jerzy. Ciotka Jolanta była tak dobrą dla ciebie... ale naturalnie ty lubisz tylko swoją muzykę... reszta nie obchodzi cię wcale. Biegnę na Boulevard Haussmann. Może dowiem się, że ciotka jest już w drodze. Ale ty w każdym razie wyslij depeszę.

Pani de Larcy nie otrzymała żadnej nowiny od siostry — jednakże ponieważ była tylko w stanie niepokoić się, kiedy chodziło o jej córkę, myśli, że pani de Surville jest w Rzymie wystawiona na niebezpieczeństwo zarazy, nie przerażała jej bardzo.

— Jest już w wieku, w którym każdy wie, co robi — mówiła — Jeżeli podoba jej się złapać tyfus, nikt nie może przeszkodzić temu.

I zdawało się, jak gdyby rzeczywiście miała słuszność. Pani de Surville pozostała głuchą na wszystkie prośby i ostrzeżenia. Odpowiadała na nie w sposób uspokajający: „Epidemia nie miała długotrwałego charakteru; przesadzano rzeczy z daleka; zresztą zdrowie jej było doskonałe a obecność w Rzymie bardzo użyteczna, przynajmniej na jakiś czas jeszcze. Nie zatrzymywał jej bowiem żaden błaby kaprys“.

Nie tłómaczyła się więcej, ale w kilka dni później, Zuzia dowiedziała się rozwiązania zagadki. Spotkała się

w jednym salonie z hrabiną Gianetti, a ta ostatnia poprosiła, aby je zapoznano.

— Zdaje mi się — rzekła — że pani ma krewną w Rzymie, margrabinę de Surville. Jakaż to czarująca osoba! A przysięgam, prawdziwa bohaterka. Ale jak też możecie państwo poznać jej narażać się w ten sposób? Właśnie piszą mi ztamtąd, że przepędza cały czas w szpitalach, pielęgnując chorych na tyfus. Jestto bardzo pięknie, ale może być, że trochę z krzywdą tych, co ją kochają.

Wyjaśniony zatem został powód jej oporu, szalone, lecz wzniosłe zarazem jej poświęcenie. Każdego dnia, każdej godziny, wystawia się na niebezpieczeństwo śmierci. Dziś lub jutro padnie ofiarą swojej egzaltacji!

Jerzy przeczuwał to — był prawie pewnym i nie mógł nic przeciw temu przedsięwziąć; musiał pozostać bezwładnym wobec tej strasznej groźby, niemogąc jej zażegnać. Miał poczucie opuszczonego rozbitka na skale w pośród oceanu, który widzi, jak bałwany w około niego wzbijają się ze wszystkich stron, a on nie może uciekać. Oblicza, że kilka minut, kilka sekund jeszcze i wszystko będzie skończone. I powoli, powoli uczuł, że go przenika dziwny jakiś spokój, zwykle poprzedzający wielkie kryzysy życia.

Bałwany nie zalały go jeszcze, ale wzbijały się zawsze — była to już tylko kwestya czasu. Boże mój! Czemuż dzieło ich zniszczenia nie mogło być zupełne? Czemu nie porwały go raczej, zamiast wydzierać mu to, co miał najlepszego? Nie skarżyłby się z pewnością, gdyby mógł umrzeć śmiercią Jolanty.

Złowieszcze przeczucia nie omyliły go. W trzy tygodnie po ostatnich wiadomościach, kiedy już epidemia zmniejszała się i dzienniki zamieszczały codzien uspokajające artykuły, pani de Larcy odebrała następującą depezę: „Margrabina de Surville zachorowała na tyfus onegdaj. Stan niebezpieczny, lecz ostatecznie nie groźny. Zawiadamiam panią bez wiedzy chorej, nie chcąc brać odpowiedzialności na siebie. Doktor Rossi“.

Na ten raz, sama pani de Larcy przyznała, że było to nieco zatrważające. Zuzia wybuchnęła płaczem i sprzecznemi przypuszczeniami:

— Z pewnością, ciotka już umarła. Lada chwila przybędzie fatalna wiadomość. Ale nie... to niemożliwe... ciotka Jolanta była tak silna, zwycięży zatem chorobę, tylko trzeba koniecznie, żeby miała kogoś obok siebie. Z drugiej strony ta gorączka tak zaraźliwa... Jednakże była gotowa pospieszyć do Rzymu, nie obawiała się wcale...

Ale tu matka przerwała jej. Nigdy nie zezwoli, żeby córka popełniła takie szaleństwo. Ponieważ ktoś musiał się poświęcić, to już chyba ona, stara kobieta — egzystencyja jej nie miała już żadnej wartości, ale niestety wąż jej zdrowie nie pozwalało przedsięwziąć takiej podróży — ustalaby z pewnością w drodze.

Wówczas Jerzy z kolei odezwał się.

— Niemożliwym jest, aby pani de Surville była sama i chora w obcym kraju — rzekł głuchym głosem — wyjadę dziś wieczorem, i jeżeli Bóg raczy pozwolić, przywiozę ją tu.

Zuzia, szlochająca z ukrytą twarzą w chustce, podniosła żywo głowę.

— Ach Jerzy, nie chcę, nie chcę... pomyśl tylko... a gdybyś dostał tyfusu! Byłyby dwa nieszczęścia zamiast jednego.

— Nie dostanę tyfusu — rzekł Jerzy z goryczą — zresztą nie idzie o to... Pani de Surville jest umierającą... potrzebuje obecności jednego z nas, a matka ma słuszość... ani mama, ani ty nie jesteście w stanie znieść trudów podróży. Powtarzam więc, że wyjadę dziś wieczorem.

Pani de Larcy sprzeciwiała się bardzo słabo postanowieniu zięcia. W gruncie była mu wdzięczną, że ją uwolnił od przykrego i niebezpiecznego obowiązku. Zuzia, popłakawszy, długo ocierała łzy, myśląc, że mąż jej jest prawdziwym bohaterem, że zresztą podług wszystkich doniesień, epidemia już wyczerpała się i że musiałby rzeczywiście mieć chybasz czególnie nieszczęście, żeby się zaraził. Oprócz tego lekarz zapewniał, że stan chorej chociaż niebezpieczny, nie był jednakże bez nadziei. Zatem ciotka Jolanta wyleczy się niewątpliwie. Jakże będzie szczęśliwą, zobaczywszy ją powracającą z Jerzym. I pocieszona tą myślą, dziecinna jej natura zapomniała już o groźnej teraźniejszości.

Wieczorem Jerzy wyjechał do Rzymu. Podróż ta była dla niego rodzajem ulgi. Przynajmniej robił coś, biegł na jej pomoc. A skoro raz już będzie przy niej, uratuje ją z pewnością, biorąc w objęcia i tuląc do serca! Namiętna jego miłość wyrwie ją z niebezpieczeństwa — nie dozwoli śmierci przybliżyć się...

Ale jak długa, jak strasznie długa była przestrzeń! Stacje następowały jedna po drugiej i zdawało mu się, że pociąg zwalniał biegu co chwila. Zbliżając się do celu, zaufanie osłabło, przerażenie opanowało go znowu. Gdy wyjechał z Florencyi, krótka nadzieja kołysząca go w początku podróży, ulotniła się zupełnie, ustępując miejsca ślepej, szalonej, nie możliwej do zwalczenia obawie; teraz pragnąłby zatrzymać czas, nie posuwać się naprzód. Boże sprawiedliwy, co czekało go tam! I kiedy znalazł się nakoniec na wielkim dworcu kolei w Rzymie, kiedy, wysiadłszy z wagonu, zobaczył otaczający go gwarny i obojętny tłum, popychający go, krzyżący i śmiejący się wesoło, cała rozpacz nagromadzona w jego sercu wybuchła bolesnym jękiem: „Jakto! Wszyscy ci ludzie żyją, ruszają się, kwitną zdrowiem. Jakiem prawem, kiedy biedna ukochana istota, tysiąc razy droższa, niż wszystkie te egzystencje razem, walczyła ze śmiercią, lub też może już przestała walczyć“.

Wsiadł do powozu, drżącym głosem dając adres woźnicy: *Palazzo Brazzoli* i znowu gorączkowe pragnienie wiadomości ogarnęło go — zdawało mu się, że stangret jechał umyślnie powoli przez ciasne i puste ulice, mające jakiś fantastyczny pozór w bladych promieniach księżyca, i niepokój wtrząsał całem jego ciałem. „Boże mój — jak to daleko, jak daleko, nie dojadę więc nigdy!“ A słowa gorączkowe wyrывały się z jego ust: „Boże! Boże! ulituj się nad nią!“

Ale powóz toczył się zawsze tymsamym wolnym ruchem. Jerzy nawpół zgięty, dyszący, z piersią poruszającą się konwulsyjnie, powtarzał bez ustanku: „Przyjadę zapóźno... zapóźno“.

Nagle wstrząśnienie obudziło go. Powóz uderzył o trotuar i zatrzymał się przed wielkim budynkiem, mającym ten

opuszczony pozór, cechujący zwyczajnie wszystkie włoskie mieszkania.

— *Ecco il Palazzo Brazzoli* — rzekł stangret.

Jerzy już był wyskoczył z powozu, popchnął uchylone drzwi, przebiegł po omacku przez ciemne podwórze potykając się na nierównych schodach, prowadzących na ganek. Tu, drugie drzwi nawpół otwarte, przedsiónek słabo oświetlony, a dalej, w głębi, Siostra Miłosierdzia i druga kobieta w czarnej sukni, rozmawiające cicho z tym poważnym akcentem, którego używa się instynktownie w przybytku śmierci. Ach! Jerzy już nie potrzebował zapytać się! Wiedział o wszystkim. Straszne zwątpienie zamieniło się w pewność, jeszcze straszniejszą. Pozostał przybity na miejscu, a oczy, zwiększone przestrachem, wlepił w kobiety ciągle mówiące i nie zwracające na niego uwagi. Nakoniec, jedna z nich, zakonnica, spostrzegła go i przybliżyła się:

— Jesteś pan zapewne] krewnym pani margrabiny, wszak prawda? — rzekła po francusku.

Coś w bolesnym wyrazie twarzy młodego człowieka rozculiło jej i dodała słodkim tonem:

— Nie trzeba jej żałować panie! — umarła jak święta, ofiarowała życie dla bliźnich — dziś otrzymuje nagrodę.

I widząc, że Jerzy, za całą odpowiedź zaprotestował szalonym ruchem:

— Idźmy — rzekła z powagą — zobaczywszy ją tak spokojną, tak piękną, zrozumiesz pan, że jest szczęśliwa, że dusza jej znalazła pokój.

Schwyciła lichtarz na stole i skierowała się ku schodom.

— Tędy — mówiła.

Jerzy szedł za nią — posuwał się naprzód jak automat, nie wiedząc, gdzie go prowadzą. Czuł tylko ciężar nieznośny w mózgu, a wszystkie jego myśli mieszały się w niewytlómaczonym chaosie. Zakonnica przesuwała się jak cień, osłaniając chudemi palcami płomień świecy. Teraz byli na górze, przechodzili długą galeryę, w której wiatr wył świstami, podobnymi do ludzkiej skargi. Przed drzwiami, zakrytymi wielką portyera, zakonnica zatrzymała się.

— Tu leży zmarła — rzekła.

I znowu opanowana litością, położyła wazką rękę na ramieniu towarzysza:

— Nie bój się pan — widok jej przyniesie ci pociechę.

Cichym ruchem, podniosła zasłonę i w bladym świetle gromnicy, Jerzy zobaczył Jolantę — Jolantę nieruchomą, bez życia, jak widywał ją już niestety tak często w swoich snach. Jolanta leżała z dłońmi złożonemi na piersiach, a jasne jej włosy tworzyły jakby złocistą aureolę; wokoło marmurowej twarzy niewymowny, nieziemski spokój opromieniał czoło, a jednak można było przypuścić, że jakiś doczesny żal dotknął jej duszę, kiedy już unosiła się do wyższych sfer. Łza zaćmiła jej oczy w chwili, kiedy miała zobaczyć czyste rozkosze nieba, i na bladym policzku ślady tej gorzkiej łzy były jeszcze widoczne. Dla kogo ona płynęła? Kogo żalowała Jolanta umierając?

Pomimoto jednak zakonnica miała słuszość. Wobec anielskiego spokoju tego ostatniego snu, zamilknąć musiały wszystkie namiętne żale! Kto zobaczył cudowne te rysy, z wyrazem głębokiej wiary, nie mógł wątpić, że po za światem czeka nas lepsze życie. I Jerzy, zwyciężony powagą śmierci, już nie przeklinał surowych wyroków boskich! Wiara dawnych czasów obudziła się silnie w nim; padając na kolana, złożył ręce i z rozdartego serca wzniosła się modlitwa, niegdyś w dzieciństwie powtarzana za matką rano i wieczór: „Ojcze nasz, któryś jest w niebie... bądź wola Twoja“.

.

Długo pozostał zatopiony w niemej medytacyi. Nagle zadrżał, usłyszawszy głos przy uchu. Stary ksiądz z litościwą twarzą pochylony był nad nim.

— Mówię do pana de Valrégis, wszak prawda? — zapytał.

Jerzy dał znak potwierdzający.

— Może pan margrabia zechce przejść do drugiego pokoju, mam coś wręczyć panu od biednej Signory.

W milczeniu Jerzy podniósł się i poszedł za księdzem do małego saloniku, w którym pani de Surville zapewne przebywała często, ślady bowiem jej obecności widoczne były wszędzie: biurko, zarzucone papierami, fortepian okryty parzycami, tysiące drobnych przedmiotów, porozkładanych na

stole, wszystko to miało dla Jerzego znaną już fizyognomię coś, co widywał dawniej. Wszystko mówiło o niej, a woń fiołków, przenikająca powietrze, wywoływała potężniej jeszcze niż reszta wspomnienie ukochanej zmarłej. Naraz, oczy Jerzego spostrzegły na biurku otwartą książkę, a w niej, pomiędzy stronnicami, pozostawioną rękawiczkę — i przypomniał sobie, jak niegdyś w czasach szczęśliwych, żartował czasami z jej przyzwyczajenia pozostawiania wszędzie swych rękawiczek, i ten prosty fakt stał się kroplą, przepelniającą czarę goryczy. Runął na posadzkę z głuchym jękiem.

Ksiądz, przez szacunek dla jego cierpienia trzymający się dotąd na uboczu, zbliżył się:

— Nie chcę pana pocieszać banalnie — rzekł — rozumiem, że ci, co znali panią de Surville i kochali ją, muszą cierpieć straszliwie, oplakując jej stratę. Bóg nie zabrania łez. Ale zawsze święta religia uczy nas, że powinniśmy poddać się, przyjmując bez szemrania wyroki Boskie, chociaż wydają nam się nielitościwymi. Pobożna zmarła byłaby cię nauczyła rezygnacyi, gdyby dozwolonem jej było to, czego tak gorąco pragnęła: rozmówić się z tobą po raz ostatni. Przynajmniej mogła była wyrazić ci swoje życzenia, swoje ostatnie rady. Oto list, który napisała do pana na kilka godzin przed śmiercią, polecając mi oddać ci takowy osobiście.

I podał Jerzemu kopertę zapieczętowaną, na której ręka Jolanty napisała: „Wręczyć panu de Valrégis po mojej śmierci“. I nie czekając odpowiedzi, ksiądz skłonił się i powrócił do łóża zmarłej.

Pozostawszy sam, Jerzy, nieruchomy, patrzył przez łyż na cienki zwitek papieru, wsunięty mu przez księdza w rękę. Zatem było to wszystko, co mu zostało po Jolancie. W ostatnich chwilach okrutnych cierpień, pomyślała o nim, ulitowała się nad jego miłością, chociaż nie mogła jej podzielić. Tak! aż do końca była dobra, tą idealną dobrocią tak kolejno przez niego przeklinaną i uwielbianą. Ze czcią i czułością oderwał pieczęć, nie rozdzierając jej i otworzył list, datowany dziesiątego marca w wigilię śmierci.

„Mój kochany Jerzy!

„Zażądałam od doktora całej prawdy. Wiem, że muszę umrzeć i chociaż czasami, w godzinach zwątpienia, życzyłam

sobie skończyć życie, dziś nawprost tej strasznej tajemnicy żałuję doczesnych dni, i z sercem pełnem łez, spełniam moją ofiarę“.

„A jednak, jednak czuję w głębi duszy, że Bóg dobrze czyni — niema bowiem dla mnie miejsca na tym smutnym świecie. Tyle cierpiałam i ty tyle wycierpiałeś przezemnie. Widzisz zatem, że lepiej jest, że schodzę z tego padolu“.

„Mówię do ciebie prosto, nie ukrywając nic obecnie. W tej chwili, kiedy już walka skończona, słodko mi jest wyznać ci, jaką miłością kochałam cię, jakiego wysiłku potrzeba było, aby się nie zdradzić, aby nie dać ci nigdy przypuścić mojej słabości. Dziś nie jest już grzechem, abyś wiedział o tem. Zdaje mi się, że śmierć moja zamiast nas rozłączyć, przybliży, że daje nam prawo kochania się i że szczęściem mojego życia wiecznego będzie kochać cię zawsze, całkowicie, bez walki i bez wyrzutów“.

„I, powtarzam ci: dobrze jest, że umieram, gdyż nie mogłabym znieść dłużej tej tortury, być zarazem tak blisko ciebie i tak daleko — zresztą nie odchodzę zupełnie. To co jest najlepszego we mnie, to nie kończy się i nie opuści cię nigdy. Bóg dozwoli, że dusza ciotki Jolanty pozostanie przy twojej“.

„A teraz ostatnia moja prośba. Nie wiedziałeś, jak cię kochałam i nie wiedziałeś także, do jakiego stopnia dumną byłam z twojego geniuszu, tego geniuszu, którego nie przypuszczasz nawet doniosłości. To, czego pragnę, o co proszę cię uchodząc, jest, abyś stał się dla wszystkich wielkim artystą, którego wzniosłe myśli napępniały mnie radością. Zapomnij o marnych chwilowych smutkach, nie słuchaj już próżnych gwarów ziemi. Ale bądź posłusznym natchnieniu, drgającemu w twojej duszy. A kiedy po wielu walkach wydasz światu dzieło potężne, takie, jakie ja czuję i wiem, że możesz stworzyć, kiedy, dzięki tej boskiej mowie, będącej twoim udziałem, osuszysz wiele łez, pocieszysz wiele ludzkich cierpień, wówczas, Jerzy, misya twoja będzie spełniona. Sława twoja stanie się moją i ja będę szczęśliwą, szczęściem otrzymanem od ciebie“.

I patrz! Stopniowo, jak otwieram serce moje przed tobą, obawa śmierci niknie i odchodzę z rezygnacją, myśląc, że

biedna nasza miłość uzyskała przebaczenie, że już nie jest dla ciebie niebezpieczeństwem, lecz siłą i podporą.

Jolanta“.

Różnorodne czule i gwałtowne uczucia tętniły w sercu Jerzego, czytającego te strony. Przez chwilę, rodzaj dziwnej radości opanował go. Ona kochała go! Ona, Jolanta, oddała mu miłość za miłość! I okrutna rzeczywistość znikła wobec zachwyty tego objawienia. Ale przelotny ten błysk nie trwał długo i znowu wpadł w ponurą ciemność nocy, jak smutną była tajemnica ich przeznaczeń! Czemu spotkali się tylko po to, aby cierpieć i umrzeć jedno przez drugie? Lecz wkrótce, wstyd przed samym sobą, ogarnął go. Jaktó! podczas, kiedy on, ze słabością poddawał się rozpaczy, ona, cierpiąc równie jak on, walczyła mężnie, chwiejąc się sama, wyciągnęła doń rękę, aby go podierać, a kiedy uczuła, że siły wyczerpały się, że już upada pod podwójnym ciężarem, wówczas, cicha i odważna, szukała przytulku w objęciach śmierci!

Tak, była to prosta i wzniosła historia jej życia. A czemże był on w porównaniu z tą idealną istotą? Ona, tak szlachetna, tak wyższa nad wszystkich, jak mogła zniżyć się ku niemu, nie osądzić go niegodnym swojej miłości? A jednak tak było — Jolanta kochała go i nie nie mogło rozerwać węzła, tak ściśle łączącego ich nazawsze. Ach! powiedziała prawdę, zapewniając, że nie uchodzi zupełnie, gdyż z po za grobu będzie kierować jego życiem. Pragnęła dla niego sławy. Z jej powodu zdobędzie takową i urzeczywistni to marzenie wielkości, kołyszące ją aż do końca. I wracając cicho do pokoju zmarłej, klęknął znowu u stóp łoża, gdzie leżało wszystko, co ukochał na świecie; patrzył długo w przezroczyście te rysy, a schylając się ku niej, jak gdyby mogła go usłyszeć, wymówił wolno uroczystą obietnicę:

— Przysięgam, że będę ci posłusznym droga, ukochana; niechaj Bóg wspiera mnie, a kiedy wypełnię twoją wolę, niechaj powoła mnie do siebie i rączy połączyć z tobą.

X.

Przedwczesna i romantyczna śmierć pani de Surville, tej młodej i pięknej kobiety, padającej ofiarą poświęcenia dla bliźnich, obudziła pewne wzruszenie w paryskim towarzystwie. Świat, częstokroć mniej płochy, niż się wydaje, i lepszy, niż go sądzą, skłania się chętnie przed wielkim czynem, wówczas nawet, kiedy czuje, że nie byłby w stanie go naśladować. Przez cały tydzień Jolanta była przedmiotem wszystkich rozmów! Opowiadano tysiące szczegółów, prawdziwych lub wymyślonych, o jej chorobie i ostatnich chwilach i wszyscy zgadzali się, żeby chwalić i uwielbiać. Następnie, ponieważ nie jest możliwem rozczulać się za długo, była mowa o kwestjach majątku. Tu, rzeczy były jasne i proste. Zuzia odziedziczyła wszystko i znaleźli się ludzie, zazdroszczący tego niespodziewanego szczęścia Jerzemu. Rzeczywiście, Valrégis ma nadto szansy. Gromadzi miliony na miliony. Zresztą całe jego postępowanie było bez zarzutu. On sam, z całej rodziny pojechał do Rzymu i nie zdradził żadnego niewłaściwego zadowolenia. Prawda, że pani de Surville nie była ciotką podobną do drugich, taka ładna, taka czarująca, ale to nic nie znaczy. Smutek Jerzego zawsze był ozłocony. Takie są sądy ludzkie.

Strata ciotki Jolanty była pierwszym cieniem w życiu Zuzi — to też cierpiała ona o tyle, o ile powierzchowna jej natura mogła cierpieć. Przez dwadzieścia cztery godzin płakała bez ustanku, potem okryła się krepą i ta kwestya żałoby, do której niezbyt wielką przywiązywała wagę, rozerwała nieco jej smutek. Nawet uśmiechała się trochę — o bardzo mało — kiedy, przymierzając czarne ubranie, zobaczyła się w zwierciadle i szwaczka, patrząc na nią, zawołała:

— Doprawdy, gruba żałoba jest bardzo do twarzy pani margrabinie.

Ale zawstydzila się tej pustej myśli w takich warunkach, a lzy jej wybuchnęły znowu obficie, słuchając odczytywania testamentu. Biedna najdroższa ciotka Jolanta zapisała jej wszystko. Ach! na całym tym bożym świecie, nie było nigdy

ciotki, mogącej się porównać z nią! I Zuzia szlochala ciągle, podczas, kiedy pani de Valrégis, więcej czuła i pobłażliwa jak nigdy dla synowej tak obdarzonej doczesnymi dobrami, tuliła ją do piersi, pieszcząc serdecznie, Zuzia ścisnęła także teściową. Ona, przynajmniej miała dla niej współczucie, ale Jerzy! Och! on był tak chłodny, tak obojętny — nie nie mówił, ani razu nie zapłakał! Widocznie, nie żałował wcale ciotki Jolanty.

Dnie upływały i powoli, powoli Zuzia ocierała łzy, a z wielkiego, niepocieszonego żalu, pozostało jej tylko czule wspomnienie z piękną miną rezygnacyi, kiedy była mowa o pani de Surville. Biedna ciotka! Aż do ostatniej chwili żałować jej będzie, ale koniec końcem chociażby płakała od rana do wieczora, to nie może zmienić stanu rzeczy. A życie, pomimo wszystkiego ma tyle dobrych stron! I pewna myśl, nieokreślona w początku, z czasem wyraźniej rysowała się w jej umyśle. Surville, okazały ten i ulubiony zamek, obecnie należał do niej i nieśmiało, z rodzajem wstydu, przedstawiała sobie w wyobraźni tę rolę pani domu, którą tam miała pełnić w bliskiej przyszłości. Tego roku? O nie, byłoby zawcześnie. Ale, po upływie ośmnastu miesięcy, to inna rzecz. Można będzie z pewnością przyjmować w porze polowania. Życie zatem ubiegało zwykłym trybem w domu przy ulicy św. Dominika, z tą różnicą, że młoda pani de Valrégis nie bywała w świecie.

— Droga moja synowa! — mówiła stara margrabina — rzeczywiście ma złote serce. Nie może się pocieszyć, chciałabym, aby podróżowała, ale ani ona, ani syn mój nie lubią podróży. On myśli tylko o swojej muzyce. Prawdziwa namiętność! Ale ma to za sobą, że zajmuje go i nie szkodzi nikomu.

Pani de Valrégis mówiła chętnie obecnie o usposobieniu artystycznym syna. Mając pięć kroć sto tysięcy fr. rocznego dochodu, można sobie pozwolić oryginalnej fantazyi posiadania talentu.

Zresztą, jak mówiła matka, zdawało się, że Jerzy istniał już tylko dla pracy. Śmiertelnej rozpacz, wyczerpującej w nim źródło życia, nikt nie domyślał się nawet. Nie pozwolił żadnej profanującej ciekawości przeniknąć bolesną

jego tajemnicę. Łzy takie jak Zuzi mogły płynąć otwarcie, jego musiały spływać w milczeniu, w głębi serca!

O tak! Świat, twierdząc, że postępowanie jego było bez zarzutu, nie oddawał mu jeszcze zupełnej sprawiedliwości. Dziś, kiedy przeszła konieczność działania, zapytywał samego siebie, gdzie znalazł siły, aby nie upaść pod ciężarem tego krzyża. Zwracając oczy po za siebie, przejęty bolesnem zdziwieniem, wołał: „Jak mogłem przeżyć tak okrutne chwile“. On to bowiem sam oddał Jolancie ostatnią przysługę, on rozrządził wszystkie smutne szczegóły pogrzebu i przywiózł do Francyi zwłoki ukochanej zmarłej — on także po licznych staraniach, otrzymał pozwolenie, aby jeden z warunków jej testamentu mógł być wypełnionym, to jest aby pogrzebano ją na cmentarzu Picpus¹⁾. Spoczywała tam, pomiędzy swoimi, w tym uprzywilejowanym przytułku, a teraz, kiedy ostatnia garść ziemi spadła na jej grób, Jerzy został sam ze swoją przysięgą. Miał usprawiedliwić zaufanie Jolanty i aby być jej posłusznym, stworzyć sobie sławne imię wobec świata.

Wówczas zaczęło się dla niego życie samotne, pracowite, które może nie byłoby bez pewnego melancholijnego wdzięku, gdyby gorycz wiekuistego żalu nie zatrzymała go zupełnie, gorycz tak silna, że czasami niweczyła w nim wszystkie władze duszy, émiła natchnienie i zdolności. Lecz były to przechodzące chwile słabości, a po każdym kryzysie, powstawał energiczniejszy i cierpliwszy. Mimowiednie wielka zmiana zaszła w nim; smutki życia, pragnienie szczęścia, uciekającego od niego, rozczarowanie, gwałtowne uczucia, wszystko to było już bardzo daleko. Patrzył na przeszłość jakby z górą, z tym litościwym uśmiechem, wywołowanym cierpieniem drugich. Zdawało mu się, że wszystko wokół niego wzięło rozbrat z rzeczywistością. Wiedział, że dla matki i żony czas upływał jak dawniej, że na świecie istoty ludzkie nie przestawały śmiać się lub płakać, ko-

¹⁾ Cmentarz, na którym wyłącznie spoczywają zwłoki arystokratycznych rodzin, ofiar Rewolucyi 1793 roku i ich potomków. Od czasu zaprowadzenia Republiki obecnej, zabronionem jest grzebać na tym cmentarzu.

chać lub nienawidzić, walczyć dla marnych jednodniowych korzyści lub interesów, jak gdyby śmierć nie miała nigdy ich pochwycić! Ale wszystko to widział jak we mgle. Sądził bowiem, że świat cały był nieużyteczny i bez treści istnienia, skoro Jolanta przestała żyć. Pomimo jednak tej obojętności, tego oderwania od ziemskich spraw, nie przestawał gonić za swym celem, i w tej uporeczywej pracy czerpał rodzaj rozkoszy, tej rozkoszy, znanej tylko wybranym, dotkniętym iskrą geniuszu.

Wziął za przedmiot swojej opery poetyczną legendę północy, unieśmiertelnioną przez Adama Mickiewicza w poemacie *Konrad Wallenrod*. Jolanta dała mu poznać takowy. Dzięki jej, bo go czytała w oryginale, mógł ocenić całą wielkość tego arcydzieła i odczuć jego tęskny wdzięk. W małym saloniku na *Cours la Reime*, w towarzystwie Jolanty, przepędzał długie godziny, czytając i rozbierając ten cudowny utwór, i raz, kiedy unosił się nad pewnemi ustępami, pani de Surville, uśmiechając się łagodnie, rzekła: „Pojmujesz tak dobrze to dzieło, Jerzy, odkrywasz mi w niem tak liczne, dotąd nieznanne zalety! Dlaczegoż więc nie przetłómaczyłbyś go w twoim własnym języku? Byłby to prześliczny temat“.

Jerzy przypominał sobie te słowa i obecnie chciał spróbować przedstawić na scenie ten dramat, którego posępne barwy zgadzały się tak dobrze z jego własnym smutkiem. Głos jego nie miał już dziś siły opiewać nadzieję lub szczęśliwą miłość — ale mógł wyrazić rozdzierające wzruszenie i zabijającą rozpacz. Natężywszy więc wszystkie siły, zabrał się do pracy. Ze znakomitem poczuciem wymagań sceny, sam ułożył i napisał libretto i udało mu się oddać w całości tę dziką wielkość wraz z naiwną czułością, tworzącą podwójną cechę polskiego poematu. Potem przystąpił do strony muzycznej, i nie odpoczywając, z tą łatwością, zjawiającą się czasem po długim przerwaniu pracy, napisał akt pierwszy. Ogarnęło go w tych początkach kompozycji to gorączkowe uniesienie, rozpędzające wszelką wątpliwość i przekonujące autora, że jest dosyć wymownym, aby obudzić w drugich pochłaniający go zapał. Co sam czuje tak głęboko, zdaje mu się łatwym wyrazić w ten sposób, aby wszyscy czuli i rozumieli jak on. Ale to zaufanie nie

trwa nigdy długo. Wkrótce Jerzy wpadł w fazę zniechęcenia i obawy. Gdy rozważał bacznie to, co napisał z tak wielkim zapalem, zwątpienie opanowywało go. Boże mój! Jakże było to dalekiem od tego, o czem marzył. Te harmonie, w których pragnął zamknąć tak wzniosłe i nowe myśli, ulotniły się, pozostawiając tylko blahe i próżne tony, uderzające ucho, nie przenikając serca. I wówczas drżał szalonym gniewem i chciał wszystko zniszczyć, spalić, wszystko opuścić. Po co próbować dalej? Jolanta, w ślepej swojej pobłażliwości, omyliła się. On nie był w stanie nic stworzyć i mógł ofiarować światu tylko rozpaczliwą miernotę. Wmawiał to w siebie, a jednakże nie przestawał pracować, słuchając wewnętrznego głosu, nakazującego wytrwałość i nie poddawanie się własnemu, zbyt surowym wymaganiom. Czasami, wracając do ustępów najwięcej go niezadowolniających, dziwił się, znajdując takowe mniej wadliwemi, aniżeli sądził, i wówczas słaba nadzieja ożywiła go. Opierał się zwątpieniu, powracając znów z gorączkowym zapalem do pracy.

Wpółśród tych sprzecznych wrażeń, upłynął rok od śmierci Jolanty. Zamek w Surville był ciągle zamknięty, ale pani de Valrégis i Zuzia przyjmowały licznych gości w Pierrefitte. Jerzy zaś, pod pozorem pracy pozostał w Paryżu, spędzając samotnie długie miesiące w hotelu przy ulicy św. Dominika.

Żył tam jak w klasztorze. Rano, od szóstej godziny siedział już przy pracy, nie przerywając jej aż do schyłku dnia. A potem, nie zaniedbując nigdy świętego dla siebie obowiązku, odbywał bolesną i drogą zarazem pielgrzymkę do cmentarza Picpus. Odźwierna klasztorna знаła już dobrze tego młodego wysmukłego człowieka o bladej i smutnej twarzy — interesowała się nim, bo wydawał się bardzo nieszczęśliwym. Serce starej zakonnicy odgadło boleść nieuleczalną, nad którą czuła głęboką litość, chociaż nie mogła jej zrozumieć. Jerzy przechodził koło niej, kłaniał się z roztargnieniem, nie odgadując obudzonego współzucia. Przebiegał dziedziniec kaplicy i alee ogrodu, otoczone pachnącemi roślinami i dochodził do drzwi na prawo wiodących na cmentarz. Na samym jego końcu znajdował się grób Jolanty.

Jerzy przesuwiał się powoli pośród pomników; widując je tak codziennie, zapoznawał się z niemi, znał już położenie każdego i kiedy czytał te nazwiska znakomite, których świetność zgasła pod kamieniem grobowym, doznawał pewnego rodzaju ulgi! Bo i po co tak rozpaczać, skoro wszystko kończy się tu? Garść prochu, imię wyryte na marmurze i wokół wiekuiste milczenie.

Jerzy lubował się w tem milczeniu! Pozostawał długo przy grobie Jolanty, z oczyma wlepionemi weń z tak gorączkowym wyrazem, jak gdyby żar tego spojrzenia mógł zdruzgotać kamień i wyzwolić z więzienia drogą ukochaną. Klęcząc przy kracie, otaczającej pomnik, przyciskał do niej czoło, wywołując jedne po drugich wspomnienia zbyt krótkiej przeszłości. A jedyne pragnienie, żyjące w nim jeszcze, wyrwało się na usta w bolesnej prośbie, raz już wymówionej przy łożu śmiertelnem Jolanty: „Niechaj dożyję chwili, aby wypełnić przysięgę, a następnie niechaj Bóg połączy mnie z tobą, moja jedyna miłości“. Częste przechadzki na ementarz Picpus, połączone z ciągłym natężeniem władz umysłowych, żywiły w nim pewną egzaltację, wyczerpującą siły, ale nie szkodzącą postępowi pracy. Rozpoczął takową w sześć tygodni po śmierci pani de Surville — skończył na kilka dni przed smutną rocznicą. I było to zupełnie jego własne dzieło — tworząc je, nie zażądał nigdy ani pomocy ani rad innych. Nie dlatego, aby miał zarozumiałe zaufanie w własne zdolności, ale dlatego, że przede wszystkim chciał pozostać samym sobą, dojść do celu własnymi siłami. Obecnie zaś, jeżeli sędzia kompetentny dowiedzie mu, że jego utwór jest wadliwy, zniszczy takowy, lecz go nie podda zmianom ani poprawkom. Taki, jak go poczuł, jak wytrysnął z jego mózgu, wyda go światu lub też rzuci w zapomnienie.

Od wielu już lat był w stosunkach przyjaznych z jednym z wielkich mistrzów tegoczesnej szkoły, człowiekiem młodym jeszcze, chociaż już sławnym. Uwielbiając sztukę dla sztuki, żyjąc w właściwej sobie atmosferze, której nie zaćmiewała żadna pospolita zazdrość zawodu, zachował on był korzystne wspomnienie pierwszych próbek twórczości Jerzego i skoro tenże przedstawił się u niego, przyjął go

z otwartemi ramionami — lecz zmarszczył znacząco brwi, kiedy młody człowiek wytlómaczył mu cel swojej wizyty.

— Operę dajesz mi do przejrzenia — rzekł, kiwając głową — całą operę, wielką machinę! Wiesz, że to może zanadto odważnie na rozpoczynającego! Rozumiem dobrze, że imię margrabiego de Valrégis dla trzech lub czterech tysięcy osób z krwi błękitnej zrobi efekt wspaniały, ale widzisz „towarzystwo“ to jeszcze nie publiczność. Dyrektor nie będzie się zajmować dowodami twego szlachectwa, ale wartością twojego towaru. A, w obecnej chwili, wielki tłok na targu. Nie możesz wystawić sobie, co za masa fałszywych Wagnerów, pod-Massenetów i pseudo-St. Saënsów. Jednakże przejrzę i zbadam do gruntu twoje dzieło. Wszakże chcesz szczerą prawdę? Po przejrzeniu powiem ci zatem sumiennie, co o tem myślę.

Uplynęły dwa, a nawet trzy miesiące, a pan de Valrégis nie odbierał żadnej wiadomości. W zamian, poczuł skutki niezmiernego wyczerpania sił. W początku więc czerwca, kiedy Zuzia nie myślała nawet odrywać się od całego szeregu *garden-parties*, wyścigów i ślubów, które z tej pory roku czynią w Paryżu czas nader niezdolny, Jerzy wyjechał sam do Pierrefitte. Obecnie, kiedy wysiłek władzy umysłowych był już skończony, kiedy duszy jego zabrakło tej potężnej pociechy, jaką jest praca, szalona rozpacz ogarnęła go znowu tak gwałtownie, że chwilami zdawało mu się, iż zwaryuje. Dziwne widzenia przesuwaly się przed jego oczyma. Ciagle widział Jolantę obok siebie, czasem wesółą, z uśmiechem na ustach, jak wówczas, kiedy ukazała mu się po raz pierwszy na terasie w Surville — to znów bladą, przezroczystą jak widmo, wlepiającą w niego wzrok zacieniony łzami, jakby płakała za straconą nadzieją, a on kołysząc się marzeniem, nachylał się ku niej, szukając na jej ustach wyznania miłości, ukrywanej przed nim aż do końca swego życia. Były to upajające marzenia, podobne zapewne do tych, których doznają zwolennicy opium, ale dla niego, jak dla nich, reakcyą była okrutna i po zachwyceniu, następowały chwile szaleństwa, rozpacz i łez, nie sprawiających ulgi, lecz wyczerpujących siły. Czuł się zupełnie zdruzgotanym, zestarzał się, włosy jego siwiały, a kiedy przypadkiem zau-

wałzył ten straszny wpływ zmartwienia moralnego na siły fizyczne, cieszył się, bo i po cóż miał zostać młodym i zdrowym? dlaczego śmierć miała go oszczędzać, skoro zabrała Jolantę?

Bawił w Pierrefitte od trzech tygodni, kiedy list artysty, któremu powierzył swoją operę, przywrócił go do rzeczywistości.

— Mój drogi — pisał tenże — z największą czcią schylam głowę przed tobą. Nie mówię ci, że masz talent — nie — posiadasz prawdziwy geniusz. Nie sądz, że to próżne pochlebstwo; najlepszy dowód, że kiedy porwany i oczarowany zaniósłem twoje dzieło do dyrektora opery, tenże po przejrzeniu natychmiast zaproponował przedstawić w czasie sezonu przyszłej zimy twoją wielką, jak mówiłem z lekceważeniem, machinę! Co mówisz o podobnym tryumfie? Masz dopiero lat 32, wszak prawda? i wstępujesz bez trudności na pierwszą scenę w całym świecie, podczas, kiedy tak wielu nieboraków czeka i czeka, nie mogąc posunąć się naprzód! Ale cóż robić! Ma się geniusz, lub niema. Czekamy na ciebie, aby ułożyć wszystkie szczegóły i winszuję ci raz jeszcze całem sercem.

Błysk radości, to czarujące wrażenie opanowujące autora, kiedy widzi, że jest rozumianym przez drugich, zadrzało w sercu Jerzego, kiedy czytał te wyrazy. Dumnym z samego siebie wcale nie był, ale pierwszy raz od śmierci Jolanty, ciężar, zginający go ku ziemi, nie druzgotał go tak okrutnie. Czyż nie wypłacił bowiem swojego długu? Czyż nie ofiarował ukochanej zmarłej wszystkiego, co miał najlepszego w sobie? Na drugi dzień wyjechał do Paryża.

XI.

Wiadomość, że opera Jerzego została do wystawienia przyjętą, sprawiła pani de Valrégis i Zuzi pewne uczucie niedowierzającego zdumienia, zamieniającego się wkrótce w szczerą i prawdziwą radość. Zuzia głównie była ucieszona, myśląc, że tak wiele będą mówić o jej nazwisku. Naturalnie sława męża będzie jej sławą i pod wpływem bardzo ludzkiego

złudzenia, zdawało jej się, że miała prawo stanąć na piedestale i spoglądać z góry na biednych śmiertelników, nie czyniących, nie, aby odróżnić się od tłumu.

Przyjechawszy, Jerzy znalazł wszystkie trudności już załatwione, które nie mogły zresztą być wielkie, ze względu że stworzył wyjątkowe dzieło i zgadzał się z góry na wszystkie warunki, nie chcąc nawet słuchać o nich. Pragnął tylko, aby rzeczy postępowały jak najprędzej, obawiając się zupełnego wyczerpania sił, podczas gdy takowe były mu jeszcze potrzebne. Ale nie do niego należało wybrać czas. Dopiero w końcu zimy *Konrad Wallenrod* miał być przedstawionym. Aż dotąd nie było zbyt wiele czasu dla prób.

I znowu upłynęło sześć miesięcy w mozolnej dla Jerzego pracy. Był obecnie w ciągłej egzaltacji, lękając się, aby wykonanie nie zmieniło charakteru jego dzieła. Musiał walczyć z uporem, z pretensjami, częstokroć z brakiem zrozumienia swoich wykonawców. Ale uśmiechy ironiczne, z jakimi przyjęto w początkach jego niedoświadczenie i nieznamość pewnych scenicznych szczegółów, zmieniły się wkrótce w uwielbienie. Nie było wątpliwości, ten pan margrabia znał swoją sztukę. Z wielkiem poczuciem rzeczy i precyzyą wskazywał niektóre efekta, wykreślał inne i słuchano go — dano mu się prowadzić.

Było to nader ważne zdarzenie artystyczne i zarazem światowe — to pierwsze przedstawienie *Wallenroda*! Dzięki pewnym niedyskrecyom, artyści wiedzieli już, że mają oceniać nie jakieś próbki amatora, przybrane mniejwięcej szczęśliwie w formułę wagnerowską, ale dzieło, dziwnie duchowe i ofiarujące nie tylko nowości instrumentalne, ale przede wszystkim w dziedzinie psychologicznej nieznanne i głębokie myśli. A w salonach opera Jerzego była przedmiotem wszystkich rozmów. Usposobienie było wogóle życzliwe. Czyż bowiem nie musiał posiadać sto razy więcej talentu, niż artyści fachowi, aby zdobyć sobie odrazu miejsce w świecie sztuki. Nakoniec, po tysiącnych nieuniknionych zwłokach — naznaczono pierwsze przedstawienie na środek Wielkiego Tygodnia. Ogólnie zgodzono się, aby nikt nie dał żadnego w dniu tym wieczoru, aby wszyscy stawili się na *rendez-vous* w operze.

W tych ostatnich godzinach oczekiwania, Jerzy zobojętniał nagle i zupełnie. Nie czuł już ciężaru zwątpienia. Wiedział, że dzięki nadludzkim usiłowaniom, wypełnił całkowicie przysięgę złożoną Jolancie, ale nie doznawał tego wewnętrznego zadowolenia, o którym się marzy, będąc jeszcze bardzo daleko od dnia, mającego spełnić takowe. Więcej jeszcze niż kiedykolwiek przygniatało go gorzkie poczucie nicości, marności wszystkich ambicyi, nawet najwyższy opanował go chorobliwy niepokój duszy, ginącej w nieureczywistnionych pragnieniach, w niepocieszonym żalu i najstraszniejszych, bo ukrytych cierpieniach. Oczekiwany wieczór nadszedł nareszcie. Od wpół do dziewiątej sala opery przybrała zwyczajną fizyognomię wielkich uroczystości. Cały rój kobiet, przypadkiem punktualnych, przedstawiał od dołu aż do szczytu schodów jakby różnobarwną falę. W galeriach mężczyźni w czarnych frakach i białych krawatach przesuwali się spieszenie, rozmawiając żywo. Łoże napelniały się, a Zuzia, chociaż dosyć niechętnie, siedziała w małej parterowej łoży. Miała ona nieprzepartą chęć tronować na pierwszym piętrze, ale pan de Kerdrec wytłómaczył jej, że ponieważ w życiu wszystko trzeba przewidzieć, nawet skutek niepomysłny, zatem, w tych warunkach, właściwiej jest dla żony autora trzymać się na uboczu!

Co do Jerzego, ten był niewidzialnym. Rola jego stała się bierną; obecnie siedział sam w półcieniu małej łoży przy kulisach, czekając prawie obojętnie rezultatu stanowczej próby Boże mój! Jakże smutno mu było. Jak śmiertelnie smutno. Cały ten gwar brzmiał, jak nuta fałszywa w jego uszach. Jak mogli wszyscy ci ludzie brać życie tak na seryo? Czy oni nie znali, co to cierpienie? Czy nie stracili nigdy ukochanej istoty?

Nagle zadrżał. Pierwsze akkordy uwertury obudziły go, jak głos przyjazny. Było to w początku coś słodkiego i nieśmiałego, jak skarga niewyznana — potem harmonia rozwijała się — Leitmotiv rysował się tęskny i przenikający. Stopniowo symfonia wybuchała z potężną i nieodporną siłą, jak prawdziwy krzyk rozpacz, wyrwany z duszy i mknący w smutnym i gasnącym jęku.

Zasłona podniosła się. Przed jego oczyma jak obrazy fantastyczne, rozwijał się cały dramat: zebranie Krzyżaków w świętem mieście Marienburgu, pieśń Wajdeloty, przerywająca wrzawę uczty prorockiem ostrzeżeniem, wyznanie Aldony, umierającej z ziemskiej miłości w głębi samotnej wieży, a na ostatku gwałtowna rozpacz Konrada, walczącego między namiętnością a patryotyzmem. Z jaką rzadką umiejętnością Jerzy potrafił wcielić się w osobistość Wallenroda! Jak jego własny ból brzmiał potężnie w żalu dzikiego Litwina! Cała sala słuchała, zatrzymując oddech, ta sala złożona z ludzi przeżytych, ze sceptyków, lub też nieznających się na rzeczy, zdawała się naraz przenikniona jakimś nadziemskim powiewem, porwana na wyżyny idealne, widziane po raz pierwszy. Kobiety płakały prawdziwemi łzami. Tożsamo gorączkowe uczucie drżało we wszystkich piersiach. A cud ten wywołał geniusz jednego człowieka!

Na końcu drugiego aktu, podczas kiedy brzmiały burzliwe oklaski, dyrektor wszedł do łoży Jerzego.

— Co za tryumf, kochany panie de Valrégis! — zawołał. — Co za wspaniały tryumf! Dawno już nie mieliśmy podobnego przedstawienia w operze. Jesteś pan wzruszony? Rozumiem to. Wolisz być sam? Odchodzę zatem, ale, na końcu, z pewnością nie unikniesz owacyj!

I pożegnał go, ściskając gorąco dłonie.

Trzeci akt rozpoczął się. Słuchano z uroczystem milczeniem majestatycznej sceny, w której Konrad tłumaczy się wobec swoich nieprzyjaciół, rzucając im w twarz, jak obelgę te ostatnie wyrazy: „Oto są grzechy mojego żywota“.

Jerzy już nic nie słuchał. Dziwna duszność, jakby paraliż przygniatała mu piersi, zdawało mu się, że ściany jego łoży ścieśniają się, że w końcu zamkną się nad nim, przyduszając go! Nie — nie mógł już dłużej tu pozostać! Jakby słuchając instynktu zachowawczego, wstał, przesunął się przez puste korytarze i doszedł do wyjścia. Świeżość wieczoru przyniosła mu ulgę chwilową; bezmyślnie, szedł wprost przed siebie pod gwiazdzistym niebem, z poczuciem, że ucieka przed cierpieniem, że tam, w nieokreślonej dali, odzyska spokój.

I szedł długo, długo, nie czując zmęczenia, nie zapytując siebie, gdzie idzie. Droga była zupełnie pusta. Żadnego dźwięku kroków, ani cienia spóźnionego przechodnia — tylko przed nim wielka biała plama, blady księżyc, rozpościerający swoje promienie w cieniach nocy.

Naraz, jakaś niewidzialna siła zatrzymała go. Znajdował się na wprost klasztoru Piepus! Ach! Obecnie rozumiał wszystko. Nie mógł pozostać tam, ponieważ Jolanta wzywała go, chciała go mieć przy sobie! Tak, tu było jego właściwe miejsce, przy tym grobie opuszczonym.

Zbliżył się i zatrzymał niepewny. O tej godzinie cały klasztor spał; nie otworzą mu drzwi, ale w tejże chwili przypomniał sobie, że w murze, oddzielającym cmentarz od Avenue St. Mandé, znajdowały się małe drzwi, które często zapominano zamknąć — w każdym razie, najmniejszy wysiłek zdruzgotuje je i tamtędy będzie mógł wejść.

Skradając się po omacku, jak złoczyńca, Jerzy doszedł do drzwi — zasuwą źle przymocowana otworzyła się bez trudności, przeszedł wielki trawnik z drzewami, pokrytymi bladym kwieciem i wszedł cicho na cmentarz. Błękitne światła migotały na marmurach. Można było sądzić, że błędne ogniki przelatywały w powietrzu, zatrzymując się na grobach i nadając takowym fantastyczny pozór. Jerzy posuwał się naprzód spiesznym krokiem, zaczepiając się o żelazne kraty, popychany jedyną myślą, jedynym namiętnym pragnieniem: połączenia się nazawsze z Jolantą!

Raz jeszcze, jak przed chwilą przy drzwiach klasztoru, jakaś siła magnetyczna zatrzymała go; grób Jolanty ukazał się tuż obok niego i z głębokim westchnieniem przypadł na kolana. Skończył nakoniec ciężką pielgrzymkę i doszedł do celu.

Obecnie cierpiał już mniej, o daleko mniej! Tylko myśli mięszały się, wpadając jakby w letargiczne odrętwienie, ale zdawało mu się, że Jolanta uleczy go. Winna mu była nagrodę! Za co? Już nie przypominał sobie, ale wiedział, że zasłużył na takową. Ona przybliży się do niego, położy rękę na jego czole i ten straszny odmęt, to szarpanie w mózgu uspokoją się... I rzeczywiście cierpienie usuwało się powoli. Uczucie niewymownie słodkie upajało go. Z pewnością Jo-

lanta była obok niego — przyciągała go do siebie — tuliła do serca, patrząc nań takim dobrem, czułem wejrzeniem... Ach! jakże był szczęśliwy, mógł nareszcie usnąć w jej objęciach, a kiedy się obudzi, ona zawsze będzie przy nim nachyloną, z tysamym czułym wzrokiem i promieniejącym uśmiechem.

Dnia następnego fatalna wiadomość krążyła po Paryżu. W salonach, w klubach, na bulwarach, wszędzie rozmawiano żywo, puszczając w obieg nowinę.

— No! i co mówisz o tem? Ten biedny Valrégis! Co za tragiczny koniec! W sam dzień takiego nadzwyczajnego tryumfu! Jakto! Nie wiesz? Wystaw więc sobie, że podczas przedstawienia, Valrégis zniknął i wszelkie poszukiwania, aby go odnaleźć, były nadaremne! Dziś rano dopiero znaleziono go w jakiejś oddalonej stronie miasta zemdlonego na cmentarzu, gdzie wdarł się Bóg wie jakim sposobem. Ale co najsmutniejsze, to, że kiedy przyszedł do siebie, nie miał już przytomności — zupełnie zwaryował biedny chłopiec! Lekarze mówią, że wywołało to zanadto silne i przedłużone natężenie mózgu i że nie ma już ratunku. Co za szkoda, nieprawdaż? Taki cudowny talent! Taka piękna przyszłość! I wszystko to, aby skończyć w domu waryatów! Bo mała margrabina nie zatrzyma go z pewnością u siebie — ona nie lubi nużących obowiązków.

I rozłączano się, potrząsając głowami. Ostatecznie zdarzenie to jest pocieszające dla zwyczajnych umysłów. Często bowiem geniusz od szaleństwa jeden krok tylko oddziela!

Ludwika Rouher.

Z KURSU SOCYALNEGO

W KRAKOWIE W R. 1897.

I.

Wstęp.

PRZEMOWA,

wypowiedziana na zamknięcie kursu socyalnego.

Skończyły się więc roboty nasze. Rozstaniemy się niebawem z miłym uczuciem, żeśmy tego czasu nie stracili, a przyszłość pokaże, o ile z słów tu rzuconych skorzystamy, o ile z uczniów zamienimy się w apostołów. Jeżeli się tu zbraliśmy w celu porozumienia, wymiany myśli i uczuć, rozjaśnienia pojęć i ogrzania serca, to dlatego, że chwila jest ważną, że stoimy na przełomie dwóch wieków i na przełomie wyobrażeń ludzkości. Liberalizm wypełnił całe dziesięciolecie XIX wieku. Twierdził on, że ludzkość naturalnie się rozwija, że każdy w pierwszym rzędzie o sobie myśleć powinien; wywiesił jako sztandar skrajny indywidualizm, który ogłosił życie za walkę o byt swój, najciaśniejszy, o ciasnem przedewszystkiem sercu. Wywołał on reakcyę dążeń kolektywistycznych, które pomiatają indywidualami, chciałyby je utopić w masie bezbarwnej i tą masą styranizować wszelkie indywidualne wole, siły, natchnienia, które dotąd rzucały wielkie myśli, wielkie czyny i niezbędne kwiaty w wir codziennego, pospolitego życia.

W środku między temi skrajnościami stoi zdrowe pojęcie socyologii, pojęcie chrześcijańskie, to, które szanuje

indywidualizm uprawiony, każdą jednostkę jako odrębną i swoją godność posiadającą duszę, a z drugiej strony dla masy i jej potrzeb ma ucho i serce, nakłada na jednostkę społeczne obowiązki, przypomina, że należy współczuć z bliźnimi!... *misereri super turbas*, jak głosił Zbawiciel, przypomina, że życie nie ogranicza się na walce o byt indywidualny, lecz że walczyć także należy o byt innych.

Jest to wielkie hasło chrześcijańskie, dziwnie odżywione i głośnie w cieplej drgających sercach schyłku naszego wieku. Na nas spada obowiązek, abyśmy je przyjęli, wyznawali, w czyn wprowadzali i bronili przeciw tym, którzy je wykrzywają i paczą. Bo współczuć z masami nie znaczy tego, że indywidua nad masą sterczące trzeba nienawidzić, ścigać, czernić i niszczyć, nie znaczy tego, że całą ludzkość obniżyć należy i spospolitować, wyrównać w dusznej i bezdusznej płaskości, pozbawić wszelkiego wznoszenia i polotu ku wyżynom miłości Boga i ojczyzny. Nierówność w naszym pojęciu będzie między ludźmi zawsze, chodzi tylko o to, aby ją łagodzić coraz bardziej przez to, że więcej uposażeni będą się zniżać do tych, których uszlachetniać, wywyższać, podnosić należy.

W naszym kraju jest pod tym względem obfitość zadań i obowiązków większa, niż gdziekolwiek. Kraj jest biedny, a liberalne pojęcia, że należy jednostkom pozostawić zupełną swobodę rozwoju, pograżyły całe masy ludności w ciężkiem położeniu, pozbawiły je opieki światła, a w części i serca. To grzechy opuszczenia, które ciążą na wszystkich, powetować należy, otrząść się z gnuśności, która pod wielu względami dotąd panowała. Jedni cofali się od pracy z niezajomości położenia, inni wskutek wygodnego egoizmu, który wszelkie społeczne zadania na rząd zwał, inni wreszcie z lekceważenia dla planów i mrzonek agitatorów. Zapewne, iż te mrzonki nie urzeczywistnią się nigdy, ale co się już urzeczywistnia i urzeczywistniło, to wielki rozstrój i przewrót w duszach mas, który dla agitatorów z pierwotnego środka staje się już celem i hasłem. Wobec tej organizującej się i dezorganizującej wszystko nienawiści, trzeba miłość zorganizować, zespolić wszystkie szlachetnie myślące

żywiły w pracy wspólnej i społecznej, popierać się wzajemnie w jedności uczucia i czynu.

Aby się do tego czynu podniecić, zebraliśmy się tutaj. Wszelkie teorye obmyślające leki i ratunek na choroby społeczeństw, przesunęły się przed słuchaczami i ważniejsze od teoryi czyny i działania znalazły tu odgłos i rozdźwięk i dopominać się będą naśladowania. A samo miejsce, w którym się zebraliśmy, wniosło odpowiedni nastrój w te obrady, radzącym o przyszłości, przypominało przeszłość, naszą drogą przeszłość Jagiellońską, z której ludzie, którym nienawiść dla innych uczuć w sercu nie zostawia miejsca i łącznie z nimi ci, co nie mają nic polskiego ni w twarzach ni w duszy, śmia się dziś natrzęsać i uragać.

My z innym uczuciem przystąpiliśmy do dzieła. Jeżeli liberalizm plużył sobie w terażniejszości i o niej prawie wyłącznie przemyślał, jeżeli dzisiejsze mrzonki wybiegają w przyszłość i o przyszłości tylko marzą, to nam prócz terażniejszości i przeszłości także i przeszłość pozostała i pozostanie w myśli i sercu, bo wierzymy, że wszelka praca tylko wtedy jest twórczą, jeżeli jest owianą miłością Boga i ojczyzny, jeżeli się nie sprzeniewierzy Chrystusowi i duszy własnego narodu.

Dr. Kazimierz Morawski.

II.

Cele polityki agrarnej.

Dawny to u nas zwyczaj, że ile razy mówi się o sprawach rolniczych, tyle razy podnosi się ich wielką gospodarczą, społeczną, narodową doniosłość, a zwyczaj ten tak jest ogólnym, że czasami dawały się już słyszeć wątpliwości, czy też my jednostronnie nie przeceniamy znaczenia rolnictwa, wątpliwości, że w tej ocenie większy może ma udział tradycyjne zamiłowanie do roli, pamięć, że w dworach naszych myśl narodowa najsilniej żyła, aniżeli trzeźwy a bezstronny sąd o faktycznych stosunkach i ich istotnem wzajemnem znaczeniu. Ale pomimo pozorów jednostronności, jest jednak

ten sąd przyznający rolnictwu i rolniczemu stosunkom pierwszorzędne znaczenie — i to nietylko u nas — zupełnie uzasadnionym. Pierwszorzędne to znaczenie polega na wpływie rolnictwa na cały stan kraju, a wpływ ten w różnych objawia się kierunkach. Rolnictwo dostarcza płodów służących wprost do pożywienia — zboże, warzywa, mleko, mięso — a fakt ten, nawet pomimo nowoczesnego rozwoju komunikacyi, jest wielce doniosłym pod względem gospodarczym i politycznym; ono dostarcza surowców, tworzących podstawę dla licznych gałęzi przemysłu, młynarstwo, garbarstwo, browary, gorzelnie, cukrownie; ono wreszcie stanowi pośrednio podstawę jedynie silną i zdrową dla rozwoju przemysłu wogóle, bo tworzy najpewniejszego i trwałego odbiorcę na wyroby krajowego przemysłu. Powodzenie rolnictwa, każdy dobry rok gospodarczy, dają się bezpośrednio dodatnio uczuć po miastach, taksamo jak znów rozwój miast tworzy korzystny rynek zbytu dla płodów rolniczych, a to stwierdza wyraźnie niezawsze niestety zrozumianą ogólną solidarność interesów między rolnictwem a przemysłem, jak również wielkie pośrednie i bezpośrednie ekonomiczne znaczenie rolnictwa. Tylko tam przemysł na silnej oparty podstawie, gdzie krajowy targ jest jego głównym odbiorcą; przemysł skierowany głównie czy wyłącznie na eksport, może czasowo być źródłem wielkich dochodów, lecz w nim tkwi zarodek przesilenia na przyszłość, jemu grozi stopniowa utrata zbytu w miarę przemysłowego rozwoju krajów, co dotąd są jego odbiorcami, a ta — nieunikniona kiedyś — utrata zbytu, staje się ruiną odnośnych fabryk, robotnicy masami utracą zarobek, wiele kapitału zmarnieje. Ztąd fałszywą jest polityka gospodarcza, co niepomna ekonomicznego znaczenia rolnictwa nakłada nań ciężary, aby sztuczną taniością surowca przemysł na eksport rozwijać.

Po za ekonomicznem ma rolnictwo i wielkie społeczne znaczenie, a mianowicie przez to, że zatrudnia trwale bardzo znaczną liczbę ludzi i daje wielkiemu procentowi tych ludzi choć skromny, ale względnie niezależny byt. Powiedziano niegdyś, że niezależność ekonomiczna nietylko na ilości i jakości posiadanych wytworów rzeczowych polega, ile raczej na pewności jutra, na pewności, że i jutro będzie gdzie

głowę złożyć i co do ust włożyć. Tak pojętą niezależność rolnictwo daje i dawać może znacznej liczbie ludzi, a ta okoliczność doniosła wielce dla zdrowia społecznych stosunków.

I nietylko w przenośnem, lecz w ścisłym znaczeniu tego słowa ma rolnictwo wielkie znaczenie dla zdrowia społeczeństwa. Praca rolnicza nie zna tak daleko posuniętego technicznego podziału roboty, jak przemysł, gdzie nadmiar jednostronnego zajęcia kalectwa nieraz wywoływał; praca ta odbywa się przeważnie nie w dusznych i ciasnych lokalach, lecz na świeżem powietrzu; pożywienie rolnika, to znów głównie wprost z roli, bezpośrednio z jego gospodarstwa pobrane produkta, nienarażone na rozwielnione dziś fałszerstwo pośredników, jak pożywienie ludności miejskiej, a to wszystko utrzymuje zdrowie ludności wiejskiej na względnie wyższym poziomie. Ma to doniosłe znaczenie dla ogółu, bo z rolniczych szeregów rekrutują się trwale i uzupełniają wszystkie inne zawody, a nam wszędzie zdrowych pracowników potrzeba; od trwałych bowiem i dobrych zdrowotnych stosunków kraju zależy bezpośrednio ogólna wytwórczość kraju.

Pod względem politycznym występuje znaczenie rolnictwa w dwóch kierunkach: ono przywiązuje człowieka do ziemi, i on przywiązuje się do tej ziemi, odczuwa bezpośrednio jej złą i dobrą dolę, on zrozumie przez to, że jego ojcowizna to kawał ojczyzny; kochając ojcowiznę nauczy się kochać ojczyznę, a miłości synów każda matka pragnie, patriotyzmu obywateli potrzebuje każdy kraj. I ztąd narodową klęską dla kraju, gdy jego ziemia w znacznej części w cudzą przechodzi rękę, gdy przejdzie w ręce, co nie ukochały przeszłości tej ziemi i nie chcą na tej przeszłości lepszej przyszłości budować. A to jest właśnie tą drugą polityczną zaletą rolnictwa przez jego wpływ na oddanych mu ludzi, że ono jest szkołą spokojnego, stopniowego postępu. Kto ma nie tęgi sad, a ulepszenie zacznie od wycięcia drzew, od zerwania zupełnie z przeszłością, ten długo, długo czekać będzie na owoce, i pytanie jeszcze, czy przyjmą się te jego nowe drzewa, czy te młode latorośle przetrzymają pierwsze szrony życia. Nauka ta przez codzienną obserwację rolnikowi dana, ma swą wielką doniosłość dla politycznego ży-

cia, bo i tu jedynie drogą stopniowej reformy, a nie przewrotem, nie rewolucją dochodzi się wcześniej i napewno do polepszenia stosunków, a to znów rękojmą bezpiecznego postępu, gdy szerokie koła ludności, wyposażone w prawa polityczne, mają o tem świadomość i tą świadomością silne, porwać się nie dadzą na lep rewolucyjnych obiecań. Widząc zaś, że nie sama wola i czyn człowieka zapewniają dobry rezultat podjętych prac, że jedna chwila gradowej burzy zniszczy plon całorocznej pracy a jedna słotna jesień nadługo zachwaści pola, odczuwa rolnik, że jest jakaś wyższa potęga, rozumie, jak dlań ważnym „blask opieki Bożej“. Religijne uczucia i przekonania żyją też wśród ludności rolniczej zwykle dużo pełniejszym tętnem, a to fakt moralnie i politycznie doniosły, bo religia jest szkołą cnoty i szkołą obowiązków, a w twardej walce politycznej te nie upadną, te dźwigną się, te zwyciężą narody, którym hartu duszy, poczucia obowiązków, którym cnoty i wiary nie zabraknie ¹⁾.

Niema więc w tem ani jednostronności, ani przesady, gdy mówimy o bardzo wielkiem i wszechstronnem znaczeniu rolnictwa, a to znaczenie rolnictwa daje nam pogląd na to, jakie zadania przypadły rolnictwu, jaką przeto być winna i jakie rezultaty ma przynieść dobra organizacya rolniczych stosunków. A więc pierwszym zadaniem rolnictwa jest możliwie wielka i dobra produkcyja, bo na niej opiera się ekonomiczne znaczenie rolnictwa dla całego kraju; im ta produkcyja większą i lepszą, tem szerszą jest podstawa dla dobrobytu społeczeństwa, nie samych tylko rolników. Ale nietylko ta produkcyja jest jego zadaniem i nie sama najwyższa i najlepsza produkcyja jest ideałem rolniczych stosunków; równie ważnem i równoprawnioniem zadaniem, warunkującym dodatni wpływ społeczny i polityczny rolnictwa, jest odpowiedni rozdział własności ziemskiej i dochodu z niej, rozdział taki, aby istotnie liczne koła rolników, znaczny procent ludności kraju znajdował na roli niezależny i dostatni byt.

¹⁾ Pod tym względem polecam znakomite studium Schäfflego: *Die Socialauslese unserer Zeit*.

Spełnienie tych zadań wywoływa szereg zagadnień, a ich doniosłość wielka i liczba, stały się przyczyną i podstawą dla rozwoju osobnej nauki, zwanej *polityką agrarną*. Stanowi ona część ekonomii politycznej, t. j. umiejętności, obejmujące swemi badaniami całość gospodarczego życia społeczeństwa.

Zadanie tej nauki pojmowano różnie; nie brakło ludzi, co pełni nieświadomości o znaczeniu i istocie badań teoretycznych, występowali z opozycją przeciw teoretycznej ekonomii, twierdząc, że im nie chodzi o poznanie istoty zjawisk gospodarczych i zbadanie ich związku przyczynowego, tylko o praktyczne bezpośrednie rady dla dźwigania i rozszerzania dobrobytu w społeczeństwie. I zaniechano prace i wyniki teoretyczne, a szukano tylko szablonowych formułek i środków na leczenie ekonomicznych niedostatków. Ale jeżeli każdy rozsądny człowiek wie, że zaufanie do rady lekarskiej wtedy tylko mieć można, gdy ona opiera się na jasnej dyagnozie, a podstawą tej dyagnozy winna być dokładna znajomość anatomii, fizjologii, patologii, a więc nauk teoretycznych, to temwięcej z niedowierzaniem przyjmować należy twierdzenia i rady t. zw. praktyków ekonomicznych, co nie znając istoty życia gospodarczego, jego podstaw, zjawisk i sił, chcą drogi działania wskazywać. Życie społeczne jest więcej skomplikowanem, niż życie i organizm człowieka, to też w wyższym jeszcze stopniu, niż różni niedouczeni lekarze pokątni, zasługują tacy niedouczeni lekarze społeczni na zarzut szalbierstwa i szarlataneryi, a wspominam o tem umyślnie, bo właśnie ostatnimi laty namnożyło się u nas w kraju pełno szarlataneryi politycznej i ekonomicznej, której udało się szerokie koła ludu zbałamucić; tem większym przeto obowiązek warstw świadomych i patriotycznych, aby pracą nad ludem wyzyskiwaniu go przez szalbierzy koniec położyć. I tą myślą powodował się komitet tego pierwszego kursu socyalnego, aby w myśl uchwał wiecu katolickiego dać szerszym kolom intelligencji, którym zawodowe życie nie dozwoliło na specjalne studia społeczne, sposobność wysłuchania odczytów o całym szeregu zasadniczych zagadnień społecznego życia.

Ale nie brakło i drugiego ekstremu, nie zabrakło i teoretyków, którzy tak ciasno pojmowali zadania nauki ekono-

mii, że chcieli pozostać wyłącznie przy badaniu istoty zjawisk gospodarczych i ich związku przyczynowego, wykazywaniu prawd i praw ekonomicznych, a odrzucali wszelkie wchodzenie na pole zagadnień praktycznych, twierdząc, że to przekracza ramy nauki ścisłej, bo te zagadnienia żądają nie tylko analizy ich warunków, ale wskazania środków i dróg, a nauka, mając je wskazać, musi wiedzieć, do jakiego one mają zdążać celu; stawianie zaś tego celu — ideału — politycznego czy ekonomicznego, jest rzekomo tylko sprawą t. zw. praktycznych polityków, którzy to zresztą zawsze subiektywnie, stronniczo pojmą, a przekraczałyby ramy nauki w ścisłym znaczeniu, stawałyby się rzekomo ideologią. Z pełnym uznaniem dla prac ściśle teoretycznych twierdzą jednak, że jest to za ciasne pojmowanie zakresu i zadania nauki ekonomii, iż właśnie tak ciasne pojmowanie zadań nauki dozwoliło na to, iż ogólnikowe, nieuzasadnione formułki owładnęły wielu dziedzinami gospodarczego życia, iż krótkowidztwo praktyczne, znające tylko pierwszy najbliższy skutek i ostatnią najbliższą przyczynę, poczęło w obradach publicznych, w prasie, w życiu, coraz zuchwalej podnosić głowę i coraz więcej wpływać na gospodarczy ustrój i gospodarcze reformy. Gdzie bezstronny i świadomy głos nauki zamilknie, tam naturalnie otwarte pole dla stawiania stronniczych celów i szukania stronniczych dróg w politycznej i gospodarczej dziedzinie. Wolno autorowi ograniczać się do badania tylko teoretycznych zagadnień, jak znów inny może historycznym czy praktycznym problematom swą pracę poświęcić, ale nauce ekonomii politycznej nie wolno tak ograniczać się na teorię tylko, tak ograniczywszy się uważać za spełnione swe zadanie.

Oba te jednostronne stanowiska należą do przeszłości w nauce; dziś wiemy, że nauka ekonomii politycznej, mając objąć całość gospodarczego życia społeczeństwa, winna przede wszystkim zbadać, zrozumieć i przedstawić istotę dziedziny i zjawisk gospodarczych, ku czemu służą zarówno badania historyczne i statystyczne, dające nam ich obraz rozwoju, jak badania ściśle teoretyczne, oparte na obserwacji faktów i poznaniu motywów gospodarczego działania;

ale znając zjawiska, ich istotę, związki, rozwój, stosunki przyczynowe, mamy dalszy obowiązek ocenić, jakie dany szereg zjawisk — n. p. stopniowe rozdrabnianie gruntów włościańskich lub drożenie pieniądza — ma znaczenie dla społeczeństwa, czy to korzystnym jest, czy obojętnym, czy szkodliwym; dalej należy zbadać, jaki stan tej sprawy byłby najwięcej odpowiednim dla ogółu, a wreszcie winna nauka zbadać i wskazać, jakie są warunki i środki, aby stan faktyczny zbliżyć do ideału, aby możliwie najlepsze ukształtowanie danych stosunków osiągnąć. Są to praktyczne zadania nauki, ale niemniej jej zadania integralne; może poszczególny autor, ale nie może nauka jako taka uchylać się od ich rozwiązania.

Przechodząc szczegółowo do omówienia celów polityki agrarnej, który to temat komitet przygotowawczy kursu socjalnego polecił mi opracować, zaznaczam najpierw, że zakres jej obejmuje całość zagadnień ekonomicznych z rolnictwem i dolą ludności rolniczej w związku będących; jej zadaniem zbadanie warunków, środków i czynników, umożliwiających i zapewniających spełnienie zadań rolnictwu przypadłych, jej celem wytworzenie takich rolniczych stosunków, aby omówione na wstępie wielkie i dodatnie znaczenie rolnictwa ekonomiczne, społeczne, polityczne, w całej pełni zaznaczyć i rozwinąć się mogło.

Książka o polityce agrarnej powinna uwzględnić ogół zagadnień, jakie w rozwoju rolniczych stosunków występują; rozwój ten był i jest różnym w różnych krajach, stąd inne zagadnienia w jednym, inne w drugim kraju mogą być przede wszystkim doniosłe i piekące, inne reformy konieczne, a i u nas w poszczególnych zaborach inne zagadnienia agrarne mają największe znaczenie. Dla rozwiązywania takich kwestyj praktycznych danego kraju, wywołanych częstokroć ściśle lokalnymi przyczynami, podaje ogólna polityka agrarna naturalnie tylko zasadnicze ramy i kierunki reformy; bezpośrednie rozwiązanie dać tylko zdoła monografia, to właśnie zagadnienie tego a tego kraju mająca na oku; ogólna polityka nie daje wprost tej rady, ale tworzy podstawę dla takiej monografii, czy praktycznej akcji, bo podaje wśród jakich warunków i w jakim celu daną reformę

podjąć można i należy. Reform agrarnych, jak wogóle reform i urzędzeń społecznych, nie można dowolnie kopiować; co dobrem we Francyi się okazało, to jeszcze mogłoby być u nas bezskutecznem lub wprost szkodliwym; dokładna znajomość historyczna i lokalna stosunków i ludzi, ich zwyczajów, stanu, wyobrażeń, to podstawa niezbędna dla reformy, mającej być skuteczną.

Mając objąć ogół warunków, środków i czynników, zdolnych zapewnić pożądaný układ i rozwój stosunków rolniczych, odwołuje się polityka agrarna w swem zastosowaniu do współdziałania tak jednostek bezpośrednio interesowanych, a więc właścicieli ziemi, jak do współdziałania ich związków dobrowolnych czy przymusowych, jak wreszeie do działania ciał publicznych, a więc państwa, kraju, oraz niższego rzędu związków samorządnych. Różną jest i być może sfera współdziałania tych różnych czynników, a granice dla zakresu każdego z nich należy oznaczać bynajmniej nie w myśl abstrakcyjnej formułki, chcącej raz na zawsze zasadniczo to rozstrzygnąć, lecz raczej na podstawie słusznej oceny realnych stosunków, granice zaś te mogą zmieniać się na podstawie faktycznych rezultatów, ujemnych czy dodatnich, bądź to w kierunku rozszerzenia sfery swobodnego działania jednostek i ich dobrowolnych stowarzyszeń, bądź też w kierunku ujęcia wolności gospodarczej w pewne karby, ustawowe czy administracyjne, tworzenia organizacyi przymusowej z mniej lub więcej szerokim zakresem wpływu. Stąd też ograniczanie pojęcia polityki agrarnej jedynie do oznaczenia środków i dróg dla działania państwa, skierowanego do opieki i organizacyi agrarnych spraw, jak to do dziś wielu pisarzy czyni, jest niewątpliwie nieodpowiednie i za ciasne, bo i jednostkom, i ich związkom dobrowolnym, i ciałom publicznym różna, ale zawsze ważna przypada tu rola, a najlepsze działanie ciał publicznych nie zda się na nic, gdzie osobistej usilnej i świadomej pracy i rozumnego postępowania rolników zabraknie.

Związki publiczne, a zwłaszcza państwo, mają jednak bardzo doniosłe zadania do spełnienia w dziedzinie polityki agrarnej, albowiem rzeczą to jest państwa wytworzyć odpowiednie prawne i ekonomiczne warunki dla pożądanego roz-

woju rolnictwa. W tym celu winno ono nietylko uchylić ustawy czy stosunki, o ileby one temu rozwojowi stały na przeszkodzie — w tej myśli uchylono pańszczyznę, uchylono zakaz dzielenia gruntu — ale winno stworzyć pozytywne ustawodawstwo, liczące się z naturą i potrzebami rolnictwa. Wystarczy tu wspomnieć ustawodawstwo spadkowe, hipoteczne, egzekucyjne, wodne, aby stwierdzić, że sama t. zw. ochrona prawna — którą za jedyne zadanie państwa wobec gospodarstwa społecznego uważał skrajny ekonomiczny liberalizm, dochodzący w swych wynikach niemal do tezy, że najlepszym ten rząd, co nic nie robi — nie jest dostateczną, że coraz więcej występuje konieczność pozytywnego ustawodawstwa agrarnego.

Wpływ na rolnictwo mają jednak nietylko t. zw. agrarne ustawy, ale ogół ustaw ma ten wpływ, n. p. waluta, kredyt, koleje, traktaty handlowe, podatki; to też państwo winno w całej swej polityce o tym jej wpływie na rolnictwo pamiętać, a obowiązkiem polityki agrarnej zasadniczo sformułować odnośne postulaty rolnictwa. Formułując te postulaty, n. p. co do ceł, podatków, należy naturalnie uwzględniać uprawnione interesa innych zawodów gospodarczych, tak z etycznych, jak i czysto ekonomicznych powodów, bo wszelka jednostronna bezwzględna protekcja jest niesprawiedliwą i już jako taka zasługuje na potępienie, a niszcząc ekonomicznie inne zawody, mści się wreszcie i na protegowanym. Merkantylizm Hiszpanii, jak Polski niedbałość o miasta, przyczem u nas interesom szlachty, rolnictwa, trwale służyć chciano, niesprawiedliwą jednostronnością swą stały się zgubne i dla protegowanych klas i dla kraju całego.

Po za działaniem ustawodawczem mają związki publiczne, i tu znów przedewszystkiem państwo, wielkie zadania administracyjne, celem ochrony i opieki nad produkcją rolniczą, oraz celem jej bezpośredniego poparcia w drodze subwencji, premij, stacyj, szkół itp. Działalność ta rozwijać się powinna tem usilniej, w miarę jak produkcja roślinna i zwierzęca coraz większą przedstawia wartość, jak coraz staranniejszy i liczniejszy dobór nasion, nawozów sztucznych, rozplodników i tychże potrzeba domagają się publicznej opieki i kontroli, jak wreszcie sam fakt przyrostu lud-

ności absolutnie coraz większej ilości płodów rolniczych a wzrastająca cywilizacya coraz lepszej jakości ich wymaga.

Zakres przeto akcyi dla pozytywnej polityki agrarnej, zarówno w kierunku ustawodawczym jak administracyjnym, jest bardzo szeroki, a interesem kraju jest, aby te ramy w całej mierze wypełnionemi zostały. Bez ofiar materyalnych ze skarbu publicznego, nie obejdzie się pozytywna polityka agrarna; potrzebne one na administracyę, której tyle nowych przybywa funkcyj z tytułu policyi rolniczej, i na bezpośrednie poparcie produkeyi, ale ofiary te są uzasadnione wielkiem znaczeniem pomyślniej doli rolników, nawet bezpośrednio dla skarbu. A pozytywna polityka agrarna, której rozwój jest późniejszym, niż działanie państw dla rozwoju przemysłu, będąc uprawnioną, jest zarazem konieczną. Liczenie bowiem na to, czem zbyć nieraz chciano żądania podjęcia czynnej polityki agrarnej, że własny interes rolników doprowadzi ich bez inicjatywy i poparcia publicznego do najlepszej i największej produkeyi, okazało się częstokroć zawodnem, owszem historia wielu krajów pouczyła, że brak możliwości i brak oświaty, brak specjalnej technicznej wiedzy szerokich kół rolniczych, stanowią hamulec postępu, taksamo jak przestrzeń, która utrudnia powstanie stowarzyszeń rolniczych, a przez to niedopuszcza częstokroć do błogich wyników, których się po dobrowolnej assocyacji spodziewano. Występuje tu dalej w wyższym stopniu, niż w jakiegokolwiek innej produkeyi, zależność od sąsiadów — przypominam chwasty, zarazy, odcieki wód, miedze, rozkład pól, służebności — a z tych wszystkich powodów okażą się częstokroć siły jednostki niedostateczne, chociażby była i świadomą dróg i zasobną w środki, tu często występuje, np. osuszenie, komasacya, konieczność inicjatywy i szerokiej akcyi organów publicznych w myśl postulatów postawionych przez politykę agrarną.

Postulaty te w dwóch idą kierunkach. Chodzi o odpowiednie poparcie produkeyi rolniczej, oraz o odpowiedni rozdział własności ziemskiej.

Komitet przygotowujący ten pierwszy kurs socyalny, postarał się o to, aby dwa następne odczyty, pp. prof. Ochenskowskiego i dra St. Dąmbskiego, tym zagadnieniom były

poświęcone, przyczem drugi referent całą kwestyę poparcia produkcji, prof. Ochenkowski zaś jeden z projektów reformy rozdziału własności ziemskiej, a mianowicie t. zw. posiadłości rentowe ma omówić; nam tu więc pozostaje zadanie rozpatrzyć się zasadniczo w problemacie rozdziału ziemi.

Odpowiedni rozdział własności ziemskiej jest zagadnieniem zarówno pod względem społecznym i politycznym, jak i pod względem ekonomicznym pierwszorzędnej doniosłości. Ziemia znaczeniem swoim jako podstawa bytu i pracy społeczeństwa, zajmuje osobne zupełnie miejsce w szeregu dóbr materialnych, jej własność i teźże rozdział nie mogą przeto być oceniane wyłącznie z prywatno-gospodarczego punktu widzenia, a historia ustawodawstwa o władztwie ludzi nad ziemią samem bogactwem swych norm, w porównaniu do nielicznych norm o własności ruchomej, daje świadectwo, jak dawną i jak ogólną była świadomość — zatracona części za naszych czasów — o szczególnem znaczeniu własności ziemskiej. Spory wielkie, naukowe i ustawodawcze, toczono nad tem, czy i jakie granice ma mieć własność publiczna państwa, gminy, własność kościoła i własność prywatna, a w obrębie tej ostatniej nie brakło znów norm, zapewniających pewne kategorie ziemi dla pewnych stanów, ograniczających rozszerzanie się własności jednostek. W ciągu bieżącego wieku odnośna dyskusya przeniosła się do rozstrząsania kwestyi zasadniczej, czy wogóle własność prywatna ziemi jest uzasadnioną, a wielu radykalnych polityków po obu stronach oceanu stawiało żądanie, aby przyjętą ogólnie zasadę wywłaszczenia ziemi dla wyższych celów publicznych — np. dla kolei, fortu, komasacyi — rozszerzyć i dla, wyższych celów publicznych, a mianowicie celem lepszej organizacyi produkcji, oraz celem zapewnienia całemu społeczeństwu całego przybytku dochodu z wrastającej renty gruntowej, przeprowadzić ogólne wywłaszczenie, a więc upaństwowanie czy ukrajowanie ziemi. Złe rezultaty w produkcji i rozdziale dochodu społecznego, spowodowane w pewnych krajach złym rozdziałem ziemi, stanowiły podstawę dowodową dla tych postulatów, ale historyczny rozwój agrarnych stosunków nie doprowadził dotąd nigdzie do realizacyi tych postulatów; owszem historyczny rozwój uszczuplił wszędzie

obszar publicznej własności ziemi, oddał ją przeważnie lub zupełnie w ręce własności prywatnej, a stan ten — o ile rozdział tej własności jest odpowiednim — przedstawia i pod względem ekonomicznym, zarówno co do produkcji jak rozdziału dochodu, i pod względem społecznym i politycznym niewątpliwie wyższe zalety, aniżeli sama tylko własność publiczna. To bowiem jest słabą stroną całej publicznej własności ziemi, że skutkiem niej następuje rozdział między kierującą pracą rolniczą a własnością ziemi, ustaje gospodarstwo właścicieli a panuje gospodarstwo dzierżawców, którzy z natury rzeczy nie mogą w tym stopniu dbać o trwałe ulepszenie danego obszaru roli, jakby to ze stanowiska ogólnego było pożądanem. W krajach, gdzie dzierżawy znaczne zajmują przestrzenie, zdarzały się już często wypadki, że każde trwałe ulepszenie gospodarstwa, wprowadzone pracą i kosztem dzierżawcy, nie wychodziło mu na korzyść, bo stawało się, wbrew ogólnym interesom społeczeństwa i wbrew słuszności, tylko powodem podwyższenia czynszu dzierżawnego. Fakt ten działa naturalnie hamująco na inicjatywę trwałych melioracji w rolnictwie, a ztąd specjalne ustawodawstwo o dzierżawach, broniące ekonomicznych interesów i kraju i dzierżawców, zapewniające i w tych stosunkach znaczenie zasadzie słuszności, stało się koniecznością dla krajów, gdzie dzierżawy są liczne. Zły rozdział własności ziemi, nagromadzenie jej za wielkie w ręku niewielu ludzi lub przejście jej w ręce nie-rolników, przyczynia się bardzo do liczebnego wzrostu dzierżaw, mających w każdym razie mniej zalet i budzących więcej wątpliwości, niż własne gospodarstwo, a to znów tworzy jeden powód więcej, aby polityka agrarna szczegółowo zajęła się kwestyą rozdziału własności ziemi.

Rozróżnić tu możemy własność małą, średnią i wielką ¹⁾, a po za temi dla produkcji rolniczej i dla społecznych sto-

¹⁾ Prof. Tadeusz Piłat w znakomitych artykułach *O reformie agrarnej*, ogłoszonych w *Rolniku* w czerwcu i lipcu b. r., na które to artykuły i poniżej wypadnie się powołać, stawia odmienne, niż tu powyżej, granice dla średniej i wielkiej własności; różnica tu między nami *terminologiczna*; zwracam na nią uwagę, aby uniknąć nieporozumień u czy-

sunków ważnemi i pożądanemi kategorjami stoi własność za wielka i za mała, latyfundya i parcele. Zdrowym i pożądanym jest rozdział własności ziemi, gdzie przeważa własność średnia, otoczona własnością małą i wielką, a gdzie latyfundya i parcele stosunkowo nieznaczną przestrzeń ziemi zajmują. Granice różnych tych kategorji trudno oznaczyć podług obszaru cyfrowo w górę i w dół, bo nie sam obszar, lecz również jakość gleby, klimatu, system gospodarstwa, jego położenie bliżej czy dalej od miasta, ogólne ekonomiczne stosunki kraju, mają na to wpływ, i dlatego też pewniejszym kryterjum dla przynależności pewnej własności ziemskiej do jednej z powyższych grup, niż sam obszar roli i łąk — posiadanie lasu jest okolicznością ważną majątkowo, ale niema bezpośredniego wpływu na gospodarstwo, ztąd go tu nie należy uwzględniać — jest zakres czynności gospodarza.

Własność wielka obejmuje gospodarstwa, gdzie sam zarząd daje gospodarzowi pełne zajęcie i gdzie dochód zapewnia pewien wyższy stopień niezależności, starczy na pokrycie względnie już wysokich wymogów stanu; ma ona swe wielkie znaczenie, jako główny warsztat rolniczej produkcji, jako szkoła i wzór rolniczego postępu, ona ma być zarazem ważnym posterunkiem obywatelskiej służby. Niewątpliwie gospodarstwo na wielkiej własności jest przedsiębiorstwem ekonomicznem i jako takie winno być wzorowo prowadzone pod względem techniki i ekonomiki, ale ani nasza tradycya, ani też nauka, godzić się nie mogą na pojmowanie wielkiego właściciela tylko jako przedsiębiorcy — fabrykanta wołów, jak się wyraził przed laty żydowsko-liberalny poseł Lasker w parlamencie niemieckim — dbałego wyłącznie o najwyższy dochód. Jakie znaczenie i obowiązki ma wielka własność, pod tym względem odsyłam do znakomitej książki p. Ludwika Górskiego *O znaczeniu i obo-*

telników. Prof. Piłat zalicza do średniej własności od 100—1000 morgów, roli, łąk i lasów, ja inne kryteria stawiam dla przynależności gospodarstwa do średniej czy wielkiej kategorii; opierając się na obszarze, uważałbym, że około 400 m. (wyłączywszy las) jest granicą słuszną; poniżej jest własność średnia, powyżej wielka.

wiązkach wielkiej własności ziemskiej, i zaznaczam, że przedewszystkiem w tej społecznej służbie leży racya bytu i uprawnienie prywatnej wielkiej własności ziemskiej. Dla najuboższej części ludności wiejskiej, dla tej, która niema roli, albo niema dosyć własnej roli, aby z niej mieć pełne wyżywienie i na niej pełne zatrudnienie, stanowi wielka własność, o ile jest prowadzoną jako wielkie gospodarstwo, korzystną sposobność znalezienia pracy i zarobku, a z zadowoleniem przypominam, że u nas przed 60 już blisko laty August hr. Cieszkowski pisał o poprawie położenia robotników wiejskich, że więc z szeregów naszej wielkiej własności odezwał się pierwszy głos, przejęty świadomością obowiązku troski o tę dolę. Dziś u nas w kraju występują w stosunkach robotniczych rolnictwa dwa złe objawy: brak robotników z jednej, brak trwałego zarobku z drugiej strony, ztąd też organizacya tych stosunków okaże się konieczną, leżącą w obustronnym interesie. Robotnicy winni dojść do świadomości — a racjonalne kontrakty pracy są szkołą tej świadomości — że tylko dobry robotnik może mieć trwały i dobry zarobek, a właściciele ziemscy jako pracodawcy winni pamiętać, że niska płaca jest często nie tanią, tylko owszem drogą pracą, że taniość pracy więcej od jej dobroci i ilości niż od jej ceny zależy, a dobry robotnik wymaga dobrego wynagrodzenia, jego płaca winna być dlań — o ile to się da — pouczeniem o związku między rezultatem pracy a jej wynagrodzeniem, płaca winna być dlań zachętą do dobrej pracy. Nieraz już skonstatowano, że podniesienie płacy, zwłaszcza za lepszą jakość pracy, było wprost zyskiem dla przedsiębiorstwa, bo budziło interes robotnika w rezultacie produkcji. Dobra organizacya stosunków rolniczo-robotniczych jest i potrzebą i zadaniem wielkiej własności, a jego spełnienie podnosi znów ekonomiczne i społeczne znaczenie wielkiej własności dla całego kraju.

Własność średnia obejmuje gospodarstwa małych folwarków, a można tu zaliczyć i wielkie gospodarstwa włościańskie, takie, jakie spotykamy w wielu niemieckich ziemiach; tu właściciel prowadzi zarząd i sam jeszcze winien technicznie pracować, ale jego gospodarstwo wymaga dość znacznej pomocy i obcych sił. Dla gospodarczych

i społecznych stosunków kategoria to ogromnie doniosła — my jej niestety prawie nie mamy — ona stanowi pośrednie ogniwo, mogące rozszerzać postęp techniczny, może być głównym polem produkcji dla płodów wymagających wielkiej staranności, których produkcję nieraz małej własności i posiadaczom parcel — mem zdaniem niesłusznie — doradzano, nie pomnąc, że ta produkcya wymaga prócz starannej pracy, jaką sam robotnik-właściciel dać może, jeszcze znacznej znajomości technicznej, nieraz i specjalnych narzędzi, na co wszystko nie stać właściciela parceli. Własność średnia wreszcie może i w hodowli, zwłaszcza typów krajowych, znakomite oddać usługi i zyskać dochody, a tak dla hodowli koni, jak bydła, trzody i owiec, można wskazać na szereg krajów, gdzie właśnie średni producenci w danej gałęzi bardzo dobre osiągnęli rezultaty. Własność średnia może dalej i powinna stanowić główny kontyngens dla assocyacji rolniczych. tak doniosłych w wielu kierunkach, zarazem jak tylko na niej samorząd gminny racjonalnie może się opierać.

Mała własność powinna dawać pełne zatrudnienie i utrzymanie dla rodziny włościańskiej; gospodarz z rodziną swą jest głównym czynnikiem pracy, obce siły występują tu z małym udziałem. Produkcya małej własności powinna być skierowaną przeważnie do bezpośredniego użytku w własnym gospodarstwie, bo to jej zapewni względnie najwyższą niezależność ekonomiczną; przy produkcji na własną potrzebę chodzi niemal wyłącznie o ilość produkcji, przy produkcji dla targu dochodzą wyższe wymogi jakości produktu, co powiększa trudność i ryzyko techniczne, a cena zyskana na targu za produkta własne i koszt nabycia produktów cudzych wytwarzają ryzyko ekonomiczne; sprzedając w małych ilościach, osiąga się niższą cenę i płaci się drożej kupując w ilościach niewielkich, ztąd im więcej mała własność produkuje dla siebie, tem lepszym jest jej byt, większą pewność bytu i niezależność ekonomiczną. W literaturze fachowej nie brak głosów odmiennie na to zapatrujących się, doradzających, aby mała własność, a zwłaszcza niższa jej kategoria t. j. właściciele parcel rzucili się na produkcję ogrodową, aby nadzwyczajną jakością produktów zyskiwali najwyższy dochód z swej parceli, a oparte na hipotezie tej

produkcji ogrodowej rachunki, wykazywały rzekomą wyższość drobnej uprawy nad wielkim gospodarstwem i z tych uludnych rachunków wyciągano twierdzenia o ekonomicznej korzyści kraju, gdy stale zmniejszają się co do liczby i co do obszaru wielkie gospodarstwa, gdy postępuje parcelacja ziemi. Niewątpliwie są kraje, gdzie wielka, a zwłaszcza bardzo wielka własność stosunkowo za dużo zajmuje ziemi, i są majątki ziemskie, nieodpowiednie swą wielkością czy rozkładem pól — tam parcelacja jest wskazana, ale i tam, zanim parcelację uznamy za dobrą, spytać się należy, jakie z tych odłączonych gruntów powstaną nowe jednostki gospodarze.

Trzeba być bardzo naiwnym, aby np. w rozparcelowaniu 200 morgów między 100 nabywców upatrywać postęp gospodarczy. A niebrakło ludzi, co tak optymistycznie przeceniali zalety drobnej własności, że każde rozdrobnienie ziemi uważali za postęp. Jeżeli zaś wbrew ich twierdzeniom i nadziejom ci nowopowstali mali posiadacze popadli w biedę, to dawano im zawsze i wszędzie — także i u nas — tęsamą lekkomyślną radę: uprawy ogrodowej, roślin handlowych, farbiarskich itd. „Produkujcie różę“ — radził raz wielki polityk angielski zbiedniałym dzierżawcom irlandzkim, niepomny, że wprawdzie nim radził, powinien im być zbyt dla tej produkcji zapewnić, a bez niego narażał ich swą radą na najgorszą niedolę.

Optymistyczna ocena gospodarstwa drobnego przecenia znaczenie lepszej i tańszej, bo własnej pracy, a pomija znaczenie wiedzy i kapitału w rolnictwie, na jednym zaś i drugim przeważnie zbywa drobnym właścicielom, pomija lepsze warunki zbytu, transportu, nabycia, jakie wszędzie ma wielka produkcja, pomija dalej, że zbyt na rośliny handlowe itp. jest trudniejszym, konkurencja zaciętszą, bo te produkty znoszą dalszy transport, a wreszcie pomija, że cena tych wyszukańszych produktów jest dużo więcej chwiejną i mniej jawną, bo popyt na nie jest ograniczonym, że właśnie przy tych produktach zachodzi zupełny brak zbytu. Chleba, mięsa, odzieży, niema zawiele, bo to środki pokrycia potrzeb najważniejszych, ale chmielu, tytoniu, materiałów farbiarskich, artykułów służących potrzebom dalszego rzędu, może być absolutnie zawiele, i ztąd nawet podaż po bar-

dzo niskiej cenie może nie znaleźć popytu; prawda ta ekonomiczna występuje najwyraźniej przy artykułach z popytem ilościowo ograniczonym, jak np. kołyski lub trumny; tu niższa ceny chociażby i najdalsza, nie powiększy popytu. Ztąd ryzykowną, nadającą się tylko dla silniejszych ekonomicznie, jest produkcya z popytem ograniczonym a nader chwiejną ceną. Im słabszą ekonomicznie pozycya gospodarza, tem gorzszem każde wielkie ryzyko, bo ryzykować może tylko ten, co ma bardzo wiele, albo niema nic do stracenia. Mały gospodarz rolny niema dość sił na ponoszenie ryzyka utraty odbytu lub deficytu ceny, ztąd fałszywem i lekkomyślnem jest doradzanie mu produkcji, która go zupełnie od targu czyni zależnym. A na hipotezie tej ryzykownej produkcji oparto optymistyczną ocenę małej własności, nawet dalej idąc, i własności parcel. O tym ostatnim punkcie wspominam z naciskiem, bo jestto dla Galicyi dziś kwestya piekąca. Niewątpliwie dobrem jest, aby robotnik, żyjący z pracy swych rąk, zatrudnionych w cudzem gospodarstwie, miał własny dom i kawałek pola, aby miał możność z oszczędności dorobić się tego kiedyś, ale złem jest, jeżeli do takiego rozparcelowania przychodzi w okolicach, gdzie właściciel parceli pracy dostatecznej trwale dla siebie nie znajdzie. Tu więc trzeba indywidualizować; mogą być kraje, czy okolice, gdzie przybytek takich drobnych parcel jest objawem pożądanym, dodatnim, i znów mogą być okolice, gdzie to zjawisko jest stanowczo ujemnem, staje się objawem i czynnikiem ubożenia i ludności na tych parcelach osiadłej i kraju, a ztąd też stać się może groźnem ogniskiem fermentu społecznego. Własna parcela nie da właścicielowi ani płodów, ani pracy dosyć; gdy zatrudnienia blisko nie znajdzie, to ubóstwo się szerzy z szkodą kraju, bo dużo pracy ginie bezużytecznie, a gdy już przez sam przyrost ludności i tem wywołane stopniowe dalsze zmniejszanie parcel bieda dojdzie do wysokiego stopnia, wtedy rola jest gotową dla posiewu antagonizmów społecznych, zawiść się krzewi, podział gruntów cudzych, każdego co ma więcej, staje się hasłem, może stać się zgubnym programem i nadługo zatruć stosunki społeczne. I wtedy już może być zapóźno na ratunek. A więc nie wszędzie i nie zawsze jest rozdrabnianie gruntów pożądanem, czy obo-

jętnem; ono może być w wyjątkowych warunkach pożądanym postępowaniem ekonomicznym i społecznym dla warstw robotniczych — gdzie to zachodzi, tam może parcelacya być ważnym punktem w programie polityki społecznej — ale postępowaniem produkcyi rolniczej to nie jest nigdy. Przewaga ekonomiczna wielkiej produkcyi nie występuje wprawdzie w rolnictwie w tym stopniu, jak w wielu gałęziach przemysłu przewaga maszynowej produkcyi nad ręczną, fabryki nad rzemiosłem, bo praca nie da się w rolnictwie ani tak technicznie podzielić, jak w fabryce, ani tak skutecznie skombinować i skontrolować, ani w tym stopniu maszynami zastąpić — ale po za pracą, którą pilniejszą i uważniejszą mała własność mieć może, składa się cały szereg wspomnianych już wyżej okoliczności i czynników na korzyść stanowczą wielkiej produkcyi, tej, gdzie siły intelligentnego gospodarza wystarczają na dokładne prowadzenie zarządu. Wyższa cena, jaką włościanin płaci za ziemię, i wyższy przezeń uiszczony czynsz dzierżawny, nie są bynajmniej dowodem, jakoby on więcej na czysto umiał wygospodarzyć, on tylko w tej wyższej cenie czy czynszu płaci rodzaj premii za dostarczenie mu trwałego pola zajęcia osobistej pracy, której on sam sobie nie liczy, lub liczy bardzo tanio, a dla której by bez tego dokupionego czy dodzierżawionego gruntu stałego zajęcia często nie znalazł.

O latyfundiach, tj. własności tak wielkiej, że jej dokładny zarząd przekracza siły jednostki, gdzie więc ustaje jednolite prowadzenie gospodarstwa; można wspomnieć krótko. Na ich obronę przytaczano lasy, ale i ta obrona starczy przecież tylko, o ile te wielkie obszary są przeważnie lasowe, a i tu powstają nieraz niepożądane lokalne monopole dla cen drzewa i płacy. Za skupieniem bardzo wielkich obszarów roli w jednym ręku nie przemawia nic, a bardzo wiele mówi przeciw temu. Produkcyja zwykle się cofa, bo sam właściciel nie może już zarządzać, gospodarstwo prowadzi się często niejako z roku na rok, jedynie z widokiem największych dochodów chwilowych, stosunki robotnicze zwykle pogarszają się i zaostrzają, bo rządca niema tych praw a dzierżawca tych środków, co właściciel, aby nieraz więcej względnością niż ścisłem tylko prawem powodować się i słu-

sznie wynagradzać dawniejszą zasługę, a pod względem społecznym i politycznym to jasnym, że lepiej jest, aby było kilka ognisk działania obywatelskiego, niż tylko jedno. Zresztą między panem wielkich obszarów a ludnością okoliczną jest za wielki przedział, majątkowy i towarzyski, aby mógł skutecznie oddziaływać czy to pod gospodarskim czy społecznym względem. Istnienie latyfundiów wytwarza absenteizm, który jest negacją społecznego znaczenia i obowiązków wielkiej własności, a który tak strasznie zemścił się na Francji *de l'ancien régime*, tak groźne położenie wytworzył w Irlandyi; rozszerzanie się zaś latifundii, czego typowemi krajami są Anglia, Szkocya, Irlandya, niektóre okolice Niemiec i Włoch, jest zjawiskiem niepomysłnem, któremu zaradzić trzeba środkami, zasilającemi byt i wzmacniającemi odporność własności średniej i wielkiej. W rządzie tych środków trzeba pamiętać i o zasilaniu lub ułatwianiu produkcji — melioracye! — i o dobrej organizacyi zbytu, a równocześnie o odpowiedniej organizacyi kredytowej, dostarczającej potrzebnych zasobów, nietylko w miarę czystej hipoteki, jak przeważnie dotąd, lecz także w miarę rękojmi racjonalnego użycia kredytowanych sum.

Historycznie wytworzył się w różnych krajach różny układ stosunków agrarnych i różny rozdział własności ziemskiej ¹⁾, a złożył się na to cały szereg przyczyn natury bądź przejściowej, jakoto wojny, klęski elementarne, bądź trwałe, jako to prawo i zwyczaj spadkowy, system podatków, organizacya hipoteki i kredytu, przyrost ludności, rozwój innych gałęzi gospodarczego życia, wreszcie nawet klimat i położenie kraju. Skutki wystąpiły różne, ale wszędzie budzi się świadomość, że pogarszanie się stosunków rozdziału własności ziemskiej, stopniowy zanik własności średniej i wielkiej, występowanie na ich miejscu w coraz większej liczbie parcel od dołu, a z coraz większym obszarem latyfundiów u góry, jest niebezpieczeństwem, może stać się klęską spo-

¹⁾ Pomijając dawniejsze publikacye L. de Lavergne o Anglii i Laveleye o Belgii i Hollandyi, oraz publikacye Biur statystycznych, zwracam uwagę na pomieszczone w *Schriften des Vereins für Socialpolitik* t. 27 i 29 o rolniczych stosunkach Anglii, Francyi i Włoch, t. 20 --25 i 28 o Niemczech.

łeczną. Dzieje Rzymu przepelnione są wprost konwulsjami społecznymi, których przyczyną było pogorszenie się stosunków rozdziału własności ziemi — pisał już Pliniusz: *latifundia perdidere Italiam* — a groźne zawikłania współczesne w Irlandyi, Sycylii, Rumunii starczą za przestrożę dla każdego społeczeństwa, aby rozwojowi stosunków agrarnych należytą poświęcać uwagę. Własność ziemi bowiem może przy odpowiednim rozdziale być czynnikiem i źródłem dobrobytu, szczęścia i potęgi narodu, a chorobliwe przemiany w rozdziale własności ziemi stają się czynnikiem, źródłem i groźbą ubożenia, zatargów wewnętrznych i upadku kraju.

A jakim jest ten rozdział własności ziemskiej w Galicyi, jakie widnieją w nim tendencje przemiany, jaką jest odnośna nasza polityka agrarna?

Odpowiedź nie wypadnie pomyślnie. Jesteśmy na pochyłości trwałego pogarszania się stosunków rozdziału własności ziemi. Nikną dwory, gospodarstwa włościańskie w przeważającej liczbie rozpadły się na parcele i to jeszcze rozrzucone, rozpadają się coraz dalej, bezprogramowa i nieracjonalna parcelacya szerzy się nieustannie, kilka wielkich fortun zaokrągla się systematycznie, przybierając coraz więcej cech latyfundiów, spekulacyjne transakcye ziemią, połączone z dewastacyą gospodarstwa, jego techniki i jego warsztatu, oraz z dewastacyą lasów, przestały być wyjątkiem, a ustawodawstwo krajowe nie zdobyło się na żaden krok pozytywny, aby ten proces powstrzymać, przeciwdziałać jego skutkom. Nie jestem pesymistą, mam uznanie dla prac dokonanych u nas w kraju przez jednostki, przez Towarzystwa Rolnicze, przez Sejm, przez Wydział Krajowy, a zdążających do podniesienia rolnictwa; wiem również i uznaję, że podział kompetencji między Sejm nasz a parlament wiedeński jest hamulcem i przeszkodą dla wielu reform, ale wszystkie te prace i zabiegi w naszym kraju miały na celu podniesienie rolniczej produkcji, ilościowe i jakościowe, a bezpośrednio nie oddziaływały wcale i nie miały zamiaru oddziaływać na podział własności ziemskiej; świadomej polityki agrarnej pod tym względem niema u nas w kraju.

W tej sprawie przyjął kraj w r. 1868 zasadę — wyłącznie negatywną — t. zw. wolności ziemi i na tem stanowisku stanął i stoi dotąd, pomimo licznych głosów i faktów, wykazujących niebezpieczeństwo. A w myśl tej zasady wolności ziemi tylko prawa wierzycieli prywatnych stanowią, względnie stanowić mogą pewien hamulec w transakcyach ziemią, względem publicznym nie przyznano żadnego znaczenia. Interes prywatny właściciela jest tu wyłącznie decydującym, on ma otwartą drogę, chociażby działał z korzyścią własną na szkodę kraju. Każdemu wolno ziemię kupować, sprzedawać, dzielić, łączyć, z jedynym wyjątkiem, że nie wolno włączać gruntów nietabularnych do ciał tabularnych, co od r. 1894 zmieniono o tyle, że to dozwolonem jest, o ile z danej własności tabularnej wyłączono obszar dający mniej więcej równie wielką sumę rządowych podatków realnych, jak dawały grunta mające być przyłączonemi, a wyjątek ten jest niewątpliwie więcej formalnej, niż materialnej natury, utrzymał się dotąd, bo faktycznie nie stanowił przeszkody w swobodzie obrotu ziemią, a tę prawną swobodę obrotu wyzyskano u nas w całej pełni. I rzecz dziwna, że właśnie ludność rolnicza Galicyi, tak włościanie jak wielcy właściciele, ludność, która pod względem politycznym jest lub mieni się konserwatywną, która w innych krajach stanowi główny zastęp konserwatywnego obozu i ztąd nazwaną została czynnikiem i siłą spokoju w przeciwstawieniu do czynnika i siły ruchu, opierających się głównie na miejskich żywiołach, ta ludność rolnicza Galicyi przyjęła w ustawodawstwie agrarnem w całej pełni liberalne postulaty. A ustawodawstwa tego bronia, pomimo że zawiodły hipotezy i nadzieje, na których pierwotny liberalizm ekonomiczny opierał swe żądania i swe reformy. Pierwotny ten liberalizm wysunął wszędzie na pierwszy plan troskę o największy rozwój produkcji i liczył na to, że byle usunąć wszelkie dawne kępujące gospodarczą swobodę jednostek przepisy, to każdy człowiek wiedziony własnym interesem najlepsze dla siebie pole pracy wyszuka i na niem najdzielniejszą czynność osobistą, największą produkcję rozwinie. W myśl tego aksjomatu podjęto nowoczesne reformy agrarne, licząc przy nich na to, że właśnie wolność odda z czasem

ziemię w najzdolniejszą rękę, że najlepiej rozdzieli własność ziemi, najracjonalniejsze wytworzy jednostki gospodarcze, a przez to najbardziej podniesie i rolniczą wytwórczość i zdolność kraju.

Jak w tylu innych dziedzinach, tak i tu różowe te nadzieje ekonomicznego liberalizmu uludnemi okazały się. Bezwzględna wolność ziemi, zrównanie jej z towarem, tak sprzeczne z jej naturą, nie zapewniły zdrowego rozdziału własności ziemi, nie podniosły produkcji w spodziewanej mierze, natomiast stworzyły szerokie pole dla spekulacji ziemią, a nadzieja zysków, nie z produkcji na roli, tylko z różnicy ceny nabycia a cząstkowej czy w całości sprzedaży, pomnożyła szeregi obrońców wolności ziemi. I u nas niestety pełno tych epigonów agrarnego liberalizmu. Nie uznaliby ich za dziedziców swej myśli niejeden z tych, co przed laty byli szermierzami zasady wolności ziemi, bo oni patrzyli na ziemię jak na warsztat rolniczej produkcji, nie jako na dogodny przedmiot spekulacji, bo oni nie przewidzieli, że znosząc dawne prawa, czy zwyczaje agrarno-spadkowe, otworzą tu wrota bezwzględnemu panowaniu zasad późniejszego prawa rzymskiego, wyrosłego nie na gruncie potrzeb agrarnych i potrzeb tych nie uwzględniającego.

Od 30 już prawie lat panuje w Galicyi w zupełności zasada wolności ziemi. Jakie to przyniosło skutki, na to brak nam, dokładnych danych statystycznych, uwidoczniających i stan i ruch w rozdziale własności ziemskiej, niemniej zwracam uwagę na odnośne publikacye Krajowego Biura Statystycznego, bo zawierają one wiele, bardzo cennych i doniosłych informacyj, mogących służyć za podstawę do wyrobienia sobie sądu o tych stosunkach i uwidoczniających się dążeniach ich przemiany. Ale i bez wykończonej dokładnej statystyki wie każdy, co choć trochę zna kraj, co zna odnośne głosy sejmowe i naszą agrarną literaturę ¹⁾, że par-

¹⁾ Ponownie zwracam uwagę na artykuły prof. Pilata o reformie agrarnej. Wyniki pracy tego znakomitego znawcy stosunków kraju, publikowanej niemal równocześnie z wygłoszeniem niniejszego odczytu, zgadzają się zupełnie z wynikami moich badań. Zob. też Dr Adam Krzyżanowski: *Projekt reformy agrarnej*. Kraków 1897.

celacya gruntów włościańskich czyni postępy gwałtowne, że obszar posiadany przez średnią i wielką własność i liczba średnich i wielkich właścicieli trwale się zmniejszają.

Jakie są tego przyczyny? jakie to mieć może następstwa?

Na wywołanie tego ujemnego ruchu w rozdziale własności ziemi złożył się cały szereg przyczyn, jednych z cechą więcej indywidualną, jak nieszczęścia osobiste, brak przezorności i pilności, brak znajomości rzeczy, fachowego rolniczego wykształcenia, drugich z cechą więcej ogólną, jakoto klimatyczne i ekonomiczne stosunki kraju — jednych przyczyn z cechą więcej przemijającą, jak nieurodzaje, zarazy na bydło, innych z cechą trwałą. W rzędzie tych ostatnich przyczyn, mających cechę trwałą i ogólną, jest jedna wpływająca stanowczo — a niekorzystnie — na rozdział własności ziemskiej i przewyższająca niewątpliwie wpływ wszystkich innych przyczyn pod tym względem, a tą jest panujące prawo spadkowe i sposób jego stósowania. Powołując się co do szczegółowego omówienia i stwierdzenia tego na dawniejsze me prace ¹⁾, zaznaczam tu tylko, że prawo to t. zw. równych działów prowadzi do nadmiaru zadłużenia i szkodliwej ultra-parcelacyi. Pomijając wyjątki, które bynajmniej nie są tak częste jak sądzą optymiści a które to wyjątki zresztą nigdy na obronę prawa spadkowego, lecz chyba na jego potępienie mogą być przytaczane, bo one stwierdzają, że tam niema złych skutków, gdzie przepisów tego prawa właśnie nie zastosowano, pomijając więc te wyjątki, oraz wyjątkową również sprzedaż spadku celem natychmiastowego równego podziału ceny zań uzyskanej, przechodzi spadek rolniczy albo podług ceny ziemi na jednego spadkobiercę, z działami hipotecznymi dla reszty rodzeństwa, albo dzieli się realnie na tyle części ilu jest spadkobierców. Objęcie dziedzictwa podług ceny ziemi z wyznaczeniem podług tejże ceny wierzytelności hipotecznych

¹⁾ „W sprawie utrzymania ziemi w naszym ręku“. Poznań 1884. „Prawo spadkowe a własność ziemska“. *Przegląd Polski* 1886. „Referat na II Zjazd Prawników i Ekonomistów Polskich“. Lwów 1887. — Por. też *Schriften des Vereins für Socialpolitik* t. 20, 21, 25, 28.

dla współspadkobierców, prowadzi już w pierwszym pokoleniu do znacznego zadłużenia, a w drugim, najdalej w trzecim pokoleniu dziedzic przygnieciony długami — o ile go nie wyratują jakieś inne szczęśliwe okoliczności, poboczny spadek, bogate małżeństwo itp. — utrzymać się już nie zdoła. Kardynalnym błędem obliczenia działów spadkowych jest, że nie pytamy się, ile dziedzic — który i tak, jeden za całe rodzeństwo, ponosić ma pracę i ryzyko gospodarze — bez swej krzywdy i bez narażania się na bankructwo płacić może na procent i amortyzację działów współspadkobierców, tylko pytamy się, jakąby cenę za tę wieś dano, a ta cena naturalnie jest wyższą, jeżeli nowonabywca może zadowolić się 4⁰/₁₀₀, aniżeli gdyby 5⁰/₁₀₀ lub więcej trzeba wygosparzyć. Zapomina się dalej, że dziedzic otrzymuje w tych razach zwykle wieś zadłużoną bez żadnej gotówki, bez żadnego kapitału obrotowego, tak, że on musi zwykle dokończyć, powiększyć długi, część swego działu zlikwidować, aby mógł wogóle gospodarzyć, utrzymać się przy dziedzictwie i procenta popłacić, a to jeszcze utrudnia jego położenie, przyspieszyć może upadek.

Przy spadkach włościańskich przychodzi zwykle do podziału ojcowizny realnie na tyle części, ile jest dzieci, nieraz dzieli się nawet każde pole, każdą parcelę na te części. A chociażby kto był i najgorętszym zwolennikiem rozsądnej parcelacji, podjętej z gospodarczych powodów, to i dlań musi budzić obawy lub conajmniej wątpliwości taka parcelacja, wynikająca z prawnych a nie gospodarczych powodów, podjęta w chwili przypadkowej dąty śmierci spadkodawcy i między przypadkową liczbą dzieci. Nie ekonomiczne względy ją spowodowały, to też ekonomicznie dobrych skutków ona mieć nie może. Produkcya rolna nie da się na danej przestrzeni dowolnie powiększać, i najusilniejsza praca nie zdoła kilkakrotnie większych rezultatów osiągnąć, a ta parcelacja spadkowa, aby nie być zgubną, wymagałaby, aby tasama rola, co dotąd jedną rodzinę żywiła, na przyszłość dała utrzymanie — a dać powinna właściwie i pełne zatrudnienie — trzem czy czterem, lub jeszcze więcej rodzinom. W drugim, trzecim pokoleniu ujemne skutki tej parcelacji gotowe przybrać wprost zastrasające rozmiary, a do nich

przyjdzie tem pewniej, że wzrost ludności w Galicyi jest bardzo wielkim i szybkim, większym niż w którymkolwiek innym kraju, przez co tem szybciej zmniejsza się obszar poszczególnych działów ziemi, ta podstawa bytu poszczególnych rodzin. Niewątpliwie, że ogólne niekorzystne stosunki kraju, brak rozwoju przemysłu i górnictwa, brak licznej sposobności zarobku po za wsią, czynią nieraz parcelacyę spadku prawie nieuniknioną, bo ten mały kawałek gruntu stanowi niejednokrotnie jedyne źródło trwałego dochodu, jedyną podstawę bytu dla włościańskiego dziecka; jestto nawet do pewnego stopnia moralnie zdrowym objawem, że wielu woli otrzymać ten kawałek gruntu, niż wziąć schedę w pieniądzu i pójść w obcy świat za zarobkiem, lub na stałe emigrować, ale winniśmy jednak pamiętać, że taka parcelacya jest conajwyżej lekarstwem chwilowem, a jego używanie przez ciąg pokoleń staje się trucizną i ruiną rolniczych stosunków. A i o tem trzeba pamiętać, że im więcej staje się ogólnym zwyczaj równego dzielenia spadku ziemi, tem więcej ludzi zostaje przy zagonie lub doń wraca, nie sili się na zdobycie sobie bytu pracą w świecie, przez co odpływ ludności ze wsi jest mniejszym, niżby na to pozwalały ogólne zarobkowe stosunki kraju. I tak tworzy się zgubne błędne koło, bo parcelacya spadkowa, będąca poczęści skutkiem nadmiernego przyrostu ludności, staje się znów dalszego wzrostu ludności a przez to i dalszej parcelacyi przyczyną, gdyż ludzie licząc na ten grunt po rodzicach żenią się wcześniej, nie wstrzymuje ich od przedwczesnego zakładania rodziny troska o byt dzieci, bo uspokajają się bezmyślną uwagą, że i te dzieci znów kiedyś podzielią się ojcowskiemi zagonami, tak jak to ich rodzice wpierv uczynili. W ten sposób ginie mała własność, zginęła już w wielu okolicach, na jej miejscu mnożą się coraz więcej luźne parcele, ginie stan kmięcy, włościan-gospodarzy, na ich miejscu powstają włościanie robotnicy, z tradycyą i zwyczajami gospodarzy, a osiadli już tylko na parcelach, na skrawkach gospodarskiej roli. Wspomniałem już wyżej, że mnożenie się właścicieli parcel jest tylko wyjątkowo dodatnim objawem, a u nas to prawie nie zachodzi. Parcele takie, im dalej już doszedł podział, tem mniej dają zatrudnienia dla pracy, tem mniej utrzymania

bo produkcya już skutkiem biedy posiadaczy cofać się musi, a ona dowolnie podnieść się i tak nie daje, pomimo nawet wzorowej techniki i dostatecznej zasobności na wszelkie nakłady. Posiadacz parceli jest przeto wskazanym na znalezienie zatrudnienia i zarobku, a tego nie znajdzie często na miejscu czy w sąsiedztwie, jakby to ze względu na jego własną uprawę parceli i mieszkanie w własnej chacie było pożądanem. Jest to dlań okolicznością niepomysłną, prowadzącą do biedy, jest to stratą dla kraju, gdy tyle rąk zdolnych do pracy marnieje bezprodukcyjnie, gdy tylu ludzi nie znajduje warunków zdobycia sobie dostatniego bytu przez pracę. Słyszałem często skargi na brak robotnika i tym brakiem powodowano się u nas nieraz przy optymistycznej ocenie parcelacyi, twierdzono, że owszem dopiero ona dostatek robotnika wytworzy. Wbrew temu jestem przeciwnie zdania, że w wielu okolicach brak robotnika jest już skutkiem i następstwem nadmiaru parcelacyi i ztąd płynącego braku trwałego zarobku; właściciel parceli ma już często tak mało ziemi, że poszukuje trwale zajęcia w cudzem gospodarstwie, a znajdując je w swej okolicy tylko w pewnych okresach — przy żniwach, zbiorze okopowizn — idzie w świat, aby tam trwałszy, chociażby przez lato i jesień, znaleźć zarobek. Tłumna emigracya z kraju przybrała już nieraz rozmiary, które zmusiły opinię publiczną do zbadania jej przyczyn, bo sama głupota z jednej a kłamliwa agitacya z drugiej strony, to nie są ani wyłączne, ani główne przyczyny, i z reguły nie emigrują ludzie, którym w ojczyźnie dobrze się dzieje; również czasowa emigracya z Galicyi na robotę w świat wzrasta bardzo, ona dowodem braku zarobku w kraju — braku organizacyi pośredniczącej między podażą pracy a popytem za nią — ona powodem wielkich strat krajowej produkcji, bo najlepsi robotnicy idą zwykle w świat a w gminie pozostają i pracują tylko dzieci, niedorosłki i starzy ludzie.

Niepomysłne te objawy już dziś bardzo często niestety dostrzegać można, to też obowiązkiem nauki i polityki zapytać, jakim będzie stan kraju, stan naszych wsi, jeżeli te stosunki tak dalej rozwijać się, a więc pogarszać jeszcze będą. Dziś już cierpią na tem gminy i cierpi kraj, że gminy

nie mają dość sił, aby wykonać własny i poruczony zakres działania, a cóż dopiero będzie, gdy większość gmin sproletaryzuje się, do czego niewątpliwie pcha dalszy rozwój obecnych stosunków. Szkoły nie zapewnią nam dobrego zarządu gmin, gdy ultraparcelacya sproletaryzuje włościanstwo. Że to niebezpieczeństwem ekonomicznem, społecznem i politycznym, tego dowodzić już szerzej nie potrzeba.

I mylnem jest uspokajanie się, że podobne prawo spadkowe, przepisujące w kodeksie równy podział spadku *ab intestato*, panuje i w innych krajach, bo w Niemczech w bardzo szerokich terytoryach zwyczaj ludowy, przekazujący jednemu z synów dziedzictwo z splątami na rzecz rodzeństwa oznaczonemi podług szacunku średniego przychodu z tego gospodarstwa i po potrąceniu jeszcze często pewnego *praecipuum* na rzecz obejmującego gospodarstwo, w myśl zasady: *dass der Erbe wohl bestehen kann*, oparł się skutecznie pisanemu prawu i zwyczaj ten w ciągu ostatnich dwudziestu lat doznał ochrony prawnej przez wprowadzenie nanowo w wielu prowincyach t. zw. *Anerbenrecht*, opartego na tychsamych zasadach, co dawny zwyczaj ludowy; we Francyi zaś moralnie wątpliwy, ale faktycznie mniejszy wzrost ludności czyni proces parcelacyi ziemi powolniejszym, a dobry klimat i gleba, oraz bez porównania lepsze ogólne stosunki gospodarcze łagodzą jej skutki. U nas nic ich nie powstrzymuje i nic nie łagodzi, owszem groźny proces rozpadania się ziemi na parcele jest w Galicyi wzmożonym jeszcze przez spekulacyjne parcelowanie wielkiej własności i to tak w drodze sprzedaży, jak dzierżawy.

Wielka własność w Galicyi, jak w całej Europie, cierpi od szeregu lat pod wpływem agrarnego przesilenia. Wywołanem ono zostało konkurencyą różnych krajów zamorskich, a w znacznej części Europy, zaostrzonym podróżeniem pieniądza, spowodowanem przez reformy monetarne zdążające do rozszerzenia złotej waluty, połączone z równoczesną demonetyzacją srebra. Kraje te zamorskie, jak Ameryka, Indye — a obok nich i Rosya — miały tanią ziemię, tani transport, tani pieniądz krajowy, mało długów hipotecznych, mało podatków, one więc były zdolne sprzedawać swe płody na targach Europy za niską cenę, tem niższą im więcej dro-

żała waluta złota, bo im droższe złoto tem mniej go żądali za swą cenę w srebrze czy papierze, i ta niska cena, mianowicie zboża i wełny, stała się od długiego szeregu lat panującą w Europie, a tendencję zniżkową cen zboża, wywołaną faktami ekonomicznymi, zaostrzyła jeszcze niezdrowa gra giełdowa, o której ukróceniu dopiero teraz rządy myśleć zaczynają.

Zniżka cen produktów rolniczych, szkodliwa dla każdego rolnika, stała się wprost zgubną dla tych właścicieli ziemskich, którzy mieli stosunkowo wysokie długi. Suma wydatku na podatki i procent nie zmniejszyła się — konwersya, którą przytaczano jako rzekomy ekwiwalent zniżki cen, dotyczyła tylko długów pierwszej hipoteki, a w wielu wypadkach była tylko środkiem powiększenia pożyczki hipotecznej, aby pokryć różne długi bieżące, tak, że dłużny procent nie zmniejszył się, a zmniejszyła się suma dochodu. Na tej drodze groził lub powstał deficyt w budżecie gospodarstwa. Uchylenie go przez powiększoną produkcję nie każdemu się powiodło, bo nie wszędzie było dość nauki i dość kapitału, nie wszędzie dość dobrą organizacya kredytu, aby to uwożliwić, nie wszędzie posiadany warsztat zdołał odpowiedzieć temu wymaganiu.

Dla finansowego ratowania właścicieli większych podniesiono i zastosowano różne projekta. Umieć w całej pełni ocenić doniosłość i zasługę każdego projektu, każdego działania, co choć jeden dwór polski ratuje lub na jego miejscu co zdrowego tworzy, i dlatego też z pełnem uznaniem i pełną radością patrzałem na działalność Banku¹⁾ Ziemskiego¹⁾ w Po-

¹⁾ Powołując się co do zakresu czynności Banku Ziemskiego i jego wielce doniosłego znaczenia ogólnego na dawniejszy mój artykuł, zamieszczony w r. 1893 w *Przeglądzie Polskim*, przytaczam tu pogląd na ważniejsze rezultaty jego działalności w końcu każdego roku obrachunkowego:

Cyfry za ostatni rok zawdzięczam uprzejmości Szan. Dyrekcyi Banku Ziemskiego, która mi ich na mą prośbę udzieliła w epoce przygotowywania tego odczytu (czerwiec b. r.) i za te cyfry niniejszem publicznie dziękuję. Ktokolwiek uprzytomni sobie, że do 30 czerwca r. 1896 wynosił kapitał zakładowy i akcye I ej emisji tylko 1,200.000 marek, że akcye II-iej emisji w łącznej sumie 800.000 do-

Dnia	Obszar sprzedanych i tradowa- nych parcel Hekt.	Ilość jednostek gospodar- czych	Cena ogólna sprzedaży M.	Wpłaty nabywców parcel M.	Stan kapitałowy			Stan funduszów rezerwo- wych M.	Dywidenda %
					w parcela- cyach M.	w hipote- kach M.	w efektach M.		
1 lipca 1889	412	68	288,270	—	—	—	252,892	5,826	—
" "	1,586	174	1,076,057	101,734	282,851	117,575	428,868	11,141	4.
" "	3,587	264	2,120,740	404,845	260,297	450,512	296,746	21,708	4.
" "	5,681	414	3,511,765	689,831	394,439	571,030	170,657	29,737	4.
" "	8,173	729	4,951,480	1,031,788	574,122	446,877	138,979	37,837	4.
" "	9,883	913	6,029,115	1,345,940	1,160,684	342,344	90,166	45,863	4.
" "	11,098	1,013	6,806,096	2,120,801	1,304,120	446,979	154,522	53,920	4.
" "	11,962	1,073	7,646,350	2,471,335	1,333,084	476,808	375,715	61,988	4.
od 1. lipca 1896 do 31. maja 1897 przybyło	2,348	227	1,512,678	316,860					
Stan 31 maja 1897 . .	14,310	1,300	9,159,028	2,788,195	1,749,960	394,104	231,362		

piero w czerwcu z. r. ukończono subskrybować (wpłaty wy-
nosiły do 1/7 r. 1896, 462.000 m.), ten nie odmówi pełnego

znaniu, a zwiedzając kolonie przez niego założone, widząc te nowe racjonalnie założone i urządzone gospodarstwa właściańskie, choć nieraz na gruzach dworu -- tego historycznie tak ważnego czynnika w naszym narodowym życiu — powstały, opuszczałem te wsie z uczuciem *sursum corda*, bo widziałem, że dziedzictwo ziemi przeszło w ręce młode, czujące się spadkobiercami moralnego dziedzictwa, a widziałem zarazem, że ta parcelacya przeprowadzoną jest w sposób wzorowy, zapewniający racjonalne gospodarstwo i na niem pewny byt dla osadników. Uznaję przeto bez zastrzeżeń, że są i mogą być sposoby finansowego ratowania dawnego właściciela lub likwidacyi wielkiej własności, na które każdy ekonomista się zgadza, które wskazywać i zalecać jest ekonomisty zadaniem, które są zgodne z interesem i dotychczasowego właściciela i nowonabywcy i kraju, ale są i sposoby finansowego ratowania wielkiej własności, które ostrą krytykę wywołać muszą.

uznania dla działalności Banku i osiągniętych rezultatów, ogólnych, ekonomicznych i finansowych. Niemiecka komisya kolonizacyjna osiedliła pracując 2 lata dłużej i mając 100 mil. kapitału rodzin 1900 — Bank Ziemski 1300. — Folwarki i obszary dworskie powyżej 100 hekt. zajmują w Poznańskim 60%, w Prusach Zach. 49% całego obszaru; własność ta wynosi razem 2,435 mil. hekt., a własność poniżej 100 hekt. zajmuje tylko 2,05 mil. hekt. rozkładających się na 295.000 posiadłości. Powiększanie liczby i obszaru średniej i małej własności jest tam ekonomicznie, społecznie i narodowo wskazanem. Pole do *zdrowej* pracy ma Bank Ziemski przed sobą jeszcze na bardzo długie lata. Niestety są dla tej pracy niedostatecznymi dotychczasowe fundusze Banku i dalsza emisya jest wskazaną i konieczną, mianowicie wobec trudności, jakie komisya generalna Bankowi czyni, np. żądając, aby nowe kolonie były narodowo mieszane. Trudności te zmuszą Bank Ziemski do zrzeczenia się pomocy listów rentowych i oparcia się przeważnie na swe własne fundusze. Wbrew obawom pesymistów, nawet wbrew nadziejom przyjaciół Banku w epoce zakładania, dywidenda wyniosła stale 4%. To też nowa emisya zasługuje na ogólne poparcie, bo 4% w złocie i udział w społecznie doniosłym czynie, to dobra lokacya.

Na taką krytykę mem zdaniem zasługuje przeważna liczba parcelacyj przeprowadzonych w Galicyi i rozszerzające się niestety coraz więcej dzierżawy włościańskie.

Wyżej już powiedziałem, że obszar za wielki lub złorozkład pól czynią nieraz odłączenie pewnej części pól gospodarczo uzasadnionem i pożądanem. Ale akcyja ta zasługuje na miano ekonomicznie dobrej tylko wtedy, jeżeli na tym odłączonym obszarze powstaną racjonalne gospodarstwa średnie i małe, mające położeniem, rozmiarem, jakością warsztatu, trwale warunki bytu; sprzedaż zaś na małe parcele byłaby uzasadnioną tylko wtedy, gdyby nowo-nabywcy mieli lokalnie z pracy swych rąk trwale zapewniony zarobek po za własnem polem, inaczej wytwarza się odrazu ognisko niezdrowych stosunków, mając rzekomo polepszyć układ własności ziemskiej pogarsza się go trwale, bo co raz rozbitem zostało na parcele, to już nie wróci do całości. To też tem więcej wątpliwie, aby wprost nie powiedzieć zgubnie, przedstawia się parcelacyja, gdzie ją się podejmuje nie w celu zaokrąglenia gospodarstwa, ale tylko z powodu długów, dla upchnięcia ciężarów hipotecznych. Pozostający przy dworze obszar może sam stać się przez to gospodarstwo nieodpowiednim, za wielkim jako własność średnia, za małym jako wielkie gospodarstwo, taka parcelacyja może przeto prowadzić do zepsucia warsztatu pracy, mianowicie, że nieraz, gdy pierwsza parcelacyja się udała, próbuje się i przeprowadza drugą i trzecią, po kawałku sprzedaje się ojcowiznę i tak stopniowo kurczy się i ginie na zawsze jeden warsztat wielkiej produkcji rolniczej, jeden posterunek obywatelskiej służby. Może to być jeszcze interesem dla parcelującego, ale nie jest interesem kraju; taka parcelacyja może być jeszcze finansowym ratunkiem właściciela, ostatnią deską ratunku utrzymującą go choć na skrawku dziedzictwa i jako taka może w pewnych warunkach — anormalnych — mieć ogólnie dodatnie znaczenie pod względem społecznym i narodowym, ale pamiętajmy, że parcelacyja przez swą istotę nie jest ratunkiem wielkiej własności, tylko jej likwidacją. I fałszywa to demokracja, co tak pragnie zmniejszenia liczby i obszaru wielkiej własności, że ją cieszy każda parcelacyja, każdy

zanik, czy uszczuplenie dworu, chociażby to było kosztem wytwarzania ognisk agrarnego proletaryatu.

Niemniej pesymistycznie oceniam rozszerzające się dzierżawy włościańskie. Odnosi się do nich najpierw tasama krytyka co do parcelacyi, tj. że one mogą odrazu pogarszać stan jednostek gospodarczych, ale po za tem przedstawiają wielkie niebezpieczeństwo społeczne, mianowicie gdy się mnożą. Dzierżawa i długi hipoteczne mają zasadniczo to złe, że czynią przedsiębiorczą rolniczą pracę zawisłą od kapitału, reprezentowanego przez wierzyciela czy właściciela, one wnoszą w rolnictwo nowy antagonizm między pracą a kapitałem ¹⁾, przy czem kapitał, mając po swej stronie skuteczniejszą obronę prawną i większą siłę ekonomiczną, zwykle zwycięztwo odnosi na szkodę przedsiębiorczej pracy i na szkodę produkcji krajowej. Wspomniałem wyżej, że mnożenie się dzierżaw czyni specjalne *ad hoc* ustawodawstwo koniecznem; tu dodam, że mnożą się głosy, które bacząc na fakt, że wydzierżawiający właściciel przestaje być gospodarzem, a staje się przedsiębiorcą, żyjącym z renty powstałej z wypożyczenia własnego kapitału — w tym wypadku ziemi — domagają się, aby z faktu tego wyciągnąć bezwzględnie prawne konsekwencye. A tą konsekwencyą jest, że skoro życie i prawo uznały, że w interesach wypożyczania kapitału dzieją się nadużycia domagające się publicznej kary i to doprowadziło do nowoczesnego ustawodawstwa o lichwie, to też i interesa wypożyczania kapitału w formie wydzierżawienia ziemi winny być oddane pod publiczną kontrolę, a nadużycia powinny być pociągnięte wprost — w myśl swej natury ekonomicznej — pod przepisy ustawy o lichwie i jako lichwa karane. Konsekwencyę tę pociągną społeczeństwa europejskie tem rychlej, im gorszy rozdział własności ziemi liczniejszemi uczyni dzierżawy, im więcej, skutkiem dotychczasowej prawnej i ekonomicznej przewagi wierzyciela, występować będzie antagonizm interesów właściciela i dzierżawcy. Antagonizm ten występuje tem jaskrawiej, im słabszym jest dzierżawca, jak o tem każdego dostatecznie

¹⁾ Najbardziej zasadniczo ujął to L. v. Stein: *Die drei Fragen des Grundbesitzes und seiner Zukunft.*

pouczyć mogły stosunki irlandzkie. Ale zarazem te stosunki irlandzkie, które wymagały konieczności interwencji ustawodawstwa posuniętej aż do redukcji kontraktowych czynszów dzierżawnych, wbrew i bez woli właściciela, do uznania prawa dzierżawcy — *fair rent, fixity of tenure, free sale* — aby komisya krajowa wysokość czynszu normowała, aby ten czynsz był niezmiennym przez 15 lat, po których mu wolno nadal dzierżawy zażądać, prawa ustąpienia dzierżawy komu innemu, do wydania ustawy z r. 1892 *small holdings act*, przyznającej dzierżawcy warunkowo na jego żądanie własność dzierżawionej parceli — te stosunki i ustawy powinny być dla nas nauką ¹⁾ i przestrogą. I nie żadna jednodniowa radykalna większość parlamentu narzuciła Zjednoczonemu Królestwu te ustawy, ale zarówno Gladstone jak Salisbury, szef liberalnego i szef konserwatywnego gabinetu, widzieli się spowodowanymi do stopniowego rozwoju tego ustawodawstwa, wkraczającego tak stanowczo w zakres praw prywatnej własności. Ale własność, ta wielce doniosła instytucja społeczna, bezwzględna nigdy być nie może, i rzymscy prawnicy znali dla niej — zapomniane niestety częstokroć — ograniczenie: *est ius utendi et abutendi re sua, quatenus iuris ratio patitur*; gdzie ona staje się środkiem dezorganizacji społecznych stosunków, dla których czynnikiem organizującym być miała, tam zatracza swe cechy, tam przekracza swe uprawnione granice, tam interwencja publiczna — bez względu kto u steru, jak to stwierdziły świeże dzieje Anglii — staje się konieczną, bo jedna jest tylko uczciwość. Nie uznał sąd kontraktu kupna weneckiego, a to tłumaczy owo tak daleko idące ustawodawstwo angielskie. Dzierżawa wytwarza bowiem dla dzierżawcy warsztat pracy, on na nim opiera swą

¹⁾ Ustawowe reformy te zaczęły się w r. 1870 a lata 1881, 1882, 1885, 1887, 1891, 1892 wykazują dalszy ciąg tego ustawodawstwa. Por. Pollock: *The Land Laws*. L. v. Stein l. c. Buchenberger: *Agrarwesen u. Agrarpolitik*, t. I, § 36, § 93, (dzieło to całe bardzo polecenia godne). Meitzen: *Die irische Landfrage w Schmollers Jahrbücher* 1881. E. Wiss: *Das Landgesetz für Irland v. J. 1881*, Herkner: *Die irische Agrarfrage w Jahrb. für Nat. Oek. u. Stat.* XXI.

egzystencyę; im więcej takich egzystencyj powstaje, tem więcej przestaje dzierżawa być kontraktem prywatnym dwóch osób, tem więcej nabiera cech istoty sprawy publicznej, tem łatwiej może wystąpić konieczność uwłaszczenia dzierżawców, bo żadne społeczeństwo nie może pogodzić z swem prawem i swem sumieniem, aby może ktoś — jak to zdarzało się w Szkocyi i Irlandyi — więcej niż stu rodzinom wypowiedział dzierżawę, odbierał podstawę egzystencyi dlatego, że mu jakiś rządzca czy wielki dzierżawca wyższy czynsz dzierżawny obiecał, albo że te tereny pragnął na rewiry łowieckie przemienić. A jak już to dzierżawienie parcelami wytwarza nieracyonalne jednostki gospodarcze, tak oparte na niem kiedyś uwłaszczenie, społecznie może konieczne, byłoby znów w naszych stosunkach dalszem trwałem uszczupleniem dworów, dalszem pogorszeniem rozdziału własności ziemskiej. W krajach zresztą z wielkim przyrostem ludności, jak właśnie Galicya, mają dzierżawy parcel i tę zgubną stronę, że anormalnie ułatwiają ten przyrost. Ludzie lęczą się, że ta dzierżawa parceli stworzy im lub uzupełni podstawę bytu; na tej kruchej — zależnej dotąd zupełnie od woli drugiego człowieka — podstawie, zakładają rodzinę, mnoży się ludność bez pewnych podstaw bytu, a to fakt wysoce niepożądany i niebezpieczny.

Gdy dawny właściciel nie wyratował się ani podniesieniem produkcji, ani parcelacyą, ani dzierżawą, ani wycięciem lasu, to przychodzi do sprzedaży całości, i tu powstaje dla kraju społeczne i ekonomiczne ryzyko, że ziemia ta przejdzie w nieodpowiednie ręce. Galicya nie jest dziś narażoną na większe kupna ziemi przez ręce nieodpowiednie pod względem narodowym, jak to zachodzi w zaborze pruskim, choć i tu nie jesteśmy zupełnie wolni od tej troski, ale więcej grożą nam kupna ekonomicznie nieodpowiednie, zgubne dla gospodarczych stosunków kraju, szkodliwe pod względem rozdziału własności ziemskiej. Kto bowiem wieś chce kupić jako warsztat rolniczej pracy, ten często nie jest w stanie dać tej ceny, jaką dać może bądź to sąsiadujący wielki pan, mogący i tysiące mórg lasu zniszczonego zaleśnić i 60—80 lat czekać na zwrot nakładu, a kupujący dla zaokrąglenia swych dóbr, bądź też spekulant ziemi, liczący na

to, że las do reszty wytnie, inwentarz sprzeda, co się da, rozparceluje, a resztę wydzierżawi żydowi lub chłopom. A ponieważ sprzedający z konieczności pragnie i potrzebuje wyższej ceny, to też namnożyło się u nas tych sprzedaży, gdzie nie rolnik jako warsztat pracy, lecz spekulant jako towar nabywał. W Niemczech jest już ustawa karna, odnosząca się do spekulacyjnego niszczenia gospodarstw włościńskich (*gewerbsmäßige Güterschlichterei*); u nas niszcycielstwo rzuciło się głównie na własność średnią i wielką, a brak wyrobionej świadomości o agrarnych interesach kraju tej spekulacyi nie potępia, nie karze, gotów w niej nieraz upatrywać budzenie się przedsiębiorczego ducha, tak potrzebnego nam w kraju rzeczywiście. Ale zdrowy duch przedsiębiorczy w rolnictwie objawia się inicjatywą w melioracyach, przemyśle rolniczym, ulepszeniach uprawy plodozmianu, hodowli, zbytu, stosunków robotniczych — spekulacya na cenie ziemi nie jest jego wyrazem. A przeciw tej spekulacyi tylko występuję i wystąpić trzeba. Czy nasze instytucye kredytowe są zupełnie wolne od zarzutu, że za hojnym wymiarem taks majątków i za hojnym udzielaniem pożyczek hipotecznych ten proces ułatwiły, rozbierać i rozstrzygać tu nie chcę, ale konstatuję, że spekulacya ziemią zdoła równie anormalnie podnieść jej cenę, jak giełdowa spekulacya ceny papierów, i ona taksamo może prowadzić do przesilenia, do bankructwa na wielkie rozmiary, do gwałtownej, za wielkiej znów obniżki tej ceny. A skutki takiego krachu cen ziemi, wywołanego nadmiarem spekulacyi, są daleko gorsze, bo ona sprowadza dewastacyę warsztatów rolniczych i dezorganizacyę rolniczych stosunków.

Cieszyłbym się gdyby zarzut, że pesymistycznie oceniam agrarne stosunki kraju, był słusznym, obawiam się jednak, że słusność jest po mej stronie, że nie za czarnych użyłem barw ¹⁾. A w tym razie znajdujemy się na strasznej

¹⁾ Prof. Piłat j. w. podaje, że liczba osób opłacających podatek gruntowy wynosiła w Galicyi w 1882 r. 1,420.021, w 1895 r. 1,710.704, w 1896 r. 1,743.739. Dowód to wzrostu ogromnego parcelacyi. Na jednego właściciela — po wyłączeniu obszarów powyżej 200 morgów — wypadło w 1882 r. 5 morgów, w 1896 już tylko 4. m. — W 249 gminach specjalnie badanych stanowiły posiadłości z przy-

pochyłości trwałego pogarszania się stosunków rolniczych, proletaryzowania włościactwa, stopniowego zaniku dworów, średniej i małej własności, a dalszy rozwój taki byłby dla kraju stanowczą klęską pod względem ekonomicznym, społecznym i politycznym.

Świadomość o tem budzi się w kraju, a krajowa komisya dla spraw rolniczych, Wydział Krajowy, a zapewne niebawem i Sejm zajmą się tą sprawą. Obudzenie tej świadomości, to pierwszy krok reformy, bo tylko te reformy w życiu społecznem są istotnie skuteczne, gdzie ich egzekutywa obok sumiennego wykonania przez władze jest popartą przez opinię publiczną, przekonaną o konieczności i pożytku reformy. A bez szerokiego programu reformy agrarnej obejść się nie zdołamy. Zanadto pogorszyły się już i zanadto dalszem pogorszeniem grożą stosunki. Reforma agrarna, to problemat nader trudny, bo fałszywem byłoby zupełnie chcieć tu działać starami, mechanicznemi środkami, jak prostym zakazem parcelacyi lub t. p. To byłoby i bezskuteczne i szkodliwe. Problemat polega na wytworzeniu warunków egzystencyi dla tych zdrowych jednostek gospodarczych w obrębie i małej i średniej i wielkiej własności ziemskiej, co jeszcze utrzymały się, na ułatwieniu powstawania nowych, zdrowych jednostek, na ograniczaniu swobody pogarszania

chodem gruntowym katastralnym do 5 zlr. rocznie przeszło 51⁰/₀ ogółu! W powiecie np. skałackim stanowiły posiadłości z obszarem niżej 1 morga 32⁰/₀, z obszarem 1—3 m. dalsze 27·83⁰/₀ wszystkich posiadłości gruntowych w powiecie. Własności ziemskie z obszarem 100 do 1000 m. zajmują mniej niż 6·5⁰/₀ kraju, podczas gdy własności poniżej 100 m. zajmują 54⁰/₀, a powyżej 1000 m. 32·6⁰/₀ obszaru kraju. W latach 1890—1893 zmniejszyła się ilość właścicieli z obszarem 100—200 m. o 5, 200—500 o 16, 500—1000 m. o 35! Sam znam fakta, gdzie podział poszedł tak daleko, iż na mapie zwykłej nie można go zaznaczyć, iż właściciele nie mogąc technicznie już dalej dzielić zbierają kolejno, znam fakt gdzie 90 m. rozdzierzawiono między 155 ludzi!! Podano mi daty, gdzie w ciągu 9 lat w promieniu 3 mil, 8 dworów przeszło w ręce wielkich fortun, 4 w ręce spekulantów, co je zdewastowali, 2 rozparcelowano i tylko 2 kupili rolnicy. Straszne to cyfry!!

stosunków przez złą parcelacyę. I tu znów mylnym krokiem byłby sam zakaz takiej parcelacyi; tu należy działać organicznie, stworzyć różne ułatwienia, skarbowe i kredytowe, przy tworzeniu nowych racjonalnych jednostek, odpowiadających różnym z natury rzeczy płynącym warunkom, podobnie jak to jest w nowych ustawach agrarnych angielskich i niemieckich. Bez wątpienia, że wszystko, co zasila rolnictwo ekonomicznie, jest doniosłem i požądaniem, reforma agrarna nie myśli też bynajmniej o odsunięciu na dalszy plan działalnościi zmierzającej do ulepszenia produkcyi i zbytu a przez to poprawy położenia rolników, ale historia pouczyła, że sama ta działalność nie wystarcza dla uzdrowienia agrarnych stosunków, nie powstrzyma procesu ich pogarszania się. To osiągnąć jest właśnie zadaniem i celem reformy agrarnej.

Że rozdział własności ziemskiej w Galicyi mógłby być lepszym, niż jest obecnie, to przyznać musi i największy optymista agrarny i najgorętszy zwolennik wolności ziemi, a skoro może być lepszym, to lepszym stać się powinien. Tego domaga się interes kraju. I ztąd polepszenie stosunków rozdziału własności ziemskiej jest doniosłem zadaniem ekonomicznem i narodowem, a będąc zadaniem, staje się i obowiązkiem. O tem winno pamiętać całe społeczeństwo, przede wszystkim zaś ci, którym przypadł udział w sterowaniu spraw publicznych kraju.

Dr Józef Milewski.

Kronika literacka.

— X. Jacek Tylka: *Dogmatyka katolicka*. Część ogólna. (Tarnów, 1897, str. 408).—X. Jacek Tylka, doktor teologii, były profesor dogmatyki w seminarjum duchownem w Tarnowie, obecnie kanonik gremialny tamże, który już dobrze przysłużył się naszej literaturze duchownej kilku przekładami jak *Uwielbienia łaski Bożej* według Scheebena, *Traktat o stopniach pokory i pychy* św. Bernarda, *Który bogacz będzie zbawiony?* Klemensa Alexandryjskiego i *Ćwiczenia duchowne* przez Petittidiera T. J., wydał świeżo książkę bardzo treściwą i pouczającą. Jestto mianowicie pierwsza *Dogmatyka*, napisana po polsku na modłę *scholastyczną*. Dzieło to przypomina nietylko osnową, ale i całym układem swoim traktaty łacińskie Hurtera, Eggera i innych teologów, na których kształci się młodzież, poświęcająca się stanowi duchownemu. Skromny autor niema żadnej pretensyi do oryginalności, nie wypowiada myśli nowych, któreby naukę mogły naprzód posunąć; jedynym jego zamiarem było zestawienie prawdy, uznane przez wszystkich znakomitych teologów i przychylnie się do rozpowszechnienia znajomości tych prawd w szerszych kołach, dla których owe książki łacińskie są nieprzystępne albo zbyt trudne do zrozumienia. „Postęp! postęp! — czytamy w przedmowie — i jeszcze raz postęp, to hasło dni naszych. Domagamy się tedy postępu we wszystkich umiejętnościach i na każdym polu wiedzy ludzkiej. Jest atoli jedna umiejętność, do której to hasło najbardziej odnosić się powinno, a tą jest wiary świętej umiejętność, bo od tego postępu szczęście doczesne i wieczne zawisło“ W tej (pierwszej) „części ogólnej“ znajdujemy po „wiadomościach wstępnych“ (określenie i podział teologii, o różnicy zachodzącej pomiędzy teologią a filozofią etc.) następujące traktaty: *O religii chrześcijańskiej* (str. 34—148), *O Piśmie Świętem* (str. 149—222), *O Tradycji św.* (str. 223—258), *O Kościele Chrystusowym* (str. 259—378), *O stosunku wiary do rozumu* (str. 379—408). Nadto podzielona jest osnowa na

sto *tez*, z których każdą popiera autor ścisłymi dowodami, poczem zbija czynione tym *tezom* zarzuty, najczęściej w sposób bardzo zwięzły a przekonujący. Tak np daje na str. 78 na zarzut: „Przypuszczenie możliwości cudów sprzeciwia się mądrości Bożej, całe bowiem urządzenie świata nie byłoby doskonałe, gdyby nie mogło obchodzić się bez faktów, pochodzących od samego Stwórcy, gdyby On musiał siłom natury dopomagać, albo w niej coś zmieniać i poprawiać“ — odpowiedź krótka, a naszym zdaniem trafna: „Bóg nie poprawia natury cudami, ale działa je dla celów wyższych, moralnych; a to nietylko nie sprzeciwia się mądrości Bożej, ale ją jeszcze bardziej widoczną czyni. Przyroda nie potrzebuje cudów, ale potrzebuje ich niekiedy człowiek“. (Por. też zarzut 2gi na tejsamej str. albo na str. 61 i innych). Nie możemy jednak zaprzeczyć, że w niektórych miejscach nie wydaje nam się ani samo sformułowanie zarzutu dość jasnym i ścisłym, ani też nie zadowalnia nas odpowiedź autora. Tak np. czytamy na str. 41: „Ale powiesz: ciemnota dała początek religii. Odpowiadam, iż natura ludzka domaga się religii. Religię mieli nietylko prostaczkowie, ale i najuczęsi mężowie;“ tu należałoby powiedzieć przynajmniej kilka zdań o błędzie, który autor ma na myśli. Albo weźmy zarzut na str. 89: „Przyczyną prorocत्व jest żywa wyobraźnia, a nigdy Bóg. Odpowiadamy, iż o takich prorocत्वach, płynących z bujnej fantazyi, nie tu nie mówimy, ale o prorocत्वach prawdziwych“. Tu trzebaby raczej powiedzieć, że widzenia proroków wydają się niektórym tylko obrazami stworzonymi przez fantazyę, którym tłumacze Pisma Św. *podsuwają* znaczenie odpowiedni. Zarzut ten wymagał dokładnego rozbioru dlatego, że istotnie znajdujemy w pismach proroków liczne obrazy, których wyjaśnienie nasuwa poważne trudności, że tylko wspomniemy *Apykalipsę*. (Por. zarzut na str. 109 i inne). Na str. 119 zbija autor krótko a dobrze przypuszczenie, że Apostołowie ulegali jakimś „hallucynacyom“, na str. 122 zaś wraca niepotrzebnie do tegosamego zarzutu, nie przytaczając żadnych nowych argumentów na jego odparcie.

Z obowiązku recenzenta musimy jeszcze wytknąć pewne wyrażenia niedokładne, które w następsem wydaniu należałoby poprawić. Na str. 8 czytamy, że „Ojcowie i pisarze Kościoła nazywają traktaty z teologii ekonomią, co oznacza zawiadowanie przezorne, nadzwyczaj troskliwe jakąś rzeczą, względnie rodzajem ludzkim“. Tu trzebaby raczej powiedzieć, że Ojcowie używają wyrazu *oeconomia* (który zresztą nie mieści w sobie pojęcia „nadzwyczajnej troskliwości“) o rządach Bożych, a nadto nazywają tak i traktaty, uczące o stosunku Boga do rodzaju ludzkiego. Niejasną jest uwaga na str. 9: „Czysto rozumowe dowody, na poparcie prawd objawionych z rozumu czerpane, należą drugorzędnie do teologii; nie dlatego bowiem ta prawda

jest objawioną, że nam ją rozum stwierdza, ale że się rozumowi nie sprzeciwia“. Myśl tę możnaby naszym zdaniem lepiej wysłowić tak: Nigdy nie można dowieść argumentami, zaczerpniętymi z samego rozumu, że ta lub owa prawda jest objawioną; można tylko wykazać, że ona nie sprzeciwia się rozumowi, czyli, że rozum powinien ją przyjąć, skoro sam fakt, że jest objawioną, nie ulega żadnej uzasadnionej wątpliwości. Niedokładnie określa autor na str. 48 „tolerancję polityczną“, jako „ustawę pozwalającą na publiczne wykonywanie praktyk religijnych“ etc. Na str. 68 nazywa Locke'a „ojcem materyjalistów“; na str. 102 pisze w uwadze: „Liczba 70 tłumaczy (prorok) okres 70-letni niewoli babilońskiej“. Na str. 374 czytamy o naganie, udzielonej św. Piotrowi przez św. Pawła (Gal. 2), że książę Apostołów „nie chciał jeszcze wtedy uznać stanowczo i publicznie przepisów Mojżeszowych, odnoszących się do pokarmów, za zniesione, chociaż wiedział, że one nie obowiązują chrześcian, a niechciał tego uczynić *pswodowany roztropnością*“. Skoro jednak św. Paweł zapewnia stanowczo, że Piotr był wtenczas „godzien naganienia“, więc nie wydaje nam się stósownem wyrażenie ostatnie, z którego możnaby wnosić, że autor przechyła się w tej kwestyi na stronę św. Piotra; naszym zdaniem należałoby raczej powiedzieć, że sprawa ta nie dostarcza żadnego argumentu przeciw nieomyłności papieskiej (o której tu mowa), ponieważ chodziło tu jedynie o akt *polityki* kościelnej (zresztą czytamy o sprawie tej także na str. 266, o czem na str. 374 niema żadnej wzmianki).

Co się tyczy *chronologii biblijnej*, (o której mowa jest na stronie 168 w uwadze), nie zawadzi tu przytoczyć zdania jednego z najznakomitszych nowszych apologetów, X. Duilhé de Saint-Projet (*Apologia naukowa wiary chrześciańskiej*. Warszawa 1894, str. 377): „Możemy więc z Sylwestrem de Sacy zakończyć wnioskiem: Niemasz chronologii biblijnej“ X. Duilhé pisze się bez restrykcyi na zdanie X. Le Hira: „Chronologia biblijna waha się i nie pewnego nie mówi; wynalezienie daty stworzenia naszego rodzaju należy do umiejętności ludzkich“.

Także i styl książki X. Tyłki wymaga gdzieniegdzie większego wygładzenia; tak np. czytamy na str. 332: „O Anglikanach, *gdzie*“ etc.; na str. 82: „wystarczy nam znać granice natury, aby uznać, że *choć* niewiem jak rozwinięta, na ten fakt nigdy się nie zdobędzie“; na str. 189: „Bóg nigdy nie czyni zbyt wiele, *gdzie to jest* zbytecznem“.

Cytatów jest bardzo dużo — może aż nadto wiele — niektóre jednak wymagają uzupełnienia, inne zaś sprostowania; np. na str. 84: „O czem prawi Liwiusz“ (gdzie?); tamże: „por. Spart.-hist. *August-Adriana* n. 25“; na str. 216: „Paweł z Heidelberga (zam. Paulus). Na str. 14, 15, 240—248, 333—343

i gdzieindziej spotykamy długie szeregi nazwisk, których zestawienie było może zbyt liczne.

W wielu miejscach brakuje znaków pisarskich (jak np. na str. 240 niema w 5-ciu miejscach przecinków na 14 wierszy); gdzieindziej (np. na str. 199) znajdujemy średniki zamiast przecinków itd.

Wszelako pomimo tych usterek mamy nadzieję, że książka X. Tyłki przyniesie wiele pożytku; jakkolwiek bowiem niejednego odstraszy od czytania jej wykład ściśle umiemy, szkolny, uwzględniający gdzieindziej i takie szczegóły, które mogą zajmować jedynie teologów z zawodu (jak np. uwaga na str. 221, dotycząca kwestyi, czy tensam ustęp Pisma Św. może mieć kilka sensów literalnych?), to jednak z drugiej strony posiada i forma, wybrana przez autora, swoje niepoślednie zalety, a mianowicie zwięzłość i przejrzystość — prawdy zaś, w dziele jego wyluszczone, należą do tych, których nie można zbyt często powtarzać, o których pisze się raczej i myśli w naszych czasach zamało.

X. Dr A. P.

— X. Dr Józef Pelczar: *Rozmyślenia o życiu kapłańskim, czyli Ascetyka kapłańska*. Wydanie drugie, przejrzone i pomnożone. 2 tomy. (Kraków 1897, str. 420 i 496).—Pierwsze wydanie tego dzieła (z r. 1892) doznało bardzo życzliwego przyjęcia w szerokich kołach duchowieństwa i nie wątpimy, że dużo przyniosło pożytku. Obecnie pojawia się książka ta w nowym wydaniu, przybrawszy większą objętość; to jednak powiększenie spowodowały w daleko znaczniejszej mierze przyczyny typograficzne, niż pomnożenie treści. Nie ulega wątpliwości, że książki, przeznaczone do medytacji, należą do najtrudniejszych i że nikt nie potrafi napisać takiej, któraby dogodziła wszystkim, odbywającym to pobożne ćwiczenie: jeden potrzebuje ustępów krótkich a treściwych, drugiemu nie wystarczy wywody znacznie obszerniejsze; jeden poprzestaje na logicznym wyłożeniu kilku przemawiających do samego rozumu argumentów, drugi szuka obrazów, działających na serce itp. Nic więc dziwnego, że i te *Rozmyślenia* spotykają się z pewnemi zarzutami, że zdaniem niektórych są one zbyt długie, że niedosyć przemawiają do wyobraźni i uczucia, że niedosyć są praktyczne, że zawiele w nich ogólników, że w znacznej części nadają się lepiej do lektury duchownej niż do medytacji właściwej itd. Nie możemy jednak w tem miejscu zastanawiać się nad temi zarzutami i nad innemi kwestyami, które się tu nasuwają. Stwierdzamy więc tylko, że treść *Ascetyki* X. J. Pelczara jest bardzo bogata i pouczająca, w szczególności zaś jesteśmy wdzięczni autorowi za trafne uwagi, odnoszące się do wykształcenia kleru. (Dodatek do części 1-ej, str. 393—420). Zgadamy się z jego zdaniem (str. 406), że w wykładach historii kościelnej lepiej używać języka ojczyźnego alumnów; piszemy się też zu-

pełnie na słowa, odnoszące się do wymowy kaznodziejskiej: „Homiletyka słusznie skarżyć się może, że się z nią obchodzą po macoszemu, bo czyż podobna, aby w przeciagu co najwięcej trzech miesięcy nietylko wyłożył całą teoryę, wraz z historyą kaznodziejstwa, której pomijać żadną miarą niemożna, ale przygotować alumnów praktycznie do tak wielkiego i trudnego obowiązku? Cóż więc dziwnego, że dziś dobrych kaznodziejów mało, za czem idzie obojętność dla słowa Bożego, zwłaszcza po miastach. Tu konieczną jest reforma, jeżeli nie chcemy dopuścić, aby kazalnicy otaczał tylko lud prosty, a do tego drzemiący” (str. 407).

Pomijając już inne myśli autora, również godne uwagi, kończymy tę wzmiankę bibliograficzną, życząc mu dalszego powodzenia w zbożnej jego pracy.

X. Dr A. P.

— Dr Jan Leniek: *Ks. Izydora Chrościńskiego, pierwszego prefekta gimnazjum tarnowskiego, Kronika z lat 1784—1794, z przydaniem aktów fundacyjnych kolonii akademickiej w Tarnowie z lat 1559 i 1578, jakoteż Raportu o jej stanie z roku 1766* (Kraków, nakładem Akademii Umiejętności, 1897, str. 109).

Nowa ta publikacya zasłużonego już na polu historyografii polskiej autora, jest cennym przyczynkiem do dziejów naszego szkolnictwa. Kiedy w r. 1784 przekształcono tarnowską „kolonię akademii krakowskiej“ na „gimnazjum“, powierzono tegoż kierownictwo ex-Pijarowi, X. I. Chrościńskiemu, który też w myśl rozporządzenia rządowego zaczął spisywać *Kronikę* zakładu. Znajdujemy tu jednak obok zapisków, dotyczących samej szkoły, liczne wiadomości z zakresu współczesnych dziejów politycznych, albo i takie, które mogły zajmować jedynie mieszkańców Tarnowa, a dziś już dla nikogo nie mają znaczenia; tak np. czytamy na str. 64, że piorun uderzył w dom hr. Ankwicza, na str. 62, że trzech urzędników w młodym jeszcze wieku pożegnało się ze światem. O samym toku nauki, o metodzie, używanej przez profesorów i o postępie uczniów nie możemy się niestety prawie nic dowiedzieć od X. Chrościńskiego, dlatego sądzimy, że wydawca powiedział za wiele, nazywając (na str. 7) *Kronikę* jego „obfitą kopalnią“ wiadomości do dziejów szkolnictwa galicyjskiego. X. Chrościński wlicza przedmioty nauki, wymienia uczniów celujących, chwali profesorów (z wyjątkiem Galambosa, por. str. 21), ale nie mówi nam, co właściwie wynosiła młodzież z gimnazjum za jego czasów; domyślamy się tylko, że np. w języku greckim musiała ona czynić postępy bardzo niepokażne, skoro uczyła się go tylko w trzech pierwszych klasach po dwie i pół (co najwyżej) godziny w tygodniu (w 2-gim kursie 1ej klasy uczono zrana *graecum* obok 5 innych przedmiotów w ciągu dwóch godzin! — por. str. 15); w dwóch najwyższych zajmowano greczyzną tylko „wybranych“ (por. str. 18).

Za to informuje nas autor jak najdokładniej o takich szczegółach, które mógł bez szkody dla historii pominąć, jak np., że sam kupował mapy i książki dla zakładu (str. 63 i inne), że jeden uczeń umarł na zapalenie kiszek (str. 42) itd. Inne zapiski rzucają smutną światło na stosunki ówczesne: uznawszy za rzecz dobrą, żeby uczniowie po niemiecku chwalili Boga, nakazał im prefekt śpiewać hymny niemieckie w czasie nabożeństwa (str. 27); profesor Hofmann wygłosił w tym języku kazanie w katedrze na cześć Józefa II (str. 39) itp. Sam X. Chrościński wysławia tego cesarza za to, że zwalczał „przesady“, że chciał zniemczyć wszystkie narody, w skład monarchii wchodzące itd. (str. 54 sq.); nie możemy więc zgodzić się ze zdaniem wydawcy (str. 5), że X Chrościński podaje dosyć trafną charakterystykę Józefa II i Leopolda II. Wogóle mówiąc, nie daje nam cała ta *Kronika* bardzo korzystnego wyobrażenia ani o charakterze, ani o inteligencji X. prefekta, co jednak oczywiście nie zmniejsza zasługi Dra J. Leńka, którego pracowitości zawdzięczamy jej poznanie.

X. Dr A. P.

— Zdzisław Czartoryski: *Listy z podróży*. (Poznań. Nakładem autora, w drukarni „Dziennika Poznańskiego“ 1897, str. 264, 26 ilustracyj). — Wogóle przyznać należy, że u nas w Polsce nigdy ochoty do podróży nie brakowało, a choć nieraz brakło do nich potrzebnego przygotowania, niekiedy zaś i funduszów, to przecież wesoło spuszczać się na Opatrzność, jechano w drogę i mamonę marną na ten cel cywilizacyjny wydzierano z pod ziemi albo raczej nieraz z ostatniej jej piędzi. Nikt atoli prawie nie dbał dawniej i nie myślał pisać dzieł o tem, jak dobrze bawiono się w Paryżu lub w innych stolicach świata i tylko może prababka niejednego z nas zostawiła drobnutko spisane marzenia swoje nad pięknosciami Włoch lub Paryża. Dzisiaj, jak słusznie autor powyższych *Listów* w pierwszym z nich zauważył, opisane i ośpiewane Włochy ogół prawie bezwzględnie nudzą. Nizza lub Somaliland jedne jeszcze jaskrawością sprzeczności zdolne są obudzić zaciekawienie, ale szczęściem niewielu u nas podróżników porywa się na pisanie o nich — szczęściem, zdaniem naszym, bo, pomimo rzadkich wyjątków, prawdą zawsze pozostanie, że „nie każdy, kto chce, malarzem być może“, że można być rozumnym a nawet wykształconym, znać choćby pokaźną ilość dzieł sztuki, a nie posiadać przecież tej kropli siły, co martwe słowo ożywia i daje mu barwę, ani też tej wrodzonej umiejętności przelania na papier myśli własnych lub uczuć i zachowania im cechy osobistej, którą w druku zwykle tak przerażająco trącą. I z tegoto powodu śmiemy nawet winzować sobie, że literatura nasza nie posiada zbyt wielkiej liczby tego rodzaju dyletanekich dyaryuszów podróżniczych.

Listy z podróży, spisane temu dwa lata na wiosnę, przez ks. Zdzisława Czartoryskiego, poświęcone dawnemu

nauczycielowi a następnie przyjacielowi p. K. Kozłowskiemu, wyszły z druku dopiero z początkiem bieżącego roku. Na Dreźnie, Monachium, Innsbruck, Meran i Brenner, Bozen, Riwę, Gardone nad jeziorem Garda do Werony wiedzie nas za sobą podróżnik pełen zapалу, któremu życie pono niczego nie odmówiło, ale w którego listach uczuć młodzieńczych znaleźć trudno. W Innsbrucku, którego piękność położenia chwali, o pysznych spiżowych królach i królowiach, co wieczną straż trzymają wokół sarkofagu cesarza Maksymiliana, nie znalazł on nic innego do powiedzenia, jak że wyglądają na figury z panopticum (*sic!*) Rozpoczynając swą wędrówkę od słów Słowackiego, że uciec pragnie „w nieznaną krainę południa przed ścigającą myślą i mrozami grudnia“, daje autor doskonały wyraz tym uczuciom, które każdego z nas gnębią przez sześć miesięcy na rok, gdy słońce zakryte bywa chmurami, z jakich śnieg i deszcz walą się naprzemian, a po zmarzłej lub często rozmokłej ziemi nasze syberyjskie słowiki, wrony i kruki, przechadzają się poważnemi krokami, zwiastując nowe zawieruchy. Pomimo wytkniętego celu autor jednak śnać nie umiał uciec od „ścigającej myśli“, bo z początku tomu Niemcy Berlińczycy, pijący piwo i drażniący jego nerwy, bardzo wiele zabierają miejsca w jego *Listach*, a w ślad za tem mimowoli czytelnika co chwila zbiera chęć przypomnieć, że na wyrażenie pewnego rodzaju wstępu najlepszem jest milczenie. Szczerze graniczącą ze zbyteczną prostotą, cechuje wogóle sposób wyrażania się autora o zniechęconem plemienu, a określenia nieprzyjemności, jaką sprawia ich bliskość, szeregowały o otaczającym ich powietrzu, porównania z różnego rodzaju owadami etc., są stanowczo niepotrzebnymi dodatkami. A swoją drogą nie powinniśmy znów także w tej mierze zbytecznie nalegać. *Combative spirit*, ten, którego Anglicy tak cenią i z taką pieczołowitością w sobie chodują, nie jest zwykle przyrodzony naszym naturom, brak jego znamionuje ich znaną miękkość, chwiejność, ubóstwo, zaciętości i szczeroci w przekonaniach. Wyrzucać go też nie śmielibyśmy nikomu, lecz tylko wytknąć nieprosty, ale pospolity niekiedy sposób wyrażania go. W opisach kraju i wiosny natomiast pragnęłoby można u autora *Listów* chwilami więcej prostoty. Tak miłe zawsze jednak opanowuje uczucie, gdy spotyka się u jednego Polaka więcej ślady rzeczywistego ocenienia Włoch i upodobania w ich piękności, że braku pewne smaku całkiem dobrego, tak w wyrażaniu się jak w sądach artystycznych, mniejszej wagi wydać się muszą. Fakt sam, że się wybrało Włochy za cel podróży, mającej być wyprzedkiem i rozrywką, zamiast Nizy lub Ceylonu, jest już zasługą w naszych czasach upadającej niezawodnie w klasach wyższych cywilizacji i ogłady umysłowej.

W duszy podróżnika, który sam o sobie miał ten dobry instynkt powiedzieć na wstępie, iż jest inwalidą i prozaikiem,

nie mogły rozbudzić „Włoch błękitny“, ani rozwieszono nad niemi „Alp granity“, tych strun, które tylko natura dać może i byłyby też dobrze zrobił, gdyby się nie był starał chwilami innym okazać. Miasta włoskie, swoboda ich życia, piękność dzieł ludzkich, od wieków złączonych z ich istnieniem, przemówić natomiast umiały do niego w zupełności. Doznał on tam tego uczucia spokojnego podziwu, niejako wzięcia w posiadanie umysłowe tego najdoskońalszego wytworu wszelkich piękności, jakim człowiek z północy Włochy zawsze wydać się powinny, gdy staje u ich progu.

W Weronie, gdzie zajmował się dużo pruskim lejtnantem, który mu powiedział, że się w tem mieście zatrzymał krótko, bo w niem *nix los ist*, niewiele autor mówi o kościele San Zeno, a o grobowcach Scaligerów stanowczo zbyt mało. Nam te ostatnie zdają się być tym drugi raz chyba na świecie niedoścignionym ideałem gotycyzmu w rzeźbie grobowcowej, przez włoską miarę i spokój doprowadzonego do najczystszej i najwytrawniejszej formy, jaką myśl ludzka w kamieniu przybrała. O amfiteatrze zato, jedynym, który nie stracił swej różowej szaty z marmuru, mówi w sposób, który przypuszczać pozwala, że pogardzana dzisiaj, a w życiu nieraz tak bardzo przydatna retoryka, ma w nim wiernego i szczerego wielbiciela. W dalszym ciągu *Listów* z Werony pełne podziwu uwagi o Guercinie, który zdaje się być rzeczywiście „slabą stroną“ autora, a chłodne wzmianki o Mantegni w Padwie, nie dają pochlebnego ani wysokiego wyobrażenia o jego artystycznym smaku. Padwa, ze swym Św. Antonim z procesją wśród wielkich białych murów katedry, z Piazza delle Erbe i zamartwem życiem w szerokich murach czerwonych, między którymi miasto jakby skurczone przez wiek, śpi teraz dowolnie, wrzało zaś ongi od zabaw i bitek scholarów, przemówiła silniej do autora. Trudno atoli nie zarzucić mu tu znowu, że o klejnocie padewskim, o S. Maria in Arena, nawet nie wspomniał. Wenecya natomiast ma w nim szczerego wielbiciela. Doznał on tam, jak każdy z nas zjeżdżający z Alp na południe, tego poczucia przeniesienia w inny, jasny, pogodny świat. Wody morskie, przy Mestre zielone od alg, które się wśród nich kołyszą, czarna łódź, którą, patrząc z kolejowego mostu, przejeżdżający zobaczy na zwolna wznoszącej się fali, starego w niej rybaka z fajką w ustach w czerwonej neapolitańskiej czapce i szafirowej bluzie, niebo nad tem granatowe, a w głębi jakby amfiteatr, różowa, gdyby jutrzienka, Wenecya, unosząca się nad wodami — widok ten musi każdemu dać uczucie, że od szarej naszej zimnej rzeczywistości wstępuje tam w krainę marzeń. O wrażenie barw mielibyśmy tylko ochotę z autorem się tu poprzeczać, bo widocznie ma na nie oczy otwarte. Nam „królowa mórz“ wydaje się zbliżka biało-złotą, na szafirowem tle nieba, a zielonem swych kanałów, dzięki przeważnej części pałaców i kościołów z białego marmuru. Trzeba by mieć chyba du-

szę ogłocołą z wszelkiego poczucia piękna, aby nie doznać czaru Wenecyi, tak widząc ją po raz pierwszy, jak wtedy, gdy się ją zna do głębi. Autor *Listów z podróży* i te głębie oceniać umie, lubi te z niczem niezrównane przechadzki po wązkich uliczkach, małych placykach, jazdy gondolą po mniejszych kanałach, gdzie mijając się, obeierają się o skamieniałe cokoly czarnych pałaców. O życiu, które w tych ramach wieść można, o jego swobodzie, wesołości, braku troski o jutro, choćby jutro przynieść miało noc spędzoną pod arkadami Prokuracyj i zaledwie garść robaków morskich na pożywienie, ludy północy pojęcia nie mają i autor *Listów* doskonale też określa jego urok. Sam, dla lepszego poznania miejscowego kolorytu, jadał czasem w Trattorii Capello-Nero za Orologią św. Marka, dlatego, że figuruje ona na jednym z obrazów z XVI w. i żywił się tam czerwonymi ślimakami, zwanemi *sciampi*, *vardurą*, czyli długimi i twardemi jak baty szparagami, i jako najdelikatniejszym przysmakiem *cavelicoffi à la parmesan*, smażonemi na oliwie — festyn, wymagający conajmniej silnego żołądka i prawdziwego zamiłowania i umiejętności używania na rzeczach umysłowych. Śnieżna szata S. Maria della Salute olśniła jego oczy, tak jak i nasze, za każdym spojrzeniem na nią. Tak jak wielu, pod urokiem czystości barw zapomina i on, że wspaniale białe łomy kamienne barok pokręcił tam w półkola i z naturą sprzeczne linie krzywe i wymęczone. O dzwonach zato białej bazyliki, zlewających się chórem z dzwonami Św. Marka w muzykę najpiękniejszą, jaka ucho ludzkie pieścić może, nie wspomina nawet. W ocenianiu malarstwa snąć ulega silnie wrażeniu barw, bo wszędzie i zawsze daje Wenecyanom przed innymi malarzami pierwszeństwo; częste a łatwoczrozumiałe wspomnienia o Veronesem, częstsze jeszcze a już trudniejsze do wytlómaczenia o Tintoretcie, świadczą jasno, gdzie go natura i smak wrodzony ciągnie.

Następnie w Bolonii bawi dni kilka i potępia tam bezwzględnie znane pochyłe wieże, nie piękne, lecz tak pełne charakteru, że zań przecież bardzo słusznie i wysoko cenione, unosi się zaś nad Guido-Renim i nad Św. Cecylią tym z obrazów Rafaela, który, oprócz ostatniego, chyba najmniej przysporzył sławy mistrzowi z Urbino, i łączy znów z temi próbkami smaku niezgadzające się wcale uwielbienie dla dzieł Perugina. Florencya nie zbudziła jego zapалу do tego stopnia, co Wenecya, fakt ten zaś potwierdza nas w dotychczasowem mniemaniu, że pomimo skarbów, jakie zawiera, jest trudniejszą do poznania, mniej przystępną i wymaga większego wykształcenia artystycznego. Autor *Listów* widział w niej dużo, nie mówi atoli, czy wracał do znajomych dzieł, lub czy spotykał nieznane, ale każdy, kto choćby raz widział Florencyę, nie znajdzie w jego uwagach nic, czego by sam nie wiedział. Piza, Genua, Medyolan opisane już zostały pobieżnie, sposobem, który w naszej pamięci niczego nie zostawił,

z wyjątkiem wielkiego upodobania w obrazach Andrea del Sarto i niecałkiem smacznych porównań do różnych owadów Angielek i Niemek, które autorowi nerwy drażniły przy zwiedzaniu kościołów.

Zdaje się niewątpliwem, że już dawno ludzie zaczęli pisać więcej o wiele, niż dla ich własnego moralnego i umysłowego zdrowia i dla nauki bliźnich może być potrzebnem. Ale dopiero w ostatnich kilkudziesięciu latach choroba produkcji książek przybrała większe rozmiary przez różne ułatwienia i tanieość druku. Każdy, kto artykułik lub listów parę z podróży nakreślić zdoła, lubiłby widzieć swe słowa czcionkami odbite i znajduje potem wszelkie ułatwienia. Kto zna literaturę naszą i całego starego świata, przyznać sobie może, że łatwość ta pożytku ludzkości nie przyniesie. Książka też taka np. jak niniejsze *Listy z podróży*, może conajwięcej zwróci ku krainie najpiękniejszej cywilizacji świata uwagę ludzi, mogących podróżować i zachęci ich do szukania wypoczynku w Wenecyi lub Florencyi raczej, niż w Paryżu lub Nizzy, smaku atoli ani artystycznego wykształcenia nikomu nieda, a czasem zatrzeć może pojęcie, jakich słów używać się godzi w polskiej książce, którą się do druku przeznaczają.

X. X.

— Aleksander Maryan Jasiński: *Współcześni powieściopisarze angielscy*. Szkice literackie. (Warszawa. T. Paprocki i Sp. 1897). — Prawdziwą zasługę miewają ci, co ustawiają pomost między umysłową twórczością odrębnych narodów, ułatwiając poznanie się wzajemne obcych sobie duchów, zyskujących na wchłanianiu szerszych powiewów i prądów kultury. Nie mówiąc już o Frańczy, którą przybrałszy za drugą ojczyznę, znamy nieraz lepiej od własnej, niedość się kwapimy z badaniem zagranicznych literatur, niedość śledzimy przyplwy nieustającej twórczości ościennych plemion. Wystarczy przypomnieć, iż na profesorów germanistyki przy naszych wszechnicach wypada Niemców sprowadzać, ponieważ żaden Polak nie jest zdolny się wykazać z dostatecznej znajomości niemieckiej literatury i ducha. Co do Włoch, spotkaliśmy niedawno bardzo zresztą wykształconych ludzi, którzy nigdy nie usłyszeli nazwisk d'Annunzia lub Fogazzara. Z literaturą angielską więcej mamy szczęścia. Przez długie lata Stanisław Koźmian (starszy), obok szekspirowskich przekładów i studyów, niezmordowanie dostarczał Polsce odgłosów piśmiennictwa angielskiego, przyswajał nawet mowie naszej celniejsze utwory, spoufalał polskich czytelników z ruchem umysłów w Anglii i stanowił nieoceniony łącznik pomiędzy światem polskim i angielskim. Przykład jego znalazł naśladowców, a w ich poczcie witamy obecnie p. A. M. Jasińskiego, zstępującego w arenę z nader zajmującą oceną czterech celniejszych powieściopisarzy angielskich. Są nimi Hall Caine, Rudyard Kipling, Grant Allen i Tomasz Hardy.

Pierwszy z nich, wysłany z Anglii przez filosemickie koła dla poznania doli i obyczajów Izraela na gruncie właściwym, a więc do zamienionej w Palestynę Galicyi, gościł dłużej w Krakowie, zachwycił się pięknością miasta, lecz ostatecznie nie spełnił powierzonego sobie zadania, w sumienności pisarskiej znajdując, iż niedość potrafił opanować przedmiot wskazany. Wróciwszy, napisał wprawdzie powieść, ale nie osnuł jej na tle stosunków semickich, przenosząc raczej akcyę na rodzinną wyspę Man, *terra ignota* dla wielu Anglików, krystalizując w opowiadaniu, które rozślawiło jego imię, tradycyę, zwyczaje i krajozbrazy owej wyspy. *The Manxman* wytycznym są punktem w zawodzie p. Hall Caine, którego pełna poezyi wyobraźnia, stwarza osnowy prawdziwie dramatyczne. W Rudyardzie Kiplingu p. Jasiński wita za innymi hindostańskiego Dickensa, rozbiera jego poszczególne nowelki, uznaje w nim prawdziwego poetę. Natomiast odmawia wszelkiego talentu głośnemu tylko skandalem p. Grant Allen, a w Tomaszu Hardy uznaje wprawdzie niepospolitego pisarza, ale u obu wytyka przewrotną tendycyę, zmierzającą do podkopania instytucyi małżeństwa i szerzenia hedonizmu. Oczywiście niepodobna po szczególe zdawać sprawy z książki, będącej właściwie literackim tylko sprawozdaniem. Uznać atoli należy u autora bystry zmysł krytyczny, biegłość w streszczaniu powieściowej osnowy, oraz trafne ocenianie twórczości pojedynczych pisarzy. Dlatego też tak ci, co pragną poznać obcą sobie literaturę angielską i jej głośniejsze utwory, jak ci, co chcieliby sobie wyrobić sąd trafny o niektórych nowych prądach i autorach, z pożytkiem przeczytać mogą pracę p. Jasińskiego. Przekonają się z niej dowodnie, iż minęły bezprowrotnie czasy, kiedy naiwne i niewinne płody anglosaksońskiego ducha można było oddawać bez zastrzeżenia ni wyjątków w ręce młodszego pokolenia, kiedy pisanie powieści przeważnie stanowiło rozrywkę i pociechę starych panien angielskich, kreślących *con amore* a należo i *con genio* dzieje licznych rodzin i wykwintnych sentymentów, których w własnym wydziedziczonym życiu nie znalazły. Owszem, dziś pewna brutalność, właściwa synom Albionu, znaczy się na skrajniejszych utworach wyspiarских werystów. Szczęściem, zastęp ich pozostał nielicznym, a znaczna część powieściopisarzy angielskich podawnemu hołduje dotąd czystym, czułym, szlachetnym i serdecznym ideałom.

N.

— James Sully: *Umysłowość ludzka*. Księga podręczna psychologii. Z angielskiego tłómaczył J. K. Potocki. Tom I. (Warszawa, 1897, str. 615). — Gdybyśmy mogli mieć nadzieję, że ta notatka wywrze jakiś wpływ na szan. tłómacza, zwrócilibyśmy się do niego z usilną prośbą, żeby nie wydawał II-go tomu niniejszego dzieła, dopóki przekład jego nie będzie poprawiony przez wytrawnego stylistę i znawcę polskiego języka. Pierwszy ten tom

zawiera istne horrenda językowe, jak np. „określoność dźwiękowego uczuwania“ (str. 183), „orzekające poprzednictwa uwagi“ (str. 196), władza „otamowawcza“ (str. 201), „wieńczący szczebel rozwoju duchowego“ (str. 204); czytamy tu o jakichś „przyleganiach“ (str. 235), o „uwspółrzednianiu“ (koordynacji str. 243). Wyrażenia takie, jak „wewnątrz-ustrojowe i zewnątrz-ustrojowe umiejscawianie uczucia (str. 254), „ideujemy“ (str. 258), „rzutować“ (str. 325), „intuowane“ (str. 394), mogą zupełnie zrazić do książki najcierpliwszego czytelnika. Ludzie wykształceni umieją w znacznej przynajmniej części natyle po angielsku, że mogą dzieło Sully'ego przeczytać sobie w oryginale, ta zaś szersza publiczność, dla której przeznaczony jest przekład, nieda sobie rady z trudnościami, nagromadzonemi przez tłumacza. Jakże np. wygląda u niego definicya „postrzegania“? Oto czytamy na str. 260: „Postrzeganie jest ową sprawą, w której duch nasz, odróżniwszy i uklassyfikowawszy czucie albo spłot uczuć, uzupełnia go współobjawem albo współtowarzystwem czuć odrodzonych, przyczem całe skupienie obecnych i odrodzonych uczuć całkuje się czyli krzepnie w postaci postrzeżenia t. j. bezpośredniego napozór i czuciowego ujęcia danego przedmiotu obecnego w danej miejscowości“. Kto zrozumiał cały subtelny rozbiór sprawy spostrzegania, dokonany przez autora, pojmie też znaczenie powyższej definicyi — ale trzeba by ją całą przełożyć inaczej, żeby ją Polak gładko mógł odczytać.

Do ujemnych stron przekładu należy również mnóstwo nowotworów, w których p. J. K. Potocki ma szczególniejsze upodobanie, które jednak nie wyglądają na to, żeby mogły uzyskać prawo obywatelstwa w naszej literaturze psychologicznej. Tak np. zamiast wyrażenia: „rozpoznawanie stosunków“ wprowadza „*ustosunkowywanie*“ (! str. 483); rozpoznawanie podobieństwa i różnicy i kojarzenie nazywa „umysłowaniem“ (str. 206), o wrażeniach zaś zmysłowych używa wyrazu: „zmysłowanie“ (str. 224); inne przykłady przytoczyliśmy już wyżej. Tu jeszcze wymieniamy: „sprawa *chcenna*“ (str. 200), „sąd przedzaniowy“ (str. 536), „wyobrażenia przedstawicielskie“ (ib.), „ciągowe połączenie“ (str. 540), sprawy „rozważowe“ (str. 589). Prawda, że niemałe były trudności, które tłumacz miał do pokonania i że tu i owdzie nasuwała się może rzeczywiście potrzeba utworzenia nowego wyrazu, ale najczęściej byłby p. Potocki, jak sądzimy, uczynił daleko lepiej, gdyby był trzymał się terminologii, której używają przeważnie nasi (bardzo niestety nieliczni) autorowie podręczników logiki i psychologii. Tak np. utarły się już wyrazy: „pojęcie“ (*concept, Begriff*) „treść“ i „zakres“ pojęcia (por. *Logikę* Kremiera i inne podręczniki szkolne), „wrażenie“ (*sensation, Empfindung*, por. np. Raciborskiego: *Ogólny zarys systemu filozofii*, Tom I. Lwów, 1892, str. 19 sqq, Struvego: *Wstęp krytyczny do filozofii*. Warszawa, 1896, str.

154 i inne), a tymczasem p. Potocki wprowadza wyraz „wiadomość“ na oznaczenie pojęcia (np. na str. 539: „sądzić, jestto łączyć dwie wiadomości“ itd.), angielskie zaś wyrazy *extension* i *intension* („zakres“ i „treść“) tłumaczy (str. 520, przypisek 2): „rozciąganie“ i „ściągnięcie“, dodając „wyjaśnienie“, które niedobrze świadczy o jego znajomości rzeczy: „Idzie tu o rozciąganie wspólnych właściwości, zauważonych w osobnikach poszczególnych, na każdego osobnika danej klasy, tudzież o ściągnięcie tychże właściwości wspólnych na całą klasę (!)“. „Wrażenie“ zaś nazywa tłumacz „czuciem“ albo „uczuciem“ (np. str. 183), albo „zmysłowaniem“ (str. 224), gdy mówi o wrażeniach zmysłowych.

Otóż te ujemne strony przekładu mogą wielu odstraszyć od przeczytania spolszczonej książki Sully'ego, nad czym trzeba by ubolewać, gdyż jestto dzieło poważne, zawierające dużo pouczającej treści, jakkolwiek niejedno zdanie autora zniewala do poozycy. Nie odróżnia on np. (równie jak większość psychologów angielskich) *wyobrażeń* od *pojęć*, nie mógł więc także trafnie scharakteryzować *myślenia*; przez „myśl“ rozumie on „wyobrażanie rzeczy jako klas czyli kategorii ogólnych“ (str. 503); a przecież takich „klas“ nie możemy sobie wcale wyobrazić, jak sam autor przyznaje (na str. 508): „Myśląc o człowieku, jako o klasie (logicznej), nie wyobrażam sobie wcale określonej liczby ludzi, ani też nie wyobrażam sobie ludzi jako pewnego zbioru. Właściwem byłoby powiedzieć, iż w sposób mniej lub więcej wyraźny wyobrażamy sobie fakt, że ten i ów przedmiot, oraz cały nieokreślony długi szereg przedmiotów innych, zestosunkowywane (*sic*) są jako podobne czyli odpowiadające jednemu opisowi“. Otóż właśnie tego „stosunku podobieństwa“ nie możemy sobie wyobrazić; możemy tylko wydawać sądy, czy i o ile pewne przedmioty są podobne.

Jeszcze niejedno znalazłoby się w książce tej twierdzenie, na które niepodobna się zgodzić — czytamy np. na str. 589, że „złożoność naszego życia duchowego dąży raczej do rozwinięcia w nas idei różnych jaźni, *nie zaś jednej*“, a na str. 614, że „wiara jest ślepa“ itd., ale nie tutaj miejsce do roztrząsania tych najdonioślejszych dla filozofii zagadnień.

X. Dr A. P.

— Jaroslav Goll: *Čechy a Prusy ve středověku (Czechy i Prusy w wiekach średnich)*. (V Praze, 1897. 8^o, str. 313). — Trudność polityki polega na tem, że nigdy nie można poświęcić uwagi i starań jednej tylko wyłącznie sprawie, bo nigdy nie uda się ująć zawikłań z całym szeregiem innych, współczesnych. W polityce zewnętrznej jedno państwo oglądać się musi na wszystkie inne i liczyć się z kierunkiem politycznym nie-

tylko ościennych, ale niemniej też z dążnościami dalszych; często o stosunku do sąsiada decydują stosunki z jakim odległym państwem. Dość przypomnieć, jak np. w r. 1515 sprawa korony czeskiej i węgierskiej rozstrzygniętą była przez — stosunki polsko-moskiewskie; podobnych przykładów podaje historia cały szereg, czem stwierdza, że każda wybitna akcja polityczna wpływała zawsze na przebieg dziejów nietylko bezpośrednio interesowanych państw, lecz całej Europy.

W średnich wiekach najważniejszą sprawą północno-wschodniej Europy była niewątpliwie sprawa pruska, czyli zatarg polsko-krzyżacki. Państwo Zakonu należało do najświetniejszych w Europie, a szeregiem licznych interesów związanem było ściśle tak ze Wschodem, jakoteż z Zachodem; po Rzymie czy Avignonie był Malbork siedzibą najbardziej europejskiego dworu. tudzież polityki, obejmującej zawsze ogólnoeuropejskie widnokręgi. Tu interesowano się wszystkim, co się w świecie działo, posiadano informację nieraz znacznie lepszą, niż w kurii, bo słyszano zazwyczaj, „jak trawa rośnie“ u przyjaciół i nieprzyjaciół, a umiano lepiej niż gdziekolwiekindziej wyzyskać wszystko na swoją korzyść. Nie brakło stosunków politycznych i dyplomatycznych pomiędzy Malborkiem a Londynem; tem częstsze tedy i ważniejsze były między Malborkiem a Pragą. Wszak Praga liczyła się również do głównych ognisk polityki europejskiej; ztąd na kilka zawodów wychodziły zakusy utworzenia wielkiego państwa w środkowej Europie, a nadto korona czeska bywała zarazem cesarską. W polskiej historii pada też nieraz na szalę znacznym ciężarem polityka dworu pragskiego i przeważa na tę lub ową stronę, decyduje o polityce Piastów i Jagiellonów. W żywotnej sprawie naszej przeszłości, w zapasach o wybrzeża Bałtyku, było stanowisko korony czeskiej niepoślednim czynnikiem, a bywało rozmaite, *za* i *przeciw* nam. Zależało to (oczywiście) od tego, w czem każdorazowy król czeski upatrywał *swoją* korzyść, kierując się nie krzyżackimi, ani nie polskimi względami, ale *czeskiemi*. Wyjaśnienie tych zmian, dla naszych dziejów tak ważne, wymagało jednak przedewszystkiem dokładnej znajomości historii czeskiej; to też bardzo pożądanym jest dla nas wypadkiem, że czeski historyk zajął się umiejętnem skreśleniem przebiegu stosunków czesko-pruskich.

Prof. Jarosław Goll posiada najzupełniej warunki potrzebne do opracowania tego tematu, a mianowicie szerszy horyzont historyczny, znawstwo (i to źródłowe) historyografii polskiej, wielką ostrożność w konstrukcyjnych wywodach, zupełny brak doktryny lub tendencji, nadewszystko zaś posiada; i tę zaletę, że najściślej przestrzega prawidła, iż wszelki temat historyczny należy traktować jako cząstkę historii powszechnej; pod tym właśnie względem odznacza się autor zaletami zaiste niepospolitemi. Temat wymaga opanowania materiału dziejowego

na obszarach od Moskwy i Hordy po Brandenburgię, od ujścia Dźwiny i Wisły po Adryatyk; pisząc o Krzyżakach, trzeba też ogarnąć całą sferę interesów jagiellońskiej Polski z jednej strony, a z drugiej sięgnąć do stosunków Rzeszy.

Autor zaczyna słusznie od św. Wojciecha; wszak ten pierwszy apostoł pogańskich Prusaków był Czechem, a jest patronem polskim. Św. Wojciech przedstawiony jest mniejwięcej podobnie, jak u wszystkich historyków, nie wyjmując ostatniej o nim rozprawki p. K. Potkańskiego; jako wielki charakter, ale zajęty wyłącznie bujaniem po obłokach, spraw ziemskich nie bardzo świadom i nie mogący na nie wywrzeć wpływu ¹⁾). Następnie opowiada autor o misyonarskiej wyprawie drugiego biskupa czeskiego, Henryka Zdika, o wojennych wyprawach książąt polskich, o sprowadzeniu Zakonu Niemieckiego i wcieleniu doń inflanckich Kawalerów Mieczowych; potem obszerniejszy ustęp poświęcony pruskim krucyatom Przemysła Ottokara II. Doskonały jest opis współczesnych stosunków w Polsce, na Litwie i Rusi; na tem tle wskazano należycie, jak ważne dziejowe sprawy rozgrywały się na pruskim pobrzeżu. Zdaniem autora król czeski zamierzał wówczas podbić Litwę, Jaćwież i Galindę... koronie czeskiej. Krainy te miały być po nawróceniu poddane stolicy biskupiej w Ołomuńcu, którą król zamierzał podwyższyć na arcybiskupstwo, pod politycznym zaś względem miały być lennami czeskiemi pod władaniem książąt Piastowiców. Stosunki książąt mazowieckich do Zakonu w tym czasie opracowane są w tym ustępie dokładniej, niż gdziekolwiek dotychczas i na niejeden szczegół zwrócono tu uwagę po raz pierwszy. Postać wielkiego Przemysłowca scharakteryzowana przepysnie, na tle powszechno-dziejowem; jeden tylko możnaby zrobić zarzut, że w omawianiu ówczesnych stosunków polsko-czeskich niedosyć zwrócono uwagi na to, że Małopolskę łączyła przez jakiś czas z Węgrami (a więc pośrednio przeciw Czechom) wspólna obawa nawały mongolskiej.

Drugi rozdział poświęcony jest czasom ostatnich dwóch Przemyslidów, tudzież Luksemburskich królów Jana i Karola IV. Sprawa pomorska zajmuje zrazu najbardziej uwagę autora, potem mazowieckie lenna króla Jana; polityka czeska opiera się stale na dążnościach zachowania i podwyższenia stanowiska Czech w Rzeszy i jest prawie zawsze Polsce nieprzyjazna, a po stronie Krzyżaków. Karol IV, potrzebując przymierza z Kazimierzem W. przeciw stronnictwu bawarskiemu w Rzeszy, obiecywał pomoc przeciw Zakonowi, ale — po pokoju kaliskim,

¹⁾ Referent inne ma o tem zdanie i przypuszcza, że św. Wojciech był właśnie wielkim politykiem, postacią epokową w historii, i że wywarł wielki wpływ na politykę Bolesława Chrobrego i Ottona III.

wiedząc, że Kazimierz wojny o Pomorze już prowadzić nie będzie.

Trzeci rozdział zajmuje się początkowym okresem unii litewskiej, do r. 1414. Syn Karola IV, król Wacław, zarzucił tradycyjną politykę swych poprzedników; od r. 1395 pozostaje w przymierzu z Polską, bo Zakon nie należy do jego stronnictwa w Rzeszy, ani też nie popiera jego celów w polityce kościelnej (podczas schizmy papieskiej). W sporach i walkach Polski i Litwy z Zakonem, stara się Wacław pośredniczyć, usposobiony przyjaźnie dla Polski — ale zmienia się to w r. 1410, gdy Wacław niepolitycznie narzucił się na sędziego polubownego w przededniu „wielkiej wojny“.

Za Przemyśla Ottokara II powołano się po raz pierwszy na wspólność krwi słowiańskiej w walce przeciw Niemcom; ale to było czemś niemal tylko..... przygodnem. Pod Grunwaldem walczyli Czesi po obydwóch stronach, i tu i tam, jako zaciężni; autor szczegółowo tę sprawę bada i wyraża przekonanie, że dopiero przez tę wojnę sympatye polskie w Czechach wzrastać poczęły, a przez zwycięztwo utrwaliły się w znacznej części społeczeństwa, ale nigdy w całym narodzie czeskim. W r. 1414 Zakon niewielu już zdołał zwerbować zaciężnych w Czechach, żołnierze woleli się garnąć pod sztandary polskie. Odtąd obok zmiennej polityki królów istnieje też w łonie społeczeństwa pewna sympatya, która jednakże nigdy decydująco na politykę nie wpływa.

Czwarty rozdział zajmuje się czasami hussyckimi, kiedyto „sprawa pruska“ bywała również kilka razy właściwą osią stosunków polsko-czeskich. Witoldowi chodzi o utrzymanie Żmudzi, Jagiełło występuje przeciw Zygmunтови dlatego, że ten gotów popierać Zakon; na stanowisko dworu polskiego wobec hussytyzmu wpływa ustawicznie wzgląd na sprawę krzyżacką. Wszystko to znajdziemy w dziele prof. Golla dokładnie wyluszczone, a obok tego sporo nowych wskazówek do licznych zagadnień tego okresu, zwłaszcza do misji Korybuta. Autor całkiem słusznie twierdzi, że w ruchu hussyckim prąd religijny górował znacznie nad narodowym, Polacy zaś sprzyjali Czechom, ale nie sprzyjali husytyzmowi. Skoro tedy w Czechach sekciarstwo silniejszym było od poczucia narodowego (jakkolwiek ono bardzo się wówczas rozbudziło), Polska niewiele mogła być wpłynąć na przebieg walk hussyckich. Około r. 1430 niema też już wśród Hussytów wcale stronnictwa polskiego. Przymierze czesko-polskie zawarte w r. 1432 przeciw „nacyi niemieckiej“, *skończyło się* na wyprawie jednego odłamu Hussytów (Sierotek) do Prus; nie brak atoli było Czechów i teraz jeszcze po stronie krzyżackiej.

Piąty rozdział opisuje szczegółowo i obszernie udział Czechów w wojnie 13-letniej; zaciężni czescy służą po tej i po tamtej stronie, a zmieniają sztandar, gdy żołd zalega. Jestto

proste condottierstwo, w którym niema żadnej politycznej myśli przewodniej, wyjątkowo ten lub ów kierował się sympatjami. Dużo tu nowych, a ciekawych szczegółów historycznych; czescy żołnierze byli głównym czynnikiem obydwóch wojsk. Król zaś czeski, Jerzy z Podiebradu, kierował się względami na kuryę papieską, której sympatye były po stronie Zakonu; chciał więc pośredniczyć, ażeby zachować państwo Krzyżakom. W dalszym ciągu rozdziału wyjaśnia autor politykę Kazimierza Jagiellończyka wobec wyklętego Jerzego, obliczoną na to, żeby korona czeska przypadła domowi jagiellońskiemu bez walki. Książka kończy się przedstawieniem ostatniej wojny polskiej z Krzyżakami za wielkiego mistrza Albrechta Brandenburskiego; doskonale powiada autor, że państwo krzyżackie, przedzierżgnięte wkrótce w świeckie księstwo pruskie, ocalało dzięki Moskwie. W ostatniej tej wojnie brali Czesi udział już tylko po stronie polskiej. Autor i w tym epizodzie podnosi niejedną niewyżytkany dotąd fakt, a stosunki Albrechta z Moskwą opisano tu po raz pierwszy należycie.

Samo zakończenie podajemy dosłownie: „Ani nawet ostateczne wypełnienie pokoju toruńskiego nie wydało szczęśliwego dla Polski załatwienia sprawy pruskiej. Zakon stracił Prusy, ale tradycya jego polityki przeszła do jego spadkobierców. W nowoczesnem pruskiem państwie zwyciężył on ostatecznie Polskę. A zanim jeszcze upadło krzyżackie panowanie w Prusiech, wcześniej bardzo okazało się, co stanie się pogromem polskiego państwa zbudowanego przez wieki XIV i XV, opierającego się na unii litewskiej i pokoju toruńskim: oto spółka Prus z Moskwą. Prusy zwyciężyły Polskę, a Moskwa Litwę. Ale też takie ostateczne załatwienie „sprawy pruskiej“ nie jest również szczęśliwym dla Słowiańszczyzny“.

Praca prof. Golla jest dziełem poważnem i pełnem zasług, bo wyjaśnia cały szereg zawitych spraw z nowego punktu widzenia. Nasi historycy będą się liczyć z tą książką, gdyż znajdują tam nie tylko podane rozmaite zagadnienia, które dzięki autorowi wchodzi odtąd do historyografii polskiej, rozszerzając jej zakres — ale też znajdują dużo faktów, dotychczas nieznanych lub też obojętnie przeoczonych. Trzeba by bardzo długiego artykułu, ażeby i pod tym względem wykazała doniosłość tej nowej książki.

Ma ona jednak jeszcze jedno znaczenie. Jestto najdokładniejsza dotychczas historia stosunków polsko-czeskich w średnich wiekach, a zarazem ustawiczny równoległy przegląd polityki polskiej a czeskiej na tle europejskiem. Wypadło dać książce tytuł *Czechy a Prusy*, bo prawie zawsze w Malborgu tkwił właściwy węzeł tej politycznej płataniny dyplomacji polskiej, czeskiej, niemieckiej, węgierskiej i wreszcie moskiewskiej. Daleka na pozór pruska sprawa, tkwiła jednak na dnie wielu innych, a dla historyka stała się najdogodniejszą właśnie osią na książkę, któ-

rej możnaby także dać tytuł *Czechy i Polska*. Ale stosunki tych państw zależały od polityki, tyczącej się bezpośrednio rzeczy nie polskich i nie czeskich, ale zazwyczaj dalekich, lecz takich, z którymi i Polska i Czechy liczyć się musiały. Sympatye bywały, ale one swoją drogą, a swoją drogą o politycznym stosunku sąsiednich państw słowiańskich decydowała najczęściej — sprawa pruska; ilekroć wobec Prus interesy korony polskiej i czeskiej nie były takie same, rozchodziły się te państwa i stawały w przeciwnych obozach. Czechy dopomogły też stosunkowo bardzo wiele do wzmoczenia się krzyżackiej potęgi.

W przedmowie powiada autor: „Dzisiejszy praktyczny polityk mógłby wysnuć z tych rozdziałów naukę, że pokrewieństwo narodowe i wynikająca z tego wzajemna przyjaźń narodów — nie starczą, gdy się do tego nie przyłączą jeszcze inne wspólne interesy“. Bezwątpienia słusznie powiedziano. Dodajmyż, że przebieg „sprawy pruskiej“ dał się w końcu i Czechom wcale we znaki, to też na dziś i na następną przyszłość byłoby dobrze, gdyby ta sprawa, a nie żadna inna, stała się znowu osią stosunków polsko-czeskich; nie zabraknie na jej tle wspólnych interesów.

Dr Feliks Koneczny.

— *Der Aufstand in West-Galizien im Februar 1846. Erinnerungen und Erlebnisse eines Kavallerie-Offiziers.* (Leipzig. Verlagsanstalt *Militärliche Rundschau*. 1897. str. 40). — W krótkiej przedmowie i w króciutkich dziesięciu rozdziałach tej broszurki oficer kawalerii austriackiej umieścił nie tylko swe wspomnienia i przygody, lecz także zastanawiał się nad przeszłością Polski i przyczynami jej upadku, nad znaczeniem kwestyi polskiej dla Europy środkowej i nad współczesnym stanem Galicyi. Naturalnie, iż o tem wszystkim mówi aż nazbyt pobieżnie, po dyletancku, powtarzając zasłyszane lub gdzieś wyczytane opinie. O dzisiejszym zaś stanie Galicyi czerpie swe informacje widocznie z najmętniejszego źródła, najprawdopodobniej z najbardziej nam wrogich dzienników wiedeńskich. To też i wartość jego opinij zależy całkowicie od wartości źródeł, z których je czerpał. Niekiedy budzą one podziw swą rażącą niekonsekwencyą, utrudniającą zrozumienie, jak się mogły w jednej głowie pomieścić a znaleźć tuż obok siebie na stronicach niewielkiej broszurki.

O rozbiorcze Polski autor *Powstania w Galicyi zachodniej* wyraża się np. temi słowy: „Brutalniejszego sponiewierania prawa, bezwstydniejszej łupieży, jak rozbiór Polski, nie było w historii, a to się działo nie raz jeden, lecz trzykrotnie“. Nieco zaś dalej powiada: „Po każdej takiej łupieży, mocarstwa w uroczystych manifestach zapewniały, iż nie sięgną po resztę strzępów, pozostawionych biednemu królestwu, aby po latach kilku znowu łamać te święte przyrzeczenia“. Stanowisko mocarstw rozbiorowych względem dokonywanego dzieła określa w sposób nastę-

pujący: „Że Rosya spoglądała chciwym wzrokiem na Polskę, jest to rzeczą łatwą do zrozumienia; ona potrzebowała bramy otwartej do najazdu na cywilizację Zachodu; nigdy nienasycone Prusy chwyciły się oburącz myśli rozbioru Polski;“ nie może tylko zrozumieć polityki austriackiej wobec rozbioru Polski. Austria — powiada — przekroczyła swą naturalną granicę chyba tylko na to, aby zyskać pod względem militarnym możliwie najgorszą. „Dla Austrii — zdaniem austriackiego oficera kawaleryi — byłoby może lepiej, aby Marya Teresa nie płakała, lecz i nie podpisywała rozbioru Polski“.

Przechodząc do stosunków współczesnych, sądzi, iż „niezależne, silne Królestwo Polskie byłoby dobrodziejstwem, ba, nawet koniecznością dla Europy“, iż „Polska byłaby przedmurzem cywilizacji przeciwko Rosyi, byłaby rodzajem buferu pomiędzy Europą i Azją“. Tylko zadaje sobie pytanie: „Ażali zjednoczona, silna Polska jest możliwą?“

Po takich wstępnych uwagach, możnaby przypuścić u autora należyte zrozumienie obecnego stanowiska politycznego Galicyi w monarchii austriacko-węgierskiej i oczekiwać należnego uznania dla tych, co zdołali podobny stan rzeczy wytworzyć i pomimo różnorodnych trudności utrzymać go przez trzy dziesięciolecia. Lecz od tego jest nasz autor zbyt dalekim. Pewien zmysł polityczny i moralny, który pozwalał mu zrozumieć i ocenić znaczenie Polski, jako całości politycznej, w przeszłości i teraźniejszości, całkowicie go opuszcza, gdy mówi zaczyna o jednej jej części, to jest o naszym kraju koronnym.

Oficer kawaleryi austriackiej, konsystujący w roku 1846 w Galicyi zachodniej, jest zwolennikiem Austrii jednolitej, absolutnej, niemieckiej, opartej o silną armię i sprężystą biurokracyę. Jest to oczywiście ideał Metternicha i jego epigonów. Wszystko zatem, co z nim nielicuje, zaczynając od ruchów rewolucyjnych roku 1848, aż do różnych ugód, konstytucyj, autonomij, targów lub układów z rządem, nawet petycyj i rezolucyj, domagających się polepszenia bytu materialnego urzędników — jest dlań wstrętne. Samo przez się rozumie się, iż ani prawa narodowe przyznane Galicyi, ani pewna jej odrębność nie znajdują u niego uznania. Sądzi, owszem, że dzisiejsze położenie tego kraju, rządzonego przez Polaków, jest gorszem, jak było w roku 1846, że szlachta polska wyzyskuje chłopą, którego urzędnik dziś już nie bierze w obronę, albowiem bądź sam pochodzi ze szlachty, bądź ze szlachtą trzyma. Autor przypuszcza, iż „przy sprzyjających okolicznościach, pełne grozy dnie z miesiąca lutego 1846 roku mogłyby jeszcze się powtórzyć“, z tą atoli różnicą, iż „chłop dla dogodzenia swej żądzy łupieży i mordu jużby nie użył, jako płaszczyka, swej wierności dla cesarza, lecz czyniłby to pod czerwonym sztandarem;“ ostrzega nawet szlachtę, iż „struna mocno napięta i baczyć należy, aby

nie pękła“. Oficer kawaleryi nie tai się ze swą niechęcią do Polaków, „zajmujących dziś stanowisko przewodnie w monarchii“, będących „pierwszymi wśród równych“. Żyjąc tradycjami Austrii Metternichowskiej, nie jest nawet w stanie pojąć, „jak się to stać mogło“.

Na podstawie tego, co się wyżej powiedziało, łatwo można sobie przedstawić, jak się autor zapatruje na wypadki roku 1846. Tylko nieporadność, nieczynność, brak decyzji i energii w wyższych sferach rządowych, mogły doprowadzić do tego, co wówczas zaszło w Galicyi. Za wypadki w obwodzie tarnowskim, na które autor patrzył własnemi oczami, czyni odpowiedzialnym generała dywizyi, stojącej wówczas w Tarnowie, feldmarszałka-porucznika Ch. On był tego przekonania, iż dla utrzymania spokoju w kraju należało trzymać wojska w większej ilości w stolicach obwodowych, a nie rozpraszać takowych na drobne oddziały. Dlatego odmawiał urzędnikom politycznym eskort wojskowych, dlatego nie wysyłał lotnych oddziałów, które potrafiłyby i do powstania zbrojnego nie dopuścić i chłopów powstrzymać od mordów i rabunków. Za przykład wręcz odmiennego trybu postępowania stawia majora Fejerváry'ego, podobno ojca dzisiejszego węgierskiego ministra obrony krajowej, który swego nielicznego żołnierza nie trzymał w mieście obwodowym, lecz rozsyłał go w różne strony obwodu.

Nowego materiału do wypadków roku 1846 w Galicyi autor nam niewiele przysporzył. O gotującym się ruchu zbrojnym dowiadywał się zwykle od żydów, którzy trudnili się rzemiosłem szpiegowskiem na wielką skalę; natomiast nie przypomniał sobie, aby choć jeden z nich służył sprawie rewolucyi. „Oficerowi kawaleryi“ chciało się koniecznie czemś odznaczyć; widząc bezczynność swego dywizyonera, próbował działać na własną rękę: przedsiębrał aresztowania, odbywał rewizye „nawet po kościołach“, przetrzymywał korespondencję i t. p. Z widocznem zadowoleniem podnosi swą zasługę w sprawie wykrycia udziału w konspiracyi wachmistrza Kopetzky'ego, rodem z Morawii. Podziwiać musimy co najmniej łatwowierność autora, który daje wiarę takim np. banialukom, zaczerpniętym — jak twierdzi — z zeznań wachmistrza Kopetzky'ego, iż zamierzano w Tarnowie truć całe oddziały kawaleryi, zatruwać w mieście studnie itp. Wachmistrz Kopetzky, przestraszony widocznie następstwami swego udziału w spisku, mógł pleść duby smalone, sądząc, iż w ten sposób zdoła zmniejszyć swą winę.

Przedewszystkiem w pracy tej zasługuje na uwagę opinia autora o staroście tarnowskim, von Breindlu, „typie dawniejszego urzędnika austriackiego, prawdziwym józefniście, nie pozbawionym energii“, który od samego początku wypadków miał jakoby ręce skrępowane wyższemi rozporządzeniami, a dla uspokojenia obwodu nie mógł nic zgola uczynić, albowiem „urzędni-

ków nie można było wysłać na powiat bez eskort wojskowych, a tych stale mu odmawiał generał dywizyi“. Również stara się go oczyścić z zarzutu wypłacania chłopom nagrody za głowę pojmanego lub zamordowanego szlachcica. Autor mniema, iż powód do tych zarzutów dała następująca okoliczność, której sam był świadkiem naocznym. Gdy chłopci przywieźli do Tarnowa rannych i pomordowanych na Łysej Górze, starosta von Breindl dziękował im za wierność, okazaną cesarzowi. Wówczas chłopci zaczęli uskarżać się na straty, jakie w tem stareiu ponieśli, i domagali się od rządu pomocy materialnej. Autor uznaje, iż przyznanie im zapomóg było całkiem naturalnem. Lecz starosta tarnowski „w tem poblądził“, iż zaczął takowe rozdawać na ulicy, *coram populo*, zamiast chwycić się trybu postępowania, przyjętego w podobnych razach, to jest wysłać komisję na miejsce zdarzenia, w celu zbadania prawdziwości strat poniesionych. W skutek tego gruchnęła wieść między chłopami, iż w cyrkule tarnowskim płacą za głowę szlachcica. Wyjaśnienie to „oficera kawaleryi“, jako naocznego świadka, należy oczywiście sprawdzić na podstawie danych, z innych źródeł zaczerpniętych; chociaż ono rzuca może odmienne światło na pobudki p. von Breindla, lecz w skutkach winy jego wcale nie zmniejsza.

Nazwisko autora *Powstania w Galicyi zachodniej* możnaby łatwo dociec z niektórych szczegółów i wzmianek, porozrzucanych w tej pracy. Nie czynimy jednak tego, skoro on sam pragnął się ukryć pod anonim „oficera kawaleryi“. Ani rzezi szlachty z jednej, ani mordów i rabunków chłopskich z drugiej strony, oczywiście autor nie pochwała. Sam nawet, wbrew woli swego przełożonego, z narażeniem się na karę za naruszenie dyscypliny wojskowej, ratuje życie hrabiemu L., właścicielowi Ryglie, jego żonie i trojgu dzieciom, co z uznaniem podnieść należy. Zgodzić się również możemy z tem, co autor powiada o następstwach projektowanego ruchu zbrojnego w lutym roku 1846: „Spowodowano aneksyę ostatniego niepodległego zakątka dawnej Polski (wolne miasto Kraków), cały obwód tarnowski i część obwodu sądeckiego zniszczono wskutek rabunków, mordów i pożóg, setki ludzi pomordowano w sposób okrutny, mnóstwo rodzin w nędzę wtrącono — takimi były ostateczne rezultaty z karygodną lekkomyślnością przygotowywanego powstania“.

A. Szarłowski.

— Jules Breton: *Un peintre paysan*. (Paris, Alphonse Lemerre éditeur, 1896). — Wielbicielom malarskiego talentu Juliusza Bretona nowa książka jego przyniesie miły upominek. W *Życiu artysty* zapoznał nas on z historią swych przejść i z ludźmi swej epoki — tu złożyły się na książkę o trzystu przeszło stronnicach drobne wspomnienia, obrazki i zarazem kilkanaście utworów poetycznych. Breton, znany i ceniony ma-

larz przedmiotów ludowych, który zwłaszcza w krajobrazach oddaje po mistrzowsku poezję przyrody, ma nie tylko dar pędzla, ale i słowa. W tej epoce pesymizmu, jego pióro posiada w sobie zapas bogaty światła i ciepła; podobnie jak utwory jego pędzla wywierają wrażenie pełne harmonii, tak i myśli artysty są w wysokim stopniu jasne i pogodne, nacechowane tak rzadkim obecnie optymizmem i uśmiechniętą pobłażliwością w sądach o drugich i o sobie. Znać twórczość Juliusza Bretona czerpie soki swoje w duszy zdrowej i spokojnej, dla której odczucie i zrozumienie piękna jest zarazem i szczęściem, nasycającym jego wszystkie pragnienia. Ola Hansson w jednym ze swych studyów pisze, że każde dzieło sztuki wywiera na widzu to wrażenie, pod którego wpływem powstało. „Czemuż jedno arcydzieło wywołuje w nas uczucie pełne rozkoszy, gdy inne budzi jakies niezadowolenie? świadczy to, że w jednym razie artysta tworzył je z radością, w drugim przeciwnie; biegnie od dzieła sztuki jakaś niokreślona wibracja, decydująca o charakterze wrażenia i ono jest jego duszą. Ta wibracja, którą my odczuwamy, jest tąsamą, która była tłem natchnienia dla twórcy. Dzieło sztuki jest pośrednikiem, który je do nas przynosi, ono jest wcieleniem poruszenia duszy, pod której wpływem powstało“ i ztąd ten decydujący charakter wrażenia zadowolenia lub dysharmonii. Subtelne te uwagi krytyka *Nowych Niemiec* dalyby się doskonale przystosować do rodzaju uspokajającej pogody, płynącej z utworów pędzla i pióra Bretona. Jest on jako malarz o całe niebo wyższy od poety i pisarza, niemniej tąsamą charakterystyczną cechą daje całej jego artystycznej produkcji jakiś nastrój świąteczny.

Pod tytułem *Un peintre paysan* Juliusz Breton oddał do druku jakby album poufnych wspomnień i wrażeń, drobnych opisów prozą i ładnych harmonijnych utworów poetycznych, dołączając na końcu jakieś dawne swe rozprawki o malarstwie. W pierwszej części p. t. *Wspomnienia*, uzupełnia on historię swych lat dziecinnych kilku ładnymi obrazkami. W czem jednak przebiega twórca tylu głęboko odczutyh krajobrazów, to w opisach przyrody. My, którzy najczęściej tylko przez ryciny poznajemy arcydzieła jego wystawiane w Paryżu, tu bezpośrednio zetknięciem odczuwamy ten zapach, który przenika artystę. Dreszcz świętego ognia sztuki przychodzi od tych skromnych i prostych opisów, wtajemniczając nas niejako w te zakłète pierwiastki uroku, który splywa na widzów z obrazów Juliusza Bretona. Artysta całą duszą kocha Bretanię i swoje miejsce rodzinne. Widzi wieś w świątecznej szacie ideału, w złotem słońcu dni pogodnych, i taką ją maluje. W krótkich słowach opowiada nam powstanie kilku sławniejszych obrazów swoich. *Procesya w polu*, zawieszona obecnie w Muzeum Luxemburgu, przedstawia scenę, którą często widział artysta za lat dziecin-

nych. „Oto ci rolnicy, którzy się do mnie za lat dawnych uśmiechali, idą z głową pochyloną, krokiem powolnym, szepcąc psalmy. Oko ich zatopione w niewyraźnych tajemnicach przyrody — idą spokojni i odświętnie przybrani przez te pola, które swym potem skrapiali, a które dziś jakby śpiewały radośnie kwieciami i woniami; idą pomiędzy zboża, które prosto wznoszą swe kłosa pełne, podczas gdy na ich żdźbłach kołyszą się różowe kieliszki powojów. Idą prosząc o szczęście ciche i tylko o chleb codzienny w zdrowiu i spokoju i dziękują Opatrzności za wszystko, czego doznali, pobożnie postępując za monstrancją w słońce jaśniejącą“.

Procesya powstała w dwa lata po sławnych *Glaneuses* i pierwszy raz ukazała się w r. 1857. Po kolei artysta przechodzi wspomnienia, towarzyszące powstaniu innych swych obrazów. Z całą wypukłością wstaje przed nami geneza arcydzieł jego pendzla. Niektóre powstały nagle z jakiejś assyocjacji wrzeń, inne wymalowało mu natchnienie na tle rzeczywistości codziennego życia. „Są szczęścia niespodziane, gdzie natura dostarcza malarzowi obraz gotowy — tak że interpretacja jego jest rzeczą nieświadomą“. Tak dla artysty powstała myśl obrazu *Les sarcleuses*. „Był to wieczór: słońce szerokie i czerwone napół przecięte linią widnokregu zachodziło w trawę. Na tle nieba odcinała się wyraźnymi konturami grupa kobiet plewiących zboże; z rękoma wyrwijającymi chwasty, pochylone nad tem zbożem zielonym, z twarzami ozłoconemi odbłaskiem słońca, wydawały się być w modlitwie pogrążone, w jakiejś liturgicznej ekstazie... Był to jakby przemienienie pokornej pracy w wspaniałą formę arcydzieła. I obraz był gotowy. Ale jakże daleko pozostaje on zwykle od wizyi, która go poczęła“.

Widać już z tych dwóch przykładów jak genialna intuicja artysty każe mu wokoło siebie odkrywać piękno i to wśród codziennych spokojnych widoków. Breton uważa, że jeżeli podróże wzbogacają umysł, to nigdzie tak, jak w samotności i wśród niezmaconej prawdy natury nie dojrzewa twórczość. „Często istotę naszą dręczy nuda i zniechęcenie: są to jakby męty w fermentującym płynie. By napój został czystym, muszą one opaść na dno — w spokoju“. Nic wtedy nie pomoże rozrywka: człowiek czuje się równie samotnym w Paryżu, jak wśród lasów, i tem więcej szuka gwaru. Tymczasem gdyby własniej swej chorej duszy nie przymuszał do tej pogoni, byłby prędzej wyleczonym. Idźmy do lasu z książką ulubioną w rękę, a czytając trochę oddychajmy życiem przyrody, patrzmy na nieskończoność i niezmordowaną ciągłość jej pracy, niech ona nas obudzi, niech jej wpływ dobroczynny pomoże mętom opaść na dno. I wtedy, po dobie apaty i pustki, powoli orzeźwiona myśl wraca do dawnej siły i jakby wzmocniona wstaje z letargu. Twórczość się budzi z uspienia. „I oto ja, który myślałem, że

mnie na zawsze opuściło natchnienie, po dobie długiej męki odnalazłem je. Zobaczyłem to, co było pierwaj dla mnie niedostrzeżone... i wizya wysokiej i smukłej zniwiarki wstała przedemną z twarzą opartą na dłoni, ozłocona wieczoru odbłaskiem... Mój obraz *Koniec dnia* powstał wtedy...“

Juliusz Breton wierzy silnie w natchnienie, które przetwarza w ideał rzeczywistość, nazywa nielitościwym subiektywizmem upór w dosłownem oddaniu modelu. „Model jest dlatego pięknym, gdyż daje pojęcie piękna doskonalszego duszy, która go zrozumieć potrafi. Zbyt doskonały model zawsze mnie zniechęcał, gdyż niewolniczo starałem się oddawać jego piękno. Tymczasem nieraz brałem do pozowania kobietę, która w świetle otoczenia swego, wśród jakiejś sceny patetycznej wydawała się być dziwnie piękną, a zdała od tego stawała się zwykłą i powszednią, tak, iż ze zniechęceniem zabierałem się do pracy. W miarę jednak, jak myśl moja zatapiała się w kreśleniu konturów, odnajdywałem cudowną wizję wczorajszą i ta zwyczajna modelka stawała się punktem środkowym całości, której piękność mnie przejęła“.

W książce Juliusza Bretona wiele jest takich delikatnych i subtelnych spostrzeżeń. Artysta ten jest dziwnie tkliwy na każde drgnienie piękna, które dla niego jest zawsze objawieniem harmonii i skończonej zamkniętej całości. I właśnie może w tem leży tajemnica tej ciszy i pogody, która spływa z utworów jego pendzla.

M. Rawicz.

— *Das Leben im Deutschen Kaiserhause*. Von A. Oskar Klaußmann. (Minden i. W. Druck und Verlag von Wilhelm Köhler, 1896). — Mała książeczka, ładnie wydana, licznemi obrazkami ozdobiona a pełna mnóstwa ciekawych szczegółów, choć nieco niedbale napisana. Zaspokaja niemal w zupełności ciekawość czytelnika, pragnącego dowiedzieć się, jak też żyje rodzina Hohenzollernów, pod których berłem, Opatrzności rządzeniem, jedna dzielnica Polski pozostaje. Mieszkanie pary cesarskiej, jej dzieci i dworu, prywatne ich życie, urządzenie dworu, podróże i ważniejsze uroczystości — wszystko to opisane jest sucho i po dziennikarsku, ale dzięki barwnej treści zajmująco. „Przeciętny czytelnik“ dowie się, jak cesarz jada, gdzie i jak pracuje, jak się wychowują dzieci, jaki ubiór noszą dworacy etc.; kto głębiej patrzy, dostrzeże, jak i w prywatnem życiu Hohenzollernów nad wszystkiem panują te dwie ich enoty, którym Prusy zawdzięczają obecną swą potęgę: oszczędność i karność. Porównany np. z dworem wiedeńskim, berliński wyda się skromnym i zimnym, choć przez tę powłokę przegląda dużo serdeczności w domowem pożyciu pary cesarskiej i jej stosunku do dzieci, wychowywanych w duchu pruskich tradycyj, oszczędnie, karnie i religijnie.

Oczywiście nadarmo szukałoby się tu jakich portretów psychologicznych; wszak autorowi książki chodziło o odmalowanie zewnętrznego obrazu pruskiego dworu, a nie o charakterystykę składających go osobistości. A jednak i w swoim zakresie niniejsza książeczka, choć dużo ciekawości zaspakaja, nie odpowiada na wszystkie pytania, jakie się uważnemu czytelnikowi na myśl nasuwają. Opis pałaców cesarskich bardzo niedokładny, niemal zupełnie nie uwzględnia historycznej i artystycznej ich strony. Dziwnem jest także zapomnienie autora, który podaje ceremoniał chrztu i zaślubin członków panującego domu niemieckiego, lecz krótko zbywa sposób urządzania pogrzebów, niemniej zajmujący.

J. Flach.

— *Impressions of Turkey*, by W. M. Ramsay (London, Hodder and Stoughton, 1897). — Tyle, tyle nowych zawikłań i kwestyj palących wystąpiło w ciągu lat ostatnich, że przewodnia do niedawna kwestya wschodnia coś straciła ze swego niepodzielnego znaczenia. Pozostało jednak stałe wrażenie i mniemanie, że ztamtąd wyjdzie żagiew, mająca całą podpalić Europę, że tam zatli się lont pierwszych strzałów działowych, gotowych przewrócić dawny ustrój świata. Ztąd też bliższe poznanie Wschodu pozostaje zawsze jednym z najciekawszych zadań polityków. Oczywiście, stylowe fajerwerki Lotiego niczego nas zgoła nie nauczą, żadnej nie wytlómaczą zagadki. Z podróży, obiegających skrajne Europy kresy, bodaj najgłębiej patrzą, najtrafniej oceniają położenie Anglii, a rysująca się coraz jawniej ich niechęć i współzawodnictwo wobec Rosyi, dodaje im jasnowidzenia z jednej strony, pewnego współczucia dla Turków z drugiej. Nie pierwszy-lepszy turysta nakreślił książkę, której tytuł wypisujemy powyżej. Znakomity archeolog, przez lat dwaście przebiegał wszczegółowo i wzdłuż granice Turcji europejskiej, zachodził do chat, przestawał z ludem, zżył się z miejscowemi stosunkami. Wynikiem tak przeciągłej obserwacji jest pełne lietości wyrozumienie, pewna nawet słabość dla Turków, mimo ich rozlicznych wad, próżności, wiarołomstwa, a bezwzględne potępienie tureckiego rządu, opartego na tyranii, wyzysku, ogólnej niesprawiedliwości i ogólniejszem jeszcze złodziejstwie.

P. W. M. Ramsay szukał tu starych napisów dróg rzymskich, monet, dawnych zabytków. Ale jak sam pisze, nie należało się zdradzać odrazu z właściwym wędrowki celem. Niechno archeolog oświadczy wprost, że szuka „pisanych kamieni“, *yasili tashla*, marmurów, *mermer*, lub starych monet, *eski para*, a wietrząc wysłańca rządu, każdy tubylec gotów przysięgać, że nie takowego się w sąsiedztwie nie znajdzie, że trzeba daleko wędrować, o kilka mil, aby natrafić na grunt rodzajny w podobne zabytki. Wszystko im dobre, byle się coperędzej pozbyć podejrzanego i nieproszonego gościa. Całą polityką archeologa musi

tedy być zakrycie właściwego powodu swego przybycia, a przede wszystkim zabawienie tubylców, przerwanie zabójczej jednostajności ich życia. Gdyby miał pod ręką jakie jaskrawe obrazki, gdyby umiał sztuki pokazywać, a choćby wycinać z papieru zwierzęta potrafił, niezawodnie powodzenie uwieńczyłoby jego zabiegi. Bo dziecinnych zabawek potrzeba tym ludziom, którzy pod wielu względami pozostali dziećmi. Zabójcza monotonia życia nie sprzyja dojrzwaniu umysłu. „Trudno dać miarę owej jednostajności—pisze Ramsay na jednym miejscu.—Dokoła chrześcijańskiego lub czerkieskiego sioła znaczą się uprawne i obsiane pola, rosną różnorodne warzywa i zboża, widać powszednie zachody około urozmaicenia żywności i życia. Tymczasem jedynem ongi rzemiosłem Turka była służba wojskowa. A gdy go przymusowa ominie branka, lub nędza nie zagnę do szukania zarobku w mieście lub na jakiej linii kolejowej, życie mu schodzi na zupełnem próżniactwie, co najwyżej pilnuje niemowląt bawiących się w piasku, lub od biedy naprawi sobie obuwie, zresztą przez cały długi dzień nie absolutnie nie robi. Cała praca w polu czy w domu dokonana bywa przez kobiety, na które opada powinność wyżywienia swych małżonków i panów. Zresztą swe zachody zacieśnione są w granicach najściślej konieczności. Tyle obsiewają pola, ile trzeba ziarna na to, by wyżyć, nie więcej. Wieśniacy karmią się niemal wyłącznie chlebem i kwaśnem mlekiem, mięsa nie widują jak chyba w wielkie święta, chociaż pośród bogatszych Turków nietrudno o zarłoków“.

Jeśli gdzie szalone zakusy feministek mogłyby mieć pewną rację bytu i wzbudzać sympatyczne zajęcie, to wobec poniżenia i zamężenia kobiet tureckich. Przedwczesne używanie do ciężkiej nieraz roboty rychło je zużywa, nie pozwala ani na fizyczny, ani na moralny rozwój nieszczęśliwych. Napróżno szukać w ich życiu jakiejbądź dźwigni, chwili wytchnienia czy radości. „Wyglądają tak opuszczone i obdarte, kiedy wobec przejeżdżającego cudzoziemca odwracają się tyłem, oblicze chowając w glinianej ścianie przydrożnej, że oburzenie rozpiera duszę obcego przybysza. Zupełny brak zamiany myśli i towarzyskich stosunków obojg płci potęguje jeszcze ciemnotę i jednostajność sielskiego życia w Turcyi“. Położenie, a raczej poniżenie niewiast tureckich o przyszłości narodu stanowi. P. Ramsay w tem upatruje ostateczne rozstrzygnięcie kwestyi plemiennej w tych stronach. Uderza go nadzwyczajna różnica, zachodząca pomiędzy tureckimi a greckimi osadami. „We wsiach tureckich kobiety wyglądają zniszczone i wynędzniałe przedwczesnym trudem i twardym od dzieciństwa losem, podczas gdy niewiasty greckie uderzają krzepkością ciała i ducha, przewyższając nawet mężczyznę inteligencją i siłą. W tem tkwi klucz przyszłości obu szczeplów. Z jednej strony widnieje rękojmia coraz dzielniejszych

umysłowo i fizycznie pokoleń, z drugiej wyczerpane i wynędzniałe matki nie wydadzą jak skarłowaciałe plemię. W poniżeniu niewiast tureckich upatrywać należy powody zwyrodnienia tureckiego ludu“.

Rzemiosło wojenne nietylko u Turków nieraz człowieka zniża do rzędu mechanicznego narzędzia wyższej władzy. Silnej potrzeba indywidualności, ażeby dłuższą służbą wojskową nie zamienić się w machinę. P. Ramsay opowiada o jednym z bohaterów Plewny, którego później przyjął do własnej służby. Ów Achmet dosłużył się był stopnia sierżanta w ciągu siedmioletniej służby, za którą całego żołdu nie odebrał więcej nad cztery marki, jednego dollara! Mimo heroicznych pod Plewną czynów, Achmet był najbardziej nieśmiałym, nieporadnym, wystraszonym człowiekiem, niezdolnym żadnego rozeznania lub czynu na własną rękę, ale uczciwym, posłusznym i uległym jak najlepszy sługa. Zresztą jeśli złodziejstwo jest cechą świata urzędowego, prywatna uczciwość Turków zdumiewa p. Ramsay. Twierdzi on, iż najuboższemu z nich można powierzyć najznaczniejsze kwoty, w pewności, że grosza z nich dla siebie nie odwróci. Ubóstwo ich płynie nietylko z próżniactwa, lecz i z zupełnego niedołęztwa. W żadnym zawodzie nie posiadają oni nawet najprymitywniejszego wykształcenia. Jeśli Turek mieszka w porządniejszej chacie, można być pewnym, że ją chrześciance zbudował. Jeśli gdzie potrzebną jest studnia, znajdzie się Grek, aby ją wykopać. Turek jeśli przypadkiem do roboty się weźmie, co najwyżej potrafi drzewo rąbać lub wodę nosić, więcej się nie nauczy. W pewnych okolicach, gdzie kwitnie jaki starożytny przemysł, znajdują się może i Turcy przy warsztatach, rychło atoli rozpoznać przychodzi, iż są to raczej potomkowie innej, poturczonej ludności. P. Ramsay spotkał tak raz w Tyanie bogatego i wykształconego, a pełnego zręczności Turka; lecz nie miał on bynajmniej tureckiego typu, ani rasowych właściwości. Życie tureckie uchodzi senną, jednostajną falą. Licznie zebrani, Turcy gotowi na przyzbie siadywać przez długie godziny, nie przerywając zgoła milczenia.

To lenistwo rodzime, oczywiście nad całym ustrojem i pozorem kraju zaciężyć musi. Nic nigdy nie bywa naprawionem w Turcyi, dom każdy stoi, dopóki się nie rozwali, nie podpieryany ani ratowany. W lepszych domostwach parter służy za stajnie i składy, wyższe piętro bywa zamieszkanem. Niechno jeden stopień w schodach czy drabinie się złamie i skruszy, a już tak zostanie nietknięty, bo taką snadź była wola Allaha. Turek woli nowe sobie zbudować schronisko, aniżeli stare dźwignąć z upadku. Ztąd podróznego zdumiewa liczny poczet domostw, pozbawionych okien, drzwi i dachów, zwalonych lub napół tylko zamieszkałych domów, które się w miastach czy siolach znaczą.

Wyjątkowe stosunki potęguje jeszcze całkowity brak zdawkowej monety w kraju. P. Ramsay zapewnia, iż niema podobieństwa zmienić pieniędzy we wsi tureckiej, niema ich zgoła, jak niema co za nie kupić. Jeżeli zapłacisz furmankę, wypadnie nieraz o milę drogi szukać drobnych. „Dla utopistów socjalistycznych jestto bardzo idealny stan rzeczy, atoli niechby spróbowali podróżować po Turcyi, a wnetby się rozczarowali co do korzyści podobnych stosunków. Nikt tu o zarobek niedba, najpierw, że takowego znikąd niema, a powtóre, że niechby się znalazł, wnetby zaptieh czyli poborca celny każdy grosz wydusił opodatkowaniem“.

Jedynym gościem, siejącym postrach, bywa tu taksator i poborca. Ztąd nieufność do każdej nowej twarzy. Pielgrzym archeologiczny baczyć musi, aby go nie wzięto za przedstawiciela rządu, albo wykonawcę onego rozkazów. P. Ramsay dowcipnie i malowniczo wskazuje proceder, zapomocą którego udało mu się zdobywać życzliwość podejrzliwych mieszkańców. Oto umiał ich zabawić, zainteresować, ująć uprzejmością swoją. Zasiadał pomiędzy nimi, zagajał długą rozmowę, odpowiadał na ich rozliczne pytania, ciekawość zaspokoić próbował. Ilekróć powiedział, że przybywa z Anglii, z Londynu, wnet mu stale jednakie stawiano pytanie: „Czy Londyn jest w Anglii, czy też Anglia w Londynie?“ Dalej pytali, czy prawda, że ustawy państwa wymagają, aby u steru rządu zawsze znajdowała się kobieta? Jeśli przy podawaniu kawy najpierw uwzględnił towarzyszkę podróży i okazał jej uszanowanie, odrazu na tak niezwykły widok obecni wnosili, że chyba jestto jaka angielska sułtanka. „Z kolei rozwiązują się usta, każdy zaczyna o własnych rozprawach, szukając ulgi w zwierzeniach i skargach na losy. Pytasz o ostatniego żniwa wynik, o najświeższe odwiedziny poborcy, wysłuchujesz zwykłych wyrzekań na cheiwość i bezwzględność taksatorów. Dowiesz się, ilu biedaków sponiewierano, ilu uwięziono za niewypłacenie podatku, jak dalece się wzmogło opodatkowanie, ilu wieśniaków sfantowano. Zwierzenia te sprowadzają pożądane zaufanie. W takiej dopiero chwili archeolog od niechcienia rzuca pytanie co do ewentualnie znajdujących się w tych stronach antyków. Każdy rad opowiedzieć, pokazać co wie, co słyszał i nuż hurmem spieszyć w tę lub ową stronę. Wybornie p. Ramsay maluje chwilę, w której zebrani w jednej chacie Turcy zabierają się do odejścia i ze stosu porzuconych u progu pantofli srodze podziurawionych, w mig własne odnajdują i dobierają. Takich obrazków rodzajowych jest mnóstwo w toku książki, wtajemniczającej czytelnika w powszednie życie wieśniaków tureckich, w biedy, smutki i uciski tureckiego ludu, sympatycznym piórem opisane a liłościwem odczute sercem. Archeologiczne zamilowania nie odwracają podróżnika od nowoczesnych potrzeb i kwestyj, a te doraźnie spisywane wra-

zenia uczonego Anglika, bez cienia pedantyzmu lub doktrynerstwa, nad inne zapiski podróżne dają nam poznać rzeczywiste stosunki chyłącego się do ostatecznego upadku plemienia otomańskiego. Nad rozumowania polityków z zawodu, te wspomnienia mędrca rozświecić mogą zagadnienia wschodnie, jaskrawem przedstawieniem domowych stosunków Turcyi. N.

Z literatury powieściowej.

— Władysław St. Reymont: *Komedyantka*. Powieść. (Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa, 1896). — Tenże: *Fermenty*. Powieść w 2 tomach. (Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa, 1897). — Tenże: *Spotkanie*. Szkice i obrazki. (Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa, 1897). — Potrzeba nam nowych talentów literackich. Jeżeli w dramacie polskim ich brak staje się wprost przestraszającym, to w powieści wprawdzie obok dawnych imion Sienkiewicza, p. Orzeszkowej i innych, pojawia się cały legion nowych, wczoraj jeszcze nieznanych, jednak i tu liczba rzeczywiście uzdolnionych jest bardzo szczupła. A tymczasem z Zachodu i Północy wieją nowe wiatry, powstają nowe kierunki, nieraz bardzo fałszywe, prawie zawsze bardzo zajmujące. Można je potępiać, można w nich widzieć i estetyczne i moralne niebezpieczeństwo, a mimoto z historycznego punktu obserwacyjnego musi się je uważać za konieczne, za etapy w rozwoju powieści, tej najmłodszej z wielkich gałęzi piśmiennictwa. Fale tych prądów odbijają się i o nasze brzegi, lecz zazwyczaj stosownie do tej „młodszości cywilizacyjnego rozwoju“ o której tak pięknie i przekonywująco Szujski mówi, dopiero w kilka, w kilkanaście lat później. Tych etap pominąć niepodobna, chodzi więc o to, aby przebyć je jak najprędzej, jeżeli mamy iść w jednym szeregu z oświeconą Europą. Do tego zaś potrzeba ludzi młodych i z talentem, bo starzy już świeżych myśli nie pojmą, a przynajmniej przejąć się nimi nie potrafią, młodzi zaś ale bez rzetelnych zdolności dobrych stron nowych kierunków nie wyzyskają, nie rozwijają, a za to przyswoją sobie i powiększą złe. P. Władysław St. Reymont jest młodym i ma talent, i dlatego wolno go powitać radośnie, choć należy i sumiennie ocenić. Zdaje się, że jego nazwisko po raz pierwszy pojawiło się w jakimś warszawskim piśmie czasowym, umieszczone pod listami z *Pielgrzymki do Jasnej Góry*; teraz zaś czytający ogół ma w ręku trzy tomy powieści i jeden drobniejszych obrazków; równocześnie zaś drukuje się jego powieść na tle stosunków łódzkich pt. *Ziemia obiecana*.

Komedyantka i *Fermenty* stanowią całość; ostatnie są dalszym ciągiem pierwszej, nicią, łączącą je, jest osoba „bohaterki“. Takie wiązanie kilku romansów w jeden jest pomysłem nie nowym, często dla autora bardzo wygodnym, dla czyteln-

ków niemiłym, nieraz dla powieści szkodliwym, zwłaszcza zaś dla powieści nawskróś psychologicznej, gdzie główny nacisk położono na przedstawienie stanu ludzkiej duszy i jej przejść, jak to jest u p. Reymonta. *Komedyantka* może być uważaną za całość wykończoną, w sobie zamkniętą, *Fermenty* już bez niej będą często niejasnymi, będzie im brakować początku, podstawy. Kto pierwszej powieści nie czytał, ten w drugiej często się potknie o niewyglądzone chropowatości i przeskoki, często zabłądzi; kto pierwszą czytał, ten w drugiej znajdzie wiele potwarzań.

Teatr, życie przed i za kulisami dostarczyło już niejednemu pisarzowi malowniczego tła powieściowego od Goethego *Wilhelm Meister* aż do Leona Daudeta *Le Voyage de Shakespeare*, a i w naszej literaturze poczet takich powieści jest dość znaczny. Zwłaszcza zaś koczownicze życie wędrownych trup aktorskich, pełne chwilowych powodzeń i długich nędz, marnych oklasków i dotkliwego głodu, uniesień dla sztuki i niskich zawisłości, życie blichtru i „Kabotyneryi“ na tle podartych dekoracyj, wśród hałasu szklanek piwa spijanego przez gości ogródkowej sceny, życie z wierzchu jaskrawą szatą przybrane, w wnętrzu najczęściej brudne i nędzne — ono natchnęło wielu pisarzy, znęciło ich ku sobie, odzwierciedliło się w ich utworach, w ostatnich czasach w powieści p. Sewera pt. *U progu sztuki* i w *Komedyantce* p. Reymonta. Zewnętrzna fabuła, jak i ogólnem tłem, rzecz warszawskiego autora nie przynosi więc nic nowego. Janka, dziewczyna, która z dawna do sztuki dramatycznej zapalona, z domu nieprzyjaznymi wypadkami wygnana, wstępuje do teatru ogródkowego, codziennie głębiej sięgając wzrokiem w tę marną, niską, zgniłą „świętynię sztuki“, aż sama nadpsuta, znekana nędzą życia i ludzką podłością, zrozpaczona i zawiedziona w dawniejszych szczytnych marzeniach, popełnia samobójstwo — ta Janka jest młodszą siostrą mnóstwa innych pańien i zapewne nieraz jeszcze „w pieśni odżyje“, choć niestety „w życiu nie zaginie“. Gdyby jednak to tylko było w powieści p. Reymonta, możnaby mu przyznać zręczność w opowiadaniu, nawet pewien talent powieściopisarski, nie posiadałoby się jednak żadnych danych do powitania w nim znacznego talentu, który kiedyś oczyszczony, przetrawiony i dojrzały, może polskiemu piśmiennictwu wiele dobrego przynieść. Nie fabuła, nie kanwa, na której ona jest wyhaftowaną, stanowi o wartości powieści p. Reymonta, lecz rysunek postaci romansu, a przede wszystkim najgłówniejszej z nich, Janki Orłowskiej.

Córka naczelnika kolejowej stacyi w Bukowcu, Janka z natury niezwykłym charakterem obdarzona, wzrosła wśród równie wyjątkowych i niezdrowych stosunków. Wcześniej straciwszy matkę, wychowała się w domu ojca, dziwaka i gwałtownika, który zdolny był najdroższe sobie istoty ustawicznym tyranizo-

waniem na śmierć zamęczyć. Burzliwy, popędliwy, do samodzielności dążący charakter Janki, w takim otoczeniu stał się jeszcze bardziej wichrowatym, nieokiełznanym, a pragnienia ducha, przytłumiane brutalną siłą ojca, nie zamierały, lecz przeciwnie nabierały mocy i potęgi. Życie samotne, bez przyjaciółek, jedynie wśród leśnej natury pogłębiało jej charakter, lektura uprawiana gorliwie, podniecała jej wyobraźnię. przypadek sprawił, że wszystkie popędy, niezaspokojone pragnienia, stłumione porwy doszły do samowiedzy i do wybuchu. Teatr amatorski, wpływ szafarki ojca, ex-aktorki, Szekspir wreszcie sprawił, że ten rozhuwany potok popłynął w kierunku sceny teatralnej, nowy zaś przypadek dokonał reszty i Janka została „komedyantką“. Ojciec chciał ją wydać za Grzesikiewicza, poczciwego z kośćmi, bogatego ale grubego i nieokrzesanego ekonomskiego syna, a nie mogąc dopiąć tego łagodnie, usiłował ją do tego zmusić. Skutek był taki, że Janka jawnie w oczach ojca odjechała do Warszawy z ustalonym zamiarem wstąpienia do zawodu aktorskiego. Janka jest więc kobietą anormalną z natury i w anormalnych wzrosła warunkach. Zazwyczaj takie postacie w powieści wychodzą karykaturalnie, przybierają kształty dziwaczne, rozmiary nadludzkie. P. Reymont posiada widocznie dużo zrozumienia ludzkiej istoty i dużo artystycznej wprawy, jeżeli jego Janka, jako pomysł nosząca na sobie piętno chorobliwości, później, w dalszym rozwoju powieści, gdy ta podstawa jej charakteru jest już utrwaloną, przeprowadzoną jest konsekwentnie, z zachowaniem naturalnych praw i poszanowaniem psychologii.

Dalsze życie Janki na scenie ogródkowego teatru, kierowanego przez jakiegoś Cabińskiego, pierwsze kroki nieśmiałe, pierwsze rozczarowania na widok teatru z bliska oglądanego, naiwne sądy Orłowskiej i złośliwe spojrzenia koleżanek, daremne tęsknoty za rzeczywistymi rolami, niska rywalizacja aktorów i aktorek, hulaszce dziś, a jutro nędzne życie, cynizm i niemoralność aktorów, sprzedawanie się aktorek, płytkość i prywatna wrzekomej krytyki, marność i niskość publiczności — wszystko to przedstawione jest z talentem znacznym, zdolnym wprawienia w ruch i wyodrębnienia mnóstwa bardzo ciekawych figur, zarazem jednak z realizmem, częstokroć zbyt niepowsściągliwym, lubującym się w grzebaniu w śmietniku ludzkiego życia. Janka ciągle pozostaje w ognisku całego interesu, do niej jak do zbieżnego punktu schodzą się wszystkie główne linie, w niej jak w zwierciadle odbijają się wszystkie wrażenia. Przejścia jej duszy i jej serca, dojrzewanie stopniowe, męczenie się zawiedzionych pragnień i marzeń, niezaspokojonych popędów, rosnący smutek i odraza do ludzi i do świata, ten początek rezygnacji złamanych egzystencji — to widzi się bardzo wyraźnie. Natomiast czysto moralna strona wychodzi już tu bardzo słabo. Jak to się stało, że Orłowska oddała się Wład-

kowi, jednemu z współtowarzyszów, oddała mu się zupełnie, bez wszelkich zastrzeżeń, to pozostaje niejasnem. Sama miłość, sam niezależny od Janki wpływ swobodnego otoczenia nie tłómaczy tego dostatecznie, bo u kobiety uczciwej, choćby nawet tak anormalnej, tak popędowej, jak ona, pomiędzy miłością dla kochanka a oddaniem się mu bezwzględnie jest przepaść, którą trudno zasypać. Autor tak skrupulatnie i tak prawdziwie malujący charakter Janiny, w tym wypadku pozostawia wiele czytelnikowi do wyjaśnienia, dorobienia, a to jest ważną wadą powieści psychologicznej. Dalsze losy Orłowskiej już są dość szablonowe, a równocześnie jako naturalna konsekwencya jej charakteru i jej zewnętrznego położenia, w słabszym stopniu trzymają na uwadze uwagę czytelnika, choć w czulszych wzbudzą szczerą dla niej litość. Zapasy jeszcze z domu przywiezione wyczerpały się, drobne wypłaty z kasy teatralnej zmniejszają się z każdym dniem, nędza już nie puka do drzwi, ale gospodaruje okrutnie w murach ubożego mieszkania Janki, kochanek ją cynicznie porzuca, koleżanki smagają moralnie a przesładują dotykalnie za to, że nie chce jak one sprzedawać się, ról żadnych nie ma – słowem bezdenna, beznadziejna rozpacz. Janina Orłowska kończy samobójstwem w hotelu.

Powieść dowodzi znacznego talentu autora. Wsłuchał się w odgłosy zachodniej i północnej belletrystyki: ma chęć i zdolność odświeżania duszy ludzkiej w całej jej nagości i ma upodobanie w przedstawianiu ludzkiej podłości, a w stylu to dziwne połączenie swobody naturalności z subtelnością, które cechuje dzisiejsze pokolenie pisarzy; lecz równocześnie ma dużo samodzielnosci, oko bystre i duszę wrażliwą. To też łatwo sobie wytłómaczyć, że nazwisko p. Reymonta rychło stało się znanem każdemu, kto bada rozwój naszego piśmiennictwa, nietrudno też zrozumieć, że niecierpliwie oczekiwano się dalszych jego dzieł.

Fermenty są, jak się już powyżej rzekło, dalszym ciągiem *Komedyantki*. Na ostatniej karcie tej powieści czytało się dziennikarski *bulletin* o usiłowaniu samobójstwie Janki: „Stan choroby groźny, ale nie bez nadziei“; teraz widzi się ją jako rekonwalescentkę w Bukowcu w domu ojca. Obie powieści łączy osoba panny Orłowskiej, charakter jej, jak i innych postaci, np. ojca, Grzesikiewicza, owego konkurenta, jest tensam. A jednak choć jest spójność, jest i pewna sprzeczność, przynajmniej pewne niedopasowanie obu części. W *Komedyantce* jest mowa o tem, jak Janka uwiedziona przez Władka czuje, że niebawem zostanie matką. W *Fermentach* ona pamięta o tej chwili szalu miłosnego, lecz o jego naturalnych skutkach i ona i autor zdają się zapominać, mimoto, że nie jest to rzecz drobnej wagi. I tu zewnętrzna akcyja da się kilkoma rysami nakreślić. Janka uratowana od śmierci, do Bukowca sprowadzona przez ojca, któ-

rego wezwał do łoża chorej jej dobry przyjaciel Głogowski, zwolna przychodzi do siebie, nabiera zdrowia ciała. Lecz dusza jej zrazu jeszcze taksamo jest chorą jak dawniej, tylko dziś po tylu smutnych doświadczeniach, po tylu nędzach, rozwianych złudzeniach, opadłych skrzydłach, już się do lotu nie zrywa, tylko smutną jest i zrezygnowaną. Jej stosunek do ojca z początku jest bardzo przykry: oboje kochają się, lecz tą dziwną miłością, która często przybiera kształt nienawiści, oboje czują do siebie serdeczny żal, widzą, że kochać się tak, jak się zwyczajnie kochają dobry ojciec i dobra córka, już nie potrafią. Orłowski, zdawna już dziwak, potem po ucieczce córki wpadł w sidła choroby umysłowej i dziś jest już nie do uleczenia: ciągle zdaje mu się, że są w nim dwie osoby stosownie do dwóch urzędów, jakie piastuje na małej stacyi, naczelnika i ekspedytora. Ta choroba wzrusza Jankę, bo córka czuje się jej pośrednią przyczyną, a jednocześnie ustawiczna i szczerą choć nieokrzesa miłość dawnego konkurenta, Andrzeja Grzesikiewicza, zaczyna przemawiać do jej serca, budząc wprawdzie nie wzajemność, lecz niemniej głęboki szacunek i litość. Lecz choć szalenstwo ojca ją wzrusza i przypomina obowiązki córki, choć stałość Andrzeja jest dla niej szanowną, choć leśna natura działa łagodząco — raz po raz raz ją brak wykształcenia u konkurenta, prostactwo dobroduszne jego matki, brutalne pijaństwo jego ojca, a lasy, nucąc pieśń swobody, budzą uśpione pragnienia i porywy. Na ten grunt pada płodne ziarno; Głogowski, jedyny uczciwy człowiek, jakiego poznała przy teatrze, przyjeżdża do Bukowca, odświeżając się dawne popędy, sztuka znowu zdaleka poczyna ją nęcić ku sobie, do Lwowa, gdzie ma razem z Głogowskim występować, a obecne otoczenie tem nieznośniejszem jej się wydaje. Jedzie do Warszawy porobić zakupną, pozornie dla wyprawy ślubnej, naprawdę, by urzeczywistnić myśl powrotu na scenę. Tu spotyka Cabińskiego i dawną jego trupeę; wszyscy ją witają, ona wie zrazu, co sądzić o tej serdeczności, lecz potem idzie na lep świetnych obietnic. Wraca do domu i tu po długiem zwlekaniu objawia ojcu swój plan. Stary Orłowski przewidywał to, to też udaje spokój, wręcza jej pieniądze, mówi z nią, zatrzymywać jej nie chce, lecz głos mu drży, mięsza się twarz i oczy czerwienieją, aż ciało osłabione pada bezwładne na ziemię. Janka przerażona klęka przy ojcu, podnosi go, zapiera się teraz myśli wyjazdu, nie chce o nim nic słyszeć, zostanie nazawsze przy nim, pójdzie za Grzesikiewicza... Przesilenie gwałtowne, ale zupełnie naturalne, przeskok z jednej myśli w drugą, z jednego postanowienia w drugie, ale przeskok psychologicznie prawdopodobny, bo oparty na charakterze i temperamencie Janki, bardzo popędowym, bardzo wrażliwym, niestałym, ulegającym wpływom, wzruszeniom.

Dotąd jest dobrze; odtąd w fabule powieści zaczyna się

coś psuć. Grzesikiewicz oświadcza się o rękę Janki — i to dobrze, a ona przyjmuje go, co jest oczywiście łatwo zrozumiałem. Ale Janka oddając mu rękę, zamilezała o swojej przeszłości, o tem, że miała kochanka itd. Andrzej bierze ją za żonę, wierząc, że choć jej dusza wielu brudów się napatrzyła, to jej serce i jej ciało jest czyste, a ona z tego błędu go nie wyprowadza, korzysta z jego nieświadomości. I nietylko, że główna osoba powieści przez autora jako godna szacunku przedstawiona, dopuszcza się tu nieuczciwości, oszustwa, lecz co gorsza sam autor nie zdaje sobie z tego sprawy, bo ani słowem o tem nie wspomina. Jedno z dwojga: albo jestto brak zmysłu moralnego u Janki, a co ważniejsza u p. Reymonta jako powieściopisarza, albo też p. Reymont pisząc *Fermenty* zapomniał, że w *Komedyantce* tasama Janina czuła się matką dziecka mającego przyjść na świat, dziecka, którego ojcem byłby jej kochanek. W pierwszym razie należałoby ubolewać nad brakiem etycznego rozeznania u autora, w drugim musiałoby mu się wytknąć niezręczność techniczną i odradzić łączenia kilku powieści w jedną. Bądź co bądź Janina Orłowska zostaje narzeczoną Andrzeja Grzesikiewicza i kroczy dalej na drodze rezygnowania się, kiedy szczęśliwą już być nie może. A jednak i tak życie jej nie jest wolnem od gwałtownych burz. Złość ludzka wpada na trop dawnych warszawskich czasów Janiny, w Bukowcu rozchodzą się ubliżające jej wieści, wreszcie Andrzej i Orłowski dostają anonimy, że Janka będąc w teatrze prowadziła niemoralne życie, była kochanką tego i owego. Grzesikiewicz jest jakby rażony piorunem: on tak kochał, tak czcił swą narzeczoną, a ona... Biegnie do niej, bo ludzi się nadzieją, że anonim kłamał, bezczelnie kłamał; na jedno słowo Janki gotów przysięgnąć, że to kłamstwo. Ale Janina nie zaprzecza... Znowu burzliwe przejścia, znowu dramatyczne chwile, aż wkońcu... odbywa się ślub Janiny i Andrzeja. Czy narzeczoney przekonał się o kłamliwości anonimu? nie: on niby stara się dojść prawdy, nawet szpieguje Orłowską, ale tak niezręcznie, tak jedynie *pro honore domus*, z obowiązku, że doprawdy raz robi się go żal, iż jest tak oszukiwanym, to znowu ma się dla niego pogardę za tę obojętność na to, czy jego przyszła żona była istotnie kochanką kogo innego. Gdyby Andrzej przeczytał *Komedyantkę*, czy jeszcze ożeniłby się z panną, która mężowi w posagu już macierzyństwo wnosi? Grzech Janki, błąd autora mści się fatalnie po raz wtóry, bo rysunek obu głównych postaci powieści spaczony jest i skrzywiony.

Janina zostaje żoną Andrzeja, lecz choć pod jednym z nim dachem mieszka, nie żyje z nim wspólnie, jak na małżeństwo przystało, odmawia małżonkowi to, czego nie bronila kochankowi... Serce jej do męża nie należy, ono rwie się do kogo innego: to Witowski, obywatel ziemski, którego niedawno po-

znała, charakter bardzo głęboki, ponury, ironiczny, czasem demoniczny, tajemniczy. Miłość obojga trzymana w półmroku jest zupełnie niepotrzebną, bo w charakterze Janki nie odsłania ani jednej nowej strony, a powieści, i tak już pełnej niezwykłych postaci i scen, dodaje jeszcze romantycznego kolorytu. Mają oboje schadzke umówioną, lecz przeszkadza im Andrzej: uspokojony w podejrzeniach, w miłość i enotę żony wierzący, odwiedza ją wieczorem w jej pokoju, pragnie rozwiązać wszystkie mgły, zaciemniające ich wzajemny stosunek. Scena niniejsza jest niezmiernie ważną. Andrzej wyznaje jej po raz setny miłość, przemawia gorąco, namiętnie. A ona? „Kocham! Kocham!.. odpowiadała dyszącym namiętnością głosem...“ Zkąd? zkąd ta nagła namiętność w jej sercu, to pragnienie miłości Andrzeja? Odpowiedź jest niespodziewaną. Janina „dyszy namiętnością“, rzuca się mężowi w objęcia, „twarz jej promienieje szczęściem niewypowiedzianem, upojeniem, szalem prawie“, dlatego... dlatego „iż zdawało się jej, że to tamten siedzi przy niej, że to tamtego głos, tamtego pocałunki, tamtego palące oczy i wtedy przyciskała się do męża, zarzucała mu ręce na szyję i wpijała się spragnionemi ustami w jego usta i całowała, całowała...“ Biedny Andrzej, po raz trzeci tak sromotnie oszukany, gdyby wiedział, że Janka ścisnęła go i całowała dlatego, że mąż na chwilę wydał się jej w półmroku kochankiem, z którym miała umówioną schadzke, gdyby to wiedział, przeniósłby nad jej uściski pieśczoły kobiet, którym się za nie pieniędzmi płaci. Janka jest tu może fizyologicznie bardzo prawdziwą, ale etycznie i estetycznie wstrętą, a krytycy, którzy podziwiają „duchowe i etyczne odrodzenie Janki po mistrzowsku przeprowadzone“ (np. p. Ch. w *Słowie warszawskiem*), tych kart chyba nie czytali. Materyalny skutek tej sceny jest taki, że po roku państwo Grzesikiewiczowie mają synka, a pani Janina jest nim tak zajęta, że Głogowski nie może ścierpieć tego widoku i ucieka od nich, myśląc sobie: „Psiakrew!... Trzoda filisterska!... Świnie!... i splunął z taką pogardą i nienawiścią, jakby pluł w twarz całej ludzkości i całej przyrodzie“. Powieść jest skończona.

Jako powieść psychologiczna, *Fermenty* prowadzi dalej problem, przekazany im przez *Komedyanckę*. Tu jednak okazuje się, że łatwiej było taki charakter jak Janki przedstawić w studium waleczenia z losem, buntowania się, aniżeli w epoce rezygnowania się, uspakajania. „Odrodzenie duchowe i etyczne“, jeżeli było w zamiarze autora, w wykonaniu jest skrzywione. Janka odrodzoną nie jest, raczej przeciwnie: jeżeli w pierwszej powieści była w sprzeczności z spotykanymi na swej drodze ludźmi, lecz mimoto a często dlatego właśnie była szacunku godną, to z końcem drugiej nagina się wprawdzie do „filisterskich, form, swej naturze niepohamowanej nakłada wędzidło (czy nadługo? czy po Witowskim nie przyjdzie kto inny?),

lecz to nie „odrodzenie duchowe i etyczne“, bo droga do tego kompromisu prowadziła przez fałsz i kłamstwo. Janka z *Komedyancki* jest często dziwaczną, nawet złą, ale zawsze sympatyczną i uczciwą, o Jance z *Fermentów* tego powiedzieć nie można. Stało się to niewątpliwie wbrew intencjom autora, który składa tem dowód, że jego pióro niezawsze jeszcze myślom jest posłuszne, i że do zbudowania i jednolitego przeprowadzenia ciekawego problemu psychologicznego brak mu jeszcze dostatecznej dojrzałości i wytrwałości.

A jednak, choć z tych „fermentów“ nie wychodzi zdrowie i siła, choć jako powieść psychologiczna *Komedyancka* wyższą posiada wartość, to i ta druga powieść jest dziełem niepoślednim. Nie główny motyw, nie fabuła nadają jej tę wartość, lecz rój postaci drugorzędnych, wybornie pomyślanych, znakomicie odtworzonych. Stary Grzesikiewicz, pijak, brutal, ale hardy chłop, dumny z bogactwa, lecz w stanie trzeźwym odczuwający wyższość synowej; jego żona, prosta, poczciwa z kośćmi kobieta, tęskniąca za wnuczętami; ich córka zamężna, Józia, nadęta i złośliwa, wstydząca się rodziców; cicha i anielska Jadwiga, ociemniała siostra Witowskiego; Staś, młody urzędnik, trzymający się fartuszka mamy i dochodzący do poczucia samodzielności dopiero dzięki swej pierwszej miłości, i całe mnóstwo innych postaci rusza się, żyje i oddycha ze swobodą i indywidualizmem, świadczącym o niezwykłych zdolnościach p. Reymonta. A nad wszystkimi góruje postać starego Orłowskiego, tego nieszczęśliwego maniaka, cierpiącego na szaleństwo, rozkładającego się na dwie odrębne istoty, żyjącego życiem podwójnem, rozdwojonem, w tem nieszczęściu tak dramatycznego, tak wzruszającego. Jednej tylko postaci brak: brak nie kobiety normalnej, nie Janki i nie Jadwigi, nie histeryczki i nie anioła, ale kobiety zwykłej a sympatycznej, dobrej córki, dobrej żony i dobrej matki. W tym kalejdoskopie rozmaitych figur, po największej części anormalnych, nieraz dziwacznych, widok takiej kobiety byłby i orzeźwiający i dopełniałby obrazu, który bez niej jest nieco jednostronnym. Lecz tu autor poszedł za manierą współczesnych belletrystów, którzy szczególnie upodobili sobie zboczenia i wyrodzenia ludzkiej natury.

A niezbitego dowodu na to twierdzenie dostarcza tom jego „szkiców i obrazków“ p. t. *Spotkanie*. Jest ich dziesięć, większość ich powstała zapewne jeszcze przed *Fermentami*, co ważnem jest do osądzenia rozwoju talentu p. Reymonta. Dopiero po ogłoszeniu dwóch większych powieści, autor wydał na świat ten tom, zawierający jednak poczęści przedruki z pism czasowych. Rozmaitość motywów dość znaczna, lecz w ich wyborze znać naturalistyczne upodobania. Mąż wracający z pogrzebu żony, czczący jej pamięć jako anioła cnoty, goszczący w swym domu serdecznego przyjaciela, nagle odgaduje, że zmarła zdradzała

go z tym przyjacielem właśnie (*Spo'kanie*); wiarołomna żona w upojeniu miłosnem siedzi z kochankiem na ławce w ogrodzie o zmroku, aż spostrzega przypadkowo jakiś dziwny cień i odtąd ta mara, przypomnienie męża, poczucie grzechu, jaki popełnia zdradzając go, płoszy naprzód ją, potem i kochanka i oboje rozstają się zimno, obojętnie (*Cień*); młody narzeczonny, żeniący się dla konwenansu, wyprawia pożegnanie kawalerskiego życia, lecz wśród wiwatów podnieconych trunkami i obecnością kobiet-towarzyszów, tknięty odrazą do życia postanawia umrzeć, aż pod wpływem spokoju przyrody dochodzi do przeświadczenia, że „najnędniejsze życie jest tysiąc razy lepszem od nieistnienia“ (*Oko w oko*) — te trzy pierwsze obrazki dają studia psychologiczne, oczywiście drobne, niewykończone, lecz zajmujące i prawdziwe. Naturalistyczna maniera znaczą swe ślady dopiero od *Franka*, którego środowisko bardzo *Komedyanckę* przypomina, tylko orgie z aktorkami są tu jaskrawsze, bo ich wielbiciele rozporządzają większymi sumami pieniędzmi. Franek to ubogi chłopak, służący przy teatrze i u jednej z aktorek; marzy o sławie i pocięhu, w tajemnicy przed światem, dramatyzuje *Ulanę* Kraszewskiego. Niepokój, który skutek tego wkrađa się do jego duszy, potęguje jeszcze owa aktorka, lekka i rozwiązła, wracając w podochoconym stanie z sutej libacyi i każąca mu się do naga rozbierać. Odtąd chłopak niema ani chwili spokoju, a na domiar złego kradnie mu ktoś rękopis sztuki i Franek musi z mozołem pracę nanowo rozpocząć. Obrazek niniejszy, chwilami odrażający, po za przedstawieniem hulank z aktorkami i życia zakulisowego niema niemal nic w sobie i dlatego mimo życia, jakie w nim wre, mimo śladów szczerzego uczucia, jakim autor otacza biednego chłopca, *Franek* ostatecznie tylko niesmak obudza.

Pięć następnych szkiców: *Suka*, *Szczęśliwi*, *Śmierć*, *Zawierucha* i *Tomek Baran*, przenoszą czytelnika na grunt wsi, która już w *Fermentach* była tłem akcji i procesów psychologicznych. Rozmaitość tonów ogromna, od naturalizmu rażącego szpetną nagością, aż do smętnego, rzewnego liryzmu; ztąd nawet tam, gdzie czytelnik ze wstrętem odrzuca ten lub ów epizod a nawet całę prawie obrazek, ma się wrażenie szczerzego i zasobnego talentu pisarskiego p. Reymonta, który widocznie zna lud, umie i lubi patrzeć na jego życie tak, jak podatnym jest i wrażliwym na wpływ przyrody, tak ściśle z ludem złączonej. Akcyi, właściwej fabuły w tych obrazkach niema, ztąd niepodobna ich streszczać; są tylko same studia, szkice pewnych nastrojów, sytuacji, figur. Chłopak wiejski na prośby rozpieszczonej córki dziedziczki wsadzający ją na konia, przez jej matkę za to niemilosiernie skatowany, a w swym bólu jeszcze litujący się nad ulubioną suką, dotkniętą napadem wściekłości (*Suka*); młody urzędnik kolejowy, spędzający wieczór wigilijny w gronie chłop-

skiej rodziny, u której mieszka i potem oświadczający się o rękę dorodnej dziewczuchy Marysi (*Szczęśliwi*); wyrodna córka, wyrzucająca śmiertelnie chorego ojca do chlewka z zemsty za to, że ją wrzekomo skrzywdził przy podziale schedy (*Śmierć*); biedne rodzeństwo, Jantka i Józiek zasypane śniegiem, okryte śmiertelnym białym całunem podczas samotnej drogi przez las (*Zawierucha*) — już te sytuacje dowodzą różnorodności i bujności motywów. Naprzeciw nieznośnych, wstrętnych scen ze *Śmierci* stają tu rzewne z *Zawieruchy* i idyllicznie spokojne ze *Szczęśliwych*. Jako całość najudatniejszym jest *Tomek Baran*, wyrosły na plancie kolejowym, który widocznie jest szczególnie ulubionym terenem obserwacyjnym dla autora. Jestto wzruszająca historia dróżnika, który wypędzony ze służby pod — niesprawiedliwym — zarzutem kradzieży, cierpi nędzę, szuka zmiłowania u ludzi, czasem nakrótka cieszy się nadzieją lepszej doli, lecz nękany przez los, zrozpaczony śmiercią ukochanego dziecka, zginąłby marnie, gdyby się w końcu nad nim nie ulitowali poczciwi wieśniacy, sami w bogactwo nie obfitujący. Jest tu realizm, jest ściśle trzymanie się życia, nie upiększanie go, owszem nieraz rozmyślnie przedstawianie go z ujemnej strony, jednak całość jest udatną i wzbudza współczucie, bo realizm trzyma się granic sztuki. Obok znanego już szkicu *Szczęśliwi*, jestto jedyny w tym zbioru obrazek, kończący się jeszcze dość pogodnie, wiarą w dobroć i poczciwość ludzi.

Odrębne stanowisko zajmuje w tym tomie szereg zapisków z podróży: *Z wrażeń włoskich*, ogłaszanych dwa czy trzy lata temu w warszawskiej *Gazecie Polskiej*. Oczywiście główną rzeczą w tego rodzaju zapiskach jest nie materyalna ich treść, znana z tysięcy dawniejszych notatek z Włoch, lecz sposób, w jaki się patrzy na naturę, ludzi i sztukę tego uroczego kraju i wrażeń udziela czytelnikom i dlatego takie zapiski są cennym dokumentem duszy autora. U p. Reymonta doznaje się tu pewnego zawodu: autor niepotrzebnie powtarza szczegóły każdemu na pamięć doskonale znane (np. na półtrzeciej stronnicy cytuje po raz tysięczny opis katastrofy w Pompei i Herculanium zachowany w listach Pliniusza młodszego do Tacyta), natomiast subiektywnych refleksyj daje zamalo. To też do psychologii p. Reymonta z tych *Włoskich wrażeń* zyskuje się bardzo mało, chyba ten szczegół, że w czasie owej podróży był bardzo wrażliwy na naturę zewnętrzną, patrzył się wprawmem okiem na tłumy ludzi, poszczególne typy, rozumiał urok przyrody i dzieł sztuki, lecz w daleko słabszym stopniu poddawał się niepochwytym wpływom, jakie na ludzkie uczucie wywiera np. tradycja dziejowa (*W katakumbach*).

Przeszedłszy tak cały dotychczasowy dorobek literacki p. Reymonta, należy nam w końcu zebrać rozprószone rysy, nakreślić z ich pomocą nie portret, bo na to jeszcze za wcze-

śnie, lecz choćby sylwetkę autora. P. Reymont posiada rzeczywisty talent. Talent ten błądzi niejednokrotnie, idzie zwodniczymi śladami naturalizmu (*Spotkanie*) lub chroma w odtworzeniu dziejów duszy ludzkiej (*Fermenty*), lecz cechuje go szczerłość i wielostronność. Nie zasklepiając się w zakresie wiecznie tychsamych środowisk, sytuacji i figur, obejmuje całe niemal współczesne życie, zadziwiając niejednokrotnie różnaitością owoców obserwacyi. O życiu p. Reymonta nie wiemy nic, na domysł przypuszczalibyśmy jednak, że p. Reymont wzrósł na wsi lub w małym miasteczku; nie znamy drugiego z żyjących polskich pisarzy, w którymby przyroda, zwłaszcza las, i jej związek z ludźmi był tak głęboko i tak pięknie przedstawiony jak u p. Reymonta, przedewszystkiem *Fermentach*. Gdyby nie było innego dowodu wybitnych zdolności p. Reymonta, ten jeden wystarczyłby w zupełności. Piórem włada autor wybornie, posiada obfitość słowa; nieraz może używa zestawień raczej efektownych, niż stosownych (np. „wieś dyszała spokojem“ w *Spotkaniu* str. 81), lecz niezmiernie rzadkie są wypadki, gdzieby język „myślom kłamał“. Z tych wszystkich powodów szczerze witamy w p. Reymencie utalentowanego pisarza, życząc mu, aby pozbył się ujemnych, a wykształcił i rozwinął dodatnie strony swych niezwykłych zdolności.

J. Fluch.

— Hajota: *Jak cień*. (Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa, 1896). — Wśród mnóstwa zdawkowych ostatnich polskich romansów, powieść niniejsza Hajoty swoją egzotyczną cechą zwraca uwagę i przykuwa interes czytelnika. Pisząc niedawno o jej afrykańskich wspomnieniach zauważyliśmy, jak niezwykle do rodzaju jej talentu nadają się temata w swojej fantastyczności będące jednak prawdą. Afrykańska przyroda przez bogactwo swoich blasków daje tło przepyszne tym szkicom z życia w strefie podzwrotnikowej, które gorączkowej wyobraźni utalentowanej powieściopisarki dają podniecie do szczęśliwych improwizacyj. To też czytając świeżo zbiór nowel p. t. *Z dalekich łódów*, a teraz powieść *Jak cień*, z żywą sympatją śledzi się rozwój tego daru powieściopisarskiego, którym hojnie szafuje Hajota. Jeżeli w innych jej utworach, jak *Ich syn*, bogactwo i harmonia języka, oraz łatwość obrazowania nie zdołały okupić pewnych nieprzyjemnych wybujałości samego pomysłu, wzorowanego na obcej literaturze, to afrykańskie powieści Hajoty godzą z nią każdego, zyskując prócz tego żywe uznanie talentu, tak bogatego w umiejętność uplastycznienia każdej niezwykłości.

„Nieraz wśród ciszy nocnej budziło mnie żalosne wycie psa“ — zaczyna autorka swą opowieść. Nie mogła zbadać jego przyczyny zrazu, ale wśród bezsennych nocy nieraz to smutne wycie budziło w jej sercu nieokreśloną tęsknotę. Ponieważ bardzo mało było psów na San-Fernando, intrygowała ją niemożność znalezienia tego niefortunnego stworzenia. Raz samotna

wieczorna przechadzka zawiodła ją w nieprzebyte gąszcze, graniczące z plantacją państwa Rogozińskich i tam ze zdziwieniem odkryła najpierw ślady dawnej drogi, a potem napół rozwaloną ruinę wykwintnej willi, na której stopniach niby mara oświetlona światłem księżyca, stróżował stary dog; na jej widok podniósł żalodne wycie, tak dobrze jej znajome, a przejmujące smutkiem i rozpaczą. Wszystko zdradzało tam ślady tragicznej klęski wśród walki Europejczyka z afrykańską przyrodą i odtąd zagadka ta nie dawała spokoju autorce. Aż oto traf zdarzył, że z ust świadka tej tragedyi, której widownią była zrujnowana willa, dowiedziała się szczegółów.

Przed laty Don Luiz poznał tego, który wniósł te ginące dzisiaj ślady wysokiej kultury i razem z mieszkańcami „Karinfeldu“ daremnie starał się zwalczyć wyrok smutny, godzący w ich szczęście. Na Fernando Po znajdują się bogate plantacje kakao, które jednak potrzebują racjonalnego założenia, by dochód przynosiły. Miał ich wielką przestrzeń bankier Garulla, ale nie wszystkie nosły mu zyski, to też natrafiwszy na łatwowernego Europejczyka, pospieszył odsprzedać mu najgorszą część plantacyj. Don Oskar Aderskielđ był Szwedem z urodzenia, członkiem starej arystokratycznej rodziny i choć napozór zdawał się być niezdolnym do ciężkich trudów, potrafił jednak wnet całą swą wykwintną naturę oddać żelaznej pracy. Obdarzony bystrą inteligencją nie potrzebował długiego czasu, by spostrzedz, że padł ofiarą oszustwa i że mimo pozornie nader korzystnych warunków, znalazł się wobec strasznie twardego i niewdzięcznego zadania. Sam jednak nie tracił otuchy, rozwijając niezwykłą energię i cudem pracy wznosząc najpierw wśród gąszczu misterne gniazdko, które usłane z komfortem i gustem artysty, przyjąć miało żonę jego i czteroletnią córeczkę. Don Luiz szybko zaprzyjaźniony z młodym Szwedem zdumiał, zobaczywszy idealną o eterycznej jasnowłosej urodzie Donnę Karinę. Troje tych ludzi zdawało się być z odmiennej ulepionych gliny, taka wykwintna, subtelna otaczała ich atmosfera. Jakżeż oni potrafia się zaaklimatyzować w zabójczym klimacie Afryki, w twardej walce o chleb, w walce, gdzie ręk trzeba, a one tak trudne i drogie i niechętne! Wierny przyjaciel śledził z troską epizody tej kampanii, a niepokój jego to wzrastał, to znowu cichło zle przeczućie na widok żelaznej energii Szweda i miłości obojga. Ale po roku cichych codziennych trudów nastąpiły różne zmiany. Przybył nowy gubernator do San-Fernando, osławiony ze swoich dawnych wybryków junackich, namiętny i bezprawny, p. della Rocca. Bystremu oku Don Luiza nie uszło dziwne zakłopotanie w chwili przedstawienia oficjalnego na twarzy Donny Kariny i chciwy wzrok Hiszpana, ze zdziwieniem wtapiający się w jasnowłosą postać. Uwaga jego rozbudzona śledziła też odtąd dziwny niepokój, jaki chwilami ogarniał młodą Szwedkę; intrygowała go

ona oddawna, przeczuwał jakąś tajemnicę, mimo, iż był pewnym nie tylko szczerzej głębokości przywiązania obojga, ale jej nieskalanej czystości duszy. To też niepomierne niepokoiła jego przyjaźń ta zmiana, którą odkrywał w Donnie Karinie, ten jej strach przed della Roccą. Przypadek i własne spostrzeżenia nauczyły go prawdy. Karina była w dzieciństwie i młodości cyrkową linoskoczką, wyzyskiwaną przez niesumienną matkę. Dziewczynę cudem jakimś niezapętłą wyrwała z tej toni miłość Don Oskara, który dla niej zerwał z rodziną i uciekł przed ludźmi aż w puszcę afrykańską. Ale przeszłość szła za Kariną „jak cień“; della Rocca znał ją z cyrku i szalał z miłości dla niej, nie otrzymawszy nigdy zachęty. I wtedy to od podłej matki nieszczęsnego dziewczęcia kupił parę złotych splotów Kariny, którymi teraz jej groził, wymagając nareszcie uległości. Młoda, kobieta przeczuwała, jak fatalnie jej opór oddziaływał na losy męża. Ale wyboru nie było i musiała znosić męki niepokoju, patrzeć na złośliwe zniszczenie pracy mężowskiej, a przytem lękać się ciągle wyjawienia prawdy mężowi, któryby może wówczas zwątpił o jej niewinności. Do tortur moralnych przybyła jeszcze troska o zdrowie dziecka, i tak ze wszech stron spadały straszne ciosy na młodą kobietę, która swój ciężki krzyż musiała nieść w milczeniu, lękając się jak najsroźszego nieszczęścia podzielenia go z mężem. Don Oskar nie domyślał się niczego, podczas gdy jego wierny przyjaciel śledził z wzrastającą obawą rozwijający się dramat, aż wreszcie prawda oślepiającym piorunem spadła na Don Oskara. Raz Karina nie wróciła z miasta, dokąd poszła po lekarstwo dla chorej córeczki; Don Luiz odgadł porwanie; zapomocą wiernego psa odkrył z trudem kierunek drogi, gdzie uniesiono niewinną ofiarę; przybyli w chwili, gdy nieszczęśliwa kobieta wyskoczywszy oknem z willi gubernatora, uciekała rozpaczliwie, goniona wściekle przez podłego Hiszpana. Kula położyła go trupem na miejscu, a omdlałą Karinę unieśli na rękach mąż. Ale w chwili gdy doszedł do domu, okropny widok go uderzył; dziecię ich uległo atakowi konwulsyj i leżało z rozbitą główką samotne, bo jeszcze przedtem cała służba uciekła z willi. Biedna matka nie przetrwała tego ciosu: obłąkanie odebrało ją nieszczęśliwemu mężowi — i to obłąkanie w najboleśniejszej postaci, bo Karina wciąż o dawniej znienawidzonym cyrku mówiła i wpadała w ataki szalonej furii, gdy jej nie pozwalano na linie odbywać dawnych sztuk zręczności. Upadek ze znacznej wysokości dokończył życia młodej kobiety. Don Oskar po tym ostatecznym akcie tragedji, łamiącej jego życie, opuścił Fernando-Po, postanawiając oddać się służbie dla nieszczęśliwych, a nie chcąc nic już mieć na ziemi, zostawił przyjacielowi psa, który jednak niecheiał opuścić dawnego mieszkania swego pana, życie swe nędzne kończąc w służbie wygasłego ogniska.

Smutna to opowieść i łzawa. Można by zarzucić zbyt pęchynizm opisowi tych bezowocnych mąk prawości zgnębionej przez podłość — ale w życiu tyle tragicznych zdarza się nieraz zawiślań, które podobne temu, niszczą szczęście i spokój, co „jak cień“ mijają na tej ziemi, że i pewnej prawdy w tej mierze odmówić nie można niniejszemu utworowi Hajoty

M. Rawicz.

Kilka słów odpowiedzi na recenzję mojej „Logiki elementarnej“, zamieszczoną w zeszycie czerwcowym „Przeglądu Polskiego“.

Dziękując serdecznie za nadspodziewanie łaskawą ocenę mego podręcznika, odpowiadam czcigodnemu recenzentowi, że „Dodatek objaśniający“ znajduje się tylko w egzemplarzach, przeznaczonych dla profesorów i innych znawców literatury filozoficznej, a nie będzie go wcale w egzemplarzach, które po cenie znacznie niższej będą sprzedawane uczniom, skoro tylko c. k. Rada Szkolna zaaprobuje książkę do użytku szkolnego.

Co się zaś tyczy podziału „pewności“ na „fizyczną, logiczną i moralną“, nadmieniam, że miałem na względzie tylko stan umysłowy, w którym uważamy coś za prawdę bez żadnej wątpliwości. O pewności „metafizycznej“ nie czynię żadnej wzmianki dlatego, że wyraz ten zniewala do wyjaśnień na stopniu elementarnym, jak sądzę, przedwczesnych. Zdawało mi się, że uczynię najlepiej, jeżeli pójdę w tym punkcie za przykładem Eulera, Janeta (którzy jednak zamiast nazwy: „pewność logiczna“ używają wyrazu: „demonstrative“, por. Janeta: *Traité élémentaire de philosophie à l'usage des classes*. Sixième édition. Paris 1889, p. 353) i innych, a odstępując od podręczników scholastycznych, które mówią o t. zw. pewności „objektywnej“, kiedy rozróżniają: metafizyczną, fizyczną i moralną. Może jednak należało przynajmniej w uwadze i ten podział uwzględnić, co też gotów jestem uczynić w 2-gim wydaniu (jeżeli go się podręcznik doczeka).

X. Dr A. Pechnik.

Przegląd polityczny.

Kraków, 31 sierpnia 1897 r.

W wewnętrznej polityce austriackiej ubiegły miesiąc był, jak mało który — brzemienny, a stał się, jak mało który — bezpłodny. Po zamknięciu sesji Izby, po znanych skandalach, obstrukcya niemiecka przeniosła działalność na szerokie warstwy wyborców, rozwinęła agitacyę i roznamiętniła północne Czechy. Zjazdy, zgromadzenia, rezolucye rad miejskich, zawieszenie przez gminy t. zw. poruczonego zakresu działania, wszystkie te epizody składały się na obraz kampanii, wszczętej w obronie „praw niemieckiego szczepu“. Kampania ta rozgrywała się wśród ulic, przystrojonych w czarno-czerwono-złote flagi i przy dźwiękach *Wacht am Rhein*. Posłowie, którzy przez dnie i tygodnie bili w pulpity, podnosili pięście i rozdzierali gardła, z łatwością tej metody udzielili tłumowi, który z natury chętniej krzyczy, niż myśli. Kulminacyjną sceną był wiec w Chebie, z wycieczką do Saksonii, ów wiec, na którym dep. Funke złożył teatralną „przysięgę na Rütli“ pod hasłem: „Precz z rozporządzeniami językowemi!“ Wystąpił z całą jaskrawością fakt, że partya liberalna ogłosiła kapitulacyę, a na czele stanął nowy chorąży: p. Schönerer. Punkt ciężkości przesunął się od partyi niemiecko-postępowej do frakcyi narodoworadykalnej. Moment to bardzo ważny, bo na parlamentarnej platformie pomieścić się mogą wszelkie stronnictwa, brak

tylko miejsca dla partyj, które wychodzą po za słupy graniczne państwa.

Obstrukcyja niemiecka ubezwładniła faktycznie maszynę ustawodawczą, a tem samem zagroziła prawidłowym funkcjonom wszystkich tłoków i ramion administracyjnej działalności państwa. Rząd, dbający *ne quid detrimenti*, nie mógł pozostać bezczynnym. W połowie tego miesiąca pojawiła się też w *Narodnich Listach* i w wiedeńskiej *Neue Freie Presse* zapowiedź, że hr. Badeni zwoła czesko-niemiecką konferencyę ugodową. Zapowiedź objaśniał zarys przedłożeń, mających być przedmiotem narad. Żaden z dzienników urzędowych ani półurzędowych nie zaprzeczył informacyi; było widocznem, że jest to *ballon d'essai* dla obudzenia dyskusyi i przygotowania terrenu. Dnia 19. b. m. ogłosiła *Wiener Abendpost* pismo hr. Badeniego, zapraszające do udziału w konferencyi marszałka ks. Lobkowitza, oraz przywódców w sejmie czeskim: hr. Buquoy, hr. Oswalda Thuna, dep. Herolda i dep. Schlesingera. Feudalna własność i Czesi przyjęli zaproszenie; z początku również „wiernokonstytucyjni“. W Pradze odbyło się rozstrzygające zgromadzenie mężów zaufania stronnictw niemieckich. Uchwalono długą rezolucyę, zlepek komunałów, zakończony odmowną odpowiedzią. Hr. Oswald Thun, czuwając się do solidarności, cofnął w imieniu „wiernych konstytucyi“ przyrzeczone uczestnictwo, a w ślad za tem hr. Badeni następnego dnia odwołał konferencyę jako „bezprzedmiotową“.

Oto krótki historyczny rzut oka na przebieg bezowocnej akcyi ugodowej rządu. Historyczny — bo konferencya, niedawno budząca nadzieje, dziś należy do archiwum. Warto jednak poświęcić jej nekrolog, bo pogrzebano jedną z tych inicjatyw i z tych myśli, z których *nascitur ultor*.

Konferencya nie miała być kongresem dla uchwalenia rozejmu w sporze między obu narodowościami w Czechach. Był to tylko wstęp i zawiązek akcyi, ujętej w ścisłe, konstytucyą zakreślone ramy. Naturalnym gruntem dla krajowych reform czeskich jest nie parlament, lecz sejm czeski, rząd więc — zgodnie z poprzedniemi przyrzeczeniami — przygotował na najbliższą sesyę w Pradze szereg projektów ustawodawczych, normujących stosunki między obu narodowościami. Było to zgodne z zasadą autonomii a zarazem

praktyczne, jako umiejscowienie zapalnej choroby, jako przeniesienie fermentu z parlamentu państwowego do krajowego ciała ustawodawczego. Taktyka taka starczyłaby na manewr; lecz dla lojalnego charakteru hr. Badeniego była zanadto utylitarną a nie zapewniającą pozytywnego wyniku. Hr. Badeni postanowił przeto projekty rządowe uczynić przedtem podstawą poufnych obrad — jeśli nie porozumienia — delegatów stronnictw czeskich i niemieckich w Wiedniu. Reformy, opracowane przez rząd, znane są raczej ze szematu i z tytułów, niż z treści; nie mogą zatem być materiałem dla krytyki. Ideą przewodnią był podział Czech pod względem językowym na okręgi czysto niemieckie, czysto czeskie i mieszane; osobna ustawa miała unormować język urzędów autonomicznych, a wreszcie odpowiednio do przepisów dla władz samorządu, miała być uregulowana kwestya językowa w urzędach państwowych. Znaczy to, że rząd godził się cofnąć rozporządzenie językowe z d. 5 kwietnia, a raczej zastąpić je nową ustawą.

Czy ta treść projektów ugodowych wywołała abstenecję posłów niemieckich z Czech? Nie. Nie doszło nawet do tego stadyum, w którym jest mowa o zawartości i wartości propozycji. Akcja ugodowa rozbiła się o kwestyę formy, o formalny postulat: rozporządzenia językowe muszą być odwołane nie *po*, lecz *przed* wszelkimi pertraktacyami. I w tem właśnie tkwi cała niemoralność rezolucyj pragskich. W polityce, czerpiącej soki żywotne z potrzeb ludności, z obywatelskiej troski o dobro kraju i państwa, nie ma miejsca na upór, przesąd ani etykietę. Jest to wprost *mala fides*, udrapowana w togę narodowego honoru. Każdy człowiek, nawet tępy, przez uczucie może być dostępny do pojedynczego głosu; nawet zły, przez rozsądek może uleść perswazyi i argumentom; ale nie ma drogi do człowieka, który tyłem odwrócony uszy zatyka. A takie stanowisko zajęli Niemcy z Czech, zterrorizowani komendą pp. Schönerera, Wolfa, Iro i innych komparsów z *Ostdeutsche Rundschau*.

Nie ma w polityce rzeczy niebezpieczniejszej, jak abstenecya; nieobecność równa się samobójstwu. Historya stwierdza a doświadczenie potwierdza, że partya polityczna, odsuwająca się od organicznej pracy, musi albo umrzeć, albo, jeśli

chce żyć, abstencyę przerwać. Parta fatalną siłą rozrostu społeczeństwa, plynie ogromna, nieprzerwana fala interesów ekonomicznych, idealnych dążeń, ambicyj i talentów, fala, która pokrywa każdą frondę, rozkładającą się bezczynnie obozem. Na trupach dawnych przywódców stają nowi ludzie, „zużytych hasel próchno“ zastępują nowe programy i — frazesy. Ostatnie wybory utrwaliły przekonanie, że stara lewica niemiecka przechodzi kryzys, jeśli nie proces rozkładu, że to są na arenie politycznej pierwsi *morituri*, po których w Austrii zrodzi się *rerum novus ordo*. Partya ta w r. 1879 licząca 200 mandatów, w r. 1897 zaledwie 7, zaprzęgnięta w rydwan wielko-niemieckiej agitacyi, rozbita a roznamiętniona w ostatnim manifeście rezolucyj praskich, wydzwoniła sobie *memento*, jeśli nie — podzwonne. Teraz jeszcze jest, ale na to, aby albo być nieobecną, jak na konferencyi ugodowej, albo przeszkadzać, jako obstrukcyja w parlamencie.

Czy to znaczy, że poczyna się era „słowiańskiej“ Austrii? Bynajmniej. Dla ustroju monarchii, rozczłonkowanej na kraje z odrębną historyczną tradycyą, monarchii wielojęzycznej i wielo-narodowej, jedno jest tylko kryterium zdrowia: organizm ten jest krzepki, gdy wszystkie składniki *als mächtiges Glied schliessen dem Ganzen sich an*. Nie może być mowy ani o germanizacyi, ani o „sławizacyi“ Austrii; celem jest tylko równouprawnienie Niemców i Słowian na zasadzie autonomii. Dlatego niedoskonałą, kruchą i przejściową musi być każda parlamentarna kombinacyja, nie oparta na szerokiej przyrodzonej podstawie wszystkich naczelných ludów, jako członków, tworzących ciało państwa. Przejściową musiała być koalicyja bez Czechów, przejściowa też musi być koalicyja prawicy bez Niemców. Ale nie bez lewicy niemieckiej. Bo błędem jest, a błędem pospolitym, identyfikować wyborców z wybranymi, posłów i ich taktykę z ludnością i krajem, pierwiastek stały i odradzający się z czynnikiem zmiennym, przygodnym osób i jednostek, składających stronnictwo. Hr. Badeni, koniecznością zmuszony, może rządzić bez partyi niemiecko-postępowej i wierno-konstytucyjnej, może rządzić nawet wbrew nim; ale nie może — i nie będzie rządzić wbrew interesom i potrzebom ludności niemieckiej w Austrii.

Stała się rzecz dziwna, że hr. Badeni, jako kierownik polityki austriackiej, przez szereg *sukcesów* zapewnił sobie imię wzorowego doradcy korony i pierwszego urzędnika państwa, lecz dopiero przez *niepowodzenia* i zawody urósł i spotężniał, jako statysta, jako mąż stanu. Ten statysta ma oryginalne cechy, czyniące go jednym z typów polityka nowożytnego, bo zastosowanego do nowożytnych warunków działalności wybitnej jednostki w społeczeństwie. Nie ulega wątpliwości, że w dobie współczesnej uświadomienie psychologiczne, odczuwające tajne sprężyny czynów, wykształcenie historyczne i socjologiczne, wiążące szybko przyczyny i skutki, sceptycyzm, skłonny do „obrazoburstwa“ — wszystko to wysubtelniło powszechny zmysł krytyczny, zaostrzyło kontrolę, pod którą stoi każdy człowiek na widowni. Polityczne kuglarstwo, technika dyplomatyczna na wzór Talleyranda — należy do *ancien régime*. Hr. Badeni jest tem najbieglejszym dyplomata, że dyplomata być nie chce. Każda jego mowa w Izbie ma ton szczerości, wykluczającej podstęp, każda inicjatywa ujęta jest w linie proste i lojalne. Warto to podnieść teraz właśnie po zachwianiu się akcji ugodowej. Polityce wewnętrznej w Austrii, polityce, dzierzganej na kanwie rozlicznych a sprzecznych interesów, grozi zawsze niebezpieczeństwo, że staje się ona doraźną, małą, pozbawioną filozoficznego rysu, szerokiego planu. Rzadkie są chwile, w których atmosferę orzeźwi powiew filozoficznej idei. Powikłanie stosunków austriackich taką myśl krępuje, utrudnia i tłumi; trzeba więc silnych ramion i jasnego wzroku, aby mieć odwagę wznieść się na idealne stanowisko, aby targnąć się na rozwiązanie zasadniczego problemu — a w Austrii nie ma bardziej zasadniczego, jak stworzenie harmonii między ideą państwową i ideą narodowości. Uczynił to hr. Badeni, a choć nie danem mu było dotychczas uwieńczyć dzieła powodzeniem, uczynił tak rozumnie, z taką godnością i dobrą wolą, że z niepowodzenia wyniósł dla siebie chwałę, dla swojego stanowiska umocnienie.

Co dalej? Co przyniesie najbliższa przyszłość? Dnia 1 września zbiera się komisya wykonawcza stronnictw prawię. Z obrad tej komisyi, z układów między nią a rządem, wyłoni się program dalszego *modus vivendi*. Zadania bez-

pośrednie: wybór delegacyj, uchwalenie prowizoryum budżetu i prowizoryum ugody węgirskiej, a przede wszystkim — zarządzenie obstrukcyi.

Wizyty cesarza Wilhelma II i prezydenta Faure'a w Petersburgu były ostatnimi scenami z prologu panowania cesarza Mikołaja II. W Wiedniu, w Wrocławiu i Paryżu przedstawił się młody władzca Europie, okazując przy debiucie nie wiele więcej po nad uprzejmy takt i przezorną wstrzeźliwość. Przyjęcie w Wiedniu było przyjacielskie nie bez serdeczności, w Wrocławiu paradne nie bez dyssonansów, w Paryżu pełne zapału bez granic. Zabarwiły się odcienia, nieobojętne dla dyplomaty, mającego czas na psychologię; dla praktycznego polityka cała podróż nie dostarczyła żadnego faktu ani zwrotu w międzynarodowych stosunkach. Nierównie obfitsze w pozytywne wyniki były odwiedziny naczelników państw, składane w Petersburgu. Z trzech zjazdów tylko pobyt cesarza Wilhelma nie zaznaczył się żadnym politycznym aktem, a to z prostej przyczyny, że między Niemcami a Rosyą nie ma w obecnej chwili ani zbliżeń, czekających aprobaty, ani nieporozumień, wymagających załatwienia. Toasty jednak cara o „tradycyjnych węzłach“ i cesarza niemieckiego „ślubowanie“ pokojowe, wogóle gorętszy, niż przypuszczano, nastrój przyjęcia, złagodził wrażenie etykietałno-wojskowych dni wrocławskich, podczas których temperament gospodarza wyprzedzał, bez pożytku a z ujmą godności, chłodne umiarkowanie gościa.

Ważniejsze były dwie inne wizyty nad Newą: poprzednia cesarza Franciszka Józefa, upamiętniona wspólną depeszą do państwewek bałkańskich, i ostatnia prezydenta Faure'a, uwieńczona promulgacją dwuprzymierza. Fakt, że kontrolę, wykonywaną nad bałkańskimi państwewkami z konieczności sąsiedzkiego położenia przez Austro-Węgry i Rosyę — a więc zakres czynności, spełniany prawidłowo w urzędowej drodze dyplomatycznej przez każdy gabinet z osobna, samodzielnie lub po poufnej notyfikacyi — uczyniono podstawą dokumentu bardzo niezwykłego w formie, bo dokumentu, łączącego na jednym piśmie podpisy dwóch monarchów i wolę dwóch państw, świadczy, że celem było nietylko doraźne wywarcie

nacisku na państwa bałkańskie, lecz nadto i przedewszystkiem zaznaczenie, iż między Rosyą a Austro-Węgrami istnieje zgodność i równoległość torów polityki wschodniej. Półwysp bałkański jest przez geograficzne położenie naturalnym zbiornikiem antagonizmów austriacko-rosyjskich; współdziałanie zatem na tym terenie ma doniosłość historycznego kompromisu. Zmiana polega na tem, że w polityce rosyjskiej, która jeszcze niedawno z takim wyteżeniem rozsnuwała sieci w Serbii i Bułgarii, zyskał faktyczną przewagę program hr. Kalnoky'ego, idea neutralności wobec Bałkanu. Przyczyna tego zwrotu tkwi głębiej. Zakulisowa partyzantka w Zofii i w Belgradzie miała rację bytu o tyle, o ile wysuwała forpocztę, o ile stanowiła przygotowawczą pracę na drugorzędnym teatrze operacyjnym, przed wdarciem się na wyżyny „kwesty tureckiej“. Prace te stały się drobiazgowę, drażniące a bezcelowe, od czasu, kiedy Rosya wykreśliła z zadań *bezpośredniej* polityki zamach na wschodzie Europy i ideały bizantyńskiego cezaryzmu. A że tak jest, dowodzi w ostatnim okresie stanowisko Rosyi wobec rozruchów armeńskich i wojny grecko-tureckiej, dowodzi lojalna solidarność z „koncertem“, a zawet przodownictwo w zabiegach około utrzymania i zabezpieczenia *status quo* Turcyi.

Całe to tło uwydatnia znaczenie wspólnej depezy, znaczenie, które nie błędnie nawet w bengalskim świetle „aliansu“. Alians posiada wszelkie efektowne, lecz zarazem mgliste zarysy „wielkiego stylu“; nota petersburska formalnie odnosiła się tylko do konkretnej potrzeby wstrzymania państewek nad Dunajem od udziału w wojnie grecko-tureckiej. Alians, związek dwóch mocarstw, może zarówno fantazya zapłodnić szczykiem oręża, jak życie skazać na bezdzietność. Stan rzeczy, stworzony notą, zamykają ramy i cele ciałniejsze, lecz tem samem rokujące pożyteczny i skuteczny, bo bliższy rezultat. Alians zresztą należy do statyki, nie do *dynamiki* międzynarodowej; jest on bądź co bądź tylko teoretycznym szematem, podczas gdy nota była czynem. A polityka, jako praktyczna nauka czy sztuka, w pierwszym rzędzie z czynami liczy się i z czynów wyciąga wnioski.

W historii stosunków międzynarodowych XIX wieku *alliance franco-russe* zajmie niewątpliwie osobną kartę. Dnia 25

sierpnia 1897 r., po trzechdniowym pobycie prezydenta Rzeczypospolitej w Petersburgu, cesarz Mikołaj II, na francuskim statku admirałskim „Pothuau“, wygłosił podczas śniadania pożegnalny toast, zakończony ustępem: *Je suis heureux de voir que votre séjour parmi nous crée un nouveau lien entre nos deux nations, amies et alliés. — Alliés! —* słowo to obiegło iskrą elektryczną świat, a Francję napełniło entuzjazmem. Cały kraj obchodził narodowe święto: w Paryżu i na prowincyi domy przystrojone flagami, płonące illuminacje, ludność tłumami przeciągająca ulicami wśród okrzyków: *Vive la France! Vive la Russie!*

Po kilku dniach przebrzmiały fanfary tryumfale, zniknęły dekoracyjne festony nad Nową i nad Sekwaną; pozostanie dla oceny szkielet faktu, że przemowy cara i prezydenta zawierały dyplomatyczny *terminus technicus*, obwieszczający dwuprzymierze. W genezie tego sojuszu, jak i każdego innego, rozróżnić trzeba trzy momenty: wspólność interesów i kierunku polityki zagranicznej, łącząca dwa państwa, ustalenie tej wspólności przez spisanie i podpisanie aktu traktatowego, wreszcie ogłoszenie publiczne istniejącego związku. Zbieżność polityki Francji i Rosji objawia się niemal od dwudziestu pięciu lat. Po pokoju w Frankfurcie i po kongresie berlińskim wspólność zawodów i rozczarowań nawiązała pierwszą nić sympatyczną między narodami na dwóch krańcach kontynentu, mimo wprost przeciwnego ustroju politycznego, mimo olbrzymich różnic społecznych i cywilizacyjnych. Powstanie trójprzymierza, skupiającego środkową Europę, uczyniło dwuprzymierze matematyczną potrzebą dla uzupełnienia równoległoboku sił, napiętych w zbrojnym pokoju. Pobudki ściśle polityczne zyskały nadto potężne poparcie w nastroju uczuć ludności francuskiej, marzącej o *revanche*, i w propagandzie literackiej, rozbudzonej krytycznemi studjami p. E. M. de Voguë o rosyjskiem piśmiennictwie. Wizyty flot w Kronstadzie, Tulonie i Cherbourgu stanowiły ogniwa całego łańcucha manifestacyj; pobyt zeszłoroczny cesarza Mikołaja w Paryżu i ostatnie uroczystości w Petersburgu z powodu wizyty prezydenta Faure'a dokończyły dzieła „narodowego zbratania“.

Kiedy *liaison* zamieniła się w *mariage*? kiedy obo-
wiązki zastąpiły sentyment? kiedy *entente cordiale* skryształ-
lizowała się w akcie traktatu przymierza? Powszechna, nie-
mal jednomyślna jest opinia, że data ogłoszenia sojuszu
nie jest datą jego powstania, że traktat zawarty był od-
dawna, a teraz tylko przestał być tajemnicą. Franciszek Char-
mes, jeden z najwybitniejszych publicystów francuskich, do-
wodzi hipotezy, że traktat istnieje od r. 1891. W r. 1891
eskadra francuska pod wodzą admirała Gervais zawięła
do Kronsztadu. Była to pierwsza polityczna demonstracja
przyjaźni francusko-rosyjskiej. Bezpośrednio potem minister
spraw zagranicznych Giers bawił w Paryżu i odbywał dłu-
sze konferencye. Po wyjeździe Giersa oświadczenia rządowe
przybrały szczególniejszy ton. I tak prezes ministrów Frey-
cinet po wielkich manewrach, podniosłszy wobec zagranicz-
nych *attachés* wojskowych postępy armii, stanowiące dowód
„że rząd Rzeczypospolitej w spełnianiu dzieł narodowych
okazuje ciągłość i nie ustępuje w tem żadnej monarchii“,
dodał: „Nikt dzisiaj nie wątpi, że jesteśmy silni; dajmy do-
wód, że jesteśmy także roztropni. Potrafimy też zachow-
wać w *nowej sytuacji* spokój, godność i umiarkowanie“. W tym samym czasie mówił minister spraw zagranicznych
Ribot w Bapaume przy odsłonięciu pomnika jenerała Fai-
dherbe: „Trzeba było dwudziestu lat, aby Rzeczpospolita
przekonała Europę, że może być w całym tego słowa zna-
czeniu rządem. Jeden z władców publicznie objawił głębokie
sympaty, łączące dwa państwa. Naszą zasługą było tylko
to, żeśmy poprowadzili dalej dzieło rozpoczęte przez naszych
poprzedników, a nadto może i to także, żeśmy zrozumieli,
iż nadeszła chwila *uświęcenia* życzeń całego kraju. Wyni-
kiem jest, jak słusznie powiedziano, *nowa sytuacja*, co nie
zapowiada bynajmniej zmiany polityki. Nie zmienimy poli-
tyki naszej w chwili, kiedy korzyści jej są widoczne i kiedy
ta polityka poczyna wydawać owoce“. Albo te słowa — za-
uważa Charmes — nie mają wcale sensu, albo już wówczas
istniał sojusz. Dodać także należy szczegół nieobojętny, że
w r. 1891 rozpisana została z sukcesem subskrypcya pier-
wszej pożyczki rosyjskiej w sumie 500 mil. franków i że

od tego czasu walory rosyjskie przeniosły się z Berlina na rynek paryski.

Pytanie, jaką datą opatrzyły gabinety traktat, jest zajmujące przede wszystkim dla historyka, który przekona się jeszcze raz, że dla braku materiałów najtrudniej pisać historię współczesną. Ze stanowiska bieżącej polityki dostatecznym jest stwierdzić, że ani stosunki, sformułowane w traktacie, ani traktat, jako taki, nie są rewelacyami, po których *renovatur facies terrae*. Owszem, publikacja dwu-przymierza utrwala i nadaje sankeyę dotychczasowemu *status quo*, przynosi korzyść, nieodłączną od każdego wyjaśnienia, zakreśla wyraźniej znane linie i granice dyplomatycznej mapy Europy.

„Z jakim szyderstwem — pisze w *Matin* Henri des Houx — przyjętoby przed dwudziestu laty jasnowidzącego, wygłaszającego takie proroctwo: Widzę prezydenta Rzeczypospolitej, dziecko ludu, dawnego robotnika i kupca, jak w Petersburgu witany jest z honorami większemi, niż cesarzowie i królowie. Widzę, widzę, jak car ogłasza przymierze dwóch krajów“. Uwadze tej nie można odmówić słuszności. Po za polityczną rakietał aliansu, ostatnie uroczystości w Petersburgu, same przez się, jako zjawisko obyczajowe, budzą historyozoficzne refleksye. „Pierwszy obywatel“ demokratycznej republiki na dworze jedyne go w Europie autokratycznego monarchy, frak i cylinder przy gronostajach i koronach — to istotnie *signum temporis*. Herbert Spencer dowodzi w *Sociologii*, że formy obyczajowe trwają nierównie dłużej, niż instytucye polityczne i społeczne, które te formy do życia powołały. Rzeczpospolita, jako ustrój państwowy, uznany jest od lat przez Rosyę i przez wszystkie mocarstwa; a jednak pierwszy raz dopiero przedstawiciel tej Rzeczypospolitej, jako równy panującym gość, wstąpił w progi peterhofskego pałacu.

Zjazdy naczelników państw tak często bywały widownią wielkich dziejowych zdarzeń, że przez tradycyę i doświadczenie skupiają zawsze powszechną uwagę. I słusznie. Bo nawet spotkania, politycznie bezowocne, dostarczają szczegółów charakterystycznych, które zlewają się razem w trwałe wrażenie i obraz. Po podróżach cesarza Mikołaja II i rewii-

zytach w Petersburgu, pozostało poczucie ogromnego wzrostu znaczenia Rosyi. Milionowy kolos rozrósł się; wsparty o Europę, obejmuje ramionami niezmierne horyzonty azyatyckie. Po nieprzyjaznych „zachodniej kulturze“ rządach Aleksandra III, obecnie wystąpiła Rosya jakby w odmłodzonej potędze. Proces, na mocy którego hegemonia — jeśli w Europie można mówić o hegemonii — przechodzi od państwa do państwa, jest powolny i nieznaczny. W tej chwili jednak twierdzić można bez wahania, że Niemcy nie mają tej powagi, jaką posiadały jeszcze przed laty niewielu, a Rosyi przyznany jest w „koncercie“ europejskim taki głos, jakiego jeszcze niedawno nie miała.

Cesarz Mikołaj II dnia 1 września przybędzie po raz pierwszy do Warszawy. Sądząc z przygotowań i usposobienia ludności, przypuszczać należy, iż społeczeństwo da dowód, że przez długoletnią, ciężką i bolesną pracę wewnętrzną wyrobiło w sobie dojrzałość politycznego programu.

R. S.

ADAM ASNYK.

(Wspomnienie pośmiertne).

Stal pośród nas przez lat przeszło trzydzieści, jako w swoim pokoleniu największy niewątpliwie talent poetyczny. Ci, którzy kończyli swój zawód kiedy on swój zaczynał, Bohdan Zaleski i Pol, ci, co jak Lenartowicz, nie o wiele poprzedzili go do grobu, i ten, który go przeżył, Ujejski, czy zupełnie starzy czy tylko od niego starsi, byli wszyscy z innego czasu, w innej atmosferze chowani, należeli do innego okresu dziejów i piśmiennictwa; innej też strony narodowego ducha i charakteru byli obrazem i wyrazem.

Asnyk żył za młodu temi złudzeniami, temi dobrymi uczuciami, i temi także niedobrymi namiętnościami, które sprowadziły rok 1863; a gdy pisać zaczął, już w nas i kolo nas były tylko zaprzeczenia tych złudzeń, udręczenia tych uczuć, zatrute owoce tych namiętności. Ztąd miłość ojczyzny, i boleść nad ojczyzną, objawia się i wyraża u niego inaczej, niż u wszystkich tamtych. U nich boleść, kiedy najbardziej nawet gwałtowna i namiętna — jak u Ujejskiego — nie staje się nigdy rozpaczą, a tem mniej zwątpieniem; cierpienie nie odbiera im ani wiary w Boga czy w przyszłość, ani szacunku dla ludzi; sceptycyzmu niema w nich ani krzty. Niema też rozterki w ich duszach, ani sprzeczności w ich uczuciach i słowach. O chorobliwości romantyków i romantycznych ideałów mówi się dziś wiele; zapewne, nie był ani Pol, ani Zaleski, ani Lenartowicz, ani Ujejski (choć ten może najwięcej), tem, co łączymy z pojęciem romantyków i z ich szkołą. Ale następowali wszyscy po wiel-

kich romantykach, wszyscy wciągali w siebie ich soki żywotne, wszyscy przejęli się ich myślami, nadziejami i natchnieniami. A przecież jest w nich i w ich dziełach, jakaś jednolitość, jakaś zgodność z sobą, która pozwala wnosić, że w tym okrzyczanym romantyzmie było przecież chorobliwości mniej, męzkości więcej, niż się to dziś mówi i przyznaje.

Asnyk — nie wiedzieć jak wyda się potomnym, którzy na niego patrzeć będą z odległości — ale nam wydaje się przedewszystkiem człowiekiem i poetą w rozterce.

To w naszych oczach — może źle widzących — jego główne charakterystyczne znamię, to sam rdzeń jego moralnej istoty. Nie jego talentu; ten owszem ukazuje się i wczesnie dojrzałym, i dobrze zrównoważonym, świadomym swoich sił i granic, i wrażeń, aż do ostatnich czasów choroby wcale równym. Ale w duszy jest ciągła niejedność i nierówność, ciągła rozterka. Dużo talentu, dużo uczucia, dużo cierpienia niewątpliwie szczerego, i, sądzymy, dużo nawet miłości rzetelnej. Ale obok tego jakieś wrodzone czy nabyte zniechęcenie czy zwątpienie ironiczne i pogardliwe, jakaś niezdolność wierzenia skutkiem zapewne nieświadomości, gdzie i o co wiarę swoją oprzeć; jakiś brak szacunku dla ludzi, który dałby się łatwiej pojąć, gdyby płynął z nienawiści, choćby niesprawiedliwej, przeciwników, ale on ogarnia po kolei różnych, wszystkich, a w jego pierwiastku gryzącym czuje się prawie więcej kwasu jak goryczy. Obok tego porywy i popędy wiary, zapału, ufności w jakiś nieokreślony postęp, który oddaje się ze spokojem w ręce młodszych i potomnych; ale tam nawet, gdzie w pięknej i bardzo wyrobionej formie słowa są najbardziej uroczyste i energiczne, zostaje wrażenie i pytanie, czy ta wiara jest naprawdę pewna siebie? czy ten zapal nie jest po wierzchu gorętszy niż wewnątrz?

Asnyk przyszedł po wielkich poetach, i jest, w naszym przekonaniu, nie następcą Mickiewicza i Krasińskiego, ani Słowackiego nawet, tylko epigonem tego usposobienia nerwowego, chorobliwego, niemęzkiego, które się widzi u niektórych poetów, i u wielu poetycznych bohaterów, z pierwszej połowy naszego wieku. Tylko bieg czasu, historyczne

wypadki i wpływy, modyfikują ten typ: w pokoleniach poetów, jak w pokoleniach prostych ludzi, wyczerpują się z czasem siły żywotne, i następuje *progenies vitiosior*. Ponura, ale potężna namiętność Byrona, rozcieńcza się w drugim pokoleniu na melancholię, na rozmarzenie, na wdzięk wielki ale bardziej żeński Musseta; a potężna nienawiść i ironia Byrona psuje się na sceptycyzm i cynizm Heinego. Roman-tycznego, chorobliwego usposobienia, z naszych poetów naj-więcej miał oczywiście Słowacki; najwięcej zależności od wrażeń, najmniej świadomości swojej myśli i woli. W Asnyku powtórzyło się usposobienie podobne, tylko jak talent, tak i rdzeń człowieka, miazga jego duszy bardziej wiotka, a do składu jej tkanin przymieszał się jakiś pierwiastek sceptycyzmu, który nieprzyjemnie przypomina Heinego. Gdyby Heine był Polakiem, gdyby był czuł patriotyczny ból, byłby zapewne podobnym do Asnyka. Patriotyzm robi Asnyka szlachetniejszym, moralnie wyższym, niż był kiedykolwiek Heine, ale gdyby Asnyk był Niemcem i mógł o sobie tylko myśleć i za siebie tylko cierpieć, byłby podobnym do Heinego, którego najpiękniejszym *Liedom* jego drobne wiersze może nie ustępują. Tylko nie byłby miał, sądzymy, tej siły, tej namiętności, tego ognia, jakie są w niektórych miłosnych wierszach tamtego.

Człowiek w rozterce, a poeta żeńskiego rodzaju i charakteru — oto, jak nam przedstawia się Asnyk. Na to zgoda powszechna, że ma bardzo wykwintny, giętki wiersz, wielką różnorodność form i tonów w wierszu. Istotnie, to jego największa zaleta i siła. Przyszedł po Zaleskim, po Słowackim, po Ujejskim, i zastał ten wiersz polski zubożonym i wyrobionym niezmiernie; ale go sam umiał tak misternie obra-biać, wycieńczać, wyostrzać, że dźwięczności i gracyi nikt wierszowi polskiemu nie nadał więcej od niego. Ale gracya, wdzięk i dźwięk, to są ogromne, przyznajemy, jednak żeńskie własności i przymioty poezyi. A jak w drobne wiersze właśnie kładzie Asnyk najwięcej uczucia i najwięcej piękności, tak piękność ich polega najczęściej w gracyi, w nieuchwytnym dźwięku rozmarzonego, niebardzo określonego uczucia. Mało znamy na świecie drobnych rzeczy tak ślicznych, jak jego *Dzieje piosenki* i kilka podobnych. Ale mię-

dzy temi wierszami, których rozmiary są większe, a ton głębszy, w których uczucie wzniosłe a myśl poważna mają wyrazić się z mocą, z patetycznością, z majestatem, pomiędzy takimi nie przypominamy sobie ani jednego, któryby te własności miał w stopniu takim, jak Ujejskiego *Chorał*, *Noc natchnienia*, lub *Maraton*. Rozmarzenie miewa u niego wdzięk osobny i rzadki, żałość bywa rzewna; ale namiętność i siła częściej sztywne, niż mocna. W inwektywie, w nienawiści, nabiera życia i ognia; ale wtedy znowu czy nie jest nigdy niesprawiedliwą? czy zawsze w dobrej wierze? Wiersze, w których daje wyraz swoim pojęciom filozoficznym, bywają ze wszystkich najzimniejsze, najcięższe. Erudycya go obciąża. Musiał się kochać w naukach przyrodniczych, czytać o nich wiele, i różne uczone teorye odzywają się z jego wierszy częściej, i ciężej, niżby tego wymagało dobro tych wierszy.

Poeta drobnych form i lirycznych natchnień, miał do kompozycyi, do dramatu mianowicie, więcej pociągu niż daru. Jednak te dramata i komedye, przez ogół sążzone dość surowo, mają w naszych oczach więcej zalet, niż ich ludzie widzieć i przyznawać zwykli. Prawda, że humoru i *vis comica* w komedjach, jak dramatycznej akcji w tragediach, niedosyć; prawda, że niektóre komedye (*Bracia Lerche* i *Żyd*) są samą swoją treścią nieprzyjemne. Prawda, że w *Kiejstucie* jest i jednostajność wielka, i sytuacja główna z *Wallenroda* wzięta, a niezbyt szczęśliwie przerobiona. Jednak pomysły wdzięczne, myśli i wiersze czasem ładne a czasem zupełnie piękne, znajdują się w każdej z tych sztuk, a w *Rienzim* zdarza się nawet dramatyczny żywioł i talent. Właściwem polem Asnyka była przecież niewątpliwie poezya liryczna; ale na tem polu kwiaty rodziły mu się i kwitły licznie i bujnie, zboża i kłosa już nie tak.

W polityczną stronę i dążność poezyi, jak prozy Asnyka, wchodzić nie chcemy. Dlatego naprzód, że śmierć jego świeża; polemika byłaby zawczesną, a wszelka surowość przykrą. Dlatego następnie, że w czci własnej i drogich przyjaciół nieraz przez niego dotknięci, nie chcemy być posądzeni, że mówi przez nas uraza lub mściwość. Ale nie możemy także zupełnie tej strony rzeczy pominąć, bo mogłoby się wydawać, że w niej nie widzimy nic złego, a to byłoby już wy-

parciem się i zasad i ludzi, którym wierni byliśmy i da Bóg będziemy całe życie. Zatem w dwóch słowach tylko. Wszystkie przekonania są wolne; ale nie wszystkie sposoby postępowania są godziwe. Polityka nawet szkodliwa może być wytłómaczoną, jeżeli w dobrej wierze wyznawana, do bremsi środkami jest prowadzona. Między wierszami i artykułami Asnyka jest wiele, które do broni, godziwymi środkami nie były. Sienkiewicz ma zaś zupełną słuszość, kiedy mówi, że „każda książka, to czyn, zły albo dobry“. I każdy wiersz, każdy artykuł dziennikarski taksamo.

Żył Asnyk w czasie, kiedy na całym świecie wielkich poetów nie było. Nie można się dziwić, że i on wielkim nie był, a nie można zaprzeczyć, że miał przymioty, które i w najlepszych czasach i u większych od niego poetów byłyby piękne. Wielkim nie był, charakterystycznym był bardzo. Wyobrażał dobrze nie tylko niektóre współczesne nasze pojęcia i opinie, ale całą jedną stronę naszego stanu umysłowego, a nawet politycznego. U współczesnych miał więźność wielką; poczęści dlatego, że im się więcej od innych żyjących poetów mógł podobać, poczęści dlatego, że był do nich podobny wieloma swojemi opiniami, usposobieniami i słabościami. Potomni, trudno przypuścić, iżby go równie wiele czytali i podziwiali; ale jeżeli będą zajmowali się poezją i literaturą, to w jego poezyi będą musieli widzieć te zalety i wdzięki, jakie w niej rzeczywiście są. Prócz tego będą w nim cenili ciekawe świadectwo i pomnik czasu, ciekawą postać literacką, w której ostatnie echa dawnego romantyzmu łączą się z hasłami i cechami lat pod względem poetycznym i pod względem politycznym nie wesółych. Na jednym człowieku i jego pismach będą mogli poznawać i studyować ten stan umysłowy i moralny, w jakim żyje znaczna część Polski od roku 1863, a którego Asnyk ze swoją rozterką w duszy, jest wiele objaśniającym świadkiem, komentarem i wyobrazicielem.

St. Tarnowski.



KSIĘGARNIA

ANTYKWARIAT



D N^o 268659

Biblioteka Śląska w Katowicach
ID: 0030002009979



II 4501/32/1/1897

zna

II

EC